CHAOS W MOJEJ GŁOWIE

GRUDZIEŃ 2017

NUMER 16

TAU CROSS
WARWOUND
CHAOTIC END
MÖRKHIMMEL
POŻOGA
VODKA VITRAIOM
THING
TOFU RIOT
MOTYLE I MASZYNY
WOLVES AT THE DOOR
RADIANCE

KRZYSZTOF GALIŃSKI
AREK MARCZYŃSKI
SZYMON KUŁAKOWSKI
AMONG SCRATCHES
ARKI GRYNBERG
SZKIELO

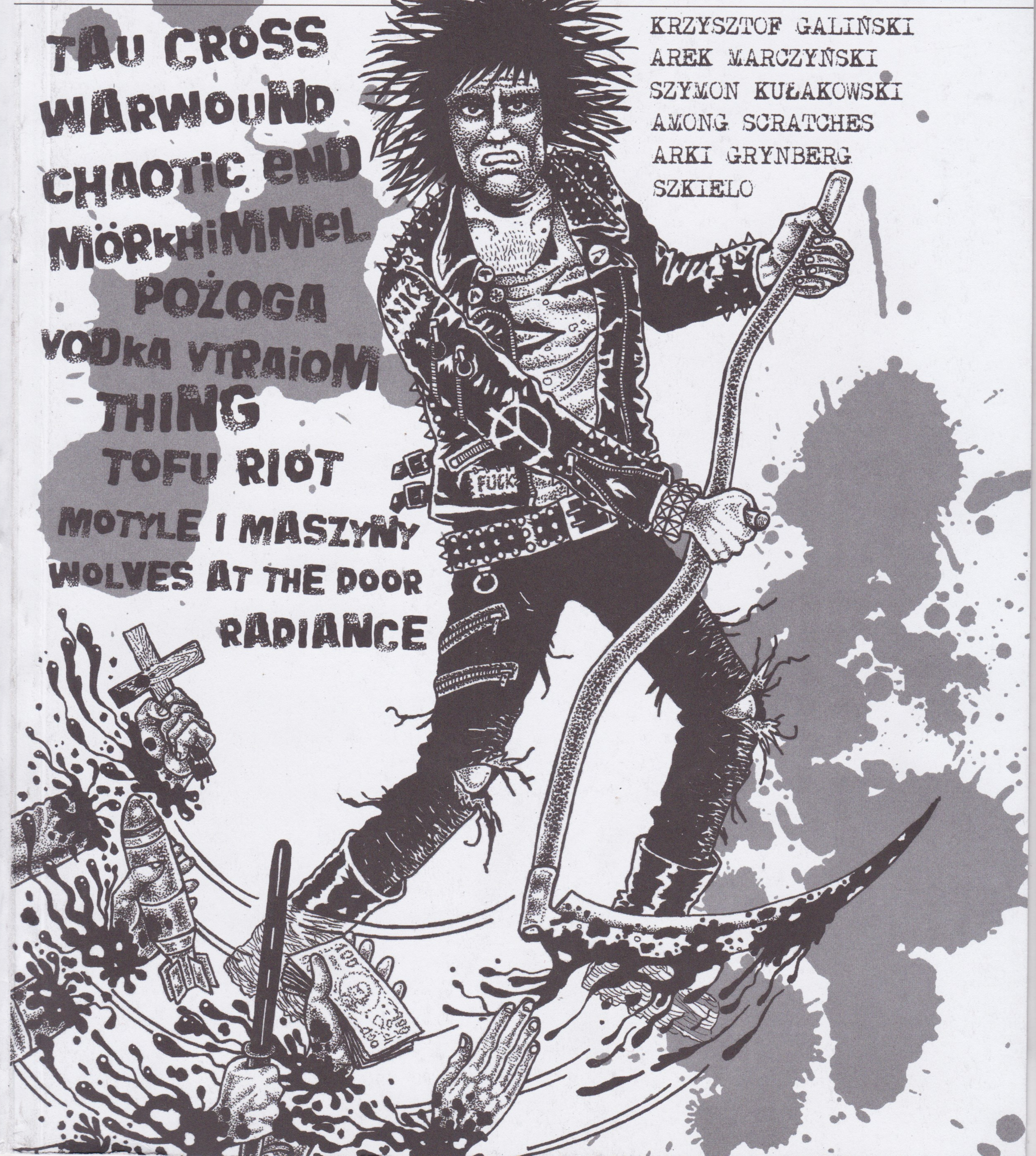

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE NR 16

UP THE PUNX RECORDS
LIFE SCARS
BRUD i BROKAT
makabert fynd
Systemkollaps...?
LIFE SCARS
"BRUD I BROKAT" LP
MAKABERT FYND
"SYSTEMKOLLAPS...?" LP
upthepunxrecords.bandcamp.com
fB.com/upthepunxrecords

NO pasaran RECORDS
www.nopasaran.pl
www.distro.nopasaran.pl
nopasaran@nopasaran.pl
MYCiAA
De la violence ordinaire LP
premiera styczeń 2018
ZAPOWIEDZI 2018:
EYE FOR AN EYE - Fabryka drwin LP

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE

NUMER 16 GRUDZIEŃ 2017

REDAKCJA:

Pablo, QbaQ, Gruha, Tomek, Krawat, Wojtas

POMOC I WSPÓŁPRACA:

Endi, Mateusz Flont, Grzester, Maku, Mike, Iza, Rav, Urbx, Albin, Rudy, Wolf, Bocian, Ania Zajdel, Tomasz Jurek, Daria, Fragles, Rupert, Szymon, Jacek, Zimzonowicz

KOLUMNY:

Jarek, Next Margo, Łukasz (Mnoda), xK.x, Szymon, Krzysiek Grabowski, Nix

PODZIĘKOWANIA:

Food Not Bombs - Opole, Paweł (Rayo Vallekano Polska), Nina (Kooperatywa Spożywcza Dobrze), Szymon Kułakowski, Arek Marczyński (Antena Krzyku), Krzysztof Gal Galiński, Arki Grynberg, Ruta, Winiak i Bimberek (Sabotaż), Jiřina (Vegalite), Aneta (Among Scratches), Rudi, Cameron (POŻOGA), Stevie, Damian, Rat (WARWOUND), Grzesiek i Radek (MASZYNY I MOTYLE), Tomek, Marcin, Bartek, Wojtek (WOLVES AT THE DOOR), Krystian, Anton (RADIANCE), Rob, Jon, Andy, Michael (TAU CROSS), Ireneusz i Tomasz Swoboda, Tomasz Piotrowski (THING), David (VODKA VTRAIOM), Maciek, Mentos, Cinek, Tasior (TOFU RIOT), Slávek, Andy, Havran (MÖRKHIMMEL), Paweł (VICIOUS REALITY)

FOTKI:

xRobakx, Javer Punk, Call Me Killer, Michał Szampański, Krawat, Grzester, Tomek

OKŁADKA:

Front: Pablo

WYDAWCA:

www.nopasaran.pl
nopasaran@nopasaran.pl

KONTAKT:

chaoswmojejglowie@o2.pl
pablo7213@wp.pl
http://www.chaoswmojejglowie.pl
https://www.facebook.com/chaoswmojejglowiepl/

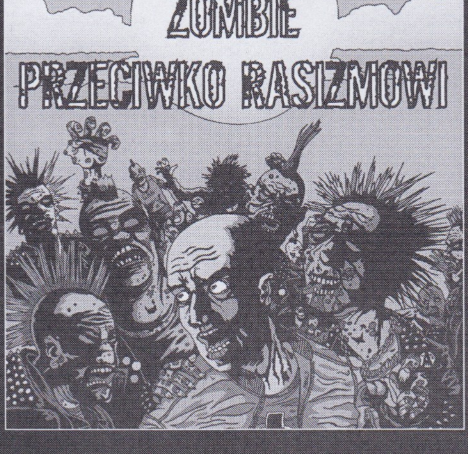

Ho! Ho! - powiedziałby Mikołaj, gdybyśmy w niego wierzyli... Kolejny numer znowu na czas i tym razem znowu sporo stron - podobno nic się nie dzieje, a my zawsze mamy o czym pisać! Rozpoczynamy nowy cykl Food Not Bombs i chcielibyśmy, abyście dawali nam znać o waszej działalności. Mamy nadzieję, że uda nam się opisać w każdym następnym numerze działalność innych lokalnych inicjatyw. W tym numerze jest sporo o jedzeniu, jest coś o piciu, są zioła, jest kooperatywa spożywcza, ale również sporo poważniejszych spraw - sytuacja ludzi bezdomnych w Polsce, walka o Puszczę Białowieską, relacja z antyfaszystowskiego marszu w Warszawie 11 listopada, Ania pisze, m.in. o tym, jak kobiety są traktowane na scenie przez mężczyzn, a dobrze nie jest... Jest coś ze świata sportu, a także sporo... sztuki - tej kolażowej, która jakby zanikała w tym naszym punkowym światku. Na spytki wzięliśmy Gala - anarchistę, opozycjonistę, wydawcę "Mać Pariadki"; Arka Marczyńskiego z Anteny Krzyku, Szymona Kułakowskiego - aktywistę, który brał udział w Marszu Na Aleppo oraz Szkiela, który udziela się w kilku ciekawych składach muzycznych. Znowu sporo stron o podróżach po świecie udało nam się zapełnić - piszcie o swoich włajażach! Prezentujemy wam kilka nowych, świeżych i mniej znanych zespołów - wspierajcie te kapele! Jak również kilka tych bardziej znanych - TAU CROSS czy WORWOUND. POŻOGA to dobry czadzik dubliński z naszym rodakiem w składzie, grecki CHAOTIC END po reaktywacji i świeżutkim longpleju, czeski MÖRKHIMMEL też ma na koncie nowy split LP, Maku przypomina nam świetny zespół THING, a do tego po raz pierwszy w polskim zinie wywiad z punkową kapelą z Gruzji!!! A to oczywiście nie wszystko w tej gazecie! Mamy nadzieję, że każdy znajdzie dla siebie coś ciekawego do poczytania w te długie zimowe wieczory. A musicie się streszczać, bo następny numer planujemy, jak zwykle, na czerwiec! Wszyscy ciężko pracujemy nad tymi numerami, więc dziękujemy sobie nawzajem, wszystkim naszym współpracownikom, pomagierom, reklamodawcom i czytelnikom! Nowy rok przed nami, więc mamy nadzieję, że będzie lepiej niż w poprzednim. Oby! Wszelkim maści rasistowsko-ksenofobiczne środowiska rosną w siłę przy wsparciu tego chorego rządu - nie możemy im odpuścić, jednoczmy się, bądźmy aktywni, sprzeciwiajmy się, walczmy, organizujmy się! W Warszawie nie było źle, Poznań pięknie powitał Winnickiego! Razem, wspólnie jesteśmy silni, możemy się postawić! Bierzmy wszyscy przykład z oporu innych i dołączmy do ich walki! Sytuacja sama się nie zmieni, nikt nie wywalczy nam naszej wolności! Najlepszego z nowym rokiem!!!
Redakcja

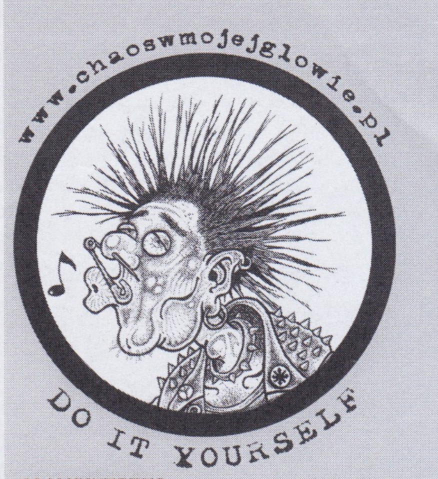

CO W NUMERZE?
- Kolumny 4-15
ANTYFASZYZM
- Wszyscy jesteśmy ANTIFA!!! 16
ZRÓB TO SAMA
- To nie dziewczyny tworzą podziały 17-18
FOOD NOT BOMBS
- Świat bez głodu i bez wojen 19-20
SPORT
- Rayo Vallekano - La Vida Pirata 21-23
- Mondiali Antirazzisti 2017 24-25
SPRAWY SOCJALNE
- Opowieść o ludziach bezdomnych 26-31
ANARCHIZM
- Anarchia, Absolut i życie bez przemocy 32
KOOPERATYWA SPOŻYWCZA
- Smoorganizacja i współdziałanie 33-34
WALKA TRWA!
- Obóz dla Puszczy od środka 35-36
LEKSYKON ANARCHISTÓW I ANARCHISTEK
- Anarchista trzeciej fali - Hakim Bey 37-41
HISTORIA
- Wiek XX wiekiem terroryzmu 42-52
NA KRAŃCACH ŚWIATA
- Gorące źródła i woda z lodowca - Islandia 53-54
- Południowa Afryka - kraina kontrastów 55-58
- Tajlandia - spełnienie marzeń 59-63
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE
- Wierzę, że moje działania mają sens - Szymon Kułakowski 64-68
- Scena, ta moja, się skończyła... - Arek Marczyński 69-71
- Miłośnicy czarnego sztandaru - Krzysztof Galu Galiński 72-78
- Sztuka nie lubi ograniczeń - Arki Grynberg 79-83
- Czy wiesz o czym szumią zioła? - Ruta 84-86
- Drewniany bucik w trybach systemu - Browar Sabotaż 87-88
- Wegańskie postrzegania świata - Vegalite Brno 89-92
- Wycinam i lepię siedząc w łóżku - Among Scratches 93-96
- Kwestia otwartego umysłu - Szkielo 97-98
WYWIADY
- POŻOGA 99-101
- WARWOUND 102-104
- MASZYNY I MOTYLE 105-106
- WOLVES AT THE DOOR 107-110
- RADIANCE 111-112
- TAU CROSS 113-116
- THING 117-118
- VODKA VTRAIOM 119-121
- TOFU RIOT 122-125
- MÖRKHIMMEL 126-128
- CHAOTIC END 129-133
HAŁAS W NASZYCH GŁOWACH
- SORE THROAT 134-136
- Punk rock zmarnował mi życie, vol. IX 137-140
NA TRASIE
- LIFE SCARS - Gruzja, Armenia, Azerbejdżan 141-144
- VICIOUS REALITY - Summer 2017 145-148
PUNK NA ŻYWO 150-163
CZYTAM, WIĘC JESTEM 165-168
MAKULATURA 170-175
WHAT'S THAT NOISE?! 176-200
KOMIKS
- Obdżerator - Zimzonowicz 201-203
FOTO GALERIA
- Mike Champagne 204-206

Tomek „MRÓWA" Komorek (1969 – 2017) R. I. P.

Jest koniec sierpnia tego roku. Dzwoni kumpel i mówi: „mam chujowy news, lepiej usiądź – Mrówa nie żyje". Na początku nie dociera to do mnie, robi mi się słabo, mam ciemno przed oczami. No, kurwa nie wierzę, jeszcze kilka tygodni wcześniej widziałem go w świetnej formie, był jak zwykle uśmiechnięty i jak zawsze witał mnie tekstami typu: „cześć gruby chuju". Jak się przeżyło z kolesiem 30 lat w punk rocku, grało w kapeli, prowadziło razem distro i produkcję kaset, czy jeździło na gigi, a przede wszystkim chlało dużo i często, to przywitanie w stylu „cześć gruby chuju" może być tylko komplementem. Każdy stary brudas to wie.

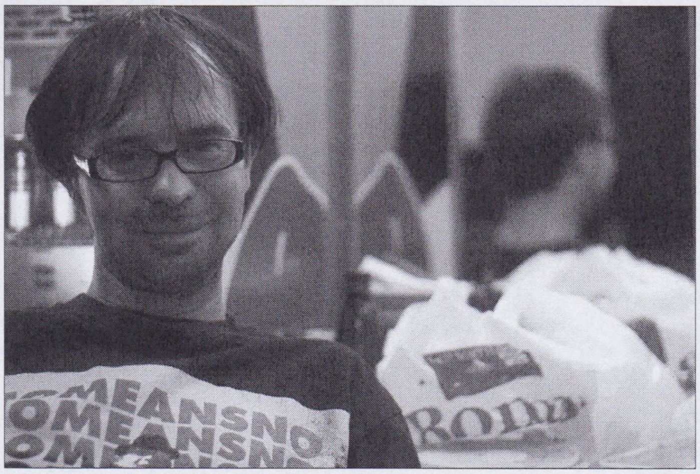

Po wysłuchaniu tej wiadomości wpisuję telefonem na facebooka posta, łapy drżą mi tak, że muszę to robić kilkanaście razy, bo nie potrafię się uspokoić i wstukuję jakieś nieistniejące słowa. Ryczę jak dziecko i do końca dnia czuję się jakbym dostał wpierdol. Reakcja przyjaciół jest podobna – nikt nie może w to uwierzyć. Niemal każdy widział go niedawno na punk piknikach, czy koncertach i nagle nie ma wśród nas kumpla, który zawsze był i wszędzie go było pełno. Definicja dewastu.

Jego śmierć – nagła i mam nadzieję bezbolesna – jest szokiem, tym bardziej, że nie prowadził się źle, na pewno nie łoił tyle gazu, co ja, zasuwał na rowerze, pracował i ciągle coś załatwiał w sprawie swojej punk firmy. I nagle, będąc na wakacjach nie obudził się; dzień wcześniej podróż, relaks, małe piwko na sen, a nad ranem, znienacka przyszła do niego stara kurwa, która czyha na każdego z nas. Okazało się potem, że przyczyną był rozległy zawał, że miał w rodzinie podobne przypadki i ostatecznie nie pomogło mu ani zdrowe życie, ani dbanie o przyjmowanie właściwych leków. To, co nieuchronne i potwornie niesprawiedliwe pojawiło się nagle i zniszczyło zajebistego kolesia. Szok i niedowierzanie.

Mrówę poznałem w 1987 roku, bujał się wtedy z załogą ostrych fuckoli – awantury z kibolami Motoru, czy picie różnych wynalazków, to był znak rozpoznawczy tej ekipy. Byłem młodszy od niego o 2 lata i wtedy, jako szesnastoletni punk, bardzo chciałem wejść do tej ekipy, a w tamtych czasach młody brudas, bez załogi był nie tylko łatwym celem dla gitów czy kibiców, ale także nie miał szans na posłuchanie kapel, o których nie miał pojęcia, czy dostanie w łapy zine'ów, legendarnych „pankowych gazetek", o których wiedziałem tylko tyle, że są i są robione przez punks dla punks. Oczywiście imponowało mi także, że ci kolesie nie pierdolą się w tańcu i nawet po wypiciu kilkunastu buteleczek dziwnych syfów z apteki potrafią zdjąć pas z ćwiekami i ganiać fajansiarzy z szalikami. Każdy, kto pamięta czasy punków z lat komuny, wie, że te kilka lat różnicy i nowa morda w ekipie musiało spowodować, że traktowano mnie nieco z góry i upłynęło trochę czasu, zanim zaczęli mnie brać za swojego. Gdy podczas wizyty JPII w Lublinie, w 1987 r. milicja prowadziła akcję czyszczenia miasta z podejrzanych elementów, kilku punks poszło siedzieć do pierdla za bijatykę z psiarnią. Mrówa, jako jeden z nielicznych przypadkiem nie był wtedy „na akcji" i uratował dupę. Jednocześnie, jako jedyny okazał się najbardziej otwarty z tej ekipy i szybko się zorientowałem, że poza chlaniem i rozróbami bardziej interesowała go muzyczna i ideowa strona punk rocka. Gdy zgadaliśmy się, że on gra na basie, a ja uczę się grać na gitarze, szybko załapaliśmy razem zajawkę i pojawił się pomysł wspólnej kapeli.

07 ZGŁOŚ SIĘ

Niestety musiałem trochę poczekać na ten moment, bo Mrówa grał już wtedy w 07 ZGŁOŚ SIĘ, a – jak pewnie niektórzy wiedzą – granie wtedy w kapeli (nie mówiąc już o kilku zespołach) to był logistyczny koszmar: nie było miejsca na próby, nie było sprzętu, nieliczni mieli w ogóle jakikolwiek sensownie brzmiący instrument. 07 ZGŁOŚ SIĘ to była taka mała legenda punkowego Lublina, działali krótko, ale intensywnie: prosty beat, dużo hałasu, Pała na wokalu i apokaliptyczna choreografia na koncertach, polegającą na pogo na scenie w maskach przeciwgazowych. Teksty pisał nie mniej legendarny załogant – Mysza, wspaniały, wariat, totalnie bezkompromisowy, ale także paradoksalnie bardzo pozytywny socjopata. Oto 07 ZGŁOŚ SIĘ w pigułce: „gdy znudzi ci się życie, rozkazy: naprzód idź! weź wtedy ostrą brzytwę, powyrzynaj ich, bo łopata i karabin spełniają ich sny". Ta kapela na żywo to był dewast i ten rodzaj punka, jaki chciałem chłonąć – po rozpadzie kapeli Mrówa wrócił do kwestii wspólnego grania i szybko okazało się, że ani on ani ja nie potrafimy za bardzo ogarniać grę na instrumentach i że trzeba długo ćwiczyć, by w ogóle miało to sens. Próby odbywały się u Mrówy na chacie jak nie było jego starych i polegały na podpinaniu się pod radia typu Taraban, a Pała, który miał być wokalistą darł się do zwiniętej w rulon gazety. Perkusista? Perkusja? Zapomnij. Punk w PRL to było wyzwanie – chciałeś napierdalać, ale nie było sprzętu i nie było punks, którzy by coś potrafili zagrać, bo na czym mieliby cokolwiek ćwiczyć? Po takich niby-próbach zaczęliśmy z Mrówką i Pałą bardziej kumplować się, szybciej i w większej ilości dochodziły do nas nieznane do tej pory kapele, łykaliśmy pierwsze numery „Qąryą", pojawiło się na horyzoncie określenie „scena", powoli i lepiej dawaliśmy radę z graniem na gitarach. To właśnie dzięki Mrówie znaleźliśmy bębniarza i zaczęliśmy już na poważnie grać próby. I gdy w pewnym momencie przyszedł czas ciężkiego wyboru – nazwa kapeli – Pała, w swoim stylu, przyniósł trzy propozycje: Kwasek Cytrynowy, Pizda lub Amen. Popatrzyliśmy z Mrówą na siebie i zbaranieliśmy: wbrew początkowym obawom wybór okazał się bardzo prosty. Zaczęliśmy grać na poważnie.

Mrówa - pierwszy koncert AMEN

Mrówa bardzo szybko okazał się najbardziej obrotny w sprawach organizacyjnych – zawsze potrafił znaleźć miejsce na próby, w odpowiedni sposób pogadać z wąsatym chujem z domu kultury, czy załatwić sprzęt. Jego niebywała zdolność ogarniania tematów i wykonania – wydawałoby się – niemożliwego to była cecha, jaka świetnie sprawdzała się nie tylko w przypadku kapeli, ale przede wszystkim w prowadzeniu później Lagart Factory, czy organizowaniu koncertów. Gdy trzeba było coś załatwić i okazywało się, że coś jest trudne do realizacji, Mrówa zawsze znalazł sposób na wykminienie rozwiązania. Zarówno próby jak i pierwsze koncerty – wszystko to potrafił wykonać niemal z niczego, a to tylko na podstawie listów czy telefonów, co dziś – z perspektywy znajomości internetu – wydaje się dość przejebane. Załatwiał koncerty w domach kultury, użerał się z Krystynkami różnej maści, gdy nie odpowiadał im profil muzyki, czy sposób załatwiania podstawowych spraw („A gdzie ma pan kontrakt tego zespołu? Przecież nikt z PAGARTu do nas nie dzwonił!!!"). To on zawsze kminił jak ugotować żarcie i nie dopłacać do całego

AMEN - pierwszy skład

przedsięwzięcia, a gdy koncert szedł w plecy, wyciągał szmal z własnej kieszeni. Potrafił w najdziwniejszych miejscówkach zorganizować w Lublinie czad giełdę, co na warunki tego miasta było dość ryzykowne, bo i załoga nie była zbyt liczna, a i naziolstwo wciąż od czasu do czasu pojawiało się na horyzoncie. W „złotych czasach" punk kaset i tłumów na czad giełdach jakoś to funkcjonowało, potem jednak – jak niemal wszędzie – naturalnie zanikło. Mrówa kochał działać w punk rocku i wielokrotnie mówił, że interesuje go tylko taka aktywność, a nie tyranie w normalnej pracy. Gdy kiedyś paniusie z domu kultury odwołały gig INKWIZYCJI, z powodu ostrego plakatu (autorstwa Pałki), Mrówa wkurwił się niemiłosiernie, zebrał gazetą psie gówno ze skwerku obok i wysmarował nim drzwi i klamkę tego przybytku kultury. Zero-jedynkowa sytuacja i zero-jedynkowa reakcja. Jebać fajansów.

Gdy zaczęliśmy jako AMEN grać już często i dużo, przez pewien moment 3/4 kapeli mieszkała razem w wynajętym, śmierdzącym zgnilizną domku, gdzie wspólne gotowanie żarcia, granie prób czy imprezowanie spowodowało, że bardzo się zżyliśmy i czuliśmy, że jesteśmy czymś więcej niż tylko kapelą. Oczywiście i sam dom i wszystko wokół mieszkania razem załatwił Mrówa, bo chłopak nie mógł usiedzieć na miejscu i spełniał się świetnie w tym, że zajebiście potrafił urządzić świat wokół siebie. Niestety idylla nie trwała długo – nasz perkusista, z powodów życiowo-rodzinnych wyjechał do Holandii i tam po wielu perypetiach z punk rockiem ciężko zachorował, bo uwierzył w bozię. A i sam Mrówa skomplikował sobie sprawy, wpakował się w fatalne i krótko trwające małżeństwo, urodziła mu się córka i musiał wyjechać niemal na rok do Włoch za chlebem. AMEN zmienił skład i ruszył w innym kierunku. Mrówka nie zerwał jednak kontaktu z kapelą i niejednokrotnie później był naszym kierowcą, zwłaszcza wtedy, gdy dał radę jechać sam wiele kilometrów na trasie: Słowenia – Chorwacja. My mogliśmy pić i spać, a on musiał dla nas zasuwać.

Wcześniej jednak, po powrocie z Włoch przeżywał koszmar chujowego związku, musiał szukać mieszkania, miał słabą pracę i odpuścić w ogóle granie, bo nie mógł sobie już na to pozwolić. Był jednak silny psychicznie jak nikt, kogo znam – stanął na nogi bardzo szybko i jednocześnie prowadził ze mną Lagart Factory, a później razem z Pałą założyli firmę robiącą nadruki, te punkowe i te dla zwykłej ludożerki. Po raz kolejny okazało się, że Mrówa może być definicją self-made mana – z zagraconej piwnicy, śmierdzącej grzybem zrobił siedzibę firmy Amebix, świetnie funkcjonującego przez 20 lat przedsięwzięcia, aż do tego feralnego, jebanego sierpnia 2017.

Amebix działał tak, że o ile Pałka zajmował się stroną, powiedzmy artystyczną samych nadruków na koszulki, naszywy, czy naklejki, o tyle Mrówa był od organizowania sprzętu i towaru; gdyby zupełnie odwrotnie podzielili się obowiązkami pewnie chuj by bombki strzelił. Uzupełniali się świetnie i wszystko szło im gładko, tyle, że Amebix po godzinach pracy często był ich drugim domem, albo meliną dla alko punks, takich jak ja. Bywało tak, że całymi tygodniami, wieczorem trwała jedna wielka balanga – MINOR THREAT na pełny regulator i pogo pomiędzy matrycami, farbami i amoniakiem. Mrówa przy całej swojej odpowiedzialności potrafił znaleźć czas na balowanie, ale kiedy ja i Pałka przeginaliśmy miał – co zrozumiałe – czasem dość i wkurwiał się.

Jego operatywność była nieprawdopodobna – wiedział doskonale, że jeśli firma ma dawać im utrzymanie, to musi się rozwijać; ciągle inwestował w nowe urządzenia, gdy trzeba było załatwiał stuff z najdziwniejszych miejsc, by produkcja była najbardziej efektywna, potrafił odpowiednio rozmawiać z klientami i nie było dla niego zleceń niewykonalnych. Narzekał, co oczywiste, na użeranie się z urzędasami i absurdalnymi przepisami, bo wbrew powszechnie przyjętej punkowej opinii (co już samo w sobie brzmi jak oksymoron), prowadzenie małego biznesu nie jest ani łatwe, ani nie przynosi kokosów. Mrówa zawsze ciężko pracował i widać było, że walczy na maksa, bo nikt mu nic nie przyniesie pod nos za darmo.

Kiedy z Amebixu odszedł Pała i wyjechał do Londynu, Mrówa sam potrafił pociągnąć firmę i rozszerzyć działalność i usługi dla normalsów. Rozwinął też asortyment „punk fashion for kids" i w okolicy nie miał dla siebie konkurencji. To właśnie dzięki temu założył sklepik „Bunkier", w którym żenił stuff i jechał na dwa fronty, prowadząc zarówno Amebix jak i sklep. Wielu lubelskich załogantów mogło dorobić parę groszy, albo pracując w „Bunkrze", albo robiąc jakieś drobne rzeczy w Amebixie. Sam niekiedy pracowałem krótko w wakacje, wygrzewając nadruki na koszulkach. Wielu oczywiście narzekało, że Mrówa kiepsko płaci, ale zwykle tak jest, gdy nie zna się drugiej strony prowadzenia tego typu działalności. Kilka razy „Bunkier" był odwiedzany przez miejscowych nazi-chujków i parę razy Mrówa lub ktoś z ekipy był sam na sam w sklepie z bandą przygłupów. Zdarzały się, więc krzywe akcje, ale na szczęście zwykle obywało się bez poważnych konsekwencji. I to z powodu prowadzenia sklepu Mrówa trafił na listę RedWatch. Nie przestraszyło go to i prawidłowo olał sprawę – brunatne frajerstwo czuje się silne tylko wtedy, gdy wyczuje czyjąś słabość.

Przez lata miałem z nim dobre relacje i choć czasem potrafiliśmy się pokłócić ostro i bywało słabo między nami, to wieloletnie, wspólne doświadczenia spowodowały, że rozumieliśmy się doskonale i mieliśmy podobne poczucie humoru. Ostatnio rzadko go widywałem, on miał swoje, ja swoje sprawy, ale zawsze, czy to na balangach, czy na gigach był uśmiechniętym i optymistycznie nastawionym gościem. Sypał niekiedy szczerymi do bólu tekstami, miewał czasem ciężki dowcip, ale z reguły był wyluzowany i nie szukał problemów tam, gdzie ich nie ma. Mrówa bywał niekiedy szorstki w stosunku do ludzi, ale pomimo swoich zakrętów życiowych częściej pamiętam go wesołego, niż zdefionego. Bywał ironiczny i sprawiał wrażenie, że ma wszystkich w dupie, ale jeśli kogoś znał, to niemal zawsze ten ktoś mógł na niego liczyć. Po 30 wspólnych latach w punk rocku, po świetnych i chujowych czasach naszej znajomości ciągle nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

Boć.

Trasa po Słowenii - Mrówa pierwszy z lewej

Nie mam zamiaru pisać tym razem o polityce, bo już mi się chce rzygać od tego wszystkiego. Od zakłamania, bufonady, żenady, rozgrywek, kolesiostwa… O! I znowu zaczynam… Tym razem chciałbym napisać o szeroko pojętym punk rocku, bo to wirus, który się rozlał po całym świecie. Dotarł nawet do PRL-owskiego kraju nad Wisłą w latach 70. Ale nie tylko tam. Po ponad 40 latach ten cały punk rock ewoluował, zmienił oblicze, podzielił się na wiele odnóg. Jedni mówią, że zjada swój ogon od lat, inni, że dzięki sytuacji geopolitycznej czekają go w najbliższym czasie kolejne złote lata. Fakt jest taki, że ten punk rock ze swoją muzyką, ideami, postawami i aktywnością wciąż istnieje, wciąż skupia wielu ludzi i nie chce zdechnąć w bólu i męczarniach czy w zapomnieniu. Wiadomo - jedne zespoły są miałkie i śpiewają o niczym, inne poszły w komercję, zaś inne bazują na ogranych schematach. Kolejne są dla wielu zbyt radykalne, zbyt ekstremalne muzycznie albo zbyt odbiegają od kanonu zwanego punk rockiem. Jednak wciąż to trwa. Jest w gorszej lub czasami lepszej kondycji, ale istnieje na całym świecie. Co sześć miesięcy kilka osób recenzuje muzykę na łamach „Chaosu". Zazwyczaj jest to około 100 pozycji, a to tylko niewielki fragment tego, co nam wpada w ręce i wychodzi na świecie! Spójrzcie na „Maximum Rock'n'roll", ile tam recenzji co miesiąc! Przecież jest też i „Pasażer"! A ile pojawia się recenzji muzycznych w innych zinach na całym świecie? Na blogach, portalach i innych stronach w sieci? No i można dotrzeć do tej muzyki właśnie dzięki sieci. Można zamawiać płyty, można posłuchać na YouTube, bandcamp, itp., można w końcu ściągnąć te nieszczęsne mp3. Możliwości jest dzisiaj sporo. Mamy przed sobą otwarty cały muzyczny świat punk rocka. Dosłownie - świat. I tu pojawia się pytanie, ilu ludzi tak naprawdę interesuje punk spoza miejsc takich jak USA, Wielka Brytania, Skandynawia i Europa Zachodnia? Owszem, jest jeszcze grupa ludzi, w tym i ja, która fascynuje się tym punkiem pochodzącym z Japonii czy Brazylii, ale co z resztą świata? Czy mamy jakieś mgliste pojęcie o tym, co dzieje się na scenach w Paragwaju, Południowej Afryce, Indiach, Tadżykistanie? A czy coś punkowego gra w krajach arabskich? A co się dzieje w państwach post komunistycznych jak Bułgaria, Rumunia, Albania? Ja wiem, że teraz pojawia się śmiech na sali, bo jak dobry może być zespół grający punk i pochodzący z Ekwadoru, Turcji albo Wietnamu, w porównaniu do dokonań z najnowszej płyty WOLFBRIGADE czy innego TRAGEDY… No cóż, pewnie odstaje na kilometry, bo jednak Stany i Europa mają lata tradycji grania punk rocka, ta muzyka wywodzi się bezpośrednio z naszej kultury, choć stała się uniwersalna, warunki też mamy o niebo lepsze i scenę, która działa nieprzerwanie od dziesięcioleci. No tak, ale czy to jest powód, by ignorować sceny raczkujące, rozwijające się, czy dopiero krzepnące? Oczywiście każdy zrobi, co zechce, jednak myślę, że warto, w miarę możliwości, zainteresować się tym, co tam, w odległych miejscach, w trawie piszczy. Pamiętajcie, że my, za czasów PRL-u również zabiegaliśmy o to, żeby ta nasza scena punkowa zaistniała na świecie. Chcieliśmy odcisnąć swój ślad. Nasze zespoły, często, też odstawały na kilometry od poziomu grania zespołów zachodnich. Było nam ciężko wydawać płyty, organizować koncerty, zdobywać nowe nagrania… Sytuacja oczywiście się zmieniła - dla nas, ale gdzieś tam, za górami, za lasami są miejsca, gdzie punkowcy wciąż mają przejebane i z wielką determinacją starają się tego punk rocka pchać do przodu. Warto ich wesprzeć… Interesuję się tym, tzw. egzotycznym punkiem od dość dawna, choć obecnie mniej niż kilkanaście lat temu. Mam w swoich zbiorach troszkę ciekawych i oryginalnych płyt pochodzących z różnych zakątków świata. Jedną z moich ulubionych płyt jest kompilacja, chyba bootleg, z zespołami z lat 80. pochodzącymi z Filipin. Byłem w szoku, jak w latach 80. grały te zespoły! Kompilacja „Nightmare vol. 1" prezentuje się wybornie. Pojawiają się tu takie kapele jak BETRAYED, R.D.A., INTOXICATION OF VIOLENCE, PHILIPPINE VIOLATORS i URBAN BANDITS – od melodyjnego punka po brudny hardcore. Sprawdźcie te kapele, bo warto! Albo inny składak: „10,000 Years Punk - Underground China". Wiadomo, że w Chinach ten punk jest taki dość klasyczny czy streetowy, a zespoły organizują swoje koncerty np. w McDonaldzie, ale to wciąż punk! Muzycznie jest właśnie oi'owo i w stylu 77, a zespoły mają często dość dziwne nazwy, jak na punkowe kapele: A BOYS, REFLECTOR, 69 i BRAIN FAILURE. Wpadły mi w ręce również splity i składanki z zespołami z Nepalu, Indii, Makau, Kuby, Bułgarii i wielu, wielu innych… No właśnie, może zacznę od Azji, tej dalekiej i tej bliższej. Jedne sceny są tam dość mocne, rozwijają się, są bardzo aktywne, wychodzi tam sporo zinów, pojawia się mnóstwo kapel i coraz częściej przyjeżdżają tam kapele europejskie czy amerykańskie, a i tamtejsze zespoły ruszają na trasy po innych częściach świata. Wymienię po prostu trochę kapel i wydawnictw, które możecie sobie sprawdzić.
Rozpocznę od dalekiego Nepalu. Na łamach „Chaosu" wywiadowaliśmy zespół RAI KO RIS, który ma na swoim koncie dość sporo wydawnictw, głównie są to CD-R, kasety, ale również pełnowymiarowe CD, a nawet dwa 7" single oraz kawałki na kompilacjach. Z Nepalu pochodzą lub pochodziły, bo nie wiem czy wciąż działają, zespoły takie jak 5TH GRADE DROPOUT, CRISIS (mam ich split 7" z zespołem z Indii, choć to bardziej punkowa fala połączona z hard rockiem), INSIDE 2 STOOPID TRIANGLES (mają m.in. split z RAI KO RIS), NEWAZ, ROBIN'N'LOOZA, TANK GIRL (mają wydany winylowy LP).
Chiny z kolei to olbrzymi kraj z ogromną ilością ludzi, więc i tych zespołów jest tam sporo. Ja wymienię tylko część z nich, bo jest ich tam naprawdę zatrzęsienie. Najbardziej znanym zespołem stamtąd jest chyba FAN ZUI XIANG FA, którzy mają na koncie 4 single winylowe. Oprócz wymienionych wcześniej chińskich zespołów pojawiają się na tamtejszej scenie takie nazwy jak ANOTHER IDEA, THE BELIEVERS, BIENIU (którzy pojawili się np. na kasecie kompilacyjnej wydanej w Polsce pt. „Jedzenie zamiast polityki"), CANGYING, DIXIA YING'ER, GUA ZAI HE ZI SHANG (mają sporo wydanych CD, jak i kawałków zamieszczonych na kompilacjach), JOY SIDE, MISANDAO (to oi skinheadzi), NO NAME, PK-14, RE-TROS, SI DOU LE, SHENGMING ZHI BING (ten zespół też ma na swoim koncie sporo wydawnictw i również niektóre z nich wydane zostały w Europie), XIN CHANGZI, ZHAN FU. Tak, jak wspomniałem wcześniej, większość tych zespołów obraca się w klimacie punk 77, oi!/street punk czy „nowoczesnego" pop-punka w stylu GREEN DAY. Gra w Chinach kilka hardcore'owych kapel, natomiast ciężko znaleźć jakieś zespoły d-beatowe czy crustowe. Dajmy im trochę czasu… Sprawdźcie wydawnictwa chińskiej wytwórni Genjing, która ma w swojej ofercie sporo muzyki, głównie na winylach. Przy chińskim punk rocku nie sposób nie wspomnieć o Hong Kongu. Tam ten punk rozwijał się nieco inaczej, poszedł bardziej świadomą drogą. Najbardziej znany zespół stamtąd to BLACKBIRD. Mam ich jedyny singiel 7". Zespół działa od połowy lat 80., jest czymś w rodzaju anarchistyczno-libertariańskiego kolektywu, bardzo aktywnego politycznie. Grają coś pomiędzy anarcho-punkiem w crassowym stylu a zwykłym rockiem z dużą domieszką bluesa, jazzu i folku. Wydali na przestrzeni lat sporo kaset, kilka płyt CD oraz jeden jedyny singiel winylowy „Shendaruan". Inne zespoły z Hong Kongu, które mają na swoim koncie jakieś wydawnictwa to m.in. THE BUREAU, CABSTAND, THE CONVICTED, DZAP DAU DAU, FAT JOB, GREEN PARTNER, KING LY CHEE, NOPDOGS, TOKYO SEX WHALE, ZIG ZAG.
Makau to specjalny region administracyjny ChRL, niegdyś kolonia portugalska. Mam split 7" z dwoma zespołami stamtąd: LA HAINE z potomkami Portugalczyków w składzie i DONGFANG HONG z członkami chińskiej nacji. Jednak jest tych punkowych zespołów więcej, a przynajmniej było w połowie lat 90., by wymienić takie nazwy jak BAD MOJO, MANDARINA, O.R.S.L.O., PLASMA, STATE OF MIND, WARP FACTOR 9.
No i jeszcze Tajwan. Tutaj też sporo się dzieje, zresztą od lat. Pewnie nie wiele się to różni od punka z ChRL, choć tutaj scena jest zróżnicowana dużo bardziej, bo gra się i hardcore, i garaż, a nawet jakieś eksperymentalne odjazdy na punkową nutę czy nowa falę. Wszędzie w Azji rządzi street punk, natomiast na Tajwanie ta scena jest zróżnicowana bardzo, więc można znaleźć coś ciekawego pośród tamtejszych zespołów. GU ROU PI, BUZZ, ZUO SHUI SHI GONG SE, STOP LOOK LISTEN, PIAO CHONG i wiele innych.
Nie będę pisał o scenie w Indonezji, bo tam tych zespołów jest setki, odbywa się mnóstwo festiwali i koncertów, punkowcy wydają tony kaset, robią ziny, organizują się. Kapele grają cały przekrój punka - od 77, oi street, poprzez hardcore, beat down, grind core, crust aż po d-beat. Zresztą pewnie pamiętacie tę akcję z Indonezji, gdzie w jednym ze stanów, w którym obowiązuje szariat, golono punkom irokezy i wysyłano ich do poprawczaka. Przejebane… Wymienię kilka nazw, które na pewno wam się skojarzą z innymi kapelami, ale to pochodzą z Indonezji – AK-47, ANTI-PASTI, ANTISEPTIC, ANTI SYSTEM, BASTARDS, BRAINDAMAGE, BULDOZER, CULTURAL SHOCK, DEAD END, DISASTER, HORRORSHOW i wiele innych. Tak czy inaczej, scena w Indonezji jest bardzo silna, aktywna, ciekawa i ciężko ją ogarnąć w kilku zdaniach.
Drugą mocną sceną w tym regionie jest scena w Malezji. Również prężna i zaangażowana, jak ta w Indonezji. Gra się tu cały przekrój punka, z jednej strony bardzo popularny jest street punk/oi!, z drugiej sporo tu świetnych zespołów łupiących raw punk, crust i d-beat. Większość tych zespołów wpisała się już na stałe w światowy hc/punk. A.C.A.B. wydali sporo płyt i wraz z THE BOLLOCKS, THE OFFICIAL, ROOTS & BOOTS są najbardziej znanymi zespołami oi! z Malezji. Z tej sceny raw/crust to prym wiodą zespoły AGHAST, PARKINSON, MASS SEPARATION, APPÄRATUS. Zespołów działa setki, choć rządzą zespoły streetowe czy pogo punk o nazwach takich jak J.B.H. czy SATURDAY HEROES.
Kolejna prężnie działająca scena znajduje się w maleńkim państwie-mieście Singapurze. Tutaj też rządzi głównie oi! i street punk: THE BOIS, GENERATION 69, THE MANIACS, ale jest sporo hardcore'owych kapel – VOICEOUT, UNITED BLOOD, STOMPIN' GROUND, RECTIFY, jak również crustowych, np.: PROTEST, DISTRUST, MINUS. No jest tam tych kapel dość sporo i jest w czym wybierać.
Natomiast cisza o punkach w Laosie… Oczywiście są tam zespoły rockowe, folkowe, ale z punkowych nazw to znam tylko jedną PUNKY DOLLS. W 2007 roku wydali CD pt. „Sao Thong Sai". Również w Bangladeszu jest posucha, jeśli chodzi o punk, chociaż istnieje trochę zespołów rockowych, sporo metalowych, a nawet grających reggae… Kambodża - tu też słabiutko. Pojawiło się kilka zespołów grających jakiś hard rock połączony z punkiem. Często były to zespoły złożone z obcokrajowców, głównie Francuzów, jak np. VEALSRE, TEUK MATE, THOM THOM. Była też kapela BETTY FORD AND THE GT FALCONS złożona z Amerykanów mieszkających w Kambodży. Coś zaczyna dziać się i w Wietnamie. Scena całkiem świeża, więc rzucę tylko kilkoma nazwami: GIAO CHI, BLUE STAR, NO.4, PUN*KIDS, MAD MOSQUITOES, KOP. Głównie grają soft punk, często taki dość „komercyjny", połączony z grunge czy nu metalem, ale myślę, że są tam i jakieś konkretne kapele punk z prawdziwego zdarzenia. Albo będą wkrótce.
No i została nam jeszcze Tajlandia… Tutaj też sporo się dzieje, mają mocną i zróżnicowaną scenę, więc rzucę tylko kilka tych najbardziej znanych nazw: ADULTERER, BIKINI, CRUX, THE DARLINGS, DOK PUNK ROCK, EBOLA, FLESH & SKIN, G.B.P.D., MODERN DOG, SEPIA, SICKCHILD, THE DIE HARD, BANGKOK ALCOHOL, CHAOS OF SOCIETY. Rządzi u nich głównie street punk, pogo punk, oi! i crust/raw d-beat.
Nie sądzę, aby w Korei Północnej istniały jakieś zespoły punkowe czy nawet rockowe. Natomiast, co bardzo dziwne, w Korei Południowej, która sąsiaduje z Japonią (a ta ma scenę olbrzymią) punk pojawił się bardzo późno. Dzisiaj ich scena rozwija się dość mocno, gra tam koncerty sporo japońskich zespołów, a i koreańskie kapele jeżdżą po koncertach do sąsiednich państw. Pierwsze kapele pojawiły się w Seulu na początku lat 90. – CRYING NUT i NO-BRAIN. Później grały zespoły hardcore punk SAMCHUNG, VASSELINE, THE GEEKS, które były pod dużym wpływem japońskiego punka. Pojawiły się też, a jak, kapele street i pogo punkowe: THE RUX, THE COACH, SUCK STUFF, SPIKY BRATS. Kolejne pokolenie koreańskich punków zabrało się już za ostrzejszą muzę – THE EXPLODE (crust), BULGASARI (power violence), REANIMATOR (power violence), VICIOUS NERDS (hardcore), CHADBURGER (fast core), FIND THE SPOT (old school hardcore). Dzisiaj możecie znaleźć w Korei takie zespoły jak BAMSEOM PIRATES (grind core), CHRISTFUCK (grindcore), SCUMRAID

(d-beat), BANRAN (d-beat), DOKKAEBI ASSAULT (d-beat crust), GAGAMEL SS i KIGSSLAKT. Tak więc po latach posuchy coś zaczęło się kręcić i w Korei. Spory kawał na zachód mamy jeden z największych krajów w tym regionie - Indie. To bardzo zróżnicowany kraj, zarówno kulturowo, jak i pod względem sytuacji finansowej. Jak na tak wielkie państwo to mam wrażenie, że nie wiele się tu dzieje w klimacie punkowym. Oczywiście są punkowcy, jest kilka kapel, zarówno punk rockowych, jak i hardcore'owych, ale jednak jest to kropla w morzu... Mam na singlu nagrania zespołu MILLENNIUM, którzy grają mosh hardcore, ale bardziej im po drodze do metalowego ANTHRAX niż do zespołów hardcore'owych. Dość popularnym punkowym zespołem jest TRIPWIRE. Wydali tylko jedną płytę, ale sporo grają koncertów i nawet pojawili się w TV! SKY RABBIT grają natomiast coś pomiędzy indie a post punkiem i na koncie mają też tylko jeden CD. Obiły mi się o uszy jeszcze takie nazwy nazwy: MESSIAH, 7°, RIOT PEDDLERS, TRITHA ELECTRIC, DA PRIMITIVE FUTURE, I QUIT, OUTLINERS, BLAKHOLE i tylko tyle wiadomo mi o punku w Indiach. Trochę słabo, ale poszperajcie, bo może akurat znajdziecie coś ciekawego w odmętach sieci... Można wyszperać split singiel MILLENNIUM/CRISIS, który wyszedł w 1995 roku, ale cena jego jest dziś dość wysoka. No i pojawiła się też kompilacja LP z zespołami z Indii pt.: „Disenfranchised In India". Oprócz kilku wcześniej wymienionych pojawiają się jeszcze nazwy JEEPERS CREEPERS, BULL ENGINE, THE LIGHTYEARS EXPLODE, PUNK ON TOAST, THE SCRATCH CARDS. Jednak to wciąż mało, jak na tak wielki kraj...

Z Indiami graniczy Pakistan, który jest islamską republiką. No cóż... W Pakistanie rządzi rock i metal. No i tych metalowych zespołów jest całkiem sporo i grają dość interesująco, bo połączenie charakterystycznego zaśpiewu z tamtego regionu z ciężkimi riffami jest bardzo oryginalne. Natomiast z punkiem trochę słabo... Pojawiają się tylko nazwy zespołów SHADOW KNIGHTS, CORNHOLE, CORRUPT'D, FORESKIN, BVLGHVM, CHOOTS, KAFIR-E-AZAM, GLORIFIED WHORE MONGERS, MARG. Można je usłyszeć na kompilacyjnej 7" „Never Mind The Taqwacores, Here's the Real Deal", która wyszła w 2013 roku. Jestem jednak pewien, że tych zespołów jest o kilka więcej w Pakistanie. Na pewno miłośnicy grind core'a znają nazwę MULTINATIONAL CORPORATIONS, którzy łupią dość ciekawie i na dobrym poziomie.

A co dzieje się w post sowieckich republikach Azji? No coś się dzieje, jak wszędzie, ale mogłoby być znacznie lepiej. W 2000 roku wyszła siedmiocalowa kompilacja z zespołami z Kazachstanu, a dokładnie to wszystkie pochodzą z Karagandy. Płytka ma tytuł „Steppe-Punks, Underground Kazakhstan" i pojawiają się na niej zespoły: DOBROVOL'TSY PONYEVOLYE, 12 PODVIGOV NURKYENA, NEMTSOV & NEMTSY, FIMA & MIFICHYESKIYE DB, ALDAR KOSE & NADUVNYYE BAURSAKI, B'RNAY KARABASOV & SAMOZVANTSY. Zespoły głównie grają tzw. post-sowiecki punk inspirowany najbardziej znanymi zespołami z ZSRR jak GRAZHDANSKAYA OBORONA, KINO, ZWUKI MU czy SPINKI MENTA... Uzbekistan - stamtąd również nie wiele informacji posiadam. W 2006 roku wyszedł LP z zespołami z Uzbekistanu pt. „Paxta-Core Underground Uzbekistan". Większość z zespołów z tego składaka ma własne wydawnictwa w postaci kaset czy CD-R i wszyscy śpiewają w języku rosyjskim, więc troszkę brakuje tego oryginalnego szyntu, który daje punk rockowi śpiewanie w swoim ojczystym języku. Na płycie znajdują się następujące zespoły z krainy bawełny: TUPRATIKON'S, BROGEN BOGEN, SLEZY SOLNTSA, BGMOLTSY I GROBOVYERZHTSY, HARDCORE OPA, RED-AKTSIYA, SKISSERZ, SUCHIY POTROKH. Zespoły grają muzykę od post-sowieckiego punka, przez funky-punk, hardcore-ska, prawie thrash punk, aż po nowo falowo-punkowe wariacje. Niektóre zespoły brzmią dość ciekawie i oryginalnie.

Azerbejdżan - tu kompletne echo. Wyszedł jedynie split 7"EP pt. „Caspian Oily Shores" dwóch zespołów z Baku: OVERKILL FOR PROFIT i EDEM. Ten pierwszy oprócz tego splitu ma jeszcze na swoim koncie wydany w 2013 roku CD „The Illusion Of Freedom". Zespół tnie zmetalizowany hardcore i śpiewa po rosyjsku. EDEM to zespół pop punkowy, który wydali dwa CD-R i ten split z hard core'owcami. Tyle wiem, co się dzieje w krainie ropy...

Tadżykistan - do złapania jest również kompilacja LP wydana w 2006 roku i zatytułowana „Dushanbe Punkers & Rockers, Underground Tajikistan". Niektóre z zespołów z tego składaka mają powydawane jakieś demo na CD-R i kasetach, a muzycznie standardowo: od post-soviet punka, przez rock alternatywny, klimaty w stylu KINO, ale też jakaś prymitywna, dość szybka i agresywna łupanka punkowa, a nawet thrash metal! No taki przegląd tego, co gra lub grało się w Duszanbe. Szkoda, że wszystko po rosyjsku, choć z drugiej strony... Zespoły z tego krążka to: ZLO, RAGNAROCK, ZAPADNY KVARTAL, ZVUKOVAYA ARTYEL, TRUSH-OBA, KHOROG ROCK BAND, KIDE & THE JC, NOCH', IEROGLIF.

Kirgistan - pierwsza i jak na razie jedyna, jaką znam kompilacja punkowa w Kirgistanie wyszła w 2004 roku. Zatytułowana jest „Bishkek Is Burning. Underground Kyrgyzstan" i jest to tylko 7" singiel. Zespoły z tego składaka to: MILK VOKYDAS, SHUGAR, GARIK MITYAEV, HALLIGANI I RA AND YA VES' ZELYONYI. Wszystkie pochodzą ze stolicy kraju Biszkeku. Muzycznie – od post-soviet punka, przez melo-punk, aż po ska-punk. Nawet zaskoczył mnie poziom tych kapel, więc tym bardziej warto sprawdzić. Wszystkie piosenki zaśpiewane po rosyjsku.

Znam nazwę tylko jednej kapeli z Mongolii: NISVANIS. Nie mam pojęcia, co dzieje się w Turkmenistanie, Afganistanie, ale jest jeszcze Armenia i Gruzja. Mimo wszystko, że Gruzja i Armenia powinny mieć chyba najbardziej rozwiniętą scenę to nie bardzo mam pojęcie, co tam się dzieje u nich. Wiadomo, są punki, są goci, odbywają się koncerty, są i zespoły, ale czy jest taka scena DIY, jak dajmy na to u nas w Polsce? Na pewno najbardziej znanym, melo-punkowym gruzińskim zespołem z Tbilisi jest DUCKTAPE. Jednak grają tę nowoczesną odmianę emo pop punka i w dodatku śpiewają po angielsku, co odziera ten zespół z całego uroku... W 1997 roku wyszedł singiel z nagraniami zespołu RETSEPTI, który był pierwszym punkowym zespołem w sowieckiej Gruzji. Nagrania pochodzą z lat 1987/88, jest ich na singlu tylko 4 i jest to połączenie punka z nieco falowym klimatem. Bardzo ciekawe granie i kawałki są zaśpiewane po gruzińsku! W drugiej połowie lat 80. istniały jeszcze w Gruzji takie zespoły jak TAQSI, SABAVSHVO MEDITSINA, OUTSIDER (hardcore), BUNKERI (hc/r'n'r), MORITUR, KOMENDATIS SAATI, MDZIME JWARI. Jestem jednak przekonany, że tych zespołów hc/punk jest w Gruzji znacznie więcej! Zresztą więcej o Gruzji możecie się dowiedzieć z wywiadu z gruzińskim zespołem VODKA VTRAIOM, który zamieszczamy w tym numerze.

A co w Armenii? Znam zespół NATO (National Amorality of Third Orgasm), jeden z pierwszych zespołów punkowych w Armenii. Grali typowo sowiecki punk, z melodią i większa ilością r'n'r, no i śpiewali po rosyjsku. Singiel wyszedł w 1994 roku, zespół rozpadł się gdzieś w połowie lat 90. Znam jeszcze zespół VARAKVATZ, który grał koncerty z LIFE SCARS, i to by było na tyle...

Iran - kraj wyznaniowy, w którym nie powinno być żadnych zespołów punkowych. No cóż, jakieś są... Zresztą w sieci możecie znaleźć sporo metalowych czy death metalowych zespołów pochodzących z Iranu. Nie mam pojęcia czy są one legalne (raczej nie) w tym kraju. W 2004 roku wyszła kompilacyjna płyta z zespołami z Iranu pt. „1382: The Persian New Waves". Ostrzegam, że więcej tu eksperymentalnego, nowo falowego grania, ale również zdarza się punkowa nuta, jak np. SUPERMAN & THE JOE ORDINARIES czyli zrzynka z NO FX. Na tym krążku są jeszcze grupy: ALOOKAL, BLACK BLOOMS, OOLANBATOR, FAT RATS, DARK EARTH, EHSAN IMANI, MUD. Znam jeszcze jeden punkowy zespół z Iranu o nazwie YELLOW DOGS, ale to chyba imigranci żyjący w Stanach. Dwóch gości z tego zespołu zostało zastrzelonych, ale nie znam szczegółów.

W Izraelu ta scena działa już dość długo, choć wydaje mi się, że nie jest tak duża i tak aktywna jak sceny w Europie. Czasami dociera muzyka stamtąd i do Polski, w postaci płyt czy koncertujących u nas zespołów. Zresztą kilka lat temu gościliśmy na łamach „Chaosu" izraelską grupę MONDO GECKO. Na przestrzeni lat pewnie obiły się wam o uszy najbardziej znane nazwy stamtąd: DURALEX SEDLEX, NEKHEI NAATZA, DIR YASSIN, NIKMAT OLALIM, USELESS I.D. Jest tych zespołów w Izraelu dość sporo i warto je sprawdzić, bo dają naprawdę czadu. Oto kilka dodatkowych nazw: THE ASTROGLIDES, AUSWEIS, BETZEFER, CEREBRAL COMA, GOAL NEFESH, KUKU BLOFF VE HAIETUSHIM, NEGATIVE IMPACT, PLASTIC VENUS, PUNKACHE, U.S.F. i pewnie wiele, wiele innych.

Trzeba by wspomnieć o Libanie - w 2013 roku pojawił się split 7"EP z dwoma zespołami stamtąd – DETOX i BEIRUT SCUM SOCIETY. Warto sprawdzić. W tym samym roku wyszedł singiel zespołu z Syrii MAZHOTT. Niestety, tam to już raczej nie myślą o punk rocku w tej chwili...

A co się dzieje na Półwyspie Arabskim i w północnej Afryce? Czy w tych, głównie islamskich, państwach pojawił się punk rock? A jakże! Często są to ilości śladowe, ale jednak są! Jeśli już to w krajach arabskich czy islamskich rządzi metal! Poprzeglądajcie sobie np. YouTube - mnóstwo tam metalowo-rockowych, ale nawet i death metalowych zespołów z Egiptu, Syrii, Iranu, często zwanych oriental-metal. Punka już jakby mniej... Jakiś czas temu czytałem, że miejscowa milicja irakijska ukamienowała jakichś emo-dzieciaków. Obawiam się, że jeśli są jacyś punkowcy w Iraku to mocno zakamuflowani... Jordania - obiła mi się tylko jedna nazwa punkowej kapeli stamtąd – MEGAPOWER. Zespół zamieścił jeden kawałek na kompilacji „Last Call For The Lost Scenes Vol.1" pod tytułem „Anarchy For You". Z Kuwejtu też tylko jeden zespół o nazwie REVELLERZ, o żadnych innych kapelach nie słyszałem. Arabia Saudyjska. Tam nie ma raczej, co? A są! To znaczy tak... Kraj ten jest na tyle restrykcyjny, anty zachodni, że generalnie nie ma tu szans na wiele rzeczy, a na pewno na punk rock. Jednak przyjeżdża do tego kraju sporo pracowników z innych państw i właśnie oni, czasami, zakładają kapele punkowe. Pracownicy spoza Arabii Saudyjskiej żyją głównie w zamkniętych osiedlach, więc jakby mają troszkę luzu, bo generalnie zachodnia muzyka rockowa jest tam zakazana. Takim przykładem może być zespół CLEPTO. SOUND OF RUBY to kolejny zespół stamtąd. Powstali w 1996 roku, grają rock inspirowany psychodelą i post punkiem. Wygląda na to, że w skład zespołu wchodzą „tubylcy" i na koncie mają aż 8 albumów!

W Zjednoczonych Emiratach, szczególnie w Dubaju, istnieją kapele hardcore punk, jednak głównie są tworzone przez imigrantów, zazwyczaj pochodzących z Azji i Afryki Południowej. W Dubaju istnieją takie kapele jak DEAD SHAKES, FAT RANDALL, MATICRUST, TYRANNY RISING... To tylko kilka nazw, ale zespołów jest tam sporo – od GREEN DAY-punka po crust i grind core. Obecnie w Dubaju gra SOCIEDAD DESHUMANIZADA – noise core, a w składzie goście z Filipin i Maroka. MANHUNT – d-beat crust z Filipińczykami w składzie, w 2016 wydali 7"EP. Kolejni Filipińczycy to power violence'owy PROJECT SKULL FUCK. Powinna być już gotowa ich epka. Również z Filipin pochodzą członkowie hardcore'owej kapeli ICEASE. DEVASTATORY to natomiast black metal. CYNTHIA LUSTER kolejna nazwa z Dubaju oraz FREAKS&KINGS – melodyjny punk z gośćmi z Południowej Afryki, a w Sharjah pojawił się nowy zespół o nazwie TIGHT-ASS.

Afryka... Najmocniejsza scena od lat końca lat 70. była oczywiście w R.P.A. Te nazwy pewnie obiły wam się o uszy lub rzuciły w oczy: WILD YOUTH, POWERAGE, WARSPIKE, GAY MARINES, SCREAMING FOETUS czy RIOT SQUAD S.A. Jednak niewiele więcej miejsc punk rock nawiedził w Afryce. Pewnie teraz by się znalazły jakieś zespoły, ale w latach 80. czy 90. chyba nie istniało zbyt wiele kapel w innych afrykańskich krajach. Obiły mi się o uszy nazwy zespołów BUTABIKA BOYS z Ugandy, PANZER, OS TAIS z Mozambiku. Podobno działają jakieś kapele w Angoli, Namibii, Kenii, Zimbabwe... To tyle z Czarnego Lądu. Nie lepiej jest na północy w Krajach Maghrebu. Ze względu na odmienną kulturę i religię mieszkańcy Północnej Afryki mało są zainteresowani zachodnią muzyką. Oczywiście dzieciaki słuchają hip hopu i metalu, tym bardziej w dobie Internetu. Punk dotarł i do nich. Nie bardzo się orientuję, co dzieje się w tym klimacie w Libii, Egipcie i Tunezji. Natomiast Maroko to chyba najmocniejsza i najciekawsza scena w Afryce Północnej. Istnieje w tym kraju spora scena rockowa i undergroundowa, odbywają się festiwale, jest sporo zespołów. Z takich bardziej znanych nazw to ZLACK WELLA MOUT – skate punk z Rabatu, ANARCHY IN RABAT – grunge-punk (!), HOBA HOBA SPIRIT - ska-punk. W 2013 roku wyszła kompilacja na LP pt. „Chaos In Morocco" z zespołami ZLACK WELLA MOUT, HOBA HOBA SPIRIT, W.O.R.M., RIOT STONES I THE PROTESTERS. Całkiem dobry poziom i ciekawe granie, szczególnie do gustu przypadli mi W.O.R.M.

Znam tylko dwa zespoły z Algierii, z czego jeden bardzo dobry! Mowa o DEMOKHRATIA, zespole, który wydał świetny singiel „Bled El Petrole Takoul Lekhra" w 2009 i split LP „No Religions - No States" z MONDO GECKO z Izraela! Świetny, żywiołowy i przede wszystkim polityczny hardcore. DEMOKHRATIA zagrała w 2011 roku trasę po Francji, Belgii, Holandii, Hiszpanii. Nie jest im

łatwo w Algierii ze względu na ich polityczne teksty, ale miejmy nadzieję, że zaszczepią hardcore punk na stałe w swoim kraju. Innym zespołem jest AS WE FUCK, ale znam ich tylko z nazwy.

W tej kolumnie ledwie liznąłem temat międzynarodowego punka. To tylko czubek góry lodowej. By ogarnąć, co dzieje się w punku na całym świecie to trzeba by ślęczeć w sieci dniami i nocami, uruchomić znajomości, przewertować ziny i przetrzepać płytotekę. Ogarnąłem delikatnie tylko Azję i Afrykę, a jest jeszcze Ameryka Łacińska i Południowa, są jeszcze różne wyspy, są kompletnie niezauważane przez nas sceny w krajach takich jak Bułgaria, Rumunia, Albania, Łotwa, Litwa, Estonia, Białoruś, Rosja, Ukraina, Mołdawia, Turcja… A kto się interesuje sceną w krajach byłej Jugosławii? Punkowe zespoły grają w takich miejscach jak Kuba, Malta, Kostaryka, Brunei, Birma, Tatarstan, Surinam, Gujana, punkowcy są na Mauritiusie, na Madagaskarze, na Malediwach, na Sri Lance, a nawet w Papui i Nowej Gwinei, Fidżi i Butanie! Masakra! To prawie wszędzie! Z jednej strony to tylko muzyka, często słabo zagrana, często kopia kopii, ale z drugiej strony punk rock był zawsze nośnikiem jakichś idei, postaw, często politycznych, wolnościowych… Dzięki tej muzyce ludzie na drugim końcu świata będą potrafili zawiązać jakieś kolektywy, stworzyć niezależne miejsca, walczyć o własną wolność, zaangażować się politycznie. U nas też tak się zaczynało… Kropla drąży skałę. Miejmy nadzieję, że ziarno zostało zasiane i kiedyś będzie można zebrać plon. Może, kiedy w Europie punk popadnie w zapomnienie to będzie się rozwijał prężnie gdzieś na Kamczatce? Albo w Kambodży? Wszystko jest możliwe, bo punk jest jak wirus!!!

Pablo

O antysemityzmie napisano już całe tomy. Niewiele to pomaga. Wciąż w naszym narodzie (ale nie tylko naszym) obraz ludzi o żydowskich korzeniach czy samych Żydów (określających się tak, nie tylko ze względu na wyznawaną religię, lecz też swą przynależność narodową) jest wypaczany poprzez przysłowiowy „antysemityzm wyssany z mlekiem matki". Wydaje mi się, iż ten często usprawiedliwiany „ludowy antysemityzm" jest jeszcze gorszy od antysemityzmu otwartych rasistów i ksenofobów. Typowe tłumaczenie się, że ja to antysemitą nie jestem, ale… (tu wypisz wymaluj typową formułkę klepaną przez setki tysięcy polskich antysemitów i antysemitek) wkurza mnie jeszcze bardziej niż bredzenie o tym, że Żydzi to podludzie nienadający się do życia pośród wspaniałych chrześcijańskich społeczności. Wszystkie te niewyobrażalne historie o spisku, który doprowadzić ma do światowego rządu pod przewodem Żydów, tajemnym planie mającym na celu depopulację ludzkości i to głównie tej białej i katolickiej, ukrytych „prawdziwych" nazwiskach wielu polityków czy ludzi kultury, bredzenia o najświętszej chrześcijańskiej krwi wykorzystywanej przez wyznawców judaizmu do robienia macy to nie jakieś „ludowe" przypowiastki niemające nic wspólnego z antysemityzmem, rasizmem, a w konsekwencji mordowaniem ludzi tylko dlatego, iż wierzą w innego bożka, albo nawet tego samego, lecz inaczej… bądź wyglądają nieco inaczej. To właśnie one są źródłem najbardziej odrażających zachowań o charakterze rasistowskim, szowinistycznym i antysemickim. To z tych korzeni, często niezauważanych bądź umyślnie niesłyszanych, wyrasta później obojętność na wymalowane swastyki na żydowskich cmentarzach czy synagogach, bezpośrednią przemoc na ulicach, a w smutnej konsekwencji… krematoryjne kominy. Antysemityzm - ten klasyczny, rasistowski i nazistowski, jak i ten niby „mniejszego kroju", powszechny, „ludowy", to zakała każdego narodu, nie tylko polskiego.

Zacząłem od takiej krytycznej refleksji z kilku powodów. Od przysłowiowego „zawsze" interesowali mnie nie tyle sami Żydzi, co ich kultura i dziedzictwo. Byli dla mnie „inni", przez to ciekawi, bardziej interesujący, a w dodatku „wyklęci" przez tych, z którymi nie było mi po drodze. Z początku zupełnie odrzucałem zainteresowania ich religią, jednak z czasem i ona pod pewnymi względami stała się ciekawostką. Oczywiście nie w swej pierwotnej, konserwatywnej postaci. Bardziej jej różne odłamy, sekty, dziwactwa. Nie obojętne w tym wszystkim było też to, iż to Żydzi, jako jedni z pierwszych, „uprawiali" anarchizm na ziemiach polskich, przecierali szlaki Wolności. Pełno ich było we wszelakich ideach emancypacyjnych, przez co nienawidzili ich obrońcy konserwatywnej moralności, starych porządków i status quo. Żyd-rewolucjonista stał się na setki lat antysemicką kalką powtarzaną nawet w dzisiejszych, niby bardziej oświeconych czasach... Oczywiście owi anarchiści, socjaliści czy komuniści żydowskiego pochodzenia byli wyklęci podwójnie. Przez państwowych siepaczy prawa i porządku, jak i własne, rodzime środowiska - religijny sztetl bądź narodowo-wyzwoleńczy syjonizm. Żyd-tułacz, bez swojego państwa i Żyd-rewolucjonista - bez narodu, tradycji... Jednak w 1949 roku Żydzi doczekali się własnego bytu państwowego, opartego na własnej wersji idei narodowej - syjonizmie. Powstanie państwa Izrael, jego wojny z sąsiadami oraz polityka apartheidu, jaką to państwo uprawiało i nadal uprawia wobec „innych" wielowiekowych mieszkańców Świętej Ziemi, na wiele lat zaprzątało mój umysł. Do dziś nie mogę pojąć, jak naród cierpiący pod jarzmem chrześcijańskiego anty-judaizmu, hitlerowskiego nazizmu czy w końcu stalinowskiego komunizmu, mógł nagle sam zamienić się w oprawcę, stosującego niemal identyczne metody. Dlatego bardzo sobie cenię tych spośród Żydów, którzy potrafią „pluć we własne gniazdo". Dysydentów obalających mity założycielskie państwa Izrael, odwiecznych krytyków syjonizmu, a nawet religijnych chasydów, dla których Izrael to twór człowieka, a nie Boga, bo wedle ich wiary, tylko mesjasz będzie mógł stworzyć raj na ziemi dla tegoż narodu.

Coraz bardziej zanurzałem się również w lokalnej historii. O tym, że Żydzi mieszkali kiedyś w Mielcu wiedział chyba każdy jego mieszkaniec. Nikt jednak nie zastanawiał się nad tym, dlaczego już ich tu nie ma i co się z nimi stało. Osobiście dość późno zaczęło mnie to nurtować, aż pewnego dnia kolega podesłał mi link do strony w sieci (powiedzmy, że było to z 12, może nawet 15 lat temu), gdzie umieszczono kilkanaście starych fotografii, przedstawiających wysiedlenie Żydów z Mielca w 1942 r. Ich autorem okazał się niemiecki żołnierz. Pierwsi wyznawcy judaizmu osiedlili się w mym mieście w 1573 r. Ich losy przez wieki koegzystencji z chrześcijańskim miłosierdziem bywały różne. Zajmowali się głównie handlem, bo cóż mógł robić Żyd w kraju, gdzie zabraniano mu kupować ziemię czy wykonywać różnych zawodów. Ich życie religijne oparte było głównie na chasydyzmie, życiem politycznym rządziła głównie żydowska prawica, w tym również ta syjonistyczna. Z pewnością byli tu też żydowscy socjaliści, nigdy nie słyszałem, ani nie czytałem o jakichkolwiek anarchistach... Żyjąc pośród miłujących pokój katolików, nie mogło się obejść bez kilku pogromów. Pierwsze z nich nastąpiły jeszcze w czasie potopu szwedzkiego, co o mało nie doprowadziło do całkowitego zniknięcia Żydów z ziemi mieleckiej. Pod austriackim zaborem do antyżydowskich ekscesów dochodziło dwa razy. W 1875 r. miejscowe siły policyjne nie mogły sobie poradzić z głęboko wyrażaną chrześcijańską miłością wobec „braci starszych w wierze" i musiano zawezwać wojsko cesarskie do uspokojenia miejskiej swołoczy. W roku 1895 było już spokojniej, a oba przypadki rozruchów miały raczej charakter ekonomiczny, choć zapewne nie obeszło się bez przypominania, iż to „Żydzi zabili Chrystusa" (o tym, iż sam Jezus z Nazaretu był wierzącym Żydem nikt wówczas, jak i dziś często nie pamięta... Kiedyś, na pewnej rodzinnej stypie, dowiedziałem się o pewnego jegomości, iż Jezus nie był Żydem, tylko Nazarejczykiem - ot, taki niewinny przykładzik wspomnianego już „ludowego antysemityzmu"). Żydowskie sklepy i domy splądrowali w 1914 roku Kozacy w służbie Cara Rosji. Gdy na początku listopada 1918 r. kształtowała się niepodległa Polska, to samo dwukrotnie zrobili już mieszkańcy okolicznych wsi, zabijając przy okazji jednego z policjantów próbującego utrzymać porządek. Pierwszy maj 1919 r. również nie był zbyt przychylny Żydom w Mielcu. Około cztery tysiące podmiejskich chłopów i miejskiego pospólstwa splądrowało 14 sklepów i 5 mieszkań zamieszkałych przez Żydów. Kilku obrońców własnego dobytku zostało ciężko rannych, ale na szczęście nikt nie zginął. Gdy kilka dni później próbowano znów wzniecić anty-żydowski pogrom, przystopowała je zdecydowana postawa policji i wojska. Mimo, iż w późniejszym okresie dwudziestolecia międzywojennego było zazwyczaj spokojnie, Żydzi, jakby czując, co się święci, zaczynali opuszczać me rodzinne miasto. Prawie 700 z nich powędrowało do dalekiej Palestyny, ponad 1500 udało się za wielką wodę, bądź do innych krajów zachodniej cywilizacji. Niemniej, z czasem zaczęli napływać inni, z opanowanych przez hitlerowską zarazę Niemiec, Austrii, Czech czy Wolnego Miasta Gdańska. Łącznie, w przeddzień wybuchu wojennej pożogi, w Mielcu i sąsiedniej wsi Rzochów (dziś leżącej w granicach miasta) mieszkało ponad 7 tysięcy wyznawców religii mojżeszowej.

Hitlerowcy weszli do Mielca 13 września 1939 r. i na dzień dobry spalili w mieleckiej synagodze i żydowskiej rzeźni rytualnej ponad 80 osób. Chrześcijańscy mieszkańcy miasta patrzyli na to z obojętnością i tylko niektórym z nich pękało serca. Pośród Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata mamy tylko jednego mielczanina, Eugeniusza Szyfnera, który zmarł w marcu tego roku. Pan Szyfner, wraz za swymi rodzicami, uratował dziewięć ludzkich istnień! Chwała mu za to! Powróćmy jednak do losów gminy żydowskiej w Mielcu. Niemcy część z Żydów od razu wywieźli do różnego rodzaju robót na terenie zakładów lotniczych bądź przy budowach dróg. Ci, co nie wytrzymywali tempa, szybko kończyli swój żywot. Teren, na którym dziś istnieje mieleckie lotnisko oraz niektóre z firm działające w ramach strefy ekonomicznej, jest jednym wielkim cmentarzyskiem... Apogeum nastąpiło 9 marca 1942 r. Naziści dokonują „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" w mieście Mielec. Z miasta, ku lotnisku mieszczącym się przy zakładach lotniczych, rusza tłum ludzi; starzy młodzi, dzieci... To wówczas jeden z niemieckich żołnierzy wykonuje szereg zdjęć, będących dziś dowodem tej potwornej zbrodni. Po drodze od hitlerowskich pocisków ginie około 300 osób. W sumie, przez niecałe trzy lata okupacji ginie w mieście około tysiąca Żydów. Wysiedleni z Mielca Żydzi trafiają do gett w miastach na wschodzie Polski (m.in. we Włodawie, Krasnymstawie, Białej Podlaskiej) oraz obozów śmierci w Bełżcu, Treblince, Sobiborze... Najsilniejsi mają więcej chwilowego szczęście, idą na roboty do obozu pracy w Pustkowie, gdzie z czasem i tak dosięga ich śmierć. Hitlerowski okupant wreszcie może dumnie ogłosić, iż Mielec jest pierwszym miastem w Generalnym Gubernatorstwie „Wolnym od Żydów!".

Wojenną poniewierkę i Zagładę przeżyło podobno 300 osób narodowości żydowskiej pochodzących z Mielca. Do miasta powróciło 183 osoby, ale w sierpniu 1945 r. zameldowanych było tylko 106 osób. Pod koniec października 1946 roku doszło do ostatnich zamieszek antyżydowskich w mieście. Nikt nie zginął, lecz wydarzenia te, odbywające się „chwilę" po Holocauście, spowodowały ostateczną falę żydowskiej emigracji. W mieście pozostało już tylko 20 Żydów. Ilu z nich pozostało tu do końca? Tego pewnie nie wie nikt...

Moje najwcześniejsze wspomnienie dotyczące mieleckich Żydów to cmentarne macewy porozrzucane na dnie Wisłoki... Niemcy doszczętnie zniszczyli tutejszy kirkut, a kamienne pomniki używali do utwardzania dróg oraz przeprawy przez rzekę. Ten niemy kawałek historii miasta leżał tam do 1990 roku. Rządzącym po 1945 r. komunistom losy żydowskiej pamięci były zupełnie obojętne... Dziś w mieście jest kilka miejsc upamiętniających tragiczną historię Żydów, a z czasem pojawiły się również historyczne opracowania, w tym doskonała książka Andrzeja Krempy - „Zagłada Żydów Mieleckich". W tym roku natomiast, działacze lokalnego stowarzyszenia J'Arte zorganizowali trzydniowe Dni Kultury Żydowskiej „Shalom Mielec". Miałem okazję wziąć udział w dwóch pierwszych dniach wydarzenia. Skromny program rozpoczął kameralny koncert muzyki żydowskiej, jaką zaprezentował Rzeszów Klezmer

Band. Muzyka klezmerska przemawia do mnie najłatwiej w swej bałkańsko-bliskowschodniej wersji. Oklepany numery, słyszane na każdej podobnej imprezie (tu też ich nie brakowało) już mnie nudzą, za to ten egzotyczny nieco szwyt nadaje tej muzyce więcej powabu. Występ klezmerów z Rzeszowa był urozmaicony, przez co znalazło się tam kilka perełek i dla mnie. Pierwotnie koncert odbyć się miał na świeżym powietrzu, w podwórku jednej z lokalnych knajpek, jednak warunki atmosferyczne były, jakie były, i wszystko dobyło się w salach lokalnego muzeum. A szkoda, bo budynek, gdzie miał odbyć się koncert, przed wojną mieścił żydowską knajpę, co byłoby bardzo wymowne... Drugiego dnia miałem okazję wziąć udział w otwarciu wystawy fotograficznej, która bardzo mnie zaskoczyła. Jej tytuł brzmiał - „Oblicza oporu. Wojenne fotografie Faye Schulman, żydowskiej partyzantki". Ktoś sobie pomyśli, wszystko OK., jednak, gdy uświadomimy sobie, iż zdjęcia przedstawiają codzienne życie i walkę sowieckich partyzantów, a w dodatku taką wystawę robi się w centrum PiS-owskiego Podkarpacia, w czasach, gdy najgorsza szumowina walcząca z reżimem zainstalowanym w Polsce w 1945 r. nazywana jest „żołnierzem niezłomnym" bądź „wyklętym", to już wszystko może się okazać nie OK. Dlatego jestem pełen podziwu dla odwagi organizatorów owej wystawy. A sama wystawa, może nie zachwyciła, ale była dość interesującym spojrzeniem na historię... Faye Schulman mieszkała wraz z rodziną w białoruskim miasteczku Lenin, gdzie m.in. pomagała bratu w zakładzie fotograficznym. To jakby uratowało jej życie, gdyż, jako nieliczna z żydowskich mieszkańców miasteczka została ocalona przez nazistów, tylko po to, by robić im zdjęcia. Jej starsi bracia już wcześniej uciekli z getta do partyzantki, co też później uczyniła ona sama, gdy reszta jej rodziny została wymordowana. Trafiła do oddziału złożonego z byłych żołnierzy Armii Czerwonej, którym udało się uciec z niewoli. Jej partyzanckie życie oznaczało ciężką służbę sanitariuszki, a w wolnych chwilach zajmowała się robieniem zdjęć partyzantom i życiu w leśnych ostępach. Większość jej zdjęć z tego okresu można było zobaczyć na wystawie. Część z nich nie wyglądała zbyt autentycznie, była pozowana, nieco jakby sztuczna. Ale wówczas klisze fotograficzne to był skarb, więc nie marnowało się go, tak jak dziś marnuje się megabajty w cyfrowych zabawkach. Mimo tej sztuczności, wiele z tych zdjęć było naprawdę bardzo wymownych, choćby te na tle spalonego rodzinnego domu Faye. Po zwycięskiej wojnie ojczyźnianej, Faye Schulman wyszła za mąż za jednego z kompanów z partyzantki, później pracowała jako fotograf prasowy, ale w końcu udało się jej wyemigrować wraz z mężem do Kanady, gdzie nadal żyje. Trzeciego dnia „Shalom Mielec" odbyć się miała wycieczka edukacyjna śladami Żydów mieleckich. Niestety, z tej atrakcji zrezygnowałem ze względu na ponurą pogodę. Niemniej mam nadzieję, że wyprawa ta była bardzo udana. Organizatorzy Dni Kultury Żydowskiej w Mielcu z pewnością przetarli pewne dawno zapomniane szlaki i przypomnieli o skrywanych historiach, zakopanych gdzieś daleko w ludzkiej i społecznej niepamięci. Inicjatywy należy jak najbardziej pogratulować i trzymać kciuki za ciąg dalszy...

Czasami z tatą urywamy sobie takie pogaduszki, nazwijmy to umownie, historyczne. Tato urodził się kilka miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej, więc jego opowieści związane z czasem okupacji, czy nawet okresem przedwojennym, opierają się głównie na historiach zasłyszanych od dziadka czy też innych, starszych mieszkańców jego rodzinnej wsi. Często wyobrażałem sobie ojca, jak siedzi na piecu i z szeroko otwartymi oczyma nasłuchuje niesamowitych opowieści o zamierzchłych czasach i nieprawdopodobnych krainach. Tu może warto zaznaczyć, iż ze strony taty, w moich żyłach płynie nieco germańskiej krwi... Moja prababka nie mówiła po polsku w ogóle i pochodziła z rodziny austriackich osiedleńców, zwiezionych do kilku wsi w okolicach Mielca przez rząd jego cesarskiej mości. Owi rolnicy mieli pokazać polskim chłopom, jak się porządnie uprawia ziemię. Wielu z nich pożeniło się z czasem pomiędzy Polakami, i tak też uczyniła kiedyś moja prababka. W czasie niemieckiej okupacji sporo osób mających germańskie pochodzenie nagabywana była do podpisania tzw. volkslisty. Ponoć dziadka nachodzili pięć razy, za każdym razem odmawiał, aż okupant za karę wysłał go do Niemiec, do roboty. Dziadek nieskory był do tego, więc uciekł z transportu już pod Tarnowem. Niemniej, w okolicznych wsiach zdarzały się przypadki, iż ludzie stawali się volksdeutschami. Nawet jeden taki uratował prawdopodobnie dziadkowi życie, gdy ten, pracując swoim koniem i wozem dla okupanta (niejako pod przymusem), rzucił kromkę chleba Żydowi pracującemu przy budowie drogi. Tato czasami zahaczał w swych opowieściach również o tematykę żydowską... Czasami były to historyjki sprzed wojny, gdy jego starsi koledzy dokuczali religijnym chasydom, a czasami opowiadał o ponurych czasach wojny, gdy naziści wymordowali całą malutką wiejską społeczność żydowską. Całkiem niedawno znów weszliśmy na ten trudny temat i tym razem, po raz pierwszy w życiu, usłyszałem, iż w rodzimej wsi mego ojca zdarzały się przypadki ukrywania Żydów. Wspomniał, iż większość ukrywających się Żydów z czasem uciekała „za Wisłę", gdzie rzekomo można było czuć się bezpiecznie (fakt, tam działania partyzantki były o wiele szersze i być może to przyciągało uciekinierów?), ale wspomniał też o tym, że często zdarzały się przypadki, gdy ludzie wydawali Żydów w łapska granatowej policji, w zamian za gratyfikację finansową. Jakoś to mnie bardzo nie zaskoczyło, jednak kolejne zdanie z ust mego taty dotknęło mnie przeraźliwie... Powiedział, iż nawet siostra mojego dziadka (a jego ciotka) ukrywała jednego Żyda w swoim obejściu, ale go wydała polskiemu policjantowi (na usługach nazistów oczywiście), gdy skończyły mu się pieniądze. Najprawdopodobniej ów Żyd został zastrzelony przez tego policjanta, zapewne ograbiony wcześniej do cna. Zatkało mnie. To był naprawdę wstrząs i nie potrafiłem przez chwilę wydobyć z siebie słowa. Chyba nawet nie chciałem tego w jakikolwiek sposób skomentować. Przez głowę przebiegło mi tysiące nieuporządkowanych myśli. Momentalnie przypomniał mi się mój dziadek, jak odmawia podpisania volkslisty i ucieka z transportu, jego brat, który nie uciekł i wylądował gdzieś w Rzeszy na robotach, no i te nasze wspólne germańskie korzenie... Czy to one odezwały się nagle w ciotce mojego taty, czy była to tylko zwykła bezludzka chciwość? Trudno mi się było pogodzić z tym, iż ktoś z mojej rodziny, ktoś nawet mi nieznany, lecz połączony ze mną więzami krwi, ktoś taki miał czelność zrobić coś tak potwornego... „Sprzedać" człowieka, wysłać go na pewną śmierć. Zacząłem zastanawiać się, czy ta kobieta mogła potem z tym żyć? Czy dręczyło ją jej chrześcijańskie sumienie, wyspowiadała się z tegoż jakże ciężkiego grzechu, zadrżał jej głos, gdy czytała piątę przykazanie? Czy czuła się, chociaż trochę winna tej ogromnej zbrodni? Coś, o czym do tej pory czytałem tylko w historycznych opracowaniach, nagle dotknęło mnie w tak dogłębny sposób. Wątpię, czy dam radę jeszcze raz powrócić do takiej rozmowy z moim tatą, czy będę chciał usłyszeć raz jeszcze słowa, za które tak naprawdę powinniśmy się wstydzić. O historii ciotki mego ojca przypomniałem sobie kilka tygodni później, gdy odwiedziłem sporą wieś Markowa...

Znamienne jest to, iż wieś ta została założona również przez osadników niemieckich, choć działo się to o kilka wieków wcześniej, nim na ziemie polskie dotarła rodzina mojej prababki. To król Kazimierz Wielki sprowadził tu germańską krew, pochodzącą z Łużyc, Dolnego Śląska i Górnej Saksonii. Wieś ta nie wyróżniał się niczym spośród wielu innych, podobnych miejsc na mapie dawnej Galicji, a dzisiejszego Podkarpacia. No, może tym, że dość silny przed wojną był tam ruch spółdzielczy i powstała tam m.in. pierwsza w Rzeczypospolitej spółdzielnia zdrowia. Spółdzielczość markowskich chłopów osadzona była raczej w patriotycznych korzeniach i społecznej nauce kościoła katolickiego. Nie miała ona zbyt wiele wspólnego z ideami anarchistycznymi czy socjalistycznymi. Do Markowej trafiłem jakby przez przypadek trochę, nie mając zbyt wielkiej wiedzy nt. samej miejscowości czy jej historii. „Zwiedzanie" wsi było tylko okruszkiem z niemal całonocnego towarzyskiego spotkania. Wcześniej wiedziałem tylko tyle, iż w Markowej jest Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II Wojny Światowej im. Rodziny Ulmów. I to wizyta w tym właśnie muzeum przypomniała mi mroczną historię mojej rodziny...

Józef Ulma był osobą dość znaną w Markowej. Prowadził kilkuhektarowe gospodarstwo rolne, zajmował się ogrodnictwem, pszczelarstwem i uprawą jedwabników. Jako pierwszy w regionie miał szkółkę drzewek owocowych, pracował również w bibliotece i był aktywnym działaczem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". W swym życiu stosował się do najważniejszego przykazania w wierze chrześcijańskiej, „przykazania miłości". Wraz z małżonką, Wiktorią, miał sześcioro dzieci, a w momencie śmierci spodziewali się siódmego. Józef Ulma nie mógł beztrosko patrzyć na nieszczęścia, jakie spadały na miejscową ludność żydowską. Postanowił działać, pomagać... W swym gospodarstwie ukrył osiem osób z rodzin Szallów i Goldmanów. Innym Żydom (trzy kobiety i dziecko) pomógł wybudować w lesie ziemiankę i dostarczał im żywność. Ziemianka została niebawem odkryta przez nazistów i wszyscy jej mieszkańcy zostali rozstrzelani. Nie wykryto wówczas, iż to Ulma pomagał Żydom, lecz nastąpiło to wiosną 1944 r., gdy o ukrywających się Żydach w obejściu Ulmów doniósł Niemcom granatowy policjant, Włodzimierz Leś. Prawdopodobnym powodem donosu była chęć doczesnego zajęcia majątku jednej z ukrywających się rodzin żydowskich. 24 marca 1944 roku do gospodarstwa Ulmów zajechała niemiecka żandarmeria z pobliskiego Łańcuta. Bez zbędnych ceregieli zastrzelili na miejscu, na oczach rodziców, najpierw sześcioro dzieci Ulmów (w wieku od 1,5 roku do 8 lat), a potem Wiktorię (będąca w dziewiątym miesiącu ciąży) i Józefa. Z rąk hitlerowców zginęli również wszyscy ukrywający się Żydzi. Na całą wieś padł blady strach, Niemcy nie zdawali sobie sprawy z tego, iż w innych domach również ukrywali się żydowscy uciekinierzy. W sumie, w Markowej, w ukryciu, u swych polskich sąsiadów, wojnę przeżyło 21 osób pochodzenia żydowskiego. Z pewnością przeżyliby też Szallowie, Goldmanowie i Ulmowie, gdyby nie chciwość jednego skurwiałego policjanta...

Wokół Muzeum w Markowej było nieco politycznych przepychanek i historycznych niejasności. Wiele prac naukowych i publicystycznych opisywało niewdzięczną rolę, jaką w czasie niemieckiej okupacji odegrali niektórzy Polacy. Kto choć trochę interesuje się historią drugiej wojny, okupacją czy stosunkami polsko-żydowskimi, ten wie, o czym mówię. Z drugiej strony, prawica wciąż wybielała te historie, zasłaniając się największą ilością Polaków pośród Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata oraz szeroką pomocą, jaką udzielali Polacy ukrywającym się Żydom. Każdy kij ma dwa końce i trzeba naprawdę mieć odwagę, by oba je dostrzec. Nasza historia pełna jest wydarzeń haniebnych, jak i będących chlubą. Trzeba się z tym pogodzić. Owszem, Polaków jest najwięcej pośród odznaczonych za ratowanie Żydów, ale nikt dokładnie nie policzył ilu Polaków pomagało w mordowaniu swych żydowskich sąsiadów, a doskonale wiemy, iż Jedwabne nie było jedynym, odosobnionym przypadkiem. Muzeum w Markowej na szczęście zostało zrobione z dużym wyczuciem. Jest w pełni nowoczesne, zdigitalizowane, przez co przyciągające. Z udostępnionych dokumentów, nagrań audio i wideo dowiemy się, jak wyglądała przedwojenna koegzystencja dwóch narodów, w których miejscach Polski, a szczególnie Podkarpacia, Żydów mordowali hitlerowscy okupanci, jak i gdzie ratowali ich polscy obywatele. I to jest głównym celem powstania ekspozycji, jak i całego muzeum... Chodząc pośród tych wszystkich dowodów zbrodniczości narodowego socjalizmu, nie trudno dostrzec bliskość do czasów nam współczesnych, gdy miejsce Żyda zajmuje „uchodźca", „Arab", „muzułmanin". To jednak trudno dostrzec tym, którzy najgłośniej krzyczą o „polskich bohaterach". Ale mniejsza z tym... Wspomniałem wcześniej, iż pobyt w muzeum przypomniał mi o trudnej historii własnej rodziny. Stało się to w momencie oglądania jednego z filmów. Dwie siostry, w starszym już wieku, opowiadały o dniu, gdy zginęła rodzina Ulmów i ukrywani przez nich Żydzi. Gdy wieść o tej zbrodni rozeszła się po wsi, ojciec owych sióstr wszedł na strych swego domu, gdzie również ukrywał żydowską rodzinę, z tą potworną informacją i zamiarem wyproszenia ukrywających się. Jeden starszy Żyd uklęknął przed nim i błagalnym głosem prosił o nie wypędzanie ich na pewną śmierć. Długo nie musiał czekać na odpowiedź. Pewne - możecie zostać - uratowało kilka ludzkich istnień. Opowieść ta była naprawdę bardzo poruszająca. Podświadomie przypomniałem sobie o siostrze mego dziadka i zastanawiałem się, czy ona nie mogła się również wznieść na wyżyny humanitaryzmu, nie mogła do owego Żyda powiedzieć - dobra, nie masz już pieniędzy, ale możesz zostać, damy radę. Nie mogła pozostać uczciwym człowiekiem? Znów ta zadra w mojej duszy dała o sobie znać. Jednak pobyt w muzeum okazał się pewnego rodzaju catharsis, które pokazało mi, że człowiek może zachować się po ludzku, może pokazać, iż nie każdy i nie zawsze myśli wyłącznie o czubku własnego nosa. Wydarzenia

sprzed ponad 70 lat pokazały, że Polacy potrafią być zarówno skurwysynami, jak i ludźmi nie tyle honoru, co wrodzonej dobroci i uczciwości. Obawiam się jednak, iż w dzisiejszych czasach, byłoby podobnie. Wielość nienawiści wylewana niczym śmierdzące ścieki w kierunku „obcych", „innych", „nie naszych", przeraża i przywołuje najgorsze wspomnienia o polskim „miłosierdziu" i „tolerancji". Ilu dziś, w tym schorowanym kraju, znalazłoby się Sprawiedliwych? Ilu mielibyśmy takich ciotek mojego taty, a ilu Ulmów? To pytanie nurtuje z pewnością niejednego i niejedną z nas. Obyśmy nie musieli sprawdzać tego w przyszłości...

Krawat

„Zdelegalizować Polski Punk"- pojawił się taki profil w sieci. Przez pewien czas był tematem numer jeden wszystkich rozmów wśród hc/punkowej braci. Tym, co nie mieli okazji zobaczyć napiszę, że to anonimowa witryna na facebooku zajmująca się szkalowaniem części hc/punkowej sceny. Tej części, która, w opinii autorów, odstaje od ustawionego przez nich pionu. Czasem powodem jest wiek punkowych załogantów, w innym wypadku niezrozumiała, śmieszna, infantylna aktywność sceniczna. Kilka strzałów, może nawet było celnych. Oberwało się paru ZBOWiD-owcom, a także marzącym o łudstokowej karierze około punkowym bandom. Po nosie dostał Owsiak, Żaba i jego Rock Na Bagnie, Jimmy Jazz Records. Zostawię jednak z boku arbitraż, komu co się należało. Irytuje mnie natomiast to, że żaden nowo powstały band w tym kraju nie dostał takiego supportu, takiego zainteresowania, jak właśnie ten profil. W skrócie typy z fejsa, przy pomocy facebooka krytykują tych, którzy próbują coś poza wspomnianym facebookiem robić.

„Szkalowanko", w mojej ocenie, może być ok, ale TYLKO (!!!) w momencie, kiedy nie odbywa się anonimowo. Miej kolego/koleżanko odwagę i podpisz się pod swoimi tekstami. Pokaż, jaki jest twój wkład dla konstruktywnego budowania sceny. Może zyskasz większy szacunek. W innym przypadku nie wiem, czy nie jesteś sfrustrowanym, zawistnym dupkiem, który nie dostał szansy na granie przed koncertem SEX BOMBY w Legionowie i postanawia się zemścić. Nie wiem, czy nie jesteś tanim prowokatorem, który chce zrobić tylko zwykły zamęt.

Naprawdę zaskoczony byłem, kiedy jeden z moich szanowanych kolegów napisał ze smutkiem, że (jak się później okazało tylko czasowo) zablokowano profil „Zdelegalizować Polski Punk". Oliwy do ognia dolewa fakt, iż kilku wkurwionych ZBOWiD-owców, w ramach reakcji, pozakładało swoje lewe konta i zaczęło publikować informacje na temat zespołów, których członkowie, w ich opinii, są z Z.P.P związani. Anonimowe wyciągnie, mniej lub bardziej, prawdziwych brudów, ferowanie oskarżeniami, niewygodnymi faktami to miód dla uszu i oczu różnego rodzaju nazioli, prawoskrętnych i prorządowych typów.

Ja natomiast, od jakiegoś czasu, rzygam tymi wszystkimi memami i dyskusjami na temat Ireneusza Jeża. Rzygam tym, a jednocześnie płonę ze wstydu, że kiedyś dałem się namówić Bezkocowi i zrobiłem z tym typem wywiad do „Pasażera". Biję się w piersi, bo bez względu na to, czy mówimy o lansowaniu durnia i hochsztaplera czy też śmiejemy się z psychiatrycznego alkoholika – sytuacja jest żenująca. Nie idźcie więc proszę tą drogą! Nie będziecie musieli do końca życia, tak jak ja, czuć wstydu. Jest masa młodych, zajebistych zespołów, inicjatyw, kolektywów, załóg, miejscówek wartych poświęcenia waszej uwagi. Takie typy, jak wspomniany Jeż nie są żadnymi bohaterami. Wolę spotykać czy też czytać o takich ludziach, jak niewidomy gitarzysta zespołu MISTER X. Facet, mimo tak poważnego defektu, gra, jeździ na trasy. Jest silny (jeśli nie wiesz jak bardzo, zamknij oczy na 5 minut - zobaczysz) i zaraża swoją siłą. Ma chłop dodatkowo spory dystans do siebie i swojej choroby. Zapytany, po bielskim koncercie, czy napije się piwa odpowiedział, „niestety nie, dziś prowadzę".

Kiedy tak my topimy się w walce ZBOWiD-u z anty ZBOWiD-em, kultura alternatywna jest zwyczajnie okradana ze swojego dorobku, swoich pomysłów, strategii działania. I to przez kogo, przez zwykłe, brunatne gówno. Trwająca moda na nacjonalizm mimo, iż dorobiła się wielu sympatyków, nie stworzyła żaden sensownej alternatywy, żadnego ruchu, żadnych skutecznych metod działania. Korzysta więc bezceremonialnie z dorobku swoich ideologicznych adwersarzy. Tym sposobem nagle mamy w kraju nacjonalistów ekologów i pro animalistów. Nie dalej jak kilka miesięcy temu, w Jaworznie, naziole zrobili akcję… anty cyrkową. Oczywiście, że wyszło śmiesznie, że krzyż celtycki i stadionowe porykiwania „Idźcie do doooomu! Zwierzęta zostawcie w spokoooooju!!" budzą, na tym etapie, tylko uśmiech politowania. Fakt jest jednak taki, że lata pracy środowisk broniących praw zwierząt, robiących akcje protestacyjne, informacyjne, bezpośrednie, jest kompromitowany. Środowiska, które przez lata próbują zwrócić uwagę na los zwierząt, a będące, niejednokrotnie związane ze środowiskiem hardcore punk, są okradane ze swoich pomysłów i ośmieszane. Ich wizerunek jest dyskredytowany przez brunatne demonstracje „pro animalistyczne". Naziole się nie obcinają. Biorą całokształt dorobku środowisk alternatywnych, w tym hc punkowych jak leci, dodając tylko z przodu NS. Mamy więc, już w Polsce (a nawet w moim rodzinnym mieście) NS hardcore czy też NS straight edge. Ostatnio nawet NS „czarny blok". Ktoś może powiedzieć, że to są jednostkowe przypadki, że to jest margines. Przez pewien czas też tak myślałem. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy znajomy, niezwiązany zupełnie z żadnymi środowiskami alternatywnymi, zobaczywszy u mnie gdzieś wlepkę z napisem straight edge i trzema iksami popatrzył i powiedział „aaaa, widziałam taką flagę wywieszoną na stadionie przez kibiców Górnika Zabrze". Faktem jest bowiem, że dłuższy czas, na meczach tamtejszej drużyny, lokalni NS straight edge takową wieszali. Pewnie było ich trzech lub czterech, pewnie większość stadionu nie wiedziała, o co tak naprawdę w tym napisie chodzi. „Krzywa" i fałszywa promocja jednak poszła w świat. Próbowałem nerwowo tłumaczyć, że to nie tak, że ukradli, zawłaszczyli, a to jest zupełnie co innego. Znajomy patrzył na mnie jak na wariata …

Z całej te sytuacji wynika jednak pozytywny fakt. Dorobek środowisk alternatywnych jest bogaty, spójny, skuteczny i na tyle atrakcyjny dla ludzi, że kusi, aby go zawłaszczyć - nawet przez osoby o biegunowo odległych poglądach. Scena hardcore punk z całym tym swoim DIY, ze swoją filozofią, dorobkiem intelektualnym, strategiami działania, zespołami muzycznymi, które są z nią związane, z miejscówkami, zinami, niezależnymi dystrybucjami, zaangażowanymi ludźmi ma doskonałe narzędzia do tego, aby próbować zmieniać otaczającą nas rzeczywistość. Nie oddawajmy tego dorobku naziolom tylko z niego korzystajmy. Nie traćmy proszę zbyt dużo czasu na debatę, kto jest bardzie autentyczny w DIY, a kto mniej. Raczej wykorzystujmy tę ideę, jako doskonałe narzędzie do przekazania światu pewnych rzeczy. Narzędzie skuteczne, bo nieumocowane w finansach państwowych, jakichś decyzjach wójta, dyrektora, prezydenta. To prosta prawda, o której, zdaje się, przez te wszystkie Z.P.P., Irków Jeżów i tym podobne historie zwyczajnie zaczynamy zapominać.

Tomek

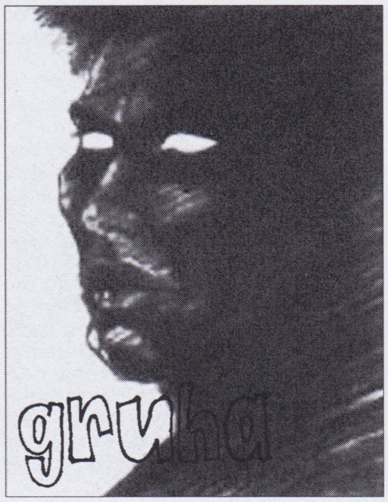

Witajcie! Bardzo się cieszę, że mój ulubiony zespół DEZERTER tak dużo koncertuje i daje radę. Ba, konsekwentnie na swoje trasy zaprasza od pewnego czasu SIKSĘ. Do niej zresztą jeszcze wrócę. Teksty Krzyśka to skarbnica celnych uwag i dociekliwych obserwacji. Pozwolę sobie jeden wykorzystać:

To jest jak sprytnie ułożony plan. Przemyślana strategia na długie lata. Na pastwiskach bezmyślności. Hodowla supergłupka i frustrata. Karmiony wizją różowego cudu. I tym, co najlepiej się sprzedaje. Dostajesz tylko to, co bardzo lubisz. A bardzo lubisz tylko to, co dostajesz. Sprzedać truciznę jako rozrywkę. Pozbawić celu i wyobraźni. Pobrać sto-sowny abonament. Marzenie państw i korporacji. Zacznij dzień z telewizją śniadaniową. Poczuj, jak bardzo cię kochamy. Tu poznasz plan swojego życia. Ale najpierw przerwa na reklamy. Dostaniesz od nas ogień. Widzę, że to, co ci dajemy w dzień i w nocy Pozwoli nam cię sformatować. Bez użycia gwałtu i przemocy. Sprzedać truciznę jako rozrywkę. Pozbawić celu i wyobraźni. Pobrać stosowny abonament. Marzenie państw i korporacji. Miękkie fotele, ciepłe kapcie. To nie jest przecież żaden podstęp. W cieple ogniska domowego Oddaje się do mózgu pełny dostęp. Oczekujesz odrobiny przyjemności Więc spełniają te zachcianki długie lata Na pastwiskach bezmyślności Hodowla głupka i frustrata...

Telewizji nie oglądam już od paru lat. Generalnie telewizja jest dla mnie śmietnikiem. Chcąc, lub raczej, nie chcąc czasami „udaje" mi się zerknąć na szklane oko, zmuszony przez okoliczności rodzinne lub zawodowe. Przerażają mnie programy typu X-Factor czy Polska ma talent, gdzie jurorzy (czasami artyści, w większości celebryci) oceniają młodych aspirujących, czy mają talent i czy ten talent da się sprzedać, by osiągnąć ten wymarzony sukces. Pewnym jest, że większość kapel punkowych nie przeszłaby do następnego etapu. Taki Muniek na przykład, ze swoim seplenieniem odpadłby w przedbiegach... O tempora, o mores!

Jednak kompletnego szoku doznałem pewnego piątkowego wieczoru. Na brytyjskim kanale Channel 4 trafiłem na program o słodko brzmiącej nazwie Naked Attraction. Program ma formułę zbliżoną do doskonale nam znanej Randki w ciemno, z tym, że kandydaci prezentują się zupełnie nago! Program jest podzielony na dwie części. W pierwszej, spośród ośmiu kandydatów Pani wybiera jednego, a w drugiej to Pan wybiera spośród kandydatek. Kandydaci są umieszczeni w kabinach, które stopniowo odsłaniają ich nagie ciała. Prowadząca show, wraz z wybierającymi, szczegółowo omawia fizyczność uczestników. Wielkość członków, kształt warg sromowych, kształt piersi, zarost (lub jego brak) w miejscach intymnych. Na końcu odsłaniane są twarze uczestników. Myślałem, że to jakiś kiepski żart, ale program ukazuje się cyklicznie. Oczywiście wzbudza kontrowersje, ale cieszy się też sporą oglądalnością. Channel 4, na którym emitowane jest to nowe show, broni się określając je, jako eksperyment społeczny, który ma pokazać, czy przy wyborze partnera kierujemy się pierwotnymi instynktami (sic!). I wszystko jasne... Myślę, że ten format w Polsce nie zagości. Chyba żadna prywatna telewizja nie odważyłaby się na taki eksperyment na ekranach polskich telewizorów. A z drugiej strony, nawiązując do tekstu Krzyśka, czy pamiętacie film „Uciekinier" w roli głównej z Arnoldem Schwarzeneggerem? W policyjnym państwie, jakim stały się USA, by utrzymać w ryzach społeczeństwo, serwuje się medialną papkę. Dużą popularnością cieszy się reality show Running Man, gdzie skazani kryminaliści walczą, dosłownie, o swoje życie. I to w towarzystwie widzów przed ekranami telewizorów... Do takiego właśnie programu trafia główny bohater grany przez Arnolda.

Pewnie wcześniej czy później ktoś zrealizuje podobny program... Coś czuję, że wszystko zmierza w tym kierunku. Zresztą, czy filmiki wrzucane do sieci przez dział propagandy ISIS z odcinanymi głowami niewiernych nie przetarły już szlaków?

W tym numerze z mojej strony przeczytacie wywiad z kooperatywą spożywczą. Badając temat, z dużą radością zauważyłem, że w Polsce ich liczba rośnie.

Ludzie zaczynają dostrzegać prosty fakt, że jedzenie, które można kupić w większości sklepów, to mówiąc najogólniej bomba z opóźnionym zapłonem. W tym całym łańcuchu producent-konsument, największe zyski spijają pośrednicy. Głównie wielkie sieci handlowe i producenci żywności, często modyfikowanej genetycznie. Aż serce rośnie widząc ludzi, którzy organizują się i sami dbają o to, co kupują i u kogo. Często, tak jak np. w kooperatywie z Warszawy, nieświadomie realizują program gospodarki społecznej, opisanej przez Edwarda Abramowskiego. Zaufanie i kooperacja w ramach działania oddolnego to jedyne remedium na zaistniałą sytuację. Jak sami przeczytacie, i w Polsce da się i można zadbać o dostęp do zdrowej, produkowanej lokalnie żywności. Samowystarczalność i suwerenność żywieniowa jest rebelią!

Z powodów zdrowotnych musiałem radykalnie i bezterminowo ograniczyć spożycie cukru. Wyzwanie z pogranicza cudu. Teraz zauważyłem, że cukier jest używany powszechnie. Nie chodzi nawet o słodycze. Najbardziej zdradliwe są produkty niskotłuszczowe np. jogurty typu 0% tłuszczu. W tego typu produktach cukier zastępuje tłuszcz, by wyrównać wartość energetyczną... Dlaczego o tym piszę i co to ma wspólnego z punkiem? Pamiętam, jak kiedyś usłyszałem w radiu informację o proteście przed fabryką słodyczy w Los Angeles, w której wziął udział wokalista RAGE AGAINST THE MACHINE (oszalał?). Kilka lat później widziałem program na BBC o praktykach producentów słodyczy (ciekawe, dlaczego emitowany późną nocą?). Konkluzja autorów programu była taka, że cukier uzależnia nie słabiej niż kokaina (sic!). Używany jest wszędzie, i to w tonach... Powiedzenie, że własne wyprodukowane jest najlepsze i najzdrowsze, sprawdza się w stu procentach. Mylił się stary Wańkowicz pisząc „cukier krzepi". System niszczy nas też cukrem...

Miało nie być polityki, ale od tego niusa nie ucieknę. Stara zasada the rich getting richer and the poor getting poorer potwierdza się w aferze „Paradise Papers". To kontynuacja słynnej już afery „Panama Papers". Dziennikarze, tym razem niemieckiej gazety, dotarli do tajnych dokumentów, ujawniających przekręty finansowe tych poważanych i szanowanych. Na tej liście jest i Trump, ale mnie najbardziej rozbawiła wiadomość o przekrętach podatkowych królowej Anglii. Jaja na całego. Królowa niejednokrotnie publicznie napiętnowała nieuczciwych biznesmenów z UK, a sama lokowała pieniądze w rajach podatkowych, unikając płacenia podatków. Królowa, która w Anglii jest symbolem i autorytetem narodowym! Cholera, rację miał Rotten śpiewając „God save the Queen". Oczywiście już odpowiednie autorytety, wspierane przez przychylne rodzinie królewskiej media, tłumaczą, że to nie ona. Królowa przecież nic nie wiedziała, itp. I tak zrobiła się burza. Na liście tej znajdziemy również orędownika walki z głodem i wszelką niesprawiedliwością na świecie, niejakiego Bono z U2 (to on też zatroszczył się o losy demokracji w Polsce)... Two faced muppets.

Na koniec wróćmy do SIKSY. Ola i jej basowy partner przemierzają Polskę wszerz i wzdłuż. Wykrzykiwanie antyseksistowskich manifestów ciągle wzbudza wśród części punkowych widzów konsternacje i oburzenie... Szerzenie kaganka oświaty wśród punków to czasami praca na ugorze. Jak zwykle najgorszy „punkowy" hejt ujawnił się w komentarzach pod postami SIKSY.

Drugie zjawisko, które ostatnio namieszało na tej „naszej" scenie, to słynna strona Zdelegalizować Polski Punk i określenie ZBOWiD punk. Twórcy strony zaczęli dosłownie jechać po starych kapelach punkowych (ZWOBiD-owcach), jak po łysej kobyle. Nie mnie oceniać, czy słusznie czy nie, choć dostrzegam jednak różnice pomiędzy postawą KSU, a taką XENNĄ (jechaną niesamowicie przez twórcę strony). Niektórym bardzo te komentarze nie przypadły do gustu. Doszło do kilkukrotnego zablokowania strony ze strony urażonych kapel i ich fanów... To, co miało być zgrywą, inteligentną uszczypliwością, stało się morzem pomyj i hejtu. Z jednej strony brak dystansu do siebie, a z drugiej anonimowe hejtowanie...Ufff....

Myślałem, że w tonącej już radiowej Trójce nie usłyszę nic ciekawego. A tu zaskoczenie. ZBOWID punki w postaci Lipińskiego, Brylewskiego i innych, połączyli siły z Wojtkiem Mazolewskim z PINK FREUD i zagrali niezły koncert w trójkowym studio, pod szyldem „Punk Freud". Jazz i punk razem. Jeżeli w takim sosie, to jestem za. Pozdrawiam.

Gruha

Czas się pogodzić. Z wieloma rzeczami czas się pogodzić. Trudno być najlepszym, najmądrzejszym w ogóle ostatnio trudno mi być. Mam ochotę się wycofać, zniknąć z tego wirtualnego bycio-życia. Irytuje mnie ten pęd i przymus nadążania. Tak mi wygodnie skupić się na sobie i własnych potrzebach, choć i tak codziennie spełniam dobre uczynki, za które jak na roratach, raz zostanę nagrodzona, a raz, drugi niezauważona. Czuję takie zmęczenie i wypalenie tym gonieniem za cudzym bycio-życiem, że padam na twarz każdego dnia. Podziwiam i podpatruję innych, ale nigdy nie wejdę nikomu z buciorami w życie, bo każdy ma prawo być takim, jakim jest, prawda?

Nie chcę też odpowiadać za zachowania innych w ciele i umyśle, których nigdy nie zamieszkam. Dlaczego więc niektórzy wymagają ode mnie tłumaczenia zachowań odrębnych osobistości niemających co ze mną nic wspólnego?

Nie rozmiecie? Ja też nie rozumiem i coraz częściej nie chcę rozumieć pobudek tych wszystkich agresywnych zaczepek, które napotykam na swej lub cudzej drodze.

Nastały czasy komentowania i osądzania cudzej egzystencji, czy tez bycio-życia (mam na myśli to wirtualne podkreślanie siebie i udostępnianie chwilobyć).

Godzę się na to wszystko, chociaż myślę o detoksie. O wyjeździe w dzicz najdzikszą i odcięcie się od samej siebie i wszystkich współczesnych toksycznych bodźców.

Może w tych dziczach odnalazłabym odpowiedzi na pytania: Co drzemie w ludziach, którzy nieustannie próbują zatruć nam życie i plują w nas jadem? Dlaczego nieustannie wolimy żyć życiem innych osób?! Dlaczego bawimy się w pana Boga lub pana Diabła? Dlaczego zamiast odkrywać swoje potrzeby buszujemy w cudzym bycio-życiu?

Źle wyglądasz, źle się czujesz, myślisz o złych rzeczach i robisz złe rzeczy - to jest silniejsze od Ciebie. JESTEŚ ZŁY – JESTEŚ ZŁA. Na dnie twego serca wyrastają czarne kwiaty i kwitną przepełniając Cię najmroczniejszą czernią.

Czas się pogodzić. Uszczypnij mnie, jeśli tak nie jest.

I koncert ważnych życzeń:

Z okazji święta myśliwych - wszystkim myśliwym życzę by się wypchali.

Z okazji światowego dnia feministek – odwagi i motywacji!

Margo

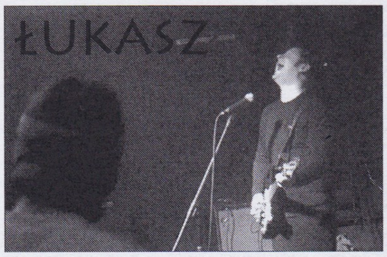

Kultura tu podobno jest

Mirosław Malec - założyciel grup punkrockowych ZIELONE ŻABKI, GA-GA i RADICAL NEWS został uhonorowany przez jaworskich rajców. Smalec otrzymał tytuł „Honorowego Obywatela Miasta Jawora". Z tego powodu, jak dobrze ucho przyłożyć, tu i ówdzie dało się słyszeć podśmiechujki z tym związane. Że jak to punk, hehehe i ordery, hehehehe, że niedługo pewnie ulica ZIELONYCH ŻABEK w Jaworze, hehehe... Ja nie mam z tym żadnego problemu. Jawor to zapyziała dziura nieopodal Legnicy. Bardzo możliwe, że Smalec jest najbardziej znanym jaworzaninem w historii. Kogo mają honorować, jak nie ludzi, którzy wykonują dobrą robotę w rozsławianiu miasta? Wolę Smalca, chociaż mi nie po drodze z jego krysznacką religią, niż kolejnego polityka, prawicowego działacza czy innego buca. Czas przywyknąć, że punk jest częścią mainstreamu, a my sami w oczach nastolatków jesteśmy dziś postrzegani jako stare próchno. Już bardziej mnie śmieszy, że Janusz „Jany" Waluszko, nazywany papieżem anarchizmu, jeden z twórców Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, aktywny zresztą do dziś, przyjął kilka lat temu od prezydenta Komorowskiego Krzyż Wolności i Solidarności w uznaniu zasług za walkę w komuną. Z tego co pamiętam, tłumaczył się, że odbiera wyróżnienie jako prywatna osoba, co było dość żałosnym wykrętem.

Abstrahując, dziś zresztą na Facebooku są dwa profile RSA i RSA WRN. Skąd ten podział? Trudno wywnioskować, ale z profilu RSA WRN możemy się dowiedzieć, że poszło o jakąś dyskusję w necie, cytuję: „Na tej stronie są śladowe materiały z momentu rozłamu. Śladowe, gdyż ci co dokonywali wpisów pousuwali je, a tym samym usiłowali zatrzeć istotę rozłamu. **Pragniemy oświadczyć, że cały materiał jaki został usunięty mamy w formacie pdf".** (wyboldowanie moje – Lewy). Mają w pdfi-e! Kiedyś robili zadymy na ulicach, a dziś odgrażają się pdf-em.

Spotify rządzi! Wyrzuć stare kasety!

Od jakiego czasu jestem neofitą Spotify. To niesamowite, ile jest znakomitej muzyki, ot tak, na wyciągnięcie ręki! Po co słuchać tych wszystkich reanimowanych dinozaurów punk rocka, skoro jest tyle wspaniałych dźwięków dookoła? Przy okazji, w moim prywatnym rankingu rozstrzygnąłem już konkurs na najbardziej nieudaną reaktywację. Jeleniogórski STRESS był jedną z kapel mojej młodości walczącej, dziś to, co ci panowie odwalają to Himalaje żenady, porównywalne tylko z wprowadzaniem hartrocka przez Ireneusza Jeża w DEFEKCIE MUZGÓ. Naprawdę gratuluję panowie. W spotify zarąbisty jest system polecania muzyki na podstawie przesłuchanych już płyt. W ten sposób odkryłem dużo dobrych dźwięków z wytwórni 4AD, a dla przeciwwagi kilka noise'owych amerykańskich kapel z końcówki lat dziewięćdziesiątych, o których nie miałem pojęcia. Dobrą robotę robią też współcześnie działające bandy – moje dwa ostatnio ulubione to ponury PROTOMARTYR i chaotyczno-noisowy IDLES z Bristolu. Posłuchajcie, warto! Jeśli ktoś lubi bardziej na miękko po linii takich dziewczęcych kapel jak LUSH czy THE BREEDERS, to może spodoba mu się DREAMWIFE. Tylko, że to bardziej pop punk niż BIKINI KILL. Oczywiście, na Spotify nie znajdziemy demówki kapeli nagranej dwa miesiące temu, ani singla wydanego na winylu w 100 egzemplarzach przez kooperatywę 12 labeli z całego świata, ale zaprawdę powiadam wam, jeśli uszy macie spragnione muzyki i nie boicie się innych gatunków muzyki niż punk rock, to warto!

Strażnica moralności część 3

Przemysław Thiele z KOLABORANTÓW na swoim Facebooku przyznał się, że w 1988 roku podpisał lojalkę z SB. Zapewnia jednak, że jego działalność jako TW "Alek" nikomu nie zaszkodziła.

KOLABORANCI byli zawsze jednym z moich ulubionych zespołów, więc chciałbym napisać kilka słów na ten temat. Przede wszystkim dziwi mnie, że poszedł na współpracę w 1988 roku, gdy komuna zaczynała się walić i już jej prawie nie było, przynajmniej w tym najbardziej paskudnym, zamordystycznym wydaniu. Ja miałem wtedy 10 lat, więc komunę pamiętam słabo, na zasadzie kilku flashbacków: stania w kolejkach, ogólnej szarości, braku reklam w telewizji, pierestrojki, itd. Jestem jak najbardziej daleki od ferowania wyroków i topienia czarownic. Brzydzi mnie, że dziś bardzo łatwo osądzamy w tonacji biało-czarne, bez żadnego stopniowania i brania pod uwagę złożoności tych czasów. Nie mogę jednak udawać, że ta informacja mnie nie poruszyła. „Alek" tłumaczy się - jak wielu innych przed nim - że nikomu nie zaszkodził, że nie donosił. Trochę to jednak słabe, bo wielu innych stawało przed takimi samymi dylematami jak Przemek i nie podpisywali lojalek - za cenę wyrzucania ze szkoły, studiów czy innych szykan. On to zrobił. W momencie, gdy piszę te słowa, nie wiadomo nic więcej. Czym był szantażowany (jeśli był)? Czy brał wynagrodzenie za swoją pracę? Bo

chyba nie robił tego ze względów patriotycznych… Praktyką opozycjonistów było, że w razie gdy dali się złamać, to uprzedzali swoje otoczenie, że są na celowniku, że podpisali i żeby uważać. Przemek milczał. Cholernie długo milczał. Puścił farbę, dopiero, gdy pojawiły się na jego temat brzydkie plotki w Szczecinie. Osobiście wierzę, że jako szpicel „Alek" był przydatny jak durszlak do czerpania wody, ale szkoda, że sam z siebie nie przyznał się do współpracy wiele lat wcześniej, zwyczajnie zabrakło mi w jego zachowaniu klasy. Tylko tyle. Płyt pewnie dalej będę słuchał, ale niesmak pozostaje.
Swoją drogą ciekawe, czy wypłyną jeszcze perełki na temat innych załogantów z tamtych czasów. W ostatnim numerze „Pasażera" był interesujący artykuł jak wyglądała inwigilacja przez tajne służby PRL środowisk alternatywnych w Pile. Chociaż nie wiem czy zainteresuje kogoś przed trzydziestką.

Lewy (Mnoda)

Towarzyszy mi od początku, być może dlatego ciężko o tym pisać czy rozmawiać. Jest oczywiste, więc przezroczyste, niezauważalne. Odczłowieczanie, czyli odbieranie cech ludzkich. Odbieranie prawa do bycia człowiekiem, do odczuwania ludzkich emocji, bólu, strachu, radości. Pamiętam, kiedy byłam dzieckiem, dorośli tłumaczyli, że zwierzęta też nic nie czują, nie czują bólu. Jako szczylówa wychowywana trochę w mieście, a trochę na wsi, widziałam np. jak dziadek zabija kurę. Siekierą. Wiem, że w taki sam sposób kiedyś potem wujek pozbył się chorego kota. „Nie przejmuj się. On nic nie czuje." A nawet jeśli coś czuje, to nie jest to istotne. Porównanie nieprzypadkowe - przez większą część życia żyłam w przekonaniu, że nie mam praw, jestem czymś gorszym, a kobiecy biust stworzony jest dla przyjemności władców tego świata. Posłuszeństwo wpajane od maleńkości. Bądź cicho, bo on się obudzi.
Kilka tygodni temu akcja #metoo, kiedy kobiety w mediach społecznościowych i nie tylko dzieliły się doświadczeniami bycia molestowaną, wywołała ogromną reakcję - zdziwienie, niepokój i zażenowanie, że jest ich tak dużo. Kobiety w końcu zostały usłyszane, skala problemu jest olbrzymia, molestowanie dotknęło prawie każdą z nas i odezwałyśmy się jednym głosem. Przemoc wobec kobiet jest w naszym kraju bardzo popularna - doświadczyło jej ponad 90% kobiet. Co piąta kobieta została zgwałcona, a co trzecia przeżyła próbę gwałtu. Ja też jestem jedną z nich, ale nie czułam potrzeby, czy może - nie odważyłam się opowiedzieć o tym, co mnie spotkało, publicznie. Z jednej strony daję sobie takie prawo, ale z drugiej - nie wiem, czy to dobrze, bo zdaję sobie sprawę, jak ważny jest głos kobiet, jak istotne jest to, żebyśmy dzieliły się swoimi historiami i przemyśleniami. To daje wsparcie i inspirację - chociaż nie ma dwóch takich samych historii (herstorii!), nie jesteś sama. Wciąż mi mało obecności kobiet w przestrzeni publicznej, wciąż próbuję zrozumieć jaki jest mechanizm stojący za niechęcią kobiet do występowania czy wypowiadania się. Sama mam ten problem. Czy to strach przed reakcją, czy przed ośmieszeniem się? Raczej nie, bo jest mi obojętne, kto i co o mnie pomyśli, napisze czy powie. Czy prozaiczny brak czasu, bo przecież trzeba go mieć na ogarnięcie tylu innych, bardziej przyziemnych, spraw. Przecież jestem królową prokrastynacji. I weź tu pisz, na przykład, o molestowaniu, którego doświadczałaś i doświadczasz przez całe życie. I weź spróbuj znaleźć czas na napisanie kolumny do „Chaosu", która w początkowym założeniu miała dawać otuchę. ;) Każda wymówka jest dobra… Czy może wyuczona przez lata niska samoocena, brak pewności siebie, brak poczucia własnej wartości? Tak, bo towarzyszy mi od kiedy pamiętam i dlatego tak ciężko było mi zdać sobie z tego sprawę. To jest kawałek mojego doświadczenia:

Przez całe życie wmawiał mi
że jestem głupia gorsza
Mówił, że jestem
niższym gatunkiem człowieka
Nie mam żadnych praw
bo on ustala prawa…

Może udało mi się wyhodować grubszą skórę, bo już mnie to tak bardzo nie bierze… Chociaż wciąż doświadczam na przykład pomijania mnie czy innych obecnych kobiet przy podawaniu ręki na powitanie. Ale przepracowałam o wiele cięższe sytuacje z dzieciństwa i okresu dorastania. O, i tutaj będzie ten fragment o wsparciu i dawaniu otuchy. Szczerze wierzę, że każda i każdy jest zdolny do uporania się z utartymi ścieżkami myślenia, schematami czy traumą. Wierzę, że pierwszym krokiem jest zdanie sobie z tego sprawy. Potem zostaje praca, małe ruchy, krok za krokiem, samej lub szukanie wsparcia. Dlatego tak ważne jest dzielenie się swoim doświadczeniem i opowiadanie swoich herstorii/historii.
A miało być jeszcze o tym, że znów nie wiedziałam, jak zareagować na oświadczenia facetów #itwasme. Wiem, że to byłeś ty, było was bardzo wielu, od początku, w domu, na podwórku, na ulicy, w zakładzie. Szczerze mówiąc nie wiem, czy interesuje mnie to, że kilku z moich znajomych przyznało, że ich zachowanie mogło mieć cechy molestowania, lub po prostu było molestowaniem. Czy oczekiwali oklasków za odwagę, rozgrzeszenia czy pogłaskania po głowie? Przemoc nie bierze się znikąd, rozumiem jak ważna jest zmiana perspektywy i świadomości i jestem za tym, żeby wszyscy mogli się swobodnie wypowiadać. Lecz w przypadku akcji #metoo myślę, że oprócz zwrócenia uwagi na ogromną skalę tego problemu, równie ważna jest możliwość dzielenia się swoimi doświadczeniami przez kobiety. I nie potrzebujemy do tego męskiego współczucia czy uwiarygodniania naszych doświadczeń. Pomyśl o tym chłopaku, kolego, mężczyzno - zostaw nas, pozwól się wypowiedzieć i podzielić. Nie wiesz jakiej mocy to są doświadczenia, więc nie mów potem o histeryczkach-feministkach, przy których nie można nawet opowiedzieć świńskiego dowcipu. Można, jeśli sytuacja jest sprzyjająca i wszystkim odpowiada twój poziom dowcipkowania. No i oczywistą oczywistością jest sugestia: reaguj, jeśli jesteś świadkiem jakiegokolwiek przemocy, a szczególnie noszącej znamiona przemocy seksualnej czy molestowania. Każde #metoo mniej zrobi ogromną różnicę. Krok za krokiem. Działaj, reaguj. A póki co pozwól nam się podzielić. Bo dzielenie się daje otuchę. Czytałam opisy niektórych doświadczeń ze łzami złości, ale było to bardzo oczyszczające i jednoczące. Nie jestem sama. Nie jesteś sama. Dzielenie się daje otuchę.

Nix

W obecnej Polsce tyle się dzieje, że nie powinno nam zabraknąć tematów do kolumn. Zacznę jednak od tematu scenowego, bowiem jestem świeżo pod wpływem pyskówki na FB, która odbyła się na profilu Pędzla. Szkoda, że akurat na niego to trafiło, bo to jedna z tych najfajniejszych, najuczciwszych osób sceny. Wojtek to osoba, która żyje muzyką, robi to, w co kiedyś wierzyła. Wymyślił doskonały tytuł: Od dreadloków do kołtuna. Początkowe komentarze były takie z przymrużeniem oka i na-gle całą swą żółć wylał dawny muzyk KASAYA i zaczęła się totalna pyskówka, żenujące wypominanie sobie wykształcenia, nie robienia karier, itp. Nie chcę tu przytaczać niektórych argumentów, bo nie były zbyt przyjemne. Przykre, że lata temu te osoby musiały się lubić, a przynajmniej tolerować, a z tej dyskusji zionęła iście „PiS-owska" pogarda i nienawiść.
Często podczas rozmów ze znajomymi wracamy do tematu, co jest ważniejsze, muzyka czy osobowość twórcy. Kolega słucha tylko dla muzyki, mniej dla tekstów (które traktuje, jako dodatek do muzyki), ja zaś uważam, że ważna też jest osobowość artysty, jego postawa życiowa, poglądy.
W ub. roku Fakir napisał o poglądach gitarzysty PROFANACJI, który dziwne rzeczy wrzucał na swój profil na FB. Nie raz zarzucano, gdy ktoś, coś zakwestionował, że zadziałała policja scenowa. Jak to w życiu, nie raz były to ataki słuszne, innym razem ktoś czegoś nie doczytał, zrozumiał coś na opak. Przeważnie są to ciężkie sprawy do łatwego rozstrzygnięcia, gdyż każdy z nas ma swój system wartości, wiele idei w ramach sceny nas łączy, ale muszą być też takie, które nas podzielą. Ale ja prywatnie, na swój użytek uważam, że niektóre rzeczy tak po prostu nie przystają, wzbudzają jakiś niesmak. Tak, ja w przypadku wspomnianego gitarzysty uważam, że te jego wpisy były nie na miejscu oraz przyciężkawe jak na, bądź, co bądź, muzyka punkowej kapeli. Tak jak pisałem - dla mnie też ważne jest, co robi, nie tylko w muzyce. Porównując to do mojego własnego podwórka nie raz w rozmowie z koleżankami podejmujemy temat etyki zawodowej. Uważam, że pewnym grupom zawodowym mniej wolno. I tak - nie wyobrażam sobie, że pracownik socjalny pije nałogowo, a już pije z klientami to jakaś abstrakcja. A słyszałem o takich przypadkach. Owszem, też mamy prawo do napicia się alkoholu, ale nie wszędzie, nie w jakichś dużych ilościach. Teraz każdy wszystko może nagrać, ale też nie tylko o to chodzi. Jak ja mam w rozmowie z klientem mówić mu by przestał pić, by podjął leczenie, gdyby czuł ode mnie alkohol? Wracając do tematu pyskówek na FB. Poziom, temperament niektórych piszących był tak wysoki, że odpuściłem sobie wtrącania swoich trzech groszy, bo w złym kierunku to poszło. Podobne rzeczy były kiedyś na forum hardcore.pl, ale grono osób uczestniczących w tym forum było raczej ograniczone, a na facebooku oprócz ludzi ze sceny są też inni ludzie, niekoniecznie związani z tematami muzycznymi. Myślę, że te ostatnie lata naprawdę podzieliły ludzi, ale też rodziny. Czasem mnie to śmieszy, że tak naprawdę kłócą się osoby, które nie mają realnego wpływu na politykę i przez całe życie byli manipulowani przez wszelakiej maści polityków. A potem w imieniu tych polityków, którzy tak naprawę mają ich w… głębokim poważaniu, kłócą się z innymi. Nie dajmy się podzielić i manipulować sobą. Czasem też powstrzymam się do uwag w stosunku do znajomych o „PiS-owskiej" proweniencji, bo te argumenty z tej i z drugiej strony to manipulacja. Wszystkim im chodzi o władzę, tylko obecna władza bardziej to okazuje, jest bardziej arogancka. Tacy fajterzy jak Niesiołowski, Palikot, Jaki, Tarczyński są po obu stronach, są to bezwzględni demagodzy i manipulatorzy. Parę razy oglądałem TVP 1 i TVP INFO, wiem, że TVN też manipuluje, ale telewizja rządowa jest bezwzględniejsza. Ja jeszcze pamiętam dziennik telewizyjny, ten sam poziom, ale dziennikarze obecni są o tyle bezwzględniejsi i głupsi, że jawnie manipulują. Za PRL nie było innej prasy niż państwowa, faktycznie wielu rzeczy nie można było zweryfikować, sprawdzić u źródeł. Pozostawał tylko mały dostęp do zachodniej prasy i tej nielicznej niezależnej drugoobiegowej. Teraz obecni pro-PiS-owscy propagandziści z rządowej telewizji jawnie kłamią wiedząc, że co rozsądniejszy przejrzy jeszcze inne telewizje, portale. Przynajmniej tak jest na razie, nie wiem, co stanie się, gdy wprowadzą ustawę o koncentracji mediów.
Od 2 lat jestem na FB, wcześniej byłem bardzo nieprzekonany do tej formy komunikacji, ale sytuacja zmusiła mnie do założenia strony i prawdę powiedziawszy mocno się wciągnąłem. Miałem założenie pisać tylko o Czechach, muzyce, nie dawać zdjęć dzieci. Niestety z czasem pojawiły się

i zdjęcia dzieci, gdzieś tam człowiek chce pokazać się z jakiejś innej, lepszej strony, czasem by coś udowodnić swoim znajomym. Mam tego pełną świadomość. W każdym bądź razie chyba trochę momentami posunąłem się za daleko, działałem pod wpływem impulsu, ale powoli reflektuję się. Widzę dużo złych, negatywnych stron, ale z drugiej strony jest to kopalnia wiedzy o muzyce i innych dziedzinach życia. Przez ten okres jednak dużo więcej poznałem nowej muzy, książek, miejsc, itp.

Niezaprzeczalnym efektem tego, że jestem na FB okazało się, że dopiero dzięki temu medium poznałem prawdziwe poglądy moich znajomych, z którymi przecież nie raz rozmawiamy na różne tematy. Nagle okazuje się, że rzeczy, które osoby te umieszczają na swojej stronie, te, które lajkują nie pasują do mojego obrazu tych osób. Cóż, całe życie człowiek się czegoś uczy. Staram się nie wpychać w jałowe polemiki, wiedzieć dalej w nich fajnych ludzi, ale czasem jest to trudne. Po wyrzuceniu z siebie swoich problemów, wylaniu hektolitrów wszelkiej żółci trzeba pamiętać, że dalej żyjemy w jednej społeczności i czasem trzeba ze sobą współpracować.

Tak żartem, pracuję w mocno sfeminizowanym zakładzie pracy. Jest nas czterech facetów na parędziesiąt kobiet i czasem moje koleżanki popadają między sobą w konflikty, czasem dość ostre (z mej perspektywy naprawdę o drobiazgi), a ja zawsze im mówię, że zaraz będą potrzebowały pomocy ze strony tej osoby i będzie im wtedy głupio. W pracy nieraz spędzamy 1/3 życia, mamy naprawdę trudną pracę, więc, po co ją sobie dodatkowo komplikować. Nie chcę być posądzony o jakiś szowinizm. Pracuję z inteligentnymi dziewczynami, ale te ich konflikty czasem są naprawdę błahe, te ich wzajemne obgadywanie się... Niestety nie wiem, jak to jest w męskim zakładzie, bo od liceum gdziekolwiek się uczę, pracuję to mężczyźni stanowią mniejszość. Nad sobą mam dyrektor, wicedyrektor, kierowniczki, które są kobietami i niejedno już widziałem... Ale z drugiej strony fajnie być takim rodzynkiem. Jestem z boku wszelkich sporów i dobrze mi z tym, bo z każdym mogę z czystym sumieniem współpracować.

Mam swoje zdanie na temat PRL-u. Żyłem w tym państwie kilkanaście lat, więc coś tam pamiętam. Na pewno był to trudny okres w historii Polski, a przy tym bardzo niejednoznaczny. Postrzeganie tych lat w prostych czarno-białych obrazach pozostawiam historykom (czasem histerykom) z IPN. Na moim przymusowym chorobowym hurtem przeczytałem biografie napisane przez Mariusza Urbanka o Julianie Tuwimie, Janie Brzechwie, Władysławie Broniewskim, Jerzym Waldorffie i Stefanie Kisielewskim. Te wybitne osoby zaczęły pisać w Polsce dwudziestolecia międzywojennego i każda z tych osób musiała żyć w pierwszych latach po zakończeniu II Wojny Światowej. Zarówno Tuwim, Brzechwa i Broniewski pisali czołobitne wiersze o Stalinie, ale każdy z nich miał inne pobudki i w sumie każda z tych osób na swój sposób była tragiczną postacią. Ale i Waldorff (w 1938 r. napisał książkę zafascynowany włoskim faszyzmem) i Kisielewski również mieli romanse z PRL-owskim władzami. Myślę, że osoby, które przeżyły II wojnę światową miały prawo w 1945 roku liczyć na wolną Polskę, przynajmniej wolną od zbrodni hitlerowskich. W sumie chyba najbardziej tragiczną z opisywanych wyżej pisarzy osobą był Broniewski, który i walczył w wojnie polsko-bolszewickiej (otrzymał order Virtuti Militari), siedział w stalinowskim więzieniu, a potem był pisarzem niejako na posyłki władzy. Ale potrafił przy tym wszystkim być niepokorny (co prawda głównie pod wpływem alkoholu), np. w czasie wizyty w ZSRR jeden z radzieckich urzędników widząc pijanego Broniewskiego zaproponował mu by usiadł na chwilę, Broniewski odpowiedział błyskawicznie „Ja już tu u was siedziałem". Było to tragiczne pokolenie, które nie miało wpływu na losy kraju, mocarstwa zadecydowały o podziale Europy. Łatwiej było krytykować ich z perspektywy mimo wszystko bezpiecznej emigracji (na pewno też nie łatwej) niż żyć tutaj w powojennej rzeczywistości zniszczonego kraju. Polecam te lektury, bo napisane ciekawie. Autor stara się rzetelnie przedstawić życie, twórczość i inne uwarunkowania, stara się wszystko wyważyć. Dla mnie była to bardzo pouczające lektury, kolejny kamyczek do mojego widzenia świata z wszystkimi odcieniami szarości.

A propos postępującego hejterstwa w sieci. Ostatnio taka fala hejterstwa dotknęła Cezarego Pazurę, który wystąpił w spocie do akcji „Różaniec do Granic". Sam w pierwszym odruchu pomyślałem: no kolejny koniunkturalista. Ale potem śledziłem opinie innych ludzi na ten temat i niektóre były delikatnie mówiąc nieprzychylne. Potem przeczytałem artykuł Elżbiety Turlej pt. „Pazur, własność narodu" w Newsweeku nr 43. Akurat ten tygodnik naprawdę trudno posądzić o sprzyjanie „dobrej zmianie". Był to dość wyważony tekst o Cezarym Pazurze, o jego w sumie dość trudnym życiu. Pierwsza żona była narkomanką, on wychowywał dziecko, w tym czasie nadużywał też alkoholu. W młodości był ministrantem, nigdy nie krył się ze swoją wiarą. Jakkolwiek ocenić samą akcję, to jest on akurat człowiekiem wiary. Niestety w tym szale zapominamy, że ktoś naprawdę w coś wierzy i tak głupio od razu szufladkować go po stronie szalejących, nietolerancyjnych katolików. Chyba nie o to chodzi. Każdy ma swoją wiarę bądź jej nie ma, ale też nie możemy przeginać w stronę zapalczywych ataków. Nie chodzi mi o zjawisko neofitów, którzy zaraz są po stronie tych wszystko wiedzących posiadających monopol na prawdę. Staram się pamiętać, że skoro sami wymagamy tolerancji od społeczeństwa to sami też powinniśmy wykazywać większą tolerancję, a przynajmniej jakąś akceptację innych. Już nawet te miesięcznice, choć nieraz groteskowe i zęby mnie bolą od niektórych tam głoszonych poglądów uważam, że mają prawo do swoich manifestacji. Żeby było jasne prawo powinno zakazać tych demonstracji, w których jawnie jest głoszona nienawiść do mniejszości seksualnych, religijnych. To jak tolerowane, złe słowo, promowane jest przez władze ONR woła o pomstę. Czekam na nowe rozdanie polityczne i zdelegalizowanie tej organizacji.

Ostatnie lata zawsze głosowałem na zasadzie tzw. mniejszego zła, ale naprawdę nie było kandydatów i głosowałem, by nie wygrało PiS. Niestety PiS wygrało, a po ich pierwszych działaniach w rozmowach ze znajomymi z różnych dziedzin życia okazywało się, że nikt z nich nie głosował. To, kto na nich głosował? Ja głosowałem na PO, partię, na której się zawiodłem, ale bardziej obawiałem się PiS. Już bardziej przyjazna jest mi ta sławetna ciepła woda. Chcę żyć w spokojnym, sprawiedliwym państwie. Nie wiem czy kiedyś będzie to możliwe, ale mam już tyle lat, że już dużo widziałem. Pamiętam rozmowę Miodowicza z Wałęsą, wybory 4 czerwca 1989. Zachłysnąłem się tymi pierwszymi latami 90., Michnikiem, Mazowieckim, Bujakiem, itp. Teraz z perspektywy 44 latka uważam, ze to był najfajniejszy czas w Polsce. Niestety najpierw, jako uczeń LO, potem student na utrzymaniu pracujących rodziców, nie odczuwałem, nie zauważałem też tych negatywnych skutków prywatyzacji, bezrobocia, likwidacji PGR. A propos PGR. Z perspektywy czasu widzę, że za szybko likwidowano te przedsiębiorstwa. Zachłyśnięcie się wolnym rynkiem najbardziej odbiło się na pracownikach tych przedsiębiorstw. Teraz w większości miejscowości byłe PGR-y to zaniedbane budynki, bloki. Ludzie zamieszkujący te lokale to dla mediów synonim patologii i biedy. Ostatnio czytałem parę artykułów na ten temat. Są PGR-y, które sobie poradziły i teraz dobrze funkcjonują. Moja dyrektorka zawsze powtarza i muszę przyznać jej rację, że jest typ ludzi, których można określić typem parobka. Nie chodzi tu o obrażanie ludzi, ale z różnych względów są ludzie, którzy są zdolni wykonywać tylko najprostsze prace, pod nadzorem. Są to ludzie, którzy potrzebują stałej kontroli, opieki. Jak tacy ludzie mieli wziąć sprawy w swoje ręce, jak twierdzono w latach 90? Nie każdy jest przedsiębiorczy, obrotny, nie każdy też ma takie ambicje. Myślę, że tak brutalne rozprawienie się z byłymi PGR za jeden z największych błędów tzw. polskiej transformacji, zrobienie prawdziwej krzywdy tym ludziom, za szybko pogłębił się problem biedy. Nikt nie przygotowywał tych ludzi do nowej rzeczywistości. Gdyby porównać koszty takiego specjalnego traktowania PGR a koszty likwidacji i płacenia zasiłków, a następnie dziedziczenia biedy to bilans mógłby wskazywać, że lepiej było dopłacać do tych PGR-ów, przynajmniej ludzie pracowali.

Chciałem jeszcze pisać o sklepach zamkniętych w niedzielę, o Solidarności pod rządami bogacza Piotra Dudy, ale boję się, że Was już zanudzę. Już sobie obiecałem, że w pierwszą niedzielę, kiedy będą zamknięte w Polsce sklepy pojedziemy na duże zakupy do Opawy czy Ostrawy dając zarobić czeskim sąsiadom. Mam tylko nadzieję, że nie dojdzie kiedyś do tego, że nie będziemy mogli wyjeżdżać z naszego kraju. Nie będę mógł jeździć do normalniejszego kraju niż nasz. Chociaż gwoli prawdy ostatnie wyniki wyborów w Czechach są niepokojące. Czyżby wirus demagogów dotarł do twardo stąpających po ziemi Czechów?

Nie chcę tu wyjść na jakiegoś frustrata, ale też nie mogę bezkrytycznie przyjmować informacji nadawanych przez media. W niedzielę jak większość byłem szczęśliwy z awansu reprezentacji Polski na Mistrzostwa Świata w piłce nożnej. Od kilku lat jestem pod wrażeniem mądrej kariery Roberta Lewandowskiego, jest dla mnie wybitnym piłkarzem. Lubię go słuchać, bo nie popada w hurra optymizm, widzi swoje i innych błędy. W mojej pamięci z niedzieli pozostaną dwa ważne obrazki. Pierwszy, gdy po meczu zakrywał usta i wyraźnie zdenerwowany rozmawiał z trenerem. Miał powody, bo mecz mógł się skończyć całkiem inaczej. Drugi obrazek to wejście na murawę z tym chorym chłopcem. Wzruszający i piękny gest.

Niestety w poniedziałek ten jego obraz w moich oczach zaczął się trochę psuć. Nie wiem, na ile to był jego pomysł, ale pisanie pracy licencjackiej na swój temat jest dla mnie kontrowersyjne. Nie wiem, co to za szkółka, ale dziwi mnie, że promotorzy zaakceptowali taki tytuł „RL9 Droga do sławy". Na stronie internetowej radio Eska znalazłem takie wytłumaczenie: „To jest mapa drogowa dla wszystkich sportowców. Robert opisał cały swój życiorys od podwórka do mistrzostwa. Były tam wątki bardzo mocno osobiste, o rodzicach, wsparciu od mamy, żony. Jest dużo o ambicji, rywalizacji" - powiedział w rozmowie z Dziennikiem Zachodnim recenzent pracy licencjackiej Roberta Lewandowskiego, Marek Rybiński. Mnie to nie przekonuje. W końcu dla prywatnej szkoły taki student to chodząca a właściwie grająca reklama. Ktoś, czegoś do końca nie przemyślał. A mógł napisać pracę np. na temat porównania systemu szkolenia, funkcjonowania Borusii Dortmund i Bayernu Monachium. Z pewnością byłaby to ciekawa praca. Jestem ciekaw czy przeprowadził w swojej pracy jakieś badania...

Z kolei wczoraj w TVN 24 mówiono o nadaniu ulicy imienia Roberta w Kuźni Raciborskiej w miejsce Świerczewskiego. Swoją drogą, jak taka ulica mogła przetrwać tyle lat? Nie wiem jak wy, ale ja uważam, że nadawanie nazw ulic, stawianie pomników osobom żyjącym jest niestosowne. Z ust dwóch osób padło, że skoro jest skocznia imienia Małysza, lotnisko imienia Wałęsy, to może być ulica Lewandowskiego. Jeśli chodzi o Małysza, to jego związek z Wisłą jest niezaprzeczalny, to, co zrobił dla Wisły jest też znane. I w sumie myślę, że głupio byłoby czekać na jego śmierć, by nazwać skocznię jego imieniem. Jeśli chodzi o prezydenta Lecha Wałęsę, to uważam, że za szybko nadano lotnisku jego imię. Zdaję sobie sprawę, że dla Zachodu jego nazwisko to już marka, jest też mieszkańcem Gdańska, tam rozpoczęła się Solidarność, Niestety jego biografia do końca nie jest jeszcze poznana, pamiętam też Wałęsę z lat 90. Głupio tak lądować na lotnisku o swoim imieniu. Tak przynajmniej ja to widzę. Co innego, gdy ktoś wykłada swoje pieniądze i buduje szkołę, hospicjum czy też owo lotnisko. Wtedy nawet za życia ma prawo do nadania swojego imienia.

Ale wracając do Roberta Lewandowskiego w Kuźni Raciborskiej nie był, na boisku nie zagrał. Młodzi ludzie mają prawo do różnych pomysłów, ale Rada Miasta Kuźni Raciborskiej powinna mieć więcej rozwagi. Z tego, co usłyszałem w mediach pomysł ten przeszedł jednym głosem, więc część radnych wykazała się większą rozwagą. A jak młodzież będzie chciała dla żartu nazwać ulicę imieniem Popka czy jakiegoś innego popularnego celebryty? Na miejscu Roberta Lewandowskiego przyjechałbym do Kuźni Raciborskiej, spotkałbym się z młodzieżą, podziękował za pomysł, ale powiedziałbym, że jeszcze za szybko na takie honory. Mieszkańcom tej ulicy życzę, żeby dalej grał dobrze, był dobrym człowiekiem. Niestety, po zakończeniu kariery piłkarze różnie kierują swoim życiem. Ludzi pokroju Gerarda Cieślika, Ernesta Pola teraz ze świecą szukać. Grzegorz Lato był genialnym piłkarzem, trenerem już gorszym (zdarza się), ale jako pseudo senator i przede wszystkim prezes PZPN pokazał się niestety z jak najgorszej strony.

Tomek Jurek

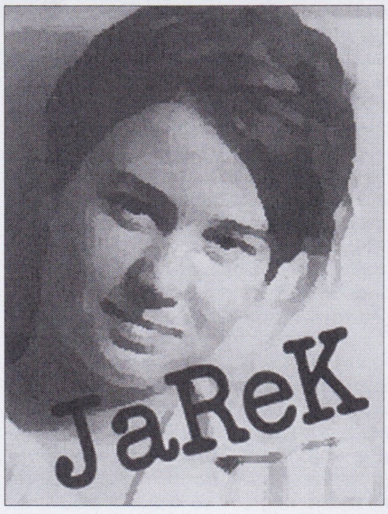

DIY punk nauczył mnie, że można założyć zespół punkowy, nagrywać i wydawać płyty, grać koncerty na całym świecie i to bez dużych (a czasami bez żadnych) środków finansowych, bez pomocy wielkich firm i profesjonalistów. Wszystko można zrobić samemu, a brak środków finansowych jest dosyć łatwo zastąpić kreatywnością lub pomysłem. Z robieniem filmów jest bardzo podobnie. Gdyby nie DIY punk, nigdy do łba by mi nie przyszło, że jest to w ogóle możliwe! Postęp technologiczny, który dokonał się w ciągu kilku ostatnich dekad jest tak ogromny, że praktycznie wszystko można zrobić bez profesjonalnej pomocy, ponieważ narzędzia są dostępne dla wszystkich, nie są drogie, trzeba tylko się nauczyć nimi posługiwać.

Filmy są na pewno moją pasją, oglądam ich sporo, choć oczywiście robię selekcję, sprawdzam najpierw czy warto obejrzeć, bo mało rzeczy nienawidzę tak bardzo jak zmarnować czas na kiepskie filmidło, zwłaszcza takie, które jest obraźliwe dla ludzkiego intelektu albo rani oczy do bólu. Nie znoszę horrorów. Nie mogę pojąć, jak można znajdować rozrywkę w stanach bliskich zawałowi serca wywołanymi za pomocą prymitywnych trików, jak na przykład atak nagłym ostrym dźwiękiem! OK, może mam jakąś traumę z dzieciństwa, bo choć nie wierzę w żadne duchy, w żadną formę świata duchowego istniejącego poza tym, w którym tu i teraz oddycham, to naopowiadano mi niegdyś jakichś popierdolonych historii o upiorach, które prawdopodobnie wyryły mi się w psychice, więc nie lubię budzić w sobie tych rejonów... Przy okazji, nie opowiadajcie swoim dzieciom takich rzeczy, to wielki błąd i głupota. Również chrońcie je od opowieści biblijnych i kontaktu z religią - te doświadczenia to trauma na całe życie dla wrażliwych ludzi. Nie lubię też komedii, bo większość nie śmieszy. Nic nie jest bardziej żenujące od siedzenia w kinie pełnym ludzi, którzy pękają ze śmiechu, kiedy na ekranie ktoś pierdnie albo spadnie mu na głowę cegła... Nie lubię też westernów i musicali. To, co ja kurwa lubię?! Lubię dramaty. Wiadomo, że nie wszystko jak leci z tego gatunku (podobnie jak i kilka dobrych horrorów i komedii mógłbym wymienić, które były świetne). Dramaty opowiadają o życiu ludzi, o ich problemach, o upadku, o walce, o poszukiwaniu siebie... Trudno je zaklasyfikować, jako formę rozrywki na podobnym poziomie, jak hollywoodzka papka z modną obsadą albo drogimi efektami specjalnymi (nie to, że od czasu do czasu też nie zapuszczę sobie takiego obrazu dla resetu!). Dramat filmowy to raczej sposób na rekompensatę emocji, których brakuje nam w codziennym życiu. Miłość. Pragnienie. Pogoń. To znajdowanie ukojenia dla swoich własnych trudnych przeżyć. Ból. Nienawiść. Rozczarowanie. To terapia za pomocą magii ekranu. Nadzieja. Przyszłość. Spełnienie.

W kinematografii jest kilka filmów, które przedstawiają sytuacje z życia punków, z reguły jednak pokazują one niepełny albo zafałszowany obraz, że aż dupa boli przy oglądaniu! Takie filmy są zazwyczaj wyobrażeniami twórców o tym, jak wygląda dany świat, gdyż często nigdy nie mieli okazji naprawdę go doświadczyć we własnym życiu. Jeśli taki film, pomimo pewnych braków, nadal sensownie opowiada historię to nie musi to być aż tak istotne czy przedstawia całą prawdę na dany temat czy tylko własną interpretację tej prawdy. Kino nie zawsze trzeba traktować śmiertelnie poważnie (podobnie jak każdej innej dziedziny sztuki!). Jeśli ja oglądam film na temat wojny, to zakładam, że przedstawia on pewną prawdę o tamtych wydarzeniach, bo nie mogłem tego sprawdzić samemu jako żołnierz, nie kwestionuję tej opinii, ponieważ każdy może mieć swoją własną i czasami bardzo pouczające jest się z nią zapoznać. Film jest często osobistym rozrachunkiem reżysera, nie musi próbować oddawać myślenia lub nastroju wszystkich, bo przestaje być wtedy filmem, a staje się propagandą.

Kiedy robię własny projekt najbardziej inspiruje mnie kino Terrence'a Malicka i kinematografia Emmanuela Lubezkiego. Raczej prawie każdy zna ich filmy, wystarczy wymienić kilka tytułów: „Thin Red Line", „Tree Of Life", „To The Wonder"... Tam sama historia nie jest tak ważna, ważniejsze jest, jak jest przedstawiona oraz to czy obraz wywołuje u nas emocje, porusza, niepokoi, zastanawia... Zazwyczaj aktorzy grają na planie bez wcześniejszej znajomości scenariusza, pozwala im się improwizować, czasami kamera nawet ucieka w połowie dialogu, aby skupić się na fragmencie scenerii, który wydawać mógłby się mało istotny, ale czym jest człowiek bez otaczającego go świata i natury? Moment. Impresja. Intuicja.

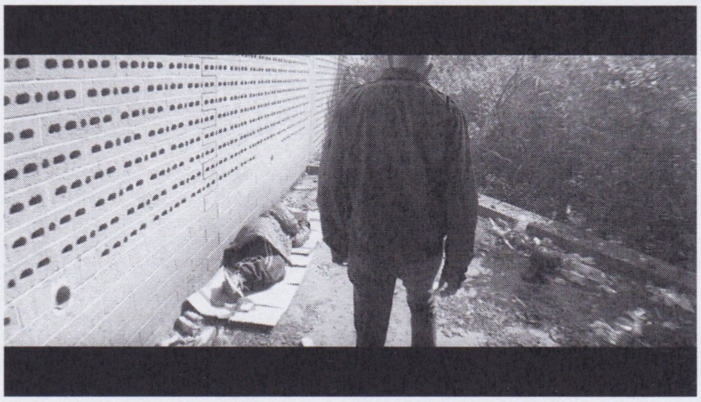

Swój pierwszy poważniejszy film nazwałem „Dead Bodies". Opowiada o trudnych relacjach między ludźmi. Pod koniec pracy nad projektem zorientowałem się, że to właściwie melodramat... Mam nadzieję, że za jakiś czas można będzie go obejrzeć również na pokazach niezależnego kina w Polsce. Póki co odbyła się mała premiera w londyńskim Dissident Industry Studio, miejscu znanym przede wszystkim z tego, że pod jego skrzydłami mają próby lokalne kapele DIY punk, a także mieści się tam studio nagrań. Film ma tylko pół godziny, ale to wystarczy! Dobry set nie powinien nigdy trwać dłużej... Do DSI przybyło sporo znajomych twarzy. Wystąpiły także kapele, POISONOUS CUNT i KILL BITCHES TO DRESS FOXES (w tej drugiej na gitarze gra Rosy z MEINHOF... Trzy Hiszpanki łupiące prostego, ale energetycznego punka - sądzę, że wkrótce będzie można więcej o nich usłyszeć!). Zespoły były planem awaryjnym, gdyby film okazał się niewypałem, haha... Były też gwarancją, że ktokolwiek przyjdzie na pierwszy pokaz filmu, ponieważ pierwsza zasada brzmi: robisz coś, zaproś także zespoły muzyczne. Myślę jednak, że film się obronił sam. Największą nagrodą było dla mnie widzieć bandę punków, którzy naprawdę w skupieniu i ciszy oglądali film... Pomyślałem sobie wtedy, że warto było poświęcić cały rok na kręcenie i produkcję „Dead Bodies".

Dzisiaj za oknem pada deszcz i błoto wszędzie. W Anglii taka jesień nie jest zaskakująca. Co robić w takie dni? W mojej głowie rodzą się już nowe filmowe pomysły, które mam nadzieję zrealizować w przyszłym roku... Gdyby jeszcze kilka lat temu ktoś mi powiedział, że będę robić filmy, kazałbym mu puknąć się w łeb! Jak sądzę, każdy musi sobie znaleźć jakieś zwariowane hobby, aby nie oszaleć...

Jarek

Termin nadesłania kolumny minął. Dane sobie postanowienie, że tym razem napiszę wcześniej i może coś więcej poszło się paść. Następnym razem... „Naczelny ściga!" - ponagla znajomy. Trzeba więc siąść i napisać w końcu, ale zaraz, zaraz - czy ja już kiedyś tak nie zaczynałem? Patrzę za starymi numerami na stercie prasy żeby nie pisać tego samego i o tym samym jak potłuczony, ale ostatnie dwa poszły w obieg, więc nie sprawdzę. Myśli i tematów wiele, które można by poruszyć i rozwinąć, ale nic z kategorii „to jest to". Zawsze można popchnąć ściemę i jakoś się wywinąć z pisania. Pies chory, remont trzeba zrobić, komp padł czy problemy egzystencjalne. Stabe by to jednak było, więc piszę. Dla odmiany może o czymś pozytywnym. Koleżanka robiąca mi korektę przed odesłaniem tekstu (pozdrawiam i dziękuję) stwierdziła ostatnim razem, że nie należy widzieć świata w aż tak negatywnych barwach i zakładać niepowodzenia jakichkolwiek działań, a znajomy, ten ponaglający, że po przeczytaniu mojego smęcenia to nie ma ochoty już na nic, jak tylko się pociąć. Świat, jaki jest i dokąd zmierza każdy widzi, choć niektórzy różnie to interpretują. Podobno trzeba mieć nadzieję i wierzyć, że będzie dobrze, ale ja mam inne zdanie na ten temat. Dzieciaki siedzące po kawiarniach w latach 30. ubiegłego wieku czytając informacje z gazet też mówiły „jakoś to będzie". I rzeczywiście „jakoś było", choć niezbyt fajnie się skończyło. Dzisiaj mało kto już czyta... Ale nie o tym.

Zacznę od tego, co najświeższe. Trasa labelu Youth 2 Youth i koncert w Katowicach. Hard-core w Polsce anno domini 2017 ma się świetnie! Pasja, szczerość i świeżość. Wszystkie pięć kapel: BRIGHT LIGHT, HEATSEEKER, VICIOUS X REALITY, RADIANCE, PROTEIN dały mistrzowski koncert. Do tego jeszcze REGRES, który wskoczył na dwa numery. Kto nie był niech żałuje. Dla mnie ten show był esencją tego, jak widzę scenę hc/punk i tego, co w niej najlepsze. Nic tylko trzymać kciuki za chłopaków i czekać powtórki. Zważając na to, że Y2Y dopiero się rozkręcają liczę, że był to zaledwie wstęp. Nie przegapcie, jak będą w okolicy i wspierajcie.

Jak już jesteśmy przy katowickim koncercie to grzechem byłoby nie wspomnieć o miejscu, w jakim się odbywał - Veganka restobar. W końcu na zapytanie o ofertę ciast można dostać nie tylko kilka opcji do wyboru, ale dodatkowo wszystkie na wypasie i nie trzeba zadawać głupich pytań „czy aby na pewno wszystkie składniki są wegańskie". Aż musiałem się z nim powstrzymać, tak już weszło w krew przy zamawianiu czegokolwiek (choć muszę przyznać, że bardzo rzadko gdzieś chodzę i może nie jest to już takie wyjątkowe). Tofurnik czekoladowy wymiata, a jeszcze dekadę temu znalezienie tofu stanowiło problem. Jak tu nie wierzyć w postęp. Burgery z kaszy jaglanej na wybranych stacjach benzynowych, lody w przystępnej cenie, żółte sery w różnych wersjach i nawet zapewnienie wegan szamy w więzieniach, hehe, rewolucja wegańska trwa, choć punki cieszące się na promocję żarcia w Lidlu budzą

pewien niesmak. Szkoda też, że kwestia wyzwolenia zwierząt zdaje się nie łapać na ten trend, co czyni z weganizmu zwyczajną modę, ale nie wszystko naraz i może koleżanka od patrzenia optymistycznie w przód ma rację.

Tak dobrze jak PLHC w 2017 roku ma się też Straight Edge. VICIOUS X REALITY wskoczyło na naprawdę wysoki poziom, bardzo udany debiut PROTEIN - świeżej krwi na naszej scenie, ziny „Wygrać Nowe Życie" i „Idealny Moment", a do tego dzieciaki z iksami w innych kapelach i pod sceną oraz te starsze dzieciaki nadal trzymające się raz złożonych obietnic. VxR aż miło się słucha i ogląda, kto widział ich występ na SE Fest w 2012 ten przyzna, że postęp, jaki przez ten czas uczynili jest olbrzymi. Z ciekawej lokalnej kapeli stali się zespołem, który z powodzeniem odbywa trasy po Europie i jest świetnie przyjmowany, a covery, które gra są wisienką na torcie pełnym energii i ociekającym pozytywem. PROTEIN zaś to dopiero petarda i jeśli za szybko się nie rozpadną lub nie połamią ostrzy to w ciemno można wróżyć im zostanie twarzą SE made in Poland w kolejnych latach. Sprawdźcie ich. Wspomniane wyżej ziny to klasa sama w sobie. „Idealny Moment", jako klasyczny papier w starym dobrym stylu z wielkim plusem za zajawkę na przedstawianie writerów powiązanych ze sceną. „Wygrać Nowe Życie" to zaś pięknie wydany i złożony zine prezentujący mój straight edge. Wywiady, personal stories, przedstawianie idei i ruchów, z którymi SE na przestrzeni lat był zawsze związany. Nawet recenzowane kapele hulały na mojej mp3 nim jeszcze zakupiłem zina. Łyknąłem niemal za jednym zamachem cały ostatni numer i wcześniejsze oczywiście też. Robicie panowie dobrą robotę. Nawet naziolskie spierdoliny chwaliły się na necie, że czytają „WNŻ", ale obawiam się, że nie wyciągają z lektury żadnych wniosków. Właśnie, ci zjebani nacjonaliści... Są jak rak, który toczy społeczeństwo, a przerzuty próbują skazić i zniszczyć także to, co dla nas ważne. Stare gówno pod nowymi szyldami podejmuje kolejne podejście pod przejęcie Straight Edge i próbę zaprzęgnięcia go do faszystowskiej propagandy. Czy im się uda? Zależy tylko od nas, ale to temat na dłuższy i inny tekst.

Jak jesteśmy przy zinach to dobrą pozycją jest też nowa „Alerta" zrobiona przez 161 Crew. Ładnie wydana w kolorze i z charakterystycznym zapachem nowego czasopisma, którego to kolega nie mógł się nawąchać, kiedy odbierał paczkę z zinami. Brawa dla chłopaków za robotę i czekam na kolejny numer. Jedyne zastrzeżenie to widoczny pośpiech w domknięciu całości i trochę nierówny materiał, np. bardzo lakoniczny wywiad z peruwiańską kapelą oraz brak relacji z krajowych przygód. Spisuję to jednak na karb debiutu i cieszę się z kolejnego tytułu na scenie.

Póki co, wychodzi mi z tej kolumny zbitka mini recenzji, ale niech tak będzie.

Stanęło na antyfaszyzmie, więc tu też będzie optymistycznie, ale w moim stylu, więc nie do końca. Koncert gdzieś w Polsce, pięć osób na krzyż na sali, zespół na scenie, napięcie w powietrzu i spora grupa na zewnątrz czekająca na gości, którzy zapowiedzieli, że przyjdą w odwiedziny. Dobre ekipy nadal są i się trzymają. Nie słychać o nich? I bardzo dobrze. Trochę gorzej jest z tymi, o których słychać, ale się nie trzymają. 1 września w Katowicach to była całkowita klapa zarówno wizerunkowa, jak i organizacyjna. Czasami lepiej czegoś nie robić niż robić to źle, bo efekt może być taki, jakby wyrządzało się przysługę tym, przeciwko którym się występuje. Dobrze, że nikomu się nic nie stało, ale jak ktoś zapowiada się na konkretnie, a później ucieka większą grupą przed kilkoma napastnikami, których wcześniej pogoniła jedna osoba tylko dlatego, że się im postawiła to nie może być dobrze. Więcej ruchów, a mniej pierdolenia - mówił wers w klasyce hip-hopu i tego się trzymajmy. Szacunek dla koleżanek i kolegów, którym chce się zapieprzać samochodem kilkanaście kilometrów by parę wiosek dalej zamazać celta i głupi napis, a w swoim mieście utrzymują porządek. U ciebie na dzielni wciąż wiszą celty i zjebane wlepki? Czas więc wyjść z domu i coś zrobić, a nie siedzieć na tyłku i oglądać seriale.

A te trzeba przyznać potrafią być dobre i mają coś do powiedzenia o dziejących się wydarzeniach. „American Horror Story" znacie? Jak tak to odpalcie sobie najnowszy sezon pod tytułem „Cult". Jak nie, to też to zróbcie, szczególnie, jeśli lubicie mrok i stylistykę horroru. Oparcie fabuły na wątkach dziejących się wydarzeń takich, jak tryumf taniego populizmu, siania atmosfery strachu i wyborów, jakie podejmują ulegający propagandzie ludzie jest strzałem w dziesiątkę. Takie produkcje pokazują, że oprócz rozrywki twórcy mają też czasami coś do przekazania, a ich uwagi są celne i dobrze wziąć je pod rozwagę. Z równym zainteresowaniem obejrzałem też nowy remake klasycznego serialu „Korzenie" z 2016 (starsze punki powinny pamiętać pierwszą wersję, która leciała w TV na początku lat 80.). Opowieść zaczyna się w Afryce czasów handlu niewolnikami i później wraz z jednym z bohaterów przenosi się do USA pod panowaniem rasistowskiego ustroju i trwa przez parę pokoleń, aż do chwili pozornego wyzwolenie tuż po wojnie secesyjnej. Fabuła oparta jest na książce Alexa Haleya pod tym samym tytułem będącą historią przodków autora i tego, co przeżyli. Może, gdyby takie seriale były zalecane do oglądania i przegadywania przez dzieciaki to mniej byłoby rasistowskich przygłupów? Nie wiem, ale jeśli ktoś nie jest przekonany, dlaczego walczy z rasizmem to po obejrzeniu tego serialu będzie wiedział na pewno.

Dobre książki? Może napiszę jakąś recenzję do następnego numeru (mam nadzieję tylko, że naczelny nie weźmie tego, jako obietnicy i pewnika).

Polecę jeszcze „A-Tak" uliczną gazetę, wreszcie jest co porozdawać normalsom do czytania. Widok starszej pani biorącej do ręki anarchistyczną prasę, czytającą nagłówki i stwierdzającą, że weźmie jeszcze jeden egzemplarz dla koleżanki jest bezcenny. Równie dobre są audycje „Posłuchaj o Anarchizmie". Super, że chce się komuś to robić i robi to na wysokim poziomie, zarówno merytorycznym jak i technicznym, dobrze przystępnym i atrakcyjnym nawet dla laika. Kiedy kolejne takie kanały i audycje? Przestrzeń informacyjna czeka na podbój przez treści anarchistyczne, trzeba je tylko tworzyć i siać nasiona lepszego świata. Niech ludzie łykają, przetwarzają i wprowadzają w życie. Może lokalny odpowiednik videobloga „Contrapoints" tylko osadzonego w naszych realiach? Albo inny pomysł? Zawsze to my byliśmy bardziej zaradni, na wyższym poziomie, z lepszymi patentami i wyczuciem, dlaczego więc oddaliśmy pola jakimś zjebanym youtuberom i prawicowym telewizjom internetowym?

Byłoby tego więcej, ale kończę tę słabą kolumnę pisaną na ostatnią chwilę. Trzeba wyspać się przed 11.11. Kupujcie i czytajcie ziny, żeby było gdzie pisać i twórzcie też coś, żeby było co czytać, oglądać, słuchać, gdzie chodzić i z kim działać. Świat może zmierza w dupy stronę, ale... Always look on the bright side of life!

xK.x

Nasi czy(li) nazi...?

Często dyskutujemy w szerszym lub węższym gronie i z niedowierzaniem zastanawiamy się: co się stało z niektórymi naszymi kolegami? Co się stało ze środowiskiem? Jak to jest możliwe, że „nasi" potrafią zmienić się tak szybko w „nazi"? Właściwie nie mam na to żadnej mądrej odpowiedzi. Ale kiedy sięgnę pamięcią, ten dylemat towarzyszy mi od zawsze. Kiedy dołączyłem, za sprawą założenia zespołu, do warszawskiej załogi przeraziła mnie ilość głupków i łobuzów. Ale wiadomo, człowiek młody inaczej ocenia rzeczywistość. Dla mnie ci kolesie byli mili i nie miałem z nimi problemów. Ale ja byłem z zespołu. Czyli miałem immunitet. Jednak, kiedy obserwowałem zachowania niektórych załogantów, nie wiedziałem gdzie się chować ze wstydu, że się z nimi zadaję. Szokowanie społeczeństwa, prowokacja, robienie sobie jaj na każdym kroku to wszystko było fajne. Ale było też drugie dno. Kradzieże, napady i cały ten syf z tym związany. Nigdy tego nie byłem w stanie zaakceptować i miksowałem się jak mogłem z takiego towarzystwa.

Prasa propagandowa nie oszczędzała środowiska punkowego. Machina państwowa była nastawiona na przedstawianie punków, jako degeneratów i bezmyślnych idiotów. Moją reakcją na takie artykuły prasowe był m.in. utwór „Burdel", który popełniłem będąc jeszcze uczniem technikum. Niestety miałem już wtedy wrażenie, że młodzież czyta te wszystkie prasowe idiotyzmy i traktuje je, jako wskazówki dla siebie. Niby wiedzieli, że to komunistyczna propaganda, a jednak w sporej mierze naśladowali opisane tam zachowania. Nie chcę wierzyć, że było odwrotnie i że te opisy prasowe były wzięte z życia. Raczej nie, bo dziennikarze nie mieli dostępu do załogi i jako przedstawiciele systemu byli gonieni na cztery wiatry. Co ciekawe te dziwaczne opisy punków i ich zwyczajów pojawiały się również w raportach SB. O czym dowiedziałem się z archiwów IPN. Zachodzi więc pytanie, czy dziennikarze przepisywali gotowe instrukcje z SB, czy esbecy nie mając żadnego rozeznania przepisywali od dziennikarzy. Często słowo w słowo. Tego chyba teraz nie rozstrzygnę. Czyżby więc część punków żyła wg. „instrukcji" z SB, co niekiedy pokutuje do dziś?

W 83 lub 84 roku pojawiły się pierwsze przygody ze skinami. W tamtym okresie nie było innych skinów niż nazi skiny. Przynajmniej ja na takich nie trafiłem. Dlatego do dziś często istnieje przekonanie, że wszyscy skinheadzi to naziole. Pierwsza akcja, którą widziałem, była po koncercie LAIBACH w Remoncie. Na salę, gdzie odbywało się spotkanie z muzykami wkroczył znany warszawski punk z irokezem i zaczął hailować. To nie były żarty ani prowokacja. On był do tego przekonany. To był zresztą ostatni raz, kiedy widziałem go w punkowym uniformie. Potem już zawsze był widywany w skinowskim przyodziewku. W jego ślady poszło jeszcze całe grono punkowej bandyterki i z dnia na dzień stali się naziolami i zaczęli prześladować swoich niegdysiejszych kolegów. Oczywiście dziś zamiast Hitlera sławią Wielką Polskę (z nieśmiałością ukrywając swoje wydziargane swastyki). Albo jedno i drugie. Tak na marginesie dodam, że pierwszych skinów nie nazioli zobaczyłem we Francji w 89 roku, kiedy to ochraniali punkowe koncerty przed tymi drugimi.

Wszystkie te historie ze skinami wszyscy znamy, więc nie ma co się powtarzać. Napisałem to tylko po to, aby wspomnieć, że transformacja z „naszych" na „nie naszych" odbywała się od samego początku zjawiska, jakim była załoga punkowa. Wtedy działo się to pod, mam wrażenie, okiem SB, dziś pod okiem panującej psychoprawicy. Łatwość, z jaką ludzie dają się manipulować propagandzie jest dla mnie szokująca. Bo przez lata całe miałem nieskromne wrażenie, że załoga jest nieco bardziej odporna niż reszta społeczeństwa. Nic bardziej mylnego. Jakże byłem naiwny. Wśród punków odsetek głupków jest taki sam, jak w społeczeństwie, czyli olbrzymi. Piszę tak z perspektywy 35 lat, opierając się na obserwacjach. Niestety, to, co zostało wypracowane przez wielkie zaangażowanie ideowe środowiska w latach 90. poszło na marne. No, może nie do końca, ale w dużej mierze. Tak to jest, kiedy weryfikatorem postaw jest życie. A życie często nie daje wyboru. Albo przebierasz się w ciuszki poprawnego koniunkturalisty, albo wypadasz z gry. Większość grę podjęła. Te wszystkie hasła: ekologia, obrona praw zwierząt, wegetarianizm, równość płci, tolerancja były piękne, ale dla większości zbyt przelotne i mało ważne. Nie skutkowały na dalszą część życia. Zostały tylko pustymi sloganami. Czy mnie to dziwi? Nie. Już wtedy powtarzałem, że im ktoś głośniej krzyczy hasła, tym mniej z nich rozumie. I niestety to się potwierdziło.

Teraz po latach do „gry" powróciła załoga, która odeszła w niebyt na przełomie 80-90 lat. Wróciła z hibernacji, nie do końca zauważając, że minęło tyle lat, a pod ich nieobecność wydarzyło się w muzyce i przekazie bardzo wiele. Załoga wróciła razem z kryzysem wieku średniego i smutnym przekonaniem, że uciekło kawał życia. Oni zatrzymali się na wspomnieniach z lat 80. Mają już to, co chcieli mieć, kiedy założyli te swoje ciuszki koniunkturalistów i wreszcie mogą się odkuć i zaszaleć. Na pohybel. Niestety przez lata hibernacji zostali pozbawieni odporności na manipulację i propagandę władzy. Przez lata dostosowywali się do otaczającej rzeczywistości, tak, aby móc z niej czerpać jak najwięcej bonusów. Jednak zaprzątnięci tym czerpaniem nie zauważyli, jak zostali zarażeni wirusem uległości. Powtarzając prymitywną propagandę psychoprawicy jak własną, wciąż doprowadzają mnie do depresji. Cała ta armia w nowych ramoneskach najbardziej kocha słuchać grillpanka, gatunku, który idealnie wpasowuje się w oczekiwania spragnionych rock and rolla starszych panów.

Ostatnio przeżyłem chwile grozy i byłem blisko zawału. Na plakacie partii Korwina Mikke „Wolność" znalazł się bowiem fragment tekstu Dezertera „Zmiany". Ot tak, bez pytania o nic, partia, która własność wypisuje sobie

na sztandarach, bierze cudze i korzysta. A właściwie bezczelnie kradnie. Oczywiście natychmiast zareagowałem, grożąc prawnikami, śmiercią lub kalectwem i fragment zniknął. Ale przy okazji tej akcji miałem nieprzyjemność poczytać komentarze pod tym plakatem na fb. I kogo tam spotkałem w dużej ilości? Ludzi, którzy doskonale ten tekst rozpoznawali i byli z tego zadowoleni. Ja niestety nie byłem, bo okazało się, że wiara w bajki, chore bajki, jest również domeną „naszych".

Wyszło mi pesymistycznie i nieco przemądrzale, bo sam jestem już w wieku, kiedy kryzys może dopaść w każdej chwili. Ale pocieszam się, że jak robi się coś sensownego z zaangażowaniem i zapałem to nie ma czasu na kryzysy. Ale, żeby nie skupiać się tylko na starych pierdołach rzut oka na młodych. Czy pokolenie dwudziestolatków zrobi coś swojego? Część i to spora podąża za swoimi rodzicami powtarzając ich przekonania, to zrozumiałe. Część jest kompletnie wyłączona z realu na rzecz wirtualu. To też zrozumiałe. Ale jest część, która się interesuje. Jedna część patrzy w stronę wielkiej Polski i łyka tę narrację jak własną, a druga część jest mega krytyczna. Jednak brakuje jej pozainternetowej platformy wyrażania swoich emocji. Jedni idą na marsz niepodległości i czują się stada, a ci drudzy na razie są przyczajeni... Jednym z objawów aktywności był protest w sprawie sądów. Wtedy młodzi pokazali siłę. Szkoda tylko, że musieli się wstawiać za tymi skorumpowanymi i niekompetentnymi sądami. To taki nasz paradoks. Bronimy sądów, takimi, jakie są, bo jutro mogą być jeszcze gorsze... Paranoja. Jednak ten młodzieńczy zryw był fajny i napawał nadzieją, że jeszcze nie wszystko stracone... Oby.

Krzysiek

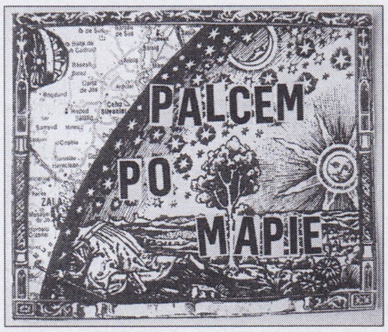

„To najlepszy moment by odwiedzić Puszczę Białowieską". Te słowa napisane na fejsowym profilu jednego z moich znajomych przekonały mnie, w którym kierunku mam się kierować podczas letniego urlopiku. Jak tu nie wierzyć w potężną moc tego wirtualnego stwora. Ma swoje plusy i minusy – jak wszystko. Wiele można mu zarzucić. Jednak dzięki fejsowi jestem na bieżąco z informacjami, choćby koncer-towymi w różnych miejscach, a funkcjonując w sposób obja-zdowy naprawdę pomaga dotrzeć tam, gdzie nawet się nie planowało być. Są to zupełnie spontaniczne historie. Choćby koncert WILD ARROWS i ETTE ENAKA w warsztacie rowerowym w węgierskim Miskolc. Miejsce to nazywa się Tinta Social i mieści się na podwórku, do którego nie było łatwo trafić, w starej dzielnicy tego miasta. Przypadkowo objawił mi się plakat trasy koncertowej tych zespołów nie gdzie indziej, jak na facebooku. Jedna z dat była przypisana do tego miasta, gdzie akurat jestem. O istnieniu tych, jakże fajnych zespołów, nie miałem pojęcia. Nie zastanawiając się długo wklepałem adres w nawigację, która poprowadziła mnie przedziwnymi krętymi, wąskimi uliczkami pomiędzy starymi budynkami, na których słowo elado wrosło dawno temu i nie chce opuścić tych rozsypujących się zabytków. W pewnym momencie moja kamienista trasa doprowadza mnie na cmentarz i przez moment było zawahanie, czy to, aby na pewno dobry kierunek. Jednak postanowiłem dać szansę tej nawigacji i ruszyłem alejkami pomiędzy grobowcami firmowym tranzitem. Udało się dotrzeć prawie na miejsce, co chwilami stało pod znakiem zapytania. Koncert w niewielkiej salce miał swój genialny klimat. Idealny dla takiej nuty. Można było odczuć, że publiczność to grupa dobrze znających się ludzi. Było to kameralne wydarzenie, ale jednocześnie wyjątkowe. Byłem bardzo zadowolony, że miałem możliwość uczestniczenia w tym niewielkim koncercie. Innym razem będąc w Niemczech zazdrościłem znajomym, którzy umieszczali zdjęcia zbiorów grzybów, których w tym roku był gigantyczny wysyp. Postanowiłem też zamieścić fotkę przypadkowo spotkanych grzybków. Niektóre osoby w trosce o moje zdrowie błyskawicznie poinformowały mnie o tym, że „to nie te". Jednak reakcja, która najbardziej mnie zdziwiła po zamieszczeniu tego zdjęcia to objawienie się kolegi Petera, który akurat chwilowo mieszka w okolicy, o czym nie miałem pojęcia. To jest właśnie podstawowy plus tego wirtualnego świata, że będąc w jakimś mieście można nagle skontaktować się z znajomym, którego dawno się nie widziało. Albo też odwrotnie czyli ciebie może ktoś zaskoczyć. Dla takich sytuacji warto mieć ten fejsowy profil. Tymczasem stoimy na wylocie Lublina z kartonem, na którym wymalowaliśmy napis Lubartów. Nic nie daje takiego zadowolenia, jak zatrzymujący się samochód, który zabiera cię po dłuższym machaniu ręką z wyciągniętym kciukiem. Radość potęguje tylko to, jak kierowca informuje, że zawiezie nas dalej niż było w planie. Tym razem młody ziomeczek zabiera nas do Radzynia Podlaskiego. Na początku katuje nas jakimś chujowym hip hopem, ale w miarę szybko wyszukał PIDŻAMĘ PORNO, a może STRACHY NA LACHY. Jak dla mnie to jedno i to samo, ale zdecydowanie lepiej niż poprzedni repertuar. Ważne, że dowozi nas gdziekolwiek, bo w tym Lublinie blisko godzinę nikt nas nie chciał zabrać. Dla odmiany następny stopik był błyskawiczny. Nie staliśmy nawet pięć minut. Tym razem postanowiliśmy napisać Siemiatycze. Po wejściu do wypasionego suwa dowiadujemy się, że pan i pani mogą nas dowieść aż do Białowieży, co było dla nas idealne. Muzycznie częstowali nas rockowymi klasykami lat 70. i może trochę 80., ale było też trochę Domowych Melodii. Czyli nie było źle. Oby częściej takie stopy. Kolacja w restauracji, która zapraszała na puszczańskie dania reklamując, że „kornik nie zjadł wszystkiego". Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że cały nasz pobyt w tej okolicy będzie dotyczył, „po której stronie konfliktu jesteście". Będzie to działało w dwie strony, bo będziemy dostawać takie pytania, jak i my będziemy rozkminiać naszych rozmówców. W tym momencie polityka leśna podzieliła mieszkańców całej okolicy. Ludzie, którzy przez lata mieszkali ze sobą w zgodzie dziś gryzą się wzajemnie. Przykre to jest. Logujemy się w przypadkowej agroturystyce, gdzie dzień wcześniej nocował jakiś podróżnik, który chce obejść Polskę dookoła na piechotę. Jak widać pozytywnych wariatów nie brakuje. Kiedyś miałem taki pomysł, tylko, że na rowerku. Nigdy go nie zrealizowałem. Może kiedyś... Dowiadujemy się o wspaniałej możliwości przekroczenia granicy z Białorusią mając tylko paszport. Wiza w jakiejś strefie nie jest wymagana. Niestety wyjeżdżając z domu nie mieliśmy tej informacji, więc oczywiście nie mamy w tym momencie tych dokumentów, więc nie korzystamy z tej jakże fajnej opcji. Idziemy więc odwiedzić żubry, bo będąc w Białowieży to obowiązkowa pozycja. Potem ścieżka dębów królewskich, no i docieramy do Pogorzelec. Obóz w obronie puszczy jest naprawdę bardzo dobrze zorganizowany i cieszy fakt, że cały czas są ludzie, którym nie jest obojętny los dzikiej przyrody. Przykre jest jednak to, że w ogóle dochodzi do takich sytuacji, by ta obrona tego regionu była konieczna w takiej postaci. Walka trwa o każde drzewo. O każde wejście do lasu, gdyż wprowadzono jakieś chore zakazy. Regularnie dochodzi do spięć ze strażą leśną i policją. Dowiadujemy się, że pseudopatrioci z Hajnówki także kilka razy zaprezentowali swoją głupotę atakując ekologów. Ten kraj nie przestanie mnie chyba nigdy zadziwiać. Albo raczej ludzie tu żyjący. Rano miał być ogarnięty spacer do regionów wycinki, co nas bardzo zainteresowało. Niestety w nocy została rozwalona kolejna blokada harwesterów. Z tego powodu nastąpiło spore zamieszanie i ekipa przesunęła spacer na następny dzień. Ruszamy więc dalej. Do Hajnówki docieramy z sympatycznym typem, który opowiada dokładnie, kto jest, po której stronie. Jak ludzie łatwo dają się zmanipulować. Potem niestety stopowanie nie poszło, więc wbijamy do busika, klimatem przypominający ukraińskie marszrutki, który zawozi nas do Narewki. Pamiętam to miejsce z wycieczki rowerowej sprzed kilku lat. Wtedy już podkręciłem się mocno spływem kajakowym. Nie zastanawiając się rezerwujemy dwuosobowy kajak na następny dzień. Akurat tego dnia odbywała się impreza Noc Kupały, więc atrakcja kulturalna na wieczór idealna. Zespoły folklorystyczne z regionu, a także po sąsiedzku zza wschodniej granicy naszego kraju. Niektóre momenty dostarczyły wiele radości. Jak choćby starszy pan tańczący solo, który był przekonany, że tańczy z kimś w parze. Mistrz parkietu. Takie regionalne małe imprezy dostarczają zazwyczaj wiele ciekawych indywidualności, co czyni taką imprezę bardziej punkową niż nie jeden drętwy koncert hardcore-punk. Dodatkową ciekawostką była wystawa zdjęć robionych przez dzieci z tej miejscowości. Jak dla mnie rewelacyjny pomysł. Poza tym to klasyka melanżu regionalnego. Na topienie wianków nie czekamy. Spotykamy je następnego dnia zaczepione na krzaczorach lub liliach wodnych. Chęć pobrania kajaka oczywiście zaskoczyła właściciela wypożyczalni, gdyż wyglądał na takiego, który nie zakończył jeszcze baletu z poprzedniej nocy. Powtarzając kilka razy, by dać mu pięć minut kręcił się i nie mógł się odnaleźć. Na szczęście córka panowała nad sytuacją, więc wszystko poszło zgodnie z planem. Ambitnie wybraliśmy najdłuższą trasę - z Narewki do Narwi płynąc najpierw rzeką Narewką a potem Narwią. O ile pierwsza rzeczka była urozmaicona w jakieś urwiska, wioski, mostki, ptaki, lilie wodne, itd. to Narew była obrośnięta przez tatarak i ciężko było coś poza tym zobaczyć innego. Zatrzymujemy się przy pustelni. Startując polecano nam odwiedzenie tego miejsca. Wyobrażałem sobie jakiś skromny domek, więc rozglądałem się, by nie przeoczyć tej atrakcji turystycznej. Jednak przeoczenie było raczej mało prawdopodobne. Kompleks cerkiewno-kościółkowy z zatoczką dla kajaków był widoczny z daleka i prezentował się naprawdę ładnie. Okazało się, że jest odnowiony po pożarze. Przywitali nas miło. Starszy pan oprowadzał po tej miejscówce jakąś grupę turystów, więc zastosowaliśmy podpinkę. Klasycznie w takich sytuacjach padło pytanie skąd jesteśmy. Odpowiedź, że z Podkarpacia nie zadowoliła. Dobrze znał nasz region, gdyż w wojsku tam miał jakieś ćwiczenia. Całkiem ciekawie opowiadał o historii tej pustelni, która na początku wyglądała zupełnie inaczej. O diecie, którą stosował pustelnik na tych mokradłach, a także o tym jak byli niedawno kilkukrotnie nękani i zastraszani przez „prawdziwych Polaków" z Hajnówki. Jak widać różnorodność religijna, kulturowa czy narodowa wschodnich terenów obecna od pokoleń nie wszystkim odpowiada. Przez wiele lat jakoś można było żyć obok siebie i nikt nikomu nie przeszkadzał. Najsmutniejsze jest to, że nadal wiele osób nie widzi problemu, jakim są te wszystkie ONR-y, które rozprzestrzeniają coraz dalej swoją chorą nienawiść za cichą zgodą partii rządzącej. Płyniemy dalej przyglądając się odlatującym łabędziom i dzikim kaczkom. Oczywiście nasz spływ rozciągnął się dłużej niż był przewidziany, więc na miejscu docelowym czekała na nas już ekipa z wypożyczalni. Cały dzień kajakowania był bardzo fajnym doświadczeniem. Polecam każdemu taką formę aktywnego wypoczynku. W Narwi rozglądamy się za spokojnym miejscem na nocleg, a przede wszystkim za jakąś gastronomią, o którą nie było tak łatwo. „Piekielna kuchnia" była zajęta przez dwie zorganizowane imprezy. Wychodząc dopytujemy się o inny lokal, gdzie można coś zjeść, gdy nagle jakiś typ zatrzymuje się samochodem i przekonuje nas, że ma dla nas kolacje wraz z noclegiem. Naprawdę dziwna i podejrzana sytuacja. Jest to tutejszy ksiądz proboszcz. Na początku nie mogłem wyczaić, o co chodzi i może interesowała jego propozycja. Jednak przekonał tym, że są już u niego zalogowani dwaj turyści-rowerzyści. Czemu nie? Może być ciekawie. Ksiądz zawiózł nas do budynku obok zabytkowego drewnianego kościoła. Była to dawna plebania. Warunki całkiem w porządku. Przedstawił rowerzystów, szybko oprowadził i pokazał, gdzie, co jest i się pożegnał, bo mu się spieszyło. Sytuacja była tak dziwna, że za bardzo nie mogłem pojąć, co tu się dzieje. Zostaliśmy sami, więc nie pozostało nic innego jak podejść do sklepu po piwko.

Krzysiek i Tadek byli na tak dla tej koncepcji. Okazali się naprawdę sympatycznymi typami. Pochodzili z Pabianic i podróżowali rowerami z konkretnie obładowanymi sakwami. Nic by nie było w tym dziwnego, jakby nie to, że mieli ponad 70 lat. Szacun i rispekt dla nich wielki. Pomyślałem sobie, czy mając tyle lat będę podejmował takie wycieczki. Wieczór przy piwku i kolacji minął bardzo szybko i przyjemnie. Gawęda płynęła, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi od lat. A jak opowiadali o akcji zabezpieczania gniazd żółwi błotnych, w których regularnie biorą udział to całkowicie wymiękłem. Zajebiste było także to, że przez kilka godzin rozmowy nie padło ani jedno zdanie na temat polityki. Jak widać można trafić na ciekawych ludzi nieskażonych tymi politycznymi podziałami. Od wielu lat wyruszają na wakacyjne wycieczki rowerowe i mają bogate doświadczenia. Jednak nie odpuszczają i mogą być, jako przykład, że nawet w starszym wieku można fajnie spędzać czas. Rano śniadanie u księdza, który jest wyluzowanym człowiekiem, jakże daleko od standardowego schematu księdza. Pytamy o stosunki pomiędzy kościołem a cerkwią. Okazuje się, że działają bezproblemowo zastępując się nawzajem z popem w razie choroby lub jakiegoś wyjazdu. Nawija non stop jedząc jednocześnie. Opowiada przeróżne ciekawostki z parafii aż do momentu, gdy zorientował się, że za chwilkę ma odprawiać mszę, więc w pośpiechu żegna się i zaznacza, że podróżowanie to także jakaś forma modlitwy, więc nie musimy iść na mszę. Nie mieliśmy tego w planie, ale jak widać człowiek zawsze może dowiedzieć się czegoś nowego. Jeszcze wspólna fotka z Krzyśkiem i Tadkiem, wymiana kontaktów, także fejsowych (?!), po czym jeden z nich prosi o przesłanie zdjęć. Tylko nie fejsem, bo traci się na jakości. Dziadki po 70 lat a ogarnięci internetowo bardziej niż ja. Spotkanie tych ludzi było naprawdę czystą przyjemnością. Taki mega pozytywny akcent w tym, jakże smutnym, społeczeństwie. Dwa dni później jesteśmy już w Warszawie, gdzie odbywa się któraś z kolei miesięcznica. Wydarzenie, które dla mnie jest tak bardzo kosmiczne, że w końcu musiałem zobaczyć to na własne oczy. Absurd na skalę światową. Ustawiamy się z kolegą Maćkiem w miejscu, gdzie jest wymalowany transparent „granica państwa PiS-land". W zasięgu wzroku tylko przeciwnicy czyli jesteśmy w strefie kontrmiesięcznicy. Jakiś koleś przez megafon namawia do podpisania listy dotyczącej zdelegalizowania ONR. Rozdawane są naklejki. Bardzo duży fragment Krakowskiego Przedmieścia zamknięty barierkami i obstawiony potężną ilością policji. Chcemy obejść to zamieszanie, kupić piwo i wypić nad Wisłą. Nad rzeką zupełnie inaczej. Spokojnie. Jakby zupełnie inny świat. Wracając trafiamy na drugą stronę tego wydarzenia czyli ekipę nawiedzonych. Będąc tam nie mogłem uwierzyć we własne oczy. W hasła na tych transparentach. O tym, co ci ludzie wykrzykują. Niektórzy maszerowali z flagami USA, bo chyba im zostały po uroczystościach powitalnych Trumpa. Jednym słowem Monty Python naszych czasów. Latający cyrk, który warto zobaczyć. Sytuacja dająca do myślenia, w jakim otoczeniu przyszło nam żyć. Na tej wycieczce spotkaliśmy wielu różnych ludzi. Może całą historię powinienem był rozpocząć hasłem, które przypadkowo spotkaliśmy na podwórku jakiegoś przedszkola w Lublinie – „Nibylandia jest stanem radości, latanie stanem ducha, a Piotruś Pan każdym z nas!". Z boku ktoś kredą dopisał- "Ulica rządzi kurwa mać". Tak więc latam z jednego miejsca do innego. Zastanawiam się czy to wszystko dzieje się naprawdę czy na niby.

rav

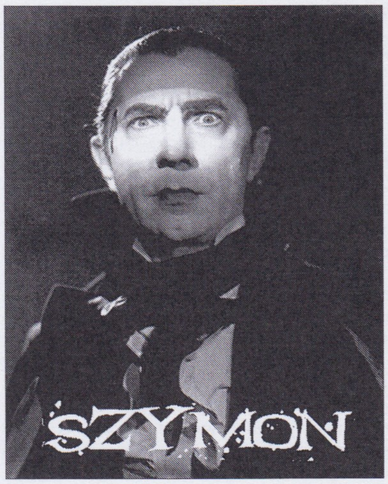

Dzisiaj o sprawach w zasa-dzie błahych, ale jednak upierdliwych. Na tyle błahych, że mocno się zastanawiałem czy się za nie brać, ale na tyle upierdliwych, że postanowiłem, że jednak owszem, tak. Otóż jakiś czas temu zagotował mi się telefon, skrzynka z wiadomościami też zaczęła niebezpiecznie bulgotać. Czy to ja. Czy, jeśli nie ja, to wiem, kto. Czy może mam pomysł, kto to może być. Trochę jak w filmie szpiegowskim kręconym w domu wariatów. Wszystko z powodu internetowego żarciku paru prześmiewców. Tak, piszę o ZDELEGALIZOWAĆ POLSKI PUNK. Samemu mi głupio. No, ale poruszenie, jakie w pewnych kręgach wzbudziła ta strona zasługuje moim zdaniem na wyśmianie w druku. Oto poważni ludzie, nierzadko niemłodzi już, z dorobkiem, a czasem i statusem legendy, dostali regularnego amoku. Nocne telefony, groźby, śledztwa, przypuszczenia, stany przedzawałowe, no i dysputy, rozkminki, gadanina. Z powodu strony, na której ktoś napisał parę słów prawdy o dramatycznym poziomie różnych popularnych wykonawców. Owszem, zdarzyło się parę przeginek, kilka niekoniecznie sprawiedliwych recenzji, widać też było, że na kilka bandów admini ZPP uwzięli się w sposób szczególny, nie zawsze zasłużenie. Ale przez cały czas mówimy o Profilu Na Fejsbuku Z Gupimi Żartami I Docinkami, tymczasem przez parę tygodni trzęsło się w polskim pankroku i huczało. Dziw, że nikt nie padł na nadciśnienie czy inną nadkwasotę, bo w końcu ekipa zaczepiana przez ZPP do najmłodszych i najzdrowiej żyjących nie należy.

Tak naprawdę to nie wiem do tej pory, czy rzecz jest warta wzmianki w poważnym fanzinie, tym bardziej, że pył już nieco opadł, ale… Coś, cholera, mówi to o kondycji części - wzbraniam się trochę przed użyciem słowa „scena", bo jednak część z zainteresowanych kontakt ze sceną ma najwyżej symboliczny, więc może części pankroka po prostu. Parę suchych zaczepek jest w stanie rozniecić taką burzę, jak żadne inne wydarzenie. Polska dryfuje w stronę nacjonalistycznego populizmu, jak gówno porwane prądem kanału i nawet pankrok nie jest od tej zarazy wolny- ojtam ojtam, no w końcu to muzyka, a nie polityka, nie dzielmy sceny. Ale napisać, że jarocińscy idole są w XXI wieku chujowym smutnym cieniem samych siebie - LARUM GRAJĄ, SZABLE W DŁOŃ, PANKROKA OBRAŻAJO!!!! Cienką i wrażliwą skórkę mają te panki, jejku jej. Pewnie zabolało tym bardziej, że jednak spora część pocisków wystrzelonych przez ZPP była całkiem celna - obecne wcielenie bardzo przeze mnie za młodu cenionego zespołu STRESS na ten przykład jest cienkie jak herbatka zaparzana po raz kolejny z tej samej torebki. To pewnie jest pankrok, ale zdecydowanie nie jest to pankrok dla mnie. Chociaż….

...Chociaż z takimi deklaracjami łatwo zawędrować za daleko. Ostatnio jeden kolega mi, a propos jakiegoś koncertu, na który się wybierałem, powiedział „eeee, ja na takie ekumeniczne spędy nie chodzę". No i najpierw się z nim pośmiałem, ale potem trochę jednak mnie to zastanowiło. Popatrzyłem na skład koncertu. Ojopolo- brak. Patriopanków - brak. Juwenaliowców Żenadnych - brak. Zbowidowców odklejonych od realiów - brak, chyba, że zaliczymy do nich KRYZYS. Ok, ten band ma upadki i wzloty, z zaliczeniem Rowu Mariańskiego w postaci koncertu dla narodowców parę lat temu, ale jednak Brylewski to zupełnie inny poziom niż THE BILL czy inny DEFEKT (czy to z Siwym czy z Irasem, jeden dół z wapnem). No cholerka, to, że na jednej imprezie występują kapele różnorodne, ale jednak trzymające jakiś pion i estetyczny i ideologiczny to może i jest ekumenizm, ale na Jaha, nie przesadzajmy. Czym innym jest wystąpienie na jednym gigu kapeli 77, electropunkowej i dajmy na to crusta, a czym innym anarchistów ze skłotu z patriotami z Podlasia. Naprawdę, nie ma, co przesadzać. Zresztą koncert był świetny, czego nie chciałem zobaczyć to przegadałem, to, co chciałem - zobaczyłem, wróciłem do domu z uśmiechniętą gębą. Zwłaszcza SIKSY, moich faworytów, jeżeli o ostatni rok chodzi, byłem mocno ciekaw na żywo, bo jeszcze nie widziałem, no i dali radę. Jest w tym przemyślana koncepcja, jest żywioł, mesydż i moc. Alex, co prawda ten sam koncert zdaje się jawił się kompletnie inaczej, czemu dała wyraz na profilu fejsbukowym SIKSY, pisząc o zlocie maczozbowidopanków. Ech. Jeśli ktoś kojarzy Rashomona, arcydzieło światowego kina, które opowiada o niemożliwości dotarcia do prawdy w oparciu o relacje ludzi, które zawsze skażone są subiektywnym postrzeganiem rzeczywistości, to wie jak bardzo różnie można przedstawić tę samą historię. Herstorię. Jakkolwiek zwał. Trochę szkoda, bo łatwo zacnej imprezie doczepić łatkę syfu i spędu dla ZBOWiD-owców… Chociaż widziałem zespół, który już dwa tygodnie przed imprezą wystawił jej negatywną recenzję piórem fejsbukowym (co nie przeszkodziło mu przyjechać i zagrać), jak się z organizatorem żegnał wylewnie, a po całej imprezie także wyrażał się raczej ciepło, choć nie bez krytycznej, acz naprawdę wyjątkowo delikatnej nutki… Rashomon. Cóż, nie ma tego złego najwyraźniej. Ja, jako chłopak prosty, kiedy mi jakaś impreza nie odpowiada to na niej nie gram, no, ale w końcu grałem w kapeli, która dostała łatkę najczęściej odwołującej koncerty na scenie, więc może nie powinienem się mądrzyć. W każdym razie gratuluję Zimie, bo udało mu się całkiem fajną cykliczną imprezę stworzyć w Gliwicach i trzymam kciuki. A że jest eklektycznie i ekumenicznie? Jest dzięki temu czas na pogaduchy ze znajomymi, a to przecież bardzo istotna część scenowych koncertów. Czasem ważniejsza niż sam koncert. A niechby i honorowe obywatelstwo mu dali, to zdaje się modne u panków ostatnio.

A, a parę dni temu znowu tęgoryjce maszerowały przez Warszawę. Tym razem ośmielone przychylnym klimatem, jaki mają ostatnio dla siebie w Polsce wyciągnęły z pawlacza hasła i idee, z którymi się przez parę lat czaiły. Celtyków jakby więcej, hasełka o białej supremacji, nawet NS - tego otwartym tekstem przez jakiś czas nie było nawet na Marszu. No ale doczekaliśmy czasów, kiedy bycie rasistowskim zjebem przestało być obciachem, a stało się powszechnie społecznie akceptowane. Albo prawie powszechnie. Z tym, że okazało się, że nie wszędzie. Otóż świat, o dziwo, dostrzegł w Marszu coś, czego nie zauważył ani minister Płaszczak ani życzliwi dziennikarze z telewizji publicznej. Przez media przetoczyły się informacje o marszu nacjonalistów, czy wręcz faszystów, w Polsce. Od tradycyjnie lewicowego Guardiana po konserwatywne Daily Mail poszła w świat historia o polskim faszyzmie. Zaprawdę, dumny nasz kraj powstał z kolan bardzo spektakularnie. Aż wywinął orła. Białego, rzecz jasna. W roli wisienki na torcie objawił się rzecznik Młodzieży Wszechpolskiej opowiadający o "rasowym separatyzmie". I pewnie, jak co roku pies z kulawą nogą by się nie zająknął, poza „lewakami", rzecz jasna, odbębniona zostałaby standardowa gadka o prowokatorach, rodzinach z dziećmi, o tym, że faszyści to we Włoszech, hehehe. No ale nie tym razem, bo jednak smród polskiego nacjonalizmu zaleciał daleko, hen, nawet za Atlantyk. Oczywiście, oficjalnie pobuczało się o szarganiu dobrego imienia patriotów i innych takich, ale jednak od rzecznika się szefowie MW najpierw odcięli, a potem go z organizacji wypierdolili. I nie ma cienia wątpliwości, że tak by się nie stało, gdyby nie wyraźny sygnał, który musiał przyjść z góry, czyli z PiS - „wiecie, schowajcie trochę ten wasz rasizm, bo widzicie, światowe lewactwo bruździ, nie wychylajcie się przez jakiś czas, bo nie damy wam policji, pieniędzy na race ani autobusów, żebyście zwieźli do Warszawy swoje sturmabteilung". Mała rzecz, ale cieszy, bo to pierwszy promyk, jaki zamajaczył w długim, brunatnym tunelu, w którym jesteśmy od dłuższego czasu. Nawet Duda coraz bardziej wchodzący w rolę dobrego policjanta stanowczo, jak na człowieka jeszcze niedawno wychwalającego za patriotyzm „środowiska kibicowskie" potępił ksenofobię i rasizm. A w Polsce roku 2017 to są, niestety, odważne słowa u polityka, zwłaszcza prawicowego.

Szymon

WSZYSCY JESTEŚMY ANTIFA!!!

Kolejny rok, kolejna jesień. Na drzewach czerwone liście, a na ulicach czarne flagi. Kolory te powinny dodawać nam odwagi, jak śpiewały dziewczyny z MIRAŻU zachęcając na demo w 2014 roku, ale w tym roku jest inaczej. Czerń łopocząca na wietrze i uniesiona na drzewcu nie jest już jednoznacznym symbolem buntu przeciwko zastanej rzeczywistości i chęci lepszego świata, sztandarem ludzi niemających nic do stracenia i gotowych zmusić system do uległości, by żyło nam się lepiej. W tym roku została podniesiona przez ręce gotowe zaprowadzić porządek w społeczeństwie, ustawić wszystkich według ich ról, z góry napisanych i przydzielonych, wytyczyć na nowo granice między ludźmi, wznieść na powrót mury, które z takim mozołem były burzone i rozbierane, wprowadzić separację ze względu na krew i sprawić by to siła decydowała o stosunkach społecznych. Czarny blok też był i były banery z symboliką Straight Edge, ale nie tam, gdzie być powinny i organizowane nie przez tych, którzy to powinni robić. Dlaczego? Czy nasz ruch jest w aż tak żałosnej kondycji, że nie jest w stanie obronić sam siebie i swoich symboli przed zawłaszczeniem przez faszystów? Nie wspominając o walce z nimi czy podjęciu starań o lepszy świat?

Sobota, zbiórka na wyjazd umówiona na 8 rano, do Warszawy kawałek drogi jest. Był plan i chęci by jechało nas więcej, ale na przeszkodzie staje to, co zawsze. Obowiązki, rodzina, praca, niedyspozycja. Jedziemy więc jednym autem w cztery osoby. Trochę też żal, że pomysł na zobaczenie BATTERY dzień wcześniej nie wypalił, ale niestety. Na powitanie znajomy mówi, że siedział poprzedniego wieczoru nad szablonem i zabrał go ze sobą. Nie ma więc bata, by nie sprawdzić jak się prezentuje na murze, a świąteczny poranek i ograniczony ruch to dobrzy sprzymierzeńcy by zostawić ślad na murach miasta w jakimś bardziej widocznym miejscu. Oczywiście jak to punki nie możemy obejść się bez żadnych atrakcji. Kolega rzucając mi puszkę, którą wcześniej skreślał celta nie wydmuchał resztki farby z końcówki, więc kiedy ją łapię puchę z większej odległości cały zapas z kapa upiększa moją czarną kurtkę w gustowną plamę białej farby z rozbryzgiem. Na szczęście po drodze jedziemy jeszcze po koleżankę i pada pomysł, że pomóc może zmywacz do paznokci i rzeczywiście to się sprawdza. Znajoma była zdziwiona, na co nam zmywacz i zastanawiała się czy lakieru do paznokci też nie potrzebujemy, a jeśli już to, jakiego koloru, ale jakbyście kiedyś mieli podobny problem to patent działa.

W Warszawie jesteśmy o 13. Droga mija w miarę szybko i bez problemu. Na trasie widoczne autokary, busy, samochody sympatyków Marszu Niepodległości. Śmieszy widok autobusów stojących w zatoczkach przy jezdni i grupy kilkunastu husarzy sikających na poboczu mimo, że stacja była parę kilometrów wcześniej, a następna jest niewiele dalej. Nachodzi myśl czy Adaś Miauczyński nie miał może racji zastanawiając się nad podobieństwami między Polską, a oszczaną klapą w pociągu, kiedy widzisz podobny obrazek po raz trzeci. W samym centrum korki z powodu biegu czy innych uroczystości, po ulicach prują jakieś limuzyny ze szklankami na dachach. Władcom zawsze się spieszy i czekać nie mogą. Nie to, co my. Znalezienie miejsca trochę zajmuje, ale udaje się zaparkować tak, żeby blisko mieć i na start dema i na koniec. Idziemy jeszcze coś zanieść przy okazji wizyty w stolicy, umawiamy się telefonicznie ze znajomymi, gdzie będziemy, żeby odnaleźć się na miejscu startu demonstracji i tam ruszamy.

Na miejscu zbiórki jesteśmy przed samą 14. Sporo ludzi już jest. Flag i transparentów cała różnorodność, w powietrzu atmosfera oczekiwania i raczej pozytywna. Z oddali słychać jakieś poruszenie gdzieś na skraju zbiórki, kilka osób z tłumu się zrywa, są jakieś krzyki, ale, o co chodzi nie wiadomo. Jak szybko powstał harmider tak szybko ucichł. Zaczynają się przygotowania do startu. Samba zaczyna grać, grupy i uczestniczy proszeni są o uformowanie kolumny. Na samym przodzie idzie transparent z hasłem tegorocznej manifestacji „Za wolność waszą i naszą. Historia dzieje się dziś" umieszczonym w sąsiedztwie czarnych flag z logo Akcji Antyfaszystowskiej. Później grupa ludzi głównie z czerwonymi flagami i kilkoma tęczowymi, następnie baner „Kobiety przeciwko faszyzmowi", za którymi powiewały flagi m.in. Brygad Międzynarodowych walczących w Hiszpanii, czerwone, czarne ze strzałami i kilka Polski. Następnie szła samba ROR, która licząc około 40 osób mocno rozruszała osoby idące w jej sąsiedztwie i była sporą atrakcją zarówno dla samych manifestantów, jak i przechodniów z boku. Zdarzały się lata, kiedy samby nie było i muszę przyznać, że jej obecność daje dużego kopa demonstracjom i bardzo ożywia pochód. Idąc jeszcze na miejsce startu dema mijaliśmy po drodze ludzi niosących jakąś lektykę i zastanawialiśmy, co to może być. Nasza ciekawość rozwiała się zaraz po przejściu kilkuset metrów demonstracji, kiedy to na skrzyżowaniu ulic pojawiła się grupka performerów przebranych na biało niosąca wspomnianą lektykę, a na niej dużego pieroga. Obok zwisały banery będące satyrą na MN i ich tegoroczne hasło: „My chcemy pieroga" głosił jeden, a drugi: „dzielmy się pierogiem, a nie straszmy Bogiem". Wszystko podpisane było jako „farsz niepodległości". Osoby w bieli miały maski w kształcie pierogów, a na plecach odbite były symbole falangi przerobione tak, że zamiast mieczyka był widelec z pierogiem. Podczas próby przedostania się do kolumny jedna z nich sypała mąką w powietrze, co nie spodobało się robocopom idącym wzdłuż. Nic tak nie ośmiesza i nie rozbraja siły funkcjonariusza, jak dobra parodia i niestandardowe zachowanie. Typ ubrany jak na wojnę cały czerwony na twarzy z rynsztunkiem obsypanym mąką tłumaczy i gada z gościem mającym atrapę pieroga na twarzy. To był dobry widok. Dalej w pochodzie szły kobiety z parasolkami ułożonymi w napis „faszyzm stop", a następnie transparent „dość niewoli reprodukcyjnej" i tęczowy blok z hasłem „rainbow is the new black", później parę znanych już banerów grup antyfaszystowskich, flagi czarne, czerwone, czarno-czerwone, a także flagi i transy innych organizacji, grup, stowarzyszeń czy partii. Jak kogoś interesuje to na necie pełno jest filmików, nie będę wymieniał wszystkich z nazwy. Przebieg całego wydarzenia był spokojny, incydentów żadnych nie zauważyłem i nie trafiłem też w mediach na wzmianki o nich. Ożywienie miało miejsce na krótkim łączniku między placem Trzech Krzyży, a rondem de Gaulle'a, który szczelnie był zastawiony prewencją w pełnym rynsztunku. Czoło demonstracji pokrzyczało trochę pod adresem marszu narodowców, ale czy było to przez nich słyszane trudno mi ocenić. Tu też odbyło się parę przemówień, z których najlepsze chyba było dziewczyny z Syreny, choć jest to moje subiektywne zdanie. Po wysłuchaniu treści wszystkich demo ruszyło dalej Wiejską pod Cyrk RP, gdzie była wyznaczona meta imprezy. Tam ostatnie show dała samba, padły ostatnie słowa m.in. o tym, że antyfaszyzm to postawa 24/7 i przez 365 dni w roku, a następnie demonstracja została rozwiązana. Przed końcem podano jeszcze info o zatrzymanych osobach ze stowarzyszenia Obywatele RP, których zawinięto, kiedy ustawili się na trasie MN, więc zgodnie z hasłem „solidarność naszą bronią" spora ilość osób udała się w stronę komisariatu na Wilczej. I jeśli szczerze mam napisać to dopiero wtedy mam poczucie, że rzeczywiście biorę udział w demonstracji prawdziwie spontanicznej i mającej w sobie „to coś". Kilkaset osób na spontanie, bez żadnych pozwoleń, zgód, ustaleń idzie środkiem ulicy krzycząc hasła przeciw faszystowskim bandytom, kapitalistycznemu systemowi wyzysku. Flagi w rękach, policja trochę zdezorientowana, widać, że się naradzają, przegrupowują. Na skrzyżowaniu Wilczej z Kruczą ustawia się blokada kasków. Głośno skandowane są hasła „uwolnić zatrzymanych", „policja broni bogatych przed biednymi", „zdejmijcie mundury przeproście wasze matki". Po kilkunastu minutach szpaler się wycofuje pod sam komisariat i ulica staje otworem. Tłum rusza więc pod drzwi komendy i ponownie upomina się o zatrzymanych wykrzykując hasła o solidarności. Stoimy tam jeszcze kolejnych kilkanaście minut i postanawiamy o powrocie. Droga do domu trochę zajmie, a obiecaliśmy jeszcze wpaść na herbatę do znajomych. Żegnamy się, więc z tymi, którzy zostają na miejscu lub też postanawiają wracać. Bierzemy kolegę, żeby podrzucić go do auta zostawionego gdzieś dalej, aby nie ryzykował niepotrzebnie, bo po bokach już słychać, że jacyś naziole odłączyli się od MN i zaczynają grasować w okolicznych ulicach. Na ile to plotki, na ile prawda trudno orzec, ale w małej grupie lub pojedynczo lepiej nie ryzykować. Ktoś mówi, że dwójka osób wracająca na miejsce dema po odprowadzeniu grupy przyjezdnych została otoczona przez kilku z prewencji w obawie przed napaścią ze strony jakiejś grupy narodowców, ale to również bez potwierdzenia. My idziemy się zagrzać, wypić herbatę i przegadać na szybko wrażenia z demonstracji. Podwozimy kolegę, a GPS kieruje nas na wylotówkę. Tak dobiega końca nasza wizyta w Warszawie.

Ale nie koniec przygód. Wracając trzeba jeszcze zatankować. Zjazd na pierwszą stację benzynową i krótkie rozpoznanie. Jeden autokar na zakupach, kilka aut w kolejce do dystrybutorów, a wszyscy przyodziani, jakby jechali na pokaz mody najnowszej kolekcji Red Is Bad. Spoglądamy po sobie i mimo, że ubrani raczej normalnie to z daleka widać, że nie jesteśmy raczej nacjonormatywni i trącimy lewactwem na kilometr. Nie zatrzymując się jedziemy więc dalej, by nie ryzykować upierdliwości na cepeenie. Za kilkanaście kilometrów jest następna już nie pod okupacją fanów NSZ-u, choć kilku nadpolaków kręci się tu i tam. Nic to jednak, zalać bak trzeba. Stajemy w kolejce i reprezentanci Narodowej Łodzi patrzą na nas dziwnie, ale odjeżdżają zostawiając nam miejsce. Trzeba jeszcze iść zapłacić, więc idzie znajomy i raz dwa wraca. Myśląc o tym, by się odlać, ale jak widział skupiony wzrok połowy stacji na sobie to stwierdził, że nie ma zamiaru wystuchiwać propozycji o jebaniu w toalecie, tym bardziej, że i tak by odmówił, bo ma już partnerkę. Aha, byłbym zapomniał, że tak jak my z dala nie wyglądamy na sympatyków prymatu wyższości dobra narodu nad innymi wartościami tak nasz samochód z odbitymi szablonami z tyłu i po bokach też wyróżniał się na tle pozostałych pojazdów na stacji. Może też, dlatego już w drodze do Warszawy załogi niektórych aut dziwnie spoglądały w naszą stronę podczas mijania i stania na światłach.

Z powrotem jesteśmy o 23 po krótkim jeszcze postoju na stacji, zjedzeniu czegoś i napiciu się. Droga tam i z powrotem minęła nam cała na dyskusjach. Jadąc tam debatowaliśmy nad tym, dokąd zmierza świat i zmiany, które aktualnie zachodzą. Z powrotem zaś nad stanem naszego ruchu, naszych idei i nas samych. Rozmawiało się tak dobrze, że będąc już na miejscu pod domem wciąż ciągniemy wątek, ale urywam go, bo późno już, a rano trzeba foody robić i nie ma przebacz. To był dobry dzień. Dobrze spędzony, z dobrymi ludźmi, w słusznej sprawie. Widzimy się za rok, a w międzyczasie dbajmy o własne podwórko. Wszyscy jesteśmy Antifa!

Jakie wrażenia po demie? Było dobre. Żywe, różnorodne, obecny był cały przekrój społeczny. Koło trzech tysięcy ludzi od osób starszych do młodych. Dobrze prezentowała się delegacja z Białorusi, było słychać Ukraińców. Starszy pan grubo po siedemdziesiątce podszedł uśmiechnięty do znajomych z pytaniem czy wiedzą, co oznaczają trzy strzały i że on pamięta je (zapewne z opowieści ojca) jako symbol PPS i zwalczania narodowców. Usłyszawszy, że dziś nadal jest on aktualny zadowolony odszedł chwaląc taką postawę. Było sporo kobiet. Zarówno w grupie organizacyjnej jak i na ulicy. Także w zapowiedzi, przemówieniach i wydźwięku demonstracji kwestia praw kobiet była mocno akcentowana i nie bez przyczyny. Kobiety są i zawsze były jednymi z pierwszych ofiar ruchów totalitarnych i pocieszającym jest fakt, że przy dzisiejszym ich marszu po dominację trafiają one akurat na okres rozwoju ruchów walczących kobiet. Coś jeszcze? Chyba tyle. Dobrze zrobił widok znajomych, którym wciąż się chce jeździć w ten dzień, co roku do stolicy. Twarze części z nich są tak opatrzone, że nawet w kominiarkach od razu ich poznajesz. Liczba młodych też daje jakąś nadzieję, że jeśli nie jest to tylko pojedynczy akt uczestnictwa w ruchu antyfaszystowskim to można patrzeć w przyszłość z jakimś płomyczkiem nadziei, ale to by było na tyle tego dobrego. Ten sam poziom liczby uczestników od kilku lat przy postępującym rozwoju nacjonalizmu wraz z jego braćmi - faszyzmem i rasizmem - nie świadczy dobrze o zdolnościach mobilizacyjnych i zasięgu ruchu. Coś jest nie tak, że nie potrafimy przyciągnąć nowych ludzi, wzbudzić w społeczeństwie zainteresowania sprawą i wygenerować mody albo konieczności na silny ruch antyfaszystowski. O tym właśnie dyskutowaliśmy wracając i konkluzje nie były niestety optymistyczne. Brak własnych mediów, brak organizacji, integracji, ośrodków idei, propagandy, szkoleń, pomocy wzajemnej jest aż nazbyt widoczny. Jak chcemy powstrzymać nacjonalistów, którzy z roku na rok zataczają szersze kręgi i wskakują na kolejny poziom organizacji, propagandy, liczebności sympatyków bez podstawowych narzędzi, które muszą być by ruch działał sprawnie i przemyślanie. Zastanawialiśmy się, gdzie w ogóle miałaby przebiec taka debata, jakie kierunki obrać, które strategie będą korzystne, na jakich akcjach powinniśmy się skupić, w jaki sposób przyciągnąć młode osoby, a starsze aktywizować na nowo i nie znaleźliśmy odpowiedzi. Nie ma tak, że nic się nie dzieje i ruch w ogóle osunął się w marazm, ale to, co robimy jest niewystarczające, a pokazuje nam to wzrost popularności nacjonalistów i to, że w wielu miastach sytuacja się radykalizuje dążąc do konfrontacji, na którą zdaje mi się nie jesteśmy przygotowani, a która wydaje się nieunikniona i wcale nie w wyniku naszych zamiarów. Całkowite powstrzymanie tendencji faszystowskich i ich rozbicie? Zdaje mi się, że w ruchu nikt nawet nie bierze tego pod uwagę. Zatrzymanie ich pochodu? Dobrze by było, ale jak? Z trudem trzymamy swoje własne miejsca i idee przy życiu, a gdzie rozwój, walka i pójście do przodu? Zmieńmy to nim będzie za późno, a z roku na roku dzwon zdaje się bić coraz głośniej.

Chciałbym za rok pójść z termosem ciepłej herbaty i książką do lasu, jeśli pogoda dopisze w ten dzień lub ugotować dobry obiad i spotkać się ze znajomymi, jeśli będzie brzydko. Wiem jednak, że to niemożliwe, ale za dwa, trzy lata? Jeśli się postaramy to dlaczego nie.

xK.x

TO NIE DZIEWCZYNY TWORZĄ PODZIAŁY!

Chciałabym sklecić tekst w formie i treści przystępny dla chaosowych wiernych. Ale czy to się uda w czasach, w których, jak to życzyli nam, żeby żyć, ciekawych? Czy nie będzie zbyt dużo emocji w takim tekście albo jednostronnej wizji dziewczyny ulepionej z TEJ kultury, w której żyjemy, kultury gwałtu, przemocy i nienawiści? Najpierw znajdą się tacy, którzy powiedzą nie przesadzaj albo, że nuda, potem tacy, którzy powiedzą, co cię tamci obchodzą, rób swoje, a potem może gdzieś na końcu ktoś powie - dobrze, że ciągle o tym mówisz. Dlatego, że to jest męski pankrok, ta gazeta, to środowisko, te wszystkie piosenki, te imprezy, te festiwale. No bo jakby nie był męski, to czy ważne by było, żeby organizator dumnie napominał, że pośród zespołów (dwudniowy festiwal) grają aż 3 dziewczyny? Śliniący się nienawistni mężczyźni i nienawidzące dziewczyn dziewczyny, produkty masy, bezrefleksyjnie odciskane ręce na ciałach przedmiotów, na fizycznych ciałach i na ciałach niewidzialnej duszy, która taki dotyk pamięta na zawsze.

Pozwólcie mi na strumień świadomości. Dlatego że tak, że pozwólcie. Nie zarzucajcie chaosu, wszak do chaosu piszę, choć robię to trochę wbrew sobie, bo o niebo wolę leżeć na hamaku i patrzeć na krzaki. A trochę nie wbrew sobie, bo rozumiem, że mam taką misję, żeby wytykać palcem i mówić o skazach. Główna skaza, skaza bóg, która zdobi ten pankrok, to męskocentryczny jego świat. Kuba poprosił mnie o trzy rzeczy do tego numeru, coś ziołowego, poradnik rewolucjonistki i coś o dzikim SPA (mam wannę w lesie i serwuję koleżankom resetujące kąpiele). Takie dziewczyńskie tematy, takie bezpieczne i na topie. Kuba ma dobre intencje, a ja taka zblazowana, nie umiem do „Chaosu" napisać niczym do gminnego biuletynu lub do internetu. Bo mi ten zine jawi się, jako ambitniejszy i w służbie podobnych sobie, bańki, bąbla, jak mówią moje wiejskie koleżanki. Że my żyjemy w bąblu, że ekologia, że prawa człowieka, zwierząt i Puszczy, że edukacja seksualna, że ekopodpaska z Rossmanna albo wielorazowa uszyta z flanelowej piżamy (recykling, DIY, świadoma konsumpcja), że weganizm, że komunikacja bez przemocy, że wolność, otwarte umysły, książki, teatr, pedały, lesby, rowery, aborcja na żądanie. W takim bąblu, co jeśli pęknie, to się rozleje po swoich, niestety nie na zewnątrz, bo na zewnątrz jest zło, jest nacjonalizm, są harvestery i narodowe media, jest policja w służbie państwa i nasz bąbelek to taki pryszcz właściwie. Nieważny. Mimo to, wiem, że jesteśmy solą tej ziemi. I mimo to, że spotykamy się wciąż ci sami, wciąż te same, to wierzę głęboko, że są nas tysiące, są nas miliony, tylko niektórzy uśpieni, potrzebują wielkich zdarzeń, wielkich protestów i autorytetów, żeby za nimi iść, żeby ktoś ich prowadził, bo tak jesteśmy skonstruowani systemem wychowania i edukacji i nie ma, co się dziwić. Nie każdy i każda z nas ma od razu z mlekiem matki wyssane myślenie krytyczne. Chcę poruszyć kilka kwestii naraz. Nadąż za mną albo oddaj mi pole do nieuporządkowanego wyrzucania myśli, ale mnie nie krytykuj, nie podważaj, bo nie daję Ci takiego przyzwolenia. Natomiast wytłumaczę Ci skąd ten nieporządek.

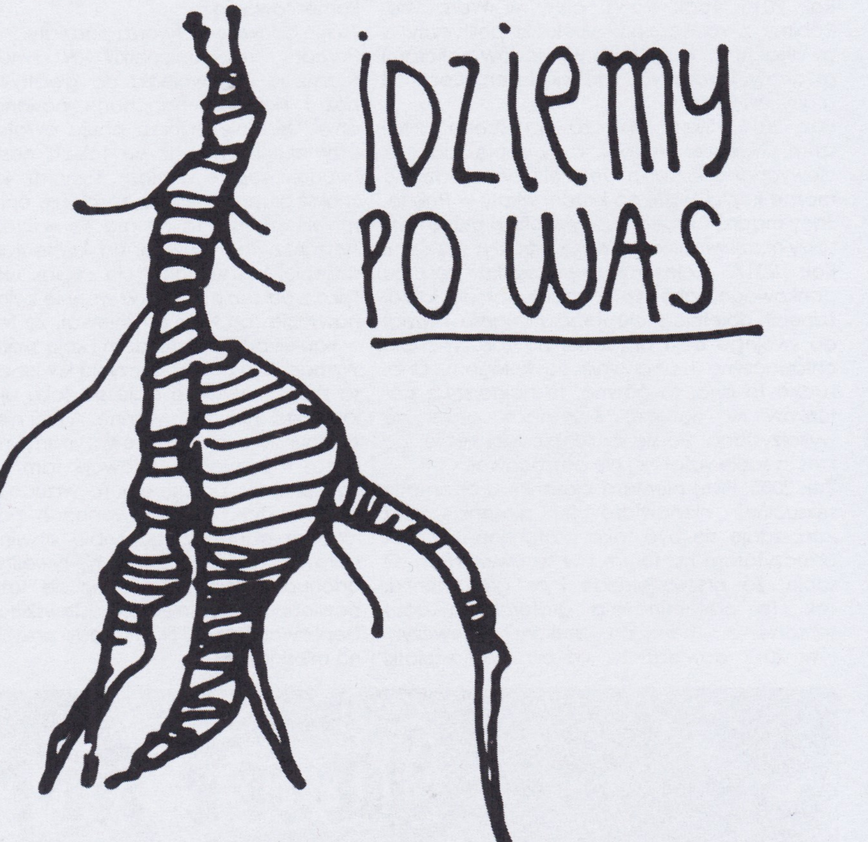

Jest rok 2017, pracuję w ośrodku kultury, robię plenerowy koncert DEZERTERA i PAST, jest mnóstwo ludzi, frekwencja przebija najśmielsze oczekiwania, jest głośno, piękne światła, świetne nagłośnienie, Gosia z PAST śpiewa jak syrena z najdzikszego oceanu, pogoda super, no dobrze jest i fajnie, DEZERTER niemal płonie z ekstazy publiki. Następnego dnia dostaję linka do wpisu Zuzy na FB, dziewczyny z publiczności, której ktoś wsadził rękę pod spódnicę i ścisnął, złapał, pomacał jej pupę! Ktoś sobie na to pozwolił i nie zastanowił się ani przez chwilę, co robi, bo nikt wcześniej nie upierdolił mu tej rączki w sensie procesu tego wychowania i edukacji. U nas po prostu można dotykać sobie kobiety jak się chce, można je łapać, można żartować o ich ciałach, można można ich nie szanować, można je gwałcić, można je w sumie traktować jak zeszłoroczny śnieg. Mają być. Mają wyglądać i siedzieć cicho, zamknąć mordy paszkwile jedne, kurwy, same tego chciały. Zuza ma może 18, może 20 lat, napisała bardzo osobisty tekst, w którym wyrzygała swoją niezgodę na takie zachowania. W dobę jej wpis osiąga zasięg portali internetowych, tysięcy reakcji, pogróżek, podziękowań, wsparcia. Młyn. Telewizja i prawa kobiet. I hejt. Hejt w sieci. Hejt najgorszy z możliwych, bo albo do nerwicy czy depresji prowadzi, albo do samobójstwa, albo do znieczulicy. Ludzie to dno, to gówno, to najgorszy z gatunków w naturze. Do Zuzy odzywa się nagle pół Polski, w tym setki czy tysiące dziewczyn z podobną historią. Zuza nagle musi stanąć na wysokości zadania nie tylko medialnego, ale także terapeutycznego i psychologicznego, bo weź tego wszystkiego wysłuchaj. To ją wzmacnia, owszem, ale czy ktoś może jej, do chuja panka, wynagrodzić to zdarzenie spod sceny? Zrozum mnie dobrze. Każdą z nas spotkało coś takiego w życiu, nie ma dziewczyny, dziewczynki, kobiety, która byłaby wolna od jakiejś formy molestowania seksualnego, od seksizmu. My wiemy, co to jest i to my będziemy o tym mówić i się z tym rozprawiać. Po swojemu! Jakoś, różnie, nienawistnie, sprytnie, twardo, ostro, podprogowo, wprost, książkami, piosenkami, wpisami w internetach, sztuką, muzyką, performensem, rozlaną krwią menstruacyjną, terapią, grupowaniem się, protestami, ciszą, wyszywaniem na majtkach, pisaniem na murach, budowaniem wspólnot kobiet, zakładaniem partii! Dla tych i za te, które nie mają siły tego zrobić, które są ofiarami tej kultury gwałtu bardziej niż są w stanie w ogóle to pojąć.

Nazajutrz dzwoni do mnie kolega, organizator wielu pankowych koncertów i pyta, o co tam chodzi z tą sprawą. Z tą sprawą. Z TĄ sprawą. Jak to, o co? O to, co zawsze i wszędzie. O przyzwolenie na przemoc seksualną wobec kobiet, o popularne nic nie robienie z tematem i wycieranie sobie wyrzutów sumienia jakąś formą zabrania głosu (często bagatelizującą formą). A co to jakaś nowość, że na scenie hc-punk w Polsce jest przemoc seksualna? Nowością może być pisanie o tym w męskim zinie, choć pewnie i to nie. Mówi mi, że na pankowych koncertach się takie rzeczy nie dzieją, a jeśli już, to że tacy kolesie są eksterminowani ze sceny. Co proszę? Ekskjuzmi? A co Ty jeden z drugim o tym wiecie?

Rok 2010 Żelebsko, ówczesny perkusista PROFANACJI łapie mnie za pupę jak wchodzę na scenę (żeby zagrać koncert), paraliżuje mnie to w stopniu takim, że nie mówię o tym, drętwo trzymam mikrofon i zamiast mu nim przypierdolić żeby zdechł, to dzielnie i z uśmiechem śpiewam te wszystkie piosenki o przemocy seksualnej, które mamy w repertuarze. Chcesz wiedzieć, dlaczego? Dlatego że nie chciałam szumu. Bo szum wydawał mi się gorszy niż ten dotyk. Bo już był wkoło mnie szum. Bo ani szumu, ani dotyku nie powinno być. Rozumiesz? Ja na tej scenie miałam wiele takich sytuacji. W Rzeszowie, w Olsztynie, we Wrocławiu, w Szczecinie, w Krakowie, w Ełku, w Gdańsku. A przecież niby nie daję sobie w kaszę dmuchać, niby taka wyluzowana i ostra z tej sceny. Nie mówiłam o tym przez lata, bo brakowało mi odwagi i nie miałam wsparcia. Bo w kim? W chłopakach? W których? Przecież na tej scenie nie ma feministów, nie ma za grosz odwagi w temacie seksizmu. Dziewczyny wiedzą o czym mówię, prawda? I o czym śpiewam. Dziewczyny zawsze po koncercie, niezależnie gdzie gramy i ile jest osób po sceną, zawsze opowiedzą swoją historię bezpośrednio (w kiblu, najczęściej w kiblu) lub napiszą potem

list, że dziękują, że śpiewam o nich. I szajka się rozrasta. A chłopaki? Nigdy (no może ostatnio coś tam przebąkują wystraszeni, bo zaczęłam o dzieciach śpiewać, a panki stały się rodzicami w międzyczasie, to inaczej patrzą na sprawy wychowania). Przecież ja nie mówię o bezpiecznych sprawach typu kapitalizm, nacjonalizm, telewizor, zwierzęta, system, anarchia i antifa. Tylko o tym, że trzeba wziąć odpowiedzialność za przyzwolenie na przemoc seksualną i dokopać się do jej podstaw i ją rozjebać w drobny mak. Zrozumieć, że nie ja mam się z tym uprać czy miliony ofiar seksistowskich żartów, tylko Ty masz iść po rozum do głowy, teraz.

Rok 2015, Teatr Powszechny w Warszawie. Robimy z koleżankami spektakl polityczny o gwałtach. Na podstawie wywiadów z ofiarami gwałtów i własnych doświadczeń. Spektakl grany jest 3 razy.

Rok 2016, Siksa wkracza na scenę. Robi szum. Świetnie, że robi, a Ty sobie radź, że niewygodna. Szkoda, że niektórych ludzi nie można kopiuj_wklej do każdej szkoły w Polsce. Jacy mądrzy ludzie wyszliby z takich placówek. I przy okazji wrażliwi na sztukę i siebie nawzajem.

Rok 2017. Koleżankę, wokalistkę zespołu pankowego, jakiś typek zaciągnął do łóżka. Zanęcił obietnicą ciepłego romansu i wziął do swojego celu orgazmu, no zaliczył sobie chłopaczyna i pochwalił się kolegom. Dno. Ludzie to dno, to gówno, to najgorszy z gatunków w naturze. Koleżanka czuje się wykorzystana, źle się czuje, nie lubi siebie, bo ktoś ją sobie wziął i jej nie poszanował.

Rok 2005. Piszę pierwszą piosenkę o przemocy seksualnej, nienawidzę tej piosenki przez lata, zdaje się być taka pretensjonalna. Tak przeczytałam na forum i w to uwierzyłam. O sobie. Że pretensjonalna i że grafomanka. Tak. Ta pretensjonalna grafomanka dała schronienie mentalne setkom dziewczyn. I w 2017 dowiedziała się od szesnastolatki spod Bydgoszczy, że „Wściekłyszpaler" (tzw. hymn czarnego protestu) dał jej siłę do walki, pociągnął za sznurek, który uruchomił w niej tryb walki o prawa kobiet.

Dlatego to robię, dla Agaty z Szubina, Zuzy z Milanówka, Oli z Cieszyna, Alicji z Tomaszowa, Laury, Martyny, Marysi, Krzysi, Agnieszki, Dominiki, choć szczerze znielubiłam koncerty przez tych wszystkich fagasów, co wiedzą lepiej niż ja, co mam robić, co śpiewać, jak wyglądać i zachowywać się na scenie.

Tak, ja po prostu nie lubię tępych kolesi i od pankroka wymagam wychodzenia poza ramy, refleksji wymagam, działań i napierania do przodu. A nie biernego brania i zajadłego komentowania.

To nie dziewczyny tworzą podziały.

Poradnik rewolucjonistki? W świecie społecznego przyzwolenia na gwałty? To ostry nóż i kieszenie napchane nasionami marchwi. Jeśli nie urżniesz chuja gwałciciela, to przynajmniej najedz się takich nasion, żeby utrudnić zajście w ciążę. I znajdź, koniecznie znajdź grupę wsparcia, nigdy nie bój się o tym mówić głośno, to on ma się wstydzić, a nie Ty! Nie zwracaj uwagi na komentarze i hejt, najlepiej ich w ogóle nie czytaj, nie słuchaj, tylko zrób sobie kąpiel w wannie z ziołami. Np. nawłocie (co Niemen śpiewał, że to mimozy) w kąpieli pachną miodem i koją skórę i nerwy. Wzmacniają nawet naczynia krwionośne, więc ta skóra faktycznie staje się taka ujędrniona, jak lubisz. Jeśli masz wannę. A jeśli nie masz, to zgrupuj się z innymi dziewczynami, na pewno któraś ma działkę, wstawcie tam wannę na kamieniach, palcie ogień, wrzucajcie dzikie zioła i leżcie w tych wannach pod gołym niebem odpuszczając sobie obwinianie się, porównywanie się z innymi, rywalizację oraz odchudzanie! Odchudzanie się też jest odpowiedzią na potrzeby seksistowskiego świata. Depilowanie brwi? Nóg? Środki przeciwbólowe na miesiączkę?

O, przy okazji o miesiączce, o której wciąż nie napisałam artykułu, co tyka mi w głowie jak bomba. Dziewczyny, czas już polubić miesiączkę (jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś). Miesiączka jest super fajna, trza ją po prostu poznać. Zachodnie wpływy wyparcia przyćmiły nasze miesiączki środkami przeciwbólowymi, zatkaniem upływu krwi, wstydem plamy i idiotycznym chichotem, co też jest przecież wytworem chorej patriarchalnej kultury! Miesiączka to Ty i ja, jedna piąta naszego życia, imprezka, ciało, myśl, odczuwanie, istota życia, natura, czekolada, łóżko, sen. Malowałaś kiedyś swoją krwią menstruacyjną? Pisałaś? Odciskałaś na ręczniku? Spróbuj, to uniezależnia od sztampy dnia i uspokaja. Spróbuj popatrzeć na nią jak na sztukę, zrób sobie swoją galerię sztuki menstruacyjnej lub po prostu zapoznaj się z nią, daj jej chwilę, krew jest miła, dobra i ma ładny kolor. Nie bójcie się miesiączki, nie bójcie się mówić wprost o tym, co Was gniecie, nie bójcie się dawać upustu swojej złości i niezgody na każde przekraczanie Waszych granic i stójcie za sobą murem. Grupy wsparcia dziewczyn są bardzo istotne i dają ogromną moc. No i są przyszłością tego świata. A jak już nie będzie narodów, bo narodowizm zdechnie w mękach pańskich, to będzie matriarchat.

I krew menstruacyjna na sztandary! Dzika marchew, nóż i podpaska! Świat teraz należy do dziewczyn i kobiet oraz do odważnych mężczyzn, odważnych chłopaków, co rozumieją, dlaczego muszą zrobić miejsce na wszystko, co dziewczyńskie, co kobiece.

Dziękuję. Do następnego!

Anna Czeremcha, z domu Zajdel

P.S. Tak, ja stawiam znak równości między seksistowskim żartem, a gwałtem. Dla mnie to jeden pies. Pozwalasz sobie na niewinny żarcik? Pozwolisz sobie na niewinny gwałcik.

ŚWIAT BEZ GŁODU I BEZ WOJEN

Jak pewnie zdołaliście zauważyć, „Chaos" to fanzine, w którym piszemy nie tylko o muzyce. Zawsze były dla nas ważne kwestie społeczne i socjalne. Wywiadem z ekipą opolskiego Food Not Bombs rozpoczynamy cykl wywiadów prezentujących lokalne ekipy foodowców. Przed wami wywiad z bardzo sympatyczną i bardzo młodą ekipą, bo większość ludzi zaangażowanych w te przedsięwzięcie jest w wieku 20+. Bardzo cieszy dopływ „świeżej krwi" do coraz bardziej starzejącej się załogi. W wywiadzie dowiecie się o specyfice Opola, kultowym miejscu Krakoffska36, foodshare'ingu oraz o kulisach działalności opolskiego Jedzenia Zamiast Bomb. Wywiadował QbaQ.

CHAOS: Hej! Na początek tej rozmowy przedstawcie nam się ładnie i powiedzcie, w jaki sposób trafiliście do „magicznego kręgu" Food Not Bombs?

FNB: Jeśli chodzi o opolskie kręcenie Fooda, przejęliśmy schedę po ekipie ACK. W obecnej ekipie pierwsze akcje zaczęliśmy robić jeszcze pod szyldem starej Fabryki. Na początku robiły to dwie osoby, później załoga się rozrosła. Większość trafiło przez znajomych z Fabryki, a później z Piekarni, parę osób znalazło nas przez Internet. Po tych kilku wspólnych latach, można powiedzieć, że jesteśmy grupą przyjaciół, nawet się trochę tolerujemy.

CHAOS: Z tego, co się orientuję to jesteście drugą falą Food Not Bombs w Opolu. Czy znacie ludzi z pierwszej ekipy, która zaczęła działać w pierwszej połowie 2000 roku? Od kiedy ruszyliście z dożywianiem?

FNB: Tak, przed nami gotowała spora ekipa. W Internecie można znaleźć niezły reportaż o ich działalności. Chodzi o ACK i ludzi z nimi powiązanych. Znamy się i lubimy. Pomogli nam w remoncie obecnej miejscówki i pierwsze termosy też odziedziczyliśmy po tamtej ekipie. Historia FNB w Opolu sięga jeszcze dalej, zanim znaczna część obecnego składu pojawiła się w tym mieście. Wychodzi na to, że to nawet nie druga fala, ale trzecia. Pierwsze przejawy Jedzenia Zamiast Bomb to połowa lat 90. Przytoczmy tu relację jednej z zaangażowanych foodowiczek. Jeśli chodzi o tę drugą falę, to zaczęła się w okolicach 2004/5. W Opolu nie działo się wtedy zbyt dobrze i środowiska alternatywne chciały temu stawić dzielnie czoło. Organizowaliśmy koncerty, spektakle ogniowe i warsztaty. Kulminacją tych działań było właśnie wspólne gotowanie i integracja społeczności lokalnej przy wspólnym posiłku. Spędzaliśmy ze sobą całe niedziele. Nikomu nigdzie się nie spieszyło. Specjalizowaliśmy się w daniach typu „miszung". Gdzieś się rozjechaliśmy po świecie, część założyła rodziny, ale o takich spawach się nie zapomina. To, jak się wtedy poznaliśmy i zintegrowaliśmy w swojej grupie, jest niesamowite.

CHAOS: Jedzenie Zamiast Bomb, to jasny punkt na mapie złego świata. Czy świat jest tak naprawdę na wskroś zły? Opowiedzcie nam o idealnej wizji swojego świata.

FNB: Zapewne poglądy na świat indywidualnie mogą się różnić. Łączy nas jednak przesłanie foodowe, czyli dwa aspekty - świat bez głodu i wojen. To wizja idealna, na którą recepty nie znamy. Wielu z nas stara się jednak w miarę możliwości taką wizję urzeczywistniać we własnym otoczeniu, tworząc swój własny lokalny świat. Czy świat sam w sobie jest zły? Na pewno nie jest czarno-biały, dzieje się sporo złego i sporo dobrego. Trudno określić, co przeważa szalę, ale sporo zła wynika z głupoty, niewiedzy, chciwości i złego gospodarowania. Sporo tej głupoty płynie z mass mediów. Staramy się walczyć z bezmyślnym konsumpcjonizmem i modą na powierzchowność.

CHAOS: FNB gotuje najczęściej dla ludzi biednych i wykluczonych, jak rozwiązalibyście w skali mikro (Opole) i makro (Polska) problem biedy i ubóstwa?

FNB: Problem jest niesamowicie złożony, a spora jego część leży po stronie systemowej. To zła i nieefektywna dystrybucja dóbr, ale też marnowanie środków, ludzkiej pracy i nawet samego jedzenia. Bieda i ubóstwo często są dziedziczone. Podejście instytucji państwowych jest raczej nieefektywne, polega na daniu ryby, a nie wędki. Chociaż mamy teoretycznie równe szanse, wielu ludzi z biedy nigdy nie wychodzi. Być może państwo powinno mocniej stawiać na edukację, w tym na coś takiego, jak świadome planowanie rodziny. Programy aktywizujące też nie są zbyt dobrze przemyślane. Warto również pomyśleć o bardziej przychylnej polityce wykorzystania nadprodukcji żywności, zwłaszcza przez sklepy wielkopowierzchniowe. Aktualne regulacje prawne niestety powodują większą opłacalność utylizacji jedzenia niż jego przekazania osobom niedożywionym.

CHAOS: Logistyka w projekcie FNB jest dosyć ważna, powiedzcie nam skąd bierzecie żywność na posiłki? Wiadomo, plastikowe naczynia też sporo kosztują. Skąd je bierzecie?

FNB: W większości produkty, z których gotujemy, pozyskujemy z lokalnego targowiska Cytrusek. Dostajemy je za darmo od zaprzyjaźnionych sprzedawców. Część produktów dostajemy też od osób prywatnych, które dostarczają je nam bezpośrednio albo na imprezach benefitowych. Od kilku lat korzystamy też z uprzejmości opolskiego piekarza, który w każdą niedzielę piecze dla nas chleb, bułki. Oddaje też wszystko, co zostało mu po zamknięciu piekarni w sobotę, jest więc, w czym wybierać. Dobrze, że zwracasz uwagę na logistykę. Z tym zmagaliśmy się praktycznie od początku, bo często nie było nikogo na chodzie - dysponującego prawkiem, ale na szczęście zorganizowaliśmy się na tyle, że od ostatnich lat da się to w miarę sprawnie rozwiązać. Regularne koncerty benefitowe (pozdrawiamy Qbe!) i nasze stoisko foodowe, które wystawiamy na wielu koncertach i wydarzeniach na KrakOFFskiej to główne źródła funduszy. Na ile można, stawiamy na DIY i recykling, chociaż jak piszesz – te plastiki kosztują, podobnie jak prąd i gaz. Niemniej jednak

większość wyposażenia foodowej kuchni udało nam się skompletować ze zbiorów prywatnych, wystawek i darowizn. Ogólnie koszty prowadzenia fooda przy dobrej organizacji nie są wysokie i często można zamknąć się w kilku stówkach na sezon. Nie zawsze było jednak tak kolorowo. Zanim dorobiliśmy się własnej kuchni, gotowaliśmy na chatach, często oddalonych od centrum, z dwoma palnikami i ograniczonym miejscem. Wtedy nie było łatwo!

CHAOS: Z tego, co wiem, to gotujecie w Graciarni czyli w Opolu kultowej KrakOFFskiej36. Możecie nam pokrótce opowiedzieć o tym miejscu?
FNB: To, że swoje miejsce znaleźliśmy na KrakOFFskiej 36, było naturalną konsekwencją naszych działań. Większość ze stałej ekipy wywodziła się z Fabryki, której następstwem była właśnie fundacja. Pytasz o Graciarnię. Jest to jedna z inicjatyw, które tworzą pewną całość. Wpisujemy to w działalność fundacji. Graciarnia jest komisem społecznym, z którego część dochodu idzie na utrzymanie całej przestrzeni. Komis przyjmuje rzeczy, których ktoś się pozbywa, i daje im drugą szansę. Można dostać tam wszystko od łyżeczki do herbaty po meblościankę z podświetlanym barkiem. Poza Graciarnią w budynku fundacji działa także salka prób, pracownia artystyczna, jadłodzielnia, sala koncertowo-warsztatowa i oczywiście nasza kuchnia! Cyklicznie odbywają się tam wymianki, warsztaty DIY, warsztaty taneczne.

CHAOS: Kiedy zaczynacie i kończycie sezon? Dlaczego generalnie rozdajecie jedzenie w niedzielę? Jak dużo osób korzysta z posiłków?
FNB: Sezon u nas trwa całą kalendarzową zimę. Przyjęło się, że zaczynamy w pierwszą niedzielę grudnia i kończmy w pierwszy dzień wiosny. Niedziela jest jedynym dniem tygodnia, w którym bezdomni i potrzebujący w Opolu nie mogą liczyć na darmowy ciepły posiłek w żadnym punkcie, dlatego są skazani na nasze wege/wegan specjały, które ponoć większości smakują. Na posiłek przychodzi zwykle od kilkunastu do trzydziestu osób, w zależności od pogody. Im zimniej, tym gorąca zupa lepiej rozgrzewa. Poza tym niedziela to jest dzień wolny od codziennych obowiązków (szkoła, praca, studia), więc jest to również forma spotkania towarzyskiego przelewająca się na akcje FNB.

CHAOS: Na waszym profilu widziałem krótki dokument o waszej działalności, kręcony przez TV Opole. Czy jest zainteresowanie mediów waszą inicjatywą, a jeśli jest, to są to zdawkowe informacje, czy może pojawia się i życzliwość mediów?
FNB: Rzeczywiście, praktycznie, co roku odwiedzają nas wysłannicy kilku lokalnych stacji, portali i gazet. Zainteresowanie jest, ale informacje często sprowadzają się do zarysowania idei bez wchodzenia w jakieś bardziej interesujące szczegóły. Wyjątkiem jest jeden dłuższy spot, gdzie TVP poświęciła nam blisko 6 minut czasu antenowego. To chyba nasz ulubiony!

CHAOS: Część z was jest freeganami - czy śmietniki z dyskontów też robią dobrze FNB?
FNB: Hasioki zawsze robią dobrze!

CHAOS: Opole kilkanaście lat temu było dosyć mocno zaskinione, wiadomka, niedobitki pierwszej fali naziolstwa jeszcze żyją w Opolu... A czy w czasach mody na skrajne prawactwo mieliście problemy z fanami swastyk i krzyżów celtyckich?
FNB: Nie, ale w Internetach pojawiają się czasami głosy krytyki, że karmimy nierobów, że co to za jedzenie, jak nie ma schabowego, albo, że przekaz antywojenny w dzisiejszych czasach nie ma sensu. Tak czy inaczej staramy się zawsze zaznaczać, że darmowymi specjałami częstujemy wszystkich, nie tylko bezdomnych i ubogich. Ci jednak stanowią największe grono beneficjentów.

CHAOS: Ile osób uczestniczy w akcjach FNB, czy macie stałą ekipą plus osoby dochodzące, czy jest duża rotacja? Czy dopadają was chwile zwątpienia czy zmęczenia?
FNB: Przez okres ostatnich 7-8 lat przewinęło się przez ekipę foodową około 30 osób, z czego względnie stały przez lata człon bywalców można policzyć na palcach jednej ręki. Niektórzy odpuszczają na sezon czy dwa, wiele osób jest w rozjazdach, parę osób zrezygnowało, za to dołączyli nowi, wnosząc zapał i energię. Gorsze momenty zdarzają się chyba w każdym sezonie, bo food potrafi być męczący, zwłaszcza w kwestiach organizacyjnych. Większość z nas to osoby pracujące i kilka studiujących. Czasem ciężko jest ruszyć tyłek, pojechać albo pójść po te warzywa, albo spędzić pół niedzieli gotując i sprzątając kuchnię. Nasza grupa jest na szczęście na tyle liczna, że w chwilach kryzysu zawsze da się zebrać te parę osób, które w dany dzień ogarną.

CHAOS: Jakie macie plany na sezon 2017-2018?
FNB: Powoli zbieramy siły przed sezonem. Robimy rozeznanie we własnych kręgach, następnie planujemy zorganizować otwarte spotkanie informacyjno-rekrutacyjne przed rozpoczęciem wydawki w grudniu. Potem dotrwać do wiosny! Będziemy również organizować przez cały sezon zimowy zbiórkę odzieży i ciepłych nakryć, by wspomóc najbardziej zatwardziałych petentów. Niektórzy zimują pod mostem i za nic nie chcą do noclegowni.

CHAOS: Czy utrzymujecie kontakty z ekipami FNB z innych miast i krajów?
FNB: Pewnie, często się wspieramy. W tamtym sezonie odwiedzili nas ludzie z częstochowskiego Fooda, my poratowaliśmy również łódzki food garami. Ogólnie z tego, co mówiła nam znajoma z poznańskiego Fooda, jesteśmy chyba najlepiej wyposażeni. Część z nas jest także w ogólnopolskim kolektywie foodowym organizującym przesyłanie informacji między sekcjami.

CHAOS: Jakie potrawy szczególnie lubią osoby przychodzące do was na posiłek?
FNB: Niektórzy dopytują o te nieszczęsne schabowe, ale wielu jest naprawdę zadowolonych, mogąc przy często bliskiej zera temperaturze zjeść talerz gorącej zupy lub ewentualnie osiem, bo tyle wsunął nasz rekordzista. Naszym niepowtarzalnym specjałem jest „miszung wegetariański" (nazwa odziedziczona po wcześniejszej ekipie), który składa się z warzyw, które akurat mamy. Takiej zupy nie da się powtórzyć nigdzie indziej poza kuchnią foodową, a jej smak ujmuje wszystkich. Mamy też od dwóch lat nadwornego kucharza zawodowego, który dba o sztukę kulinarną.

CHAOS: Wraz z kawiarnią Caffemoment mieliście kiedyś akcję „kawa za ciuch", możecie nam przybliżyć to wydarzenie?
FNB: Z Coffemoment to nieco inna historia. Tę kawiarnię tworzą społecznicy, pomagają, od kiedy pojawili się na rynku. Codziennie przed zamknięciem odwiedzały ich zaprzyjaźnione osoby, które „mieszkały" w okolicznych piwnicach czy bramach. Zawsze mogli liczyć na kanapkę czy ciacho, które w tym dniu nie zostały sprzedane. Zeszłoroczna akcja „Potrzebujesz? Weź! Chcesz pomóc? Zostaw!" była spontaniczna i przyniosła nieoczekiwany odzew. Po kilku dniach nazbierało się tyle ciepłej odzieży, że właściciele kawiarni musieli rozwozić ubrania po różnych instytucjach, bo nie byli w stanie wszystkiego rozdać. Co ciekawsze, na pomysł akcji wpadł zaprzyjaźniony z kawiarnią bezdomny.

CHAOS: Wiem, że też ostatnio odpaliliście foodsharing, możecie opowiedzieć nam o szczegółach tego przedsięwzięcia?
FNB: Foodsharing ma u nas postać otwartej dla wszystkich zainteresowanych lodówki i szafki. Każdy może przyjść i zostawić jedzenie, które mu zbywa, lub poczęstować się tym, co znajdzie w lodówce. Jadłodzielnia znajduje się w Graciarni i jest czynna w tych godzinach, co Graciarnia.

CHAOS: OK, to na koniec może kilka dodatkowych słów dla czytelników „Chaosu w Mojej Głowie"?
FNB: Zarówno my, jak i pozostałe ekipy FNB udowadniamy, że tak naprawdę niewiele trzeba, by w prosty, ale jakże istotny sposób pomóc ludziom potrzebującym. Wyjść naprzeciw ich potrzebom. Choć w najmniejszym stopniu starać się ulżyć w ich niełatwym losie. Organizujcie się, dołączajcie do już istniejących grup albo zakładajcie nowe. Potrzebujecie porady czy pomocy? Piszcie na ogólnopolskich forach lub na konkretne grupy z całej Polski.
Ekipa Jedzenie Zamiast Bomb Opole

RAYO VALLEKANO - LA VIDA PIRATA

O tym, iż St. Pauli to najbardziej punkowy klub piłkarski na świecie wie chyba każdy/a z nas. Jednak czy wiecie, że podobne kluby istnieją również pod innymi szerokościami geograficznymi? Jednym z nich jest właśnie RVM, czyli Rayo Vallekano Madrid. Klub, który zarówno swoją „polityką", jak i poprzez swoich wiernych kibiców, nieco odstaje od hiszpańskiej normy piłkarskiej. By dowiedzieć się nieco więcej o samym klubie, jak i atmosferze, jaka panuje wokół niego, postanowiliśmy przepytać Pawła, polskiego fana RVM, który prowadzi również face bookowego fanpage'a Rayo Vallecano Polska, gdzie na bieżąco opisuje losy drużyny i jej kibiców. Przepytywał: Krawat.

CHAOS: To może na sam początek przedstaw pokrótce historie klubu piłkarskiego Rayo Vallekano?

Paweł: Historia Rayo zaczyna się 29 maja 1924 roku, kiedy kilkoro przyjaciół postanowiło założyć własny klub piłkarski. Julián Huerta, pierwszy prezes nazwał go „El Rayo" czyli Błyskawica. Był zafascynowany argentyńskim klubem piłkarskim Atlético River Plate, dlatego też do dziś piłkarze Rayo noszą koszulki białe z czerwoną szarfą. Od tamtej pory Rayo, jak chyba nic do tej pory, rozsławiło południowo-wschodnią madrycką dzielnicę Vallecas. Dodam, że dzielnicę zamieszkałą głównie przez robotników. W 1977 r. Rayo (a później dodane do nazwy „Vallecano") awansowało do najwyższej klasy rozgrywkowej. Klub często lawirował między pierwszą a drugą ligą hiszpańską. Największe sukcesy drużyna odnosiła w latach 2000/2001, kiedy to dotarła do ćwierćfinału Pucharu UEFA, ulegając późniejszym finalistom tych rozgrywek, baskijskiej drużynie Deportivo Alavés. Dostali też łatkę „Matagigantes", czyli pogromcy gigantów, ponieważ kradli punkty największym; Realowi, Atletico, Barcelonie czy Deportivo. Obecnie Błyskawice grają w hiszpańskiej Segunda Division.

CHAOS: A skąd wzięła się u ciebie fascynacja tym klubem? Czy nie prościej by było poświęcić się jakiemuś lokalnemu klubowi lub któremuś z bardziej znanych klubów europejskich?

Paweł: Ja oczywiście lubię wiele klubów, szczególnie z Hiszpanii, ale Rayo to esencja. Fascynacja dojrzewała powoli. Podobała mi się ich gra. Zawsze o 3 punkty, ofensywna piłka, plus rewelacyjni kibice. Aczkolwiek przede wszystkim zadecydowało inne podejście do futbolu i wiele romantycznych historii. Mianowicie, kuchnie społeczne dla biednych i bezdomnych, robione przez piłkarzy i trenerów. W 2014 roku klub i jego kibice zorganizowali kampanię na rzecz wynajęcia lokalu 85-letniej kobiecie, która została wygnana z domu po tym, jak jej syn zastawił go na zabezpieczenie niezapłaconej pożyczki. „Nie chcemy stać i nic nie robić; pomożemy tej kobiecie" - powiedział ówczesny trener Paco Jemez. Zbiórki charytatywne czy koszulki meczowe z szarfą w kolorze tęczy przeciwko homofobii. Lubiąc Rayo możesz czuć się jego częścią. Nie ma podziału na gwiazdy i kibiców. To przede wszystkim zadecydowało.

CHAOS: Vallekas jest dziś jedną z najbiedniejszych dzielnic Madrytu, choć jeszcze w pierwszej połowie XX wieku było to osobne miasto. Wydaje mi się, iż bez specyficznego klimatu dzielnicy, nie byłoby fenomenu Rayo Vallekano?

Paweł: Na pewno, całe Vallekas jest mocno „alternatywne". Dzielnica pełna ubogich, bezdomnych, imigrantów, prostytutek i bandytów. Miasto Vallecas stało się częścią Madrytu, ale od czasu hiszpańskiej wojny domowej lewicowe pomysły nie odeszły, a nawet stały się silniejsze. Wtedy protestowali przeciwko faszystowskiemu reżimowi Franco, a teraz przeciwko kapitalizmowi. Zresztą mieszkańcy dalej nie uważają się za Madrytczyków tylko za mieszkańców Wolnej Republiki Vallekas. Dlatego chociaż klub nazywa się Rayo Vallecano, dla podkreślenia odrębności, kibice piszą zamiast przez „c" to przez „k", które w języku hiszpańskim nie występuję.

CHAOS: „Niepodległa Republika Vallekas - żądamy portu morskiego!" - to hasło, wymalowane gdzieś na murach dzielnicy w 1977 roku, rozpoczęło coś, co jakby określa charakter Vallekas. Buntowniczość, pirackość i pewna utopijność. Czy nadal te cechy możemy spotkać na ulicach tej dzielnicy?

Paweł: Zaczęło się właśnie od tego napisu. Cała piracka kultura Vallekas, wyrosła w latach 70. z pół-żartu, pół-protestu wypisanego farbą na murze. Od tego czasu „Port Morski" stał się symbolem dążenia do osiągnięcia niemożliwego. Określenie Piraci, ukute wobec mieszkańców Vallekas, po pewnym czasie przeniosło się na klub. Cały ten piracki etos wyrósł na gruncie dystansu wobec samych siebie i własnej pogoni za utopią. W dzielnicy, w której, na co dzień nie ma wielu powodów do radości, Rayo jest cotygodniową odskocznią od rzeczywistości. Dlatego uważam, że tak. Vallekas dalej ma te cechy i dalej nimi żyje.

CHAOS: Charakter Vallekas oraz jej drużyna nieco przypomina mi St. Pauli i jej sławną drużynę. Weźmy choćby pirackie flagi, jakie pojawiają się na obu stadionach. Czy również masz takie odczucia?
Paweł: Tak, jak najbardziej. Tutaj, co prawda - jak już wspomniałem - chodzi o utopię. Najbliższy port jest oddalony o jakieś 400 km, ale jak najbardziej, podobieństwa są uderzające.

CHAOS: W tym roku swe 25-lecie obchodzi najsławniejsza ekipa kibiców Rayo, Bukaneros. Jak opisałbyś tę ekipę? Zdaje się, że są bardzo antyrasistowscy i antykapitalistyczni, a zarazem bardzo oddani swojej dzielnicy i jej mieszkańcom?
Paweł: Bukaneros czyli Piraci, to ekstremalnie lewicowa grupa. Kochają Rayo i Vallecas z całego serca. Powstali, jako głos Vallecas w wyniku narastających problemów, bezczynności organów publicznych i wzięli sprawy w swoje ręce. To są ludzie, którzy wprowadzili politykę na stadion. A razem z nią tematy takie jak imigracja czy, tak jak mówiłeś, walka z rasizmem, homofobią oraz antykapitalizm.

CHAOS: W zeszłym roku miał miejsce strajk Bukaneros w związku z przystąpieniem klubu do programu „Antiviolencia", który uderzał w radykalizm kibiców oraz ich polityczne zaangażowanie. Jak zakończył się ten protest? Czy Bukaneros powrócili na trybuny Estadio de Vallecas?
Paweł: Źródłem strajku nie była jednak postawa LFP (Liga de Futbol Profesional), a reakcja klubu na jej wprowadzenie. Czy raczej brak reakcji. Zarząd Presy nie odniósł się w żaden sposób do programu „Antiviolencia", a co za tym idzie nie wziął w obronę Bukaneros. Dla grupy kibicowskiej Rayo, od dawna mającej na pieńku z obecnymi włodarzami klubu, był to nóż wymierzony prosto między łopatki. Ultrasi poczuli się zdradzeni. I ta bierność zarządu poskutkowała biernością kibiców. Żadnych przyśpiewek, żadnego dopingu. Interweniowali trener Paco Jemez i kapitan David Cobeño. Do interwencji ze strony zarządu nie doszło, jednak ostatecznie to Bukaneros się ugięli i uznali, iż w obliczu niekorzystnych wyników drużyna potrzebuje ich wsparcia. Powrócili w meczu z Celtą, który stał się pierwszym ligowym zwycięstwem od półtora miesiąca. Gdy spotkanie dobiegło końca na stadionie rozległa się mityczna „La vida pirata".

CHAOS: Radykalnym kibicom Rayo nie spodobał się też pomysł zakupu przez klub amerykańskiej drużyny sportowej i nazwanie jej Rayo Oklahoma? Była chyba nawet jakaś kampania przeciwko tej decyzji klubu. Jak ta sprawa się zakończyła?
Paweł: W opinii wielu kibiców było to wręcz skandalicznie. Boisko w kiepskim stanie, to samo szatnie, trybuny, na wiele organizacyjnych spraw brakuje środków, a prezes Martin Presa wykłada milion euro na Rayo Olkahoma. W stronę prezesa popłynęły oskarżenia o skupianie się na rozwoju biznesu, zamiast na dbałości o funkcjonowanie Rayo. Protesty zaczęły się wzmagać. Niektórzy zjawiali się na trybunach Estadio de Vallecas w koszulkach lokalnych rywali Rayo OKC. Później sprawa rozeszła się trochę po kościach, ale Presa został wrogiem numer jeden. I trwa to do dzisiaj. Bukaneros wytykają mu boleśnie każde potknięcie.

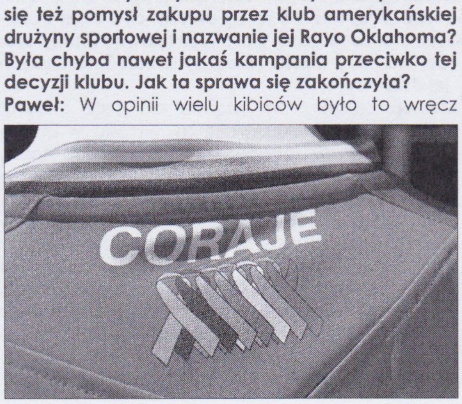

CHAOS: Czy prócz Bukaneros drużyna Rayo posiada jeszcze inne ekipy kibiców?
Paweł: Tak, jest ich około 17. Najbardziej znane to Planeta Rayista, Peña Rayista Bus 1, La Mala Vida i Peña 2004, której struktury istnieją w całym Madrycie. Grupy zorganizowanych sympatyków istnieją też w innych rejonach Hiszpanii (m.in. Grenadzie, Majorce i w Barcelonie), jak i w innych państwach świata (m.in. w argentyńskim Buenos Aires czy włoskim Mediolanie). W tych grupach jest mniej polityki, a więcej spraw organizacyjnych, jak na przykład wyjazdy na mecze.

CHAOS: Każda ekipa kibicowska ma swoich największych wrogów. Z kim mają kosę ultrasi Rayo, a z kim trzymają zgodę?
Paweł: Największa kosa była zawsze z neonazistami z Ultra Sur (Real Madryt). Zresztą ich ze stadionu wyrzucił nawet własny klub. Walka w obronie własnych pubów z fanami Realu była przeciętnym dniem na Vallecas. Teraz już się trochę uspokoiło, ponieważ kapitalizm przejmuję radykalną lewicę i mają inne zajęcia, ale zawsze są gotowi do walki i protestu. Z Frente Atletico (Atletico Madryt), Ultra Boys (Sporting) i Ligallo (Saragossa) też mocno nie po drodze. Tutaj również górują kibice skrajnie prawicowi. Sztama oczywiście z klubami lewej strony, Herri Norte (Athletic Bilbao), Peña Mujika (Real Sosiedad), Riazor Blues (Deportivo la Coruña), Indar Gorri (Osasuna), Biris (Sevilla FC) i największa zawsze z Brigadas Amarillas (Cadiz CF). Obie ekipy zawsze potwierdzają braterstwo krwi.

CHAOS: Wszyscy wiemy o antyrasistowskim charakterze kibiców Rayo, jednak w Hiszpanii nie brakuje rasistów, neofaszystów czy nacjonalistów. Czy na trybunach Rayo zdarzają się incydenty rasistowskie? Jeśli tak, to jak radzą sobie z nimi kibice czy władze klubu?
Paweł: Kiedyś rasizm na hiszpańskich boiskach to była prawdziwa plaga. Często można usłyszeć udawanie małp, gdy przy piłce był czarnoskóry piłkarz, rzucali w nich nawet bananami. Teraz trochę się już to uspokoiło, chociaż rasistowskie ekscesy się nadal pojawiają. Jeśli chodzi o Vallekas to nigdy o takiej sytuacji nie słyszałem, ale szczerze wątpię. Lewicowe poglądy są tak mocno zakorzenione, nie ma tu miejsca na takie akcje. I to nie jest tylko kwestia kibiców. Pracownicy klubu czy piłkarze, którzy są zatrudniani do klubu też najpierw mają rozmowę o podejściu klubu do rasizmu czy homofobii.

CHAOS: Antyrasizm to jedna sprawa, a jak wyglądają sympatie polityczne na trybunach Rayo? Czy można ujrzeć tam komentarze do sytuacji politycznej w Hiszpanii czy np. historyczne odniesienia do wydarzeń z okresu hiszpańskiej wojny domowej?
Paweł: Najzagorzalsi kibice to przede wszystkim czerwoni skini, antykapitaliści, więc strona polityczna jest oczywista. Na pewno są przeciwko Partido Popular (Partia Ludowa, prawicowo-konserwatywna). Komentarze do obecnych sytuacji politycznych, upamiętnianie wydarzeń historycznych, są częstym tematem, który się przewija.

CHAOS: St. Pauli ma duże wsparcie wśród muzyków różnych gatunków, choć w dużej mierze wywodzących się z punk rocka. Czy również drużyna i kibice Rayo Vallekas mogą liczyć na muzyczne wsparcie ze strony hiszpańskich (i nie tylko) punków, HC kids czy lewackich skinów?
Paweł: Szczerze powiedziawszy ja od tej strony nie najlepiej się orientuję. Trzeba pamiętać też, że Rayo nie jest tak popularne jak St. Pauli. To, co mi osobiście udało się odnaleźć to kilka lokalnych sound systemów i składów hip-hopowych. Najbardziej znaną ekipą wspierającą Dumę Vallecas

jest na pewno SKA-P, który również z tej dzielnicy się wywodzi. Piosenki „Como un Rayo" (Jak Błyskawica) i „Rayo Vallekano" zna chyba każda osoba związana z tą robotniczą dzielnicą.

CHAOS: Rayo to jednak przede wszystkim drużyna piłkarska. Jak dziś radzi sobie ekipa z Vallekas w rozgrywkach ligowych?

Paweł: Dwa lata temu Rayo po pięcioletnim pobycie w Primera Division, spadło do drugiej ligi. W tamtym sezonie było miejsce w środku tabeli. Na początku obecnego trener wypowiedział się, że celem jest powrót do pierwszej ligi. Na razie Błyskawice grają w kratkę. Po siedmiu kolejkach, 14 pozycja w tabeli, 2 zwycięstwa, 3 remisy i 2 porażki. Ale początki sezonu w tym klubie najczęściej wyglądają w ten sposób. Przed nowym sezonem odeszło 13 zawodników, a przyszło 10 nowych. Potrzeba czasu, aby wszyscy się zgrali. Ja do tej pory obejrzałem wszystkie mecze w sezonie i muszę przyznać, że gra na razie lepsza niż wyniki, niestety. Ale tiki-taka z Vallekas na pewno za niedługo odpali.

CHAOS: Których z obecnie grających piłkarzy Rayo możesz wyróżnić, jako najbardziej utalentowanych?

Paweł: W tym sezonie skład jest naprawdę dobry. Mamy Oscara Trejo z Tuluzy, który wyróżnia się umiejętnościami od pierwszego meczu. Dobrze zapowiadają się również Baiano z Bragi, Emiliano Velazquez czy skrzydłowy Adrien Embarba. Są też młodzi wychowankowie grający bez kompleksów w pierwszym składzie jak Santi Comensana i Fran Beltran.

CHAOS: Klub tej wielkości, co Rayo z pewnością ma problemy z utrzymaniem u siebie talentów piłkarskich? Jak duża jest rotacja w zawodnikach, bo zapewne ci, co lepsi odchodzą do bardziej uznanych drużyn i co za tym idzie, lepszych pieniędzy...

Paweł: Problem istnieje, ale skala tego nie jest duża. Rotacja jest, lecz wynika z tego, że Duma Vallecas bazuje w sporej części na piłkarzach wypożyczonych. Klub też specjalnie nie chce blokować piłkarzy i najczęściej podpisuje roczne kontrakty.

CHAOS: A czy przy Rayo Vallekano istnieje coś na kształt szkółki dla dzieci i młodzieży, gdzie trenerzy wyłapują nowe talenty?

Paweł: Jest Fundacja Rayo Vallecano i jej młodzi adepci radzą sobie bardzo dobrze. Tak, szkółką i „produkcją" młodych talentów Rayo na pewno może się chwalić. Młodzi regularnie ogrywają swoich rówieśników z ligi. Nie tak dawno walczyli w prestiżowym turnieju ulegając jedynie w finale Realowi Madryt. Ograli między innymi młodych z FC Barcelona, AC Milan, Arsenalu i Atletico. Klub pomagająca też stawiać pierwsze kroki w piłce nożnej dzieciom z ubogich rodzin.

CHAOS: Futbol nierozerwalnie związany jest w dzisiejszych czasach z kapitalizmem. W Hiszpanii istnieją kluby, gdzie ich częściowymi właścicielami są kibice czy stowarzyszenia kibiców. Jak to wygląda w przypadku Rayo Vallekano? Czy kibice mają jakikolwiek głos w sprawach klubu?

Paweł: Tutaj niestety rola kibiców w decydowaniu o losach klubu sukcesywnie się zmniejsza. Kapitalizm, jak wyżej napisałeś. Ale gdy w oknie zimowym do klubu został wypożyczony Roman Zozula (ukraiński piłkarz oskarżony o sympatie faszystowskie), po pierwszym treningu i transparentach „Not welcome" i „Nie ma miejsca dla nazistów" szybko wrócił do Betisu.

CHAOS: Jedną z najbarwniejszych postaci w historii klubu był bramkarz Wilfred Agbonavbare, zwany potocznie Willym lub Kotem z Vallekas. Kim był i czym zapisał się w historii klubu?

Paweł: Willy był odkryciem bramkarskim w Nigerii. W wieku 17 lat zadebiutował w reprezentacji. Marzenie gry w Europie, pchnęło go do Hiszpanii. Był na testach w wielu klubach, ale udało mu się tylko w jednym, Rayo Vallecano. Przy niemal 190 cm wzrostu ważył 80 kilo, ciemne oczy błyszczą nad wydatnymi, okrągłymi policzkami. Zdecydowanie miał w sobie coś z kota. W Rayo zaliczył 6 sezonów między pierwszą, a drugą ligą. 76 spotkań rozegranych w najwyższej kategorii rozgrywkowej, 177 w sumie, a wszystkie w barwach Rayo, ukochanego, jedynego Rayo. Zawsze był małomówny, odpowiadał na boisku. Zresztą była to miłość w pełni odwzajemniona. Nie ma rayisty, który nie kochałby Willego, za jego oddanie i świetne interwencje.

CHAOS: Czy poza Willym możemy mówić o jeszcze innych legendach związanych z klubem?

Paweł: W takim klubie jak Rayo ciężko o legendy, ponieważ bazuje na wypożyczeniach, a rotacje składu są praktycznie, co sezon, ale są piłkarze, którzy tak bardzo kochają zespół i tę atmosferę, że decydują się zostać dłużej, jak właśnie Willy. Do legend na pewno możemy już zaliczyć obecnego trenera Michela, który zagrał sporo meczy dla Błyskawic i strzelił 57 goli. To jest na razie najlepszy wynik w historii klubu. Jest Ángel Luis Alcázar, Jon Pérez Bol. Jest jeszcze jeden zawodnik, Jesús Diego Cota. Ten pan to absolutna legenda klubu. Jesús reprezentował Dumę Vallekas w latach 1987-2002. Rozegrał najwięcej meczy w całej historii klubu – 411. Nigdy nie zmienił klubu. Grał dla Rayo od pierwszego do ostatniego meczu swojej kariery.

CHAOS: Prowadzisz polski fanpage drużyny na facebooku. Co cię skłoniło do tego? Czy duże jest zainteresowanie losami drużyny z Vallekas w Polsce?

Paweł: Jeśli zerknąć na liczbę lajków na facebooku to szaleństwa nie ma. Nie jest to też profil oficjalny, materiały zbieram sam i często są tylko po hiszpańsku, co zresztą skłoniło mnie do nauki tegoż języka. Jednak powoli wszystko idzie do przodu i jestem dobrej myśli. Tak naprawdę to chciałem to zrobić już jakiś czas temu, tylko zawsze brakowało czasu albo chęci. Uwielbiam Rayo. Uważam, że to bardzo odmienna drużyna, stojąca w opozycji do współczesnego futbolu, przez co również bardzo ciekawa i po prostu chciałem się tym podzielić z innymi. Na pewno pomogła mi moja dziewczyna Ania, która sama prowadzi poczytnego bloga i mocno mnie zachęcała.

CHAOS: Wiesz może, kto najczęściej zagląda na twój fanpage Rayo? Czy są to zwykli sympatycy sportu czy może ludzie o określonych poglądach politycznych?

Paweł: Są tu „zwykli sympatycy futbolu", ale mam wrażenie, że przeważają ci z lewej strony mocy.

CHAOS: Jaką widzisz przyszłość dla drużyny z Vallekano i jej kibiców?

Paweł: Tak samo jak do tej pory. Flaga na maszt, odśpiewywanie „La vida pirata" (Pirackie życie) i do przodu! A tak na poważnie to Rayo będzie dalej kopać w piłkę z lepszym lub gorszym skutkiem, a kibice będą dalej dopingować. Kochają swój klub i nie jest dla nich ważne, która liga. Czy będą wygrywać czy przegrywać. Vamos Rayo!

MONDIALI ANTIRAZZISTI 2017

W Polsce od wielu lat punki i autonomiści organizowali i wciąż organizują sobie różnego rodzaju turnieje sportowe. Dziś są to głównie sporty walk, choć kiedyś górowała piłka nożna. Najstarszym i chyba najważniejszym tego typu turniejem na świecie, jest prawdopodobnie włoski turniej o wdzięcznej nazwie Mundial Antyrasistowski, który odbywa się od ponad 20 lat. Poprosiliśmy jednego z naszych kolegów, który miał niezmierne szczęście brać w tym roku udział w owym turnieju, o krótką relację z wydarzenia. (Krawat)

W dniach 5-9 lipca 2017 w ośrodku pod Modeną (Włochy) miał miejsce Mondiali Antirazzisti. Była to już XXI edycja największego w Europie festiwalu przeciwko dyskryminacji; rasizmowi, seksizmowi, homofobii. W tym roku na imprezie zorganizowanej przez Unione Italiana Sport Per Tutti (Włoska Unia na Rzecz Sportu dla Wszystkich) bawiło się ponad cztery tysiące uczestników z całej Europy. Bawiło, ale przede wszystkim grało, bo Mondiali Antirazzisti to sport. Królową jest oczywiście piłka nożna - w tym roku do turnieju zgłoszono 179 drużyn. Oprócz piłki nożnej był turniej koszykówki (27 ekip), siatkówki (40 ekip) oraz mniejsze turnieje rugby i street footballu (gra w klatce 3x3).
Oczywiście najwięcej drużyn reprezentowało Włochy, oprócz tego zjawiły się ekipy z całej Europy, Turcji i kilka reprezentujących inne kontynenty. Jak w ubiegłym roku, do turnieju zgłosiła się reprezentująca Polskę ekipa Chrząszczyków i AKS ZŁY (konkretnie Złe Dziewczyny). W tym roku udało nam się ściągnąć jeszcze drużynę Fiero Zawisza Rzgów oraz zaprzyjaźnioną drużynę z Ukrainy AFC NRG (Kijów).
W turnieju grały ze sobą różne drużyny. Były reprezentujące kluby sportowe, ale większość reprezentowała różne stowarzyszenia i grupy, głównie antyfaszystowskie oraz antyrasistowskie. Lista drużyn jest imponująca. Zagrała m.in. Antifa Roma i La Paz Antirazzista. Nie zabrakło drużyn kibiców jak Ultras Marseille czy Colore Schalke. Sporo ekip reprezentowało różne organizacje społeczne np. Avvocati di Strada Onlus (Adwokaci z ulicy - stowarzyszenie adwokatów broniących za darmo). Swoje reprezentacje wysłały różne świetlice, biblioteki - w tym tłumie była też i taka wystawione przez restaurację Trattoria Bracesco. Sporo drużyn reprezentowało grupy uchodźców i imigrantów np. Sahara Sahrawi, czy Buffalo Soldiers.
W turnieju piłkarskim nie ma podziału na płcie, wiek czy umiejętności. Grają wszyscy razem. Najwięcej było drużyn męskich lub mieszanych tzn. takich, w których grała, co najmniej jedna dziewczyna. Dzięki staraniom organizatorów (o tym szerzej napiszę dalej) z roku na rok w turnieju gra coraz więcej drużyn kobiecych. W tym roku było takich już 13.
Dwa pierwsze dni trwały rozgrywki w grupach. Mecze trwają 2x10 minut. Boiska (jest ich 15) to zwykła łąka. Nie ma sędziego a wszystkie kwestie rozwiązują sami grający. Nie ma złośliwości, nienawiści, a faule to tylko efekt sportowej walki, które szybko i z uśmiechem są wyjaśniane. Ćwierćfinały, półfinały i wielki finał to już tylko rzuty karne. Finałowa rozgrywka odbywa się w sobotę, w czasie koncertu pod sceną, a zaraz po niej jest dekoracja zwycięzców.
Mondiali Antirazzisti to nie tylko sport. Oczywiście, on jest najważniejszy i zajmuje najwięcej czasu. Kto nie gra ten kibicuje. Wszystkim drużynom, wspólny doping. Bez antagonizmów. Oprócz tego odbywa się cała masa wykładów, dyskusji i paneli. Dużo ciekawych tematów. Oprócz tych oficjalnych, przygotowanych przez organizatorów - mnie bardzo zaciekawił Okrągły Stół poświęcony pracy z uchodźcami czy prezentacja lokalnych programów pomocy uchodźcom - były takie spontaniczne, zorganizowane przez samych uczestników. Rozmowa z Turczynkami o tym, jak w ich kraju wygląda sytuacja kobiecej piłki nożnej i środowisk LGBT była jednym z takich wydarzeń. Niejedną godzinę przegadałem z ludźmi z różnych grup antyfaszystowskich/antyrasistowskich. Nowe kontakty, wymiana informacji - dla większości z nich Europa Wschodnia to ciągle biała plama.
Nasza grupa brała udział w Mondiali Anturazzisti w ramach projektu GoAll. To jedna z priorytetowych dla organizatorów inicjatyw, a jej celem jest przeciwdziałanie wykluczeniu, dyskryminacji ze względu na płeć i orientację seksualną. W dużym skrócie chodzi o to, aby więcej kobiet i osób LGBT czynnie i jawnie, bez strachu, uprawiało sport.
W tym roku już 13 drużyn uczestniczyło w tym programie. Nie dużo, ale z roku na rok jest ich coraz więcej. Była prezentacja drużyn, dużo dyskusji o codziennej pracy i o problemach. Homofobia i seksizm to niestety ciągle codzienność w każdym kraju.
Na Mundialu nie ma czasu na nudę. Po całym dniu emocji sportowych i intelektualnych, są wieczorne atrakcje. Co roku gwiazdą koncertów jest LOS FASTIDIOS. Widziałem ich kilka razy, ale ten koncert na Mondiali był jedyny w swoim rodzaju. Niezapomniany. Przednia zabawa zresztą była na każdym występie. Po koncertach do później nocy zabawę prowadzą DJ-e. Na terenie jest kilka barów, gdzie zabawa, wspólne śpiewy i tańce trwają prawie cały czas.
Mimo, iż Mondiali Antirazzisti gromadzi spory tłum ludzi z różnych środowisk i kultur to jest to impreza bezpieczna. Nigdy w historii tej imprezy nie zdarzył się przypadek agresji. Piwo i wino leje się strumieniami, to jednak nie ma tak częstych - na innych imprezach - spięć. Jest oczywiście grupa ochroniarzy, bo tak wymaga włoskie prawo, ale ci dżentelmeni ubrani w kamizelki z napisem Antyrasistowska Ochrona, głównie zajmują się robieniem zdjęć i przybijaniem piątek z dobrze bawiącymi się uczestnikami.
Warto zaznaczyć, że Mondiali Antirazzisti to impreza bardzo formalna. Samorządy pobliskiej Modeny i Bolonii są jej patronami. Tradycją jest spotkanie władz Modeny z delegacją uczestników. Lokalne radio prowadzi przez cały czas transmisję, a wszystkie media włoskie zamieszczają relację z tej imprezy.
Reasumując; to wspaniała impreza, bardzo intensywnie spędzone 5 dni. Jest spora dawka emocji sportowych, dużo zabawy oraz nie mniej spraw merytorycznych. To okazja do spotkania interesujących i świetnych ludzi, wymiany doświadczeń i nauki. To, czego możemy się dowiedzieć od przedstawicieli innych środowisk to rzecz bezcenna. Żadna książka czy artykuł w necie tego nie zastąpią.

Rupert

NON
ESISTONO
CAUSE
PERSE
#AVVOCATODISTRADA

VIRTUS
DEATH
BRIGADE

UISP

OPOWIEŚĆ O LUDZIACH BEZDOMNYCH

Bezdomność to temat rzeka. Problem wcześniej znany mojemu pokoleniu wyłącznie z amerykańskich filmów. Nawet rzecznik PRL-owskiego rządu Jerzy Urban chciał wysyłać śpiwory do Stanów Zjednoczonych, by pomóc amerykańskim bezdomnym. Nie bacząc, że jeśli chodzi o artykuły spożywcze, to tamci bezdomni mieli większy wybór jedzenia niż zwykli ludzie w PRL-u lat 80. Teraz zjawisko to już na tyle długo funkcjonuje w naszej rzeczywistości, że przyzwyczailiśmy się do obecności osób bezdomnych. Ba!, niektórzy mądrzy gówniarze wykorzystują głęboko uzależnione, czasem wręcz zaburzone psychicznie osoby, do swoich „zabawnych" filmików pokazywanych na YouTube. Sam widziałem kilku moich klientów na takich filmikach.

Powstało wiele książek, prac magisterskich, doktorskich na ten temat. Nie chcę tu pisać o podręcznikowych przyczynach bezdomności. W trakcie mojego obowiązkowego dokształcania popełniłem dwie takie prace. Chciałbym na łamach punkowego zina podzielić się z wami moimi obserwacjami dotyczącymi tego zjawiska. Piszę ten tekst z punktu widzenia mrówki, która od 17 lat próbuje zmagać się z pomocą osobom bezdomnym. Przez 15 lat sam zajmowałem się bezdomnością na terenie mojego miasta, od 2 lat jest już nas dwoje, a pracy ciągle jest wiele. Moi domownicy przyzwyczaili się, że w domu dużo piszę, bowiem za dnia w pracy nie da się wszystkiego ogarnąć. Czasami jedna akcja zajmie cały dzień, a przecież są też inne osoby, które czekają na pomoc. Tak więc w domu ogarniam to, co najpilniejsze, uzupełniam wywiady środowiskowe, piszę notatki służbowe.

Na pewno nie poruszę wszystkich tematów, bowiem musiałby to być dłuższy tekst, a nie chcę zanudzać. Podam parę przypadków z życia moich klientów/partnerów w pracy, ale widzianych moimi oczami. Nie lubię słowa „podopieczny" - w końcu są to wolni ludzie, którzy mogą, chcą, bądź czasem są zmuszeni skorzystać z mojej pomocy. Chciałbym na wstępie zaznaczyć, że nie wszystkie nasze modele działania muszą być właściwe, każdy z pracowników ma inny system pracy dojścia do człowieka. To truizm, każdy jest inny, każdy ma swoje metody. Na pewno chcemy dobrze, a jak wiadomo dobrymi chęciami...

Zdaję też sobie sprawę, że w jakiś sposób będzie to subiektywny obraz osób bezdomnych wdzianych oczami urzędnika. Dla moich klientów jestem właśnie tylko urzędnikiem. Zdaję sobie sprawę, że jestem niejako po drugiej stronie, szanuję to i też nie przekraczam pewnych granic w naszych relacjach. Śmieszą mnie artykuły, prace, w których ich autorzy twierdzą, że wiedzą wszystko o osobach bezdomnych, łatwo wyrokują, oceniają, moralizują. Uważam, że osoby będące dłuższy czas w bezdomności są jak politycy: mówią tylko to, co chcą powiedzieć, tyle, by nie zaszkodzić sobie. Jest to świat, który trudno zrozumieć osobom nie mającym takich problemów. Na potwierdzenie swych słów miałem taki przypadek, że jeden pan opuścił schronisko i znaleziono potem jego notes. Z czystej ciekawości przeczytałem kilka zapisów, w których pisał o mnie. Miał zapisane np. „Byłem u Tomka, powiedziałem mu, że z prac dorywczych zarobiłem ...", a parę dni później był zapis, że odebrał dużo więcej niż zadeklarował mi podczas wywiadu. Nie muszę przypominać, że kwotę podawał na oświadczeniu, gdzie za każdym razem jest informowany o odpowiedzialności karnej. Dwa światy, nie widział sprzeczności w swoim postępowaniu, sumiennie dokumentował swoje dochody - odmienne od tych, które mi podawał. Taka mała dygresja. Wkurzają mnie artykuły o życiu bezdomnych, w których dziennikarze chcą się wcielić w życie bezdomnego. Moim zdaniem nie ma to sensu, jest to tylko działanie pod publikę, szukanie taniej sensacji. Zresztą jeden z dziennikarzy nawet zamarzł śpiąc w jakimś pustostanie.

Myślę, że bezdomnym nie można być na chwilę. Cała tzw. beznadzieja ich sytuacji polega na tym, że nie masz gdzie iść, nie masz perspektyw, myślisz tylko o tym, co zjeść i gdzie się przespać. Twoje życie ogranicza się tylko do tu i teraz. Nikt na chwilę nie wczuje się w takie życie, bo potem ma gdzie wrócić, do ciepłego domu, rodziny, znajomych. Takie artykuły, programy, są moim zdaniem z gruntu nieuczciwe. Tak samo jak kilka lat temu politycy udowadniali, że można przeżyć miesięcznie za 500 zł. Mam nadzieję, że już nie są politykami. Przez jeden miesiąc można żyć za jeszcze mniejsze pieniądze. Problem polega na tym, że u ludzi żyjących z dnia na dzień (niezależnie od przyczyn takiego stanu) każdy nieprzewidziany wydatek (zepsuta pralka, buty) powoduje katastrofę ich budżetu. Stają się wtedy łatwym kąskiem dla tzw. parabanków, które potem tylko pogłębiają ich problemy.

LICZBA OSÓB BEZDOMNYCH

Trudno oszacować liczbę osób bezdomnych, gdyż to zależy od metodologii badań. Co naukowiec, to inny wynik. Co rok, dwa Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej prosi gminy o zestawienia dotyczące pomocy osobom bezdomnym. O ile łatwo jest podać ile osób w danym roku przebywało w schroniskach dla bezdomnych, noclegowniach i ogrzewalniach, ile skorzystało z pomocy OPS, o tyle oszacować ilość tych osób poza powyższymi miejscami jest trudno. Zresztą do noclegowni trafiają też przypadkowe osoby, niekoniecznie bezdomne. Trafiają się też tacy cwaniacy, co nie chcą w podróży płacić za nocleg i przychodzą na noc do noclegowni. Zweryfikowanie takich osób, zwłaszcza w godzinach wieczornych, bywa praktycznie niemożliwe. Osobiście miałem takie przypadki, że w środku nocy zadzwoniono do mnie ze szpitala, że mają osobę, która została do nich przywieziona, a po jej przebadaniu okazało się, że nie wymaga leczenia i nie ma co z nią zrobić. Ponieważ był okres zimowy poinformowałem ich, że mogą ją przewieźć do noclegowni. Na drugi dzień okazało się, że człowiek ten mieszka ze starym ojcem w niedalekiej miejscowości. Poprzedniego dnia ojciec wezwał do niego karetkę pogotowia, następnie zawieziono go do izby przyjęć. Zanim zdążono go przebadać nastała noc i nie wiedziano, co z nim zrobić. Wybrali najprostsze rozwiązanie - zawiezienie do noclegowni. O przygodach ze służbą zdrowia będę pisał też później.

W mediach czasami pojawia się informacja o ogólnopolskiej akcji liczenia bezdomnych. Jednej nocy w każdej gminie liczone są osoby bezdomne. Koordynatorem w każdej gminie jest OPS. Dane zbierane są ze schronisk, noclegowni, ogrzewalni, szpitali, izb wytrzeźwień, zakładów karnych, są też patrole policji, straży miejskich, które liczą osoby bezdomne w tzw. miejscach niemieszkalnych, takich jak: pustostany, kanały, działki itp. Ja w takie noce jeżdżę ze strażnikami miejskimi. Na pewno jakieś rozeznanie daje, ale nie są to dane doskonałe, bowiem osoby bezdomne są mobilne, nie zawsze są w tych miejscach w czasie liczenia. Na tę jedną noc mogą być akurat u znajomych, w knajpie, etc. Najtrudniejsze do zweryfikowania są dane z zakładów karnych. W moim mieście jest duży zakład i dane są co roku mocno zawyżone, zwłaszcza, że nie zawsze jest dobre rozeznanie wychowawców, co do statusu mieszkaniowego ich osadzonych. Jakiś racjonalizator z ministerstwa dwukrotnie zażyczył sobie, by przy tej okazji wypełnić z osobami bezdomnymi ankietę. Chcecie chyba widzieć reakcję części z tych osób, jak stoję przed nimi z ankietą, którą przy świetle latarek muszę wypełnić. W tym roku kazano jeszcze podzielić te osoby według wykształcenia, wieku, okresu w bezdomności i innych wskaźników. Kilka dobrych godzin liczenia danych, które nie odzwierciedlają faktycznej liczby osób bezdomnych, czyli straconych godzin na faktyczną pracę z moimi klientami.

PLACÓWKI DLA BEZDOMNYCH NA TERENIE RACIBORZA

W Raciborzu pierwszy dom dla bezdomnych założył w 1994 roku Monar (Ośrodek Profilaktyki Społecznej dla Bezdomnych MARKOT - 4). Oczywiście nie obyło się bez protestów mieszkańców, pomimo, że budynek był usytuowany na obrzeżach miasta, oddalony od zabudowań gospodarczych. W związku z faktem, iż deklarowany wkład finansowy Monaru był znikomy, Ośrodek ten funkcjonował w stanie ciągłego zagrożenia zakończeniem działalności, co też się stało w 1997 roku. Placówkę w czerwcu 1997 roku przejęła Fundacja SOS Dzieciom w Katowicach. W tym czasie wprowadzono program wychodzenia z bezdomności, który podzielono na etapy: pobyt w noclegowni, następnie pobyt w Domu dla Bezdomnych ARKA N, Centrum Matki z Dzieckiem Maja. Te osoby, które sprawdziły się, przenoszono do tzw. mieszkań readaptacyjnych (budynek popowodziowy). Jeśli dobrze funkcjonowały w tych lokalach, otrzymywały przydział do lokalu z zasobów gminy, a jeśli były z nimi problemy, to wracały z powrotem do placówek. Program realizowała Fundacja SOS Dzieciom w Katowicach, Urząd Miasta i OPS. Jako pracownik OPS miałem dyżury w Domu dla Bezdomnych, najpierw 2, potem 3 razy w tygodniu. W 2003 roku z powodów przekrętów finansowych fundacji miasto zrezygnowało ze współpracy z nią. Na szybko zawiązało się Stowarzyszenie Przyjaciół Człowieka „Tęcza", które realizuje swoje zadania do teraz i na szczęście teraz jest wszystko poukładane. W 2009 roku w nowym programie wychodzenia z bezdomności zrezygnowano z mieszkań readaptacyjnych. Niestety utrzymane

tego budynku pociągało za sobą coraz większe nakłady finansowe. Więc zrezygnowano z tego etapu. Na dzień obecny program trochę traci na znaczeniu, bo wchodzą nowe standardy dot. placówek dla bezdomnych. Jesteśmy teraz na etapie wypracowania nowego modelu, ale na potrzeby tego tekstu przedstawię aktualną sytuację.

Pierwszy krok wychodzenia z bezdomności to pobyt w NOCLEGOWNI. Tak się złożyło, że u nas w jednym budynku są i schronisko na 45 miejsc, i noclegownia. Noclegownia to 2 pokoje z łóżkami piętrowymi (w schronisku nie ma łóżek piętrowych), osobna ubikacja. Noclegownia funkcjonuje od 1 listopada do 31 marca każdego roku w godzinach od 18 do 8 rano. Obowiązkowo każdy przybyły musi się poddać sprawdzeniu alkomatem. Do noclegowni wpuszczane są tylko trzeźwe osoby. Jeśli alkomat wykaże jakieś promile, a jest to niewielka ilość, to przeważnie taka osoba chodzi wokół budynku by obniżyć zawartość alkoholu i jeszcze raz jest poddana badaniu. W przypadku tendencji spadkowej, jest przyjmowana do noclegowni. W noclegowni osoby bezdomne otrzymują zupę z wkładką, mają obowiązek wykąpania się i przebrania odzieży. Generalnie w tych pokojach jest 12 miejsc, ale przyjmowane są wszystkie osoby. Śpią wtedy w innych miejscach na łóżkach polowych. Najwięcej na raz było 30 osób. W sezonie dużych mrozów osoby z niewielką ilością alkoholu są przyjmowane do placówki, pod warunkiem, że są spokojne, w innym przypadku wzywana jest do nich policja. Są sytuacje, gdy osoby korzystające z noclegowni rozchorują się, wtedy na okres choroby mogą pozostać w noclegowni całą dobę. Podobnie w okresie świąt i Nowego Roku.

Gdy zaczyna się sezon, osobom korzystającym powtarzamy, że czas noclegowni to tylko 5 miesięcy. Każdy swoim codziennym postępowaniem ma szansę na to, żeby po zamknięciu noclegowni zamieszkać w schronisku. Pomimo, że czasem jest mało miejsc, to wszystkim, którzy dobrze funkcjonują w noclegowni znajdujemy miejsce, by mogli być normalnymi mieszkańcami Ośrodka. Ale też widać, że chociaż noclegownia jest trudna, daje jakąś wolność. W ciągu dnia mieszkańcy mogą robić, co chcą, potem wracają na 18 albo i później. Jeśli coś wypili i mają gdzie się zatrzymać na noc, to nie wracają do noclegowni.

Niestety, niektórzy, gdy już osiągnęli cel, jakim jest zamieszkanie w całodobowym schronisku, nie umieją się odnaleźć rzeczywistości mieszkańca, który musi przestrzegać regulaminu, musi zgłaszać swoje wyjścia, wracać na noc. Co rok z grupy mniej więcej 5-6 osób, połowa nie potrafi, bądź nie chce się dostosować i wraca na ulicę.

Drugim krokiem w wyjściu z bezdomności jest pobyt w Domu dla Bezdomnych – w związku z zaleceniami ujednolicenia nazw placówek od 1 stycznia 2017 r., nowa nazwa to Schronisko dla Bezdomnych ARKA N. (Arka Noego). Z tym, że w przypadku, gdy nie jest czynna noclegownia, tj. w okresie wiosenno-letnim, osoby bezdomne zaczynają od pobytu w schronisku.

Do schroniska przyjmowane są osoby ze skierowaniami z ośrodków pomocy społecznej właściwych z uwagi na ostatni meldunek na pobyt stały. Ustawodawca słusznie określił właściwość miejscową gminy, bowiem wcześniej zdarzały się przypadki, że gminy nie poczuwały się do pomocy bezdomnym twierdząc, iż dawno nie mieszkają oni w ich miejscowości i nic ich nie wiąże z gminą. By przeciąć te spory - zgodnie z ustawą o pomocy społecznej - za taką osobę odpowiada gmina ostatniego zameldowania na pobyt stały, nawet, jeśli była tylko zameldowana na krótki okres. I tak raz np. musiałem jechać na lotnisko do Pyrzowic po osobę niepełnosprawną, która kilkanaście lat temu pojechała do Włoch, nie miała nikogo w Raciborzu, ale ostatnim miejscem meldunku na pobyt stały była nasza gmina. Były też osoby, które ktoś znajomy zameldował na chwilę, po czym wymeldował. I takim oto sposobem osoba taka staje się naszym mieszkańcem.

W związku z dużą ilością osób bezdomnych praktycznie teraz do schroniska przyjmowane są tylko osoby z Raciborza, ewentualnie powiatu raciborskiego. Od kilku lat ilość miejsc w naszej placówce jest niewystarczająca. W przypadku braku miejsc kierujemy ludzi do okolicznych schronisk. Są gminy, które uważają, że poza sezonem zimowym nie ma problemu bezdomności (bo przecież nie ma mrozów) i nie kierują swoich mieszkańców do schronisk, co jest nie zgodne z ustawą o pomocy społecznej. Gmina ma obowiązek zapewnienia schronienia niezależnie od pory roku. My przez cały rok w miarę możliwości zapewniamy schronienie, ale zdarzały się przypadki, że nie było wolnych miejsc również w placówkach, z którymi współpracujemy. Wtedy próbuje się znaleźć inne rozwiązanie, np. leczenie szpitalne psychiatryczne albo alkoholowe. Jest szansa, że w tym czasie zwolni się jakieś miejsce.

Nasze schronisko zapewnia trzy posiłki (obiad dwudniowy) przygotowywane przez zawodowe kucharki, niektórzy panowie pomagają im w obieraniu warzyw, itp. Jak już wcześniej pisałem, współpracujemy z innymi placówkami, a w nich – jak wynika z docierających do mnie sygnałów - schroniska zapewniają tylko zupę i jakieś resztki otrzymywane z marketów. Więc nie wszędzie jest tak dobrze, jak w naszej placówce. Uważam, że ludzie zasługują na dobre posiłki. Ale oczywiście nie jest tak kolorowo, bowiem nieraz słyszę narzekania części naszych mieszkańców, że dania się powtarzają, że mało jest mięsnych potraw. Zauważyłem taką tendencję, że osoby, które nieraz nie dojadały, żywiły się resztkami, na początku są oczarowane jedzeniem, a potem zaczyna się wybrzydzanie. Czasem takie uwagi zabolą, zwłaszcza, że kucharki tam zatrudnione naprawdę się starają. Nie raz im mówię, że u większości pracujących rzadko są dwudaniowe posiłki. Na szczęście są też mieszkańcy tej placówki, którzy w rozmowie ze mną śmieją się i mówią, że niektórym naszym malkontentom to i obiady w Marriocie by nie smakowały. Niby drobiazg, ale zdarzają się poważniejsze konflikty, zwłaszcza u pracujących osób, które narzekają, że jak wracają z pracy, to posiłki są zimne, a oni za to płacą. I po raz kolejny rozmowa o tym, że to, co oni płacą za pobyt, nijak nie wystarczyłoby, gdyby mieli swoje mieszkanie. Nie martwią się o posiłki, gaz, energię, większość ma telewizory w pokoju. Po jakimś czasie idą na swoje i nie zawsze jest tak, jak im się wydawało. Były przypadki cudownie usamodzielnionych, którzy po jakimś okresie wracają do noclegowni czy schroniska. Mieli pracę, powolutku wracali do picia, tracili pracę i eksmisja. Wierzcie mi, ale niewielu potem widzi problem w swoim postępowaniu. Przeważnie ktoś jest winny, ale nie oni.

W Domu dla Bezdomnych ARKA N mieliśmy przekrój wszystkich możliwych zawodów, wykształceń, przekrój wiekowy od 18 do 75 roku życia. Nie raz nie mogę darować, że niektórzy tak marnują swoje talenty, praktycznie w każdej dziedzinie życia. Mieliśmy nauczycieli, w tym jednego akademickiego, inżynierów, itd. Jeden z mieszkańców ma niesamowity talent malarski. W jadalni narysował ostatnią wieczerzę i wiele grafik. Inny w ubiegłym roku został uznany za wolontariusza roku, praktycznie sam wymalował większość pokoi w tej placówce.

Takich ludzkich historii poznałem przez te lata paręset. Każdy człowiek miał kiedyś w miarę normalne życie. Mamy taką zasadę, że każdy przychodzący do Arki przychodzi z czystą kartą. W schronisku jest weryfikowane szybciej lub później,

co taka osoba sobą reprezentuje, każdy dostaje swoją szansę. Lubię pomylić się co do człowieka. Kiedyś, jeszcze ze starym kierownikiem, uznaliśmy, że nowo przybyła osoba utrzyma się tylko kilka dni. I… jest już 7 lat, czeka na mieszkanie. Niestety w większości przypadków nie mylimy się, choć chcielibyśmy.
Lubię takie przypadki jak przychodzi do Ośrodka stereotypowy bezdomny, tj. brodaty, brudny, ogólnie zaniedbany. Jest myty, golony, ubierany w czyste rzeczy. Od razu widać nowego człowieka. Powoli porządkujemy jego sprawy, pewność posiłków, ich stałe pory powodują, że rośnie mu też brzuszek. Po prostu diametralnie inny człowiek. Niestety, gdy już ktoś się zarejestruje w PUP, podejmie pracę, składa wniosek o mieszkanie, zaczyna się okres oczekiwania na lokal, okres swego rodzaju marazmu. Jest czas to najtrudniejszy. Osoba zapomina o tym, gdzie wcześniej mieszkała, pojawia się pewna roszczeniowość, niecierpliwość. Taka osoba poznaje też życie wewnętrzne tego typu placówki. Niektórzy powoli zaczynają naciągać, po kryjomu coś się napiją, potem trochę więcej, trochę częściej, aż w końcu wpadka. W przypadku pierwszego złamania trzeźwości, w zależności od okoliczności, ilości promili, skruchy, bądź jej braku, osoba ma do wyboru podjąć leczenie stacjonarne w Poradni Terapii Uzależnień albo pełną terapię w szpitalu, bądź wyprowadzić się z Ośrodka. Większość decyduje się na leczenie i wtedy ma możliwość powrotu. W iluś takich rozmowach brałem udział (decyzję podejmuje kierownik placówki, czasem negocjujemy) i nieraz te osoby na początku w żenujący sposób wypierały się, że piły, że to pomyłka alkomatu, że zjadły cukierki, jabłka, zażyły krople do żołądka. Potem z dalszej rozmowy wynika, że to były tylko 2 piwa, a potem powiększa się ilość wypitego alkoholu. Jeden delikwent tak zaczynał. Najpierw był hardy, obrażony niesłusznym posądzeniem, twierdził, że nic nie wypił, potem mówił, że tylko 2 piwa, potem okazywało się, że więcej, a kończył na kolanach prosząc o danie mu ostatniej szansy. Żenujący spektakl. Inaczej wygląda, gdy osoba sama przyjdzie, przyzna się, próbuje jakoś wytłumaczyć swoje postępowania. Zawsze mówię, że lepiej od razu się przyznać, inaczej wtedy przebiega rozmowa. Czasem mam wrażenie, że ich zachowanie nie różni się od zachowania małych dzieci. Często po takich rozmowach mieszkańcy między sobą mówią czy udało im się wykręcić kierowniczkę, wychowawców. W takich przypadkach często używają słowa wpadka, ale nie wpadka rozumiana, że napili się alkoholu, tylko, że wpadli. Poprzedni kierownik, trzeźwy alkoholik z długim stażem, mnie młodemu pracownikowi mówił, że nie ma czegoś takiego, jak napicie się przez przypadek. Zanim człowiek napije się wykonuje ileś tam czynności, podczas których może przerwać. Mniej więcej tak to wygląda. Najpierw pojawia się myśl napicia się, zastanowienia się nad konsekwencjami wypicia alkoholu, wyciągnięcia czy zdobycia pieniędzy, pójścia do sklepu, zamówienia alkoholu, wypicia łyku, wypicia całości alkoholu. itp. W każdym momencie mógł przerwać picie. Gdzie tu wpadka, przypadek? Niestety, to celowe, zamierzone działanie.

Z chwilą wykwaterowania takiego mieszkańca dla kierownika problem się kończy, ale dla mnie dopiero się zaczyna, bowiem nadal mamy obowiązek zapewnienia schronienia i jak już taka osoba zgodzi się na podjęcie leczenia, to po jego zakończeniu staram się jej znaleźć miejsce w innej placówce. Jeśli nie wyrazi zgody, to spisuję notatkę i informuję, że jeśli podejmie leczenie, to ma zgłosić się do mnie, a ja załatwię jej nową placówkę.
Trzeci krok to oczywiście zamieszkanie w lokalu socjalnym. Niestety, tak z perspektywy czasu widzę, że nielicznej grupie osób udaje się wyjść na tzw. prostą. W końcu większość z nich znalazła się w tej sytuacji z wielu trudnych przyczyn. Pozostaje tylko cieszyć się nawet z tego, że przez okres pobytu w schronisku żyli w godnych warunkach.

PRZYCZYNY

Nie potrzeba badań by stwierdzić, że główną przyczyną bezdomności jest nałogowe spożywanie alkoholu. Za tym hasłem kryje się picie nalewek i innych wynalazków, ale też są tacy, którzy nadużywali alkoholu, ale przy tym pracowali, ale ich partnerki mając dość takiego życia robiły wszystko, by pozbyć się takich mężów. Nie raz słusznie, ale też czasem z pewną premedytacją pozbywały się takich nieco niedorajd życiowych. Miałem takiego pana ze średnim wykształceniem, który pił alkohol, ale przyjął do swojego dość dużego mieszkania siostrzeńca i jego żonę. Owa małżonka przez jakiś czas zbierała materiały większych czy mniejszych wyskoków alkoholowych mojego klienta. Można odnieść wrażenie, że w sposób trochę perfidny i doprowadziła do jego eksmisji z lokalu, do którego - gdy sama była w potrzebie - ją przyjął. Ale to tylko takie domniemania, wszystko było przeprowadzone zgodnie z prawem.

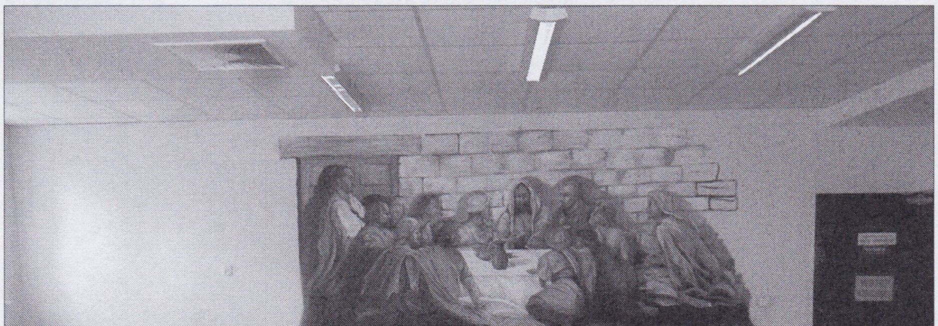

Duży odsetek przyjętych to tzw. starzy kawalerowie, którzy mieszkali z nadopiekuńczymi mamami, trochę pracowali, potem przy faktycznie dużym bezrobociu lat 90. już nie pracowali, popijali sobie, starzeli się, byli wyłącznie na utrzymaniu swoich mam. Mamusie karmiły, prały rzeczy, dawały grosz na piwo i życie by tak się im toczyło, gdyby nie śmierć owych mam. Nagle taki 50-60-cio latek musiał stać się samodzielny. Był niczym dziecko, niewiele potrafił zrobić wokół siebie, ewentualne oszczędności mam kończyły się, przestawał płacić i w końcu dochodziło do eksmisji. W między czasie pogłębiała się choroba alkoholowa, część z tych osób była już tak niezaradna życiowo, że nawet trudno to sobie wyobrazić. Z mojej obserwacji wynika, że większość z takich panów szybko była wyrzucana ze schroniska za złamanie regulaminu i w krótkim okresie pogłębiała się ich degrengolada z lokali mieszkalnych do pustostanów.
Jeden z takich panów - inteligentny facet, był ochroniarzem w dużej raciborskiej firmie. Jeden z tych, którzy piją za dużo, ale są inteligentni i lubiani. Od śmierci mamy w szybkim tempie postępowała choroba alkoholowa. Zaczął żebrać pod sklepami. W końcu go eksmitowano. Po zebraniu kasy spod sklepów bywał tak pijany, że nie nadawał się do przyjęcia do noclegowni. Strażnicy miejscy co jakiś czas zawozili go do izby wytrzeźwień w Bytomiu (tak, Racibórz ma podpisaną umowę z izbą wytrzeźwień położoną ok. 70 km od miasta). Tam też żebrał, wracał do Raciborza, potem znów izba wytrzeźwień. Przez rok/dwa, co chwilę wpływały do nas wnioski ze szpitali o objęcie go ubezpieczeniem zdrowotnym. Mniej więcej wyglądało to tak, że gdzieś upadł, karetka zawoziła go do szpitala skąd przeważnie uciekał. I tak na okrągło. Raz nawet pojechaliśmy po niego samochodem służbowym do szpitala w Tychach, by w końcu był w naszej placówce, ale uciekł po kilku godzinach i znów napił się alkoholu. Gdy już myślałem, że jego organizm jest niezniszczalny w końcu bezpośrednio ze szpitala przywieziono go do schroniska, z nogami w takim stanie, że nie mógł już uciec. Niestety jego stan psychiczny był taki, że wiedział tylko jak się nazywa, ile ma lat i jaki jest jego adres. Teraz jest w zakładzie opiekuńczo-leczniczym dla osób zaburzonych psychicznie. A kilka lat wcześniej był normalnym chłopakiem, który tylko trochę więcej pił.
Ostatnio zauważalny wydaje się nowy model bezdomnych, tj. młodzi do 30 lat. Od kliku lat zwiększa się liczba takich osób. Owszem, wcześniej też były młode osoby, ale były to incydentalne przypadki. Taki młody bezdomny ma oczywiście dobrą komórkę, na której czasem coś nagra, by później to wykorzystać. Oczywiście jest świadomy swoich praw (ale nie obowiązków). Przeważnie są to chłopcy eksmitowani przez rodziców, którzy z nimi sobie nie radzą, bądź wyjechali za granicę. Chłopcy ci mają problem z alkoholem i dopalaczami. Mamy teraz kilku takich chłopaków. Ciężko się z nimi pracuje, niby odważni, mądrzy, hardzi, ale tak naprawdę są jak zagubione dzieci. Dwa lata temu w noclegowni stworzyli taką silną

grupę, nie chcieli dostosować się do regulaminu noclegowni. Jak już myślałem, że znalazłem kontakt z jednym z nich, to potem grupa próbowała go prostować. Ale z czasem jak po zakończeniu noclegowni nie przeszli na Ośrodek, to trochę opamiętali się. Wróżę im niestety długi okres w bezdomności. Ale jak im powtarzam, to jest ich życie i jak chcą skończyć, jako starzy, schorowani bezdomni to będzie ich wybór

PROBLEM OSÓB CHORYCH

Często w tekście będzie o śmierci osób bezdomnych. Niestety stan większości tych starszych klientów jest zły. Złe odżywianie, przemarznięcia, niedbałość o higienę dają swój skutek. Zresztą przez lata u części naszych mieszkańców wyglądało to w skrócie tak: Przychodził w złym stanie do Ośrodka, podleczył się, podjadł, ale stare przyzwyczajenia w końcu się odzywają. I tak albo sami uciekają z placówki mając dość rygorów albo alkohol brał górę. I w przypadku wielu osób mechanizm był taki sam. Przez kilka lat można tak funkcjonować, ale do czasu. Ludzie mądrzeją, gdy bardzo pogarsza się stan zdrowia. Kilku amputacji można byłoby uniknąć. Rekordzista 7 razy zostawał mieszkańcem schroniska. Żeby było śmieszniej, w chwili, gdy piszę ten tekst, jest w szpitalu, bo po pijaku spadł z jakiegoś garażu i pomimo, że za alkohol wyrzucono go we wrześniu, znowu otrzyma skierowanie, bo z gipsem raczej nie sobie poradzi.

Jedno wydarzenie bardzo zapadło w mojej pamięci, toteż podzielę się nim w tym tekście. Zadzwoniono do mnie ze szpitala, żeby przeprowadzić z jednym panem wywiad na objęcie go ubezpieczeniem zdrowotnym, a ściślej na wydanie decyzji potwierdzającej prawo do świadczeń opieki zdrowotnej przez okres 90 dni. Okazało się, że stan jego nóg był tak zły, że amputowano mu obie kończyny. Pocieszałem go, że to nie koniec świata, że w naszej placówce mamy osobę bez obu kończyn i radzi sobie. Jako że miał długo przebywać w szpitalu jakoś 2-3 tygodnie później poszedłem do niego, wchodzę do tego samego pokoju, a tam leży jakiś staruszek bez kontaktu słownego. Poszedłem do pielęgniarek z pytaniem o mojego pana, a one odpowiadają, że to właśnie jest ten pan. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, że człowiek w tak krótkim okresie może wręcz wysuszyć się, skurczyć. Na szczęście lekarze byli ludzcy i nie chcieli się go pozbyć i pozwolono mu umrzeć w warunkach szpitalnych.

Paradoksalnie bywa też tak, że osoba, która po terapii utrzymuje abstynencję, życie na trzeźwo zaczyna od coraz częstszych wizyt u lekarzy. Dużo znam takich przypadków, że u alkoholików, którzy przestają pić stan zdrowia znaczne się pogarsza. Pewnie też dlatego, że na trzeźwo inaczej postrzegają swoje życie i zaczynają dbać o swoje zdrowie. Wychodzą wtedy choroby, które niejako były ukryte przy nałogowym spożywaniu alkoholu. Alkohol konserwuje, jak mawiają niektórzy moi klienci. Podobnie bywa też z takimi typowymi stereotypowymi zaniedbanymi bezdomnymi, którzy po latach życia w brudzie, głodzie trafiają do sterylnie czystych placówek pokroju domu pomocy społecznej. Wielu z nich dość szybko umiera.

Na początku naszej pracy z ówczesny kierownikiem staraliśmy się nie dopuścić do sytuacji, żeby ktoś umarł w schronisku, jakby w normalnych kochających domach nie umierali chorzy ludzie. Pamiętam jak wezwaliśmy karetkę pogotowia do jednego mieszkańca (nowotwór postępujący w szalonym tempie). Przyjechał lekarz i powiedział, że to już jest stan agonalny. Dodał, że owszem, mogą go zabrać do szpitala, ale czy nie lepiej by umarł w swoim środowisku, wśród lubiących go ludzi. Faktycznie przyznaliśmy mu rację. Kilka godzin później zmarł.

Jedną rzeczą muszę się pochwalić. Lata doświadczeń ze szpitalami i fakt, że osobami bezdomnymi i chorymi nikt nie chce się zająć spowodowało, że należało poszukać innych rozwiązań w ramach naszych możliwości. W 2012 roku dzięki wsparciu prezydenta ustalono, że należy wprowadzić nową kategorię klienta, a dokładniej usankcjonować faktycznie zaistniały stan rzeczy. Ponieważ mieliśmy już kategorię rezydenta, który z uwagi na wiek może być mieszkańcem na lata, taką osobę, która wymaga zwiększonej opieki nazwaliśmy rezydentem wymagającym z uwagi na stan zdrowia stałej opieki. Oczywiście koszt utrzymania takiej osoby jest znaczne wyższy niż

tzw. normalnej osoby, ale i tak o połowę niższy niż w domu pomocy społecznej. Ustaliliśmy kwotę 1500 zł (obecny koszt pobytu to 440 zł). Pozwoliło to stowarzyszeniu na zatrudnienie pielęgniarek. Wiadomo, że nie mogą być całą dobę, ale mają stałe dyżury opiekując się naszymi mieszkańcami. Dzięki temu osoby na wózkach inwalidzkich, po udarach mogą spokojnie mieszkać w naszej placówce. Jest jeden pokój z dostępem do łazienki, spełniającej wszystkie wymagania dla osób niepełnosprawnych. Jest też winda, z której korzystają mieszkańcy mieszkający na piętrze, mogą zjechać na posiłki albo wyjechać na spacery. Kiedyś ludzie na wózkach od razu byli kierowani do domów pomocy społecznej, gdyż w poprzednim budynku było wąsko, nie mieli możliwości zjechaania do stołówki, musieli liczyć na pomoc innych mieszkańców. Wprowadziliśmy takie rozwiązanie w 2012 r. Wyprzedziliśmy więc Ministerstwo, które dopiero teraz zakłada powstanie schronisk dla osób bezdomnych z usługami opiekuńczymi.

Z chwilą, kiedy stan zdrowia na tyle się pogarsza, że osoba wymaga całodobowej opieki kierujemy naszych mieszkańców do domów pomocy społecznej i tu zaczynają się schody. Niestety mieszkaniec schroniska dla bezdomnych nie jest wymarzonym pensjonariuszem dla domu pomocy społecznej, bo jego pracownicy wyobrażają sobie stereotypowego bezdomnego, który pije i awanturuje się. Faktycznie po latach nadużywania alkoholu, zdewastowaniu mieszkania trafił do nas 50-latek z rozpoznaniem zaburzeń psychicznych spowodowanych nadużywaniem alkoholu. Pomimo hospitalizacji w szpitalach psychiatrycznych, jego stan pogarszał się i naprawdę ostatnią rzeczą, przynajmniej w jego przypadku, byłoby napicie się alkoholu. W ogóle nie wychodził poza budynek. Gdy była skompletowana dokumentacja, wystąpił opór ze strony dyrektor DPS. Wpadliśmy wtedy na pomysł, by zaprosić siostrę dyrektor do Schroniska. Zawieźliśmy ją, chwilę porozmawiała z tym panem i warunkowo wyraziła zgodę na przyjęcie do swojej placówki na okres próbny. Jedna z osób obecnych w spotkaniu stwierdziła, że w nas jest więcej miłosierdzia niż w osobie duchownej. Po ok. roku znalazło się miejsce dla niego, nie był taki zły jak się obawiano i przedłużono mu pobyt na stałe. Niestety, nie ufam lekarzom, siostrom oddziałowym, gdy mówią o stanie zdrowia pacjenta. Staramy się wspólnie z kierownik schroniska podjechać do hospitalizowanych osób i - na ile potrafimy - ocenić jego stan pod kątem jego pobytu w schronisku.

Tak na marginesie, najbardziej załamujące są karty informacyjne z oddziału detoksykacyjnego pewnego szpitala. Wynika z nich, że pacjent przed przyjęciem na oddział pił dziennie po 6-8 piw. Takich kart widziałem kilkanaście. Większość z tych ludzi była naszymi mieszkańcami i wiedzieliśmy mniej więcej ile wypili na Ośrodku przed szpitalem. Potem dowiedziałem się, że tak musi być pisane dla NFZ. Ewidentne kłamstwa i potem ktoś nieznający tych ludzi czyta i widzi, jakie ilości alkoholu można wypić w schronisku. Jak to wytłumaczyć np. dyrektorom DPS, że tak musi być napisane, a nie jest to prawdą?

Jako wieczny idealista nie potrafię zrozumieć tego systemu ochrony zdrowia, gdzie trudno o profilaktykę. Kolejny przykład: mam klienta, którego nie przyjęto do izby przyjęć, bo skoro sam doszedł do szpitala to znaczy, że nie jest tak źle z jego nogą i może zgłosić się do lekarza podstawowej opieki zdrowotnej. W efekcie czego, w ciągu kilku dla niego bardzo ważnych dni, pogorszył się stan nogi, pojawiła się zgorzel i w końcu znalazł się w szpitalu, ale o kilka dni za późno. Przez kolejnych ileś dni rozważano amputację kończyny. Jeden z młodszych lekarzy zaproponował by wdrożyć inne lekarstwa, ale z uwagi na czas pobytu klienta w szpitalu i koszty dalszej hospitalizacji, ordynator postanowił, że trzeba amputować mu kończynę, na nieszczęście dość wysoko nad kolanem. Potem mojemu klientowi jeden z lekarzy nieoficjalnie miał dać do zrozumienia, że noga mogła być do odratowania. Piszę o tym, bo ten pan jest dla mnie wiarygodną osobą, a i przez te lata nieraz miałem wrażenie, że dość szybko nasi lekarze podejmują decyzje o amputacji. Wiem, nie jestem lekarzem, ale jakiś rok temu dotarłem do informacji, że Polska należy do przodujących europejskich krajów, gdzie dokonuje się amputacji. Zmierzam do tego, że w ogólnej skali lepiej wydać więcej na leczenie, rehabilitację, by osoba wróciła na rynek pracy. Niby szpital zaoszczędził na leczeniu, ale to, że ta osoba raczej nie wróci na rynek pracy nikogo już nie interesuje. Przynajmniej w mojej okolicy zakłady pracy chronionej to fikcja. My płacimy potem wyższe stawki za pobyt w schronisku (1500 zł miesięcznie), potem skierowanie do domów pomocy społecznej (ponad 3000 zł miesięcznie). A tak gdyby więcej zapłacono za leczenie, ta osoba może nie musiałaby jeździć na wózku inwalidzkim, mogłaby podjąć pracę. Pozorna oszczędność, w małej skali.

KOBIETY BEZDOMNE

Na pewno kobiet bezdomnych jest mniej. Psycholog współpracująca ze Stowarzyszeniem w jednym z wykładów twierdziła, że u kobiet bezdomności praktycznie nie ma, bo zawsze znajdą sobie partnera, u którego mogą zamieszkać. Jak dla mnie to seksistowskie podejście jest tylko częściowo prawdziwe, bowiem są też samotne kobiety bezdomne. Do 2009 roku w domu dla bezdomnych mieszkali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Rozwiązanie to było problematyczne, gdyż tworzyły się związki, pojawiały się zazdrości. Doszło też do kilku bójek o - nie wiem jak to napisać - prawo do kobiety, w efekcie czego w schronisku dla bezdomnych mogą przebywać teraz wyłącznie mężczyźni.

Przez parę lat miałem też dyżury w Centrum Matki z Dzieckiem MAJA, ale była to placówka, gdzie mieszkają razem ofiary przemocy, samotne kobiety w podeszłym wieku, kobiety bezdomne. Takie rozwiązanie rodziło między samymi kobietami wiele konfliktów. Są też problemy prawne: przemoc w rodzinie to zadanie powiatu, a bezdomność to zadanie gminy. W ogóle mało jest placówek dla

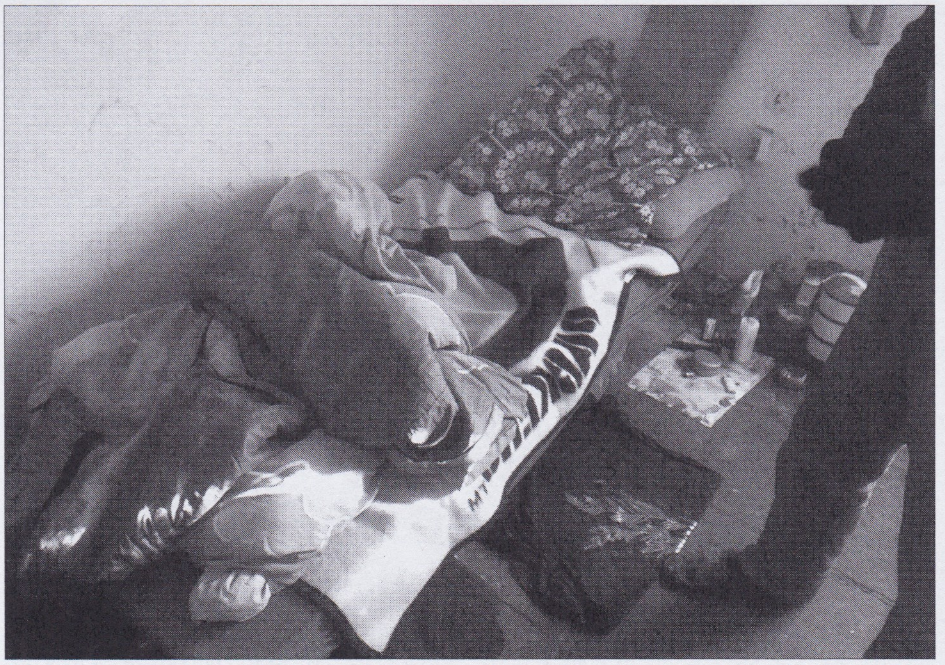

kobiet, zwłaszcza bezdomnych. Jest problem, gdy pojawi się w nocy bezdomna kobieta, bowiem nie może skorzystać z noclegowni, które są praktycznie wyłączne dla mężczyzn.

OPUSZCZAJĄCY ZAKŁADY KARNE

Mamy pana, który odbył 20-letnią karę pozbawienia wolności. Został osadzony jeszcze za PRL, ale pomimo różnic jakoś się odnalazł i do czasu pogorszenia się stanu zdrowia odpowiadał za pralnię. Bardzo pozytywny i budujący przykład, ale jak sam twierdzi chce do końca życia być w schronisku, bo czuje, że nie poradziłby sobie we własnym mieszkaniu.

Z koleżanką stwierdziliśmy, że na początku z osobami opuszczającymi zakłady karne w większości dobrze się pracuje. Wiedzą, co mają robić, są posłuszni, mają przyzwyczajenia jeszcze z więzienia, ale z czasem pobytu w schronisku bywa już różnie. W ogóle mieliśmy też takiego typowego recydywistę z dużymi wyrokami. Taki trochę psychopata z zaburzeniami, ale jakoś zawsze umieliśmy się dogadać. Jego życie w skrócie to więzienie, picie, odwyk, więzienie, schronisko, picie, odwyk, więzienie, schronisko, itd. Gdy jakoś funkcjonował było zdarzenie z innym kumplem spod celi (tak się chyba pisze), z którym nawet jakoś się nie kolegował. I ten kolega popadł w konflikt z innym mieszkańcem, doszło do zadymy, i on nie wiedząc nawet, o co chodzi włączył się i pobił tamtego mieszkańca. Po tym wydarzeniu powiedział mi tylko, że ja tego nie zrozumiem, takie są zasady. Obaj zostali wyrzuceni ze schroniska. Wiąże się z nim też inna historyjka. Jego życie było bogate w te złe (podpalił namiot innym bezdomnym), ale i śmieszne wydarzenia. Otóż w chwilach, gdy jako tako funkcjonował, miał marzenie o swoim jednopokojowym mieszkaniu, że sam w nim będzie sobie gotował, co tylko chce. Ku mojej i jego radości otrzymał z Urzędu Miasta pismo o przyznaniu mu lokalu socjalnego, i tak poszedł do Urzędu dopełnić formalności. Po kilku dniach zadzwoniono do mnie z urzędu czy wiem, co się z tym panem dzieje. Zarówno ja, jak i jego siostra (na jego szczęście miał bardzo troskliwą i cierpliwą siostrę, która bardzo mu pomagała) nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje i gdzie przebywa. Po kilkunastu dniach okazało się, że w drodze do Urzędu Miasta zatrzymali go policjanci, bo miał do odsiedzenia kilkanaście dni. Gdy opuścił zakład karny mieszkanie zostało już przyznane innym ludziom, a on ponownie musiał odpokutować za swoje błędy. W końcu, gdy dostał mieszkanie, chyba już sobie nie gotował, jak zamarzył, tylko pił, rozchorował się i chyba po roku zmarł.

OKRES POBYTU W SCHRONISKU

Jak długo bezdomni mają mieszkać w schroniskach? Najlepiej jak najkrócej, by wrócili do społeczeństwa. Ale co zrobić z osobami starszymi? W naszym programie wychodzenia z bezdomności z 2009 r. postawiliśmy sprawę jasno: nie wszystkie osoby nadają się do usamodzielnienia. Wymyśliliśmy taką furtkę. Taką osobę nazwaliśmy rezydentem. Co ma zrobić 60-cio paroletni mężczyzna bez rodziny z niską emeryturą albo przeważnie zasiłkiem stałym (obecnie wynosi 604 zł)? Jak już wcześniej pisałem, przeważnie są to osoby o bardzo słabym zdrowiu, lata nadużywania alkoholu, spania w różnych warunkach, ogólnego zaniedbania, sprawiają, że powrót do własnego mieszkania jest dla takiej osoby dużym stresem, obciążeniem. Do domów pomocy społecznej idą osoby naprawdę wymagające całodobowej opieki i gdy pogarsza się ich stan zdrowia to tam trafiają. Mamy kilka osób, które traktują Schronisko jak swój dom i też w tym domu kiedyś umrą. Ciekawe doświadczenie, jeszcze kilka lat temu nieraz faktycznie niebezpieczne osoby, obecnie są takimi dziadkami, którzy opowiadają o swoim życiu. Nieraz człowiek z ust takich osób usłyszy naprawdę mądre rzeczy. Chcę, by młodzi bezdomni mieszkali w pokojach z takimi osobami starszymi, by czegoś się nauczyli, coś zrozumieli.

Ale są również tacy, którzy na swoich błędach niczego się nie nauczyli, pogłębiają swój problem stając się zarazem problemem dla służb pomocowych. Nota bene domy pomocy społecznej mają też problemy z osobami przecież schorowanymi, którym ich stan zdrowia nie przeszkadza w piciu alkoholu. Niestety zawsze znajdzie się ktoś, kto przyniesie alkohol. Sami mamy problem, gdy osoby na wózku inwalidzkim są złapane na piciu, rozmowy ostrzegawcze nie pomagają. Dwie osoby, pomimo, że poruszały się na wózku, musiały podjąć terapię. Aż się boję, że znów się napiją. Już widzę reakcję mediów na wyrzucenie inwalidy na wózku. Nieprzyjemny temat. W tym roku jeden z takich mieszkańców (co z tego, że ma protezę – nie chce z niej korzystać) został zwolniony na weselu. Zamiast przyjechać później, kiedy wytrzeźwieje, to został przywieziony przez kogoś z rodziny totalnie pijany. Miał przeszło 3 promile. Na drugi dzień nie potrafił dogadać się z kierowniczką schroniska, nie chciał zgłosić się na leczenie i wyjechał na wózku. Po ok. 2 tygodniach miałem ze strażnikami miejskimi interwencję, że śpi na śmietniku, nie umiał już wstawać na wózek (wróciły problemy z miażdżycą). Do szpitala się nie nadawał, więc negocjowałem z kierownik jego powrót do schroniska. Tu przynajmniej jakoś wyraził skruchę, podziękował mi za pomoc, ale… twierdzi, że on świadomie nie wypił takiej ilości alkoholu, KTOŚ na weselu specjalnie wlewał mu większe ilości alkoholu… Tak mówi prawie 60-cio latek. To nic, że 3 lata temu miał tak zaniedbane stopy (zaawansowana grzybica), że żadne szpitale nie chciały go przyjąć. Zamieszkał wtedy po raz drugi w schronisku, doszedł do siebie i znów poczuł zew wolności. Po kilku tygodniach wolności nie potrafił poruszać się w pustostanie. Wraz ze strażnikami miejskimi ryzykowaliśmy zdrowie, by do niego dotrzeć, po wezwaniu pogotowia okazało się, że cudem uratowana rok wcześniej noga tym razem już nadawała się tylko do amputacji. Były dwa lata spokoju.

PUNK A BEZDOMNOŚĆ

Jak pisałem w poprzednim numerze, z punków wśród bezdomnych spotkałem się tylko z jedną osobą. Ale widzę też miejsce dla naszych działań. Otóż, w tym miejscu trochę muszę się pokajać. Kiedyś w „Arlezinie" napisałem tekst o akcji Jedzenie Zamiast Bomb. W skrócie uważałem, że pomoc w formie żywności nie zawsze odnosi skutek, czasem pogrąża w swoim problemie takie osoby, bowiem otrzymawszy za darmo posiłek, pieniądze, które musiałyby przeznaczyć na jedzenie wykorzystają na alkohol. Tym samym wykorzystują dobre chęci osób niosących pomoc. Jest to jedna strona medalu. Tacy ludzie nadal są, ale jeśli popatrzeć na ten cel szerzej, to widzę inne korzyści tego typu akcji. Takie wydawanie żywności musiałoby być cykliczne, systematyczne. Po spełnieniu tego warunku z czasem pomiędzy wydającymi posiłki a osobami korzystającymi z tej formy pomocy mogą rodzić się pewne więzi, a przynajmniej nieufność osób bezdomnym z czasem na pewno będzie malała. Jak wykazałem, osoby długotrwale bezdomne generalnie cechuje duża nieufność. Dzięki systematycznemu wydawaniu żywności osoby prowadzące akcje miałyby okazję też obserwować stan zdrowia, stan ubioru osób korzystających. Z chwilą widocznego pogorszenia się stanu zdrowia jest okazja do wezwania odpowiednich służb. W takich swobodnych rozmowach można też podjąć próby nakłaniania na skorzystanie z noclegowni, itp.

Pamiętam na jednym spotkaniu, jak prowadzący opowiadał o totalnie wycofanej osobie bezdomnej nie chcącej żadnej pomocy. Przełom nastąpił przy okazji jakiejś drobnej rozmowy na temat książki, którą ta osoba czytała. Street worker napomknął o innych książkach z tej serii, że można je wypożyczyć w bibliotece, ale potrzebny jest

dowód osobisty, (którego ta osoba bezdomna nie posiadała) by można było skorzystać z biblioteki. I tak namówił na wyrobienie dowodu osobistego, skorzystanie z pomocy OPS. Ów bezdomny faktycznie zaczął też powoli dbać o swój wygląd, bowiem wizyta w bibliotece do czegoś zobowiązywała. Co prawda historia nie skończyła się happy endem, osoba ta była chora i zmarła, ale do końca życia była czynnym, podejrzewam też, że szczęśliwym, czytelnikiem. Dla niektórych to żadna wiadomość, ale dla osób pracujących z osobami bezdomnymi to kawał dobrej roboty. Przy złożonej psychice osób bezdomnych, niektóre, nawet drobne postępy urastają do rangi wielkich rzeczy. Przy okazji książek, jeszcze taka uwaga: w raciborskim schronisku jest spora biblioteka książek z odzysku. Wiele osób zdziwiłoby się, wręcz zawstydziło, że naprawdę wielu naszych klientów czyta książki. Odsetek przeczytanych książek może być wyższy niż w innych poważnych instytucjach. Wracając do głównej myśli, uważam, że taki zakamuflowany street working mógłby przynieść korzyści obu stronom - kropla drąży skałę. Wiem, że też, jako pracownicy socjalni nie jesteśmy idealni, staramy się, ale kiedyś przychodzi jakieś zniechęcenie. Sto razy przerabiamy to samo, a efekt końcowy jest w przeważającej większości przewidywalny. Jeden krok do przodu, trzy do tyłu. Ale to już nasz problem, nam gmina płaci za pomoc. I to sobie powtarzam w tych złych momentach zwątpienia w sens swojej pracy. Niestety pracownicy socjalni należą do tych grup zawodowych najbardziej narażonych na wypalenie zawodowe. Jednak jest coś w tej pracy, te małe sukcesy - nieraz niezrozumiałe dla innego, normalnego świata - dają dużo satysfakcji. Jesteśmy specyficzną grupą zawodową, ale nasza rola jest trudna, bo oprócz pracy socjalnej, wymaganej od nas empatii, musimy też pilnować strony administracyjnej, bo przez nie przestrzeganie ustawy o pomocy społecznej i terminów kodeksu postępowania administracyjnego możemy mieć problemy. Nigdy nie wiadomo, z której strony coś wyskoczy. Teraz ma być oddzielona praca socjalna od przyznawania pomocy. Trudno być w jednej osobie pomocnikiem, wsparciem, a z drugiej strony tym, od którego zależy ilość pieniędzy przyznanych na przeżycie. Moja koleżanka kiedyś w terenie usłyszała od małej córki swojej klientki: Mamo, przyszła pani celówka (od przyznawanej pomocy w formie zasiłku celowego na jakiś konkretny cel).

My jesteśmy na pierwszej linii, bo my mamy dać klientom to, czego nie uzyskali w PUP, ZUS, i tym podobnych instytucjach. Nie obchodzi ich, że musimy mieścić się w ramach przepisów, że nad sobą mamy ileś osób decyzyjnych. Ale cóż, z drugiej strony ich rozumiem, gdzieś muszą znaleźć ujście dla swoich żalów. To jest moja praca, a tam ich życie.

JAK ROZWIĄZAĆ PROBLEM BEZDOMNOŚCI

Czy są jakieś rozwiązania? Osobiście uważam, że skoro gmina to wspólnota i tych bogatszych i tych mniej zasobnych mieszkańców to musi troszczyć się o los każdego swojego mieszkańca. Twardzi liberałowie twierdzą, że taką pomocą powinny się zająć organizacje pozarządowe, kościoły. Nie wiem czy taka jest reguła, ale ze schroniskami prowadzonymi przez organizacje szeroko pojęte chrześcijańskie najtrudniej się współpracuje, a i są najbardziej pazerni na pieniądze. Prawdą też jest, że najlepiej by schroniska prowadziły stowarzyszenia, gdyż gdyby taką placówkę prowadziły gminy (choć wiele gmin ma swoje schroniska) to koszt pobytu byłby dużo większy. Inne przepisy, inna kadra, a Stowarzyszenia czy fundacje mają więcej możliwości, są bardziej elastyczne w swych działaniach. Dla mnie idealny model to ścisła współpraca gmin z NGO.

Uważam, że aby spokojnie mógł spać włodarz miasta i jego mieszkańcy, gmina powinna zabezpieczyć, jak stanowi ustawa, posiłek i schronienie poprzez tworzenie noclegowni całorocznej. Noclegownia dla tych wszystkich, którzy rokują, bądź nie rokują wyjścia z bezdomności. Schroniska nadal winny istnieć, bowiem jak wykazałem wcześniej, są osoby, które nie poradzą sobie w godzinach zamknięcia noclegowni z uwagi na wiek, stan zdrowia, pracę na zmiany. Schronisko byłoby dla tych - aż ciśnie się na usta - lepszych bezdomnych, a noclegownia dla wszystkich innych przypadków. Życie niesie za sobą tyle niespodzianek, że powodów

zatrzymania się w noclegowni może być multum. Każda osoba nie mająca gdzie spać powinna mieć zapewniony nocleg niezależne od pory roku. Taka całoroczna noclegownia byłaby miejscem przespania się, zjedzenia jednego posiłku, wymiany ubrania, wykąpania. Nieraz jedziecie autobusem, tramwajem z osobami, które mówiąc wprost śmierdzą. Dla waszej wygody i ogólnej higieny lepiej by mieli gdzie się wykąpać, zmienić ubranie. Powinny też być tanie łaźnie miejskie, coś, co działało wcześniej nawet w XX wieku. Jak to możliwe, że w XXI wieku są mieszkania, gdzie nie ma łazienek, ubikacje są na klatce? Wstyd.

Taka placówka niskoprogowa, jaką jest noclegownia powinna mieć też dyżury wychowawców, pracowników socjalnych, którzy służyliby poradami, ale też mogliby wychwycić osoby, z którymi można pracować. Z mojego doświadczenia wynika, że są osoby, które nigdy nie usamodzielnią się, które nie są w stanie same mieszkać, bowiem każde mieszkanie z czasem zdemolują. Jak widzicie w TV bloki socjalne nie spełniają swojej roli, tworzą się niebezpieczne enklawy, prawdziwe getta biedy, pijaństwa i przemocy.

Naprawdę lepsza jest noclegownia, nawet z łóżkami piętrowymi. Kto zliczy wyjazdy straży miejskiej i moje, do pustostanów, koszt dojazdów do izby wytrzeźwień, bo nikt nie może zamarznąć? Nawet byłbym skłonny, aby przyjmowano osoby z niewielką ilością alkoholu. W zimie wszyscy przypominają sobie o osobach bezdomnych, ale latem, są upały, które też są niebezpieczne dla zdrowia.

OGRZEWALNIE

Jest jeszcze jedna forma pomocy tj. ogrzewalnia, której temat od lat wraca. Jest to najtańsza forma pomocy osobom bezdomnym, ale jak dla mnie najbardziej upokarzająca. Byliśmy na wizycie studyjnej w jednej z miejscowości. Gmina kupiła dwa baraki, które umieszczono blisko dworca autobusowego. Niestety, by tam dotrzeć trzeba przejść przez mały park, idealne miejsce do jakiegoś napadu. W baraku stały krzesła, na których mogą odpocząć osoby bezdomne. W ogrzewalni nie ma łóżek, noc spędza się na siedząco. Osoby, które przychodzą dostają herbatę (żadnego posiłku), jest ubikacja i prysznic. Obok budynku jest drugi, w którym dyżuruje strażnik miejski. Bardzo przygnębiła mnie ta wizyta, nie jest to miejsce, w którym można nawiązać dobry kontakt z osobą bezdomną. Ktoś powie: przynajmniej nie zamarzną. Owszem, ale po ciężkim dniu w mrozach, nie móc się położyć to dla mnie jakieś nieludzkie. Nie tędy droga.

Reasumując, tekst piszę osobiście, o historiach ludzi bezdomnych, tak od serca. Chyba człowiek potrzebował podzielenia się swoimi problemami. Przy okazji wyszedł chyba z tego tekst terapeutyczny. Zawsze mówię uczciwie swoim klientom, że ich sukcesy są też moimi sukcesami, ich porażki to też moje jakieś porażki. Co człowiek, to inna metoda współpracy. Nieraz z racji urzędu narzucamy pewne zachowania, ale człowiek chce być uczciwy i takiej uczciwości też wymaga. Mówimy tu o współpracy z osobami, które chcą zmienić swoją sytuację. Niestety, gdy są to osoby z zaburzeniami psychicznymi, w głębokim uzależnieniu, ciągu alkoholowym, z neurologicznymi problemami, musimy już inaczej dobierać metody pracy. Przez te lata zrozumiałem, i też mówię to moim klientom, że to, że oni są w takiej sytuacji, a ja w innej, może w każdej chwili się zmienić. Nie można się wywyższać, poniżać, bo nie będzie żadnej współpracy. Czasem o jedno słowo może być za dużo, ci ludzie też mają swój honor. Sam jak się zagalopuję, to potrafię przeprosić. Przez ten okres jakoś udało się uniknąć poważnych zajść.

Na koniec przypadek, który mnie bardzo zafascynował, ale nie umiem go zrozumieć. Tuż przed moim urlopem przyjechał elegancki pan z Niemiec, który opuścił Polskę, by opiekować się mieszkającą w Niemczech matką. Mama zmarła, jemu z uwagi na niski dochód (nabył uprawnienie do niskiej polskiej emerytury) nakazano powrót do Polski. W Polsce mieszkał po znajomych, ale już nie ma gdzie spać. Patrząc na to jak wygląda (taki playboy przed 70-tką) mówię mu o warunkach naszego Ośrodka, z kim będzie tam mieszkał, a on niezrażony, że musi gdzieś spać, nie ma pieniędzy. Na drugi dzień przy sporządzaniu wywiadu środowiskowego dochodzę do zadłużeń. Podał mi, że zaciągnął pożyczki na kilkadziesiąt tysięcy złotych (nie pamiętam już ile dokładnie). Okazało się, że brał tzw. chwilówki od kwietnia do maja. Analizowałem te umowy. Jechał do śląskiego miasta i jednego dnia wziął 5 pożyczek, później w innym mieście kolejne. Mając 900 zł emerytury w dziwnych parabankach okolic Śląska zaciągnął pożyczki na kilkadziesiąt tysięcy. Nie żal mi tych instytucji, bowiem część z tych umów była sporządzana na naprawdę złodziejskich warunkach (trafił swój na swego). Powiedział mi, że potem tym pseudobankom wysłał oświadczenia, że jest niewypłacalny. Oczywiście zobowiązał się, że opłaci sam swoje koszty pobytu w schronisku. Na pytanie, co zrobił z taką ilością pieniędzy, że aż musiał znaleźć się w schronisku, oświadczył, że uregulował swoje niemieckie długi. Chciałem go podejść, tak z samej czystej ciekawości, jak można przewalić taką kwotę, ale jak już pisałem - mówią to, co chcą powiedzieć. Jak się okazało po paru dniach wyjechał i oczywiście nie uregulował swoich należności. Ten pan to też w myśl ustawy był bezdomny, no i jak nudzić się w takiej pracy?

Choć wyszedł z tego długi tekst i tak musiałem go okroić. Trudno pisać o czymś, co robi się, na co dzień. Wszystko wydaje się ważne, ale czy takie będzie dla osoby czytającej? Stąd chciałbym te rozważania zakończyć w tonie nieco zabawnym. Pokaże wam to styl życia części moich klientów, ludzi, którzy żyją chwilą, co tam przyszłość. No Future!

Otóż, ów pan jeszcze za czasów komuny wygrał w totolotka. Jak mi tłumaczył, trzeba było jechać do kolektury w Katowicach i na miejscu dowiadywano się, jaką kwotę wygrano. Jak mi opowiadał na poczet wygranej zrobił znajomym z pracy imprezę, potem rodzinie i nie do końca trzeźwy pojechał do Katowic. Na miejscu okazało się, że więcej przepił niż otrzymał tej nagrody. Być może mnie wkręcał, coś podkoloryzował, ale ta historia wydaje mi się do dzisiaj realistyczna znając jego podejście do życia.

Tomasz Jurek

ANARCHIA, ABSOLUT I ŻYCIE BEZ PRZEMOCY

Tymoteusz Onyszkiewicz, warszawski poeta, prozaik i anarchista, dał się poznać do tej pory, jako autor chwytliwych książek, opisujących nie tak dawne wydarzenia, związane zarówno ze zmianami ustrojowymi w naszym kraju, jak i polskim ruchem anarchistycznym. Całkiem niedawno wydał jednak książeczkę (bo trudno to nazwać książką), w której odkrywa swą ideową drogę ku czemuś, co sam sobie nazwał anarchizmem humanistycznym. „Mój anarchizm" to rzecz z jednej strony kontrowersyjna dla przeciętnego anarchisty, lecz z drugiej, ważna dla całości ruchu czy środowiska wolnościowego. W sobotę, 15 lipca, spotkaliśmy się z Tymkiem w Rzeszowie, w przytulnej piwnicy zaadoptowanej na Galerię o miłej nazwie TOTU, by wysłuchać jego opowieści, jak i popolemizować z tezami jego najnowszego wydawnictwa.

Tymoteusz zaczął od początku... początku swej drogi na ścieżce życia zwanej anarchizmem. Pokrótce opowiedział nam, jak trafił do anarchistów i na ideologię anarchistyczną. Ciekawskich szczegółów odesłał jednak do swych poprzednich książek („Czas: Anarchia. Tryb: Rewolucja" oraz „Opary Anarchii. Łzy Rewolucji"), które poświęcone są dalszej i bliższej przeszłości gościa spotkania. Warto tylko nadmienić, iż anarchistyczna droga Onyszkiewicza zaczęta się w czasach licealnych, w gorącym okresie upadku realnego socjalizmu, gdy do głosu coraz częściej dochodziło młode, zbuntowane pokolenie. Droga ta nie była łatwa, była kręta i pogmatwana, ułożona raczej cierniami niż różami. Po raczej krótkim wstępie historycznym, Tymoteusz przeszedł do zawartości swego opus magnum. Zapewne to określenie jest nieco nad wyrost, ale śmiało można je tak nazwać, gdyż ze stronic „Mojego Anarchizmu" wyłania nam się obraz może nie do końca nowej, lecz z pewnością na nowo odkrytej idei, która łączyć będzie w sobie wiele ideowych i historycznych pierwiastków. „Mój Anarchizm" to dwie części, połączone nie tylko osoba autora, ale również na siebie wpływające. Tymek w pierwszej kolejności omówił „pacyfistyczną" odnogę swej idei, którą dla własnego, jak i naszego dobra, nazwał anarchizmem humanistycznym. Nie bez przyczyny użyłem tu cudzysłowie. „Pacyfizm" Onyszkiewicza jest jakby pacyfizmem na pół gwizdka. Opierając się na swych wielkich poprzednikach (zaczynając od starożytnych myślicieli a kończąc na ikonach etyki non-violence pokroju Mahatma Gandhi czy Martin Luter King), Tymoteusz wychodzi z założenia, iż przemoc zaprowadzi nas w ślepy zaułek, gdzie Państwo, używając przemocy w jeszcze bardziej wyrafinowany sposób, spacyfikuje każdy ruch protestu. Prelegent ustawiał się bardziej na pozycji zwolennika etyki życia bez przemocy i przede wszystkim, wyzbycia się jej na polach działalności społeczno-politycznej. Jednak z drugiej strony, zostawia sobie otwartą furtkę, zachowując sobie prawo do samoobrony, prawo do użycia przemocy wobec agresora nastającego na nasze zdrowie czy życie. Nie będzie więc pokorną owieczką nastawiająca drugi policzek. Problemu dla Tymka nie stanowi również przemoc używana względem rzeczy. W wybitej witrynie banku, podpalonym radiowozie czy zniszczonym bankomacie nie widzi on bezmyślnego aktu niszczenia czy niezaplanowanej destrukcji w przestrzeni miejskiej. Traktuje je bardziej, jako symboliczne akty podważania status quo. Być może nic nieznaczące dla ogółu, lecz dużo znaczące dla samych anarchistów/ek momenty samo-wyzwolenia. To z całą pewnością odróżnia go od pacyfistów, którzy nie zaakceptują żadnej formy przemocy, czy to skierowanej względem ludzi, czy rzeczy. Znamienne było również to, iż mówiąc o swych inspiracjach, szczególnie tych wywodzących się z kultury Wschodu (Onyszkiewicz jest wielkim miłośnikiem wszystkiego, co związane jest z Indiami i tamtejszą kulturą), za te najważniejsze dla siebie uznał Gandhiego (co można było przypuszczać) oraz Phoolan Devi, „Królową bandytów", przywódczynie Dakoitów, rabusiów i morderców, mszczącą się niczym bogini Kali, za swe krzywdy i krzywdy innych.

Druga część opowieści Tymoteusza odnosiła się do bardziej duchowej części książki, opartej w dużej mierze na wcześniejszym tekście pt. „Czy anarchista może wierzyć w Boga?", umieszczonym w anarchistycznym periodyku „Inny Świat". W swych rozważaniach Tymek wyszedł poza owo podchwytliwe pytanie, próbując zebranym przedstawić swój duchowy światopogląd oraz teorie, wedle której, anarchiści mają również prawo wierzyć nie tyle w osobowego Boga, lecz jakikolwiek Absolut, i zupełnie jest mu obojętne, jak będzie brzmiała jego nazwa. Sam prelegent, ewidentnie zafascynowany duchowością Wschodu, pozostawia tu szerokie pola dla tych, którym nie wystarcza ateistyczny anarchizm i szukają owego „czegoś więcej", poszukując przy tym sensu życia oraz miejsca dla uduchowionego człowieka w ornamentach Kosmosu. Prelegent, jakby w ramach wiarygodności swych rozważań, rzucił kilkoma przykładami z historii, gdzie wiara w Boga czy szerzej, w jakikolwiek Absolut, łączyła się z walkami społecznymi, wiarą w „Królestwo Boże na ziemi", ideami socjalistycznymi a nawet anarchistycznymi.

Gdy Tymoteusza powiedział, to, co chciał powiedzieć, nastąpił moment, gdy coś od siebie chcieli powiedzieć również ci, co go wysłuchali. Pytań i własnych rozważań było sporo. Jedni

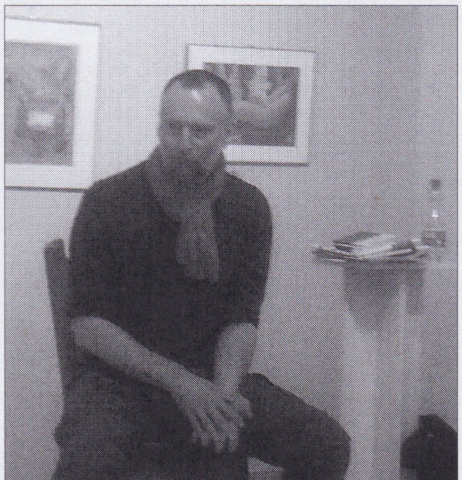

zupełnie nie zgadzali się z ideą bezprzemocowego anarchizmu (podając za przykład choćby zamieszki w Hamburgu w czasie G20, gdzie pokojowe marsze były bezceremonialnie atakowane przez siły policyjne, a zdecydowana odpowiedź anarchistów nieco osłabiła owe ataki) czy uduchowienia idei wolnościowych, podkreślając własny ateizm bądź agnostycyzm. Inni być może zgadzali się z większością idei zawartych w „Moim anarchizmie", lecz odstraszał ich zbyt zagmatwany język, wielość określeń wywodzących się z religioznawstwa i brak luzu, do jakiego mogliśmy się przyzwyczaić czytając wcześniejsze książki Onyszkiewicza. Byli też tacy, dla których ta mała książeczka stała się symbolem ukierunkowania się polskiej myśli anarchistycznej do wewnątrz. Anarchiści jak do tej pory swe główne działania kierują na zewnątrz, tak, by dojrzało ich konsumpcyjne społeczeństwo. Chcą jakby się „dobrze sprzedać". „Mój anarchizm" również można traktować jako „produkt" pokazujący łagodniejszą twarz anarchizmu, ale również jest rzeczą, która może sprowadzić siostry i braci w ruchu ku własnym przemyśleniom bądź przewartościowaniom... albo umocnić ich jeszcze bardziej w tym, co dla nich jest słuszną drogą ku wolności. Samo spotkanie, jak i dyskusje, jakie miały miejsce zaraz po nim nie były, więc czasem straconym. Jednak naszła mnie w czasie jego trwania mała smutna refleksja. Czy ludzie, którzy uważają się za jakąkolwiek alternatywę wobec kapitalistycznej rzeczywistości, są już z tak pełni wiedzy o ideach czy nawet życiu, że nie potrzebują dowiedzieć się czegoś więcej? Czy spotkania, takie jak to, robimy tylko dla siebie, czy może dla szerszego grona zainteresowanych? Ze względów bezpieczeństwa, spotkanie z Tymkiem był półoficjalne. Nie było ani plakatów, ani ogłoszonego wydarzenia na fejsie. Informacje o nim dostało jednak kilkadziesiąt osób z Rzeszowa i okolic. Zjawiło się może z dziesięć osób. Nie było wśród nich ani czołowych postaci rzeszowskiego punk rocka, ani weteranów ruchu anarchistycznego, którzy nadal pomieszkują w stolicy Podkarpacia. Smutne to, lecz prawdziwe... ale zawsze pozostaje w nas nadzieja, że kiedyś będzie lepiej :).

Krawat

SAMOORGANIZACJA I WSPÓŁDZIAŁANIE

Kupuj zdrowo, odpowiedzialnie i sprawiedliwie. To motto i cel działania Kooperatywy „Dobrze", którą przepytywałem w poniższym wywiadzie. Na pytania odpowiadała Nina, a wywiadował Gruha.

CHAOS: Kiedy zaczęła się historia Kooperatywy Spożywczej „Dobrze"? Kto i w jaki sposób wpadł na pomysł jej założenia? Oprócz tego prowadzicie też dwa sklepy z żywnością. Jak doszło do ich założenia i jak radzicie sobie na dość konkurencyjnym warszawskim rynku?

Nina: Ja jestem matką założycielką „Dobrze". Ale prawda jest taka, posługując się dalej metaforą rodzicielską, że nasza Kooperatywa ma wielu rodziców, głównie matek - Justynę Szambelan, Dominikę Potkańską, Ewę Kępińską, Beatę Charycką, Kubę Roka, Adama Markuszewskiego, Magdę Trojanek na pewno kogoś pominęłam, a to dla tego, że na różnych etapach różni ludzie są zaangażowani bardziej lub mniej. W roku założenia „Dobrze" (2013) miałam już spore, dwuletnie doświadczenie działania w WKS (Warszawskiej Kooperatywie Spożywczej), w której próbowaliśmy tworzyć alternatywę wobec korpo-kapitalizmu. No i oczywiście miałam już mocno określony światopogląd, który jest kluczowy, aby zmobilizować siebie i innych. Myślę, że jednym z czynników naszego sukcesu jest to, że trzon założycielek/i Kooperatywy stanowili i nadal stanowią osoby krytyczne wobec kapitalizmu i nacjonalizmu, zwolennicy samoorganizacji, feminiści/ki, którzy są obdarzeni dużą dozą pragmatyzmu i mocno zakorzenieni w rzeczywistości. Nasza Kooperatywa też miała i ma być pragmatyczna. Ma być praktyczną alternatywą dla supermarketów, ale taką, w której uczestnictwo nie jest trudne czy niedostępne dla zwykłych ludzi. Od samego początku, przyświecała mi myśl, że w Polsce powinniśmy tworzyć miejsca pracy, jeśli chcemy mieć dobrze działającą organizację z oddanymi ludźmi. Bo każdy wolontariusz i wolontariuszka w pewnym momencie musi iść gdzieś zarabiać i nie ma wystarczająco czasu, żeby oddać się pracy ideowej na pełny etat. Chciałam, żeby to było możliwe w Kooperatywie. Później pracowaliśmy nad formą prawną, zasadami, procedurami. Po roku od spotkania założycielskiego otworzyliśmy pierwszy sklep.

CHAOS: Na czym polega wasz model?

Nina: Mamy ponad 250 członków i członkiń. Wszyscy wspólnie mamy wobec Kooperatywy zobowiązania, ale czerpiemy też korzyści z bycia członkami/iniami. Ponadto mamy ponad drugie tyle klientów, którzy mogą kupić u nas żywność wysokiej jakości i taniej niż w zwykłych sklepach eko. Każdy członek i członkini wspiera nas swoją pracą (obowiązkowy dyżur trwa 3h/miesiąc) oraz wpłacając składkę (180 zł/6 miesięcy), a w zamian: kupuje wszystkie produkty z marżą 8%, może uczestniczyć w zebraniach grup roboczych, Zgromadzenia Walnych i decydować o rozwoju organizacji. Dodatkowo dochodzi też aspekt uczestnictwa w fajnej organizacji, wspieranie ekologicznego rolnictwa, nawiązywaniu relacji, fair trade, itp. Oczywiście mamy też stałych pracowników (obecnie 12 osób spośród członków/iń). Realizujemy zatem model przedsiębiorstwa społecznego – to, co robimy, robimy dla lokalnej społeczności, dla rolników, dla siebie.

CHAOS: Przejdźmy do technicznych aspektów waszej działalności. Kupujecie w ilościach hurtowych produkty spożywcze u rolników i jest to żywność ekologiczna, nieprzetworzona. Jak nawiązujecie współpracę z rolnikami?

Nina: W sklepach Kooperatywy mamy teraz ponad 2 tysiące produktów. Żywność, co do zasady jest lokalna i sezonowa, przede wszystkim kupowana bezpośrednio od rolników. W przeważającej mierze są to rolnicy ekologiczni z certyfikatami, ale nie tylko. Kupujemy też w ekologicznych hurtowniach. Mamy sporo kryteriów, których trzymamy się przy zamówieniach. Na pewno nie będziemy sprzedawać mięsa. Jeśli nabiał to eko lub z małych wytwórni. Jeśli kawę czy banany to fair-trade. Jeśli kosmetyki czy słodycze to bez oleju palmowego, itp. Od kilku lat współpracujemy z tymi samymi rolnikami, często zgłaszają się do nas nowe gospodarstwa. Rozmawiamy, czasem się odwiedzamy, czasem bazujemy na doświadczeniu innych kooperatyw.

CHAOS: Z iloma producentami lokalnej żywności współpracujecie na dzień dzisiejszy i jakie są warunki do kooperacji?

Nina: To zależy od definicji producenta i sezonu. Skupiając się tylko na gospodarstwach rolnych - w lecie jest ich najwięcej - około 15 na tydzień.

CHAOS: W jaki sposób dokonujecie zamówień?

Nina: Zamówienia robi koordynator ds. zamówień zatrudniony na cały etat. Kooperatywa „Dobrze", z czego jestem bardzo dumna, obecnie zatrudnia 12 osób. Mamy swoje listy obowiązków i obszary działań.

CHAOS: Czy oprócz żywności na liście zakupów są także inne produkty?

Nina: Oczywiście. Kosmetyki i detergenty eko i różne inne dobre i rewolucyjne rzeczy, których nie znajdziecie gdzie indziej jak np. kubeczki menstruacyjne czy kilogramowe opakowania sody oczyszczonej (eko-świry wiedzą, o co chodzi).

CHAOS: Czy możecie wymienić po jednym z pozytywów zarówno dla członków kooperatywy jak i producentów, płynących z tej współpracy?

Nina: Nie ma ani jednego negatywu, więc nie ma sensu wymieniać pozytywów. To jest fair deal dla wszystkich uczestników/uczestniczek. Masz wysokiej jakości żywność dostępną 6 dni w tygodniu, spoko ceny plus cały pakiet wartości takich jak zaufanie, budowanie sprawiedliwego świata, dbałość o środowisko, uczestnictwo w demokratycznych strukturach.

CHAOS: Myślę, że nie mylę się łącząc źródła ideowe waszej działalności z osobą Edwarda Abramowskiego, prekursora ruchu spółdzielczego i kooperatyzmu. Jak ważny jest dla was dorobek ideowy Abramowskiego?

Nina: Myślę, że mało kto go zna spośród naszych

członków, choć oczywiście nasze liderki i liderzy już tak. Choćby Dominika Potkańska związana z Laboratorium Kooperacji. Przed laty czytałam książkę Abramowskiego i budująca była jego otwarta krytyka kapitalizmu. Dzisiaj to rzadkość. Jeśli chodzi o odnoszenie się do ruchu spółdzielczego w ogóle to w obu sklepach mamy na ścianach wypisane międzynarodowe zasady spółdzielcze, więc nasi członkowie i klienci codziennie mają je przed oczyma. Chciałabym mieć więcej czasu na tworzenie spółdzielczej tożsamości pośród naszych członków i członkiń, ale jeśli mam wybrać, w co angażować energie wolę zajmować się aktualnymi realnymi problemami rolnictwa li polskiej wsi.

CHAOS: Wyżej wspomniany uważał, że kiedy system społeczno-ekonomiczny stawiający na piedestale indywidualny zysk i współzawodnictwo zaczyna zawodzić, kiedy leżąca u naszych stóp przyroda zaczyna się buntować, kiedy okazuje się, że w pojedynkę jesteśmy bezsilni wobec machiny biurokracji czy „sprawiedliwości" dyktowanej przez silniejszego, wówczas zorganizowanie się ludzi, którzy nie mają nic, stawiających na samo-organizację i właśnie współdziałanie, jest jedynym remedium na zaistniałą sytuację. Kooperatywa to zatem koncepcja prawdziwej, zaangażowanej i samorządnej demokracji, oddolnej współpracy, braterstwa i przyjaźni, jako dróg ku lepszemu, bardziej egalitarnemu światu. W jakim stopniu udaje się wam realizować te koncepcje w ramach kooperatywy, którą tworzycie?

Nina: To ładny cytat, porusza dużo wątków. Dla mnie oczywiste jest, że system, w którym główną motywacją ludzkich działań jest zysk prowadzi do degeneracji. Taki właśnie jest kapitalizm, który w zglobalizowanej, korpo-fazie trzyma się bardzo dobrze. Prawdą jest, że naszą odpowiedzią na ten fundamentalny kryzys - jest działanie lokalne. Lokalne, czyli na poziomie, na którym mamy możliwie największy wpływ. Jednak come on, nie jesteśmy ludźmi, którzy nic nie mają. To nie te czasy. Bardzo bym chciała widzieć mobilizację wśród warstw najbardziej wykluczonych, ale prawda jest taka, że jak jesteś biedny/a to to, o czym myślisz, to o tym, jak zmobilizować swoje życie na przetrwanie (okej, prawd może być więcej). W każdym razie w kooperatywie mamy raczej przedstawicieli/ki klasy średniej, często spauperyzowanej, używając języka raportów, prekariuszy/ek, ale też ludzi, którzy radzą sobie całkiem spoko, zresztą nie wiem czy spoko, bo mogą sporo zarabiać, a mieć kredyt na 30 lat. Grupa jest różnorodna.

CHAOS: Czy wspieracie się wzajemnie, jako członkowie, rozwijacie świadomość konsumencką zarówno wśród was, jak i na zewnątrz?

Nina: Tak, prowadzimy działalność edukacyjno-propagandową. Robiliśmy m.in. Zjazd Kooperatyw dot. ekonomii dobra wspólnego, Kampanię Nie Kupuję w Supermarkecie, i inne mniejsze wydarzenia - całkiem sporo o bananach - dzięki Asi Baranowskiej - mamy teraz w sklepach banany fair-trade.

CHAOS: Na waszej stronie znalazłem tajemnicza nazwę Ruch Nyeleni. Czy Kooperatywa „Dobrze" współtworzy ten ruch, jest jego częścią?

Nina: Tak, jesteśmy częścią Ruchu Suwerenności żywnościowej, ja osobiście jestem członkinią zespołu koordynacyjnego Nyeleni Polska. Próbujemy łączyć ze sobą środowiska konsumenckie, takie jak kooperatywy spożywcze i rolnicze - głównie gospodarstwa ekologiczne, a wszystko na rzecz tzw. suwerenności żywnościowej - czyli prawa do samostanowienia o sposobie wytwarzania żywności w danym kraju, z dala od rynkowej presji i dyktatu korporacji. Innymi słowy - suwerenność żywnościowa to prawo ludzi do zdrowego i zgodnego z ich kulturą żywienia produkowanego w oparciu o ekologiczne i zrównoważone metody, a także ich prawo do definiowania własnych systemów żywnościowych i rolnych. W centrum systemu żywności są potrzeby tych, którzy produkują, dystrybuują i konsumują żywność, a nie zapotrzebowanie rynków i korporacji.

CHAOS: Czy wspieracie też inne kooperatywy na waszym terenie i w Polsce? Jak przedstawia się sytuacja kooperatyw w Polsce (przed wojną ruch spółdzielczy i kooperatywny był bardzo silny, sam Abramowski stworzył istniejącą do dzisiaj sieć Spółdzielni „Społem")? Czy jest to tendencja wzrostowa? Istnieje jakaś platforma wymiany doświadczeń i miejsce spotkania się i poznania face to face?

Nina: Na ile jesteśmy w stanie, staramy się wspierać inne kooperatywy, bardziej poprzez nieformalne spotkania, rozmowy. W te wakacje przyjechała do nas kooperatywa lubelska, z którą dzieliliśmy się doświadczeniem, we wrześniu spotykaliśmy się z kooperatywą z Poznania. Aktualnie wspieram ekspertyzą kooperatywę w Atenach. Tak więc wymiana się odbywa, nie tylko w Polce. Przez kilka lat organizowane były też zjazdy kooperatyw w Polsce. Dwa razy w Warszawie, raz w Łodzi i raz w Krakowie. My organizowaliśmy Zjazd w 2015 roku. Niestety, nie ma jednej sieci kooperatyw, bo też, niestety nie ma jednej definicji kooperatywy w Polce i tak np. grupy zakupowe organizowane przez prywatna firmą nazywają siebie kooperatywami, a to jednak z oddolną spółdzielczością ma niewiele wspólnego.

CHAOS: Gdzie was szukać w realu?

Nina: Warszawa, Wilcza 29a i Andersa 27.

CHAOS: Chcąc przystąpić do kooperatywy musiałbym spełniać jakieś warunki?

Nina: Raz w miesiącu organizujemy spotkanie dla osób chcących przystąpić. Info zawsze jest na stronie: www.dobrze.waw.pl i fanpejdżu.

CHAOS: Oprócz członków, w waszej Kooperatywie zatrudniacie pracowników. Jak do tego doszło i na jakich warunkach są zatrudnieni?

Nina: Dwanaście osób. Wszyscy, którzy chcą na umowę o pracę. Wszyscy pracownicy i pracowniczki są członkami Kooperatywy. Zatrudnienie jest niezbędne tam, gdzie myślimy o długofalowym rozwoju i profesjonalnej organizacji. Do zatrudnienia dążyliśmy od początku.

CHAOS: Sukcesy i porażki waszej kooperatywy to...?

Nina: Wszystko, o czym do tej pory opowiedziałam to historia sukcesu, ale sukcesu rozumianego jako proces. W tym procesie są oczywiście miejsca na błędy. Nawet, jeśli zdarzają nam się porażki, to są wynikiem tego, że cały czas się uczymy. Chociaż jest jedna porażka, choć nie tylko nasza - fiasko lobbingu na rzecz zmiany prawa, które umożliwiłoby wszystkim rolnikom legalną sprzedaż swoich przetworów do sklepów.

CHAOS: Plany na przyszłość?

Nina: Kontynuować działalność, czyli m.in. dopieszczać procedury, opracować sprawny proces ewaluacji, zadbać lepiej o wewnętrzną komunikację i integrację. Marzy nam się biuro, a niektórym kooperatywy supermarket, najchętniej przejęcie jakiegoś Lidla lub Biedry...

CHAOS: Dziękuję za wywiad!

OBÓZ DLA PUSZCZY OD ŚRODKA

W okresie letnim w Obozie Dla Puszczy miałem przyjemność być dwa razy. Kilka słów o samej miejscówce, żeby przybliżyć klimat osobom, które w obozie nie gościły - wyobraźcie sobie polską wieś, sąsiadujące ze sobą gospodarstwa ze stodołą, chlewikami, domkiem i rozległym polem za płotem. Dookoła tereny leśne, a w zasadzie puszczowe. Magiczne. Przepiękne.

Właśnie w jednym z takich gospodarstw mieści się Obóz Dla Puszczy, przystosowany oczywiście do obozowego życia i tak w jednym z sąsiadujących ze sobą chlewików urządzono obozowe biuro (komputery, mapy, itp.), kolejny chlewik zagospodarowano na spiżarnię (same pyszności, w większości wegańskie, rzadziej wege. Półki wręcz uginają się pod produktami od wspierających obóz darczyńców), kolejny chlewik pełni funkcję łazienki - D.I.Y. prysznice i zlewy na pełnej profesce. W jeszcze kolejnym chlewiku mieści się rowerownia, jakby ktoś z obozowiczów potrzebował wyskoczyć gdzieś w teren na odpoczynek, zwiedzanko, czy też zakupy do miasta. Rowery głównie wykorzystywane są jednak do patroli - niemalże codziennych wypraw monitorujących puszczańskie tereny, podczas których sprawdzane jest czy, gdzie i w jakich częściach puszczy pojawiają się maszyny dewastujące puszcze - harvestery.

Następnie podzielona na pół stodoła. W jednej części, na kupie siana miejsca noclegowe dla obozowiczów przyjeżdżających bez namiotów. Tuż obok długie stoły, z których korzystamy podczas wspólnych posiłków. Druga połowa stodoły to część warsztatowo-artystyczna. Tutaj robione są banery, koszulki i wszelkie plakaty z hasłami w obronie Puszczy. Tuż obok, w małym pokoiku, zaplecze z narzędziami i innymi niezbędnymi do różnorakich prac sprzętami.

Przechodząc przez stodołę wychodzimy po drugiej stronie wiejskiego gospodarstwa, w którym wokół ogniska skupione są namioty obozowiczów. Nieco dalej, za płotem rozciąga się łąka (tzw. bociania łączka), na której co jakiś czas pojawiają się m.in. żubry. Za łączką rozciąga się puszczowy teren.

Na dachu stodoły mieści się jeszcze jedna kwatera - gniazdo bocianów. W okresie, w którym ja miałem okazję odwiedzić obóz przypadał akurat okres lęgowo-zalotny. Nie jedna rozmowa, czy też zebranie organizacyjne, które odbywało się każdego dnia przy ognisku było przerywane (ubarwiane) odgłosami bocianich zalotów.

Każdy dzień obozowego życia rozpoczyna się od wspólnego posiłku. Na zebraniu (dzień wcześniej) dzielimy się zadaniami i osoby chętne do przygotowania śniadania korzystając ze spiżarni i obozowej kuchni (mieszczącej się pod zadaszeniem naprzeciw chlewików) przygotowują wegańską szamę (opcje wegetariańskie są zawsze oznaczone). I tak przy wspólnym posiłku w stodole rozpoczyna się kolejny obozowy dzień. Posileni ruszamy do wybranych dzień wcześniej zadań - grupy rowerowe wyruszają z patrolami, osoby deklarujące się do przygotowania transparentów zabierają się do pracy, chętni do ewentualnych napraw obozowych awarii podobnie, itd. W sytuacjach, w których wiadomo jest, że w danym miejscu jest, lub pojawić ma się harvester siły obozowiczów mobilizowane są do blokady.

Podczas jednego z pobytów w obozie miałem też okazję załapać się na tzw. spacer po puszczy, podczas którego wręcz namacalnie obalane są mity dotyczące kornika terroryzującego puszczę oraz innych pseudo argumentów mających dać przyzwolenie na wycinkę puszczy i wjazd do niej ciężkich sprzętów. Spacer ten jest nie tylko bardzo ciekawy z punktu widzenia zdobytych w jego trakcie informacji, ale także poprzez samo obcowanie z puszczą będąc w jej wnętrzu.

Planując pierwszy wypad do Obozu, od kolegi Michała dostałem informację w stylu „wbijaj! Tu jest totalnie nasz klimat!" i tak właśnie było. Coś jakby zaskłotowane jedno z gospodarstw wiejskich, kumata załoga, wszystko na zasadach D.I.Y. i ogromny plus w postaci świadomości tego, co sprowadza do obozu każdą poszczególną osobę i poczucia misji. Każdy dzień spędzony w obozie sprawia, że coraz trudniej jest stamtąd wyjechać, dlatego, że jest tak klimatycznie, tak magicznie, tak fajnie. Każdy wyjazd z obozu zazwyczaj związany jest z poczuciem, które jest chyba tylko kwestią czasu - poczuciem chęci powrotu do puszczy, powrotu do Obozu i tworzących go Ludzi.

Bardziej smutne niż śmieszne jest też to, że po pierwszym wyjeździe z Obozu sądziłem, że nie będzie już, do czego wracać. Był to okres na chwilę przed konferencją UNESCO nakazującą w finale natychmiastowe wstrzymanie wycinki, wydawało się więc, że dewastacja puszczy się zakończy, a wraz z nią sam obóz będzie mógł się zwijać z poczuciem dopięcia celu... Stało się zupełnie inaczej - harvestery zaczęły wycinać puszczę bardziej intensywnie. Podobne odczucia miałem, gdy swoje decyzje podjął Trybunał Sprawiedliwości UE. Trudno jest to pojąć, racjonalnie wytłumaczyć sobie to wszystko. Tak czy inaczej wycinka trwa, ostatnimi czasy odbywa się również w nocy... Na szczęście trwa również walka w obronie puszczy.

Celowo nie skupiłem się w tym tekście na zasadności samych protestów w obronie puszczy. Po pierwsze wydaje mi się, że dla części czytelników „Chaosu" jest to po prostu oczywiste, a ci, którzy poszukują informacji znajdą ich masę raczej nie w TV, a w necie. Osobom zainteresowanym działalnością Obozu polecam fejsbukowy profil OBÓZ DLA PUSZCZY, na którym znajdziecie najbardziej aktualne informacje na temat tego, co dzieje się w Puszczy. Od czasu do czasu zamieszczane są tam także live streamy z blokad.

Walka w obronie puszczy wciąż trwa. Obecnie ekipa przygotowuje się do przeniesienia obozu w miejsce, w którym będzie on mógł kontynuować działalność w chłodniejszym okresie jesienno-zimowym. Jeśli ktoś chciałby wesprzeć Obóz, ale nie ma opcji przyjazdu na miejsce, na profilu FB znajdziecie także informacje, w jaki sposób można pomóc na odległość - rzeczowo - w postaci aktualizowanej listy rzeczy potrzebnych w obozie, a także finansowo - w postaci wpłaty dowolnej sumy na wskazane pod linkiem konto.

Mike

ZAPARKIEM
NIE ZGINĘŁA

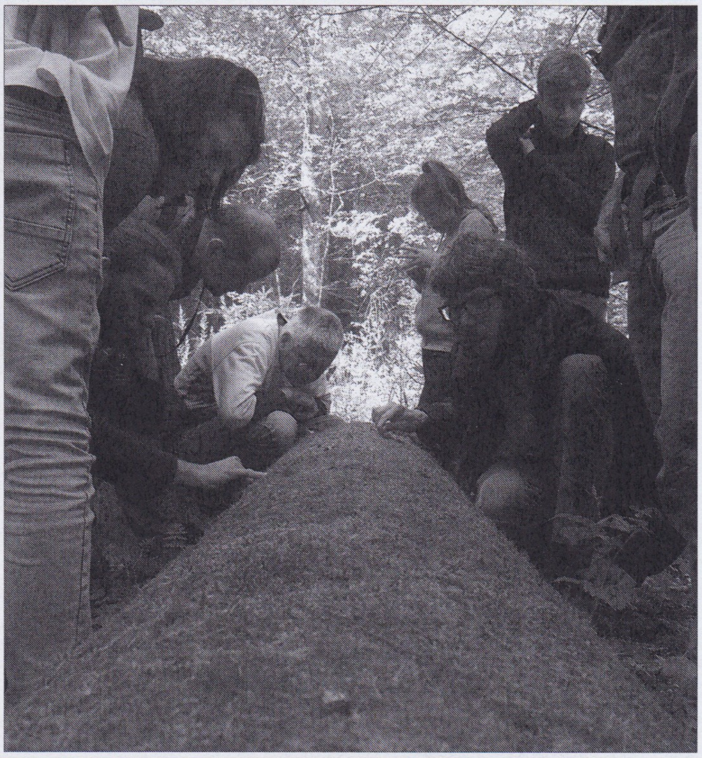

NIE ZGINĘŁA!

ANARCHISTA TRZECIEJ FALI - HAKIM BEY

Leksykon anarchistów i anarchistek z założenia miał być cyklem szeroko otwartym. Nie chcę pisać w nim tylko i wyłącznie o powszechnie znanych nazwiskach z historii ruchu anarchistycznego (choć o nich też było i będzie). Również ideowo, nie ma tu sztywnego podziału i miejsce wyłącznie dla tzw. anarchizmu społecznego (anarcho-kolektywizm-komunizm-syndykalizm). Dlatego tym razem będzie o postaci nie dość, że wciąż żyjącej i tworzącej, to jeszcze przez wielu anarchistów społecznych, wykluczanej z szerokiego grona wolnościowego. Na przekór dogmatykom i strożom czystości ideowej, przedstawiam czytelnikom i czytelniczkom fascynującego i kontrowersyjnego proroka nowej ery anarchizmu - Hakim Bey'a.

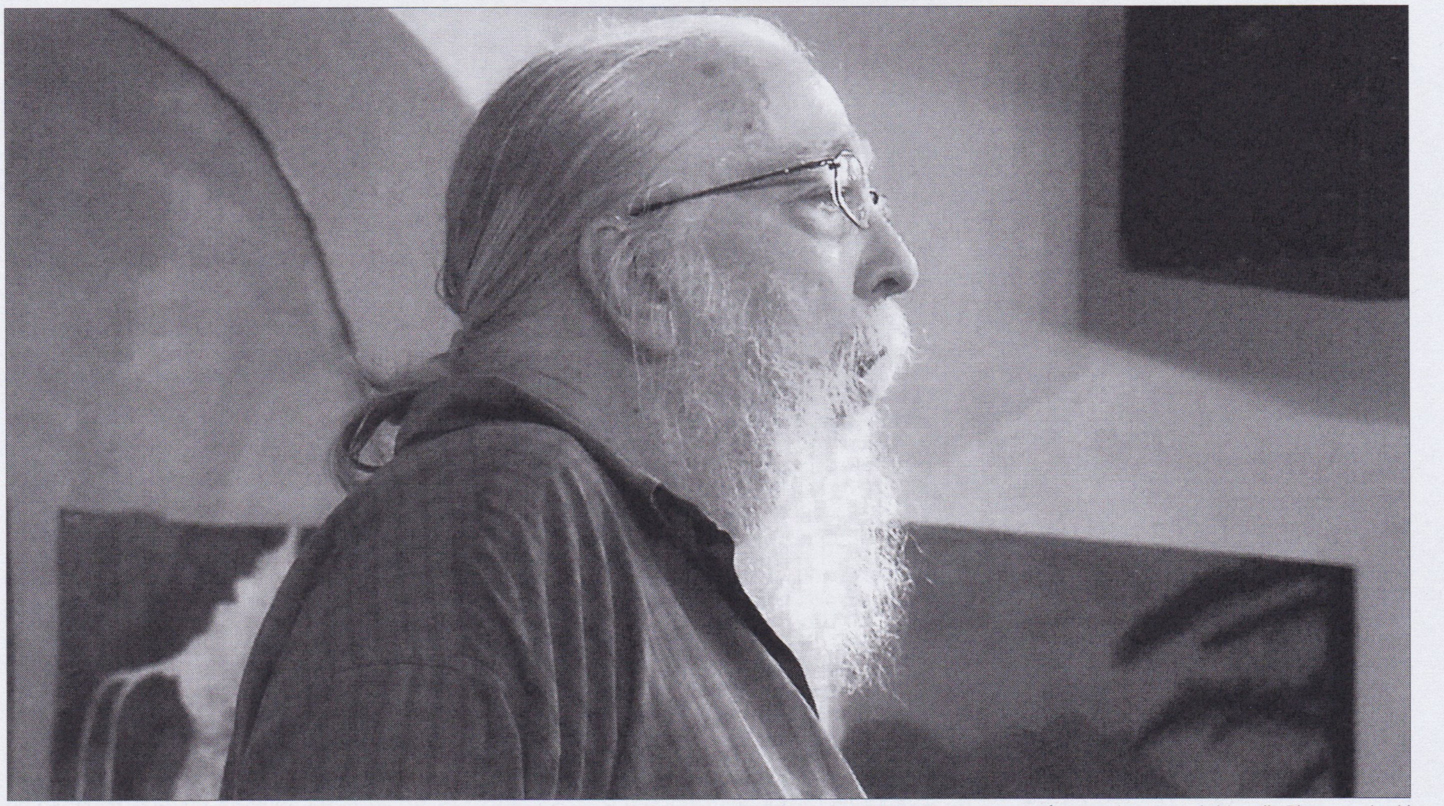

Hakim Bey to anarchista nietuzinkowy, z całą pewnością wychodzący całkowicie poza utarte szlaki myśli libertalnej, ale za to przecierający nowe połączenia pomiędzy anarchizmem a wieloma innymi ideami, ruchami czy nawet religiami. Mówi i pisze się o nim wiele, choć w Polsce znów jakby o nim zapomniano... Ma swych wielu wiernych fanów, podchodzących do jego twórczości z duchowym namaszczeniem, tysiące wnikliwych czytelników, którzy cenią jego erudycję i z nieukrywaną ciekawością czytają to, co wychodzi spod jego ręki, pozwalając sobie na krytyczne spojrzenie na tezy w nich zawarte, jak i znajdzie się zapewne kilka setek zgryźliwych krytyków, wrogów pełnych nienawiści do samego Bey'a, jak i jego twórczości. Jedni z nich, czynią to z powodów czysto osobistych, inni - ideologicznych... Nie da się po prostu przejść obok jego twórczości. Zazwyczaj się nią fascynuje, lub nienawidzi... Trzeba również przyznać bez bicia, iż można mu pozazdrościć przypisania wielu przymiotników, którymi można by obdarzyć wiele osobistości: pisarz, poeta, tłumacz, eseista, wykładowca, historyk kultury, podróżnik, osobowości radiowa, wydawca, krytyk społeczny, psychonauta, mag chaosu, wyklęty mistyk, pomnik kontrkultury, neosytuacjonista i post-anarchista, tytułowy anarchista trzeciej fali i reformator wolnej idei... Kim jest ta intrygująca postać? Postaram się, choć w niewielkim stopniu to odkryć.

Peter Lamborn Wilson, bo tak brzmi jego prawdziwe nazwisko (pod którym notabene wydaje dużą część swych książek) otoczony jest aurą tajemniczości już od momentu swych narodzin... Nie wiemy dokładnie, kiedy to nastąpiło. Wszelakie źródła podają jedynie rok urodzenia - 1945 - oraz miejsce - Nowy Jork. Nic nie wiemy na temat miesiąca czy dnia. Jego ojciec, Douglas Emory Wilson, był wykładowcą na kilku amerykańskich uniwersytetach, redaktorem pisma „Harvard University Press" oraz edytorem zbioru pism Ralpha Waldo Emersona, amerykańskiego poety, pisarza i filozofa. O matce, Margaret Packwood, wiemy niewiele. Peter był jedynakiem a rodzice rozwiedli się, gdy miał 13 lat. W czasie studiów na Uniwersytecie Columbia, młody Wilson poznaje Warrena Tartaglia, który wprowadza studentów w tajemniczy świat islamu oraz prowadzonej przez siebie grupy Noble Moors Noble Order of Moorish Sufis (Szlachetny Zakon Mauryjskich Sufich). Wilson, zainteresowany różnymi szkołami filozofii i religii, wiąże się z grupą Tartaglii, która w 1964 r. przekształca się w Moorish Orthodox Church (Mauretański Kościół Ortodoksyjny), eklektyczną i heretycką grupę, powstałą poprzez rozłam w Moorish Science Temple (Mauretańskiej Świątyni Nauki) Drew Ali'ego. MŚN została założona w 1913 r. przez Timothy Drew Ali'ego w Chicago. Jej założyciel i członkowie uważali się za spadkobierców prawdziwej, ezoterycznej wersji islamu oraz potomków Czarnych niewolników w Ameryce. Drew Ali napisał „Koran Siedmiu Kręgów", gdzie łączy w jedność teozoficzne chrześcijaństwo, ludowe wierzenia islamu oraz pseudo-eugeniczne dywagacje o jasnym antyrasistowskim przekazie. Religia „wymyślona" przez Ali'ego stała się potem podwaliną, która ukształtowała „czarną wiarę" Nation of Islam (Narodu Islamu), który jednak z czasem przeszedł na nazbyt radykalne pozycje, ocierając się o „czarny rasizm" i antysemityzm. Mauretański Kościół Ortodoksyjny to swego rodzaju „religia anarchistyczna", której jedna z zasad brzmi „każdy jest kapłanem tylko dla siebie" (cytat pochodzi z „Koranu Siedmiu Kręgów" Ali'ego). Czerpie ona całymi garściami z różnych ezoterycznych, hermetycznych, okultystycznych i heretyckich tradycji Wschodu i Zachodu oraz „nowoczesnych" wierzeń, choćby takich, jak dyskordianizm. Najwięcej jednak czerpał z zamkniętego świata islamu. Do MKO należało wiele znakomitości kontrkultury hippisowskiej, artystycznego podziemia czy nieortodoksyjnych anarchistów. Można była tam znaleźć m.in. Jamesa Koehline'a - artystę collage'u i anarchistę (autora wielu prac, jakie znalazły się na okładkach książek Hakim Bey'a oraz kilku prasowych tytułów anarchistycznych). W czasie studiów, w ramach współpracy pomiędzy MKO a League for Spiritual Discovery (Ligi Odkryć Duchowych), grupy założonej przez sławetnego mistycznego naukowca, „pierwszego hippisa", Timothy'ego Leary, Wilson zażywał spore dawki LSD, które można było za darmo dostać wśród wyznawców „szalonego doktora". Pierwsze kroki pośród „dziwnych" islamistów z MKO na zawsze połączą Wilsona z myślą i tradycją ezoterycznego islamu, a przede wszystkim jego „heretycką" odmianą, sufizmem.

Rok 1968 na całym świecie jest czasem zaburzeń, niepokojów społecznych, walk ulicznych i politycznej gorączki. Tak też jest i w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce po zabójstwie Martina Luthera Kinga, Peter L. Wilson postanawia opuścić ojczyznę. Tak jak on, czyni również wielu innych kontestatorów, zdegustowanych zamianą „sceny politycznej w widowisko". Kilkanaście lat później, popularny pośród amerykańskiej muzułmańskiej młodzieży, publicysta i eseista, Michael Muhammad Knight, opisze ten czas, jako „postkolonialny świat zatłoczony amerykańskimi hippisami, którzy przeznaczali swoje fundusze powiernicze na tajemnicze sprawy...". Wilson był pośród nich i swe pierwsze kroki na mapie świata postawił w Afryce Północnej, zahaczając między innymi o Tanger, ówczesną Mekkę wszelkiej maści buntowników i odmieńców z Europy Zachodniej i zza Oceanu Atlantyckiego. Nie zagrzał tam długo miejsca, gdyż jego celem była Azja, a dokładnie Indie, źródło fascynacji całej kontrkultury lat 60. Podróżuje pomiędzy Indiami a Nepalem, szukając informacji o tamtejszych sufi, trafia na tantrę, osobisty system rozwoju osobistego i duchowego. Szczególnie śledzi nauki Genesha Baby. Techniki medytacyjne ćwiczy m.in. w jednej z jaskiń nad Gangesem. Pobyt w Indiach przysporzył mu również problemów natury medycznej. Miesiąc spędził w szpitalu w stolicy Nepalu, Katmandu, z zapaleniem wątroby. Ponoć mogło się to wiązać z połknięciem sporych ilości marihuany, ale to niepotwierdzona plotka... Beztroskie życie pośród świętych krów i medytujących joginów przerywają indyjscy urzędnicy, którzy wydalają szczęśliwego Wilsona z kraju, za niedopatrzenie formalności przedłużenia wizy. Odstawiony do granic państwa Hindusów, ląduje w Pakistanie. Przebywa tam kilka miesięcy, pomieszkując zarówno pośród ludzi wykształconych i wysoko stojących na szczeblach drabiny społecznej, jak i pomiędzy ubogimi wyznawcami sufizmu i

biedotą żyjącą na ulicach. Często odwiedzał też speluny, gdzie podawano opium. Później napisał, iż w mieście Kweta znalazł „całkowite oleowanie wszelkich rządów", a ludzie żyli pośród własnych rodzin, klanów i plemion i na nich opierało się życie społeczne, co znów obudziło w nim duszę anarchisty. Kilka razy zawędrował również do sąsiedniego Afganistanu, jednak ostatecznie wylądował w Iranie, rządzonym wówczas krwawą ręką Szacha. Trafia tam jakby przez przypadek... wchodząc do irańskiej ambasady w Kweta, nie miał zupełnie zamiaru opuszczać gościnnego mu Pakistanu, jednak perspektywa rocznej wizy i bezproblemowego, legalnego pobytu zrobiła swoje. Za jakiś czas mogłoby się okazać, iż Pakistańczycy są równie niegościnni jak Hindusi...

Na ziemi Persów, Wilson na stałe wiąże się już z islamem oraz odkrywa, iż we współczesnym świecie jest również miejsce na mistycyzm. Zatrudnia się, jako reporter w niewielkim piśmie anglojęzycznym „Tehran Jornual", co daje mu dostęp zarówno do ludzi z poza głównego nurtu dominującego tu, szyickiego islamu, jak i ludzi Zachodu, którzy odwiedzali ten kraj. Tak m.in. spotyka na swej drodze brytyjskiego reżysera filmowego i teatralnego Petera Brooka czy niemieckiego kompozytora awangardowego, Karlheinza Stockhausena. Pomaga również francuskiemu uczonemu, Henry'emu Corbinowi, przy przekładach klasycznych tekstów perskich. Szczęście uśmiechnęło się jednak do niego dopiero w 1974 r. Żona Szacha, Farah Pahlavi, postanawia założyć w Teheranie Imperial Iranian Academy of Philosophy, która zajmować ma się przede wszystkim badaniami nad mistycznym odłamem islamu, sufizmem, który kładzie nacisk na łączenie się z bogiem poprzez ekstazę i kontemplacje. Podobno pomysłodawcą tej uczelni był wielki filozof islamu, Seyyed Hossein Nasr. Wilson dostaje tam stanowisko dyrektora ds. publikacji w języku angielskim oraz redaktora w piśmie „Sophia Perennis" (w latach 1975-78). Prócz niego, prace w Akademii znajdują również sam Nasr, Henry Corbin, z którym już wcześniej współpracował oraz japoński naukowiec Toshihiko Izutsu, zajmujący się islamem i innymi religiami. Wilson zagłębiał się w swych badaniach do samego końca trwania reżimu Szacha. W międzyczasie odbył też podróż na indonezyjską wyspę Jawa, gdzie również zgłębiał wiedzę o tamtejszych sufi. W 1979 roku opuszcza Iran, bojąc się o swe życie, jako oddany pracownik reżimu. O swym wyjeździe z perskiej ziemi mówił później tak: „Pojechałem na konferencję do Włoch tylko z podręcznym bagażem i nigdy już nie wróciłem. To nie była moja walka, ale zupełnie rozbiła ona mój świat. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że Szach był gwałtownym sukinsynem, który zasłużył na śmierć. Jego żona była wyjątkiem. To bardzo miła kobieta i zawdzięczam jej wiele radości w moim życiu - robienie jakichkolwiek uwag na jej temat byłoby grubiaństwem". Można by sobie zadać dziś pytanie, czy owa „miła kobieta", żyjąca niczym w szklanym pałacu, nie wiedziała nic o zbrodniczych charakterze państwa rządzonego przez jej męża? O torturach w lochach tajnej policji SAWAK i morderstwach na działaczach opozycji? Czy nie wiedział o tym, co działo się w tym kraju również sam Wilson? Szacha nie obalił sam Ajatollah Chomeini i jego zwolennicy (choć było ich sporo), lecz szeroka koalicja zaprzysiężonych wrogów despoty. Wśród nich byli również Mudżahedini Ludowi, radykalni szyici o politycznych poglądach bliskich skrajnej lewicy, nawet można rzecz, komunizmowi. To właśnie takie poglądy i podobne im grupy, zaprzątały w późniejszych badaniach głowę Wilsona. Niestety, w Iranie, po obaleniu dyktatury Szacha, do władzy dorwali się szyiccy fundamentaliści, którzy z czasem każdą opozycję traktowali równie bezwzględnie, co urzędników obalonego reżimu. Los Mudżahedinów Ludowych był już przypieczętowany, ale to już inna historia...

Peter L. Wilson powraca po wielu latach do rodzimego Nowego Jorku. Początkowo żyje dzięki funduszowi powierniczemu, co sam określił mianem życia „ubogiego, lecz niezależnego". Mieszka w tej samej kamienicy, co pokrewna mu dusza, William S. Burroughs, ikona beat generation. To podobno opowieści Wilsona o islamskiej sekcie Assassynów, założonej przez tajemniczego Hassan-i Sabbah (z połączenia jego imienia oraz nazwy sekty, wzięła się później nazwa haszysz, który zażywali członkowie sekty), dostarczyły Burroughsowi informacji, jakich użył później w swej książce „The Western Land" (wyd. polskie - Zachodnia Kraina, 2009). Burroughs zapożyczał również z jego opowieści hasło „Nic nie jest prawdziwe, wszystko jest dozwolone". Nowy Jork był w tamtych latach stolicą amerykańskiej kontrkultury, więc Wilson nie miał najmniejszego problemu by się w nim odnaleźć oraz zacząć tworzyć, coraz bardziej zagłębiając się z zachodniej transgresji i ezoterycznej tradycji. Coraz bardziej pociąga go również anarchizm, a w szczególności sytuacjonizm zrodzony na ziemi francuskiej, który odnosił niemałe „sukcesy" w czasie majowej rewolty 1968 r. Jednak w pierwszej kolejności skupia się na upublicznieniu tego, czym nasiąkł na Bliskim Wschodzie. Propagowaniu perskiej kultury i literatury, a w szczególności tej związanej z sufizmem. Przy niemałej pomoc irańskich tłumaczy, dokonuje przekładu szerokiego zbioru sufickiej poezji, który ukazuje się później pt. „The Drunken Universe: An Anthology of Persian Sufi Poetry". Dwie kolejne książki to również podróże po sekretnym bliskowschodnim świecie. „Scandal: Essays in Islamic Heresy" jest skandaliczna nie tylko poprzez swój tytuł. Książka zawiera eseje poświęcone heretyckim sektom i odłamom wiary mahometańskiej, gdzie obok Hassan-i Sabbaha, który upajał haszyszem swych Assassynów, mamy jawajski teatr „shadow-puppets" oraz „świętą pedofilię" - praktykę przyglądania się pięknym chłopcom, jako formę „jogi wyobraźni". „Sacred Drift: Essays on the Margin of Islam" również ma podobną formę, a centralnym jej punktem jest tytułowy esej będący próbą spojrzenia na „nomadozofię" heretyckiego islamu, widzianego od strony sytuacjonizmu. Wilson śledzi tu związki pomiędzy muzułmańskimi tekstami drogi, „bajkami" o latających dywanach i Khizr bądź Khezr czy Zielonym Proroku Koranu. W innych tekstach pisze o islamskich satanistach, seksualności w sufizmie, poezji Rumi'ego oraz postaci Noble Drew Ali - który według niego, jest jedynym „prawdziwym amerykańskim prorokiem", któremu udało się połączyć w jedność tradycje wolnomularstwa, chrześcijańskiego ezoteryzmu i pierwotnego islamu.

Jednak, jak wspomniałem już wyżej, nasz bohatera zaczyna również surfować po innych falach wiedzy tajemnej... W polu jego zainteresowań, poza heretyckim islamem, na temat, którego wie już wiele, zaczynają pojawiać się tematy niby podobne, lecz wywodzące się z innych kręgów kulturowych. Wilson zaczyna wertować w pismach wczesnych amerykańskich anarchistów (szczególnie upodobał sobie indywidualistów, ale nie stroni też od innych, bardziej „społecznych" szkół ideologii libertalnej), jak i wspominanych już sytuacjonistów. Fascynuje go filozofia Fryderyka Nietzschego. Analizuje buddyjski zen, ruchy neopogańskie, kulturę celtycką, jak i wykorzystywanie w starodawnych wierzeniach substancji halucynogennych. Interesuje go współczesny prymitywizm, luddyzm, anty-technologizm, jak i trybalizm, lecz z drugiej strony widać później u niego fascynacje Internetem, wojnami informacyjnymi i utopijnością życia w Sieci. No i „pirackie utopie", których doszukiwał się w Port Royal, Tortudze i przede wszystkim na Madagaskarze, w słynnej Libertattia. W całym tym rozgardiaszu rodzi się nowe wcielenie Wilsona, Hakim Bey... Ten pisarski pseudonim ma wyraźne konotacje z tajemniczym światem islamu i jest swego rodzaju prowokacją. Słowo il-Hakim w języku arabskim oznacza mędrca, alchemika, zaś po turecku to jurysta, sędzia. Zaś słowo Bey w języku tureckim jest grzecznościowym określeniem kogoś, kogo w języku angielskim nazwiemy gentlemanem. Bey to również określenie wywodzące się z Mauretańskiej Świątyni Nauki i oznaczające przynależność do „wiernych". Tylko część z jego książek czy artykułów prasowych przypieczętowana została tym pseudonimem. Dlaczego tak się działo - być może to kwestia przypadku, widzimisię autora bądź cel zamierzony? Niemniej, najbardziej interesujące dla anarchistów teksty Wilsona, ukazały się, jako Hakim Bey'a, a były to przede wszystkim „Tymczasowa Strefa Autonomiczna", „Millennium" czy choćby jeszcze nieprzetłumaczony na język polski „Permanent Autonomous Zone". Ale o tych tekstach, jak i innej twórczości, za chwil kilka...

Wilson/Bey w Nowym Jorku rzucił się również w wir działalności wydawniczej oraz zapuszczał się w rewiry mediów jak i akademików. Staje się członkiem i redaktorem kolektywu i wydawnictwa Autonomedia, które do dziś pozostaje jednym z najważniejszych radykalnych i niezależnych wydawnictw amerykańskich, zajmujących się m.in.: anarchizmem, marksistowskim autonomizmem i komunizmem rad, cyberfeminizmem, czy psychedelikami i polityką narkotykową. Poza książkami Wilsona/Bey'a, wydawnictwo to wydaje m.in. dzieła Antonia Negri, Michaela Muhammada Knighta, Silvii Federici czy Johna Moore'a. W ramach Autonomedia ukazywała się seria „Semiotext(e)", gdzie zajmowano się wszelkimi aspektami współczesnej kultury: ekologią, nowymi mediami, feminizmem, polityką, sztuką, filozofią, religią, jak i teorią literacką i nowatorską beletrystyką. W serii tej ukazał się numer „Semiotext(e) SF", którego redakcją zajął się Peter Lamborn Wilson, Robert Anton Wilson (inny sławny Wilson, autor poczytnej trylogii „Illuminatus", człowiek legenda, o której kiedyś

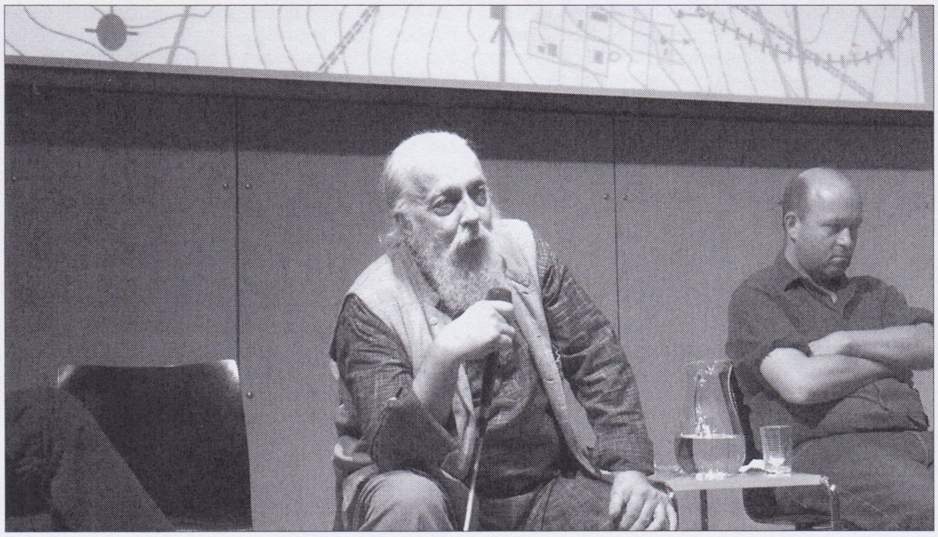

warto wspomnieć na łamach „Chaosu...") oraz Rudy Rucker (prekursor cyberpunka w literaturze). W tomie tym znaleźć można było m.in. utwory J. G. Ballarda, W. S. Burroughsa, K. Thorney'a i innych. Z biegiem lat nastąpił podział w wydawnictwie i Semiotext(e) stało się osobnym wydawnictwem (wchodzącym w skład MIT Press) wydającym dziś wiele znakomitości ze świata kultury, sztuki i polityki (by wymienić tylko kilka nazwisk: Kathy Acker, Mumia Abu-Jamal, Michael Foucalt czy Guy Debord). Ale wróćmy do naszego bohatera...

Teksty Wilsona/Bey'a zaczynają ukazywać się również w wielu innych magazynach, podziemnych zinach, dziwacznych periodykach oraz gazetach ukazujących się przy mniej lub bardziej efemerycznych wydawnictwach. Pośród nich znaleźć można antologie „Pantology" i „Exquisite Corpse" oraz tytuły: „Acolyte Reader", „Gayme", „NAMBLA Bulletin", „Ganymede". W ostatnich latach najczęściej można go spotkań na łamach nowojorskiego „First of the Month" oraz ukazującego się od ponad 50 lat anarchistycznego magazynu „Fifth Estate".

Wilson/Bey wychodzi też poza samo pisanie i wydawanie. Często gości w szacownym New York Open Center, gdzie mówi o wielu aspektach swoich badań i zainteresowań w dziedzinie duchowości. W jednej z lokalnych stacji radiowych ma swą audycję „Moorish Orthodox Radio Crusade" („Mauretańska Ortodoksyjna Krucjata Radiowa"). Pośród nowojorskiej bohemy ma wielu przyjaciół i oddanych czytelników. Jego uwagę przykuwała również muzyka eksperymentalna, stąd bliskość do takich postaci, jak Bill Laswell czy John Zorn. Z tym pierwszym nagrywa płytę „T.A.Z.", gdzie deklamacji książki Bey'a (oczywiście przez niego samego czytanej) towarzyszą podkłady muzyczne stworzone przez Laswella z towarzyszącymi mu muzykami (trudno nie zauważyć pośród nich szerokich inspiracji bliskowschodnich...). Również na innej płycie Laswella – „Hashisheen: The End of Law", możemy usłyszeć głos Bey'a w trzech utworach („Marco Polo's Talk", „Pilgrimage to Cairo" i „The Assassins"). Płyta poświęcona została w całości tajemnej sekcie Assassynów, a poza Bey'em można na niej usłyszeć również głosy Williama S. Burroughsa, Genesisa P-Orridge'a, Patti Smith, Iggy Popa i innych. Zaś angielski ezoteryczny zespół COIL nagrał swego czasu kawałek o wieloznacznym tytule „Assassins of Hakim Bey".

Mimo, iż oficjalny świat nauki niemal zupełnie nie akceptuje jego dokonań, a on sam również niezbyt darzy uczuciem akademickość i jej rytuały, to jednak często zapraszany jest na różne sympozja i konferencje naukowe, szczególnie te, zajmujące się naukami społecznymi i o kulturze. Kilka razy gościł na corocznej, znakomitej amsterdamskiej konferencji „Next Five Minutes", a regularnie prowadzi seminaria antropologiczne im. Franza Boasa na Uniwersytecie Harwardzkim.

Tym, co łączy wszystkie te aspekty działalności Hakim Bey'a, jest zainteresowanie oraz promowanie działania i myślenia, które zawsze będzie szło „pod prąd". Od innych kontrkulturowych działaczy czy badaczy różni go rygor badań i odpowiedzialność za swoje słowa. Wilson nigdy nie popada w tanią retorykę ani pokrętne argumenty - jak na anarchistę i wolnomyśliciela, ma zadziwiająco dużo szacunku dla tradycyjnej erystyki i arkanów klasycznej nauki. Oczywiście jego pracę przysporzyła mu nieco „sławy" na całym świecie, co jednak nie przeszkodziło mu w tym, by wszystkie jego „dzieła" były wyrzucone poza nawias wszelkich praw autorskich, których jest zagorzałym przeciwnikiem...

TAZ-PAZ-MILLENNIUM

„Temporary Autonomus Zones" (Tymczasowe Strefy Autonomiczne - dalej TSA)) jest tekstem nieodłącznie kojarzonym z nazwiskiem Hakim Bey. Wywołał on pośród środowisk anarchistycznych niemałe poruszenie, tak w USA, Europie Zachodniej, jak i w Polsce (o czym później). TSA to zerwanie z anarchizmem XIX wieku, całkowite porzucenie wielkiej i zaplanowanej rewolucji na rzecz instynktownej insurekcji, buntu, powstania. Rewolucja ma na celu zaprowadzenie nieodwracalnych zmian, ustalenie „nowego porządku", zaprowadzenie „raju na Ziemi". Wedle Bey'a, nigdy się to nie zrealizowało i rewolucja zawsze ponosiła porażkę, często przekształcając się w swoje przeciwieństwo. By tego uniknąć, nie możemy myśleć o rewolucji, jako osiągnięciu trwałego sukcesu. Musimy zamiast o rewolucji,

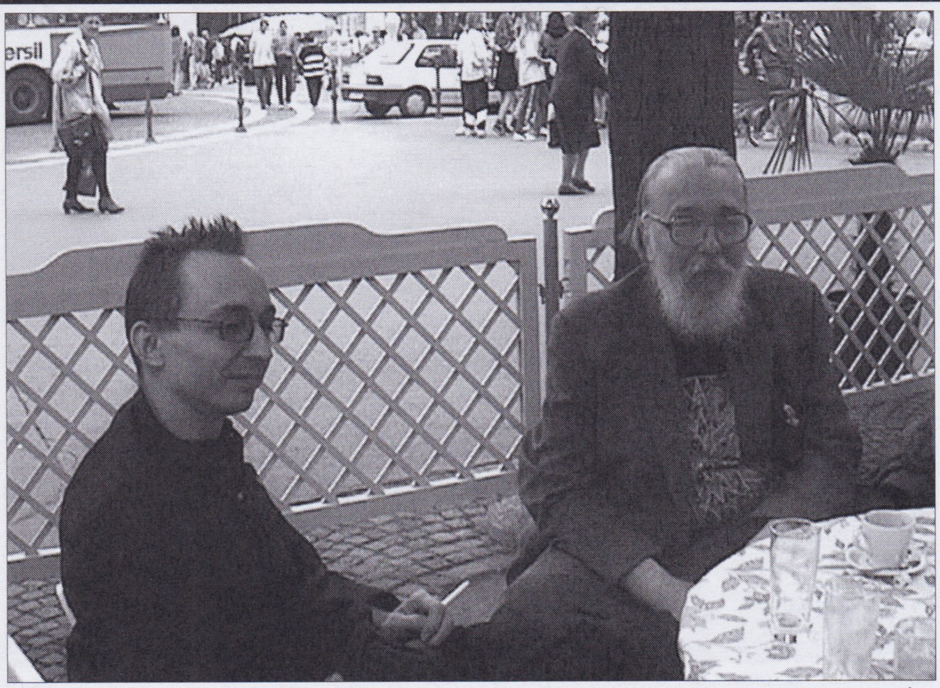

myśleć o insurekcji, z góry jakby skazanej na porażkę, przez to tymczasowej, chwilowej, lecz realnej. Tylko insurekcja pomoże nam skonstruować i utrzymać (choćby tymczasowo) strefy wolności (TSA), które na zawsze pozostaną w nas i pozostawią stały ślad w historii.

Bey popiera się w tych tezach wieloma przykładami z historii społecznej i heretyckiej; od islamskich i chrześcijańskich herezji, poprzez „pirackie utopie", wyklęte „ludy i plemiona", Republikę Fiume aż po sytuacjonistów i ruchy psychodeliczne. Nowe możliwości widzi również w kształtującej się wówczas Sieci (przypomnijmy, iż TSA powstawało w drugiej połowie lat 80., gdy Internet nie był jeszcze tak powszedni, a w Polsce niemal nieznany) i społecznościach, jakie miały powstać poprzez powszechnie używane nowe technologie. Najbardziej „kontrowersyjne" w TSA było chyba jednak porównanie tej koncepcji do imprezy i poparcie się przykładami imprez typu rave party, itp. TSA powstało jednak w wyniku refleksji nad drugim stadium kapitalizmu, którego protoplastami byli sytuacjoniści, ale jest też świeżym spojrzeniem na zagadnienie indywidualizmu jednostki, tłumionego przez zabójcze morze ideologii, w tym również tej anarchistycznej. Wedle Mateusza Kwaterki, który napisał „Przedmowę" do pierwszego polskiego wydania TSA, Tworzenie Tymczasowych Stref Autonomicznych oznacza odzyskiwanie przestrzeni i czasu zagarniętych przez spektakularną władzę; odzyskiwanie kontroli nad własnym życiem, walkę o możliwość zaspokajania radykalnych namiętności, a nie tylko ich smutnych, towarowych surogatów, kształtowanych i warunkowanych przez potężną propagandę. Ta walka toczy się tu i teraz. Nie zamierza cierpliwie czekać aż dojrzeją warunki społeczne czy gospodarcze hipotetycznego skoku do jeszcze bardziej hipotetycznego <królestwa wolności>. Nie jest to jednak kolejna propozycja eskapizmu. TSA to również bazy wypadowe, z których można wyprowadzać natarcie na - już nie stary, ale całkiem pozbawiony życia i wigoru - świat" - można więc TSA odczytywać również, jako atak na konsumpcyjny kapitalizm...

Oczywiście TSA spotkało się z zaciekłą krytyką, głównie z obozu tzw. anarchizmu społecznego. Na jednego z największych przeciwników TSA, jak i całego „life-style" anarchizmu, wyrósł nieżyjący już dziś amerykański ex-marksista, ówczesny anarchista (później określał się mianem zwolennika komunaryzmu), odpowiedzialny m.in. za „sukces" ekologii społecznej (będącej w opozycji do głębokiej ekologii i zielonego, radykalnego anarchizmu) oraz wolnościowego municypalizmu, Murray Bookchin (dziś znany głównie z tego, iż to właśnie na jego teorie powołuje się Abdullah Ocalan, więziony przez turecki reżim przywódca kurdyjski, który przeszedł długą drogę, od stalinizmu ku demokratycznemu konfederalizmowi, bliskiemu społecznemu anarchizmowi - ciekawe, co o tej wolcie, jak i sytuacji w syryjskim Kurdystanie myśli Hakim Bey?). Bookchin, w swym sławnym tekście „Social Anarchism or Lifestyle Anarchism: An Unbridgeable Chasm" („Anarchizm społeczny czy anarchizm stylu życia? Przepaść nie do

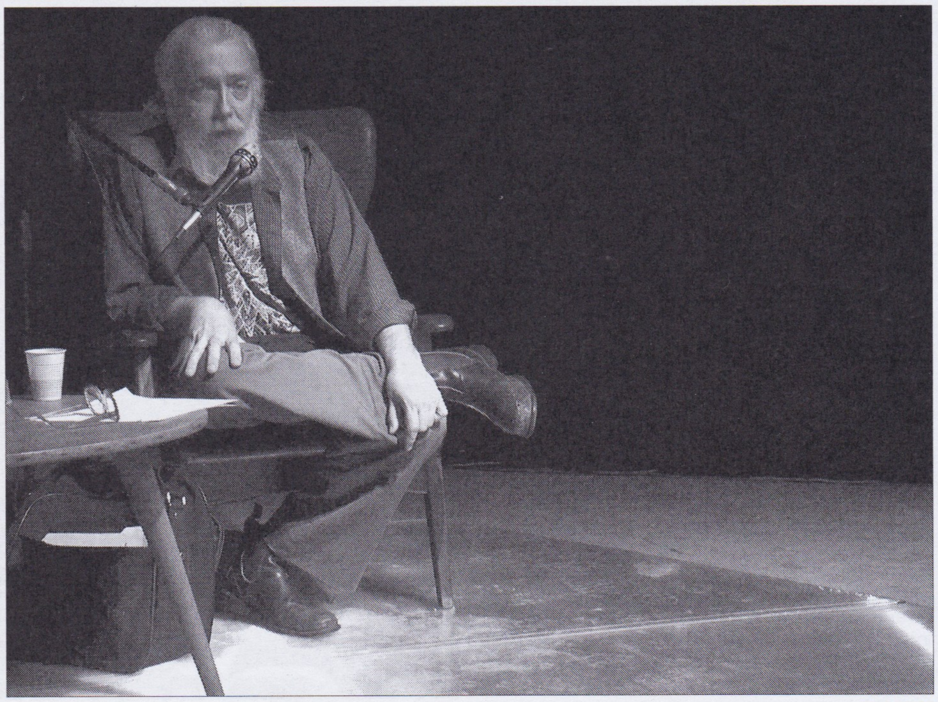

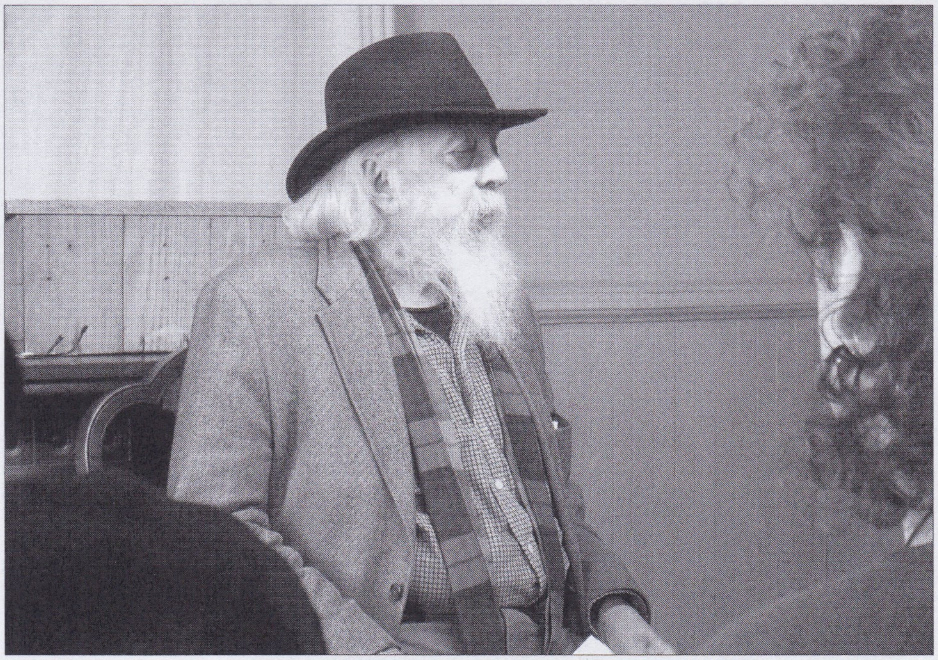

pokonania") na samym Bey'u, jak i jego TSA, nie pozostawia suchej nitki. Jego krytyka, opiera się jednak na wyrwanych z kontekstu fragmentach książki oraz zbyt dosłownym traktowaniu tego, co Bey napisał. Bookchin, stał się poniekąd takim zapatrzonym w Bey'a fanem, tylko na odwrót. Ponadto, opiera swą krytykę o niemal marksistowski elementarz, twardo trzymając się racjonalistycznego i materialistycznego betonu. Już o wiele bardziej konkretną krytykę tez zawartych w książce Bey'a zawarli jego polscy krytycy, ale o tym dalej...

Z czasem nawet sam Hakim Bey zaczął dojrzewać słabości własnego projektu. W kilka lat po opublikowaniu TSA, pojawił się inny, mieniący się tytułem „Pernament TAZ's". Bey zaczął dostrzegać w nim nie tyle błędność i utopijność koncepcji TSA, co jej nieprzewidywalność, a w konsekwencji nawet twórczy jej element, po którym może pozostać Permanentna Strefa Autonomiczna (PSA). Ciągłość i permanentność TSA Bey upatruje we współczesnym kamuflażu tej idei, jej nie-otwartości i chwilowej elitarności. Przykładami typowego PSA będą więc dla Bey'a eko-wioski, wolnościowe farmy, miejskie skłoty, a jedna z najpopularniejszych otwartych form PSA, to cykliczny festiwal, jarmark czy impreza, gdzie wszyscy mogą poczuć sitę woli i wolności. Również sitę PSA widzi w alternatywnych formach ekonomii, jak i cygańskich formach życia. Całkowity i katastrofalny upadek kapitalizmu jawi mu się, jako perspektywa ogólnego PSA, gdzie każdy w nowych warunkach życia będzie mógł sobie żyć tak, jak chce, czyli po anarchistycznemu, tworząc PSA dla siebie i swoich bliskich, itp. Oczywiście nadal którzy się to ze współczesną rolą anarchizmu, jednak jest to spore „ustępstwo" względem TSA.

Niecałą dekadę po napisaniu TSA, Hakim Bey pisze kolejną ważną dla siebie, jak i anarchizmu, książkę, pod wieloznacznym tytułem „Millennium". Na jej stronicach, Bey rewiduje część ze swych propozycji zawartych w TSA, zamiast tymczasowości, ponownie proponuje permanentność działań insurekcyjnych, a pola tych działań rozszerza na tereny, gdzie anarchiści zapuszczali się do tej pory bardzo sporadycznie. Proponuje już nie tyle walkę z kapitalizmem, lecz z jego neoliberalną wersją, globalizmem oraz kulturową hegemonią. Pośród sojuszników upatruje tych, którym również nie po drodze z nowym obrazem Lewiatana. Razem z nimi chce powszechnego jihadu przeciwko wspólnemu wrogowi. Rewolucyjności upatruje zarówno w religii, jak i nacjonalizmie. Warunkiem oczywiście musi być antyautorytaryzm i niehegemoniczność. „Wolne" i niehierarchiczne wyznania to wedle Bey'a doskonały sojusznik w walce z potworem. Lewicowy i anarchizujący nacjonalizm w stylu meksykańskich Zapatystów to kompan, z którym można walczyć w boku do samego końca. Bey nie chce już tylko chwilowej insurekcji, chce ogólnego powstania, obejmującego cały glob (lub przynajmniej cały Internet, haha). Jego propozycje oczywiście nie są w pełni akceptowalne przez większość ruchu anarchistycznego.

Aby pokazać zarówno styl pisania, jak i nieszablonowość podejścia Bey'a do anarchizmu, pozwolę sobie przytoczyć dość spory kawałek z jego twórczości (fragment eseju „Ocean Lemoniady i współczesne czasy"):

„<Anarchizm trzeciego typu> (termin ukuty przez Boba Blacka) oznacza raczej niezaangażowaną ideologicznie formę anarchizmu - ani indywidualistyczną, ani kolektywistyczną, lecz w pewnym sensie łączącą oba te nurty. Prąd ten nie jest jednak niczym nowym (nie ma też skrystalizowanej formy) wśród ruchów antyautorytarnych. Różne jego formy odnaleźć można w takich pracach, jak bolo'bolo albo w pismach sytuacjonistów. Jedna z sytuacjonistycznych grup (For Ourselves) posunęła się nawet do tego, że zaproponowała syntezę Maxa Stirnera i Karola Marksa, którzy za życia byli zajadłymi wrogami. Według tej grupy, psychologiczny egzystencjalizm Stirnera nie musi wcale stać w sprzeczności z Marksowską ekonomią. Bakunin nie sprzeciwiał się metodom krytycznym Marksa, ale zaproponowanemu przez niego rozwiązaniu, czyli dyktaturze.

Naszym zdaniem Stirner jest istotniejszy niż Marks, ponieważ w naszej teorii wyzwolenia psychologia poprzedza ekonomię - odczytujemy jednak Stirnera w kontekście Bakunina i wczesnego Marksa, Pierwszej Międzynarodówki, Komuny Paryskiej i Proudhona.

Aby rozjaśnić nasze stanowisko wprowadzimy jeszcze dwa nazwiska z naszego <drzewa genealogicznego> - Stephena Pearl Andrewsa (1812-1886) i Charlesa Fouriera (1772-1837). W pewnym sensie uzupełniają się lepiej niż Max (Stirner) i Marks, obaj bowiem przyczynili się w znaczący sposób do sprawy erotycznego wyzwolenia (głównego obiektu zainteresowań Stowarzyszenia Mackaya), kwestii pomijanej przez prawiczka Bakunina, Marksa czy Proudhona (obaj pruderyjni) czy nawet Stirnera, Nietzschego lub Tuckera, którzy w ten czy inny sposób starali się uciekać od tego tematu. Poważni historycy socjologii pomijają często Andrewsa i Fouriera, ponieważ byli <czubkami> - utopistami, marginesem, marzycielami pokroju Blake'a. By ich docenić, trzeba być po części surrealistą. Ale nasz szacunek ma charakter nie tylko erotyczny, estetyczny czy duchowy. Ich prace dają jasny pogląd na nasze miejsce w prądzie „typu trzeciego" współczesnego libertarianizmu".

Tezy Wilsona/Bey'a krytykowane są często z zbyteczną mglistość i brak logiki, lecz trzeba brać tu pod uwagę zawiłość jego języka i okultystyczny klimat, jaki towarzyszy większości jego twórczości. Nie pisze on językiem prostym, zapożycza wiele sformułowań z filozofii, politologii, antropologii, religioznawstwa, nauk tajemnych i okultyzmu. Powołuje się na wiele interesujących osobliwości z mnogości dziedzin. Momentami jego pisma czyta się płynnie, ale raczej częściej trzeba się bardzo skupiać i domyślać, co też chce nam przekazać poprzez swoją „zabawę" słowem. Nie można podchodzić do tej twórczości bezkrytycznie. Często zarzuca się Bey'owi, iż znaczna część jego czytelników tak właśnie robi. Krytykom dostarcza to jeszcze więcej powodów, by krytykować go jeszcze bardziej i śmielej. Czasami jednak przesadzają... Pewien Włoch napisał książkę „A Ruota Libera - Misere del Lettore de TAZ" („Bez hamulców - meandry poczytalności TSA"), gdzie pomiędzy kilkoma własnymi i prawdziwymi tekstami umieścił również odpowiednio dobrane fragmenty pism Mussoliniego i Stalina. Celem książki było zakpienie z wiernych czytelników Hakim Bey'a, oraz poniekąd jego samego. Oczywiście żart się udał, książka wyprzedała się z szybkością błyskawicy i otrzymała wiele chwalebnych recenzji. Gdy jednak ściema wyszła na jaw, duża większość zamilkła, a sam Bey się obraził, oświadczając, iż nic nie poradzi na to, że czytają go głupcy. „Pisanie, jeśli nikt cię nie czyta, jest w wysokim stopniu deprymujące. Ale najgorsze z wszystkiego - to posiadanie czytelników, którzy zbyt łatwo ulegają wpływom. Takim czytelnikom wydaje się, że wystarczy czytać i powtarzać jak papuga najdziwniejsze sformułowania; marząc o tym, żeby się komuś podporządkować, chcąc czytać oczyma innego, słuchać dyrektyw <mistrza>... <Papuizm faszyzm>" - pisał w późniejszym czasie.

Najcięższe działa krytyki wystawiono jednak w kierunku Wilsona/Bey'a w związku z kontrowersjami wokół oskarżania go o propagowanie pedofilii. Jak już wcześniej wspominałem, Wilson pisał w swych książkach poświęconych heretyckiemu islamowi o „świętej pederastii". Tłumaczył również poematy Abu Abu Nuwasa, które ukazały się w tomiku „O Tribe That Loves Boys" i były przykładem arabskiej poezji miłosnej, rozwijającej motywy „świętej pederastii". Również w jedynej swej powieści, „The Chronicles of Qamar: Crowstone", utrzymanej w konwencji płaszcza i szpady, Bey porusza wątki miłości do młodych chłopców. Opublikował również kilka tekstów (w tym fragmenty TSA) w piśmie „NAMBLA Bulletin", wydawanym przez North American Man-boy Love Association. Oskarżenie względem Wilsona/Bey'a wysuwały przede wszystkim dwie osoby. Pierwszą z nich był pisarz i publicysta Michael Muhammad Knight, który początkowo zaprzyjaźnił się z Wilsonem i miał nawet napisać jego „oficjalną" biografię. Knight zerwał jednak kontakty, gdy dowiedział

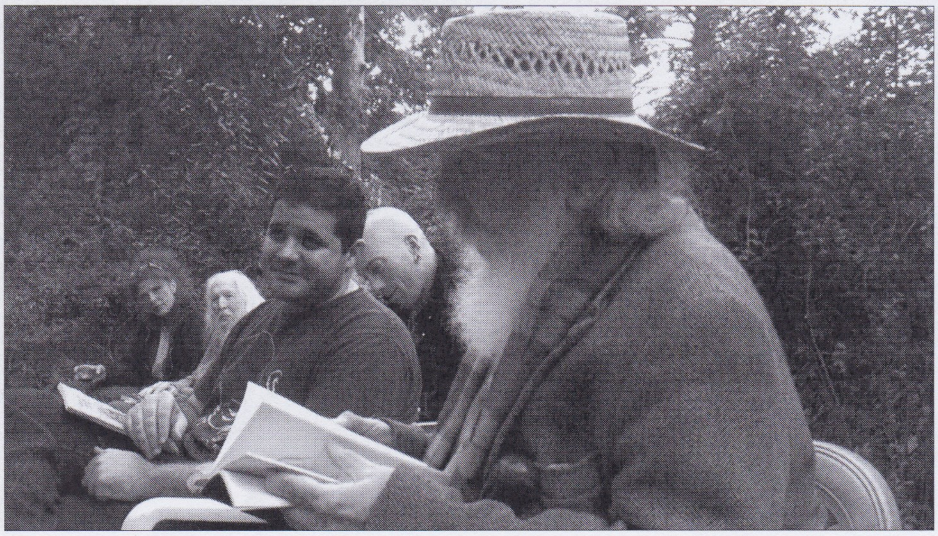

się o „dziwnej" twórczości Wilsona. Otwarcie mówił, iż „publikowanie w NAMBLA oznacza dla niego aktywizm w prawdziwym życiu" oraz, że Bey „tworzy teologię wyzwolenia dziecka, a następnie publikuje ją w piśmie dla potencjalnych przestępców". Jednak według Josepha Christiana Greera (wykładowca z Uniwersytetu Amsterdamskiego, znawca zachodniej ezoteryki), Knight doskonale wiedział o fascynacjach Bey'a, bo ten nigdy się z tym nie krył, a całą aferę z rzekomą pedofilią wykorzystał dla wyrobienia swojej własnej „marki". O wiele bardziej zajadliwą krytyką Wilsona/Beya zajął się jednak inny człowiek, Robert P. Helms, niezależny historyk anarchizmu. Helms zarzuca Wilsonowi używanie anarchizmu w wypaczony sposób, naginając jego etykę do usprawiedliwiania swoich zachcianek. Wedle Helmsa, Bey próbuje wmówić ludziom, iż seks pomiędzy dorosłymi i dziećmi, który nie opiera się na przemocy, jest naturalną wolnością, z którą powinien zgadzać się każdy anarchista. Bey miałby używać idei TSA do popierania pedofilii, czego dowodem miałby być rozdział „Dzikie dzieci" (właśnie go przeczytałem - jakoś ową pedofilię trudno mi się w tym dopatrzyć). Helms miesza też strasznie w swych oskarżeniach i łączy np. dwie sprawy - pedofilię i nietypowe podejście Beya do aborcji, choć może nie do samej aborcji, co do ruchu pro-choice. Bey nigdy nie napisał, iż jest przeciwnikiem aborcji, choć w pewien sposób (jak zwykle u siebie, nieco zawiły) porównał aborcję do morderstwa, lecz jej nie potępił. To jednak nie przeszkadzało Helmsowi obsmarować go w swych pismach, nazwać mizoginem i w odważny sposób połączyć oba fakty w jedno oskarżenie. Oczywiście ma on też wielkie pretensje do społeczności anarchistycznej, iż ta milczy wobec przedstawianych przez niego oskarżeń, a wielu młodych i nowych anarchistów nazywa konsumentami anarchii, którzy czasem nie radzą sobie z etycznymi problemami. Kontrowersje wokół tego fragmentu twórczości Wilsona/Bey'a z pewnością mogą zniechęcić część jego czytelników, jednak trzeba stanowczo podkreślić, iż nikt nigdy nie oskarżał go o realne uprawianie „miłości z młodymi chłopcami" ani też nigdy nie miał z tego powodu żadnych kłopotów z prawem.

BEY A SPRAWA POLSKA

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz spotkałem się z nazwiskiem Hakim Bey'a? Było to zapewne gdzieś w latach 90. Jednak na jego pierwsze teksty przetłumaczone na nasz język trzeba było jeszcze chwilę poczekać. Pamiętam, jak w moje ręce wpadła ulotka prezentująca nowe wydawnictwo o tajemniczej nazwie Okultura. Pośród wymienionych na niej autorów, których owo wydawnictwo miało zamiar wydawać, znajdował się też Hakim Bey. Okultura istnieje już kilkanaście lat, lecz wciąż nie wydała żadnej z książek Wilsona/Bey'a... Niemniej, to chyba jednak dzięki Dariuszowi Misiunie, który stoi za Okulturą (a kiedyś działał w warszawskim środowisku anarchistycznym i wydawał pisemko „Anarcholl"), po raz pierwszy przeczytałem to, co Bey pisał. Choć chyba nie byli pierwsi, gdyż w 1997 r. na łamach pisma „ALBO albo", ukazał się teksy P. L. Wilsona „Na gigancie", w tłumaczeniu wspomnianego już Misiuny. Dopiero później na internetowej stronie Okultury pojawiły się trzy teksty Bey'a: „Instrukcje dla Kali Yugi", „Kongres dziwacznych religii" i „Nietzsche i derwisze" (wszystkie trzy pochodziły z książki „The Temporary Autonomus Zone, Ontological Anarchy, Poetic Terrorism"). Oprócz Okultury, w odmętach Internetu pojawiły się z czasem inne teksty jego autorstwa. Najwięcej ukazało się na innej stronie poświęconej ezoterroryzmowi, Magivanga, gdzie do dziś można znaleźć: „Islam i eugenika", „Przekraczając turystyką", „Obsesyjna miłość", „Wojna informacyjna" oraz „Palimpsest". Na stronie można również znaleźć wywiad z Bey'em, który później opublikowany został w „Millennium". Wszystkich przekładów dokonywał dla potrzeb tej strony Conradino Beb. Jeśli chodzi o bardziej zwarte dzieła Bey'a, to musieliśmy czekać aż do 2001 roku, gdy to krakowskie mikro-wydawnictwo Frisch vom Fab wypuściło „Tymczasową Strefę Autonomiczną", najbardziej znane wśród anarchistów dzieło Bey'a. Ukazanie się tej pozycji poruszyło wówczas polskie środowisko wolnościowe i nie tylko. W ukazującej się jeszcze „Mać Pariadce" ukazał się krytykujący ideę TSA (ale z lekką nutką sympatii) tekst Laury Akai - „Tymczasowa Strefa Ekonomiczna albo Hakim Bey dla głupków", który towarzyszył fragmentowi „TSA", „Poszliśmy do Croatan". O książce, dość pochlebnie pisał na łamach „Obywatela" Remigiusz Okraska, w obszernej recenzji „Dandys na polu minowym". Najszerzej jednak pisano o „TSA" na łamach „Innego Świata" (w piśmie tym już wcześniej ukazało się kilka tekstów H. Bey'a, publikowanych wcześniej w Sieci, zaś później ukazał się wywiad z P. L. Wilsonem nt. ekonomii stref autonomicznych), gdzie głos zabrało kilka osobliwości anarchistycznego światka. Bezprym Własnowolski nakreślił na początku powody, dla jakich „TSA" zostało w ogóle wydane. Jany Waluszko w swym „Skąd rzepa?" Bey'a oczywiście mocno krytykuje, szczególnie za aspołeczność i zbyt dużą kontrkulturowość. Okraska („Anarchizm epoki post państwowej. Luźne uwagi na marginesie małej książeczki") znów chwali Beya (tekst jest nieco zmienioną wersją recenzji, jaka ukazała się wcześniej w „Obywatelu") za odwagę i odnalezienie się w nowej rzeczywistości. Pozytywnie o „TSA" pisał również M. Lewandowski z zina „amatorka", natomiast Jarosław Tomasiewicz („Haki na Beya") krytykuje, i to mocno, samą koncepcję, jak i nadużycia społeczne i historyczne. Wywody o „TSA" kończył Krzysztof Kędziora („Kilka uwag bez tytułu..."), który beszta twórczość Bey'a, w stylu podobnym do Waluszki, choć zupełnie innym językiem. Jak więc widać, zdanie były tu podzielone... i zapewne są nadal. W zasadzie tylko pierwsze zwarte wydanie prac Bey'a wywołało aż takie zamieszanie. Gdy dwa lata później inne wydawnictwo z Krakowa, Der Rumtreiber & Stowarzyszenie Tripanacja, wydało „Poetycki terroryzm", zawierający w sobie zarówno „TSA", jak i pozostałe części oryginalnego wydania („Chaos: Szpalty Ontologicznego Anarchizmu" i „Komunikaty Stowarzyszenia na Rzecz Ontologicznej Anarchii"), o książce tej nie zająknął się prawie nikt, przeszła jakby bez echa... Niemal podobnie było w 2005 r., gdy Wydawnictwo Inny Świat opublikowało „Millennium", drugą, co do ważności dla anarchistów książkę Bey'a. Ostatnie polskie wydania książkowe Hakim Bey'a ukazały się w 2009 r. Krakowski Ha!Art ponownie wydał „TSA", uzupełniając wydanie czterema dodatkowymi tekstami, niemającymi nic wspólnego z TSA („Cybernetyka i etnogenika. Od cyberprzestrzeni do neuroprzestrzeni", „Przeciwko wielokulturowości", „Media-Space!" i „Medialne credo na koniec wieku"). Zaś wrocławskie wydawnictwo Viral & Miligram wydało zbiór esejów pod tytułem „Obelisk i inne eseje" (gdzie prócz tytułowego „Obelisku", znajdziemy również „Bezpośredniość", „Ocean Lemoniady i współczesne czasy", „Palimpsest" i „Utopijny Blues"). I była to ostatnia jego książka, jak ukazała się na ziemiach polskich... Dziś do Hakim Bey'a mało kto wraca. Bardzo rzadko można się spotkać z jego nowymi polskimi tłumaczeniami. Ostatnie, a pierwsze, od co najmniej kilku lat, ukazało się na łamach anarchistycznego „Innego Świata" - „Nowy nihilizm". Od tamtej pory Wilsona czy też Bey'a można już czytywać tylko po angielsku... Czasami jego nazwisko pojawia się w różnych opracowania, wykładach akademickich, portalach anarchistów, lewaków czy nawet jakichś prawicowych oszołomów. I ani my, ani sam Bey, nic na to poradzić nie może...

Krawat

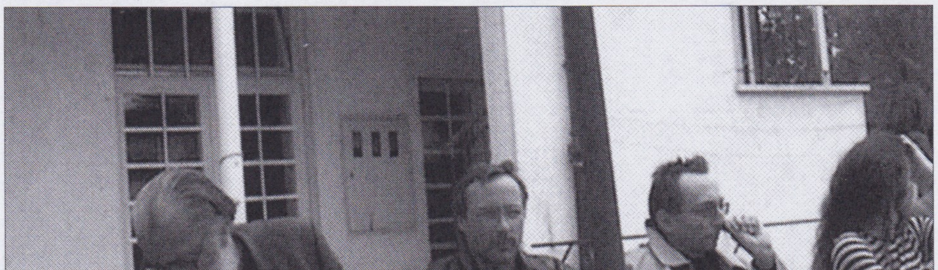

Bibliografia:
H. Bey - „Tymczasowa Strefa Autonomiczna", Kraków 2001
H. Bey - „Poetycki terroryzm", Kraków 2003
H. Bey - „Millennium", Mielec 2005
H. Bey - „Tymczasowa Strefa Autonomiczna i inne eseje", Kraków 2009
H. Bey - Obelisk i inne eseje, Wrocław 2009
M. Bookchin - „Anarchizm społeczny czy anarchizm stylu życia? Przepaść nie do pokonania", Poznań 2006
„Inny Świat" nr 16/2002
„Mać Pariadka" nr 1/2002.
„Obywatel" nr 2(6)/2002
Wikipedia; hasła: Patere Lamborn Wilson i Hakim Bey

WIEK XX WIEKIEM TERRORYZMU

W dzisiejszych czasach terroryzm nie schodzi z czołówek gazet, przewija się przez telewizyjne newsy prawie codziennie, internetowe portale pełne są informacji o aktach terroru. Ludzi ogarnął strach, szczególnie, że, głównie islamski terroryzm pojawił się w Europie. O ile mało nas interesują zamachy w krajach odległych, a tych jest również nie mało, o tyle wydarzenia na kontynencie kompletnie paraliżują społeczeństwa. Giną ludzie na naszych ulicach… To nie są proste sprawy, nie łatwo rozwiązać tego typu problemy. Jednak terroryzm nie jest nowym zjawiskiem w Europie. Tak naprawdę był tu od zawsze. Chciałbym wam przybliżyć w tym tekście te największe, jak i te mało istotne, grupy i ruchy określane mianem terrorystycznych, które działały na terenie Europy w XX wieku. Bojówki te walczyły o różne sprawy – jedne były skrajnie nacjonalistyczne, inne skrajnie lewackie, jedne walczyły o wolność i autonomie, kolejne o swoje ideały i prawa. Nigdy nie byłem sympatykiem organizacji terrorystycznych, które walczą z systemem z pomocą oręża. Jednak rozumiem, że czasami nie dało się inaczej. Nie mam zamiaru nikogo oceniać ani osądzać. Ten świat po prostu tak jest zbudowany, że ludzie cały czas ścierają się ze sobą. System państwowy jest praktycznie bezkarny, a uciskani obywatele często bezsilni. I dlatego w wyniku frustracji do głosu dochodzi przemoc…

Terroryści działali w Europie od początku XX wieku, wszystkie te zamachy, które pamiętamy z lekcji historii organizowali głównie rewolucyjni terroryści. Często byli to anarchiści, socjaliści i komuniści różnego rodzaju. W zamachu zginął m.in. car Mikołaj II, a słynny zamach w czerwcu 1914 roku w Sarajewie, którego ofiarą padł austro-węgierski następca tronu Franciszek Ferdynand, zabity przez serbskiego rewolucjonistę, członka ruchu Młoda Bośnia, stał się pretekstem do wybuchu pierwszej wojny światowej. Również działacze PPS posługiwali się terrorem, jak również AK i partyzanci w czasie II Wojny Światowej posługiwali się metodami, które dzisiaj określamy mianem terroryzmu. Jednak dopiero po II Wojnie Światowej terroryzm w Europie rozwinął się na dobre…

IRLANDZKA ARMIA REPUBLIKAŃSKA

Najdłużej działającą i najbardziej znaną organizacją terrorystyczną była IRA. Irlandzka Armia Republikańska; Irish Republican Army; irlandzkie Óglaigh na hÉireann, czyli Irlandzcy Ochotnicy. Początkowa ta organizacja walczyła o niepodległość Irlandii, a od 1921 r. o przyłączenie Irlandii Północnej do Republiki Irlandii. Irlandzka Armia Republikańska powstała po nieudanym powstaniu wielkanocnym, które wybuchło w kwietniu 1916 r. w wyniku przekształcenia Irlandzkich Ochotników (zachowała jednak irlandzką nazwę ochotników - Óglaigh na hÉireann). Twórcą IRA był Michael Collins, który zamierzał stworzyć oddziały, będące w stanie przetrwać w starciu z wielokrotnie silniejszymi wojskami brytyjskimi, dzięki zastosowaniu taktyki partyzanckiej. Latem 1919 r. licząca 15 000 ludzi armia republikańska zaczęła walkę przeciwko 50 000 brytyjskich żołnierzy, których dodatkowo wspomagali liczni Ochotnicy Ulsterscy. Irlandzka wojna o niepodległość trwała dwa lata. IRA atakowała żołnierzy z zasadzek, zabijała agentów brytyjskiej policji oraz Irlandczyków współpracujących z Brytyjczykami. Władze brytyjskie odpowiedziały terrorem. Wojna zakończyła się w lipcu 1921 roku podpisaniem Traktatu (Treaty), na mocy którego 26 południowych hrabstw Irlandii stało się brytyjskim dominium. Decyzję o losie 6 hrabstw północnych pozostawiono na później. Jednym z sygnatariuszy Traktatu był Michael Collins, a większość żołnierzy IRA uznało go, mimo że jego warunki dalekie były od tego, o co walczyli. Ich stanowisko poparła też znaczna część społeczeństwa. Jednak część członków IRA nie zgodziła się na Traktat. Wywołało to rozłam. Popierający Traktat bojownicy IRA stali się armią Wolnego Państwa Irlandzkiego, zaś przeciwnicy Traktatu, określani jako IRA antytraktatowa, postanowili walczyć o pełną niepodległość 32 irlandzkich hrabstw. Gdy nie zdołali uzyskać wystarczającego poparcia w wyborach, wszczęli wiosną 1922 roku wojnę domową. W trwających trochę ponad rok walkach zginęło około tysiąca ludzi. Wśród zabitych był Michael Collins, zastrzelony przez przeciwników Traktatu. IRA przegrała wojnę domową, ale nie wyzbyła się myśli o zjednoczeniu Irlandii. W roku 1937 organizacja próbowała zabić w Belfaście króla Jerzego VI. Dwa lata później przeprowadziła serię zamachów bombowych w Wielkiej Brytanii. Dwóch członków IRA zostało za nie skazanych na śmierć. Podczas II wojny światowej IRA podjęła współpracę z Niemcami, ale bez istotniejszych efektów. Pod koniec lat pięćdziesiątych armia republikańska przeprowadziła kilkuletnią ofensywę na pograniczu Irlandii Północnej, ale nie przyniosła ona spodziewanych sukcesów. IRA w tym okresie skłaniała się coraz bardziej ku marksizmowi. W roku 1966 rozpoczęła się pokojowa walka o

UZBROJENI BOJOWNICY IRA

równouprawnienie katolików w Irlandii Północnej, co wywołało gwałtowną reakcję części jej protestanckich mieszkańców - wpierw bojówkarze wspierani czasami przez policjantów atakowali demonstracje, a w 1968 roku zaczęli atakować katolickie dzielnice. W tym okresie IRA była mało aktywna. Jesienią 1969 roku na kongresie organizacji doszło do rozłamu. Bardziej radykalni działacze stwierdzili, że władze IRA nie zrobiły wystarczająco dużo, aby ochronić katolików. Organizacja rozpadła się na radykalną Provisional IRA (IRA Tymczasowa, PIRA), której członków zwano Provos, i Official IRA (IRA Oficjalna). PIRA postawiła na dawne wartości republikańskie i rozpoczęła przygotowania do wojny partyzanckiej. W lutym 1971 roku z rąk IRA zginął pierwszy brytyjski żołnierz. Zaczęła się wojna, w której IRA walczyła nie tylko z ulsterską policją (RUC) i brytyjską armią, ale też z nielegalnymi protestanckimi organizacjami zbrojnymi (np. UVF). W jej trakcie wszystkie strony dopuściły się licznych zbrodni. Prowadzone od czasu do czasu rozmowy nie przynosiły żadnych pozytywnych efektów. Przez ponad 20 lat zamachy bombowe, polityczne zabójstwa, ostrzeliwanie domów z broni maszynowej były elementami dnia codziennego w Irlandii Północnej, o zwykłych zamieszkach i podpaleniach nie wspominając. Miasta zostały przedzielone murami i drutem kolczastym. Najsilniejszym wsparciem dla IRA byli Irlandczycy żyjący w USA. Broń uzyskiwano z przeróżnych źródeł, z których najistotniejszym były libijskie dostawy. Do jednego z najgłośniejszych wydarzeń tamtego okresu doszło w 1981 roku. Wielu przebywających w więzieniach członków IRA podjęło wtedy strajk głodowy, żądając uznania ich więźniami politycznymi (byli więzieni jako kryminaliści). W wyniku protestu zmarło 10 głodujących, w tym Bobby Sands, ówczesny lider IRA w więzieniu Maze, który w czasie strajku został wybrany członkiem Izby Gmin parlamentu brytyjskiego. Na początku lat 90. IRA przeprowadziła niszczycielskie zamachy bombowe w centrach brytyjskich miast wyrządzając ogromne szkody. Dzięki telefonicznym ostrzeżeniom było niewiele ofiar wśród ludzi. We wrześniu 1994 IRA ogłosiła zawieszenie broni, które przetrwało do lutego 1996 roku. Kolejne zawieszenie broni IRA ogłosiła w lipcu 1997 roku i trwa ono do dzisiaj. Gdy w kwietniu 1998 roku zawarto porozumienie wielkopiątkowe, IRA Tymczasowa zgodziła się na część postanowień i obiecała przestrzegać zawieszenia broni. Jak to jednak często w historii IRA bywało znowu znaleźli się radykałowie. Nie godząc się na porozumienie pokojowe założyli oni Prawdziwą IRA (Real IRA - RIRA). Wtedy też ujawniła się IRA Kontynuacja (Continuity IRA - CIRA), która wyodrębniła się już w 1986 roku, gdy IRA zrezygnowała z niezasiadania jej przedstawicieli w organach Republiki Irlandzkiej i Wielkiej Brytanii (Irlandii Północnej), ale trzymała to w tajemnicy. Zgodnie z porozumieniem IRA (podobnie jak jej protestanccy odpowiednicy) miała złożyć broń. Organizacja przystąpiła do tego niechętnie i dopiero po zamachu na WTC z 11 września 2001 roku, stojąc twarzą w twarz z nagłym zanikiem poparcia wśród irlandzkich środowisk w USA, IRA Tymczasowa oddała do zniszczenia część swoich arsenałów. Jej sytuację pogorszyło pochwycenie dwóch jej członków w Kolumbii, gdzie uczyli członków FARC konstruowania bomb. W chwili obecnej IRA Tymczasowa nie prowadzi działalności zbrojnej. Czasami zamachy przeprowadza Prawdziwa IRA jednak jej możliwości są dość ograniczone, zwłaszcza po tym, jak wielu zwolenników odwróciło się od niej po zamachu w Omagh. Poza tym zamachem jej najgłośniejszą akcją było ostrzelanie z granatnika przeciwpancernego siedziby MI6 (pocisk jedynie wbił się w ścianę). Niewielkim poparciem cieszy się również CIRA, która twierdzi, że jest jedynym kontynuatorem republikańskich tradycji dawnej IRA.

Najbardziej znane zamachy IRA Tymczasowej:

- 21 lipca 1972 - "krwawy piątek" – w przeciągu jednego dnia 22 bomby eksplodowały w Belfaście, zabijając 9 osób
- listopad 1974 – eksplozje w dwóch pubach w Birmingham – 21 zabitych
- 27 sierpnia 1979 – dwa zamachy bombowe jednego dnia – zginęli: lord Louis Mountbatten, ostatni wicekról Indii w pierwszym oraz 18 brytyjskich żołnierzy w drugim
- październik 1984 – eksplozja bomby na konferencji brytyjskiej Partii Konserwatywnej – 5 zabitych, premier Margaret Thatcher ledwo uszła z życiem
- 1987 – wybuch bomby podczas pochodu protestantów w Enniskillen – 11 zabitych
- 1991 – moździerzowy ostrzał siedziby premiera przy Downing Street
- 15 sierpnia 1998 – zamach bombowy w Omagh – 29 zabitych, setki rannych (Prawdziwa IRA)

BRYTOLE WON!

KRAJ BASKÓW I WOLNOŚĆ

Kolejna znana organizacja terrorystyczna o nazwie Kraj Basków i Wolność czyli Euzkadi Ta Askatasuna, w skrócie ETA. Organizacja ta walczyła o stworzenie niepodległego państwa Basków. ETA założona została w 1958 roku przez radykalnych działaczy Baskijskiej Partii Nacjonalistycznej (PNV), działalność rozpoczęła w 1959 roku. Już w pierwszym roku działalności organizacja dokonała zamachów bombowych w kilku baskijskich miastach. Obeszło się jednak bez ofiar śmiertelnych. Już od samego początku w ETA wykrystalizowały się dwa nurty: umiarkowany, dążący do uzyskania przez Kraj Basków autonomii i radykalny, zdecydowany na walkę o niepodległość. Oba nurty głosiły lewicowe hasła w sprawach społecznych i gospodarczych. W roku 1961 ETA podjęła próbę wysadzenia pociągu wiozącego frankistowskich weteranów z czasów wojny domowej. Operacja nie powiodła się, ale zwróciła uwagę służb bezpieczeństwa na działalność organizacji. Zaczęły się represje (aresztowania, blokady drogowe, przeszukiwanie domów). W roku 1966 działacze ETA ogłosili cztery fronty działalności organizacji: kulturalny, robotniczy, polityczny i wojskowy. Dominującą rolę zdobył sobie jednak ten ostatni. Dwa lata później zginęła z ręki ETA (a dokładniej jej ówczesnego przywódcy, Txabiego Etxebariette) pierwsza osoba. Był to policjant, który próbował zatrzymać samochód, w którym jechał szef ETA. Kilka godzin później Etxebarietta zginął zastrzelony przez policjantów. Parę tygodni po tym zdarzeniu ETA dokonała pierwszego zamachu – zginął szef policji w Guipuzcoa, słynący z torturowania baskijskich działaczy. Efektem zamachu był stan wyjątkowy i aresztowanie prawie całego dowództwa ETA oraz setek innych Basków. Mimo tych aresztowań ETA przetrwała. Prowadzone na początku lat 70. procesy baskijskich działaczy zapewniły Baskom wiele sympatii na całym świecie. Dnia 20 grudnia 1973 roku ETA odniosła swój największy sukces. W zamachu bombowym zginął premier Hiszpanii i najbliższy współpracownik Franco admirał Luis Carrero Blanco. Wkrótce po tym wydarzeniu ETA podzieliła się na dwie organizacje. Były to: umiarkowana ETA „polityczno-wojskowa" i radykalna ETA „wojskowa" (ETA-M). W roku 1975 represje skierowane przeciwko baskijskim autonomistom i separatystom przybrały na sile. Zapadły nawet wyroki śmierci i nagle 20 listopada zmarł Francisco Franco. Zgodnie z jego wolą władzę objął książę Juan Carlos, zwolennik demokracji. W Hiszpanii zaczęły się zmiany. W ich ramach w marcu 1980 roku Kraj Basków odzyskał autonomię. Dwa lata później ETA „polityczno-wojskowa" ogłosiła, że w związku z realizacją jej celów odrzuca stosowanie terroru. Natomiast mniejsza ETA „wojskowa" postanowiła kontynuować walkę o niepodległość. Strategia ETA polegała na dokonywaniu dobrze przygotowanych zabójstw i zamachów bombowych. Ofiary były dokładnie wybierane. Przez lata osiemdziesiąte byli to głównie policjanci (dwie trzecie ofiar). Resztę stanowili cywile, politycy i wojskowi (z reguły wyżsi oficerowie). Poza tym częste było stosowanie mniejszych aktów przemocy (podpalenia, wybijanie szyb, zamieszki uliczne) w ramach walki ulicznej (kale borroka). ETA podjęła współpracę z IRA oraz z ugrupowaniami arabskimi (np. Hamasem). Jej członkowie przeszli najprawdopodobniej szkolenie w kilku krajach arabskich (m.in. Libia, Liban). W latach 80. ETA liczyła od 200 do 500 osób podzielonych w sekcje liczące

SKUTKI ZAMACHU BOMBOWEGO ZORGANIZOWANEGO PRZEZ ETA

EUZKADI TA ASKATASUNA

zazwyczaj pięć osób. Nie wszyscy uczestniczyli w zamachach, wielu członków działało jako kurierzy i zaopatrzeniowcy. ETA finansowała swoją działalność porwaniami, rabunkami i „podatkiem rewolucyjnym" nakładanym na baskijskich przedsiębiorców. Organizacja wykorzystywała baskijskie prowincje we Francji, jako swoje zaplecze. Tam też wyjeżdżali „spaleni" członkowie ETA. Przy zwalczaniu baskijskiej organizacji władze hiszpańskie stosowały nie tylko metody policyjne. Od roku 1983 podjęła działalność złożona z funkcjonariuszy policji Grupos Antiterroristas de Liberacion (GAL), która przeprowadzała zamachy na osoby podejrzewane o przynależność do ETA, zabijając 28 osób. W późnych latach 80. hiszpańska policja nawiązała ścisłą współpracę z policją francuską. Przeprowadzane operacje antyterrorystyczne (pozyskiwanie informatorów, zasadzki, rajdy na kryjówki) po obu stronach granicy pozwoliły na znaczne osłabienie ETA. W roku 1987 ETA przeprowadziła swój najkrwawszy zamach - w garażu centrum handlowego w Barcelonie eksplodowała bomba zabijając 22 osoby. W tym samym roku bomba eksplodowała na osiedlu w Saragossie zamieszkanym przez rodziny hiszpańskich policjantów - zginęło 11 osób, w tym pięcioro dzieci. W roku 1988 osłabiona ETA za-

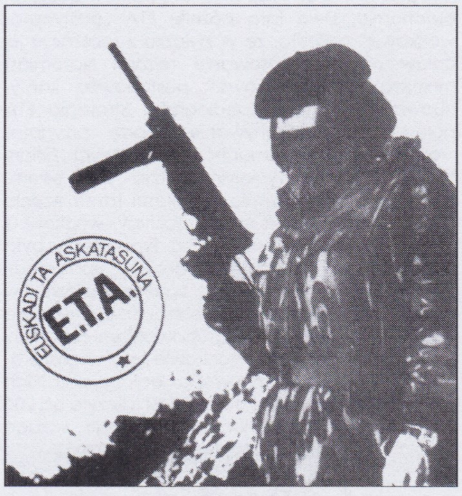

proponowała hiszpańskim władzom rozmowy, które jednak zakończyły się fiaskiem. W roku 1993 zamach ETA po raz pierwszy pociągnął za sobą protesty uliczne, także w Kraju Basków. Po kolejnych zamachach i aresztowaniach (m.in. w sierpniu 1994 roku aresztowano stojącą na czele organizacji Marię Iobię Lopez Raino zwaną „Tygrysica") w 1995 ETA złożyła propozycję pokojową (pokój za prawo do samostanowienia), ale władze Hiszpanii odrzuciły propozycję. W tym samym roku ETA próbowała zabić króla Juana Carlosa i lidera Partii Ludowej Jose Marię Aznara. W roku 1997 po jednym z zamachów Baskowie protestujący przeciwko jej działalności zniszczyli biura powiązanej z ETA partii Herri Batasuna. W tym okresie ETA miała mieć 50-60 bojowników oraz 500 pomocników (kurierzy, zaopatrzeniowcy, itp.) oraz kilka tysięcy aktywnych sympatyków. W więzieniach znajdowało się 500 członków organizacji. We wrześniu 1998 ETA ogłosiła bezterminowe zawieszenie broni. W odpowiedzi rząd ogłosił swoją gotowość do rozmów, ale nie o samostanowieniu. Wiosną 1999 roku hiszpańskie i francuskie służby bezpieczeństwa przeprowadziły liczne aresztowania. ETA protestowała powołując się na rozejm, ale rząd stwierdził, że nie obiecywał, że nie będzie aresztowań. Z dniem 3 grudnia 1999 roku ETA zakończyła czternastomiesięczny okres zawieszenia broni. W swoim oświadczeniu napisała: Proces pokojowy został zablokowany i zatruty. W odpowiedzi na zobowiązanie bronienia Kraju Basków, podjęto decyzję ponownego posługiwania się walką zbrojną. W trakcie zawieszenia broni ETA odbudowała swoje struktury i wyszkoliła nowych bojowników. Skuteczność tej odbudowy Hiszpania poznała bardzo szybko. Nastąpiła cała seria zamachów bombowych i zabójstw, w których do 2003 roku zginęło kilkadziesiąt osób. Celem tych zamachów byli głównie politycy, dziennikarze, sędziowie, wojskowi, policjanci, biznesmeni, ale ginęły też osoby postronne. W wyniku wybuchu wiezionej samochodem bomby zginęło też czterech członków ETA. Zamachy wywoływały coraz silniejsze protesty w Hiszpanii i Kraju Basków. 13 września 2000 roku hiszpańskie i francuskie służby bezpieczeństwa przeprowadziły operację, w wyniku której aresztowano 36 kluczowych członków ETA w tym Ignacia Gracię Aregui ówczesnego przywódcę organizacji. W marcu 2002 roku aresztowano kolejnych 11 członków ETA. Mimo tych działań ETA dzięki swojej komórkowej strukturze dalej zachowuje „zdolność bojową", o czym dała dobitnie znać podczas szczytu UE w Sewilli w czerwcu 2002 roku, gdy eksplodowało 5 bomb - na szczęście bez ofiar śmiertelnych. W drugiej połowie 2002 roku władze hiszpańskie rozpoczęły działania przeciwko powiązanej z ETA partii Batasuna i pod koniec roku zdelegalizowały ją. Ataki ETA koncentrują się głównie na hiszpańskich funkcjonariuszach i instytucjach państwowych. W odpowiedzi na francuskie operacje skierowane przeciwko ETA, atakowane są również cele francuskie. W 2002 ETA rozpoczęła nową taktykę polegającą na przeprowadzaniu ataków skierowanych w miejsca odwiedzane przez turystów. Dotychczas w zamachach ETA zginęło ponad 800 osób. Struktura organizacji ETA to "twarde jądro" składające się z około 20 osób oraz kilkuset bojowników. Organizacja składa się z małych, w dużej mierze samodzielnie działających komórek. Nie ma sztywnej struktury i tym samym jest trudna do spenetrowania przez policję. Obozy szkoleniowe ETA znajdują się w Libii, Libanie i Nikaragui. Przypuszczalnie niektórzy członkowie ETA znaleźli schronienie na Kubie i w Południowej Afryce.

Najważniejsze zamachy ETA:

- 29 maj 1991 - Barcelona, Hiszpania. Zamach bombowy na koszary Gwardii Cywilnej. Ginie 9 osób, 50 osób zostaje rannych.
- 30 październik 2000 - Madryt, Hiszpania. W wyniku zamachu bombowego na sędziego Sądu Najwyższego zginęło 3 osoby a 35 zostało rannych.
- 9 marzec 2001 - Hernani, Hiszpania. Zabójstwo policjanta w zamachu bombowym.
- 17 marzec 2001 - Rosas, Hiszpania. W wyniku zamachu bombowego w pobliżu hotelu zginął policjant, a trzy osoby zostały ranne.
- 7 maj 2001 - Zaragoza, Hiszpania. Zabójstwo regionalnego lidera Popular Party.
- 15 lipiec 2001 - Leiza, Hiszpania. Zabójstwo polityka Jose Javier Mugica.
- 23 listopad 2001 - Beasain, Hiszpania. Zastrzelenie przez członków ETA dwóch oficerów policji.

FRAKCJA CZERWONEJ ARMII

Chyba większość z nas kojarzy logo składające się z czerwonej gwiazdy oraz pistoletu maszynowego MP5. Frakcja Czerwonej Armii (niem. Rote Armee Fraktion, w skrócie RAF), zwana też Grupą Baader-Meinhof to zachodnioniemiecka skrajnie lewicowa organizacja terrorystyczna, ideologicznie odwołująca się do maoizmu, marksizmu i nowej lewicy. Sama grupa określała się, jako antyimperialistyczna grupa miejskiej partyzantki zaangażowanej w zbrojny opór wobec rządu, który oskarżała o wdrażanie modelu państwa faszystowskiego. Działała od początku lat 70. do 1998 roku, kiedy to ogłosiła samorozwiązanie. Grupa wyrosła z fali niepokojów młodzieżowo-studenckich, które miały miejsce w całej Europie w drugiej połowie lat 60. Sama Frakcja Czerwonej Armii powstała na gruncie „Opozycji Pozaparlamentarnej" biorącej udział w protestach młodzieżowych. Aktywne w tym czasie ruchy młodzieżowe i studenckie przyjęły ideologię skrajnie lewicową, a celem ich protestów był głównie sprzeciw wobec ulokowaniu w Niemczech Zachodnich broni atomowej i sprzeciw wobec wojny wietnamskiej. Wydarzeniem, które szczególnie zradykalizowało młodzież była demonstracja z 2 czerwca 1967 roku, gdy w trakcie demonstracji przeciwników szacha Iranu Mohammada Rezy Pahlawiego policja otworzyła ogień do demonstrujących zabijając jednego z nich, Benno Ohnesorga – śmierć studenta zradykalizowała jeszcze bardziej młodzież, która uznała państwo za faszystowskie, a rządzące elity za pokolenie Oświęcimia, z którym nie można dyskutować.

W kwietniu 1968 roku w zamachu ranny został lider lewicowych studentów Rudi Dutschke. Zamach po raz kolejny wyprowadził zachodnioniemiecką młodzież na ulice – w protestach, które objęły trzydzieści miast kraju udział wzięło 300 tysięcy manifestantów. Na fali protestów powstały dziesiątki grup o profilu skrajnie lewicowym, które to w 1968 roku skupiały już 450 tysięcy członków. Pod ich wpływem także dotychczas umiarkowane organizacje, takie jak Socjalistyczny Związek Niemieckich Studentów (Sozialistischer Deutscher Studentenbund, SDS) zrywały z ruchem socjaldemokratycznym i kierowały się w stronę radykalizmu. Podobne zjawisko objęło także środowisko liberalne (Młodzi Demokraci związani z Wolną Partią Demokratyczną).

Wraz z powolnym wygasaniem protestów Socjalistyczny Związek Niemieckich Studentów stojący na czele „Opozycji Pozaparlamentarnej" rozłożył się na frakcje „anarchistów" dążących do walki rewolucyjnej i „tradycjonistów" odrzucających ją. Do grona „anarchistów" zaliczali się między innymi Andreas Baader, Gudrun Ensslin, Horst Söhnlein i Thorwald Proll. Cała czwórka 2 kwietnia 1968 roku przeprowadziła pierwszą akcję terrorystyczną polegającą na podpaleniu we Frankfurcie nad Menem dwóch domów towarowych. Cała czwórka radykałów została ujęta przez służby i postawiona przed sądem. W procesie bronił ich adwokat Horst Mahler oraz dziennikarka pisma „Konkret" Ulrike Meinhof.

Jeszcze, gdy czwórka podpalaczy odsiadywała

Baader, Andreas Bernd. 6. 5. 43 München **Haftbefehl**

Meinhof, Ulrike, gesch. Röhl, 7. 10. 34 Oldenburg **Haftbefehl**

Ensslin, Gudrun, 15. 8. 40 Bartholomae **Haftbefehl**

Augustin, Ronald, 20. 11. 49 Amsterdam **Haftbefehl**

Raspe, Jan-Carl, 24. 7. 44 Seefeld **Haftbefehl**

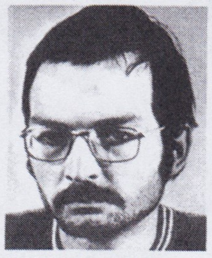

Jünschke, Klaus, 6. 9. 47 Mannheim **Haftbefehl**

Stachowiak, Ilse, 17. 5. 54 Frankfurt/M. **Haftbefehl**

Möller, Irmgard, 13. 5. 47 Bielefeld **Haftbefehl**

wyroki więzienia w RFN pojawiły się pierwsze grupy terrorystyczne (w tym Akcja Front Południowy, Front Palestyński i Komando Theo Bergera). Działalność tych grup przyczyniła się do ostatecznego wygaśnięcia fali protestów a przewodzący im Socjalistyczny Związek Niemieckich Studentów dokonał w roku 1970 samorozwiązania. Grupy te nie miały jednak na koncie większych sukcesów, a jedyną dłużej funkcjonującą organizacją był anarchistyczny Ruch 2 Czerwca powstały na bazie Akcji Frontu Południowego, po wcześniejszym przeszkoleniu jego członków w obozach al-Fatahu w Jordanii.

Pierwsza generacja RAF

Pierwszą zbrojną akcją organizacji (a zarazem wydarzeniem uznanym za utworzenie RAF) było uwolnienie 14 maja 1970 z więzienia Andreasa Baadera przez grupę kierowaną przez Ulrike Meinhof. Po tym organizację nazywano początkowo Grupą Baader-Meinhof. Po szkoleniu z rąk Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Jordanii przywódcy grupy powrócili do RFN i podjęli dalszą działalność zbrojną, wtedy też pojawiła się nazwa RAF i manifest programowy organizacji. Grupa ta określała się, jako komunistyczna, antyimperialistyczna guerilla miejska na wzór latynoamerykańskiego i niemieckiego ruchu rewolucyjnego. Grupa zakładała, że jej celem jest sprzeciwienie się ponownej faszyzacji Niemiec, walka ze światowym imperializmem i syjonizmem. Zdaniem ówczesnych członków grupa terrorystyczna jest jedynie pierwszym elementem przekształcenia jej w regularną armię. RAF zasiliło około 30 osób podzielonych na sześć grup bojowych. Pierwszymi akcjami RAF były trzy napady na banki w Berlinie Zachodnim dokonane równocześnie w dniu 29 września 1970 roku. 11 maja 1972 roku komando im. Petry Schlem w odwecie za zaminowanie przez Stany Zjednoczone portów Korei Północnej dokonało zamachu bombowego na sztab amerykańskiego V Korpusu we Frankfurcie nad Menem. Bomba raniła 13 osób i zabiła pułkownika Paula Bloomquista. Kolejnego dnia członkowie RAF wysadzili w powietrze komisariaty policji w Monachium i Augsburgu. Jeszcze pod koniec miesiąca podłożyli też bombę pod kwaterę główną wojsk USA w Heidelbergu. W akcji zabitych zostało trzech żołnierzy. Na skutek intensywnych działań policji, przywódcy grupy: Baader, Meinhof, Gudrun Ensslin, Holger Meins i Jan-Carl Raspe zostali schwytani w czerwcu 1972, co zakończyło pierwszy etap działalności RAF. Ich proces rozpoczął się w Stammheim 21 maja 1975 i zakończył 28 kwietnia 1977 skazaniem trzech pozostających przy życiu liderów za morderstwa i inne zarzuty na kary dożywotniego więzienia. Ulrike Meinhof popełniła samobójstwo w celi w 1976 (motywy samobójstwa nie są do końca jasne). W więzieniu zmarł też Holger Meins, który zginął z głodu po rozpoczęciu akcji strajku głodowego (w odwecie członkowie Ruchu 2 Czerwca dokonali nieudanej próby porwania sędziego Guntera von Deckermana zakończonej śmiercią sędziego). W czasie, gdy przywódcy RAF siedzieli w więzieniu, w roku 1973 fala aresztowań dotknęła pozostałych działaczy tej terrorystycznej grupy, co w praktyce sparaliżowało zupełnie działania Frakcji. Rozbicie pierwszej generacji spowodowało rozsypkę terrorystów w RAF. W miejsce dotychczasowej grupy powstały nieliczne grupki, wśród których znalazły się: Czerwona Armia Ruhry, Komórka Rewolucyjnych Kobiet, Oddział Czerwony Czerwiec, Rewolucyjna Armia Ludowa, Organizacja Odbudowy Frakcji Czerwonej Armii, Komórki Rewolucyjne (grupa ta była najbardziej niebezpieczna, a na jej koncie znajdował się szereg zamachów, w tym na obiekty wojsk amerykańskich) czy Walka Antyfaszystowska. Próbą odbudowy struktur RAF była akcja sprzymierzonego z RAF Ruchu 2 Czerwca z 27 lutego 1975 roku. Terroryści porwali wtedy Petera Lorenza będącego kandydatem CDU na burmistrza Berlina Zachodniego. W żądaniach Ruchu 2 Czerwca pojawiło się uwolnienie z więzienia członków Frakcji, wypłacenie im po 120 tysięcy marek oraz zorganizowanie przelotu samolotem do wybranego przez nich państwa. Rząd częściowo ugiął się pod żądaniami porywaczy i uwolnił pięciu działaczy RAF. RAF dał o sobie przypomnieć 24 kwietnia tego samego roku zaraz przed rozpoczęciem procesu sądowego przywódcy grupy. Wtedy to oddział RAF-u noszący nazwę Komando Holgera Meinsa zaatakował zachodnioniemiecką ambasadę w szwedzkim Sztokholmie. Napastnicy zażądali wypuszczenia na wolność więzionych liderów RAF. Akcja nie udała się, w jej wyniku zginął zamachowiec Ulrich Wessel, a ciężko ranny drugi z napastników, Siegfried Hausner zmarł 5 maja po przewiezieniu do więzienia w Stammheim. Wraz z nieudanymi akcjami przeciwko rządowi RFN, Frakcja czasowo wycofała się z akcji przeciwko niemu i skupiła się na udziale w akcjach za granicą. Jej członkowie wzięli udział w zamachu na izraelski samolot na lotnisku Paryż-Orly i w porwaniu ministrów państw OPEC w Wiedniu w grudniu 1975 roku. Akcje te organizowane były przez związanego wówczas z Ludowym Frontem Wyzwolenia Palestyny Ilicha Ramíreza Sáncheza.

ULRIKE MEINHOF

Druga generacja RAF

RAF wyszła z zastoju wraz z połową roku 1976 i przejęciem władzy w niej przez Siegfrieda Haaga. Haag, choć został aresztowany jeszcze w tym samym roku nawiązał kontakt z uwięzionymi przywódcami Frakcji oraz rozbudował kontakty poza granicami RFN. Duży wpływ na sytuację miała również domniemana samobójcza śmierć Meinhof, która zmobilizowała skrajną lewicę. Rok 1976 uznawany jest za początek drugiej generacji RAF – generacji o wiele lepiej przygotowanej, wyszkolonej i wyposażonej aniżeli jej poprzednicy. Druga generacja pierwszy rok rozpoczęła przeprowadzając aż 130 zamachów bombowych oraz trzy napady na banki. Rozbudowie uległy struktury grupy, grupę zasiliło 16 nowych członków, a w lipcu 1976 roku z więzienia w Berlinie Zachodnim uciekły cztery więzione członkinie Frakcji. Zmianie uległ też metodyzm RAF-u oraz styl życia działaczy. Przedstawiciele pierwszej generacji (byli to głównie hipisi mieszkający w komunach i ukrywający się na squatach) mieli raczej skłonności do chaotycznych akcji i improwizowania. Druga generacja była z kolei lepiej przygotowana, a ich tryb życia był o wiele bardziej wygodny – mieszkali w dobrych dzielnicach i w odróżnieniu od hipisów z pierwszej generacji wykazywali skłonność do modnego i schludnego ubioru.

Działania RAF w 1977 r. doprowadziły do poważnego kryzysu państwowego, nazywanego Niemiecką Jesienią (Deutscher Herbst). W ramach tzw. Offensive 77 terroryści porywali i zabijali funkcjonariuszy państwowych oraz przedstawicieli niemieckiego biznesu. 7 kwietnia komando RAF o nazwie „Ulrike Meinhof" zastrzeliło przy próbie porwania prokuratora generalnego RFN Siegfrida Bubacka, a 30 lipca zabiło (także przy próbie jego uprowadzenia) prezesa Dresdner Bank Jürgena Ponto. Pod koniec sierpnia służby udaremniły próbę ostrzelania budynku prokuratury generalnej z wyrzutni rakiet. 5 września komando „Siegfrid Hausner" zatrzymało samochód wiozący biznesmena Hannsa Martina Schleyera (Schleyer był szefem koncernu Mercedes oraz prezydentem Niemieckiego Związku Pracodawców). W strzelaninie, którą rozpętała Frakcja zginęła trójka ochroniarzy i kierowca. Sam Schleyer został uprowadzony, a ceną za jego wypuszczenie miało być wypuszczenie na wolność 11 więzionych działaczy Frakcji. Kiedy rząd RFN odmówił przyjęcia żądań lewicowych terrorystów, 13 października grupa pod nazwą „Organizacja Walki ze Światowym Imperializmem" (w jej skład wchodzili bojownicy Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny) uprowadziła samolot Lufthansy lecący z Majorki do Frankfurtu. Porywacze zażądali od RFN przyjęcia warunków RAF i wypuszczenia jej członków z więzienia. Z 17 na 18 października niemieccy komandosi z GSG 9 przeprowadzili w Mogadiszu w Somalii akcję, w wyniku której zabili trzech z czterech terrorystów i uwolnili zakładników. Po informacji o niepowodzeniu porwania samolotu komando „Siegfrid Hausner" zabiło porwanego Schleyera. Ciało biznesmena znaleziono we Francji. W trakcie tych wydarzeń (w nocy z 17 na 18 października) uwięzieni przywódcy grupy popełnili samobójstwa, przy czym Baader został znaleziony zastrzelony. Przedstawiciele wielu europejskich grup lewicowych oskarżyło niemiecki rząd o zabicie więźniów.

26 października nielegalnie nadająca radiostacja RAF-u ogłosiła następujący komunikat: Apel do wszystkich towarzyszy i do całego narodu niemieckiego! Egzekucja Schleyera pomogła nam uczynić krok naprzód na naszej drodze. Oto nasze hasło: niszczcie posterunki policji! Niszczcie banki i kasy, ratusze i wszelkie biurokratyczne instytucje! Niszczcie to, co niszczy was! Walka trwa, Schleyer nie był ostatni! Niszczcie ten imperialistyczny skorumpowany i morderczy twór, który zwie się Republiką Federalną Niemiec. Nie spoczniemy do momentu, kiedy nie wykończymy ostatniego urzędnika tego aparatu. Zemstą za akcję komandosów w Mogadiszu była seria podpaleń magazynów wielkich koncernów na terenie zachodnich Niemiec. W samym tylko roku 1977 miało miejsce 48 zamachów i 12 napadów na banki (w których ukradziono milion marek).

25 maja 1978 roku RAF przeprowadziło napad na więzienie w Berlinie Zachodnim, skąd uwolniło Tilla Meyera z Ruchu 2 Czerwca. 1 lipca tego samego roku RAF przeprowadziła zamach w Heidenburgu, po którym doszło do następnej fali aresztowań. W jej wyniku wpadł między innym lider Ruchu 2

ANDREAS BAADER I GUDRUN ENSSLIN

Czerwca Rolf Heißler, a wielu terrorystów zginęło w wyniku strzelanin, które wywiązały się podczas próby aresztowania – w ten sposób zginął między innymi Willy Peter Stoll z RAF-u. Fala aresztowań, która w drugiej połowie lat 70. (ujęto wtedy 18 terrorystów) objęła skrajnie lewicowe podziemie w RFN, spowodowała ucieczkę kilku członków Frakcji do sąsiedniej Austrii – na miejscu bojówkarze wraz z lokalnymi anarchistami założyli ugrupowanie „Komando Zentrale". „Komando Zentrale" 9 listopada 1977 roku porwało austriackiego milionera, a okup w wysokości 4,5 miliona marek przekazało na naprawę struktur w RFN. Dwa lata później członkowie tegoż komanda przeprowadzili trzy zamachy na banki (dwa z nich znajdowały na terenie RFN a jeden w Szwajcarii).

Na przełomie lat 1978–1979 grupa przeprowadziła osiem ataków na posterunki wojskowe oraz serię uszkodzeń linii wysokiego napięcia. W roku 1979 doszło do kolejnej serii akcji. 25 czerwca Komando Andreas Baader przeprowadziło nieudaną próbę zabójstwa rezydującego w Belgii głównodowodzącego wojsk NATO. Coraz częściej cele organizacji wiązane były z chęcią zyskania poparcia ze strony ruchów pokojowych i ekologicznych. Na gruncie tych przemian RAF zrewidowała swoją ideologię, wydając w 1982 roku dokument „Guerilla, Opór i Front Antyimperialistyczny", w którym skrytykowała swój dotychczasowy awangardyzm. W 1980 roku Ruch 2 Czerwca, po wcześniejszych zmianach ideologicznych i przyjęciu programu zbieżnego z programem Frakcji Czerwonej Armii, dokonał połączenia z tą organizacją.

Wraz z latami 80. RAF nawiązała współpracę ze Stasi, a jej członkowie znaleźli schronienie na terenie NRD. Oprócz rządu NRD działalność Frakcji Czerwonej Armii wspierana była przez państwa arabskie, z których szczególną pomoc udzieliła jej Libia rządzona przez Mu'ammara al-Kaddafiego. Na ten czas datuje się zawarcie przez zachodnioniemieckich radykałów współpracy z działającą we Włoszech grupą Czerwone Brygady i Japońską Armią Czerwoną.

Ostatnie lata działania drugiej generacji nie były owocne. Na początku lat 80. RAF zorganizowała nieudane zamachy na amerykańskiego generała Fredericka Kroesena (18 września 1981 roku) i atak na bazę wojsk amerykańskich w Ramstein (31 sierpnia 1981) w którym rannych zostało 17 żołnierzy. Zamachy te związane były z tym, że RAF za swojego głównego wroga obrała ówczas znajdujące się w Europie struktury NATO. W 1982 roku służby zachodnioniemieckie wykryły czternaście magazynów należących do RAF i zaaresztowały trójkę bojowników organizacji. Kolejnych siedmiu terrorystów aresztowano w lecie roku 1984. Aresztowania nie rozbiły grupy, która przeprowadziła jeszcze skuteczne zamachy na Alfreda Herrhausena, będącego szefem Deutsche Bank, dyrektora Siemens Karla Beckursta i kilku żołnierzy amerykańskich.

Trzecia generacja RAF

Po okresie ograniczonej działalności 4 grudnia 1984 roku uwięzieni członkowie Frakcji ogłosili trwający sześć tygodni strajk głodowy. Pozostający na wolności członkowie grupy w ramach solidarności z więźniami przeprowadzili 36 zamachów obejmujących między innymi szkołę NATO w Oberammergau, koszary armii brytyjskiej w Osnabrück, wydział techniczno-wojskowy ambasady francuskiej w Bonn i filię koncernu IBM w Berlinie Zachodnim. Sukces zamachów spowodował pojawienie się „trzeciej generacji" RAF. „Trzecia generacja" 15 stycznia 1985 roku nawiązała kontakt z Walczącymi Komórkami Komunistycznymi z Belgii i francuską Action Directe. „Trzecia generacja" organizowała swoje zamachy coraz rzadziej, robiąc to jednak w bardzo precyzyjny sposób. 1 lutego 1985 roku z rąk grupy zginął Ernst Zimmermann, szef koncernu zbrojeniowego MTU w Gauting. 9 lipca w zamachu bombowym w Straßlach ginie Karl Heinz Beckurts, członek zarządu Siemens AG. 30 lipca członek organizacji zabija szefa policji Liechtensteinu, a 10 października ginie pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Gerald von Braunmuhl. W 1987 roku powstały, w wyniku secesji kilku członków RAF-u, Narodowo-Demokratyczny Front Wyzwolenia Niemiec Zachodnich przeprowadza udany atak na bazę wojsk Wielkiej Brytanii. 30 listopada 1989 RAF organizuje zabójstwo Alfreda Herrhausena, prezesa zarządu Deutsche Bank.

Po zjednoczeniu Niemiec zamachy nie ustały pomimo aresztowania przez wschodnioniemiecką policję szeregu bojówkarzy przebywających na obszarze byłego NRD (20 z nich udało się zbiec). 2 marca 1990 roku z zamachu zorganizowanego przez Frakcję z życiem uszedł minister rolnictwa Ignaz Kiechle, a 27 lipca odbył się zamach na eksperta od terroryzmu w ministerstwie spraw wewnętrznych Hansa Neusela. 1 kwietnia 1991 roku w Düsseldorfie z rąk RAF-u zginął Detlev Karsten Rohwedder, prezes Urzędu Powierniczego (Treuhandanstalt), niemieckiej agencji państwowej, odpowiedzialnej za prywatyzację majątku państwowego w byłej NRD. RAF wyraziła tym samym sprzeciw wobec prywatyzacji na terenie dawnej NRD. Jeszcze w tym samym roku RAF w odwecie za inwazję amerykańską na Irak ostrzelała ambasadę USA w Niemczech. W 1993 roku doszło do ostatnich akcji Frakcji Czerwonej Armii. 27 marca miejscy partyzanci umieścili bombę pod nieczynnym więzieniem w Weiterstadt. W zamachu nikt nie zginął, lecz straty poniesione w jego wyniku wyniosły ponad 100 milionów dolarów. 17 września odbywa się ostatni zamach RAF – ostrzelanie kolońskiego budynku należącego do organizacji pracodawców przemysłu metalowego. Wraz z końcem roku RAF ogłosił, że wewnątrz grupy doszło do rozłamu. Było to równoznaczne z zamrożeniem działalności. RAF oficjalnie ogłosiła samorozwiązanie 20 kwietnia 1998. Większość wcześniej wyłapanych RAF-owców została w tym czasie zwolniona z więzień, a ci, którzy pozostali na wolności w większości szybko trafili na drugą stronę muru.

7 maja 2007 roku prezydent Niemiec Horst Köhler odmówił ułaskawienia dwójki skazanych terrorystów RAF. Christian Klar, skazany na sześciokrotne dożywocie (9 morderstw i 11 prób), wyszedł na wolność 19 grudnia 2008 roku. Birgit Hogefeld, skazana na dożywocie za potrójne morderstwo i zamach terrorystyczny, wyszła na wolność 20 czerwca 2011 roku. W 2016 roku media poinformowały o poszukiwaniach trzech byłych działaczy RAF – Danieli Klette, Ernst-Volkera Stauba i Burkharda Garwega – podejrzanych o dwa napady na furgonetki z pieniędzmi w roku 2015. Zdaniem niemieckiej policji napady te nie mają związku z chęcią reaktywacji RAF ani działalnością terrorystyczną, a ich organizatorzy kierowali się czysto materialnymi pobudkami.

CZERWONE BRYGADY

Brigate Rosse – tę włoską organizację założyli studenci - Renato Curcio ze swoją przyszłą żoną Margherite Cagol oraz Franco Triano, Giorgio Semeria i Corado Simoni. Za cel postawili sobie zwalczanie kapitalizmu i zbrojne wprowadzanie ideałów rewolucji proletariackiej. Patronami byli Marks, Lenin i Mao Tse-tung. Miejscem sformowana ruchu była Genua. Istnienie formacji ogłoszono oficjalnie w listopadzie 20 października 1970 roku. Jej działalność niemal sparaliżowała życie polityczne na Półwyspie Apenińskim pod koniec lat siedemdziesiątych. Czerwone Brygady działały głównie na północnym zachodzie i w centrum Włoch. Liderami grupy byli Antonio Savasta, Margherita Cagol, Mario Moretti, Renato Curcio i Alberto Franceschini. Pierwsi członkowie Czerwonych Brygad wywodzili się ze środowisk robotniczych i studenckich związanych z protestami roku 1968. Obiektem ich ataków stali się politycy, biznesmeni, sędziowie i dziennikarze – osoby identyfikujące się z państwem kapitalistycznym i panującymi nierównościami. Atakowane przez nich były również partie lewicowe i komunistyczne,

ALDO MORO ZAMORDOWANY PRZEZ CZERWONE BRYGADY

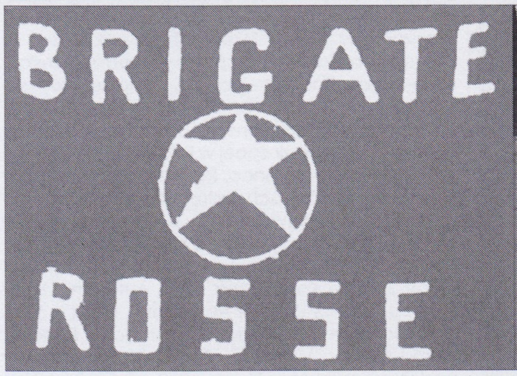

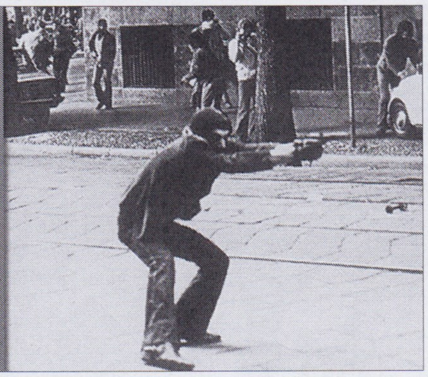

którym członkowie ugrupowania zarzucali zdradę ideałów rewolucji. Metody, z początku ograniczające się do chuligaństwa, z czasem stały się bardziej drastyczne. Cechą charakterystyczną działalności Czerwonych Brygad przy porywaniu i zastraszaniu ofiar był postrzał w kolano. Pierwszą akcją rewolucjonistów było podpalenie samochodu kierownika fabryki w Mediolanie we wrześniu 1970 roku. Do 1972 roku członkowie grupy przeprowadzili akcje niszczenia samochodów należących do właścicieli fabryk oraz ataki na biura organizacji prawicowych. W 1974 roku terroryści porwali w Genui sędziego. Porwanie zapoczątkowało serię ataków na polityków i funkcjonariuszy państwa włoskiego. W 1975 roku Czerwone Brygady ogłosiły partię Chrześcijańska Demokracja „głównym wrogiem". Liczba ataków na chadeków była szczególnie wysoka w latach 1977-1979. Kulminacją kampanii było porwanie Alda Moro.

16 marca 1978 Czerwone Brygady dokonały swojej najbardziej spektakularnej akcji. Tego dnia radio BBC donosiło: „W ciągu kilku sekund szofer i wszyscy agenci ochrony zostali zastrzeleni. Aldo Moro według opinii świadków został uprowadzony i wywieziony samochodem terrorystów przebranych w mundury włoskiej linii lotniczej Air Italia. W stan alarmu postawiono 30 tysięcy policjantów i karabinierów. Rozpoczęto gigantyczną obławę". Aldo Moro, wywodzący się z chadecji wielokrotny premier, był wówczas jednym z najpopularniejszych włoskich polityków. Data porwania nie była przypadkowa. W tym dniu miało dojść do porozumienia komunistów z partią chrześcijańsko-demokratyczną. Gehenna Aldo Moro trwała 55 dni. Wyrok śmierci zapadł, gdy rząd nie spełnił żądań terrorystów. Ciało podrzucono dokładnie w miejsce porwania, symbolicznie położone pomiędzy siedzibami partii komunistycznej i chadecji. Organizacja dokonała także porwania szefa dowództwa wojsk lądowych NATO na południową Europę gen. Jamesa Doziera, który jednak został uwolniony przez włoską policję, przez jej antyterrorystyczny wydział Nucleo Operativo Centrale di Sicurezza.

Dobrze zakonspirowana, piramidalna struktura organizacji czyniła z Czerwonych Brygad formację bardzo trudną do wykrycia i bardzo sprawną. Celem grupy było rozbicie struktur państwa i doprowadzenie do rewolucji. Grupa liczyła około 400-500 członków i 1000 współpracowników. Fundusze na działalność grupy organizacja zdobywała m.in. ze wsparcia swoich zwolenników. Działalność grupy najczęstsza była w kwadracie skupiającym Rzym, Genua, Turyn i Mediolan. Czerwone Brygady w trakcie działalności podejmowały się współpracy z mniejszymi organizacjami włoskimi o podobnym profil w tym ze Zbrojnymi Komórkami Proletariackimi i Pierwszą Linią. Organizacja w okresie działalności otrzymywała pomoc ze strony Libii rządzonej przez Mu'ammara al-Kaddafiego. W latach 80. Czerwone Brygady rozpoczęły współpracę z zachodnioniemiecką Frakcją Czerwonej Armii. Istnieją też informacje na temat powiązań Czerwonych Brygad z Japońską Armią Czerwoną.

W kolejnych latach z rąk Czerwonych Brygad zginęło kilkadziesiąt osób. Członkowie organizacji przez kilkanaście lat skutecznie wymykali się organom ścigania. Sukcesy policji przyniosła dopiero taktyka naginania prawa do granic możliwości i zastosowanie metod stosowanych w walce z mafią - przesłuchania bez obecności adwokata, hojne szafowanie wysokimi wymiarami kary i instytucja świadków koronnych. W lutym 1980 roku wpadł Patricio Pecci, szef Czerwonych Brygad w Turynie. Jako informator pomógł władzom rozbić struktury organizacji. Ostatni zamach miał miejsce w 1988 roku. Od tego czasu Czerwone Brygady pozostają w uśpieniu.

Działalność Czerwonych Brygad zaczęła kurczyć się po 1980 roku. Szereg działaczy formacji trafił do więzień. Aresztowani często współpracowali z władzami, co doprowadziło do kolejnych aresztowań. W latach 80. Czerwony Brygady uległy podziałom. Jako spójna organizacja przestała istnieć około 1981 roku. Największym spadkobiercą Czerwonych Brygad były Czerwone Brygady Walcząca Partia Komunistyczna (BR-PCC). Mniejszymi formacjami były Czerwone Brygady Partia Partyzancka (BR-PG) i Czerwone Brygady Kolumna Walter Alasia (BR-WA).

W 2002 roku doszło do nowych ataków sprawców powołujących się na Czerwone Brygady. Sprawcy najprawdopodobniej nie byli jednak związani z pierwotną organizacją. W styczniu 2010 roku, pod zarzutem próby reaktywacji Czerwonych Brygad, aresztowano Manolo Morlacchiego (syna współzałożyciela organizacji) oraz Costantino Virgilio.

FRONT NARODOWEGO WYZWOLENIA KORSYKI

Ich nazwa po francusku brzmi Front de Libération Nationale de la Corse, a po korsykańsku Fronte di Liberazione Naziunale di a Corsica. FLNC to największe separatystyczne ugrupowanie na Korsyce. W swoich działaniach stosuje oczywiście terrorystyczne metody, a celem grupy jest oderwanie Korsyki od Francji. Politycznym skrzydłem Frontu przez lata była partia A Cuncolta Naziunalista. Ugrupowanie powstało w 1976 roku z połączenia kilku organizacji. Od chwili powstania było organizatorem serii zamachów terrorystycznych skierowanych we francuską administrację, banki, budynki administracji i służby bezpieczeństwa, będąc odpowiedzialną za podkładanie bomb, napady na banki i ściąganie haraczy. Organizacja atakuje cele na Korsyce i w kontynentalnej Francji, m.in. w Nicei, Marsylii i Awinionie. Popularnym celem zamachów tej nacjonalistycznej grupy stały się również korsykańskie wille należące do Francuzów z kontynentu – w trakcie tak zwanej błękitnej nocy, 19 sierpnia 1982 roku, Front zniszczył w ten sposób kilkanaście budynków (ich mieszkańcy byli wcześniej informowani o planowanej akcji). Okresem największej aktywności FLNC były lata 70. i 80., a pierwszym poważnym ciosem w organizację była fala aresztowań w maju 1979 roku. W 1988 wynegocjowano rozejm z rządem francuskim, jednak część najbardziej radykalnych działaczy odrzuciła proces pokojowy i dokonała rozłamu w organizacji. Pomimo podziałów organizacja dalej działała, organizując również zamachy na prominentów, np. 6 lutego 1998 r. zabito prefekta Korsyki Claude'a Érignaca. W 1980 roku 12 członków FLNC znajdujących się we francuskich więzieniach prowadziło strajk głodowy, który zakończyli po kilku tygodniach. W 1999 roku Front ogłosił zawieszenie broni, które zerwał już w 2001 roku, po tym, gdy parlament francuski nie zgodził się na nadanie wyspie większej autonomii. FLNC w odludnych miejscach organizuje konferencje prasowe, na które sama dowozi dziennikarzy. W przeszłości w mediach pojawiały się spekulacje jakoby grupa wspierana i zaopatrywana była przez libijski rząd pułkownika Mu'ammara al-Kaddafiego. FLNC rywalizuje z inną organizacją separatystyczną, Armią Korsykańską, którą aktywnie zwalcza. W sierpniu 2000 roku została oskarżona przez Armię Korsykańską o zabójstwo jej lidera Jeana-Michel Rossiego. W czerwcu 2014 jedna z trzech frakcji we Froncie („FLNC-UC") ogłosiła zawieszenie broni i stopniową demilitaryzację, na taki sam krok zdecydowała się w maju 2016 roku frakcja „FLNC-22 października", która zapowiedziała zakończenie działalności zbrojnej do października tego samego roku. W 2016 członkowie frakcji „FLNC-22 października" wysłali do korsykańskiej gazety Corse Matin oświadczenie, że jakikolwiek atak terrorystyczny przeprowadzony na Korsyce przez islamskich radykałów spotka się z akcjami odwetowymi wymierzonymi w muzułmanów.

ARMIA KORSYKAŃSKA

Wspomniana wyżej grupa Armata Corsa to narodowowyzwoleńcza organizacja nacjonalistyczna powstała w 1999 roku na Korsyce. Jej głównym celem jest odrodzenie „czystego" ruchu nacjonalistycznego. Przyczyną, dla której została założona, był sprzeciw jej twórców wobec coraz szerszych powiązań pomiędzy innymi korsykańskimi organizacjami nacjonalistycznymi a podziemiem kryminalnym. W 2003 roku liczebność organizacji oceniana była na około 30 osób. Działa ona przede wszystkim na Korsyce, chociaż przyznaje się również do przeprowadzania ataków terrorystycznych we Francji kontynentalnej. Celem grupy jest wywalczenie niepodległości dla Korsyki, przeniesienia korsykańskich terrorystów odsiadujących wyroki w więzieniach na kontynencie do zakładów karnych na wyspie oraz "oczyszczenie" ruchu narodowego z elementów kryminalnych. Celami zamachów Armii Korsykańskiej są głównie budynki użyteczności publicznej, banki, obiekty turystyczne, budynki armii i policji oraz „symbole kolonialnego statusu" wyspy. Jest aktywnie zwalczana przez inne ugrupowania, przede wszystkim przez największą korsykańską organizację terrorystyczną Front Narodowego Wyzwolenia Korsyki (FLNC). W sierpniu 2000 roku najprawdopodobniej jedna z rywalizujących z Armią Korsykańską organizacji zabiła jej przywódcę Jean-Michel Rossi i jego ochroniarza.

Najważniejsze zamachy terrorystyczne Armata Corsa:

- 6 stycznia 1999 – atak bombowy na biuro turystyczne w Ghisonaccia na Korsyce (2 osoby zostały ranne)

- 20 marca 1999 – cztery oddzielne zamachy bombowe: urząd pocztowy w Bastii, w Sartene, na regionalne biuro planowania i francuską kawiarnię w Casabianda
- 5 kwietnia 1999 – atak bombowy w Ajaccio
- 6 kwietnia 1999 – atak bombowy w Tulonie
- 22 maja 1999 – atak bombowy na główny urząd pocztowy w La Ciotat,
- 1 sierpnia 1999 – atak bombowy na sklepy w Bastii,
- 2 sierpnia 1999 – atak bombowy na urząd podatkowy w Ajaccio,
- 15 sierpnia 1999 – podłożenie bomby pod Credit Agricole bank w Ajaccio (w celu odwrócenia uwagi od napadu na inny bank)
- 6 września 1999 – próba blokady wizyty premiera Francji, Lionela Jospina na Korsyce
- 17 września 1999 – atak bombowy na biuro dziekana uniwersytetu w Ajaccio podczas wizyty Claude Allegre, ministra edukacji Francji
- 22 września 1999 – zniszczenie 2 samolotów na lotnisku Ghisonaccia
- 7 października 1999 – atak bombowy na urząd podatkowy podczas wizyty minister sprawiedliwości Francji, Élisabeth Guigou.

ACTION DIRECTE

Akcja Bezpośrednia to francuska anarchistyczna grupa zbrojna i terrorystyczna, która działała w latach 80. XX wieku na terenie Francji. Członkowie Action Directe odpowiedzialni byli za kilkadziesiąt ataków (w tym zabójstwa) na przedstawicieli przemysłu i administracji rządowej. Action Directe powstała w 1977 z połączenia dwóch skrajnie lewicowych grup GARI: (Groupes d'Action Révolutionnaire Internationalistes) i NAPAP (Noyaux Armés pour l'Autonomie Populaire). Za cel obrała sobie walkę z imperializmem i obronę proletariatu. W sierpniu 1982 rząd francuski uznał grupę za nielegalną. Action Directe odpowiedzialna była za około 50 ataków zbrojnych m.in. na federację przedsiębiorców, budynki rządowe i francuskiej armii, a także zakłady zbrojeniowe. Grupa Action Directe dokonała również zamachów na menadżera francuskiej firmy handlującej bronią oraz na byłego dyrektora Renaulta. Od 1985 rozpoczęła współpracę z niemiecką grupą terrorystyczną Frakcją Czerwonej Armii. Organizacja w okresie działalności otrzymywała pomoc ze strony Libii rządzonej przez Mu'ammara al-Kaddafiego. W ciągu swojej ośmioletniej historii Action Directe przeprowadziła niemal 80 ataków terrorystycznych, w tym cztery w 1981 roku, osiem w 1982 roku, siedem w 1983 roku, dziewięć w 1984 roku, szesnaście w 1985 roku i trzynaście w 1986 roku. W wyniku tych zamachów życie straciło 5 osób, a 58 zostało rannych. Action Directe podjęła 8 prób morderstw. Do udanych zamachów należało zamordowanie generała Rene Audrana (25 stycznia 1985 r.) oraz Georgesa Besse, prezesa firmy Renault (17 listopada 1986 r.). Potrzeby finansowe Action Directe zostały zaspokojone przez szereg napadów na banki. Podczas napadu 14 października 1983 r. policja zastrzeliła Ciro Rizatto, którego prowadzący śledztwo powiązali z włoskimi organizacjami terrorystycznymi.

Action Directe działała w latach 1979-1987. Luźna koalicja radykalnych działaczy szybko przekształciła się w pełni zdolną do działania organizację terrorystyczną, posiadającą sieć kontaktów w Europie oraz na Bliskim Wschodzie. Podczas błyskawicznej i gwałtownej kampanii zamachów bombowych i zabójstw Action Directe uderzała w przedsiębiorców, urzędy do spraw cudzoziemskich robotników, przemysł budowlany, policję oraz wojsko. Chociaż kampania Action Directe była wymierzona w kapitalistów, syjonistów i Amerykanów, część francuskiej lewicy, która mogła popierać gwałtowne działania 20 lat wcześniej, w latach 80. nie akceptowała już przemocy jako właściwego sposobu osiągania znaczących zmian. Jedno z pierwszych oświadczeń wydanych przez Action Directe podkreślało anarchizm, leżący u podstaw działań grupy: według działaczy ruchu, jego celem było „rozbicie społeczeństwa przez bezpośrednie działanie, niszczące jego instytucje oraz ludzi mu służących". Początkowo grupa składała się z dziwnego zestawu anarchistów, maoistów, drobnych opryszków, działaczy z Trzeciego Świata oraz „bojowników" szkolonych w palestyńskich obozach. Wielu przywódców Action Directe brało już udział w działaniach starszych grupach ekstremistycznych. Jean-Marc Rouillan należał poprzednio do Międzynarodowych Grup Akcji Rewolucyjnej (International Revolutionary Action Groups), grupy anarchistycznej walczącej w latach 70. w Hiszpanii z reżimem gen. F. Franco. Regis Schleicher działał w lewicowych grupach ekstremistycznych, których olbrzymia ilość powstała po studenckim buncie w maju 1968 roku. Kolejny z przywódców grupy, Frederic Oriach, był założycielem maoistowskiej grupy Zbrojne Komórki na rzecz Autonomii Ludu (Armed Cells for Popular Autonomy), która w 1977 r. zabiła nocnego stróża w zakładach Renault, Jeana-Antoine Tramoni. Tramom zamordował podczas demonstracji w 1972 r. lewicowego działacza Pierre'a Overney. W ciągu swojej krótkiej historii Action Directe była nękana wewnętrznymi sporami na temat celów i metod działania, które ostatecznie doprowadziły do podziału organizacji na frakcje "międzynarodową" i "narodową". Frakcja międzynarodowa, z siedzibą w Paryżu, koncentrowała swoje ataki na osobach i obiektach związanych z interesami europejskiego handlu i obronności. Frakcja narodowa, operująca z Lyonu w południowej Francji, skupiała się na celach wewnętrznych, jednak swoje ofiary wybierała w sposób bardziej przypadkowy. Kilku przechodniów oraz klientów i sprzątaczy pracujących w zaatakowanych firmach zostało pobitych lub nawet zabitych z zimną krwią.

Historię Action Directe można podzielić na trzy okresy, z których każdy charakteryzuje się zmianami ideologii oraz różnicami w poziomie stosowanej przemocy. Podczas pierwszego okresu (1979-1981) działania grupy obejmowały akty wandalizmu, ostrzeliwanie budynków, ataki bombowe oraz podpalenia. Przykładem takiej akcji może być atak w dniu 18 marca 1979 r., kiedy przywódcy grupy (i kochankowie) - Rouillan i Nathalie Menigon ostrzelali z broni maszynowej budynek francuskiego Ministerstwa Współpracy z Zagranicą. Pierwszym atakiem, do którego grupa oficjalnie się przyznała, była akcja z 1 maja 1979 r., podczas której członkowie Action Directe ostrzelali z karabinów maszynowych siedzibę francuskiego związku pracodawców. W kwietniu 1980 r. grupa przeprowadziła atak rakietowy na Ministerstwo Transportu, a we wrześniu tego samego roku otworzyła ogień z broni automatycznej w kierunku Akademii Wojskowej. Członkowie grupy wzniecili również pożary w zakładach Philips Data Systems oraz na uniwersytecie w Rennes. W tym okresie grupa przeprowadziła około 20 ataków, które spowodowały jednak wyłącznie szkody materialne. Władze francuskie aresztowały Rouillana i Menigon 13 września 1980 r. podczas zasadzki na rue Pergolese. Policja posłużyła się informacjami uzyskanymi od byłego sympatyka Action Directe, libańskiego malarza Gabriela Chahine. Podczas aresztowania Menigon otworzyła ogień w kierunku policjantów, krzycząc: „Jestem Action Directe!".

Action Directe zawiesiła na krótko działalność po wyborze Francois Mitteranda na prezydenta Francji w maju 1981 roku. Objęcie urzędu przez nowego prezydenta tradycyjnie wiąże się z ogłoszeniem amnestii i Rouillan odzyskał wolność wraz z 25 innymi członkami grupy. Ponieważ Menigon stawiała opór podczas aresztowania, początkowo nie została objęta amnestią. Natychmiast podjęła strajk głodowy i po trzech tygodniach wywalczyła zwolnienie z więzienia. Zawieszenie broni między lewicowym prezydentem i terrorystami wkrótce dobiegło końca. Latem 1982 r. grupa wydała oświadczenie, w którym oskarżała rząd Mitteranda o wspieranie zachodnioniemieckiego i amerykańskiego kapitalizmu; ponadto ogłosiła początek „antysyjonistycznej wojny partyzanckiej". Zgodnie z tym oświadczeniem, celem nowej fali przemocy były głównie obiekty żydowskie i amerykańskie. W 1982 r. członkowie Action Directe ostrzelali z broni maszynowej poselstwo izraelskiego Ministerstwa Obrony, izraelski samochód dyplomatyczny oraz Bank of America. Bomby podłożono w budynkach należących do World Bank, American School oraz szeregu izraelskich oraz żydowskich firm w Paryżu. Action Directe była również zamieszana w dwa najgorsze zamachy antyżydowskie tamtego okresu - zamach bombowy w synagodze Passy oraz wysadzenie w powietrze restauracji Chez

Jo Goldenberg w dzielnicy Paryża Marais. Oba ataki były niemal na pewno dziełem libańskich grup terrorystycznych, jednak Action Directe prawdopodobnie zapewniła zamachowcom wsparcie logistyczne. Rząd Mitteranda ogłosił 18 sierpnia 1982 r. początek wojny z terrorystami i wyjął Action Directe spod prawa. Terroryści odpowiedzieli, detonując kolejne ładunki wybuchowe. Rzecznik grupy Oriach usprawiedliwił ataki konfliktem arabsko-izraelskim, podkreślając tym samym siłę więzów łączących Action Directe z palestyńskimi grupami terrorystycznymi. W tym samym czasie Action Directe załatwiła stare porachunki, mordując Gabriela Chahine, malarza, który w 1980 r. wydał przywódców grupy w ręce policji. W ciągu 1983 r. Action Directe przeprowadziła kilka mniejszych ataków przeciwko celom politycznym, np. detonując w sierpniu niewielkie ładunki wybuchowe w siedzibie Partii Socjalistycznej oraz w budynku Ministerstwa Obrony. Otoczeni przez policję terroryści zazwyczaj torowali sobie drogę strzałami. Pięciu terrorystów zaskoczonych 31 maja 1983 r. przez rutynowy patrol zastrzeliło na Avenue Trudaine w Paryżu 2 funkcjonariuszy policji.

W trzecim okresie działalności (1984-1987) frakcja międzynarodowa zacieśniła związki z innymi europejskimi ugrupowaniami w ramach tzw. wojny partyzanckiej przeciwko „amerykanizacji Europy". W styczniu 1985 r. Action Directe oraz niemiecka Frakcja Czerwonej Armii wydały wspólną deklarację, ogłaszając utworzenie paneuropejskiej sieci polityczno-militarnej. W latach 1984-1985 europejscy terroryści nawiązali bliską współpracę. Action Directe łączyły szczególnie bliskie związki z belgijską grupą Komórki Walki Komunistycznej (Communist Fighting Cells - CCC). W czerwcu 1984 r. CCC przeprowadziła napad na kamieniołom w pobliżu Brukseli, z którego skradziono ponad tonę materiałów wybuchowych. W następnych miesiącach przez Europę przetoczyła się fala zamachów bombowych, przeprowadzonych przy użyciu ładunków pochodzących z tego źródła. Action Directe użyła belgijskich materiałów wybuchowych m.in. do skonstruowania bomby podłożonej w siedzibie Unii Zachodnioeuropejskiej. W 1985 r. terrorystyczna współpraca Action Directe i RAF osiągnęła apogeum. Terroryści z Action Directe zamordowali 25 stycznia 1985 r. generała Rene Audrana, kierującego z ramienia francuskiego Ministerstwa Obrony handlem bronią z zagranicą. Kilka dni później członkowie RAF przeprowadzili udany zamach na Ernesta Zimmermana, znaną postać niemieckiego przemysłu lotniczego. W sierpniu 1985 r., podczas wspólnej akcji RAF i Action Directe terroryści zamordowali amerykańskiego żołnierza i wykorzystali jego samochód do przeprowadzenia zamachu bombowego, którego celem była amerykańska baza lotnicza w pobliżu Frankfurtu nad Menem w zachodnich Niemczech. W eksplozji zginęły 2 osoby, kolejnych 16 zostało rannych. W tym jednak momencie szczęście przestało sprzyjać terrorystom.

Menigon i Aubron, występujący pod nazwą Pierre Overney - Action Directe Commando, zamordowali 17 listopada 1986 r. prezesa firmy Renault, Georgesa Bessę. Zamachu dokonano w pobliżu mieszkania ofiary. Trzy tygodnie później Schleicher oraz bracia Claude i Nicholas Halfen zostali oskarżeni o przeprowadzenie zamachu na Avenue Trudaine w 1983 roku. Kiedy Schleicher zaczął grozić ławie przysięgłych, proces przejął sąd złożony z zawodowych sędziów. Ostatecznie Schleicher został uznany za winnego morderstwa i skazany na dożywocie.

W tym momencie policyjne działania antyterrorystyczne zaczęły przynosić owoce. Policja aresztowała 28 marca 1986 r. w Lyonie jednego z założycieli Action Directe, Andre Oliviera i zabezpieczyła jego samochód, po brzegi załadowany karabinami. Potem, w lutym 1987 r., policja przeprowadziła akcję, która okazała się być ostatecznym ciosem dla Action Directe. Władze zaoferowały nagrodę w wysokości 180 000 dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania liderów ugrupowania. Najwyraźniej pokusa była zbyt wielka; 21 lutego policja uderzyła na samotną farmę w pobliżu Orleanu i aresztowała czworo z pozostałych pięciorga przywódców Action Directe - Rouillana, Menigon, Aubrona oraz Georgesa Cipriani. Ostatni lider grupy pozostający na wolności, Max Frerot, został schwytany w listopadzie 1987 r., po strzelaninie na parkingu w Lyonie. W tamtym okresie obydwa skrzydła grupy - międzynarodowe i narodowe - straciły wszystkich zwolenników. Pomimo iż na początku wielu działaczy popierało techniki działań bezpośrednich, takie jak udzielanie pomocy squattersom oraz tureckim robotnikom, a nawet było gotowych zaakceptować napady na banki, jako sposób na osiągnięcie zmian, to jednak coraz bardziej zrażała ich ekstremalna przemoc, będąca ulubionym sposobem działania przywódców Action Directe. Niezależnie od głębokiego zakorzenienia w politycznej historii Francji, idee Action Directe straciły siłę oddziaływania po wejściu europejskiego komunizmu w okres kryzysu, którego skutkiem był upadek bloku wschodniego po 1989 roku.

1987 główni członkowie Action Directe, Jean-Marc Rouillan, Nathalie Ménigon, Joëlle Aubron oraz Georges Cipriani, zostali aresztowani, a później skazani na dożywocie. Spośród nich jedynie Joëlle Aubron została zwolniona w 2004 ze względu na kłopoty ze zdrowiem (zmarła w marcu 2006). Nathalie Ménigon została warunkowo zwolniona ze względu na stan zdrowia w sierpniu 2008 roku. Pozostali skazani nadal przebywają w więzieniu; sami uznają się za więźniów politycznych. Wielu przedstawicieli francuskiej skrajnej lewicy uważa, że powinni oni zostać ułaskawieni.

ARESZTOWANIE NATHALIE MÉNIGON

WEHRSPORTGRUPPE HOFFMANN

Wehrsportgruppe Hoffmann" (grupa paramilitarna Hoffmanna) to skrajnie prawicowa organizacja działająca na terenie Niemiec. Utworzył ją w 1973 roku neonazista Karl-Heinz Hoffmann. Grupa uprawiała walkę zbrojną i uważała się za czołowego bojownika w walce z demokratycznym systemem RFN. Jako główna kwatera służył organizacji najpierw zamek Almoshof w Norymberdze, a od 1978 zamek Ermreuth w pobliżu Neunkirchen am Brand. WSG Hoffmann była organizacją paramilitarną, według własnego określenia „ochotniczą jednostką zorganizowaną na zasadach militarnych". Członkostwo w grupie było przyznawane dopiero po pozytywnym rozpatrzeniu aplikacji, po zakończonej „kontroli bezpieczeństwa" i po „dłuższym okresie próbnym". Członkowie musieli się podporządkować zorganizowanej „edukacji woli". Sam Hoffmann był jedynym „organem edukacji woli" i miał nieograniczoną władzę. Organizacja i działalność WSG rozciągała się aż poza granice Bawarii. Utrzymywano kilka grup lokalnych, np. Sturmabteilung 7 (7 Grupa Ataku) we Frankfurcie. Hoffmann sam udzielał wskazówek towarzyszom w Bonn, Kolonii i Tybindze. Od stycznia 1979 Hoffmann wydawał „Gazetę dowództwa" dla europejskich ochotników. WSG prezentowała się ideologicznie jako siła polityczna odrzucająca demokrację i jej reprezentantów; widząc siebie jako czołówkę przyszłego przewrotu. W pierwszym manifeście Ruchu na rzecz urzeczywistnienia racjonalnej pragmatycznej hierarchii socjalnej Hoffmann sformułował 19 podstawowych zasad. I w nich przyznawał, że stracił wszelkie zaufanie do dotychczas istniejących na świecie ideologii, oraz form państwowych i gospodarczych. Jako konsekwencji żądał radykalnej zmiany kompletnej struktury we wszystkich obszarach. Istniejący system miał być zastąpiony przez strukturę władzy (Führerstruktur) zorganizowaną na zasadach dokonań i selekcji - władza powinna być w rękach małej elity. W tej „formie państwa służącej wspólnocie narodowej" członkowie rządu mieli być anonimowi, związki zawodowe i kościoły pozbawione jakiejkolwiek siły.

WEHRSPORTGRUPPE HOFFMANN

WSG Hoffmann finansowała się z darowizn. Dla tego celu w 1976 Hoffmann założył Freundeskreis zur Förderung der Wehrsportgruppe Hoffmann (Koło przyjaciół do wspierania WSG H). Cel tego koła opisał jego prezydent Bruno Weigand następująco: „WSG H ma oddziały w wielu miastach Niemiec i Austrii, utrzymuje kontakty z wieloma podobnymi zrzeszeniami. Ze względu na wielkość przedsięwzięcia WSG H potrzebuje środków finansowych, które przekraczają możliwości pojedynczych osób. Z tego powodu „Koło przyjaciół WSG H" podjęło się zadania organizacji środków pieniężnych potrzebnych do utrzymania i powiększania WSG H". Na pytanie w parlamencie bawarskim w marcu 1978 o finansowanie grupy rząd Bawarii potwierdził, że WSG H utrzymywana jest z datków około 400 osób i stwierdził, że nie widzi możliwości powstrzymania tych dotacji. Reinhard Opitz, Anette Linke i dwa kolektywy autorskie twierdzą, że także Gerhard Frey (publicysta, biznesmen i polityk) był członkiem tego „koła poparcia" - nie można tego jednak potwierdzić, nazwisko Freya nie pojawia się na zaproszeniach koła i nigdy nie był na żadnej oficjalnej liście członkowskiej. Frey zapłacił jednak 1977 karę pieniężną za Hoffmanna (8000 marek). Członkowie WSG H w wielu przypadkach w tym czasie pracowali jako ochrona na imprezach DVU (Deutsche Volksunion, niemiecka partia neonazistowska).

Członkowie WSG H często byli zatrudniani również jako ochrona na innych imprezach skrajnej prawicy. Często dochodziło do starć z ich udziałem, jak np. 4 grudnia 1976 w trakcie imprezy skrajnie prawicowego koła studenckiego na uniwersytecie Bernarda Karla w Tybindze. Doszło do starcia pomiędzy siłami porządkowymi WSG H i anty-demonstrantami. Wielu z tych demonstrantów zostało zranionych i trafiło do szpitala. Członkowie grupy brali również udział w obchodach na cześć Hitlera organizowanych przez Aktionsfront Nationaler Sozialisten/Nationale Aktivisten (ANS/NA) 22 lipca 1978 w Lentföhrden. Doszło tam do starcia między policją i neonazistami. Zresztą wielu członków WSG H było wcześniej aktywnych w Wiking-Jugend, a sama WSG Hoffmann była inspiracją dla innych podobnych ideologicznie grup, np. WSG Werwolf, założoną przez Michaela Kühnen.

W styczniu 1980 roku minister spraw wewnętrznych Gerhard Baum wydał zakaz działalności grupy, której skonfiskowano kilka ciężarówek broni, amunicji i materiałów propagandowych. Bojówka liczyła ok. 400 członków.

Niespełna osiem miesięcy później na słynnym Święcie Piwa - Oktoberfest w Monachium - eksplodowała bomba. Zginęło 13 osób, wśród nich zamachowiec, 21-letni student Gundolf Köhler. Dwieście trzynaście osób zostało rannych. Jak się później okazało Köhler był aktywistą Wehrsportgruppe Hoffmann. Ani jemu, ani innym członkom grupy nie zdołano jednak udowodnić czynu. Zamach nie jest wyjaśniony do dzisiaj. W grudniu tego samego roku inny członek WSG Hoffmann, niejaki Uwe Behrendt, zastrzelił w Erlangen żydowskiego wydawcę Shlomo Levina i jego towarzyszkę życia Friedę Poeschke. Po morderstwie Uwe Behrendt zbiegł za granicę i ostatecznie osiadł w Libanie. Tam, wraz z Hoffmannem zaczęli budować podobnie zorganizowaną grupę. Hoffmann utrzymywał dobre kontakty z PLO - poprzez organizację Unified Security Apparatus pod przywództwem Abu Ijad'a otrzymali nawet do dyspozycji część terenu obozu PLO Bin Hassan. Celem libańskiego odłamu WSG-Ausland (WSG-Zagranica) było szkodzenie państwowemu porządkowi RFN akcjami terrorystycznymi, żeby przygotować grunt pod dyktaturę.

Wśród „swoich" Hoffmann zapewnił sobie uznanie. Urósł w środowisku neonazistowskim do rangi idola. Do dzisiaj wygłasza mowy na spotkaniach neonazistów. Zdaniem badacza neonazizmu, naukowca z Düsseldorfu Fabiana Virchowa, Hoffmann jest „częścią środowiska, w którym użycie przemocy nie jest żadnym tabu". Niektórzy z nich, tacy jak Odfried Hepp, planowali zbrojne odbicie z więzienia w Spandau osadzonego tam zastępcy Hitlera, Rudolfa Hessa. Choć była to czysta fantazja, neonazistowski charakter grupy WSG Hoffmann, wśród której było sporo członków partii NPD i DVU, nie budzi wątpliwości. Organizacja ta została zdelegalizowana 30 stycznia 1980 roku. Inne, jak założona przez Michaela Kühnena podobna grupa Wehrsportgruppe Werwolf, były znacznie mniejsze i miały dużo mniejsze znaczenie. 16.6.1981 Hoffmann został aresztowany na lotnisku we Frankfurcie. Oskarżony został pod wieloma zarzutami: fałszerstwa pieniędzy, okaleczenia, oraz wykroczeń przeciwko ustawom o broni i materiałach wybuchowych. W 1984 został skazany na 9 lat i 6 miesięcy przez sąd w Norymberdze-Fürth. Ze względu na dobre prowadzenie i „korzystną prognozę socjalną" uwolniony w 1989 roku. W międzyczasie WSG stała się legendą sceny neonazistowskiej - na przykład istnieją koszulki z portretem „szefa", jak Hoffmann sam się nazywał chcąc kopiować Ernsta Röhma.

REWOLUCYJNA ORGANIZACJA 17 LISTOPADA

Epanastatiki Organosi 17 Noemvri (grec.: Επαναστατική Οργάνωση 17 Νοέμβρη), często używająca skrótu 17N, N17 to grecka marksistowska organizacja terrorystyczna powstała w 1973 roku. Organizacja za swojego przeciwnika uważała rząd Grecji, Stany Zjednoczone oraz Turcję (domagała się usunięcia wojsk tureckich z terenu Cypru) a także organizacje międzynarodowe - Unię Europejską i NATO. Powstanie grupy kojarzone jest najczęściej z wydarzeniami 14-17 listopada 1973, kiedy na Politechnice Ateńskiej doszło do wystąpień studenckich, skierowanych przeciwko rządzącej wówczas w Grecji juncie wojskowej. Część uczestników protestu, identyfikujących się, jako marksiści powołało do życia organizację, która podjęła działania z użyciem przemocy, skierowane przeciwko instytucjom rządowym i korporacyjnym, a także przeciwko osobom związanym z rządzącym establishmentem.

Pierwszym atakiem, przeprowadzonym przez organizację był zamach na Richarda Welcha - agenta CIA, działającego w Atenach. Welch został zastrzelony w pobliżu swojej rezydencji, przez czterech zamaskowanych sprawców. Kolejnym zamachem był atak na szefa greckiej policji Evangelosa Malliosa (grudzień 1976). W styczniu 1980 ofiarą zamachu padł wiceszef oddziałów prewencyjnych greckiej policji Pantelis Petrou i jego kierowca.

Ataki organizacji zawieszono tuż przed wyborami parlamentarnymi w październiku 1981, które przyniosły sukces partii PASOK, kierowanej przez Andreasa Papandreu. Kolejny zamach

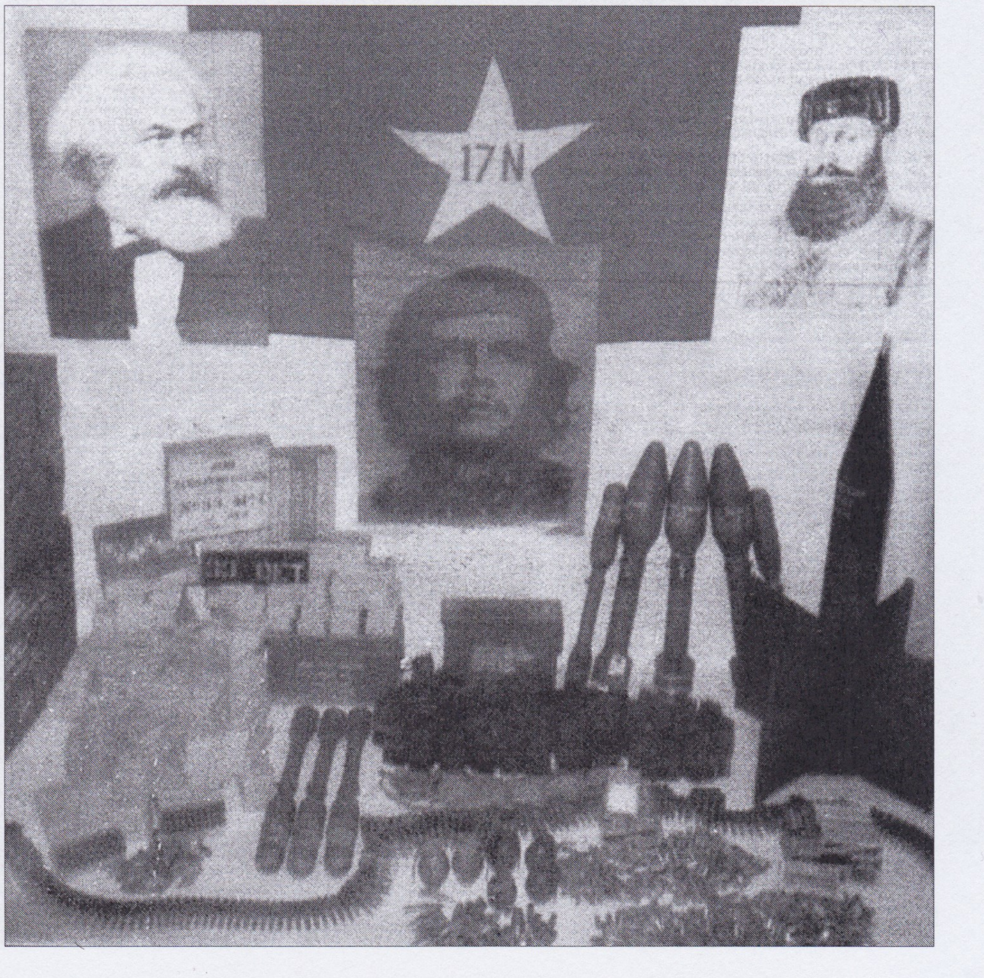

przeprowadzono w listopadzie 1983, kiedy zginął zastępca szefa amerykańskiej misji wojskowej w Grecji - George Tsantes. Zamach miał być odpowiedzią na decyzje Papandreu o przedłużeniu zgody na funkcjonowanie amerykańskich baz wojskowych na terytorium Grecji. W 1985 zginął w zamachu prawicowy dziennikarz Nikos Momferatos. Proklamacja pozostawiona przez N17 przy zamordowanym dziennikarzu oskarżała go o współpracę z CIA. Rok później przeprowadzono zamach na przemysłowca Dimitrisa Angelopoulosa. Nasilenie ataków, przeprowadzanych przez N17 miało miejsce w latach 1988-1989. We wrześniu 1989 zginął deputowany Nowej Demokracji Pavlos Bakojannis, w przeszłości uznawany za jednego z najodważniejszych dziennikarzy, występujących przeciwko reżimowi czarnych pułkowników. Do listy amerykańskich ofiar N17 dołączył kpt William Nordeen, attaché wojskowy, którego samochód spłonął w wyniku ataku bombowego i sierżant U.S. Air Force- Ronald O. Stewart. Na liście ofiar N17 znaleźli się także obywatele Turcji - Çetin Görgü (attaché prasowy ambasady tureckiej) i Ömer Haluk Sipahioğlu (radca ambasady tureckiej).

Organizacja 17 listopada przeprowadzała większość zamachów przy użyciu pistoletów samopowtarzalnych M1911, a także przeprowadzając klasyczne ataki bombowe. Od 1988 w arsenale organizacji pojawiły się ręczne granatniki przeciwpancerne. Przy ich użyciu zaatakowano w listopadzie 1990 opancerzoną limuzynę armatora Wardisa Wardinogiannisa, a wkrótce potem dokonano ataku na autobus przewożący policjantów. W wyniku zamachu zginął oficer policji, a 14 funkcjonariuszy zostało rannych. Działaczom N17 przypisuje się dokonanie 103 ataków na obiekty i osoby identyfikowane jako amerykańskie, brytyjskie, tureckie, ale także greckie. Lista ofiar organizacji liczy 23 osoby. Ważną rolę w działaniach N17 odgrywały ataki na banki. 11 napadów na banki przyniosło organizacji zysk w wysokości 3,5 mln USD, które miały być przeznaczone na cele organizacji.

Bezradna wobec działań N17 policja grecka osiągnęła znaczący sukces dopiero 29 czerwca 2002, kiedy po nieudanym zamachu został zatrzymany Sawwas Xiros. Przesłuchanie Xirosa i przeszukanie domów, w których się ukrywał doprowadziło do aresztowania kolejnych sześciu podejrzanych, w tym dwóch braci Xirosa. 17 lipca 2002 na wyspie Lipsi aresztowano Aleksandrosa Giotopoulosa (byłego studenta matematyki), zidentyfikowanego przez policję jako przywódca grupy. 5 września 2002 oddał się w ręce policji Dimitris Koufodinas, odpowiedzialny za operacje przeprowadzane przez N17.

Proces podejrzanych o działalność terrorystyczną rozpoczął się 3 marca 2003 w Atenach. Z uwagi na przedawnienie sąd nie brał pod uwagę czynów popełnionych przed 1984. Wyrok zapadł 8 grudnia 2003. Piętnastu oskarżonych uznano za winnych, pozostałych czterech zostało uniewinnionych z powodu braku dowodów. Przywódców organizacji - Giotopoulosa i Koufodinasa skazano na karę dożywotniego więzienia, ale w apelacji kary zostały zmniejszone.

Za kontynuację N17 jest uważana organizacja Walka Rewolucyjna, która przeprowadziła atak przy użyciu granatnika przeciwpancernego na amerykańską ambasadę w Atenach w styczniu 2007 roku.

FRONT WYZWOLENIA BRETANII

Front de Liberation de la Bretagne, FLB, po bretońsku Talbenn Dieubiñ Breizh, TDB to paramilitarna organizacja terrorystyczna we francuskiej Bretanii działająca w latach 60. i na początku 70. Organizacja została założona w 1964 r. przez najbardziej skrajną część bretońskich nacjonalistów. Jej celem było „wyzwolenie Bretanii od Francji" za pomocą aktów terrorystycznych. Do pierwszego ataku doszło w czerwcu 1966 r., kiedy został wysadzony urząd podatkowy w St. Brieux. Członkowie FLB podrzucili też pismo informujące, że zamierzają prowadzić kampanię zbrojną przeciwko „okupacyjnym symbolom Bretanii". W następnych latach miały miejsce liczne ataki, głównie bombowe, przeciwko gmachom administracji rządowej, liniom przesyłowym i transformatorom prądu, koszarom policyjnym i pomnikom upamiętniającym francuską obecność w Bretanii. FLB nie stosowało natomiast przemocy fizycznej przeciwko funkcjonariuszom państwa francuskiego. W międzynarodowym środowisku terrorystycznym uzyskali miano „uśmiechniętych terrorystów". Szczyt kampanii przemocy przypadł na 1968 r. Rok później doszło do wielu aresztowań bojowników FLB. W 1971 r. reszta członków organizacji przemianowała się na Rewolucyjną Armię Bretońską.

Terroryzm pro-rządowy

Oprócz grup walczących z państwami, rządami czy systemem pojawiły się tajne organizacje terrorystyczne, które wspierały działania rządu lub polityków i miały pozwolenie, oczywiście tajne, na swoją działalność. Często zamieszani w ich działalność byli wysoko postawienie urzędnicy państwowi i wojskowi.

ORGANIZACJA TAJNEJ ARMII

OAS czyli Organisation de l'Armée Secrète to francuska skrajnie prawicowa grupa terrorystyczna działająca w latach 1961-62. Została założona w lutym 1961 roku w Madrycie. Jej liderem był generał Raoul Salan będący jednym z liderów nieudanego puczu z kwietnia tego samego roku. Głównym celem Organizacji Tajnej Armii było

powstrzymanie procesu dekolonizacji imperium francuskiego (ze szczególnym uwzględnieniem obszaru Algierii). Organizacja skupiała w swoich szeregach nielegalne organizacje skrajnej prawicy skupiające wojskowych i osadników z Algierii. Członkowie grupy przeprowadzili szereg zamachów bombowych i morderstw na terenie Francji i Algierii. Obiektem nieudanego zamachu był między innymi prezydent Charles de Gaulle. Już po ogłoszeniu niepodległości przez Algierię, w lipcu 1962 roku przeprowadziła serię zamachów w Oranie. Fala terroryzmu w wydaniu OAS sprowokowała oddziały regularnej armii algierskiej i cywilnych Algierczyków do ataków na pozostałych w kraju Francuzów. Akty przemocy doprowadziły do masowego (z kraju wyjechało 900 tysięcy osób) exodusu ludności francuskiej z terenów byłej kolonii. Wraz z exodusem Francuzów z Algierii doszło do przeniesienia struktur Organizacji Tajnej Armii do Francji gdzie jeszcze w tym samym roku została ona rozbita w wyniku działań francuskich służb. Członkowie rozbitej grupy zmienili nazwę na Komitet Ruchu Oporu i przenieśli swoje działania na obszar Europy. Na czele Krajowego Komitetu Ruchu Oporu stanął Georges Bidault. Także ta grupa zaprzestała działalności, spowodowane było to jej rozbiciem przez policję w połowie lat 60. Jeden z terrorystów OAS, Georges Watin, był prawdopodobnie pierwowzorem postaci Szakala z powieści Fredericka Forsytha.

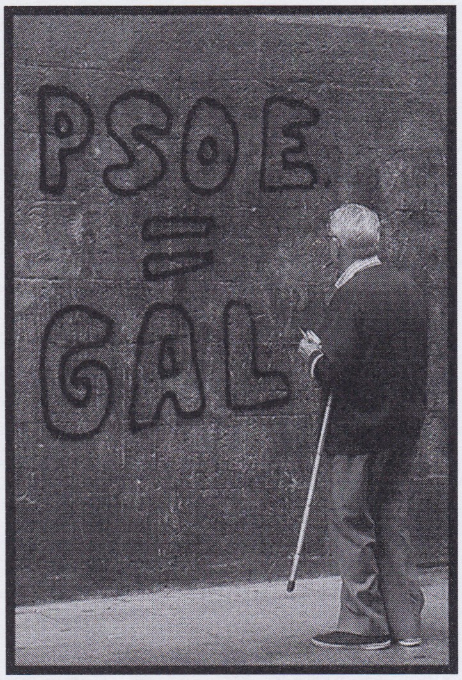

ANTYTERRORYSTYCZNE GRUPY WYZWOLENIA

Grupos Antiterroristas de Liberación, GAL - jednostka specjalna paramilitarna, inaczej nazywana szwadronami śmierci, stworzona z cichym przyzwoleniem władz państwowych, w celu zwalczania ETA. Koordynowaniem tej grupy zajmowało się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Hiszpanii, które kontrolowało i finansowało działalność GAL.

GAL dokonywał zamachów na bojowników i sympatyków ETA w Kraju Basków, szczególnie po francuskiej stronie granicy. Szwadrony działały w latach 1983-1987, zamordowały w tym czasie 28 osób, w tym ośmiu niewinnych cywili, obywateli Francji. Ten okres w historii Hiszpanii często określa się mianem brudnej wojny (guerra sucia). Afera GAL wywołała burzę w Europie Zachodniej, dotyczącą łamania praw człowieka.

Na czele organizacji stanął Jean-Pierre Cherid, który zwerbował około 50 współpracowników (m.in. neofaszyści, kryminaliści, dawni żołnierze Legii Cudzoziemskiej, a także zwykli gangsterzy) i rozpoczął zwalczanie członków ETA. Trzydziestu dziewięciu jego podkomendnych zostało pojmanych przez francuską bądź hiszpańską policję i skazanych na wysokie kary więzienia. W Hiszpanii szczegóły operacji przeciekły do prasy, wywołując ogromny skandal polityczny.

Pierwsze działania GAL:

- zamordowanie Joxe Antonio Lasy i Joxe Ignacio Zabali w październiku 1983 - ich ciała odnaleziono po wielu latach, ze znamionami tortur

UMUNDUROWANE ODDZIAŁY UDA

- porwanie Segundo Mareya w 1984 r.
- wrzesień 1985 r. GAL uderzyły najpotężniej – w Bayonne, w hotelu „Monbar" zabito 4 członków ETA.

Fakt, że wysocy urzędnicy rządu socjalistycznego stworzyli i prowadzili GAL, a także domniemania, że premier Felipe González mógł być głównym szefem grupy, były podstawową przyczyną porażki PSOE w wyborach parlamentarnych w 1996 roku. Jak ujawniły procesy, będące następstwem afery, zamachów i porwań we Francji dokonywali przede wszystkim francuscy najemnicy, zatrudnieni przez Hiszpanów i finansowani z tajnych kont, zaś całym procederem kierowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wśród skazanych byli m.in.:

- José Barrionuevo, Minister Spraw Wewnętrznych
- Rafael Vera, dyrektor ds. bezpieczeństwa państwowego
- Ricardo García Damborenea, sekretarz generalny PSOE w Kraju Basków
- Francisco Álvarez, szef Oddziałów Antyterrorystycznych
- Miguel Planchuelo, szef Brygady Wywiadowczej Bilbao
- José Amedo, podkomisarz policji

Wedle źródeł baskijskich, w latach 1975-1995 nielegalne grupy zbrojne wspierane przez policję i wywiad Hiszpanii dokonały 725 ataków przeciw Baskom, zabijając 67 osób, a z górą 200 raniąc. Przed GAL istniały w Hiszpanii też inne antyterrorystyczne grupy, które sięgały po terror (przede wszystkim za dyktatury Franco: Triple A (Potrójne A), Batallón Vasco Español (BVE, Hiszpański Batalion Baskijski), Comandos Antimarxistas (Komando Antymarksistowskie), Grupos Armados Españoles (Zbrojne Grupy Hiszpańskie) czy Antiterrorismo ETA (ATE).

STOWARZYSZENIE OBROŃCÓW ULSTERU

Ulster Defence Association, UDA, działające także pod nazwą Ulster Freedom Fighters (UFF) – organizacja paramilitarna, założona przez północnoirlandzkich lojalistów, w celu walki z IRA oraz utrzymania zależności Irlandii Północnej od Wielkiej Brytanii. Razem z innymi protestanckimi organizacjami paramilitarnymi UDA odpowiedzialne jest za śmierć ponad 3000 osób na terenie Irlandii Północnej. Organizacje te przez długi czas były kontrolowane i używane przez brytyjski rząd centralny w celu eliminacji fizycznej bojowników IRA.

ODDZIAŁY OCHOTNIKÓW Z ULSTERU

Ulster Volunteer Force (UVF) – organizacja paramilitarna, stworzona w 1966 i działająca nadal wśród północnoirlandzkich protestantów. Organizowała zamachy terrorystyczne wymierzone w katolickich mieszkańców Irlandii Północnej.

Tych grup działających przy pomocy terroru było w Europie dość dużo. Na pewno trzeba tu wspomnieć jeszcze o Armii Wyzwolenia Kosowa (UÇK) czy choćby o Combat 18, który obecnie ogranicza się głównie do działalności w sieci. Na koniec chciałbym wam przedstawić jeszcze dwie grupy. Jedną dość oryginalną, drugą rodzimą...

COMITÉ RÉGIONAL D'ACTION VITICOLE

CRAV, Regionalny Komitet Akcji Winiarskiej – to dość oryginalna francuska radykalna grupa zrzeszająca winiarzy, aktywna głównie w południowym regionie Langwedocja-Roussillon, najbardziej dotkniętej przez globalizację rynku wina i jego nadmierną produkcję. Przyznała się do licznych ataków na przedsiębiorstwa sprzedające importowane wina, włącznie z podłożeniem bomby w sklepie spożywczym, winiarni, dwóch biurach ministerstwa rolnictwa, porwaniem cysterny i zniszczeniem dużych ilości niefrancuskiego wina. Żądania CRAV zazwyczaj były niemożliwe do spełnienia w świetle francuskiego i europejskiego prawa, gdyż oznaczałyby zaburzenie działania rynku i wspólnej polityki rolnej UE. Grupa żądała zwiększenia opłat celnych na zwiększający się import hiszpańskich i włoskich win, oraz uproszczenia procedur biurokratycznych związanych z produkcją win rodzimych. CRAV za zadanie stawia również zwalczanie popytu na import win z Nowego Świata – głównie australijskich, chilijskich i amerykańskich. 17 maja 2007 grupa wypuściła do sieci film, w którym groziła rozlewem krwi w wypadku niepodjęcia przez ówczesnego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego działań w kierunku podniesienia ceny wina. W 2009 roku CRAV kontynuowała swą działalność m.in. podpalając i podkładając bomby w budynkach importerów zagranicznych alkoholi.

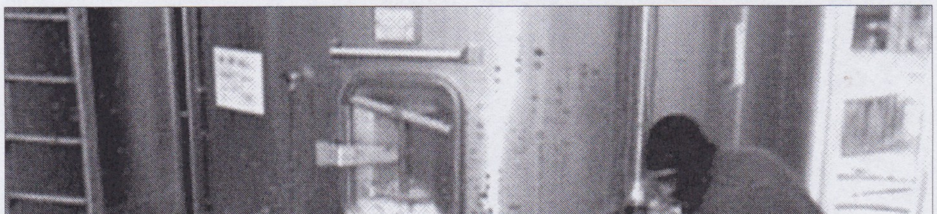

COMITÉ RÉGIONAL D'ACTION VITICOLE W AKCJI

POWSTAŃCZA ARMIA KRAJOWA

PAK znana była także jako Druga Kadrowa lub Siły Zbrojne Polski Podziemnej – organizacja konspiracyjna stawiająca sobie za cel zniesienie stanu wojennego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz uwolnienie więźniów politycznych. Na czele grupy odpowiedzialnej za atak na ambasadę PRL w Szwajcarii stał Florian Kruszyk. W 1969 roku Florian Kruszyk będący ściganym w Polsce listem gończym udał się do jednej z placówek RFN w Austrii, prosząc o azyl polityczny, twierdząc, że należy do podziemnej organizacji wojskowej działającej w Polsce. Nie wiadomo, czy władze Niemiec uwierzyły w wersję wydarzeń przedstawioną przez Polaka. Niewiele po próbie uzyskania azylu Kruszyk wziął udział w napadzie na jednego z wiedeńskich jubilerów, za co został skazany na 9 lat pozbawienia wolności. Po wyjściu na wolność zamieszkał legalnie w Holandii, gdzie starał się o założenie Komitetu do spraw Ochrony Praw Człowieka w Polsce, który miał wspierać opozycję.

ARESZTOWANIE TERRORYSTÓW W BERNIE

W 1981 roku otworzył on w Hadze restaurację chętnie odwiedzaną przez Polaków, gdzie starał się ich nakłonić do założenia organizacji wojskowej. Ostatecznie szóstego września 1982 roku wraz z grupą Polaków wtargnął do placówki PRL w Bernie.

W 1981 roku, po wprowadzeniu stanu wojennego w Grodzisku Mazowieckim powstała organizacja stawiająca sobie za cel walkę z reżimem oraz zniesienie stanu wojennego w Polsce. 18 lutego w trakcie nieudanej akcji rozbrojenia funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej doszło do szamotaniny, po której jeden z członków organizacji Robert Chechłacz oddał strzał do starszego sierżanta Zdzisława Karosa, który w efekcie zmarł 23 lutego w szpitalu.

W 1982 roku członkowie PAK-u zajęli ambasadę PRL w Szwajcarii. Ostatecznie akcja zakończyła się niepowodzeniem. W trakcie zamachu Florian Kruszyk używał pseudonimu „pułkownik Wysocki", którego zastępcą był Krzysztof Wasilewski „Kaczor". W akcji brali również udział Mirosław Plewiński „Sokół" oraz Marek Michalski „Ponury". Ostatecznie sąd w Szwajcarii skazał Floriana Kruszyka na karę 6 lat pozbawienia wolności.

Do dziś nie wiadomo, ile liczyła dokładnie Powstańcza Armia Krajowa. Florian Kruszyk do końca utrzymywał, że organizacja liczy około trzech tysięcy żołnierzy oraz posiada zaplecze na terenie Albanii, co może potwierdzać jedno z ostatnich żądań PAK-owców o transport do Albanii. Do dziś żadne z tych przypuszczeń nie potwierdziły się, dlatego też wielu ekspertów uznaje Powstańczą Armię Krajową za organizację terrorystyczną. Od działań grupy odpowiedzialnej za strzelaninę i śmierć Zdzisława Karosa odcięły się inne ugrupowania opozycyjne działające wtedy w Polsce.

Oprac. Pablo

GORĄCE ŹRÓDŁA I WODA Z LODOWCA

Islandia - piękny kraj zapierający dech w piersi. Godzinami można by ją opisywać. Wulkany, gejzery, wodospady, lawa i gorące źródła. Szokujące krajobrazy, tak mroczne, że ludzie mieszkający na tej wyspie, przyzwyczaili się do popołudniowej kawy puszczać black metal, a doom metal to kołysanka dla ich dzieci. Imiona nadawane autochtonom najczęściej wiążą się z mitologią nordycką. Ja pracowałam z Oidynem Olafssonem, czy Ertną Emirsdottir.

Na tym poprzestają rodowici mieszkańcy. Na początku ich mała osada, rozwijała się spokojnie i z dala od innych do momentu, kiedy nastąpiło mieszanie się genów i rodzenie zmutowanych dzieci. Nastał strach. Wtedy otworzono granice dla wielu. Dziś na ulicach można zobaczyć dzieci grenlandzkich Eskimosów, angolskie handlarki, tajskie opiekunki z domów dla starców, no i pracującą na zmywakach, wschodnią Europę. Są też uchodźcy, zaproszona liczba rodzin, wymierna do innych mniejszości narodowych. Podczas mojego pobytu, miała miejsce pewna tragedia przy najbardziej obleganych wodospadach, Gulfoss. Ktoś spadł. Ponoć nie dostał domu, o który starał się już bardzo długo, jako uchodźca. Czy to kwestia wypadku czy samobójstwa, nie wiadomo. Ja te wodospady odwiedziłam po tygodniu od tego zdarzenia, ale jakby nigdy nic się tam nie stało. Gazety podawały już tylko wybiórcze informacje.

Islandia to kraj luterańskiego wyznania. Wieś oddalona o 300 km od najbliższego miasta, między fiordami, górami i oceanem, sklepu nie będzie miała, a kościół będzie. I to, że przodkowie przepłynęli oceany by plądrować i zabijać, w niczym nie przeszkadza. Choć to Świadkowie Jehowy są najbardziej aktywnie spotykającą się grupą wyznaniową na dziś dzień. Wracając do oszałamiającej natury tej wyspy, należy wspomnieć o jej ekologicznych rozwiązaniach. Ciepło do domów i mieszkań prowadzone jest z termalnych źródeł, więc również gorący prysznic można brać godzinami, albo po prostu długo. Rachunki za wodę są zawsze takie same nie ważne, ile się zużyje, zawsze jest drogo. Temperatura wody osiąga 50 stopni. Natomiast zimna, zero. Jest wodą z lodowca. Najbardziej czysta woda z możliwych. Nie zawiera po prostu nic. Można nią spokojnie przemywać rany, zamiast wody utlenionej. Korzystanie ze złóż naturalnych to wynik chytrości, a nie dbałości o naturę. Każdy pracujący Islandczyk ma samochód, a co trzeci monster trucka na olbrzymich kołach. Wystawiany na ulice nawet latem, spalający olbrzymie ilości ropy, smok. Kwestia ego. W końcu mieszkańcy żyją na wyspie, a emisja dwutlenku węgla nie sprawia im kłopotu. Wiatr rozwiewa, co trzeba, więc problemu nie ma. Import warzyw z Holandii jest na pierwszym miejscu, a gnijące na półkach produkty to widok powszedni. Restauracje czy jedzenie z mikrofalówki, to również część tradycji. Oczywiście turyści mogą spróbować mięsa wieloryba i maskonura, kiedy najdzie ich ochota, najczęściej zaraz po tym, gdy 30 minut wcześniej podziwiali te zwierzęta w naturze, zachwycając się w niebogłosy. W obrębie Islandii można spotkać około 20 gatunków wielorybów, najczęściej fiszbinowce np. humbaki. Lubią pokazywać się w całej okazałości, wyskakując z wody, bądź machając ogonem. Są też zębowce np. delfiny. Poza tym świat zwierząt zmniejsza się do wielkości lisa arktycznego, a później do jeża i norki. Szczur żyje tylko w portach, a myszka w przydomowych pomieszczeniach na śmieci.

Islandia jest krajem młodym. W 1944 referendum z frekwencją 98,6% wykazało, iż 97% głosujących opowiedziało się za zerwaniem unii z Danią i powstaniem Republiki Islandzkiej. Na przełomie 64

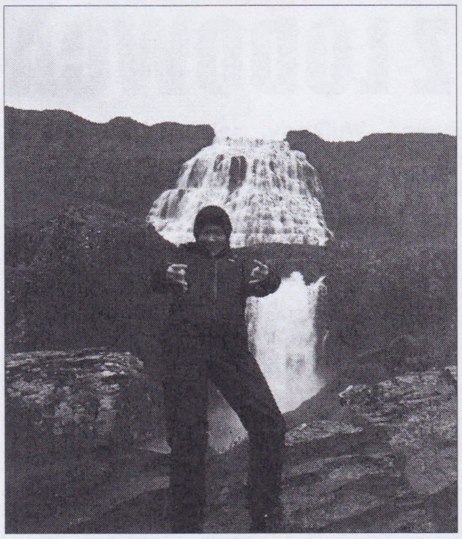

lat zdążyli wpaść w kryzys, a przez kolejne dziesięć lat wybić się na pozycję kraju dającego pracę i możliwości przyjezdnym z Europy Wschodniej i nie tylko. Gałąź przemysłu turystycznego obrzydliwie się rozrosła aż do tego stopnia, gdy obecnie na jednego mieszkańca wyspy przypada 5 turystów, a ceny w kraju skoczyły niewyobrażalnie szybko w górę. Każdy krok to fabryka zarabiania na turystach, a miejsca piękne, w których człowiek mógł odpocząć kontemplując, zamieniły się w taśmowe ich zwiedzanie. Dlatego z pracą w tym kraju nie ma problemu. Restauracje czy hotele, wciąż poszukują ludzi na stanowiska. Nie mogą ich natomiast ulokować. W największym mieście Reykjavik, wciąż brakuje mieszkań. Częstym zjawiskiem jest dzielenie się w 10 osób, skrawkiem podłogi. Mieszkanie dla 3 osobowej rodziny kosztuje miesięczną wypłatę i to wcale nie w centrum miasta, a na jego obrzeżach. Miałam szczęście dzielić pomieszczenie piwniczne jeszcze z jedną osobą. Kuchni nie było, za to była łazienka i gorący prysznic, który brałam każdego dnia, wracając przemarznięta do domu. Przy upalnej pogodzie letniej, wiatr arktyczny nie odpuszcza. Rwie ciało, dostając się do kości i siedzi tam do momentu, kiedy nie wyrzucisz go pod 50 stopniowym strumieniem gorącej wody, najczęściej dopiero po 15-stej minucie, okazuje się to skuteczne.

Ewidentny brak zainteresowania innymi, wielka tożsamość i duma narodowa, tworzą dziwną więź między Polakami a Islandczykami. Już w 60 latach nasi rodacy, liczebnie wyjeżdżali do Islandii, aby budować tamtejsze drogi. To wtedy zawieźli tam wafelek Prince Polo, który od tamtej pory, stał się ich symbolem narodowym. Już od tamtych lat tworzona mniejszość polska na tej wyspie, stała się dzisiaj najbardziej liczną. Najwięcej przestępstw kryminalnych w Islandii, popełnianych jest właśnie w kręgach polskich lub grenlandzkich. Osobiście byłam rzucić okiem na lokalne więzienie, rozmiarów małego hotelu w angielskim stylu z większą bramą wjazdową i ogłoceniem, robiło wrażenie bardziej niepotrzebnego miejsca. Można zdecydowanie stwierdzić, że to, co dzieli nas od Islandczyków to brak ich chęci do bójki, a bardziej olewające podejście do sprawy. Luźny układ międzyludzki. Gwałtów nie ma, bo seks nie jest tabu tylko wymianą przyjemności, a knajpy dla homoseksualistów nie istnieją nie dlatego, że ich nie ma, ale dlatego, że nikt nigdy nie miał zamiaru oddzielać się od reszty.

Należałoby wspomnieć o punk rocku, ale jak mi wiadomo, umarł. Dziś już pozostały jedynie nagrania z muzeum punk rocka na głównej ulicy Reykjaviku. Oczywiście dzieją się koncerty, ale to jedynie namiastka tego, co było. Miałam okazję wziąć udział w pewnym benefitowym wydarzeniu. Spotkanie miało charakter popołudniowej schadzki w prywatnym ogródku. Postawiony grill, na którym ciągle lądowały warzywa, wyłowione poprzedniej nocy ze śmietnika. W piwnicy czyjegoś domu, odbyły się szybkie dwa koncerty, a koło godziny 20.00 wszystko dobiegło końca. Wejściówka była tania, około 15 złotych, ale płacona do kasy musiała być wbita na czytnik, za co otrzymywało się paragon. Cały dochód szedł na zorganizowanie punx pikniku w najmniejszej z możliwych mieścin, na odległej północy. Tam dotarłam w wyborowym towarzystwie, natomiast ku naszemu zdziwieniu, bilety były wyprzedane online, bez możliwości zakupienia ich w dniu koncertów. Jedzenie tylko dla kapel, a miejsca parkingowe ograniczone, dlatego też ściśle związane z ilością sprzedanych biletów. Mieścina posiadała trzy domy na krzyż, jedną restauracjo-muzeum-sklepiko-pocztę oraz świetlicę, gdzie odbyła się zabawa. No nie dane nam było ocenić uchem i nóżką, znakomitości tych występów. Za to spotkało nas jeszcze parę przygód z nieistniejącymi gorącymi źródłami i czajnikiem, a to już sentymentalne wspomnienia wtajemniczonych... Takk fyrir!

Daria

POŁUDNIOWA AFRYKA – KRAINA KONTRASTÓW

Dopiero co wychodziliśmy z domu w Warszawie, a jakby po chwili siedzieliśmy w samochodzie przemierzającym johannesburskie ulice. Od momentu podjęcia decyzji o wyjeździe i kupienia biletów minęło tak mało czasu, że zdawać by się mogło, że w Afryce znaleźliśmy się nagle i niespodziewanie. Nawet podróż przez Londyn przebiegła zaskakująco sprawnie i szybko. Przyzwyczajeni do kilkudziesięciogodzinnych połączeń z kilkoma przesiadkami, piętnastogodzinny pobyt w samolotach i na lotniskach przyjęliśmy jak przejazd taksówką na drugi koniec miasta. Nie było więc po co tracić czasu na odpoczynek, od razu przystąpiliśmy do zasadniczej części naszej wyprawy, czyli poznawania Republiki Południowej Afryki. Endi

TOWNSHIP REBELLION

W pierwszej kolejności wybraliśmy się do Soweto, biorącego swoją nazwę od pierwszych dwóch liter każdego ze słów angielskiego South Western Townships. Południowo-Zachodnie Osiedla, zostały utworzone na początku XX wieku, jako miejsce zamieszkania czarnej ludności – robotników i górników pracujących w okolicznych kopalniach i pracowników zapewniających obsługę Johannesburga, którzy musieli pracować w mieście, ale nie mogli w nim mieszkać. Teraz to osobny zespół miejski z dzielnicami willowymi i enklawami biedy, zamieszkały przez co najmniej półtora miliona ludzi. Jak zapewniał nas Desmond, nasz przewodnik i mieszkaniec Soweto, wszyscy tutaj trzymają się razem, biedni z bogatymi.

Przez dzielnicę willową przejechaliśmy dość szybko, oglądając z zewnątrz posiadłości kilku lokalnych magnatów. Ciekawy kontrast zarysował się pomiędzy dwoma z nich stojącymi niedaleko od siebie. Jedna otoczona była tylko małym murkiem porośniętym żywopłotem, a poza tym otwarta na ulicę, drugą od chodnika odgradzał wysoki płot zwieńczony drutem pod wysokim napięciem. Ponoć pierwsza należała do rdzennego sowetańczyka, a druga do przyjezdnego, który zamieszkał w Soweto, gdy już był bogaty.

W Soweto jest też czterogwiazdkowy hotel. Zaparkowaliśmy pod jego budynkiem, ale przecież nie hotel był naszym celem. Znajomy Desmonda zabrał nas stamtąd na krótki spacer. Przeszliśmy przez dziurę w płocie, jakieś chaszcze i tory kolejowe. Za nimi zaczynała się dzielnica biedy, czyli osiedle domów z blachy falistej. Odwiedziliśmy miejscową szkołę, która prowadzi wiele programów mających ułatwić młodym ludziom wyrwanie się z tego miejsca. Byliśmy tam jednak tylko chwilę, bo tego dnia w osiedlu odbywała się dość duża demonstracja połączona z nielegalnym podłączaniem się do sieci elektrycznej. W pewnym momencie atmosfera zrobiła się tak gęsta, że nawet będąca na miejscu policja odjechała. Nasz przewodnik uznał, że nie jest to dobry dzień na wizytę.

Wróciliśmy więc do samochodu i osiedle obejrzeliśmy z góry, z wiaduktu przechodzącego nad nim. Jak okiem sięgnąć roztaczał się przed nami świat skrajnej biedy, o jakiej Europejczykom się nie śniło. Brak bieżącej wody, elektryczności i toalet to tylko niektóre z problemów, z jakimi na co dzień zmagają się mieszkańcy. Nawet ich domy są dla nich problemem. Blacha falista zimą nie zapewniająca żadnego ciepła, latem rozgrzewa się na słońcu do takiego stopnia, że nie sposób wejść do środka. Nic dziwnego, że miejscowi swego czasu wygwizdali i przegonili samego Nelsona Mandelę. Gdy prezydent przyjechał zabiegać o poparcie swojej reelekcji, musiał srodze się zdziwić,

że mieszkańcy wciąż czekali na spełnienie obietnic złożonych w czasie jego pierwszej wizyty.
Po drodze zaliczyliśmy, jako punkt obowiązkowy, dom Mandeli. Jak się okazuje oryginalny budynek zburzono, a w jego miejscu wzniesiono atrapę. Zrobiono to z okazji Mistrzostw Świata z 2010 roku rozgrywanych na boiskach RPA. Atrapa, oficjalnie przedstawiana jako oryginał, miała przyciągać turystów. Zadbano nawet o dziury po kulach w ścianach budynku i ślady po pożarze – pamiątki zamachów na Nelsona Mandelę i jego żonę Winnie. Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, po co robi się takie rzeczy.
Na koniec odwiedziliśmy muzeum im. Hectora Pietersona, upamiętniające wydarzenia z 1976 roku. Wtedy to rasistowski rząd zdecydował o wprowadzeniu afrikaans, języka białych, jako wykładowego w szkołach dla czarnych. Uczniowie zbuntowali się przeciw tej decyzji i wzniecili masowe protesty. Policja odpowiedziała ogniem. Hector Pieterson był pierwszym chłopcem, który został zabity, co uchwycono na ikonicznym zdjęciu. Protesty nabierały jednak na sile i w końcu rząd musiał wycofać się ze swojej decyzji. Niestety wielu młodych ludzi musiało przypłacić to życiem.
Jednak, kto wie czy próby zmuszenia Czarnych do przejścia na afrykanerski i związane z tym protesty nie były początkiem końca apartheidu. Kolejny bunt w latach 80. również wzniecili młodzi ludzie. Był on już jednak bardziej polityczny i ukierunkowany na odzyskanie wolności. Desmond również brał udział w rodzącym się ruchu politycznym, co przypłacił zdrowiem. W Soweto w tym czasie młodzież obowiązywała godzina policyjna trwająca od 17:30 do 6:00. W czasie jej trwania biali policjanci zatrzymali chłopaka wracającego ze spotkania politycznego. Ten po wielodniowych torturach wskazał innych uczestników zebrania. Jednym z nich był nasz przewodnik, który został aresztowany, gdy miał ledwie 14 lat.
Desmond spędził w więzieniu kilka miesięcy, w czasie których musiał znosić bicie i tortury. Oprawcy szczególnie upodobali sobie jedną z nich. Na głowę Desmonda zakładali torbę foliową wypełnioną wodą, a do ust wkładali słomkę do oddychania. Jednocześnie rozpoczynali brutalne bicie. Gdy Desmond próbował jęczeć lub krzyczeć, topił się w wodzie otaczającej jego twarz. Bito go tak bardzo, że do końca życia będzie zmagał się z problemami z chodzeniem.
Zawsze bardzo ciężko mi przyjąć, że takie rzeczy działy się nie w odległej przeszłości średniowiecznych lochów, a za mojego życia, ale historia RPA i apartheidu jest jeszcze bardziej przerażająca, gdy spotyka się jej uczestników. Po takim dniu powrót do Johannesburga i wyjście do restauracji jest podróżą do innego świata.
Złą stroną drogi w góry
Rano wróciliśmy na lotnisko, tym razem jednak nie po to by lecieć, a do jednej z wypożyczalni samochodów. Włączyłem więc wycieraczki chcąc zasygnalizować zamiar włączenia się do ruchu i spróbowałem ustawić się mniej więcej na swoim pasie. W RPA nie dość, że jeździ się po złej stronie drogi, to jeszcze w samochodach wszystko jest nie tak: kierownica po prawej, kierunkowskaz

tam gdzie powinna być manetka od wycieraczek, drążek skrzyni biegów pod lewą ręką. Na szczęście szybko udało mi się przestawić, choć wycieraczki włączałem dosyć często, a i zdarzało mi się pchać na fotel Aśki dziwiąc się, że nie ma przed nim kierownicy.
Po kilku godzinach jazdy wygodnymi autostradami dotarliśmy do Kestell, małej wioski w środku kraju, i mieliśmy jeszcze trochę czasu, żeby przejechać przez park narodowy Golden Gate z pięknymi czerwonymi górami. Jednak porządną górską wycieczkę mieliśmy zaplanowana na następny dzień. Nie mogłem się jej doczekać odkąd podjęliśmy decyzję o wyjeździe.
Pobudka była dosyć trudna – w Południowej Afryce nadchodziła zima, a my spaliśmy w drewnianej chatce na wyżynie. Temperatura powietrza spadła do ledwie kilku stopni powyżej zera, a w naszym domku było niewiele cieplej. W końcu udało nam się zebrać i przemarznięci ruszyliśmy w kierunku Gór Smoczych.
Wędrówkę rozpoczęliśmy na parkingu przy budce strażnika Parku Narodowego Natal, będącej jednocześnie posterunkiem wojsk ochrony granicy. Naszym celem był płaskowyż, którego większą część zajmuje królestwo Lesotho stanowiące enklawę wewnątrz RPA. Nie wybieraliśmy się do samego królestwa, ale granica była niedaleko.
Trasa, poza kilkoma trudniejszymi momentami, nie była wymagająca technicznie, ale trochę kondycji wypada mieć, żeby ją przejść. Najpierw musieliśmy dojść do słynnego Sentinela, czyli Strażnika, masywnej skały, którą można zdobyć tylko ze sprzętem wspinaczkowym. Jej potęga, zwłaszcza, gdy stanąć u jej stóp, jest wręcz onieśmielająca. Od samego patrzenia w górę kręci się w głowie. O zawroty głowy przyprawiają też pionowe ściany płaskowyżu, do których dotarliśmy kilkadziesiąt minut później. Trasa prowadziła nas wzdłuż nich i robiła na nas wielkie wrażenie. Po kolejnej godzinie dotarliśmy do punktu kulminacyjnego wędrówki.

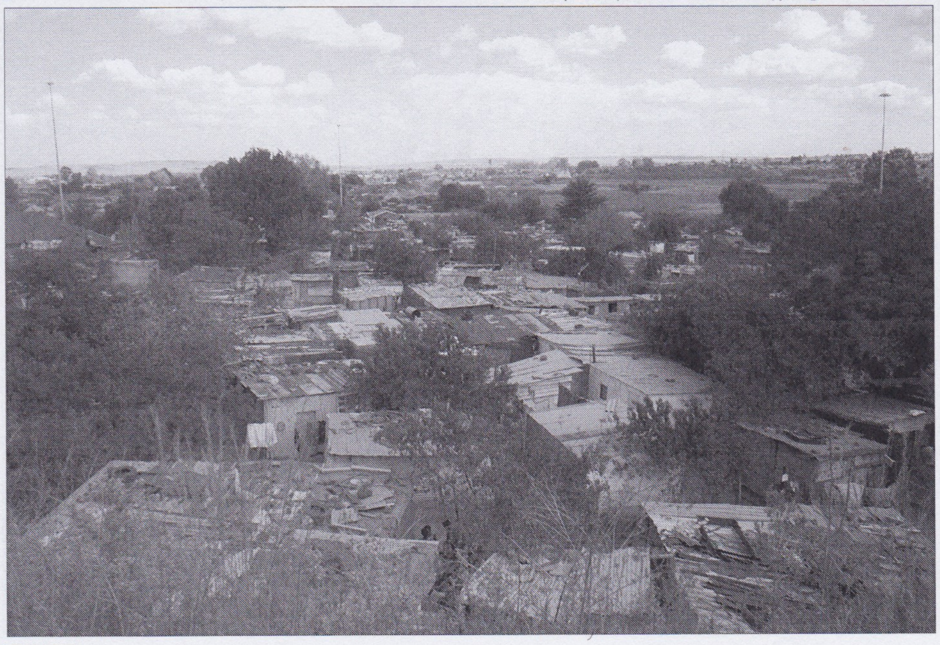

Dalej wysokości nie można było już pokonywać ścieżką. Przed nami było trzydzieści metrów pionowej ściany.
Zabezpieczenia na szlaku do Amfiteatru nie przypominały tego, co znałem z Tatr czy Alp. Nie było łańcuchów przytwierdzonych co metr do ściany ani żerdzi powbijanych w skałę i tworzących stopnie. Zamiast tego ze ściany po prostu zwisały zwykłe łańcuchowe drabinki. Poza tym, że były przymocowane na górze, nie miały żadnego innego mocowania do skały. Na szczęście były raczej stabilne, ale jednak momentami żerdzie odchylały się od ściany i zawisaliśmy bezpośrednio nad przepaścią.
Aśka poszła przodem i radziła sobie świetnie, ja w pewnym momencie przez sekundę myślałem, że spadnę. Musiałem się uspokoić i wyjaśnić samemu sobie, że przecież trzymam się mocno i nie zamierzam się puścić. A jakby co, to przecież utrzymam swój ciężar samymi rękoma, potrafię się przecież podciągnąć trzydzieści razy!
Pokonaliśmy dwie takie drabinki i znaleźliśmy się z powrotem na szlaku, ja – z lekko spoconymi dłońmi. Przed nami było jeszcze tylko krótkie podejście, jeden stromy kawałek i nagle stanęliśmy na szczycie płaskowyżu. Po kilku godzinach wspinaczki znaleźliśmy się na wysokości 3000 m. n.p.m. i zrobiło się płasko. Niedaleko schodziło łagodne zbocze wzgórza, w oddali widzieliśmy góry, ale dookoła nas rozciągał się równy teren porośnięty trawą i poprzecinany wąskimi strumieniami. Ruszyliśmy ścieżką biegnącą wzdłuż jednego z nich. Mieliśmy do przejścia już tylko kilometr.
Kilkanaście minut później stanęliśmy na skraju pionowej ściany górskiego Amfiteatru, jak nazywa się to miejsce. Dolina, na którą patrzyliśmy, rozciągała się niemal dwa kilometry poniżej nas, a tuż obok opadały wody wodospadu Tugela Falls. Tugela nie jest potężnym wodospadem, zwłaszcza o tej porze roku, natomiast przez niektóre źródła uznawany jest za najwyższy na świecie (powszechnie przyjmuje się, że zajmuje drugie miejsce). Rozpościerająca się przed nami przestrzeń zapierała dech w piersiach. Cóż, być może nie byłem jeszcze w wielu ciekawych miejscach, ale co nieco już w życiu widziałem. Zachwycałem się pięknymi górami, kanionami, turkusowymi wodami mórz i zabytkami starożytności. Jednak to Amfiteatr w Górach Smoczych wywołał we mnie uczucia, jakich się nie spodziewałem i był bez wątpienia najpiękniejszym miejscem na ziemi, jakie widziałem. Nie wiem, co mogłoby to pobić.

AFRYKA DZIKA

Szybko przyzwyczaiłem się do jeżdżenia po lewej stronie drogi i kilkaset kilometrów w kierunku wschodniego wybrzeża pokonaliśmy sprawnie. Jechało mi się wręcz tak dobrze, że standardowo przekraczałem dozwoloną prędkość, sprawnie wyprzedzałem i klnąłem na niedzielnych kierowców-zawalidrogi. Pod wieczór byliśmy na miejscu, czyli w Westbrook, małej miejscowości na północ od Durbanu. Zwiedzania Durbanu nie mieliśmy w planach, a Westbrook miało być naszą bazą wypadową na safari. Rano znowu więc załadowaliśmy się do samochodu i pojechaliśmy w stronę Parku Narodowego Hluhluwe-iMfolozi.
Safari w jednym z afrykańskich parków narodowych

to jedna z niewielu form podglądania dzikich zwierząt nie budząca wątpliwości etycznych. Tylko tutaj mamy możliwość, jako zwykli turyści, zobaczenia zwierząt w ich naturalnym środowisku i na wolności. Tutaj nikt nie zmusza żyrafy by pokazał się widzom i nikt nie zamyka słonia na niewielkim wybiegu. Ogromny park narodowy to po prostu ich dom.

Szybko po wjechaniu na teren parku zaczęliśmy spotykać zwierzęta. Najpierw natknęliśmy się na żyrafy zupełnie nie zwracające na nas uwagi i zajadające listki. Później zobaczyliśmy słonie, a za chwilę zebry, które niezadowolone z naszej obecności przerwały jedzenie i czekały aż odjedziemy. Cały czas jechaliśmy wśród spalonej słońcem afrykańskiej roślinności, po obu stronach drogi rozciągała się sawanna, a całość kojarzyła się z „Pożegnaniem z Afryką" lub jakimś innym utworem, którego nigdy nie czytałem, a który przychodzi na myśl, gdy mówi się o Afryce. Gdy zastanawialiśmy się, które zwierzę spotkamy jako następne, na drogę wyskoczyły te, o których nie pomyśleliśmy. Było to stado pawianów o groźnych minach i gołych tyłkach. Przeszły przez drogę razem z młodymi i po chwili zaczęły znikać wśród traw i krzaków. Tylko dwa duże samce przysiadły i surowym wzrokiem obserwowały okolicę upewniając się, że wszystko jest w porządku.

Później przez jakiś czas nie mieliśmy szczęścia, wyjęliśmy więc mapę i zastanawialiśmy się gdzie pojechać. Wybraliśmy zaznaczone kawałek poza główną trasą bajorko – uznaliśmy, że jeśli jest tam woda, będą i zwierzaki. Nie pomyliliśmy się – na brzegu bajorka wygrzewały się w słońcu trzy nosorożce, w tym mama z dzieckiem. Bardzo fajne to stworzenia, takie połączenie dinozaura z czołgiem. A jednocześnie mają takie fajne oczy spoglądające od niechcenia zza rogów. Skądinąd w niektórych parkach nosorożce są usypiane i rogi się odcina. To program ochrony tych zwierząt. Do Afryki przyjeżdża cała masa kłusowników z Azji, którzy zabijają nosorożce właśnie dla rogów. W Azji kupa ludzi wierzy, że sproszkowane rogi są afrodyzjakiem, leczą raka, AIDS i łysienie. Nosorożca bez rogu nie ma po co zabijać.

W samym bajorku taplały się dwa bawoły, To też są fajne zwierzaki. Mają taki mądry wyraz twarzy z tymi swoimi krowimi mordami i zakręconymi rogami. Musiały się tylko, co jakiś czas opędzać od zaczepiających je guźców, które, cóż, są po prostu złośliwe i robiły sobie jaja.

Później jeszcze kilka raz natykaliśmy się na żyrafy, antylopy i guźce, aż w końcu postanowiliśmy pojechać drogą, która robiła pętlę przy rzece. Niestety plany dojechania do kolejnego zbiornika wodnego pokrzyżowało nam stado słoni, które rozstawiło się na środku drogi, dosłownie parę metrów przed maską naszego samochodu. Obserwowanie tych wielkich zwierząt z tak bliska

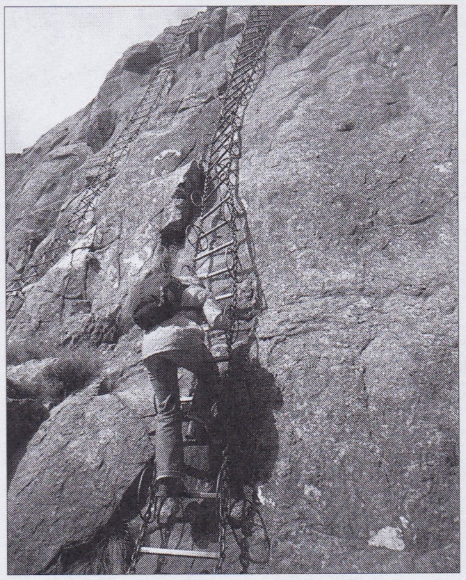

było bardzo emocjonujące. W ogóle nam się to nie nudziło, ale po kilkudziesięciu minutach musieliśmy się wycofać – nie mieliśmy czasu, żeby czekać na możliwość przejazdu.

Rezerwat iMfolozi to niesamowite miejsce i szkoda było z niego wyjeżdżać, ale robiło się już późno, a przed nami była jeszcze droga powrotna, czyli ok. dwie i pół godziny jazdy. Pod koniec zatrzymaliśmy się w nadmorskim Ballito, żeby kupić pizzę i piwo i mieliśmy jeszcze chwilę przed zmrokiem, żeby wskoczyć do wzburzonych wód Oceanu Indyjskiego. Zawsze fajnie jest pochlapać się w ciepłym morzu, a po takim dniu jest to dodatkowo bardzo orzeźwiające.

WSPINACZKA NA PRZYLĄDKU

Kolejnego dnia pojechaliśmy skrótem omijającym płatne autostrady na lotnisko. Musieliśmy pożegnać się z naszym autem i złapać samolot lecący do Kapsztadu, gdzie mieliśmy spędzić kilka dni.

Kapsztad to Cape Town, a więc Miasto Przylądkowe. Cóż było robić, pojechaliśmy więc na Przylądek Dobrej Nadziei. Przylądek ten, jak się okazało, a o czym wcześniej nie wiedziałem, nie jest najdalej wysuniętym na południe punktem Afryki. Napis na tablicy głosi, że jest to miejsce wysunięte najdalej na południowy zachód, czyli jakieś to naciągane. Jednak jest on najdalej wysuniętym w morze punktem Półwyspu Przylądkowego i miejscem, po opłynięciu którego statki zaczynają zmierzać bardziej na wschód niż na południe.

Generalnie atrakcję turystyczną stanowi tablica ze współrzędnymi geograficznymi i nazwą przylądka. Przyjeżdżają do niej całe wycieczki. Turyści wysypują się z nich tłumnie i pchają się za tablicę, żeby strzelić fotkę, po czym wracają do autobusu i odjeżdżają. My wybraliśmy się na wspinaczkę po skałkach przylądka, omijanych przez dosłownie wszystkich. I świetnie, bo to piękne miejsce mieliśmy tylko dla siebie. Na górę najpierw prowadził szlak, ale po chwili trzeba już było wspinać się używając i rąk, i nóg. Skala trudności wspinaczkowej pewnie nie była za wysoka, ale czasem trzeba było chwilę pokombinować i rozwiązać drobny problem. Wprost uwielbiam takie skałki i taką wspinaczkę. W takich miejscach nawet świadomość, że upadek mógłby zakończyć się fatalnie nie psuje mi zabawy. Na Przylądku Dobrej Nadziei dodatkowo urozmaicenie stanowiły wzburzone fale wściekle rozbijające się o skały kilkadziesiąt metrów pod nami. Coś, co dla większości turystów jest miejscem na pamiątkowe zdjęcie, dla nas było jednym z najciekawszych punktów podróży.

Wracając do miasta zatrzymaliśmy się jeszcze nad brzegiem morza i poszliśmy na spacer po Boulder's Beach, czyli plaży znanej z obecności stad pingwinów. Na szczęście na plaży ustawiono drewniane chodniki i płotki, więc turyści nie mają możliwości głaskania ptaków i pozowania z nimi do zdjęć, co ponoć zdarza się w innych miejscach. Pingwiny to bardzo pocieszne stworzonka; i trochę śmieszne, zwłaszcza gdy chodzą lub wskakują do wody. Fajnie wyglądają też, gdy wysiadują jaja albo ogrzewają młode, które – pokryte gęstym szarym puchem – zupełnie nie przypominają rodziców. Na miejscu trochę śmierdziało pingwinim łajnem, ale oglądanie tych ptaków z bliska było interesującym doświadczeniem.

KAPSZTAD. MIASTO KONTRASTÓW

Sam Kapsztad to bardzo ładne i przyjazne miasto. Zwłaszcza w częściach zamieszkanych przez bogatą klasę średnią. W innych miejscach bywa trochę gorzej. W okolicach dworca, gdzie na ulicach przewijają się tłumy ludzi, wśród których można spotkać typki spod ciemnej gwiazdy, handlarzy wszelkiego rodzaju badziewiem i czarowników sprzedających swoje specyfiki, miałem przygodę z kieszonkowcem. Obrobić się nie dałem, ale przyjemnie nie było.

Ponadto w wielu miejscach spotyka się żebraków i bezdomnych. Ci ostatni często spędzają noce w bramach, na schodach i przystankach autobusowych. Rano zawijają cały swój dobytek w torbę na śmieci, przywiązują do niej linkę, której drugi koniec mocują do kratki studzienki kanalizacyjnej i całość spuszczają do środka, by nikt im nic nie ukradł. Potem starają się zarobić parę groszy. Najczęściej próbują swoich sił w handlu.

Całkiem popularny jest magazyn „The Big Issue", sprzedawany wyłącznie przez osoby bezdomne na skrzyżowaniach ulic. Można też od takich ludzi kupić za grosze jakiś drobiazg, najczęściej długopis albo zapalniczkę. Oczywiście wśród tych osób przeważają czarni, ale i u białych sprzedawców powiększaliśmy swój zapas długopisów.

Osobną kategorią są żebracy, z których większość jest oczywiście zwykłymi naciągaczami. Na ulicach centrum Kapsztadu przyjęła się metoda znana z Indii. Kobieta z dzieckiem lub kilkunastoletni chłopak podąża za swoją „ofiarą", prawie zawsze turystą, i próbując wzbudzać wyrzuty sumienia prosi o kupienie czegoś do jedzenia. Jest tak zdesperowany, że nie chce pieniędzy, tylko proponuje pójście do sklepu i kupienie mleka, chleba czy czego tam jeszcze. Oczywiście artykuły spożywcze sprzedawane są turyście po mocno zawyżonej cenie, a później „bezdomny" zwraca je sprzedawcy, z którym dzieli się zyskiem. Najgorsze jest, że tacy żebracy potrafili iść z nami dobrych kilka minut. Prosili, jęczeli i uciekali się do tekstów takich jak: „Panie, czy chcesz, żebym umarł z głodu?" Oczywiście zwyczajne „nie" nie ma tutaj zastosowania, trzeba tych ludzi po prostu ignorować, choć czasem naprawdę nie jest to łatwe.

Najłatwiej jest się ich pozbyć wchodząc do sklepu lub knajpy. Tym sposobem trafiliśmy do małego baru odwiedzanego raczej przez miejscowych, a omijanego przez turystów. W środku rośli faceci oglądali mecz, a kolejni wchodzący witali się z barmanem gromkim „What's up my nigga!". Spędziliśmy tam bardzo miły wieczór zaprzyjaźniając się z obsługą knajpki.

W Kapsztadzie spędziliśmy też trochę czasu w dawnej dzielnicy portowej, Waterfront. Teraz jest ona pełna kawiarni, restauracji, sklepów i sklepików z pamiątkami, targów i małych bazarków, a przede wszystkim niezliczonych alejek, kładek, mostków, schodków i przejść pomiędzy budynkami, którymi można spacerować godzinami. Stamtąd odpływa też prom do Wyspy Fok, na której znajduje się dawne więzienie dla więźniów politycznych apartheidów, w którym zestarzał się Nelson Mandela. Niestety źle wszystko rozplanowaliśmy i nie zdążyliśmy się tam wybrać, czego wciąż bardzo żałuję.

Mimo wszystko w Kapsztadzie spędziliśmy świetne kilka dni. To bardzo fajne miejsce i jeśli jeszcze kiedyś wybiorę się do Południowej Afryki, na pewno znów tam zawitam. I oprócz wyspy fok wybiorę się też na Górę Stołową, kolejną atrakcję turystyczną, którą przegapiliśmy. Choć tego mniej żałuję, bo czasem warto, zamiast zaliczać wszystko, co jest w przewodniku, poszwendać się po prostu po mieście, trafić przez przypadek do fajnej knajpy albo zjeść coś dobrego na ulicy. Co ciekawe, choć Kapsztad to najdroższe do życia miasto w RPA, można tam zjeść tanio i naprawdę dobrze. Niestety pierwszego dnia poszliśmy do polecanej w przewodniku wegańskiej knajpy pełnej napuszonych hipsterów (skąd my to znamy?), gdzie za niewielkie porcje jakiegoś gówna policzono nas jak za jebane szatobrią z Sheratona, ale w kolejne dni stołowaliśmy się już w indyjskich fast foodach, jakich pełno na mieście i gdzie ogromne ilości pysznego wege żarcia można dostać za śmieszne pieniądze.

ZWYCIĘSTWO BEZ ZEMSTY

W drodze powrotnej mieliśmy już tylko jeden dzień w Johannesburgu. Wykorzystaliśmy go na spotkanie z Mzwą, wielkim jak szafa znajomym Aśki z jednej z dawnych podróży i zobaczenie wystawy w Muzeum Apartheidu. Wystawa świadczy o przerażających czasach, momentami jest naprawdę poruszająca i przejmująca, ale trochę słabo zorganizowana. Przechodzi się pomiędzy tablicami i gablotami dotyczącymi poszczególnych wydarzeń, czasem nieułożonych chronologicznie. Pomiędzy wspomnieniami świadków i nagraniami z zamieszek trafiają się eksponaty jak pasta do butów używana przez osobę, której dotyczy gablotka. Był też nudny film, w którym twórcom udało się przejść płynnie od początków ludzkości w Afryce do apartheidu. Natomiast bardzo ciekawa była część dotycząca Mandeli.

To niesamowite, że po dziesiątkach lat instytucjonalnego wyzysku jednej grupy ludności przez drugą, znalazł się człowiek potrafiący zapewnić praktycznie bezbolesne przejście do systemu demokratycznego. Jasne, ze koniec apartheidu nie nastąpił jedynie dzięki Mandeli. Zapewne nie byłoby go, gdyby nie masowe protesty i zamieszki wzniecone przez młodych mieszkańców townshipów, bojkot RPA na arenie międzynarodowej i upadająca gospodarka. Ale to Nelson Mandela zapewnił, że koniec rządów białej prawicy nastąpił bez rozlewu krwi dawnych ciemiężycieli. Przecież na Afrykański Kongres Narodowy Mandeli głosowało naprawdę wielu białych, którzy zaufali mu, gdy mówił, że przecież w życiu białej klasy średniej nie nastąpi wcale tak wiele zmian, którymi straszyła Partia Narodowa. Twierdzę śmiało, że tylko lewicowe siły polityczne były zdolne do przeprowadzenia tak radykalnych przekształceń bez zmiany prześladowców w prześladowanych. Jakże łatwo byłoby bowiem zamienić jeden instytucjonalny rasizm na drugi. Jakże łatwo byłoby rozliczać, ścigać, wsadzać do więzień dawną klasę ludzi uprzywilejowanych, w imię sprawiedliwości, wyrównywania krzywd, dochodzenia do prawdy i rozliczani dawnego systemu. Jakże łatwo byłoby się mścić. Przecież biali w RPA stanowią stosunkowo niewielką mniejszość. Na szczęście Mandela był osobą, która rozumiała, że mniejszości muszą mieć takie same prawa, jak większość. I potrafił o tym przekonywać, choćby prostymi gestami właściwymi zdolnemu politykowi. Gdy tuż po upadku apartheidu reprezentacja kraju w rugby wygrała Mistrzostwa Świata rozgrywane w RPA, puchar wręczył jej właśnie Mandela. Rugby do tej pory było sportem zarezerwowanym dla białych i pojawienie się czarnego prezydenta wywołało konsternację wśród białej publiczności zgromadzonej na stadionie. Jednak po chwili, gdy Mandela powiedział, że cały naród południowoafrykański jest dumny z drużyny, biały tłum najpierw nieśmiało, potem już bardzo głośno skandował: „Nelson! Nelson!".

Oczywiście siły prawicowe podejmowały próby zatrzymania nieuchronnych wydarzeń. Białe faszystowskie bojówki wspierały rządzących bantustanami, którzy nie chcieli uznać zwierzchności nowego rządu, a jeszcze przed zmianą władzy białe służby specjalne próbowały doprowadzić do wybuchu wojny domowej pomiędzy zwolennikami ANC Mandeli a zuluskiej Inkathy. W czasie starć zginęły setki często niczemu niewinnych osób, niektóre zabijane niesławnym „naszyjnikiem" czyli wypełnioną benzyną oponą zakładaną na szyję i podpalaną. To również oficerowie służb specjalnych zorganizowali zamach na Chrisa Haniego, przywódcę południowoafrykańskich komunistów, drugiej siły w czarnym ruchu oporu. Jednak i to nie odniosło skutku. Jakkolwiek w RPA aż roi się od problemów społecznych, przestępczość jest bardzo wysoka, bezrobocie wciąż rośnie, ANC, jak każda partia polityczna, zamienił się w zwykłą partię władzy dbającą o interesy swoich członków, a obecny groteskowy prezydent Jacob Zuma znienawidzony jest równo przez wszystkich, tak należy uznać, że społeczeństwo Republiki Południowej Afryki odniosło sukces w budowie nowych wzajemnych relacji. I raczej, choć oczywiście są wyjątki, nie rozpamiętuje dawnych krzywd.

W trakcie naszego pobytu w RPA, miała decydować się sprawa wyjścia z więzienia zabójcy Hanniego, którego rzesze polskich hitlerków uważają za bohatera. Kilka razy rozmawialiśmy o nim, z reguły z czarnymi taksówkarzami, którzy pytali skąd jesteśmy. My oczywiście uważaliśmy, że powinien on zgnić w celi, natomiast nasi rozmówcy nie byli o tym przekonani. „Jest już stary", powiedział jeden z nich, „niech wróci do domu i ostatnie lata życia spędzi z rodziną". W RPA czas rozliczeń skończył się dawno temu.

Endi

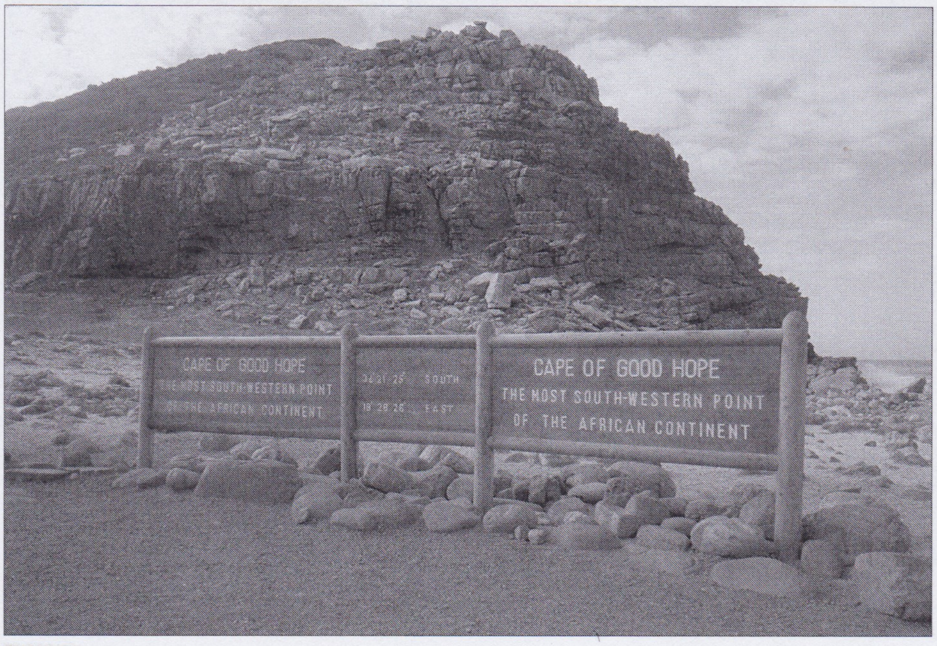

TAJLANDIA - SPEŁNIENIE MARZEŃ

Zabrzmi to dość prosto i sztampowo, ale podobno, jeśli czegoś chcemy, to podświadomie dążymy do tego za wszelką cenę. Tak też było ze mną, spełniło się jedno z moich największych marzeń. Pojechałem do kraju tajskiego boksu, tapet z Windowsa i prawdziwego red bulla. Zaczęło się dość w zabawny sposób. Zostałem spytany przez dwójkę przyjaciół (Ada, Lis) czy nie chciałbym się z nimi wybrać do Tajlandii. Bez chwili namysłu powiedziałem „no jasne" nie zastanawiając się w ogóle nad tym, na co się zgodziłem i że taka wycieczka, będzie wymagała pewnego wkładu finansowego. W międzyczasie do planowanej wyprawy dołączyły kolejne trzy osoby (Kamil, Oliwia, Owen). Mijały dni, tygodnie i przyszedł czas na zakup biletów lotniczych. Nie było już odwrotu. Zostało do wylotu ok. 4 miesiące, czas na odkładanie pieniędzy na życie w Azji.

Wylot mieliśmy 30 września. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak Qatar Airways dba o pasażerów. Telewizory w zagłówkach, koce, poduszki to już standard, ale to, co dla mnie było najważniejsze, to dostaliśmy wegańskie żarcie!!! 18 godzin lotu w tym 6-godzinna przerwa na przesiadkę w Doha. Niestety nie udało się wyjść pozwiedzać stolicy Kataru, ale za to smacznie się spało na podłodze lotniska. Po oglądaniu Azji z okna samolotu w końcu wylądowaliśmy w Phuket. Phuket jest największą z wysp Tajlandii znajdującą się na jej południu nad morzem Andamańskim.

PHUKET

Po wylądowaniu i zamówieniu taksówki udaliśmy się do wcześniej zabukowanego hotelu. Spotkaliśmy się z Anitą i Markiem. Byli to znajomi Owena i Ady, którzy wtajemniczyli nas w cały temat Tajlandii w czasie, gdy przygotowywaliśmy się do podróży. Podpowiedzieli, gdzie warto pojechać, co zobaczyć i jakie miejsca zwiedzić. Anita wcześniej podróżowała do Tajlandii. Po którymś razie stwierdziła, że tam jest jej miejsce i obecnie uczy języka angielskiego w tajskiej szkole. Lekkiego szoku doznałem w toalecie, gdzie obok muszli, ze ściany, wystawał wąż zakończony małą słuchawką prysznicową. Służył do podmywania tyłka a papierem toaletowym wycierało się go tylko na sucho. Z powodu, iż jedną z religii występujących w tamtych regionach to islam, korzysta się w tamtejszych toaletach z takich rozwiązań.

Obok miejsca, gdzie się zatrzymaliśmy znajdowała się wegańska restauracja prowadzona przez sympatycznego Greka, tam stołowaliśmy się przez pierwsze dni pobytu. Niestety w dzień przylotu nie zdążyliśmy się załapać na jedzenie, więc poszliśmy szukać go na mieście. Trafiliśmy do knajpy wystrojonej w radzieckie obrazki, a przy wejściu do niej przywitał nas duży kartonowy towarzysz Putin. Kuchnia w tym miejscu również miała mało wspólnego z kuchnią tajską. Jedne z pierwszych rzeczy, jakie rzucały się w oczy to masa poplątanych kabli. Przechodząc pod nimi było słychać, jak strzelają. Wyglądały jak sznurki porozciąganego czarnego makaronu między słupami. Wszędzie biegały dziko psiaki. Nie wyglądały na zagłodzone. Turyści je dokarmiali, ale można było zauważyć na niektórych dziwne narośle, może jakiś grzyb.

Zwiedzanie okolicy zaczęliśmy od pójścia na plaże. Jako, że między Polską a Tajlandią jest różnica w czasie 5 godzin i aktualnie jest jesień to już o godz. 18 robiło się ciemno. Pierwsza kąpiel w morzu Andamańskim odbywała się w blasku księżyca. Jak małe dzieci wpadliśmy do wody zaskoczeni jej wysoką temperaturą. Wielkie fale, czysta ciepła woda, palmy, wysoka temperatura powietrza, czysty piasek sprawiały, że czuliśmy się, jak w raju, a tak naprawdę wszystko było dopiero przed nami.

Po odpoczynku i pysznym śniadaniu w sąsiadującej restauracji przyszedł czas na zwiedzanie. Z powodu długiego snu wyruszyliśmy dość późno. Wypożyczyliśmy skutery, żeby wybrać się do centrum Phuket. Cena wypożyczenia skuterów to 250 bth, czyli jakieś 30 zł na dobę. Trafiliśmy do miejsca, przed którymi chcieliśmy uciekać. Pełne turystów centrum tętniło życiem. Wielki targ, stadion, gdzie odbywały się walki, masa jeżdżących skuterów. Udaliśmy się na Patong Beach. Aby się tam dostać trzeba przejść Bangla Road. Tajlandia nie bez powodu słynie z turystyki seksualnej, ulica pełna była prostytutek zachęcających do wejścia do nocnych klubów. Z kupnem narkotyków też raczej nie było by problemu. Posiedzieliśmy na plaży, zjedliśmy podstawowy posiłek w karcie wegan, czyli frytki i przyszedł czas na powrót do hotelu. Jako że Kamilowi zaczęło brakować paliwa, zatrzymaliśmy się na „stacji", gdzie paliwo sprzedawali w szklanych butelkach. Sprzedawcami była grupa kathoeyów. Przeważnie nazywani przez turystów z Europy „ladyboys". Tajlandia, jako jeden z pierwszych krajów wprowadziła tzw. trzecią płeć. Wpisują się w nią mężczyźni, którzy emocjonalnie czują się kobietami, zapuszczają długie włosy i ubierają się bardzo kobieco. Tajlandia to jedno z Państw południowej Azji, gdzie tego typu zachowanie nikogo nie dziwi. Powinniśmy pod tym względem wziąć z niej przykład.

Kolejny dzień zaczęty od komosy ryżowej

z orzechami, owocami i syropem z agawy zapowiadał się znakomicie, choć koniec pory deszczowej dawał się we znaki poprzez chwilowe oberwania chmur. W miejscowości, w której się znajdowaliśmy była świątynia buddyjska, którą z miłą chęcią poszliśmy pozwiedzać. Gdzieniegdzie przechadzali się mnisi. Świątynia była zamknięta, ale można było pooglądać całą resztę dookoła. Złote budynki otoczone masą figurek przedstawiających Buddę, Ganeshę, Nagę, Garudę i Brahmę. Nie ukrywam, że dla niektórych z nas takie doświadczenie wpłynęło bardzo pozytywnie.

Po powrocie do hotelu przyszła pora na coś, po co głównie przyjechałem do Tajlandii, czas potrenować Muay Thai. Z Lisem znaleźliśmy klub z ringami i wiszącymi wszędzie workami bokserskimi. Klub nazywał się Sinbi Muay Thai. Sytuacja wymagała zakupu nowych rękawic i ogień. Niestety tylko godzina treningu, ale wystarczyła, żeby dostrzec różnice w technice, jaką znam z treningów z Polski a technice, jaką sympatyczny, niezbyt wysoki Tai próbował mi przekazać. Tak czy inaczej świetny trening zwieńczony pamiątkowym zdjęciem.

AO NANG

Minęły dopiero trzy dni a południe Tajlandii czekało na nas. Zamówiliśmy taksówkę i udaliśmy się w dalszą podróż. Tym razem prowincja Krabi i Ao Nang. Taksówkarz podrzucił nas na dworzec autobusowy, gdzie znaleźliśmy połączenie w kierunku miejscowości, do której się udawaliśmy. Jazda autokarem trwała ok. 3 godzin, po nich przesiadka do jeszcze jednej taksy i kierunek hotel. Kolejne miejsce okazało się jeszcze lepsze niż miejscówa w Phuket. Szczęście do dobrej gastronomi nadal nas nie opuściło, co okazało się, gdy przeszliśmy ok. 100 metrów w kierunku centrum miasteczka. Kolejna wegańska jadłodajnia prowadzona przez uroczą Lilę z mężem i koleżankami. Nazywała się „Govinda's". Krysznowcy robili niesamowicie pyszne jedzenie, a córka Lily, która również jak ja była na diecie bezglutenowej, piekła dla mnie bezglutenowy chleb. W centrum Owen miał raj. Zakupił chyba z 15 czapek z daszkiem. Zbiera je, także w Tajlandii zwiększył swoją kolekcję. Plaża, jeszcze ładniejsza niż wcześniej. Znajdowała się na niej drewniana kładka ze schodami prowadząca na szczyt góry. Udaliśmy się tam z Oliwią i Owenem. Okazało się, że na tej kładce rządzą małpy złodziejki, które w sprytny sposób chciały obrabować Oliwię wskakując jej na plecak i chcąc go otworzyć. Na szczęście małej złodziejce nie udało się niczego z niego wyciągnąć. Ze śmiechu ledwo trzymając się na nogach pomogłem gangsterce z dżungli „zejść na ziemie". Małpy w tym miejscu nie były dzikie. Dokarmiane były przez miejscowych

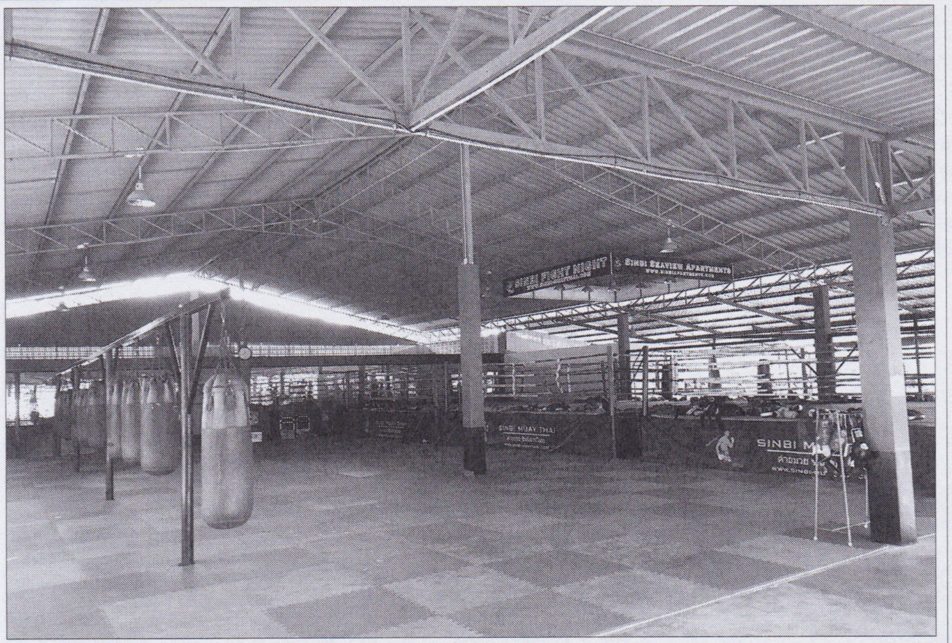

(podejrzewam, że na potrzeby turystyczne) jako „atrakcja". Nie były one jednak trzymane w niewoli. Żyły na wolności, były oswojone, jednakże cechowały je zachowania przestępcze :D.
Plaża pełna knajp oraz salonów, gdzie można było pójść na tajski masaż. Otoczona była drzewami, na których wisiały lampiony. Wieczorem poszliśmy się odstresować i postanowiliśmy pograć w bilard w jednym w tamtejszych barów. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że bar, w którym wylądowaliśmy jest miejscem schadzek osób poszukujących towarzystwa na noc. Skończyliśmy dość długą rozgrywkę (nie jesteśmy bilardowymi wirtuozami) i wróciliśmy do hotelu. Tam już Ada z Lisem zaczęli ogarniać wyjazd na spływ kajakowy, od którego mieliśmy zacząć kolejny dzień. W dograniu wyjazdu pomógł nam Max, pracownik miejsca naszego zakwaterowania.
Rano przyjechał po nas samochód, który zabierał osoby wybierające się na spływ. Po przejażdżce pickupem, gdzie pod zadaszoną paką znajdowały się umiejscowione wzdłuż dwie ławki, dojechaliśmy na miejsce. Miejscowość nazywała się Ao Thalane. Podzieliliśmy się na kajaki, które były dwuosobowe. Sterniczym naszego był Kamil. Ja, co jakiś czas zajmowałem się robieniem zdjęć i nagrywaniem okolicy wypełnionej pięknymi skałami i bujną roślinnością. Taj, który kierował całą wyprawą kajakową zabrał nas w kolejne miejsce, w którym rządził znów „małpi gang". Od razu po wpłynięciu sprytny makak ukradł Lisowi banana, a drugi próbował okraść Kamila z saszetki. Dalsza wyprawa przebiegła spokojnie, choć wciąż tajski „kierownik" wycieczki straszył nas krokodylami. Co się okazało chodziło mu o jaszczurki, które wyglądały jak legwany (a może to były legwany?). Koniec pory deszczowej poczęstował nas obfitym deszczem. Kolejny dzień mieliśmy już spędzić w innym miejscu, czekała nas kolejna przeprowadzka.

RAILAY BEACH

Rano z pomocą Maxa dostaliśmy się z plecakami do portu. Zawiózł nas tam na pace pickupa. Pamiątkowe zdjęcie z miłym Tajem i czekanie na łódź. Wpakowaliśmy z się z naszymi bagażami na longboata i popłynęliśmy na Railay Beach. Jeśli o mnie chodzi, to był to nr 1 całej podróży. Piękna plaża wszędzie palmy, skały, lazurowa woda. Jeśli jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak miałby wyglądać tzw. raj to - to było właśnie takie miejsce. Tak się tam czułem. Plaża znajdowała się również w prowincji Krabi, ale bez łodzi nie było się jak na nią dostać. Nie było tam samochodów. Żeby ją opuścić, trzeba przepłynąć w inne miejsce, z którego już można złapać taksówkę. Podobnie jak we wcześniejszych miejscach naszego pobytu i tutaj trafiliśmy na świetną knajpę, w której nie było problemu z zamówieniem czegoś na weganie. Tę restaurację prowadzili hindusi i robili przepyszne curry.
W hotelu, w którym tym razem spaliśmy, wisiały kartki z informacją o małpach złodziejkach i o zamykaniu okna balkonowego. Dzień spędziliśmy odpoczywając na plaży i pływając kajakiem. Wypożyczyliśmy kajak trzyosobowy z Oliwią i Kamilem i popłynęliśmy na sąsiadującą plażę. Phra Nang Beach była malutką plażą, na której znajdowały się może z dwa resorty. Otaczające plażę skały miały wyznaczone drogi wspinaczkowe, po których można było się powspinać wypożyczając wcześniej sprzęt. Na dole tych skał znajdowała się „świątynia", w której było mnóstwo, wystruganych z drewna penisów. Przed świątynią widniała tabliczka z opisem miejsca: „Jaskinia Phranang (Jaskinia Księżniczki). Miejscowi mieszkańcy, rybacy i żeglarze wierzą i czczą Księżniczkę jaskini Phranang, która ma obdarzyć ich dobrobytem i spełnić życzenia. Kiedy Księżniczka spełnia ich prośby, w podzięce składają w świątyni dary w postaci kwiatów i kadzidełek. Najczęściej jednak Bogini składa się specjalny dar w postaci fallusa wyrzeźbionego z drewna, który w połączeniu ze świętym łonem ma zapewnić urodzaj i dobrobyt ziemi i jej mieszkańcom. Proszę nie umieszczać przedmiotów kultu, które są niestosowne. Proszę zachować szacunek w tym świętym miejscu. Had Noppharatthara – Park Narodowy Mu Koh Phi Phi, Prowincja Krabi".
Wróciliśmy do miejsca, gdzie zostawiliśmy kajak. Niestety był odpływ i musieliśmy przenosić go po skałach i martwej rafie koralowej na bosaka. Także stopy po chwili były całe pocięte. Wieczorem stwierdziliśmy, że zmieniamy lokum na nieco tańszy hotel. W sumie to znajdował się obok tego, w którym mieszkaliśmy.

Następnego dnia przepłynęliśmy na ląd i pojechaliśmy zwiedzać świątynię buddyjską. Tiger Cave Temple, tak nazywało się miejsce, gdzie wychodziliśmy 1260 schodów pod wielki pomnik Buddy. Schody jak schody, z tym, że raczej nie były budowane według jakiegoś standardu, także w niektórych miejscach przypominały raczej drabinę. Co jakiś czas po drodze wywieszone były kartki z informacją o piciu wody. Wyszliśmy do góry cali mokrzy, ale było warto.
Wynagrodziły nam to piękny pomnik, oraz widoki na całą okolice wokół świątyni. Na dół zbieganie ze schodów odbywało się już na bosaka. Trafiłem z Kamilem do tzw. Wonderful World. Miejsce, które wyglądało jak dżungla, po której wędrowaliśmy również bez butów. Doszliśmy do miejsca medytacyjnego mnichów otoczonego małymi domkami, w których jak podejrzewam pomieszkiwali. Obeszliśmy całe to miejsce i trafiliśmy do jaskiń z kapliczkami. Udało się nawet spotkać żółwie kąpiące się w błocie. Jako, że czas szybko płynął, trzeba było się już zawijać, bo zbliżała się godzina, na którą umówiliśmy się z kierowcą taksówki. Na szczęście było jeszcze na tyle czasu, że w budce przy zajeździe autobusowym udało się zjeść wegański Pad Thai (potrawa kuchni tajskiej, makaron ryżowy smażony w woku z warzywami, sosami chili i w naszym przypadku z tofu). Po dotarciu do portu okazało się, że przyszedł odpływ. Myśleliśmy, że powrót na naszą plażę jest niemożliwy, ale udało się na szczęście dojść do łodzi po ugrzęźniętych w dnie longboatach.
Zrobiło się ciemno, a jedynym oświetleniem naszej łodzi była latarka z telefonu jednej z pasażerek („first to be safety"). Wieczór spędziliśmy w małej knajpce, gdzie zjarani jak małe samochodziki barmani przygrywali hipisowskie szlagiery na

gitarach i djembe. Przy kupowaniu czegokolwiek przy barze było się częstowanym jointem. Między drzewami rozwieszony był slackline, na którym jeden z mieszkańców wykonywał akrobacje. Oczywiście chętnie próbowaliśmy swoich możliwości z Lisem i Kamilem, ale... a szkoda gadać... Powrót na hotel i do spania, kolejny dzień wiązał się z przepłynięciem na kolejną wyspę.

KO PHI PHI DON

Z samego rana pobiegliśmy odebrać pranie z pralni, a Lis z Kamilem poszli kupić bilety na prom. Podróż w kierunku wyspy Ko Phi Phi Don nie

trwała długo. Po przyjemnym ok. dwugodzinnym rejsie dobiliśmy do wyspy. Zaczęliśmy szukać w Internetach jakiegoś taniego zakwaterowania. Znaleźliśmy „Bamboo Bungalow", gdzie można było za niewielką kwotę wynająć domki z bambusów. Na wyspie nie kursowały żadne taksówki, więc drogę z bagażami przez całe centrum wyspy przeszliśmy na piechotę. Domki wykonane w 100% z bambusów.

Pomieszczenie sypialne i osobno łazienka. Resort znajdował się na końcu centrum. Obok prowadziła ścieżka na szczyt góry, gdzie znajdował się viewpoint. Widok na całą wyspę zapierał dech w piersiach. Skorzystaliśmy z okazji, zrelaksowaliśmy się i wypiliśmy pyszną mrożoną kawę z mlekiem kokosowym. Nawet ja, osoba z dość konserwatywnym podejściem, jeśli chodzi o kawę, czyli czarna bez cukru najlepiej z gruntem, popijałem sobie smakowicie mrożony napój.

Z punktu widokowego poszliśmy zwiedzać miasto, które w odróżnieniu od wcześniejszych miejsc było dość mocno zaludnione turystami. Byliśmy tam poza sezonem, tak, że nie chcę myśleć, co się tam dzieje w trakcie jego trwania. Centrum wypełnione stoiskami, na których można było zakupić za grosze masę pamiątek, a nawet sporo podrabianych akcesoriów do kamer Go Pro. Po drodze spotkaliśmy stoisko Sea Shepherd, gdzie można było wykupić kurs nurkowania i odbudowy rafy koralowej. Niestety, kurs trwał trzy dni, a na tamtą chwilę myśleliśmy, że na wyspie zabawimy jeszcze tylko dwa. Nie można nie wspomnieć o wszechobecnych salonach, w których można się było zrelaksować płacąc za słynny tajski masaż. Na środku jednego z barów znajdował się wielki ring. Podszedłem się popytać czy coś się będzie działo ciekawego. Powiedziano mi, że codziennie o 21 odbywają się walki, tak, że godz. 21 została wpisana w grafik dnia. Oczywiście jak wszędzie nie było kłopotu ze znalezieniem restauracji, gdzie stołowaliśmy się do końca pobytu na wyspie. Pyszne jedzonko, ostre Pad Thaie, curry zielone, żółte, czerwone, z orzeszkami, bez orzeszków, no normalnie raj dla podniebienia, już nie wspomnę o szejkach kokosowych. I tak nam zleciał czas na mieście. Czas pozwiedzać plaże. Jako że Ko Phi Phi Don była wyspą mocno turystyczną, na plaży knajpy stały jedna obok drugiej. Fire showy, dyskoteki, ludzie tańczący w morzu. Posiedzieliśmy w jednej z nich, po czym zaczęła zbliżać się godzina 21. Czas na nas i kierunek Reggae Bar. Gdy przyszliśmy ring był jeszcze pusty. Zamówiliśmy coś do picia i wyczekiwaliśmy walk. Okazało się, że większość walk, to walki ochotników z publiki przeplatane walkami Tajów. Zaczęła się pierwsza z nich. Z ciekawością oglądaliśmy zachęcani z Lisem głównie przez Adę i Oliwię do wzięcia udziału. Początkowo się opieraliśmy, ale po kilku walkach zdecydowaliśmy się wziąć udział. Trafili nam się przeciwnicy z Madrytu. Grupka kumpli, którzy przypłynęli na wyspę. Udało mi się wygrać, a Lisowi zremisować walkę, chociaż wg. mnie walka była jego. Tak czy inaczej kolejne z marzeń odhaczone, zaliczona walka w kraju tajskiego boksu i w dodatku medal w kieszeni!

Kolejnego dnia wykupiliśmy wycieczkę na pobliskie wyspy i plaże. Rano śniadanie i spacer do portu. Stamtąd longboatem wyruszyliśmy w kierunku pierwszej wyspy. Pierwszym przystankiem była Bamboo Island. Piękna wyspa stanowiąca część parku narodowego z dużą plażą, z bialutkim piaskiem i turkusową wodą. Samo wejście na nią kosztuje 400 bth, czyli jakieś niecałe 50 zł. Zabawiliśmy na niej 1,5 godziny. Sporo wycieczkowiczów, ale było warto zobaczyć to miejsce. W przerwach między wyspami zatrzymywaliśmy się na snorkeling. Ubieraliśmy maski i mogliśmy podziwiać podwodny świat. Masa kolorowych ryb pływająca dookoła nas, a gdy spłynęło się 4-5 metrów głębiej, można było pooglądać na dnie wielkie jeżowce z igłami długości ok. 20-30 cm.

Kolejnym przystankiem była Monkey Beach. Jak sama nazwa wskazuje plaża była we władaniu dużej małpiej rodzinki. Zwierzaki nie bały się turystów. Tutaj najwidoczniej były do ludzi przyzwyczajone. Podchodziły, a czasem wchodziły na nas. Zwłaszcza młoda małpka lubiła ludzi, często wchodziła na ręce turystów, o czym w szczególności przekonała się Oliwia. Oczywiście nie obeszło się bez kradzieży. Jedna z turystek bardzo szybko straciła okulary. Małpa postanowiła sobie je poprzymierzać. Udało się je odzyskać.

Po Monkey Beach popłynęliśmy na Ko Phi Phi Lee. Opłynęliśmy wyspę z każdej strony. Jednym z miejsc była Viking Cave. Do jaskini nie można było wchodzić, a przed nią wybudowana była kładka, w sumie to bardziej przypominało jakiś drewniany taras, który wspierał się na balach osadzonych na dnie. Następnym przystankiem miała być słynna plaża Maya Bay. To m.in.

na niej kręcona była „Niebiańska plaża". W filmie była ona przedstawiona jako laguna. Podejrzewam, że komputerowo domontowano jedną z otaczających ją skał. Po skałach przy brzegu biegało mnóstwo krabów oraz raków pustelników. Miejsce przepiękne, wręcz bajeczne. Po całym dniu pełnym emocji trzeba było wracać do naszych bambusowych domków. Wieczorem zaplanowaliśmy kolejny przystanek naszej podróży. Kto na wakacjach przejmowałby się czasem? No właśnie, przez naszą punktualność, a raczej jej brak, spóźniliśmy się na prom. Jako, że przenieśliśmy bagaże przez wyspę, nie chciało nam się z nimi wracać z powrotem, tak że kolejną noc spędziliśmy w przytulnym motelu. Zanieśliśmy do niego rzeczy i ten dzień postanowiliśmy spędzić na totalnym chillu. Popływaliśmy w morzu, poopalaliśmy się, a wieczorkiem poszliśmy na imprezę na plaży.

KOH LANTA

Tym razem zdążyliśmy. Prom nam już nie uciekł, a kolejnym przystankiem miała być wyspa Koh Lanta. Na promie udało się od razu załatwić taksówkę, która miała nas zawieźć z portu do miasta, w którym mieliśmy znaleźć zakwaterowanie na jedną noc. Centrum malutkie. Jedna ulica, a po obu stronach drewniane budynki z restauracjami i sklepami. Po krótkim czasie udało się znaleźć przytulny hotel. Właścicielem był sympatyczny kathoey. Każdy z pokoi miał swoją nazwę. Pokój, w którym mieszkałem nazywał się „Black Superman", w środku wisiały zdjęcia Muhammada Ali'ego... W mieście wydawało się, że jesteśmy jedynymi turystami na wyspie. Poszliśmy zwiedzać. Doszliśmy do kolejnej świątyni buddyjskiej, z której tym razem przegoniły nas psy, którym ewidentnie nie podobała się nasza obecność. Pochodziliśmy jeszcze trochę szukając jakiegoś szlaku wiodącego do dżungli, ale że wybraliśmy się w klapkach, wchodzenie w wysokie zarośla nie było dobrym pomysłem. Po powrocie pod hotelem znaleźliśmy świetną knajpkę, którą prowadziła uśmiechnięta muzułmanka. Tak ostrego curry jeszcze nigdy nie jadłem. Byłem zlany potem, ale było przepyszne. Późnym popołudniem z mola, na które wychodziło się z hotelu, podziwialiśmy zachód słońca i patrzyliśmy, jak niebo staje się różowe. Ten dzień zleciał bardzo szybko, Koh Lanta miała być tylko krótkim przystankiem przed kolejną wyspą, na którą popłynęliśmy następnego dnia.

KOH MOOK

Nikt nie zaspał i nawet na śniadanie zdążyliśmy się napchać bananami. Z portu popłynęliśmy longboatem na ostatni już punkt naszej podróży. Fale były wysokie i zdawało się, że zaraz łódź się przewróci. Na twarzy jednego ze sterniczych można było dostrzec pełne skupienie. Wszyscy na łodzi byli mokrzy, a fale rozbijając się o burtę wpadały do środka. Po pewnym czasie morze się uspokoiło, a my musieliśmy zmienić łódź na kolejną, która przypłynęła po osoby płynące na wyspę Koh Mook. Wyspa ta była bardzo malutka. 3/4 to park narodowy, a trzy może cztery przecinające się ulice mierzyły łącznie z ok. 5 km. Posiada ona dwie plaże, jedną, do której dopływają łodzie i na której jest port oraz drugą piękną o nazwie Charlie Beach. Wszyscy mieszkańcy się znali, nie mieszka ich tam wielu. Wyspa nie należała do rozrywkowych, jak wcześniejsza Koh Phi Phi Don. Tutaj przypływa się raczej wyciszyć, odpocząć przy dźwiękach natury. 90% wyspy stanowią muzułmanie pozostałe 10% to buddyści. Po przycumowaniu do portu podeszliśmy do małego punktu informacyjnego, aby dowiedzieć się, gdzie znajdziemy jakieś miejsce zakwaterowania. Okazało się, że najkorzystniej będzie wynająć coś przy drugiej plaży. Korzystając z okazji wykupiliśmy również od razu kurs longboatem na godzinę 16.00 do jednej z jaskiń. Mieliśmy jeszcze chwile czasu na ogarnięcie noclegu. Poprosiliśmy taksówkarzy na skuterach o pomoc w przewiezieniu bagaży na drugi koniec wyspy. Po trzy osoby wpakowaliśmy się na doczepione przyczepki do skuterów. Dojechaliśmy do Charlie Beach i zaczęliśmy szukać, no nie napiszę wolnych pokoi, bo generalnie to wszystko było wolne, ale najlepszego miejsca na ostatnie dni pobytu. Część ekipy została przy plaży zamawiając już coś do jedzenia, a Lis i ja poszliśmy szukać jakiegoś lokum. Trafiliśmy do kolejnych bungalowów Nature Hill Mountainview Guesthouse. Resort prowadzony był przez Barry'ego, Kanadyjczyka, który został w Tajlandii z powodów sercowych...

Powoli zbliżała się godzina 16:00, więc trzeba było dostać się do portu. Droga w kolejne ciekawe miejsce na wyspie nie trwała długo. Płynęliśmy ok 15 minut. Dotarliśmy na miejsce, które nosiło nazwę Emerald Cave. Była to jaskinia, do której wpływaliśmy w kapokach. Prowadził Taj z czołówką rozświetlając drogę. W jaskini panowała totalna ciemność, a trzeba było ją jeszcze przepłynąć. Po chwili pojawiło się światło. Na końcu jaskini wypływało się do pięknej laguny otoczonej wysokimi skałami, obrośniętymi bujną roślinnością. Emerald Cave to miejsce, gdzie piraci dawniej składowali swoje łupy. Można do niej wpłynąć tylko w trakcie odpływu. W trakcie przypływu woda się podnosi i przepłynięcie jest niemożliwe. Zaczarowani miejscem wróciliśmy do portu, gdzie zaczęliśmy rozglądać się za jedzeniem. Trafiliśmy do restauracji, której właścicielka poopowiadała nam o wyspie i pomogła załatwić skutery. Popytaliśmy również o drogę prowadzącą do dżungli. Wiódł tam szlak czerwony, którym następnego dnia mieliśmy pójść pospacerować. Późny wieczór spędziliśmy na ganku domku słuchając odgłosów, jakie dobiegały z lasu.

Rano ustawiłem budzik i pobiegłem na plażę. Poranna kąpiel w morzu to coś fantastycznego. Rwące wysokie fale zakrywały mnie za każdym razem. Taka szybka pobudka. Już zachciało nam się pomidorów i ogórków na kanapkach, więc podjechaliśmy skuterami do sklepu zrobić szybkie zakupy na śniadanie. Warzywa, owoce, soja w solonym sosie, pasta chili - to były składniki na moje śniadanie. Co jakiś czas zajadałem się tajskim przysmakiem, czyli batonami z ryżu oblanymi cukrową masą, mniam! Po pożywnym śniadaniu wyruszyliśmy szukać czerwonego szlaku. Szliśmy wzdłuż brzegu. Co jakiś czas mijaliśmy bambusowe chatki, miejsca gdzie w sezonie turystycznym pewnie można posiedzieć popijając drinka z kokosa. Skręciliśmy na ścieżkę wiodącą w głąb lasu. Różnorodna roślinność, kolorowe motyle i masa przebiegających jaszczurek. W jednym miejscu mieszkańcy hodowali ananasy. W większości drzew wydrążone były wąskie korytarzyki, po których spływała biała substancja prosto do miseczek podwieszonych u ich podstawy. Do teraz nie wiem, czy to był sok, jak u nas np. z brzozy, czy żywica, zapomnieliśmy się spytać mieszkańców. Kolejną ścieżką zeszliśmy w stronę morza, gdzie po skalistym brzegu uciekały przed nami kolorowe kraby. Mocne fale wyrzuciły na brzeg dwie wielkie meduzy. Średnica jednej miała chyba z jakieś 40 cm!!! Po rozłożeniu parzydełek były pewnie bardzo dużymi okazami. Za pomocą klapek pomogłem im wrócić do wody. Tak wracaliśmy w stronę portu zbierając wielkie muszle, które leżały na brzegu. Udało się nawet kilka w całości przywieźć do Polski. Napotkaliśmy na plaży niestety już martwego rekina. Nie wiem, jaki to gatunek, ale podobno nie są niebezpieczne. Pływają z ludźmi nie atakując. Miał ponad metr długości. Jego również pewnie morze wyrzuciło na brzeg lub zaplątał się w sieć i tak zostawiono go na pewną śmierć. Wracając stwierdziłem z Oliwią, że trzeba spróbować tajskiego masażu. W jednej z budek niedaleko portu znajdował się salon, w którym za 300 bth tj. jakieś 35 zł można było wykupić godzinę. W brew pozorom i tego, co się mówi, wcale nie był on bolesny. Zrelaksowałem się w czasie jego trwania, a na sam koniec, w co nie mogłem uwierzyć, siedząc po turecku, byłem

w stanie całkiem płasko położyć się na brzuchu. Kapitalna sprawa, polecam wszystkim. W trakcie trwania zabiegu, nie pamiętam, która mogła być to godzina, ale jakoś ok. 18:00 przez głośniki w mieście imam rozpoczął modlitwę. W trakcie jej trwania wszystkie psy zaczęły wyć i szczekać. Wyluzowani, zrelaksowani i głodni, spacerkiem udaliśmy się w stronę domków myśląc tylko o tym, żeby móc coś zjeść. Zatrzymał się obok nas Taj pytając, dokąd idziemy. Jako że było ciemno nie poznałem od razu, ale kierowca należał do właścicieli resortu, z którego wynajmowaliśmy bungalowy. Po drodze wysiedliśmy jeszcze w restauracji, gdzie zajadaliśmy się pysznym massamanem oraz spring rollsami. Po ciemku wróciliśmy ścieżką do resortu, gdzie okazało się, że mamy gościa. Był nim kierowca skutera, który podwoził nas godzinę wcześniej. Miał na imię Ohm. Był bardzo sympatycznym i uśmiechniętym Tajem. Opowiadał o szkoleniach z Muay Thai, które dzieciaki przechodzą tam od 10 do 12 roku życia. Mówił, że to, czy ktoś pójdzie tam do wojska, to loteria. Losowany jest kolor kartki i w zależności, jaki się wylosuje, to od tego zależy, czy do wojska się idzie, czy nie. Nawet kathoeyie idą do wojska, mogą być na kuchni, ale służba ich nie omija. Ohm miał szczęście i wylosował „prawidłowy kolor". Opowiadał nam, że wcześniej nie mieszkał na tej wyspie. Żył u rodziny, gdzie chodził do szkoły. Uciekł z niej i przypłynął na wyspę.
Otworzył tam pierwszy bar na wyspie Ting Tong Bar. Jest spora liczba osób, które wracają na wyspę. Ohm każdej osobie, która wróci i chce tego, tatuuje bambusem trzy literki, TTC Ting Tong Crew. Jest już sporo takich osób na świecie, a już wiem, że to będzie kolejny z moich tatuaży. Ohm ma żonę i dziecko. Opowiadał o tym, jak ludzie biegają za pieniędzmi i władzą. Nikt nie zabierze tego ze sobą do grobu, a przez nie wiele nas w życiu omija. Nazwał się człowiekiem z dżungli i to jest jego miejsce. Kiedyś chciał polecieć do Europy, ale już nie chce, nie chce widzieć tego, co się u nas dzieje. Tam ma zachowany spokój duchowy. Niczego więcej nie potrzebuje. Jego środkiem transportu jest skuter, którym nas podwoził. Na wyspie panuje niepisana zasada między taksówkarzami, że nikt nie bierze od turystów więcej, ani mniej za kurs z jednej na drugą plażę. Często jadąc spotyka ludzi i po prostu pyta, dokąd idą. Zachęca ich do podwózki (jak nas wcześniej). Mówił, że podwożąc pomaga, nic nie tracąc, bo i tak jedzie w tym samym kierunku, więc nic za to nie chce. Tłumaczył, że nie może zrozumieć ludzi, bo czasem się zdarza tak, że jedni siedzą przy stolikach i nie chcą rozmawiać z innymi, tylko dlatego, że są innej narodowości. Dziwił się, jak można w ten sposób myśleć, przecież wszyscy jesteśmy tacy sami. On szanuje innych i inni powinni szanować siebie nawzajem, nie zależnie od narodowości, religii czy koloru skóry. Nie ominął nas również wątek związany z nienawiścią, jaką się szerzy do muzułmanów w Europie. Sam Ohm zaczął mówić o propagandzie nienawiści, że chodzi tylko o władzę. Z zaciekawieniem słuchałem tajskiego przyjaciela rozpływając się i uświadamiając sobie, że musiałem przelecieć 8 tysięcy km, żeby zrozumieć to, jak bardzo ideały, w które wierzę, są przysłonięte i zamazane przez cały syf, jaki nas otacza. Wiecie, można to porównać do patrzenia na nasze Beskidy przez smog. Dostrzegasz je, wiesz, jakie są piękne, ale tak naprawdę ich nie widzisz. Uświadomił mnie o tym o 6 lat młodszy Taj.
Jakiś czas przed podróżą oglądaliśmy u Ady i Lisa horror pt. „Ghost house". Akcja filmu rozgrywała się właśnie w Tajlandii. Historia dotyczyła wierzeń buddyjskich i ducha z jednego z domków, które stały w różnych miejscach. Opowiadając to, Ohm powiedział, że nie jest to wcale śmieszne i zaczął nam tłumaczyć, na czym polegają te wierzenia oraz dlaczego się je buduje. Domki są schronieniem dla duchów. Stoją przed każdym budynkiem, aby duchy (najbardziej niebezpieczne to duchy osób zmarłych tragicznie) zaznały spokoju. Po opowieściach o wierzeniach Tajów pożegnaliśmy się i Ohm poszedł do swojej żony.
Przy plaży Charlie Beach często występuje plankton. Tego dnia morze było mało spokojne, więc jego obecność była mało prawdopodobna. Był to ostatni dzień na tej cudownej wyspie, więc nocą chcieliśmy po raz ostatni pójść się pokąpać. Weszliśmy do wody rzucając się w fale. Po chwili Lisu zauważył małe świecące świetliki pod wodą. Im głębiej wchodziliśmy, tym więcej ich było. Ruszając się woda świeciła. Masa małych świecących punkcików. Istna magia. Nad nami księżyc, pełno gwiazd. Idealne zakończenie podróży. Czegoś takiego nie widziałem jeszcze nigdy.

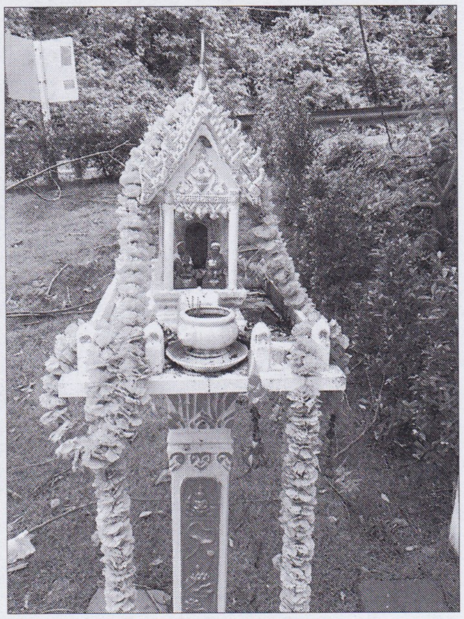

POWRÓT

Ciężko było nam w to uwierzyć, że zbliżał się koniec naszej podróży. Z pomocą Barrego i Ohma dostaliśmy się do portu. Jak tylko ruszyliśmy skuterami przyszła totalna ulewa, oberwanie chmury. Byliśmy w momencie cali mokrzy, a wraz z nami plecaki i ich zawartość. Przy porcie pożegnaliśmy się i poszliśmy załadować się na longboata. Popłynęliśmy w stronę miasta Trang pogwizdując na łodzi, Ada powiedziała, żebym nie złościł Posejdona. Uśmiechnąłem się i gwizdałem dalej. Wyładowaliśmy się na brzeg, wróciłem pomóc przenieść jeszcze bagaże i poślizgnąłem na schodach, odwracając się zjechałem do wody. No cóż, Posejdon się wkurzył. Ten dzień cały spędziliśmy w podróży. Pogoda akurat nam nie sprzyjała, także nikomu nie było żal. Wróciliśmy do Phuket skąd mieliśmy lot do Polski. Została jeszcze jedna noc na odpoczynek, doprowadzenie się do porządku i zrozumienie, że to już koniec przygody.
Podróż, która miała być czasem relaksu, stała się dodatkowo dla mnie wielkim doświadczeniem. Mogę spokojnie powiedzieć, że wróciłem, jako inny człowiek z szerszym spojrzeniem na wiele spraw. Spokorniałem, podróże naprawdę kształcą. Poleciałem ze wspaniałymi ludźmi. Oliwia, Lisu, Ada, Kamil, Owen - dziękuję Wam za wspólną wyprawę i mam nadzieję, że wybierzemy się jeszcze w niejedną. „Lepiej dobrze podróżować, niż dotrzeć do celu"- Budda.

Fragles

WIERZĘ, ŻE MOJE DZIAŁANIA MAJĄ SENS

Lubię robić wywiady z osobami związanymi ze sceną hardcore/punk, których aktywność sięga daleko poza jej ramy, ale też ideowo wywodzi się właśnie z tego „załoganckiego korzenia". Szymon Kułakowski, z którym miałem okazję rozmawiać bez wątpienia do nich należy. Działacz ekologiczny, obrońca Rospudy, uczestnik „Marszu Dla Aleppo", twórca graffiti, organizator lub współorganizator masy akcji prospołecznych, ekologicznych czy kulturalnych. Z czym jego aktywność się wiąże, niech opisze pewna historia, która zdarzyła się kilka dni temu (notabene zbiegła się z czasem, kiedy kończyłem przepisywać poniższą rozmowę). Szymon, wraz z kilkoma pomagającymi mu osobami został zaatakowany, podczas robienia prospołecznego graffiti, przez neonazistów z tak zwanego Radykalnego Południa (w necie bez problemu znajdziecie o nich informacje). Bohater naszej rozmowy, wraz z kolegami, lepiej niż doskonale dał sobie radę z uzbrojonymi w gazy i paralizator agresorami. Naziole nie będą mogli swoich łowów zaliczyć do udanych natomiast Szymon, już kilka dni później, wyruszył na kolejna eskapadę z puszką farby w ręce. Fajny ten nasz lokalny „malarz pokojowy", nie? Życzę przyjemniej lektury! Tomek.

foto.Anna Bodnar

CHAOS: Szymon, ty nie jesteś rodowitym bielszczaninem. Skąd ty się w tym mieście wziąłeś?

Szymon: Och, to ciekawa, choć trochę zawiła historia. Dzięki niej zresztą sporo się zmieniło. Mieszkałem w takiej niewielkiej wiosce na Mazurach. Po trochę za wcześnie zakończonych studiach, zaczęło mnie ścigać wojsko. Ja jestem rocznik 1984 czyli chyba ostatni rocznik, kiedy zasadnicza służba wojskowa była obowiązkowa. Stwierdziłem jednak jednoznacznie, że do wojska nie idę. Niestety siedząc na Mazurach nie za bardzo miałem inną alternatywę. Pewnego razu, w radiu, usłyszałem Pawła Grzybowskiego z bielskiego Klubu „Gaja". Mówił, że u nich można odrabiać zasadniczą służbę wojskową i akurat mają wolne miejsce. Nie znałem w Bielsku nikogo. Obczaiłem gdzie to jest, zadzwoniłem do „Gai" i dostałem od nich komunikat zwrotny: „chcesz to wpadaj". To był bodajże luty, wsiadłem w pociąg i odbyłem swoją najdłuższą podróż w jedną stronę. W każdym wypadku zarówno Klub „Gaja", jak i ich ówczesna siedziba, czyli „Bajka" zrobiły na mnie niesamowite wrażenie. Piękna, potężna willa, z której wtedy mogli korzystać to było coś. Miałem w Olsztynie jakieś tam doświadczenia z różnymi inicjatywami, kręciłem się przy bibliotece wolnościowej, ale „Gaja" to było coś mega! Już na starcie dobrze mi ten pobyt zrobił, bo tu obowiązywały twarde zasady. Musiałem odstawić jointy, mocno ograniczyć alkohol. W porównaniu z moim życiem na Mazurach to była totalna asceza. Wkręciłem się. Poznałem Darka Paczkowskiego. Wspólnie z nim robiłem warsztaty. Stąd moja zajawka na graffiti. Poznałem Jacka Bożka, od którego nauczyłem się bardzo dużo w takich kwestiach happeningowych, teatralnych. Miałem tam dobrą szkołę.

CHAOS: Był też Wojtek Owczarz?

Szymon: Nie, Wojtka już nie było. Wojtka poznałem dużo później. To było po moich doświadczeniach z Greenpeace, po akcjach związanych z Rospudą. Ale to od Wojtka miałem nauczyć się urealniać i realizować zamiary i odpowiedzialności w byciu niezależnym. Mam szczęście do ludzi.

CHAOS: Ciekawa historia. Uciekłeś do Bielska przed wojskiem. Moja żona akurat dzisiaj relacjonowała mi przebieg jakiejś internetowej dyskusji na temat powrotu zasadniczej służby wojskowej. Na 150 komentujących ponad setka z nich uważała, że to świetny pomysł. W większości pisały to dzieciaki w wieku szkoły średniej. Powiedz mi, dlaczego akurat ty uciekałeś przed taką „fajną" przygodą?

Szymon: Po pierwsze miałem osobiste doświadczenia związane z moim bratem. Dzięki Strzygowi zresztą zaczęła się ta cała przygoda z punk rockiem. To dla mnie, do teraz, jest bardzo ważna osoba. Mieszka sobie w Innsbrucku i dalej jest załogantem. Brat akurat poszedł do wojska, po pewnym czasie jednak z niego uciekł. Ścigali go potem, jakieś szaleństwo. Rozmawialiśmy o tym, on opowiadał. Przeżywaliśmy w realu je-go jazdy z niezgodą na podporządkowanie, izolacje, patologie. Nie było takiej opcji, żebym poszedł do woja, a i tak mi pewnie wszystkiego nie mówił. Po drugie nauka zabijania, takiego uczenia rozwiązywania konfliktów, jak proponuje wojsko ja nie uważam za dobre. Dodatkowo wychowywałem się w duchu scenowym, duchu punkowym. Chłonąłem ten przekaz. Wiesz, dzięki zespołowi LA AFERRA przestałem jeść mięso.

CHAOS: Do teraz jesteś związany ze sceną hardcore punkową?

Szymon: Tam jest moje serducho. Wiesz, jak pojawiła się rodzina, założyłem swoją działalność, jak zacząłem pracować to przekonałem się o tym wszystkim, o czym słyszałem z tekstów punkowych. Zobaczyłem jak państwo okrada, jak się wpierdala, jak steruje i na czyją korzyść. Na czym polega ten cały system. Stoję na stanowisku, że jak się naprawdę czuje tego punk rocka to się z tego nie wyrasta, tylko do niego dojrzewa. Punk rock zresztą miał i ma nie tylko zaangażowane polityczne teksty, ale zwraca uwagę na ekologię, a to jest dla mnie bardzo ważna rzecz.

CHAOS: Pracujesz w organizacjach pozarządowych. Zaczęło się od Klubu „Gaja", a potem?

Szymon: Później, przez jakiś czas, byłem wolontariuszem w „Pracowni Na Rzecz Wszystkich Istot". W tym okresie wybuchała spraw Rospudy i ja tam pojechałem. Byłem w obozie. Przeszedłem trening akcji bezpośrednich bez użycia przemocy(NVDA). Poznałem tam ludzi z Greenpeace, byłem trenerem dla lokalnych grup aktywistów. Przy okazji aktywności w Greenpeace załapałem wyrok za wbicie się na teren elektrowni w Bełchatowie. Jak już miałem te zawiasy to trochę zbastowałem. Bujałem się. Poznałem moją byłą małżonkę. Pojechaliśmy do Hiszpanii i wróciliśmy już w trójkę, z córką. Gdzieś tam pracowałem przy ogrodach, ale robota sezonowa i na eko ogrody nie ma rynku, a paskudztwa nie chciałem robić typu roundapowanie. Na szczęście spotkałem ponownie Darka Paczkowskiego i dzięki niemu trafiłem do „Arki". Tam pracuję już od ośmiu lat, m.in. z Wojtkiem Owczarzem i Alą Fober - obydwoje byli w ekipie blokujących Corridę w Chorzowie w 1991 roku.

CHAOS: Jak ty wspominasz ten czas akacji bezpośrednich?

Szymon: No trochę teraz mamy taki czas. Te akcje się właśnie dzieją. Z jednej strony to fatalnie, że

znów trzeba sięgać po takie środki, ale z drugiej cieszy to zaangażowanie. Jest „Obóz dla Puszczy" i masa ludzi, którzy tam się pojawiają. Ostatnio robiliśmy w Bielsku-Białej taką akcję solidarności z tymi ludźmi. Pojawił się na niej 17-letni chłopak, który tam był. Jak go słuchałem to miałem ciary. Widać, że tym żyję.

CHAOS: Nie ciągnie cię tam?
Szymon: Ciągnie jak chuj! Nie mam żadnych wątpliwości, co do tego, że powinienem tam być. Teraz jednak nie mam takiej możliwości. Wtedy, kiedy to robiłem to było mocne doświadczenie. Moje życie się później inaczej potoczyło, choć mogłem to dalej robić z mega profesjonalnymi ludźmi. Pojechałem wtedy bronić „Rospudy". Spotkałem wtedy na swojej drodze ludzi, którzy wiedzieli jak to robić w miarę bezpiecznie i skutecznie. Okazało się także, że mam do takich akcji jakiś dryg. Umiem się w takich sytuacjach odnaleźć oraz dzielić się swoim doświadczeniem podczas treningów, które później prowadziłem. Powiem uczciwie. Branie udziału w akcjach bezpośrednich to z jednej strony zawsze bardzo ważna sprawa, a z drugiej również świetna zabawa. Jak powiedziała kiedyś Emma Goldman „Jak się nie da do tego tańczyć, to nie jest moja rewolucja". Wśród tych ludzi czuło się przyjaźń, jedność, wsparcie. Czuło się chęć współpracy i ważność rzeczy, z którymi przyszło się nam zmierzyć. Co nie zmienia faktu, że bywało ciężko, często to były wyrzeczenia i poświęcenia, ale dzięki współdziałaniu poznaje się sens hasła „solidarność naszą bronią".

CHAOS: Czysto bywał to też czas niebezpieczny?
Szymon: Tak, był. Tylko pamiętaj, jak się w takim miejscu jest to czuje się taką totalną współodpowiedzialność. Przestrzegało się także takich podstawowych zasad bezpieczeństwa. To pieprzona podstawa. Od krzywdy wyrządzonej komuś z protestu przez policję, ochronę, generalnie nieprzychylnych gorsze jest tylko to, kiedy ktoś może ucierpieć przez głupotę i nieodpowiedzialność kogoś z protestujących. Przykładowo podczas Rospudy, wiadomo było, że do Augustowa samemu raczej się nie jeździ. Była ostra propaganda, że TIR-y przejeżdżające przez miasto zabiją ludzi, a tu jakaś banda ekologów nie pozwala zrobić obwodnicy, bo broni żabek i motylków. Mogę więc sobie wyobrazić, co teraz przeżywają ludzie mieszkający w Białowieży lub z którejś z tych pobliskich niewielkich miejscowości, a są przeciwko wycince Puszczy. To może być stres. To często kontakt z naładowanymi testosteronem koleżkami, którzy normalnie rozładowują się na meczach czy dyskotekach. Dla nich to jest okazja do przypierdolenia „adwersarzom", którzy, w ich rozumieniu, „próbują szumieć na ich terenie". Co ciekawe, jak raz czy dwa razy, zdarzyło mi się z takimi kolesiami napić wódki to nagle nie było problemu.

CHAOS: Co jeszcze jest ważne podczas takich akcji bezpośrednich?
Szymon: Bardzo ważne jest nastawienia. Jeśli jedziesz przeciwko ludziom, którzy chcą wycinać las, puszczę to jedziesz szukać konfliktu. Ten natomiast nie jest celem i pomysłem na rozwiązanie sytuacji. Celem jest powstrzymanie wycinki, a nie atakowanie ludzi, którzy się tym zajmują. Ważnym jest, jakkolwiek by to źle nie zabrzmiało, aby słuchać się tych, którzy na miejscu są dłużej, mają większe doświadczenie i zrozumienie sytuacji czyli się podporządkować. Ale warto być twórczym, bo zdarzają się trudne i zupełnie nieprzewidywalne momenty na takich akcjach. Pamiętam, jak pewnego razu podczas obrony Rospudy, przyjechał transport ludzi z Augustowa z krzyżami. Zrobili wokół nas korowód. Z jednej strony trzeba było trzymać nerwy na wodzy, a z drugiej szukać pomysłu, jak sobie z tą sytuacją poradzić. Ja poszedłem na spacer z Nurią i kilkunastoma osobami szukać śladów wilków. Wtedy nie czułem się na siłach, by być w obozie. Należy pamiętać, że tym wszystkim akcjom towarzyszą kamery i jedno niefortunne zachowanie łatwo jest powielić i zmanipulować w nieprzychylnych mediach. Należy także pamiętać o tym, że w samym obozie pojawiają się różni ludzie. Dla mnie takim mocnym przeżyciem było spotkanie tajniaka.

CHAOS: Opowiedz o tym.

Szymon: To wyglądało tak, że do obozu ciągle przyjeżdżały lub z niego wyjeżdżały różne osoby. Pewnego dnia, tuż przed tą akcją z krzyżami, dosiadł się do mnie koleś na papierosa. Gadałem z nim jakieś piętnaście minut. Później przesiadłem się w inne miejsce i mój przyjaciel, taki już dużo bardziej doświadczony, Piotruś, popatrzył na mnie i mówi: „a o czym rozmawiałeś z tym tajniakiem?". Mnie po prostu wcięło. Byłem w szoku. Szybko jednak zrozumiałem, jak takich ludzi wyłapywać. To jest też konkretna robota, którą dobrze, żeby ktoś robił po prostu. Wiedzieć, kto przyjeżdża i jak rozmawia z ludźmi. Nad Rospudą mam wrażenie, że pilnowali tego ludzie z Rozbratu. Trzeba mieć, podczas takich akcji świadomość, że wszystko niby jest spoko, ale jesteśmy inwigilowani i obserwowani.

CHAOS: Wyrok za co załapałeś?
Szymon: Za protest Greenpeace w Bełchatowie. Tamtejsza elektrownia miała plany wybudowania kolejnego bloku spalania węgla. W związku z tym, na kominie owej elektrowni była zaplanowana akcja, zresztą skuteczna, namalowania napisu „STOP CO2". Należy dodać, że to jest obiekt o znaczeniu strategicznym dla bezpieczeństwa państwa i obowiązuje na jego teren absolutny zakaz wstępu osobom nieupoważnionym. Weszliśmy tam i akcja się udała. Ja natomiast nie byłem wspinaczem. Moim zadaniem, żeby nie wchodzić w szczegóły, było odwracanie uwagi. Byliśmy w swojej roli skuteczni, bo skołowana ochrona, zgarnęła m.in. mnie, a nie te osoby, które się wspięły i namalowały napis

CHAOS: Co zresztą było widać w telewizji.
Szymon: Hahaha, co ciekawe pracownicy elektrowni także zobaczyli tę akcję w telewizji. Kiedy nas już zatrzymali i siedzieliśmy w takim kantorku z ochroną, czekając na policję, to przyszedł do nas jakiś tam pijarowiec z elektrowni. Pokazywał foldery, jacy to oni są ekologiczni. Siedzimy tam, coś z typami gadamy, gadamy i nagle słyszymy z kantorka obok krzyk" „o kurwa, patrz, oni są na kominie!!!". Dowiedzieli się z POLSATU, że ktoś im po obiekcie lata, a właściwie wisi na kominie.

CHAOS: Jak wspomniałem, od ośmiu lat działasz w „Arce"?
Szymon: „Arka" zajmuje się, po części, edukacją ekologiczną, a po części promowaniem postaw ekologicznych. To są działania związane z, nazwijmy to, ekologią miejską czyli rzeczy związane z zanieczyszczeniem powietrza, zagospodarowaniem odpadów oraz ze zmianami klimatycznymi. To są takie trzy główne wątki, w ramach których, wspieramy samorządy w ustawowych obowiązkach realizowania edukacji ekologicznej. Czasem to samorządy mają jakiś pomysł, w innych przypadkach proszą nas, abyśmy to my im podpowiedzieli jak działać. Wymyślamy także i realizujemy na terenie całego kraju nasze kampanie. Kierujemy tę edukację do najmłodszych, ale też wykorzystujemy media do promowania postaw ekologicznych wśród dorosłych.

CHAOS: Jak ty, przy obecnej sytuacji politycznej, widzisz przyszłość organizacji pozarządowych?
Szymon: Samorządy, na razie jeszcze, tętnią życiem. Jeśli ma się już jakąś stabilną, rozpoznawalną pozycję to ta współpraca wygląda dobrze. Obecnie koncentrujemy się na działaniach lokalnych. Wiesz, pojawiają się nowe regulacje prawne, ale to jeszcze nie wszystko. Ktoś musi zająć się ich wdrażaniem, a mam wrażenie, że większość urzędników nie jest przekonana do zakazu palenia mułem i flotokoncentratami i ich też trzeba wspierać. Żeby nie bali się przestrzegać prawa, haha. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że edukacja ekologiczna jest w Polsce w totalnej dupie. Na szczęście jest coraz więcej inicjatyw, organizacji oraz przede wszystkim dostępnych raportów po polsku, opracowań i badań. Muszę jednak w tym miejscu dodać, że termin „uświadamiać" jest bardzo słaby. Ludzie zwyczajnie nie chcą być uświadamiani. Jak zaczynasz rozmowę od tego, że zajmujesz się uświadamianiem to trafiasz na opór, bo ludzie wiedzą swoje i już. Dużo lepiej się sprawdza termin „promowanie postaw", które jest takim zachęcaniem do konkretnych działań. Robimy to przez zabawę, happeningi, edukację, często w formie pikników czy festiwali ekologicznych.
Wracając jednak do pytania, to widzimy jednak, że organizacje pozarządowe współpracujące z ministerstwami mają totalnie pod górkę. To z jednej strony demoluje te organizacje, bo uciekają z nich ludzie, ale z drugiej motywuje inne osoby do takich działań oddolnych. Te organizacje, które organizują coś w ramach pewnej kilkuletniej polityki opartej na długich kampaniach mają naprawdę ciężko. Są odcinane od finansowania, są często kontrolowane, są inwigilowane. To wszystko się dzieje. Ja także to widzę na swoim podwórku. To niestety jest zjawisko postępujące i nie tylko w przypadku organizacji ekologicznych. Te organizacje, które zajmują się prawami człowieka, a zwłaszcza tematem uchodźców, zostały prze PiS odcięte od jakiegokolwiek finansowania. Cała nadzieja w małych, takich trochę D.I.Y. organizacjach, które mogą tworzyć ruch społeczeństwa obywatelskiego.

CHAOS: Poruszyłeś temat uchodźców. Szymon, brałeś udział w „Civil March for Aleppo" (Cywilny marsz dla Aleppo).
Szymon: Tak. Brałem w tym marszu udział przez dziesięć dni. Marsz zaczął się 26.12.2016 roku. Ja wyruszyłem z Berlina i doszedłem do Drezna. Temat mi bardzo siadł. Akurat trochę wcześniej, bo w październiku, organizowałem w Bielsku-Białej taką pikietę dla Syrii. To był czas, kiedy Aleppo było bombardowane. Sporo o tym się w mediach mówiło. Widok tego, co tam się dzieje rozpierdalał moją głowę i serducho. Nie mogliśmy się temu przyglądać i ruszyliśmy z taką pikietą. Masa ludzi nam wtedy zarzucała bezsens tej akcji. Mówili, po co to robicie, lepiej pomóc im tam na miejscu. Ja zresztą abstrakcyjność tej sytuacji również zauważałem. Rozpierdalała mnie ta bezsilność. Totalnie mi siadła koncepcja Anki

Alboth, inicjatorki „Marszu dla Aleppo". Właśnie Ania zaproponowała, aby tym szlakiem, którym idą uchodźcy do Europy pójść w druga stronę. Przekonał mnie argument, że temat uchodźców w telewizji zdechnie i się opatrzy za jakiś czas i wtedy zostaną oni skazani sami na siebie. Zaangażowanie w pomoc dla nich także spadnie. Aby więc podtrzymywać uwagę międzynarodową trzeba zrobić coś spektakularnego. Ten marsz czymś takim właśnie był. Ruszyło około tysiąca osób. Po kilkunastu dniach pozostało jednak kilkadziesiąt. Na miejscu było bardzo ciekawie. Przed wszystkim marsz miał był marszem cywili dla cywilów, czyli pozostawać totalnie apolityczny. W założeniu było nie stawanie po żadnej ze stron konfliktu, a zwracanie uwagi, informowanie o sytuacji cywili. W mojej ocenie to było bardzo dobre założenie, bo patrzenie na sytuację ludzi w Syrii przez pryzmat sytuacji politycznej daje olbrzymie spektrum do manipulowania w każdą stronę. Natomiast właśnie w Syrii jest masa ludzi, która ucieka przed konfliktem politycznym i militarnym i dlatego opuszcza swoje domy. W tym 2015 roku, kiedy ta fala migracyjna ostro ruszyła, ogromna ilość tych ludzi była już w obozach dla uchodźców. W tym samym czasie ograniczono fundusze na pomoc im w obozach, a szykowała się cholernie mroźna zima. Właśnie na tym marszu spotkałem się z opinią, że jedynym konkretnym decydentem w tej całej sytuacji okazała się właśnie Merkel, podjęła taką, a nie inną decyzję o otwarciu granic niemieckich dla uchodźców. Wracając do marszu, to było trudne założenie, że pomagamy ludziom bez względu na to, po jakiej stronie konfliktu się znajdują. Zwłaszcza, że tych stron konfliktu jest tam obecnie kilkanaście. Trudno jest się w nich połapać. Wszystkie one nawzajem się krzywdzą lub zawierają jakieś, często dziwaczne, sojusze. O takich rzeczach dowiadywałem się właśnie na marszu rozmawiając z ludźmi z całej Europy, a czasem i świata. Spotykałem ludzi, którzy uciekli z Syrii. Z tym też był czad, bo większość z nich była związana z Syryjską Rewolucją. Już po pierwszym dniu odbyło się w związku z tym spotkanie. Na hali, ponad 150 osób, rozmawiało o tym, czy inne symbole niż biała flaga, będąca symbolem marszu, mogą się na nim pojawić. Chodziło właśnie o flagi Syryjskiej Rewolucji. Rozmowa tych ponad 150 osób z dwoma tylko moderatorami to było coś naprawdę mocnego.

CHAOS: Co ustalono?

Szymon: Ech, to też jest ciekawa historia. Większość ludzi, po zapoznaniu się z różnymi opiniami, zarówno osób, które były związane z Syryjską Rewolucją, jak i tych broniących kontekstu marszu jako apolitycznego miała totalny mętlik w głowie. Argumenty jednej, jak i drugiej strony były przekonujące. Efekt był taki, że po czterech godzinach dyskusji większość uczestników nie widziała nic złego w obecności flagi, ale niewiele ustalono i przełożono rozmowy na kolejny dzień. W nocy jednak organizatorzy uznali, że mogą pozostać tylko białe flagi. Dlaczego tak się stało? Bo w tym samym czasie, w nocy, media światowe podłapały temat, że na marszu są obecne flagi Rewolucji Syryjskiej i organizatorów okrzyknięto, w zależności od kraju, jako agentów CIA, KGB, itd. Twarzą marszu była oczywiście Ania Alboth i to na nią spadło całe błoto medialnych manipulacji. Podjęto więc taką decyzję ze względu na przekaz marszu. Jej efekt jednak, zgodnie z przewidywaniami, był różny. Sporo osób odeszło i nie kontynuowało marszu. M.in. ekipa skłotersów z Warszawy. Dla mnie to zresztą także była trudna decyzja. Biorąc jednak pod uwagę całą atmosferę i sytuację to rozumiem, że tak, a nie inaczej postanowili organizatorzy. Przyznam jednak, że nie wiem czy ja bym potrafił pójść w tym kierunku, w którym poszli organizatorzy. Mnie akurat te flagi nie przeszkadzały. Przekonywały mnie argumenty tych ludzi. Miałem okazję o nich z nimi rozmawiać. Ale też próbowałem mediować. Chciałem, żeby zostali. Następnego dnia odeszli. Ale to nie byli wszyscy Syryjczycy. Wśród syryjskich uchodźców idących z nami zdania też były podzielone. Dzięki tej historii dowiedziałem się, jak ta rewolucja syryjska się zaczęła, o co oni walczyli, jakie były ich cele. Podkreślali, iż pierwotne założenia były takie, że protesty będą miały charakter pokojowy, zostały, jak wiadomo, krwawo stłumione przez wojska Assada. Opowiadający nie kryli wkurwienia z powodu tego, w jakim kierunku to poszło. Byli także wkurwieni o to, że pojawili się mudżahedini, że z jednej i drugiej strony była i jest ludzka krzywda, że po stronie opozycji pojawili się terroryści. Opowiadali o bandyckiej wojnie, gdzie wszyscy wszystkich zabijają.

CHAOS: Co się obecnie dzieje się z marszem?

Szymon: W marszu brała udział stała ekipa kilku osób. Z tego, co wie marsz się chyba skończył. Tego jednak, na dobrą sprawę, do końca nie wiem. Ostatnie informacje miałem z Turcji i tam na pewno marsz dotarł. Marsz nie szedł jednak szybko, bo ci ludzie spotykali się z lokalsami, robili liczne happeningi, brali udział w inicjatywach lokalnych. Na pewno byli w obozach dla uchodźców, które mijali po drodze. Owszem, w Polsce tych informacji było jakby mniej, ale marsz cały czas szedł i w krajach, gdzie akurat się pojawiali sporo się o nim mówiło. Myślę, że to, co ja uważam za najważniejsze to fakt, iż udało się stworzyć pewien ruch na rzecz cywili uciekających przed wojną. Poznałem tam masę ciekawych ludzi. Bez względu na różnice wiekowe i doświadczenie świetnie nam się ze sobą współpracowało. To było potrzebne, bo niewielka ilość kasy, która pochodziła z dotacji, nie zawsze wystarczała dla maszerujących. Sami sobie podczas tego marszu gotowaliśmy. To wymagało pomysłowości, bo za każdym razem w innych warunkach takie kuchnie polowe powstawały. Spaliśmy na świetlicach, czasami na salach gimnastycznych, czasami na parafiach.

CHAOS: Ty ruszyłeś z akcją „Bielszczanie dla Aleppo".

Szymon: Tak, choć temat pomocy dla uchodźców, tak jak już wspominałem, uruchomiłem razem ze znajomymi jeszcze przed marszem. Założyliśmy taką dwutorowość naszej aktywności, czyli współpracujemy z ludźmi, którzy działają tam na miejscu. Do tego wybraliśmy Polską Akcję Humanitarną i dla nich zaczęliśmy zbierać kasę na działania w Syrii. Konkretnie na przygotowanie obozów dla uchodźców z Aleppo w prowincji Idlib. Drugą rzeczą natomiast było przyłączenie się do akcji „Polskie miasta przyjmują rodziny z Aleppo" i w Bielsku złożyliśmy taki projekt, zbieraliśmy podpisy za przyjęciem jednej rodziny syryjskiej w Bielsku.

CHAOS: Udało się?

Szymon: Zebraliśmy 750 podpisów. Odbiło się to jednak od decyzji państwowej, bo sprowadzenie rodziny z Aleppo wiązało się ze zgodą ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Takiej zgody nie udało się uzyskać i rodziny nie sprowadziliśmy. Liczyliśmy się z tym, ale dzięki tym działaniom udało nam się dowiedzieć czy jest jakiekolwiek poparcie, co do tego, aby w Bielsku-Białej pojawili się uchodźcy. Zwłaszcza, że w 2015 roku mieliśmy sporą manifestację anty uchodźczą. Mimo kontrreakcji środowisk nacjonalistycznych nie wyglądało to jednak źle. Był w tym wypadku flow na działanie. Ściągnęliśmy Ochojską na dwa spotkania do bielskich szkół. Ja mocno rozentuzjazmowany pojechałem do Berlina na wspomniany marsz. Zacząłem opowiadać, że my tu mamy w naszym mieście taką super inicjatywę, że zbieramy kasę na pomoc dla Aleppo i przede wszystkim, że jest zauważalne poparcie, aby przyjąć jedną taką rodzinę do Bielska-Białej. I tak opowiadałem, opowiadałem, aż trafiłem na chłopaka z Syrii i on się mnie pyta: „Ale jak to? Robicie tyle zamieszania, zbieracie podpisy, aby przyjąć jedną rodzinę?". Zobaczyłem jego minę i zwyczajnie odjechałem. Zawaliła mi się wizja, bo wydawało mi się, że robię coś ważnego, a to jest nic, totalne nic w morzu potrzeb, przy skali tego dramatu. Zdałem sobie sprawę z tego, że żyje w kraju, który jest w totalnej dupie, jeśli chodzi o ludzką empatię, chęć pomagania innym ludziom. O to, że tu nie chodzi o wzruszanie się nad losem Powstańców Warszawskich tylko o realną pomoc tysiącom ludzi, którzy dokładnie to samo przeżywają w tej chwili. Ci ludzie nie przyjeżdżają tutaj, bo takie mają widzimisię. Dla nich to jest dramat, że muszą się oderwać od swoich korzeni, swojego kraju, miejsc gdzie się wychowywali, dorastali. Muszą żyć w obozach, gdzie często nie ma nie tylko szkoły dla ich dzieci, ale nawet dostępu do pitnej wody i jedzenia. Jak więc wróciłem do Bielska to miałem inną, nową perspektywę widzenia pewnych spraw.

CHAOS: Udało się wam zrobić spory koncert benefitowy na rzecz Aleppo w centrum Bielska-Białej.

Szymon: Tej imprezie m.in. pomógł fakt, że byłem na marszu. Było bowiem zainteresowanie mediów tym tematem. Nawiązaliśmy współpracę z profesjonalną ekipą, która robi imprezy. To był taki ciąg przyczynowo skutkowy, który doprowadził do finału w postaci sporego koncertu na bielskim rynku. Miałem kupę radochy, że w tym, często ksenofobicznym, kraju mogłem prowadzić wspomniany koncert, latając w koszulce „Refugees Welcome". Zagrali zresztą artyści, którzy również nie śpiewają o „dupie Maryny". Byli to muzycy, którzy chcieli pomagać i doskonale wiedzieli, w jaką imprezę są zaangażowani. Jestem naprawdę dumny z tego, że udało nam się to zrobić. Pojawiła się kupa ludzi, którzy chcieli działać na rzecz uchodźców. Pojawiły się różne organizacje: od Caritasu po lokalną ekipę Food Not Bombs.

CHAOS: Rzeczywiście efekt jest taki, że stałeś się w Bielsku-Białej rozpoznawalny. Jak tylko gdzieś o tobie piszą to zbierasz w komentarzach falę hejtu na kilka stron.

Szymon: No chyba nawet udało mi się przekierować hejt z Darka Paczkowskiego na siebie, haha. Poza tym internetowych chaosem nie miałem jakiś przykrych przygód. Nikt podczas spacerów po mieście, nie próbował mnie atakować. Powiem nawet inaczej, że dzięki temu, iż ta impreza, te wszystkie akcje zostały zrobione właśnie w taki, a nie inny sposób, w tak szerokim gronie, mocno mnie uwiarygodniło i dało

kupę wsparcia od ludzi. Myślę, że w kontekście antyfaszyzmu czasem to jest jakieś rozwiązanie, aby zamiast chować się za kominiarką to pokazać zwyczajnie twarz, zrobić coś publicznie z imienia i nazwiska. Takie osoby trudniej jest zaatakować, bo one są już społecznie rozpoznawalne. Z drugiej jednak strony mam pałkę teleskopową albo gaz w kieszeni. W końcu te informacje, które pojawiły się o mnie w necie i ich natężenie robiły czasem takie przygnębiające wrażenie. Zacząłem zresztą z tym walczyć. Pisałem i dzwoniłem do redakcji mediów, gdzie te komenty się pojawiały, dlaczego ich nie moderują. Tam było sporo bzdur na mój temat, pojawiały się groźby karalne. Była taka historia, że w grę wchodziły informacje o moich dzieciach. Podano adres mojego zamieszkania. W tym ostatnim przypadku zgłosiłem temat do prokuratury. Oczywiście nic, w związku z tym, się nie wydarzyło. Jakieś tam drobne werbalne konfrontacje uliczne się zdarzały, bo jak my mieliśmy na jednym z bielskich placów imprezę o 15.00, a ONR zaś zbiórkę, w tym samym miejscu, o 16.00 to było ciśnienie. Nie zapomnę, jak wtedy przyszli w dwóch czy też trzech, dodatkowo z policjantem i mówią, że oni mają o 16.00 zgłoszone zgromadzenie i mamy opuścić to miejsce. Ja zerknąłem na zegarek, była z pięć czwarta, i mówię typom, że mamy jeszcze pięć minut i niech spierdalają. Ciśnienie się zrobiło, choć jego efekt był taki, że typy się odwróciły i poszły.

CHAOS: Coś w Bielsku jednak się zmieniło, bo na pierwszej demonstracji anty imigranckiej było prawie 2000 ludzi, a już rok później, raptem 50 osób, choć lista organizatorów była prawie taka sama.
Szymon: Zmieniło się kilka rzeczy. My zresztą, na tę drugą demonstrację, poszliśmy już z kontrą. Naziole zrobili demonstrację pod hasłem „Dość mydlenia oczu", więc myśmy wbili z bańkami mydlanymi. Dostałem wtedy propozycję seksu analnego z przedstawicielem skrajnej prawicy. Podbił do mnie typ z propozycją wyruchania mnie w dupę. Chyba go te bańki podkręciły.

CHAOS: Wspominałeś o różnicy pomiędzy tymi dwom demonstracjami.
Szymon: Tak, ta pierwsza duża manifestacja anty imigrancka odbyła się w czasie kampanii wyborczej. Zaangażowały się w nią partie, bo temat był na tamten moment gorący. Coś na niej można było ugrać. Prym wiodła partia KORWiN, a obecnie WOLNOŚĆ. W tamtym okresie zdarzały się zresztą próby zakłócania dem przez to towarzystwo naziolskie, choćby demonstracji KOD-u.

CHAOS: Ty jesteś związany bielskim KOD-em. Prowadziłeś chyba wszystkie, organizowane przez KOD demonstracje.
Szymon: Tak, to prawda.

CHAOS: KOD obecnie budzi kontrowersje i bywa ostro krytykowany. Nie tylko ze strony rządowej czy prawicowej, ale też ze strony środowisk, które powinny mu być przychylne.
Szymon: Dla mnie KOD zawsze był kwestią lokalnej współpracy obywateli. Ja do KOD-u, jako ogólnopolskiej organizacji nie chciałem należeć, bo nie wiedziałem za bardo do czego, co to ma być. W początkowej fazie z KOD-em było mi bardzo po drodze i prowadziłem te manifestacje. Jak to zaczęło się zmieniać, instytucjonalizować to występowałem jako ja, jako Szymon Kułakowski. Komunikowałem o tym zresztą publicznie. Nie byłem w tym stanowisku odosobniony. Sporo osób w Bielsku-Białej deklarowało chęć współpracy przy organizowaniu manifestacji, ale ze względu na poglądy, czy też sposób działania tej organizacji, pewne sytuacje związane choćby z Kijowskim nie chciały być z nią bezpośrednio związane. Wiesz, co mi natomiast przeszkadzało? Jak myśmy w Bielsku-Białej się organizowali to nikt nie mówił, że to będzie jakaś struktura pionowa. Nie wspominano, że będą zarządzający i wykonujący. Nagle jednak pojawili się ludzie, którzy zaczęli mówić, że nasze decyzje musimy skonfrontować z oczekiwaniami zarządu, jakieś tam „góry". Wtedy mi się zapaliła kontrolka. My po prostu chcieliśmy się, od początku, organizować na zasadach poziomych, czując lokalną sytuację, specyfikę i tutejsze oczekiwania, a nagle pojawiają się ludzie, którzy chcą się dawać rządzić przez osoby nie do końca rozumiejące nasz klimat. To jest dla mnie najgorsze, że ludzie oczekują, że pojawi się ten lider, taki rycerz na białym koniu i poprowadzi wszystkich do zwycięstwa. To mnie akurat demotywowało, zresztą nadal demotywuje, do współpracy z częścią osób. Dotyczy to zarówno polityków, jak i nie polityków, ale także działaczy, nauczycieli. Ostatnio jednak, żeby było bardziej pozytywnie, cieszyło mnie zorganizowanie akcji dla puszczy, bo zrobiliśmy to oddolnie. Ludzi muszą uczyć się organizować, muszą uczyć się być członkami społeczeństwa obywatelskiego. Tak, na samym początku, chciałem KOD widzieć.

CHAOS: I co dalej z KOD-em?
Szymon: Trochę to zostało zaszczute, trochę samo zdechło. Mnie to jednak obeszło, bo akurat z tego w Bielsku-Białej powstało coś oddolnego i lokalnego. Takie, chyba pierwsze w Polsce, porozumienie partii i organizacji. To się nazywa

„Strajkiem Obywatelskim Bielsko-Biała", które funkcjonuje, a przynajmniej próbuje wykuwać, takie zasady partnerskie. Chodzi jednak o to, że działamy lokalnie i mówimy o sprawach krajowych i lokalnych. Podejmujemy współpracę, jako porozumienie w danym konkretnym celu. Jeśli któryś z partnerów nie chce przystępować do akcji to po prostu nie robimy tego, jako partnerstwo, co gwarantuje zupełną autonomię każdego, kto wchodzi w jego skład. Ale współpraca już jest. To są jakieś korzyści, które wypłynęły z aktywność KOD. Te osoby, które miały powiedzieć dziękuję to już to zrobiły, ale wielu z nas zostało. Wiesz, ciągle także mogę liczyć na tych ludzi, z którymi działałem w KOD. Oficjalnie oni poszli swoją drogą i jakoś inaczej się organizują, ale prywatnie pomagają mi przy różnych akcjach, a ja im. Nawet takich, jak malowanie graffiti czy też wieszanie transparentów na protesty kobiet. KOD pozwolił mi znaleźć nowych sojuszników i to jest najcenniejsze, co dzięki niemu udało mi się zyskać. Te kontakt z ludźmi, którzy działali trochę w innych obszarach. Z którymi nie miałem szans się poznać. Teraz to jednak ewoluuje w bliższym mi kierunku. Jest nieformalna grupa „Obywatele BB", gdzie też są osoby niezrzeszone.

CHAOS: Związana z „Obywatelami RP"?
Szymon: Tak, to była inspiracja. W Bielsku jednak zawsze jest tak, że musi być po naszemu, więc nie mogli być „Obywatele RP Bielsko-Biała" tylko tak, jak myśmy chcieli. To jest rzecz zupełnie nieformalna, która zaistniała przy okazji akcji związanych z niezawisłością sądów. Od tamtej pory, co środę, jest robiona akcja. Przychodzi na nią od 20 do 300 osób. Ideą jest organizowanie się na ulicy. Przy każdej takiej akcji pojawia się jakiś temat. Zasada jest taka, że zmieniamy się w prowadzeniu tych manifestacji. W przypadku KOD-u ja te dema prowadziłem i mi, od razu, łatę przyklejono, że to „ten z KOD-u". Czasem to bywało kłopotliwe, czasem miłe, kiedy ludzie w sklepie mnie rozpoznawali i mówili, że wspierają to, co robię. To jednak nie o to chodzi. Teraz jest zasada, że jest zmianowość. Nie ma jednego lidera. Za każdym razem takie demo prowadzi inna osoba. Jak ktoś do nas przychodzi i mówi, że się do tego nie nadaje to my go prosimy, aby nam pokazał, jak bardzo się do tego nie nadaje. Okazuje się jednak, że po aktywnym przygotowaniu się do prowadzenia takiej manifestacji nadaje się prawie każdy. Dzielimy się doświadczeniami, wspieramy, ale jak ktoś się sprawdził i nie chce tego robić to oczywiście nikt go nie zmusza, ale jak trzeba to weźmie na siebie i taką pracę.

CHAOS: Demonstracje KOD-u spotkały się z kontrdemonstracjami ze strony środowisk nacjonalistycznych. Sami z siebie się pojawiali czy PIS ich naganiał?
Szymon: Myślę, że poseł Stanisław Pięta ich naganiał, robił takie rzeczy już dużo wcześniej. Wśród nacjonalistów, którzy szukali konfrontacji z demonstrantami KOD-u były osoby znające się z Piętą od bardzo dawna. On, od wielu lat, organizuje takie wypady w góry, rajdy „Żołnierzy Wyklętych". W pewien sposób wychował sobie tych chłopców w czasach, kiedy byli oni jeszcze w póżnej podstawówce. Prawda jest jednak taka, że ten ONR, mimo swojej obecności, zbyt dużej inicjatywy nie wykazywał. Mieli w zasadzie jeden i ten sam baner. Raz tylko była to liczniejsza grupa, kiedy dostali wsparcie od kamratów ze Śląska. Nie było z nimi jednak i wtedy problemów.

© daro dudziak FOTOGRAFIA

Ja, prowadząc te manifestację myślę, że dobrze sobie z nimi radziłem. Dużo dały mi te treningi walki bez użycia przemocy, które przeszedłem jeszcze podczas Rospudy. Generalnie było tak, że nawet podczas prób prowokacji nie było bijatyk. Myślę, że w dużym stopniu odebrało im to animusz, bo ludzie nie tylko nie reagowali na ich zaczepki, ale nie wchodzili nawet z nimi w dyskusje. Wśród ONR-owców był natomiast tylko pomysł na walkę. Kiedy jej zabrakło zupełnie się pogubili. Dodatkowo nie mieli oni żadnego wsparcia ze strony kibiców. To przychodziło kilka tych samych osób. Coś tam pokrzyczeli, pokręcili się, potrzymali baner i tyle. Zgaśli. Teraz, kiedy z „Obywatelami BB" robimy akcje pod sądem to raz się tylko zdarzyło, że przyszli. To nawet nie ONR przylazł tylko chłopaczki z Radykalnego Południa. Ubrali kominiarki i puszczali techno z komórki.

CHAOS: Jeden z właścicieli klubów muzycznych w Bielsku-Białej, a zarazem polityk partii Wolność (kiedyś KORWiN) mocno zaangażował się w działalność anty imigrancką w Bielsku-Białej. Nie zapomniałeś mu tego.

Szymon: Chodzi o klub „Miasto" w Bielsku-Białej. Jego szefem jest Bronisław Foltyn. Tak jak wspomniałeś, obecnie w partii „Wolność", a kiedyś w „KORWiN".

CHAOS: Lobbing, który m.in. ty stosowałeś wobec tej miejscówki okazał się być skuteczny. Jak to robiłeś?

Szymon: Nawet nie wiem, jak to nazwać. Bojkot? Nie do końca, chociaż ja do tego klubu nie chodzę i masa ludzi także go unika. Zacząłem natomiast pisać do artystów, którzy w tym klubie mieli występować. Wiesz, ja mam zajawę na muzykę. Bez niej nie ma dla mnie życia. Jest mega ważną rzeczą. Jak jednak widziałem, że właściciel klubu, który jest współorganizatorem demonstracji anty imigranckiej, na której zgadza się, legitymuje totalny hejt do inny ludzi, a potem zaprasza ważne dla mnie kapele to mnie nosiło. Facet robił to demo razem z ONR-em, Młodzieżą Wszechpolską, Stowarzyszeniem „Orle Gniazdo", z Zadrugą i częścią kibiców bielskiej „Stali". Klub BKS „Stal". Jednak, trzeba dodać, że klub BKS „Stal" odciął się od tego dema, podobnie jak część fanów tej drużyny. Facet jest przy okazji sprytnym manipulantem. On dbał, w swojej śliskości, o to, aby wulgarnym, ksenofobicznym trollem nie być. To zostawił pozostałym organizatorom i prelegentom. Kiedy jednak przeanalizuje się jego profil publiczny, jako polityka, to widać, że typ zaszczuwa. Używa ksenofobi do zainteresowania swoją osobą. Takie zachowanie jest dla mnie obrzydliwe. Wykorzystuje do takiej propagandy swój klubu, bo również w „Mieście" odbywają się spotkania z jego kolegami partyjniakami. Wieszał plakat o manifestacji anty imigranckiej. Tam manipuluje się, straszy, wykorzystuje ludzie dramaty. W tym klubie występują równocześnie artyści, często mający jakiś przekaz, zazwyczaj odmienny od tego, który prezentuje wspomniany Bronisław Foltyn. Napisałem na początku do RAS LUTY. Wcześniej przygotowałem odpowiedni plik z konkretnymi informacjami, bo na „gębę" nikt nie wierzy. Ja zresztą nikogo nie przekonywałem, po prostu informowałem. Przekazywałem zebrane informacje. Wcześnie sam je weryfikowałem, sprawdzałem, potwierdzałem. Po wysłaniu takiego e-maila czasami dzwoniłem do danego artysty i z nim o tej sytuacji rozmawiałem. RAS LUTA uznał, że nie wystąpi w tym klubie. Podobnie sprawa wyglądała z Pablopavo. Nie wystąpił ani indywidualnie ani też z VAVAMUFFIN. Z czasem grono osób, które informowały o charakterze klubu się powiększyło. Udało się odwołać PROLETARYAT. Nie wystąpił także ze swoim wykładem znany podróżnik Tomek Michniewicz. Napisał na swoim profilu, że w tym miejscu nie pojawi się, bo nie zgadza się z poglądami właściciela, bo to jest zaprzeczeniem jego poglądów i misji życiowej. Foltyn manipulował, że Michniewicz nazwał go bezpośrednio rasistą i założył mu sprawę w sądzie. Okazało się, że naprawdę sporo artystów utożsamia się ze swoim przekazami i nie ma ochoty wpierać śliskich ksenofobów.

CHAOS: Klub próbował oczyścić atmosferę wokół siebie?

Szymon: A tak, oczywiście, że tak. Zaczął przepłacać zespoły.

CHAOS: Łapówkę próbował ci dać?

Szymon: Hmmm, były takie dziwne propozycje zaprzyjaźnienia się. Nie wiem, jak to miałem wtedy rozumieć. Ja jednak stanowczo staram się omijać takie osoby. Szkoda mojego czasu. Ze dwa razy wszedłem z nim w polemikę, ale generalnie omijam typa. Po prostu informuję ludzi o tym, żeby wiedzieli, co legitymizują występując w klubie „Miasto". Są w tej materii sukcesy i są porażki. Nie udało się skontaktować z Łoną. ŻYWIOŁAK nie widział nic złego w graniu w tym klubie, mimo, iż dostali wszystkie informacje. Odpisali, że oni mają różnych fanów i nie chcą którejś ich części zawieść. Na pewno nie ułatwia sprawy fakt, iż właściciel jest wyjątkowo cynicznym i sprytnym graczem. Potrafi tak sprawę na głowie postawić, że nie wiadomo, o co chodzi. Przejął doskonale ten styl, który prezentuje jego guru czyli Korwin. Jest chorągiewką, zależy mu tylko na swoich profitach. Na celu politycznym i finansowym i nie cofnie się, aby go uzyskać, nawet, kiedy współpracuje z nazıolami. Taka postawa jest najgorszą, jaką znam.

CHAOS: Graffiti, to także spory kawałek twojego życia.

Szymon: No totalna zajawa. Cały czas. W Bielsku naziolskie graffiti, mimo, iż próbuje się pojawiać racji bytu nie ma. Tam gdzie mieszkam, nie ma prawa 24 godziny wisieć ksenofobiczny napis. Były taki próby. Zamalowuje nawet w biały dzień. Wisi za to na murze ciągle napis „ONR śmierdzi faszystowskim gównem". Jestem z niego dumny. Codziennie przechodzę obok niego z synem. U mojej ukochanej wzbudza to kontrowersje, ale dla mnie jest ok. Generalnie jest w Bielsku-Białej bardzo dobrze zintegrowana grupa ludzi, która zajmuje się likwidowaniem takich brunatnych napisów i wstawianiem w ich miejsce innych, biegunowo odmiennych. Część ludzi zajmuje się monitorowaniem miasta, a część malowaniem. Czasami takie malowanie odbywa się legalnie, a czasami nielegalnie. Najbardziej mnie cieszy fakt, że te naziolskie bohomazy nie wiszą długo na ścianie nie dlatego, że my nie mamy co robić i zapierdalamy po mieści, aby je znaleźć i zamazać, tylko dlatego, że ludzie są na nie wyczuleni i nas informują.

CHAOS: Co dalej Szymon, jakie plany masz na przyszłość?

Szymon: Wiesz co, nie wiem, co jeszcze się w moim życiu wydarzy. W tej chwili jest taka możliwość, mam taką wstępną i niezobowiązującą propozycję, aby występować w programie poświęconym uchodźcom, a nakręcanym przez pewną komercyjną telewizję. Mam jechać do obozu dla uchodźców w Jordanii albo Libanie.

CHAOS: Pytanie na koniec. Dzisiejsze badania opinii publicznej wskazują, że PiS ma 43 % poparcia. Co o tym sądzisz?

Szymon: No jesteśmy w dupie. Powiedzmy sobie jednak uczciwie, nigdy nie było inaczej. Ostatnio jeden mój kolega przedstawił mi taki pogląd, zresztą chyba nie tylko jego, że gdyby się mięso w sklepach nie skończyło to mielibyśmy do chwili obecnej komunizm w Polsce. Nie ma społecznego etosu. Są poszczególne osoby, ale to jest za mało. W mojej ocenie, jest mocno przerysowanym w tej naszej wspólnocie obywatelskiej, że jesteśmy jacyś tam nieprzeciętnie bohaterscy. W tym sektorze, w który jednak ja pracuję dostrzegam spory zryw ludzi, takie poruszenie. To mnie jeszcze jakoś nakręca i trzyma w wierze, że moje działania mają sens.

CHAOS: Dziękuję za rozmowę.

SCENA, TA MOJA, SIĘ SKOŃCZYŁA...

Antena Krzyku - fanzine, wydawnictwo pionierskie najpierw, jako pierwsze (obok QQ-RYQ) wprowadzające idee DIY w jaruzelo-jarocińską rzeczywistość lat 80., potem, jako pierwsze na scenie (również obok Q-QRYQ) próbujące sprofesjonalizować swoją działalność. Za Anteną od początku stoi jeden człowiek, Arek Marczyński, postać tyleż zasłużona, co wyrazista. O czym świadczy również poniższa pogawędka. Pytał Szymon.

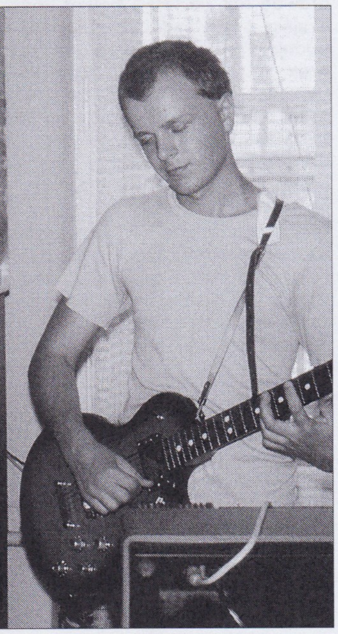

CHAOS: Pierwsze wydawnictwo Anteny Krzyku to był który rok?
Arek: 83/84 i to nie nazywało się Antena, a Specjalnie i było bardziej pismem ulotnym niż regularnym zinem. Jakoś też wtedy była pierwsza kaseta z okładkami robionymi ręcznie tak, że każda była inna. O tych taśmach nawet nie pamiętałem, ale Łańcuch z NATCHNIONEGO TRAKTORA ma lepszą pamięć.

CHAOS: A ile ty miałeś wtedy lat?
Arek: Tuż przed pełnoletnością, ale to nie było tak, że punk to na starcie gazety i kasety. Wcześniej były zdjęcia z Bravo i fascynacja londyńskim punkiem. Paradowałem z agrafkami powbijanymi w uszy czy przedramiona jakoś na przełomie lat 70/80 nie mając pojęcia za bardzo, co to ten punk. W siódmej klasie podstawówki prowadziłem nawet lekcję muzyki, zgodnie z pomysłem nauczycielki, o ulubionych płytach. Było to „Never Mind The Bollocks" i... „Ciemna Strona Księżyca".

CHAOS: Czyli miałeś etap takiego małoletniego załogantctwa?
Arek: Raczej samotnika, bo w okolicy, w której mieszkałem nie było przychylnego klimatu. Chłopaki raczej robiły sobie kropki pod oczami, sznyty i tatuowali PSM naśladując ojców. Dopiero w liceum trafiłem na klasę, w której byłem z Pontonem z KORMORANÓW i Regą, późniejszym widzejem.

CHAOS: Czyli taki w sumie podobny dla całej generacji szlak od fascynacji na podstawie zasłyszanych i wyczytanych informacji przez poznanie kolegów - do tej pory podobnie jak u innych. Ale skąd myśl, żeby te kasety wydać DIY? Bo fanziny to już Mikesz w 78 klecił, ale muzycznych wydawnictw chyba nie było zbyt wielu?
Arek: Pewnie były. Moja optyka jest taka, że ludzie najpierw robili rzeczy ze zwykłej potrzeby samorealizacji, a potem ktoś do tego dorobił całą tę ideę DIY. Nie odwrotnie. Nie było fascynacji komunami hippisowskimi i jakimś szerszym działaniem zanim poznaliśmy CRASS.

CHAOS: A czy fakt, że dorastałeś we Wrocławiu sprzyjał takim działaniom? W tym sensie, że był jakiś oddolny twórczy ferment w tym miejscu?
Arek: Wrocław był też specyficznym miejscem, bo na „nasze" koncerty przychodzili też działacze podziemia politycznego. To się miksowało. Nakręcało mnie, że Suchy (MIKI MAUSOLEUM) śmiga po mieście i rozkleja jakieś plakaty czy rozsypuje ulotki. Chcieliśmy robić to samo tylko z rzeczami dotyczącymi tego, co nas interesowało. Jak Andrzej zrobił Nową Falę Na Odrze to dla mnie była rewolucja, bo okazało się, że i przy odrobinie zaparcia można też robić koncerty. Musiałem z tym trochę poczekać, bo w 1981 byłem szczylem i żadnym partnerem dla Almaartu choćby. A we Wrocławiu z jednej strony były ZWŁOKI, SEDES i cała reszta, a z drugiej KLAUS, MIKI potem KORMORANY, MUSK, POMARAŃCZA i masa innych. To był ferment, był wybór.

CHAOS: Wrocławska scena była w ogóle mocno upolityczniona chyba? Kaman śpiewał o ZOMO otwartym tekstem...
Arek: Tak, Kaman, TRAKTOR, teksty Lecha też nie były o szklanej pogodzie. Zrobiłem kiedyś taki festiwal w Pałacyku, na którym grały różne zespoły walące teksty, które nie przeszły przez cenzurę i to był prawie ostatni koncert, jaki tam zrobiłem, bo chłopaki z Almaartu dostały wścieklizny. Potem jakoś to się rozeszło po kościach.

CHAOS: A pamiętasz, co grało w tym Pałacyku? Jakieś znane nazwy?
Arek: MIKI, TRAKTOR, STALIN STRASSE...

CHAOS: A fakt, że jakiś dzieciak wydaje pisma i kasety w czwartym obiegu zwrócił na ciebie uwagę organów? Stan wojenny ledwo się skończył przecież.
Arek: Tak, choć nigdy nie miałem jakiejś ostrej akcji. Poza obserwacją, kilkoma normalnymi wtedy zatrzymaniami i przesłuchaniami, odpytywaniem kolegów nie miałem problemów. Może, dlatego, że przy pierwszym tekście ubeka: „czy chcesz, żeby tatuś pracował" odpowiedziałem, że tatusiowi to mogą skoczyć. Dostałem w mordę, ale na tym się skończyło. Inaczej miałem z enerdowską bezpieką. Ci od początku za nami łazili, ale Polakom nie mogli nic zrobić.

CHAOS: A skąd enerdowski wątek?
Arek: A bo zrobiłem kilka nielegalnych koncertów w Berlinie Wschodnim, przewoziłem jakąś ich bibułę do druku na zachód. To już było kilka lat później, ale jak widziałem jak Stasi ma rozpracowany cały enerdowski underground to byłem w szoku. To samo z Czechami. Kumple, co to robili takie rzeczy, jak ja szli do więzienia za wydawanie kaset.

CHAOS: A widziałeś swoją teczkę?
Arek: Nie widziałem i nie chcę widzieć. Wystarczy mi to, co dociera z teczek kolegów. Ta wiedza, po ponad 30 latach jest mi zbędna.

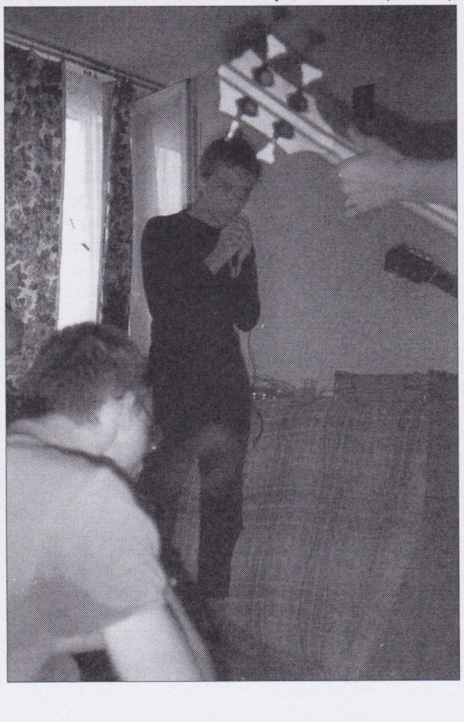

CHAOS: A propos teczek kolegów - co sądzisz o „służbowym" kaming aucie wokalisty KOLABORANTÓW? To chyba pierwszy taki przy-padek okołoscenowy...
Arek: Gówniarstwo. Śmieszkowanie to najgorsze, co można robić w takich okolicznościach. Moi kumple wylatywali ze szkoły, byli relegowani z uczelni, mieli odmowy paszportów dzięki takim, co to podpisywali. To ni chuja nie jest zabawne.

CHAOS: To odnośnie formy kaming autu, a sam fakt podpisania współpracy? Staram się nie oceniać takich decyzji, ale w 1988 roku to już chyba nie było takiej presji ze strony systemu - chociaż wciąż jeszcze był paskudny oczywiście.
Arek: Dokładnie, chodzi o formę. Nie chcę widzieć mojej teczki, bo chcę zachować dobre wspomnienia, choć pewnie trochę sam się oszukuję, bo wiem, kto donosił. Nie wiem, co mieli na Thielaka, ale jeśli podpisał ot tak, to głupota, bo on w 1988 nie miał 16 lat a ponad 20. Każdy wiedział, co to podpisanie TW.

CHAOS: A powiedz mi, jakie miałeś relacje z tą skórzaną, nazwijmy to, załogą? Bywałeś na koncertach SEDESU czy od początku cię ten nurt nie ciągnął?
Arek: Ba, nawet pojechaliśmy z Pontonem na jakieś koncerty z SEDESEM. To był ten pierwszy SEDES. Jakoś nie przypadliśmy sobie do gustu najwidoczniej. Może raczej nie przypadli mi do gustu fani SEDESU czyli wrocławska punkowa bandyterka.

CHAOS: No właśnie, a skąd to twoje zainteresowanie tym nazwijmy to „świadomym" hard core? W Polsce w połowie lat 80. to chyba nie były specjalnie znane rzeczy - w zasadzie można powiedzieć, że dzięki Antenie po części jakoś się to u nas upowszechniło...
Arek: Przypadek, jakich wtedy było wiele. Z ekipami z Gdańska i Warszawy wymienialiśmy się na płyty i tak trafiły do nas pierwsze hardcory. Zaczęliśmy tłumaczyć teksty, korespondować. Potem Kuba Prandota zakolegował się z Elką i Maćkiem z Bielska i ta muza płynęła szerokim strumieniem. No i przed hc był holenderski punk - RONDOS, COLD WAR EMBRIOS, THE EX, SVATSOX. Tu jakoś Wrocław szybko nawiązał kontakty. Andrzej (ten od Nowej Fali Na Odrze i okładek HOLYTOYA, KLAUSA i wielu innych) zrobił plakaty dla THE EX... Nie bez znaczenia z hc było to, że trafiało to do mnie, bo to były chłopaki z klasy średniej, jak my tutaj, tylko zza Atlantyku. Chwila minęła zanim poznałem wielu z nich osobiście. Sylwestra 87 spędziłem z Brendanem, zaraz po tym jak nagrał pierwsze demo z FUGAZI.

CHAOS: Napisałeś ostatnio coś takiego, że „nie angażuję się zbytnio w dyskusje o naszym podwórku, ale od ponad 30 lat nie bawię się na tym trzepaku i wolę piaskownicę z tymi, co to nadal stawiają babki tam gdzie wtedy" - naprawdę tak źle jest z polską kontrkulturą, że nie czujesz z tym żadnego związku i konsekwentnie budujesz relacje raczej za granicą?

Arek: To nie do końca tak. Nie dotyczą mnie dyskusje o DEFEKTACH MÓZGU, FARBENACH, ARMII, etc., bo to nie był i nie jest mój świat. W którymś momencie, poza zespołami z Anteny, nie utrzymywałem żadnych kontaktów z polską sceną, bo zraziłem się do niej skutecznie na przełomie lat 80/90. Harcerska betonowa niezależność dzieciaków na garnuszku rodziców zadziałała skuteczniej niż bandyterka i SB razem wzięte. Popatrz, kto został z moich kolegów z lat 80. Krzysiek Grabowski i kto jeszcze??? Kolegom z zachodu się nie odmieniło, nie dobrozmianują, nie husarzą, nie przepadli w otchłani codzienności. To o to chodzi.

CHAOS: Antenowym zespołom też zdarzyło się zestarzeć różnie... A propos - jak się wtedy wkręcało nikomu nieznany amatorski band z Jastrzębia do największego fanzina na świecie?

Arek: Hahaha... No właśnie. O tym mówię, a w tamtej piaskownicy wciąż bez zmian. Czy ktoś gra dalej w zespole, czy działa w coopie małych farmerów, ale trzyma pion. Wtedy łatwo było zainteresować radio czy ziny zespołami stąd, bo nie znali stąd niemal nic. Akurat zespół, o którym myślisz starzeje się obrzydliwie.

CHAOS: Kończąc wrocławską prehistorię z czasów sedesoiku kopalnego - opowiedz coś o tej działalności parateatralnej, którą uprawiałeś z dosyć rozpoznawalnymi zdaje się dzisiaj aktorami? Opowiadałeś kiedyś o udziale w festiwalu teatrów ulicznych, wtedy w Jelenie Górze i interesująco to brzmiało.

Arek: Noooo... Przynajmniej dwaj koledzy z naszego teatru, który nazywał się Dada Traktor to dziś rozpoznawalni aktorzy, bo Chabiora i Bzdyla znają nie tylko ci, co to interesują się teatrem. To jest tak, że punk, jak ja go rozumiałem, nie miał granic, bo i TG i WIRE i DISORDER i właśnie teatr, sztuki wizualne. Naturalnym więc było zainteresowanie się teatrem, w czasach, gdy teatr był mocno polityczny i antypaństwowy.

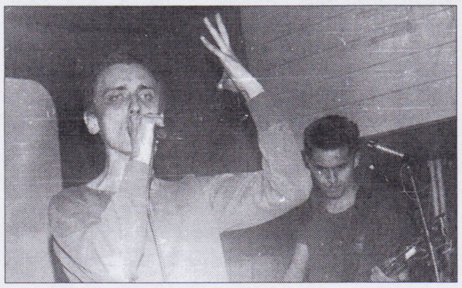

CHAOS: Ale czy to był jakiś epizod czy coś poważniejszego?

Arek: Wiesz, wtedy poważniejszego, bo jakieś festiwale, w tym ta Jelenia Góra i przewodnictwo finalnego karnawału, ale jak to często bywa w takich przedsięwzięciach akcja padła przez układy damsko-męskie.

CHAOS: No tak, ileż pięknych przedsięwzięć się przez to skończyło... Mam wrażenie, że historię Anteny Krzyku można podzielić na trzy etapy - pionierski, „samizdatowy", profesjonalny z lat 90. zakończony symbolicznie atakiem na WTC i obecny. Opowiedz coś o każdym z nich, no i co robiłeś w czasach hibernacji scenowo-wydawniczej. Wyczerpująco, obszernie...

Arek: Nie do końca tak, ale po kolei. Samizdat to wiadomo - rajdy po księgarniach, by kupić jakieś kasety, na których coś się da nagrać, te z bajkami, lekcjami języków. Szukanie dostępu do ksero, powielacza. Szaleństwo. Potem wyjechałem na trochę do Holandii i jak wróciłem to chciałem profesjonalnie. Żyć z tego, co robię i wtedy zaczęła się era beton DIY punka na posadach budżetowych albo garnuszku rodziców. Że nie można zarabiać, że to nie punk, etc. Dałem sobie spokój i zająłem się biznesem prowadząc mini sieć sklepów z AGD. To nie trwało długo, bo

najpierw Ian stwierdził, że nie przyjedzie do Polski, jeśli ja nie będę robił koncertów, a potem Rob, że chce bym wydał rzeczy NOMEANSNO tutaj. Wtedy zaczął się etap szaleńczy. Sprzedawały się płyty, kasety, wszystko. Otwierałem biuro w NYC i był 11.09, który nie tylko zjadł moją energię, ale i pieniądze. A miało być tak pięknie - Zorn, Ian, Patton, Jarboe na koncertach polskich zespołów w USA. Jak było wszyscy wiedzą. Potem był okres Rockersa, czyli firmy, w której w kilku połączyliśmy swoje siły wydając wspólnie, choć osobno, od rapu po impro przez punka, co go nienawidzę typu WŁOCHATY. Od kilku lat jestem znów solistą i robię tylko Antenę. Sam.

CHAOS: Opowiedz o tym epizodzie Rockersowym, bo to przecież są rzeczy krańcowo odległe od Antenowej stylistyki, reggae, punk studencki... Bolało?

Arek: Bardzo. Przez lata nauczyłem się wyłączać słuch, by nie słyszeć szlamu lejącego się z głośników. W sumie uważam, że był czas, gdy funkcjonowanie takiej zlepki miało sens, bo empiki, bo promocja, bo niższe koszty dystrybucji przy takiej masie wydawnictw i szansa na to, że przy dziesięciu Bednarkach sprzedasz jednego Dymitera. Rynek jednak się zmienia. Dziś większość niskonakładowych płyt sprzedaje się bezpośrednio. Nigdy bym nie sprzedał takiej ilości LAO CHE bezpośrednio...

CHAOS: Zarówno w czasach pierwszej Anteny, jak i potem, w latach 90., Antena Krzyku nie była jedynie labelem wydawniczym, ale i pismem - najpierw fanzinem, a potem normalnym dystrybuowanym w empikach magazynem. Trochę szkoda, że najnowsza odsłona Anteny Krzyku pozbawiona jest tego elementu. Nie ciągnie cię do tego?

Arek: Ciągnie, ale zrezygnowałem z gazety z prozaicznego powodu - nie dawałem rady czasowo. Robienie dwumiesięcznika to poważna robota. Jeśli siedzisz na składzie, pilnujesz pisarzy, korekty, deadlinów, dystrybucji... Inna rzecz, że dziś wydawnictwo to też więcej roboty, bo sprzedaż bezpośrednia, bo nie mam dość kasy, by zatrudnić kogoś od promocji. Proza życia.

CHAOS: No tak, ten wywiad robimy do fanzina, który ma ambitny plan wydania w ciągu roku dwóch numerów - zobaczymy jak wyjdzie. Wróćmy może do epizodu niderlandzkiego - pracowałeś w Konkurellu wtedy?

Arek: Tak, pomagałem w organizacji tras, sam też jakieś organizowałem, pakowałem paczki. Normalna robota.

CHAOS: A zdaje się miałeś jakieś problemy w związku ze stosunkiem do obowiązkowej służby wojskowej przy tym wyjeździe?

Arek: A no tak, nie chciałem brać udziału w zajęciach wojskowych na uczelni, wtedy obowiązkowych. Inna rzecz, że studiowanie, gdy robiło się non stop trasy nie było proste. Gdy wróciłem, do odmienionej już wtedy Polski to czekała na mnie służba zastępcza.

CHAOS: Jak to było organizować zagranicznym kapelom trasy po PRL-u w czasach jego schyłku, przy wszechobecnej entropii i niemocy ogólnej?

Arek: Zajebiście. Dużo ludzi na koncertach. Pozytywna energia. Naziole przeszkadzali, ale... za chwilę znów będą przeszkadzać. Najgorsze były trudności formalne, wizy, paliwo, oficjalne zaproszenia, pojebani celnicy, ale energia była super.

CHAOS: Byłeś z FUGAZI na niesławnym koncercie na Jelonkach?

Arek: Oczywiście. Opiekowałem się nimi na tej trasie. Jakby mało było zadymy na Jelonkach to ratując vana i sprzęt pojechaliśmy do jakiejś knajpy w centrum, a tam przy sąsiednim stoliku gość wypalił drugiemu w łeb z przyłożenia. Z gazówki, ale chyba typ i tak do piachu.

CHAOS: Ja byłem szczęśliwy, że te czasy minęły, ale chyba przedwcześnie...Wielokrotnie dosyć pogardliwie się wypowiadasz o pankroku, a jednocześnie to jednak z tą sceną jesteś dosyć mocno, chociażby poprzez historię Anteny Krzyku, związany, a nawet jesteś jednym z jej pionierskich współtwórców - nie widzisz tu pewnej niekonsekwencji?

Arek: Nie. Scena, ta moja, się skończyła. Nie tu, ale wszędzie. Ten punk teraz z gitarowym dogmatem, przebrany na czarno, z milionem zakazów to nie mój punk. Ostatnio rozmawiałem o tym z moim kolegą z Waszyngtonu - dziś już nie zrobisz takiej trasy na tysiące ludzi, jak kiedyś grało FUGAZI. Nie ma klubów, jest korpo sznyt, musisz iść przez agencję, bookera, ticketmastera i co tam jeszcze. Wiem, że na mikroskalę nadal można, ale... Szanuję to, co robi wielu młodszych kolegów, ich zaangażowanie w związki zawodowe, sprawy lokatorskie, ochronę zwierząt, ale nie widzę potrzeby by wpisywać to we wspólny mianownik punka. Po prostu nie potrzebuję już tego szyldu. Nie mam dwudziestu lat tylko ponad pięćdziesiąt, nie ujawniam też świadomie swoich działań pozamuzycznych, bo uważam, że to moja prywatna sprawa. Pewnie, że fajnie, gdy takie akcje jak ta dla Aleppo w zeszłym roku, czy ta, którą ogłosimy za chwilę mogą zdobyć większy rozgłos, ale do tego nie jest potrzebny punkowy szyld.

CHAOS: Nawet nie wiem czy jest jakiś wspólny mianownik teraz. Może nostalgia podszyta kasą, skoro nawet B.G.K. reaktywuje się na Rebellion.

Arek: Nostalgia i pieniądze. Dobre połączenie. Ci, co kiedyś się buntowali dziś mają co wydawać. Portfele zasobniejsze...

CHAOS: A widzisz, bo ty stroisz sobie żarty z

rozmaitych ortodoksów, a jednocześnie sam dosyć mocno potrafisz trzymać ideologiczną gardę, a akcje „uderz rozgłośnię harcerską w Ryłko", za którą Pietia w zasadzie przeprosił, do dzisiaj uważasz za godną, słuszną i zbawienną. Gdzie jest twoim zdaniem granica między ideologicznym zacietrzewieniem a dawaniem ciała? Bo nie ukrywasz, że w życiu z muzyki nie widzisz niczego zdrożnego, a jednocześnie dostrzegasz żenadę w takich skokach na kasę nostalgików.

Arek: Nie, jak są ludzie, którzy chcą za to zapłacić to ich sprawa. Nie mam z tym problemu, bo myślę, że obie strony wiedzą, co robią. Jedni zarabiają kasę, drudzy chcą się poczuć jakby znów mieli 20 lat. Dolina Charlotty dla pokolenia lat 60. Z Ryłko było nieco inaczej, państwowa rozgłośnia, granie bezpiecznego szajsu, chińskie ręczniki. Życie z muzyki zaś to po prostu konieczność. Jeśli 10 godzin dziennie poświęcasz na zajmowanie się labelem to nie ma innej możliwości niż życie z tego. Ilu jest takich ludzi, co z tego żyją w PL? W tym okołopunkowym środowisku na palcach jednej ręki policzysz i gdy któregoś brakuje układanka nie działa.

CHAOS: Czy da się w ogóle wyżyć w Polsce z niszowego lejbela?

Arek: Zależy jak niszowego. Miewam tytuły, które nie tylko pozwalają mi żyć, ale i finansować kilka kolejnych płyt. Trzeba się gimnastykować, ale gdzie dziś nie trzeba.

CHAOS: No właśnie, jak jest z tą niszowością Anteny w tej chwili - masz poczucie, że jesteś na tyle duży, że przed tobą decyzje czy iść dalej w profesjonalizację czy celowo trochę się samoograniczyć?

Arek: Ja już to przerabiałem. „Gospel" był najlepiej sprzedającą się płytą w Polsce, gdy się ukazał. Dziś mam jeden dylemat - czy zatrudniać firmy PR-owe do promocji moich wydawnictw czy nie, czy może raczej, do których tak, a do których nie.

CHAOS: Firmy PR, jezu świebodziński, wiesz, że gadamy do ortodoksyjnego pisma? (śmiech)

Arek: Wiem, i może czas by i ortodoksi wiedzieli jak to działa! (śmiech) Nawet kominiarskie bandy robią promo przez profesjonalnych PR-owców. To jest ten nowy świat, ten, w którym mój punk nie istnieje. Czasem to nie jest wygodne dla wizerunku artysty/wytwórni, ale tak to teraz działa.

CHAOS: A nie szkoda ci trochę tego staropunkowego romantyzmu? Wiesz, doceniam robotę agencji PR, ale oni dzisiaj pracują dla Anteny, jutro dla Kukiza, jest w tym zawodowstwo, ale gdzie duch DIY?

Arek: Ja mówię o realiach zachodnich. Te firmy mają wąską specjalizację i nie mogą sobie pozwolić na kombinacje. Dochodzi do absurdów, bo niektóre redakcje nie są zainteresowane pocztą wprost z wytwórni. Korpoworld.

CHAOS: Realia zachodnie, właśnie. Bo czasami można odnieść wrażenie, że koncentrujesz się raczej na rynkach, że użyję tego paskudnego słowa, zagranicznych bardziej niż na polskim. Czy to wynika z bryndzy, która u nas panuje pod tym względem?

Arek: Nie, to wynika z tego, że wydaję artystów, których uważam za na tyle dobrych, że mogą zaistnieć i tu i tam. Inna rzecz, że ilość mediów, które mogą recenzować/grać taką muzykę spada.

CHAOS: No w Polsce mamy w zasadzie w mejnstrimie „NOISE" i „Gazetę Magnetofonową" w podziemiu „Chaos", „Pasażera" i parę mniejszych tytułów i szlus.

Arek: Wydając kilka płyt w miesiącu w PL nie można liczyć na promocję w zinach, bo ukazują się albo nie. „Noise" jest spoko, „Magnetofonowej" chyba ludzie zainteresowani taką muzą nie czytają, bo tam od Rodowicz po ALLES.

CHAOS: A jakie są kryteria, którymi się kierujesz przy wydawaniu, bo katalog Anteny Krzyku to są bardzo różne rejony muzyczne - niby twardym rdzeniem jest noise rock, ale jak się przyjrzeć bliżej to nawet nie jest 1/3 antenowych wydawnictw?

Arek: Bo wydaję to, co mi się podoba albo... kumpli. Czasem jest tak, że płyta jest średnia, ale kolegom się pomaga. Minęło mi, wraz z kryzysem wieku średniego, wydawanie avantimpro czy jak to tam zwać.

CHAOS: Dużo masz w ogóle takich namolnych artystów, którzy nie przyjmują do wiadomości odmowy i zadręczają kolejnymi demówkami? Ewentualnie czy dużo kompletnie od czapy dostajesz propozycji, w rodzaju... Nie wiem, eksperymentalnego hip hopu chrześcijańskiego?

Arek: Teraz mam tak, że na cały przyszły rok mam już plan wydawniczy, a wiem, że jeszcze coś wpadnie, bo na bank jakiś antenowy zespół wejdzie do studia albo trafi się takie WAILIN STORMS. Tak, demówek przychodzi sporo, niektóre przedziwne.

CHAOS: Rzuć jakimś przykładem absolutnie od czapki dziwactwa, jeżeli to nie tajemnica firmowa. Bez nazw, wystarczy parę słów opisu.

Arek: Żadna tajemnica - sporo elektroniki przychodzi. Od takiej, co to teraz modna po prawie Marka Bilińskiego. Czasem bagno punki i ci się najbardziej jeżą, gdy słyszą, że nie, bo nie moja bajka.

CHAOS: Słabi są w riSercz...

Arek: Strzelają na ślepo.

CHAOS: A w ogóle... Powiedz mi, jak to jest, że najbardziej punkowe składy w PL w tej chwili to kapela podwórkowa, wątła dziewczynka z równie wątłym chłopcem i elektroniczny duet?

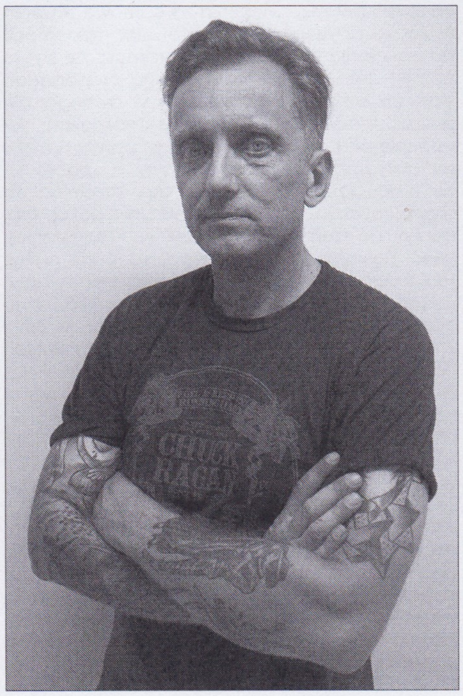

W dodatku wszyscy oni wydają w wytwórni, której szef się, gdzie może i jak może, od punka odcina?

Arek: No, bo taki teraz jest ten punk. Dogmat gitary i piwnicy z pająkami umiera... (śmiech) Akurat wszystkie trzy zespoły łączy świadomość i wyjście poza sztampę, a o to kiedyś w punku chodziło. Zabawne jest też to, że SIKSA i HAŃBA! mają sukces wykraczający poza ramy „scenowe" i scenesterzy mają o to pretensje chcąc ściągnąć ich znów do tej piwnicy z pająkami.

CHAOS: E chyba nie bardzo, przynajmniej ja się z tym zbyt często nie spotykam. SIKSA ma elektorat negatywny, ale dużo szerszy niż scena przecież... No, ale jak już przy kontrowersjach jesteśmy - jak to jest z tymi polowaniami i ich popularnością wśród amerykańskich niezależnych muzyków? Ostatnio ktoś z UNSANE opowiadał o tym, że lubi o poranku iść postrzelać - w Europie to jest absolutnie niewyobrażalne.

Arek: No nie wiem... Znam niemieckich punków, co polują. W Stanach zaś to dość popularna „rozrywka" od prawa do lewa i ugruntowana przez wieki, jak prawo do posiadania broni i absurdalny wpływ NRA na politykę. W Stanach jest więcej rzeczy, które nam wydają się idiotyczne. Przez lata pracy z ludźmi stamtąd nauczyłem się nie oceniać ich po dziwactwach. Mam tam też takich znajomych, co to walczą z polowaniami z łukami, legalnymi sidłami. To inny świat trochę. Zwłaszcza poza wybrzeżami i dużymi miastami.

CHAOS: Niemieckich może, ale ludzi z CHUMBY już sobie nie wyobrażam z flintą. Powiedz mi, a masz czasem takie poczucie, że projekt „scena DIY" w Polsce średnio wypalił? I w ogóle szerzej, kontrkultura cała? Ściskają się byli kontestatorzy z konserwatyzmem na wyrywki...

Arek: Trochę tak, wydaje mi się, że przez dziwaczne samoograniczenia czasem i nieatrakcyjność dla młodych ludzi. Tego ukłonu w stronę konserwy to nie rozumiem, bo znaczy to tylko tyle, że ten punk to było tylko ubranko i muzyka pod nóżkę. Z drugiej strony masz fajne miejsca robione przez fajnych ludzi, z którymi niekoniecznie muszę się zgadzać. Jest Zemsta, jest Rozbrat, Ada, etc. To margines marginesu, ale jednak.

CHAOS: No to na koniec - jak ci się w ogóle żyje z opinią pyskacza i przemądrzalca, na którą sobie bezkompromisowością sądów zapracowałeś przez lata? Nawet u części kolegium redakcyjnego pisma, dla którego właśnie rozmawiamy? (śmiech)

Arek: Pyskacza? Toż ja nie wchodzę w zwarcia! (śmiech) Kolegium to chyba nie znam za bardzo, więc jak komuś nastąpiłem na odcisk to... trudno. Przemądrzalca. To słyszę pierwszy raz i jakoś będę musiał z tym żyć. Nie jest tak, że mam całkiem wywalone na to, co inni o mnie myślą, ale gdybym się tym przejmował to Anteny by już dawno nie było. Dobranoc.

CHAOS: Dzięki za wywiad. Dobranoc.

MIŁOŚNICY CZARNEGO SZTANDARU

Z Krzysztofem „Galem" Galińskim, współtwórcą anarchistycznych pism „A Cappella" (1986-1989) i „Mać Pariadka" (1990-2005), jednym z inicjatorów Federacji Anarchistycznej, rozmawiamy o anarchizmie, oscylowaniu między opozycją a alternatywą, a także o zmianach ustroju politycznego w Polsce. Przepytywał: Mateusz Flont

CHAOS: Dlaczego zaangażowałeś się w wydawanie opozycyjnego pisma?

Galu: W opozycji za czasów PRL-u, jeśli ktoś chciał mieć poczucie, że walczy z systemem, to oprócz uczestniczenia w rocznicowych manifestacjach, właściwie musiał być zaangażowany w jakąś formę papierowej rewolucji – czyli powinien powielać albo kolportować opozycyjne wydawnictwa. Mógł też robić jedno i drugie – pomimo tego, że było to wbrew zasadom konspiracji. Niektórzy działali na zasadzie pełnego DIY: robili jakąś akcje, sami o niej pisali, sami ten tekst powielali i kolportowali. I tak też bywało czasem w naszym przypadku. Artykuł 282a kodeksu karnego mówił, że za wytwarzanie i kolportaż treści „szkalujących władzę", czyli w praktyce wszystkich, które nie miały pieczątki cenzury, można było dostać do

trzech lat więzienia. Tak więc robiąc publikacje poza głównym obiegiem, mogło nam się wydawać, że jesteśmy zaangażowani w coś bardzo ważnego i wywrotowego.

CHAOS: Jak powstała wasza grupa?

Galu: Jest taka mantra, która się pojawia za każdym razem, kiedy jest mowa o powstaniu WiP-u: „Ruch Wolność i Pokój powstał w 1985, był to pomysł krakowsko-warszawski. Niektórzy ludzie w opozycji już od pewnego czasu szukali jakiejś nowej formuły działania. Skazanie w 1984 Marka Adamkiewicza na dwa i pół roku więzienia za odmowę złożenia w wojsku przysięgi na wierność ZSRR dało impuls do powstania Ruchu". Trzeba przyznać, że był to pomysł dość przewrotny. Oficjalna propaganda stawiała państwa socjalistyczne w awangardzie pokoju. Według niej NATO-wski imperializm nieustannie parł do wojny, natomiast państwa bloku socjalistycznego uparcie walczyły o „dobro ludu pracującego miast i wsi" (np. strzelając do strajkujących robotników) i „walczyły o pokój" (np. dokonując rzezi całych wiosek w Afganistanie). Więc powołanie niezależnego od partii ruchu, mającego w swym programie rozbrojenie, antymilitaryzm, prawa człowieka, ekologię itd., było trochę pomysłem wejścia w buty przeciwnika i zagrania mu na nosie poprzez potraktowanie tych haseł poważnie.

Natomiast nasz trójmiejski ośrodek WiP powstał na bazie kilku osób z Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego (założonego w Gdańsku dwa lata wcześniej) i osób z innych środowisk opozycyjnych, w dużej mierze spośród gdyńskiej młodzieży. Zaczęło się od włączenia do ogólnopolskiej akcji wysyłania książeczek wojskowych do MON-u, na znak protestu za skazanie Adamkiewicza, za co władza dawała po dwa miesiące aresztu. W ośrodku działało w porywach kilkanaście aktywistek i aktywistów. No, a jak już powstała grupa, jasne było, że musimy mieć swój „organ", w którym ujawnimy światu nasze przemyślenia.

CHAOS: Skąd pomysł na tytuł pisma?

Galu: Tytuł „A Cappella" oczywiście nie miał nic wspólnego ze śpiewem kościelnym. Ważna była w tym słowie litera „A" na początku. Dawało to możliwość puszczenia odbiorcy sygnału („A" w kółeczku), że klimat tej publikacji będzie anarchizujący. Było to ważne dlatego, że w WiP-ie istniały różne środowiska, więc chcieliśmy być wyraźni w odbiorze. Poza tym słowo a cappella oznacza chór bez orkiestry, czyli obwieszczaliśmy dumnie, że nikt nam nie przygrywa – śpiewamy zespołowo, ale bez podkładu...

CHAOS: Gdzie powielaliście pismo?

Galu: W kilku miejscach; dużą pomocą było środowisko warszawskie. Pierwsze numery drukował Roland Kruk, mający dostęp do podziemnego offsetu. Potem znaleźliśmy drukarnię, która – prawdopodobnie – obsługiwana była przez ekipę z KPN-u w Gdańsku, przynajmniej taką ksywę („KPN-owiec") miał drukarz. Miejscem redakcji na początku była piwnica Wojciecha „Jacoba" Jankowskiego, potem to były bardzo różne lokale, ale w sumie moglibyśmy uchodzić również za pismo kościelne. Parę numerów składaliśmy bowiem na Górce, czyli na zapleczu kościoła i klasztoru dominikanów w Gdańsku, gdzie działało duszpasterstwo akademickie; w środowisku gdańskiego WiP-u były osoby praktykujące. Kiedyś po jakimś spotkaniu, bodajże przeglądzie filmów video, udało nam się uzyskać zgodę na przechowanie maszyny do pisania i papierów redakcyjnych. Dostawaliśmy więc klucze od któregoś z ojców i szliśmy na zaplecze, gdzie w spokoju, bo SB u nich rewizji nie robiła, mogliśmy przepisywać teksty i lepić makiety. Jeden z ojców, który dawał nam klucz, domyślał się, że nie jesteśmy ekipą ministrantów, bowiem za każdym razem mówił: „Witam przedstawicieli lewicy laickiej". Tak więc współpraca z „psami Pana" układała nam się dobrze, pomimo że gdańscy dominikanie nie byli raczej fanami teologii wyzwolenia...

CHAOS: Ktoś jeszcze wam pomagał?

Galu: Oczywiście, bez dotacji z zewnątrz pismo by się nie ukazywało. Tzw. „Angliści", czyli Go-sia Tarasiewicz i Adam Jagusiak, mieszkali w centralnym miejscu w Sopocie. Gosia miała duże mieszkanie po kimś z rodziny. Każdy zagraniczny gość (a pojawiało się ich dość sporo, najczęściej z jakichś organizacji pokojowych na Zachodzie), który chciał zobaczyć to dziwo, czyli ruch pokojowy za żelazną kurtyną, który nie był PRL-owską atrapą, nocował właśnie u Gosi. Również z racji biegłego władania językiem angielskim Gosia i Adam niejako skazani byli na rolę ich opiekunów. Po takiej wizycie zawsze dostawaliśmy jakiś datek. Nie były to oszałamiające sumy, ale przelicznik dolarowy w tamtych czasach był taki, że kwota 20 czy 50 dolarów amerykańskich była fortuną. W związku z tym zaplecze lokalowe „Anglistów" – i niejako ich praca jako przewodników – dawała nam bazę materialną do wydawania pisemka. Poza tym były też wpłaty od tzw. normalnych ludzi, czyli czytelników, które do nas dochodziły kolportażową drogą zwrotną. Był też WiP-owski fundusz ogólnopolski, którym zarządzała Rada Funduszu. Rzecz jasna nie było mowy, by na coś poza drukiem to wystarczało, ale w sumie byliśmy w bardzo komfortowej sytuacji, bo nie musieliśmy z własnej kieszeni dopłacać do wydawnictwa.

CHAOS: Jakie tematy poruszaliście?

Galu: W „A Cappelli" chcieliśmy pokazać inne spojrzenie na armię. Szybko okazało się, że mówiliśmy coś, co – o dziwo!, zważywszy na doświadczenie stanu wojennego – nie było jakoś specjalnie popularne. Twierdziliśmy, że armia to instytucja zniewalająca, antyspołeczna, że należy wyciągnąć wnioski z niedawnej obecności czołgów na ulicy i pacyfikacji strajków przez własne wojsko. Jacob i ja byliśmy wcześniej w RSA – czyli w formacji, która była nie tyle przeciwko komunistycznemu wojsku, ale armii jako takiej. Po aresztowaniu i odsiadce (Jacob właśnie za odmowę służby wojskowej, mnie zamknęli za posiadanie ulotek) już na całego zaczęliśmy działać w WiP-ie i tam staraliśmy się, że tak powiem, popularyzować bardziej krytyczny punkt widzenia na armię.

CHAOS: Dlaczego nie robiliście tego nadal w RSA?

Galu: Bo tam koledzy byli ciągle w ścisłej konspiracji, a WiP był półjawny i osoby „spalone" po kryminałach mogły w nim działać z otwartą przyłbicą, np. podając swoje adresy jako kontaktowe. Poza tym WiP, jako dużo większe środowisko dawał szansę na skuteczniejsze rozpropagowanie naszych postulatów.

CHAOS: Jakie to środowisko było?

Galu: Trzeba pamiętać, że pierwszymi WiP-owcami nie byli żadni „lewacy" (chociaż dziś ten termin kompletnie nic nie znaczy) tylko tacy ludzie jak późniejszy wysoki oficer Urzędu Ochrony Państwa Piotr Niemczyk, niedoszły premier Jan Maria Rokita, były szef MON-u Bogdan Klich, PiS-owski minister zdrowia Konstanty Radziwiłł i wiceminister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz. Już po pierwszych kontaktach, szczególnie z Krakowem (zanim zaczęli tam prym wodzić anarchiści Marek Kurzyniec czy Rafał Górski), wiedzieliśmy, że tradycja niepodległościowa jest ważną częścią ich tożsamości; że ich anty-militaryzm, przynajmniej części z nich, ogranicza się jedynie do armii, która jest zbrojnym ramieniem PZPR. Dlatego my w „A Cappelli" chcieliśmy wyraźnie popularyzować krytyczne podejście do wojska, bez względu na to, jakiej jest proweniencji.

CHAOS: I to się wam udało.

Galu: W dużej mierze dzięki temu, że Jacob odmówił właśnie służby wojskowej – a nie samej przysięgi jak Adamkiewicz – i dzięki szumowi, jaki się wokół jego odsiadki i głodówki w więzieniu zrobił, temat zastępczej służby stał się w WiP-ie bardziej nośny niż kwestia przysięgi. Tak więc po krótkim czasie „docierania" już wszyscy w WiP-ie zgadzaliśmy się, że ci, którzy nie chcieli służyć w armii z powodów sprzeciwu sumienia, powinni mieć prawo do odpracowania wojska w ramach zastępczej służby, np. w szpitalu, ośrodkach pomocy społecznej itp. Zgadzaliśmy się również w tym, że trzeba do tego dążyć metodami pokojowymi.

CHAOS: Czyli non violence?

Galu: Tak. Pokazywaliśmy, że można protestować jawnie w kilka czy kilkanaście osób. Przykładowo robiąc sitting (protest na siedząco) w jakimś miejscu publicznym czy przed urzędem. Podczas protestu poprzez transparenty, ulotki i przemówienia nagłaśniało się dany problem (np. więźniowie polityczni, elektrownia atomowa, trująca huta Siechnice, przymus służby wojskowej itd.). Było to nowe zjawisko, bo dotychczas, by zamanifestować sprzeciw trzeba było czekać aż uzbiera się tłum, który przeważnie na widok ZOMO albo zaczynał uciekać, albo rzucać kamieniami.

Stosowanie sittingów miało swoje plusy i minusy. Plusy takie, że można je było robić już w kilka osób, a bywały też i pojedyncze. O ile dobrze pamiętam, Marek Krukowski z wrocławskiego WiP-u w środku miasta przywiązał się do czegoś na dachu i spuścił na linie z torbą ulotek i tubą. Tak wisząc, przemawiał i rozrzucał ulotki. Trochę to trwało, zanim SB-ecji udało się go wciągnąć z powrotem. Innym razem, gdy mnie zamknęli na miesiąc, Jacob zrobił jednoosobową manifestację pod budynkiem SB w Gdańsku z transparentem żądającym mojego uwolnienia, by po chwili samemu zostać aresztowanym na miesiąc z tego samego paragrafu, z którego ja siedziałem.

Minusem tych protestów była swego rodzaju elitarność. Przez to, że zawsze kończyły się one zatrzymaniem, dłuższym lub krótszym aresztem, czasem kolegium, nie wszyscy mogli sobie na to pozwolić. Z drugiej strony, na świecie bywały sittingi, które też kończyły się represjami, a w których uczestniczyło tysiące osób, mogliśmy więc mieć nadzieję, że i u nas ta forma protestu stanie się bardziej popularna. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że niektórzy WiP-owcy mieli problem z konsekwentnym non violence, uczestnicząc zarówno w tych pokojowych, jak i bardziej ekspresyjnych protestach, jeśli się akurat trafiły.

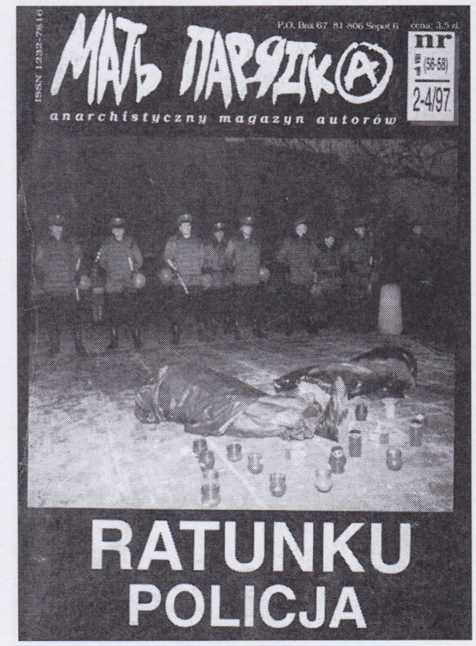

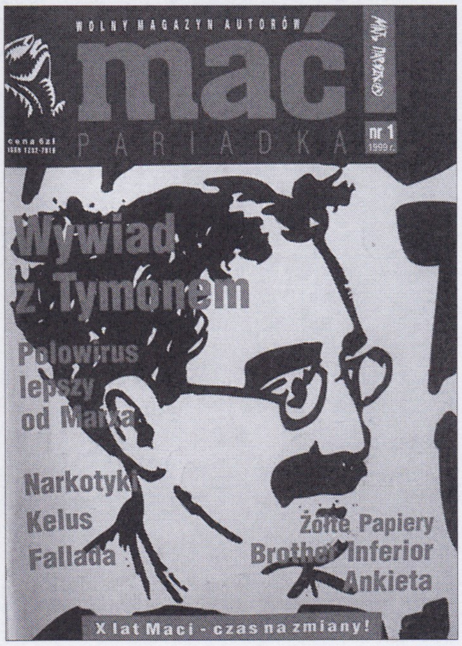

CHAOS: A były w opozycji ciągoty do walki zbrojnej?

Galu: Opozycyjne akcje z bronią, z wyjątkiem zabójstwa (w sumie przypadkowego) sierżanta Karosa w stanie wojennym, chyba się nie zdarzały. W drugiej połowie lat 80. w opozycji antykomunistycznej nie było, z tego, co mi wiadomo, żadnej terrorystycznej anty-PZPR-owskiej formacji. Pełny monopol na terroryzm miała władza, ale pojawiały się czasami takie pomysły. Paradoksalnie, nasz kolega Andrzej Miszk przed WiP-em miał taki „zbrojny" epizod. Wydrukował z przyjaciółmi odezwę wzywającą do zbierania broni, by walczyć o niepodległość i rozlepił ją po całym Trójmieście. Na szczęście nikt ich nie wziął poważnie, a im samym te pomysły szybko przeszły. Jeszcze przed WiP-em przyszedł do RSA pewien znany młodzieżowy działacz opozycyjny z Gdańska o ksywie „Pistolet", z propozycją byśmy wysadzili z nim gdański komitet PZPR, a po naszej odmowie, na odchodne rzucił: „To już koniec opozycji, jeśli nawet anarchiści dają dupy".

CHAOS: Co się z nim stało?

Galu: Po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że wyemigrował do Francji (bezpieka dawała czasami opozycjonistom paszporty w jedną stronę), wiedzieliśmy już, że są trzy rodzaje terrorystów: delikatnie mówiąc – niewyrobieni refleksyjnie, prowokatorzy SB i ci, którzy niesamowicie się radykalizują, by następnie z powodu braku poparcia ogłosić odrazę do otaczających ich konformistów i ze spokojnym sumieniem przestać robić cokolwiek.

Trzeba jednak pamiętać, że połowa lat 80. to czas pewnego zastoju. Strajki wygasły, a masowe manifestacje stawały się coraz rzadsze. Pytanie „jak protestować?" stawało się niezwykle ważne. Funkcjonowało oczywiście w obiegu ewangeliczne „zło dobrem zwyciężaj", jednak jakiejś szerokiej dyskusji na temat tego, jak i gdzie ten „opór dobra" stosować, nie było. WiP ze swoimi sittingami, „dachingami" (protesty na dachach) czy „rusztingami" (na rusztowaniach), odwoływaniem się do Gandhiego, próbował i teoretycznie, i poprzez praktykę, ogarnąć ten temat. „A Cappella", publikując informacje o tych naszych akcjach, miała więc niejako za zadanie upowszechniać te nowe formy wyrażania sprzeciwu.

CHAOS: Jak odbierały ten antymilitaryzm i popularyzowanie non violence inne grupy opozycyjne?

Galu: To chyba Gombrowicz powiedział: „zrobili z Boga pistolet, z którego chcą zastrzelić Marksa". Podobnie było z naszym antymilitaryzmem, pacyfizmem, anarchizmem i ekologią. Byliśmy tolerowani, czasem wspierani, bo byliśmy w opozycji do „komuny". Wydaje mi się, że w szeroko pojętym środowisku opozycyjnym, a więc i w WiP-ie, to bezprzemocowe nastawienie w ogromnej mierze wynikało z czystego pragmatyzmu, który nakazywał nieużywanie przemocy w sytuacji, kiedy się kompletnie nie miało szans nic nią osiągnąć. U ilu osób to podejście wynikało z postawy moralnej, odrzucającej przemoc jako taką? Tego nie da się zweryfikować. Tak czy siak – jednak bardzo dobrze, że pomysłów zbrojnego oporu nikt nie upowszechniał, bo przecież u dzieciaków (sam, jako nastolatek miałem okres fascynacji militariami, a nawet jeszcze w stanie wojennym jakieś głupie pomysły z tym związane) dość łatwo byłoby takie ciągotki podsycić. To, że opozycja nie strzelała, zawdzięczamy więc zdrowemu rozsądkowi i może takim ludziom jak ks. Popiełuszko.

Jednak, jeśli dziś Jacob jest buddyjskim mnichem zen, Andrzej Miszk ma święcenia diakona, Janusz „Jany" Waluszko i część RSA miała poważny okres zainteresowania Braćmi Polskimi (tymi od drewnianej szabli), a u mnie na wsi odbywają się letnie spotkania kwakrów (społeczność wyznaniowa, która w 1947 r. dostała za swą działalność Pokojową Nagrodę Nobla), to wszystko chyba może świadczyć, że nasze środowisko miało słabe zadatki kadrowe, by organizować jakąś polską wersję bandy Bonnota.

CHAOS: Jakie było wówczas twoje zdanie na temat komunizmu w PRL-u i komunizmu w ogóle?

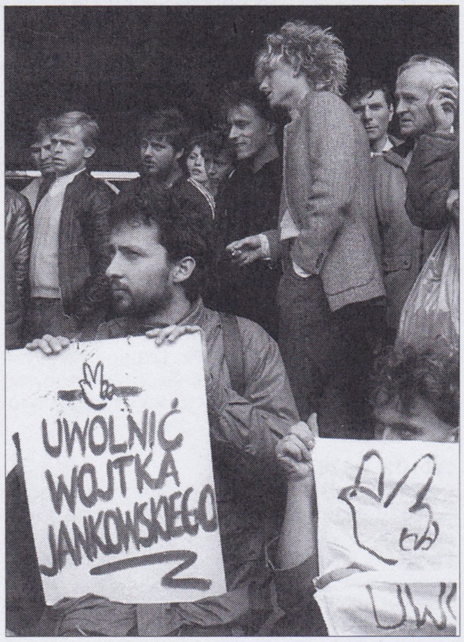

Galu: W opisie teoretycznym peerelowskiego „komunizmu" wystarczało mi to, co zrobił prof. Leszek Nowak. Pomimo że on publikował swoje prace już w 1981 r., to ja natknąłem się na nie dopiero gdzieś w połowie lat 80. (w dużej mierze dzięki anarchizującej ekipie z Poznania). Jego teoria dotycząca „trójpanowania", czy szerzej jego nie-marksistowski materializm historyczny, brzmiał mi dobrze, chociaż skłamałbym, że wszystko z tego, co pisał, zrozumiałem. Nowak uważał, że socjalizm w PRL-u jest tylko kamuflażem. Pisał, że doświadczamy w nim sytuacji totalitarnej, ponieważ klasa rządząca – czyli aparat partyjny – zawładnęła wszystkimi trzema kluczowymi obszarami dominacji: środkami produkcji, przymusu i indoktrynacji. W ujęciu Nowaka w PRL-u mieliśmy więc społeczeństwo jeszcze bardziej klasowe niż na Zachodzie, a klasa biurokratów z PZPR (wspomniani trójpanowie) gorsi są od burżuazji. Zatem w tym ujęciu w latach 80. nie było żadnej walki z „komuną", tylko z trójpanami. Optymistyczne było to, że Nowak wierzył, iż poprzez zryw solidarnościowy to trójpanowanie się właśnie kończy i jest szansa na wytworzenie jakiegoś nowego, bardziej wolnościowego modelu społecznego.

CHAOS: Tak się jednak nie do końca udało...

Galu: Nowak przestrzegał, że każda władza ze swej natury dąży do takiego monopolistycznego systemu, w którym podporządkowuje sobie te trzy obszary. Wyraźnie ostrzegał, że gdy rewolucjoniści przejmują środki przymusu, stają się kolejną klasą panów. Mamy tu jakby echa z Jana W. Machajskiego. To wszystko przybliżało mi i innym Nowaka, jako autora w pewnym sensie anarchizującego. Od Nowaka uczyliśmy się, że to jak rządzący nami władcy nazywają swój autorytaryzm, nie ma znaczenia.

Co zaś się tyczy stosunku do komunizmu (marksizmu?) obecnie, to uważam, że namysły nad nim – szczególnie, jako osoba mieszcząca się w przedziale wiekowym 50 plus – mogę spokojnie sobie odpuścić. Nie sądzę bowiem, by w mojej skromnej perspektywie czasowej trzeba było się z tym zagadnieniem zmagać w praktyce. Wydaje mi się, że nawet, jeśli będzie dochodziło do jakiś zmian, to będą to jedynie – niestety – korekty w ramach istniejącego status quo. No, ale mogę się mylić.

CHAOS: Jak odkryłeś anarchizm i czym był dla ciebie, kiedy współtworzyłeś „A Cappellę"?

Galu: W drugiej połowie lat 80., gdy powstawała „A Cappella", ciągle jeszcze można było śnić wizję, że jakieś ważne, systemowe przemiany są przed nami. Przeświadczenie, że ten „komunizm" nie jest traktowany na serio już przez nikogo (nawet przez jego strażników), było w tym czasie dość powszechne. Kiedy to miało nastąpić i jak dokładnie miała wyglądać ta uwolniona od rządów PZPR-owskiego aparatu rzeczywistość, tego sobie nie precyzowałem. Na pewno nie brałem pod uwagę scenariusza, że po „komunie" jakiś duży zakład pracy, np. stocznia, kopalnia czy huta miały być własnością jednej osoby czy prywatnej spółki – to po prostu nie mieściło mi się w głowie. W okresie „karnawału Solidarności" powstawały przecież różne koncepcje społecznej własności środków produkcji. Był pomysł Sieci Wiodących Zakładów Pracy z Izbą Samorządową przy sejmie, pracowano nad wizjami przedsiębiorstw społecznych, zwiększeniem roli Rad Pracowników itd., itp. Fanów Friedricha Augusta von Hayka, którego prace były drukowane w II obiegu przez entuzjastów wolnego rynku i świętego prawa własności, nazywaliśmy w mało subtelny sposób, przekręcając nazwisko myśliciela. Uważaliśmy ich za ideowych degeneratów. No bo, jak tu po czymś takim masowym jak Sierpień '80 myśleć w innych

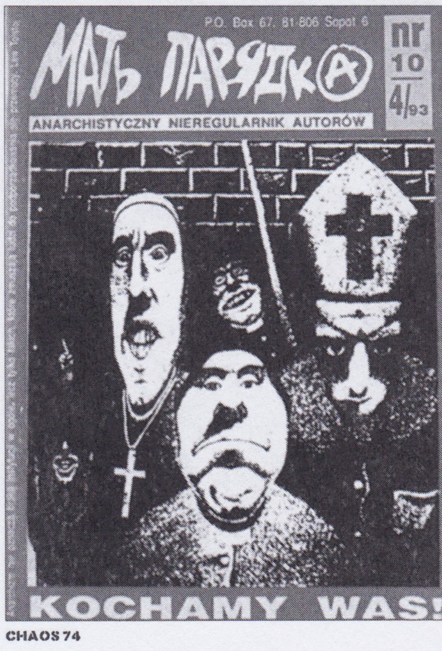

kategoriach niż... klasowych czy wspólnotowych? Jak to możliwe, żeby normalny człowiek chciał wyrwać się spod dominacji PZPR-u tylko po to, by się samemu urządzić i żyć kosztem innych?!

CHAOS: Co pomogło ci sprecyzować poglądy?

Galu: W pewnym sensie mój anarchizm, ale jeszcze nienazwany, zaczął się wraz ze stanem wojennym. Odkrycie, że państwo może tak jawnie, bez środków znieczulających, chwycić obywateli za twarz, tylko dlatego, że chcą być traktowani podmiotowo, że chcą rzeczywistej partycypacji, było szokujące i skłaniało do refleksji nad tym, czym jest ta instytucja. Co prawda jeszcze w 1979 r. zakolegowałem się z ekipą, która kolportowała prawicową bibułę, głównie „Bratniaka" Ruchu Młodej Polski, czy takie wydawnictwa jak „Rewolucja bez rewolucji" Leszka Moczulskiego, jednak hasło „niepodległość" nie działało mi na wyobraźnię tak jak późniejsze, sierpniowe hasła typu: „wszyscy mamy jednakowe żołądki", czy po prostu „solidarność".
Próba nazywania tych intuicji zaczęła się natomiast gdzieś w okolicy 1983 r. od przeczytania cytatu z Edwarda Abramowskiego w jakimś artykule w prasie podziemnej. W tym fragmencie Abramowski (w roli wizjonera) pisał krytycznie o państwowym socjalizmie, którego jeszcze przecież za jego czasu nie było. Rzuciłem się więc do biblioteki Polskiej Akademii Nauk, gdzie wytropiłem jego publikacje, a następnie zacząłem szperać w klasykach. Przy okazji natknąłem się na książkę Hermana Rappaporta „Anarchizm i anarchiści na ziemiach polskich do 1914"; solidne, naukowe opracowanie z masą dokumentów. Do dziś pamiętam swoje autentyczne wzruszenie podczas czytania policyjnych relacji z wieszania nastoletnich anarchistów straconych w Warszawie po rewolucji 1905 roku. O jednym z nich, Aaronie Cipie, popełniłem nawet swego czasu – nazwijmy to – wiersz. Pomocna była też literatura propagandowa. Naukowcy po Wieczorowym Uniwersytecie Marksizmu-Leninizmu musieli coś robić, więc w bibliotekach było trochę opracowań krytycznych dotyczących ruchów lewackich na Zachodzie, do których również wrzucali anarchistów, ale trafiały się też perełki. Pamiętam bardzo dobrą publikację „O anarchizmie i granicach wolności" – była to rozmowa kilku naukowców, m.in. specjalistów od anarchizmu Franciszka Ryszki i Daniela Grinberga.
Łatwo się, więc domyśleć, że moje światopoglądowe poszukiwania niespecjalnie rezonowały z klimatami moich znakomitych kumpli od prawicowych wydawnictw. Ci, z którymi jeszcze drukowałem bibułę w stanie wojennym, wywodzili się z niezależnego harcerstwa (ich pierwsze pismo podziemne nosiło tytuł „Orlę Lwowskie"). Dlatego dopiero kontakt z RSA i z „Homkiem" pozwolił mi wyjść z idejkowego osamotnienia.

CHAOS: Czy mógłbyś określić, jaki nurt anarchizmu cię najbardziej interesował?

Galu: Kwestia identyfikacji z jakimś konkretnym nurtem anarchizmu w naszym RSA/WiP-owskim środowisku to jest bardziej skomplikowana sprawa. Na siłę mógłbym powiedzieć, że była to u mnie jakaś mieszanka anarchosyndykalizmu, który – w moich, i nie tylko moich, halucynacjach – miał się rozwinąć z programu Rzeczpospolitej Samorządnej (nazwa programu NSZZ „Solidarność") i wiary w to, że wolność indywidualna będzie mogła się w tym modelu swobodnie rozwijać. Wierzyłem, że prawo do autonomii jednostki da się pogodzić z interesem ogółu. Szczegóły mnie nie zajmowały, wystarczyło mi wezwanie Abramowskiego, by tworzyć Rzeczpospolitą Przyjaciół i organizować

się w kooperatywy, wypierać państwo, gdzie się da, a jak się okaże, że potrzebny jest policjant, np. do kierowania ruchem, to go zostawić. Cóż... jak to często w życiu bywa, tworzyłem sobie jakieś obrazy, nie mając większego kontaktu z rzeczywistością. Proletariusz przecież ze mnie był żaden. Pomimo że całe moje doświadczenie zawodowe w tym czasie to było parę miesięcy pracy, jako pracownik fizyczny i miesiąc w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni na wydziale tokarek (jako praktykant), to nakładałem na biedną, wielkoprzemysłową klasę robotniczą – która za chwilę miała odejść do historii – odpowiedzialność za stworzenie nowego, sprawiedliwszego systemu...

CHAOS: Czy jacyś ideolodzy anarchizmu byli wzorami dla ciebie oraz redakcji „A Cappelli"?

Galu: Myślę, że dla większości ważne były nie tyle przekazy klasyków – chociaż pewnie każdy otarł się o Abramowskiego, „Pomoc wzajemną" Kropotkina czy jakieś wybrane prace lub opracowania (najczęściej krytyczne) Michaiła Bakunina, Maxa Stirnera, Georgesa Sorela czy Pierre'a-Josepha Prudhona – co po prostu samo życie.
Trzeba jednak wyjaśnić pewną kwestię: to, że ileś tam osób współpracowało z naszym pisemkiem, nie oznaczało, że musieli się oni ze wszystkim zgadzać. Czasy podziemnej Solidarności to ten wspaniały okres, kiedy ludzie potrafili wznieść się (z nielicznymi wyjątkami) ponad własne idejki (zajmując się kolportażem wydawnictw II obiegu, nie dzieliło się ich na „słuszne" i „niesłuszne"). Liczyła się wolność słowa, wolny przepływ myśli. Wydaje mi się, że wielu współpracowników „A Cappelli" było zwolennikami... anarchizmu intuicyjnego:-), a bywali też tacy (np. Angliści), których w ogóle anarchizm nie interesował, a korzystali z gazetki, bo była wolnym, opozycyjnym medium.
Inspiracje mogły do nas przychodzić z różnych stron, np. Waluszko był zafascynowany sarmatyzmem, zgłębiał polską filozofię czynu, więc Stanisław Brzozowski był jakoś w obiegu, ale jak powiedziałem, nie byliśmy specjalnie rozintelektualizowani. Być może nie należy przesadzać z przykładaniem wagi do teorii – życie samo podsuwa pomysły. Gdy parę lat później w Trójmieście zaczęliśmy wydawać „Ulicę", walczyć z podwyżkami wody, czynszów itp., wspierać kupców gdańskich w sporach ze skorumpowanym prezydentem Gdańska, gdy robiliśmy ruch miejski lat 90., mało kto wczytywał się w Murraya Bookchina. Zresztą, kto wie, może czytanie biografii anarchistów ma więcej sensu, niż czytanie ich prac teoretycznych? Dzisiaj jedna z ważniejszych dla mnie anarchistycznych książek to biografia Pawła Lwa Marka „Na krawędzi życia. Wspomnienia anarchisty 1944-45".
Natomiast, co do teorii metod walki, to z tego, co pamiętam, w WiP-owskim środowisku popularna była książka Wojciecha Modzelewskiego „Walka bez użycia przemocy. Metody i idee". Tak więc w obiegu pojawiały się takie nazwiska jak: Gandhi, Martin Luther King, Henry David Thoreau, Lew Tołstoj, Jean-Marie Muller. W ramach biblioteczki „A Cappelli" Jarema Dubiel wydał broszurę „Ghandi - Satyagraha - non violence".

CHAOS: „A Cappella" wyróżniała się nie tylko tematyką, ale również formą wizualną.

Galu: „Forma przekazu sama jest przekazem" – w „A Cappelli" również graficznie chcieliśmy manifestować swobodę i pewien brak napięcia, jeśli chodzi o różnego rodzaju konwenanse. Stąd właśnie upodobanie do kolaży, chaotycznego składu, swobodny język. Pamiętaj, że byliśmy chłopakami mającymi po dwadzieścia parę lat, więc ta nasza młodzieńczość musiała jakoś się przejawiać. Robiliśmy to zarówno poprzez teksty, jak i grafiki, które czasem nijak się miały do walczącego charakteru pism opozycyjnych, jednak nas po prostu bawiły czy ciekawiły. Oprócz Klaudiusza Wesołka nie było wśród nas punkujących kontestatorów, ale jednak stylistyka fanzinów była nam faktycznie bliska. Również kolegowanie się z ekipą Totartu miało swoje znaczenie. Nie chcieliśmy dać się zamknąć w klatce pisemka "podglebnego", tak więc z czasem zaczęty pojawić się u nas teksty czy rysunki,

" Tylko ludzie złej woli mogą uważać, że wszelkie inicjatywy, ruchy pokojowe – to inspiracja Moskwy." / M. Gorbaczow /

A cappella

NIEREGULARNIK RUCHU " WOLNOŚĆ I POKÓJ " GDAŃSK nr 1.

FOTO PAN

"CHODZI O TO
ażeby urzeczywistniał się swobodnie ten idealny wzór życia, który nosimy w sobie, ażeby nasze potrzeby i nasz sposób pojmowania nie były hamowane i wypaczane przez interwencję obcego przymusu. Chodzi mi o to nie dlatego, iż uważamy swoje ideały za bezwzględnie rozumne, doskonałe i obiecujące powszechne zbawienie, lecz dlatego tylko, że są nasze, że stanowią naszą własną naturę moralną, która dla nas przez nic innego zastąpiona być nie może i którą przez to samo musimy bronić od zagłady. Dobro, w które wierzymy, nie przedstawia się wtenczas jako absolutne, bezwzględne, lecz jest nim dlatego tylko, że tkwi w potrzebach naszych, że jest tym wzorem życia, którego zaparłszy się musielibyśmy zarazem zaprzeć się samych siebie, tj. zginąć moralnie."
Tyle E. Abramowski. Próżno i darmo, ale niektórzy ludzie w swoim idealnym wzorze życia nie mają miejsca na wojsko. I nie pomaga tu tupanie tradycjonalistów

które równie dobrze można by opublikować w punkowym zinie. W „A Cappelli" debiutował np. Jarek Zimny, znakomity komiksiarz alternatywny z tamtych czasów, który nie był specjalnie polityczny (z czasem stał się filarem komiksowym „Mać Pariadki"). Pojawiały się również grafiki, np. Paulsa, grafika Totartu, który po 1989 r. znalazł pracę w „Gazecie Wyborczej".
Były u nas również wiersze, czasem ocierające się o obscenę, były też „walczące" teksty piosenek, np. Boba Marley, ale i Dezertera, Kultu czy T. Love Alternative. Z czasem, gdy ruszyła tzw. „biblioteczka A Cappelli" wzięliśmy się również za literaturę i udało nam się wydać (również dzięki Jaremie Dubielowi) m.in. debiut Andrzeja Stasiuka „Prison is Hell" czy opowiadanie Jacoba „Krajobraz po bitwie".

CHAOS: Mogę więc śmiało stwierdzić, że „A Cappella" zaczynała, jako pismo II obiegu, ale skończyła jako pismo III obiegu.
Galu: Zanim zaczęliśmy robić „A Cappellę", tworzyliśmy inne pisma, głównie na tzw. białku – czyli na matrycach białkowych i „powielaczach" zrobionych z filcu, flaneli i metalowego wałka. Przy tej technice drukarskiej nie było mowy o jakiś graficznych zabawach, bo jeśli robiło się rysunek, to trzeba go było „wytatuować", dziurkując igłą matrycę białkową. Dlatego dopiero pojawienie się offsetu – bo na sitodruku i paście Komfort jakość też była mierna – i ksera pozwalało na jakieś kombinowanie graficzne. „A Cappellę" robiliśmy na offsecie już od pierwszego numeru i z każdym następnym mogliśmy pozwalać sobie na więcej. Tak jak już mówiłem, mogliśmy poprzez kolaże i nieszablonowy skład przekazywać, że jesteśmy trochę z innej bajki niż podziemny biuletyn jakiejś zakładowej czy kościelnej organizacji. Robiliśmy, co się dało, żeby uciec od sztampy pism bezdebitowych, np. numer 9 miał „kolor", tzn. strony były drukowane w różnych kolorach. Z kolei w jednym z numerów wklejaliśmy „relikwię" spalonej książeczki wojskowej. Nasz kolega z gdańskiego WiP-u, Lech Parell, w ramach protestu-happeningu spalił ją w domu Zbyszka Sajnóga (lidera Totartu), a my zrobiliśmy z tego relację fotograficzną. Na kropelkę kleju sypaliśmy szczyptę autentycznego popiołu MON-owskiego dokumentu... Nie pamiętam dokładnie, na ile nam to starczyło, ale na kilkaset na pewno. Poza tym nasza fascynacja graffiti również miała odbicie w pisemku. Drukowaliśmy wzory szablonów, popularyzowaliśmy muralia i sami je robiliśmy. Do wysyłanej za granicę „A Cappelli" dołączyliśmy nawet apel o przysyłanie farby w spraju i o dziwo kilka, ku naszej niezmiernej radości, do nas dotarło.

CHAOS: Czym był dla ciebie w takim razie III obieg?
Galu: To publikacje bezdebitowe, ale opozycyjne, chociaż to może za duże słowo... ale przynajmniej krytyczne nie tylko wobec władzy, ale również wobec szerszej, społecznej rzeczywistości. Podział może być trochę płynny, ale powiedzmy, że wydanie poza cenzurą np. wierszy Miłosza czy Herberta to obieg II, a wydanie „Skowytu" Allena Ginsberga to już obieg III.

CHAOS: Czyli można powiedzieć, że „A Cappella" była zinem anarchistycznym?
Galu: Jeśli założyć, że zine to amatorskie, niskonakładowe wydawnictwo pasjonatów, robione nie dla zysku, to uznanie nas za anarchizujący zine byłoby uprawnione. Chociaż nie wiem, jak to z niskim nakładem, bo trafiały się numery po trzy tysiące egzemplarzy. Mam wrażenie, że dla „starej" opozycji mogliśmy być zinem, a dla środowiska alternatywnego pismem opozycyjnym. Myślę, że ten balans pomiędzy jednym a drugim był całkiem udany, w pewien sposób odzwierciedlał nasze zainteresowania i temperament.

CHAOS: Jakie tematy, poza antymilitaryzmem i non violence, poruszano jeszcze w „A Cappelli"?
Galu: Wydaje mi się, że potrafiliśmy zachować proporcję spraw ważnych i mniej ważnych. Gdy wybuchły strajki w 1988 r. byliśmy na stoczni i robiliśmy „A Cappellę" strajkową z rysunkiem samozaspokajającego się trąbą słonia z podpisem-apelem. Wzywaliśmy do porzucenia działania wsobnego i przyłączenia się do strajkujących i pomagających w strajku, co zresztą sami robiliśmy. Do stoczni przerzucaliśmy jedzenie, a ze stoczni ulotki na miasto. Oprócz politycznych spraw bieżących stałym tematem była walka z elektrownią atomową w Żarnowcu i prawa człowieka, w tym domaganie się zniesienia kary śmierci.
Oprócz spraw krajowych mieliśmy również w pisemku „informacje z zagranicznego pola walki". Mając kontakty z zachodnimi organizacjami antymilitarnymi, dostając od nich liczne materiały, czuliśmy się w obowiązku pisać również o ich działaniach. Nagłaśnialiśmy bardzo różne inicjatywy od wielkich protestów, jak np. sprawę Larzac (gminy, którą armia francuska przeznaczyła na poligon bez liczenia się ze zdaniem miejscowej ludności) po strajk rowerowych doręczycieli przesyłek z Nowego Jorku. Działacz z tego środowiska, Bob McGlynn, przez lata odwiedzał nas i wspierał, publikując w swoim zinie „On Gogol Boulevard" informacje o WiP-ie. Bywały też publikacje o ruchach separatystycznych, np. Kanaków w Nowej Kaledonii. Oczywiście interesowały nas również inne kraje demoludów, tym bardziej, że tam też zaczęło się coś dziać w naszym klimacie, np. nagłaśnialiśmy sprawę Zoltana Keszthely (był takim węgierskim Adam-kiewiczem) czy działaczy z Czechosłowacji.
O ile publikacje dotyczące państw bloku sowieckiego były odruchem solidarności, to

informacje o represjonowaniu działaczy zachodnich pokazywały, iż na tym naszym wymarzonym Zachodzie ludzie też walczą o swoje prawa i że czasami społecznicy trafiają tam do więzień za podobne rzeczy, co w demoludach.
Można jeszcze wspomnieć o czymś, czego raczej nie ruszały inne pisemka podziemne w tamtym czasie, czyli kwestie obyczajowe. Kosztowało nas to konflikt z niektórymi stałymi czytelnikami. Po wydrukowaniu krytycznego tekstu o akcji milicyjnej pod kryptonimem „Hiacynt", która polegała na masowym tzw. przeczesaniu – czyli zatrzymaniu, przesłuchaniu i inwigilacji – środowiska gejowskiego, dla niektórych czytelników staliśmy się propagatorami... pedofilii. W przypadku rodziców jednego z naszych redaktorów doszło nawet do zerwania (wcześniej bardzo dobrych) kontaktów towarzyskich.

CHAOS: W tym miejscu warto wspomnieć o składzie redakcji „A Cappelli".
Galu: Jacob miał pomysł, by do redakcji wpisać jak najwięcej osób, również z innych ośrodków WiP-u. Pojawiła się także koncepcja redakcji przechodniej, tzn. redaktorem każdego numeru miał być ktoś z innego miasta. Skorzystały z tego chyba dwie czy trzy osoby i to też nie do końca, bo przy naszej sporej pomocy. Ten pomysł wyprzedzał epokę, w dobie Internetu pewnie by się sprawdził. Jednak lata 80. to czas zamawiania międzymiastowej rozmowy telefonicznej na poczcie, tak więc problemy komunikacyjne właściwie uniemożliwiały sensowną pracę nad gazetką na odległość.
W spisie redakcji była więc cała masa ludzi, ale jeśli nawet nie udzielali się, jako faktyczni redaktorzy, to byli zawsze kimś w rodzaju kontaktu. Trudno więc wymienić wszystkich zaangażowanych w „A Cappellę". Jak wspomniałem, pomysł powołania pisma zrodził się w zespole: Jacob, Miszk i ja. Miszk odpadł już przy pierwszym numerze, uznając, że projekt jest za mało ambitny. Chciał robić pismo bardziej elitarne. Myślę, że chodziło mu o coś w rodzaju „Czasu Przyszłego", które z czasem wydawał Czaputowicz. W sumie nie ma się, co dziwić, bo pierwszy numer „A Cappelli" to była właściwie ulotka (4 strony A5). Przy piśmie pracowali (ale na pewno kogoś pominę, bo to jednak 30 lat, więc niech to będzie mi wybaczone): Roland Kruk (drukowanie), Janusz „Jany" Waluszko (RSA), Anna Niedźwiedzka, Małgorzata Tarasiewicz, Adam Jagusiak, Klaudiusz Wesołek, Krzysztof Skiba, Jarema Dubiel i Adam Bota – tu warto się zatrzymać, bo Adam Bota to pseudonim. Był konfidentem SB i niestety ważnym członkiem redakcji „A Cappelli".

CHAOS: Kim był naprawdę?
Galu: Nie podaję prawdziwego nazwiska, bo jest identyczne z nazwiskiem innego naszego kolegi, bardzo zacnego człowieka i lepiej by się to nie mieszało. Bota w latach 90. był właścicielem wydawnictwa Phantom Press. Nawiązując jeszcze do poprzedniego pytania o tematykę, to Bota był gorącym zwolennikiem rozszerzenia kierunku pisemka właśnie w stronę mocno kontrowersyjnych obyczajowo tematów – mógł to robić na zlecenie SB, ale jak to było rzeczywiście, już się nie dowiemy. Warto może dodać, że Bota na własną rękę w tej samej drukarni, gdzie drukowaliśmy „A Cappellę", wydał jeden numer pisemka „Antytabu". Było to najzwyczajniej pisemko pornograficzne; prawdopodobnie jakieś przedruki z zachodnich pism porno. Wydawnictwo dość kuriozalne, bo pobudzać erotycznie tak niesłychanie niską jakością druku, to trzeba było znaleźć prawdziwych pasjonatów.

CHAOS: Interesowałeś się w późniejszych latach tematem inwigilacji środowiska „A Cappelli"?
Galu: To ciekawe zagadnienie – wkład konfidentów do rzeczywistej pracy opozycyjnej. Podobno jak otwarto teczki carskiej Ochrany, bolszewicy byli w szoku, ilu zasłużonych towarzyszy współpracowało, a jednocześnie ile autentycznej pracy dla rewolucji wykonywali. Czasami trudno było określić, czy więcej zaszkodzili, czy pomogli sprawie. Podobnie było z Botą. W ostatnich numerach „A Cappelli" to on przepisywał teksty, czyli zajmował się najbardziej technicznie męczącą pracą, a być może robiła to jakaś pani na Okopowej (ulica, przy której było gdańskie SB). Tak czy siak, był bardzo ważnym członkiem redakcji. Pewnie nigdy się nie dowiemy, na ile był człowiekiem uwikłanym we współpracę z SB, ale mającym jednak jakieś własne poglądy czy sympatie, a na ile niejako na „zimno" wykonywał służbowe polecenia.
Oczywiste jest, że pod koniec lat 80. milicji politycznej nie chodziło już o zamykanie, a głównie o kontrolę czy przekierunkowanie środowisk opozycyjnych, względnie o ich rozbijanie. W papierach IPN-u dotyczących naszej działalności czytałem o konieczności „antagonizowania" i „wzmagania konfliktów". Jest nawet relacja ze spotkania kilku naszych gdańskich kolegów (akurat nieanarchizujących), którzy dostali propozycję założenia osobnej grupy pokojowo-ekologicznej, w dodatku pod patronatem Kościoła. Pojawiają się tam nawet propozycje wsparcia sprzętowego potrzebnego do działalności wydawniczej. Jest to tylko relacja ze spotkania, ale wygląda, jakby to samo SB było inicjatorem powołania tej nowej, niedoszłej „inicjatywy społecznej"... Można się, więc zastanawiać, czy rozejście się ludzi z „A Cappelli" to jedynie nasze wewnętrzne potrzeby szukania własnych ścieżek, czy też trochę „pomoc" organów.

CHAOS: Zmieniał się wtedy w Polsce ustrój polityczny. Jak wspominasz ten czas?
Galu: Bycie świadkiem tego procesu – i przy tym jakoś aktywnym – to ważne doświadczenie. Dzięki temu mogę dziś nie kupować żadnej z dominujących wersji w opisie tego okresu. Bo przecież z jednej strony nie było żadnego wielkiego zwycięstwa wolnej Polski nad komunizmem, z drugiej nie było też wielkiej zdrady elit „różowych", które się dogadały z „czerwonym" za plecami bogoojczyźnianej prawicowej opozycji i umęczonego narodu.

CHAOS: To jak widzisz tę zmianę?

Galu: Po prostu aparat PZPR, już bez balastu ideologicznego (jak to powiedział Kwaśniewski? „Nigdy nie byłem komunistą, byłem jedynie w komunistycznej partii"), z błogosławieństwem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego (słynna pożyczka moskiewska Leszka Millera) rozpoczął metamorfozę. Głównie miały na to wpływ sytuacja międzynarodowa, gospodarka, nikła skala społecznego poparcia, z którą nic już nie dało się zrobić. To wszystko pchnęło ich do otwarcia się i dokooptowania opozycyjnej, świeżej krwi, by bezpiecznie, wspólnie zrobić wylinkę z niewydolnego już ekonomicznie realnego socjalizmu do „raju wolnego rynku", co po różnych perturbacjach dało nam III RP.

Co do tzw. zdrady narodowej, to oprócz Michnikowszczyzny w Magdalence i przy okrągłym stole był Kościół i działacze PAX-owscy, czyli ludzie mało „różowi". Prawda jest taka, że większość najaktywniejszych i prominentnych w opozycji faktycznie weszła w ten nowy układ, ale zrobiła to przy rzeczywistym poparciu części i obojętności reszty społeczeństwa. Paradoks polega na tym, że właśnie autentyczni, prawdziwi czerwoni byli w tym czasie najbardziej dla „komuny" niebezpieczni, bo przeszkadzali w prokapitalistycznych przemianach. Przecież pierwsze pismo opozycyjne, które Jaruzelski zalegalizował, to była „Res Publica" liberałów. W tym samym czasie, w ponoć socjalistycznym państwie, socjalistyczne pismo „Robotnik" PPS-u było nadal nielegalne.

Dziś, gdy obserwuję się scenę polityczną, to słychać już nawet nie rechot historii, a rzężenie. Ci, którzy nie kiwnęli palcem, by odrodziła się prawdziwa Solidarność, autentyczny ruch pracowniczy – bo w czasie uwłaszczania zamiast prawdziwego związku potrzebna im była jedynie atrapa, jako parasol ochronny nad ich rządem – mówią o „dziedzictwie Solidarności", o jej „niezapomnianej roli". Te puste frazesy, pomniki, medale, muzea i uroczystości na jej cześć mają przykryć przygnębiającą prawdę o upadku tego ruchu i jego grabarzach (z PO czy z PiS-u – bez różnicy).

CHAOS: Jaki był stosunek szeroko rozumianego środowiska anarchistycznego do zachodzących przemian w tym czasie?

Galu: W czasie okrągłego stołu wydaliśmy numer 14 „A Cappelli" z napisem na okładce: „Nie chcemy gadać przy okrągłym stole, chcemy go wywrócić!". Najlepszym dowodem na słabość społecznego oporu może być fakt, że w Gdańsku w okresie przełomu Andrzej Gwiazda – były wiceprzewodniczący 10-milionowego związku – wraz z legendarną Anną Walentynowicz właśnie z nami (czyli po prostu z planktonem opozycyjnym, bo przecież niczym innym anarchizujące środowisko RSA/WiP czy Federacji Anarchistycznej nie były) robili wspólne protesty! Chodziliśmy na spotkania reaktywowanych Wolnych Związków Zawodowych w skromnym mieszkaniu Gwiazdów na Żabiance i tam dyskutowaliśmy. Pomagaliśmy w kolportażu ich pisma „Poza Układem", dzieląc się również naszymi publikacjami („Mać", „Homek", „Gdańska Alternatywa", „Ulica"). Środowisko Gwiazdów, tzw. Gwiazdozbiór, jako jedno z nielicznych w tamtym czasie próbowało, a my wraz z nimi, protestować przeciw neoliberalnej hochsztaplerce, ale byliśmy w tym dziele osamotnieni. Opozycja tamtego czasu, podobnie jak w latach 70., znowu mieściła się w kawalerce. Oprócz WZZ i nas została jeszcze Solidarność '80, resztki Solidarności Walczącej, resztki WiP, podzielony PPS i jakieś inne niewielkie formacje.

CHAOS: Czyli ta „zmiana systemu" osłabiła zapał do buntu.

Galu: Przecież mieliśmy już „wolną Polskę", więc nie było powodu do protestów. A poważnie, to faktycznie swoistym fenomenem transformacji był fakt, że przy tak gigantycznych przemianach, likwidacji wielkich zakładów pracy, zmianach własnościowych w miastach i na wsi, protesty w porównaniu do rangi przeobrażeń były słabe. Ludzie z błogosławieństwem Balcerowicza ruszyli po pierniczki (jak w „Balladzie o królu" Okudżawy) i to jest fakt. TKM (Teraz, kurwa, my) było zjawiskiem powszechnym. To był czas nowego rozdania, szybkich karier i szybkich pieniędzy. Oczywiście nie dla wszystkich, ale to poczucie, że wielka kasa i kariera są w zasięgu ręki, było masowe. W naszym środowisku też. Pamiętam, że spotkałem kolegę z RSA, bardzo aktywnego kilka lat wcześniej. Nie widzieliśmy się jakiś czas i spytałem go, co porabia. On odpowiedział, że sprzedaje samochody, a gdy spytałem, jakiej marki, to stwierdził, że i tak mnie nie będzie stać. Co się okazało? Po jakim czasie zobaczyłem go sprzedającego na ulicy szmatki do przecierania okularów (jako dowód ich skuteczności wycierał przechodniom ich szkła). Był jedną z tych ofiar mitu „od pucybuta do miliardera". Wierzył, że co prawda na razie zajmuje się handlem obnośnym, ale za chwilę będzie właścicielem salonu Ferrari, Porsche... Dziś jest woźnym z kłopotami zdrowotnymi. Wiem, bo ostatnio spotkaliśmy się w ośrodku zdrowia w kolejce do rehabilitacji... :-)

CHAOS: Wielu dało się oszukać kapitalizmowi...

Galu: Elity miały swoje polityczno-ekonomiczne „wielkie żarcie", ale część „ludu" też na coś się mogła załapać. Na przykład „Mać" było drukowana na offsecie, ale przygotowanie, diapy i blachy trzeba było dla drukarni załatwić. Więc chodziłem do oficjalnej firmy, która mi to robiła. Dowcip polegał na tym, że ta „firma" legalna, z wizytówkami i adresem biura (w mieszkaniu), to był jeden facet, który pracował w Państwowych Zakładach Graficznych. Na państwowym sprzęcie i materiale robił usługę i prywatnie ją sprzedawał. Takie mini „uwłaszczenia" były na porządku dziennym. Zresztą muszę się sam przyznać do współudziału w złodziejskiej reprywatyzacji, chociaż możliwa jest też inna interpretacja tego czynu, np. jako rewolucyjnej ekspropriacji. Otóż na początku 1990 roku razem w Wojtkiem „Zappą" Janiszewskim poszliśmy do biblioteki PZPR w Opolu i wypożyczyliśmy całe torby książek dotyczących związków zawodowych, historii walki ruchu robotniczego, itp., itd., po czym... świadomie ich nie oddaliśmy, mając plan stworzenia niezależnej biblioteczki. Cóż, myśmy przejmowali książki, które i tak pewnie poszłyby na przemiał. Inni w tym czasie, bardziej rozgarnięci, z tą samą łatwością i bez ponoszenia konsekwencji, przejmowali wille, w których te biblioteki się znajdowały, zakłady poligraficzne, wydawnictwa i kraj.

CHAOS: Podejrzewam, że były też bardziej radykalne akcje.

Galu: Po wyborach 4 czerwca 1989 nastało istne szaleństwo naszego anarchizującego akcjonizmu. Trzeba zrozumieć złożoność tej sytuacji. Po pierwszym kryzysie, kiedy część kumpli zaczęła odchodzić w prywatność – a to ze zmęczenia (znudzenia), a to uznając, że pookrągłostołowa rzeczywistość to jest max, co można było osiągnąć. Inni odchodzili robić większe czy mniejsze kariery polityczno-biznesowe. Przyszła nowa fala młodych, alternatywnych (często związanych ze sceną punk) aktywistów.

Jak teraz o tym pomyślę, to działaliśmy jakby w amoku. Chcieliśmy fabryk dla robotników i prawdziwych samorządów. Nie chcieliśmy Jaruzelskiego, jako prezydenta, Balcerowicza z jego reformami i Wałęsy, jako liderów przemian. Wspieraliśmy Czechów, Chińczyków, stoczniowców (oni dalej strajkowali, tylko, że mało kogo to już obchodziło). Walczyliśmy z obecnością wojsk radzieckich w Legnicy (akcja z wejściem do koszar Armii Czerwonej i rozrzucaniem tam ulotek po rosyjsku; żołnierze poprawili na nich nasze postulaty) i o sprawiedliwość w Rosji pod ich konsulatami, po zamordowaniu przez KGB działacza związkowego Piotra Siudy. Po puczu Janajewa pojechaliśmy nawet z Janym do Moskwy na proces towarzyszy z KAS-u (Konfederacja Anarcho-Syndykalistów), którzy podczas swojego aresztowaniu uszkodzili funkcjonariuszy KGB. Wspieraliśmy Anglików w walce z Poll tax, robiąc pikiety pod ambasadą. Gdy podpisano konkordat ze skandalicznym wprowadzeniem religii do szkół, zaczęliśmy robić protesty antyklerykalne, które dotyczyły nam się przecież nie przytrafiały, m.in. akcje palenia świadectw z religii pod kościołami. Jak gdyby tego było mało, zaczęliśmy działać z większym rozmachem na rzecz praw zwierząt, obok „Maci" wydając już w większym formacie i nakładzie, gazetkę „Beek", którą zaczęliśmy robić jeszcze za „komuny".

CHAOS: Czyli jednak to była jakaś zmiana na lepsze?

Galu: Po latach 80., kiedy każdy najmniejszy protest kończył się zatrzymaniem, kolegium itd., mogliśmy wreszcie działać bez ponoszenia większych konsekwencji. W PRL-u mieliśmy co chwilę rewizję (mój rekord to trzy rewizje w mieszkaniu w ciągu jednego tygodnia, ale byli tacy, których nachodzili jeszcze częściej) i musieliśmy brać przed snem melisę, by ostabiać lęki, że SB-ecja nas rano obudzi. Więc tak zwana „wolna Polska" faktycznie była lepsza chociażby dlatego, że dawała się przynajmniej spokojnie wyspać.

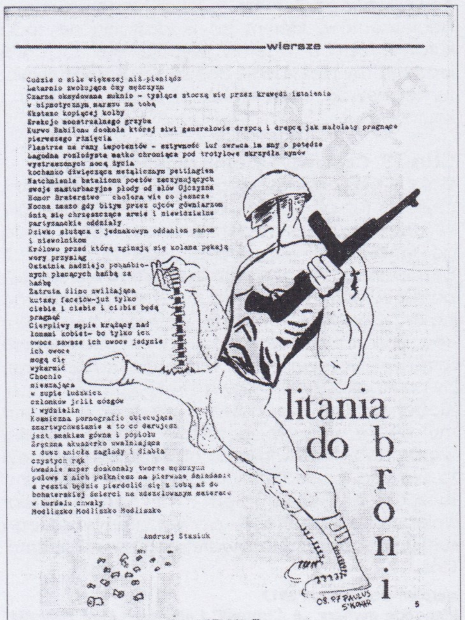

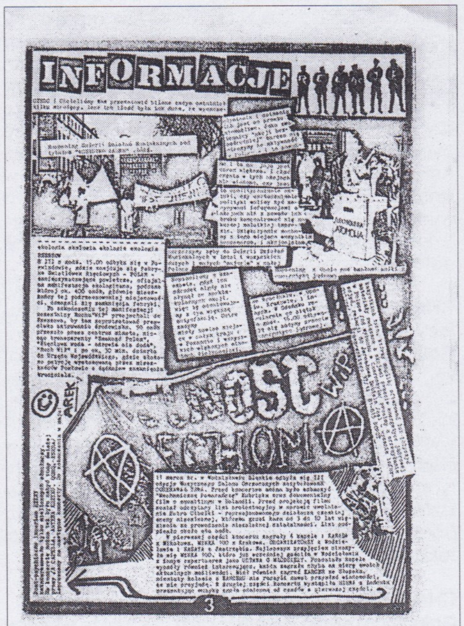

Po 1989 roku mieliśmy, Anka Niedźwiecka i ja, tylko jedną rewizję. Szukano nielegalnego nadajnika radiowego oraz materiałów do produkcji ładunków wybuchowych. O ile to pierwsze miało znamiona realności – bo były rozmowy z francuską FA o przekazaniu nam nadajnika – to o żadnych bombach nie mogło być mowy. To przeszukanie mogło być pretekstem w związku z działalnością przedziwnej (wiele wskazuje na to, że będącą policyjną prowokacją) grupy anarchistycznej o nazwie „Oddział 13 Grudnia". Zgadzam się z opinią, że nowe służby specjalne RP wraz z ekipą narodowców z Narodowego Frontu Polski (ale to już historia na inną okazję) wykorzystały młodzieńczy zapał kilku aktywistów do robienia akcji w stylu wrzucania różnych quasi ładunków wybuchowych w przeróżne miejsca (redakcje, lotnisko). Prawdopodobnie chodziło o to, by rozbić środowisko FA/RSA – Odział wydał na nas wyroki, za to, że ich krytykowaliśmy. Z drugiej strony, miał pewnie pomóc decydentom w uzasadnieniu konieczności zwiększania nakładów na tajniacką antyterrorystyczną działalność policji.

Krótko mówiąc, pławiliśmy się w tej możliwości wyrażania niezgody, w radosnym szale, że nikt nas nie wsadza za brak debitu ani nie aresztuje dzień przed akcją. Walczyliśmy o wszystko, co słuszne, zarzucając rodaków tonami papieru. Pierwsze legalne pismo zrobiliśmy już w 1989 roku wspólnie z Piotrem Ikonowiczem z PPS. Zatytułowane było „Inaczej", drukowane w państwowej drukarni, składane jeszcze linotypem; nakład 10 tys. Pamiętam jeden z artykułów pt. „Jeśli nie ludowa to czyja?", oczywiście chodziło o Polskę. Gdyby w 1989 r. opozycjoniści zblatowani z elitą PZPR zadali sobie to pytanie, dziś nie trzeba by było narzekać na chadecko-endeckie reanimacje, bo bez paliwa w postaci kwestii socjalnych nie mieliby specjalnych szans.

CHAOS: A wydawanie pism było łatwiejsze?

Galu: Po 1989 r., gdy jedyną barierą dostępu do powielania stała się kasa, ruszyła rzeka młodzieży ze swoimi ksero (czasami offsetowymi) produktami. W każdym mieście wychodziły fanziny punkowo-anarchistyczne. W samej Warszawie w pewnym momencie ukazywało się pięć pisemek anarchistycznych, w tym kilka bardzo dobrych.

Mając po dwadzieścia parę lat, jak już mówiłem, patrzyliśmy na wylinkę systemu, a wydawało nam się, że obserwujemy rozkład. Łudziliśmy się, że trzeba tylko zagrać odpowiednią melodię, by obudzić śpiących w społeczeństwie rycerzy i stworzyć coś poza biurokratycznym socjalizmem monopartii a kapitalizmem. Cóż, robiliśmy swoje, a Moloch pozwalał nam na aktywność, bo byliśmy bez znaczenia... :-)

CHAOS: Dlaczego zająłeś się wydawaniem „Mać Pariadki", czyli pisma stricte anarchistycznego? No i dlaczego nie zachowałeś poprzedniej nazwy?

Galu: „A Cappella", co prawda była tytułem wymyślonym przeze mnie, ale pisemko robił zespół ludzi, więc było dla mnie oczywiste, że nikt nie miał wyłączności do nazwy. „A Cappella" skończyła się, bo część WiP-owców poczuła, że nadchodzi nowe, a to daje więcej możliwości. Gosia Tarasiewicz została koordynatorką Komisji Kobiet NSZZ „Solidarności", Jagusiak dostał pracę w ambasadzie w Nowym Yorku, Wesołek dostał stypendium zagraniczne, Jarema poświęcił się działalności ekologicznej. Inni poszli w tzw. prywatność. Jacob już wcześniej odpadł i próbował pogodzić życie ojca i partnera ze swoją wytęsknioną wizją indiańskiego życia w tipi.

Wracając do tematu – nie byłem redaktorem naczelnym „A Cappelli", bo pomijając to, że i tak nie mam kierowniczych predyspozycji, to jako środowisko faktycznie chcieliśmy, żeby ta nasza gazetka była wolnościowa nie tylko w treści, ale i w sposobie funkcjonowania – czyli bez szefów (jeśli już, to byłem kimś w rodzaju ciecia z kluczami do szatni). Jednak pisma było mi szkoda. Przyszło nowe, wobec którego byłem nieufny, a że nie starczyło mi wyobraźni, by robić coś innego antysystemowego, to wraz z podobnymi mi ludźmi (Anną Niedźwiecką i Wojtkiem „Zappą" Janiszewskim) zaczęliśmy robić, jako kolektyw „Czarny Alians" (grupa w ramach FA), nową gazetkę – „Mać Pariadkę". Nikogo oprócz siebie nie reprezentowaliśmy, mogliśmy być tym, kim się czuliśmy – miłośnikami czarnego sztandaru. Oczywiście na posterunku trwał niezmordowany Waluszko, a potem kilkanaście innych dzielnych osób, począwszy od młodej ekipy: Filipa Majchrzakowskiego i Przemka Guldy, którzy najpierw redagowali w „Maci" punkowy dodatek „Żółte Papiery", a potem stali się filarami całej gazetki, po weteranów opozycyjnych, takich jak np. Stefan Adamski, który był współredaktorem biuletynu Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Solidarność w 1980 roku.

CHAOS: Co było istotne dla was, kiedy wydawaliście „Mać Pariadkę"?

Galu: Pierwszorzędne w tej naszej kilkunastoletniej przygodzie wydawania „Maci", jako pisemka/zina anarchistycznego, nie były sieci kolportażu, nakład czy nawet treść, tylko to, że potrafiliśmy robić coś przez tyle lat wspólnie – nie dla zysku czy pozycji. Ze spraw technicznych istotne może być jedynie to, że gdyby nie jedna dziewczyna, Anka Niedźwiecka, która harowała zarobkowo w firmce składu komputerowego, nie byłoby za co wydawać tych pierwszych kilkunastu numerów, a jak wiadomo, „kto zrobił początek, ten zrobił połowę".

CHAOS: Tworzyliście jedno z najdłużej ukazujących się pism o tej tematyce w Polsce.

Galu: Jak się popatrzy na tę masę wydawnictw lat 90., to przecież trzeba sobie zadać pytanie, czemu autorzy tych liczonych w setki, jeśli nie tysiące, inicjatyw wydawniczych III obiegu nie podejmowali wysiłku dogadywania się, by z tych pomysłów niestychanie kameralnych, wynikających z autentycznej potrzeby wolnościowego działania, przekształcić się w projekty zespołowe. Przecież, paradoksalnie, większość z nich właśnie o wartości takich działań pisała.

CHAOS: Co ich twoim zdaniem hamowało?

Galu: Mam swoją teoryjkę: otóż być może wszyscy patrzymy nie tam, gdzie trzeba. W mądrościach Wschodu jest takie powiedzenie: „gdy mędrzec pokazuje księżyc, głupiec patrzy na palec". Być może tak jest w poszukiwaniach duchowych. Trawestując tę sentencję można powiedzieć: „gdy władcy/politycy pokazują księżyc, głupiec patrzy na księżyc". Władza nieustannie pokazuje nam jakieś „księżyce", a to księżyc sprawiedliwości i równości społecznej, a to księżyc wolnego rynku. Teraz za księżyc robi etnicznie jednorodna wyspa wolności i tolerancji, ale w rzeczywistości ważne jest, co robią w tym czasie ręce władzy, czyli real, tu i teraz. Więc, jeśli prawdą jest, że „głupia władza tworzy głupią opozycję", to my też żyjąc w społeczeństwie spektaklu, zajmujemy się wyświetlaniem idei, zamiast nią żyć, ją urzeczywistniać. I by wszystko było jasne, ten real to niekoniecznie jest wydawanie publikacji o swojej wizji „cyklu lunarnego".

Tak więc, jeśli coś w „Maci" było znaczące, to jeszcze raz – właśnie fakt dogadywania się ludzi przez kilkanaście lat, praca zespołowa bez kierownictwa, co to zawsze wie najlepiej. Jednak z perspektywy czasu nie mam wątpliwości, że większym sukcesem byłoby utrzymanie przez tak długi czas np. spółdzielni naprawiającej rowery, jadłodajni, kooperatywy wiejskiej czy stolarni.

CHAOS: To jak podchodzisz do kwestii anarchizmu z perspektywy ostatnich 30 lat?

Galu: Ekipa z rewolty 1968 r. w Paryżu miała hasło: „nie wierz nikomu po trzydziestce". Więc może nie powinieneś mnie o to pytać, bo moje pokolenie zbliża się powoli do dwóch trzydziestek, więc kłamie na pewno... :-) Ale wyobraź sobie ulicę, na której są dwie apteki – po prawej i lewej stronie. Każda z nich zachwala swoje specyfiki, trochę ze sobą konkurują. Pomiędzy nimi kręci się facet, który ostrzega klientów przed lekarstwami i prosi, by się zastanowili, czy faktycznie ich potrzebują. Namawia do przeanalizowania cen leków, zastanowienia się nad ich faktyczną skutecznością oraz zwraca uwagę na skutki uboczne, często gorsze od choroby. Ten człowiek chce pogadać o zdrowym trybie życia – takim, by móc żyć poza dyktatem przemysłu farmaceutycznego. Czasem, gdy ktoś w kolejce po leki zasłabnie, stara się mu pomóc. Bywa, że coś pobazgrze sprajem na witrynie aptek. Ten facet to anarchista. :-)

CHAOS: I ktoś go słucha?

Galu: Niestety, nie. Nikt nie chce z nim rozmawiać, bo każdy ma większe czy mniejsze dolegliwości, a wszechobecne reklamy, plus instytucje przymusu, zapewniają, że w aptekach znajdą na to wszystko maść i tabletki. No, czasami, jeśli krytykuje np. jakiś konkretny produkt sprzedawany przez aptekę z prawej, aptekarze i stali klienci apteki z lewej nadstawią ucha. Gdy krytykuje produkty z lewej, ma przez chwilę uwagę tych z prawej. Jednak przeważnie jest ignorowany.

CHAOS: To, po co to robi?

Galu: Nie znam odpowiedzi. Piłsudski ruszył do boju, bo „miał dość panującej wokół wychodkowej atmosfery". Może to kwestia wrażliwości, kodu etycznego, gdzie dominuje etyka dobra powszechnego. A może to jakaś forma naiwności adolescentów, którym po wydostaniu się spod kurateli rodzica i szkoły wydaje się, że całej ludzkości również uda się dorosnąć i usamodzielnić, funkcjonować bez władzy, stałego nadzoru i knuta.

CHAOS: Czy kiedyś zaczną go słuchać?

Galu: Chyba dopóki wygląda tak samo jak oni, czyli ma łupież, odciski, kaszle i narzeka na bóle w odcinku lędźwiowo-krzyżowym, ludzie będą go ignorować. Nie słuchasz rad biznesowych bezdomnego, od chronicznie chorego nie bierzesz porad zdrowotnych. Więc może zamiast biegać po ulicy, powinien zrobić to, co proponuje Hakim Bey, czyli nie tyle walczyć z całym „przemysłem farmaceutycznym", co wymościć sobie niszę, stworzyć jakąś Tymczasową Strefę Autonomiczną. Kłopot w tym, że nawet, jeśli jakimś cudem mu się to uda, to pozostaje jeszcze kwestia współodpowiedzialności za ofiary „aptek". Bo jeśli to prawda, że „odpowiedzialność jest pępowiną łączącą nas ze światem", to będzie musiał zmierzyć się z zarzutem – czy wyrzutem własnego sumienia – dezercji obywatelskiej czy eskapizmu. Cóż...

sierpień-październik 2017

Wszystkie numery „A Cappelli" i niektóre „Mać Pariadki" dostępne są na www.zinelibrary.pl

SZTUKA NIE LUBI OGRANICZEŃ

Każdy załogant miał okazję spotkać się z kolażem, a to trzymając w rękach płyty hc punkowych kapel czy czytając ziny. Wydaje się, że sztuka kolażu jest nierozerwalną częścią punk rocka, choć dziś tego rodzaju sztuki nie zauważa się tak często, jak w latach poprzednich. Jednak kolaż nie powstał wraz z punk rockiem i rozwija się niezależnie od niego. Przedstawiamy wam wywiad z Arki Grynberg, który opowie nam o swoich pracach, o kolażu punkowym i tym zupełnie niemającym z punkiem nic wspólnego. Jeśli chcielibyście zamieścić jego kolaż na okładce swojej płyty, na t-szircie czy na łamach swojego zina – piszcie do niego śmiało! Pytał Pablo, wspomagał QbaQ.

CHAOS: Skąd się u ciebie wzięło i kiedy pojawiło się zainteresowanie kolażem? Czy kolaż odkryłeś przez punk rock czy zainteresowałeś się nim z innych źródeł? Czy mówią ci coś nazwiska Winston Smith i Gee Vaucher?

Arki Grynberg: Już od dziecka miałem ciąg do sztuk plastycznych. Jak przez mgłę pamiętam stertę rysunków, które wychodziły w hurtowych ilościach spod moich małych rączek. Uwielbiałem rysować orły z polskiego godła. Wciągały mnie te piórka poukładane regularnie jedno przy drugim i wypięta dumnie ptasia klata. Pani wychowawczyni ze szkoły podstawowej kreśliła mi karierę związaną z tymi godłami. Na moje szczęście nie wkręciłem się w nurt patriotyczny i karierę malowniczego polskiego godła szlag trafił. Konkretne zainteresowanie kolażem (collage'em?) przyszło dużo później i szczerze mówiąc nie jestem w stanie podać jego źródła. Zawsze lubiłem estetyczne przedmioty oraz zorganizowaną przestrzeń w moim otoczeniu. Myślę, że ze skrzyżowania tych dwóch faktorów mogło wyjść zainteresowanie kolażem. Estetycznie poukładane przypadkowe elementy tworzące nową jakość. Tak więc odpowiadając na pytanie – nie, nie zainteresowałem się kolażem przez scenę punk. Natomiast nazwiska Smith i Vaucher są mi oczywiście znane. Myślę, że każdy średnio ogarnięty załogant zna prace obydwoja artystów, niekoniecznie kojarząc nazwiska. To za projektem charakterystycznego logo oraz okładkami wielu płyt DEAD KENNEDYS stoi Winston Smith. Gee Vaucher natomiast była autorką wielu rewelacyjnych i rewolucyjnych projektów, w dużej części tworzonych na potrzeby kolektywu CRASS. Więcej na Wikipedia sobie znajdziecie. Hardcore Punk dzięki wyzywającej estetyce od zawsze był związany ze sztuką, niekoniecznie przez duże „SZ", ale zawsze przyciągał do siebie twórców z różnych rejonów, również tych zajmujących się kolażem. Wystarczy przejżeć kilka publikacji poświęconym chociażby punkowym, koncertowym posterom lub ulotkom, a od razu zobaczycie, że większość tych „dzieł" to (w mniejszym lub większym stopniu) właśnie kolaże. Z łatwo dostępnych pozycji mogę polecić: „Oh, So Pretty: Punk in Print 1976-1980", „Punk on 45: Revolutions on Vinyl", „Punk 45: The Singles Cover Art of Punk", „Punk: An Aesthetic, Art of Punk, Fanzines by Teal Triggs". Dobrych albumów jest oczywiście dużo więcej, ale te powinny wystarczyć na początek osobom zainteresowanym kolażem w punk rocku.

CHAOS: Czym wg. ciebie różnią się od siebie, ten kolaż punkowy od tego klasycznego? Są jakieś znaczne różnice, czy po prostu kolaż to kolaż? Czy jest ci bliski dadaizm i surrealizm, nie tylko w kolażu?

Arki Grynberg: Czy kolaż to kolaż? A czy obraz to obraz? Czy „Mona Lisa" Da Vinciego ma ten sam potencjał, co „Czarny kwadrat na białym tle" Malewicza? Ciężko wybrnąć z tego pytania. W odpowiedzi na drugą część – „kolaż punkowy" na pewno jest odważniejszy. Prowokuje, luźno trzyma się zasad, jest krytyczny, prześmiewczy, radykalny, często bywa manifestem społecznym lub politycznym. Jednak nie rozdzielałbym, nie szufladkował za bardzo różnych technik z podziałem na tematykę, którą poruszają. (Bo) czy można mówić o kolażu LGBT? Kolażu prawicowym lub nacjonalistycznym? Szuflady ograniczają, a sztuka nie lubi ograniczeń, bo się dusi i umiera. I ostatni wątek czyli dadaizm i surrealizm. Wpływy obu znajdziesz w różnych moich pracach. Jednak nie zwracam uwagi, nie planuję czy praca powstanie w takim czy innym stylu. Kolaż w swojej naturze jest jak sen, a przez to nierozerwanie złączony z dada i surrealizmem.

CHAOS: Ogarniasz jakichś klasycznych twórców kolażu? Znasz jakieś dzieła, dajmy na to, Georgesa Braque'a czy Pabla Picassa? A czy kolaż nadal jest popularny w środowiskach artystycznych? Czy obecnie istnieją jacyś aktywni i wybitni twórcy kolażu?

Arki Grynberg: Coś tam ogarniam, ale wiesz, nie jestem chodzącą encyklopedią historii kolażu. Wikipedia ci odpowie. Z polskich, znanych nazwisk będą Dwurnik, Szczypiński, Dziaczkowski, Grodzińska, Maciejowicz, Szerszeń, Sokolnicka, Niesterowicz... Napewno jest więcej interesujących nazwisk w polskim kolażu, a już napewno w światowej lidze, ale nie podejmuję się wyliczania, bo to by szło w dziesiątki, jeśli nie setki osób.

CHAOS: Pamiętasz pierwszy kolaż zrobiony przez siebie? Co przedstawiał? Zrobiłeś go wyłącznie dla siebie czy udało ci się go gdzieś opublikować?

Arki Grynberg: Wydaje mi się, że pamiętam pierwszy kolaż. A na pewno jeden z pierwszych. Był to wąsaty policjant za sterem jakiegoś żaglowca, a całość umieściłem w przestrzeni kosmicznej. Jednym z pierwszych kolaży, takich bardziej przemyślanych był „U nas też są talenty", który można znaleźć na mojej stronie na facebooku. Musiałem tam dobrać z różnych wycinków gazetowych odpowiednie odcienie skóry, włosów, żeby modelka wyglądała wiarygodnie. Ta pierwsza praca, z policjantem (lub milicjantem) znalazła się w moim pierwszym tomiku poezji (teraz bym tego poezją nie nazwał, ale na potrzeby tekstu niech zostanie). To były okolice roku 1998, jeśli pamięć nie myli.

CHAOS: A w ogóle twoje kolaże zdobiły jakieś okładki płyt lub kaset? Pojawiały się na stronach jakichś punkowych czy art-fanzinów? Przybliż nam te pisma... Orientujesz się w wydawanych w Polsce art-zinach? Nie próbowałeś sam jakiegoś wydawać?

Arki Grynberg: Niestety. Nie udało mi się zrealizować żadego projektu okładki dla zespołu. Po cichu przyznam, że to takie moje małe marzenie. Cieszyłbym się bardzo, gdyby znalazł się jakiś zespół zainteresowany okładką w kolażu. Wiesz, ja na codzień nie robię takich klasycznych CRASS'owych kolaży, a raczej senne miraże. Nie wiem czy punkowa scena byłaby zainteresowana takim podejściem do tematu. Pożyjemy, zobaczymy. Jestem otwarty na propozycje. Zawsze możemy dogadać styl, w którym miałoby coś powstać. Nie tak dawno temu ukazała się płyta emigrantów z THE BLOWINS, z fajnym, czarno-białym kolażem na okładce. Oko mi cieszy na półce z winylami. Druga część pytania dotyczy art-zinów. Temat mi bliższy jakiś czas temu. W latach 90. i na przełomie sporo pisałem, rysowałem i generalnie udzielałem się w środowisku zinorobów. Pamięć już nie ta, ale pamiętam miłą korespondencję i współpracę z zinami: „Fshut Słońca", „Paradna Suburbium", „Konstelacja Cienia – KoCie", Metysowy „Szelest", fantastyczny moim zdaniem szczeciński „Oi'EzU". Na pewno było tego więcej, ale nie jestem teraz w stanie sobie przypomnieć, a moje obszerne archiwum zinów zostało w Polsce. Do niektórych tytułów pisałem, w kilku były moje kolaże, ciężko mi teraz to wyodrębnić. Na dodatek, najpierw z moim serdecznym przyjacielem (piona Karol Neptyk!), a później z moją kochaną Gosią wydawaliśmy zina „DECEIT". Pierwszy numer był mocno osadzony w standardach hcXpunk, ale już kolejne numery to był stricte art zine. Generalnie wyszło tego między 1996-2002 siedem numerów. Odsłony od nr 2 do 7 charakteryzowały się ręcznym wykończeniem każdego egzemplarza. Dodatkowo z Gosią prowadziliśmy oficynę wydawniczą TSUNAMI, wydając tzw. arkusze poetyckie początkującym kałamarzom i kałamarnicom z terenu całego kraju. Arkusze miały zawsze bogatą szatę graficzną i ręczne wykończenie każdego egzemplarza. Nadzwyczajną więź udało nam się wygenerować z wydawcą szczecińskiego zina „Oi'Ezu", niejakim Jasiem (Marcinem). Chłopak miał zapał, pomysły i nadmiar pozytywnej energii i robił fantastyczną wege galaretę. Za tę galaretę nawet zrobiliśmy

"Sugar Free"

"Under the Foot of the Gods"

mu oryginalny dyplom. Razem dużo kleiliśmy, wypuszczaliśmy, co chwilę split-ulotki reklamujące TSUNAMI, „DECEIT", „Oi'EzU". Piękne czasy. Jeśli chodzi natomiast o współczesne czasy to nie mam pojęcia czy istnieje jeszcze jakaś scena art zinowa w Polsce. Ostatnio, co prawda nawiązałem kontakt z zinem „Gazeta musi się ukazać" (sprawdźcie na Facebooku), ale to tyle, jeśli chodzi o moją znajomość tematu.

CHAOS: Jeśli jakaś punkowa kapela poprosiłaby cię o kolaż na okładkę i dałby ci dowolność tworzenia to czym byś się sugerował? Tekstami, muzyką, otoczką wokół zespołu, inwencja własna?

Arki Grynberg: Jeśli jakaś punkowa kapela poprosi o kolaż... to na pewno będę chciał posłuchać muzyki i poczytać teksty. Ale przede wszystkim posłuchać muzyki. Nie byłoby w porządku względem zespołu i mnie samego robić coś w ciemno, bo na pewno wyszedłby zakalec. Dlatego musiałbym posłuchać najpierw jakiejś próbki lub co najmniej zagadać z zespołem, jakie są oczekiwania. Wszystko da się dopracować, jeśli jest chęć współpracy. Gorąco zapraszam zespoły po projekty, na pewno uda się razem coś sensownego zmajstrować.

CHAOS: Opowiedz nam o technikach, w jakich tworzysz swoje kolaże. Czy to są nożyczki, klej i wycinki z gazet czy robisz je za pomocą komputera, który jednak ma dużo więcej możliwości, jeśli chodzi o efekt wizualny? Jednak czy to można jeszcze traktować, jako prawdziwy, klasyczny kolaż?

Arki Grynberg: Jestem straszliwym konserwatystą analogowym, jeśli mówimy o kolażu. Czyli nożyczki, nożyk do tapet, różne kleje, farby i pędzle to moje narzędzia. Nie zaprzyjaźniłem się z komputerami. Nie jestem fanem digital kolażu. Uważam, że digital jest zbyt łatwy, wszystko można zrobić, osiągnąć każdy efekt używając odpowiednich programów. Kolaż analogowy, tzw. (manual hand) cut&paste wymaga wiedzy rzemieślniczej. Trzeba znać się na klejach, na grubościach papierów, które lubią się marszczyć podczas wysychania, rwać, zagniatać. Musisz wiedzieć, jakimi materiałami uzyskać np. efekt przeźrocza, kolorowego zamglenia, decoupage, efekt 3D, itd., itp. Komputer daje dużo więcej możliwości i wybór innych narzędzi. Nie dyskredytuję digital collage, ta forma też ma swoich wybitnych twórców. Ja jednak operuję analogowo i w tej technice czuję się swobodniej, pewniej, autentyczniej.

CHAOS: Jak zabierasz się do zrobienia kolażu? Masz jakiś pomysł, wizję w głowie i szukasz potem jakichś materiałów by stworzyć wyklejankę? Czy po prostu zbiór jakichś zdjęć, wycinków, nagłówków „wymusza" na tobie zrobienie właśnie takiego, a nie innego kolażu? Jak to się u ciebie odbywa?

Arki Grynberg: Ciekawe pytanie. Chyba jest tak jak sugerujesz. Zdaję się na zmysł i to najczęściej zdjęcie, wycinek sam wybiera, jaka czeka go przyszłość. Trudno to opisać, zdefiniować, ale po prostu „widzę/czuję"', że ten, a nie inny wycinek będzie elementem „nośnym", głównym wspornikiem całego kolażu. Wokół wytypowanego elementu zaczynam dobierać pozostałe części układanki: tło, wypełnienia, uzupełnienia, tekst lub typografię, jako element graficzny. Często też sięgam po farby i uzupełniam niedostatki kolorami lub fakturą. Napewno nie jest tak, że najpierw wymyślam temat, a dopiero później szukam materiałów, żeby go zrealizować. Najpierw jest wena, błysk, przeczucie, takie niespokojne drżenie lub wręcz prosty cios, że coś tam, w takim właśnie układzie zażera i wtedy trzeba atakować. Gdy się za długo myśli, wena ucieka. Kapryśna jest ta muza.

CHAOS: O czym są twoje kolaże? Co przedstawiają? Są po prostu sztuką dla sztuki czy jednak starasz się przez kolaż przekazać coś odbiorcy? Co jest, wg. ciebie, ważniejsze w kolażu – przesłanie, interpretacja odbiorcy, pewien zawoalowany sygnał czy może bardziej stawiasz na artyzm, zestawienie kontrastów, kompozycje?

Arki Grynberg: Częściowo odpowiedziałem na twoje pytanie w poprzednim punkcie. Nie czuję się nauczycielem, moralizatorem, komentatorem

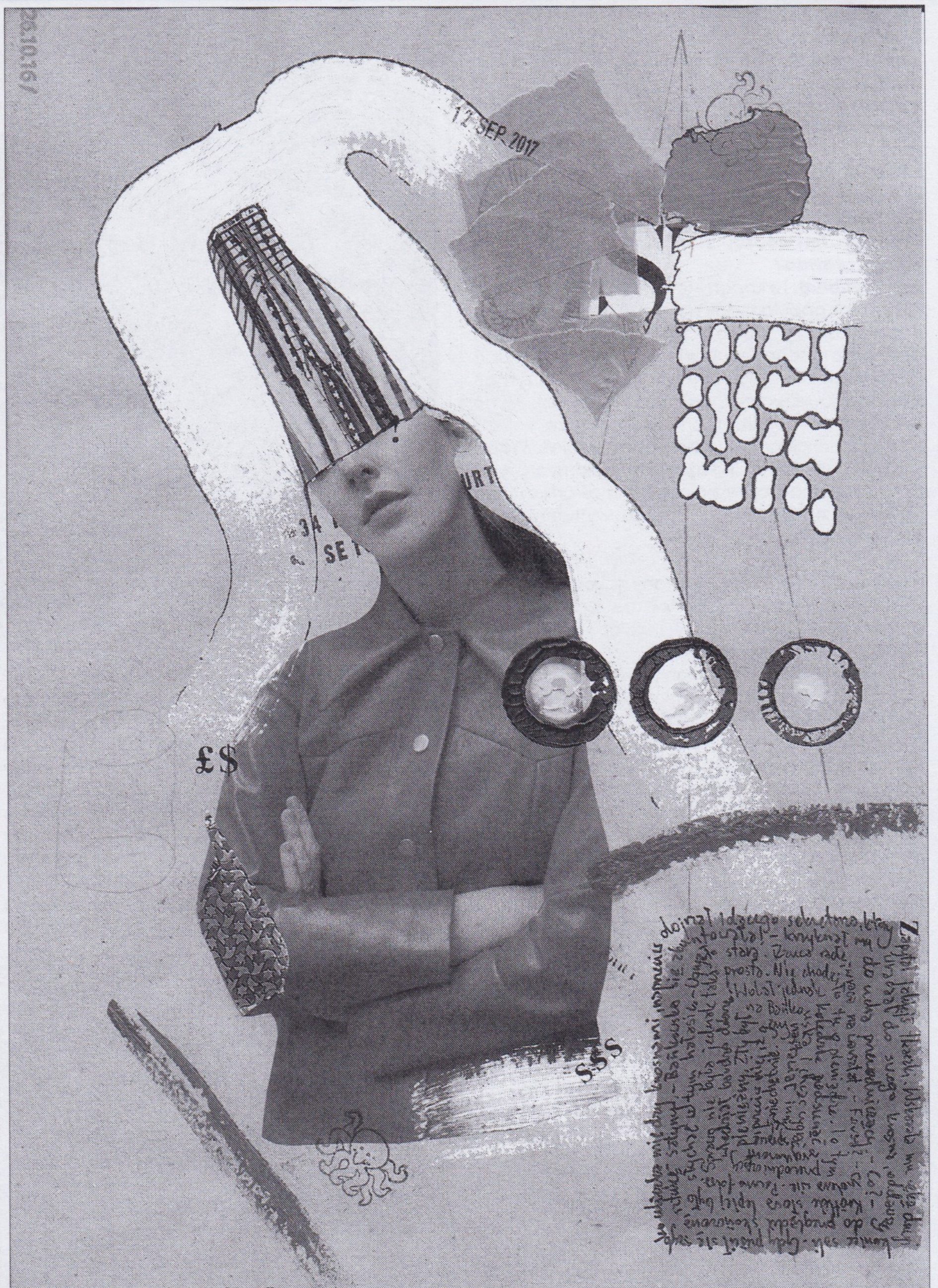

"Woman In Red study 2"

rzeczywistości. Oczywiście każda praca opowiada sobą jakąś konkretną historię, ale jest ona raczej mocno zawoalowana, nie wali odbiorcę odpowiedzią prosto w twarz. Określenie „sztuka dla sztuki" ma wydźwięk negatywny i nie do końca rozumiem, co ma oznaczać, dlatego nie użyłbym go do opisana tego, co robię. Moje prace to raczej „nieradykalny komentarz estetyczny", ale to taki luźny termin, a nie poważna definicja. Proponuję czytelnikom odwiedzić mój profil na Facebooku lub Instagramie i samemu znaleźć odpowiednie określenie tego, co tam znajdą.

CHAOS: Twoje prace pojawiły się na kilku wystawach, m.in. w Szkocji, ale również w innych krajach. Jak twoje prace trafiły na te wystawy? I czy są z tego jakieś wymierne korzyści i niekoniecznie mam na myśli finanse?

Arki Grynberg: Zgadza się, miałem przyjemność wysłać moje prace do Szkocji oraz Austrii. Trafiły tam dzięki znajomościom nawiązanym na Fecebooku. Gdy ukazuje się ten numer „Chaosu", kilka moich kolaży jest już pewnie też w Holandii. Największą korzyścią jest satysfakcja, ale to korzyść niewymierna, bo raczej nie da się jej zmierzyć. Pieniądze żadne się nie pojawiły do tej pory. Nie kleję kolaży z zamiarem zarabiania na nich. Jeśli w przyszłości pojawią się jakieś talary to oczywiście nie obrażę się. Tymczasem mam wielką satysfakcję i radość, że komuś może się podobać to, co robię.

CHAOS: Mam takie pytanie odnośnie twojej pracy pt. „Cadyka" – nie zarzucił ci ktoś antysemityzmu? Ja łapię humor, ale jednak sporo ludzi jest uczulonych na wszelkie tematy dotykające Żydów... Często polityczna poprawność zamienia się w paranoję...

Arki Grynberg: „Cadyka" powstała już dawno temu i do tej pory nikt mi nie zwrócił uwagi, że ten kolaż jest niepoprawny czy obraźliwy. I bardzo dobrze, bo nie miałem w zamiarze nikogo obrażać czy wyśmiewać. Znalazłem ładne zdjęcie modelki w tej fantastycznej czapie. Od jakiegoś już czasu miałem podkład z tymi świętującymi żydami. Zgrało się to pięknie razem i narodziła się „cadyka". Z narodzin wypada się cieszyć, a nie obrażać.

CHAOS: Masz jakieś swoje ulubione okładki płyt hardcore punk, które są zrobione w technice kolażu? Wydaje mi się, że kolaż rządził w latach 80. na punkowych wydawnictwach, a dzisiaj jakby został trochę zapomniany... Dlaczego tak się dzieje? Postęp możliwości graficznych, które dystansują okładki robione za pomocą nożyczek i kleju? Pracochłonność i czasochłonność przy tworzeniu kolaży?

Arki Grynberg: Nie mam. Przyjemne dla oka są charakterystyczne okładki, które projektowała Vaucher dla CRASS i „crassowych" kapel. Dużo na nich szczegółów, które zobaczyć można dopiero po bliższym przyjrzeniu się. No i napewno trzeba wspomnieć tu o okładkach klasyków z NAPALM DEATH i CARCASS. Piekielnie piękne, że tak to określę. A dlaczego kolażowe okładki nie są tak popularne jak 20-30 lat temu? Bo zmieniły się techniki, a co za tym idzie również oczekiwania zespołów. Poza tym myślę, że z okładkami jest

trochę tak, jak z kanonami piękna, z urodą. Co innego podobało się dekadę czy dwie temu, co innego podoba się obecnie. Ale jestem dobrej myśli, że po tej rozmowie, dostanę setki e-maili od zespołów chcących okładkę na płytę w kolażu i odwrócimy bieg historii...

CHAOS: Pamiętam, że w drugiej połowie lat 80. w Polsce było dość popularne robienie metodą DIY kolażowych kopert na listy? Kojarzysz coś takiego? Ten rodzaj sztuki miał chyba swoją nazwę, prawda?

Arki Grynberg: Te koperty to jest tzw. mail-art i choć nie jest tak popularny jak dwie, trzy dekady temu to nadal cieszy sie sporym zainteresowaniem. Działa dość prężna scena mail-artowa, wystarczy wpisać w wyszukiwarce hasło mail-art, żeby otrzymać dość sporo aktualnych info na ten temat. Mimo podobnych technik, mam wrażenie, że kolaż i mail-art funkcjonują trochę „obok siebie". Wśród kilkudziesięciu moich kolażowych znajomych, tylko parę osób ma coś wspólnego z mail-artem i nie jestem w stanie podać jasnego wytłumaczenia dla tej sytuacji.

CHAOS: Jest kolaż klasyfikowany, jako artystyczny, jest kolaż punkowy, a jakie jeszcze rodzaje kolażu moglibyśmy wyodrębnić? Kolaż polityczny? Feministyczny? Humorystyczny?

Arki Grynberg: Nie kategoryzowałbym kolażu w taki sposób, bo wpadniemy w pułapkę. Przecież nie ma kolażu religijnego, „czarnego" lub „białego", reagge'owego czy kulturystycznego... Rozmaita tematyka jest poruszana przez różnych ludzi, ale nie dzieliłbym tych prac na jakieś specyficzne grupy. Bo czy okładki NAPALM DEATH czy wspomnianego CARCASS to jeszcze kolaż punkowy czy już metalowy? Oczywiście są artyści zaangażowani, robiący prawie wyłącznie prace polityczne lub o tematyce społecznej. Są też całe zastępy ludzi klejących tylko prace surrealistyczne, dada, abstrakcyjne. Niemniej, nie odważę się kategoryzować tej dziedziny przez pryzmat szufladek.

CHAOS: Masz swój profil na Facebooku pod nazwą Arki Grynberg Collage – to twój pseudonim artystyczny, nazwa grupy czy może coś innego? I dlaczego właśnie taka nazwa – co ona oznacza? Wiąże się z czymś istotnym, związanym ze sztuką kolażu?

Arki Grynberg: Jak wiesz, moje pełne imię i nazwisko nie są przyjazne osobom obco językowym. Nie jeden próbował, nie jeden połamał sobie język. Musiałem wymyślić coś łatwiejszego. „Arki" mówią na mnie znajomi z pracy a „Grynberg" jest nazwiskiem panieńskim mojej babci od strony ojca. Byłem z nią mocno związany, gdy jeszcze żyła. Przetrwała wojnę, przeżyła piekło Auschwitz, gdzie straciła matkę, a moją prababcię. Była dla mnie ciepła i opiekuńcza. To z nią za dzieciaka oglądałem horrory w sobotnim kinie nocnym, ona nauczyła mnie jeździć na rowerze, z nią lody z automatu i gofry smakowały najlepiej. Chciałem w ten sposób oddać jej cześć i zachować pamięć o nazwisku Grynberg. A poza tym myślę, że dobrze brzmi, trochę egzotycznie, troche enigmatycznie.

CHAOS: A jakiej muzyki, zespołów lubisz sobie posłuchać podczas pracy nad kolażem? Ma to jakiś wpływ na twoją pracę? Wolisz się skupić przy jakiejś spokojnej nucie czy preferujesz ostrą łupankę? No i tak przy okazji chciałbym się dowiedzieć, co tam ostatnio z muzyki sobie słuchasz? Jakieś nowe kapele, dobre krążki, które mógłbyś nam polecić?

Arki Grynberg: Muzyka, przy której kleję nie ma decydującego wpływu na temat lub wygląd powstającej pracy. W ostatnich miesiącach najczęściej cicho gra radio BBC6. Wiesz, po pracy zajmuję się obowiązkami domowymi, mam kolejne dziecko, małe, kilkumiesięczne. Gdy już mała pójdzie spać, zostają mi najwyżej dwie godziny, podczas których mogę zrobic coś dla siebie. Nie mam zatem możliwości, żeby odpalić sobie jakąś ostrą lutę i podkręcić głośność. Nie znaczy to, że nie mam dobrej muzyki do posłuchania, wręcz odwrotnie. Dużo płyt zalega do odsłuchu i liczę, że kiedyś uda mi się pogodzić tempo kupowania płyt z tempem ich odsłuchiwania. Ostatnio z Polski przywiozłem placki PAST, EWA BRAUN, CULT VALUES, HASTA LA VISTA, SUFFER, THE LOWEST, DYSTOPIA, LVMEN, WE WATCH CLOUDS, WOLVES AT THE DOOR, RAKTA i dużo klasyków z lat 90. Generalnie to lubię smoliste dźwięki. Takie Martyrdomy, Fredagi, Dystopie i podobnie zczernione hordy robią mi dobrze. Mam słabość do emowych klimatów LVMEN (wszystko w całości, fanatyzm!), EMBER, KEVORKIAN czy polski DIE LAST. Ostatnio zamiata mnie zimnofalowa, brazylijska RAKTA i islandzka KAELAN MIKLA. Nie będę tu oryginalny i przyznam się też do ślepego uwielbienia dla CASTETU. Z poza punkowego poletka nie odmówię dobrego drum'n'bass z pirackich stacji Kool FM, Origin Fm czy fantastycznego, mrocznego Rude Fm, a w spokojniejsze dni może lecieć cała dyskografia KAPELI ZE WSI WARSZAWA i będzie fantastycznie.

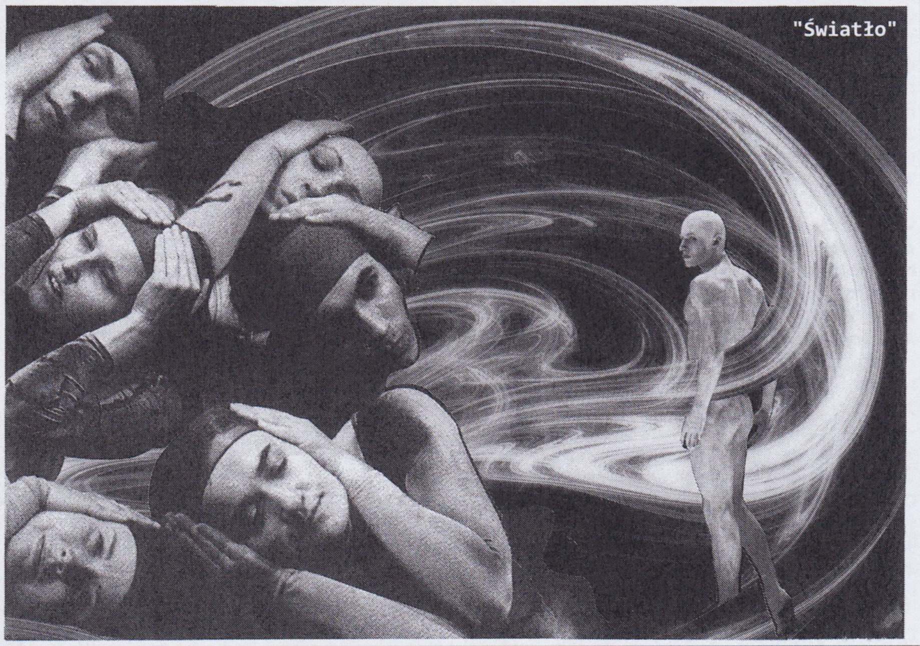
"Światło"

CHAOS: Czy znasz polską scenę kolaży, o ile takowa istnieje? Orientujesz się, co dzieje się w kolażu na świecie i w jakim kierunku to zmierza? Jakieś popularne albo nowe trendy?

Arki Grynberg: Szczerze powiem, nie znam. Nie wiem czy istnieje coś takiego jak polska scena kolażu. Mam, co prawda kilka kontaktów z ludźmi z Polski, ale to za mało by mówić o scenie. Polacy

"That's Pollocks!"

to trudny naród. Próbowałem nawiązywać więcej kontaktów z Polakami/Polkami kolażystami, ale odzew był mizerny i odpuściłem. Społeczność międzynarodowa jest łatwiejsza w kontaktach, bardziej otwarta. Ale wiesz, ja to polskie piekiełko obserwuje już od 15 lat w Londynie i niestety prawdą jest, że jak to mówią: polak polakowi polakiem. Dlatego przestałem obserwować już, czy ktoś jest z Polski czy też nie. Liczą się prace i przez ich pryzmat staram się nawiązywać nowe kontakty. Co do trendów to pojawiają się, co jakiś czas nowe rzeczy. Często można znaleść kolaże przeszywane nićmi, trójwymiarowe, z wyraźnymi fakturami, np. z nakładanym gipsem lub farbami. Ale zamiast o trendach wolałbym mówić o charakterystycznych lub ciekawych jednostkach, które stosują takie techniki. W dalszej części tekstu postaram się takie osoby wymienić.

CHAOS: Mieszkasz w Londynie, a czy orientujesz się, czy wśród hipsterki mieszkającej w loftach jest zainteresowanie sztuką kolażu?
Arki Grynberg: Nie mam pojęcia o hipsterach zamieszkujących lofty, więc nie odpowiem na to pytanie.

CHAOS: Sztuka to często pieniądze, a czy w galeriach sztuki, można zauważyć kolaże na sprzedaż? A jeśli tak, to czy orientujesz się, jakie były rekordowe ceny za kolaże?
Arki Grynberg: Oczywiście, że kolaże pojawiają się w galeriach. Nie jest to medium tak popularne, jak malarstwo, a co za tym idzie ceny płacone za kolaże są niższe. Z tego, co udało mi się ustalić, najwyższą kwotą zapłaconą za kolaż było ponad 28 milionów dolarów za pracę Jaspera Johnsa „Flag". Duży wybór kolaży można znaleźć na przykład na stronie galerii Saatchi.

CHAOS: Powiedz nam jak wyglądają prawa autorskie w kolażu? Czy jest podobnie jak w komiksie, że oryginalne plansze osiągają większe ceny? Jak jest z powtarzalnością? Zostaje tylko skan i reprint? W jaki sposób zabezpiecza się kolaż, w sensie czyjego jest autorstwa?
Arki Grynberg: Bardzo branżowe pytania, na które niekoniecznie znam dokładne odpowiedzi. Sprawa praw autorskich - jeśli używasz elementów czyjegoś autorstwa, fragmentów prac, itp. to teoretycznie powinniśmy poprosić o zgodę na ich wykorzystanie. Jeśli jednak element czyjejś pracy jest niewielki, jest jedynie fragmentem, a nie większością danej pracy, z której pochodzi wtedy prawo autorskie nie powinno zostać uruchomione. Kolaż z natury polega najczęściej na tworzeniu pracy przez wykorzystanie dzieł innych osób, dlatego prawa autorskie go dotyczace są interpretowane elastycznie. Zdarzały się jednak przypadki, że żyjący artysta groził wytoczeniem procesu sądowego za bezprawne użycie jego pracy. Najgłośniejszym takim przykładem była historia niejakiego Cartraina, który w swoim kolażu użył wizerunku diamentowej czaszki Damiena Hirsta. Ten drugi strasznie się wściekł i zagroził Cartrainowi procesem. Sprawa została załatwiona ugodowo – panowie nie zostali jednak przyjaciółmi – a sam Hirst został skrytykowany przez część środowiska artystycznego za swoją akcję. Co do kwestii: oryginał czy print? Oczywiście oryginał uzyskuje wyższą cenę przy ewentualnej sprzedaży, chyba, że kolaż jest robiony wyłącznie z myślą o printach i tylko takie są ostatecznie dostępne. Taka sytuacja ma np. miejsce przy kolażu cyfrowym. No i na koniec odpowiedź dotycząca „powtarzalności". Powtórzyć można chyba tylko printy, każdy kolejny ręcznie wyklejony kolaż to osobne dzieło, nawet, jeśli miałby być podobny do pierwowzoru jak dwie krople wody.

CHAOS: W Londynie działał/działa Banksy, którego nieliczne dzieła można podciągnąć pod kolaże. Czy przemieszczając się po Londynie widzisz „kolaże na murach" w postaci vlep, plakatów? Zwracasz na to uwagę? Czy sam ozdabiasz w taki sposób miasto?
Arki Grynberg: Spotkałem się z wlepami kolażowymi na ulicach Londynu, ale prawdę mówiąc niezbyt często takie się pojawiają. Sam produkuję dosyć sporo wlepek, ale tylko niewielka część z nich to kolaże. Lubię też inne techniki i to właśnie z nich korzystam przy tworzeniu kolejnych stickersów. Mam taki poboczny projekt Cult Of

cadyka

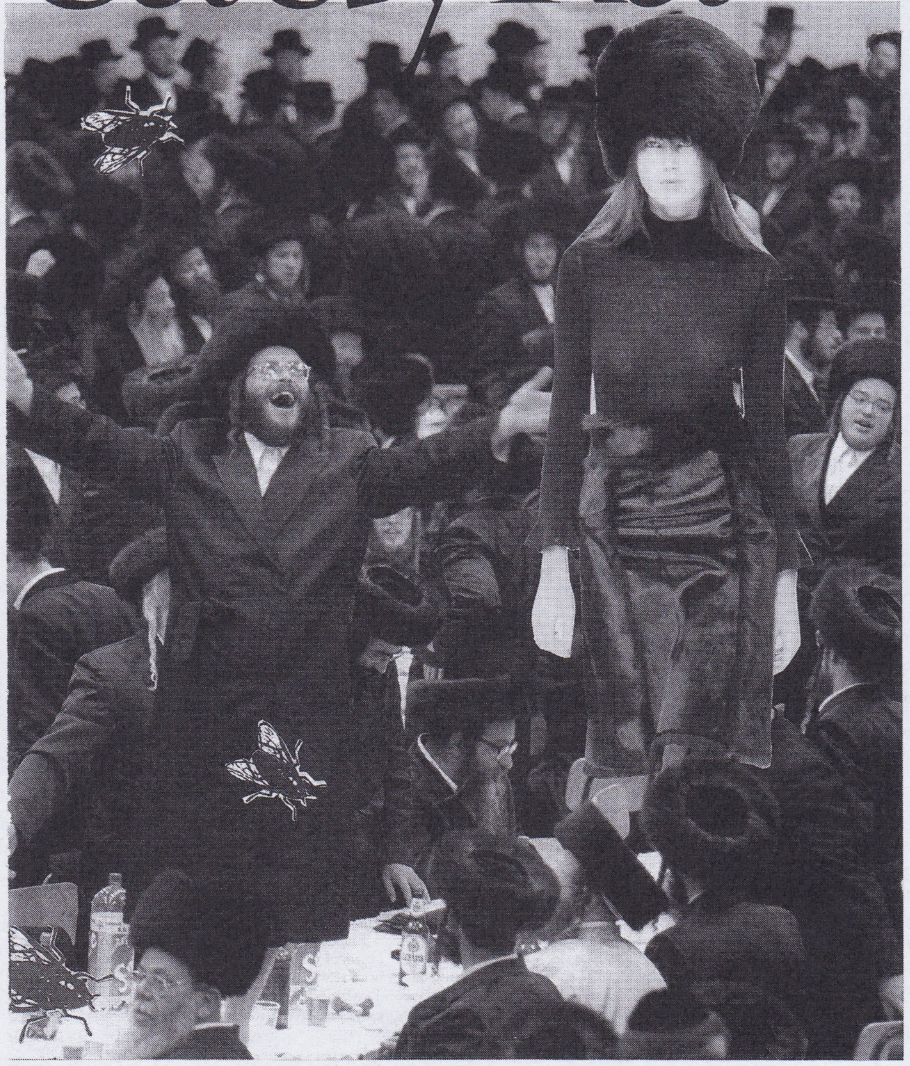

Lines, ukierunkowany graficznie. Jakby ktoś był zainteresowany to zapraszam na Instagram @ cultoflines.

CHAOS: Kolejne pytanie mainstream i kolaż. Czy znasz komercyjne użycie kolaży? Jeśli tak, to możesz nam przybliżyć najbardziej znane użycia kolaży, niekoniecznie na nośnikach muzycznych?
Arki Grynberg: Ależ kolaż pojawia się wszędzie. Nie jest wcale domeną undergroundu. Najczęściej znajdziemy go w gazetach codziennych czy magazynach. Kolaże są również wykorzystywane na opakowaniach wielu produktów. Znajdziesz go na ubraniach. To chyba wystarczające przykłady, że kolaż i mainstream mają się ku sobie?

CHAOS: Na fejsbukowych fotkach, widzę, że twoja córka maluje świetne i zarazem własne interpretacje okładek punkowych (i nie tylko) płyt, czy łapie bakcyla kolaży? Czy przejawia zainteresowanie pasją taty?
Arki Grynberg: Nie, jeszcze nie. Jeszcze wszystko przed nią. Nie cisnę jej, bo to najlepszy sposób, żeby zniechęcić dziecko. Narysowała kilka okładek, które jej się podobały i pewnie jeszcze kilka narysuje. Ostatnio jednak zauważyłem, że skłania się ku tańcowi, dużo śpiewa i nuci, więc kolażowanie, póki co musi poczekąć... Zobaczymy za 10 lat, jaki wpływ na nią miało hobby taty i czy miało jakikolwiek.

CHAOS: Czy możesz czytelnikom „Chaosu" polecić ciekawe strony z kolażach? Czy są specjalistyczne fora z kolażami, gdzie artyści mogą wymieniać się poradami i trikami?
Arki Grynberg: Na facebooku i Instagramie można sprawdzić: Noir Open Studio, Collage. Ar, Surreallovers, CollageisMe, Weird Collage, Collage Artists Worldwide, Art of Multimedia Collage. Są to grupy poświęcone kolażowi. Z ciekawszych artystów mogę subiektywnie polecić: Mydeadpony (jak dla mnie jeden z ciekawszych przedstawicieli mix media collage), AIN, Rhed Fawell, Hope Kroll, Kareem Risk, Helen Robertson, Collagesisingwan, Dasherrschneider, Eugeniacondef, Sam Jedig, Ines Seidel, Strange Creature Collages, Jamie Rawlings, Wasteofpaste, Graphikstreet... Mógłbym wymieniać tak jeszcze długo, ale na podanych wyżej grupach sami znajdziecie prace setek artystów.

CHAOS: Klasyczny kolaż jest w 2-D, czyli na płaskiej powierzchni, czy spotkałeś się już z formami 3-D? Czy jest to kolaż, czy może już rzeźba?
Arki Grynberg: Oczywiście, że są kolaże 3D. Niektóre mniej, a niektóre bardziej 3D (Hope Kroll, Ines Seidel...). Nie znam się na definicjach i trudno mi ocenić, gdzie kończy się kolaż, a zaczyna rzeźba czy instalacja. Trójwymiarowe kolaże mają swój urok i od czasu do czasu sam lubię eksperymentować z fakturami oraz „podnoszeniem" poszczególnych elementów pracy. Efekty są ciekawe. Przenikające się tła, cienie, itd.

Serdecznie dziękuję za zaproszenie mnie na strony „Chaosu". Zainteresowanych kolażem zapraszam na facebook i instagram: **@arkigrynbergcollage** lub do kontaktu mailowego: **arki.grynberg@gmail.com**

CZY WIESZ O CZYM SZUMIĄ ZIOŁA?

Z Rutą znam się już kilkanaście lat. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że zajmuje się ziołami. W czasach wszechogarniającej dominacji koncernów farmaceutycznych, zielarstwo, dawniej postrzegane jako wiedza tajemna, staje się jedyną alternatywą, służącą naszemu zdrowiu. Jak mówią: „Herbs are revolution". Mam nadzieję, że ten wywiad przekona was do zgłębiania tajników zielarstwa. Ruta nauczaj! Pytał Gruha.

CHAOS: Pozwól, że zacytuję:
W poradniku młodego zielarza, Napisanym dla szczęścia ludzkości, Pewien przepis się stale powtarza, A zawiera on sekret młodości: Kwiat rumianku, liść pokrzywy, ziele bratka, pieprz prawdziwy, pestki z dyni i borówki, a do tego sok z makówki, owoc głogu, dzikiej róży i tymianku liść nieduży. Zsuszyć, skruszyć, zmielić, zwarzyć, podgrzać, zalać i zaparzyć. Zsuszyć, skruszyć, zmielić, zwarzyć, podgrzać, zalać i zaparzyć... **Jesteś dyplomowaną „zielarką"? Czy tak właśnie byś się określiła? Może kiedyś, dawno temu, lokalsi nazywaliby cię panią od ziół? A może po prostu czarownicą?**

Ruta: Tak, jestem wiedźmą z papierami. Skończyłam studia magisterskie na kierunku biologia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz roczny kurs Zielarz-Fitoterapeuta w Krośnie. A jako, że wiedzy zielarskiej nigdy mi dość obecnie zgłębiam jej tajniki na studiach podyplomowych „Zioła w profilaktyce i terapii" na Uniwersytecie Medycznym w Poznaniu. To tyle, jeśli chodzi o edukację systemową.

Od kilkunastu lat mam to szczęście, że mieszkam na wsi i uczę się sztuki zielarskiej na najlepszym uniwersytecie. Stworzonym ręką Natury. Na łąkach, polach, w lasach. Bezpośrednio od roślin. Spotykam się z nimi każdego dnia i spędzam w ich towarzystwie mnóstwo czasu. Staram się odtwarzać z roślinami więź, która w naszej zachodniej, materialistycznej cywilizacji została utracona. Dzień zaczynam od wędrówki po łąkach i polach. Potem piję ziołowy napar. Część dnia spędzam albo na pracy w ogrodzie, zbiorach ziół, suszeniu lub przygotowując ziołowe mikstury.

Lokalsi nie mam pojęcia, jak by mnie nazywali dawniej, ale obecnie przypięli mi łatkę czarownicy. Bo po polach chodzi z pękami zielska, korzenie kopie przy Pełni Księżyca... Dla mnie to komplement, bo lubię latać wysoko, nie tylko na miotle.

CHAOS: Prowadzisz blog www.ziolawpelni.pl, na którym dzielisz się pasją poznawania ziół. Oprócz tego wydałaś kilka książek na ten temat. Chyba to nie jedyne twoje aktywności w temacie uprawiania ziół oraz poznawania ich zdrowotnych sekretów?

Ruta: Zioła kocham za to, że zawsze były, są i będą antysystemowe. Rosną niemal wszędzie, są łatwo dostępne, tanie i wbrew zamysłom koncernów farmaceutycznych każdy może po nie sięgnąć. Wystarczy się tylko na nie otworzyć, iść w teren, poznać rośliny niczym najbliższych przyjaciół i korzystać z ich leczniczych mocy. Ale też jestem daleka od tego, aby traktować przyrodę jak darmowy supermarket, gdzie można ciąć, rwać, plądrować, konsumować bez opamiętania. Pierwsza zasada mojego zielarskiego kodeksu brzmi: Najpierw zaprzyjaźnij się z rośliną, a potem poproś o coś dla siebie... Weź jedynie tyle, ile potrzebujesz i okaż wdzięczność.

Od wiosny do jesieni dni spędzam z rękami w ziemi doglądając biodynamicznie uprawianych ziół i warzyw. Oprócz ściółkowania, upraw współrzędnych, dbania o mikroorganizmy glebowe, itd. duże znaczenie ma dla mnie ruch planet oraz praca z roślinami i ziemią na poziomie energetycznym. Księżyc podpowiada mi, kiedy najlepiej siać, przycinać, zbierać plon. Taka praktyka wpisuje się w moje wartości – pełnię troski o rośliny, ich uzdrawiający potencjał, smak i aromat. Pod ręką mam zawsze kalendarz księżycowy. Jego autorka, antropozofka Marie Thun przez kilkadziesiąt lat eksperymentowała z siewem roślin w różnych fazach Księżyca. Na podstawie licznych doświadczeń stwierdziła zależność między wzrostem roślin a położeniem planet w chwili siewu.

Pozostając przy Księżycu dawniej uważano też, że zioła zbierane podczas Pełni, wtedy, gdy twarz Księżyca jest idealnie okrągła osiągają apogeum swoich leczniczych mocy. Pełnia to również dla mnie stan, w którym niczego nie brakuje. I stąd narodziła się nazwa mojego bloga „Zioła w Pełni" (www.ziolawpelni.pl)

Kilka razy w roku prowadzę warsztaty zielarskie dla kobiet „O czym szumią zioła?". Głęboko wierzę, że kobiety, w swoich sercach wciąż przechowują zielarską wiedzę przodkiń. Zielarek, akuszerek, babek, szeptuch, wiedźm. Ta wiedza zapisana jest w naszej krwi, w naszych kościach. Dawniej była przekazywana z matki na córkę, z pokolenia na pokolenie. Z ust do ust. Poprzez wspólne wędrówki, zbiory i przyrządzanie ziołowych mikstur. Bycie razem. Zielarstwo to nasza kobieca spuścizna. Wystarczy się na nią otworzyć, dopuścić do głosu. Na warsztatach przygotowujemy mnóstwo ziołowych remediów od nalewek po maści i globulki dopochwowe. I sycimy się swoją obecnością. Sporządzanie ziołowych leków przypomina darcie pierza. Otwiera serca, sprzyja rozmowom, budowaniu kobiecej wspólnoty. Udzielam też indywidualnych lekcji z zakresu ziołolecznictwa, również online. Sama sporządzam dużo ziołowych wyciągów olejowych, octowych, alkoholowych oraz maści. Komponuję ziołowe mieszanki. Eksperymentuję. Testuję jak rośliny działają na mój organizm. I zadziwia mnie ich skuteczność.

Jeśli chodzi o książki to nie były to publikacje stricte zielarskie, ale o bioróżnorodności na wsi, ekologicznej uprawie ziemi, tradycyjnych wiejskich ogrodach kwiatowych i pożytkach z nich płynących, choćby dla dzikich zapylaczy. Tradycyjne ogrody giną wraz ze starszymi ludźmi. Miejsca, gdzie rosło nawet po kilkadziesiąt gatunków kwiatów zamieniane są w biologiczną pustynię – równo przystrzyżone trawniki i posadzone w rzędzie tuje. Drewniane sztachety zastępowane są betonowymi, wysokimi ogrodzeniami. To doskonale odzwierciedla stan umysłu i stosunku do dzikości, zarówno w przyrodzie, jak i w sobie. Pokaż mi swój ogród, a powiem ci, kim jesteś...

Wracając do ziół - w najbliższych miesiącach planuję zasiąść nad pisaniem wielkiej ziołowej księgi. Potrzeba jej napisania pęczniała we mnie i rosła niczym drożdżowe ciasto przez cały ostatni rok. Tak naprawdę ta książka już we mnie jest. Wystarczy skupienie, spokój i jak mawiała Virginia Woolf własny pokój, a opowieść popłynie sama. Chcę ją napisać nie tylko umysłem, ale i sercem. Pragnę przywracać kobietom pamięć o sztuce zbierania ziół i wytwarzania domowych, ziołowych lekarstw. Zachęcać do odbudowywania utraconej więzi z roślinami i zaproszenia ich do codziennego życia. Dzielić się tym, co mi przynosi codzienny kontakt i praca z roślinami. Nie zabraknie też oczywiście konkretnej wiedzy na temat ziół, bo ci, którzy

mnie znają osobiście wiedzą, że umysł mam bardzo ścisły, konkretny, lubię dociekać, zadawać pytania i znajdować na nie odpowiedź.
W moje zielarskie aktywności wpisuje się również zakładanie na wsiach, przy współudziale lokalnych społeczności tradycyjnych ogrodów kwiatowych, prowadzę też warsztaty przyrodnicze dla dzieci z okolicznych wsi, budujemy hotele dla dzikich zapylaczy, itd. Taki aktywizm w ziołowym wydaniu.

CHAOS: Moja wiedza odnośnie ziół jest znikoma. Kojarzę jedno nazwisko, które jest ciągle legendą wśród ludzi zajmujących się ziołami oraz ludzi leczonych za ich pomocą. Jest nim ksiądz Klimuszko. Czy spotkałaś na swojej drodze mistrzów zielarstwa (wybacz tę nomenklaturę)? Chyba jedyny region Polski, gdzie jeszcze taka żywa wiedza istnieje to Podlasie i praktyki słynnych „szeptuch". Czy tak jest w istocie?
Ruta: Idea mistrza w ogóle do mnie nie przemawia. Jeśli już to sama jestem dla siebie Mistrzynią, bo od kogo mogę dostać lepsze wsparcie niż od samej siebie? Oczywiście inspirują mnie różne osoby. Zielarstwo opiera się na wielowiekowej tradycji i zawsze czerpie się z przekazu lub badań innych. Prawdziwą skarbnicą, naprawdę imponującej wiedzy nt. ziołolecznictwa jest dr Henryk Różański. Szczodrze dzieli się nią w Internecie. Ja sama korzystam z jego artykułów pełnymi garściami. Tak naprawdę dla mnie, to, co publikuje na swoich stronach internetowych jest cenniejsze niż większość książek, które ukazały się na polskim rynku. Dr Różański jest antysystemowy, nie waha się demaskować praktyk lobby farmaceutycznego. Najbardziej jednak uwiódł mnie tym, że na wzór naukowców z poprzednich epok mnóstwo roślin potencjalnie leczniczych testuje na sobie. Już nie raz się zatruł, tak więc to, co pisze o ziołach jest również mocno osadzone w praktyce.
Jeśli chodzi o Podlasie to w 2011 roku robiłam tam inwentaryzację tradycyjnych wiejskich ogrodów kwiatowych. Badania były realizowane na terenie gminy Kleszczele oraz Czeremcha. Zioła w ogrodach były rzadkością. Gospodynie nie były zainteresowane ich uprawą, tłumacząc to brakiem wiedzy na temat ich leczniczego zastosowania oraz ich niewielkimi walorami estetycznymi, bo zioła były traktowane raczej jako rośliny ozdobne, a nie przeznaczone do domowej apteczki. Wśród roślin zielarskich najczęściej spotykana była mięta pieprzowa, koper ogrodowy, melisa lekarska. W dwóch ogrodach rosły bazylia pospolita oraz lebiodka pospolita, a tylko w jednym znaleźliśmy czarnuszkę siewną, drapacz lekarski, lubczyk ogrodowy, majeranek oraz szałwię lekarską. Ruta zwyczajna, dawniej tak charakterystyczna dla tradycyjnych wiejskich ogródków ozdobnych wystąpiła tylko w jednym przypadku - zasadzona około 40 lat temu przez matkę obecnej właścicielki dotrwała do czasów obecnych. Nie odnotowaliśmy tak popularnych niegdyś w tradycyjnych ogrodach roślin jak rumianek, bylica boże drzewko czy kminek.
Również szeptuchy, z którymi miałam wówczas okazję się spotkać zwane przez miejscowych po prostu babkami raczej nie zajmowały się ziołolecznictwem. Ale to oczywiście tylko moje, zresztą niewielkie doświadczenie, jakiś wycinek prawdy. A żeby wiedzieć, jak faktycznie miewa się na Podlasiu ziołolecznictwo ludowe pewnie trzeba by tam po prostu mieszkać. U mnie na wsi wśród osób starszych wiedza na temat ziół jest właściwie zerowa i to ode mnie się dowiadują, jak działa pokrzywa, mniszek i inne popularne zioła. Więc w moim odczuciu pogląd, że wśród babuszek mieszkających na wsi ta wiedza jest wciąż żywa to jakiś romantyczny mit. Ale też oczywiście w innych regionach może to wyglądać całkiem inaczej, więc uogólnianie może tu być nadużyciem.

CHAOS: Skąd czerpiesz wiedzę o ziołach?
Ruta: Od dr. Henryka Różańskiego, o którym już wspominałam, na studiach, kursach, z książek i publikacji naukowych. Fitochemia to ogromny zasób wiedzy, dość skomplikowanej. Lubię też sięgać po stare zielniki lub materiały z zakresu etnobotaniki, bo często okazuje się, że to, co było używane przez kilkaset lat po prostu działa. Wiedzę o ziołach czerpię też oczywiście z moich własnych eksperymentów. Testuję je na sobie, obserwuję reakcje i wyciągam wnioski. Poznawanie tajników ziół niesie ze sobą wiele zachwytów, ale i pokory płynącej ze świadomości jak mało tak naprawdę o nich wiem. Nie tylko na poziomie umysłu, ale i intuicji. O komunikacji między roślinami, ich odczuwaniu świata. Tak naprawdę niewiele wiemy również o ich leczniczych mocach, bo zioła, ze względu na to, że nie można ich opatentować są wciąż mało poznane.

CHAOS: Czy istnieje środowisko zielarzy w Polsce? Jak wygląda sytuacja z twojej perspektywy?
Ruta: Zioła stały się w ostatnich latach modne podobnie jak weganizm, dzika kuchnia, itd. To, co kiedyś było niszowe teraz stało się dość powszechne, uległo komercjalizacji. Jest sporo osób, które zajmują się ziołami na własny użytek, organizują warsztaty, spotykają się razem na zlotach zielarskich, itd. W ciągu ostatnich kilku lat ziołolecznictwo przekroczyło mury uczelni. Można je studiować m.in. w Lublinie, Krakowie, Olsztynie, Krośnie, Bydgoszczy, czy w Poznaniu. Kto nie chce studiować może zapisać się na roczny kurs „Zielarz-Fitoterapeuta" w Krośnie lub w Katowicach. Problem jednak polega na tym, że zawód zielarz-fitoterapeuta istnieje w Polsce niestety tylko na papierze, bo wg. obowiązującego prawa w naszym kraju może leczyć wyłącznie lekarz, czyli osoba, która skończyła medycynę. I raczej nie zanosi się, aby miało się to szybko zmienić.

CHAOS: Swego czasu szerokim echem odbiła się dyrektywa unijna z 2004 roku o tradycyjnych ziołowych produktach medycznych (THNPD), która weszła w życie w roku 2011. Regulacja zakazuje umieszczania na opakowaniach informacji o leczniczych działaniach i zastosowaniach ziół. Aby to było możliwe, konieczne są bardzo drogie badania, tzw. procedura sprawdzająca (szacunki mówią, że są to koszty od 100 tys. do 140 tys. Euro za jedną uproszczoną procedurę). W efekcie, w miarę obowiązywania unijnej dyrektywy, wiele leków roślinnych nie jest już w Polsce dostępnych, nie możemy ich nawet sprowadzić ze Wschodu, gdzie są całkiem legalne. Czy trochę nie jest tak, że koncerny farmaceutyczne i spożywcze na tym gruncie bardzo dobrze ze sobą współpracują i „dbają" o to, abyśmy jedli śmieciowe jedzenie, a później chorowali i leczyli się syntetykami wymyślonymi w ich laboratoriach? Co Ruta Zielarka sądzi na ten temat?
Ruta: To, o czym mówisz to dość duże uproszczenie. Nie chcę tu jednak wnikać w szczegóły. Moje podejście jest takie, że nie ma co stękać i biadolić nad dyrektywami, tylko wziąć sprawy w swoje ręce. Brać odpowiedzialność za swoje zdrowie. Kto tylko może niech samodzielnie uprawia zioła, samodzielnie zbiera, zdobędzie jakąś podstawową wiedzę na ten temat, bo to nie tylko daje wolność wyboru, ale też gwarancję, że w razie np. wojny, kiedy leki syntetyczne nie będą dostępne będzie sobie w stanie jakoś poradzić. Poza tym zioła sprzedawane w sklepach są często niskiej wartości: sterylizowane, suszone w zbyt wysokiej temperaturze, zwietrzałe, przeterminowane, itp. - leczenie się takimi roślinami może nie dawać efektów. To kolejny przyczynek do tego, żeby zbierać je samodzielnie lub pozyskiwać ze sprawdzonego źródła. Jestem wielką orędowniczką samowystarczalności żywieniowej i oczywiście, w miarę możliwości zdrowotnej. Podstawowa wiedza o roślinach była niegdyś warunkiem przetrwania. I w tej materii polecam powrót do korzeni...

CHAOS: Dobre duszki doniosły mi, że mieszkasz w pięknej okolicy – w Borach Tucholskich (na Pomorzu Zachodnim), gdzie pośród kur, psów, kotów i innego zwierza sporządzasz zielarskie mieszanki i odkrywasz ich tajemnice. Czy możesz coś więcej powiedzieć o gospodarstwie, w którym mieszkasz? Podejrzewam, że przyrodniczo okolica powala pięknem?
Ruta: Powala - dużo ciekawych, mieszanych lasów - bukowych i świerkowych, wataha wilków w sąsiedztwie, setki żurawi, bieliki, czajki. I w którą stronę się nie ruszysz - jeziora, w tym te najcenniejsze - lobeliowe. Tak jak mówiłam, ważna jest dla mnie samowystarczalność, szczególnie żywieniowa. W dużej mierze mi się to udaje, ale przyznam, że nie jest to łatwe, bo zajmuje niemal cały czas... Sianie, sadzenie, pielęgnowanie roślin, dbanie o glebę, zbiór ziół, suszenie, robienie ziołowych, warzywnych i owocowych przetworów, pieczenie chleba, opieka nad zwierzętami, itd. to coś, co absorbuje cię cały dzień. Szczególnie, jeśli działasz ekologicznie i bez użycia maszyn. A do tego dochodzą jeszcze inne zajęcia... Dlatego tak ważne jest budowanie jakiś wspólnot, wymiana barterowa, itd.

CHAOS: I pytanie, które nawiązuje do poprzedniego. Myślę, że się nie obrazisz jak wspomnę czytelnikom, że byłaś zaangażowana w działania feministyczne i ruch ekologiczny i często w latach 90. jeździłaś na Rozbrat. Skąd u mieszczucha i aktywnej działaczki pomysł na wyprowadzkę na wieś i odkrywanie świata ziół? Czy mogłabyś powiedzieć, jak do tego doszło, że wylądowałaś we własnym gospodarstwie z dala od miasta, szczęśliwa i zakochana w ziołach?

Ruta: Od kiedy pamiętam interesowałam się roślinami. I chciałam żyć blisko Ziemi. Uprawiać ogród, troszczyć się o glebę, sadzić drzewa, nasłuchiwać, co w trawie piszczy, rozumieć cykl Księżyca. Być samowystarczalną. I tkwić w tym po uszy. Nie od święta, nie w weekendy, nie popołudniami... Nie na pół gwizdka. A jak czegoś chcę, to po prostu to robię! Ale jeszcze zanim się wyprowadziłam na wieś na dobre, byłam zaangażowana pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku w tworzenie sieci Wiejskich Alternatywnych Społeczności, której pomysłodawczynią była Nicole Słomińska z Dąbrówki pod Lublinem. Współtworzyłam też przez parę miesięcy ekowioskę EkoEspero pod Płockiem. Skupialiśmy się na prawach zwierząt, weganizmie, byliśmy mocno zaangażowani w ruch ekologiczny. Byłam też wolontariuszką w gospodarstwach ekologicznych, gdzie miałam m.in. pieczę nad stadami kóz, robiłam sery, pracowałam w przydomowych biopiekarniach i zajmowałam się edukacją ekologiczną.

CHAOS: Pozwól Ruto, że przetestuję twoja szeroką wiedzę zielarską: czy możesz wymienić pięć ziół, które bez problemu znajdziemy w mieście, i z których to, laik taki jak ja, może przyrządzić zdrowotną miksturę na różne dolegliwości: grypę, alergie oraz wzmocnienie. Dasz radę?
Ruta: Sporo jest takich roślin, tylko pytanie czy zbierać je w mieście? Bo ja jakoś nie jestem do końca do tego przekonana. Ale jak ktoś chce to i w centrum miasta znajdzie cenne rośliny. Na przykład tasznik, wizualnie niepozorny, taki roślinny Kopciuszek. Jednocześnie można pozazdrościć mu siły przebicia - wyrasta nawet spod chodnikowych płyt. Chyba każdy go zna, przynajmniej z widzenia. Zwany chlebkiem, serkiem, serduszkami. A nawet stulidupą ze względu na skuteczność w leczeniu biegunek. Stanowi pierwszą, skuteczną pomoc przy zranieniach. Aby powstrzymać krew sączącą się z rany wystarczy przygotować okład ze świeżej, zmielonej rośliny. Ma właściwości odkażające, przeciwzapalne, wykrztuśne, moczopędne. Hamuje rozwój bakterii gram-ujemnych. Wzmacnia i uszczelnia naczynia krwionośne, zapobiega wylewom krwi pod skórę. Reguluje przemianę materii, pobudza wydzielanie żółci i perystaltykę jelit. Oczywiście nie sposób pominąć pokrzywy. Szorstka w obyciu, parząca, nieprzystępna, ale niezwykle cenna. Ma działanie wzmacniające, odżywcze, moczopędne i przeciwobrzękowe. Zwiększa liczbę czerwonych krwinek i poziom hemoglobiny. Reguluje przemianę materii i obniża ilość glukozy we krwi. Działa przeciwzapalnie, zwiększa odporność organizmu na infekcje. Zielony skarb na wyciągnięcie ręki. W parkach lub między blokami nietrudno też o brzozę. Jej młodziutkie, lepkie od obfitości żywic listki są doskonałym lekarstwem. Zbieranie ich to praca godna mniszki. Wymaga cierpliwości. Po ususzeniu pozostaje zaledwie garstka. Ale warto. Liście mają działanie moczopędne, przeciwobrzękowe, odtruwające, przeciwzapalne i odkażające. Bardzo popularna w parkach jest też jasnota biała, zwana głuchą lub martwą pokrzywą. Rośnie wszędzie tam, gdzie znajdzie zaciszny kąt i próchniczą ziemię. To prawdziwa przyjaciółka kobiet. Stosuje się ją przy nieregularnych, bolesnych i obfitych miesiączkach oraz upławach. Ale i mężczyźni mogą z niej skorzystać – łagodzi stany zapalne gruczołu krokowego. Stosuje się ją w niedokrwistości, męczącym kaszlu, zapaleniu oskrzeli i płuc. Ma zbawienne działanie na błony śluzowe wszystkich narządów, regeneruje je. Działa moczopędnie, przeciwcukrzycowo i przeciwzapalnie. Łagodzi stres. A skoro chcesz pięć – to niech będzie jeszcze powszechnie znany mniszek pospolity, którego chyba przedstawiać nie trzeba?

CHAOS: Jakie wskazówki i podpowiedzi masz dla osób zainteresowanych tematyką zielarską. Czy wyprowadzka na wieś jest koniecznością?
Ruta: Wyrosłam na ideach ekologii głębokiej, propagowanej w latach 90. XX wieku przez nieżyjącego już Janusza Korbela (respect!) z Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot i miesięcznika „Dzikie Życie". I to się mocno przekłada na moje podejście do przyrody. I do ziół. Adeptkom i adeptom ziołolecznictwa pierwsze kroki radziłabym skierować na łąkę, do lasu. By pobyć w towarzystwie roślin, podotykać ich liści, poprzyglądać się, nawdychać się ich zapachów. Gdy nawiążesz emocjonalną relację z roślinami nigdy nie będziesz traktować ich jedynie w sposób użyteczny (często rabunkowy), bez szacunku. I trzeba też oczywiście sięgnąć po wiedzę, bo całkiem sporo jest u nas roślin trujących, szczególnie w rodzinie baldaszkowatych. Niewiele jest dobrych książek zielarskich wydanych po polsku. Dla początkujących proponuję książki: „Zielona Apteka. Rośliny, które leczą i zapobiegają" K. Keville, „Zioła z apteki Natury" (praca zbiorowa), „Rośliny lecznicze i ich praktyczne zastosowanie" A. Ożarowskiego i W. Jaroniewskiego oraz oczywiście farmakognozje i atlasy roślin różnych autorów. A na ziołowy deser - moją ukochaną, pięknie napisaną „Jak wiedźma Agrypicha znachorstwa mnie uczyła". Zapraszam też oczywiście do rozgoszczenia się na moim blogu www.ziolawpelni.pl Można też brać udział w warsztatach, kursach, iść na studia, ruszyć na Zlot Zielarski. Przeprowadzka na wieś nie jest koniecznością. Każda/y niech mieszka tam, gdzie czuje się najlepiej!

CHAOS: Zioła...
Ruta: Są dla mnie źródłem radości. Prosto z głębin brzucha. Zachwytu. Dobrostanu. Niczym nieskażonej harmonii. Poznawanie ich ma w sobie coś z wtajemniczenia, inicjacji. Są moimi sprzymierzeńcami. Strażnikami zdrowia. Są czymś doskonałym samym w sobie.

CHAOS: Dziękuję za wywiad!
Ruta: Niech moc roślin będzie z Tobą!

DREWNIANY BUCIK W TRYBACH SYSTEMU

Alkohol na koncertach punkowych to temat rzeka. Ale alkohol robiony przez samych punków i dla punków, to nowość. Kto warzy lub nawarzył punkowego piffka dowiecie się poniżej. Pytania zadawał Gruha. Odpowiadali Winiak i Bimberek.

CHAOS: „Monopol państwowy na każdym stole. Anarchiści obalają go butelka po butelce. Obszczane kible i oberwane krany, to widok, jaki często zostaje po koncercie..." („Ślady Krwi" – DEZERTER). Zastanawiam się, na ile sytuacja opisana w tym fragmencie tekstu skłoniła was właśnie do... rozpoczęcia warzenia piwa na własną rękę?

Winiak: Pamiętam taką sytuację: benefitowa imprezka w centrum społecznym, na miejscu tłok, głównie lokalna załoga. Oczywiście połowa lub więcej z piwem w ręku. Podchodzimy z kumplem do baru. Tu muszę nadmienić, że było to jeszcze zanim Jakubiak zwyzywał jakiegoś znanego boksera za jego wsparcie dla osób LGBT i tym samym jego poglądy stały się bardziej znane, ale już po tym jak zaczął finansować Ruch Narodowy. No, więc podchodzimy do tego baru, patrzymy, patrzymy i oczom nie wierzymy. Do wyboru z 10 piw i wszystkie z Browarów Regionalnych Jakubiak. Tak oto właśnie Antifa finansowała Ruch Narodowy. Ta sytuacja utkwiła mi w pamięci mocno i była jednym z impulsów, który skłonił mnie do tego, żeby założyć własny browar. Skoro już potrzebujemy piwa, wydajemy na nie swoje pieniądze, a nawet dzięki imprezom benefitowym w załoganckich knajpach zarabiamy na piwie na działalność, to chyba lepiej nie napychać przy tej okazji kabzy złodziejskim korporacjom, czy nazistom. Co nie?

Bimberek: Dlatego powstał Browar Sabotaż i teraz możesz urwać kran bez wyrzutów sumienia...

CHAOS: Czym jest browar Sabotaż? Skąd ta nazwa?

Winiak: Sabotaż to taktyka walki. Pierwsi sabotażyści to byli robotnicy walczący o lepsze warunki życiowe. Oni wymyślili technikę psucia maszyn za pomocą drewnianych butów, które nosili - sabotów. Stąd pochodzi to słowo. My tworzymy browar, który jest jednocześnie taktyką walki z kapitalizmem. Nam nie chodzi tylko o produkcję piwa, ani tylko o to, aby zarobić. W gruncie rzeczy, mój ojciec mi powiedział: „Jeszcze będziesz żałował, że zacząłeś robić piwo, jak się do was urzędnicy dobiorą" i rzecz jasna, może mieć rację. Chociaż chcemy działać zgodnie z reżimowymi przepisami dot. sanepidów, akcyz, itp. nie spodziewamy się, że władza przywita nas z otwartymi ramionami. Może coś zarobimy, a może nas zniszczą. Ale zależy nam przede wszystkim na tym, aby stworzyć prawdziwą spółdzielnię, czyli miejsce pracy bez hierarchii, bez wyzysku, które będzie wspierać fajne inicjatywy społeczne i które będzie miejscem godnej pracy. Nie robimy tego tylko dla siebie, ale także z myślą o naszej społeczności, o naszych znajomych, którzy mają gównianą robotę, szefów złamasów i ledwo zarabiają na życie. Jeśli Sabotaż wypali, to będzie przede wszystkim firmą zarządzaną przez pracowników dla pracowników. To jest nasza misja.

CHAOS: Kiedy zaczęła się właściwa historia z sabotowaniem? Tfu, warzeniem piwa?

Winiak: Prawie 2 lata temu. Zastanawiałem się, co by tu zacząć produkować, tak żeby przynieść pożytek swoim znajomym. Akurat piłem piwo i tak patrzę na tę butelkę, patrzę i myślę, hm... Może to nie jest taki zły pomysł?

CHAOS: Do produkcji tego trunku potrzeba, jak mnie pamięć nie myli, słodu i chmielowych szyszek. Czy i w tej kwestii monopol państwowy trzyma łapę na źródłach pozyskiwania surowców?

Winiak: Nie. Na przykład większość plantatorów chmielu to mali rolnicy, parający się uprawą tej rośliny od pokoleń. Średnie gospodarstwo chmielarskie w Polsce ma 2 hektary, więc to właściwie mikro producenci. Ale moda na chmiele amerykańskie powoduje, że choć produkcja piwa w Polsce wzrasta, to produkcja chmielu spada. Nasze chmielarstwo jest w kryzysie i to jest jeden z powodów, dla których my, sabotażyści, coraz chętniej warząc piwo sięgamy po lokalne chmiele. Problemem jest to, że regionalni chmielarze nastawieni są na współpracę z wielkimi korporacjami, które mówiąc w skrócie potrzebują byle jakiego chmielu, więc mało kto w Polsce uprawia ciekawe odmiany. To zresztą ogólny problem we współczesnym rolnictwie. Podobnie jest np. z jabłkami i sądzę, że z wieloma innymi rzeczami. W USA chmielarze wyszli już naprzeciw bardziej wybrednym konsumentom piwa i stąd większość browarów rzemieślniczych kupuje chmiele z USA. Ale naszym zdaniem to paranoja, żeby skoro Polska jest 5. największym producentem chmielu na świecie sprowadzać ten surowiec zza oceanu. To nie ekologiczne raczej podejście. My chcemy warzyć dobre piwo na polskim chmielu, ale mamy też oko na produkcję w Niemczech i UK, gdzie w świecie chmielarskim dzieją się ciekawe rzeczy.

Produkcja słodu jest bardziej skoncentrowana, słodownie to współcześnie głównie wielkie zakłady produkcyjne wytwarzające tysiące ton surowca rocznie. My na Dolnym Śląsku jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji, bo jedna z niewielu słodowni w Polsce znajduje się w Strzegomiu. Nawiasem mówiąc obecnie posiada ją fiński koncern. Ale marzymy o tym, by w przyszłości założyć i słodownie i uprawę chmielu i w ogó-le

stworzyć spółdzielcze, kontrolowane przez pracowników imperium spożywcze. O to walczymy.

CHAOS: Jakie gatunki piwa do tej pory udało wam się wyprodukować? Czy możecie podać nazwy wychodzące z browaru? Macie własne receptury czy też dotarliście do dawnych przepisów? Podejrzewam, że przedwojenny Wrocław był pełen lokalnych browarów.

Winiak: Wrocław był pełen browarów, tak jak każde miasto, zwłaszcza w Niemczech. Ale choć odtwarzanie dawnych stylów to piękna zabawa i wciąż jest tu dużo do zrobienia, to nasza produkcja musi być dostosowana do współczesnych warunków. Staramy się wyprodukować takie piwo, jakie nam smakuje najbardziej, ze współcześnie dostępnych surowców i za pomocą tych technologii, które mamy pod ręką, stąd receptury układamy sami. W sumie przypadkiem tak wychodzi, że dużą część inspiracji czerpiemy z tradycji Wysp Brytyjskich, ale nawiązań bardziej lokalnych, czyli niemieckich i czeskich też mamy kilka. Był więc stout w stylu irlandzkim „Czarny Blok", nasz flagowy, inspirowany angielskim bitterem „Sabot", pszenica w stylu bawarskim czyli „Ciocia Basia", pilzner czeski, ale na polskich chmielach „Strajk Polski", piwo a la grodziskie z dodatkiem pieprzu czyli „Fikcyjne Małżeństwo", wielozbożowo-wiejska „Rabacja" i jeszcze trochę. Sporo się już uzbierało.

CHAOS: Czy warzenie piwa to skomplikowany proces?

Winiak: Zależy, do czego chcesz to porównać, ale raczej tak. Myślę, że bardziej skomplikowany niż robienie wina, chyba bardziej też niż pieczenie tortu. Piwowarstwo to właśnie umiejętność kontroli dość rozbudowanego procesu z wielką dbałością o szczegóły. Ja mam obsesję na punkcie pomiarów czasu i temperatury. Mam w domu z 10 termometrów i jak nie mam pod ręką żadnego czuje się niepewnie. Moja partnerka podarowała mi jakiś czas temu zegarek i kalkulator i uważam, że to bardzo trafione prezenty. Kontrola i pomiary to podstawa sukcesu.

Bimberek: A kiedy masz już te 10 termometrów, każdy pokazuje, co innego i to jest dopiero zabawa... Dodać można, że samo warzenie ma kilka nudnych momentów. Trudności (ale też satysfakcja) wynikają z tego, że nasz browarek to domowe DIY, gazowe taborety, durszlaki, pierdoły.

CHAOS: W jakim stopniu jesteście rozpoznawalni na lokalnym rynku? Czy udało się wam zapoznać wrocławian z piwem, które warzycie?

Winiak: Póki co działamy w podziemiu. Ale coraz więcej ludzi o nas słyszało i dopytuje się, kiedy pojawimy się na powierzchni.

CHAOS: Czy współpracujecie, tzn. zaopatrujecie, w swoje piwo lokalne puby? Jak i gdzie można zamówić wasze piwo? Czy w ogóle rozważacie wyjście na tzw. rynek i zmierzenie się z konkurencją lokalnych oraz wielkich browarów?

Winiak: Jeśli nam się poszczęści to na przełomie 2017 i 2018 nasze piwo będzie już w ogólnej sprzedaży, tzn. głównie w wegańskich knajpach, załoganckich pubach i w piwnych sklepach.

CHAOS: Na co powinien zwrócić uwagę kompletnego laik, który chciałby uwarzyć sobie domowymi metodami piwo? Planujecie zorganizowanie warsztatów, na których każdy mógłby uwarzyć piwo pod okiem doświadczonych keeperów z waszego browaru?

Winiak: Tak! Właśnie tej jesieni ruszamy z cyklem Domowa Kooperatywa Piwowarska Sabotaż. Idea jest taka, żeby nasz sprzęt do małoskalowego piwowarstwa domowego służył jak największej ilości osób. Na naszej stronie (www.sabotaz.tk) znajdziecie więcej informacji o tej inicjatywie, ale mówiąc w skrócie chodzi o wspólne warzenie piwa, tak, aby nawet totalni laicy mogli sobie wyprodukować nieco pysznego trunku.

A to, co warto wiedzieć, jeśli chce się zacząć warzyć to fakt, że to nie jest hobby z cyklu tylko dla bogatych. Zacząć można warzyć na sprzęcie, który jest w prawie każdym domu. Ważny jest duży garnek, ale może być np. pożyczony od babci, która w nim robi przetwory. Prędko pewnie zacznie wam czegoś brakować, ale za 300 PLN to już można solidnie wyposażyć domowy browar. Oczywiście jak ktoś chce wydać 5000 PLN to też ma drogę wolną, ale tak serio to jest hobby dla majsterkowiczów i kombinatorów. Każdy sobie jakiś sprzęt ze szpargałów znalezionych w piwnicy złoży.

CHAOS: Jak oceniacie rynek i role monopolu państwowego? Czy wasza inicjatywa wpisuje się w szersze zjawisko odradzania się lokalnych browarów w Polsce?

Winiak: Oczywiście jesteśmy częścią piwnej rewolucji. Zresztą piwna rewolucja jest w mojej osobistej ocenie bardzo punk rockowa. Serio, rozmawiając z piwowarkami z naszych okolicznych mikro browarów, osobami wywodzącymi się z piwowarstwa domowego widzę, że kultura DIY, potrzeba dzielenia się wiedzą, sprzeciw wobec dominacji koncernów i masowej produkcji jest w tym środowisku bardzo mocna. Gdy zaczynaliśmy warzyć nie znaliśmy nikogo, kto by robił takie rzeczy i miło nam było wchodząc stopniowo w to środowisko poznawać ludzi, którzy myślą podobnie do nas. To fajne zobaczyć, że towarzystwo anarchistyczne i punkowe nie jest otoczone morzem korpo-indywidualistów. Na zewnątrz też jest życie kolektywne, też są ideowcy! Rzecz jasna państwo polskie nie jest jakoś do tego ruchu pozytywnie nastawione. Państwo sprawuje nad rynkiem piwnym kontrolę za pomocą skomplikowanego systemu koncesji i podatków. Mamy sporo idiotycznych przepisów i wysoką akcyzę na piwo (kto wie, czy nie najwyższą w tzw. Europie), co bardzo hamuje rozwój tego sektora. Ale jestem dobrej myśli, gadałem ostatnio z jednym człowiekiem, który (mocno już pijany) z dumą mi oznajmił „zabraliśmy koncernom 10% rynku!". To są fakty. Rynek się zmienia na korzyść małych browarów. Oby jak najwięcej z nich zamiast powoli przeistaczać się w kolejne SABMillery, i kolejne Heinekeny stawało się producentami działającymi na korzyść swojej społeczności i pracownic.

CHAOS: Kto pracuje w browarze i jakie są relacje miedzy wami? Podejrzewam, że relacja typu pracodawca-pracownik w prowadzonym przez was browarze nie ma miejsca. Jest inaczej?

Winiak: Jest nas piątka. Jesteśmy zarejestrowani jako spółdzielnia socjalna, więc ewentualny zysk musimy przeznaczać na cele społeczne i inwestycje, nie możemy utrzymywać pasożyta zwanego w zwykłych firmach właścicielem czy inwestorem. Formalnie mamy prezeskę, ale w praktyce wszystkie decyzje podejmujemy demokratycznie, najczęściej w drodze konsensusu, czyli dyskutujemy tak długo, aż znajdziemy odpowiednie dla wszystkich rozwiązanie. Płace (jak będą) będą równe.

Bimberek: Na 5 osób dwie z nas to dziewczyny. Niby nic, niby normalne, ale ważne dla mnie jest, że w Sabotażu nie będę słyszeć tekstów: „ej serio, dziewczyna warzy piwo???".

CHAOS: Gdzie i jak można posmakować piwa warzonego przez kooperatywę Sabotaż? Czy współpracujecie z innymi alternatywnymi inicjatywami na terenie Wrocławia? Czy istnieje szansa skosztowania piwa na lokalnych koncertach, zamiast monopolu państwowego? Pierwsza z brzegu impreza: Punx Piknik... dobrym tropem podążam?

Winiak: Najpewniejszym sposobem na spróbowanie naszego piwa jest uwarzenie go z nami. Zapraszamy do kontaktu i do wspólnej produkcji. My dajemy sprzęt i wiedzę, wy możecie zaproponować pomysł, albo po prostu fizyczną obecność w warzelni, piwa na pewno będzie w sam raz dla wszystkich. Możecie też uwarzyć sobie nasze receptury sami. Jedna jest już opublikowana na stronie, systematycznie będziemy tę kolekcję powiększać. Natomiast, jeśli nie chce się wam warzyć to popytajcie znajomych i rozejrzyjcie się po okolicznych miejscówkach. Może jak czytacie te słowa to Sabotaż już dotarł w wasze okolice.

CHAOS: Wasze plany na rozwój?

Winiak: Jest ich mnóstwo. Chcemy rozwijać browar, produkować wszelkie rodzaje piwa: bezglutenowe, bezalkoholowe, kwaśne, słone, wędzone... Jak już będziemy mieli prawie całe portfolio w prawie każdym sklepie to założymy naszą słodownie, własną uprawę chmielu, w międzyczasie może uda się uruchomić produkcję cydru i zacząć uprawę jabłoni starych odmian. Na deser marzy mi się gorzelnia. To wszystko bez wyzysku, bez szefów, równościowo.

CHAOS: Anarchizm plus piwo to...?

Winiak: Cywilizacja.

Bimberek: Po wypiciu piwa zostaje pusta butelka. Jak ją wykorzystać podpowiada dyskretnie nasze logo...

CHAOS: Dziękuję za odpowiedzi na pytania.

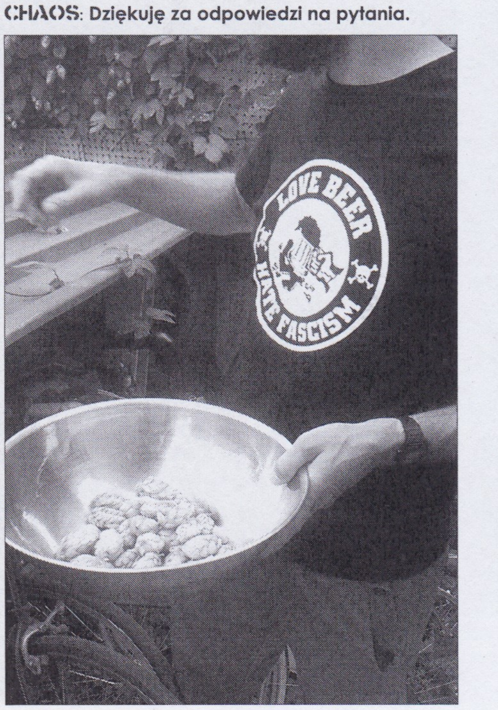

WEGAŃSKIE POSTRZEGANIE ŚWIATA

Podczas punkowych podróży miałem okazję zawitać do knajpy Vegalité w Brnie. Graliśmy tam koncert, przyjechaliśmy tam dużo wcześniej i mieliśmy okazję oglądać świetnie działającą knajpę wegańską. Tłum pałaszujący pyszne jedzenie i pijący piwo (warzone w knajpie), rozmowy, śmiechy. Na uwagę zasługiwała ściana w korytarzu pełna plakatów pro-animal, pro-wolnościowych i informujących o demonstracjach. Pełno ulotek i zinów. Przy barze puszka, gdzie zbierane są datki na A.L.F. Obsługa lokalu to załoganci i załogantki. Poczułem się jak w punkowym raju. O godzinie 18-tej, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki lokal zmienił się w salę koncertową i wypełnił się hc-punkową publicznością. Nie ukrywam, że Vegalité mnie zauroczyło i podbiłem do Jiřina, bossa tego przybytku z prośbą o wywiad. Jiřina okazał się niesamowicie intrygującą osobą, mającą wiele ciekawego do powiedzenia. Wywiad przeprowadził Kuba, tłumaczył zaś Wolf.

CHAOS: Cześć, na początek przedstaw się nam, a jako, że jesteśmy zinem punkowym, powiedz nam o swojej punk-historii.

Jiřina: Cześć Kubo, mam na imię Jiří, ale od lat młodości kumple nazywają mnie Jiřina, co jest żeńskim odpowiednikiem mojego imienia w języku czeskim. Mam między 35, a 40 lat, czas upływa tak szybko, że musiałbym sprawdzić w dowodzie ile dokładnie, ale to bez znaczenia.

Urodziłem się w Brnie, przez kilka lat mieszkałem we Francji, przez sześć lat studiowałem, by zostać nauczycielem francuskiego i podstaw nauk społecznych. Pracowałem w szeregu barów, a od 2009 roku prowadzę restaurację- bar muzyczny Vegalité w centrum Brna.

Gdy miałem ok. 15 lat zafascynowałem się sceną punk. Studiowałem jednocześnie w Strasburgu i w Brnie, i w obu miastach miałem punkowych znajomych, od których dostawałem pierwsze kasety, fanziny itp. W latach 90. widziałem swoje pierwsze koncerty w miejscach takich jak Šedá Litina aka Slévárna na ulicy Košinovej w Brnie czy w Pradze na skłocie Ladronka lub w klubie 007. Te koncerty oczywiście wywarły na mnie bardzo silne wrażenie i moje życie zmieniło się na zawsze. Etyka D.I.Y., wegetarianizm, a później weganizm, poszukiwanie wolności, walka o prawa ludzi i zwierząt, antyfaszyzm, ekologia i wiele innych zagadnień stało się częścią mojego życia.

Grałem w różnych kapelach hardcore punk, zaczynając od takich jak Š.U.P. czy LOUTKOVÁ VLÁDA (melodyjny punk z fletem) poprzez grające trasy po całej Europie - TERRARIOT (folk punk z wiolonczelą, terrariot.bandcamp.com) i NAGAIKA (harcore-punk, http://bandzone.cz/nagaika) po istniejący obecnie SAME RIVER TWICE (nastrojowy hardcore, samerivertwice.bandcamp.com), z którym w ub. roku wydaliśmy winyl „All Those Moments".

Lata temu robiłem zina punks&skins „Pastva", a następnie aktywistyczno-punkowego zina „Omnicida" zatytułowanego tak od kawałka Ol POILLOI pt. „Omnicide". Należałem też do grupy aktywistów Wera, która zorganizowała szereg akcji na rzecz wyzwolenia więźniów politycznych, praw zwierząt, ekologii czy skłotingu. W 1999 po pierwszym praskim street party zakończonym zamieszkami, założyliśmy z kilkoma przyjaciółmi małą grupę, która zorganizowała w Brnie street party o nazwie „Brněnská pouliční slavnost", które po trzech latach przekształciło się w dobrze znany na lokalnym gruncie Protest Fest. Była tam muzyka, prezentowano zagadnienia społeczne, polityczne i ekologiczne, miały też miejsce akcje bezpośrednie, jak np. okupacja budynku Rady Miasta podczas Międzynarodowych Targów Obronności i Bezpieczeństwa. Niestety, ten festiwal już nie istnieje. W końcu, w 2009 powstało Vegalité, które „zjada" większość mego czasu, więc wspomniany aktywizm przeniósł się głównie na pole „gastro-aktywizmu".

CHAOS: Jak zaczęła się twoja wegetariańsko-wegańska przygoda, jaką drogę przeszedłeś by stworzyć Vegalité?

Jiřina: Jeśli traktować Vegalité jako przygodę (a na pewno taką jest!), to zaczęła się w 2009. Było tylko kilka miejsc, w których weganie i wegetarianie w Brnie mieli co zjeść, a jako, że od lat byłem częścią miejscowej sceny hardcore punk, oczywiście chciałem połączyć wegańskie żarcie z koncertami hc/punk. Pracowałem w kilku barach i miałem niebawem skończyć studia. Wtedy mój kumpel Dušan zaproponował byśmy wspólnie otworzyli nowy lokal w naszym mieście. Tak więc wypiliśmy kilka piw, godzinami dyskutowaliśmy i w końcu otworzyliśmy Vegalité, które przez trochę ponad rok początkowo mieściło się na ulicy Cejl, która leży w dzielnicy Zábrdovice, znanej także jako Bronx (ponieważ mieszkało tam wielu Romów). Ponieważ tamto Vegalité mieściło się w piwnicach, kilkukrotnie mieliśmy tam silne powodzie, które całkowicie zniszczyły wyposażenie restauracyjne. Właściciele lokalu byli ubezpieczeni i obiecali nam odszkodowanie, ale ponieważ za bardzo kochali pieniądze i byli chujami, nigdy go nam nie wypłacili.

Zatem w 2010 znaleźliśmy lepsze miejsce, w centrum miasta, z większą powierzchnią na koncerty (i stoły) i w miarę suche (!), więc przenieśliśmy się na ulicę Slováka 10 [jakby ktoś szukał na mapie, to po czesku brzmi Slovákova 10 – przyp. tłum.]. Później, z różnych powodów Dušan opuścił knajpę, a ja wciąż jestem w tym budynku prowadząc Vegalité z zajebistą pomocą (!) naszych pracowników, którzy są zarazem moimi przyjaciółmi. Myślę, że od samego początku przewinęło się tu ok. 40 osób. Bez nich, przyjaciół z zewnątrz i ekip robiących koncerty nigdy nie byłbym w stanie uczynić Vegalité miejscem rozpoznawalnym na całym świecie, jak i doskonale znanym antyekstremistycznemu departamentowi czeskiej policji.

Samo słowo Vegalité pochodzi od francuskiego „égalité", czyli „równość". „V" z przodu oczywiście odnosi się weganizmu i wegetarianizmu, a ponadto vegalité oznacza równość między mężczyznami i kobietami. Weganizm ma jasno uzasadnione miejsce w moim życiu i jako, że mieszkałem z trzema kotami (obecnie tylko z dwoma), czuję bardzo bliską więź z duszami, uczuciami i życiem zwierząt. Od dzieciństwa uwielbiam gotować i kuchnia roślinna wskazała mi więcej smaków i więcej sposobów gotowania. Dlatego to ja wciąż ustalam menu restauracji i spędzam mnóstwo czasu eksperymentując z nowymi daniami czy składnikami.

CHAOS: Brno jest znane w punkowym światku m.in. dzięki swemu wiceburmistrzowi, który ma punkową przeszłość (jeździł z kapelami hc/punk jako kierowca). Czy fakt, że tak wysoko postawiony polityk wywodzi się z punka bywa pomocny w papierkowo-urzędowym formalizmie? Czy on odwiedza wasz lokal?

Jiřina: Z pewnością masz na myśli Martina, który w latach 90. należał do naszego lokalnego ruchu podziemnego z silnymi wpływami ekologii. Tak, wciąż jesteśmy przyjaciółmi, ale polityka na tak

wysokim szczeblu pochłania mnóstwo czasu, a on, jako wiceburmistrz nie może nawet rozwiązać takich lokalnych problemów jak np. brak stojaków na rowery na naszych ulicach. W każdym razie, owszem, od czasu do czasu wpada do nas na drinka lub obiad. Wciąż stara się jakoś działać w kwestii takich ekoproblemów w naszym mieście, jak nadmierny ruch samochodowy, kurczenie się zasobów zieleni, itp.

CHAOS: Graliśmy u was koncert i odniosłem wrażenie, że Vegalité to nie tylko lokal gastronomiczny, ale i swego rodzaju infoshop i tzw. miejsce z misją. Widać plakaty z koncertów, informacje o demonstracjach i akcjach, etc. Czy normalsów przychodzących na obiad nie zniechęca ta punkowa otoczka klubu?
Jiřina: Zgadza się, poznaliśmy się na koncercie twojej kapeli w kwietniu. Z pewnością masz rację, że Vegalité działa właśnie w ten sposób. To nie jest zwykła restauracja, ale miejsce z czysto punkową duszą i charyzmą. Możesz tu zobaczyć hardcore punkowy koncerty, przeczytać ziny czy broszury polityczne. Możesz także kupić jakieś ziny, zapatystowską kawę czy płyty, ale możesz też po prostu wpaść na piwo (sami warzymy trzy rodzaje piwa!) i odpocząć. Część ludzi to kocha, a część czuje, że trafiła do anarchistycznego bunkra i nie ma ochoty tu wracać, ale to ich wybór. Staramy się wykonywać swoją pracę najlepiej jak potrafimy, zgodnie z własnymi odczuciami i tego nie zmienimy. Co ciekawe, w tym roku wygraliśmy Certyfikat Jakości TripAdvisor i obecnie jesteśmy 14. najbardziej popularnym lokalem gastronomicznym w całym Brnie, na ok. 900 zarejestrowanych w tym mieście restauracji i barów. W przeszłości byliśmy też zaproszeni do czeskiej telewizji państwowej, by zrobić program o gotowaniu, wygraliśmy też przeróżne nagrody za swoją pracę. Co jest zabawne, to, że wieczorem gościmy hardcore'owy koncert i kolesi rzygających w kiblu, a następnego ranka jesteśmy czystą, pachnącą restauracją z dzieciakami bawiącymi się w kącie.

CHAOS: W nawiązaniu do poprzedniego pytania, Vegalité to także koncerty. Robicie je sami czy macie jakieś załogi, które je robią? Może u was zagrać każdy zespół czy macie jakieś kryteria, które kapele muszą spełnić?
Jiřina: Zrobiliśmy w Vegalité setki koncertów w przeróżnych stylach muzycznych, ale głównie jesteśmy zorientowani na imprezy hardcore, punk, crust, power violence i grind. Grały tu kapele z całego świata, nawet z Chin, Indonezji, Meksyku, Japonii, Argentyny, itd. Osobiście robię tylko 4-5 gigów do roku z pomocą Slovina, ale jest więcej niezależnych ekip i pojedynczych osób (w większości moich znajomych) regularnie robiących koncerty w różnych miejscach, w tym oczywiście w Vegalité. Próbujemy zapewnić im dobre warunki i niską cenę za wynajem nagłośnienia. Samo miejsce w Vegalité udostępniamy na koncerty za darmo, nie trzeba za nie płacić. W zamian oczekujemy spełnienia kilku warunków, takich jak dobre rozreklamowanie koncertu. Niektóre z ekip bukujących u nas imprezy to: The Shullins (http://theshullins.blogspot.cz), Storm In the Temple (http://storminthetemple.blogspot.cz), United Crusties (https://www.facebook.com/unitedcrusties), Grindcore Is the Love (https://www.facebook.com/grindcoreisthelove), Apocalypse Lizard, Smrt a Spaghetti, Suicide Crew, Vangelis Punx, Thorsten Scumpunk, Elens , Solidní Bahno etc.

CHAOS: Słyszałem też opinię, że pracownicy Vegalité są traktowani bardzo uczciwie i że zarabiają lepiej niż w innych lokalach gastronomicznych w Brnie. Czy da się pogodzić interes prywatny z dobrym traktowaniem pracowników? Czy tak, jak w Polsce, branża cateringowa jest u was często na granicy opłacalności? Czy jest duża konkurencja?
Jiřina: Staram się stworzyć przyjazne miejsce do pracy. Większość rzeczy rozwiązujemy po dyskusji z ekipą baru, możesz mieć wolne w wybrane przez siebie dni i myślę, że zarobione przez pracowników w Vegalité pieniądze są znacznie wyższe niż średnia krajowa. Praca w gastronomii jest ciężka, a jak pisałeś, wielu działających w gastronomii pracowników znajduje się na granicy ubóstwa. Jednocześnie właściciele restauracji i barów nie mogą sprzedawać piwa za 5 euro, ponieważ miejscowe wynagrodzenia nie są tak wysokie, jak na przykład w Niemczech i dlatego ludzie w gastronomii często balansują na granicy rentowności lub spędzają całe życie dbając o bar czy pub. Cieszę się, że mamy mnóstwo gości, więc możemy zaoferować dość tanie potrawy i napoje, a jednocześnie stworzyć sprzyjające warunki. Ale na pewno można powiedzieć, że Vegalité nie jest żadnym koncernem.

CHAOS: Jak wygląda wegan, wege gastro scena w Brnie? Macie dużo lokali zbliżonych profilem do Vegalité?
Jiřina: W latach 90. niewielu ludzi wiedziało, co to jest jedzenie wegetariańskie, a weganizm oczywiście postrzegano jako jakąś dietę z Marsa. Ale wiele dobrej roboty wykonała np. znajdująca się na tej samej ulicy, co Vegalité, restauracja Oáza, która zaczęła tę etyczną „gastropropagande". Gdy zakładaliśmy Vegalité, były tylko cztery restauracje wegetariańskie w całym Brnie. Teraz mamy więcej niż trzy tuziny.
Wydaje mi się, że byliśmy pierwszym miejscem, które sprzedawało wegańskie i wegetariańskie żarcie i zarazem alkohol, czego absolutnie nie mogli pojąć ludzie traktujący tę dietę wyłącznie, jako zdrowe odżywianie. Ponadto Vegalité miało część dla niepalących, jak i dla palących, za co byliśmy krytykowani [nie wiem, kiedy z tego zrezygnowali, ale być może dopiero odkąd w Czechach wprowadzono zakaz palenia w lokalach, co miało miejsce dopiero w tym roku – przyp. tłum].
Obecnie w świecie zachodnim ma miejsce wegański boom, który jest świetny dla zwierząt, naszej planety i dla ludzi. Otwiera się tak wiele nowych restauracji, barów i sklepów, więc współzawodnictwo bardzo rośnie, bo w szerokim świecie gastronomii przeżyć jest dość ciężko. Lubię nowe pomysły i wynalazki zamiast ściągania cudzych pomysłów, dlatego jestem fanem jednych miejsc, a innych nie. Jestem fanem używania miejscowych składników, dlatego nie jestem zbyt szczęśliwy z powodu „nowowegańskiego" boomu, który jest oparty na gotowaniu wszystkiego z nerkowców i avocado, co nie ma nic wspólnego z ekologią, która powinna być częścią wegańskiego postrzegania świata.

CHAOS: Będąc w Czechach zawsze robię zakupy w waszych marketach, kupując mnóstwo tofu, tempeh i wegańskich parówek, to wszystko jest stosunkowo tanie w porównaniu z Polską. Zgodzisz się z moją teorią, że w Czechach jest dużo wegan i wegetarian i dzięki temu popytowi macie tanie jedzenie?
Jiřina: Tak, z pewnością masz rację, podstawowe produkty spożywcze jak proteina sojowa, tofu, etc. są u nas dość tanie w porównaniu z innymi krajami. Ale nie sądzę, że to wynika z wysokiego popytu. W Republice Czeskiej z pewnością jest spory odsetek ludzi niejedzących mięsa czy wegan, ale to bardziej dlatego, że wiele marek roślinnych powstało tu, więc ich produktów nie trzeba transportować, itd., dzięki czemu ceny są niższe. Czeskie tofu i tempeh należą do najlepszych na świecie i możesz być pewny, że to nie jest tylko moje zdanie [potwierdzam – tłum.]. Także kapele grające tu trasy są zachwycone. 1kg tofu czy proteiny sojowej możesz kupić tu za 4 euro, a kilo tempehu za 7.

CHAOS: Czy Vegalité to tylko vegan-fit czy coś więcej, czy ważne są dla was prawa zwierząt? Jak odnosicie się do radykalnych akcji pro-animals typu A.L.F.? Słyszałem, że sporo czeskich punks jest zaangażowanych w walkę o prawa zwierząt, to prawda?
Jiřina: Podstawą w kuchni Vegalité jest z pewnością kontekst etyczny. Przekonanie, że

dziś nie musimy spożywać mięsa, ani innych produktów odzwierzęcych. I że spożywanie zwierząt kompletnie i nieodwracalnie niszczy świat, w którym żyjemy. Nie przedstawiamy ludziom Vegalité, jako restauracji zdrowej (kochamy także smażone i grillowane rzeczy, jak wegańskie szaszłyki czy sznycle, choć oczywiście mamy też i bardzo zdrowe dania), ale przede wszystkim, jako wegańskie i wegetariańskie miejsce, które wspiera prawa zwierząt. Nasza kuchnia jest oparta w większości na weganizowaniu tradycyjnych dań kuchni czeskiej, ale uwielbiamy też dania z całego świata.
Zawsze sympatyzowałem z ruchem Animal Liberation Front (możecie sprawdzić np. czeską stronę Michala: http://michalkolesar.net) i całkowicie szanuję ludzi, którzy się w niego angażują, robiąc to całkiem anonimowo, więc nikt ich za to po plecach nie poklepie.
Ludzie, którzy mają zdrowe uczucia, powinni bezproblemowo umieć dostrzec szczęście lub smutek w zwierzęcych oczach. Możesz zacząć od obserwowania swoich zwierząt domowych, kiedy je karmisz, wracasz do domu, zostawiasz je czy wyprowadzasz na kilka godzin. Niestety, na pyskach zwierząt trzymanych w zamknięciu jest i szczęście i cierpienie.
Myślę, że czeska scena punk jest blisko związana z ruchem praw zwierząt, ale oczywiście nie każdy zespół czy osoba jest weń zaangażowana. To problem, który nas otacza i którego nie da się ignorować. Niezmiernie mnie też cieszy fakt, że największe czeskie festiwale hardcore-punk-metal, takiej jak Obscene Extreme (http://www.obsceneextreme.cz), FluffFest (http://flufffest.net) czy Brutal Assault (https://brutalassault.cz) są całkowicie wegańsko-wegetariańskie albo przynajmniej zapewniają wegańskie opcje, co jeszcze parę lat temu nie było takie oczywiste [z tych wymienionych to najwyżej w wypadku BA, bo z tego, co się orientuję, zarówno Fluff, jak OEF były zawsze meat-free – tłum.]. I sądzę, że wraz ze wzrostem liczebnym ruchu wegetariańskiego, ta tendencja będzie trwać.

CHAOS: Obok Vegalité, jest duży, różowy budynek, w którym mieści się burdel. Jak odnosisz się do zjawiska prostytucji i co za tym idzie seksizmu i podejrzanych mafijnych interesów? Czy osoby z różowego budynku przychodzą do was na obiad? Czechy są bardzo liberalne pod względem seksualnym?
Jiřina: Masz na myśli klub Moulin Rouge. Jest tak samo znany w Czechach, jak ten paryski na świecie. Czasem bywa, że jego goście przychodzą do nas na szota przed lub po odwiedzinach w nim. Może dla kurażu... W czasie Grand Prix Brno to miejsce pęka w szwach i jasne, że dobrze wiemy, że z nami sąsiaduje.
Nie tylko na ulicach Brna prostytucja do niedawna była legalna. Przez ostatnie lata politycy próbują usunąć ją z miejsc publicznych, ale przecież bardzo często kobiety są zmuszone pracować w seksbiznesie, bo nie mają innego wyjścia – np. samotne matki czy osoby wykluczone społecznie. Polityczy próbują zamknąć prostytucję wewnątrz ścian, by usunąć ją z oczu, ale należy usunąć przyczyny, a nie skutki. Kiedy ukryjemy problem, nie przestanie on istnieć. Ale cieszę się, że ten temat jest przedmiotem debaty publicznej i organizacje takie jak Rozkoš bez rizika (http://www.rozkosbezrizika.cz) mocno się na tym skupiają.

CHAOS: Powiedz mi jak wygląda praca w Vegalité, czy jest ona ciężka? Jak wygląda cały proces od przyjęcia zamówienia po przekazanie gotowego dania klientowi?
Jiřina: Prowadzenie knajpy to władza, myślę, że każdy obeżystа przyznałby mi rację. Restauracja to usługa publiczna, więc oczekuje się, że będziecie otwarci każdego dnia w roku. Mimo to, zdecydowaliśmy mieć zamknięte w niedziele. To nie jest mój dzień wolny, tylko raczej dzień małych napraw, zamawiania towaru i wymyślania pomysłów na nadchodzący tydzień. Jakkolwiek to jest ciężka praca, czasem wręcz wyczerpująca (wliczając niemożność wyłączenia telefonu), kocham ją i mam zawsze wielką frajdę, gdy coś dobrze wychodzi. W takie dni mówię sobie: tak, warto to robić. Szkoda, że wielka część mojej pracy to wypełnianie papierów, dbanie o standardy narzucone przez Unię Europejską i sprawdzanie wszystkich nowych przepisów i zawiadomień, które pojawiają się i zmieniają co miesiąc. Oczywiście,

jeśli się tym nie przejmujesz, to ryzykujesz zapłatę naprawdę przerażających kar. Istnieje też presja byś „zbierał" przeróżne certyfikaty, z których każdy naturalnie kosztuje setki euro.
Tak więc, kiedy spełniasz już te wymogi, wymyślasz menu i napoje, szukasz odpowiedniego jedzenia i ludzi nadających się do współpracy. Częścią tej pracy jest jej organizacja, która w moim wypadku jest w miarę łatwa dzięki wspaniałym ludziom, którzy mnie otaczają. Następnie płacisz rachunki, czynsz, wyceniasz to, co sprzedajesz, sprawdzasz daty koncertów, obliczasz płace, etc. Potem masz zamawianie i przywiezienie towaru do restauracji, zachęcenie potencjalnych klientów, by do ciebie przyszli i oczywiście przygotowanie dań i napojów tak, by ci klienci byli zadowoleni i usatysfakcjonowani. Kolejna część mojej pracy to komunikacja z ludźmi przez telefon, email, listy i portale społecznościowe, które są też swego rodzaju reklamą. Bo w tradycyjnie rozumianą reklamę nie inwestujemy i wolimy od czasu do czasu zasponsorować jakąś pożyteczną działalność na rzecz praw zwierząt, ekologii, itp.

CHAOS: Z jakiego dania w swoim menu jesteś szczególnie dumny? Czy macie potrawy, które są gotowane tylko u was?
Jiřina: Odkąd ruszaliśmy z Vegalité, próbowałem wymyślać dania, których nie gotowały restauracje dookoła. Bazowałem na swoim doświadczeniu, bo przecież gotuję bezmięsne jedzenie od ok. dwudziestu lat, ale szukałem też pomysłów z całego świata, w formie drukowanych książek kucharskich, jak i online. Na przykład bardzo ciekawe są przepisy kucharzy z Sea Shepherd. Każda próba i każdy pomysł czy połączenie smaków, daje ci nową perspektywę na gotowanie, to dzięki temu gotowanie jest miłością życia, nawet mimo tego, jak trudne i stresujące są chwile, gdy ludzie w restauracji zamawiają ci 40 dań naraz. W takich chwilach przekleństwa pomagają się trochę uspokoić.
Nie umiem wybrać jednej potrawy jako najlepszej, ale jesteśmy dość popularni dzięki weganizowaniu klasycznych, mięsnych dań czeskiej kuchni. To dlatego robimy świetny gulasz albo svíčková [tradycyjny czeski sos na mięsnym wywarze i śmietanie – tłum.], na które chętnie do nas przychodzą nawet zdeklarowani mięsożercy. Jeśli chodzi o mnie samego, to uwielbiam gotować dania kuchni azjatyckiej i francuskiej, a zwłaszcza zupy. Wydaje mi się, że jesteśmy jedyną restauracją wegetariańską, która regularnie w kuchni używa Robi (bardzo smaczny, miejscowy substytut mięsa produkowany w miejscowości Újezd u Brna, http://www.eurobi.cz) i dobrze nam to wychodzi. Gotujemy rzeczy łatwe do przyrządzenia, takie jak sznycle czy smażone wegańskie sery, ale także dania trudniejsze, których przygotowanie zajmuje kilka godzin. I co ważne – każdy nowy kucharz przychodzący do Vegalité wnosi nowe inspiracje, więc nasze gotowanie wciąż się rozwija. Jako, że mamy dużo gości, duża część pracy kuchennej to koordynacja wszystkiego tak, by ludzie nie czekali długo na swoje zamówienia.

CHAOS: Powiedz nam, jak wygląda sprawa z wegańskim serem? Ten, który kupujemy w Czechach jest nieszczególnie dobry, czy masz jakieś ciekawe alternatywy, aby weganie mogli zastąpić ser?
Jiřina: Jeszcze kilka lat temu weganie nie mogli sobie wyobrazić, że w przyszłości będą jeść dobry, wegański ser, albo znajdowali jakieś z niechcianym zapachem. Dziś jest bardzo łatwo, ponieważ sklepy oferują nam produkty, które czasami są wręcz niewyobrażalne. Jakieś 10 lat temu nasz przyjaciel Milan (założyciel jednej z najbardziej aktywnych lokalnych non-profit i społeczno-ekologicznych organizacji pozarządowych – sprawdźcie ją:

http://nesehnuti.cz) przywiózł tu parokrotnie świetny wegański ser z Macedonii. To był pierwszy ser, jaki jadłem, odkąd zostałem weganinem i bardzo mi zasmakował. Był w zasadzie najlepszy, ale niestety potem odkryliśmy, że w jego produkcji używa się odzwierzęcych emulgatorów. Podobny problem był z „wegańskim" serem „Alternativ" często rozprowadzanym przez Billę. Jest on robiony z nasion słonecznika, ale po wystaniu zapytania do producenta, okazało się, że nie jest 100% wegański.
Obecnie, wśród przeciętnych wegan istnieje silna tendencja by robić wegańskie sery z nerkowców. Nie jestem szczególnym zwolennikiem tego pomysłu ze względu na to, że te orzechy muszą przemierzyć cały świat, by wreszcie trafić do twego żołądka. Wierzę, że podstawą diety wegańskiej powinno być spożywanie produktów lokalnych i unikanie tych, które przebyły cały świat, zostawiając za sobą wielki ślad ekologiczny. Moim zdaniem najlepszy wegański ser, jakiego używam do gotowania to niemiecki Wilmersburger (https://www.wilmersburger.de), ale smakuje mi też np. czeski Veganline (http://veganline.cz). Bardzo dobry, a nieco zapomniany jest słowacki Tavenýr (http://www.sojaprodukt.sk), który może jest bardziej tofu niż właściwym serem, ale jest bardzo smaczny. Sądzę, że jeszcze sporo pracy przed biznesem spożywczym, by powstał naprawdę pyszny wegański ser, ale myślę, że powinno się to zmienić w najbliższych latach.

CHAOS: Wiele wegetariańskich i wegańskich potraw ma nazwy wywodzące się z potraw mięsnych (kebab, schabowy, etc.). Czy nie uważacie, że to jest śmieszne?
Jiřina: Masz całkowitą rację, to naprawdę częste i najczęściej kontrproduktywne. Uważam, że używanie niektórych z tych terminów jest OK, jak np. mięso sojowe („sojové maso"), ponieważ zakorzeniły się już w słownictwie, ale inne bardziej mnie odrzucają niż intrygują. Na przykład myślę, że wegańskie udko kurczaka o kształcie prawdziwego, zwierzęcego udka jest raczej obrzydliwe i może być traktowane jedynie, jako żart na jakąś imprezę dla wegan udających, że jedzą mięso. Ponadto, używanie tych nazw, określeń i form jest bardzo często używane przez mięsożerców, jako argument przeciwko weganom i wegetarianom. Z pewnością jest to argument dziwny i przegięty, bo przecież tu chodzi jedynie o słowa i zabawę z nimi, a nie o zabijanie zwierząt, co czynią oni sami. Te argumenty są tak często używane, bo niewiele innych można znaleźć by zaatakować kogoś o to, że jest zdolny do współczucia. W każdym razie, niektóre nazwy są spoko, inne mniej, to zależy od kontekstu, w jakim są używane. Jak nazwiesz wędzony, sojowy produkt w kształcie podłużnego walca? Po prostu parówka sojowa, zamiast wymyślać jakąś durną nazwę, która nikomu się z niczym nie będzie kojarzyć! Czym jest „parówka sojowa" zrozumie każdy, w przeciwieństwie do „wędzonego walca sojowego" - to byłoby niepraktyczne. Jak inaczej nazwać „śmietanę ryżową", żeby klienci wiedzieli, co się za daną nazwą kryje? Najnowszym trendem w UE jest usiłowanie powstrzymania ludzi w „gastro biznesie" przed używaniem nazw takich jak „wegański ser" i wymaganie, by w zamian nazywali go „wegańską alternatywą dla sera". Byliśmy już o tym w przeszłości uprzedzani przez Inspekcję Żywności (Státní zemědělská a potravinářská inspekce). W Vegalité powszechnie używamy cudzysłowów przy nazwach nawiązujących do produktów zwierzęcych lub potrawach, które tradycyjnie są na nich oparte. A czasem to olewamy...

CHAOS: Możesz dać nam przepisy na łatwy start dla początkujących wegan? Jak najlepiej zastąpić jajka, masło czy ser?
Jiřina: W dzisiejszych czasach dostępne jest wszystko z wymienionych rzeczy. Jedne są dobre, inne niekoniecznie. Nie produkuję swojego własnego wegańskiego sera domowej roboty, a gdy mam na takowy apetyt, po prostu go kupuję. Wszelako wolę gotować ze świeżych składników zamiast z półproduktów. I ta tendencja staje się u mnie tym bardziej zauważalna, im dłużej jestem weganinem. Ale jeśli sam chcesz zrobić wegański ser, z pewnością możesz to zrobić. Ten filmik będzie bardzo pomocny (ale sorry, jest tylko po czesku): https://www.celostnimedicina.cz/vegan-syr-diky-kteremu-zapomenete-jak-chutna-ten-skutecny.htm Tak samo jest z wegańskim masłem. Nie jadłem zbyt często masła przed zmianą diety na wegańską, więc nie szukam teraz wegańskiego. Jednak w internecie znajdziesz mnóstwo przepisów, w tym np. bardzo szybki: (http://www.veggiefish.cz/2014/12/veganske-bylinkove-maslo.html) i większość z nich opiera się na połączeniu oleju kokosowego z innym, bardziej powszechnym olejem i dodatkach takich jak kurkuma dla zabarwienia na żółtawo. Możesz też kupić bardzo drogie margaryny czy masła roślinne, albo powszechnie dostępną margarynę słonecznikową, którą kupisz w każdym osiedlowym sklepie. Jeśli chodzi o jajka, to dość łatwo zastąpić je w życiu codziennym. Ich smak łatwo uzyskasz czarną solą wulkaniczną. Bardzo dobrze komponuje się ona z mąką cieciorzycową przy robieniu omletu, albo z tofu, kuminem, kurkumą i cebulą przy robieniu tofucznicy. Z kolei, by skleić przygotowywane jedzenie, w wypiekach czy robiąc panierkę możesz użyć jakiejkolwiek skrobi.

CHAOS: Czy wierzysz w wegański świat pewnego dnia? Co musi się zdarzyć, aby nastąpiła zmiana wartości, na których postawiony jest świat? Czy może, niestety, będzie to koniecznością, bo nie będzie innego wyjścia?
Jiřina: Bardzo bym chciał wierzyć w to, że świat w przyszłości będzie wegański, ale tak nie jest. Już dziś wiadomo, że przekraczamy granicę między światem, jaki znaliśmy, a nieodwracalnymi zmianami klimatycznymi. Niektórzy ludzie niestety wciąż tego nie widzą, jak np. były czeski prezydent, Václav Klaus. Konsumpcja jest jak pociąg bez hamulców i co smutne, występuje ona tak samo wśród części wegan. Weganie, którzy nie przejmują się środowiskiem i kontekstem żywności, a dbają jedynie o to, czy ich jedzenie jest wegańskie, są bardziej „niebezpieczni" niż ludzie mieszkający w górach i jedzący na miejscu pozyskiwane mięso. Nie jest dziś problemem zjeść wegański lunch np. w McDonaldzie, ale jak destrukcyjny przemysł kryje się za tą firmą? Ludzie w górach hodują zwierzęta, zabijają je i spożywają. Ale część wegan mieszkających w miastach, kupując na co dzień produkty wielkich korporacji i jedząc żywność z drugiego końca naszej planety, niszczy świat, w tym innych ludzi i oczywiście zwierzęta. Więc naprawdę trzeba byś świadomym, co dzieje się dookoła nas i znać problematykę taką, jak, co kryje się za olejem palmowym, avocado, itp.
Niestety, ludzkość ma tendencję do masowego zniszczenia, wliczając w to autodestrukcję. Jasne, powstają dziś nowe ruchy walczące o weganizm i zdrowy klimat, ale przeciw sobie mają mocny mur zwykłych, nieświadomych ludzi, utrzymywanych przez innych ludzi i prowadzonych przez kilka osób, których my nie widzimy, a które kierują światowym rynkiem. Choć oczywiście zdecydowanie powinniśmy być częścią tego ruchu protestu, wspierać jego aktywność i nigdy nie tracić nadziei, że coś zmieni się na lepsze. Oczywistym jest, że kończą się nasze zapasy wody i powinniśmy stworzyć nowe oraz próbować utrzymać wodę na terenach wiejskich zamiast ją tracić. Ale niestety, dominuje tendencja ku rozwiązaniom korzystnym finansowo i krótkotrwałym, zamiast skutecznych i długofalowych. Bardzo dobrze, że obecnie coraz częściej dyskutuje się o weganizmie, jako jedynej alternatywie zapobiegającej wyginięciu ludzkości, zwierząt, roślin i całego ekosystemu. Ale biznes stojący za przemysłem zwierzęcym jest bardzo silny i powiązany z ludźmi, którzy rządzą całymi grupami państw. Dzień w dzień nikną kolejne gatunki zwierząt, a słabą pociechą może dla nas być to, że pojawiają się też nowe, bo zwierzęta próbują dostosować się do nowych warunków klimatycznych. Świat przyrody silnie reaguje na każdą drobną zmianę. Tak, więc nie wierzę w wegański świat, ale wciąż nie tracę nadziei, że ludzie nie skończą wysychając na słońcu i piekąc się we własnym domu.

CHAOS: Rozmawialiśmy kilka chwil na koncercie, mówiłeś, że masz swój punkowy zespół. Możesz nam coś o nim napisać, może dasz linki do muzyki?
Jiřina: Nazwa mojej kapeli to SAME RIVER TWICE (SRT). Naszej muzyki możecie posłuchać lub bezpłatnie ją ściągnąć z: https://samerivertwice.bandcamp.com. Możecie też nas znaleźć na Facebooku. Jest nas trzech, choć w dwóch nowych kawałkach dodatkowo gościmy Janę na wokalu. Na perkusji gra Iris, z którym gram w kapelach od 2002, a na basie Bobr, który gra też w świetnej crustowej kapeli BRUNNER TODESMARSCH, tworzonej przez punków od lat grających też innych tutejszych kapelach D.I.Y. (posłuchajcie ich tu: http://bandzone.cz/brunnertodesmarsch). SRT w ubiegłym roku wydało pierwszą płytę i obecnie pracujemy nad nowym materiałem, tak by może w przyszłym roku zrobić nowy album. Płytę wydaliśmy sami, z dużą pomocą naszych przyjaciół. Miksował ją Rosičák (grający w MY DEAD CAT https://mydeadcat777.bandcamp.com), ilustracje zrobił Pavla (wokalista TUMMO https://tummo.bandcamp.com), grafiki Bery (BRUNNER TODESMARSCH i EVIDENCE SMRTI https://evidencesmrti.bandcamp.com), a masteringiem zajął się we Francji Guillaume Doussaud (odpowiedzialny też za brzmienie AMANDA WOODWARD i AUSSITOT MORT). Gramy swego rodzaju hardcore z wolnymi, melodyjnymi i nastrojowymi pasażami i elementami crusta. Kilku śmiałych przyjaciół mówi, że kojarzy im się to z kapelami takimi jak FALL OF EFRAFA i CHILDREN OF FALL. Śpiewamy o codziennych problemach jednostek i całego społeczeństwa. Łącznie wychodzi z tego nastrojowy hardcore. Sprawdźcie to!

CHAOS: Na koniec proszę o ostatnie słowo dla czytelników „Chaosu W Mojej Głowie".
Jiřina: Dziękuję bardzo, Kubo, za rozmowę [to zdanie Jiřina napisał po polsku – tłum.], a jeśli ktokolwiek z was ma jakieś pytania, to bez oporów piszcie na mój email (jirina@vegalite.cz). Bardzo się cieszę goszcząc na łamach „Chaosu W Mojej Głowie", bo jestem dużym fanem polskiej sceny, a zespoły takie jak WŁOCHATY, DEZERTER, NEUROPATHIA, STRACONY czy COALITION bardzo inspirująco wpłynęły na moje życie. Próbujcie żyć w zgodzie z własnym sumieniem, ale nie zapomnijcie też o zabawie!

WYCINAM I LEPIĘ SIEDZĄC W ŁÓŻKU

Mam pełny szacunek dla ludzi, którzy mają pasję. Tak po prostu. Albo odwrotnie - nie rozumiem ludzi, którzy nie mają swojej pasji. Jakie ubogie jest życie ludzi, którzy swoje życie ograniczają do schematu - szkoła, praca, dom... Jak śpiewała kiedyś RECESJA zadając pytanie – a gdzie jesteś ty? Aneta należy do osób, które posiadają pasję, a może nawet kilka. Fanzine „Among Scratches", który tworzy Aneta najprawdopodobniej część osób zna. Jednak to tylko fragment jej zaangażowania w przeróżne projekty. Realizuje swoje pomysły odnajdując nieznane drogi pomiędzy autorem a odbiorcą. Postanowiłem wraz z Izą stworzyć kilka pytań, by pokazać, że jeśli się chce to można wiele. Zachęcam do sprawdzenia różnorodnej twórczości Anety. rav

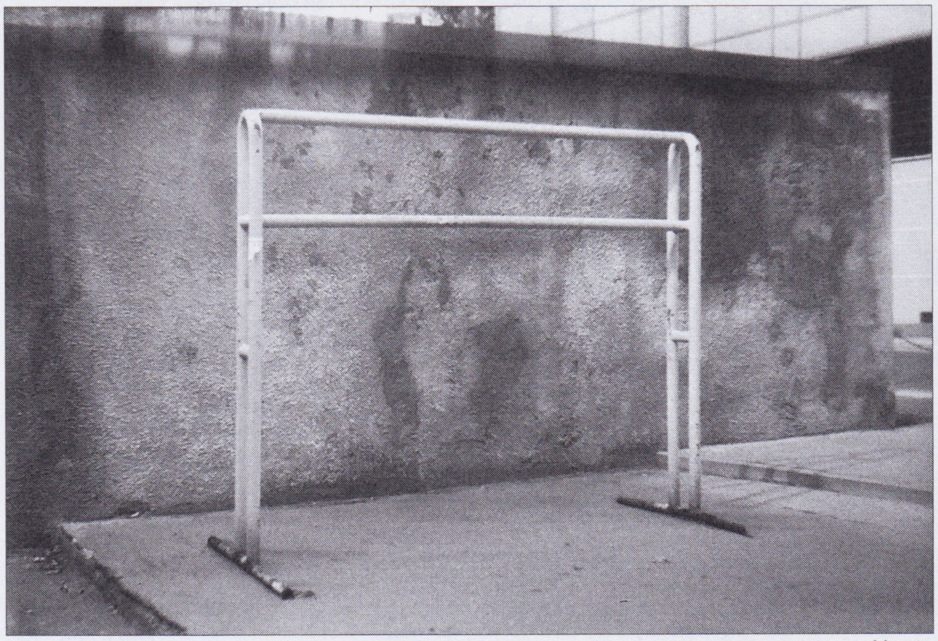

CHAOS: „Among Scratches" - skąd taka nazwa? Co było pierwsze - fotoblog czy fotozine? A może zupełnie coś innego?

Aneta: Na początku był chaos, haha! Pierwsze były zdjęcia i to jeszcze wrzucane na różne fora, które teraz są martwe. Fora, na których większość z nas miała konta, ale nie każdy się przyzna, tam lądowały foty koncertowe. Zdjęcia - nazwijmy je „uliczne" - wrzucałam na strony o tematyce foto, art., etc. Zine papierowy powstał w 2014 roku. Zdjęcia robię ostro gdzieś od dekady, wcześniej też, ale nie z takim natężeniem, teraz to przycichło trochę na rzecz innych działalności, ale o tym później... A nazwa? Nazwa, to osobista sprawa. Niech tak zostanie. Z resztą podpisuję się czasem innymi pseudonimami, ale to nie w necie i nie w zinie...

CHAOS: Gdzie według ciebie leży granica pomiędzy zinem a gazetą? Czy masz jakąś swoją definicję zina?

Aneta: Hmm... Odpowiedziałabym zdjęciem, ale to za proste, więc... Jakoś intuicyjnie. Zinem jest i GAZETA, którą można kupić w Empiku, która ma milion stron, mały druk, nr ISBN i wywiady z kapelami, wiadomo, o czym mówię, ale dla mnie zinem jest też coś, co znalazłam niedawno na przystanku tramwajowym. Trzy strony (wyzwanie jak dla mnie), zatytułowane „Wiadomość dla Ciebie", więc - no jak nie brać. W środku wszystko o grzechach, o pokucie, więc taki kato-zine, ale DIY, ktoś się narobił sklejając w misterny sposób te trzy kartki. Tematyka akurat nie miała dla mnie znaczenia w tym wypadku, umiliło mi to powrót po pracy do domu.

CHAOS: Zine wypuszczasz w różnych nakładach. Od czego zależy ilość sztuk danego numeru? Dlaczego niektóre odcinki są numerowane ręcznie?

Aneta: Czasem ilość zależy od tego, że np. jakiejś konkretnej kartki, która będzie w środku mam w ilości np. 36, a to jest przykładowo jakaś PRL-owska papeteria czy inna rzecz nie do kserowania, bo ma być oryginałem. Albo papieru na okładki mam tyle i tyle. Głównie chodzi o wykorzystanie w jakimś procencie rzeczy znalezionych, lubię dawać drugie życie, taki recyklingowy zinowy DIY. Numeracja, jeśli w ogóle jest - to zawsze ręcznie. Przy 500 sztukach pewnie by mi się nie chciało, ale przy takim „nakładzie" jak robię, to wiesz... pikuś.

CHAOS: Bardzo często „Among Scratches" jest ręcznie zszywany nitką. Dlaczego akurat taki pomysł na połączenie kartek zina, zamiast klasycznego zszywacza? Zdarzają się też inne ręczne roboty przy papierze, dlatego każdy egzemplarz jest wyjątkowy. Opowiedz o tym, skąd czerpiesz pomysły na wygląd zina.

Aneta: Banalnie. Na początku nie miałam zszywacza, pożyczyłam, ale nie zszył zina, bo miał za dużo kartek. Więc poszperałam, wzięłam nitkę i zszyłam, wbrew pozorom szybko szło. Ogólnie lubię taką dłubaninę. Szczególnie wieczorami, z jakąś dobrą muzyką. Uspokaja mnie to. Myślę, że sznurek zostanie ze mną do końca życia. A inspiracje? Nie wiem. Serio... Z otoczenia. Czasem dosłownie z otoczenia... Gdzieś mi coś wpadnie w łapy, a dopiero później do głowy, a później do zina... Często działam intuicyjnie, to jakby wręcz samo się robiło w głowie, ja to tylko materializuję.

CHAOS: Pomiędzy kolejnymi numerami „Among Scratches" wyszedł dodatkowy odcinek w wersji mini, zapakowany w pudełko po kasecie magnetofonowej. Skąd taki pomysł? Dlaczego nie był kolejnym numerem? Czy to był jedyny nienumerowany „Among Scratches"? Czy wyszło takich więcej?

Aneta: To był jedyny dodatkowy zine. Miałam już przygotowany kolejny numer, na jesień czy jakoś tak, a ten w kasecie latem wyszedł tak na szybciora, bo za długa przerwa byłaby między jednym, a drugim „zwykłym". Pomysł nadal tak samo - jakieś pudełka miały iść na śmietnik, więc se myślę... nieee... trochę pozbierałam po znajomych, zebrało się ileś tam i zrobił się zine.

CHAOS: Szósty numer „Among Scratches" był splitem z argentyńskim zinem „Inaccion". Kto wyszedł z inicjatywą współpracy? Czy w przyszłości możemy się spodziewać kolejnych splitów? Co sprawia, że chcesz podjąć taki typ współpracy z innym twórcą?

Aneta: Autor argentyńskiego zina coś mi skomentował na stronie, tak na niego trafiłam, a później na zdjęcia, jakie robi, miałam wrażenie, że w jakiejś części oglądam jakby „swoje" zdjęcia. Foty ociekające melancholią, ukazujące szarość, brud, mijający czas... Okazało się też, że Emiliano robi zina, więc spytałam, co myśli o takiej współpracy... żeby wydać splita tego samego dnia i w Argentynie, i w Polsce. Zgodził się. Nadal mamy kontakt, więc nie jest wykluczone, że będzie #2. Poczekamy, zobaczymy. Na razie nie robię nawet regularnego numeru. Był teraz w Gdyni na DIY w lipcu, następny może w 2018...

CHAOS: W zinie pojawiają się kolaże twojego autorstwa. Jak często siadasz przy biurku z nożyczkami i klejem by tworzyć wyklejane obrazy? Przy tworzeniu kolaży, na co bardziej zwracasz

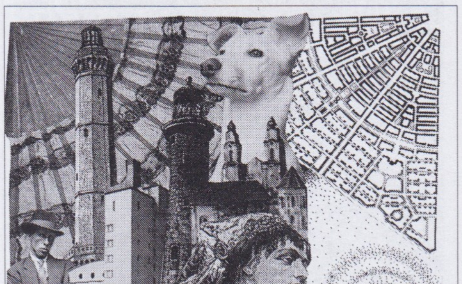

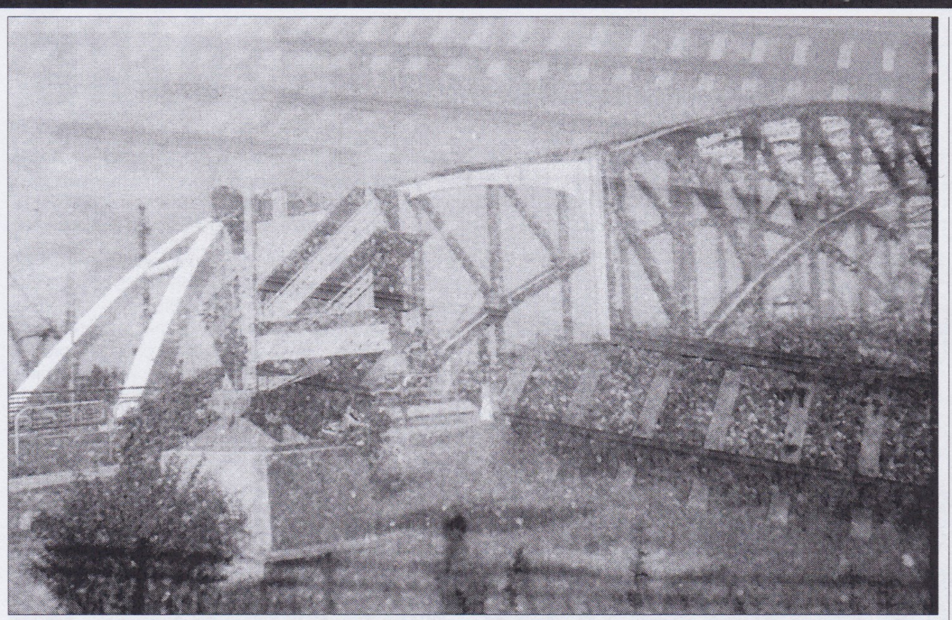

uwagę, na ich wizualną stronę czy ukryty przekaz? Czy nie wydaje ci się, że kolaże są niedoceniane w świecie sztuki i funkcjonują gdzieś na peryferiach artystycznego świata?**

Aneta: Nigdy nie siadam przy biurku. Wycinam siedząc w łóżku i lepię też w łóżku, wygląda to wtedy jak skład makulatury. A tak serio, to często jak coś ciekawego mi wpadnie w oko w jakiejś gazecie, to wyrywam i sobie ten ścinek czeka na swój czas. Bywa, że jednego wieczoru zrobię pięć kolaży, a bywa, że nic przez miesiąc. Strona wizualna jest ważna, jak nie najważniejsza dla kogoś, kto to ogląda czy czyta, jednak ten ukryty przekaz - o który pytasz - to chyba tylko ja znam w chwili, gdy tworzę, siedzi mi coś wtedy w głowie i w ten sposób to wywalam. Z tym niedocenionym światem kolaży, to zależy jeszcze, o jaki świat pytasz - w zinach to raczej ich nie ma, ale są na okładkach płyt, są w świecie „niescenowym". W ogóle - w zinie pojawili się też inni twórcy kolaży, np. AmbasaDaDa, którego osobiście uwielbiam, ogólnie sporo gości już publikowało na łamach „Among Scratches", to nie jest tak, że to „mój" zine. Czasem wprost pytam ludzi - chcesz jedną kartkę? Nawet obcych, których poznałam przykładowo na jakimś koncercie i wyszło, że ktoś pisze, coś tworzy, robi zdjęcia, ma coś ciekawego do powiedzenia, ma swoje zdanie, ma ciekawą osobowość... etc.

CHAOS: Jak oceniasz kondycję polskiego zinotworzenia? Jakie polskie tytuły są twoim zdaniem warte uwagi? Czy uważasz, że w Polsce jest wystarczająco ilość zinofestów?

Aneta: Z ostatnich zinofestów, to kojarzę zjazd zinów w Krakowie i Drukuj!Zinefest w V9 w Warszawie (2016). Ogólnie zjazdów nie śledzę, więc nie wiem czy jest ich dużo czy mało, ale są, więc dobrze. Jedne ziny poleciłabym ze względów wizualnych, inne za treść, m.in. „Mydło", „Idealny Moment", „Xerocop"... Ale nie będę już tu robić wyliczanki, bo w zasadzie w każdym jest coś ciekawego, łącznie z tym z przystanku tramwajowego...

CHAOS: Czym dla ciebie jest fotografowanie? Czy to hobby, pasja, której celem jest sprawianie radości? Czy może fotografowanie to sposób na zarabianie pieniędzy? Czy nie boisz się, że wpadniesz w uzależnienie i nie będziesz w stanie wyjść z domu bez aparatu? Czy może już tak jest?

Aneta: Fotografia to hobby, ale zawodowo też gdzieś się tam to kręci od lat. Masz rację, często wychodząc z domu biorę aparat, ale raczej analogowy, i to taki starszy, jakieś radzieckie lomo czy coś z DDR, czy jeszcze starsze dziady. Kręci mnie eksperymentowanie, często filmy poddaję jakimś torturom zanim zrobię na nich zdjęcia. Co do tego uzależnienia... może? Nie wiem. Ale jak widzę ciekawą bramę, gdzie cegła może spaść na głowę, a ja nie mam aparatu - to nie wchodzę zwiedzać.

CHAOS: Co lubisz najbardziej fotografować? Z tego, co widzę dużych inspiracji dostarcza ci ulica. Jakie miasta, dzielnice, osiedla uważasz za najciekawsze?

Aneta: Wszystko i nic. Nie mam czegoś ulubionego, nie zastanawiałam się nad tym w ten sposób. Idę i po prostu coś mi się spodoba, więc to uwieczniam. Stare, opuszczone chaty. Coś, w czym dostrzegam duszę lub wręcz przeciwnie, coś, co wydaje się zimne, odhumanizowane i bezduszne... stal, beton, szkło. Miejska zupa. Faktury, strzeliste formy geometryczne, odbicia. Ale tak „niewizualnie", to szukam czegoś, co ma dla mnie ładunek emocjonalny, co niesie jakieś pytania egzystencjalne, gdzie widać smutek, samotność, czas, jakąś zadumę...

CHAOS: W twoich pracach czerń i biel wygrywa z kolorem. Przynajmniej ja odnoszę takie wrażenie. Czy twoim zdaniem, za pomocą tych dwóch kolorów można przekazać całą barwę otoczenia?

Aneta: Tak. Między czernią, a bielą jest cała gama szarzyzny, która nas otacza. Na tym się skupiam głównie, nie chcę pokazywać całego otoczenia. Wystarczy mi ten szary kawałek tortu.

CHAOS: Robisz dużo zdjęć na koncertach. Bardziej odpowiadają ci się fotki wyraźne, na których można zobaczyć każdy szczegół, czy może wolisz rozciągnięte obrazy, na których postacie pokrywają się i widoczny jest ruch?

Aneta: Lubię niedopowiedzenia. Czasem robię takie, czasem takie. Jednak zdecydowanie wolę zdjęcia rozmazane, czy jak to część mówi - nieudane, czyli jakieś cienie, jakieś fragmenty postaci, grę świateł, bawię się tą scenerią, którą przy okazji koncertu mam.

CHAOS: Fotografując na koncertach, gdy publiczność rozkręca szaleńcze pogo i regularnie wpada ktoś na ciebie lub rękami i nogami próbuje wytrącić ci aparat, nie boisz się o jego uszkodzenie? Z drugiej strony zdarzają się sytuacje, gdy osób z aparatami jest więcej niż pogujących - nie wydaje ci się to dziwne, a nawet krępujące dla zespołu?

Aneta: Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby ktoś mi chciał wytrącić aparat, jestem tą publicznością, bawię się, czasem specjalnie wchodzę w wir, żeby być bliżej ludzi i ich emocji, to raczej ja ich czasem zaczepiam i robię fotę. O aparat się nie boję. Bardziej sama go rozwaliłam, np. o zlew w kiblu, bo noszę w ekotorbie, olewam jakieś tam torby termiczne, etc., czasem robię tymi analogami, co na allegro są za 10 zeta, więc, o co tu się bać? Szkoda byłoby mi bardziej, jakbym po jakimś gigu zgubiła torbę, szkoda byłoby mi zdjęć, nie sprzętu, bo do niego się nie przywiązuję, to tylko rzecz. Jeśli fotografów jest więcej niż publiki, to czasem nie robię zdjęć. Czasem zrobię kilka na początku, na pamiątkę. Zresztą więcej widzę osób z telefonami, niż z aparatami. A czy to jest krępujące dla zespołu? Dla mnie by było jakbym grała. Ale nie gram. Chociaż w sumie to nie wiem, nie byłam w takiej sytuacji.

CHAOS: Jakie zespoły czy wykonawcy w ostatnim czasie zrobili na tobie największe wrażenie podczas spotkania na żywo? Wybierając koncerty decydujesz się na zespoły, które znasz bardzo dobrze czy jednak lubisz nieznanych wykonawców, którzy zrobią miłą niespodziankę?

Aneta: To i to. Chodzę na koncerty kapel, które znam i cenię, ale lubię pójść w ciemno. Czasem tylko dlatego, że podoba mi się, np. plakat informujący o imprezie, wtedy dosłownie idę w ciemno. Nie sprawdzam na YT czy stronie kapeli, co grają. Z góry zakładam, że będzie ciekawie, jak jest koncert połączony z wystawą. Tak było ostatnio

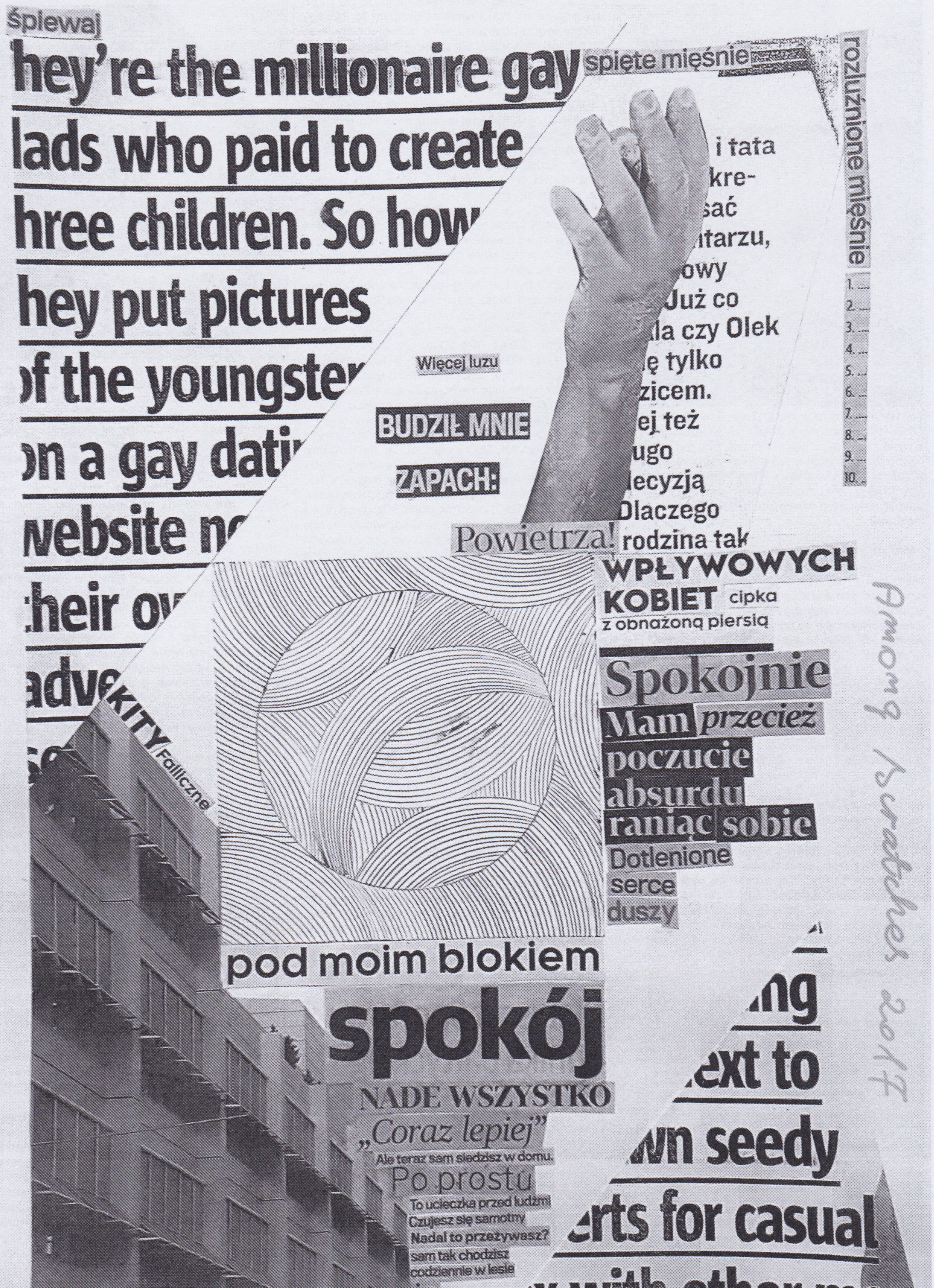
śpiewaj
hey're the millionaire gay
lads who paid to create
hree children. So how
hey put pictures
of the youngster
on a gay dati
website no
their ov
adve
spięte mięśnie
rozluźnione mięśnie
i tata
kre-
sać
ntarzu,
owy
Już co
la czy Olek
ę tylko
zicem.
ej też
ugo
lecyzją
Dlaczego
rodzina tak
1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.
Więcej luzu
BUDZIŁ MNIE
ZAPACH:
Powietrza!
WPŁYWOWYCH
KOBIET cipka
z obnażoną piersią
KITY
Falliczne
Spokojnie
Mam przecież
poczucie
absurdu
raniąc sobie
Dotlenione
serce
duszy
Among Scratches 2017
pod moim blokiem
spokój
NADE WSZYSTKO
„Coraz lepiej"
Ale teraz sam siedzisz w domu.
Po prostu
To ucieczka przed ludźmi
Czujesz się samotny
Nadal to przeżywasz?
sam tak chodzisz
codziennie w lesie
ja
wracam
ng
ext to
wn seedy
erts for casual
ex with other men

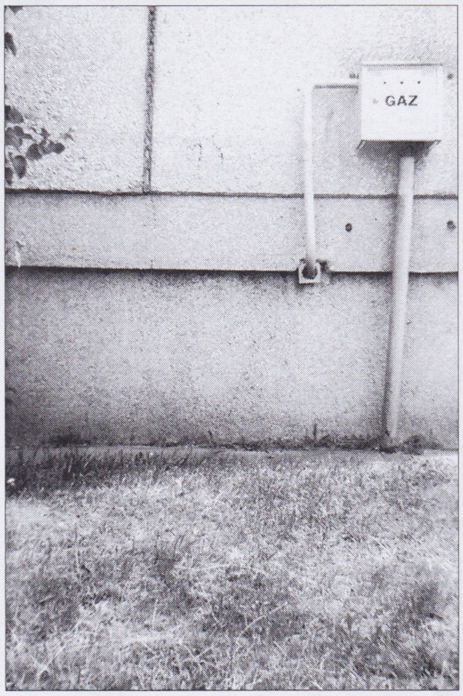

na występie duetu LASY. Zagrali w Gdańsku w Królewskiej Fabryce Karabinów, w kotłowni. Piękny, industrialny, ceglany teren. Muzyka idealnie uzupełniała wystawę zorganizowaną przez Miejsca/Places, a dokładniej leśną instalację Marcina Zawickiego. No, ale na dobre hc też lubię się przejść. Z odkryć polecam JERUJI. Super ekipa z Indonezji...

CHAOS: W Berlinie można się spotkać z zakazem fotografowania na koncertach. Czy twoim zdaniem jest to ograniczenie artystycznej wolności, czy może ten zakaz ma swoje uzasadnienie w środowiskach squatersko-wolnościowych? Czy dostosowujesz się do zakazów fotografowania?

Aneta: Nie tylko w Berlinie są takie zakazy. Jeśli widzę taki zakaz, to czasem pytam kapelę czy chce foty i po prostu nie robię zdjęć publice. To taki mój złoty środek. Ogólnie jak na skłocie nie chcą zdjęć wcale, to to uszanuję. Przecież, jak idziesz do kogoś do domu, to na dzień dobry - jak to mówi staropolskie przysłowie - nie srasz mu na dywan. Jeśli zakaz dotyczy, np. miejsc publicznych, a fotografuję z ulicy i wyskakuje jakiś cieciomat, to pytam, czy ma wyłączność fotografowania na tej ulicy. Zazwyczaj nie ma. Z resztą, jak zależy mi na wykonaniu jakiegoś zdjęcia to i tak je zrobię, stopami, ale zrobię.

CHAOS: Twoje zdjęcia znalazły się w książce Marty Marciniak „Inna droga życia". Jak doszło do tej współpracy? Czy wcześniej twoje zdjęcia ozdabiały inne książki? Jak oceniasz książkę Marty? Czy opisuje historię punka dobrze twoim zdaniem, czy może ty zrobiłabyś to inaczej?

Aneta: Z Martą znamy się już wiele lat. Książka ta została wydana najpierw w języku angielskim, w 2015 roku (Transnational Punk Communities in Poland From Nihilism to Nothing Outside Punk) w Stanach, ale wydanie polskie jest bogatsze w treść i o zdjęcia właśnie, ale nie tylko moje. Ja nie mam lekkiego pióra, na pewno zrobiłabym to inaczej. Gorzej. Marta odwaliła kawał dobrej roboty, a to na pewno nie koniec! Co do innych książek, to tak, gdzieś tam się przewijały moje zdjęcia, ale to nie była punkowa tematyka.

CHAOS: Opowiedz o projekcie Znikająca Wystawa. Kiedy mniej więcej wpadłaś na ten pomysł? Co cię zainspirowało? Czy ktoś pomaga ci w realizacji tego projektu?

Aneta: Każda z tych wystaw, to inna brocha w sumie, a tych broszek już było pięć. Więc... Pierwsza miała miejsce - o ile się nie mylę - 1-go stycznia 2016 r., w Warszawie, w podwórku opuszczonej kamienicy przy ulicy Pańskiej 100 A (miejsce, które zawsze odwiedzałam, jak byłam w okolicy). Zdjęcia, które tam zawisły przedstawiały wnętrza innych warszawskich kamienic, detale, etc. Zamysł był taki, żeby fotografie znikały razem z kamienicą. Tak też się stało. Była to też druga (i ostatnia) ekspozycja tych prac, pierwszy raz wisiały na „zwykłej" wystawie, jednej z moich pierwszych, gdzieś koło 2010, czy 2011 roku i w końcu stwierdziłam, że czas się z tymi pracami pożegnać, trochę tego było, trochę dorobiłam, tematycznie idealnie - więc zakończyły żywot tam. Wystawa nr 2 była w tym samym miejscu, około pół roku później, doszły kolaże. Wystawy nr 3 i 4 odbyły się w Płocku we współpracy z miejscowymi twórcami (rysunki, foto i wiersze). Ja się skupiłam na kolażach. Najwięcej prac powiesiliśmy wtedy na Rynku. Fuksem był jakiś festyn, wszyscy byli zajęci jedzeniem kiełbas i kupowaniem baloników, więc w spokoju mogliśmy ganiać z młotkami i klejem. Nikt praktycznie nie zwracał wtedy na nas uwagi, a zastanawiałam się jak na pustostanach powiesimy wszystko w samym centrum. A tu taka niespodzianka, nigdy się tak nie cieszyłam z tłumu ludzi. Jak poszliśmy następnego dnia zobaczyć jak się prezentuje wystawa, to już ludzi mniej było, trochę policji, więc mieliśmy szczęście. Wystawa nr 5 odbyła się w maju 2017, w Gdańsku. Tu już nie było jednego miejsca i jednej tematyki, czy jednej formy wyrazu. Tu, przez cały maj, w różnych miejscach, pojawiały się różne rzeczy, fotografie, instalacje, wiersze, ogólnie charakter wystawy był bardziej konceptualny, ważne było to, co - i gdzie wisi, nie sama forma i wykonanie. I tu właśnie znalazłam swoją ścieżkę (Kunst-im-Kopf). Nie zrezygnuję oczywiście z tego, co robiłam przez ostatnie 10 lat, ale więcej czasu poświęcam na inne działania niż fotografia sama w sobie. Wracając jeszcze do Płocka... Tam już tradycyjnie też jest coś w rodzaju FreeArt-u, gdzie na tzw. kratkach przy moście nad Wisłą zostawiamy różne rzeczy, zazwyczaj w ilości 20, bo tyle jest okienek. Tam to było już chyba wszystko, a to nie koniec...

CHAOS: Jaka jest reakcja ludzi na sztukę spotkaną przypadkowo na ulicy? A może większość nie jest przypadkowa? Czy przeciętny odbiorca staje się szczęśliwszy dzięki takim wydarzeniom? Co chciałabyś osiągnąć?

Aneta: Reakcja ludzi? Nie za często mam okazję ją

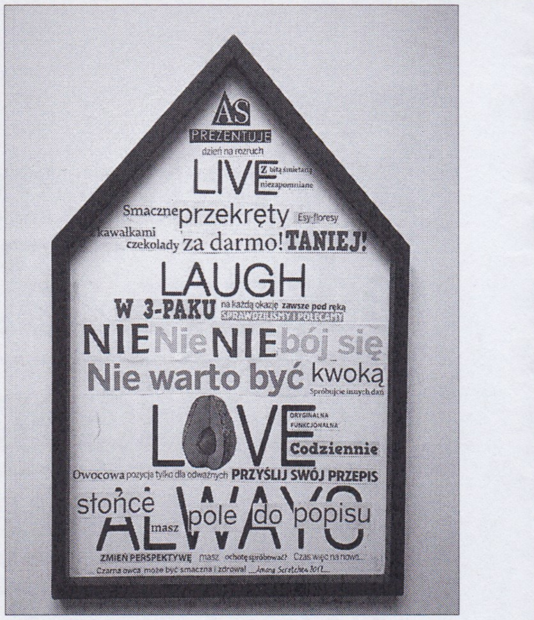

widzieć na żywo. Przy wystawach, tak niepewnym krokiem wchodzą w bramy, przy freearcie boją się brać, ale w końcu wszystko znika. Czasem dostaję maile lub wiadomości na fb. Na turystycznej ulicy Mariackiej w Gdańsku - fotki w ramkach postawione na schodach kamieniczki stały z 15 minut. Tego samego dnia dostałam od pewnej turystki komentarz ze zdjęciem tego, co zostawiłam z podpisem „Thank you!", więc kogoś tam czasem uszczęśliwię! Pamiątka nie zawsze musi kosztować majątek, albo pochodzić z Chin. Prace podpisuję zazwyczaj, stąd miała namiary. Kiedyś na tablicach ogłoszeniowych na przystankach porozklejałam kartki do gry w kółko i krzyżyk z napisem „Nudy?", zwrotnie dostałam foto z zaczętą grą. I właśnie o to mi chodzi. O interakcję z ludźmi.

CHAOS: Polityka i religia także przenikają do sztuki. Jakie jest twoje podejście do tych wszystkich obraz uczuć religijnych i protestów? Kto wg. ciebie wyznacza granicę kontrowersji? Czy myślisz, że polityka dzieli świat sztuki tak, jak podzieliła społeczeństwo?

Aneta: Wszędzie wszystko się przenika. Polityka i kościół to para. Papież przygnieciony głazem mógł kogoś urazić i tak się stało, mnie to osobiście nie rusza, ale czaję, że kogoś może taka rzeźba rozpromienić inaczej, szczególnie w takim kraju jak nasz. Sztuka (każdego rodzaju - muzyka, film teatr...) sama w sobie często jest odbiciem tego, co się dzieje na scenie politycznej i ołtarzach. Nie wiem, kto wyznacza granice. Nikt i wszyscy? Cenzura? Owa obraza uczuć religijnych? Obrażający i obrażani? W sumie to myślę, że tej granicy nie ma, albo jest płynna, np. wystawa... dawno, dawno temu... Klaman się ten artysta nazywał, połączył ludzkie szczątki ze swoją wizją, wystawa nie doszła do skutku, instytucja odmówiła, ale mumie to już można oglądać i nikt się nie bulwersuje, a to też ludzkie ciała, co z tego, że mają kilka tysięcy lat? Podsumowując: tworząc, granice możemy stawiać sobie sami, bo u mnie, w skali 10/10 będzie na 10, a u ciebie może być na 3, albo odwrotnie. Ogólnie - sztuka bez granic.

CHAOS: Czy czujesz się artystką? Czy masz swoich faworytów w ogólnie mówiąc światku artystycznym, do których wracasz ze szczególną radością?

Aneta: Nie czuję się artystką. Nie lubię tego określenia, ale czasem się z nim spotykam, głównie podczas wystaw „nie na dziko". Zresztą „artysta", to chyba ktoś, kto ma na to papier? Ja jestem konceptualnym tworem. Radość, dobre słowo. Wojciech Bąkowski sprawia mi radość. Uważam, że to najciekawszy Artysta „naszego" pokolenia. Polecam zapoznać się z jego twórczością w necie lub odwiedzić galerię Stereo w Warszawie, w której często się wystawia, albo pójść na koncert duetu NIWEA.

CHAOS: Dzięki za wywiad.

Aneta: Na zakończenie, dziękuję za wywiad. Do zobaczenia, gdzieś-tam, kiedyś-tam... Miejcie otwarte głowy, ale kierujcie się sercem, cokolwiek robicie.

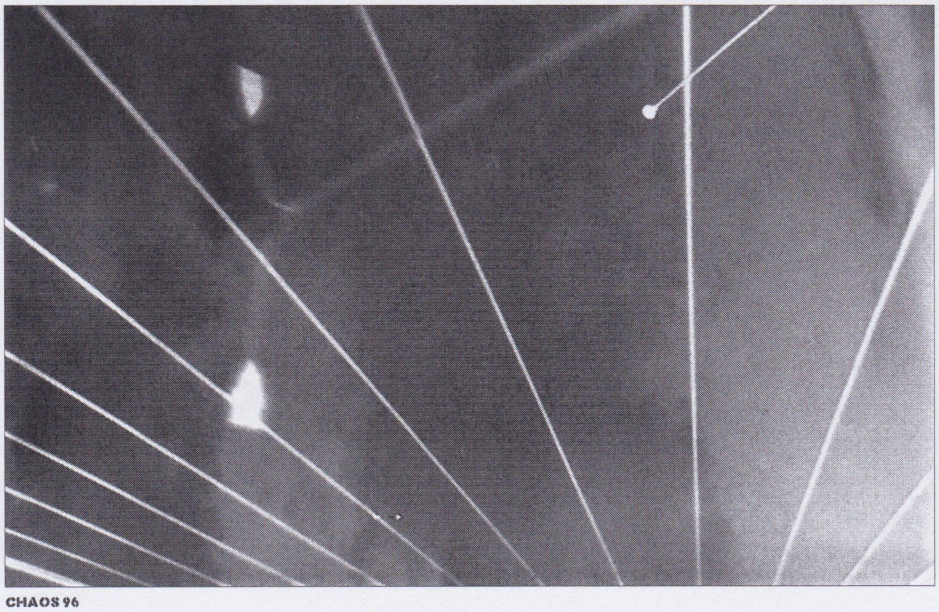

KWESTIA OTWARTEGO UMYSŁU

Z Rafałem znamy się już kilkadziesiąt lat. Od zawsze podziwiałem jego pasje i zdolność do an-gażowania się w tysiące projektów muzy-cznych. To taki pozytywny syndrom Davida Grohla - mam nadzieję, że nie obrazisz się za to określenie. Gdzie bębni oraz bębnił i czy tylko muzyka jest jego pasją przeczytacie w poniższym wywiadzie. Szkielo nabijaj... Pytał: Gruha.

CHAOS: Zacznijmy może od twego „najnowszego" dziecka: zostałeś dziennikarzem w lokalnym radiu. Czy możesz powiedzieć coś więcej? Jaką audycję prowadzisz i jak współtworzy się internetowe radio?
Szkielo: Moje „najnowsze" dziecko to podcast/ audycja w płockim Radiomixx.pl zatytułowane „Strefa Dymu". W audycji można usłyszeć, jak nazwa wskazuje "zadymione" klimaty... Powiedzmy, że daję ujście swojej niezdrowej fascynacji do muzyki zagruzowanej, psychodelicznej, niekiedy mrocznej, często eksperymentalnej, czy tworzonej w oparach różnych środków psychoaktywnych. Całym zamieszaniem kieruje Michał Kublik. Bycie częścią jego sprytnego planu jest dla mnie zaszczytem.

CHAOS: Wybacz, że użyję takiego porównania, ale dla mnie jesteś niczym radziecki żołnierz! Walczysz na wszystkich frontach świata! W ilu projektach muzycznych bierzesz udział na dzień dzisiejszy? Bębnisz, ale też wydzierasz się do mikrofonu. Jak więc wygląda lista szkielowych zespołów?
Szkielo: No dobra. Od czego zaczynamy? Pierwszy z projektów - CONCATENATION - klimaty death/ thrash - trzy wydawnictwa na koncie plus sporo gigów. Bębnie. Drugi aktywny projekt to PARH - klimaty sludge/doom. Tutaj używam gardzieli. Muzyka dość obleśna i mizantropijna. Trzy wydawnictwa na koncie. Nawet udało się zagrać za granicami naszego kraju - na Litwie. Kolejny NECROSODOMISTICAL SLAUGHTER - grind core - pięć wydawnictw na koncie, sporo koncertów i moja gardziel w użyciu. W tym momencie ten projekt troszkę zwolnił. Następne w kolejce - THE OLD CRONE - stoner/doom (niegdyś).Obsługuję perkusję. Projekt muzyczny złożony z zapaleńców totalnych. Między innymi moja żona Ania na wokalu. Zespół z trzema wydawnictwami. W tym momencie będzie mały przełom stylistyczny, bo odlecimy w trochę inne klimaty. Właściwie w Polsce temat bardzo mało ruszany, ale nie chcę zdradzać, co by nie zapeszyć. Następny projekt - stołeczne NANCY REGAN - rzut przez garażowe, punkowe granie, trochę staroszkolnego, waszyngtońskiego hc i szczypta post. No projekt chyba najbardziej rozpoznawalny. Duża płyta „Warszawa-Gdańska" na koncie. Bardzo dużo koncertów. Między innymi trasa z APTEKĄ i KRYZYSEM. Zespół miał 4-letnią przerwę no, ale teraz znowu prężnie działa i brzęczy po Polsce. Z pozostałych klimatów to już projekty w tak zwanej „produkcji". GIALLO - sludge/doom/noise - projekt z gitarnikiem Wojciechem Stasiakiem (HAZAEL, NIECH BĘDZIE?, WIEWIÓRCZAKI, MORT DOUCE) oraz na dokładkę kolejny projekt z Wojtkiem - TRUCICIELE - hardcore punkowe klasyczne rytmy po linii POISON IDEA. No i... Ufff... Chyba koniec.

CHAOS: Który z twoich projektów muzycznych jest najbardziej aktywny?
Szkielo: Właściwie najbardziej aktywne w sensie grania gigów są NANCY REGAN, CONCATENATION i PARH.

CHAOS: Powróćmy może do przeszłości, gdyż trochę kombatanctwa nie zaszkodzi. Jak doszło do tego, że wylądowałeś w WIEWIÓRCZAKACH, zespole, który założył Kruszyna (gitarzysta NIECH BĘDZIE?). Jeśli mnie pamięć nie myli, nagraliście jedną płytę i bach! - się rozpadło. Dlaczego?
Szkielo: Z tego, co pamiętam to właśnie ty w 1997 roku wręczyłeś mój numer telefonu Wojtkowi... No i tak się potoczyło. Nagraliśmy jedną płytę i jedną EP. Trochę się pojawiliśmy na składankach. Sporo pojeździliśmy z koncertami, no i właściwie tak z 10 lat graliśmy w konkretnym składzie. Potem jakoś to się wymęczyło i zwyczajnie rozpadło. Szkoda, bo mieliśmy materiału na drugą płytę. Nawet gdzieś w swoich archiwach posiadam te nowe numery w wersjach koncertowych.

CHAOS: Innym płockim zespołem, w którym bębniłeś, a który zyskiwał ogólnopolską po-

pularność, to metalowo-core'owa ALIENACJA. Zespół chyba już od paru lat istnieje tylko w Internecie, a ty odszedłeś po europejskiej trasie. Możesz coś więcej powiedzieć o tym okresie? Pamiętam, że rozkręcaliście się i powoli zdobywaliście szlify koncertując w Polsce i zagranicą. Dlaczego przygoda za bębnami w ALIENACJI się zakończyła?

Szkielo: No ja odszedłem przed europejską trasą. Dokładnie to odrazu po nagraniu „In my eyes...". Przygoda w ALIENACJI zakończyła się w sumie z powodów dość osobistych. Nie chciałbym się na ten temat rozpisywać, bo to było już dawno, dawno temu i już właściwie ta sprawa nie ma żadnego znaczenia i wszyscy o niej zapomnieli. Po kilku ładnych latach miałem nawet przyjemność wokalować w ALIENACJI. Krótki epizod i właściwie nic z tego nie wynikło. ALIENACJA jest świetnym przykładem ewolucji w muzyce. Od dość archaicznego crust punka przez brutalny grind, aż po bardzo dobry technicznie death metal.

CHAOS: W ostatnim numerze „Pasażera" Franz, wokalista PODWÓRKOWYCH CHULIGANÓW, wspominał o tym ich dziwnym składzie: przypomnijmy, grało w nim tylko dwóch oryginalnych członków, bez wyżej wspomnianego Franza, i chyba z tobą za garami. Wszyscy mieli kominiarki na twarzach, takie punkowe THE RESIDENTS. Ciekawi mnie historia tej hybrydy. Jak to tego doszło, że skusiłeś się na granie w takim wątpliwym projekcie? Długo tam chuliganiłeś?

Szkielo: W sumie to było zastępstwo za Dukena. Adam wtedy bodajże uzupełniał sprawy związane z edukacją. Trwało to przez rok. Franz odszedł wcześniej z kapeli. Kania - basista chciał dalej ciągnąć zespół. Nie mnie oceniać tę sytuację, ale opinie bywały różne. Pół na pół. Franza zastępował wtedy Witek z AQQ. Sporo było koncertowania. Między innymi dwukrotny wypad do Czech. Reasumując to PODWÓRKOWI to Franz, a Franz to PODWÓRKOWI, więc to było działanie półśrodkami.

CHAOS: Przez pewien czas mieszkałeś w Warszawie i niemal od razu zacząłeś grać w różnych warszawskich składach. Pamiętam, że kiedyś zdębiałem, kiedy usłyszałem w Trójce koncert w programie Offensywa, niejakiego MARTINA SOLO. Prowadzący wymieniając skład podał i twoja ksywę... To w ilu kapelach grałeś w Wawie?

Szkielo: No dobra. Teraz muszę pogrzebać w pamięci... Tak jak wspomniałeś - MARTIN SOLO. Ciekawy projekt niejakiego Słowika. Ten koncert w Trójce zapamiętam do dziś. Niesamowite przeżycie. Z innych kapel było jeszcze hard core'owe ANGST FOR THE MEMMORIES, które przeinaczyło się w również hard core'owy CLINT EASTWOOD. SKELETON RIBZ – punk'n'rollowe kombo. Eksperymentalny BAZYL STANIAK. Oczywiście NANCY REGAN. Hardcore'owy FIGHTXDOWN. Trochę grałem z punkowym zespołem GARAGE 11. Zdarzyło mi się zagrać zastępstwo koncertowe w punkowym NOWY ŚWIAT. Kiedyś też miałem okazję zastąpić bębniarza w KRYZYS. Awaryjna sytuacja była...

CHAOS: Z warszawskiego okresu zespołem, z którym możemy cię kojarzyć najbardziej, jest NANCY REGAN. Jak to się stało, że poznałeś Martynę i założyliście zespół?

Szkielo: Martynę poznałem właściwie w pracy. Pracowaliśmy wspólnie w lokalu Dobra Karma. Razem też graliśmy w MARTIN SOLO. No i jakoś tak wyszło, że Nens miała w głowie projekt (pierwsza nazwa NU PAGODI) i mnie widziała w roli bębniarza. No i tak się to dalej potoczyło. Z NU PAGODI po dwóch koncertach (Sosnowiec i Wawa) przemianowaliśmy się na NANCY REGAN.

CHAOS: W 2012 roku wydaliście z Nancy debiutancki album „Warszawa Gdańska" (zbierająca pozytywne recenzje), potem była trasa koncertowa z APTEKĄ i KRYZYSEM i tyle! Zawiesiliście działalność czy rozpadliście się?

Szkielo: Właściwie to w momencie odejścia z zespołu nie było w głowie myśli, że jeszcze kiedyś wrócę w te rejony. To chyba było po prostu za dużo. Sporo jeździliśmy po Polsce. Duży nakład czasu na ten zespół, no i chyba dopadło nas zmęczenie materiału. No, ale życie pisze własne scenariusze. Nens próbowała to ciągnąć w innych składach, ale jakoś to nie trybiło. Po czterech latach „rozłąki" stwierdziliśmy, że może zaczniemy od nowa. Czuliśmy, że to takie trochę carte blanche w historii zespołu. No i zaryzykowaliśmy. Na razie jest bardzo dobrze.

CHAOS: W sieci krąży wywiad, którego udzielaliście podczas wyżej wymienionej trasy. Wspomagał was Kodym, doprowadzając panią dziennikarkę do apopleksji. Jakie są twoje wspomnienia z tejże trasy? Kodym i Brylu, z kim łatwiej się dogadywaliście?

Szkielo: Ówczesna ekipa APTEKI pomogła nam wtedy bardzo. Wiadomo. Oni stare scenowe wiarusy, my trochę mniej... Jeśli chodzi o Bryla? No człowiek legenda. Dla mnie bardzo pozytywna, acz psychodeliczna postać. Kodym? Dość ekstrawagancki w swych poglądach. Profesjonalista. Jego poczucie humoru rozładowało niejeden konflikt na trasie. To były bardzo udane wyjazdy. Będę dobrze wspominał.

CHAOS: Po pobycie w Wawie wróciłeś do Płocka. NANCY uległa zawieszeniu i nagle, w 2016, zeszliście się. Płytę chyba też już nagraliście i to w iście ekspresowym tempie. Kto ma ją wydać? Szkielo, jak godzisz grę w NANCY REGAN z mieszkaniem w Płocku?

Szkielo: Nagraliśmy na razie 6 nowych numerów. Niebawem to ujrzy światło dzienne. Jak na razie plany są koncertowe. Co by rozruszać zespół? Co do wydawania materiału jeszcze nie myśleliśmy, kto, co i w jakiej formie to ma się ukazać. Sądzę, że nowy rok da odpowiedź na pytanie. Jak godzę grę z mieszkaniem w Płocku? Biorę sobie do serca zasadę, że człowiek dobrze zorganizowany jest wstanie ogarnąć wszystko. Ot, zwyczajna logistyka.

CHAOS: Patrząc na listę zespołów, w których

grasz obecnie, przeważają piekielne chordy z wyjątkiem NANCY. Upraszczając: bębnisz w metalowych składach, ale też nie stronisz od punkowego łojenia. Rozdwojenie jaźni, czy po prostu lubisz różnorodność? A może widziałbyś się w zespole jazzowym?

Szkielo: Na metalu się wychowałem. Potem przyszły klimaty bardziej hc punkowe. To jest chyba kwestia otwartego umysłu. Wiesz, ja jestem „zdrowo pierdolnięty" na punkcie muzyki. Muzyka jest właściwie moim życiem. Jakby tego zabrakło w moim życiu to chyba bym nie dał rady tak funkcjonować. Różnorodność wynika z jakiejś wewnętrznej chęci wszędobylstwa muzycznego. A sama świadomość, że są jeszcze rejony muzyczne bogate w swej stylistyce jeszcze bardziej podkręca. Empiryzm.

CHAOS: Wywiad rozpoczęliśmy od pytania o twoją dziennikarską aktywność. Jesteś zaangażowany też w tzw. Necro Crew. Zauważyłem, że działacie po linii D.I.Y. Co to za potwór ta Necro Crew?

Szkielo: Necro Crew to twór, który powstał gdzieś około 2013/2014 roku. To nic innego, jak grupa ludzi robiących koncerty, jeżdżących wspólnie na koncerty i zwyczajnie się wspierając - dobre imprezowe towarzystwo! Prowadzimy też mały label Necro Crew Records. Udało nam się zrobić ponad 20 koncertów. Udało nam się również trochę rozruszać płocką scenę. Tak, że same pozytywy.

CHAOS: Oprócz muzykowania rysujesz. Czy dalej rozwijasz tę pasję?

Szkielo: Staram się w wolnym czasie. Bardzo lubię to robić. Od wielu lat jest to moja pasja. Ostatnio moje prace pojawiły się nawet na „Znikającej Wystawie" zainicjowanej przez Piotrka Trika (SCHRÖTTERSBURG). Również maczałem palce w oprawę graficzną kompilacji płockich zespołów „Underground OFF Płock", za którą odpowiedzialny jest również Triku. Plus parę okładek płyt, itp. (SHREDLUST, PARH).

CHAOS: Chyba się nie obrazisz, jeśli wspomnę, że nie utrzymujesz się z grania. W realu pracujesz jako pielęgniarz. Czy widziałeś może film "Botoks"? Twoje wrażenia?

Szkielo: Tak. Konkretnie sanitariusz. Z wykształcenia jestem ratownikiem medycznym. Na oddziale psychiatrycznym i detoksie alkoholowym. Praca, która jest naprawdę niezłym zasobem inspiracji. Co do ostatniego filmu Vegi... no cóż. Vega chyba obrał sobie rolę jakiegoś ostro pierdolniętego misjonarza w przeinaczaniu, czy co gorsza, wyolbrzymianiu pewnych sytuacji. Oglądając filmy Vegi masz od razu wrażenie, że wchodzisz w jakąś Shopenhauerowską matnie. Że wszyscy ludzie z natury są źli. Dla mnie jego filmy to zwyczajny nic nieznaczący i bezmyślny bełkot.

CHAOS: I na koniec...

Szkielo: Ja również... Pozdrawiam z mazowieckiego grodu!

CHAOS: Dziękuję za wywiad!

POŻOGA to zespół składający się z imigrantów, każdy jest z innego kraju, którzy osiedlili się w Dublinie. W składzie jest jeden punkowiec z Polski. I to z nim oraz wokalistą z Nowej Zelandii rozmawiam o ich ważnych i ciekawych tekstach, o życiu imigranta, o squatach w Dublinie i punk rocku. POŻOGA to świeży zespół, który za chwilę będzie miał na koncie singla. Zespół, który muzycznie i tekstowo nie owija w bawełnę i mimo, ze porusza się w znanych konwencjach, to jednak wnosi coś nowego do sceny. A na dodatek mają dużo ciekawego do powiedzenia. Wojtas.

CHAOS: Nazywacie się POŻOGA czy może POZOGA? W zespole jest polski punkowiec, więc zakładam, że to był jego pomysł. Użycie polskiego słowa na nazwę zespołu i to jeszcze z polskim alfabetem to zarówno dziwne, jak i wesołe. No i jest już trochę zespołów o tej nazwie.

Rudi: Jak nas poznasz brachu, to zdasz sobie sprawę, że z nami jest jeszcze dziwniej, ha ha. Oficjalna nazwa zespołu brzmi POŻOGA, ale ponieważ brakuje nam polskiej klawiatury w komputerach i nie chcę nam się, co jakiś czas robić „kopiuj-wklej" to jest jak jest i mamy to gdzieś, ha ha.

Cameron: Marcin uznał, że to dobry pomysł. Jako jedyny Polak w zespole powinien był wiedzieć, że już są takie zespoły, ale gdzie tam! Dodając polski alfabet do nazwy robi się bardziej egzotycznie i cementuje nas na zawsze w historii punka.

CHAOS: No jest już zespół o tej nazwie...

Rudi: A skąd ja miałem wiedzieć? To pierwsza POŻOGA, w której ja gram i już.

CHAOS: Zespół składa się z członków różnych narodowości. Czy możecie się przedstawić i powiedzieć, kto skąd pochodzi i co spowodowało, że wasze ścieżki się przecięły?

Rudi: Ja przyjechałem do Dublina z rynsztoków Lóblina (nie czuję, kiedy rymuję - przyp. Wojtas). Poznałem tę bandę wyrzutków na koncertach i imprezach. Julio, który dopiero co przyjechał do Dublina i Matt - umieściłem ich w garażu i powiedziałem „zobaczmy czy uda nam się razem coś zagrać". Ja wyczuwam talenty z daleka, ha ha. Ponieważ chłopaki są nieśmiałe, to pozwól, że to ja przedstawię ich każdego z osobna. Matheus uwielbia skateboarding i tatuaże. Grał na perkusji w Sao Paolo w zespołach DOSORDIA i AGAINST THE HERO. Grali melodyjnie, więc Mateusz obecnie dopiero uczy się nosić czarne ciuchy. Julio jest oryginalnie pałkerem i grał w EL MANO AL CUELLO i ESTORIL. Niestety już nie będziemy mieli dwóch pałkerów w zespole, bo Julio postanowił wrócić do Hiszpanii na jakiś czas. Jego obowiązki basowe przejął Aleksei z St. Petersburga, który grał w DISTRESS and KOMATOZ.

CHAOS: Jakie są wasze indywidualne historie? Co was przygnało do Dublina? Punk czy piwo?

Rudi: Piwo, whiskey i buckfast, ha ha. A co myślałeś, ha, ha. Jeśli o mnie chodzi to do Dublina faktycznie przyciągnął mnie punk. Moje dwa poprzednie zespoły, SILENCE i THE BOLD AND THE BEAUTIFUL trochę grały razem z EASPA MEASA w 2005 roku i dobrze się razem bawiliśmy, więc gdzieś tam zawiązała się nić przyjaźni polsko-irlandzkiej. Poza tym, nudziłem się w Polsce i nawet granie w ukochanych TBTB i KNIFE IN THE LEG nie powstrzymało mnie od przeprowadzki. Spakowałem się i dołączyłem do kolegów z SILENCE, którzy pojechali do Irlandii przede mną.

Cameron: Ni chuja nie powiem ci historii mojego życia. Poczekam do 50-tki i zbiję kasę na autobiografii. (A dożyjesz, punku, ha ha - przyp. Wojtas)

CHAOS: Czy wasza przeszłość to zawsze punk? Co was ukształtowało?

Cameron: Taa, zawsze punk.

Rudi: Stary, tyle rzeczy mnie ukształtowało. Strzał w gębę od naziola, pała od hiszpańskiego policjanta, rasistowskie zachowanie jakiegoś chujka w pracy, ryjące psychę zachowanie paru sXe gnojków, przykre słowa od znajomych ludzi... Nie nadstawia się drugiego policzka i nie zapomina takich rzeczy. Dzięki chuje za wskazanie mi drogi i strony barykady. Moja mentalność w bardzo dużej mierze została ukształtowana przez wartości punkowe - bycie wegetarianinem, weganinem, bycie świadomym i szanowanie tożsamości rasowej, seksualnej, bycie za pan brat z wartościami feminizmu, pogarda do prawicy. Wszystko mnie kształtuje na swój sposób, ale rdzeń pochodzi od punka i hardcore.

CHAOS: Wasze teksty dotykają ważnych społecznych spraw. Czy to przez życiowe doświadczenia czy obserwacja tego, co widzicie

dookoła? Na przykład „Out in the cold" jest o prawie do posiadania miejsca zamieszkania. Czy tekst powstał na bazie własnych doświadczeń? Jak jest ze squatami w Dublinie?

Rudi: Prawdę mówiąc to z obu powodów. Rosnące ceny wynajmu, strach przed utratą mieszkania, bo właściciel zdecyduje się astronomicznie podnieść cenę, na którą cię nie będzie stać, eksmisja. Według najnowszych danych, tylko w lipcu 99 rodzin straciło dach nad głową. Nawet wczoraj w pobliskim parku, gdzie kilka rodzin mieszka w namiotach policja próbowała ich stamtąd wyrzucić. Na co dzień widzę ludzi w pracy, którzy korzystają ze świadczeń pomocy bezpośredniej, słyszę ich historie... Nie raz, nie dwa miałem wątpliwe przygody z dziećmi ulicy, kamienie i butelki leciały. Więc tak, do tekstu podchodzę z całym sercem, jakby to było moim doświadczeniem, coś, co widzę codziennie.

Cameron: „Out in the cold" jest o kowbojach i sępach zwanych właścicielami nieruchomości, którzy przez cały czas doją innych z desperacji po to, aby zafundować sobie rozrzutne wakacje w Hiszpanii, czy chuj wie gdzie. Ponad 700 euro miesięcznie za łóżko w pokoju pełnym nieznajomych. Pewnego dnia, jeden taki landlord wlazł bez zapowiedzi do mieszkania mojego kolegi, a ten był na golasa. Albo dom obok, który przerobiono na noclegownię. Każdy, kto tam mieszka nie jest z Irlandii. Właściciel podjeżdża swoją terenówką i codziennie kogoś za coś opierdala. Pewnego dnia, ten chuj wrzucił do mojego ogrodu swoje śmieci. Dzisiaj w radio powiedzieli, że w Irlandii jest obecnie 8000 bezdomnych, z czego duża część to pełne rodziny. Namioty są dość powszechnym widokiem w mieście i na obrzeżach. Niedawno kilka osób usunięto z tych namiotów przy kanałach. Nie mam pojęcia jak można kogoś, kto mieszka na zewnątrz wyrzucić na zewnątrz? Jest kilka squatów w Dublinie, ale w dzisiejszych czasach to tylko mieszkania. Był The Barricade Inn, otwarte centrum społeczne, do którego można było przyjść z ulicy i dostać jedzenie, tam były też koncerty, warsztat rowerowy. I jak działał to było super, bo Dublin nie miał nigdy wcześniej otwartego squatu. Ale nastąpiła eksmisja i miejsce pozostawiono gołębiom. Był też Grangegorman/Squatcity, cztery akry w środku miasta, mieszkania domów, warsztatów, wielkie podwórko, różne budynki, zajebiście to było duże. Najpierw był zaskłotowany przez jakieś 18 miesięcy, po eksmisji sprzedano to komuś z Dubaju i znowu to zaskłotowano na kolejne 9 miesięcy zanim wszystko zostało zburzone. Teraz buduje się tam mieszkania dla studentów i Aldi. Mieszkałem tam za pierwszym razem i było w tym miejscu bardzo dużo potencjału. Był tam wielki ogród warzywny, działo się tam dużo dobrego. To była złota era, gdzie eklektyczny mix 20-30 osób mieszkał ze sobą, dogadywał się ze sobą, albo przynajmniej próbował koegzystować w spokoju. Ale miejsce tak duże i otwarte jak to, przyciągało gorące głowy, więc jak sytuacja zaczęła robić się gowniana to najlepszym wyjściem dla tego miejsca i tak była eksmisja. Lokalne dzieciaki też wojowały z nami, praktycznie codziennie, i było to bardzo męczące dla nas wszystkich. Ginęły rowery, fajki, kasa, podpalali różne gówna, z dachów rzucali kamienie, to nie miało końca. Młodzież miejska nie miała nic innego do roboty jak tylko siać spustoszenie w życiu spokojnych ludzi. W tym miejscu mieszkała mieszanka narodowości i obchodzono się z nami wyjątkowo brutalnie. Jeden z tych dzieciaków próbował dziabnąć mnie nożem w trakcie incydentu na Halloween, ale koniec końców to z jego ręki tryskała krew. Zaraz po tym wydarzeniu, była próba pierwszej eksmisji, kiedy w poniedziałek o 5 rano przyjechało stado glin, prywatna ochrona i budowlańcy. Wtedy w tym kolesiu i jego gangu 14-letnich łobuzów coś się zmieniło, coś pękło. Nagle mieliśmy wspólnego wroga, zjednoczeni w walce z nimi o swoje prawa. Chłopak zmienił się nie do poznania. I już nie chciał mnie atakować nożem, za to przychodził na jointa, jedzenie i był bardzo przyjacielski. I był świetny na rolkach. Pewnego dnia razem z nim ścigaliśmy ukradziony rower naszego kumpla. Zagnało nas aż na O'Devaney Gardens, to takie osiedle, taka odizolowana szafa na ludzi w samym sercu Stoneybatter. No, więc jesteśmy tam z nogami od krzeseł, jako naszą jedyną bronią, a tam w chuj ludzi. Tak czy siak, była szamotanina, nikomu nic się nie stało, a my razem wróciliśmy z odzyskanym rowerem. Kawałek "Wolfpack Attack" jest o tym wydarzeniu. Na ostatnie święta zimowe zaskłotowano budynek o nazwie Apollo House. To taki wielki biurowiec, który stał pusty od lat. Ludzie zrobili więc wielką kampanię, aby zasiedlić ten budynek bezdomnymi na święta. Ludzie, którzy się w to zaangażowali to nie byli żadni aktywiści, to byli hydraulicy, stolarze, elektrycy, pracownicy socjalni, ludzie z różnych sfer przyszli pomóc doprowadzić to do standardu, jaki mają u siebie w domu przeciętni Jaś i Joasia, żeby to nie była nora dla ćpunów. Dużo było na ten temat w prasie i telewizji. Znani ludzie przyjeżdżali śpiewać piosenki, politycy pogadać bzdury i spijać śmietankę. Wytworzyła się presja, żeby coś robić dla bezdomnych. Okazało się, że grupa obcych sobie ludzi z małymi zasobami potrafiła zrobić coś przez kilka miesięcy, czego ludzie z dostępem do dużej, publicznej kasy nie potrafili zrobić przez lata, bo są bezużyteczni w swojej robocie.

CHAOS: Wyjaśnijcie tekst „Immigrant Punk". To takie ironiczne podejście do tematu uchodźców?

Rudi: Można tak powiedzieć, ale chodzi o jakąkolwiek imigrację, jak się ją przedstawia w prasie brukowej i jak rasiści przekręcają fakty na swoją korzyć, aby manipulować opinią publiczną. Lokalny element rasistowski używa imigrantów do straszenia mas. To o nas, o Polakach, Litwinach, Brazylijczykach, Wenezuelczykach. Można tak bez końca... Kilka lat temu zaczęły znikać z rzek i akweduktów łabędzie. Okazało się, że łapali je i zabijali dla mięsa przybysze z Europy Wschodniej. Oczywiście gazety miały pożywkę, ukazywały imigrantów jako barbarzyńców nieprzystosowanych, zabijających wolne, piękne zwierzęta. Tak to niestety działa. Stereotypy uczynią twoje życie nieznośnym.

Cameron: Ludzie winią imigrantów za całe złe gówno, które się dzieje na świecie. Za zabieranie im pracy, oszustwa socjalne, kradzieże drogich rzeczy i sprzedawanie ich w Polsce, itd. W jednej gazecie brytyjskiej ta akcja o łabędziach była opisana jako wielkie oburzenie, bo przecież tylko królowej wolno jeść łabędzie, takie one pełne gracji i takie tam gówna. Wszyscy w POŻOGA jesteśmy imigrantami i stąd jest ta piosenka. Ta piosenka jest o nas, to my kradniemy wam robotę, chcemy darmowych pieniędzy, sprzedajemy dragi waszym dzieciom, żyjemy jak królowie i pierdolcie się. Tak na serio, to znałem jednego gościa z Pakistanu, który naprawdę powiedział mi, że było tak źle, że trzeba było iść do kanałów z reklamówką i nożem i złapać kaczkę do jedzenia. Straszne czasy, straszne metody. Więc nie ma w tym kawałku ironii, można go brać dosłownie.

CHAOS: Kawałek „Neil Roberts" to wasz ukłon w stronę punka anarchisty, zamachowca samobójcy, który próbował wysadzić serwerownię policji w Nowej Zelandii. Mimo, że nie było żadnych zniszczeń, jakie planował, to Neil zginął. Co on w waszej opinii osiągnął i co powoduje, że ludzie sięgają po takie tragiczne dla nich w

skutkach metody walki przeciwko systemowi?
Rudi: Jego głównym osiągnięciem było przejście do legendy, dołączenie do innych rebeliantów takich jak Ned Kelly, Ted Kaczynski, Baader-Meinhoff Brigade... Czasami, jak widzisz, w którą stronę zmierza świat, to coś pęka i niektórzy tak postępują. Wykorzystują wszystkie środki, za wszelką cenę. To nic nie musi zmieniać, i rzadko kiedykolwiek zmienia, ale legenda żyje. Nie twierdzę, że przemoc jest rozwiązaniem, ale często li tylko i wyłącznie rozwiazania siłowe przynosiły jakiekolwiek zmiany. Anarchiści z Haymarketu, którzy poszli na linę? Sufrażystki, które zginęły pod kopytami rozpędzonego stada koni? Prawa i wolności, które mamy ja i ty nigdy nie były wywalczone drogą pokojową...
Cameron: Neil Roberts był punkiem, który spróbował wysadzić centrum komputerowe policji w Wanganui w Nowej Zelandii, na początku lat 80. W tamtych czasach, aby przechowywać dane, które dzisiaj mieszczą się na dysku wielkości dłoni, potrzebowałeś czteropiętrowego budynku. Przed komputeryzacją, dane na twój temat policja miała w teczce w segregatorze. I w końcu to scentralizowano w jeden wielki serwer i każdy policjant mógł szybko sprawdzić twoją teczkę, nawet takie głupoty jak mandaty. Tak więc ten punk chciał to wysadzić w powietrze, a w konsekwencji wysadził się sam. Nie wiadomo czy specjalnie, czy w wyniku jakiegoś błędu. Stwierdzono, że to on, po fragmencie wytatuowanej skóry z napisem „ten punk nie dożyje 23 urodzin - no future". Od tamtej pory jest organizowany punk piknik w Wanganui, aby uczcić jego pamięć i to wydarzenie. W Nowej Zelandii obchodzi się dzień Guy'a Fawkesa i z tej okazji są fajerwerki. Niektórzy mówią, że to głupie świętować dzień, w którym ktoś próbował wysadzić brytyjski parlament. To tylko 2 tygodnie przed rocznicą Neila Robertsa, więc niektórzy zachowują petardy na tę właśnie okoliczność. Osobiście uważam, że to powinno być święto narodowe. W tamtych czasach ten komputer był Wielkim Bratem, wielkim złem, które wiedziało o tobie wszystko. Gdybyś wtedy w 1982 roku powiedział ludziom, że w 2017 będziemy szli ulicą, nie patrząc sobie w oczy, tylko w urządzenia, które śledzą każdy nasz ruch i sami z siebie karmimy te urządzenia informacjami o sobie, które są łatwo dostępne policji, że bez tych urządzeń nie dowiemy się, kiedy są koncerty punkowe, to by puknęli się w łeb i ci powiedzieli, że Neil Roberts umarł za twoje grzechy.

CHAOS: Przejdźmy do waszej muzyki. Osiągnęliście solidne brzmienie hardcore'owe grając d-beat. Skąd czerpaliście inspiracje?
Rudi: Z brudnych ulic Dublina, kolosalnych kaców, szarego nieba, konieczności wstawania do pracy w poniedziałki, kiedy za oknem leje deszcz, z coraz większego czynszu, z kolejnej szumowiny każącej wracać mi tam skąd przybyłem, od kolejnego księdza pedofila, który uniknie sprawiedliwości. Nasze brzmienie jest z tego, że jesteśmy po prostu wkurwieni, z niemocy, żeby coś zmienić na lepsze. Crash thrash and burn.
Cameron: To z udręki dnia codziennego, jałowej egzystencji i EXTREME NOISE TERROR.

CHAOS: A wokal przypomina mi ten z RIPCORD, i to jest komplement.
Cameron: Dzięki. Ktoś też porównał go do BASTARD z Japonii.

CHAOS: Jak wygląda teraz scena DIY w Dublinie i na co powinienem się rzucić?
Cameron: Większość bandów nie istniałaby bez Karate Klubu, taniego miejsca na próby, gdzie jest czasami prowadzony bar, a kapele mogą tam spać. Te miejsca są niezbędne. Tenterhooks był klubem DIY punk i spowodował, że Dublin był silnym miejscem na mapie punkowej dla każdej kapeli na trasie. Niestety już nie istnieje, a były tam najlepsze koncerty w ostatnich latach. The Barricade Inn czy Sandyford gaff AKA The Hellcrust Road House, który był dużym starym domem na skraju miasta z lasem dookoła, gdzie czynsz kosztował 10 euro za tydzień i tam były najlepsze koncerty, jakie sobie można wyobrazić. Jest parę pubów, które organizują koncerty, a jedynym typowym miejscem DIY, jakie zostało to Jigsaw. Dublin jest na skraju Europy, więc nie dociera tam każdy zespół, ale jak już tam przyjedzie to może liczyć na wielką gościnność. Z zespołów to z palca mogę wymienić DISGUISE (d-beat w japońskim stylu), STRONG BOYS (hardcore for leatherdaddies), SURGE (noisy queer feminist hardcore), RATS BLOOD (d-beat hardcore), NATIVE (stadium crust), PUTREFACTION (death crust, hometown heroes), SISSY (garage punk), R.A.Z.O.R. (współczesny oi), GRIT (współczesny oi), EXTRAVISION (post punk). Natomiast gorącą nazwą parzącą wszystkie usta jest teraz ELECTRIC BILL AND THE METER READERS, którzy rozpierdalają wszystkich swoim szalonym d-beat surf rock'n'roll extravaganza. Oczywiście jest ŻONA ZŁA (polski chaos punk) i THE BLOW INS (soundtrack do spalenia swoich mebli w zimny polski poranek). Ekipa z Polski zawsze zaprasza super zespoły i gotuje im zajebiste jedzenie przed koncertem, więc wpadaj, tylko powiedz, że jesteś z zespołu, to ci coś ugotują. Muszę jeszcze sam zobaczyć HASHGRINDER, to młody zespół z Santry. Generalnie Dublin to wioska, w której jest mieszanka wszystkiego, ludzi, stylów i ja to lubię i myślę, że nie wszędzie tak właśnie jest. Aha, nie można zapominać o Ballina Punx w hrabstwie Mayo. Ballina to malutkie miasteczko z sześciioma punkami i ilość zespołów, w jakich oni grają jest chyba taka sama, więc śmiało można stwierdzić, że mają największy odsetek zespołów punkowych w Irlandii.

CHAOS: Kiedy ukaże się wasza debiutancka EPka? Gdzie ją nagraliście, kto ją wyda?
Cameron: Nagraliśmy ją w industrialnym budynku, na dole nigeryjskiego kościoła gospel przez strejtedżowca, który gra w kapeli weselnej. Nie wiem, co o nas myśli, jak przywaliliśmy w studio.
Rudi: Cam w zasadzie dobrze to ujął. Trzeba dodać, że Cameron tak się najebał, że nawet nie przesłuchał tego, co nagrał, tylko legł w gruzach, ha ha. EPka rodzi się w bólach przy mojej pomocy (Going Postal Records), Alexa z Distroy, Manu Senseless Acts of Anger i dwóch hiszpańskich labeli z południa Hiszpanii i Daniela z Hidden Beauty Records. Nie udało się zaprosić na pokład nikogo z USA, Brazylii czy Australii, ha, ha.

CHAOS: To na koniec, czy wasze plany obejmują jakąś trasę, płytę?
Cameron: Na razie chcemy wydać tego singla. Mieliśmy ustalone daty w Polsce, ale nic z tego nie wyszło, bo jeden z nas nie miał ważnych kwitów, żeby polecieć do Europy, było więc ryzyko deportacji. Gada się o trasie po Irlandii z THE WHOLE SICK, może Hiszpania zimą, bo w Dublinie zima jest do dupy. A czy ja mogę na koniec powiedzieć jeszcze jedną historię? No więc było to tak: kiedyś poproszono nas o zagranie koncertu z tym starym zespołem z Dublina, PARANOID VISIONS. W latach 80. byli naprawdę dobrzy, dzisiaj są przeciętni i zawsze grają przydługo, ale poprosili Steve'a Ignoranta z CRASS, żeby zrobił z nimi album. Pewnie potrzebowali magnesu, a Steve gotówki na piwko, więc jest sytuacja win-win. CRASS wywarł na mnie wielki wpływ jak byłem nastolatkiem, szczerość ich tekstów jest ponadczasowa, więc pomysł dzielenia sceny z Ignorantem na naszym trzecim w życiu koncercie były dość zabawny. Scena była za wysoka jak na moje upodobania, a dźwiękowiec był głuchym fiutem. Ale miałem ze sobą fotografię mnie i Steve'a w objęciach, zdjęcie sprzed 6 lat jak była trasa The Last Supper w Melbourne, gdzie wtedy mieszkałem. Oprawiłem więc to zdjęcie w ramkę i podpisałem złotym długopisem „To Steve, All the best, Love Cameron xx". Jestem przekonany, że trzyma tę fotografię przy swoim łóżku i zerka na nią przy herbatce, dosłownie teraz jak gadamy. Pogadaliśmy sobie z nim na koncercie. To taki mocno stąpający po ziemi człowiek, typowy Anglik, miał nawet na sobie melonik i pasujący do niego złoty łańcuszek. Powiedział, że chętnie pośpiewa z POŻOGA, więc wypatrujcie...

Zanim Profane Existence wydało na winylu kolekcję trzech demówek WARWOUND nagranych na początku lat 80., mało kto, wliczając w to mnie, wiedział czym i kim był kiedyś WARWOUND, bo ten zespół nigdy niczego nie wydał. WARWOUND powstał w 1982 w UK i nie pograł długo, bowiem gitarzysta Damian i perkusista Andy przenieśli się do THE VARUKERS. Następnie historia potoczyła się szybciej i Damian Thompson razem z Lyndą Simpson założyli zespół SACRILEGE, który dał podwaliny temu, co dzisiaj określamy jako crust punk czy metal punk. Po rozpadzie SACRILEGE nie było praktycznie nic. Aż do roku 2015, kiedy to na scenę wchodzi WARWOUND w składzie Damian - gitara (ex-SACRILEGE), Stevie - perkusja (ex-HELLKRUSHER), Ian - bas (ex-STAMPIN' GROUND, DECADENCE WITHIN), Rat - wokal (THE VARUKERS). Kilka tygodni temu ukazała się ich pierwsza długogrająca płyta „Burning the Blindfolds of Bigots" w Unrest Records i wygląda na to, że WARWOUND zabawi na scenie znacznie dłużej niż oryginalny skład. A to oznacza, że ze sceny mamy okazję usłyszeć także stare nagrania SACRILEGE. Wywiad z kolegami z zespołu przeprowadziłem latem 2017. Wojtas.

CHAOS: WARWOUND pojawił się nagle w 2015 roku i od razu zaczęliście grać dużo koncertów i ogólnie głośno się o was zrobiło. To dlatego, że w zespole są muzycy z innych znanych zespołów? Założę się, że wcześniej mało kto znał WARWOUND.

Stevie: WARWOUND założył Damian w 1982 roku, zanim dołączył do THE VARUKERS. Następnie grał w SACRILEGE, zrobił sobie długą przerwę w graniu i został wytwórcą instrumentów. Zawsze był zaangażowany w robienie jakiejś muzyki i żył według swoich zasad, ale nadszedł czas, aby ponownie wziąć gitarę do ręki. WARWOUND był integralną częścią historii THE VARUKERS i SACRILEGE, co okazało się być bardzo dobrą platformą dla Damiana i Rata, aby znowu zagrać razem i pokazać światu, że są ciągle wkurzeni i mają coś do powiedzenia. Spoko, można powiedzieć, tak jak wspomniałeś, że ludzie interesują się WARWOUND dlatego, że w kapeli grają ludzie aktywnie tworzący punka od wielu lat i wszyscy znają ich dokonania, jednakże, to tylko nostalgia. A my tu idziemy naprzód z nowym WARWOUND.

CHAOS: Damian, faktycznie takie miałeś intencje, żeby powołać WARWOUND ponownie do życia? Czy to może dlatego, że nie dało się wskrzesić SACRILEGE?

Damian: Prawdę mówiąc, wszystko zaczęło się od przypadkowego spotkania Rata na stacji kolejowej w Newark. Staliśmy na peronie i rozmawialiśmy o wspólnym graniu. Rat już wtedy grał razem ze Steviem w THE VILE i poprosił mnie o dołączenie na gitarę, jako że w WARWOUND grałem na basie. Powiedziałem mu, że jak mam grać na gitarze, to basistą musi być Ian. Rat się przychylił do tego, ja zapytałem się Iana, ten oczywiście nie odmówił. Tak więc umówiliśmy się na jam w Nottingham i zaklikało między nami od pierwszego uderzenia. A z SACRILEGE to jest zupełnie inna sytuacja. To zespół ze swoja własną logistyką, jak każdy inny zespół i stanie się z nim to, co ma się stać, jeśli lub kiedy wszyscy będą chętni i gotowi, aby coś z tym zrobić. Na chwilę obecną jest WARWOUND i to ten zespół daje szansę ludziom, którzy nigdy nie widzieli i nie słyszeli SACRILEGE, posłuchać tych numerów ponownie na żywo. Gramy kilka kawałków SACRILEGE i korzystamy z kilku ich riffów, które wprowadzamy do swojej muzyki. Taka jakby zatyczka od mazaka. I to samo robimy z jedną czy nawet dwiema piosenkami THE VARUKERS, które kiedyś napisałem, choć nie zawsze wkładamy je do setu na koncertach. Super jest móc grać znowu te numery na koncertach i według mnie WARWOUND nadał im swojego własnego charakteru, co jest dużą frajdą samą w sobie. Z kolei jak piszemy swoje nowe numery, to nie narzucamy sobie jakiegoś określonego kierunku. Wszyscy w WARWOUND to muzycy z dużym doświadczeniem i obyciem w procesie tworzenia, więc cokolwiek powstaje pochodzi od wszystkich. Wydaje mi się, że to działa i jest takie świeże, jak ma się tyle nabuzowanych głów w jednej sali prób.

CHAOS: Wtedy byłeś jednym z pierwszych, który korzystał z metalu w d-beacie. Czujesz się w pewnym sensie prekursorem?

Damian: Ha, ha, czasami ktoś o to pyta i trudno mi odpowiedzieć. Nie określiłbym się prekursorem czegokolwiek, ale jestem dumny ze wszystkich wczesnych nagrań, jakie zrobiłem. Jak każdy wtedy, byłem nakręcony na zespół, na cały ten etos i przesłanie punka. Po prostu pisałem muzykę i stała się ona tym, czym jest dzisiaj. Teraz w zasadzie inaczej nie postępuję, tylko dokładnie tak samo. Jak wyszło „Realms..." i zostało bardzo dobrze przyjęte, to do dzisiaj majtki ściągam przez głowę jak zdam sobie sprawę jakie zajmuje miejsce w historii naszej sceny.

Stevie: Damian to bardzo skromny człowiek. Myślę, że „Realms..." to najbardziej wpływowa płyta z tamtych czasów.

CHAOS: To dlaczego WARWOUND wtedy się rozpadło?

Damian: Bo mało się tym zajmowaliśmy. Kopaliśmy drzwi na podwórku z nudów. Pewnego dnia ja i Andy zobaczyliśmy ogłoszenie THE VARUKERS, że szukają gitarzysty i perkusisty. Odpowiedzieliśmy na to ogłoszenie i dostaliśmy robotę w THE VARUKERS. Tak więc WARWOUND się rozpadł. Jakiś czas potem był zespół o tej samej nazwie w Lichfield, ale po kilku lokalnych koncertach i oni się rozpadli.

CHAOS: Debiutancka płyta WARWOUND to ściana ciężkiego i brutalnego dźwięku, niejeden jest pod wrażeniem tego, co osiągnęliście. Uzyskanie takiego brzmienia to zasługa bardziej waszego wielkiego doświadczenia czy człowieka w studio?

Stevie: Daliśmy sobie 12 tygodni, aby stworzyć tę płytę od zera i ją nagrać. Jesteśmy rozsiani po całym UK, więc ważna była logistyka związana z pisaniem i wysyłaniem do siebie riffów. Jak spotkaliśmy się na próbach to mieliśmy nad czym pracować. Nigdy nie dyskutowaliśmy nad tym, jak to ma brzmieć, po prostu pisaliśmy, graliśmy to i tworzyliśmy piosenki. Wydaje mi się, że jak wsadzisz do pokoju cztery osoby z dużym doświadczeniem, to coś musi się wydarzyć i tak właśnie się stało. Nagraliśmy demo tej płyty i potraktowaliśmy to jako wzór do nagrania w studiu. Płytę nagrał Stu McKay, który ma duże doświadczenie w nagrywaniu tego typu muzyki. Płytę wyprodukowaliśmy sami, bo wiedzieliśmy czego chcemy. To odbicie tego zespołu, jakim jest dzisiaj.

CHAOS: Takie brzmienie chciałby uzyskać niejeden młody zespół punkowy. Takie rzeczy biorą się też z pasji...

Stevie: Kwestia nastawienia do muzyki. Nikt z nas nie jest punkiem na weekend. Tacy jesteśmy, tak żyjemy i takie jest nasze życie codzienne. Muzyka

wyraża nasze poglądy na społeczeństwo i to, co się w nim dzieje. Nie ma co, nadal pełno w nas ognia.

CHAOS: Skąd pomysł na nagrane numery SACRILEGE z Tam na wokalu?
Damian: To się wzięło stąd, że zagraliśmy ten numer live. Tam widziała to na żywo i jak zaproponowaliśmy jej nagranie wokali, to się uprzejmie zgodziła. Ot tak, po prostu. Bardzo jesteśmy zadowoleni z efektu końcowego i chyba dobrze oddaliśmy ten numer.

CHAOS: Rat, twoje wokale na płycie brzmią jak nic, co wcześniej nagrałeś. To celowe czy to ja takie wrażenie odnoszę ze względu na osadzenie wokalu w bardziej metalowej muzyce? To brzmi jakbyś dał z siebie maksa maksów w studio.
Rat: Nigdy nie myślę kategoriami punk, metal, etc. Moim zadaniem jest być frontmanem w zespołach, w których aktualnie śpiewam, a w WARWOUND chciałem podejść inaczej do kwestii wokalnych niż w THE VARUKERS, aby po prostu oddzielić te zespoły od siebie i dać ludziom trochę inny styl mojego śpiewania. Wierzę w słowa, które piszę, reprezentuję cały zespół, który jest wściekły, agresywny, i myślę, że tak, jak to koledzy przełożyli na muzykę, tak ja to zinterpretowałem wokalnie. Tak, w studio dałem ognia, ale zawsze tak robię. WARWOUND to zespół, który aktywnie uczestniczy w całym projekcie zbiorowo, wszyscy członkowie, więc miałem kibiców i duże wsparcie od kolegów. Wszyscy włożyliśmy w to serce i duszę, i myślę, że to słychać. Jestem zadowolony z tej płyty.

CHAOS: Jak wygląda trasa WARWOUND? Punkowa najebka jak za starych dobrych czasów czy zwracacie już uwagę, że w krzyżu łupie i kolor włosów się zmienił?
Stevie: Ha ha, dobre i w punkt. Często mówimy o sobie jak o zespole dwóch półkul. Rat i Damian to dwóch typków, którzy mają większe predyspozycje do grubszej zabawy całą noc. Nie ma co ukrywać, że WARWOUND to nie punki w wieku 21 lat, ale nadal jowialni i otwarci na ludzi. Jedna z ważniejszych części trasy to spotykanie i poznawanie nowych ludzi. Łatwo z nami się gada, podejdźcie i powiedzcie „hello".

CHAOS: Koncertujecie po Europie i Stanach – jak byście określili średni wiek punka na tych kontynentach?
Stevie: W UK zdecydowanie publiczność jest starsza, ale na całym świecie widzimy i młodych, i starych. To krzepiące - wiedzieć, że jak nas nie będzie, scena dalej będzie się rozwijać. Serio.

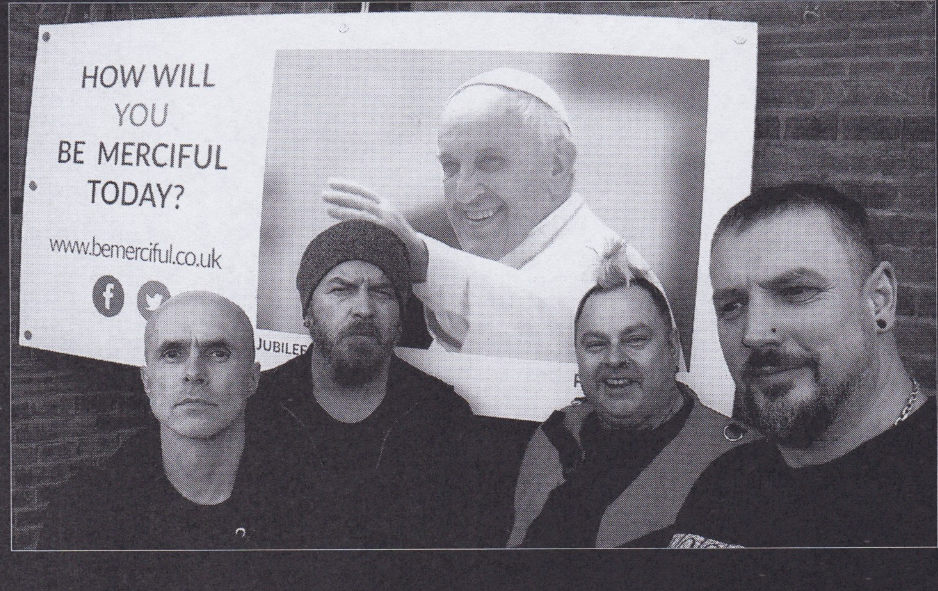

CHAOS: Funkcjonując na scenie DIY napisaliście kawałek pt. „Scenebullshitdotcom". O czym jest ten numer i jak widzicie scenę w UK, Europie i Stanach? Jakie w dniu dzisiejszym zauważacie różnice, od kogo warto się uczyć, czerpać inspiracje?
Stevie: Ten tekst powstał jako refleksja po tym, jak wielka popularność social mediów dotarła także do punka. Po raz pierwszy w historii tego ruchu mamy platformę, gdzie każdy może coś skomentować, wpłynąć na fakty i ludzi w czasie rzeczywistym, natychmiast, 24 godziny na dobę. Czy to lepsze, czy gorsze, sam zdecyduj. Tyle jest teraz opinii powstających na podstawie jedynie założeń, tyle ocen bez praktycznie dotarcia do sedna danej sprawy i jej wiarygodności. Widać skrawki informacji pochodzące z trzecich ust, które bardzo szybko przeradzają się w polowanie na czarownice. Interpretacji są tysiące, a nasze życie na scenie przypomina tabloid. Jest niekończąca się dyskusja na temat punkowej policji versus zachowanie nieakceptowalne na scenie punkowej, co samo w sobie jest jednym wielkim zaprzeczeniem istoty sceny punkowej. To, o czym mówimy w tym kawałku to prosty przekaz, żeby nie zatracić tego, co najważniejsze w scenie DIY, co zbudowaliśmy wspólnie przez 40 lat na całym świecie. Internet zbliżył naszą scenę, ale w tym samym czasie dał nam platformę do segregacji, hejtu i alienacji, co jest zgnilizną, która może bardzo szybko rozprzestrzenić się po scenie i ją zabić, tak jak to się dzieje w innych społecznościach na szerszą skalę. Bardzo szybko zapomnimy, o co w tym wszystkim chodziło.

CHAOS: A nie wydaje wam się, że używanie social mediów przez punków, anarchistów, antyfaszystów to dawanie obcym łatwego dostępu do informacji o sobie, kim się jest, gdzie się jest i co się planuje? Innymi słowy - ujawnianie swojej tożsamości nie będąc o to proszonym…
Stevie: No więc właśnie: zbawienie albo przekleństwo. To taka piła łańcuchowa w rękach każdego. Są tacy, którzy używają ją do odpowiednich celów, są tacy, którzy się nią uszkodzą i tacy, którzy wszystko wytną w pień. To także najlepsza maszyna to wpuszczania nieprawdziwych informacji, jaką kiedykolwiek

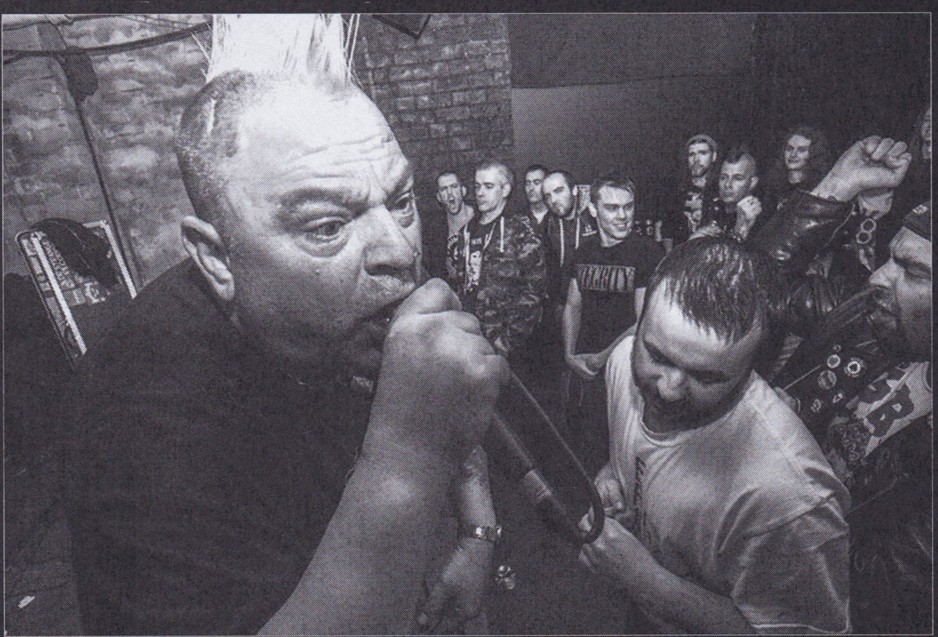

zaprogramowano. Gdyby tylko nie służyła ludziom u władzy, to nigdy nie mielibyśmy do niej dostępu.

CHAOS: Będąc przy temacie sceny i jej charakteru... Podróżujecie, więc zapewne możecie polecić ciekawe miejsca, festiwale, zespoły...
Stevie: Trudne pytanie. Mamy szczęście, że mogliśmy grać w tylu super miejscach i spotkać tylu

fajnych ludzi. Doświadczamy tego, co najlepsze na scenie punkowej na wiele sposobów podróżując tu i tam, byłoby więc nie na miejscu wskazywać coś lub kogoś, a zapomnieć o kimś innym.

CHAOS: Ale jednym z takich dobrych przykładów jest chyba współpraca, której efektem jest split 7"EP z WAR//PLAGUE? Tak a propos, te nagrania pochodzą z tej samej sesji co LP?
Stevie: Wszystko przez Andy'ego Leftona z WAR//PLAGUE. Andy to bardzo utalentowany gość, który zrobił nowy projekt okładki „Behind the Realms of Madness" SACRILEGE. To on także zrobił okładkę tego splita i naszej płyty długogrającej. Graliśmy z nimi na naszej trasie w Stanach i byli zajebiści. Dobrze nam się rozmawiało, zakumplowaliśmy się. Wydawało się to więc dość naturalne, aby zrobić wspólną płytę. Tych nagrań dokonaliśmy u mnie w Boss Evil Studios, tak więc to inna produkcja niż LP.

CHAOS: „Silence in the House of Gods" - problem pedofilii w kościele dotyczy całego świata. Jak według was walczyć ze zmową milczenia, kiedy po drugiej stronie jest gruby beton murów kościelnych, zakrystii, a ofiary są przerażone ujawnieniem prawdy?
Stevie: Tak jak z każdą tyranią i opresją, z którą mamy do czynienia na co dzień - poprzez bycie razem, wspólnotę. Najgorszą przeszkodą w odkryciu prawdy i zidentyfikowaniu sprawców jest nic nie robienie i przymykanie oka. Pamiętajmy, że mamy moc sprawczą, to my wybieramy komu delegujemy władzę.

CHAOS: Czy rola religii w dzisiejszej Wielkiej Brytanii zwiększyła się? Jak religijni są ludzie i jaki jest poziom współpracy na linii kościół-polityce?
Stevie: No niestety wychyla swoją obrzydliwą maskę zza rogu ponownie i służy jako stare, dobre narzędzie do straszenia i dzielenia ludzi. W tej chwili w UK używa się religii i wiary w elitach do kontrolowania tego, co media napiszą w sprawie pseudo patriotyzmu i napędzenia strachu, aby zdemontować społeczeństwo muzułmańskie. Religii nadal używa się jako narzędzia do rządzenia. Jeśli kontrolujesz zasoby naturalne, jedzenie, podatki, to kontrolujesz ludzi. Kościół jest dobrym narzędziem państwa, a państwo jest dobrym narzędziem rządzących, zawsze tak było i będzie.

CHAOS: To jak to jest z Brexitem w chwili obecnej? Czy już dochodzi do ludzi co się wydarzy i czyim kosztem?
Stevie: Brexit to jeden wielki pieprzony bałagan. Trzeba by go nazwać Messxit. Nie pałam miłością i wiarą do żadnego ciała rządzącego, ale cały ten Brexit to jeden wielki wypadek samochodowy, w którym wszyscy będziemy uczestniczyć. To cofnie nas o jakieś trzysta lat. Mam nadzieję, że Unia powie UK, żeby spierdalali z tym Brexitem, bo dzisiaj widać gołym okiem, że nie wiedzą, co zrobić i jak to zrobić, i żeby wrócili jak już się dowiedzą i porozmawiali z nimi normalnie, jak przygotowani ludzie. Jeden wielki pieprzony bałagan, uwierz mi: nikt z rządu brytyjskiego nic nie wie na ten temat, tak bardzo jest zajęty korupcją i swoją arogancją.

CHAOS: Po tym jak Brexit stał się faktem po referendum, cały świat się szybko dowiedział o poziomie nietolerancji, jaki drzemie w Brytyjczykach do obcych, którzy przecież mieszkają z wami dziesiątki lat. Jak to możliwe, że jedno referendum dało zielone światło do ulicznej, codziennej przemocy i wrogości? Wcześniej wszystko było cacy? Czy znowu to media pompowały?
Stevie: Na świecie jest wielu łatwowiernych i wystraszonych ludzi. Widać to po wzroście poparcia dla partii prawicowych wygrywających wybory i po pewnych siebie organizacjach ultra prawicowych. Większość ludzi w UK nie ma problemu z przybyszami, ale media tak pokazują fakty, że powstaje zupełnie inny obraz. Tak więc kampanie medialne mające na celu sianie postrachu wśród opinii publicznej odnoszą sukces. Aczkolwiek coraz więcej ludzi zaczyna uzmysławiać sobie, że to wszystko jest kłamstwem i naginaniem rzeczywistości, więc nowy wiatr zmian zaczyna powoli u nas wiać. Fałszywa informacja to nowa religia, którą należy zwalczać na każdym kroku.

CHAOS: Jakie WARWOUND ma plany po wydaniu debiutanckiej płyty?
Stevie: Już piszemy materiał na nową płytę. Wszystko dzieje się dosyć szybko, więc trzeba się do tego dobrze przygotować. Nagranie planujemy na jesień 2018. No i oczywiście pojeździmy sobie na trasy po świecie, więc wypatrujcie nas i podejdźcie się przywitać i powiedzcie, co tam u was na scenie słychać.

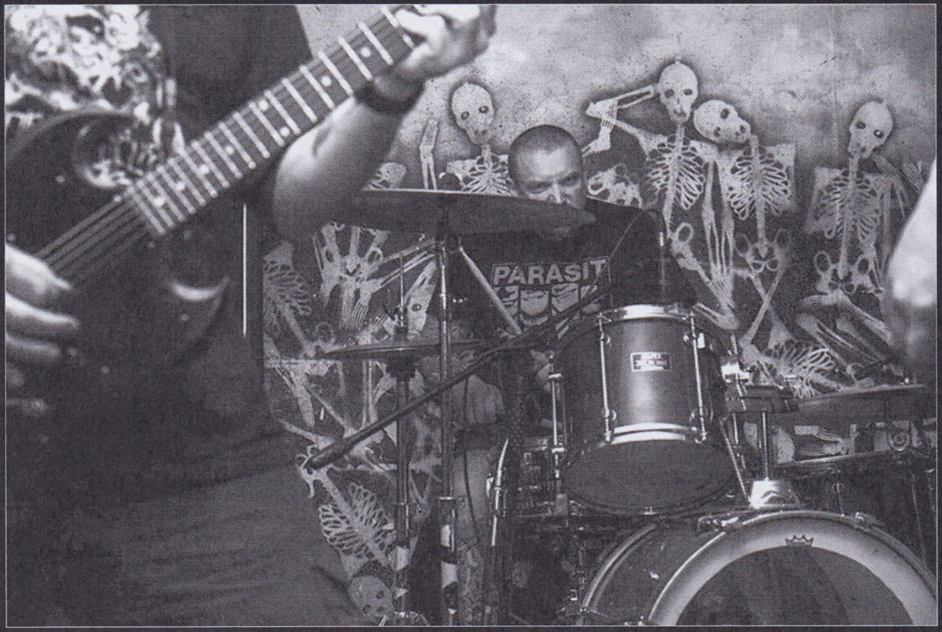

maszyny i motyle

MASZYNY I MOTYLE to świetny duet pochodzący z miasta Warka. Chłopaków miałem okazję zobaczyć na żywo w zeszłym roku w lutym w Płocku, gdzie grali wspólny koncert z SCHRÖTTERSBURG i PERU. Koncert był świetny, a ja zostałem fanem i kumplem zespołu, bo to fajne i miłe chłopaki są. Następnego dnia udałem się jeszcze z nimi wszystkimi na koncert do Warszawy. Zaliczyłem w dwa dni dwa koncerty MASZYNY I MOTYLE. Kapela nietuzinkowa i jedyna w swoim rodzaju w naszym kraju. Nikt nie gra takiego cyber math rocka jak oni. Fani takich kapel jak: GODFLESH, KONG i YOWIE znajdą coś dla siebie.Wywiad przeprowadziłem mailowo z Grzesiem i Radkiem. Mak.

CHAOS: Kiedy i gdzie powstały MASZYNY I MOTYLE? Kto na początku tworzył zespół?

Gustaw: Zespół powstał w Warce około 2003 roku. Na początku było nas aż pięciu: Arek Gabler na perkusji, Kuba Abramowicz na wokalu, Radek Kreczmański na gitarze, Grzesiek na basie i ja na gitarze. Potem, czyli gdzieś w połowie 2006 zostało nas czterech, bez perkusji. Jakoś potem, później, graliśmy tylko we trzech bez wokalisty. No i, jeszcze całkiem niedawno, po wydaniu „Panoptikonu" zostało nas tylko dwóch.

CHAOS: W jakich wcześniej kapelach udzielaliście się? Czy były jakieś inne zespoły?

Grzesiek: Zaczynaliśmy w czasach, gdy w domu kultury stał sprzęt w sali prób, z którego praktycznie każdy mógł korzystać. Graliśmy w różnych składach i organizowaliśmy koncerty w Warce. To trochę inne czasy były niż obecnie. Na AHIMSĘ czy HOUK przychodziło po 400 osób, ale podobna frekwencja bywała na koncertach lokalnych grup. Ja zaczynałem w BEN CARD w czasach rozkwitu grunge'u. W sumie było post punkowe zacięcie, ale jakby we flanelowych koszulach. Z DANCE MACABRE grałem Nicka Cave'a i Leonarda Cohena w polskich przekładach. Dołączyłem też do LORIEN w trakcie nagrywania ich drugiej płyty.

Gustaw: To były te lata 90. w poprzednim stuleciu. Moje początki to był THE GUFF, który tworzyłem między innymi z moją siostrą Olą na wokalu. Graliśmy wtedy bardzo różnorodny autorski materiał, który sięgał stylistycznie od SONIC YOUTH, NIRVANY na BIG CYC kończąc. Kolejny zespół, to grunge'owo rage'owo metalowo sonic youthowski BIG EMPTY. W międzyczasie zetknąłem się z Grześkiem i Radkiem Kreczmańskim w dziwnie brzmiącо grającym zespole „Kot". Potem przez chwilę zagrałem gościnnie w DANCE MACABRE. A po studiach zaczął się PURE, który zmienił się w MASZYNY I MOTYLE. W tamtym okresie grałem też w CZU, w zespole zafascynowanym Frankiem Kimono.

CHAOS: Jakie grupy inspirowały was, kiedy zakładaliście kapele?

Grzesiek: KILLING JOKE, BAUHAUS, SUBHUMANS. Potem SOUNGARDEN czy FAITH NO MORE. To były czasy kaset magnetofonowych przegrywanych w sklepie muzycznym czy kupowanych na stadionie. Nie były drogie, przywoziliśmy je z Warszawy w ogromnych ilościach i poznawaliśmy nowe rzeczy. Kumpel zaraził nas DEAD CAN DANCE. Kupując DEAD KENNEDYS zaciekawił się zespołem, którego kaseta stała obok. Mnie zaintrygowała okładka „Wrong" NOMEANSNO, gdzie piracki wydawca dopisał „Heavy metal". Coś mi nie pasowało, musiałem sprawdzić.

Gustaw: Jest tego sporo i ciągle się to zmienia, ale na początku była METALLICA, SEPULTURA, MEGADETH, SLAYER, ANTHRAX, KREATOR, potem SONIC YOUTH, PANTERA, DEAD CAN DANCE i z polski KAT, RIGOR MORTISS i DUMP. Później znów z Ameryki PRIMUS, SOUNDGARDEN, NIRVANA, ALICE IN CHAINS. Z kolei, gdy zaczął się MIM byłem fanem FANTOMASA, VADERA, CANNIBAL CORPSE, NOMEANSNO, Jimi'ego Hendrixa oraz MORBID ANGEL i w międzyczasie Franka Kimono.

CHAOS: Debiutancki album „Panoptikon" wydany został przez was w roku 2014. Jak wyglądała praca przy nim i gdzie go nagrywaliście?

Gustaw: Utwory tworzyliśmy wspólnie. Ale pamiętam, że dla mnie największą frajdą było prześciganie się w pomysłach na utwór, riff i rytm. Każdy z utworów ma zupełnie inny zaczyn i zacier. Bardzo staraliśmy się, żeby każdy z nich nafaszerować różnymi niespodziankami. Płytę nagraliśmy w moim wymarzonym Rigor Mortissowym Studiu Hagal. W pracach w studio Jacek i Gosia dołożyli brakującą kropkę nad i.

CHAOS: Po debiutanckim wydawnictwie graliście

koncerty. Gdzie udało wam się zagrać? Z tego, co pamiętam to nasz wspólny kolega Maciek Frett gościł was na festiwalu Energia Dźwięku, którego jest głównym organizatorem. Ja miałem okazję widzieć koncert MASZYNY I MOTYLE w doborowym towarzystwie PERU i SCHRÖTTESBURG w Płocku, a dzień później w tym samym składzie w Warszawie. Wtedy poznaliśmy się i zostałem waszym fanem.

Grzesiek: Na Energii Dźwięku graliśmy w świetnym, zróżnicowanym gatunkowo gronie. Bardzo udana impreza. Świetnie wspominam też Flądер Festiwal w Gdańsku. Po drodze były koncerty z RIGOR MORTISS, JÓZEF OST, SIŁĄ czy KRZTĄ.

Gustaw: Jarek, my od tamtej pory jesteśmy twoimi fanami! Te niezapomniane statki w butelce, te rafandynki są po prostu super!

CHAOS: Podczas koncertów puszczacie swoje wizualizacje, które ubarwiają występ. Wizualki to masa kamer przemysłowych, zdjęcia z kamer, temat inwigilacji, komputery, itd. Podczas koncertu budziły we mnie niepokój. Sami je robicie?

Grzesiek: Obraz w założeniu miał uzupełniać tematykę płyty. A tu inwigilacja zaczyna się już od lustrzanej okładki albumu, w której twoja twarz odbija się obok czerwonego kółka nagrywania. Sami montowaliśmy. Szukaliśmy analogii między „Panoptikonem", czyli modelem idealnego więzienia bez strażników, a obecnym światem Internetu, gdzie bez nakazów odsłaniamy wiele prywatnych informacji.

CHAOS: Słyszałem od znajomych, że MASZYNY I MOTYLE to PRIMUS na heroinie lub WIRE na amfetaminie. Na początku porównałem waszą muzykę do holenderskiego KONG i wczesnego GODFLESH z domieszką szaleństwa kapel ze Skingraft Records. A co wy sądzicie o tych spostrzeżeniach?

Gustaw: Cieszą nas takie porównania do zespołów, których nie znamy. Koniecznie muszę posłuchać KONG, WIRE, ale nie będę zażywać amfetaminy.

Grzesiek: Do KONGA porównywali nas kiedyś znajomi z kapeli ŻERAFAŁ. Wymieniasz zespoły, które są mi bliskie. Szczególnie Skingraft Records.

CHAOS: Grzesiu grasz równocześnie w innej kapeli, w RIGOR MORTISS z Płocka. To pionierzy polskiego industrialu, którzy grali na początku lat 90. i po dwudziestu latach reaktywowali się wydając min. epkę „Brud" (2016). Zastąpiłeś na gitarze basowej Michała ze SCHRÖTTESBURGA. Grasz z nimi do chwili obecnej. Jak doszło do współpracy?

Grzesiek: Byłem fanem RIGOR MORTISS. Udało mi się ich zobaczyć w Jarocinie. Przypadek sprawił, że poznałem kiedyś perkusistę RM, Jacka. Dzięki tej znajomości naturalnie wyszło, że pierwszą płytę MiM nagramy w jego studiu. Nie było wtedy mowy o reaktywacji RIGOR MORTISS. Zaskoczyła mnie informacja, że zagrają koncert w związku z premierą płyty z archiwalnymi nagraniami. Byliśmy z Gustawem na tym koncercie. Poznaliśmy Michała i resztę SCHRÖTTESBURG. Potem dostaliśmy propozycję zagrania wspólnego koncertu z RM. Złożyło się to w czasie z rezygnacją Michała i zaraz po wspólnym koncercie zastąpiłem go na basie.

CHAOS: Jakie ciekawe kapele pogrywają w Warce i okolicach? Możecie coś polecić dobrego?

Gustaw: W Warce swego czasu było wiele interesujących kapel. Obecnie najbardziej podoba mi się death black metalowy MORTHUS. Chłopaki poważnie podchodzą do tematu, mają na swym koncie debiutancką płytę. W niedalekiej okolicy, w Górze Kalwarii jest kapela MINDSEDGE. Są to nasi dobrzy znajomi. Na swoim koncie mają dwie długogrające płyty poruszające się w obszarze post progresywnego rocka.

CHAOS: Nagraliście teraz drugą płytę „Czas" i ukazała się ona w czerwcu. Gdzie ją nagrywaliście i czy wydawnictwo Teren Enter to wasz label wydawniczy?

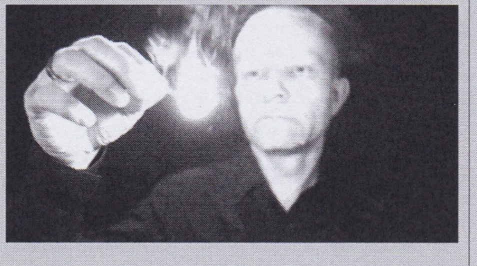

Gustaw: Płytę nagrywaliśmy w naszym ulubionym Hagal Studio.

Grzesiek: Debiut też tam nagraliśmy. Obie płyty wydaliśmy własnym sumptem. Pierwszą, jako MASZYNY I MOTYLE. Drugą pod szyldem Teren Enter, naszego świeżo założonego wydawnictwa.

CHAOS: Czy label Teren Enter ma jakieś inne plany wydawnicze?

Grzesiek: Plany są ambitne, ale ze względu na ograniczenia czasowe na razie uruchomiliśmy sklep internetowy. Oprócz obu płyt MiM można w nim znaleźć RIGOR MORTISS, czyli pionierów polskiego industrialu w nowej odsłonie. Do tego elektroniczny MODERNMOON i post-punkowe KTO NIE KOCHA PIESZCZOCHA.

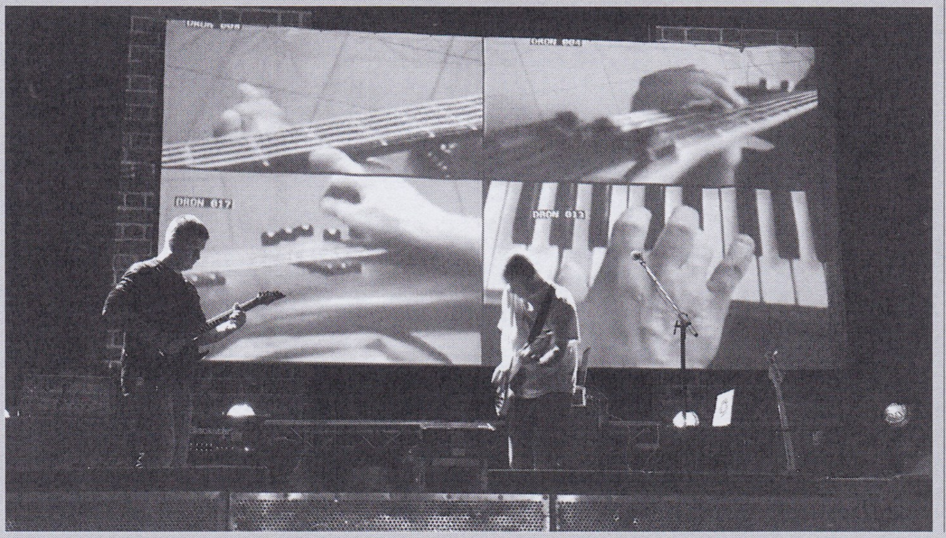

CHAOS: Co was inspirowało podczas nagrywania drugiego albumu? Jakie zespoły?

Gustaw: Zdecydowanie staraliśmy się nie inspirować jakimkolwiek zespołem. Jeśli pomysł przypominał nam coś, co już słyszeliśmy to go odrzucaliśmy. Np. pierwotny riff do „Zmarszczek" był odrobinę za Kobongowo-metalowy, więc go przemaglowaliśmy i pomarszczyliśmy. Mnie generalnie inspirowała cała czasoprzestrzeń.

Grzesiek: Paradoksalnie dla mnie dużą inspiracją był i jest folk. Szczególnie rozwiązania rytmiczne. I to od polskich mazurków po afrykańskie polirytmie. To z mojej winy na płycie znalazł się akordeon w utworze „Inercyja" z nieco połamanym rytmem. Lubię też filmy, gdzie reżyser idzie swoją ścieżką i nie podaje wszystkiego na tacy. Zazwyczaj ładuję akumulatory na festiwalu Nowe Horyzonty we Wrocławiu, gdzie nietrudno o takie właśnie kino.

CHAOS: Jakieś plany koncertowe w najbliższym czasie? Niestety nie udało nam się ostatnio zorganizować koncertu w Gdyni, ale cały czas mam zamiar go zrobić.

Gustaw: Też żałujemy, że się nie udało, Jarku, nam u ciebie zagościć i to w dodatku przed YOWIE! Nasz nowy set na żywca jeszcze nie miał okazji być prezentowany. Nie możemy się doczekać tej okazji.

Grzesiek: Tym bardziej, że do materiału z nowej płyty „Czas" będziemy wyświetlać nowy, specjalnie zmontowany film.

CHAOS: Na koniec moje stałe pytanie w wywiadach. Chciałem zapytać was o najlepszą płytę, jaką ostatnio usłyszeliście, ciekawą książkę, jaką przeczytaliście, najfajniejszy film i koncert, jaki widzieliście.

Grzesiek: Często słucham ostatniego ZU „Jhator". Z przeczytanych niedawno książek najmocniej w głowie siedzi mi „Małe życie". Podobnie nie daje o sobie zapomnieć film „The Square" z pytaniami o granice wolności i poprawności. Dobrych koncertów ostatnio widziałem sporo. Wyróżnię niesamowity występ [peru] z byłym wokalistą THE EX i JAMBINAI supportowane przez MERKABAH. No i SIKSA na OFF'ie.

Gustaw: Ostatnio mocno mnie wciągnęło SIX FEET UNDER z wydawnictwem „Unborn" oraz Ornette Coleman płytą „Free Jazz". Co do książek, to nie czytam ich za wiele. Ale będąc w szpitalu, po awarii mojej nogi, korzystając z unieruchomienia i izolacji, przeczytałem kompletnie odrealnione i pokręcone „Inne Pieśni" Jacka Dukaja.

W przypadku filmów to nie mam jakiegoś ulubionego. Bardzo ciekawym i inspirującym jest „Wędrówka na zachód" tajwańskiego reżysera Tsai Ming-Lianga, gdzie mnich w mozolnym tempie przemierza ulice jakiegoś francuskiego miasteczka. Na tle ulicznego zgiełku wydaje się być nieruchomy, jakby poruszał się w innym wymiarze czasoprzestrzeni.

Z kolei występy muzyczne na żywca to w niedawnym czasie najbardziej gęba mi się cieszyła na KINSKYM i RAKETKANON.

WOLVES AT THE DOOR

Nowy zespół z Wrocławia, który może mieliście okazję już zobaczyć gdzieś na koncertach. Poza tym WOLVES AT THE DOOR całkiem niedawno wydali świeżutki, debiutancki CD pt. "Erase Images", który najpewniej dostaniecie na ich koncertach albo w DIY Koło Records. Myślę, że m.in. ten wywiad skłoni was do złapania tego krążka. Nie wiem, czy to ważne czy nie, ale w zespole tym udziela się również gitarzysta GUANTANAMO PROGRAM PARTY. Jednak, mimo podobnie dołujących tekstów, poruszają się na nieco innych płaszczy-znach muzycznych, choć z drugiej strony nie jest to takie odległe od siebie, jakby się mogło na pierwszy rzut ucha wydawać. Na pytania odpowiadali: Tomek - wokal, Marcin - gitara, Bartek - bas, Wojtek - gitara, a pytaniami męczył Pablo. Wielkie dzięki dla Grześka z GPP za pomoc!

CHAOS: WOLVES AT THE DOOR to w sumie nowy zespół na wrocławskiej scenie. Choć istniejecie już jakiś czas, to nie było zbyt wiele o was słychać. Kiedy powstał wasz zespół? Jak się razem spiknęliście? Co was popchnęło do wspólnego grania?

Tomek: Pamiętam, jakby to było wczoraj, a mimochodem w lutym tego roku świętowaliśmy 5-lecie. Wszystko zaczęło się zimą 2012 roku w jednej z zupełnie dla nas nowych salek do grania na wrocławskich terenach postindustrialnych. Bardzo silnie utożsamiam tamto miejsce z naszymi początkami. Właściwie już na pierwszej próbie pojawił się na horyzoncie wspólny mianownik, a osobowościowe machinarium dobrze się zazębiało, co sprawiło, że postanowiliśmy rozwijać nasz projekt z każdym kolejnym spotkaniem. Kierowały nami zapewne różnorodne motywacje - od zwyczajnej potrzeby tworzenia, przetwarzania myśli i idei, mierzenia się z nimi na swój indywidualny sposób, kreowania części kontrkultury, do ponownej przygody ze sceną niezależną, czy też po prostu szczerej chęci zaangażowania się w cały proces powstawania pierwszej epki, która bardzo szybko stała się dla nas punktem, do którego chcieliśmy razem zmierzać. Czas pokazał, że droga do niego była trudna i meandryczna, ale piękna w niezapomniane doświadczenia.

Marcin: Z Tomkiem i Adamem poznałem się na pierwszej próbie, a trafiliśmy na siebie dzięki temu, że Tomek napisał na forum hardcore.pl, że szuka osób do grania. Mieliśmy podobne inspiracje (CONVERGE, RISE AND FALL) i to był nasz pierwszy punkt styczny, od którego wszystko się zaczęło.

CHAOS: Wojtek, wasz drugi gitarzysta, gra jednocześnie w GUANTANAMO PARTY PROGRAM. Czy reszta członków udziela się gdzieś wcześniej muzycznie lub udziela się w innych projektach czy zespołach? Wojtek, skąd decyzja do dołączenia do WOLVES AT THE DOOR? Czy granie w macierzystym zespole już ci nie wystarcza?

Wojtek: To nie jest tak, że granie w GPP mi nie wystarcza. Właściwie od 2005 roku gram przynajmniej w dwóch zespołach jednocześnie. Wynika to z tego, że słucham mocno zróżnicowanej muzyki i również lubię grać różne rzeczy, nie tylko guantanamową deprechę. Na jednym ze wspólnych gigów usłyszałem, że jest to ostatni koncert gitarzysty Wilków - Kamila. A ponieważ podobał mi się repertuar zespołu długo się nie zastanawiając zaproponowałem swoją kandydaturę na stanowisko drugiego gitarzysty. A na koniec dodam tylko, że oprócz Wilków, GPP zdradzam również w zespole PAPERPLANES, ale to taka zdrada kontrolowana, bo w składzie udziela się dwóch członków GPP - Darek (perkusja) i Grzesiek (bas i wokal).

Tomek: Podobno jest tak, że poezja z człowieka nigdy nie ulatuje do końca, jeśli się w nim raz a dobrze zakorzeni. Podobnie było u mnie z wewnętrzną potrzebą grania i pisania tekstów stricte dla zespołu. Wracała długo, napotykając pod drodze różne ambiwalentne odczucia. Był czas, że zgniły i przewidywalny „etos hermetycznej sceny" osobiście bardzo mnie odrzucał, wyidealizowany wcześniej obraz otwartej, tolerancyjnej społeczności zaczął wpadać w aberrację. Z czasem dostrzegłem, że bardziej kontestuję to, co wokół mnie niż entuzjastycznie popieram, że dławię swój indywidualizm, bardziej zjadam swój własny ogon niż rozwijam się, poświęcając cenny czas w nieodpowiednim miejscu. Coraz częściej to fotografia stawała się dla mnie idealną formą wyrazu, którą lepiej czułem, mogąc się zamknąć w przestrzeni zależnej tylko ode mnie.

Zarówno dla Adama, jak i dla mnie nowy projekt był swego rodzaju powrotem do grania. Mieliśmy za sobą różne projekty (ANGEL FALL, SEVEN DAY LIE, MORAL DEMISE). Co ciekawe - świat ponownie okazał się mały, gdy z czasem nasze wspomnienia zaczęły ujawniać gęstą siatkę tych samych odwiedzonych miejsc, koncertów, na których byliśmy wówczas anonimowi dla siebie. Chociaż w tym środowisku poczucie, że wszystko do siebie wraca zgodnie z teorią magii styczności, to żadna osobliwość. Gdy masz na karku swoje lata, wydaje ci się, że z każdym z lokalnego środowiska grałeś, mijałeś się na koncertach, manifach, czy angażowałeś we wspólne akcje społeczne, artystyczne. Marcin z kolei był zupełnie nową osobą we Wrocławiu, można powiedzieć - nieskażoną uprzedzeniami, ze świeżym spojrzeniem, czystą energią do działania, co bardzo dobrze oddziaływało na wszystkich w zespole. To niesamowicie zdolny gość, którego rozwój obserwuję od początku istnienia zespołu i nie bardzo wyobrażam sobie Marcina w innym składzie.

Marcin: Dla mnie jest to pierwsza poważna kapela, w której mogę się w pełni muzycznie realizować. Nie udzielam się nigdzie indziej, wszystkie pomysły, także te odbiegające od hardcore-punka staram się i tak zaszczepiać w naszej muzyce.

CHAOS: Skąd pomysł na nazwę? Czym się kierowaliście? Przyznam się, że od razu pojawiają się w mojej głowie skojarzenia z WOLVES AT THE GATE czy WOLVES IN THE THRONE ROOM, choć muzycznie to zupełnie różne zespoły? Jest też horror o takim tytule...

Tomek: WOLVES AT THE DOOR w moim zamyśle zmierza raczej w uniwersalną parafrazę motywu - mitycznego, greckiego „konia trojańskiego", którego rola i postać do dziś nie są jednoznacznie określone, a przez to w założeniu sam wydźwięk nazwy może prowadzić odbiorcę w dowolność interpretacji. Z tego, co pamiętam, nazwa zrodziła się dość spontanicznie, gdy zimową porą wracałem często do mitologii greckiej i szukałem motywów, które mogłyby wyrażać niepokój, podstęp, wyłom, niekonwencjonalną broń w niepewnych czasach.

Cóż mamy dziś? Niepewne czasy w globalnym rozumieniu polityczno-społecznych wydarzeń i... wysyp zespołów o tej samej nazwie, których na szczęście nie wymieniłeś. To chyba trochę jak z tatuażami – ludzie kreują w głowie swoje jedyne, niepowtarzalne dziary, po czym zły Internet bezlitośnie weryfikuje każdy oryginał. I jest płacz. My jednak nie płaczemy na wieść o powstających projektach o tożsamej nazwie, a Wilki zdają się być już z nami przyjacielsko oswojone.

CHAOS: Nie będę was pytał, czego słuchacie, ale zapytam, jakie zespoły zainspirowały WOLVES AT THE DOOR do grania takiej a nie innej muzyki? Mroczny post hardcore to dość szerokie określenie

- jak byście opisali waszą muzykę komuś, kto nigdy was nie słyszał?

Marcin: Dla mnie najważniejsze jest to, żeby każdy numer, który robimy miał jakiś swój nastrój i żeby niósł ze sobą jakieś emocje. Z jednej strony mamy szybkie numery, które na koncercie wyzwalają mnóstwo energii. Z drugiej strony mamy takie, w których budujemy jakiś konkretny klimat np. łącząc ciężkie riffy z bardziej melodyjnymi, czasami opierającymi się o dysonanse. Bardzo lubię takie połączenia. Spośród wszystkich kapel, których słucham, w kontekście WOLVES AT THE DOOR chyba najbardziej inspirują mnie LOMA PRIETA - do grania kontrolowanego chaosu i SONIC YOUTH - do eksperymentowania ze strukturą i nastrojem numerów.

Tomek: Ideałem i utopią byłoby zupełne odcięcie się o wpływów zewnętrznych, tak by nie być posądzonym o epigonizm, tak by uciec przed etykietką. Nie sposób nie przetwarzać w sobie mimowolnie innych dzieł, twórców, całej gamy bombardujących nas produkcji, tak by zaczynać z pozycji białej, niezapisanej kartki, wchodzić do sali prób, pomiędzy cztery ściany niesłyszące naszych rozmów o kolejnej świetnej płycie OATHBREAKER, czy o nieustannych powrotach do nieśmiertelnych dla nas HIS HERO IS GONE, czy POST REGIMENTU. Jesteśmy jednak świadomi, że odkrywanie zupełnie nowych rejonów, nieznanych nikomu, przy dzisiejszej wielości otaczających nas bodźców, globalizacji dotykającej sfery mikro, dostępności muzyki, nie jest dziś chyba możliwe - szczególnie w porównaniu z tym, co działo się w latach 70. i 80., czy choćby na polskiej scenie w latach 90. Lubię zawierzać temu i przetwarzać to, co świadome i intuitywne zarazem i tak też działam w naszym projekcie.

CHAOS: Właśnie wyszła wasza debiutancka płyta CD pt. "Erase Images" - przeczytałem na waszym profilu, że pobiliście rekord w wydawaniu pierwszej płyty. Dlaczego tak długo to trwało? Brak czasu i luzackie podejście czy może szlifowanie i przygotowanie materiału, który miał być "zapięty na ostatni guzik"?

Tomek: Powstawanie naszej pierwszej, pełnej płyty zamknęło się w 2,5-letnim okresie czasu, gdyż po drodze mieliśmy klasyczne przygody: rozstaniami z basistami – Tomkiem, Sławkiem i Ewą, półroczne zawieszenie grania, a w konsekwencji dość szarpany czas na próbach. „Erase Images" z racji swojego pionierskiego dla nas charakteru potraktowaliśmy szczególnie i praktycznie każdą decyzję zależną od nas staraliśmy się optymalnie przełożyć na efekt końcowy. Jeśli dodamy do tego mój cholerny perfekcjonizm przy pracy nad okładką i wydaniem, przywiązanie do wartości i znaczenia szczegółu i naszą świadomą, wspólną decyzję, że chcemy cały album wykonać najlepiej, jak na dany czas możemy, wyłania się nam się przyczyna owego rekordu.

Marcin: Wynikało to również z tego, że robiliśmy płytę sami i robiliśmy to pierwszy raz, więc wszystkiego musieliśmy się nauczyć. Samo nagranie poszło bardzo sprawnie, ale sporo czasu zajęło nam niestety szukanie wydawcy. Mieliśmy kilka propozycji, jednak ostatecznie z żadnej z nich nic nie wyszło. Długo zastanawialiśmy się nad tym, czy dalej szukać kogoś, kto nam z tym pomoże czy jednak wziąć sprawy w swoje ręce. Ostatecznie wszystko zrobiliśmy sami, z finansową pomocą Piotra z DIY Koło Records, który wziął na siebie 50 sztuk płyt. Promocję, przygotowanie klipu i wszystko, co się z tym wiąże zorganizowaliśmy sami.

Wojtek: Niestety we wszystkich składowych „życia zespołu" czyli wymyśl-nagraj-wydaj-wypromuj to składnik „wydaj" jest często kubłem lodowatej wody i potrafi skutecznie ostudzić zapał do podbicia świata. No i niestety kubeł z zimną wodą zaliczyliśmy, więc po ponad pół roku szukania i prób dogadania się z potencjalnymi wydawcami podjęliśmy decyzję o wydaniu płyty sposobem DIY.

Bartek: Tak naprawdę wydanie płyty, a szczególnie debiutu, to jest bardzo czasochłonna praca. Do tego jeszcze w pięcioosobowym zespole, gdzie nie wszyscy mieszkają w Polsce. Kiedy dołączyłem do Wilków, w lutym 2015 roku, chłopaki mieli już niepełne trzy kawałki. Materiał nagrywaliśmy w maju 2016. Po wizycie w studio zaczęliśmy szukać wydawcy i na tym etapie uciekło nam sporo czasu. Koniec końców, wyszło całkiem nieźle.

CHAOS: A jaki jest odzew na wasz debiutancki krążek? Pojawiły się już jakieś recenzje? Z debiutami jest różnie. Jak wy oceniacie ten materiał? Udało wam się ukazać waszą muzykę, tak jak planowaliście? Zadowoleni jesteście z brzmienia?

Tomek: Zawsze może być lepiej, ale osobiście po czasie staram się bardzo doceniać naszą konsekwencję w działaniu, zgodność - co do formy wydania, ostatecznego brzmienia albumu i faktu, że zdecydowaliśmy się finalnie na współpracę z Haldorem z Satanic Audio. Śpieszyliśmy się powoli, co zaowocowało chyba przyzwoitym materiałem.

Marcin: Jestem zadowolony z brzmienia, gitary i perkusja brzmią ciężko i dynamicznie, tak jak chcieliśmy, wokal jest fajnie wmiksowany w muzykę i przenika się z instrumentami. Jeżeli miałbym coś zmienić na kolejnym nagraniu, to spróbowałbym nagrać materiał na setkę, bo wydaje mi się, że to pozwala lepiej oddać na płycie charakter kapeli.

Wojtek: Odbiór wydaje mi się całkiem dobry. Recenzji nie pojawiło się póki co zbyt wiele, ale tak naprawdę nie zakończyliśmy jeszcze etapu promocji, wręcz chcemy jeszcze bardziej ją nakręcić. Z debiutantami praktycznie zawsze jest tak, że są porównywani do kogoś i tak też jest w naszym przypadku. Nie denerwuje mnie to ani nie obraża, mam świadomość, że nie odkryliśmy hc/punka na nowo. Kolejna płyta myślę, że ściągnie z nas część przypisanych łatek, na pewno będzie mniej widocznych inspiracji, a więcej własnego, wypracowanego stylu i klimatu.

CHAOS: Płytę wydał wam Piotr z DIY Koło Records. Pytaliście u innych wydawców czy od razu uderzyliście do Piotrka? Nie myśleliście, aby wydać tę płytę samemu, bo chyba duch DIY jest wam bliski?

Tomek: Nie ukrywam, że mieliśmy jednego wymarzonego wydawcę, który ostatecznie się nie zdecydował na współpracę. Duch D.I.Y., o którym wspominasz, jest w moim rozumieniu fundamentem wszelkich działań związanych z sceną niezależną, czy szerzej rozumianym środowiskiem wolnościowym. Jest również swego rodzaju naturalnym narzędziem, które pozwala nam z niepohamowaną przyjemnością i kontrolą układać niezależnie kolejne elementy całości zgodnie z naszym zamysłem. Być może to truizmy, jednak wciąż chyba warto je redefiniować wokół siebie, pielęgnować i doceniać ten kierunek działań, szczególnie przy dzisiejszych możliwościach i pokusach, by zrobić coś na szybko, na skróty i nie koniecznie zgodnie z samym sobą. „Erase Images" jest w pełni autorską produkcją, ze wsparciem wydawniczym ze strony Piotra.

Bartek: Na samym początku dostaliśmy jedną propozycje wydania naszego debiutu, ale w ostateczności zrezygnowaliśmy z niej. W międzyczasie dostaliśmy kontakt do Piotra. Poskładaliśmy wszystko w całość i udało się wydać nasz debiut wspólnie. Pozdrawiamy Piotra!

CHAOS: Materiał na tę płytę nagrywaliście w studiu Satanic Studio - co to za studio i dlaczego wybraliście właśnie to miejsce do zarejestrowania waszych kawałków? Zauważyłem, że bębny nagrywaliście w innym miejscu - dlaczego?

Tomek: W Satanic Audio niepodzielnie rządzi i dzieli Haldor Grundberg, którego działalność i produkcje śledziliśmy od pewnego czasu. Z każdą podejściem do tematu wyboru studia, śląska lokalizacja

wracała do nas niczym bumerang, o czym już wcześniej wspominałem. Słyszeliśmy dobre opinie na temat efektu, jaki można osiągnąć nagrywając bębny w słynnym, wyłożonym drewnem MaQ Records - słowa stały się ciałem, a Adam jak i my byliśmy bardzo zadowoleni z pracy w tym niezwykłym miejscu. Jeśli miałbym przywołać moment zapadający w pamięć, wspomniałbym o współpracy z Kubą, który również udziela się w Satanic Audio, a który już pierwszego dnia odprawił gusła nad bębnami Adama nastrajając je ekspresowo w trudny do podrobienia, szamański wręcz sposób.

CHAOS: Kto pisze teksty do waszych utworów? I dlaczego tak dużo smutku i pesymizmu w tych tekstach? No i dlaczego po angielsku, a nie w rodzimym języku? Lepiej wam się pisze w tym języku czy po prostu lepiej brzmi w połączeniu z waszą muzyką?

Tomek: Pisanie jest formą wyrazu, którą również bardzo szanuję i czasem czuję się jak Don Kichot walczący o to, by warstwa liryczna wciąż była integralną i równie ważną częścią powstających utworów. Myślę, że to kwestia pokoleniowa – gdy zaczynałem poznawać pierwsze niezależne zespoły, a było to pod koniec lat 90., z drżeniem serca trzymałem w dłoniach trudną do zdobycia płytę, kasetę, czy winyl. Smakowałem po plasterku całe wydanie, graficzny detal, fotografię, a każdy wers tekstów zdawał się być nieodzownym dopełnieniem całości, często ważniejszym niż dźwięki. Widzę, nawet z perspektywy czasu, że takie podejście miało w sobie zapomnianą dziś nieco wartość poznawczą. Nie chcę tutaj popadać w tony – „kiedyś wszystko było bardziej szczere, prawdziwe", ale jednak nie sposób nie zauważyć, że na pewno bardziej zaangażowane ideowo. Czy to znaczy, że dziś skończyły nam się choćby lewicujące, palące tematy stricte polityczno-społeczne? Myślę, że mimo wszystko, wciąż mają potencjał do przetwarzania. Wystarczy spojrzeć za okno, włączyć „obiektywne" dziś TVP. Każdy dzień wiąż przynosi nowe bodźce i wydarzenia niepozwalające milczeć, gotujące krew, których jednak sensowne oddanie w całej ich złożoności, w postaci krótkich tekstów nie ma większego sensu. Z wiekiem również człowiek ucieka od manifestów z prawdą objawioną w kolorach czarnym i białym. Staram się częściej spoglądać w głąb samego siebie, w stronę kondycji człowieka w świecie, czy też istoty naszego istnienia w kontekście różnych atawizmów, natury, emocji. Lubię wychodzić od impresji, od intuitywnych zapisków. Zwykle moja wrażliwość długo mieli i filtruje dźwięki, bada je, by z czasem wyrzucić z siebie słowa, w które przede wszystkim sam będę wierzył, odczuwał organicznie, utożsamiał się z nimi. Wracając do inspiracji - teksty na naszej debiutanckiej epce inspirowane były dla odmiany m.in. takimi pozycjami filmowymi jak „Smak wiśni" Abbasa Kiarostamiego, „Niebieski" K. Kieślowskiego, a numer „Dream's light", który gramy do dzisiaj – opowiadaniem E. Stachury „Pokocham ją siłą woli". Polecam zmierzyć się z tymi tytułami.

CHAOS: Nagraliście też videoclip do tytułowego kawałka "Erase Images". Nagrywaliście to w jakimś kościele, tak? Kto to realizował i gdzie? Opowiedzcie nam o realizacji tego video.

Tomek: Zależało nam by dopełnieniem nowego albumu był obraz w postaci klipu. Jesienią zaczęłem wstępne poszukiwanie lokacji, która miała stać się naturalistyczną scenografią. Gdy wszystko wskazywało, że zdecydujemy się na szarości, zimne betony postmodernistycznego kawałka Wrocławia, nieoczekiwanie trafiliśmy zimą w objęcia kultowego „Soulkostel" w Vernerovicach. Miejsce zawładnęło nami totalnie i bardzo szybko podjęliśmy decyzję, że ten fenomenalny post-sakralny obiekt stanie się dominantą naszej produkcji, a przy okazji pracy nad klipem spędzimy czas w tym niepowtarzalnym miejscu. Przy pracy nad klipem współpracował z nami Daniel Skrzyniarz, którego poznałem kilka lat temu przy innej produkcji filmowej. Ufaliśmy sobie wzajemnie, więc od początku wierzyłem, że efekt finalny będzie zgodny z założonym konceptem.

Bartek: Klip powstał również dzięki naszemu przyjacielowi Petrowi, który pochodzi z Czech i pomaga nam w organizacji koncertów u naszych południowych sąsiadów, to z jego pomocą udało nam się wynająć kościół do realizacji naszego video. „Soulkostel" leży po Czeskiej stronie. Jest to kościół przerobiony na salę koncertową z barem, a na samej górze - w wieży kościelnej mieści się mieszkanie właściciela. Odbywają się tam regularnie koncerty, ostatnio grała tam nawet Jarboe. My sami też tam graliśmy razem z GPP i jednogłośnie stwierdziliśmy, że nie ma lepszego miejsca na klip.

CHAOS: Jak wiele koncertów zagraliście do tej pory? Z kim graliście na wspólnej scenie? Graliście też w Czechach, a czy udało wam się dotrzeć gdzieś dalej za granicę? Jakie macie plany koncertowe na przyszłość? Planujecie jakąś mniejszą lub większą trasę czy bardziej skupiacie się na graniu weekendowym?

Tomek: Na razie nie podjęliśmy się liczenia, ale zapewniam, że nie będzie to trzycyfrowa liczba – chociaż bardzo byśmy chcieli grać coraz więcej w różnych zakątkach Polski i Europy. Na każdej próbie planujemy, jak podbić świat. Mi osobiście marzy się nasz wspólny „Drang nach Osten" trochę by odczarować złe historyczne konotacje, a trochę z chęci przełamania opcji frontu zachodniego, który zdaje się bardziej oczywisty. Wschód to wyzwanie! Powoli zapełniamy mapę naszych rodzimych ekskursji po większych miastach, gdzie dzieliliśmy scenę z takimi zespołami jak: AYATOLLAH, LOMA PRIETA, CALM THE FIRE, FULL OF HELL, CATHEDRALL, TORN SHORE, NUKK, GPP. Najświeższe wspomnienia przywieźliśmy z Poznania, gdzie mogliśmy zagrać na XXIII-leciu Rozbratu.

CHAOS: W zeszłym roku graliście na wrocławskim Punx Pikniku - jak was przyjęła publika? Dużo znajomych wpadło was zobaczyć? Jak się wam podoba ta impreza pod względem klimatu i organizacji? To już chyba definitywny koniec tego miejsca - orientujecie się w szczegółach ich sytuacji?

Tomek: Punx Piknik wpisał się już na stałe do kalendarza dobrych wydarzeń, ale rzeczywiście historia Wagenburga aktualnie zamyka pewien rozdział. Z tego, co wiem, mieszkańcy aktualnie szukają spontanicznie nowych miejsc do skłotowania… z różnym skutkiem i przygodami.

Wojtek: Przyjęcie było ok, graliśmy w miarę wcześnie, więc jeszcze panował klimat piknikowy. Sprawy organizacyjne dopięte na ostatni guzik, klimat też bardzo fajny, wielu znajomych spoza Wrocławia można było spotkać i porozmawiać, chociaż przez chwilę. Szkoda, że już nie będzie tak charakterystycznego miejsca na mapie Wrocławia… Nie wiem, co się dzieje teraz z mieszkańcami Wagenburga.

CHAOS: A co się obecnie dzieje na wrocławskiej scenie? Czy oprócz was i GUANTANAMO PARTY PROGRAM działają jakieś zespoły grające w zbliżonym do was klimacie? Jakie inne zespoły są aktywne? Polećcie jakieś dobre miejsca koncertowe w waszym mieście, polećcie jakieś imprezy… A jak wygląda aktywność społeczno-oddolna, niezależna we Wrocławiu?

Wojtek: We Wrocławiu imprezowo sporo się dzieje, środowisko muzyczne jest aktywne. Z klimatów do nas zbliżonych mogę jednym tchem wymienić TORN SHORE, NUKK, LIE AFTER LIE - mam nadzieję, że uda nam się jeszcze nie jeden koncert wspólnie zagrać. Tematy crust/grind też są zagospodarowane - chociażby USELESS, NONSANTO. Do tego można dodać, że wielu muzyków udziela się w więcej niż jednym zespole, więc ta lista naprawdę jest długa. Najważniejszymi miejscami do grania jest nadal CRK, które już rozpoczęło sezon koncertowy oraz klub DK Luksus - wcześniej Carpe Diem. W tych dwóch miejscach odbywa się najwięcej koncertów w rejonach hc/punk/alternatywa.

Bartek: Co do Wrocławskiej sceny niezależnej, to z całą pewnością poleciłbym naszych ziomeczków z TORN SHORE i NUKK. Obie kapele grają post/dark hardcore po linii CONVERGE, BIRDS IN ROW. Sprawdźcie, bo warto!

Tomek: Na tle różnych miast Wrocław zdaje się nie zostawać w tyle w kontekście różnorakich działań oddolnych, ruchów miejskich, czy też doraźnych

akcji i kampanii społecznych, które indywidualnie staramy się wspierać.

CHAOS: Mam nadzieję, że po waszym debiucie nie będziemy musieli czekać kolejne 5 lat na nowy materiał. Macie jakieś plany z tym związane? Robicie nowe numery? Może jakieś wydawnictwo winylowe?

Marcin: Tak, nowy materiał powstaje, mamy już kilka nowych numerów, które stanowią kontynuację i rozwinięcie tego, co jest na „Erase Images". Nowe numery mają zdecydowanie więcej przestrzeni. Na razie nie mamy konkretnych planów, chociaż nie ukrywam, że cieszyłbym się gdyby w przyszłym roku udało nam się nagrać coś nowego.

Wojtek: Wydawnictwo winylowe to niestety już zbyt duży koszt, aby pokryć go z własnej kieszeni, więc póki co nie planujemy. Jeżeli znalazłby się chętny ogarnąć ten temat na pewno nie będziemy mu w tym przeszkadzać. Materiał na kolejną płytę już tworzymy, w okresie zimowym oprócz koncertów promujących nową płytę skupiamy się głównie na nowym materiale.

CHAOS: Pytałem was wcześniej o inspiracje, które mają wpływ na wasz zespół... A powiedzcie mi, czym ostatnio się zasłuchujecie? Jakie nowe kapele wywarły na was duże wrażenie? Polećcie nam coś do słuchania...

Tomek: Bardzo lubię wracać do dobrze znanych już albumów i odkrywać je na nowo, dlatego ostatnimi czasy zapętlam pierwsze płyty POISON THE WELL. Z nowych rzeczy nie mogę oderwać się od belgijskiego post-punkowego bandu PARTISAN oraz od THE SOFT MOON z Oakland.

Marcin: Ostatnia płyta PREOCCUPATIONS, nowy METZ, ostatnia płyta Thurstona Moore'a jest też bardzo przyjemna. Ze starszych rzeczy to sporo słuchałem ostatnio pierwszych płyt BORISA. Oprócz tego, na co dzień słucham elektroniki, lo-fi house to bardzo przyjemna muzyka do pracy.

CHAOS: Obecna sytuacja polityczna, zarówno w kraju, jak i na świecie nie napawa optymizmem. Jak się odnajdujecie w tej rzeczywistości? Jakie macie podejście do polityki, spraw socjalnych i tych wszystkich kwestii, które dzielą społeczeństwo? Nie czujecie potrzeby wykrzyczenia tego w waszych tekstach w sposób bardziej radykalny?

Tomek: Temat rzeka na dobry kawał eseju. Chyba nie mamy tyle miejsca. Myślę, że częściowo wcześniej wspomniałem o sensie powstawania prawdziwie zaangażowanych politycznie tekstów. Wyraźna polaryzacją współczesnej polityki, a co za tym idzie społeczeństwa, które dziś jest bardzo podatne na radykalne narracje prowadzące do opowiadania się praktycznie po jednej z dwóch „słusznych stron" przybrała na sile po historycznym i znamiennym rozdźwięku niedoszłej koalicji PO-PiS. Efekt tego makiawelicznego konfliktu, nie tylko nie służy ogólnonarodowej stabilizacji w kraju, ale przede wszystkim uderza właśnie w fundamenty społecznego zaufania, które i tak od zawsze było w Polsce w deficycie, szczególnie po PRL-owskiej traumie. Tak to widzę, chociaż idąc w takim kierunku mainstreamowej narracji świadomie i dla przykładu dałem się złapać w pułapkę postrzegania - tego, czym jest, a czym na pewno nie powinno być sprowadzanie myślenia o naszym większym lub mniejszych zaangażowaniu w społeczeństwo obywatelskie. Tkwimy w micie i pułapce „wyboru mniejszego zła", a aktualnie w związku z prawicowym naporem pewnie większość z nas, jeśli w ogóle nie pokaże środkowe palca władzy, znów nie odważy się, by postawić na nowych ludzi i nowe formacje. Upraszczając - gotuję się, chciałbym coś zmienić, dać od siebie, często nałogowo wręcz z perspektywy obserwatora śledzę aktualności mając złudne poczucie kontroli. Koniec końców wszystko sprowadzam do zdrowego rozsądku, czy wręcz wolty o 180 stopni, by uciec do kreowania własnej rzeczywistości, buddyjskiego wręcz wzniesienia się ponad, do skupienia się na tym, co dotyczy nas samych, najbliższych - bo w końcu mamy jedno życie i warto je przeżyć na własnych warunkach. Smutna, egoistyczna konstatacja z nadzieją, że może jednak „polityka się nami sama nie zainteresuje".

CHAOS: A czym zajmujecie się poza zespołem, jakie są wasze pozamuzyczne inspiracje? To pytanie kieruję przede wszystkim do Tomka, który jest fotografem, przygotował zdjęcia na waszą okładkę i muszę przyznać, że prace znalezione w sieci wywołują u mnie sporą ciekawość.

Tomek: Interdyscyplinarność jest faktycznie moim przekleństwem i siłą zarazem. Jeśli ktoś mnie dobrze zna, wie, że ciągle pracuję nad opatentowaniem 48-godzinnej doby. Z wykształcenia jestem historykiem, pedagogiem oraz producentem filmowym. Fotografia natomiast jest moją pasją od dziecka, a z czasem stała się zawodem, chociaż jestem przeczulony na punkcie określania jej tak kategorycznie, wrzucania w ramy czysto zawodowe. Chronię i bronię się przed wejściem z nią w obszary, gdzie przestawałbym odbierać ją, jako formę tworzenia - a to nie pomaga na komercyjnym rynku. Ostatnie dwa lata mam niestety dość burzliwe zawodowo. Do tej pory udawało mi się pracować i współpracować na moim warunkach z inspirującymi ludźmi, co bardzo sobie cenię. Kocham kinematografię i wszystko, co ze sobą niesie potęga X muzy, tutaj również mam za sobą różne przedsięwzięcia. Sporo czasu poświęcam treningom rowerowym mtb, regularnie wracam do biegania i kosza, który nie pozwala mi spać, gdy zaczyna się kolejny sezon NBA.

Wojtek: Ja w wolnej chwili jestem miejskim rowerzystą. Obserwuję ludzi, miejskie widoki, ryzykuję życie jeżdżąc po ulicach, rozmyślam o różnych sprawach - myślę, że finalnie wszystko to wraca w postaci pomysłu na kolejny utwór.

CHAOS: Tomek, dużo pstrykasz ciekawych zdjęć, ale również sporo podróżujesz po świecie. Opowiedz o swoich podróżach, o ciekawych przygodach, doświadczeniach i kontrastach, których doświadczyłeś.

Tomek: Postaram się skrótowo. Ostatni czas to dla mnie raczej bliższe eksploracje związane z tematyką Festung Breslau, a także różne kilkudniowe wypady w celu dotarcia do nowych miejsc na mapie Polski. Tegorocznym odkryciem są dla mnie Kaszuby, gdzie udało mi się połączyć trening biegowy z kluczeniem po epickich rozlewiskach tamtejszych jezior. Cofając się kilka lat wstecz, nie mogę nie wspomnieć o motocyklowej wyprawie w Bieszczady, które są jednym z nielicznych miejsc w Polsce, gdzie można mówić o dziewiczym terenie. Pogranicze z Ukrainą wywołuje wręcz metafizyczne doznania. Ciekawym elementem tamtejszego rzemiosła jest wymierający zawód wypalaczy węgla drzewnego. Szalenie inspirujący temat, nie tylko fotograficznie, ale i filmowo. Podobno autochtoni są już wręcz zmęczeni ciągłymi wizytami kolejnych ekip filmowych, pragnących uchwycić ich unikalną formę pracy. Mam też za sobą dwie podróże fotograficzne i rodzinne zarazem do Meksyku, którym zarazili mnie swego czasu S. Mrożek i R. Kapuściński. Odwieszona na kołku z prozaicznych powodów, czeka wciąż samotna i długodystansowa wyprawa na Syberię. Pierwsza samotna rowerowa wyprawa liczyła 3000 km, a trwała 25 dni. Jej celem było dotarcie do najdalej na północ wysuniętego punktu Estonii - przylądka Purekarri, zmierzenie się z granicą wschodnią Polski, a przede wszystkim poznanie mało znanej mniejszości etnicznej - Liwończyków, zamieszkujących łotewską Kurlandię przy Za-toce Ryskiej, którzy jeszcze w latach 80. żyli niczym Amisze. Kolejna długodystansowa wypra-wa to 3000 km oraz kurs wzdłuż zachodniej granicy, eksploracja każdego metra kilkunastu piaszczystych Wysp Fryzyjskich oddzielonych od lądu charakterystycznym Morzem Wattowym, zamieszkałych w większości przez etnicznych Fryzów.

CHAOS: Podobno dużo czytasz, interesujesz się kulturą, filmem... Skąd takie zainteresowania w dobie Facebooka, iphonów i generalnie plastikowej pop kultury? Co najczęściej czytasz, jakie filmy lubisz oglądać? No i oczywiście poleć nam coś ciekawego i inspirującego!

Tomek: To się chyba nazywa w uproszczeniu naturalną ciekawością świata. Cierpię na syndrom kilku rozpoczętych tytułów. Wciągam bez opamiętania praktycznie wszystko, co wychodzi z wydawnictwa Czarne. Ostatnio szczególnie mocno złapał mnie zbiór esejów pt. „Znikająca Europa", traktujących o miejscach zapomnianych, które z różnych przyczyn stały się surrealistycznymi widmami wyobcowanymi z krajobrazu. Wracam nieustannie do fragmentów Kapuścińskiego. Miejskich zagwozdek Springera. Z filmowych rzeczy zawsze polecam pięciu twórców z nieco odmiennymi wrażliwościami i filozofią kina: Herzoga – Kieślowskiego – Tarkowskiego – Wong Kar Wai'a – Antonioniego. To moja święta piątka. Szalenie cenię dokument traktujący o Kieślowskim i prostocie życia pt. „I'm so so". A wszystkim, którzy wahają się, czy podjąć jakiekolwiek działania, by robić swoje - polecam dokument/zakład Les'a Blank'a „Werner Herzog eat his shoes" - to taka „Magda Gessler" w nieco bardziej wyrafinowanej formie. Ze współczesnych reżyserów bardzo szanuję takich twórców, jak: Todd Solondz, Bela Tarr, Andriej Zwiagincew, Michael Haneke, czy Urszula Antoniak z jej intymnym, lecz wybitnym „Nothing personal". Pozwolisz, że już zaprzestanę czytelnikom tych tortur.

CHAOS: No to może na koniec zapytam was o GUANTANAMO PARTY PROGRAM - dzielicie gitarzystę z nimi, jesteście kumplami, gracie razem koncerty... Powiedzcie szczerze - jak wam się podoba ich najnowsza płyta? Czy są dla was jakąś inspiracją?

Tomek: GUANTANAMO PARTY PROGRAM to dobre chłopaki i dostarczają dobrych emocji zwłaszcza na żywo. Nasze wspólne minitoury zwykle funkcjonują perfekcyjnie i zawsze do nich chętnie powracamy. Repertuary znamy wzajemnie już niemal na pamięć, a czujne i szydercze „szkiełko i oko" wyłapuje na koncertach każde najmniejsze fałsze i zgubione dźwięki współtowarzyszy - tutaj nie ma litości. Ostatnia płyta „III" podoba mi się szczególnie ze względu na przestrzenne brzmienie, mnogość warstw, pewnego rodzaju przebojowość, jest w moim odczuciu idealnym połączeniem studyjnego nagrania, ale nieodartego z żywego, wręcz koncertowego brzmienia. Przy okazji pozdrawiamy Grzesia z GPP, który skierował nas na łamy „Chaosu W Mojej Głowie". Dziękujemy!

RADIANCE

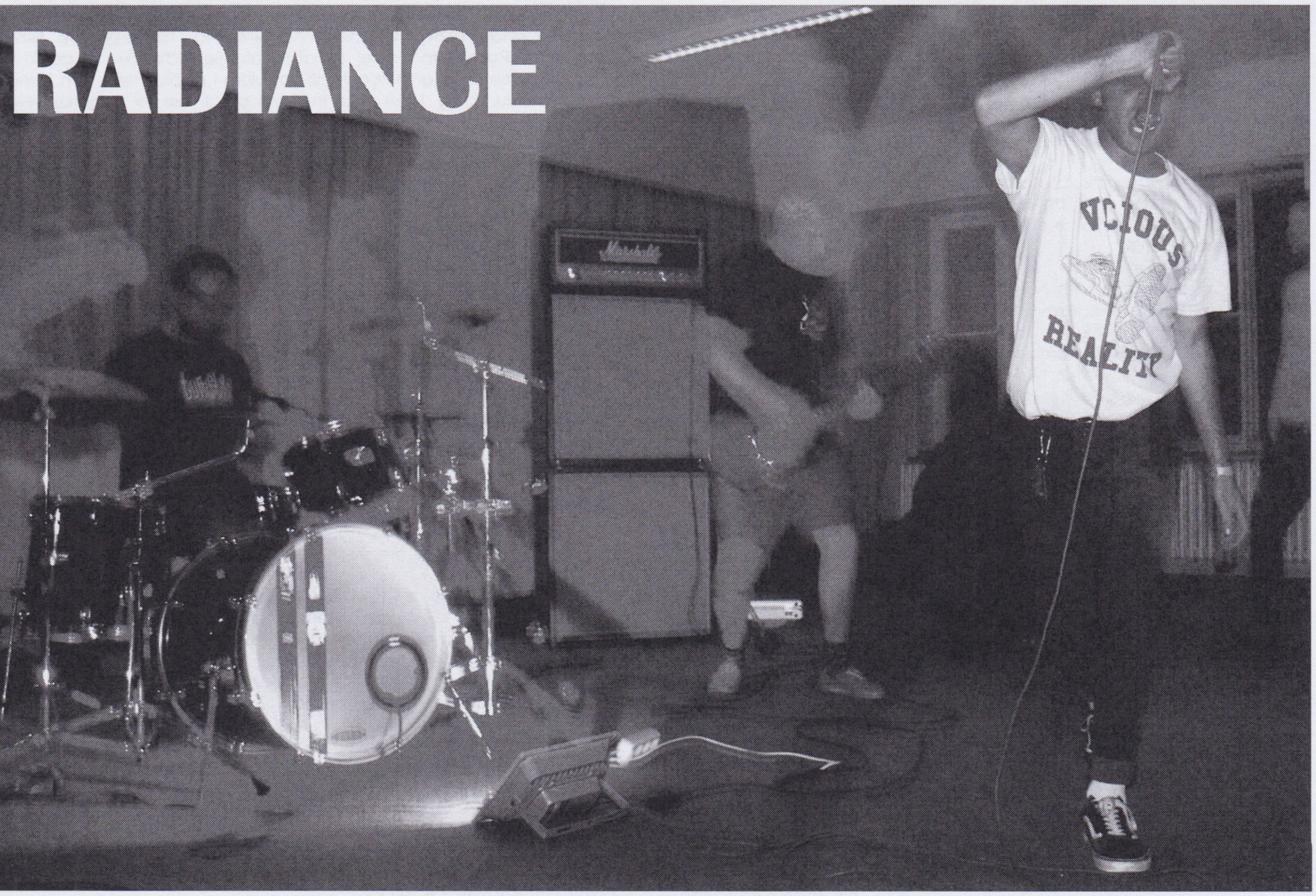

Pamiętam, że cały ten nurt ciężkiego, klimatycznego, ale i „lekko" metalowego hardcore'a lat 90. nazywano „new school". Ciągle traktowałem ten styl, jako coś nowego, świeżego. Mam natomiast wrażenie, że dla przesympatycznych załogantów z RADIANCE to odkrycie kolejnej karty historii w hardcore/punku. Bez wątpienia jednak, w tej całej sytuacji zawarta jest jakże fajna refleksja, że hardcore potrafi być ciągle inspirujące dla dwudziesto-, dwudziestokilkulatków. Trafiło dodatkowo na wyjątkowo utalentowanych zawodników. Naprawdę dobrze im to granie wychodzi. Doskonale wpisali się w klimat, którego ojcami są TRIAL, STRIFE, EARTH CRISIS czy wczesny REFUSED. Młodzi, ładni, inteligentni, ogarnięci (z tymi dwoma ostatnimi przymiotnikami, w krajowym hardcore, niestety nie wszystkim zespołom jest po drodze). Cymes! Przeczytajcie proszę wywiad, a później śmiało sięgajcie po nagrania RADIANCE. Tomek.

CHAOS: Właśnie wydaliście swój debiutancki split singiel z BLACK PALATE? Zadowoleni?
Krystian: Bardzo. Wydaje mi się, że, jak na splita, materiał brzmi całkiem spójnie. No i jaram się okładką. Tomek wykonał zajebistą robotę. O aspekcie personalnym, czyli wydaniu materiału z dobrymi kolegami nawet nie wspominam.

CHAOS: Co dziś przyciąga młodych ludzi do sceny hardcore/punk?
Krystian: Pytanie chyba powinno brzmieć: „Dlaczego scena hardcore/punk przyciąga coraz mniej dzieciaków", hehe. Niestety byłoby w tym dużo prawdy. Sam mam 24 lata i zazwyczaj czuję się jednym z młodszych uczestników jakiegoś gigu. Wydaje mi się, że dzieciaki szukają katalizatora swojego buntu w jakiejś zjebanej modzie korwinistyczno-narodowej. Ludzie pokroju Korwina właśnie, odnieśli ogromny sukces wmawiając dzieciakom, że to kapitalizm podszyty niechęcią do wszystkiego, co inne jest teraz wyrazem nonkonformizmu.
Anton: Niestety ostatnio tu nie widzę, że to przyciąga wiele dzieciaków. Ale wydaje mi się, że zmieni się to, jak trochę młodsi typowie i zespoły - czyli my - przyciągną kogoś do sceny. Już widziałem, że się pojawiło co najmniej paru kolesi z grubą zajawką i wierzę, że chłopaki coś w najbliższej przyszłości wymyślą ciekawego.

CHAOS: Co takiego jara was w hc/punku?
Krystian: Koledzy i koleżanki! A poza nimi, to zdecydowanie fakt, że scena jest odskocznią od codziennego życia i nośnikiem idei, z którym się całkowicie utożsamiam. Wstajesz rano, idziesz do pracy, często wracasz wkurwiony i tak pięć dni w tygodniu. W sobotę jest okazja, żeby zająć się tym, co naprawdę daje nam radość. Wiem, to truizm, ale między innymi o tym jest kawałek „Beyond". Raczej nie da się żyć poza maszyną, w którą od urodzenia jesteśmy wplątani, ale fajnie jest robić w niej „wyrwy", które zmieniają przynajmniej nasze otoczenie. Jara mnie to, że dzięki muzyce, zinom, blogom, zdjęciom, itd. ludzie są w stanie wyrazić to, co ich wkurwia, to, z czym się nie zgadzają i to, co chcieliby zmienić albo próbują zmienić. Bez żadnej pomocy od wąsatych panów w garniturach i pań w garsonkach. Create/Control.

CHAOS: Hardcore to pewnego rodzaju syno-nim wkurwienia. Co u was dzisiaj powoduje wściekłość?
Krystian: Poza różnymi sytuacjami w pracy zdecydowanie to, co dzieje się w otaczającym nas świecie. Fala nacjonalizmu, a co za tym idzie szowinizmu, nienawiść do inności, kult zbrodniarzy. Dla mnie to jest jakieś nieporozumienie, że ludzie szukają wolności w autorytaryzmie, jaki proponują konserwatyści wszelkiej maści. Jak wspominałem wcześniej ludziom pokroju Korwina, Kowalskiego, Cejrowskiego udało się wmówić dzieciakom (i nie tylko dzieciakom), że ich największym wrogiem jest lewak, gej, lesbijka, Syryjczyk, murzyn, ateista, itd. Ponoć żyjemy w katolickim kraju pełnym miłości bliźniego... tak mówili w wiadomościach. A, wiadomości też mnie wkurwiają. Takiej propagandy w telewizji nie było nawet za czasów poprzedniej władzy (której oczywiście chuj w dupę). A poza szerokim aspektem socjopolitycznym denerwują mnie raczej przyziemne sprawy związane z nieuniknionym funkcjonowaniem w społeczeństwie.

CHAOS: Dlaczego lata 90.? Skąd pomysł akurat na taką stylistykę?
Krystian: Po pierwsze ja (bardzo paradoksalnie)

jaram się takim „mistycznym" klimatem, który panował w tamtych latach na scenie hc. Teksty, jak i sama muzyka, tak myślę, stały się wtedy zdecydowanie bardziej osobiste, wnikające „w głąb" człowieka i zdecydowanie jest to mój worek kleju. Druga sprawa jest taka, że bardzo lubię walcowate i ciężkie riffy... jak na ukrytego kuca przystało.
Anton: Bo są to najlepsze lata dla muzyki! Zrobił się boom i w tym boomie łatwo znaleźć coś dla siebie. Dopiero w tej muzyce usłyszałem, że krzyk nie rodzi się w gardle.

CHAOS: Co jest problemem na scenie hardcore punk dla młodych bandów, takich jak wasz? Czego wam na niej brakuje? Jakiego wsparcie byście oczekiwali od ludzi z nią związanych?
Krystian: Całkowicie odwrócę twoje pytanie. Jako zespół dostaliśmy od ludzi tak dużo wsparcia, że do dzisiaj mnie to rozwala. Zanim w ogóle coś wydaliśmy, mieliśmy okazję zagrać kilka fajnych sztuk, a Słoń i Paweł z Youth2Youth zaproponowali nam wydanie kasety nie słysząc nawet samego materiału. To przykłady pierwsze z brzegu, ale chodzi o sam fakt, że dostaliśmy więcej wsparcia, niż chyba sami oczekiwaliśmy. A co jest problemem na scenie i czego nam brakuje? Zdecydowanie to, o czym mówiłem w drugim pytaniu. Brakuje zajawionych dzieciaków, którym będzie chciało się robić salta na główkę z głośników do zespołów innych niż TERROR.
Anton: Zgadzam się z tym, co powiedział Krystian. Nie ma problemu dla młodych zespołów na tej scenie! Jak zaczniesz coś robić, to pojawi się fala, która „zabierze ciebie do brzegu". Dostaliśmy dużo wsparcia robiąc coś średnio popularnego w obrębie sceny. To pokazuje, że warto to robić.

CHAOS: Liryki RADIANCE mają charakter osobisty, polityczny czy też może jeszcze inny?
Krystian: Głównie osobisty, ale nie obywa się też bez tematów politycznych. Kawałek „Inheritance" jest na przykład o ludziach, o których mówiłem w pytaniu na temat wkurwienia. Pisząc kawałki nie mam założenia, że: „tutaj pasowałoby coś takiego, a tam coś takiego". Liryki to – jakżeby inaczej – obserwacja otaczającego świata oraz (głównie) rozczarowanie nim i relacjami, z jakimi spotykamy się, na co dzień.

CHAOS: Widoczny jest wyraźny związek między zespołem RADIANCE a sXe. Wszyscy jesteście abstynentami i wegetarianami/weganami? Co dla was taka postawa dzisiaj oznacza? Skąd taki wybór drogi?
Krystian: ½ RADIANCE jest straight edge – ja i nasz perkusista Piotrek. No i też trzech z nas jest wege (ja od jakiegoś czasu noszę się z przejściem na weganizm). Dla mnie sXe i niejedzenie mięsa to rzecz totalnie naturalna. Przestałem pić zaraz po 18-stce, a nie paliłem nigdy. Mięso zresztą obrzydzało mnie odkąd pamiętam. Poza tym jakoś zawsze wkurwiał mnie fakt, że ludzie szukają odskoczni od codzienności w alkoholu, który i tak w większości przypadków sprawia, że nie pamiętasz tego, co robiłeś... o kontrolowaniu siebie nie wspominając. Jest przecież tyle fajnych rzeczy, które można robić zamiast tego! To samo zresztą tyczy się sceny hardcore/punk. Jaka to alternatywa, jak jedyne, co pamiętasz z koncertu na skłocie, to jebanie browarów pod drzwiami? To nie jest tak, że uważam alkohol za największe zło, ale po prostu nie rozumiem takiej postawy, bo i po co? Do tego dochodzi oczywiście jeszcze aspekt zdrowotny. A uogólniając uważam, że najlepiej jest myśleć za siebie nie tracąc nad tym nigdy kontroli.

CHAOS: Anton, pochodzisz z Dniepropietrowska na Ukrainie. Skąd się tutaj znalazłeś i jak to się stało, że założyliście zespół?
Anton: Gdzieś tak ze 3-4 lata temu, jechałem tutaj po prostu na studia, żeby mieć możliwość pomieszkania przez jakiś czas „w Europie", no, ale później się okazało, że średnio mi się chce wracać. Nawet w sumie nie ma gdzie i po co. A z zespołem to tak się po prostu udało. Najpierw jeszcze mieszkałem w Rzeszowie i tam się starałem coś założyć. Spotkałem Krystiana na jakimś koncercie, od razu było wiadomo, że mamy podobny gust do 90's, więc, jak się okazało, że obaj wprowadziliśmy się do Krakowa to ruszyliśmy z marszu z tematem.

CHAOS: Coraz częściej widoczne są postawy antyukraińskie w Polsce. Czy spotkały cię jakieś nieprzyjemności z tego powodu, iż pochodzisz zza wschodniej granicy?
Anton: Wiesz co, teraz jestem w sumie z dala od takiej Polski. Od skończenia studiów nie mam wśród znajomych jakichś Sebixów i też nie spotykam takich ani w pracy ani na różnych eventach. Oczywiście widzę na ulicy takie zachowania, słyszę takie gadki... można je zresztą przeczytać chociażby na ścianach bloków albo zaobserwować w wiadomościach. Ale do mnie to w sumie tylko żarciki Krystiana docierają, a z tym już jakoś żyję...

CHAOS: Trudno także nie zapytać o twoją opinię na temat sytuacji politycznej na Ukrainie?
Anton: Niestety oczekiwania ludzi w ogóle nie były spełnione po Majdanie. Twarze władzy się zmieniły, ale nic poza tym. Po trochu zabierają kolejne wolności obywatelskie i żeby to trzymać w ryzach, podkręcają po cichu nazioli do spuszczania wpierdolu niezadowolonym. A ta gadanina ukraińskich władz o europejskiej przyszłości i odcinanie się od spadku „radzieckości" totalnie mnie wkurwia, bo przy tym ten rząd dalej został mentalnie radziecki i te gadki to nic więcej, niż populizm i dobra mina. Ten temat jest w chuj trudny i długi, ale to wszystko wygląda beznadziejnie dla mnie. Na scenie politycznej nie pojawiają się żadne partie, które mogłyby coś zmienić po przyszłych wyborach, więc póki co nie liczę na żadne, pozytywne zmiany i wydaje się, że za kolejne 4 lata to Ukraina może dojść do takiego poziomu „wolności" jak Rosja albo Białoruś teraz.

CHAOS: Scena krakowska swego czasu była mocno podzielona, jak teraz to wygląda?
Krystian: Ciężko mi odpowiedzieć na to pytanie, bo mieszkam w Krakowie dopiero od dwóch lat. Jednak z obecnego punktu widzenia zdecydowanie tak nie jest. Na gigach i eventach widać ziomów i ziomalki z każdej strony tej sceny. Nieważne czy ktoś słucha skramów, crusta, noise, oldschool hc, czy newschoola – na gigach pojawia się cała masa ludzi i to jest cool. Zresztą duża w tym zasługa Warsztatu, który konsoliduje całą tutejszą scenę. W sumie odpowiadając na to pytanie stwierdziłem, że z krakowską sceną jest wręcz odwrotnie - jest bardzo mocna.

CHAOS: Mieliście okazję grywać już poza granicami kraju. Jaki był odbiór waszej twórczości?
Krystian: Z nazywaniem tego „twórczością", to się nie galopuj. Ja byłem totalnie zaskoczony atmosferą podczas granych gigów, a szczególnie w Koszycach. Zazwyczaj - jak na nowy zespół przystało - zaczynamy koncerty, a mimo tego frekwencja zawsze dopisywała. We wspomnianych Koszycach doszła do tego zajebista zabawa i prawilne pogo! Zdecydowanie najlepszy gig, jaki dane nam było zagrać. Miłe było też, gdy po koncertach podbijali do nas ludzie, żeby zbić pionę i powiedzieć, że im się to podobało. Takie chwile utwierdzają w przekonaniu, że warto to robić.

CHAOS: Czy dostrzegliście, na tamtejszych koncertach, coś, co warto by było przestrzelić na krajowy grunt?
Krystian: Jakiś dzieciak w Koszycach robił pogo płonąc przy tym jak pochodnia. Co prawda nie był to nasz gig, ale tak trzeba żyć. Tak bardziej poważnie to raczej nie zauważyłem czegoś takiego. Wszędzie wygląda to bardzo podobnie, a przynajmniej ja mam takie odczucia. Chociaż na ukraińskich koncertach ludzie robią niezłą dzicz i to szanuje.

CHAOS: Plany na przyszłość?
Krystian: Zagrać kilka gigów i się rozpaść, a za 20 lat zagrać reunion a la TRIAL w 2005 roku.

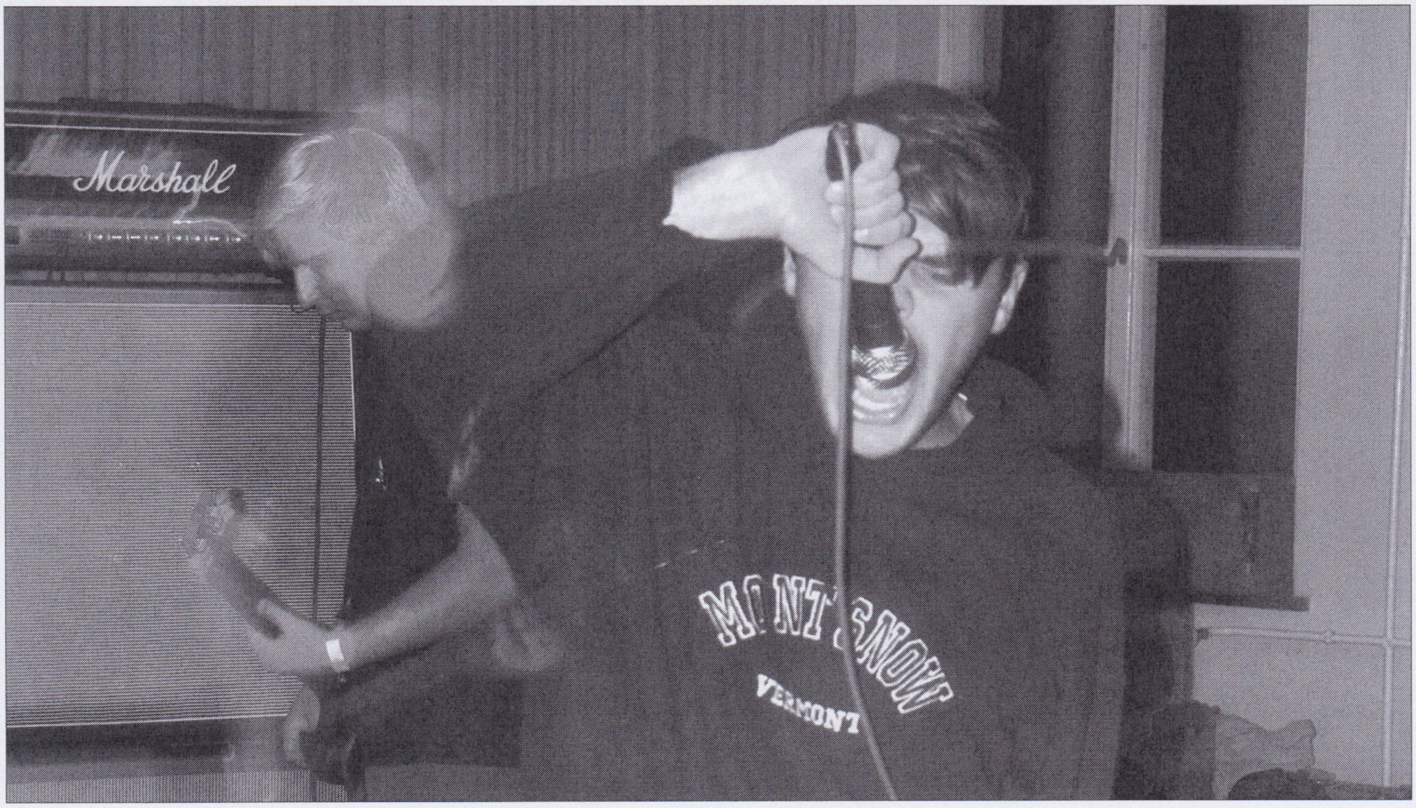

TAU CROSS po dwóch albumach dla Relapse, trasie koncertowej w Stanach i Europie, nie wymaga już przedstawiania. Mimo że zespół składa się z sześciu osób mieszkających w innych częściach świata, to trzeba im oddać, że są bardzo produktywni i aktywni. Dwa albumy i dwie trasy w dwa lata. Wywiad przeprowadziłem z czterema członkami TAU CROSS przed ich koncertem w Hamburgu w sierpniu. W rozmowie uczestniczyli Rob (AMEBIX), Jon (MISERY), Andy (WAR//PLAGUE) i Michael (VOIVOD). Tom (FRUSTRATION) i James byli na dole - sprzedawali merch kapeli. Porozmawialiśmy o niebywałej koncepcji zespołu, warstwie muzycznej i stylu pracy, gdy członkowie mieszkają tak daleko od siebie. Wojtas.

TAU CROSS

CHAOS: Dobra, zacznijmy od rozmowy na temat tej trasy. Jak się orientuję, ta jest waszą drugą. Pierwsza była w Stanach, ta jest po Europie.
Rob: Tak. Jesteśmy mniej więcej w połowie trasy. Ameryka to inna rzecz, inna bestia ze względu na wielkie odległości. Tutaj, no cóż, pierwszy raz jestem w Skandynawii. I pierwszy raz jestem w Niemczech. Poziom gościnności w Europie jest niewiarygodny, przynajmniej jak dotąd. Coś, czego nie mamy w UK i coś, na co nie zawsze możesz liczyć w Stanach. Ludzie są dla nas tutaj bardzo dobrzy.

CHAOS: Masz na myśli gościnność od strony organizacyjnej czy mówisz o odbiorze publiki?
Rob: Wiesz co… W sumie to jedno i drugie. Nie ma żadnej przemocy…
Jon: Jak w Bostonie… (śmiech)
Andy: O tak, gościnność i przyjazność ludzi w Europie jest zawsze na wysokim poziomie. Tutaj nie ma przemocy na koncertach, w Stanach masz niestety większe prawdopodobieństwo, że na twoim koncercie może być jakaś bójka. A tutaj wszędzie gdzie pójdziesz są otwarte ramiona.

CHAOS: Rob, serio mówisz, że nie byłeś nigdy w Skandynawii i Niemczech? Z AMEBIX też nie?
Rob: Serio. Z AMEBIX graliśmy we Włoszech, była Jugosławia i kilka razy w Holandii. I tyle. Reszta to koncerty w UK.

CHAOS: A na tej trasie z kolei omijacie UK. O co tak naprawdę chodzi? Wszyscy w UK narzekają, że tam nie gracie. Jakie jest więc oficjalne oświadczenie zespołu? Proszę, mikrofon…
Rob: Nienawidzimy tej jebanej Wielkiej Brytanii. To chuje jebane. (salwy śmiechu)

CHAOS: I kropka!
Rob: Spoko, to się wyedytuje. Będziesz pamiętał?

CHAOS: Jasne. Nie będę tego tłumaczył nawet.
Rob: A mówiąc poważnie, sprawa wygląda tak. TAU CROSS nie ma żadnego managementu, nie ma żadnej, powiedzmy, „infrastruktury", wszystko jest robione total DIY, wszystko robimy sami. Tak więc, jak myślimy „robimy trasę", to potem myślimy „cholera, jak się robi trasę"? A potem mówisz „napiszę o tym na fejsie, popytam się znajomych, może nam coś zorganizują"? Pytam się Toma, który zna cały świat, on mówi, „dobra, pomogę", Daniel mówi: „Kopenhagę ja załatwię". Super, myślę, idzie do przodu. I pamiętaj, że to się działo niedawno, daty spływały w ostatniej chwili. A ja w pewnym momencie myślę: „kurczę, a kto ogarnie UK?". Skontaktowałem się więc z jedną osobą i dostaliśmy propozycję zagrania na jednym festiwalu, ale akurat na nim nie chcieliśmy zagrać w tym momencie naszego życia…

CHAOS: I tym festiwalem jest ….?
Andy: Nie, Rob! Nie! (śmiechy)

CHAOS: Nie wierzę. Serio tak trudno jest załatwić wam kilku dat w UK?
Rob: No, bo nie było na to zbyt dużo czasu. Zorientowaliśmy się, że chcemy jechać w trasę na 5 miesięcy przed. A w Anglii jak nie dasz info na 9 miesięcy przed, to nic z tego nie będzie. Tak już jest. Zwłaszcza jeśli mówimy o większych klubach, czy też tych bardziej popularnych. Nie ma co liczyć na szybkie akcje, jak w Europie. Bach, za 2 miesiące koncert.

CHAOS: Jak się przygotowaliście do tej trasy mieszkając daleko od siebie…? Cześć Michael!
Michael: Cześć, nie przeszkadzajcie sobie, ja się ogolę i wracam do was…

CHAOS: …była mobilizacja na Isle of Skye? Czy dopiero teraz na chwilę przed trasą razem zagraliście nowy materiał na żywo?
Rob: Tak, i to było fantastycznym przeżyciem. „Pillar of Fire" zagraliśmy pierwszy raz razem półtora, dwa tygodnie temu. James, którego tutaj teraz nie ma, ma dom nad klifem, z widokiem na ocean i takie wielkie pieprzone okno. Pokazywałem ci zdjęcia. Stoisz tam, grasz i patrzysz na Hybrydy Wewnętrzne i Zewnętrzne. To jest bardzo inspirujące. Przegraliśmy ten materiał kilka razy. Jak go robiliśmy, to niby on działał, słuchasz płyty i myślisz, że działa. Ale czy zadziała na żywo? Przegraliśmy i uznaliśmy, że to zadziała i jest spójne.

CHAOS: Wybór Isle of Skye na zbiórkę zespołu miał jakieś znaczenie?
Rob: Tak, oczywiście. Przede wszystkim, żeby chłopaki mogli odpocząć po swoich lotach zanim wyruszymy w trasę. No i taktycznie. Przyzwyczajenie się do idei, że TAU CROSS ma dwa domy. Obecnie bazą główną jest Minneapolis w Stanach, u Jona, gdzie jest sala prób i tam mieszkamy. Andy mieszka za rogiem, więc jest bardzo wygodnie pod tym względem. Uznaliśmy, że drugą bazą zespołu będzie Isle of Skye, chociażby ze względu na możliwość nagrywania. James, który jest naszym

gościem technicznym od sampli, nagrywania i miksowania, ma w domu własne studio nagrań. Więc sam widzisz. To jest zbyt dobre, żeby z tego nie skorzystać.
Jon: W obu miejscach mamy sprzęt. Gdzie byśmy nie byli, możemy grać. O to chodzi.

CHAOS: Patrząc na daty tej trasy, widzę, że też macie trochę podróży. Dziwnie to jest ułożone, Holandia, na drugi dzień Włochy, na trzeci Berlin. To tym vanem ogarniacie?
Jon: Nie, to akurat ogarniamy samolotami.
Rob: We Włoszech jest tego dnia duży festiwal, na którym warto zagrać, więc dlatego wpasowaliśmy Włochy pomiędzy Rotterdam i Berlin. Nie ma wyj-ścia, musimy się przelecieć. Potem wracamy do busa. We Włoszech jest chyba kurewsko gorąco?

CHAOS: Muszę was zmartwić. Właśnie stamtąd wracam i tam jest piekło. I ani kropli deszczu. Jak nie macie krótkich portek, to macie przejebane.
Rob: I księżyc jest w jakiejś fazie, więc dodając to do włoskiego temperamentu, będzie ostro.

CHAOS: Dobra, wróćmy do TAU CROSS i do samego początku tego zespołu. Jak patrzę na „Sonic Mass" to widzę symbol tau cross. Czy to jakaś celowa zapowiedź tego, co miało się potem wydarzyć, czy już wtedy wiedziałeś, co chcesz robić dalej?
Rob: Tylko w swojej podświadomości. Zdałem sobie potem sprawę, że ten symbol pojawiał się tu i tam w mojej podświadomości. Przede wszystkim symbol młota, boga kowali i te sprawy. Inny, to ten bardziej tradycyjny, luterański, z nawiązaniami do Biblii. I jeszcze wcześniejsze powiązania, z egipskim Św. Antonim. Więc to jest bardzo uniwersalny symbol z wieloma odniesieniami. I jak przyszło do rozmowy o nowym zespole, to już wiedziałem, że chodzi mi o ten symbol. Za dużo tego po prostu było w mojej podświadomości.

CHAOS: Wyszło więc naturalnie.
Rob: Dokładnie.

CHAOS: Chcę porozmawiać o Relapse, wytwórni, która wydała wasze dwie płyty. To prawda, że nikt poza nimi nie chciał was wydać?
Rob: Tak. To było absurdalnie trudne do zrobienia. Osoby, które grały w zespole, robiły muzykę i jeszcze szukały wytwórni, która to wyda. Pierwszych kilka nam odmówiło...

CHAOS: Których tutaj, przez wzgląd na ich dobre imię, nie wymienimy... (śmiechy)
Rob: Nie, nie, nie ma po co ich wymieniać. Mam tylko nadzieję, że się kopią we własne tyłki dzisiaj... (śmiechy)
Rob: I ja to rozumiem. Bo jakość demo, jakie im przygotowałem, była zajebiście okropna. Rozmawiałem z różnymi ludźmi na ten temat i tylko jedna osoba powiedziała, że potrafi coś tam usłyszeć, co ma sens i trzyma się kupy, jakiś potencjał, reszta pytała się, co to jest za gówno. Bo wiesz, ja to nagrywałem na taki dyktafon, który ma jacka na mikrofon, bardzo prymitywnie, wiem. Tak więc, pokazanie profesjonalnym wytwórniom prymitywnego punkowego demo zrobionego w sposób ultra DIY po prostu nie zadziałało.

CHAOS: Po wydaniu pierwszej płyty i teraz drugiej macie kontakty do innych wytwórni czy trzymacie się Relapse?
Rob: Nie, trzymamy się Relapse. Mamy z nimi płynną relację, nie jesteśmy z nimi złączeni jak bliźniaki syjamskie. Mamy dużo autonomii, jeśli o to pytasz. To działa w bardzo prosty sposób. Tworzymy, nagrywamy, sami się finansujemy i pytamy ich czy chcą to wydać. Jeśli tak, to wydają. Im i nam to bardzo odpowiada. Ktoś mi kiedyś powiedział, że kontrakt z Relapse musi wyglądać jak jakaś pieprzona książka telefoniczna. Nie, kurwa, nie. To jest jedna strona. Nie wydaje mi się, żeby oni chcieli być też powiązani z nami w jakiś taki mocny sposób.

CHAOS: Nie ma więc żadnych dilów typu tyle płyt w takim okresie itp.?
Rob: Nie, nic z tych rzeczy. Nawet kiedyś, jak grał AMEBIX, nigdy nie mieliśmy takich ustaleń. Żadnych zaliczek na płytę, nic z tych rzeczy. Pracowaliśmy z albumu na album. I tyle.

CHAOS: Patrząc na to jak wygląda zespół, z kogo się składa... Nie chcę powiedzieć, że kolekcjonowałeś muzyków, ale zebrałeś przyjaciół w jeden zespół i za wyjątkiem Michele, okazało się, że zespół tworzą crust punki, mówiąc z przymrużeniem oka.
Rob: Ha, na to wygląda.
Andy: Powiedzmy tak. Były punki i potem, jak czas mijał, to te punki nauczyły się grać na instrumentach i mogą teraz zrobić coś takiego. (śmiech)

CHAOS: Andy, Jon, jak się odnajdujecie w trochę innej muzyce niż gracie lub graliście przez wiele lat na co dzień?
Jon: Bardzo dobrze, bo to jest coś innego niż wszystko. Po prostu.
Andy: Właśnie. To jest dla nas wyzwanie.
Jon: Wiele jest zespołów, crustowych na przykład, które są takie same, brzmią podobnie. To są oczywiście dobre zespoły, ale mimo to podobne do siebie, jeśli chodzi o styl. I jak Rob śpiewa, to my możemy robić z tym naprawdę różne rzeczy.

**CHAOS: On zaczął śpiewać, co nie? Nie zrozum

mnie źle, nie chcę powiedzieć, że wcześniej nie śpiewałeś, ale na tej drugiej płycie, o tym właśnie chciałem porozmawiać, ty po prostu śpiewasz. Śpiewasz śpiewasz, wiesz o co mi chodzi …

Rob: Absolutnie. Do tego dążyłem, pamiętając, żeby nie wyszła z tego tandeta. Jeśli chcesz i komponuje się to z resztą, podoba się tobie samemu, to czemu nie? Idea tego zespołu jest taka, że poszerzamy brzegi rzeki, a nie je zawężamy do jednego konkretnego gatunku muzycznego. Dla mnie to jest powrót do muzyki jakiej słuchałem pod koniec lat 80. Sorry, chodziło mi o koniec lat 70. oczywiście i początek 80. Kiedy mówiono o nowej fali, nowej fali punka, potem zrobiono z tego post punk i tak dalej. Ale pomiędzy tym były takie zespoły jak THE STRANGLERS, SIOUXSIE AND THE BANSHEES i tym podobne. To były całkowicie różne style muzyki, ale wszyscy mieli w sobie taką… wrażliwość… do komponowania, cała ta melodia, finezja tworzenia. I jak patrzę na siebie, nie będąc muzykiem z technicznego punktu widzenia, dla mnie to jest osobista przygoda, próbowanie znalezienia, jakby… odszukania… tego co potrafimy, na co nas stać.

CHAOS: No dobra, jak to komponowanie ma się do was, do waszej sytuacji? Można powiedzieć o was dropbox band. Pracujecie przez internet. Jak tego typu praca wpływa na komponowanie, porozumiewanie się?

Andy: To ewoluowało z upływem czasu. Z dropboxem i tego typu pracą jest tak: 90% frustracji, 10% produktywności i kreatywności. Dzisiaj mówimy o sobie live band. Pracujemy w domu, komponujemy, wymieniamy się, a potem spotykamy się na Sky i nagrywamy live. Taki jest teraz plan.

Rob: Wszystko wytworzyła potrzeba. Jak zaczynaliśmy przed pierwszym albumem, to nie mieliśmy żadnego budżetu, tylko kawałek jakiegoś programu komputerowego, którym się podzieliliśmy między sobą i zagadnienie pod tytułem wszyscy mieszkamy w innych zakątkach świata. Co więc możemy z tym zrobić? Nie stać nas na podróże samolotowe, żeby robić próby, nie stać nas na wynajęcie studia gdzieś w jednym miejscu, żeby grać i nagrywać. Więc zaczęliśmy nagrywać, każdy u siebie w domu, i pracować zdalnie.

Jon: Po prostu każdy z nas nagrywał swoje demówki, a potem James przyłożył do tego swoją łapę i obrócił to w płytę.

Rob: Masz rację. Przecież to było demo, które James po prostu dobrze złożył w płytę. I tak powstał pierwszy album. A druga płyta to już wynik nagromadzenia materiału. Każdy po prostu kontynuował pisanie piosenek. I nazbierało się tego dużo. Pojawiło się więc pytanie, co z tym zrobić? Naturalnie, kolejną płytę i to w ten sam sposób, skoro udało się z pierwszą. Natomiast dzisiaj, jak mówimy, idziemy dalej z tym myśleniem. Skoro umiemy zrobić dwa całkiem dobre albumy w ten sposób, to jako zespół międzynarodowy, który umie pracować szybko i kreatywnie, to… Jon na przykład to żywy przewód. Wiesz, siedzimy, jammujemy, ting ting ting, i on już jedzie z tematem dalej. To będzie bardzo konstruktywne. Andy z kolei będzie mógł w końcu na luzaku zająć się harmonią, bo on strasznie jest z tym rozważny. Nie mówię Jon, że ty nie jesteś rozważny… (salwy śmiechu)

Jon: Dziękuję tato.

Andy: (naśladując Roba) Spoko synu.

CHAOS: Jak ten proces komponowania wygląda w szczegółach na dzień dzisiejszy? Kto to zaczyna?

Jon: Nasza trójka komponuje, poprawiamy, dopisujemy, poprawiamy. To wypad, to wchodzi. I już.

Rob: I robi się piosenka.

CHAOS: Dobra, ale chodzi mi o robienie tego zdalnie. Przecież nie siedzicie live przed komputerem wszyscy w tym samym czasie i nie jammujecie? Czy jednak to robicie?

Andy: Nie, jasne, że nie. Mamy spotkania na skype, ale żeby pogadać, nie gramy wtedy.

Jon: Wiesz, każdy ma swój folder w dropboxie i tam wrzuca swoje demówki.

Rob: Tak, i praktycznie każdy z nas coś codziennie dorzucał. Wstaję rano i przed śniadaniem myślę: zobaczmy co tam Andy wrzucił, bo wiesz, jest różnica czasu, więc jak ja wstaję to on już śpi i jest po pracy nad albumem. No więc słucham, rozumiem zamysł, dogrywam siebie i wrzucam do dropboxa. Oni słuchają, coś dodają, potem spotykamy się na skype i obgadujemy temat.

CHAOS: Jakieś różnice w komponowaniu pomiędzy albumami? Różnią się one od siebie, a wcześniej wspominałeś, że pierwsza płyta to tak naprawdę twoje dzieło, Rob.

Jon: Tak, pierwszą płytę napisał Rob za wyjątkiem jednego numeru, który zrobił Roy (AMEBIX - przyp. Wojtas). Tak więc ja z Andym tylko nałożyliśmy swoje gitary, jakąś tam część siebie tylko dodaliśmy.

Rob: A to was ograniczało, bo pracowaliście na już gotowym materiale, tylko go rozbudowywaliście.

Jon: No w pewnym sensie trochę tak.

Rob: A z drugą płytą było inaczej. To ta dwójka, co tu siedzi, ją napisała. Zupełnie inny styl i grania, i komponowania. A moją robotą było skupienie się tylko na tekstach i śpiewaniu. To też dla mnie nowość i zupełnie inny styl pracy, bo wpasowywałem się tekstami w to, co oni skomponowali.

Jon: I wyszło ci to bardzo dobrze. Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że robiłeś to pierwszy raz w życiu. Do tej pory robiłeś odwrotnie, najpierw pisałeś tekst i do tego komponowałeś muzykę.

Rob: No tak.

CHAOS: W porównaniu do pierwszej płyty, jak już ktoś inny ją muzycznie komponował, to muzyka zdecydowanie zwolniła i pojawiło się więcej przestrzeni.

Andy: I tak i nie. To znaczy, no dobra, trochę zwolniliśmy tempo, ale...

Rob: Andy nie lubi wolnego tempa! (śmiechy)

Andy: No weźcie…

CHAOS: Rob nie mówi, że ty jesteś wolny. (śmiechy)Jesteś szybki. Piszesz szybko wolną muzykę. (śmiechy)

Andy: Nie, serio, to było wyzwanie. Czy damy radę z Jonem, skomponować drugą płytę TAU CROSS, co na to Rob i takie tam. No, ale wzięliśmy się do roboty, uczyliśmy się od siebie nawzajem…

Rob: I niczego co napisaliście nie wyrzuciliśmy. Ani jednego numeru.

Andy: Kurde, masz rację. Wszystko zostało. „Bread and Circuses" został napisany po powrocie z pubu.

Rob: No co wy, serio?

Andy: U Jona w piwnicy.

Jon: Ja byłem dyrygentem, już po piwie. On grał, a ja tylko „zmiana, zmiana, tutaj tak, tutaj tak". I zrobione.

CHAOS: Dobra, dobra. Teksty. To taki powrót w dawne czasy rycerskiej Anglii. Możesz powiedzieć dlaczego taka metafora do czasów dzisiejszych?

Rob: Taaa, masz rację, powrót do starych czasów…

Jon: Właśnie. Bo pierwsza płyta to jedna stro-na albumu tekstowo jest zagnieżdżona w starych czasach, a druga opowiada o świecie współczesnym.

Rob: Tak. Rozpiętość od czasów biblijnych aż do XV i XVI wieku, do odniesień do Johna Dee (angielski okultysta – przyp. Wojtas) po to, żeby ustanowić krajobraz do tego, co jest na drugiej stronie, czyli moje komentarze społeczno-polityczne do czasów, w których żyjemy. Ale nie lubię mówić oczywistymi hasłami na te tematy, szukam metafor, odniesień. To daje też przestrzeń do interpretacji.

CHAOS: A nie kusi cię czasami podać tekst kawa na ławę, np. będąc wkurwionym na to, co się dzieje dzisiaj na świecie?

Rob: Nie. Uważam, że to jest niepotrzebne. Myślę, że ludzie nie są tacy głupi.

CHAOS: Ale ja tego nie powiedziałem …

Rob: Nie, ja wiem, ale mi chodzi o to, że ludzie potrafią operować na poziomie symboli, wiesz o co mi chodzi. I to może nawet ma więcej znaczenia, znaczenie zawsze tam jest.

CHAOS: No dobra, rozumiem. Co dalej z TAU

CROSS po dwóch płytach? Ta zmiana koncepcji pracy, przeniesienie się do świata rzeczywistego w trakcie komponowania, co ma przynieść?
Jon: Więcej muzyki.
Andy: Rozważamy...

CHAOS: Bycie zespołem full-time?
Rob: Tak, bycie zespołem full-time bez bycia zespołem full-time.

CHAOS: Geniusz! (śmiechy)
Andy: Więcej powietrza, nagrywanie i ćwiczenie razem. Testowanie nowych rejonów.

CHAOS: Więcej przebywania razem i wspólnego grania...
Andy: Dokładnie
(do pokoju wchodzi ogolony Michael)
Rob: A ty co powiesz Michael?
Andy: Dawaj stary, co się wydarzy z nami dalej?
Michael: Plany na przyszłość?
Andy: Ty widzisz przyszłość, człowieku!
Micheal: Trasa po Stanach. Relapse chce, abyśmy zrobili trasę po Stanach, może West Coast. A potem, wiem, że ta dwójka (Andy i Jon - przyp. Wojtas) ma już kawałki czekające w dropboxie, ale trzeba się spotykać. Te płyty dla mnie brzmią dobrze, ale słychać, że to są posklejane elementy z różnych miejsc na dysku. Ja to słyszę. Potrzebna jest jedność w zespole, którą można osiągnąć tylko poprzez bycie razem. Mam nadzieję, że przyjedziemy na Skye i tam będziemy pracować. Wiesz, to jest tak, że my niby mamy wielkie doświadczenie i możemy sobie poradzić z byciem zespołem opartym na dropboxie, ale twierdzę, że jak będziemy pracować razem w jednym pokoju to zrobimy coś bardziej epickiego.
Jon: Wiesz jak to jest z Michealem? Niewielu perkusistów to potrafi. On nagrywa partie perkusji dopiero na koniec, jak już gotowe są partie gitarowe. I wysyła to nam.
Rob: A my wtedy mówimy „o kurwa".
Michael: Staram się trzymać balans pomiędzy tym, co robię w VOIVOD i tym, co chcemy robić tutaj. Jeśli na przykład przesadzę z backward beats albo z rockiem progresywnym, to już nie będzie TAU CROSS. Staram się grać na cztery, ale też chcę czasami nadać temu nowy charakter. Więc tak, zdarza m się zaskoczyć osobę, która napisała numer, która sobie myśli: „a jemu co odbiło?". (salwa śmiechu)
Michael: Staramy się być „groovy band", metal punk, wiesz.
Rob: Groove is good. Mówiliśmy o tym niedawno, pamiętacie? Tak? Ludzie lubią się bawić. Tak?

CHAOS: Tak!
Andy: Ludzie uwielbiają śpiewać, mieć melodyjne refreny, proste słowa w refrenie. Wtedy na koncertach wytwarza się energia, udziela się to wszystkim, zespołowi i publice. Pięść do góry i wszyscy śpiewają.

CHAOS: Więc, jak widzę piszecie trzeci album...
Rob: Ale bez pośpiechu. Najpierw samemu w domach, potem dekonstrukcja wszystkiego i wspólna praca razem. Jak ci ludzie zbiorą się razem w pokoju, to się dzieją rzeczy niebywałe. Do tej pory tego nie było. Dostawałeś gotowca, dogrywałeś swoją partię i poszło. Ale żeby nie zrozumieć tego źle, jesteśmy zadowoleni z tego, co zrobiliśmy do tej pory. Jednak uważam, że potencjału jest więcej. Znacznie więcej.

CHAOS: Czy to znaczy, że jesteście bardziej zadowoleni z drugiej płyty w porównaniu do pierwszej pod względem produkcji?
Rob: W wywiadzie powinniśmy powiedzieć, że tak. (śmiechy)
Andy: Przy drugiej płycie ludzie są bardziej krytyczni, to normalne.
Jon: Mnie rozjebała reakcja ludzi po pierwszej płycie.

CHAOS: Mnie ta płyta rozjebała.
Andy: Nas to rozjebało.

CHAOS: Ja nie wiedziałem czego się spodziewać po drugiej płycie.
Andy: My też.

CHAOS: Jeśli mogę, pierwsza płyta weszła we mnie, ot tak. A drugą musiałem słuchać kilka razy, żeby ją zrozumieć. Teraz mogę powiedzieć,

że druga pod wieloma względami jest lepsza niż pierwsza, ale musiałem się jej nauczyć. Rozumiecie?
Rob: Masz na myśli, że słuchasz pierwszej płyty i myślisz „Killing Joke album", a ta druga to, co to, o co w niej chodzi, tak?

CHAOS: Tak.
Rob: Rozumiem. Andy dobrze to kiedyś powiedział, że pierwsza płyta jest bardziej refleksyjna, a druga obsikuje terytorium. Zobaczymy, co będzie dalej.

CHAOS: Czyli nie wiadomo, co się wydarzy na trzeciej płycie?
Michael: Myślę, że masz rację, że zaskakujemy, że płyty są inne. Ale też z drugiej strony, i tutaj musimy się pilnować, przecież cały czas odkrywać nowych terytorium nie będziemy, nie powinniśmy.
Rob: Jak o tym teraz myślę, to jest jak alchemia. Wnosisz różne składniki, absolutnie różnych muzyków z różnych stron muzycznych i tak powsta-je brzmienie TAU CROSS.

CHAOS: Dobra, kończymy. Wracacie do domów i co się dalej z wami dzieje?
Andy: Dużo pracy. Dużo koncertów. Wracamy do Stanów i gramy z DOOM podczas ich trasy w Stanach.
Jon: Pisanie nowych numerów.
Rob: A jakie plany ma VOIVOD?
Michael: Wracam do domu i piszemy nowy album. Wracamy do Europy jesienią tego roku. Wracamy i nagrywamy nową płytę. Jak nagramy VOIVOD, to robimy trasę TAU CROSS po Stanach. I tak w kółko. VOIVOD i TAU CROSS. Jestem w trasie. A jak nie jestem w trasie, to robię grafiki dla innych zespołów.
Rob: I do tego wszystkiego, każdy z nas ma swoje życia prywatne, więc nie jest łatwo oczywiście powiązać te sznurki ze sobą. Ciekawe jest to, że nie mamy problemów z pisaniem muzyki, ale już jest problem ze znalezieniem czasu na nagranie i na trasę. I jak zaczniesz zliczać czas wolny, to wychodzi ci, że możesz na to poświęcić 3 tygodnie w roku.

CHAOS: Ale każdy tak ma. Jak widać – biorąc pod uwagę gdzie teraz jesteście – da się to zrobić.
Wszyscy: No tak.

CHAOS: Dziękuję! Wiecie jak się kończy wywiad?
Wszyscy: Jak?

CHAOS: Mam nadzieję, że to się nagrało.

Gdańskie trio THING to jedna z nielicznych grup noise rockowych, które grały w latach 90. Obok KRZYCZ i EWY BRAUN inspirowali się głośnym undergroundowym amerykańskim graniem gitarowym. SHELLAC i DAZZLING KILLMEN to dwie grupy, które wywarły największy wpływ na ich nietypowe w tamtych czasach granie. Takiej muzyki u nas prawie nikt nie wykonywał. Można śmiało powiedzieć: pionierzy noise rocka w Polsce. Nie było im łatwo w tamtym okresie grać taką muzykę, a szczególnie koncerty, gdzie ich odbiór wśród publiczności był bardzo słaby. Przetrwali do 2002. Wywiad zrobiłem z trzema członkami tej świetnej, jak na tamte czasy kapeli. Odpowiadali mi bracia i gitarzyści formacji Ireneusz i Tomasz Swoboda oraz ich perkusista Tomasz Piotrowski. Maku.

THING

CHAOS: Kiedy i gdzie powstał zespół THING? Czy to była pierwotna nazwa kapeli? Kto ją na początku tworzył i jak grupa skrystalizowała się do znanego nam składu?

Irek: Był to koniec lat 80. Czterech kumpli z jednej klasy technikum mechanicznego. Nie za bardzo byliśmy wyposażeni w profesjonalne instrumenty, ale to nie przeszkadzało robić sporo hałasu na próbach w klubie domu studenckiego. THING z początku miało jeszcze „the" z przodu. Pierwsze koncerty były więc anonsowane THE THING. Z pierwszego składu do końca lat 90., do pierwszego oficjalnego wydawnictwa w NNNW przetrwałem tylko ja. Różne były powody rozstawania czy odejścia kolejnych członków zespołu, ale zdecydowanie miałem rolę uzurpatora w tym okresie działalności.

Tomek: Tak, to było straszne. Ja przegapiłem pierwsze miesiące działalności zespołu, bo chyba dopiero uczyłem się czytać (litery, nie nuty), ale potem dołączyłem. Kupiłem gitarę elektryczną, koledzy Irka pokazywali mi palcami na gryfie, co mam grać, a dalej już poszło. To znaczy: poszło tak, jak mówił Irek. Wszystkich wyrzucił, oprócz mnie, bo brata albo nie wypadało się pozbywać, albo może jednak się nie dało. Też niewiele pamiętam, bo to było naprawdę dawno. Zostało wspomnienie odkrywania kompletnie nowego świata, jakiegoś totalnego fermentu w głowie. I do „normalnego" stanu nie dało się już wrócić.

Tomek P.: Ja dołączyłem do zespołu w 1992 albo 1993 roku.

CHAOS: Jakie zespoły inspirowały THING w początkach waszej działalności i jak docieraliście do ich nagrań? Ciekawi mnie jak zdobywaliście tak niszową muzykę, jaką był noise rock w tamtych czasach. Ja np. wysyłałem do wytwórni Touch and Go Records dolary w kopercie (było ryzyko, że ktoś ukradnie te pieniądze) i czekałem ze dwa miesiące, aż płyty CD dotrą do mnie. Kiedy je wyciągałem ze skrzynki pocztowej to była prawdziwa radocha. Takiej radości i ciekawości nie ma już dziś, kiedy masz to wszystko na wyciągnięcie ręki.

Irek: To zawsze fajne pytania są o inspiracje. Z uwagi na to, jak ciężko było o cokolwiek, czasami wystarczyła naprawdę jedna kaseta z muzyką, aby zmienić wszystko. I taka kaseta też do mnie trafiła. Zawierała całkiem przerażającą muzykę gitarową z nagraniami takich zespołów jak RAPEMAN, ARSENAL, HEAD OF DAVID, UT... i to wystarczyło. Też tak chciałem grać. Oraz oczywiście Touch and Go Records stało się numerem 1. W mieście portowym, w którym w końcu mieszkaliśmy jest sporo dolarów i marynarzy, więc winyle z dobrą muzyką były zawsze. Już w podstawowce sporo w głowie mi mieszały wizyty u kolegi, którego tata pływał i miał świeżutki punk rock i inne niesamowite rzeczy.

Tomek: Nie zapominajmy, że mieszkaliśmy z Irkiem w jednym pokoju. To znaczy - ja słuchałem tego, co puszczał starszy brat: z najwcześniejszych rzeczy pamiętam 4AD, a potem to już faktycznie ta przełomowa składanka „Total War", która zmieniła wszystko. Ja gdzieś tam, w którymś momencie zacząłem sam kupować i przegrywać kasety, głównie punk rocka, ale to na dłuższą metę było muzycznie mało inspirujące. Touch and Go Records i SONIC YOUTH - to leciało w tym naszym pokoju na Przymorzu w latach dziewięćdziesiątych. Jeśli chodzi o źródła, to była jeszcze legendarna wypożyczalnia płyt w Gdyni przy Świętojańskiej - jechało się po płytę, tak jak po kasetę video, znajdowało się kolegę z odtwarzaczem i nagrywało na kasetę. Ci goście mieli naprawdę świetną muzę, sporo nagrań mieliśmy właśnie od nich.

Tomek P.: Mnie zawsze inspirował punk. Słuchałem i słucham dużo tego. Dopiero jak dołączyłem do chłopaków zacząłem słuchać SONIC YOUTH, JESUS LIZARD, itd. Do nagrań docierało się standardowo, jak na początku lat 90. Przegrywało się od ludzi. Pamiętam jednego koleżkę z Gdyni, który miał kupę płyt. Pierwszego SHELLACA np. mieliśmy nagranego od DJ z radia. Był nagrany odwrotnie tzn. najpierw strona B potem strona A. Do tej pory tak słucham tej płyty. Czasami się jakąś kupiło w Outside lub innych distrach. Płyty wtedy kosztowały majątek. Ja mam cały czas radość, gdy otwieram paczkę z płytami, może właśnie dlatego, że kiedyś było o nie niełatwo.

CHAOS: Wasza pierwsza płyta „Rudder" wydana została na kasecie przez Uszatego z Nikt Nic Nie Wie w roku 1997. Jak znaleźliście wydawcę i dlaczego akurat wytwórnia Nikt Nic Nie Wie ? Kto jest autorem rysunku żaglówki na okładce?

Irek: Nie pamiętam dokładnie, ale pamiętam jak fantastycznie nas Uszaty traktował podczas trasy po południu Polski (wspólnej z EWĄ BRAUN) zaraz po wydaniu płyty. Zapewne wystaliśmy mu demo i napisał list, może zadzwonił, że wyda i tak się potoczyło. Nie było maili, więc gadka była raczej wtedy prosta. Cieszyło nas to wydanie płyty w tak szacownym wydawnictwie bardzo. Okładkę narysowała dziewczyna perkusisty.

Tomek: Wydaje mi się, że to był rysunek z czasów dzieciństwa. Kapitalny, wyrazisty – do tego stopnia, że ten wodno-marynarski motyw towarzyszy nam właściwie graficznie do dzisiaj.

Tomek P.: Żaglówkę namalowała moja obecna partnerka Dorota, będąc jeszcze w szkole podstawowej. Kiedyś przeglądałem z nią jakieś papiery i ta łódeczka wpadła mi w oko. Teraz mamy ją oprawioną i wisi u nas w chacie „nad kominkiem". Resztę okładki zrobił Uszaty.

CHAOS: Po wydaniu „Rudder" zagraliście zapewne parę koncertów. Gdzie się odbyły i jakie są wasze wspomnienia z tych gigów? Opowiedzcie nam, jak wtedy wyglądała scena noise rockowa w Polsce.

Irek: Już po tak długim czasie mieszają się wspomnienia z tych koncertów, miasta, podróże, noclegi. Zostają śmieszne sceny w głowie, jak granie na scenie z biurek szkolnych w Tarnobrzegu i te straszne, jak atak faszystów w Gliwicach. Grało się z różnymi zespołami, nikt nie wybrzydzał. Przeważnie jakieś mieszanki stylów. Te zapamiętane dobre to EWA BRAUN z naszych i GUAPO, MELT BANANA z nie naszych. Mało się wiedziało, co się dzieje w innych częściach kraju. U nas w Gdańsku noise rock zaczęli grać koledzy z klasy mojego młodszego o 7 lat brata i jako FOR HER PLEAUSURE nie raz staliśmy razem na tej samej scenie. Zresztą wydałem im płytę jako Dead Sailor Music w 2000 roku.

Tomek: To była całkiem długa trasa po południowej Polsce. Uwierzysz, że pojechaliśmy na nią pociągiem, targając w rękach gitary i perkusję? Irek wspominał wcześniej o miłym podejściu Uszatego: faktycznie, na jeden czy dwa koncerty zawiózł nas swoim nissanem micrą - też trudno uwierzyć, że się do niego zmieściliśmy. Tomek Piotrowski dokumentował wszystkie swoje występy, więc na pewno ma dokładną rozpiskę tamtej trasy. EWIE BRAUN rozkraczył się samochód i ostatecznie graliśmy sami – to było ciekawe, bo ludzie przychodzili posłuchać kultowej EWY BRAUN, a dostawali jakiś dziwaków. Nie żeby EWA BRAUN była normalna, ale oni, pomimo niepunkowego jednak charakteru swojej muzyki, należeli do „sceny", a w każdym razie byli przez

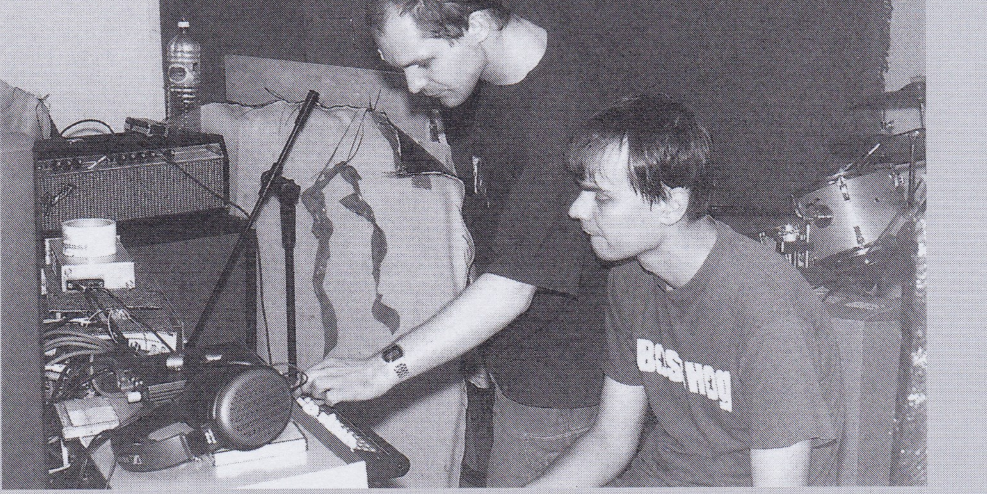

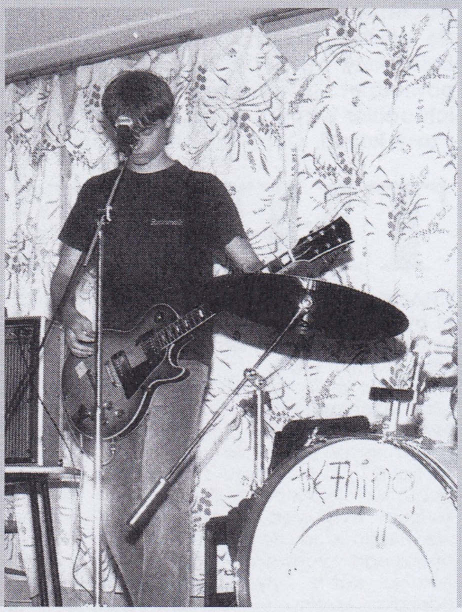

nią akceptowani czy nawet hołubieni – tak mi się wydaje. A to był podstawowy warunek, żeby dużo grać. My się na to nie załapaliśmy – chyba nawet dobrze, a na pewno słusznie. Też pamiętam ten kapitalny koncert w Tarnobrzegu i atak faszystów – ale moim zdaniem nie w Gliwicach, tylko w Dąbrowie Górniczej. Graliśmy też wtedy fajne koncerty w Nowym Targu, w Nowym Sączu i chyba w Krośnie. Jednym z przełomowych momentów był też plenerowy gig w sopockich Łazienkach Północnych w klubie Siouxie. Wystąpiliśmy tam latem, w jaskrawych bluzach (jak SONIC YOUTH na okładce „Goo"), graliśmy potwornie głośny noise na plaży i chyba nam nieźle wyszło. Poza tym dominujące wspomnienie jest takie, że gdziekolwiek graliśmy, to kompletnie nie pasowaliśmy. Chcieliśmy grać, więc graliśmy – ale to były jakieś przeglądy piosenki młodzieżowej w Pruszczu Gdańskim czy punkowy festiwal w Bytowie. Przeważnie było tak: grasz i masz stuprocentowe przekonanie, że nikt nie rozumie, o co chodzi. Tę niestosowność chyba najsilniej odczuliśmy, grając na festiwalu Drrrama, też w Pruszczu Gdańskim: pociliśmy się i wyginaliśmy, mając przed sobą stu kilkudziesięciu kolesi w długich włosach, którym nawet się nie chciało wstać z podłogi. A wtedy na koncertach raczej się ruszało niż siedziało. Najlepszy kontakt mieliśmy zawsze z załogą z Wołowa, skupioną wokół Igora Pietrzykowskiego i pisma „Korek". Warto było – i do dziś jest warto – jechać przez całą Polskę, żeby się z nimi spotkać i dla nich zagrać. To w Wołowie graliśmy z MELT BANANA, a nie wiem, czy też nie z COUCH i SURROGATEM – bo z Niemcami też się dobrze grało. To było dla nas to, co nazywasz „sceną noise rockową" – mam wrażenie, że tu nawet nie można mówić o rozproszeniu... Chodzi o to, że to były same meteoryty. Dla nas coś takiego, jak scena noise rockowa nie istniała, a w każdym razie nie mieliśmy z nią kontaktu – poza tymi pojedynczymi wyjątkami, które chyba nie wystarczają do tego, żeby mówić o scenie.

Tomek P.: Zagraliśmy mini trasę na południu Polski, nie pamiętam już gdzie dokładnie. Na pewno Gliwice, Nowy Targ, Tarnobrzeg, Nowy Sącz chyba. Trasę mieliśmy grać z EWĄ BRAUN, ale chłopaki się wycofali po pierwszym gigu. Mieli jakiś kłopot z busem. A my pociągami jeździliśmy ze sprzętem. Mordęga, ale co zrobić. Nie wiem czy można mówić o czymś takim jak „scena noise". To była raczej scena HC, która takich jak my jakoś zaakceptowała. Był silny ośrodek w Wołowie skupiony wokół zine'a „Korek". Janusz i Igor pozdrawiam. Jeden koleś w Gdyni co miał w chuj płyt.

CHAOS: Dead Sailor Muzic to wytwórnia założona z myślą, by m.in. wydać waszą drugą płytę „Killwater" (2000). Możecie coś o niej nam opowiedzieć?

Irek: Pojawiła się możliwość produkowania samemu płyt w postaci CD-R i z niej skorzystaliśmy. Nie było jakoś chętnych na wydanie naszego materiału nagranego w 1999 i w XXI wiek postanowiliśmy wejść sami. Kupiłem nagrywarkę, wtedy była to sporych rozmiarów plastikowa skrzynka, i zrobiliśmy to. Okładki na dobrym kartonie, drukowane na drukarce biurowej i wycinane ręcznie. Kto ma ten wie, że żaden wstyd. I tak właściwie powstał Dead Sailor. A jak już zaczęliśmy sami to kontynuujemy do dziś. Mamy 12 nagranych materiałów na koncie. Nie dużo, ale większość to przecież ja i brat.

Tomek P.: Nikt nie był zainteresowany wydaniem „Killwatera", więc niejako byliśmy zmuszeni założyć wytwórnię i zrobić to sami. Zaprojektowałem na szybko logo i tak powstał Dead Sailor Muzic. Wydaliśmy wtedy „Killwater", jedynkę FOR HER PLEAUSURE i COLUMBUS ENSEMBLE.

CHAOS: Marcin Dymiter z EWY BRAUN jest, obok Maćka Cieślaka ze ŚCIANKI, producentem drugiej płyty THING „Killwater". To wasz wieloletni kumpel. Zresztą, jak wiem, z całą EWĄ BRAUN łączyła was przyjaźń. Jak poznaliście Marcina i jak udało wam się z nim tyle lat wytrzymać? To oczywiście żart, bo Marcin to świetny facet.

Irek: Żart nie żart. Profesjonalista z niego, ale wymagający do bólu. Nie każdy wytrzyma. Poznaliśmy się na koncercie CHOKEBORE w Gdyni. Nie pamiętam kiedy to było, ale byli raz to pewnie gdzieś się da odszukać. Podszedłem, zagadałem do niewielkiego człowieka, który okazał się wielką osobowością. Kochamy się do dziś. Jestem ojcem chrzestnym Marcina córki.

CHAOS: Gdzie nagrywaliście pierwszy album „Rudder" i gdzie została nagrana druga płyta „Killwater"? Okładkę drugiej płyty zdobi grafika Tomka P.

Irek: Rudder nagrał nam, bardzo dobrze zresztą, Kamiński w studio Na Zboczu gdzieś na Chełmie (dzielnica w Gdańsku). Był on świetnym gitarzystą, więc i słyszał sporo i wyrozumiały był dla naszej muzyki. Po raz pierwszy byłem zadowolony z tego, co wyszło w studio. Nasze poprzednie nagrania i demówki nie były udane.

Wspomniałeś o nagrywaniu „Killwater", to przede wszystkim dwójka - Maciej Cieślak i Marcin Dymiter świetnie się dogadywała w studio i odcisnęła piętno na płycie. Było przyjemnością widzieć ich w robocie, tryskali pomysłami i użyliśmy sporo z dziwnych urządzeń analogowych, które nabył Maciej gdzieś w Polskim Radiu (czy gdzieś tam). Płyta ma sporo muzyki, której nie było wcześniej w naszych głowach. Powstała dopiero w studio. Studio to należało do Macieja i miało nazwę imienia Adama Mickiewicza.

Tomek P.: „Rudder" nagrywaliśmy w małym studiu „Na Zboczu" w Gdańsku. Przyznam, że niewiele pamiętam z tej sesji. Zresztą nie było to nic specjalnego. Podłączyliśmy się do sprzętu i zagraliśmy jak najlepiej umieliśmy. Zmiksował to Tomek Kamiński. „Killwater" nagrywaliśmy u Maćka Cieślaka w piwnicy. Co do okładki, wiesz, Irek i Tomek robili większość muzy, więc dali mi zrobić okładkę. Zresztą do tej pory robię okładki. Od czasu do czasu.

CHAOS: Nasz wspólny kolegę Janek Mucha, który jest wydawcą i właścicielem niezależnej wytwórni Gusstaff Records robił m.in. pamiętny koncert THING z niemieckim SURROGATEM w Sopocie. Imprezę po koncercie pamiętam do dziś, hehe. Wy też? Janek w latach 90. był jednym z głównych „filarów" zine'a „Korek". Opowiedzcie nam trochę o tym zine i o Janku, który był już wtedy bardzo aktywny na scenie niezależnej.

Irek: SURROGAT zaskoczył mnie przede wszystkim ustawieniem na scenie instrumentów. Doskonała Koreanka, która waliła u nich w perkusję była przed chłopakami na gitarze i basie. Przez co pewnie lepiej ich słyszała, ale też brzmiało to mocno perkusyjnie. Janek to, jak to się mówi, żywa legenda. Wspaniały facet zaangażowany w muzykę chyba już z 40 lat, hehehe. Wiele osób mu wiele zawdzięcza, a i Polska, mówiąc górnolotnie, też mu powinna choć nazwać rondo jego imieniem. O zinie to nie za wiele mogę powiedzieć. Głównie kontaktowaliśmy się z innym freakiem zamieszkującym w Wołowie, Igorem Pietrzykowskim. On tam pisywał różne różności.

Tomek: Tak, z Hansem Muchą współpracujemy do dziś – tłoczył na przykład najnowszy album COLUMBUS DUO „À temps". Ale więzi z Igorem są jeszcze silniejsze. On to by miał dopiero historie do opowiedzenia o latach dziewięćdziesiątych! Począwszy od naszego pamiętnego koncertu w klubie, który nazywał się chyba Halina, gdzie ciągnęliśmy prąd z sąsiedniej kamienicy, przez „Korek" właśnie, koncerty z dolnośląskimi i zagranicznymi kapelami, aż po ostatnią „domówkę" u samego Igora, gdzie przyszło więcej ludzi niż na większość naszych koncertów.

CHAOS: Kiedy zespół THING, jedna z moich ulubionych kapel lat 90., zakończył działalność?

Irek: Nie zakończył. Ewoluował, zmieniał nazwę, zmieniał instrumentarium, odchodzili i przychodzili kolejni muzycy. Jest nas teraz dwóch. Ja nie gram już na basie, Tomek odstawił gitarę. Czas płynie, zobaczymy co się jeszcze urodzi. Noise jest nadal.

Tomek P.: Moim zdaniem to było 7 kwietnia 2002 czyli w momencie wydania pierwszej płyty COLUMBUS ENSEMBLE.

CHAOS: Mijają lata inspiracje zmieniają się, a wy gracie w innych zespołach. Przybliżcie nam w jakich?

Irek: Ja w kolejnej odsłonie THING pod nazwą COLUMBUS DUO.

Tomek: To ciekawe, bo ja też.

Tomek P.: Ja gram teraz na perkusji w hardcorowym RAUS OF MY EYES oraz ska – jazzowym NUTTY LOVERS.

CHAOS: Ostatnie, cykliczne pytanie – jakie płyty was ostatnio zachwyciły, czy widzieliście film, który warto obejrzeć, a może chcecie polecić dobrą książkę lub komiks?

Irek: SURVIVAL „Survival", OREN AMBARCHI „Hubris", JEFF PARKER „The New Breed", OOZNIG WOUND „Whatever Forever", SUMAC „The Deal", RADIAN „On Dark Silent Off", LOTTO „Elite Feline", JOSHUA ABRAMS „Magnetoception".

Tomek: To ja dla odmiany o książkach. A że moim zdaniem dobra literatura skończyła się sto lat temu, tylko dwa nazwiska: Flaubert i Proust.

Tomek P.: Warto słuchać muzyki i chodzić do kina, czytać. Zawsze. Im więcej tym lepiej.

CHAOS: Dzięki, chłopaki, że poświęciliście swój czas na ten wywiad. Cieszę się, że od wielu lat mogę nazywać się waszym przyjacielem.

THING: Cała przyjemność po naszej stronie. To fajnie, że po tylu latach ktoś jeszcze chce z nami rozmawiać o THING. Cieszymy się, że jesteś naszym przyjacielem.

Pod koniec września 2017 na cztery koncerty do Polski (Warszawa, Kraków, Poznań, Toruń) przyjechała gruzińska kapela VODKA VTRAIOM. W połowie sierpnia natomiast z LIFE SCARS mieliśmy okazję zagrać z nimi wspólną trasę w ramach „Anarcho Caucasian Tour 2017" - Kutaisi (Gruzja), Tbillisi (Gruzja), Erywań (Armenia) i Baku (Azerbejdżan). Impulsem obydwu tras była totalnie przypadkowa rozmowa z jednym z naszych ziomków z Torunia (pozdro Leszek!). Obydwie trasy wyszły bardzo fajnie. Gruzini bardzo zajarali się Polską, a przede wszystkim tutejszą sceną hc/punk i byli pod wrażeniem tego, jak jest zorganizowana i jak sprawnie funkcjonuje. My natomiast po wizycie w Gruzji mamy plan, żeby wrócić tam przy najbliższej okazji i zobaczyć to, czego nie udało nam się zobaczyć dotychczas. Z pewnością obydwie trasy były swoistym spotkaniem dwóch punkowych kultur. Wystarczy dodać, że VODKA VTRAIOM była chyba pierwszą punkową kapelą z Gruzji grającą w Polsce. Na pewno te dwie trasy i pewne napotkane tu i tam różnice dały dużo do myślenia zarówno Gruzinom z VODKA VTRAIOM, jak i nam. Wydaje mi się też, że jednym z głównych plusów tych dwóch tras, było takie przetarcie punkowych szlaków i to wydaje mi się bardzo ważne. Pytania – Mike, odpowiedzi – David – perkusista VODKA VTRAIOM.

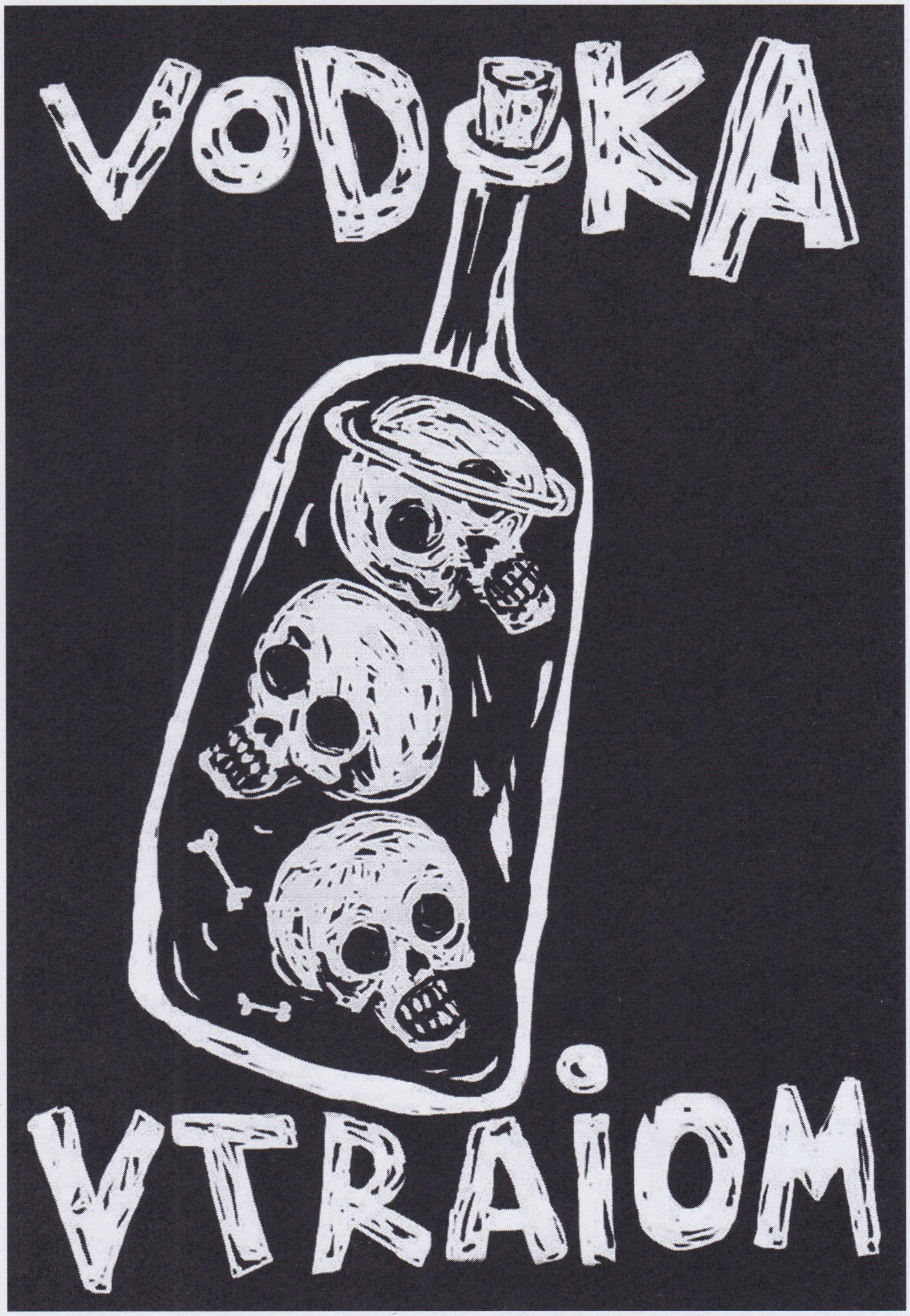

CHAOS: Czy określasz się, jako punk? Anarchista? Osoba alternatywna? I co to dla ciebie znaczy?

David: Hej! Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że punk w Polsce i w Gruzji to coś innego. W Gruzji punki nie są tak dobrze zorganizowane jak w Polsce. Gruziński punk to raczej zbiór indywidualności, którzy określają się mniej więcej jako anarchiści. Nie mamy skłotów ani HC festiwali czy też innych rzeczy występujących w ruchu punk w Europie. Mamy natomiast naprawdę sporą punkową historię, rozpoczynającą się z końcem lat 80. Tak więc w realiach Gruzji mógłbym się określić jako punk albo osoba alternatywna i z pewnością mogę powiedzieć, że VODKA VTRAIOM to jedna z bardziej wpływowych punkowych kapel w Gruzji.

CHAOS: Niewiele wiemy na temat punków, anarchistów czy też punkowej sceny gruzińskiej. Możesz pokrótce powiedzieć nam, jak to u was wygląda? Kiedy się zaczęło? Jakie kapele mógłbyś polecić? Czy są one wciąż aktywne?

David: Początki ruchu punk w Gruzji to okolice lat '87-88. Są w zasadzie dwie główne sceny: Kutaisi (zwanym stolicą gruzińskiego punk rocka) oraz Tbilisi. Punki z Kutaisi są bardziej w klimatach HC. Z tamtych stron mogę polecić takie kapele jak: OUTSIDER (którzy są w zasadzie ojcami gruzińskiej sceny), BEST HISTORY, BUNKER, ARCHEOPTERIX oraz kapele nowej generacji: SILVERSIDE, ANAREKLI oraz ZEG. Jednak scena w Tbilisi była zawsze bardziej alternatywna niż HC/punkowa. Więcej było tu wpływów post punka oraz grunge. Pierwsze zespoły to: RECEPTI, CHILDRENS MEDICIN, GENETIC CODE, QISHO DA INTILIGENCIA, AMORALI. Zespoły z drugiej generacji mającej swoje początki w okolicach roku 2000 to: VODKA VTRAIOM, TEL-SCOPE, MONOPLANE, SPID, NEBO SSSR, VIRGINIA, VIETNAM RADIO i wiele innych. Jest też nowa generacja i kapele takie jak: DAGDAGANI (liderzy dzisiejszego gruzińskiego punka i jedna z kapel mających ogromny wpływ na młodzież), MTVARIS DABNELEBA, PANIKA, OUTFRONT, itd.

CHAOS: Jakie idee, wartości są najważniejsze dla gruzińskich punków, anarchistów? O czym śpiewają, w co się angażują? Czy są jakieś najbardziej popularne akcje organizowane przez punków i anarchistów w Gruzji?

David: Punkowe i alternatywne piosenki są w Gruzji zazwyczaj o tematach społecznych jak np. polityka, religia, armia, samobójstwo, miłość :), wiara, wojna, itp. Co do wartości czy idei głównym celem jest zmiana mentalności społeczeństwa na bardziej normalną, zmiana sposobu ich patrzenia na religię, homoseksualizm, seks, edukację, prawa człowieka, prawa zwierząt, ochronę środowiska, itd. Podejmowane przez nas akcje dotyczą głównie ochrony natury i protestów anty rządowych, ale muszę kolejny raz podkreślić, że nie jest to tak dobrze zorganizowane i jest bardziej uzależnione od woli pojedynczych osób. Jednak same koncerty wychodzą w Gruzji naprawdę fajnie.

CHAOS: Pozwól, że zapytam o dwie akcje, które chyba odbiły się największym echem - pierwsza to demonstracja osób związanych ze społecznością LGBT brutalnie zaatakowana przez zgromadzony na jej trasie tłum. Druga - to atak na Kiwi Cafe - wegańską restaurację w Tibillisi, którą prowadzi ekipa związana ze społecznością LGBT. Możesz powiedzieć kilka słów na temat tych akcji?

David: Wspomniana demonstracja LGBT miała miejsce w 2013 roku. Nie była to nawet gejowska parada czy coś w tym rodzaju, raczej marsz obrońców praw człowieka, praw LGBT w liczbie 50-60 osób. Nasz ortodoksyjny kościół rozpuścił informacje, że będzie to parada gejów, przez co na trasie marszu pojawiło się około 10 tysięcy osób protestujących przeciwko tej paradzie. Zachowywali się bardzo agresywnie wobec aktywistów i aktywistek LGBT. Była to totalnie wina ortodoksyjnego kościoła gruzińskiego. Na szczęście wszyscy przeżyli i nikt nie odniósł ciężkich obrażeń. Dzisiaj jednak coraz więcej osób w Gruzji ma otwarty umysł i jest bardziej tolerancyjna wobec osób LGBT. Wciąż niebezpiecznie jest być tu osobą homoseksualną, ale widać, że to cały czas się zmienia i idzie ku lepszemu.

Sprawa Kiwi Cafe była trochę bardziej zagmatwana. Najpierw naziole (których jest w Gruzji naprawdę mało i są słabi) przyszli do Kiwi Cafe i zaczęli wrzucać do środka kawałki mięsa, itp. Wywiązała się mała bójka pomiędzy naziolami a weganami, może nawet nie bójka, a krzyczenie na siebie nawzajem. Następnie pojawili się młodzi ludzie z sąsiedztwa (coś jakby dresiarze, chłopaki spod bloku, tzw. „sebki") i wtedy zaczęła się prawdziwa bijatyka między nimi a weganami. W międzyczasie naziole pouciekali.

Po tym zdarzeniu właściciel lokalu poprosił, żeby ekipa Kiwi Cafe się wyniosła i tak się stało. Teraz Kiwi Cafe jest w większym lokalu i w o wiele piękniejszym miejscu.

CHAOS: Na twoim fejsbuku widziałem grafikę z przekazem: „mój kraj jest okupowany przez Rosję". Jak wygląda sytuacja między Gruzją a Rosją? I jaki ma to wpływ na wasze codzienne życie?

David: Ta sytuacja jest bardzo ciężka. Rosja okupuje 20% terytorium naszego kraju, południową Osetię i Abchazję, skąd ja i Kesha (gitara, wokal VODKA VTRAIOM) pochodzimy, z tego powodu w Gruzji jest wielu zbiegów, coś koło 500 tysięcy osób. Ta okupacja trwa nawet dziś, a rosyjscy żołnierze praktycznie każdego tygodnia przesuwają linię okupacyjną coraz bardziej w głąb terytorium Gruzji. Obecnie są jakieś 400 metrów od jednej z głównych gruzińskich autostrad. Po tym wszystkim, co się wydarzyło nie mogę powiedzieć, że Gruzini nienawidzą Rosjan, jednak każdy wie, że Rosja jest wrogiem. Wciąż wielu turystów z Rosji odwiedza Gruzję i spotyka ich tu ciepłe, serdeczne przyjęcie.

Jednak wielu ludzi przestało ufać Rosjanom i nikt nie chce być po ich stronie.

CHAOS: Czy ta sytuacja sprawia, że ludzie czują się bardziej patriotami? Czy ty uważasz siebie za patriotę? A jeśli tak, to czym jest dla ciebie patriotyzm? To pytanie może zabrzmieć nieco dziwnie, ale zadaję je, ponieważ w Polsce słowo „patriotyzm" ma (szczególnie ostatnimi czasy) wiele negatywnych konotacji m.in. za sprawą nacjonalistów oraz partii skrajnie prawicowych, które zdobywają coraz większe poparcie, szcze-gólnie u młodego pokolenia.
David: Sytuacja z pewnością sprawia, że w ludziach wzrasta poczucie patriotyzmu, ale nie ma on nic wspólnego z nacjonalizmem. Są oczywiście patrioci-nacjonaliści, ale ci przeważnie skupiają się na walce z muzułmańskimi emigrantami pojawiającymi się w Gruzji, a nie np. na walce z Rosjanami.
Wydaje mi się, że zdrowy patriotyzm nie jest niczym złym. Dla mnie patriotyzm zaczyna się od nie zaśmiecania swojej okolicy, wyrzucania śmieci do kosza, a nie na ulicę i w takim sensie wydaje mi się, że mogę nazwać siebie patriotą. Ale absolutnie nie w nacjonalistycznym rozumieniu tego słowa. Szczerze mówiąc raczej nie określam się, jako patriota, po prostu naprawdę kocham swój kraj.

CHAOS: A czy nacjonaliści lub naziole są w Gruzji dużym problemem? Czy widzisz zmiany w porównaniu z, dajmy na to, okresem sprzed 10-20 lat?
David: Nie jest to duży problem. W Gruzji powiedziałbym, że jest około 20-30 nazioli. Nacjonalizm obecnie rośnie w siłę i często jest on porównywany do nazizmu, ale oni tylko walczą, jak już mówiłem, z muzułmańskimi emigrantami i tyle. Większość z nich jest totalnymi idiotami. 20 lat wstecz nacjonalizm był skierowany przeciwko Związkowi Radzieckiemu i to było dobre i naprawdę fajne osoby były wtedy u władzy, dziś jest to parodia.

CHAOS: Powiedziałeś „fajne osoby" mówiąc o nacjonalistach? Jak to możliwe? Jak można postrzegać nacjonalistów, jako „fajne osoby"? Czyżby nacjonalizm gruziński również różnił się od tego, który spotykamy np. w Polsce? Ponieważ, chciałbym wyrazić się jasno, w Polsce czy też dla mnie osobiście nacjonaliści to osoby traktujące jeden kraj (ich własny) jako najlepszy. Są jednocześnie agresywni, pełni nienawiści dla innych krajów i narodowości, dlatego też w Polsce są często określani mianem nazioli. Czyżby polski nacjonalizm był bardziej szowinistyczny niż ten gruziński? Pomóż mi to zrozumieć.
David: Ludzie, o których powiedziałem „fajne osoby" to Merab Kostava i Zviad Gamsakhurdia (pierwszy prezydent Gruzji). To ludzie, którzy walczyli przeciw sowieckim rządom, przez co byli więzieni i torturowani przez Sowietów. To ludzie, dzięki którym Gruzja stała się niepodległa, niezależna od Związku Radzieckiego. Byli to swego rodzaju anarchiści lat 70. i 80., zanim Gruzja została niezależnym państwem

CHAOS: Muszę zapytać o jeden symbol, o którym już raz rozmawialiśmy - czym jest dla was sierp i młot? Użyliście go do jednej grafiki VODKA VTRAIOM. W Polsce punki są raczej ostrożni z używaniem tego typu symboli, czy może mówiąc konkretniej, są przeciwni takim symbolom ze względów historycznych. Dla niektórych sierp i młot jest niemalże równoznaczny ze swastyką. Jaki jest wasz stosunek do niego?
David: Sierp i młot jest dla nas tym samym, czym dla was jest swastyka. Byliśmy pod komunistyczną okupacją przez 70 lat! Tak więc symbole Sowietów są znienawidzone w Gruzji, a VODKA VTRAIOM użyła kiedyś tego symbolu, jakieś 10 lat temu, tylko po to, by rozwścieczyć społeczeństwo, tylko dla tego...

CHAOS: Muszę też zapytać o byłego prezydenta Saakaszwili - jaki macie do niego stosunek? Ponieważ z jednej strony jest odpowiedzialny za rozwój Gruzji i za to ludzie są mu wdzięczni, jednak nienawidzą go za metody, jakich używał, zgadza się?
David: Saakaszwili... Po pierwsze jebać go. Tak, zgoda - zrobił dobrą robotę dla Gruzji, ale po tym wszystkim stał się prawdziwym dyktatorem, to wszystko. Tak więc jeszcze raz - jebać go! Są w Gruzji osoby, które wciąż za nim tęsknią, ale dziś jest to zdecydowana mniejszość. Znam wiele różnych osób i tylko 3-4 chciałyby Saakaszwiliego z powrotem w Gruzji.

CHAOS: Dobra, wróćmy do gruzińskiego punka i do VODKA VTRAIOM. O ile wiem, wasza kapela jest bardzo rozpoznawana w Gruzji, zgadza się? Coś w stylu żywej legendy? Od kiedy istnieje wasz zespół? O czym śpiewacie? I skąd czerpiecie inspiracje do tekstów?
David: Owszem, VODKA VTRAIOM to jeden z bardziej rozpoznawanych zespołów w Gruzji. Nie wiem czy jesteśmy żywą legendą czy nie, o to już musisz zapytać innych... Gramy od jakichś 11 lat, nasz zespół powstał w 2004 roku i był aktywny do 2010. Później mieliśmy 6 lat przerwy, ale zdarzało nam się zagrać jakiś koncert 1-2 razy do roku. Teraz od początku 2017 roku jesteśmy znowu bardzo aktywni.

CHAOS: Jak często odbywają się w Gruzji punk-owe koncerty? I jakie zespoły odwiedzają Gruzję? Grały tu może już wcześniej jakieś zespoły z Polski?
David: Koncerty odbywają się tu bardzo często, jakieś 2-3 razy w miesiącu (dla nas to dużo!). Ale zazwyczaj są to tylko koncerty i tyle. Imprezy, na których ludzie spotykają się i miło spędzają czas. Czasami przyjeżdżają kapele z zagranicy, ale niezbyt często. Największą tego typu imprezą był festiwal Shvilishvili w roku 2014.

CHAOS: Mógłbyś opowiedzieć coś więcej o tym festiwalu?
David: Shvilishvili był anarcho-punkowym festiwalem w Gruzji, na którym zagrało wiele kapel z Białorusi, Ukrainy, Rosji, a także jedna kapela z Polski (ILINX) oraz jedna kapela z Armenii. Oczywiście grało tam też wiele kapel z samej Gruzji.

CHAOS: A czym zajmujecie się, na co dzień? Czy trudno żyje się wam w Gruzji?
David: Każdy dzień to dzień, jak co dzień... :)

Czasami praca, czasami picie, czasami po prostu marnujemy czas.

CHAOS: Mógłbyś opowiedzieć o miejscu zwanym Hippodrom? Słyszałem, że był w Gruzji skłot o takiej nazwie, zgadza się? Jak długo istniało to miejsce? Co dzieje się dziś z ekipą, która je tworzyła? Czy wciąż angażują się w jakieś inne działania?
David: Hippodrom nie był skłotem, w Gruzji nigdy nie było i nie ma żadnego skłotu, większość osób nawet nie wie, czym są squaty. Hippodrom był po prostu miejscówką, gdzie wszystkie punki i inne alternatywne osoby mogły się spotykać i miło spędzać czas, tyle.

CHAOS: Iza prosiła, żebym koniecznie dopytał o gruzińskie kapele dziewczęce...
David: Jest całkiem sporo żeńskich kapel oraz kapel z dziewczynami na wokalu. Jedną z najważniejszych jest MIRROR ILLUSION - sto procent kobieca grandżowa kapela. Jest też VANILLA CAGE, ale one grają raczej hard rockowo/heavy metalowo. Wspomnieć należy również kapele z dziewczynami na wokalu jak np.: NINAS DIMENSION, P. I. LIGHT, ale te kapele są bardziej związane ze sceną metalową. Jest też sporo pop rockowych kapel z dziewczynami na wokalu.

CHAOS: A jak wygląda sytuacja z prawami kobiet w Gruzji? I czy mógłbyś opowiedzieć o tej akcji z aborcją, kiedy okazuje się, że kobieta jest w ciąży, ale spodziewa się dziewczynki a nie chłopca?
David: W zasadzie, jeśli chodzi o prawa kobiet w Gruzji wszystko jest ok. Kobiety mogą robić wszystko to, co mężczyźni i jest to zagwarantowane przez konstytucję. Jednak, jeśli chodzi o tradycję, pomimo, że kobiety zawsze były darzone szacunkiem w gruzińskim społeczeństwie, to nawet w dzisiejszych czasach pojawia się wiele problemów. Większość gruzińskiej populacji jest wciąż bardzo seksistowska. Jest też wiele stereotypów stworzonych przez gruzińskich mężczyzn, a dotyczących kobiet, które mówią, co może, a czego nie może robić kobieta. Aborcja w Gruzji jest legalna, przez co czasami też ludzie korzystają z niej w niewłaściwy sposób - w Gruzji wciąż panuje kult „macho" mentalności i praktycznie każdy mężczyzna chce mieć syna, więc jeśli dostają informację, że żona jest w ciąży, a dziecko będzie płci żeńskiej zmuszają żony do aborcji. Dochodzi do tego, że demograficznie w Gruzji rodzi się dwa razy więcej chłopców niż dziewcząt. Jednak dziś rząd i wiele NGO-sów zajmuje się tym problemem i sytuacja się poprawia.

CHAOS: Podczas naszych rozmów wspominałeś też o obrazie kobiety w ciąży przykładającej sobie do głowy pistolet.
David: Tak, jest to obraz malarki, która nazywa się Lia Ukleba, Gruzinki wywodzącej się z Abchazji. Namalowała obraz przedstawiający kobietę – matkę boską, w zaawansowanej ciąży próbującej popełnić samobójstwo przez strzał w głowę przy użyciu pistoletu. Po wystawie, na której pokazany został ten obraz stała się bardzo popularna. Miała też oczywiście przez to wiele problemów ze strony religijnych osób, ale teraz wszystko się uspokoiło, a jej obrazy są wystawiane w wielu państwach na całym świecie.

CHAOS: Kolejne pytanie dotyczy turystyki. Jakie miejsca w Gruzji trzeba koniecznie zobaczyć odwiedzając ten kraj? Co byś polecił, jako przewodnik turystyczny? Spróbuj wymienić 5-10 takich najciekawszych.
David: Gruzja jest starożytnym państwem, więc jest tu sporo kulturowego dziedzictwa i wiele miejsc wartych zobaczenia, ale wymienię te najciekawsze według mnie (wiele z nich jest też zapewne wymienionych w przewodnikach czy na stronach internetowych) :
1. Mtskheta - pierwsza stolica Gruzji;
2. Svaneti - górski region w północno zachodniej Gruzji;
3. Gruzińska droga wojskowa;
4. Kompleks Vardzia;
5. Zamek Rabati w Akhaltsikhe;
6. Kutaisi ze wszystkimi ciekawymi, historycznymi miejscami;
7. Batumi ze swoimi przedmieściami i pobliskimi terenami;
8. I oczywiście stolica - Tbillisi i wszystkie znajdujące się na jej terenie historyczne miejsca.

CHAOS: Jakie wegeteriańskie i wegańskie specjały kulinarne mógłbyś polecić punkom odwiedzającym Gruzję?
David: Gruzja jest bogata w różnego rodzaju owoce i warzywa, więc można tu znaleźć wiele wegańskich opcji. Najsławniejsze dania to fasolowe lobio, dania z bakłażana w różnych wersjach (pieczony, gotowany, podawany z orzechami, itd.), różne opcje dań na bazie szpinaku. Jest też wiele zup oraz tzw. „ghomi" - kukurydziane danie jedzone z różnymi sosami. w Tbillisi jest też wspomniana wcześniej, bardzo fajna wegańska kawiarnia - Kiwi Cafe, którą naprawdę warto odwiedzić, jeśli jest się wege.

CHAOS: Po wspólnych koncertach zagranych w Gruzji spędziliście trochę czasu w Polsce, gdzie zagraliśmy razem kolejne cztery koncerty. Jakie są twoje wrażenia po wizycie w Polsce? I co sądzisz o tutejszej scenie hc/punk? Słyszałeś może wcześniej jakieś punkowe kapele z Polski? Podobało wam się tutaj? Co było dla was najfajniejszym, a co najsłabszym przeżyciem podczas krótkiego pobytu w PL?
David: Na temat Polski mogę powiedzieć, że jest to bardzo przyjemny kraj i mieszka tu wielu dobrych ludzi. Koncerty zagrane w Polsce były dla nas bardzo ciekawym przeżyciem między innymi dlatego, że poznaliśmy tu wielu nowych przyjaciół, mieliśmy okazję zobaczyć wiele nowych miejsc, to było dla nas super przeżycie. Polski punk różni się bardzo od tego, który mamy w Gruzji, nawet, jeśli chodzi o samą muzykę. polskie kapele grają bardziej hard core'owo, co nie jest zbyt popularne w Gruzji. Muszę przyznać, że nie słyszałem wcześniej żadnego zespołu z Polski, no może poza „pijama porno", ale nie wiem czy ten skład jest traktowany jako punkowy.

CHAOS: To było ostatnie pytanie z mojej strony, czy chciałbyś dodać coś na koniec? Ostatnie słowa należą do ciebie.
David: Chciałbym na koniec powiedzieć tylko jedno: chciałbym bardzo podziękować LIFE SCARS oraz wszystkim osobom, które mieliśmy okazje spotkać w tych czterech odwiedzonych przez nas miastach, wielkie dzięki dla Polski, mamy nadzieję, że uda nam się tu wrócić i odwiedzić was ponownie tak szybko, jak to tylko możliwe. Do zobaczenia Polsko!!!

Ten rzeszowski zespół gra już od kilku dobrych lat, lecz ciągle nie zdołał przebić się przez niewidzialną granicę dzielącą Podkarpacie od reszty polskiej sceny niezależnej. Nie są już najmłodsi, mają za sobą po kilka punkowych epizodów, wciąż są pełni entuzjazmu, punkowego wigoru, a na wiele spraw mają swoje własne zdanie. Są wciąż świeżą krwią i choćby dlatego warto ich wspierać. Oto rozmowa z ekipą TOFU RIOT, jaką zarejestrowałem w pewien sobotni wieczór, tuż przed ich występem w Dębicy. Odpowiadali wszyscy członkowie zespołu (jedni mniej, drudzy więcej), a przepytywał Krawat.

CHAOS: No dobra chłopaki, to, który to będzie wasz wywiad?
Maciek: Taki dla zinów, to chyba trzeci. Jeden robił z nami Sandał dla punk art-zina "Wyziewy z Sandałka" i jeden Bartek dla „Ściany Wschodniej".

CHAOS: To może teraz się przedstawcie i od razu powiedzcie, czym zajmujecie się w życiu, poza graniem w zespole TOFU RIOT?
Maciek: Gram na basie, pracuję w pizzerii jako kierownik zmiany.
Mentos: Wokal i w życiu generalnie obecnie się niczym nie zajmuję. Niedawno wróciłem z Holandii, a wcześniej robiłem w marketingu...
Cinek: Gram na gitarze, szarpię struny. A życiowo to różnie, kiedyś grałem we FREI REPUBLIK PANAMA, poza tym wysokościówka, grafika komputerowa, ojciec córki.
Tasior: Perkusja, obecnie bezrobotny.

CHAOS: Szczęśliwy?
Tasior: Jak na razie szczęśliwy.

CHAOS: Większość z was miała już za sobą jakąś przeszłość muzyczną. Cinek już wspomniał o FREI REPUBLIK PANAMA, było też EMERITEN KOMANDO, a poza tymi było coś jeszcze?
Cinek: Było, ale zespołowo to tylko to, bo projektowo to było mnóstwo innych rzeczy. Chyba każdy z nas miał mniejsze czy większe zespoły, w których pogrywał. TOFU RIOT to jest chyba dla mnie w tej chwili muzyczną emeryturą.
Maciek: Ja to w MARSZU NA WASZYNGTON grałem, a wcześniej SPIRALA. No i jeszcze z rastuchami grałem, RAYAMAN to się nazywało. Nawet na jednej składance byliśmy, jak zagraliśmy na koncercie dla psiaków w Węgrowie. Ale generalnie to SPIRALA i MARSZ NA WASZYNGTON.
Tasior: Kiedyś to grałem w takich kapelkach jak MR. KIEŁBAS, DEGRENGOLAND i ZMOWA, a obecnie gram jeszcze w kapeli ORTODOX. Tych wcześniejszych zespołów to może nikt nie kojarzy, bo one zagrały po parę koncertów tylko, ale ogólnie coś tam się działo i dzieje cały czas.
Mentos: No ja też przewinąłem się przez kilka jasielskich kapel, ale nie ma co tu ich wymieniać, bo to był gruby underground. Raczej każdy z nas grał już przez kilka lat.
Maciek: Nie są to nasze pierwsze kroki na scenach, parkietach, skłotach i melanżach.

CHAOS: Nazwa TOFU RIOT raczej z miejsca kojarzy się z ideą wegetarianizmu, czy jest to słuszne skojarzenie?
Mentos: W pewien sposób tak, a w pewien sposób nie. Mieliśmy jeszcze takie założenie, to Maciek może o tym powiedzieć, bo tofu jest takim czystym elementem w pewnych kulturach...
Maciek: TOFU RIOT, no dobra, pierwsze bezpośrednie skojarzenie to wege, ale to, co Mentos wspomniał, w innych kulturach, na przykład kulturach Wschodu; Chiny, Japonia, Korea, ludzie wychodzący z więzienia po wielu latach, dostają na start kostkę naturalnego tofu, które jest symbolem takiego oczyszczenia, takie swoiste catharsis. Tabula rasa, masz czystą kartkę, odcierpiałeś swoje... i wyobraź sobie zamieszki w tym wymiarze...
Cinek: Duchowym bardziej niż rewolucyjnym...
Mentos: ...i wyjeżdżają czołgi, a my dalej tym brukiem i tymi butelkami.

CHAOS: I rzucamy w nich kostkami tofu...
Mentos: Nie no, może nie aż tak. Bardziej, żeby ich niszczyć, ten system, tak jak oni nas niszczą cały czas, podświadomie jakoś. Nie od środka, będąc w tym, tylko jakoś inaczej do tego podejść. Nie ich sposobem, bo to bandytyzm i nie chcemy się do tego zbliżać.

CHAOS: A ciekawe czy wiecie, kto jako pierwszy w Europie zaczął produkować tofu?
Mentos: No nie...

CHAOS: Byli to chińscy anarchiści, którzy studiowali we Francji i założyli tam fabrykę tofu, pierwszą w Europie, więc w tym tofu jest jakiś pierwiastek rewolucyjny.
Mentos: O proszę... ale nie ma się, co dziwić, bo to jest produkt bezmięsny i w naszej kulturze może nie, ale generalnie jest to tanie jedzenie, które można przyrządzić na sto sposobów. Tofu jest bezsmakowe i chłonie smaki...
Cinek: W pewnym znaczeniu TOFU RIOT może być odzwierciedleniem zamieszek o chleb. Ma taką podstawową wartość, którą każdy może zauważyć. Bo jak nie masz na ten chleb, no to...
Maciek: ...No to wtedy zauważasz, że coś jest nie tak i chcesz coś z tym robić i albo się radykalizujesz, albo kurwa zaczniesz.
Mentos: Przede wszystkim tofu jest bardzo uniwersalne, bo jak mówiliśmy, naciąga różnymi smakami. Samo w sobie jest bezsmakowe, ale przyrządzone na różne sposoby, może być słodkie czy słone. I to można porównać do ludzi, bo tak jak ludzie, nikt z nas z założenia nie jest ani zły, ani dobry. My też nasiąkamy. Możemy w taki sposób to też rozumieć.

CHAOS: Czyli za tym tofu kryje się coś głębszego jednak.
Maciek: No nie ma lipy...
Mentos: A poza tym brzmi to fajnie, haha.

CHAOS: Nazwa jest, że tak powiem, bojowa.
Maciek: A widzisz, z założenie już tak nie do końca.

CHAOS: A ten wegetarianizm, który jednak się kojarzy z tym tofu, jest dla was czymś ważnym?
Maciek: Ja uważam, że jest spoko opcją, bo np. teraz, już nie mówiąc o tradycjach żywieniowych, ale jak patrzysz, jak to wygląda w obecnej sytuacji, że masz np. Tesco, Carrefour, tysiące tego, ta cała nadprodukcja, to jest kurwa niepotrzebne, to niszczy ludzi. Teraz firm nie prowadzą zapaleńcy, jak kiedyś, teraz to prowadzą księgowi, w każdej opcji, od alko po mięso. Każdy segment żywności jest bombardowany jakimiś konserwantami, które są niczym innym, jak jakimiś antybiotykami, bo

konserwanty działają tylko po to, by towar był jak najdłużej zdatny do spożycia, zabijają bakterie. I ty to wrzucasz w siebie, a co w twym organizmie jest najważniejsze - jest kultura bakterii, bo żołądek sam nie trawi, to wiadomo. No i kółko się zamyka.
Cinek: Ja myślę, że wegetarianizm u każdego z nas w życiu wywarł duży wpływ. Część z nas jest wegetarianami, część z nas je mięso, ale i tak jest pod wpływem światopoglądu czy diety wegetariańskiej. Ja uważam, że jeżeli któryś z nas zdecydował się na jakąś dietę, nie ważne, mięsną, bezmięsną, rybną, jakąś tam odchudzającą czy coś…, jeżeli to jest dla ciebie ważne, jeżeli wnikasz, to ma to wpływ na twoje życie. Jesteśmy tym, co jemy. Nawet, jeżeli później, zmienia się coś, zmieniasz dietę - tutaj piję akurat do jedzenia mięsa, bo ja akurat wróciłem do mięsa - to dla mnie osobiście, te 8-9 lat wegetarianizmu zostawiło zajebisty podkład. Dla mnie obecnie mięso jest dodatkiem, i to takim mocno selekcjonowanym. Teraz, jak żyję z wegetarianką, to jakoś bez problemu i niezauważenie, nie wiem nawet kiedy, moje spożywanie mięsa spadło do minimum, tyle, co powoduje kwestia mojego dziecka, które z racji wychowywania się z jej matką jest mięsożerna. Natomiast też mi to dało do zrozumienia, że piętno pozostaje…
Mentos: No na pewno ten wegetarianizm punkowy odcisnął na nas „piętno", jak Cinek to powiedział. Każdy z nas ma pełną świadomość, jeżeli chodzi o rzeź zwierząt, futra, itp., bo pewne rzeczy są dla nas bardzo naturalne. Masowy chów zwierząt w przemyśle czy hodowla na futra - to jest niemoralne i dla nas oczywiste. I ten właśnie punkowy wegetarianizm jest w każdym z nas bardzo mocno, już pomijając to czy ktoś je mięso czy nie. Chodzi o to, że mamy tę świadomość i nawet, jeśli jemy to mięso, to jemy je w sposób taki bardziej świadomy.
Cinek: Ja wspomniałem o tym piętnie, bo mamy tekst „Dwa kolory piętna" i chodzi mi o to, że dzisiejszy świat tak to wszystko postrzega, że lubi wszystko szufladkować, lubi oceniać, lubi dzielić. Tak samo wegetarianizm jest opiętnowany, i wiesz - jak wege, to pewnie jeździ na rowerze, ma anemię, itd. tak samo mięsożerca jest opiętnowany - o kurde, gruba świnia, co ty jesz, pierdzisz jak spalarnia jakichś trupów, bla, bla, bla… Widzimy dziewczyny, które mają anoreksję, też negatywnie to przybijamy, widzimy ludzi, którzy mają dziwne diety, czasem niepojęte dla nas - zawsze jest to piętnowanie. Ja tu użyłem tego nieco żartobliwie, ale piłem właśnie do tego piętna.
Maciek: Istotą tego problemu, wydaje mi się, że w części świata, ale też u nas lokalnie, jest to, że divide et impera, dziel i rządź. Oni chcą nas w kurwę podzielić, wrzucają nam skrajne tematy, pojebane rzeczy, interpretowane przez jakiś zjebów podstawionych, wszystko po to, byśmy się nakręcali. Dziel i rządź, po prostu.
Mentos: I tu dochodzimy do całego założenia zespołu TOFU RIOT. Bo wiesz, nie patrzymy na pewne rzeczy, w sposób, że coś jest czarne i białe - nawet na scenie niezależnej. Scena jest też trochę na to chora, patrzy na pewne rzeczy w czarnych i białych kolorach. Zaczęliśmy od tego wegetarianizmu, ale to można podciągnąć pod 161 innych tematów. A my mówimy, że nie wszystko jest czarno-białe. I to nas najbardziej boli w TOFU RIOT. Nawet wiele naszych tekstów o tym mówi, o pewnych rzeczach powinniśmy myśleć bardziej obiektywnie. Bo wiesz, mówimy o tym, iż jesteśmy tolerancyjni, a zapominamy o tolerancji między nami, w tych najbardziej zwartych kolektywach, zwartych grupach. Mówimy o pięknych rzeczach, o fajnych ideach, takich jak sprzeciwianie się rasizmowi, tolerancja religijna, a często w takich relacjach międzyludzkich, najbardziej podstawowych, nie potrafimy się dogadać. Dzielą nas czasami bardzo proste sprawy. Pod takim pozorem wydumanych pięknych idei, często tak naprawdę kryje się to samo, co w każdym innym miejscu. Fałsz, obłuda, kłamstwo, obgadywanie siebie nawzajem za plecami…
Cinek: Jakiś tam akcjonistyczny zgrzyt rozjebał czasami bardzo fajny kolektyw, przez jakąś tam głupotę…

CHAOS: Wróćmy może do samego zespołu, bo gracie już parę lat, ale jak do tej pory nie byliście zbyt aktywni ani koncertowo ani w inny sposób. Co za tym stało?
Mentos: Nasza średnia wieku jest dosyć wysoka jak na zespół punk rockowy - chociaż to też żartobliwie

mówię - więc ma to jakiś wpływ. Każdy z nas ma też pracę, rodzinę i życie też depcze czasem wyobraźnię i trzeba sobie z tym jakoś radzić.
Cinek: Z tego podkładu wynika jedno, że jak masz rozbieg, to rozbiegasz się szybciej, jak go nie masz, to podnosisz się wolno. Nam zajęło trochę czasu może nie samo zgranie się, co zrobienie numerów i ogranie się. A w między czasie życie gdzieś tam rzucało kłody pod nogi jednemu czy drugiemu…
Mentos: Ja na przykład musiałem wyjeżdżać za granicę za pracą, tak bywa.
Cinek: Materiał nagraliśmy z półtorej roku temu, a dopiero teraz go będziemy wydawać.
Mentos: Robimy to po prostu w takim tempie, na jakie nam życie pozwala.
Maciek: No, ale teraz na przykład ten czas, gdy Mentos był w Holandii, nie był zmarnowany, ponieważ mamy cztery nowe numery, których dzisiaj będzie można posłuchać.
Cinek: Cały czas staramy się iść do przodu, nawet, jeśli są tam jakieś problemy. Nie było Mentosa, dobra, nie mogliśmy koncertować. Materiał jest nagrany, no to rozglądamy się za jakimś wydaniem, projektem wydania, itd. Oprócz tego robimy jakąś muzykę, która wysyłamy Mentosowi…
Mentos: A ja pisałem teksty będąc za granicą.
Cinek: Tak, on dostawał, gdzieś tam sobie słuchał i jak się zjechaliśmy, to mieliśmy cztery numerki do przodu... ale wszystko rozbija się o życie.
Mentos: Powiedzmy, że jest dobrze i nie ma co psuć. Jesteśmy pozytywnie nastawieni.

CHAOS: Mi się wydaje, że przede wszystkim bardzo dobrze, że nagraliście ten materiał i umieściliście go na bandcampie, przez co zespół będzie bardziej rozpoznawalny. Powiedzcie coś więcej o samym materiale, gdzie nagrywaliście i w jakiej formie macie zamiar to wydać?
Mentos: Nagrywaliśmy u naszych znajomych, u Adasia z kapeli TROTY, który miał tu w Rzeszowie takie mini studio. Teraz to nawet nie wiem czy ono istnieje, ale serdecznie pozdrawiamy Adasia! A mamy to zamiar wydać sami, D.I.Y.
Maciek: Jeszcze zapomniałeś o jednej ważnej rzeczy, że kolega Menek to wszystko nam zmiksował i zmasterował i nadał temu ostateczną formę.

CHAOS: A kim jest Menek, bo może nie wszyscy wiedzą?
Cinek: Menek był perkusistą FREI REPUBLIK PANAMA, człowiek od tamtych czasów, gdy te dinozaury grały, robi w nagłośnieniu cały czas i ukłony dla niego od całej kapeli. Bardzo się postarał i oczywiście zrobił to po przyjacielsku. Poczuł ducha muzy, znalazł trochę czasu i to zrobił. Bardzo to doceniamy, zrobił świetną robotę, pokierował nas, co można poprawić, zmienić, posłuchał też nas, co my chcielibyśmy uzyskać, itd. Efekt końcowy bardzo nas satysfakcjonuje.
Mentos: Jeszcze, co do wydania, to myślimy o sześciu graficznych odmianach płyty, myślimy to ciekawie wydać. Plus do tego nasz kolega Qba, który był kiedyś naszym wokalistą i był związany z zespołem na samym początku, Qba Kida, który mieszka obecnie we Wrocławiu, ma nas wydać na kasecie razem z zespołem WIELKI LAS z Rzeszowa, który pozdrawiamy oczywiście.

CHAOS: Wnikając w wasze teksty, odniosłem wrażenie, iż one mówią o ważnych rzeczach, ale nie mówią o nich wprost, sporo w nich np. metafor. Kto w zespole jest odpowiedzialny za warstwę tekstową? Czy może jest to praca kolektywna?
Mentos: Zależy, o jakim materiale mówimy, bo gramy na przykład kilka kawałków, które są tekstowo jakby każdego z nas, i pochodzą od

kapel, w których wcześniej graliśmy i mamy kilka kawałków, które napisałem ja.
Maciek: Jest jeden numer FREI REPUBLIK PANAMA, który Cinek napisał, gramy jeden numer BRUTALNEJ KONTROLI z Lubaczowa - propsy dla kolegów...
Cinek: Przyjacielska ekipa, też bardzo dobra...
Maciek: A z naszych kawałków to jeden tekst ja napisałem, a resztę to chyba Mentos wszystko... I chyba jeszcze jest jedna wstawka Qby, który razem z Mentosem grał w zespole TUPOLEW.
Cinek: Ogólnie to tak wyszło, że jak zaczęliśmy grać to padały takie propozycje, że może zrobilibyśmy to czy tamto. Jesteśmy raczej osobami, które nie przykładają wagi do spraw takich jak prawa autorskie. Więc jak był jakiś pomysł wykorzystania jakiegoś tekstu, to robiliśmy do niego nową aranżację i tak szło. A później, już przy własnym materiale, to głównie jest twórczość Mentosa, wcześniejsza czy pisana na bieżąco, czy robiona pod gotowy numer muzyczny.
Mentos: A wracając do pytania, to generalnie masz rację, że to nie jest bezpośrednio mówione, ale pisząc tekst - jeśli mówimy już o tych moich własnych - to raczej skupiam się na tym, by większość rzeczy nie była do końca powiedziana wprost. Po pierwsze, wcale nie jest prosto powiedzieć pewne rzeczy, mimo że są bardzo oczywiste. Bardziej zależałoby mi na tym, by ludzie na pewnych kwestiach się skupiali. Po drugie, tak jak już wcześniej wspomnieliśmy, takie jest założenie TOFU RIOT, iż może się nie rozliczamy ze sceną, bo to by było mocne słowo, ale wiesz, jesteśmy w tej scenie, graliśmy w kapelach, bierzemy udział w koncertach, jeździmy po skłotach i widzimy pewne rzeczy, które nam nie pasują. Myślę, że to jest też pora, by o pewnych kwestiach zacząć mówić. Punk rock, czy szerzej cała scena, dużo traci na stereotypach, które były fajne 15 czy 20 lat temu. Świat już nie wygląda tak samo i robienie pewnych rzeczy w ten sam sposób, jak robiło się 20 lat temu - to jest bardzo duży skrót myślowy - jest błędem. Pewne motywy, powiedzmy, 20 lat temu się sprawdzały, a świat poszedł tak do przodu, iż dziś niekoniecznie musi się to sprawdzać, można znaleźć inne drogi. Niestety, ludzie chyba o tym zapominają i chcą robić cały czas jedno i to samo.
Maciek: Wystarczy popatrzyć na rozszerzenie szeroko pojętej kultury alternatywnej, np. o muzykę elektroniczną, rave, itp. Tam też się spotykają ludzie, którzy mają podejście do życia często wolnościowe. Popatrz na to, że punk rock jest spoko, jest scena, są dobrzy ludzie i jest gites, ale jest na przykład dużo osób, które skupiają się na czymś innym i to jest to samo, ziarno rewolucji, że tak powiem.
Mentos: To są „nasi" ludzie i możemy się z nimi dogadać. Trzeba ich znaleźć i się dogadać - niekoniecznie tym językiem, jakim jest stricte punk rock, możemy to robić na innych płaszczyznach.
Maciek: Bo tu nie chodzi tylko o punk, chodzi o stan umysłu. Nie zgadzam się z tym, co widzę i staram się to wszystko robić tak, żeby mi się podobało. Bo negacja wszystkiego też do niczego nie prowadzi...

CHAOS: Wydaje mi się, że ta scena jest w miarę otwarta na różne rzeczy. Pojawiają się „scenowe" projekty hip-hopowe, na każdym skłocie są techniawki, rave party, itd. Więc to nie opiera się tylko na samej muzyce punkowej...
Mentos: Masz rację, tylko mnie się często wydaje, że „celujemy" w ludzi, w ich poglądy. Czasami wszystko to wygląda fajnie, ale jak się w to wniknie, i porozmawia z niektórymi osobami, powiedzmy w kolektywach, to widzisz, że jest problem. Niektórzy mają problem z zamkniętą głową, mimo, że jesteś na imprezie np. rave'owej na skłocie. Często spotkasz tam osoby, z którymi chcesz rozmawiać i zauważasz, iż one mają problem z tolerancją, choć sami deklarują tę tolerancję bardzo mocno. To tak skrótowo, ale masz rację, punk rock nie jest do końca zamknięty, a jednak... Też mamy jeden tekst o tym, że klepanie się po plecach jest fajne, jest spoko, ale ono tak naprawdę do niczego nie prowadzi. My nie negujemy tego, że całe idee i rzeczy, którymi żyje scena są złe. One są zajebiste, tylko my mówimy, iż czasami warto się obudzić, trzasnąć sobie po pysku i powiedzieć, kurwa, robimy to w imię dobrych pobudek, ale tu i tu jest problem, a my go nie widzimy. Tak naprawdę robimy fajne rzeczy, a między sobą mamy spiny. Moglibyśmy przyciągnąć 15 innych osób, ale ich nie przyciągamy, bo zaczynamy się robić hermetyczni. Zauważmy to.

CHAOS: Nie wiem czy dobrze odczytałem wasz kawałek „Muzeum", dla mnie on jest właśnie takim uderzeniem w konformizm punk rocka, ludzi sceny?
Mentos: Generalnie to o to chodzi, świat nie wygląda tak samo, jak 35 lat temu... Chciałbym, aby scena była nadal atrakcyjna dla młodych ludzi, a mam wrażenie, że ta atrakcyjność się troszeczkę gdzieś zagubiła. Tak jak w tym „Muzeum" właśnie - ludzie „rozumieją bardziej jebanych hipsterów". I to nie chodzi o to, że każda osoba, która wyznaje sobie jakąś inną subkulturę czy kulturę (nie ważne jak to nazwiesz), i której nie jest z nami po drodze, jest głupia. Często ci ludzie trafiają na takie wzorce, na jakie trafiają i one są dla nich atrakcyjne z pewnych powodów. Chciałbym, aby te wzorce właśnie, które my propagujemy - a wiemy, iż one wszystkie są w porządku, np. tolerancja rasowa, kulturowa, chęć pomocy innym, miłość do zwierząt - to wszystko są naturalne rzeczy, tylko mówiąc brzydko, marketingowo, powinniśmy umieć to „zareklamować" w dzisiejszych czasach, tym młodym ludziom. To słowo - reklama, jest chujowe, ale wiesz, o co chodzi... Chciałbym, by było to bardziej atrakcyjne przez pryzmat może nie mody, ale czegoś, co jest fajne, na czasie. Raz, że to jest dobre, a dwa, pociąga tę młodzież. Kilka lat temu powiedziałem mojemu koledze, iż hard rock może być fajny, jednak jak widzę tych „dziadków", którzy grają na zlotach motocyklowych to dla mnie to nie jest nic innego, jak właśnie takie muzeum. Nic to zmienia i nie ma znaczenia. Są po prostu jak obraz. I tak powoli martwię się tym, że dla niektórych młodych osób cała ta scena punk rockowa zamienia się właśnie w taki obraz. Wiesz, są dzieciaki z irokezami, w dredach, na skłotach, ale to jest zjawisko, które większość młodzieży nie interesuje, które po prostu istnieje. To jest chyba złe i chciałbym, żeby to się zmieniało, żebyśmy byli jako scena „atrakcyjni", interesujący, żebyśmy przyciągali ludzi, młodych, takich z normalnymi poglądami...

CHAOS: Poniekąd się to już wyjaśniło, bo za nic nie mogłem rozgryźć, dlaczego numer o ekologicznym i wręcz anty-cywilizacyjnym przekazie ma tytuł „Tupolew". Teraz już wiem, że to od zespołu...
Mentol: Razem z Qbą i Tomkiem, który grał też w MARSZ NA WASZYNGTON, mieliśmy taki projekt i to taki trochę tribute dla tego zespołu.
Cinek: Tak samo jest z kawałkiem „Brutalna kontrola", który w repertuarze BRUTALNEJ KONTROLI ma tytuł „Kiedy cisza przeraża". To też jest w jakimś sensie tribute dla nich, bo ta muzyka kiedyś nam tam zakołatała w głowach i to na takiej zasadzie.

CHAOS: Macie taki wybitnie antyfaszystowski numer „NA88", kończący się gromkim okrzykiem „Pierdol ONR". Z tego, co się orientuję, to w Rzeszowie nie macie ONR-u, ale macie jakiś tam Narodowy Rzeszów i dużo kiboli prawicowych...
Maciek: Ale to trzeba też rozgraniczyć. Kibole są tacy, jacy są, oni lubią się napierdalać i za czym oni pójdą? Punków nigdy nie lubili i tyle. A w ONR i innych tego typu organizacjach to jest właśnie najgorsze, że oni manipulują historią w pewien sposób,

TOFU RIOT

pokazują pewne wzorce, które nie wyglądają w prawdziwym świetle tak, jak wyglądają i młodzi za tym idą. Dziś młodzi ludzie szukają akceptacji. Pamiętaj, że pokolenia powiedzmy po '95 roku to są dzieci Internetu poniekąd i trochę inaczej wyglądało ich wychowanie. Nie mówię, iż to jest złe, tylko oceniam to w pewien sposób, że oni nie chcą doszukiwać się pewnych rzeczy, co najwyżej zainteresują się jakimś Anonymousem, jeśli chodzi o opór jako taki. Najgorsze jest właśnie to, iż ciągną do tego, bo większa presja społeczna jest na to, by być tym patriotą, nosić te bluzy, kupować to wszystko... I wydaje mi się, że to jest fala młodych ludzi, którzy nie do końca może wiedzą czy to jest słuszne, a wszystko to jest dyktowane przez typów, który wiedzą, co jest co, wiedzą jak to ograć i tak to się dzieje, przez samo mącenie wody. A dlugie to to, że takimi romantycznymi ideami łatwo zawładnąć młode umysły. I to jest to. Tylko, że to jest farsa.

Cinek: Jeżeli chodzi o tę kwestie - „Pierdol ONR!", to, gdy ten numer i tekst powstawać, tzn. gdy Mentos z Qbą zaczęli pisać ten tekst i wyniknęły wtedy też nasze rozmowy nad wizualizacjami, które cały czas mamy w planach do naszej muzyki. To wtedy, pojawił się zamysł ukazania sytuacji na planie ogólnonarodowym, nie tylko problemu, jaki mamy obecnie w Polsce, w Rzeczypospolitej PiS-owskiej. Ogólnie na całym świecie jest tendencja do powrotu skrajnie prawicowych ideologii. Pamiętać też trzeba, że ONR był organizacją, która w dwudziestoleciu międzywojennym była zdelegalizowana i uznana była za szkodliwą dla polskiego patriotyzmu, polskiej racji stanu. Ok., Młodzież Wszechpolska to są panowie, którzy mają nasrane w głowach, ale ubrane jest to w przyjazny „marketing": garnitury czy mundurek harcerski (teraz już Terytorialny, bo z Obrony), wygodne słowa, ostrożne wypowiedzi i decyzje, itd. Ale to gdzieś wszystko sięga. I ów wspomniany ONR - moim zdaniem - to takie najbardziej krwiożercze macki ośmiornicy, to nie owijanie w bawełnę i pozytywne "sprzedawanie" skrajnie prawicowych poglądów tylko właśnie bandyckie, bardzo niebezpieczne tendencje i działania. Stąd mimo zamiaru ogólnego wyszedł nam zakrzyk bardzo lokalny.

Mentos: Ja mogę tylko dwie rzeczy powiedzieć, które często mówię w rozmowach z takimi „normalnymi" ludźmi albo z takimi modno-prawicowymi - bo mamy taką modę niestety. Mój dziadziu, świętej pamięci, walczył podczas II WŚ w AK, co jest gdzieś tam udokumentowane. Moja babcia to zawsze powtarzała, że jakby zobaczył on marsz ONR-u - czyli panowie w brązowych koszulach, z opaskami na ramieniu - to myślę, że jako Polak walczący w czasie wojny - wyciągnąłby karabin i zaczął do nich strzelać. To byłby naturalny odruch dla kogoś takiego, kto takie coś przeżył. Nie ma, co rozkminiać, ONR jest zjebany, bo jest zjebany z założenia. Kto tam do nich należy - jebać, i samo założenie, to, co oni robią jest zjebane i zawsze było zjebane i jakkolwiek będą się maskować, będzie to zjebane. To jest po prostu krypto-nazizm...

Tasior: Tak naprawdę ONR-u nie ma w Rzeszowie jako organizacji, ale ludzi o takich poglądach na mieście jest sporo. Nawet nie chodzi o to, jak wyglądają, lecz jakie mają podejście i myślenie. Nie ma może już takich typowych nazi-skinów, jak w latach 90., ale w głowach wielu ludzi siedzą podobne idee.

CHAOS: A czy czujecie się bezpiecznie na ulicach w tych pojebanych czasach? Powszechnym w Polsce stało się atakowanie ludzi o ciemnej karnacji, cudzoziemców, jak to wygląda w Rzeszowie?

Cinek: Z mojego doświadczenia, po moim powrocie z Anglii i historiach z Kontrastem (Centrum Aktywistyczne, które działało w Rzeszowie na przełomie 2014/2015), to ogólnie rzecz biorąc, jest chyba spokojniej, jeśli chodzi o jakieś akcje o wygląd, jazdy personalne. Natomiast faktycznie zaostrzają się akcje wobec obcokrajowców, na tle płciowym, środowiska LGBT, tego jest coraz więcej i wydaje mi się, że jest na to przyzwolenie rządu i to generuje dużo syfu. Natomiast, jeżeli chodzi o nas, o środowiska lewicowe, ogólnie alternatywne, artystyczne to zawsze zaczynają się problemy, jak pojawia się robienie czegoś większego. Jak powstanie jakiś kolektyw, jakieś stowarzyszenie, które zaczyna coś tam robić, to zawsze za którymś razem zawsze pojawiają się problemy. Weźmy np. osoby homoseksualne, jak zaczną się organizować, pokazywać swą miłość, itp. to takie akcje się zaczną, ale tu nie chodzi tylko o te środowiska.

Mentos: Jeśli chodzi o Rzeszów, to zwróćmy uwagę na to, że żyjemy w stolicy jebanego Podkarpacia, które jest takim województwem, jakim jest. I ta stolica też jest, jaka jest, przez to, że pokazuje całą tą jebaną patologię tego miejsca, tej części Polski. Mamy cały ten „prawicowo-wiejsko-PiS-owski" klimat na ulicach - i to powinno być tak naprawdę jedyną odpowiedzią na pytanie, czy czujesz się bezpiecznie. Widać to, wychodzisz na Rzeszów i od razu widać ten PiS-owy, prawicowy klimat, wśród młodych, wśród starszych, wśród średnich wiekiem...

Tasior: Klimat może tak, ale powiem ci, że jakoś nie czuję takiej niechęci na ulicy. Wydaje mi się, że i tak tu jest spokojnie, w porównaniu do innych, większych miast w Polsce. Ale fakt, faktem, widać na ulicach tych pseudo-patriotów, którzy są nakręcani przez tych starszych, przez całe środowisko. Widać ich, ale wydaje mi się, że porównując do reszty Polski, to i tak jest spokojnie.

Maciek: Ja to tylko w Rzeszowie raz wyłapałem w łeb, pod nocnym...

Mentos: Tu nie chodzi o dostanie w łeb, ale o nastroje na ulicy...

Cinek: To jest to, o czym mówiłem, idąc na ulicy powiedzmy my, „biali przedstawiciele ludu Podkarpacia" możemy czuć się w miarę bezpiecznie, ale nie będą się tak czuć np. Ukraińcy, którzy przyjechali tu pracować. Mnie to nie obchodzi czy oni mają korzenie polskie czy nie, chcą tu pracować i żyć godnie, ale zdarzają się różne sytuacje. Coraz więcej jest też u nas studentów z wymiany, ludzi o różnych religiach i kolorach skóry. I to też mówię z perspektywy „Kontrastu", bo tacy ludzie się tam pojawiali, choćby z racji tego, że część z nas udzielała się w couchsurfingu, pewnej formy samopomocy w podróżowaniu, i często tacy ludzie bywali tam i też opowiadali o różnych sytuacjach. I jak ja to porównywałem do obecnych czasów, to można powiedzieć, że tacy ludzie jak my to zauważają, nas to boli, bo jesteśmy na to wyczuleni. Natomiast taki szaraczek z naszego kręgu kulturowego, nakręcony przez media i „problem z kulturą Islamu" może powiedzieć: Okej, no dobra, ta kibolka teraz robi grandę, ale to są dobre chłopaki i nie chcą źle.

Tasior: Faktycznie, problem jest, ale jakiejś takiej spiny fizycznej, bezpośredniej to bardzo mało zaobserwowałem. I wydaje mi się, że nawet w stosunku do studentów zagranicznych, Hindusów czy Chińczyków, nie ma jakichś reakcji anty, przynajmniej ja tak zaobserwowałem i chyba nie jest źle w porównaniu np. z jakimś Wrocławiem czy Białymstokiem.

CHAOS: No to jak o tym Rzeszowie tak gadamy to powiedzcie jak się ma scena punkowa w waszym mieście?

Cinek: Zacznijmy może od tego, że te dinozaury nadal żyją... Siwy dalej prowadzi swój sklep „Toxic", Gustaw, co prawda wyjechał z Rzeszowa, seria koncertów „Ost Front" niby się skończyła, bo Gucia nie ma, ale on tam cały czas coś robi, dalej sadzi kwiatki i punk bratki wyrastają... Coś tam jest, a z naszego pokolenia to jest nasza ekipa, WIELKI LAS czy TROTY.

Maciek: UPON THE GEARS i jeszcze HIT THE WORLD, nowa ekipa, co powstała po rozpadzie WFM...

Cinek: Ciągle są ludzie, którzy mieszają w kotle i coś tam wyrasta... Koncerty, co jakiś czas są, organizowane głównie w klubie Vinyl, częściowo przez ekipę z TROTY albo zespoły sobie same ogarniają. Sam klub Vinyl też pozdrawiamy! Nie ma tak, że nic się punkowego nie dzieje, nic nie gra. To jest w pewnym sensie jakiś pozytyw, bo był taki moment w Rzeszowie, że się nic nie działo. Nie było prawie w ogóle koncertów, czasem ktoś coś robił, albo wypaliło, albo nie. Na chwilę obecną niby trochę kapel jest, niby trochę ekipy jest, ale frekwencja na koncertach nie powala, ilość koncertów też nie powala, ale przynajmniej coś się dzieje...

Maciek: Został ten Vinyl, była knajpa Route 66, ale jej już nie ma, jest jeszcze Underground i nawet SIKSA będzie tam w październiku...

Tasior: Coś się dzieje w tym Rzeszowie, ale tak naprawdę nie widać, co by powstawały takie naprawdę młode kapele punkowe...

Mentos: Z takiej młodej załogi, takich 17-18-latków, to tak naprawdę nie widać tego. Nawet wśród tych, co przychodzą na koncerty, to policzysz na palcach jednej ręki takich młodych załogantów. W tym temacie to jest ciężko. Ale coś zawsze się dzieje i nie można narzekać, mogło być gorzej.

CHAOS: A jeszcze chciałem was zapytać o tytuł tego materiału, co nagraliście – „14/16". Teraz w modzie są takie cyfrowe kody, więc może go rozszyfrujecie?

Cinek: To jest nie do końca tak. Wydajemy płytę sami, a każda sytuacja ma pewne minusy i plusy. Minusy takie, że nie mamy biura, menadżera, który skontaktuje się z drukarnią i za nas wszystko zrobi. To trzeba samemu pociągnąć, życie jest życiem, problemy, itp., więc idzie to wolniej. Druga rzecz, mamy sześć pomysłów na nadruki na płyty, więc nikt nam tego nie wyda, bo koszt edycji byłby ogromny i zaczynają się problemy, kompromisy. Raczej jesteśmy chłopakami spokojnymi, ale bezkompromisowymi w pewnych kwestiach, więc wolimy sobie to sami na spokojnie wydać. W momencie, gdy robiliśmy stronę na bandcampie, to zatytułowaliśmy go „14/16", bo to jest materiał stworzony, sklejony twórczo w tych ramach czasowych. Później właśnie zaczęły się dociekania, o co to chodzi z tymi cyframi, a tu nic takiego. Na tych płytach, co będą, nazwa zespołu gdzieś tam zawsze będzie, wiadomo, ale też na każdej z nich, na każdym z tych sześciu wzorów będzie też ta myśl „1984 is now!" czyli, że rok 1984 jest teraz! I bardziej to będzie nazwą tego materiału, co też ma większy wymiar niż ten „14/16", który miał być dla nas takim ułatwieniem organizacyjnym przy zamieszczaniu materiału na bandcampie, bo nas już trochę mierziło, bolało, że to tyle trwało, ale w końcu zamknęliśmy ten okres. Ten materiał oddaje te lata, gramy od 2013 r. i ten materiał zamyka pewien ten czas. Tym bardziej, że znacznie szybciej zaczął się tworzyć nowy materiał.

CHAOS: No to na koniec mówcie, co tam chcecie jeszcze przekazać...

Mentos: Wszystko, co płonie, w końcu zgaśnie!

Cinek: Dziękuję za zakup zina, którego czytacie, za wysłuchanie nas i za wspieranie całej sceny.

Mentos: Kupujcie tofu!

Maciek: Spróbujcie tofu we wszystkich opcjach, a przede wszystkim to muzyczne, to, co my wam serwujemy...

Cinek: Miejcie chaos w swojej głowie...

MÖRKHIMMEL pochodzi z czeskiej Pragi i gra już od 10 lat. Zaczynali od d-beatu z black metalowymi naleciałościami, by z czasem wypracować sobie swój własny, bardzo mroczny i metalowy styl grania. Ich płyta „Ostří Černé Kosy Zní" z 2015 roku zrobiła sporo pozytywnego zamieszania na czeskiej scenie i krążek dostał dużo bardzo dobrych recenzji. Miłośnicy punkowo-metalowego grania mieli okazję zobaczyć MÖRKHIMMEL również w Polsce na kilku koncertach, a w tym roku wydali świeżutki split LP z zespołem THE TOWER, który z marszu dostaje bardzo dobre recenzje. Na pytania odpowiadali: Slávek - wokal, Havran - perkusja, Andy - bas, a pytaniami męczył Pablo.

Mörkhimmel

CHAOS: Dzisiaj w waszym zespole gra pięć osób, ale gdy zaczynaliście grać w 2007 roku był to duet z automatem perkusyjnym. Kto dzisiaj gra z tego składu w MÖRKHIMMEL? Graliście wcześniej w jakichś innych zespołach czy był to pierwszy wasz zespół?
Slávek: Jestem jedyną osobą z pierwotnego składu MÖRKHIMMEL. Kapelę założyłem wraz z kumplem Mafkem. Oboje dopiero co przeprowadziliśmy się do Pragi i z nudów, popijając wieczorem piwko w naszym salonie, zaczęliśmy pierwsze eksperymenty z muzą. W tamtym czasie nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będą to początki MÖRKHIMMEL, a nie jedynie podszyte alkiem kumplowskie granie. Jednak po kilku wspólnych próbach i kacowych rozkminach stwierdziliśmy, że może warto nadać projektowi konkretniejszy kształt. Ponieważ nie chciało nam się szukać perkusisty, wykorzystaliśmy automat perkusyjny. Przed MÖRKHIMMEL udzielałem się w MASS GENOCIDE PROCESS, a Mafko w kapeli BETON i S.I.K.A. Nasze drogi na jakiś czas połączyły się właśnie w Pradze, na Žižkovie.

CHAOS: Zaczynaliście od grania d-beatu z lekkimi wpływami black metalu. Skąd takie połączenie w muzyce? Dużo słuchaliście wtedy metalu? A dzisiaj słuchacie go jeszcze więcej?
Slávek: Na samym początku zasłuchiwaliśmy się kapelami grającymi brudny metal i prymitywny dis-beat crust. Można powiedzieć, że ta obsesja zespołami z tego nurtu odcisnęła piętno na naszej muzyce. Dziś metal wciąż jest u mnie na pierwszym miejscu, choć moje muzyczne horyzonty znacznie się poszerzyły.

CHAOS: Powstaliście w 2007 i zaraz w 2008 roku wydaliście demo. To wyszło najpierw na CD, a dopiero potem był winyl? Kto wydał tę płytę? Była też chyba kaseta z tym materiałem. Jak oceniacie debiutanckie wydawnictwo z perspektywy czasu?
Slávek: Nasze demo nagraliśmy na dwóch miejscówkach: u Mafka w kuchni i w salce prób u przyjaciół w Bratysławie. W wydaniu CD maczało palce kilka małych dystrybucji i kilku naszych znajomych. LP „In the Shadow of the City" pojawiło się kilka lat później (myślę, że w 2010 roku) nakładem francuskiego wydawnictwa Shoogun Records. Kaseta wyszła w bardzo niskim nakładzie, ale już nie pamiętam, kto i gdzie ją wydał.
Mimo, że od wydania pierwszego materiału upłynęło 10 lat, jest on dla mnie wciąż w pewien sposób magiczny. Byliśmy młodzi, piękni, seksowni, przepełnieni nihilizmem, wkurwem i zawiedzeni całym światem - to wszystko odbiło się w naszej muzyce. Chory, szalony dźwięk, coś na kształt tego, co mogłoby wydobyć się z bunkra pełnego słoni, między które zostałaby wpuszczona mała biała myszka.

CHAOS: W 2008 roku rozpoczął się drugi etap istnienia waszego zespołu, bo w składzie pojawił się perkusista i basista. Skąd w waszym zespole pojawił się facet z Nowej Zelandii?!
Slávek: Po wydaniu dema zdecydowaliśmy zagrać kilka koncertów. Zaczęliśmy rozglądać się za kolejnymi osobami do składu. Pierwszą był Nowozelandczyk Tony, którego poznałem w knajpie. Od kilku lat podróżował po Europie i postanowił na chwilę zaczepić się w Pradze. W Nowej Zelandii udzielał się w kapelach death/doom/sludge. Uroczy młodzieniec, który miał niebywały talent nadawania czeskim słowom nowych znaczeń. Myślę, że teraz przebywa w Japonii. Tak że za perkusją siadł Tony, a basem zajął się kumpel Yatro. W takim składzie ruszyliśmy z graniem.

CHAOS: W tym nowym składzie nagraliście debiutancki album „Sheep In The Labyrinth". Czy on wyszedł tylko na kasecie czy był też na innych nośnikach? Kto to wydał? MÖRKHIMMEL w tym materiale wciąż miksuje d-beat z metalem, ale mam wrażenie, że tego metalu jest już coraz więcej. Czy nowi muzycy również słuchali black metalu?
Slávek: Zaczęliśmy regularne próby, na których powstawał nowy materiał. W studiu nagraliśmy sześć świeżych kawałków, jeden „starszy" i cover DISFEAR. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że ten materiał został wydany na kasecie, ale jeżeli ją masz, to bezsprzecznie musi być prawda. Dzięki współpracy kilku małych wydawnictw materiał wyszedł na winylu. O kasecie nic mi nie wiadomo. Zgodzę się z tobą, że na tej płycie dość wyraźnie można wyczuć wpływ metalu. W tamtym czasie wszyscy (oprócz basisty) słuchaliśmy kapel metalowych. Za naszą sprawą i Yatro, do tej pory siedzący w crust punku, pomału zaczął przesiąkać metalem.

CHAOS: Na tej kasecie zagraliście cover DISFEAR - czy to wciąż ważny zespół dla was? Jak podoba wam się dzisiejsza szwedzka scena z zespołami takimi jak właśnie DISFEAR, WOLFBRIGADE, VICTIMS, MARTYRDÖD? A jak wygląda obecnie szwedzka scena metalowa - orientujecie się?
Slávek: Nigdy nie przestało mi się podobać DIS-

FEAR. Przede wszystkim ich starsze nagrania. Chwilę trwało zanim się przekonałem do tych nowszych z Tomasem Lindbergiem. Należę do ludzi, którzy chętnie wracają do muzycznych staroci, szczególnie do scandi crusta i death metalu z lat 90. Dalej porywają mnie zasłużone szwedzkie crusty, jak: WOLFPACK, ANTI-CIMEX, BOMBRAID, 3 WAY CUM, DISCHANGE, DISCARD. I muszę się przyznać, że nie za bardzo śledzę nowe kapele i wydawnictwa.

CHAOS: W okresie „Sheep In The Labyrinth" zagraliście z zespołem kilka zagranicznych tras, m.in. w Skandynawii. Opowiedzcie nam, jakie kraje wtedy odwiedziliście, z kim graliście koncerty i jak wam się podobało?

Slávek: Trasa po Skandynawii odbyła się jeszcze przed nagraniem „Sheep in the Labyrinth". Jechaliśmy razem z naszymi przyjaciółmi z kapeli BETON ze Słowacji. Po drodze graliśmy w Niemczech, Danii, Norwegii. Najdalej na północ udało nam się dojechać aż do Trondhaim w Norwegii i Umeå w Szwecji. Jeżeli dobrze pamiętam, wszystko przebiegło w porządku. Jechaliśmy na dwa auta wypchane po sufit sprzętem i tanimi czeskimi i niemieckimi piwami.

Niestety nie utkwiły mi w pamięci wszystkie kapele, z którymi graliśmy... W Goteborgu był to INSIDOUS PROCESS, w Oslo jakiś black metal.

CHAOS: Kolejną osobą z zagranicy, która pojawiła się w składzie MÖRKHIMMEL był Ethan, który grał wcześniej w GUIDED CRADLE i HELLSHOCK. Jak wam się grało razem? Czy Nathan miał duży wpływ na muzykę waszego zespołu? Nagraliście coś razem?

Slávek: Ethan zastąpił na basie Yatro. Grał w kapeli naprawdę krótko, zaledwie kilka koncertów, po czym wrócił do USA. Po nim grała nasza kumpela Aśka, która tłumaczy ten wywiad. Chwilę razem próbowaliśmy, ale na tym zakończył się kolejny etap kapeli. Mańko wyprowadził się z Pragi, żeby w pełni poświęcić się rodzinie, Tony wyjechał do Japonii, a ja w tamtej chwili straciłem zapał do dalszego grania.

CHAOS: Nathan wrócił do Stanów, perkusista Tony wrócił do Nowej Zelandii, zespół zawiesił działalność w 2010 roku. Jednak bardzo szybko, bo już w 2011 roku zespół ponownie zaczął grać. Ze starego składu został tylko wokalista Slávek, ale pojawili się nowi muzyce znani z zespołu THEMA 11. Jak gitarzysta i perkusista odnaleźli się w graniu metalowej muzyki, bo jednak THEMA 11 to było zupełnie inne granie? Nowy basista Andy grał w zespole ÚL! - co to była za kapela?

Havran: Już w trakcie grania z THEMA 11 słuchaliśmy crusta i metalu. Wiosną 2009 roku po rozwiązaniu THEMA 11 założyliśmy nowy projekt MOTHER. W tym okresie słuchaliśmy coraz więcej metalu, ale nie szło to w parze z muzą, którą graliśmy z MOTHER. Myślę, że dopiero w 2010 roku David wraz ze Slávkiem zaczęli planować założenie stricte metalowej kapeli. Po pierwszych próbach wiosną 2011 roku zaprosili mnie do wspólnego grania. Nie musieli mnie długo namawiać, szczególnie, że miałem ogromną ochotę zacząć grać mocniejszą nutę. Dodatkowo było jasne, że przed nami ostatnie koncerty z MOTHER. Do MÖRKHIMMEL dołączył Andy i tak powstał skład, który jest do dziś.

Andy: Kapela ÚL! była miksem hardcore'a i metalu, głównie black metalu.

CHAOS: Wkrótce dochodzi do zespołu nowa gitarzystka Eva - w jakich ona grała zespołach wcześniej? MÖRKHIMMEL ma zupełnie nowy skład - jak to wszystko wpłynęło na styl zespołu? To wtedy zaczęliście przemycać coraz więcej metalu w swojej muzyce? Kto z zespołu miał największy wpływ na robienie muzyki?

Slávek: Eva dołączyła do zespołu po naszej skandynawskiej trasie. Przed MÖRKHIMMEL grała na altówce w kapeli NUIT i w jakimś eksperymentalno-improwizacyjny projekcie. Jeżeli mam aktualne informacje, to obecnie nigdzie nie gra i przeprowadziła się z Pragi na południe Czech. Każda osoba, która przewinęła się przez kapelę pozostawiła w niej swój ślad. To samo z obecnym składem - doskonale się dogadujemy i każdy z nas miał wpływ na obecny styl naszej muzyki.

Głównym pomysłodawcą nowych rifów jest David. Bazując na nich na próbach mielimy je, dodajemy pasaże i dopracowujemy do perfekcji.

CHAOS: W 2011 roku zagraliście kolejną trasę po Skandynawii - z kim wtedy zagraliście koncerty i jaki był odbiór waszego zespołu przez tamtejszą publiczność? To była wasza pierwsza trasa w nowym składzie czy graliście wcześniej jakieś mniejsze trasy?

Slávek: Przed drugą trasą po Skandynawii udało nam się zagrać tylko dwa koncerty w nowym składzie. Eva pojechała z nami na całą trasę, ale grała tylko dwa kawałki zamykające poszczególne sety. Trasa była zajebista. Szczególnie 2 dni day offa, w których udało nam się sporo pozwiedzać. Naszym kierowcą i jednocześnie (jak się już okazało na miejscu) przewodnikiem był Barvak (Insane Society Records). Dzięki niemu udało się zobaczyć każdy kamień runiczny, kurhan, czy inny obiekt warty zwiedzenia. Koncerty były świetne. W Oslo graliśmy z ANTISECT - myślę, że był to ich drugi koncert po reaktywacji.

CHAOS: W 2012 wydajecie świetny krążek „Zloskřivec". Według mnie to zupełnie nowa odsłona MÖRKHIMMEL - bardzo dobre riffy, mrok, świetny wokal Slávka. Jakie dostaliście recenzje w niezależnej prasie? Jak scena DIY w Czechach odebrała ten krążek? A jaki był odzew zza granicy?

Slávek: Dzięki za pochwałę! Kawałki na albumie „Zloskřivec" są wynikiem poszukiwań wspólnej muzycznej drogi. Materiał powstał dość szybko. Po wydaniu płyty napływały do nas dobre recenzje, znacznie lepsze niż sami oczekiwaliśmy. No ale czemu się dziwić, utopiliśmy krocie w opłaceniu recenzentów, haha! Dla niektórych naszych wcześniejszych słuchaczy nowy materiał był ciężki do przyjęcia, ale „Zloskřivec" znalazł też swoich nowych miłośników. W tym czasie dla wielu punkowców byliśmy za bardzo „metalowi", z drugiej strony dla metali byliśmy za bardzo punkowi. Przynajmniej w Czechach między stylami była postawiona dość wyraźna bariera. Na szczęście zmienia się to na lepsze. Z zagranicy docierały do nas tylko dobre recenzje. No i wiadomo, jeżeli podoba ci się album, napiszesz do kapeli czy wystawisz opinię, jeżeli nie, raczej przemilczysz i nie będziesz dalej ciągnął tematu.

CHAOS: Po odejściu Evy macie kolejnego nowego gitarzystę - kim on jest i gdzie grał/gra? Gracie coraz więcej koncertów po Europie. Po raz kolejny gracie też w Polsce - gdzie zagraliście w naszym kraju, z kim, no i jakie wasze wrażenie z tych koncertów?

Slávek: Po Evie grał mój kumpel z pracy Honza Majer. Wcześniej udzielał się w LA PROSPERITE, a obecnie ma solowy projekt hip-hopowy GHETTOBLASTER.

W Polsce graliśmy w Krakowie i Wrocławiu. Pierwotnie mieliśmy jechać dalej do Finlandii i krajów bałtyckich, ale niestety stanęło tylko na łikendowych koncertach w Polsce. Oba koncerty doskonale pamiętam. W Krakowie graliśmy w starej twierdzy, jak dobrze pamiętam, nazywała się Fort 9. Magiczne miejsce pełne szalonych ludzi. We Wrocławiu mieliśmy zaszczyt grać na Wagenburgu. Był trochę problem z trafieniem do miejscówy, suma sumarum koncert był nader udany, choć kac po Krakowie miażdżył.

Havran: Chciałem jeszcze dodać, że Honza na drugiej gitarze grał z nami do lata 2013 roku. Przez następne dwa lata mieliśmy tylko jedną gitarę. Pod koniec 2015 roku dołączył Mára, udzielający się wcześniej w dis-beatowym SLAVERY i obecnie jeszcze w jednej kapeli BLACK ASPIRIN.

CHAOS: Znacie polską scenę DIY? Obserwujecie, co się u nas dzieje? Znacie polskie zespoły punk metalowe czy grające tzw. blackened crust? Mówią wam coś nazwy takie jak THE DEAD GOATS czy ICON OF EVIL? A czy w Czechach grają jakieś zespoły stylistycznie podobne do MÖRKHIMMEL? Mieszające hardcore, crust z death metalem czy w ogóle z metalem?

Slávek: W Polsce mam przyjaciół, ale nie jestem na bieżąco z aktualną sceną DIY. Nawet z tego powodu, że wasz kraj jest znacznie większy niż Czechy, macie więcej kapel, a ja z kolei nie mam zbyt dużo czasu śledzić nowych zespołów. Oczywiście THE DEAD GOAT, HERIDA PROFUNDA, ICON OF EVIL i wcześniejszy EVIL to zajebiste kapele. Ze starszych, które słuchałem, na pewno mogę wymienić FILTH OF MANKIND, LOST, HOMOMILITIA, SIEKIERA, TOXIC BONKERS, S.O. WAR, SILNA WOLA, pierwsze nagrania ARMII i wiele innych.

CHAOS: W Polsce mieliśmy „od zawsze" sporo zespołów metalowych, wszelkie rodzaje metalu były popularne w naszym kraju, wychodziło sporo płyt, nawet za komuny... Mamy kilka zespołów znanych na całym świecie. A jak wygląda czeska scena metalowa? Szczerze mówiąc znam ledwo kilka nazw. Zapoznajcie nas z czeskimi zespołami grającymi dobry metal.

Slávek: Wymieniłem kilka kapel w poprzedniej odpowiedzi, ale chętnie dopełnię o czeskie zespoły. Nasza scena jest znacznie mniejsza niż wasza, ale na pewno na uwagę zasługuje wiele zespołów. Nie będę się zagłębiać w historię, pozostanę tylko przy tych współczesnych, które najbardziej lubię. Na pewno nie uda mi się wymienić wszystkich godnych uwagi, dlatego z góry proszę o wybaczenie!

BRUTALLY DECEASED (death metal), KASOSQUAD (old school death metal), BLUES FOR THE RED SUN (funeral doom metal), GOMORA (metal/crust), AVENGER (black/death), LAHAR (trash metal), IMPURITUM (death metal), LEZOK (black/death), LACK OF SUN (death metal), THE TOWER (stoner doom metal), CULT OF FIRE (black metal), INGROVING (grind core)... a ciekawych metalowych kapel jest znacznie więcej.

CHAOS: Istnieje u was black metalowa scena? Dużo gra zespołów tego typu? A jak wygląda sprawa neonazizmu i rasizmu wśród czeskich black metalowców?

Slávek: Jasne, że w Czechach istnieje scena black metalowa, ale jej nie śledzę, a tym bardziej nie jestem ekspertem. Na pewno istnieją klasyczne black metalowe kapele, które mają grono miłośników oraz fala „hipsterów", dla których jest to tymczasowa fascynacja. Ale są to bardziej moje luźne obserwacje niż sprawdzone informacje.

Współczesne kapele NSBM pewnie gdzieś tam grają, ale tak naprawdę o żadnej ostatnio nie słyszałem. Wśród osób słuchających black metal czy ogólnie metal, na pewno znajdzie się wielu zjebów, ale nie zaprzątałbym sobie nimi głowy.

CHAOS: A co oznacza wasza nazwa? MÖRKHIMMEL kojarzy się z językiem niemieckim, ale to chyba zły trop...
Slávek: Nazwa kapeli wywodzi się z języka szwedzkiego i bardzo podobnie brzmi w norweskim oraz duńskim. Znaczy „ciemnie/mroczne niebo". Poszukując nazwy natrafiłem na ten zwrot, strasznie mi się spodobał, reszta nie miała nic przeciwko i tak zostało.

CHAOS: W 2015 roku wychodzi wasza płyta „Ostří Černé Kosy Zní", która, jak do tej pory, jest dla mnie najlepszym waszym wydawnictwem. Dostaliście sporo bardzo dobrych recenzji, a czy wy jesteście zadowoleni z tego materiału? Nagrywaliście się w studiu Hellsound, zresztą nie po raz pierwszy - opowiedzcie nam, co to jest za miejsce, kto tam nagrywał i czy polecacie to studio innym zespołom i dlaczego?
Slávek: Bardzo lubię tę płytę. Odbiła się dość szerokim echem na scenie metalowej i zebrała doskonałe recenzje, no może z wyjątkiem jednej lub dwóch. Płytę nagraliśmy w studiu Hellsound Honzy Kapáka grającego w AVENGER, IMPURITUM i obecnego perkusisty MASTER´S HAMMER. Studio znajduje się w malowniczej wiosce Čestice w Czechach Południowych, na Przedgórzu Szumawy, czyli w idealnym miejscu do grania black metalu. Honza to nasz kumpel, a jego studio jest jednym z najlepszych, jak nie najlepszym w Czechach. Nagraliśmy u niego płyty „Zloskřivec", „Ostří černé kosy zní" oraz materiał na split z THE TOWER. Na kilku nagraniach gości też jako gitarzysta. W studiu byliśmy już trzy razy, co samo mówi przez siebie.
Havran: Hellsound to przyjemne, małe studio, a Honza to prawdziwy fachowiec i świetnie się z nim pracuje. W studiu nagrywało wiele kapel metalowych, crustowych i hard core z Czech, jak np.: SEE YOU IN HELL, LAHAR, GRIDE, NEEDFULL THINGS, RADIOLOKÁTOR, MORTIFILIA, ISACAARUM, BUT, KAOSQUAD, RISPOSTA, DEZINFEKCE, KRÜGER, FESTA DESPERATO, ONANIZER, UCHÁZÍM i wiele innych... W studiu nagrywał materiał własnej kapeli AVENGER i perkusję do niektórych z ostatnich płyt MASTER'S HAMMER.

CHAOS: Autorem okładki „Ostří Černé Kosy Zní" jest wasz basista, prawda? Czy rysuje on również dla innych zespołów?
Andy: Najbardziej skupiam się na grafikach dla kapel, w których gram. Najpierw były to okładki i materiały do distra dla ÚL!, obecnie zajmuję się grafikami dla MÖRKHIMMEL. Współpracowałem również z innymi zaprzyjaźnionymi kapelami, np. LVMEN, dla których przygotowałem całkiem udane wzory na koszulki i DIPHTERIA, grindcore z Pragi, którym zrobiłem okładkę najnowszego albumu „The Human Exuberance".

CHAOS: Slávek, spotkałem się z porównaniami twojego sposobu śpiewania z wokalistami takich zespołów jak ASPHYX, HAIL OF BULLETS czy nawet PESTILENCE - co ty na to? Wzorujesz się, inspirujesz nimi czy raczej samo tak wychodzi?
Slávek: Martin van Drunen ma charakterystyczny głos, który ciężko byłoby podrobić. Jasne, że go podziwiam i w niektórych pasażach na nagraniach może trochę się zbliżam do barwy jego głosu. Wiele osób porównuje mój wokal do Martina, z czego jestem oczywiście zadowolony, ale specjalnie do tego nie dążę. Wokal to ostatni element utworu i nagrywam go do skomponowanego kawałka wg. mnie tak, jak najlepiej pasuje. Ostateczne korekty przeprowadzamy już w studiu. Obecnie korzystam z trzech barw głosu, jedna z nich jest dość podobna do wolaku pana Van Drunena.

CHAOS: Mam wrażenie, że na płycie „Zloskřivec" zaczęliście poszukiwać swojego brzmienia, docieraliście się w nowym składzie. Natomiast album „Ostří Černé Kosy Zní" to już bardzo dobrze brzmiący, ciekawy i dopracowany materiał. Będziecie poszukiwać dalej czy już znaleźliście swoje brzmienie? Zresztą dopiero co wyszedł wasz split z THE TOWER, który jest jakby kontynuacją poprzedniej płyty. Coś się zmieniło od poprzedniego krążka w zespole i w waszej muzyce?
Slávek: Nie chcemy trzymać się tylko jednego brzmienia, ale dynamicznie się zmieniać i ulepszać naszą muzykę. Materiał „Zloskřivec" to wspólna praca nowych członków, którzy przynieśli świeże pomysły i nadali nową twarz projektowi. Płyta powstała dość szybko, a efekt końcowy był raczej wynikiem spontanicznej pracy, a nie koncepcji, który założyliśmy na początku. I w przypadku innych naszych płyt nie trzymamy się sztywno wymyślonych ram kompozycyjnych, raczej luźno dajemy się ponieść tworzeniu (oczywiście w danej konwencji). Więcej czasu poświęciliśmy na „Ostří černé kosy zní" i materiał na LP.

CHAOS: Kto pisze wasze teksty i o czym one są? Wieje od nich mrokiem... Wcześniej pisaliście swoje piosenki zarówno w języku czeskim jak i po angielsku. Na ostatnich dwóch płytach są one tylko po czesku - dlaczego? Co się zmieniło?
Slávek: Ja jestem autorem większości naszych tekstów. Wplatam do nich moje sny, realnie przeżycia, mroczne wizje, czasem odkopię jakiegoś starego trupa.
Wcześniej teksty pisałem po angielsku. Czeski zaczynał się pomału wkradać, aż w końcu zupełnie zdominował utwory. W rodzimym języku lepiej mi się tworzy i łatwiej jest mi wyrazić to, co chcę. Obecnie wszystkie kawałki są po czesku i nie wyobrażam już sobie, żeby mogło być inaczej.

CHAOS: A co to za zespół THE TOWER, który dzieli z wami połówkę waszej najnowszej płyty? Muzycznie poruszają się bardziej w klimatach doom metal... Dlaczego zdecydowaliście się na split LP, a nie na samodzielny krążek?
Slávek: THE TOWER to kapela naszych kumpli z Pragi. To dość świeży projekt, a nasz split jest ich drugim nagraniem. Demo THE TOWER zostało uwiecznione na kasecie, którą wszystkim gorąco polecam. Doom metal w ich wykonaniu jest zajebisty i personalnie bardzo się lubimy, dlatego postanowiliśmy zaproponować im wydanie wspólnego singla.
Havran: Sami nie mieliśmy wystarczająco materiału na LP, a jednocześnie zależało nam na wydaniu utworów, które umieściliśmy na splicie. Te kawałki charakteryzują pewien etap MÖRKHIMMEL, który chcieliśmy uwiecznić na osobnym krążku.

CHAOS: Jakie zespoły inspirują muzyków MÖRKHIMMEL? Czego słuchacie na co dzień? Jakie zespoły ostatnio podbiły wasze serca. Co nam możecie polecić do słuchania?
Slávek: Myślę, że nie ma sensu wypisywać kapele, które były dla nas inspiracją lub mają jakikolwiek wpływ na naszą muzykę. Lista byłaby zbyt długa i pełna różnych stylów muzycznych. Mówiąc za siebie, obecnie nie trafiłem na żadną kapelę, która jakoś zasadniczo na mnie wpłynęła. Jako zespół czerpiemy inspiracje z różnych źródeł, a nasza kanciapa to prawdziwy kocioł, w którym mieszamy te najlepsze materiały.
Obecnie słucham pierwszego nagrania THE LURKING FEAR, wcześniej była to najnowsza płyta PARADISE LOST. Płyta THE LURKING FEAR jest dla mnie niesamowitym materiałem, PARADISE LOST też jest świetna, ale ogólnie mam słabość do LP i rzadko bywam krytyczny, co do nich.
Havran: Obecne słucham dość sporo rockowych kapel, np. post punk z lat 80. NEW MODEL ARMY od wielu lat znajduje się w ścisłej czołówce. W tym roku w moje ręce trafiła doskonała płyta AFGHAN WHINGS. Co do metalu to ostatnio słuchałem najnowszy LP ASPHYX. Objawieniem w tym roku była dla mnie już starsza szwedzka punk-metalowa kapela DEATH WOLF. Co do kapel, które udało mi się w tym roku zobaczyć na żywo, najbardziej mnie rozwaliło AFGHAN WHIGS, ALARIC, CAULDRON, CROWBAR na Brutal Assault, a ostatnio WOLFBRIGADE i DISFEAR na festiwalu Enemy Of The Sun w Pradze.

CHAOS: W tym roku graliście koncert na festiwalu Brutal Assault - często gracie na dużych metalowych festiwalach? A koncerty z metalowymi zespołami są częste? Sporo macie typowych metalowców wśród waszej publiki? Ta granica pomiędzy metalowcami i np. crust punkami chyba się powoli zaciera, przynajmniej na płaszczyźnie muzycznej, jak myślicie?
Slávek: Jak do tej pory Brutal Assault jest największym festiwalem, na którym mieliśmy okazję grać. Raczej występujemy w klubach, na squatach i innych miejscach, w których czujemy się dobrze. Gramy koncerty z metalowymi kapelami, ale również na crustowych, punkowych czy hardcoreowych gigach. Nie uznajemy granicy między punkiem i metalem, a poza tym, jak sam piszesz, ta granica już dawno nie istnieje.

CHAOS: Wydaliście świeżutki split, ale na pewno macie już plany na najbliższą przyszłość. Kiedy kolejne nagrania MÖRKHIMMEL? Planujecie jakąś promocyjną trasę tego splitu? Kiedy będzie można zobaczyć was ponownie w Polsce?
Slávek: Już parę chwil minęło od wydania splitu LP i aktualnie pomału pracujemy nad nowym materiałem. Na razie nie mamy pojęcia, kiedy coś nowego powstanie ani na jakim nośniku zostanie wydane. Nie gonią nas żadne terminy, tak że nie ma potrzeby nigdzie się spieszyć. Kiedy gwiazdy ułożą się w odpowiednią konstelację, piekła otworzą swe bramy i po świecie rozejdzie się nieludzki jazgot - to właśnie będzie nowy MÖRKHIMMEL, który bez litości przewalcuje wasze dusze.
Przy okazji wydawania wcześniejszych płyt nie mieliśmy okazji ani możliwości zagrania promo trasy. Aktualnie nie mamy w planie żadnego koncertu w Polsce, ale oczywiście zapraszamy do kontaktu. Jeżeli tylko będzie czas, a oferta będzie miała ręce i nogi, na pewno przyjedziemy!

CHAOS: Dziękuję za wywiad i liczę na kilka dodatkowych słów dla polskich metal punx na zakończenie tej rozmowy!
Slávek: Nigdy nie wiem jak odpowiedzieć na to pytanie, dlatego dzięki za zainteresowanie, życzę zdrowia i wszystkiego dobrego. Może nasze ścieżki kiedyś się przetną.

Chaotic End

Zaskoczyła mnie bardzo wiadomość o reaktywacji zespołu CHAOTIC END, a jeszcze bardziej zaskoczyła mnie ich nowa, bardzo dobra płyta! CHAOTIC END pochodzi z Aten, zespół powstał w 1989 roku i zawiesił działalność w pierwszej połowie lat 90. Alex - wokalista i gitarzysta, autor tekstów to siła pociągowa tej kapeli, ale również innych zespołów. Udzielał się również w zespole FORGOTTEN PROPHECY, a później w zespole HIBERNATION. Grecy wydali dwie kasety demo oraz rewelacyjną płytę „In Font of Paranoia" w 1993 roku, no a w tym roku pojawił się ich najnowszy krążek „Promise". Nadmienię tylko, że CHAOTIC END obok PANIKOS byli prekursorami mrocznego, crustowego grania, jakie na dobre zadomowiło się w Grecji. Pytał Pablo, a na pytania odpisał ręcznie, w 15 stronicowym liście, wokalista i gitarzysta Alex.

CHAOS: Zacznijmy ten wywiad od historii zespołu CHAOTIC END - kiedy powstał zespół, co was skłoniło do jego założenia, jakie były wasze początki? Co cię zainteresowało w punk rocku? Jak wyglądała scena w Atenach i w Grecji, kiedy byłeś nastolatkiem?

Alex: CHAOTIC END powstał w 1989 roku, a w pierwszym składzie znaleźli się: Alex - gitara, Thanasis - wokal, Stefanos - bas i Pantelis - perkusja. Później nastąpiły zmiany w kapeli.
Oczywiście pasja i miłość do hardcore punka oraz fakt, że chcieliśmy wyrazić swoje emocje, nasze myśli oraz pewne idee i to były główne powody założenia zespołu. W tamtym czasie scena była naprawdę dobra i mocna, z mnóstwem dobrych zespołów, ze sporą ilością zinów i dużą aktywnością, zarówno muzyczną, jak i polityczną, tym bardziej, że w marcu 1990 roku rozpoczęła swoją aktywność Villa Amalias i byliśmy bardzo zaangażowani w wiele rzeczy, które tam się odbywały.

CHAOS: CHAOTIC END nie był twoim pierwszym zespołem, prawda? Wcześniej był FORGOTTEN PROPHECY, z którym wydaliście split z holenderskim MUSHROOM ATTACK - jak do tego doszło? W FORGOTTEN PROPHECY grali ludzie z CHAOTIKI APEILI, ADIEXODO, NAFTIA, tak? Wydaliście coś oprócz tego splita? Dlaczego rozpadł się ten zespół?

Alex: Nie, CHAOTIC END był moim pierwszym zespołem, a po kilku miesiącach dołączyłem do FORGOTTEN PROPHECY jako wokalista. Wydaliśmy split LP z MASHROOM ATTACK w Loony Tunes Records. Tak, jak napisałeś, w FORGOTTEN PROPHECY grali ludzie z wymienionych przez ciebie zespołów. Udało nam się wydać ten split, bo Dino, nasz gitarzysta i wokalista kumplował się z ekipą z MUSHROOM ATTACK, więc zapytał się czy chcą z nami zrealizować ten split i udało się to zrobić. To jedyne wydawnictwo FORGOTTEN PROPHECY, ale planujemy wydać 7"EP z dwoma kawałkami, z których jeden nagraliśmy w 2013, a drugi w 2017. Poza tym chcemy wydać LP z nagraniami z 1990, wszystkie nagrania ze splitu z MUSHROOM ATTACK plus dwa nigdy niewydane kawałki z tej samej sesji nagraniowej. Zespół się rozpadł, ponieważ Dino miał trochę problemów osobistych w tamtym czasie, nie czuł się najlepiej i nie bardzo mogliśmy kontynuować grania, ale wszyscy respektowaliśmy jego decyzję.

CHAOS: Przeczytałem gdzieś, że FORGOTTEN PROPHECY byli zespołem mocno powiązanym z ateńską sceną squatterską. Mieszkaliście na skłotach wtedy? Możesz nam opowiedzieć o największych skłotach aktywnych w Atenach w latach 90.? A jak wygląda scena squatterska obecnie?

Alex: Tak, właśnie Dino mieszkał na skłotach od 1987 roku, tak mi się wydaje, i od samego początku byliśmy bardzo mocno zaangażowani w działalność w Villa Amalias, największego i najbardziej aktywnego skłotu w Grecji. Jak pewnie wiesz, został eksmitowany w 2013 roku. Ja mieszkałem na skłocie przez rok, od 1991 do 1992 roku, ale byłem tam każdego dnia i zorganizowałem tam mnóstwo koncertów. W Grecji wciąż działa mnóstwo skłotów, a niektóre z nich są naprawdę bardzo aktywne, a najlepsze jest to, że działa też sporo skłotów w małych miastach, a nie tylko w Atenach czy Salonikach.

CHAOS: Mam wrażenie, że CHAOTIC END, obok PANIKOS czy NAFTIA, był jednym z pierwszych zespołów, które zapoczątkowały tę specyficzną grecką scenę crust. Skąd to się wzięło u was? Początek lat 90. to mnóstwo nowych zespołów grających w mrocznym stylu. Kto miał na was największy wpływ muzyczny w tamtym czasie?

Alex: Tak, to był czas, kiedy słuchaliśmy AMEBIX od samiutkiego rana do późnego wieczora, a potem także AXEGRINDER, haha. Być może styl tych zespołów był dla nas najlepszy, bo chcieliśmy wyrazić nasze najgłębsze negatywne uczucia, które były przeciwko społeczeństwu, przeciwko biedzie, walce klas i związane z wieloma innymi problemami. Kiedy jesteś częścią tego gównianego społeczeństwa, musisz się stykać codziennie z rozkładem stosunków między ludźmi, to właśnie dzięki tej muzyce wyrażaliśmy swój żal i smutek, a w szybszych kawałkach emanowała z nas złość i wściekłość. Oczywiście mam na myśli CHAOTIC END, a nie inne zespoły greckie.

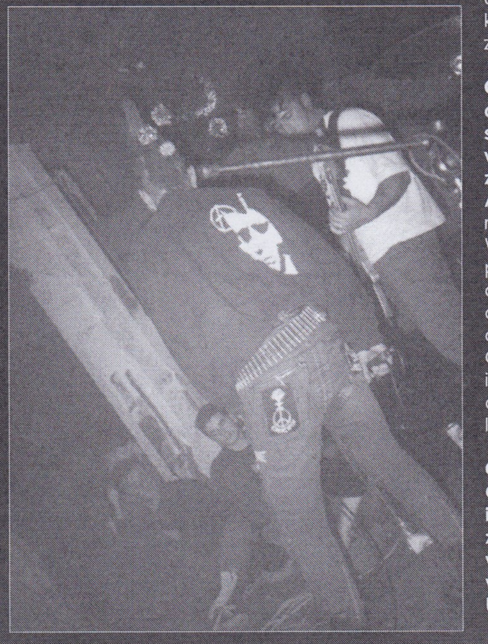

CHAOS: Dość szybko po założeniu zespołu wydaliście pierwszą kasetę „War of Hate". Gdzie to nagrywaliście, ile wyszło sztuk tej taśmy, pamiętasz? Sami wydaliście tę taśmę czy zrobił to jakiś label?

Alex: Zespół założyliśmy we wrześniu 1989 roku, a latem 1990 nagraliśmy naszą pierwszą taśmę demo „War of Hate". Materiał nagraliśmy w Red House Studio w Atenach. Kasetę wydaliśmy sami, kopiowaliśmy to na dwukasetowym magnetofonie i było to wydawnictwo totalnie DIY, od początku do samiutkiego końca. Nie pamiętam już, ile tych kaset zrobiliśmy, ale myślę, że było tego sporo. No i zainteresowanie tą taśmą było bardzo duże.

CHAOS: Rok później wydaliście kolejną taśmę demo „Beyond The Walls of Silence" - ta taśma rozeszła się dość dobrze po za granicami Grecji, prawda? Dawaliście wtedy wywiady do zagranicznych zinów, dostawaliście listy z zagranicy?

Alex: Dokładnie, rok później, również latem 1990 roku nagraliśmy kolejne demo „Beyond The Walls Of Silence" i było ono kompletnie inne niż poprzednia kaseta. Nagrania były bardzo ciężkie a nastrojowe klawisze zbliżyły nasz crust właśnie do klimatów AMEBIX i AXEGRINDER. To demo cieszyło się dużym zainteresowaniem, zarówno w Grecji, jak i zagranicą. To było zupełnie coś innego i miało to sens. Daliśmy wtedy sporo wywiadów do zagranicznych zinów i dostawaliśmy też sporo listów z zagranicy.

CHAOS: Dużo graliście wtedy koncertów po Grecji? Często graliście na skłotach czy były też inne miejsca koncertowe? Z kim udało wam się zagrać w tamtym czasie - widziałem plakaty ze wspólnych koncertów z OI POLLOI i DOOM, ale w większości graliście chyba z greckimi zespołami? Udało wam się zagrać gdzieś za granicą?

Alex: Od 1990 do 1996 zagraliśmy naprawdę wiele koncertów po całej Grecji, ale głównie z zespołami greckimi i tak jak powiedziałeś, zagraliśmy z OI POLLOI trzy razy i dwa razy z DOOM. Pamiętam też, że w 1990 roku zagraliśmy z KIIMA i ERISTETYT z Finlandii. Nigdy nie graliśmy poza Grecją. Jakoś tak w 1991 albo w 1992 mieliśmy zagrać dwa koncerty, jeden w Belgii i jeden w Niemczech, ale musieliśmy je odwołać, bo nasz basista nie mógł pojechać, nie dali mu wolnego w pracy. Ponadto zaproszono nas na festiwal w Polsce, chyba dwa lata temu, ale też nie mogliśmy zagrać, bo w tym czasie zmarł mój wujek i przechodziliśmy ciężki okres z rodziną. Raz mieliśmy propozycję z Belgii, ale zbiegło się to z graniem na benefitowym feście w Grecji. Ciężko nam jeździć na trasy, bo wszyscy pracujemy, mamy dzieci, itd. Jedyny okres, w jakim możemy grać to lato albo jakieś weekendy. Mam nadzieję, że któregoś dnia dostaniemy zaproszenie, by zagrać koncert w Polsce, bardzo byśmy chcieli się u was pojawić.

CHAOS: W 1993 roku CHAOTIC END wydał swój debiutancki album „In Front of Paranoia". Według mnie to jedna z najważniejszych płyt greckiego crusta! Jak została ona odebrana w Grecji i w Europie? Płytę wydała największa punkowa wytwórnia w Grecji - Wipe Out Records. Oni wydawali takie legendarne zespoły jak PANX ROMANA, STRESS, ANTI, GENIA TOU XAUOS, ANTIDRASI i inne. Jak udało wam się do nich trafić?

Alex: Mieliśmy bardzo dobry odzew na nasz album „In Front Of Paranoia" z 1993 roku, zarówno w Grecji, jak i za granicą. W Grecji pierwszy press zszedł w ciągu mniej niż miesiąca, co było czymś zaskakującym na greckiej scenie. Dostaliśmy świetne recenzje i mnóstwo ludzi pokochało ten krążek, za muzykę, za teksty, a także sporo ludzi odnalazło siebie w tych nagraniach. Równie entuzjastycznie przyjęli naszą płytę metalowcy i od nich też dostaliśmy sporo świetnych recenzji. Wydaliśmy ten krążek w greckiej wytwórni Wipe Out Records, po prostu umówiliśmy się na kawę i pogadaliśmy o wydaniu tego materiału, zgodziliśmy się i od 1993roku wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi z Thodorisem, właścicielem tej wytwórni i chcielibyśmy mu jeszcze raz bardzo podziękować na łamach tego zina.

CHAOS: Na waszym LP znalazło się 9 utworów, niektóre z nich miały aż po 6 minut! Ja słyszę w waszej muzyce duży wpływ AMEBIX - podobny klimat, mrok, smutek... Typowy grecki styl! Kto pisał teksty w CHAOTIC END i o czym one były? Dlaczego zdecydowaliście się śpiewać po grecku, a nie np. po angielsku? Czy byliście zespołem politycznym?

Alex: To prawda, że muzyka AMEBIX i AXEGRINDER miała na nas duży wpływ, ale próbowaliśmy też wypracować swój własny styl, o ile to było możliwe. Chciałbym też powiedzieć, że to nie było typowe granie nawet jak na taką muzykę czy chociażby teksty. W 1993 roku byliśmy jedynym zespołem w Grecji, który grał w takim stylu - ciężki hardcore crust z klawiszami. To samo tyczy się tekstów, większość greckich zespołów miało polityczne teksty przeciwko glinom, rządowi, itd. Nasze teksty są bardziej osobiste, mówią o personalnych uczuciach, osobistych doświadczeniach, przeżyciach, prześladowaniach ludzi, o relacjach międzyludzkich, o tym, że mnóstwo ludzi wykorzystuje innych ludzi, nie tylko dla zysku, ale też uczuciowo, że przyjaciele nas oszukują, o ludzkiej hipokryzji, o walce klas, o wykorzystywaniu pracowników przez ich szefów. Po prostu pisaliśmy to, co czuliśmy i to, czym żyliśmy. Wielu ludzi powiedziało nam, że w naszych tekstach wyraziliśmy dokładnie to, co oni czuli i poruszyliśmy ich dusze, co było dla nas największą nagrodą. To, że mogliśmy wypełnić te noce wielu ludzi naszymi odczuciami. Jesteśmy głosem ludzi bezsilnych, którzy wszystko stracili, jesteśmy głosem ludzi uciskanych. Napisałem wszystkie teksty i zrobiłem całą muzykę na płycie „In Front of Paranoia", a na naszym najnowszym LP „Promise" Stefanos zrobił większość muzyki i napisał ponad potowę tekstów. Śpiewamy po grecku, ponieważ w tym języku lepiej jest nam wyrazić swoje odczucia, no dlatego też, że gramy głównie tutaj, w Grecji, ale najważniejsze jest, że najlepiej jest nam wyrażać swoje emocje w języku greckim. Jesteśmy osobami politycznie zaangażowanymi, mamy swoje własne polityczne opinie i jesteśmy politycznie aktywni, chodzimy na demonstracje. Jednak, jeśli masz na myśli, że jako polityczny zespół jesteśmy związani z anarchizmem czy pacyfizmem to nie znajdziesz tego w naszych tekstach, bo są one bardziej osobiste niż polityczne, ale większość miejsc, w których gramy to głównie skłoty, benefitowe i solidarnościowe koncerty albo festiwale. Tak więc jeśli to potraktujesz to, jako postawę polityczną, to tak, jesteśmy zespołem politycznym, jednak nie gramy tak, jak pozostałe zespoły, mamy bardziej mroczny klimat.

CHAOS: Rok przed wydaniem debiutanckiej płyty wasze nagranie pojawiło się na międzynarodowej kompilacji „Trapped In A Toothed Gear" obok zespołów DISFEAR, FEAR OF GOD, RUPTURE, TUOMIOPÄIVÄN LAPSET czy CAPITALIST CASUALTIES. Jak udało wam się wziąć udział w tej kompilacji? Kto to wydał? Były jeszcze inne kompilacje z waszym udziałem?

Alex: Z tego, co pamiętam to chyba nas poprosili, żebyśmy im podesłali jakiś swój kawałek na tę kompilację, no i podesłaliśmy. Kompletnie nie pamiętam tego kolesia, ale pamiętam, że był bardzo sympatyczny. Wzięliśmy również udział w kompilacji „Chaos of Destruction", która wyszła w Japonii.

CHAOS: W 1994 roku CHAOTIC END grał jeszcze koncerty, ale wkrótce zawiesiliście działalność. Kiedy to się dokładnie stało i z jakiej przyczyny? Wypaliliście się? Doszło do nieporozumień w zespole?

Alex: Myślę, że to był moment, kiedy relacje pomiędzy nami trzema zaczęły się z różnych powodów psuć, byliśmy sobą zmęczeni, każdy z nas się zmienił, zaczęły się między nami nieporozumienia dotyczące muzyki, ale głównie byliśmy sobą zmęczeni, nie byliśmy już w stanie grać, gdy ogień naszej przyjaźni się wypalił i to nie było już to samo, co kiedyś. Postanowiliśmy zakończyć granie.

CHAOS: W 1996 roku założyłeś zespół HIBERNATION, ale nikt ze składu CHAOTIC END nie znalazł się w nim. Co porabiali przez ten cały czas dwaj pozostali członkowie CHAOTIC END?

Alex: Gdzieś tak pod koniec 1996 roku wraz z przyjaciółmi z ateńskiego zespołu DEAD SILENCE założyliśmy HIBERNATION. Dwaj pozostali członkowie CHAOTIC END próbowali wskrzesić zespół, ale były to tylko próby, które nigdy nie doszły do realizacji. Nigdy nie założyli nowego zespołu i przez te wszystkie lata nigdzie nie grali.

CHAOS: Mam wrażenie, że HIBERNATION był trochę kontynuacją CHAOTIC END - co ty o tym myślisz? Zresztą zespół cały czas istnieje, prawda? Co wydaliście z HIBERNATION przez te wszystkie lata, gdzie zagraliście i z kim? Graliście też w Polsce...

Alex: Nie, myślę, że HIBERNATION to zupełnie coś innego niż CHAOTIC END, zarówno teksty, jak i muzyka. Styl muzyczny jest zupełnie inny, no i mamy wokalistkę. Z HIBERNATION byliśmy bardziej aktywni, zagraliśmy dwie trasy po Europie, jedną w 1998 i drugą w 1999, do tej pory wydaliśmy dwa single 7"EP, jeden LP i właśnie jest już gotowy nasz najnowszy album „In the Days of Desolation", który wyjdzie w lutym 2018 roku. Potem też graliśmy dość sporo koncertów w Europie, trzy, cztery koncerty, na które lataliśmy samolotami, a także dość sporo festiwali zaliczyliśmy. Aby wymienić zespoły, z którymi graliśmy koncerty to musiałbyś zapełnić całego zina. Zagraliśmy mnóstwo świetnych koncertów ze wspaniałymi kapelami, spotkaliśmy mnóstwo jeszcze wspanialszych ludzi, z którymi do dziś się przyjaźnimy. No i graliśmy koncert w Polsce, to był chyba Toruń, o ile dobrze pamiętam. Było naprawdę fajnie.

CHAOS: Powrót zespołu CHAOTIC END bardzo mnie zaskoczył, a jeszcze bardziej zaskoczyła mnie wasza najnowsza płyta! Ile minęło lat od

ostatniego wspólnego koncertu? 22 lata? Co was skłoniło do ponownego grania? Kiedy znowu zespół stał się aktywny?

Alex: No cóż, rozpoczęliśmy próby z CHAOTIC END pod koniec 2013 roku. Jakiś czas przed reaktywacją zaczęliśmy się we trzech ponownie spotykać, spędzać ze sobą czas, z naszymi rodzinami i oczywiście był to miło spędzony czas i relacje między nami bardzo się poprawiły i znowu były bardzo dobre. Pomysł reaktywacji wyszedł od naszego basisty Stefanosa, no i rozpoczęliśmy próby w tym samym składzie, co przed laty - ja, Stefanos i Nikos na bębnach. Po kilku próbach zauważyliśmy, że Nikos nie czuje za bardzo klimatu, ponieważ po rozpadzie CHAOTIC END opuścił on scenę hardcore na dobre. Tak więc zaprosiliśmy do grania Vangelisa i we wrześniu 2014 zagraliśmy pierwszy wspólny koncert po 18 latach, a odbył się on na open air DIY festiwalu z udziałem sześciu zespołów. Koncert przeszedł nasze wszelkie oczekiwania - było wspaniale! Na koncercie pojawiło się 3000 osób. To jest niesamowite, ile energii dostaliśmy od tych ludzi. Od pierwszej minuty po reaktywacji zespołu powiedzieliśmy sobie, że zagramy 4-5 koncertów, a potem od razu nagrywamy płytę, ale nie taką, jak typowe kapele po re-unionie, tylko chcemy dać z siebie więcej. No i w końcu w lutym 2017 wydaliśmy nasz najnowszy LP „Promise".

CHAOS: Ze starego składu CHAOTIC END jesteś ty oraz basista Stefanos. A kim jest Vangelis, wasz nowy perkusista? Grał wcześniej w jakichś zespołach? A co robi obecnie wasz stary perkusista Nick? Nie chciał dołączyć do reaktywowanego CHAOTIC END?

Alex: Vangelis jest niesamowitym gościem i naszym bardzo dobrym kumplem. Gra jeszcze w kilku innych zespołach: SACRAL RAGE - metal, NECROVOROUS - również metal, PAROXISMOS - to jego własny projekt, kapela grająca old school crust.

CHAOS: Kiedy zaczęliście próby? W 2015? Dużo zagraliście koncertów po reaktywacji? Na pewno ucieszył was koncert z DOOM w Atenach. Dużo ludzi przyszło zobaczyć wasz pierwszy koncert po tylu latach?

Alex: Bardzo się ucieszyliśmy ze wspólnego koncertu CHAOTIC END i DOOM. Cieszyliśmy się, że znowu zagramy razem po 21 latach. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi z DOOM i zawsze byli jednym z naszych ulubionych zespołów, a oni też lubią CHAOTIC END, więc nasze relacje są bardzo dobre. Spędziliśmy razem fajne chwile, a na koncercie było 1500 osób.

CHAOS: No i bardzo szybko wydaliście waszą nową płytę „Promise"! Świetny materiał, który nawiązuje do starych dokonań CHAOTIC END, ale brzmi bardzo nowocześnie. Długo pracowaliście nad tym materiałem? Jesteście zadowoleni z tej płyty? Jak została odebrana?

Alex: Zaraz po koncercie z DOOM, 15 kwietnia, zaczęliśmy pracować nad nowym materiałem a 15

lipca 2016 zaczęliśmy nagrywać kawałki na nową płytę. Oczywiście jestem bardzo zadowolony i dumny z nowego LP. Jestem zadowolony ze wszystkich aspektów tego krążka. Powiem szczerze, że jeszcze do tej pory nie porozsyłaliśmy tej płyty do recenzji na żadne strony czy do zinów, ale zrobimy to wkrótce. W Grecji pojawiły się na razie tylko dwie recenzje na dwóch witrynach i były one bardzo dobre. Ważna jest dla nas reakcja ludzi, tym bardziej, że płyta sprzedała się w ciągu trzech miesięcy. Teraz próbujemy rozprowadzać drugi press i wersję na CD poza granicami Grecji, więc szukamy dystrybutorów.

CHAOS: W utworze „Lost" pojawiają się zaproszeni goście - jest ich aż trzech. Kim oni są? To ludzie z jakichś zespołów?

Alex: Tak, w kawałku „Lost" pojawili się nasi przyjaciele. Jednym z nich jest Sakis Tolis z zespołu ROTTING CHRIST, zrobił w tym kawałku wokale, znamy się od 1988 roku zanim jeszcze założyliśmy CHAOTIC END i bardzo chciał się pojawić na naszym nowym albumie, więc z wielką chęcią się zgodziliśmy. Marios to gitarzysta SACRED RAGE, również nasz dobry kumple, zagrał kilka gitarowych partii w tym kawałku. Myślę, że również Nikos Papakostas, nasz dźwiękowiec i zarazem dobry przyjaciel, nagrał jakieś gitary na tej płycie. Nikos gra w zespole metalowym CONVIXION.

CHAOS: Swoją płytę zadedykowaliście tragicznie zmarłemu Kleisterowi ze Skuld Releases. Znałeś go dobrze? Kleister wydał płytę HIBERNATION, tak?

Alex: To była jedyna rzecz, jaką mogliśmy zrobić, by uczcić jego pamięć. Kleister był świetnym facetem i znałem go od 1991 roku, rozprowadzałem płyty Skuld Releases w Grecji. Robił świetną robotę dla całej światowej sceny hardcore, był naprawdę w porządku i pomagał wszystkim, jak tylko mógł. Spotkałem go tylko raz, kiedy przyleciał do Grecji na wakacje, poza tym często gadaliśmy przez telefon. Wydał LP HIBERNATION i mieliśmy plany, żeby wydać u niego nasz najnowszy LP HIBERNATION, ale sam wiesz... Wydał również reedycję naszego LP „In Front of Paranoia". Nigdy go nie zapomnę, zostawił po sobie mnóstwo wspaniałych wydawnictw i jesteśmy mu to winni.

CHAOS: Płyta wyszła w wytwórni Chaotic End Records czyli w waszej własnej, tak? Kto z was zajmował się wydaniem tego LP? Macie plany, żeby wydawać inne zespoły w waszej wytwórni? Dlaczego chcieliście ją wydać sami, a nie zlecić tego innej wytwórni?

Alex: Wszystko zrobiliśmy sami, chcieliśmy mieć totalną kontrolę nad naszym LP, pożyczyliśmy trochę kasy, zrobiliśmy to i jesteśmy z tego bardzo dumni. W naszej wytwórni będziemy wydawać tylko płyty CHAOTIC END, nie wiem czy coś się zmieni w przyszłości, ale na dzień dzisiejszy będzie to tylko CHAOTIC END.

CHAOS: Kto przygotował wam te mroczne grafiki na płytę? A wcześniej, kto wam narysował logo i inne grafiki na waszej płycie z 1993 roku i kasetach demo?

Alex: Wszystkie artworki i grafiki przygotował nasz kumpel Aris Panagopoulos, A.D. Visions Graphix. Jest on wokalistą w zespole SARABANTE. Nasze logo narysował stary wokalista Thanasis, grafiki na płytę „In Font of Paranoia" przygotowałem ja, wszystko zrobiłem w starym stylu, ręcznie, bez żadnych komputerów. A grafiki na obie kasety demo przygotował również Thanasis.

CHAOS: Jakie plany ma zespół CHAOTIC END

In front of paranoia

na najbliższą przyszłość? Myślicie już o kolejnych nagraniach? Planujecie jakieś koncerty albo trasy poza granicami Grecji? Jest szansa by zobaczyć was w Polsce?

Alex: Po wydaniu „Promise" zastopowaliśmy na kilka miesięcy z powodu spraw osobistych, wiesz, zarówno ja, jak i Stefanos mamy rodziny i dzieci, a to jest priorytet. Jednak znowu mamy regularne próby i planujemy zagrać koncert w styczniu w Atenach. Oczywiście mamy zamiar robić materiał na nową płytę, ale jeszcze nie wiem kiedy, bo na razie chcemy pograć trochę koncertów, by zarobić na wydanie następnego krążka. No i rzecz jasna chcemy też grać koncerty poza Grecją. Dostaliśmy już dwie propozycje, ale niestety nie mogliśmy zagrać z powodu pracy. Tak więc czekamy na jakieś oferty grania na jakichś weekendowych festach, z drugiej strony możemy zagrać trasę z CHAOTIC END tylko w sierpniu. Jesteśmy otwarci i czekamy na propozycje koncertowe, jeśli dostaniemy jakąś także z Polski, to czemu nie?

CHAOS: A jak wygląda obecnie sytuacja greckiego społeczeństwa po kryzysie? Myślisz, że Unia Europejska jest winna tej sytuacji czy może to wina polityków greckich, greckiego społeczeństwa i jego konsumpcjonizmu. Czy sytuacja jest obecnie znacznie lepsza niż kilka lat temu?

Alex: Nasze społeczeństwo nie jest po kryzysie, bo on wciąż trwa od 8 lat. Unia Europejska chce wykupić wszystkie greckie instytucje medialne związane z elektrycznością, gazem, wodą, chcą wykupić porty, lotniska i już teraz wykupiły ich sporą część, ponadto podnoszą cały czas podatki, by zniszczyć greckie społeczeństwo. Oczywiście przez ostatnie 40 lat wszystkie greckie rządy były skorumpowane i Grecy sami ponoszą odpowiedzialność za tę sytuację, ponieważ wierzyli im i wspierali tych polityków oraz żyli w fałszywym zaślepieniu totalnej konsumpcji, nie obchodziła ich wolność, sprawiedliwość ani prawa pracowników, no i takie są dzisiaj rezultaty „hibernacji i letargu" greckiego społeczeństwa. Obecnie prawie w ogóle nie działają prawa pracownicze, szefowie, korporacje i kapitaliści wykorzystują na dużą skalę robotników. Sytuacja w naszym kraju jest nadal tak samo gówniana, jak przez ostatnie lata. Wciąż płacimy wysokie podatki, nadal jest olbrzymie bezrobocie, nie ma chwili na złapanie oddechu, większość ludzi musi pracować po 12-13 godzin, żeby przeżyć i zapłacić podatki.

CHAOS: A jak wyglądają nastroje greckiego społeczeństwa? Pamiętam, że w wywiadzie z HIBERNATION w 2001 roku pytałem cię o skrajnie prawicowe partie greckie. Mówiłeś, że to margines polityczny, a dziś Złoty Świt znajduje się w waszym parlamencie. Co poszło źle? Czy mają duże poparcie społeczne?

Alex: Tak, ale w 2001 roku wciąż żyliśmy w fałszywej ułudzie, teraz sytuacja jest kompletnie inna niż w 2001. Obecnie mamy w Grecji dużo ubóstwa, mamy prawie 35% bezrobocie, mamy w kraju też sporo imigrantów i uchodźców, i jak sam wiesz, jest to sytuacja, kiedy skrajnie prawicowe świnie rosną w siłę. Pewnie pamiętasz, jakie były Niemcy w 1937 roku, gdy Hitler doszedł do władzy. Ci gnoje mają obecnie 7% poparcia, co jest koszmarem i tragedią dla greckiego społeczeństwa, bo przecież w latach 1940-1944 naziści wymordowali mnóstwo ludzi w Grecji. Jestem bardzo rozczarowany tą sytuacją i tym, jak głupi są niektórzy Grecy, którzy zagłosowali na nich. Mam nadzieję, że Grecy się obudzą w końcu i wykopią ich tam, gdzie ich miejsce czyli na śmietnik. Najsmutniejsze jest to, że te tendencje opanowały całą Europę, spójrz, co się dzieje we Francji, Austrii, Holandii, Niemczech... Ludzie zwrócili się ku faszyzmowi, musimy to zmienić, starczy tego, ale na szczęście tutaj w Grecji wciąż mocna jest Antifa.

CHAOS: A co myślisz o tych wszystkich zamachach organizowanych przez anarchistów. Walkach ulicznych? Czy to znak, że młodzież się znowu radykalizuje i walczy o swoją wolność czy jednak jest to droga donikąd?

Alex: Osobiście nie zgadzam się z zabójstwami i wierzę w masowe demonstracje przeciwko kapitalizmowi całej klasy robotniczej. To nasza jedyna, ale bardzo silna broń, w walce z nimi - masowe i silne demonstracje i strajki, no i oczywiście walki uliczne czy zamieszki też są czasami potrzebne, ale obecnie musimy działać bardzo ostrożnie i przeciwko prawdziwemu wrogowi, i nie możemy im dać sposobności by atakowano i oczerniano nasz ruch, dajmy na to w mediach. Musimy być zwarci i silni w walce z kapitalizmem, rasizmem i faszyzmem. I najważniejsza sprawą jest, żeby ludzie zrozumieli, do jakiej klasy należą, bo potrzebujemy naprawdę mocnego klasowego, tzw. „sumienia".

CHAOS: Mam wrażenie, że weganizm/wegetarianizm staje się coraz popularniejszy, ale grecka scena DIY mało się w to angażuje, walka o prawa zwierząt nie jest w greckim punku zbyt popularna? Czy mam rację i dlaczego tak się dzieje? Czy to wynika z greckich tradycji czy może chodzi o ceny żywności?

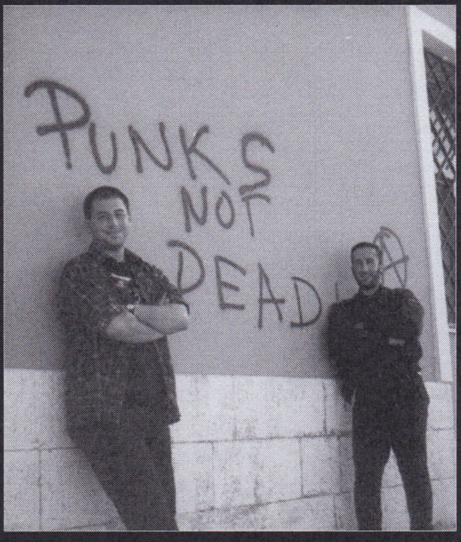

Alex: Tak, to prawda, ale nie potrafię tego wyjaśnić. Może faktycznie weganizm nie pokrywa się z grecką kulturą, ale w ostatnim czasie coraz więcej ludzi przechodzi na weganizm i wegetarianizm i mnóstwo restauracji sprzedaje wegańskie jedzenie. Grecka scena punk jest bardziej zaangażowana politycznie, antyrządowo, antyfaszystowsko, ale nie zbyt w weganizm. Chociaż wspiera się prawa zwierząt. Oczywiście są u nas punkowcy, którzy są wegetarianami, nie za dużo, ale są.

CHAOS: Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy was na koncertach w Polsce albo usłyszymy jakieś nowe nagrania CHAOTIC END... Dziękuję za wywiad!

Alex: Dzięki wielkie za wasze zainteresowanie naszym zespołem i za danie nam szansy na podzielenie się naszymi opiniami w waszym zinie. Oczywiście chcemy przyjechać na koncerty do Polski i czekamy na wasze zaproszenie. Każdy, kto chce się z nami skontaktować albo chce kupić nasz stuff: płyty, CD, koszulki może napisać na naszym profilu na FB Chaotic End Official albo podesłać maila: chaotic.end@hotmail.com. Stay true, be yourselves and keep the fire of life burning!

Zespół, który powstał by wkurzyć tylu ludzi, ilu się da. Jego członkowie założyli kapelę trochę z przekory, trochę dla żartu, trochę dla prowokacji, ale wkrótce zaczęli grać regularne koncerty i wydawać płyty, choć zespół miał się pojawić tylko na chwilę. Nikt nie przewidział, że rozwiązanie zespołu zajmie im aż kilka lat! Jedni ich kochali miłością szczerą, inni nienawidzili z całego serca. Negowali przede wszystkim komercjalizację sceny hardcore/punk, wieszali psy na zespołach takich jak NAPALM DEATH, D.R.I., S.O.D. Mieli też sporo tekstów przeciwko nazizmowi, kapitalistycznemu systemowi i ruchowi straight edge. No i oczywiście o chlaniu, bo bardzo lubili to robić. SORE THROAT, bo taką nazwę przyjęli ci załoganci, grał brutalne połączenie crusta z grind corem – hałas, blasty, prędkość, utwory po kilka sekund, a wszystko wymieszane z politycznym radykalizmem i niezłym poczuciem humoru. To oni wymyślili noise core!

SORE ThROat

Głównym inicjatorem założenia tego szalonego zespołu był Richard „Militia" Walker. Rich pochodził z Huddersfield w Yorkshire i doskonale pamiętał całe zamieszanie z SEX PISTOLS, które wybuchło w 1977 roku, ale zajęło mu kilka lat by wkręcić się w punk rock. Bakcyla załapał, gdy jeden ze znajomych podrzucił mu single THE DAMNED i THE CLASH. Wtedy poczuł, że to jest w końcu coś, z czym może się śmiało identyfikować. Jego rówieśnicy w tamtym czasie bardziej interesowali się piłką nożną, dyskoteką i całym tym gównem. Pod koniec roku 1980 Rich, dzięki swojemu kumplowi, odkrył zespoły DISCHARGE i THE EXPLOITED. To wtedy wkręcił się na całego w punk. Obserwując sytuację dookoła siebie, stwierdził, że właśnie ta fala punka z początku lat 80. to właśnie jest głos jego generacji. Zespoły te mówiły w swoich tekstach o problemach, które dotykały przeciętnych Brytyjczyków. Margaret Thatcher niszczyła i upokarzała klasę robotniczą, rodzina Richarda była kompletnie spłukana, matka wypłakiwała oczy martwiąc się, z czego zapłacą czynsz, gdy ojciec brał udział w olbrzymich strajkach przetaczających się przez całą Wielką Brytanię. I te zespoły o tym śpiewały. Duży wpływ na Richa mieli DISCHARGE, których widział na ich trasie „Apocalypse Now" po UK w 1981 roku. DISCHARGE zagrali siedem koncertów wraz z THE EXPLOITED, ANTI-PASTI i CHRON-GEN.
Rich Militia spiknął się z innym ziomem z Huddersfield, niejakim Nickiem Roylesem. Nick był pałkerem w zespole LIQUIDATED BRAINS, który nigdy nie wyszedł poza salę prób, chociaż nagrał nawet demo. We dwóch zaczęli jeździć do Birmingham, do klubu Mermaid na koncerty. Udało im się zobaczyć takie zespoły jak ELECTRO HIPPIES, HERESY, NAPALM DEATH, SKUMDRIBBLUURRZZZ, AMEBIX, SACRILEGE, CONCRETE SOX i wiele innych, które wtedy dopiero zaczynały, a dzisiaj są legendą sceny UKHC. Panowie skumali się z ludźmi z NAPALM DEATH i dopiero co powstałego DOOM, którzy zresztą regularnie grali koncerty w Mermaid. Poza tym siedzieli mocno w muzyce i to nie tylko brytyjskiej. Zasłuchiwali się zespołami z Finlandii i Szwecji – SHITLICKERS, HEADCLEANERS, TERVEET KÄDET, CRUDE SS, KUOLEMA, KAAOS, ANTI-CIMEX, RATTUS. Ponadto w samej Europie grało też sporo dobrych kapel, które leciały z głośników przyszłych założycieli SORE THROAT – LÄRM, RAPT, PANDEMONIUM, ZYKLOME A, WRETCHED. No i pojawiły się również na tapecie zespoły z Brazylii: OLHO SECO, COLERA, ULSTER… Jednak spory wpływ na Richa i Nicka miały brytyjskie zespoły jak DISORDER, CHAOS UK i NAPALM DEATH. Oprócz muzyki hardcore punk, słuchali też zespołów typu COIL czy CURRENT 93. Nick miksował w domu na kasetach płyty zespołów U2 czy CLANNAD z nagraniami NAPALM DEATH albo REPULSION. Potrafił zgrać płytę SLAYER na 45 obrotów i razem z Richem jeździli po mieście samochodem i puszczali to na cały regulator! Wspólnie nagrywali gitary, miksowali to z dźwiękami butelek, dokładali do tego automat perkusyjny i podkładali odgłosy ssaków czy różne inne efekty dźwiękowe.

W pewnym momencie postanowili założyć zespół, ale nie taki zwykły. Założenia były proste i konkretne – chcieli wkurzyć tak wielu ludzi, ilu się da! Chcieli zobaczyć jak wiele hałasu są w stanie wytrzymać ludzie na koncercie. Miało być szybko, bardzo szybko, głośno, hałaśliwie i surowo. W tym czasie sporo ludzi zasłuchiwało się w NAPALM DEATH i to miało być coś w tym stylu, jednak Rich i Nick chcieli się zbliżyć poziomem ekstremy do punktu zero. Miało być bez melodii, hałaśliwie do bólu. Na pewno inspirowali się NAPALM DEATH czy DISORDER, jednak wzorami dla nich były grupy LARM i SEVEN MINUTES OF NAUSEA, czyli prawidłowa muzyczna destrukcja.
Zespół pod nazwą SORE THROAT powstał w 1987 roku. W pierwszym składzie znaleźli się: Rich Militia – gitara, Nick – perkusja, Mick Harris – wokal i Jimmy Whiteley – bas (obaj z NAPALM DEATH). Niestety długo razem nie pograli. Prawdziwa historia zespołu zaczyna się, gdy do zespołu dołącza dwóch nowych członków: basista John „Jon" Pickering i

Brian „Bri” Talbot, obaj z zespołu DOOM. Wszyscy czterej spotkali się w Huddersfield i postanowili ruszyć z kapelą. Plan był prosty: jak najwięcej hałasu, żadnych prób, wymieszanie w tym hałasie wszystkiego tego, czym się wtedy zasłuchiwali – miał być miks grinda, crusta, thrashu, metalu i hardcore'a. Panowie usiedli więc i zaczęli wymyślać zwariowane tytuły do swoich pierwszych kawałków. Głównie o kapelach i ludziach, których nie lubili albo nie podobało im się, co aktualnie robili. Pod ostrzał dostał się między innymi zespół D.R.I. czy Billy Milano z S.O.D. Dostało się również kolegom z NAPALM DEATH, zespołom SACRILEGE, SUICIDAL TENDENCIES i innym kapelom, które zaczęły się komercjalizować. Wkrótce postanowili nagrać demo. Ogarnęli studio, ale byli totalnymi amatorami, więc do współpracy zaprosili Paula „Hammy'ego" Halmshawa z Peaceville Records. 20 sierpnia 1987 roku w Lion Studios w Leeds Z marszu, bez żadnych prób, 20 sierpnia 1987 roku w Lion Studios w Leeds nagrali demo pt. „Aural Butchery". Na kasecie znalazło się 27 kawałków! Totalny noise, growling, chaos, sprzęgi i dziwne industrialne odgłosy w tle. I tylko jeden kawałek powyżej minuty! W 1992 roku ten materiał wyszedł na winylowym singlu pt. „Abrahams Ear" w niemieckiej wytwórni Ecocentric Records. Oprócz nagrań z demo, znalazł się na nim również koncert SORE THROAT z Birmingham, zagrany w Mermaid w 1987 roku. W tym samym roku Hammy zamieścił na kompilacji pt. „A Ville Peace" utwór „Only The Dead See The End Of The War". SORE THROAT pojawili się na tym LP m.in. obok AXEGRINDER, ELECTRO HIPPIES, ATAVISTIC, DOOM, DEVIATED INSTINCT i HELLBASTARD.

pierwszy koncert SORE THROAT odbył się w lipcu 1987, w Mermaid, w Birmingham. SORE THROAT zagrali swój set przed EXTREME NOISE TERROR, ELECTRO HIPPIES i BOLT THROWER. No cóż… Obiecali ekipie zza baru, że za dwa galony cydru opróżnią salę koncertową podczas występu i zmuszą publiczność do udania się do baru. Dali wszystkim taką potężną dawkę hałasu, że z uszu i nosa ciekła krew. Na sali zostało może z 30 osób, a ponad 200 typa, czym prędzej udało się do baru. Ten cydr prawdopodobnie smakował wybornie, bo ciężko na niego zapracowali. Przy okazji wkurzyli sporo osób, między innymi Micka Harrisa z NAPALM DEATH, który stwierdził, że najlepiej byłoby wyłączyć im prąd i w ogóle, że SORE THROAT to gówniany zespół. Pierwszy koncert, wg. członków zespołu, był bardzo udany. Taki był cel tej grupy – zaatakować wszystkich zmasowanym hałasem, wkurwić, kogo się da i jeszcze napić się praktycznie za darmo!

SORE THROAT ponownie weszli do Lion Studios w Leeds, by 3 marca 1988 roku nagrać materiał na swój pierwszy 7"singiel. Singiel wyszedł nakładem wytwórni Acid Rain Records. Pierwsza strona singla zatytułowana jest Side Sweden i znalazło się na niej 28 kawałków. Druga strona to Side Finland z 15 utworami. Jednym z kawałków na pierwszej stronie jest cover SHITLICKERS „War System". Oczywiście sporo tu noise'owych kawałków, mnóstwo tzw. „kilkusekundówek", ale jednak brzmienie nieco się zmieniło. To właśnie na tym singlu SORE THROAT wypracował to swoje charakterystyczne brzmienie: ciężkie gitary i zdarty wokal na granicy growlingu. Perkusja w studiu była ustawiona niżej niż główne studio, więc Nick nawet nie widział reszty zespołu. Porozumiewali się za pomocą krótkich informacji w stylu: jak długi będzie następny kawałek? Szybki noise przez 10 sekund, albo 30 sekund D-beatu, albo 40 sekund epickiego CELTIC FROST! Numery robili według stałego schematu – intro, pierdolnięcie, zwrotka, refren, zwrotka, refren, koniec. Atakowali wszystkich, którzy ich wkurwiali: od INSTIGATORS, D.R.I. przez SACRILEGE aż po idiotę Milano. I nie chodziło im o ich muzykę, a o postawę: pozerstwo, wielki biznes, podpisywanie kontraktów z olbrzymimi wytwórniami, błyszczące magazyny metalowe… I SORE THROAT przez swoje teksty, anty-muzyczną postawę, hałas pokazywali wyciągniętego palucha całemu szoł-biznesowi. Wkurwiali wszystkich, co czasami kończyło się dość nieprzyjemnie. W ten sposób Rich wkurzył basistę NAPALM DEATH Shane'a Embury (byli zresztą kumplami). Bri wspomina, że Shane tak się zgrzał po koncercie SORE THROAT, że zwinął Richiemu okulary. Natomiast Rich twierdzi, że Embury i Harris wraz z trzema roadie NAPALM DEATH próbowali pobić wokalistę SORE THROAT, ale na szczęście całej akcji przeszkodził Stu z SATANIC MALFUNCTIONS.

Wkrótce zespół opuszcza Nick i co ciekawe, staje się jednym z piewców nowej fali straight edge w Wielkiej Brytanii. Zakłada zespoły dużo bardziej pozytywne niż SORE THROAT: WITHSTAND, INTOUCH i NO WAY OUT. Rich uważał, że właśnie dlatego Nick odszedł z zespołu – odpuścił sobie alkohol i dragi, no i nie chciał mieć już nic wspólnego z kapelą o takiej opinii jak SORE THROAT. Natomiast Nick twierdzi, że odszedł z zespołu, bo cały początkowy pomysł na kapelę, jak pewna tajemniczość, kompletny brak prób czy nagrywanie singli z olbrzymia ilością kawałków, to wszystko się rozsypało. Kapela zaczęła regularnie koncertować i wydawać płyty, wtedy Nick opuścił zespół. Jego miejsce za bębnami zajął Paul „Hammy" Halmshaw z Peaceville Records. I właśnie z nim zespół nagrał swój pierwszy album zatytułowany „Unhindered by Talent". Materiał został nagrany 11 i 12 września 1988 roku w Lion Studios w Leeds. Na płycie znalazły się aż 52 utwory, choć o wiele mniej tu hałasów niż na ich wcześniejszych wydawnictwach, za to więcej słyszalnych inspiracji klasykami gatunku, jak np. DISCHARGE. Krążek wydała wytwórnia Meantime Records, która na swoim koncie miała wydanie albumów takich zespołów jak DAN, INSTIGATORS, HDQ czy HELLBASTARD.

Rok później, w tym samym składzie, SORE THROAT podpisują kontrakt z Earache Records i nagrywają kolejny album pod tytułem „Disgrace To The Corpse Of Sid". W 1989 roku ta wytwórnia miała już w swojej stajni takich wykonawców jak TERRORIZER, NAPALM DEATH, CARCASS, MORBID ANGEL, BOLT THROWER, GODFLESH. Na drugim albumie zespołu znalazło się aż 99 utworów!!! Jednak jest to chyba najgorszy materiał SORE THROAT. Hałas, ryki, brutal z pogłosem, prędkość… Niestety zabrakło tego charakterystycznego brzmienia, jakim zespół poczęstował nas na poprzedniej płycie. Im mniej ta płyta podobała się fanom, tym bardziej zespół był zadowolony. Dig z

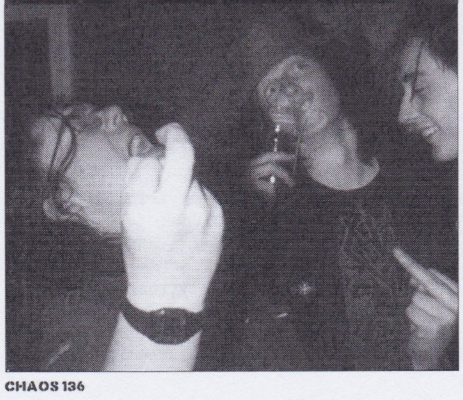

Earache Records obiecał im, że płyta będzie sprzedawana po 99 pensów, a zarobek pójdzie na 1 in 12 Club w Bredford, więc nagrali ten materiał najtaniej jak się dało. Skończyło się na tym, że Earache sprzedawała to po normalnej cenie i ani klub ani zespół nie zobaczyli ani grosza z tej płyty. Kolejny raz zostali wydymani… Zespół zagrał kilka kolejnych gigów, m.in. koncert w Ipswich wspólnie z E.N.T., CARCASS i DOOM. Tam właśnie, wraz z dziećmi, pojawił się John Peel! Na tym koncercie spotkali się także z Shanem z wytwórni Manic Ears. I na przełomie lutego i kwietnia 1989 roku SORE THROAT nagrali w Lions Studios kolejny materiał, który w tym samym roku ukazał się nakładem właśnie Manic Ears z Bristolu. Był to najlepszy materiał, jaki nagrał ten zespół! Chłopaki przybrali nazwę SAW THROAT, a płyta miała tytuł „Inde$troy". Spędzili trzy tygodnie robiąc i nagrywając materiał na ten krążek. Nie było żadnych planów, prób, wszystko zrobili w studiu. Zupełnie inne granie niż na poprzednich wydawnictwach. Mroczny crust, ciężki, wolny z dodatkiem industrialnych dźwięków, klawiszy i głębokiego wokalu. Ciężar crustowy inspirowany SAINT VITUS, THE MELVINS i SWANS. Rich zmienił nieco styl śpiewu na bardziej ekspresyjny i połączył klimat śpiewania w stylu Toma G Warriora z CELTIC FROST z mocą wokalisty CAPITOL PUNISHMENT. Wyszło to naprawdę oryginalnie! Nawet „Metal Hammer" dał się na to złapać, bo w recenzji „Inde$troy" napisał, że w zespole jest nowy wokalista! Wszystkie kawałki są połączone w jeden długi epicki numer na obu stronach. Sporo w tym dziwnych dźwięków, wręcz filmowych klimatów, tym bardziej, że przesłanie tej płyty to eksploatowanie, wykorzystywanie i niszczenie naszej planety i środowiska przez ludzi, korporacje, rządy. Po prostu ciarki przechodzą po plecach podczas słuchania tego krążka! Dobrą robotę zrobił Steve Hutton przygotowując tematyczne ilustracje, nieco w klimacie science fiction, bardzo mroczne i wspaniale wpisujące się w przekaz i muzykę SAW THROAT. Płyta otrzymała mnóstwo wspaniałych recenzji, ale oczywiście dla wielu była kontrowersyjna, choć z drugiej strony nikt nie spodziewał się po takim zespole jak SORE THROAT takiego ponadczasowego dzieła.

Po wydaniu tej perełki SORE THROAT kontynuowali swoją działalność. Cały czas atakowali muzyczny establishment i choć widzieli, co się dzieje z cała undergroundową sceną hardcore i metal, która za wszelką cenę chciała być częścią tego całego szołbiznesu, zgodzili się udzielić kilku wywiadów do meinstrimowych pism. Pojawili się w pismach takich jak „Sounds", „Melody Maker" czy „NME". Niestety, podczas, gdy członkowie kapeli chcieli opowiadać o niezależnej scenie, dziennikarzom muzycznych pism zależało tylko na sensacji i szokujących zachowaniach i wypowiedziach. Skąd my to znamy?

Pod koniec 1989 roku wychodzi kolejny krążek pod szyldem SORE THROAT zatytułowany „Never Mind The Napalm Here's Sore Throat". Okładka stylizowana na „Never Mind…" SEX PISTOLS, a z tyłu dwa autobusy z singla SEX PISTOLS „Pretty Vacant", jeden z szyldem SORE THROAT, drugi, ten rozwalony, z nazwą NAPALM DEATH… Przesłanie dość czytelne, prawda? Na pierwszej stronie płyty znalazły się nagrania z ich singla „Death To Capitalist Hardcore" z 1988 roku oraz utwory z singla „Soar Throat", a na drugiej stronie, zatytułowanej Side Subhumans, pojawiły się nagrania z nigdy niezrealizowanego singla pt. „Kill Your Idols", który miał wyjść w Japonii, oraz osiem nowych kawałków nagranych w Lions Studios specjalnie na to wydawnictwo. W sumie aż 60 utworów. Podczas nagrywania tych nowych piosenek Rich wskoczył na bas, bo na sesji nie pojawił się Jon. Rich twierdzi, że Jon miał sraczkę, natomiast Jon wraz z Nickiem Napalm założył nowy zespół pod nazwą MAKE THE DIE SLOWLY i powoli tracił zainteresowanie projektem o nazwie SORE THROAT. Najpierw z zespołu odszedł Jon, potem Hammy i Bri… Zespół rozpadł się gdzieś koło 1990 roku. Rich wraz z Bri mieli inny zespół o nazwie WARFEAR, który też się rozpadł. Rich założył nową kapelę WARTORN, który poruszał się po terenach odkrytych wcześniej przez SIEGE i GAUZE. Rich skompletował nowy skład. Do grania w kapeli namówił Sneda znanego z bębnienia w GENERIC i niejakiego Fadsa i pod koniec 1990 roku ruszyli na trasę po Europie. Z oryginalnego składu był tylko Rich. Potem wskoczył na gitarę i zespół grał jako trio. Wkrótce zmienili się w zespół o nazwie SLUDGELORD – Rich, Fads i Jimmy. Nagrali demo, które potem było bootlegowane pod nazwą SORE THROAT.

Zespół pojawił się w nowym składzie: Rich na wokalu, Nick na gitarze, Fads na basie, Phil na drugiej gitarze i Lionel za bębnami. To nie zapobiegło kompletnemu rozpadowi SORE THROAT. Rich i Nick, którzy grali razem w zespole NAILBOMB próbowali reaktywować zespół z nowymi ludźmi, by zagrać koncert w 1 In 12, były nawet jakieś plany wydania singla w Stanach, ale nic z tego nie wyszło. I tak

zakończyła się historia jednego z najbardziej wkurwiających zespołów na brytyjskiej scenie hardcore. Członkowie SORE THROAT przez lata działali w wielu niezapomnianych zespołach, że pozwolę sobie rzucić kilkoma nazwami: SOLSTICE, CRACKED COP SKULLS, UNBORN, VIRTUAL REALTY, LAZARUS BLACK STAR, HAXEN, IRONSIDE i wielu innych. SORE THROAT nigdy nie byli jakimś specjalnie „wpływowym" zespołem, ale wciąż są pamiętani przez rzesze punks na całym świecie. Chociaż Pushead umieścił ich debiutancki singiel na liście „Top 100 hardcore punk records ever" w magazynie „Thrasher". Niezła nobilitacja, co?

Zastanawiacie się pewnie czy przetrwała ich przyjaźń z chłopakami z NAPALM DEATH, których często i gęsto obrzucali gównem? Po rozpadzie SORE THROAT wszystko wróciło do normy i Rich uważa, że dzisiaj NAPALM DEATH są uczciwym i zaangażowanym zespołem pomimo swojej marki. Najwięcej gówna jednak wydarzyło się z winy Hammy'ego z Peaceville Records i Diga z Earache Records, ale SORE THROAT nie jest jedynym zespołem, który czuł się przez nich oszukany.

W swojej płytotece mam oczywiście płyty SORE THROAT, oczywiście na półce ma swoje miejsce ponadczasowy „Inde$troy", ale również moja ulubiona płyta „Unhindered by Talent". Mam również singiel „Abrahams Ear" oraz kilka kompilacji, w tym jedną z nagraniami koncertowymi SORE THROAT. Poza tym musze dodać, że na przełomie lat 80. i 90. SORE THROAT miał spory wpływ na mnie, ale przede wszystkim na moich kolegów, którzy pod koniec lat 80. Założyli zespół S.O. WAR. W ich nagraniach słychać właśnie tę fascynację m.in. SORE THROAT. Zresztą S.O. Tomek, gitarzysta i wokalista S.O. WAR, widział ich na jednym z koncertów, który Anglicy zagrali w Niemczech w ramach ich trasy w 1990 roku. Tak więc ci szaleńcy z Wysp jakiś wpływ wywarli i myślę, że wciąż można znaleźć kilku maniaków, którzy SORE THROAT darzą miłością dozgonną…

Pablo

PUNK ROCK ZMARNOWAŁ MI ŻYCIE, VOL. IX

Lata lecą, a zasadniczo pobieżnie nie dotknęliśmy jeszcze w tym cyklu wiązanek, mieszanek, składanek buntowniczych numerów wydawanych na terenie Niemiec. Błąd. Parę samplerów rzecz jasna i stamtąd w świat wyszło, a kilka z nich zna się szerzej. No, ale z pewnością nie wszyscy o nich słyszeli, więc pochylmy się może nad ich treścią, by cokolwiek zerknąć dalej niż najbliższa półka z własną zbieraniną hałasu.

TORPEDO MOSKAU

Kończyłem tu jakiś czas temu fiński cykl „Hardcore" zatrzymując się nad jedyną pozycją, której z kolei nie recenzowałem w „Pasażerze" i teraz chcę zrobić manewr podobny z niemiecką pozycją. Nim jeszcze usłyszałem nagrania z płyty, to szalenie mi się podobał jej tytuł: „Keine Experimente!", bo niejako wskazywał na siłę prostoty muzyki, której wówczas potrzebowałem. Nie rozczarowałem się po jej odsłuchu, kto lubi old school z pewnością też się nie rozczaruje zapoznając kilka zespołów znad Renu. W „Pasażerze" recenzowałem wznowienie pierwszej części, tu staram się sięgać do wydań oryginalnych będących w moim posiadaniu, więc pora teraz na „Keine Experimente! Vol. II". Hamburska oficyna Weird System dokonała wypustu tegoż z numerem 10 w 1984 roku, oprócz "Keine Experimente Vol. I" jedyną niemiecką składanką, którą wydali wcześniej była „Waterkant Hits" z nr wytwórni 1. No, ale jak widać składanki w Hamburgu musieli lubić, bo przecież do tego dziesiątego indeksu mieli też na stanie opisywana kiedyś „Life Is a Joke", czyli niemal, co druga płyta do sampler… „Achtung Achtung!!" – tak zaczyna się płyta, więc i ja przechodzę do sedna. TORPEDO MOSKAU. Czy nazwa ekipy to nawiązanie do futbolnej kamandy z Moskwy? Tego nie wiem, ale miano chwytliwe, co coś dla mnie zawsze znaczyło w tej gałęzi przemysłu rozrywkowego. Wiem za to, że jeszcze żadna bratnia dusza nie poratowała mnie ich LP, dla którego miejsce w swoim regale znajdę zawsze... „Halt`s Maul" nie było na ich jedynym krążku, oni zresztą nie mają specjalnie długiej kariery za sobą. Inspiracje WIPERS? Być może, zbyt brutalni w dźwiękach nie byli. Ich gitarzysta Martin i basista Arne mogli występować w Jarocinie '92 w składzie NOISE ANNOYS, który jak na tamte czasy pamiętam, że nawet mi się podobał. Wszyscy grali chyba zresztą w kilku innych, net podpowiada PUNKENSTEIN, NAPALM, SCREAMER… Po nich AGEN 53, ja ich znam tylko stąd, w czasie wydania tej płyty na stanie mieli tylko split kasetę z równie dla mnie tajemnym A.V. BLOX. Parę razy pokazali się na składakach, wydali też pod koniec lat 80. siódemkę i dwunastkę. Lekki punk, lekki Jarocin jakby. CRETINS chyba trochę ludzi zna. Wystartowali już pod koniec lat 70., niemiecka klasyka, pokazali się na wielu składankach z podobnymi sobie. Kto nie zna rytmów „Dachau Disco"? Tu spokojny punk, lekka schiza w wokalu. TIN CAN ARMY wspominałem kiedyś. Tu w nawiązaniu do nazwy kapeli kawałek „T.C.A.", od razu inaczej, agresywniej, chropawo, prymitywne solo na strunach, zuchy. VOLXFRONT to krótko istniejący punk rock band z Frankfurtu nad Menem. Utwór wolny, przewidywalny. Pokazali się na kilku składankach, a w tym roku w nakładzie 120 sztuk wyszedł ich LP „82-85", ciekawe czy przy tym nakładzie jest dostępny jeszcze… PORNO PATROL to „Berlin Zachodni, Berlin Zachodni, tu stoi punk, co drugi chodnik". Więcej pogo i szybkości. Jak dorastałem w stuosobowej wsi i próbowałem poznać jakieś punk załogi, to pamiętam jak mój kolega (z tej samej wsi!) mówił, że jego znajomy ma fajne nagrania kapeli: PORNO PATROL. Dam głowę, że chodziło o EP „Jump back" z '84, bo to praktycznie ich jedyny autorski materiał. Krążek chyba dość łatwy, o dziwo, do zdobycia. Grali dwa lata i przekształcili się w NO ALLEGIANCE, nic specjalnego zresztą – jedną z ich płyt pchnąłem za doprawdy kilka złotych. A więcej nagrań PATROLU przydałoby się bardzo. NEUROTIC ARSEHOLES to duża nazwa. Wystartowali zaraz po Pistolsach, w '78. Ich debiut „…Bis Zum Bitteren Ende" z '83 wielokrotnie wznawiano. Kawałek „SWAPOland" bardziej melodyjny, zaśpiewany do tego. Niemałe disko, podwójny CD wydany wspominkowo kilka lat temu założę się, że nie kosztuje zbyt wiele, a ma sporo materiału. Jeżeli NEUROTIC to duża nazwa, to co powiedzieć o EA80? Kultowy temat z Mönchengladbach. Powstali podobnie jak ich poprzednicy, a wydają się do teraz i co ciekawe w większości samodzielnie. Początkowo ich granie jest takie minimalistyczne, ale zaraz się rozpędzają. Jak sami mówili: Grają punk, nie punk rock. Niejedna niemiecka papa była zdobiona ich logo. Im bliżej końca, tym bardzie nośne nazwy na krążku: CHAOS Z uwielbiam. Krótko grali, 80-83, później przekształcili się w FLIEHENDE STURME dodając nieco klawisza, automatu, etc., ale trzymając wciąż wokalistę z CHAOS Z. Nagrania kapeli wyjściowej to wysoka jakość. Oryginały LP „Ohne Gnade", czy EP „Abmarsch" są zasadniczo nie do zdobycia za normalne pieniądze, ale spokojnie są do zdobycia ich współczesne reedycje i plan ich nabycia powinien być zrealizowany w pierwszej kolejności, jeżeli ktoś chce poznać historię Niemiec. Tyle na stronie pierwszej. NEUROTIC ARSEHOLES ze strony drugiej to niemal r'n'r punk, nie chcę mówić, że SEX BOMBA, ale… CHAOS Z ponownie wolno, zimno, nastrojowo,

NEUROTIC ARSEHOLES

klimatycznie, z mówionym wokalem. VOLXFRONT zaczyna kręcąc gałką radia, słychać chyba nawet czeską radiostację, a później ruszają swoim punkiem. Niewarci śmierci, ale ich LP poszukam. EA80 z ciekawym wokalem podają tempo średnie, ale pojawia się i agresja, szanujcie ich. Ponownie PORNO PATROL - mają już większy wymiar agresji, czuć ten jad, kawałek dość długi. TORPEDO MOSKAU to niby lżejsze granie niż PORNOSY, ale energii im nie brakuje i chyba nawet mają jej więcej.

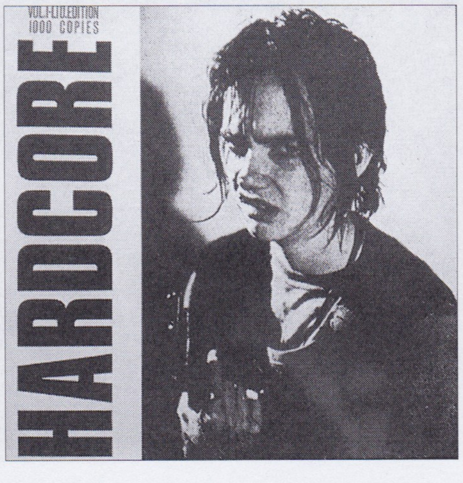

EA 80

AGEN 53 to jednostajna zagrywka, z pogłosem na wokalu, średnie. TCA nie oszczędza nam uszu, czadu jest tyle, co trzeba i bas też pracuje jak trzeba. KRETYNI kończą ten sampler skocznie i miarowo z pięknym rytmem w „Warten auf…”, klasa! Na okładce leci krzesło nad publiką, no, ale ekipa nie wygląda na punków i nie wiem, czy takie widoki zdarzały się na niemieckich koncertach. W Finlandii na pewno, bo widywałem to na video. Dygresja bez sensu, ale nie mogłem odmówić sobie przyjemności wspomnienia tego kraju. Z tyłu punki kroczą obok Trabanta-Zemsty Honeckera, jeździło toto po ulicach Hamburga? Jednostronny inner sleeve z tekstami, kontaktami i krótkim jeszcze spisem produkcji Weird System. Musiało być tego dużo na rynku, bo mój egzemplarz ma ręcznie numerowaną kopię 5229. Kupione w jakimś sklepie w Berlinie, przyklejona cena 17 wskazuje raczej na Euro niż Markę. Obie części dość poszukiwane swego czasu, zbieracze pewnie je mają.

Wlaźmy już na właściwe tory, choć dzisiaj trochę na siłę sztukowane. „Hardcore” ze Starving Missile to już rok 1988. Lekko, więc skaczę, ale staram się ułożyć to w pewnym ciągu, by przynajmniej stwarzać pozory kolejnego cyklu. Hardcore`owego cyklu. „Hardcore” na okładce ma ten tytuł praktycznie jako całość, na krążku zaś

ARTLESS

pojawia się „Volume I”, limitowana edycja w nakładzie 1000 egzemplarzy. Nie pojawił się żaden „Volume II”, z pewnością nie w Starving Missile z Monachium. Nie ma dodatków wewnątrz, z tyłu okładki zdjęcia kapel (co ciekawe w większości nie najmłodsze ekipy) i kontakty. Nie ma tylko fotki EA80, zamiast tego jest ich tekst „Drums over London”, całkiem ciekawy. No to biegniemy do muzyki. Nie jest to „All and Only German Sampler”, bo zaczyna temat ARTLESS, czyli Stany i New York. Podpora kapeli, to bardziej i wszędzie znany Mykel Board, kontrowersyjny i zarazem wieczny członek załogi MRR, no może bardziej

uczestnik na zasadzie kolumnisty niż załogant z zina. Mający sporo do powiedzenia na wszystkie tematy. Wiecie, że był w Polsce w 1980 roku w mieście znanym z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej i Pierwszego Festiwalu Nowej Fali? Pewnie jadł bułki i popijał mlekiem siedząc w pustawym amfiteatrze Kołobrzegu kontemplując KSU. Występował też podobno z KANAŁEM i TILTEM. Maczał też palce w wydaniu „World Class Punk”, był z nim wywiad w numerze 13 „QQRYQ”, więc spore związki z Polską miał. Na koncie spora dyskografia. Już w 1983 mieli split EP z GG Allinem. Tu dwa kawałki: „Machine Gun” i „The Common Man”. Jadą szybko i dziarsko, nie ma ziewania, pierwszy jest dynamiczniejszy, ale i drugi niczego sobie. Nie mam ich autorskich nagrań, ciekawsze są pewnie tekstowo sugerując się tytułami wydawnictw: na przykład „Crassdriver” LP, czy EPki „Beer is Better… Than Girls Are”, „How Much Punk Rock Do You Hear In Russia?”. Wracamy do Niemiec. EA80 i wspomniany „Drums Over London”. Melodyjny i bardzo chwytliwy, wpada w ucho i siedzi tam niczym myśliwy na ambonie. To zdaje się cover DISCO ZOMBIES z UK? AIDSCATS to z kolei sekstet z Bremy. Grają melodyjnie i szybko, szkoda, że nie pokazali się na jakichś płytach, bo przecież oprócz tej składanki dopiero w 1997 wyszło ich 5 nagrań z lat 86-87 na EPce. Dużo za mało. Damskie śpiewanie nawet po niemiecku dobrze robi. Dobrze też wyglądali. Ich nazwa to odpowiedź na THE ACE CATS z Dortmundu, popularne rockabilly w tamtym czasie, i ich sławę. Więcej AIDSCATS potrzeba! Może zagadać z Hoehnie? Chyba spróbuję. K.G.B. to „Keine Grund fur Beruhigung”, choć były i inne rozwinięcia nazwy. Całkiem do rzeczy lecą, nadrabiają klimatem, kawałek „Search & Destroy” dość wolny i długi, spokojnie dwa by się zmieściły, choć pod koniec podkręcają tempo i instrumentalnie jakby ten drugi właśnie robią, hehe. Spora dyskografia, chyba pojawiają się na Allegro nawet, ale tych KGB było kilka i trzeba uważać, żeby nie natknąć się na kau gryzoni na serze. Już w 1997 wyszedł ich singiel „Die Lady Di” z nieżyjącą obecnie księżną na okładce będącej przeróbką singla seksownych pistoletów z Anglii. Na drugiej stronie najpierw CROWD OF ISOLATED z Klarenthal. Nim zbratali się z Emo i wydawali płyty w X-Mist, to na tej płycie pokazują ostry 'til Death” to hardcore jak się patrzy. W pewnym momencie kradną wersy z „Systemu” ABADDONU, to dobrze świadczy o ich przestępczej profesji. Na koncie singiel i dwa autorskie longi, Dużo dzisiaj o EA80. No, ale kapela to w pewnym sensie tajemnicza na gruncie polskim. Kolejny ich fajny klimat w „Ostsee”, no i TEN wokal, dobrze spełniający swoje zadanie. Po nich ultra hardcore dwa razy i wielki BOSKOPS z Hanoveru coverowany w PL przez INRI. Na stanie 4 LPs i udział w kilkudziesięciu składankach, w większości niemieckich, ale i słynne „PEACE/WAR” się pojawiło. Najlepszy materiał, to

K.G.B.

NORMAHL

być może zaskakująco nie debiut „Sol 12", ale „Lauschgift" z 1985, który nawet w Brazylii wydano, a niedawno wyszło kolejne wznowienie. Godny wspomnienia też występ na kasecie video „Chaos Tage 84" ukazujący ten słynny riot i walki z nazi skinami. Bardzo ich lubię. Składankę zamyka DREAM POLICE z Danii. Wyrośli na gruzach JOHNY CONCRETE z 1978 jeszcze. Chyba pierwsza DK kompilacja "Paere Punk" z 1979 była już z ich udziałem. Droga inwestycja z oryginałem, ale od czego są dobrzy ludzie profesji Robin Hooda? Bootleg jest do zdobycia raczej. Kawałek „Rudolf Hess" najpierw niby taki polski słaby punk, ale później się ożywiają i lecą z chlebkiem. Bierzcie ich CD, gdzie zebrali sporo z lat 78-06, bo w czasach aktywności za wiele nie wydali, choć słychać było o jakimś wydawnictwie kilka lat temu. Tyle o powyższym.

Cofamy się o pięć lat. „Ultra Hardcore Power" to towar z Mullmeimer i jednocześnie moja ulubiona Deutsche kompilacja. Zespoły po kolei jedne lepsze od drugich, kawałek po kawałku coraz lepszy, ekstraklasa. Okładka prymitywna, ale wskazująca na kilka problemów kształtujących rzeczywistość zarówno ówczesną, jak i obecną; powiedzmy, że ten szkic był punktem wyjściowym dla Winstona Smitha i okładki „Bedtime for Democracy" DEAD KENNEDYS. No, ale to tak na zasadzie grubo ciosanego żartu. Grubo ciosany od razu jest też punk prezentowany trzykrotnie przez NORMAHL. Gitara chropawa, jakby na zardzewiałych strunach podawana, wokal nieźle się wyrabia, szczeknie czasami, tempo perkusji odpowiednie. NORMAHL już tu omawiałem i w takim wykonaniu jest to zespół, który zostaje w pamięci z odpowiednią dawką agresji. Stuttgart miał z nich radość. Zresztą „Stuttgart über alles!" to tytuł ich pierwszego singla z 1981, którego okładka jest zerżnięta z „California über alles" gdzieniegdzie znanych Kalifornijczyków. Symboliczny dodatek na okładce: rycina z napisem „We will punk you". Nie miałem do tego składaka oryginalnej wkładki, mam inner sleeve z katalogiem Mulleimer i xero insertu od Don Pedro z Żywieczczyzny, gdzie są tylko jakby fragmenty ich tekstów, więc nic nie mówię na ich temat. Dawno temu kupiłem przypadkiem ich LP „Der Adler ist Gelandet" i od tego momentu jestem z nimi w nierozerwalnym sojuszu. Jeszcze w zeszłym roku wyszedł ich LP, jeśli ktoś go nie chce proszę dzwonić grzecznościowo do Plymouth. Kolejne dwa kawałki to już BLUTTAT i muszę na chwilę odejść od klawiatury, by podgłośnić, nastroszyć włosy i wykrzyczeć chociaż refreny. Ale ogień! Jaciepiernicze! „I`m Feeling Down!" i „Ohne Mich!" co ciekawe śpiewane są po niemiecku, ale z refrenami w języku Rottena for example „Fight your wars – without me…" i coś tam o prawej ręce i neue nazis. Tu wszystko działa jak należy, tempo wejścia basu i perkusji podnosi mi ciśnienie w moment i szukam captoprilu pod język, bo chcę uniknąć zawału. Absolutna rewelacja. Z tej strony wokal męski. Żałuję, że kiedyś odwołali swój występ z POLIKARPA Y SUS VICIOSAS na berlińskim Kopi, bo miałem okazję zobaczyć, a musiałem się jedynie obejść smakiem. Myślę, że będzie zresztą okazja, bo za kilka dni koncertują m.in. z TOXOPLASMA, a jak będziecie to czytać, to powinni być już po trasie w Kolumbii. Czyli kontakty z POLIKARPAS procentują! Zaczęli w 1981 w Mullheim i byli prawdopodobnie pierwszym punkowym zespołem w Germanii, gdzie śpiewała dziewczyna z chłopakiem i to w dodatku zarówno po niemiecku, jak i angielsku. Ich płyty są dostępne w reedycjach za małe pieniądze, sam muszę nabyć wersję z DVD, gdzie są fajne dokumenty o nich. Teraz HERBARDS ze Stuttgartu ponownie. Znam ich z tego składaka i drugiego chyba poświęconego piciu, który zresztą sprzedał mi Refuse, raczej właśnie dlatego. Byli jednym z pierwszych zespołów z Oi! music, prawdopodobnie także pierwszym z Niemiec, który wydał płytę. Te dwa kawałki są agresywne i utrzymane w klimacie pozostałych grup tego wydawnictwa, a tekstów nie ma wcale, więc trudno coś zajarzyć. Jedyny LP „Eu! Se Bois" wciąż czeka na zakupienie przeze mnie, bądź ofiarowanie mi w prezencie z okazji byle jakiej. Śledząc ich dyskografię w sieci (summa summarum 3 LPs) widzę, że na składankach bywali z mocno szemranym elementem, który określa się jednoznacznie. Jednocześnie całkiem niedawno ich kawałki na swoich samplerach zamieszczali potentaci z Ox, czy Plastic Bomb… Może tak być, że umieszczano ich na kompilacjach bez ich zgody i wiedzy, znajomi z Niemiec mówią, że nie był to nigdy zespół faszystowski. W ogóle to niedawno się wskrzesili i zagrali po latach pierwszy koncert 30 września… Stronę zamyka w dwóch klimatycznych, wolnych, marszowych punk ciosach CHAOS Z. Potęga, szacunek, uznanie. Oni zresztą, także w dwóch songach, rozpoczynają zmagania z drugiej. Później cztery razy INFERNO. Boskie INFERNO – jakkolwiek głupio to brzmi. Krótkie strzały i wykładnia hardcore punk, jeden z najlepszych niemieckich zespołów w historii. Bardzo dobrze znani wszędzie, ultra agresywni, bootlegowani i podziwiani. "Ronald Reagen" (celowe zniekształcenie na okładce, czy przypadek? W tekście jest poprawnie…) rządzi i zresztą pozostałe trzy także, extra! Wspomniany song nie jest jedynym utworem nacechowanym polityką, bo w „Administration" padają bliskie każdemu Niemcowi nazwiska: „Karstens, Straus, Helmut Schmidt" a w „Wir Sind Schon Tot": „Tod, Tod, Tod den Generalen! Aus Russland und Amerika!" itd., itp. Ostatnio wznowiono ich demo taśmę „Anti Hagenbach" z 1983. Czekam na winyl z demo „Gott ist Tot" a jeszcze bardziej z live kasety INFERNO/SLIME, gdzie okładka przedstawiała punka z irokezem i gitarą, dziwnie znajomą w nawiązaniu do obwoluty jarocińskiego singla WŁOCHATEGO… BLUTTAT jeszcze raz (a w zasadzie dwa razy), ale teraz z damskim wokalem. Anja zna się na rzeczy! Nieco melodyjniej i taneczniej, ale nadal drapieżnie i z kopem. Luksus proszę państwa! Stronę zamyka otwieracz, czyli jeszcze trzy kawałki NORMAHL – najwięcej na płycie, ale to pewnie przez znajomości, ich pierwszy singiel był jednocześnie pierwszym indeksem Mulleimer, a opisywana kompilacja: dopiero szóstym. Wszystkie trzy mają swój ciężar własny odpowiedni do reszty tutaj zamieszczonych i nie dają ciała, punk po prostu. Naprawdę genialna pozycja, słucha się jej z wyjątkową przyjemnością.

Następna na talerzu gramofonu, to „Hardcore

BLUTTAT

Power Music, part. 2”. Nie trafiłem na część pierwszą, zakładam, że chodzi jak gdyby o kontynuację poprzedniego tytułu, bo oryginalnie też wypuściła to oficyna Mulleimer, rok po poprzedniej płycie, w 1984 roku. Okładka dobra na tatuaż, sięgamy do środka… RAZZIA to RAZZIA… dość długi utwór z fajnym klimatem, głównie dzięki lekkiej melodyce gitary i tym ładnym zaśpiewom, jedna z większych niemieckich legend nie zawodzi. Mają sporą dyskografię. Całkiem niedawno wyszły ich LPs „Rest of 1981-1990-1992”, gdzie są nagrania i z tej kompilacji. AUSBRUCH z Aachen ma na stanie jeden LP. No OK, ma dwa więcej, jeden nawet w tym roku wydany, ale jeden w okresie swojej normalnej działalności, jeszcze nim zaczęli coverować Tracy Chapman, więc trzymajmy się tej wersji. Dwa lata temu znów zaczęli się pokazywać live, ale nie wiem na ile jest to powrót udany. Grają tutaj nieco szybciej niż RAZZIA, choć to tempo nadal średnie. INFERNO to już wrzucony piąty bieg. Jest poziom, który inni jedynie mogą próbować osiągnąć. Ich płyty kupujcie w ciemno, nie ma lipy, może z wyjątkiem ostatniej. Czasami pojawiają się ich nagrania na Allegro nawet, wychodzą wznowienia, więc nie będzie problemu z dostaniem, chociaż części ich twórczości. Skądinąd znany Pushead bardzo ich lubił. Umożliwił występ na „Cleanse the Bacteria”, wydał split INFERNO/EXECUTE… miał dobry gust. KOMMANDO SCHWARZER FREITAG to mało znana ekipa, działali w latach 82-86. Na winylu to ich jedyne nagrania. Odnotować warto jeszcze split live kasetę z NEUROTIC ARSEHOLES z `84. Nie wyróżniają się agresją, a raczej dotrzymują kroku utrzymywanym nastrojem. Nazwa kapeli nośna, ale muzyka już niekoniecznie. MANIACS podkręcają tempo w „Wir Haben Was Zu Sagen”, klimat pierwszej płyty. Musieli być w tamtych czasach bardzo popularnym zespołem, bo ukazali się na dużej ilości składanek, także zagranicznych. No i wcale mnie to nie dziwi słuchając ich nagrań. IDIOTS śpiewają o sobotniej nocy w „Samstag nacht”, kawałek na pozór wolny, ale jakąś tam moc w sobie ma. Zespół powstał pod koniec 70., a te nagrania, to jedne z ich pierwszych. Zespół w zasadzie grający do dzisiaj. Dyskografia też obszerna, ale nie polecam niczego, bo niczego ich w większym wymiarze nie słuchałem. Czy jak podam, że do ich fanów zaliczają się typy pokroju Biafry z LARD, czy Mille Petrozza z KREATURY, to będzie dla was jakaś rekomendacja? Kapela przedstawia się w różnym wymiarze: punk, ska, metal… nie jest to moja para kaloszy, ale na pewno w Niemczech nazwa bardzo nośna. LUSTFINGER to kolejny zespół mający ugruntowaną markę za Odrą, a u nas wydaje się, że kompletnie nieznany. Nie jest to może kapela popularna w zatęchłych skłotach, ale punk rockowcy wciąż ich słuchają. Dyskografia więcej niż bogata, kupno ich płyt nie jest z pewnością żadnym problemem. Zespół powstał w 1981 w dziurze pod Monachium. Debiut albumem „Harte Manner Tanzen Nicht” w 1984 z kawałkami pokroju „Mami und Papi”, „J'taime”, „She's my Love Gun”… A co powiecie na tytuł drugiej

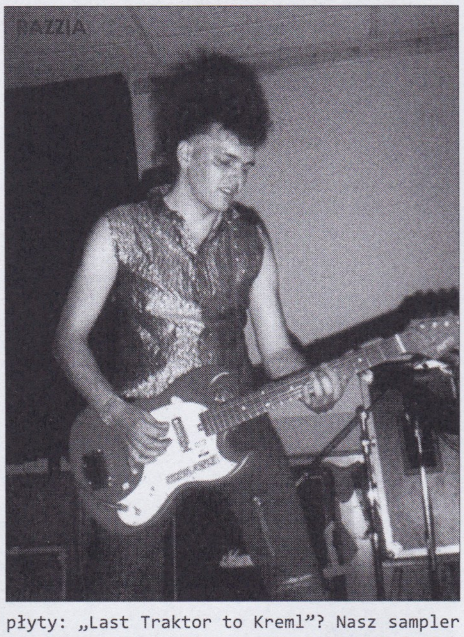

płyty: „Last Traktor to Kreml”? Nasz sampler ma chyba poważniejszy temat, bo tytuł ich kawałka głosi: „Bundesprasident”. Później zagadkowy dla mnie SCHLUCKSPECHTE. Mam ich na dwóch płytach z tym samym kawałkiem: „Alkoholkonsum”. Nic więcej nie wydali. Nie wiem, co to za efemeryda i w sumie żałuję, bo ten kawałek jest ostry jak skalpel i utrzymany w tempie wskazywanym przykładowo przez INFERNO. Na zakończenie tej strony drugi raz KOMMANDO SCHWARZER FREITAG i ponownie grany jest delikatny punk rock, który jak na rok wydania tego składaka nie prezentuje się jakoś nadzwyczajnie. Skaczemy na Seite Zwei. INFERNO. Oczywiście poziom jest utrzymany, są bezbłędni, „Ein Tag im Schatten” wali po głowie niczym starsi koledzy na boisku, gdy za dzieciaka wpuściłeś dziesiątą bramkę… MANIACS dotrzymuje im kroku. „Weltkrieg” ma swoją wagę, zespół miał swój czas i coś z tego musiało zostać do dzisiaj, bo w tym roku ukazał się ich split 7EP z ZYKLOME A z Belgii mający bodaj być forpocztą nowego LP, no ciekawe... AUSBRUCH schodzi do lżejszej kategorii wagowej. Kawałek jest wolniutki, a przy tym bardzo interesujący. To generalnie fajny zespół, zasługujący na więcej niż jeden LP w tamtych latach. TIN CAN ARMY należy do moich niemieckich ulubieńców od blisko trzydziestu lat, od pierwszego momentu, gdy ich usłyszałem. Klasyczny hardcore punk z tamtych lat. Racja, teraz RAZZIA. Świetne pokombinowane rytmy, gitara głównie robi tu klimacik, mocny punkt tej płyty. MOTTEK w jedynym nagraniu na tej składance. Ich nazwa to adaptacja polskiego słowa „młotek” – narzędzia, którym operowali na budowach polscy gastarbeiterzy w RFN czasów Kohla. Bardzo fajny zespół z dziewczyną na basie w składzie, okresowo na wokalu: ona tu akurat nie śpiewa. Metal punk, ale do czasów metalu tu jeszcze nie doszliśmy. Mają na stanie 3 longplaye, jeżeli dobrze sobie przypominam, to kiedyś na Allegro w dziale metalowym ktoś sprzedał ich ostatnią płytę. Najlepszy materiał, to chyba debiut „Hypnose” z ‘84. Pokazali się też na sporej ilości składanek, dwóch singlach... miesiąc temu na mój kwadrat wjechał w końcu ich split z RAW POWER. Polecam tym, którzy nie mają adapterów ich niedawno wydany 2CD „Countdown 1982-2012”, gdzie jest sporo ich nagrań niewinylowych a można tam trafić i na takie smaki jak cover japońskiego THE STALIN „Romanchisuto”, itd. Jest bodaj w Niemczech jakiś rockowy MOTTEK obecnie, ale raczej nikt z was się nie pomyli. MANIACS jeszcze raz w swoim twardym, chrapliwym, pogo as fuck, punku. Ryżko ich lubił i w jakimś tam stopniu promował w latach osiemdziesiątych na antenie państwowej Rozgłośni Harcerskiej w „Niecałym rocku” i w harcerskim tygodniku „Na Przełaj”. Dzięki temu promocja ta dotarła i do moich Mint pod Bartoszycami, a ja ich polubiłem. Płytę kończy najsłabszy na całej płycie, niemal zrockowiały, chyba podany na wyciszenie, kawałek KOMMANDO SCHWARZER FREITAG. No i już wszystko. Już nie pamiętam, gdzie to zdobyłem, sieć albo wizyta w Berlinie. W mojej kopii został mi tylko inner sleeve, bez bookletu, niech ktoś mi skseruje z łaski swojej… Do następnego, jubileuszowego, numeru tego cyklu!

Grzester

Przede wszystkim Gruzja to zajebisty kraj, jeśli chodzi o wypady turystyczne. Piękna przyroda przypominająca momentami widoki krajobrazów rodem z „Władcy Pierścieni". Jedną z ciekawszych przygód było też zobaczenie rzeki Aragvi, czarnej i białej, które w pewnym miejscu spotykają się razem i płyną dalej, jako jedna rzeka. Metafory nasuwają się same… Koniecznie należy też wspomnieć o gruzińskim autostopie - będącym chyba najłatwiejszą i rzecz jasna najtańszą formą podróżowania. Poza tym na plus są tu także przystępne ceny (szama/kwatery) oraz dużo potraw na bazie warzyw i owoców. Dobrą decyzją był więc wylot do Gruzji kilka dni przed zaplanowanymi koncertami i powrót kilka dni po nich.

Co do samych koncertów, należałoby chyba zacząć od samego początku, czyli luźnego pomysłu wyjazdu w te tereny z koncertami. Mówiąc najkrócej - Leszek, nasz ziomek z Torunia, odpisał mi któregoś dnia na wysłaną jakieś 1-2 miesiące wcześniej wiadomość, przepraszając za późną odpowiedź i tłumacząc, że jego losy splotły się z pewną Gruzinką, z którą są razem i spędzają trochę czasu w PL, a trochę w Gruzji. W pewny momencie pada pytanie w stylu: „a może wy byście chcieli zagrać kilka gigów w Gruzji?". Najpierw mały szok, później upewnienie się, że to jednak nie żart i finalna odpowiedź: na TAK - jedziemy! Informacji o gruzińskim pankroku mieliśmy mniej więcej tyle, że prawie go tam nie ma, a tam gdzie jest przypomina trochę ten z PL z okolic lat 80. Oryginalny plan trasy uległ do czasu wylotu lekkiej zmianie, zamiast zagrać cztery koncerty w Gruzji, mieliśmy zagrać dwa w Gruzji i po jednym w Armenii i Azerbejdżanie. Jak dla nas zabrzmiało to jeszcze ciekawiej - zamiast jednego państwa, będziemy mieli okazję odwiedzić trzy, w których nigdy dotąd nie byliśmy.

Przed samym wylotem dostajemy jeszcze info od Davida – perkusisty VODKA VTRAIOM (który był naszym łącznikiem i ogarniaczem tematu po stronie gruzińskiej), żeby zupełnie nie przejmować się tym, co piszą na naszym profilu FB. Zerkamy więc na fanpejdż LIFE SCARS i faktycznie okazało się, że pod postem o planowanej trasie pojawiły się komentarze tamtejszych nazioli w stylu „zapraszamy - zajebiemy was", itp.

Iza: Nasi nowi gruzińscy przyjaciele na szczęście mieli rację, gdy mówili nam, że gruzińscy naziole dużo mówią a mało robią…

Po przylocie, spod samego lotniska odbiera nas szalona ekipa z Kutaisi. Podjeżdżają po nas pięcio- osobowym autem w cztery czy w pięć osób, więc w sumie jest nas 7-8 osób. Jednak nie ma problemu - chłopaki zwalniają nam miejsca na tylnej kanapie, a sami zajmują miejsca w... bagażniku. Po drodze z lotniska do Kutaisi rozmawiamy raczej mało, ponieważ muza z głośnika wali tak głośno, że trudno się przez nią przebić. Jest wesoło.

Iza: Jak już wyszliśmy z samolotu nie mogłam w to uwierzyć, że to się dzieje i tu jesteśmy. Ludzie ze służb porządkowych na lotnisku wyglądali na wyluzowanych, z uśmiechem przywitali nas w Gruzji. Po wyjściu z lotniska uderzyło nas gorące, wilgotne powietrze. Było bardzo ciepło, chociaż była już noc. No i czekała na nas wesoła ekipa w koszulkach w stylu SEX PISTOLS. Jak już wyjechaliśmy w stronę miasta, najpierw się zastanawiałam czy kierowca ma prawko, potem doszłam do wniosku, że chyba jest pijany. To był pierwszy szok - ludzie mają w Gruzji tak szalony styl jazdy, że ciężko w to uwierzyć, plus w wielu samochodach nie ma pasów. Ale szybko przywykliśmy do gruzińskiego stylu jazdy.

Cali i zdrowi dojeżdżamy do Kutaisi. Na miejscu ekipa pokazuje nam prowadzoną przez nich klimatyczną knajpę nad rzeką, w między czasie ogarniamy jakąś szamkę, piwko, po czym udajemy się do kwatery w hostelu należącym do wujka jednego gościa z ekipy. Dodam jeszcze, że do hotelu odwozi nas jeden z nowo poznanych ziomków, odwozi, pomimo, że wcześniej swoje wypił, ale ufamy, że wie, co robi. Następnego dnia okazuje się jednak, że po tym jak nas już odwiózł i wracał do domu zatrzymała go policja i w efekcie stracił prawko…

Następnego dnia ekipa zabiera nas nad rzekę. Miejscówka jest przy samej tamie, więc poza kąpielą niektórzy decydują się także na skoki z tamy do wody! Pogoda dopisuje, ekipa bardzo sympatyczna. Jest miło. Wieczorem lecimy marszrutką (tamtejszy odpowiednik PKS-u, czy też międzymiastowego busa) do Tibilisi, gdzie odbiera nas David z ekipą z VODKA VTRAIOM. W kolejnych dwóch dniach oddajemy się wycieczkom objazdowym po Gruzji w towarzystwie Davida, który jest także przewodnikiem turystycznym. Widoki zapierają dech w piersiach!!!

Iza: David to bardzo gościnny człowiek, zatrzymywaliśmy się w jego domu, gdy byliśmy w Tbilisi. Młodych ludzi w Gruzji raczej nie stać na to, żeby wynajmować mieszkania, więc to bardzo częste, że mieszkają z rodzicami. Super, że rodzice Davida nie mieli nic przeciwko, a jego tato bardzo dbał o to, żebyśmy się dobrze czuli, więc gotował nam różne pyszności. Davida szwagier pożyczył nam samochód, którym pojechaliśmy na wycieczkę w góry, o której wspomniał Mike. To ciekawe, że w Gruzji chyba nie ma takiego pojęcia, jak badania techniczne samochodu, dostaliśmy furę bez zderzaka i jeszcze coś nam się po drodze urwało w tych górach, więc musieliśmy się zatrzymać i to naprawić. Ale to była bardzo miła wycieczka, chociaż trochę się bałam krętych, górskich dróg w połączeniu z gruzińskim stylem jazdy.

Po pierwszej części turystycznej, zajarani Gruzją udaliśmy się na pierwszy z zaplanowanych gigów do miasta, w którym zaczęliśmy swój pobyt w Gruzji, miasta o swojsko brzmiącej nazwie Kutaisi. Z informacji, jakie w międzyczasie usłyszeliśmy, to mieścina słynie ze specyficznego, zwariowanego punk rocka i jest nieco dziwna. Jedziemy zagrać i to sprawdzić.

Przed koncertem mamy okazję po raz kolejny zaznać gruzińskiej gościnności - jako kapela zostajemy zaproszeni do pobliskiej restauracji „Barca", by tam, na oporowo zastawionych stolach popróbować lokalnych specjałów. Nie dało się zjeść tego wszystkiego. Sama ta uczta przypominała polską wigilię. Po wszystkim

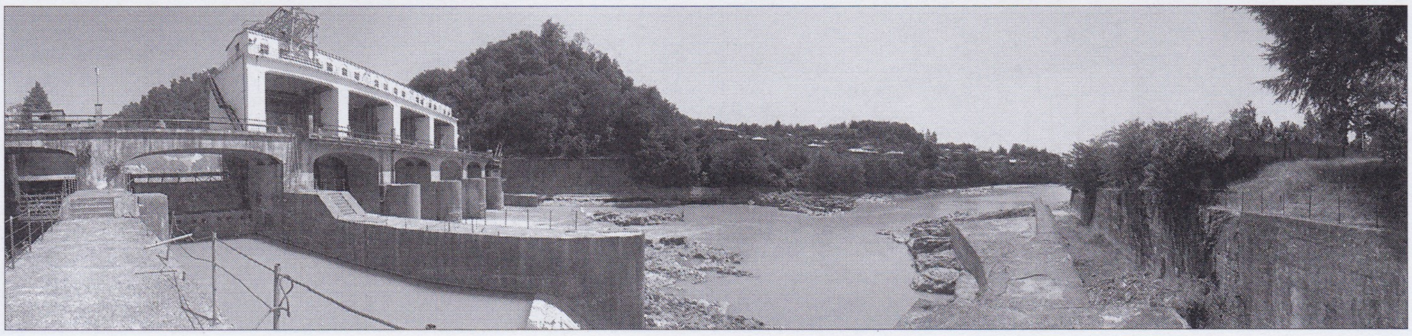

zastanawiamy się tylko, jak my zagramy gig objedzeni po uszy! Najedzeni, tfu! OBŻARCI! Wracamy na miejscówę - koncert odbywa się w sąsiedztwie uniwersytetu, w czymś, jakby sala sportowa. Większość ścian pomalowanych jest farbami (chyba plakatówkami?) we frywolne wzory i napisy, głównie czcionki zespołów takich jak NIRVANA, METALLICA, AC DC, itp. oraz napisów w stylu „sex". Klimat trochę, jak na przeglądzie kapel w gimnazjum/liceum - sprzętu oświetleniowego oraz pokrewnych np. dymiarek chyba więcej niż sprzętu muzycznego, dużo młodych osób w wieku lat nastu w koszulkach głównie „znanych", mainstreamowych, metalowych, grunge'owych lub rockowych zespołów, większość wcięta. Czujemy, że będzie to dla nas nowe przeżycie koncertowe…

W pewnym momencie pojawia się też rodzynek w koszulce ze... swastyką i SS. Jesteśmy jedynymi osobami, które reagują, jednak typ nie kuma po angielsku ani po polsku. Podchodzą więc nasi gruzińscy znajomi tłumacząc to, co mówimy i pytają, co on odpierdala, itp. Okazuje się, że typ to bardzo dobry znajomy znajomych „mega miły, pomocny, wporzo typ". Tylko skąd u wporzo typa koszulka ze swastą!? Typ tłumaczy, że nie jest naziolem, że nie lubi Hitlera, lubi Polskę, itp., a koszulka to „tylko wzór"... Nam nie mieści się to w głowie i mówimy, że nie zagramy gigu, jeśli przychodzi tu koleś z takim przekazem na koszulce. Dyskusja się przedłuża, typ obstaje przy swoim, my przy swoim, lokalsi próbują uspokajać tłumacząc, że kolo nie jest naziolem... Po dłuższej chwili typa wyprowadzają z gigu na zewnątrz...

Poza nami grają trzy kapele - VODKA VTRAIOM, ANAREKLI – ekipa, która odbierała nas z lotniska i z którą czilowaliśmy pierwszego dnia w Kutaisi i jeszcze jeden lokalny skład. Muzyka od ostrej po sentymentalno-balladową. Gatunkowo gdzieś w okolicach rocka, nu metalu i ballad. Jest ciekawie. Zgromadzona na sali, w zdecydowanej większości młoda publika bawi się od pierwszych dźwięków płynących ze sceny, choć z każdą upływającą godziną i wypitą w jej trakcie ilością alko, jakby siłowo młodzież coraz bardziej podupada na kondycji. My gramy jako trzeci. Publika jest już więc lekko zdziesiątkowana. Poganiani przez organizatorów wchodzimy na scenę, leci dym, do mikrofonu zamiast Izy podchodzi lokals z poprzedniej kapeli i zapowiada po gruzińsku coś w stylu: „uwaaagaaa uwaaagaaa, przeeed waaaamiiii teeeraaaz wystąpiiii zespóóóóół LIIIIFFEEEE SSSCCCAARRRSS z Pooolskiiii" - rozbrzmiewają brawa i okrzyki, jakby miała zaraz zacząć gig jakaś gwiazda, z dymiarek leci dym... Ja za perkusją, Wika z basem, patrzymy na siebie lekko zdziwieni i rozbawieni sytuacją orientując się w między czasie, że na scenie nie ma Sylwii i Izy. Tymczasem publika nie przestaje skandować „LIFE SCARS! LIFE SCARS! LIFE SCARS!"... klaszcząc, uderzając dłońmi o scenę zachęcając nas do grania... Mówimy, że bardzo nam miło być tutaj, że nie jesteśmy gwiazdą i zachęcamy do skandowania ANTI FASCIST, zamiast nazwy zespołu. Publika podłapuje, a my zyskujemy kilka cennych minut. Za około 10 minut na scenie pojawia się Iza i Sylwia, które Dawid odnalazł w pobliskim sklepie. Zaczynamy gig. Jest zabawa, dźwięk w miarę niezły, choć jakby inny… Publika, z którą nie wygrał jeszcze alkohol uskutecznia tańce i swawole pod sceną.

Po gigu zapoznajemy się z żywą lokalną

legendą - najstarszym punkiem z Kutaisi - Kostkiem i uderzamy na mały spacer po mieście. Punktem kulminacyjnym jest wizyta w... sam nie wiem, jak to nazwać... Po prostu miejscówa, w której sprzedawane jest wino własnej roboty. No i z tym winem właśnie wyszło tak, że chcieliśmy stestować jakiegoś lokalnego winiacza, a okazało się, że odmian tych win jest całkiem sporo, a gościnna

obsługa w postaci dwóch lekko dziabniętych, bardzo miłych i jeszcze bardziej gościnnych starszych panów, nie dała nam wyjść, póki nie spróbujemy każdej z odmian. Nie to, że byli jacyś nachalni, absolutnie. My po prostu dopytaliśmy o winko, jakie rekomendują, zakup zrobiony, butelka pod pachę i do wyjścia, a sympatyczni panowie jakby obrażeni. Szybko zorientowaliśmy się, że nie sama sprzedaż wina jest dla nich największą zajawką, a możliwość poczęstowania, zaprezentowania każdej z odmian win, jakie wyszły spod ich i ich bliskich rąk. Po prostu totalni pasjonaci tego, co robią. No i mega gościnni!

Iza: Po koncercie spaliśmy w hotelu/hostelu. Czuliśmy się trochę niezręcznie, bo nie chcieliśmy, żeby chłopaki dokładali ze swojej kieszeni do naszej trasy, ale okazało się, że dostali jakieś dofinansowanie na koncert w Kutaisi, coś w ramach rozwoju kultury i dostali hajs na jedzenie i nocleg dla nas. Z

jedzeniem Mike mówił, że jak na wigilii, ale to była wigilia razy sto. To jest gruziński styl imprezowania, dużo alko i dużo żarcia, ale to trochę smutne, bo sporo tego żarcia się potem marnuje. Ja tego dnia dostałam jakiegoś przegrzania, bo skończyłam w hotelu pod kołdrą z gorączką i telepawką.
Tbilisi – „Shot" bar obok knajpy „Warszawa". Powrót do Tbilisi był niemal jak powrót do domu, a to dlatego, że po większości objazdowych wycieczek kilka dni przed rozpoczęciem gigów, zazwyczaj na noc zjeżdżaliśmy właśnie do Tbilisi kimnąć na chacie u Davida, usytuowanej w 15-piętrowym oldskulowym bloku z windą, do której trzeba wrzucić kilka drobnych monet, żeby pojechać. Miejsce gigu - "Shot" bar - to praktycznie ścisłe centrum stolicy Gruzji. Nieopodal główny miejski plac, jeszcze bliżej jedna z bardziej znanych knajpek o nazwie "Warszawa", w której menu napisane jest w języku polskim i królują w nim głównie dania z tego dziwnego kraju (niestety głównie mięsne).
Tym razem gramy na we dwie kapele, z naszymi ziomkami z wódkowego trio. Na gig, poza licznie zgromadzonymi lokalsami wbija także spora ekipa punków z Rosji, którzy akurat kończyli tego dnia swój wakacyjny wypad do Gruzji. Frekwencja dopisuje, sala pełna, odbiór bardzo fajny. Próbujemy nawet wystawić zespołowy mercz w postaci kilku koszulek, ale szybko okazuje się, że jedyna opcja dilu to podarowywanie zespołowych koszulek zainteresowanym. Spoko. Po koncercie chill przed klubem. Nazajutrz kierunek Armenia!
Przeddzień gigu w Armenii 3/4 LIFE SCARS obudziło się z zatruciem pokarmowym. Do końca nie udało nam się odgadnąć, skąd takie dolegliwości. Słyszeliśmy, że trzeba na to uważać i byliśmy na to wyczuleni, a tutaj o! Głównym podejrzanym stał się arbuz. W moim przypadku kumulacja złego samopoczucia przypadła na dzień, w którym jechaliśmy do Stolicy Armenii - Erywań. Jeszcze przed samym gigiem czułem się, jak totalny flak wypłukany z energii, ale kima i jakieś medykamenty postawiły mnie na nogi. Przynajmniej na tyle, żeby zagrać koncert. Ale zostawmy ten mało ciekawy wątek. Armenia - jesteśmy tu pierwszy raz i już ten fakt sprawia, że jest podjara! Przekroczenie granicy gruzińsko-armeńskiej wręcz nie odczuwalne - sprawna kontrola paszportowa i jesteśmy po drugiej stronie. Ogólne wrażenie to widoczna bieda (no, może poza ścisłym centrum stolicy z klubami dla bogaczy, furami jakby prosto z salonu, itp.),

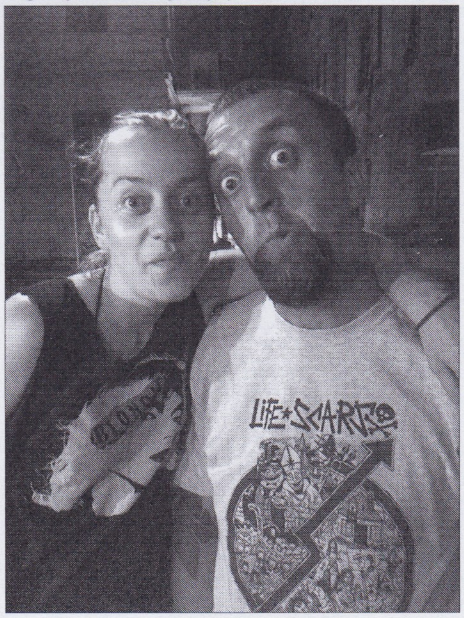

ale taka swojska, czy może raczej przyjazna bieda. Do tego natura - jakby mniej skażona ręką człowieka przyroda z podobnymi do tych z Gruzji pięknymi, górskimi, zielonymi widokami. Z Tbilisi do Erywania jedziemy na dwie fury. Ja z Izą łapiemy się na miejscówki w minivanie znajomego chłopaków z VODKA VTRAIOM. Dojeżdżamy sprawnie, co cieszy ze względu na słabszą dyspozycje zdrowotną. Na miejscu zostawiamy graty w miejscówie, gdzie będziemy kimać - chyba 6 piętro w wysokim bloku w totalnie starym stylu - jest klimat. Jest to chata, jakby tutejszej komuny a la hipisów/artystów. Do końca nie zaczaiłem ich bajki, chyba przez to, że skupiłem się głównie na szukaniu miejsca na krótką, przedkoncertową kimę i powrocie do sił. Po odpoczynku ciśniemy do klubu „DAS", w którym gramy tego wieczora z lokalną grupą VARAKVATZ. Ich styl określiłbym jako chaos punk, ale nie wiem, na ile jest to trafne po jednym odsłuchu ich seta na żywo, tym bardziej, że z tego, co załoga mówiła po występie - nie był to gig życia i chyba ogólnie nie bardzo słyszeli siebie nawzajem… Jak się okazało, gitarzysta z tej kapeli jest oryginalnie z Los Angeles, ale od paru dobrych lat mieszka w Erywaniu i tu układa sobie życie, a do L.A. wraca tylko od święta, jak sam mówi niezbyt chętnie. Ciekawe.
Gig raczej z tych spokojniejszych. Frekwencja raczej mała. Ale jest miło. Po krótkiej posiadówie i spacerku po okolicznych uliczkach zawijamy na chatę. Ja w dalszym ciągu skupiony głównie na opcji powrotu do sił zagryzanej stoperanem, więc odpadam z imprezy jako pierwszy, słysząc odgłosy seksu uprawianego przez kogoś, z goszczącej nas hipisiarskiej ekipy.
Następnego dnia dostajemy fatalną wiadomość - kolega VODKA VTRAIOM, który przywiózł nas i część ekipy z Gruzji do Armenii musiał w nocy wracać do domu, ponieważ dostał telefon z informacją o śmierci swojego taty. My natomiast mamy day offa i decydujemy się ruszyć nad sławetne jezioro Sewan, gdzie spędzamy miłe popołudnie. Po kilku godzinach kąpieli i plażingu wracamy do Gruzji. W zasadzie logiczniej byłoby ruszyć prosto do Azerbejdżanu, gdzie gramy następny gig, jednak stosunki Armenii z Azerbejdżanem są tak napięte, że nie ma opcji przekraczania granicy dzielącej te państwa. Jedyną opcją jest powrót do Gruzji i dopiero potem do Azerbejdżanu. Ruszamy zatem do Gruzji! W związku z tym, że zostaliśmy z mandżurem, bez transportu, a frekwencja na gigu w Erywaniu też nie należała do najlepszych, lecimy na stopa. Szybko okazuje się, że armeńska opcja autostopowa działa prawie tak dobrze, jak gruzińska. Do pierwszego auta, które się zatrzymało pakujemy się w 5 czy 6 osób, pomimo, że nie ma nawet tyle miejsc siedzących i nie to, że my jakoś cisnęliśmy na taką opcję, po prostu kierowca zaprosił wszystkich, którzy tylko mogli się zmieścić. Na późniejszych odcinkach rozdzielamy się na mniejsze, 2-3 osobowe grupy i lecimy dalej. W moim i Izy przypadku, stop, którego złapaliśmy z Davidem do armeńsko-gruzińskiej granicy to była taksówka. Z miejsca wytłumaczyliśmy kierowcy, że łapiemy stopa, a nie taksi, bo nie mamy kasy, na co uśmiechnięty kierowca ze spokojem odparł „wiem, wsiadajcie". Po drodze karma do niego wróciła - po kilkudziesięciu kilometrach zatrzymała go policja ostatecznie puszczając bez mandatu, jak się okazało m.in. dzięki temu, że powiedział im, że wiezie nas za friko, a oni mu jeszcze mandat chcą wlepiać. Skończyło się na uścisku ręki i pozdrowieniu sygnałem klaksonu podczas rozjechania się w przeciwne strony.
Do Azerbejdżanu ruszamy późnym wieczorem. Baku położone jest na drugim końcu kraju patrząc z perspektywy granicy z Gruzją, więc podróż przeładowaną marszrutką trwa całą noc i był to chyba najbardziej wyczerpujący przejazd na trasie. W moim przypadku każda próba uśnięcia

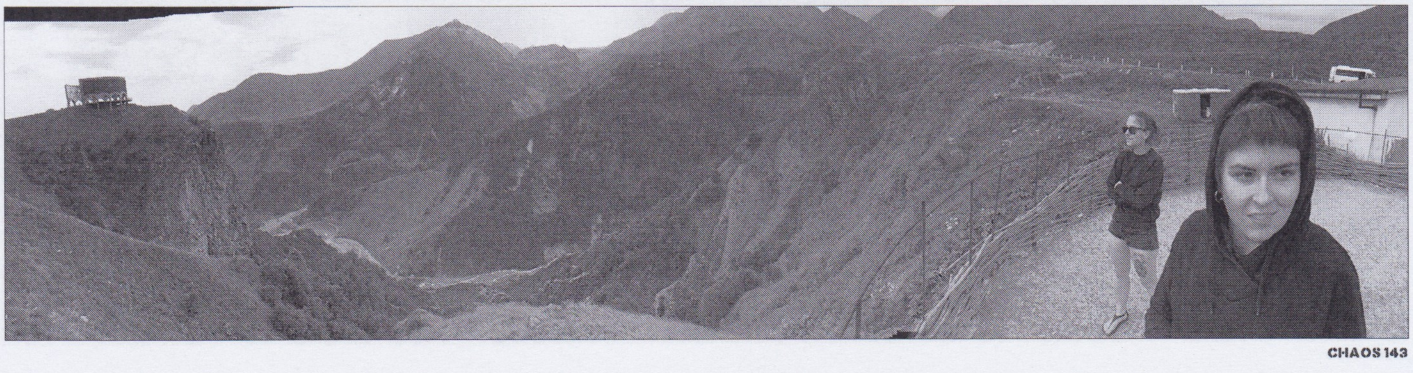

w jakiejkolwiek pozycji siedzącej kończyła się pobudką w postaci krzyków do kierowcy, których nadawcą był osobnik zajmujący miejsce stojące tuż obok mnie. Dla mnie te krzyki brzmiały jak opierdol w nieznanym języku. Po jakimś dziesiątym razie zorientowałem się, że taka jest tutaj stylówka rozmów i nikt nikogo nie obraża. Tak czy siak, ze spania nici, a że kondycja po zatruciu była taka sobie, to do Baku docieramy na konkretnej wyjebce (a przynajmniej ja). Na miejscu jesteśmy nad ranem. Okazuje się, że typ, który ogarnia gig i miał nam pomóc z dostaniem się z tutejszego PKS-u do niego na chatę nie odbiera telefonu. Ciśniemy więc taryfą i będąc pod domem typa dowiadujemy się, że kima. Główny cel tego poranka to kawałek wolnego miejsca gdziekolwiek i kima. Na dobitę orientujemy się, że pokój, w którym mieliśmy kimać ma nad łóżkiem rozwieszoną flagę konfederatów... Wybieramy więc kimę na obszczanym przez koty dywanie w sąsiednim pokoju zostawiając pytania o flagę na po odespaniu (jak się później okazuje z relacji ekipy z VODKA VTRAIOM typ jest ich bardzo dobrym ziomkiem, gościem z tych do rany przyłóż, gotowym do pomocy o każdej porze dnia i nocy, ale ma też swoje dziwne baje w stylu pro putinowskie poglądy, itp. - dla nas ciężki temat i nie bardzo zrozumiały, ale widać, co kraj to obyczaj... pozostaje niesmak).

Po krótkiej kimie ruszamy na tzw. miasto. Mamy jeden dzień, więc fajnie byłoby coś zobaczyć będąc tak daleko domu. Ogólnie Baku raczej nie przypada nam do gustu. W centrum uderza nas taki przepych, że czujemy się jakbyśmy chodzili po podwórku 5-cio gwiazdkowego hotelu i nie mogli z niego uciec. Podczas przeprawy podziemnym przejściem wykonanym z marmuru pytamy czy wszystkie przejścia są tu tak odjebane? W odpowiedzi dowiadujemy się, że idziemy tym z serii słabszych... Zajawa na kąpiel w Morzu Kaspijskim także zostaje nam skutecznie wybita z głowy. Okazuje się, bowiem, że z powodu wydobywania ropy woda w promieniu jakichś 100 km jest tu tak zanieczyszczona, że chłopaki z VODKA VTRAIOM, jak kiedyś zdecydowali się tu wykąpać to nie mogli się domyć z ropy przez kolejne trzy dni... Upał bez zmian, czyli coś między 37 a 40 stopni Celsjusza i daje się to odczuć. W końcu docieramy jednak do klubu „La Chateau”, w którym mamy grać tego wieczoru. Przyjemna miejscówa w podpiwniczeniu kamienicy.

Lokalna ekipa ogarnia soundcheck, który chyba sprawiał im frajdę, bo trwał około 3 godzin, my w międzyczasie trochę odpoczywamy, trochę włóczymy się po okolicy, aż nastaje wieczór. Gig frekwencyjnie wypada bardzo dobrze, około stu osób wbija na party. Wiekowo od nastu do pięćdziesięciu paru lat, więc też ciekawie, nasze granie chyba było dosyć nietypowe, bo spotyka się z dużym zainteresowaniem oraz z aplauzem! Po gigu zawijka na chatę, by następnego dnia w miarę wcześnie wyruszyć do Gruzji, czyli jakieś 600 km przed nami. Jednymi z ciekawszych atrakcji jest widok wielbłądów wypasanych na polu nieopodal trasy naszego przejazdu, oraz przejazd przez miejscowość o przykuwającej uwagę nazwie - Ganja. Dobra frekwencja na gigu w Baku sprawia, że możemy skorzystać z lepszego środka transportu niż dojechana marszrutka, dzięki czemu całkiem sprawnie i komfortowo docieramy do gruzińskiej granicy, a następnie do Tbilisi. Tutaj rozstajemy się z Sylwią, która musi niestety odbijać już na powrotny samolot. Nam natomiast zostają dwa dni turystyki, które rozpoczynamy od spacerów po Tbilisi, by następnego dnia ruszyć stopem do Batumi. Zbieranie się do wyjazdu zeszło nam trochę dłużej niż planowaliśmy. Musieliśmy chyba po prostu odespać swoje. Natomiast zaraz po przebudzeniu dostajemy info, że razem z nami do Batumi uderzy David oraz nasz nowo poznany, gruziński kumpel - Balu. Jak się okazuje towarzystwo Davida było kluczowe. Do Batumi docieramy niezawodnym gruzińskim stopem całkiem sprawnie. Jednak z racji opóźnionego wyjazdu jest już ciemno, gdy docieramy do celu, a z każdym kilometrem przybliżającym nas do Batumi, czujemy, że powietrze jest coraz bardziej duszne, a pot na rękach jakby coraz bardziej lepki - uroki semi tropikalnego klimatu, jak informuje nas David. Gdy docieramy na chatę położoną jakieś 20 km od Batumi nie bardzo wiemy, gdzie jesteśmy. Jest ciemno, nie bardzo jest jakieś światło, przedzieramy się przez krzaczory i po schodkach wchodzimy na duży taras prowadzący do dwóch pokoi, w których możemy kimać. Jest to chata znajomych Davida, którzy gdzieś wyjechali i przekazali, że możemy się rozgościć. Mimo, że jest około północy temperatura jest wciąż wysoka. Decydujemy się, więc uderzyć na dziką plażę i kąpiel w Morzu Czarnym oddalonym o jakieś 500 metrów od chaty. Plaża kamienista, dookoła sporo porozbijanych namiotów, gwieździste niebo i cieplutka woda - po prostu bajka! Ciekawym motywem jest zjawisko polegające na tym, że gdy płyniesz nocą w Morzu Czarnym, to za twoimi kończynami, którymi odpychasz się od wody powstają, coś, jakby wodne świetliki - w dalszym ciągu nie wiem, jak wytłumaczyć i czym spowodowane jest to zjawisko, ale tej nocy tylko podbiło magiczny klimat. Po nocnym plażingu i wygłupach w wodzie wracamy na szamkę i kimę.

O poranku zaczynamy rozumieć, dlaczego David był tak podjarany, gdy dostał wiadomość, że możemy wbić na tę chatę oraz co miał na myśli mówiąc poprzedniego wieczoru „welcome to the jungle”, gdy wchodziliśmy w ciemnościach na teren posesji. Pierwszym widokiem, jaki ujrzeliśmy po przebudzeniu i wyjściu na taras były ogromne liście bananowców, dalej wysokie bambusowce, gdzieś między nimi strumyk, a wszędzie wokół pełno zieleni. Ogólnie widoki, które do tej pory mieliśmy okazję widzieć raczej w serialach typu „Żar tropików” niż w realu - pięknie. Po śniadaniu wracamy nad morze i okazuje się, że cała dróżka prowadząca na plażę jest również malowniczo piękna, gęsto zarośnięta, po prostu lux! Temperatura na dworze w okolicach 40 kresek, woda wydaje się być chłodniejsza tylko przez chwilę od momentu, kiedy wchodzimy do niej z brzegu. Wygłupiamy się, więc trochę na falach, po czym zawijamy do centrum Batumi, by sprawdzić, co skłoniło Filipinki do napisania piosenki, o tym mieście i jak na żywo wyglądają sławetne herbaciane pola. Okazuje się, że samo centrum Batumi nie jest tak fajne, jak jego zielone, naturalne obrzeża. W zasadzie centrum, jak każde inne - deptaki, stoiska z drogimi pamiątkami i szamą dla turystów, itp., itd. Uciekamy więc spacerować nieco dalej od centrum i klimat jest coraz bardziej swojski, coraz mniej komercyjny. Z Batumi zawijamy prosto do Kutaisi, skąd wieczorem startuje nasz samolot do PL.

Mike i Iza

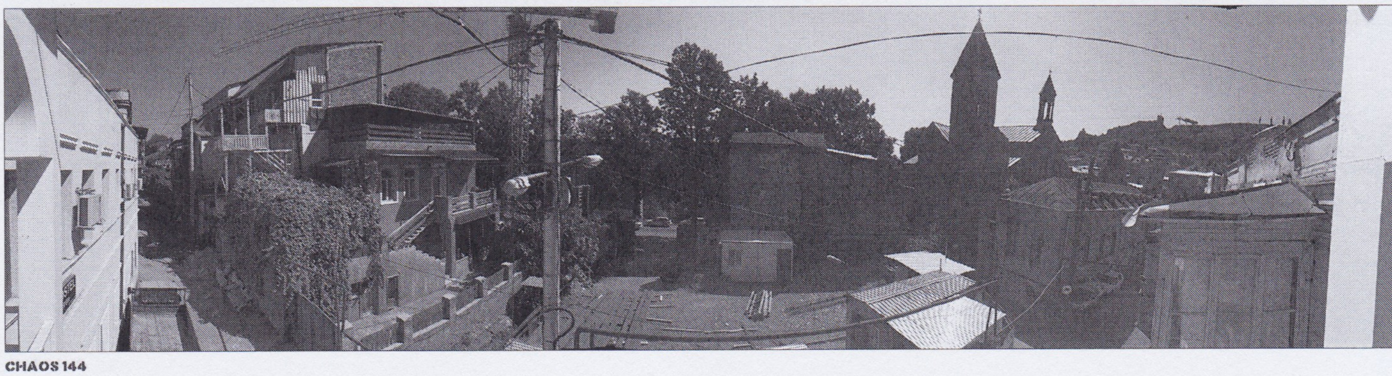

VICIOUSXREALITY SUMMER 2017

20/07 PRAGUE PRE-FLUFF MATINEE
21/07 FLUFF FEST
24/07 BUDAPEST
25/07 VIENNA

MINI TOUR NR 1
Na Fluff Fest jeżdżę od 2002 roku. W każdym razie taką datę mam na koszulce POINTING FINGER, którą tam wtedy kupiłem. Miałem dwa/ trzy lata przerwy w festiwalu, miejsce to zaczynało mnie męczyć i postanowiłem sobie dać czas na regenerację - męczyło mnie ciągłe gadanie o basenie, ale od kilku lat jeżdżę tam znowu i jest bardzo fajnie. Niesamowite, jak ten festiwal przez lata rozrósł się, ale te pierwsze edycje z kilkoma namiotami na polu też nie miały nic sobie do zarzucenia.
Na około pół roku przed XVII edycją festu Robert Refuse, nasz super kumpel i współwydawca epek VICIOUS X REALITY, napisał nam maila, że jeśli pasuje nam termin, to w tym roku Fluff Fest możemy zobaczyć od strony sceny. Była podjarka, szybki sprawdzian terminów czy, aby nikt z nas gdzieś nie jedzie wtedy, bo nasz perkusista Damian jest zapalonym turystą rowerowym i lubi w tym terminie pojechać na rowerze do Stambułu czy Helsinek, ale wszystko pasuje i odpowiadamy szybko, że jedziemy. W międzyczasie dowiadujemy się, iż nasi koledzy, z którymi spędziliśmy 10 dni na trasie po południu Europy, zespół HEATSEEKER też jadą, co jeszcze bardziej nas podkręca, bo uwielbiamy tych typów. W okresie do lipca dogadujemy wyjazd, czy jedziemy jednym busem, czy na dwa, bo szukamy koncertów zarówno przez Fluffem jak i po. Raz trasa się rozrasta do dwóch tygodni, raz kurczy, nie wszystkim pasuje, koleś z Budapesztu raz pisze, że nie da rady zrobić koncertu naszym kapelom potem, że tylko nam, potem, iż obu, a generalnie to niech spierdala, ale o tym później, hehe. OK jedziemy!

20 lipca 2017, Praga
Najpierw dzień wcześniej zbiórka u mnie na chacie w Częstochowie, czy jak mówi pewien historyk obecnie mieszkający w Poznaniu - Częstochujowa - ale ja temu zaprzeczam i kocham to miasto! Część z nas mieszka i pracuje w Krakowie, bus pożyczamy z Krakowa, więc chłopaki muszą dojechać do miejsca bazy VXR, nocleg i rano wyruszamy w kierunku Pragi. Prócz zespołu jedzie z nami moja dziewczyna Agata i nasz dobry ziomek Łukasz z Kolbuszowej, znany też w Polsce może bardziej z nazwiska Nowak. Podróż przebiega spokojnie, Łukasz coś tam narzeka na jabłko ode mnie, ale już nie pamiętam, o co mu chodziło. Gdy docieramy do Cafe na Pul Cesty nieźle leje, koncert już trwa. Dodam tylko, że jesteśmy tam już trzeci raz, uwielbiam to miejsce, świetny klimat, do tego wszystko w parku, więc dużo zieleni i dużo terenu gdzie wcześniej graliśmy dwa razy w piłkę nożną, tym razem nie pogramy, no bo pada. Dużo ludzi, Pavel, organizator koncertu, biega i zbiera od ludzi kasę - w Cafe na Pul Cestu jest zasada płacisz ile chcesz, co tam się super sprawdza i nigdy nie zostaliśmy pokrzywdzeni, jeśli chodzi o zwroty, dobre jedzenie. Najbardziej podobało mi się muzycznie CONSTRICT z Hiszpanii. Dużo znajomych, spotykamy się też już z chłopakami z HEATSEEKER, którzy po koncercie zostają w Pradze, a my zabieramy do naszego busa Roberta Refuse, Madzie Edge i jedziemy w kierunku Rokycan, by noc spędzić już na polu namiotowym Fluff Festu i nie jebać się następnego dnia z dojazdem, a Pragę mieliśmy już okazję zwiedzać kilka miesięcy wcześniej, więc tym razem olewamy zwiedzanie.

21-24 lipca, Rockycany
Od samego wjazdu na teren festu widzę, iż od strony zespołu jest to wszystko super

zorganizowane. Dostajemy kopertę z listem od organizatorów, co i gdzie znajdziemy. Mnie generalnie najbardziej przypadł do gustu pewien toitoi za sceną, zawsze miałem problem na festiwalach porządnie się wysrać, takie życie. Toitoie zazwyczaj sprawiają u mnie odruchy wymiotne, a ten tajemniczy toitoi jest odkryciem dla mnie tego festiwalu. Jest też dla mnie ciekawym to, że na tak sporą listę kapel, kilka scen, nie ma tam mowy o jakichś obsuwach, opóźnieniach, wszystko pracuje jak w zegarku z melodyjką. Z zespołów podobało mi się najbardziej MODERN LOVE - super występ, kolesie grają rocka, a wcześniej grali w moich ulubionych kapelach jak DAMAGE CONTROL i SUBJECT TO CHANGE, super muzyka, bardzo dobra stylówa wokalisty. BIRDS IN ROW był bardzo ok, a SECT wgniotło mnie w ziemię. Myślę, że polskie zespoły bardzo dobrze wypadły i serio nie mamy się, czego wstydzić: HEATSEEKER miał trudne zadanie, otwierali ten festiwal i wypadli zajebiście, PAST bardzo dobrze, STREGESTI bomba! Najtrudniejsze zadanie chyba miało LIE AFTER LIE z Wrocławia, bo grali jako pierwsi w niedzielę, kiedy każdy jest już zmęczony muzyką i woli sobie posiedzieć na basenie, ale oni jak dla mnie wygrali ten fest. Gdy zaczynali grać była garstka ludzi, gdy kończyli namiot koncertowy był prawie pełny, a ja miałem łzy w oczach. Uwielbiam ten zespół! A i spóźniłem się na TIME TO HEAL ze Szwecji, a zagrali, z tego, co widziałem dużo lepiej niż rok wcześniej u nas w Częstochowie, więc żałuję spóźnienia, za to widziałem, że nasz Maciej - wokalista - dużo skakał po ludziach. Ja preferuje old school hard core, tego mało było w tym roku, za to dużo nowej szkoły i Nowak był zadowolony.
Dodam tylko, iż wspomniany przed chwilą nasz wokalista, Maciej Słonik, po naszym koncercie w piątek musiał się zebrać na pociąg, by w sobotę być w Częstochowie na ślubie siostry, a w niedzielę do nas wrócił.

Fot: Call Me Killer

25 lipca, Budapeszt
Nie śpimy po niedzielnych koncertach w Czechach. Postanawiamy ruszyć nocą do Budapesztu, by od rana zwiedzać, zresztą nocleg na polu namiotowym jest ciężki, bo do godzin rannych dyskotekowe dudnienie, z którego zadowolona jest tylko Agata, bo

REFUSE RECORDS

REFUSE RECORDS JESIEŃ/ZIMA 2017

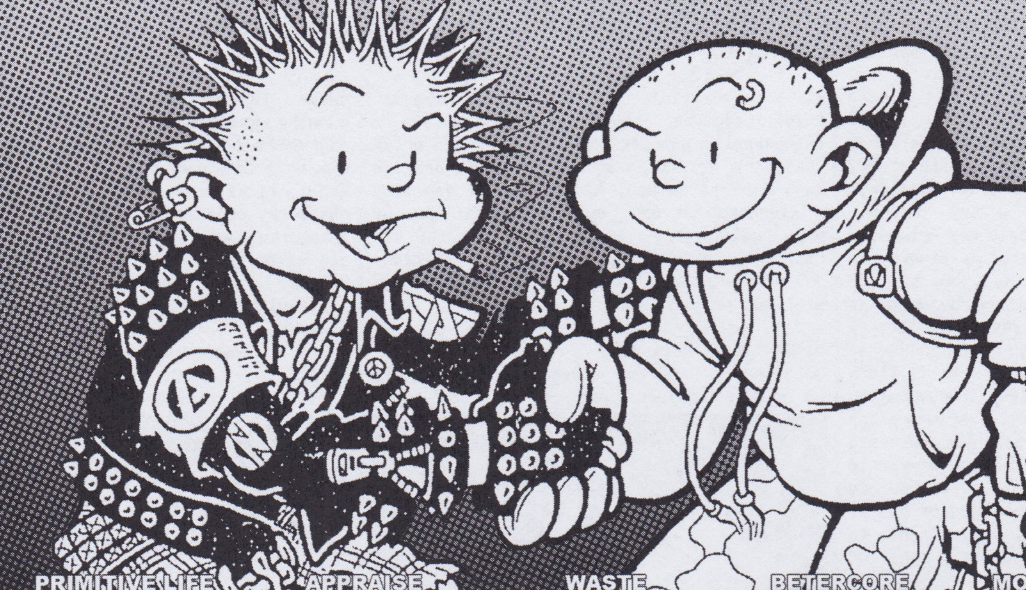

PRIMITIVE LIFE

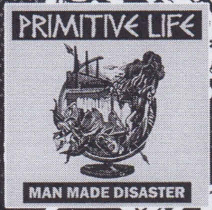

"Man made disaster" 7"EP
Berlin Straight Edge.

APPRAISE

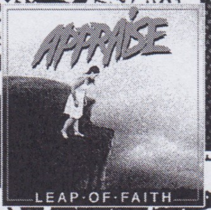

"Leap of faith" 7"EP
Barcelona Hardcore.
Najnowszy EP.

WASTE

"Executioner" 7"EP
Mocny SEHC z żeńskim wokalem - Szwecja.

BETERCORE

"Completely out of control!" LP
Dyskografia 1998-2003.
Szaleńczy hc/thrash/punk aka youthcrust z Amsterdamu

MODERN LOVE

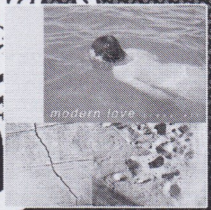

"Tross alt" LP
Oslo HC z wpływami DCHC połowy lat 80. i post punk. Członkowie Damage Control, Death Is Not Glamorous i Subject To Change.

FUCK IT I QUIT

"In the shadow of extinction" 7"EP
New Jersey Straight Edge.
Szybki i polityczny HC, ex-Ensign

NATIONS ON FIRE

"Strike the match" LP
Reedycja klasyki SEHC z Belgii.
Positive Political Powerful!

APATIA

"Duma i pycha" LP
Koncertowy materiał zarejestrowany podczas Róbrege '90.

VITAMIN X

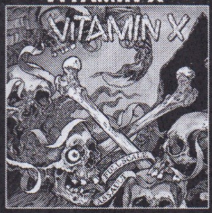

"Full scale assault" LP
Czołowy europejski SE/HC/Thrash.
Reedycja czwartej płyty Holendrów z 2008.

CUTTING THROUGH

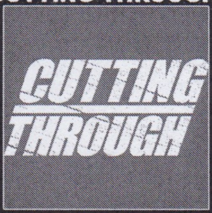

"Demo" 7"EP
Portland Straight Edge.
Ex-Get The Most / Fired Up.

VICIOUSxREALITY

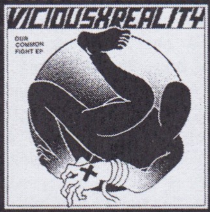

"Our common fight" 7"EP
Holy City SEHC.
Druga epka w dorobku.

HEATSEEKER

"On the ropes" 7"
Agresywny brudny hardcore z Warszawy. Moc!

GOVERNMENT FLU

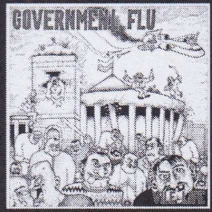

"Vile life" 12"
Pierwsza liga HC w Polsce i w Europie. Najnowszy materiał.

MISLED YOUTH

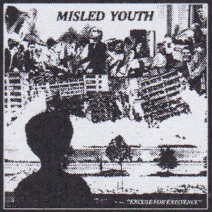

"Excuse for existence" 7"EP
Washington DC hardcore w tradycji lat 80. Druga epka w dorobku.

TRIAL

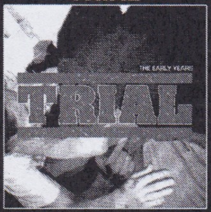

"The early years" 2xLP
Legendarny SEHC z Seattle.
Nagrania z lat 95-98.

Również dostępne:
SCHWACH "Kein bock" LP, CORRECTIVE MEASURE s/t 7", CLEAN BREAK s/t 7", OPEN WOUNDS s/t 12", PROTESTER "The first two years" 12", NATIONS ON FIRE "Burn again..." 12", COKE BUST "Confined / Anthology" CD, APATIA "Demo 1990" LP, HACESJA 7", ZŁODZIEJE ROWERÓW "Demo 1995" LP+DVD

W planach:
ODD MAN OUT LP, SCRAPS "Dismantle the machine one cog at a time" LP, REGRES 7", V/A "Warsaw's Burning vol.2" 7"

REFUSE RECORDS www.refusemusic.net refuseorder@gmail.com

podczas Fluff Festu pojawiała się w naszym namiocie nad ranem. Gdy dojeżdżamy do Budapesztu miasto jeszcze śpi, trochę się płączemy i gdy już słoneczko ładnie świeci rozkładamy się i śpimy w jakimś parku dla dzieci. W między czasie dołączył do nas Andris aka Szalony Węgier wraz z Natashą, koleżanką z Ukrainy. Andris to kolega, który robił nam poprzedni koncert w tym mieście i wydawca takich zinów jak: „Value of Words" i „Fantasy World". Niestety tym razem nie udaliśmy się, jak poprzednio, do miejskiej sauny pobiegać z gołymi tyłkami, ale za to sporo pozwiedzaliśmy. Koncert graliśmy z SAFE AND SOUND i WAKE OF HUMANITY oraz węgierskimi kapelami TOUCH i nową kapelą typów, którzy grali kiedyś w HOLD X TRUE, niestety nie pamiętam nazwy. Na koncercie nawet sporo ludzi. Gramy jako pierwsi, ogólnie cały koncert wszystkich kapel bez zabawy, no może na ostatnim tego wieczoru TOUCH, którzy tego dnia świętowali wydanie swojej debiutanckiej epki, było trochę zabawy. Po koncercie dowiadujemy się, iż nie dostaniemy tego dnia za koncert kasy, za bardzo nie załapaliśmy się też na jedzenie. Koncert był, podobnie jak w Pradze, robiony na zasadzie „płacisz ile chcesz", ale jak pisałem wyżej, Pavel na swoim koncercie biegał non stop, zaangażowany i prosił ludzi o wpłaty, w Budapeszcie nie widzieliśmy w ogóle zaangażowania na bramce, wręcz typy olewały swoją robotę. Wkurwiło nas to trochę, bo jechaliśmy na ten koncert 600 km, do tego 20 euro wydaliśmy na winietę, no i jeszcze nocleg - gościu, u którego spaliśmy poinformował nas, że musimy wyjść o piątej rano od niego, bo idzie wtedy do pracy (a była pierwsza w nocy), ale za to ma dla nas przygotowane śniadanie. Śniadaniem okazało się pięć bananów i ze trzy to były chyba brzoskwinie. Wkurwiliśmy się jeszcze bardziej, Słoń nasz głównodowodzący w zespole, napisał organizatorowi, co myślimy o jego postawie i od słowa do słowa udało nam się dostać od niego 40 euro przelewem na paypala. Organizator miał nam potem jeszcze odpisać i wytłumaczyć, dlaczego nie jest dupkiem i czemu jego kapela TOUCH jest spoko, ale że nie odpisał, to zostaję przy swoim zdaniu. Od znajomego Słowaka usłyszeliśmy jeszcze, iż kolesie podobno przybijają piony z naziolami, więc tym bardziej, jeśli to rzeczywiście prawda: fuck off!

26 lipca, Wiedeń

Gdy byliśmy tu poprzednio nie udało nam się w ogóle zwiedzić tego miasta. Tym razem sporo pochodziliśmy, byliśmy też na wypasionym obiedzie, gdzie płacisz raz, a jesz ile zmieścisz. Po braku żarcia w Budapeszcie naprawdę sporo nam weszło. Gramy znowu z Amerykanami z SAFE AND SOUND i WAKE OF HUMANITY - Łukasz Nowak zachwycony, bo w sumie na nich pojechał, bardzo fajne typy, szczególnie wokal WAKE OF HUMANITY z wyglądu morderca (może za ostre porównanie, hehe), a przemiły facet. Koncert robi nam Reinhard - super typ, który zarówno teraz, jak i poprzednim razem, ugościł nas na bogato. Klub w stylu skłoterskim, może trochę brudno jak na styl skłoterski, ale my najlepiej czujemy się w takich miejscach i dobrze nam się gra w miejscu, gdzie jest kibel, w którym jest pełno naklejek na ścianach, sterylka nie jest dla nas. Chłopaki walczą ze mną do ostatniej chwili, chcą po koncercie spać u Reinharda, myślą cały czas o ostatnim śniadaniu u niego, ale ja jakoś umawiając się na ten kilkudniowy wypad zrozumiałem, że wracamy od razu po Wiedniu i nie zaznaczyłem w robocie, iż mnie nie ma. Mam nowego szefa, którego wtedy jeszcze do końca nie wyczułem i nie wiedziałem czy mogę tak sobie olać i nie przychodzić, dzisiaj już wiem, że mogę, hehe. Tak więc w nocy powrót, podliczenie u mnie na chacie całego wyjazdu, który finansowo mimo tylko 40 euro w Budapeszcie nie wyszedł tak źle, no i powrót do rzeczywistości. Bardzo lubię jeździć z tymi chłopakami na koncerty, bardzo spoko się dogadujemy, rozumiemy i mam nadzieję, iż pojedziemy gdzieś jeszcze nie raz.

MINI TOUR NR 2

Z RADIANCE zagraliśmy już parę pojedynczych koncertów, a kilka miesięcy temu byliśmy na dwudniowym wyjeździe w słowackich Koszycach i Rzeszowie. Bardzo lubimy tych chłopaków stacjonujących w Krakowie i dobrze się z nimi czujemy, toteż pomyśleliśmy, że wybierzemy się z nimi na kolejny weekendowy wyjazd. Tym razem padło na Pilzno w Czechach, Plauen i Lipsk w Niemczech. Busa pomogli nam ogarnąć koledzy ze Śląska, zresztą już kiedyś nim jechałem z MENTALLY ILL i wiedziałem, iż to auto jest bardzo spoko, a ciekawostką jest to, że jeździ nim zespół Piersi i należy do ich perkusisty - te Piersi od „Bałkanicy", nie od Kukiza oczywiście, hehe. Bus w dzień od razu rzuca się wszystkim w oczy, bo jest wyklejony w ciapki moro, ma duże napisy reklamujące np. salkę prób, są też napisy Piersi, to też, gdy jedziemy przez Polskę i zatrzymujemy się na przykład przy Biedronce, to każdy zwraca na nas uwagę, a jeden typek nawet dopytuje się czy gramy dzisiaj w Kłodzku.

29 września, Pilzno

Koncert w Pilznie organizuje nam młody 19-letni chłopak, który widział nasz występ na Fluff Feście i był nami podjarany. Ja się cieszę, bo nie byłem w tym mieście kilka lat, a wcześniejsze edycje Fluff Festu odbywały się właśnie tam, więc się ucieszyłem, iż znowu odwiedzę to miasto. Przyjeżdżamy odrobinę spóźnieni, parę minut po dwudziestej, organizator mówi, że mamy mało czasu, bo o 21.00 musi się koncert skończyć. Na szczęście później się okazuje, iż typkowi chodziło o 22.00, bo na chwilę wpadliśmy w panikę, jak trzy kapele mają wyrobić się w godzinę, bo gramy jeszcze z STRANGER DIMENSIONS z Belgii, ale dwie godziny to już dużo czasu. Frekwencja taka sobie, może z 40 osób. Zaczyna RADIANCE, bardzo wyrobił się ten zespół w ostatnim czasie, co prawda od początku chwycili mnie za serce, ale przyznaję, że teraz grają o wiele lepiej i słychać, iż na próbach nie próżnują i wszystko tu się ładnie klei. Potem Belgowie, przyznam, że pierwszy raz spotkałem się z możliwością płacenia kartą na stoisku dystrybucji, a tam jeszcze zapalniczki z logiem zespołu i głowa manekina ubrana w czapkę z logiem zespołu, jakoś nas to wprawiło w dobre humory. Muzycznie to taki metalcore, nie znam się za bardzo na tym. W każdym razie typy jeszcze miały postawioną na podłodze przezroczystą skrzynkę, na którą co chwilę któryś z gitarzystów lub wokalista stawiali nogę, albo nawet wchodzili na nią. No i sprzęt, na którym grali, hmm można by za to kupić chyba całkiem spoko mieszkanie. Po nich gramy my. Za bardzo nie lubię pisać o sobie, tak więc jak i w przypadku relacji z Fluff Festu nie rozpisuję się o naszym graniu. Nam ostatnio prawie zawsze gra się dobrze, a czy komuś się podoba z publiki czy nie, to już indywidualna kwestia.

Śpimy na chacie u organizatora, który w drodze na chatę mówi nam, iż nie powiedział jeszcze mamie, że nocuje 13 osób. Podjeżdżamy pod blok, kolega dzwoni do mamy, coś tam mówi

po czesku, ciężko zrozumieć, ale z gry ciała i szybko skończonej rozmowy widzimy, iż nie jest dobrze. Mimo to twardo idziemy na chatę. Rozkładamy śpiworki, myjemy się i gdy już leżę w śpiworze nagle otwierają się drzwi do pokoju i wpada kobieta w koszuli nocnej i krzyczy po czesku: spierdalajtie, wychoditie - nie wiem za bardzo, co mam robić, przezornie zakładam skarpetki, żeby w razie spierdolki być w miarę gotowy. Coś tam jeszcze syn z mamą głośno dyskutuję, słyszę jeszcze jakiś męski głos, ale po chwili robi się cisza i idziemy spać. Rano budzimy się przed ósmą i po cichutku wychodzimy, by nie zbudzić mamy.

30 września, Plauen

W Plauen już graliśmy dwa lata temu podczas mini traski VXR i REGRESU. Mała, bardzo przyjemna niemiecka miejscowość. Tym razem gramy w innym miejscu, w jakimś kompleksie pofabrycznym przerobionym na centrum kultury. Koncert jest benefitem na uchodźców znajdujących się w tej miejscowości. Mała miejscowość, a żyje tam obecnie około dwóch tysięcy uchodźców, podczas gdy Polska nie przyjęła nawet jednego. Na koncercie nawet sporo ludzi, na bramce stoją chłopaki, którzy pewnie kilka tygodni wcześniej musieli przedrzeć się przez serbskie zasieki na granicy, później mówili organizatorowi, że pierwszy raz są na takim koncercie z mocną muzyką, ale im się podoba. Gra około siedmiu kapel. Jak to w Niemczech często bywa, koncert zaczyna się dosyć późno i my śpimy sobie troszkę w salce, gdzie trzymamy sprzęt. Naszym opiekunem jest Manu, super ziomek, który organizował nam ten regresowy koncert dwa lata wcześniej. Manu wtedy mnie bardzo zaskoczył, bo teksty REGRESU śpiewał razem ze mną. Nie pamiętam za bardzo nazw zespołów, które grały tego wieczoru i nie potrafię ich powiązać z zespołami występującymi na scenie, bo było tego, jak wspomniałem, sporo. Na ogół były to niemieckie beatdowny, ale dwie kapele bardzo przypadły mi do gustu. Koncert bardzo dobrze zorganizowany, my gramy ze swoimi zespołami na końcu. Wzmacniacz gitarowy tak sobie głośno ustawiam podczas próby, a typki z publiki mi jeszcze pokazują, iż super, a kiedy zaczynamy grać pierwszy kawałek orientuję się, że jednak przesada i nie słyszę nic prócz siebie i rytm perki wyłapuje wzrokowo, hehe, potem jest już OK. Śpimy w wielkiej stołówce, gdzie odżywiają się uchodźcy. Dostajemy super łóżka polowe, a Krystian z RADIANCE na pytanie czy organizator nie ma pożyczyć śpiwora, bo zapomniał z chaty, dostaje nowiutki, super śpiwór, który może już sobie na stałe zatrzymać (zdaje mi się, że z RADIANCE to chyba nikt śpiwora nie miał, ale tylko Krystian miał odwagę zapytać się, hehe)

1 października, Lipsk

Do Lipska dojeżdżamy dosyć wcześnie. Poprzednim razem jak tu byliśmy, nie wyszliśmy poza teren koncertu, teraz zwiedzamy. Najpierw z pół godziny niektórzy z nas biegają po centrum miasta szukając darmowego kibla - jest niedziela i galerie handlowe zamknięte, na szczęście znaleźliśmy jakąś kawiarenkę, gdzie ustawiamy się w kolejce do łazienki. W Lipsku jakoś ogólnie długo czegoś szukamy, bo dosyć długo też szukamy kawiarni, żeby posiedzieć przy kawie. Szukamy tak długo, że chłopaki z RADIANCE mówią, iż to pierdolą i idą posiedzieć do parku, ale potem przyznają, że park był słaby. Ja normalnie nie piję kawy, ale trasy z VICIOUS X REALITY jakoś tak na mnie działają, iż na ich czas zostaję kawoszem, jakoś kręci mnie ten kawiarniany styl, siedzenie i obserwowania ludzi, hehe. Później idziemy na zajebiste jedzenie, które polecił nam organizator wczorajszego koncertu.

Koncert gramy na dzielnicy, gdzie spotkać normalną osobę jest ciężko, punk z punkiem tam na ogół spacerują. Klub zajebisty, styl skłoterski, to lubimy, na tyle zajebisty, że Ogóra kurtka postanawia zostać tam na dłużej i koleś odsyła nam ją pocztą. Gramy znowu z kolegami z Belgii, STRANGER DIMENSIONS,

tym razem zauważamy jeszcze, iż przyczepę (podróżują osobówką z przyczepą) mają dookoła obłożoną banerami z nazwą swojej kapeli, a i zapomniałem wcześniej o ich identyfikatorach przy spodniach - pojechali na trzydniowy wyjazd, ale identyfikatory są - w razie, jakby mieli się zgubić. Ja tak się podśmiewam, ale to mili i spoko kolesie w bliższym kontakcie. Na koncercie może z 25 osób, ale jak dla nas jest cool, bo te 25 osób to SXE załoga i jara nas to bardzo. Koncert bardzo fajny, jakaś dziewczyna mówi nam, że wprawiliśmy ją w dobry na strój na kilka dni i o to w tym chodzi. Ja koncerty z REGRESEM czy VICIOUS X REALITY traktuję zawsze terapeutycznie i zawsze po takim koncercie idę do pracy uśmiechnięty...

Paweł VXR

SCREAM RECORDS

SR 042 LIFE SCARS - Brud I Brokat LP
SR 041 THE DEAD GOATS / CALM THE FIRE - split 12"
SR 040 VOIDFILLER - LP
SR 039 HÄNDE / FALLOW GROUND - split LP
SR 038 GOMORA - Popel A Prach LP
SR 035 SOCIAL CRISIS - s/t LP
SR 034 WAR // PLAGUE - Temperaments of War 12"
SR 033 NEXT VICTIM - Ogien Ludzkich Fobii LP
SR 032 CEASELESS DESOLATION - Nicosć LP
SR 030 LAST LEGION ALIVE / CANCER SPREADING - Burning EUtopia split LP
SR 029 PANIKOS / HELLSTORM split LP
SR 028 THE CORPSE - Fight Against Rules LP
SR 025 LIFE SCARS / BAGNA split LP
SR 023 INFEKCJA - s/t 7" EP
SR 019 A BIRTHDAY PARTY BAND - Lead Sky LP / CD
SR 018 CALM THE FIRE - Blackout 1-sided LP
SR 016 AFTERBIRTH - Prophecy Of Doom LP
SR 014 LIES FEED THE MACHINE - Gallows 7" EP
SR 012 AFTERBIRTH - Your Gods Vomit In Disgust LP
SR 011 MISERY - Production Thru Destruction LP
SR 010 SVART AGGRESSION - Tank Sjalv 7" EP
SR 008 SANCTUS IUDA - Rzad - Korporacje - Wy/Zysk LP

SCREAM RECORDS

www.facebook.com/ScreamRecords
screamrecs@gmail.com

D.I.Y. HARDCORE PUNK FEST VOL.14

13-14 LIPCA 2018

AVSKUM
THE RESTARTS
SANCTUS IUDA
CRUTCHES
ACIDEZ
Visions of War
WIEŻE.FABRYK
URSUT
ALLES
makabert fynd
Non President
RADIUM GRRRLS
OHYDA
ORPHANAGE NAMED EARTH

+ jeszcze 2 kapele
klub UCHO, GDYNIA

www.diy-fest.org

WIĘCEJ POTWIERDZONYCH ZESPOŁÓW WKRÓTCE !!!
www.ucp.nopasaran.pl www.facebook.com/ultrachaospiknik

DEE CRACKS, NOT ON TOUR, DESCENDENTS - 7.06.20117. Arena, Wiedeń

Koncert zaczęli Austriacy z DEE CRACKS. Motoryczny ramonesowy punk. Gdyby nie końcowe trzy utwory wrażenie z ich występu byłoby średnie. Dopiero pod koniec zaczęli trochę melodyjniej i przyjemniej.

Drugi zespól NOT ON TOUR z Izraela. Wcześniej zwróciłem uwagę na drobną dziewczynę sprzedającą koszulki tego zespołu. Tak jak podejrzewałem była to wokalistka NOT ON TOUR. Ta drobna dziewczyna na scenie przeistoczyła się w rasową punkową wokalistkę o mocnym głosie. Izraelczycy dobrze czują się na scenie, dzięki czemu szybko załapali kontakt z publicznością. Przed koncertem widziałem dwa klipy, gdzie brzmieli jak kalifornijski melodik punk. Na koncercie zagrali agresywniej, czasem monotonnie, ale były też udane melodyjne kompozycje. Bardzo fajny występ, zespół ma ciekawą przyszłość przed sobą.

No i nastał czas na czterech starszych panów. Muzycy DESCENDENTS zagrali 70 minutowy set… Po czym wyszli na bisy na cztery piosenki, by znów zagrać kolejne cztery kawałki… I moim zdaniem to mówi wszystko o ich koncercie. DESCENDENTS pomimo prawie 30-letniej działalności pokazał taki show, że młodzi powinni się tylko uczyć. 54-letni wokalista Milo Akerman, na co dzień wykładowca akademicki zabawnie miotał się po scenie. Cały występ DESCENDENTS to praktycznie hit za hitem. Było widać - co ja zawsze sobie cenię – że są autentyczni w tym, co robią, że granie sprawia im radość. Nie lubię udawania na scenie, gwiazdorskich póz, sztuczności. Pomimo tylu lat nadal są autentyczni. Grali utwory z wszystkich płyt. DESCENDENTS niczym wino: im dłużej grają, tym są lepsi. Nie odgrzewają kotletów jak inni ich koledzy, z którymi grali w latach 80. Ich ostatnia płyta „Hypercaffium Spazzinate" to naprawdę zwyżka formy, jest taka młodzieńcza, energetyczna i bardzo przebojowa.

Refleksja, gdy ochłonęły emocje. Wiedeńska Arena to rewelacyjne miejsce koncertowe, ale Wiedeń, jako miasto koncertowe jak dla mnie jest za drogie. Praga pod tym względem jest bardziej przyjaznym miejscem. No chyba, że zagra tam bardzo ważny zespół, wtedy może wrócę do Wiednia.

Przejazd pociągiem jest krótki, ale różnica miedzy pociągami powrotnymi, tj. 22.50 i 8.10 jest zbyt długa, a po całym dniu zwiedzenia i koncercie ciężko przetrwać tyle godzin do pierwszego pociągu. Praga-Wiedeń 1:0.

Tomasz Jurek

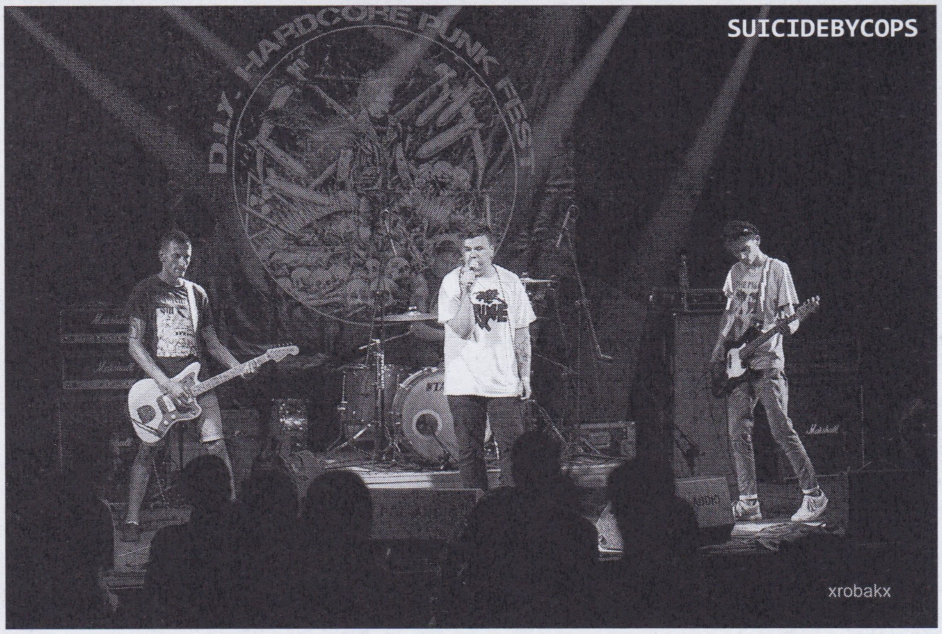
SUICIDEBYCOPS

xrobakx

BURNING STEPS, Tim Vantol, AGAINST ME - 23.06.2017, Praga

AGAINST ME – zespół przez lata przeze mnie tolerowany, a tu z początkiem roku pokochałem ten zespół miłością szczególną. Jeszcze na FB prezentując teledysk tego ansamblu napisałem, że chciałbym zobaczyć ich na żywo. I jakimś cudem kilkanaście dni później pojawiła się okazja skonfrontowania nagrań z występem na żywo. Jako, że termin koncertu połączył się z rozpoczęciem wakacji wyjazd do Pragi stał się pierwszym wypadem rodzinnym w te wakacje. Dzięki temu nie trzeba było męczyć się cały dzień w podróży z perspektywą nocnego powrotu pociągiem. Znaleźliśmy fajną miejscówkę nieopodal Lucerny.

Koncert rozpoczęli punktualnie Czesi z Mostu BURNING STEPS. Fajny, energetyczny, melodyjny punk rock śpiewany po angielsku. Dobre rozpoczęcie koncertu.

Po nich Tim Vantol, Holender występujący z gitarą akustyczną. Miał grać w Wiedniu przed DESCENDENTS, ale rozchorował się, więc teraz miałem okazję zapoznać się z jego twórczością. Znałem go tylko z kilku kawałków z youtube. Widać, że jest lubiany i znany części publiki, grał wcześniej w Pradze przed ROYAL REPUBLIC. Już pierwsze dźwięki sugerowały, że będzie to dobry koncert. Mocny fajny głos i pomimo, że występował tylko z gitarą czynił to bardzo przestrzennie i brzmiał super, nie były to jakieś smęty do ogniska. Muza typowo amerykańska, chwytliwe melodie, doskonały kontakt z publicznością. Tim Vantol był bardzo owacyjnie żegnany.

Doskonały support przed AGAINST ME. Amerykanie zaczęli od „Teenage anarchist", a potem cały czas hit za hitem - dla każdego coś dobrego. AGAINST ME dali doskonały koncert, bez zbędnych przerw, cały czas do przodu, a przy tym nie gubili swojej melodyjności. Z bisami zagrali z półtorej godziny, praktycznie bez chwili wytchnienia. Widać, że grają dość często w Pradze. Na koncert przyszło dużo ludzi w różnym wieku, pod sceną panował ścisk, było sporo stage divingu. AGAINST ME to doskonała maszyna koncertowa, bylem bardzo oczarowany ich występem. Jak dla mnie koncert roku, chyba nikt ich już w tym roku nie przebije.

A po koncercie 10 minutek pieszo i już jestem na kwaterze. Tak blisko to nawet w Raciborzu nie byłem na koncercie.

Tomasz Jurek

THE WAR GOES ON

xrobakx

DIY Fest Hardcore Punk Fest - SLUG ABUSE, SUICIDEBYCOP, SIKSA, NOCTURNAL SCUM, THE WAR GOES ON, MOB 47, TOTAL CHAOS, DISSEKERAD, SCHROTTERSBURG - 07.07.2017. Klub Ucho, Gdynia. Dzień pierwszy - 50 zł

Miałem w tym roku do wyboru jeden dzień z festu. Skład mnie nie rzucał na kolana, więc po lekkim namyśle ustaliłem plan na piątek. Jak dobiłem w pobliże miejscówy, to z daleka rozpoznałem postać Stalina, żyje jednak chłopina pomyślałem, i pozdrawiając przechodzących znajomych uderzyliśmy w dłuższą bajerę, bo nie widzieliśmy się długo. W związku z tymi czynnościami ominęła nas niedługa przecież chwila występu SLUG ABUSE. No, ale tak mam z reguły w Gdyni, że nim dojadę, to jestem spóźniony i początki tracę. SUICIDEBYCOP już widziałem i ich energiczny wykon znowu przypadł mi do gustu. To jest American HC i jeżeli ktoś gustuje w tym klimacie, to polubi i Toruniaków. SIKSA. Dużo w tym roku o SIKSIE się mówiło, chyba występ na Offie znacznie w tym pomógł. Przepchnąłem się bliżej sceny, na której rzeźbił na basie Buri, a Alex opanowała znaczny kwartał parkietu przed sceną. Była wszędzie strzelając przekazem wokół. Punk, jazz, duet, performance, zespół, etc. W tym wszystkim SIKSA jest. Dla mnie jest to mocno punkowe i SIKSĘ wspieram. Nie zarzucam SIKSIE braku klasycznych rytmów, przypomina mi się od razu V/A „Peace/War" i CRASS w utworze „It's You", gdzie też początkowo oczekiwałem czegoś innego. Alex w pewnym momencie usiadła na jakimś też siedzącym na podłodze kolesiu i nie przestając nawijać ciągnęła wątek dalej. To jest ciekawe, gdy nigdy nie wiesz, co się za chwilę wydarzy… SIKSA! No i zagranica: NOCTURNAL SCUM z Berlina. Z samej nazwy wiadomo było, że post punk to nie będzie. Nie był. Crust, punk, metal. Nie przekonali mnie do siebie. Kapka DEVIATED INSTINCT raz na jakiś czas nie jest zła, ale żebym był wielkim fanem, to nie. Zerknąłem z zainteresowaniem, ale znajomości wygoniły na zewnątrz. Liczna w tym roku reprezentacja Warmii i Mazur była zauważalna, same stare twarze. Całkiem miło. THE WAR GOES ON z Danii po chwili przerwy. Tych chciałem zobaczyć i jak słyszałem, nie ja jeden. Ex-HJERTESTOP, ex-NO HOPE FOR THE KIDS, punk rock. Kopniaczek może troszeczkę mocniejszy od wyżej wymienionych, ale to dawki niemal aptekarskie. Chciałem więcej punk rocka i melancholii, ale tego akurat było mniej i mocno żałuję, bo obejrzałem z zainteresowaniem cały ich set, ale w powietrze

mnie nie unieśli. Zdaje się, że o jedną gitarę mieli mniej niż na LP. Sąsiedzi z drugiej strony Bałtyku, owiani zasłużoną legendą MOB 47 już grali na tym samym festiwalu kilka lat wcześniej. Wchodzą jak nóż w masło. Riff-dwa i jadą do przodu. Krótko i siarczyście, ale to nie jest siarka z piekła rodem. Staroszkolny wymiar hałasu, mówimy o latach osiemdziesiątych przecież. Nie zawiedli, choć dzikość większa była kiedyś, no, ale zmiany składu, czas, inflacja… wszystko płynie. Mieli nawet trochę towaru for sale, który dość szybko znikał. Zdążyłem na flexi i kasetę! Czy TOTAL CHAOS z USA to najjaśniejsza gwiazda w tym roku? To zawsze jest kwestia dyskusyjna. Z ekipą z Iławy i Ostródy wdrapałem się na piętro, by popatrzeć na Amerykanów z góry. Byłem przyznaję sceptycznie nastawiony, ale tu akurat mnie kupili. Nie sądzę bym szukał ich płyt i wydawał na to większą kasę, ale jako kapela festu wypadli bardzo dobrze. Przyznaję, że mnie nudzą takie ułożone, amerykańskie kapele, gdzie wszystko jest jakby z góry zaplanowane: fryzury, skóry, ćwieki, refreny. Aha! Tam się nie lubi chyba glanów, zawsze zwracałem uwagę na ich buty, niczym naszych strażaków ogniowych. No i rękawiczki bez palców… Pomijając modę muzycznie nie mam specjalnych zastrzeżeń. Do tej pory objechali praktycznie cały świat zaczynając w piwnicach Kalifornii w 1989 roku, by dopiero teraz dojechać do Polski. Średnioszybko i z pazurem, szczególnie nieźle gimnastykował się malutki, żółtolicy basista z dwoma irokezami. Punk rock z naleciałym hardcorem w jego lżejszej wersji. Chyba grali trochę dłużej niż inni. No, ale grunt, że w sam czas skończyli, bo ja tego czasu za dużo nie miałem. Jeszcze kilka rozmów na rozchodniaczka, część rozmówców już do dyskusji się nie nadawała, dałem się namówić na kilka kawałków DISSEKERAD z Malmo. Za dużo nie widziałem, bo pędziłem na pociąg, ale z tego, co pamiętam: tam są zdaje się ludzie z AVSKUM i TOTALITAR i słychać to raczej. Piszę: raczej, bo nim się wsłuchałem, to musiałem wychodzić. D-beat, raw punk, hehe, te tematy. W domu byłem o trzeciej, o piątej pobudka i znowu w drogę, tym razem w przeciwnym kierunku…

Grzester

MOB 47

xrobakx

Mighty Sounds 2017 - 14-16.07.2017, Tabor

Nie będzie to typowa relacja z koncertu, bo i mój wyjazd na ten festiwal był wyjazdem rodzinnym połączonym z wypadem na dwa dni festiwalu. Tabor stanowił przystanek naszego wakacyjnego wyjazdu. Najpierw ok. 400 km samochodem ze zwiedzaniem jednego z zabytków UNESCO, tj. Zdar nad Sazavou, potem spacer po moim ukochanym Taborze. Z rodziną kochamy Tabor, czuć taki husycki klimat tego miasta. Pierwszy raz widziałem tam mój ukochany BAD RELIGION, stąd zapewne mam słabość do tego pięknego, pełnego zabytków miasta. Miasta przyjaznego dla dzieci, gdyż jest tam sporo atrakcji do spędzenia czasu z dziećmi: Muzeum czekolady i marcepanu, Muzeum Lego, zoo i Housov Mlyn – restauracja husycka połączona ze zbrojownią.

Festiwal z roku na rok się powiększa. W 2015 roku bez problemu znalazłem w kwietniu nocleg, a tu już w lutym był problem. Wysłałem kilkanaście maili i prawie wszyscy odpowiadali, że z uwagi na festiwal miejsca są zajęte. Ale znalazło się jedno miejsce, w necie wyglądało nieźle, ale na miejscu tragedia. Taki robotniczy hostel, dużo dziwnych ludzi, ni to robotników, ni to bezdomnych, a my tu z dziećmi. Przybytek ów nazwany został Pension Milena, dzieci zmieniły nazwę na Pensjonat Melina. Szkoda, bo lokalizacja rewelacyjna tuż obok dworzec autobusowy, kolejowy i ok. 40 minut piechotą na miejsce festiwalu.

Na festiwal trafiłem po 17-tej, od razu na niemiecki ITCHY. Fajnie rozpoczął się dla mnie ten festiwal od melodyjnego punk rocka, gitarzysta pływający wśród tłumu na desce. Po obejrzeniu kramików trafiłem na występ THE ROAD HOME z Holandii i oczarowała mnie ich muza. Jak dla mnie odkrycie festiwalu. Grali muzykę w stylu THE GASLIGHT ANTHEM, stylowy ubiór, fryzurki na żelu, fajny kontakt z publiką. Kupiłem potem ich płytę i uważam to za dobry zakup. Grali na malutkiej scenie Lucky Hazard w namiocie. Naprawdę trafiłem przez przypadek i był to dobry przypadek.

Usatysfakcjonowany tym występem udałem się pod duży namiot, gdzie grali THE TOASTERS – zespół legenda, ale nie dla mnie. Nie oglądałem ich zbyt długo, ale było sympatycznie, skocznie. Jak dla mnie bez szału, ale fani tego typu grania byli szczęśliwi.

Szybciutko udałem się pod główną scenę na zespół dla mnie numer jeden tego festiwalu, tj. H2O. To już jest klasyka hard core'a. Zagrali przekrojowy materiał praktycznie ze wszystkich płyt. W jednym z utworów za perkusją usiadł syn Toby Morsa. Ten luz bijący ze sceny udzielił się jednemu widzowi, który usilnie chciał się dostać na scenę. Pomógł mu w tym gitarzysta, po czym chłopak w sukience zaprezentował swoje przyrodzenie, ale i tylną część. Inni muzycy potem nabijali się z gitarzysty, że jedyna osoba, jakiej pomógł dostać się na scenę odstawiła lepszy show niż oni. Pod koniec występu gitarzyści nie przerywając grania zeszli pod scenę i tam kończyli występ. H2O to profesjonalna maszyna koncertowa, ale w tym pozytywnym wydźwięku. Kolejne kilkadziesiąt minut wyłączyłem się i nic nie przykuło mojej uwagi.

DUBIOZA KOLEKTIV - dużo ludzi poszło pod główną scenę. Zaczęli w języku czeskim te same zagrywki z taśmy, które zapamiętałem na koncercie, gdy w Krakowie supportowali FAITH NO MORE. Posłuchałem jednej piosenki i stwierdziłem, że nie kręci mnie ich muza, odpuściłem sobie dalszy występ.

LION'S LAW – sporo osób czekało na ich występ. Widać, że są lubiani, o czym świadczyła spora liczba osób ubranych w ich koszulki. Francuzi zagrali żywiołowo, melodyjnie, muza może niezbyt odkrywcza, ale dobra dla przytupu.

Była już północ, perspektywa miejsca, w którym zostawiłem żonę z dziećmi, zmęczenie podróżą, około półtorej godziny oczekiwania do występu BULBULATORS oraz fakt, że widziałem ich w kwietniu u boku BOOZE AND GLORY spowodowało, że nie zaczekałem na ich występ.

Drugiego dnia po zwiedzeniu przepięknego Trebonia jeszcze później poszedłem na koncert. Zacząłem od RENO DIVORCE. Lubię takie granie, więc byłem cały koncert. Stylowo, melodyjnie, tylko trochę mnie irytowało to rzucanie ze sceny przez muzyków koszulek ich zespołu. Nie wiem, ale nie lubię takiego zachowania, tak jakby jakieś ochłapy były rzucane przez gwiazdorów, ale to mój problem, bo muzycznie byli zacni.

Po ich występie przegląd, co będzie grało, nie znając nazw udałem się na scenę Lucky Hazard, gdzie dzień wcześniej „odkryłem" ROAD HOME. I znowu się nie pomyliłem. Na scenie był TRAVIS O'NEILL AND HIS CARDINAL SINS - Irlandczyk grający z wychudzonymi Czechami. Bardzo miło spędziłem czas na tej mieszaninie folku, country, rocka, ale trochę agresywniej zagranego i zaśpiewanego (w końcu koszulka wokalisty, tj. MOTORHEAD chyba do czegoś zobowiązywała).

Po ich występie pierwszy problem, jak połączyć dwa zespoły ADICTS i ALL FOR NOTHING. Jako że Brytyjczycy zaczęli pierwsi, to od nich zacząłem. Nazwę znam, ale poza pojedynczymi utworami jakoś nie interesowałem się ich muzyką. Wokalista zaczął swój występ w przebraniu motyla, biegał z parasolem, rzucał karty. Muzycy wiekowi, ale fajnie się

TOTAL CHAOS

xrobakx

ich oglądało i słuchało. Posłuchałem ich z 20 minut i ponownie sporo do przejścia do sceny, gdzie już grali Holendrzy z ALL FOR NOTHING. Co tu kryć, żywiołowa wokalistka, ostre hard core'owe gitary, prawdziwy żywioł z przekazem. Wokalistka, co krok podkreślała hard core'owe idee, tolerancję, itp. Zarówno na scenie jak i pod nią była świetna zabawa. Kolejny zespół, który zobaczyłem to czeski STREET MACHINE – hc metal a la lata 90. typu BIOHAZARD. Taka mocna napinka, Czesi wyglądający jak nie Czesi? Groźne miny, tatuaże, strach się bać. Wcześniej o takich kapelach mówiłem, że grają z niemiecką precyzją, wtórnie, bez polotu i taki dla mnie był ten zespół.
Znowu włóczenie się po tych samych miejscach i trafiłem na JAKE AND THE JELLY FISH – miły folk, ska punk z Anglii. Bez szału, ale przeczekałem na ich występie do następnego ważnego zespołu.
Następni w kolejce to GOGOL BORDELLO. Na Rock for People w 2013 podobali mi się, ale szybko po koncercie o nich zapomniałem. Miałem wtedy wrażenie nieco sztucznego wyreżyserowania (jestem czuły na tym punkcie) na pozór żywiołowo, ale pod kontrolą. Tak było tym razem, ale jak trochę odpuściłem sobie te rozważania, to porwały mnie te rytmy. Dla mnie wymarzona sytuacja, by w Polsce ten zespół osiągnął jakąś popularność, z uwagi na różnorodność wykonawców, różnorodność granej muzy. Otwiera oczy na inność, że tak napiszę górnolotnie. Różnica kultur, temperamentów, perfekcyjne wykonanie. Widać, że zespół był ukochany przez publikę. Chyba najbardziej energetyczny koncert tych dwóch dni, na których byłem.
COCK SPARRER - przypatrywałem się przygotowującym się do występu muzykom. Siwowłosy perkusista wyglądał jak turysta, jakby przez przypadek bawił się perkusją. Pozostali muzycy łysi albo też siwowłosi. Gdy nastąpiła godzina zero atmosfera zagęszczała się, w górę szło logo, podniosła muzyka, a tu okazało się, że wieszano logo na odwrót i jak je opuszczali to siadła atmosfera. Ale gdy zaczęli grać w myślach odwołałem wszystko, co o nich wcześniej sobie pomyślałem. Przypadkowo też dostałem w zęby taka rozkręciła się zabawa. Co tu pisać, zagrali czadowy, melodyjny punk lat 70. Ich nowa płyta nawet mi się podoba. Na co dzień jakimś zagorzałym fanem tych rytmów nie jestem, ale przyznaję, że COCK SPARRER to jeden z tych wiekowych zespołów, który się broni. Doceniam i podobało mi się.
Na występ BLADYCH LOKÓW nie zostałem. Szkoda, że jedyne polskie zespoły grały o tak niemiłosiernej dla mnie porze, tj. 1.30. Za rok obiecuję sobie, że pojadę na wszystkie dni.

Tomasz Jurek

NOLL IQ, SNAKE TONGUE, PARASITERA PUNG, MASSACRE 68 - 22.07.2017, Klubb Kaos, Sztokholm, 100kr

Żeby dostać się do tego klubu trzeba było z centrum jechać pociągiem pół godziny. Nie znam topografii miasta, a na moje oko nie byliśmy już w Sztokholmie, bo przejeżdżaliśmy przez lasy, bezludne rejony, itd., no ale to niby wciąż stolica. Wysiadamy, razem z nami ciemnoskóra załogantka, żółtoskóry załogant, jeszcze ktoś nieopalony, no to jesteśmy w swoim sosie, ruszamy z buta zagadywani przez załogantkę. Całe szczęście, że ci ludzie są, bo nie wiem czy byśmy trafili, kawał drogi w sumie. Na miejscu jesteśmy oczywiście na czas, a w zasadzie przed czasem, bo nikt się nie spieszy. I to mnie wnerwia, bo poranny powrót nie uśmiechał mi się wcale. Kupujemy bilety, w gratisie jedno piwo w puszce, chyba była też opcja jakiegoś napoju bezalkoholowego, no ale już nam wręczono po piwie, więc siedzimy przed klubem. Klubem?! Jakby domkiem letniskowym. Mały drewniany domek w lesie, nieopodal bloków, w środku jedna sala do pogo, mini box akustyka, mini bar, mini kibel, w narożniku punkt tekstylno-muzyczny zespołów. Z racji bliskości sąsiadów pilnowane jest zamykanie za sobą drzwi, by dźwięk nie wydostawał się na zewnątrz, chyba tam zresztą była sprężyna. Dłuży się ten czas niemiłosiernie, słońce zachodzi w oddali, a gig się nie zbliża. Gadam trochę z perkusistą MASSACRE 68, ale więcej czasu zajmuje nam dyskusja o wszystkim z dwoma Ukraińcami, którzy oderwali się od pracy, by nieco odreagować. O ile pili razem, to od pewnego czasu jeden zajmował się pilnowaniem drugiego, bo kolega znikał w oczach pogrążając się w alko świecie. Wreszcie coś tam zaczyna grać, ale w tym czasie zrzucamy się na kawę i jakiś ryż z soczewicą. Zrzucamy się sięgając po ostatnie drobne - w Szwecji praktycznie nie widziałem pieniędzy, wszędzie karty! Niestety w klubie nie mieli terminala. Najpierw NOLL IQ z Dalarna. Powermangel thrash mówi wam to coś? Pewnie więcej niż mnie, nie zainteresowali mnie. Grają kilka lat, mają nawet sporą dyskografię, coś sprzedawali, ale na tym gigu nic nie kupiłem. Po nich SNAKE TONGUE. Punk hardcore metal z Linkoping. Oni zdaje się grali w Szwecji na wszystkich gigach MASSACRE 68. Też mnie znudzili, najbardziej chyba gitarzysta, któremu jeszcze przed występem poszedłem przed scenkę powiedzieć, że czas nagli i żeby już nie pieścił strun, tylko brał się do grania, bo szkoda czasu. Każdy z supportów nie grał dłużej niż te pół godziny, denerwowały jeszcze przerwy pomiędzy nimi, zerkałem na zegarek… Myślę, że sporej części recenzentów w „Chaosie" obie kapele podobałyby się bez większych zastrzeżeń. Kolejna ekipa to PARASITERA PUNG. To już było ciekawsze, nawet żonie się spodobało. Być może częściowo przez skoczną wokalistkę z doczepionym długim kocim ogonem… Mieszane wokale, rwane szybko-wolno kawałki, dużo hałasu i chaosu. Najszybsi tego wieczoru. Crust, grind, thrash: tak się przedstawiają. Najwięcej się na nich działo i było na co popatrzeć. No ale nie ich przyjechałem tu oglądać. MASSACRE 68

to reaktywowana meksykańska legenda, której znaczenie dla w zasadzie całej historii punka nie tylko w Meksyku, ale i sporej części tamtej Ameryki jest niepodważalne. Działali już w latach osiemdziesiątych, czasami się zbierają na jakieś występy, rok temu byli w Kolumbii, no i pokazali się w tym roku na Euro trasie w Hiszpanii, Niemczech, Szwecji i Finlandii wieńcząc to występem na słynnym Puntala Rock. Skład z jedną zmianą, bo zadźganego wokalistę zastąpił młody, pełen wigoru chłopak dzierżący na szyi gitarę. Virus dawał radę! Na basie Thrasher, jakiś taki wycofany, szczątkowy w rozmowie, może nie mówi za dobrze po angielsku? Był w dodatku w koszulce MC5, co lekko mnie zbulwersowało… Perkusista od lat mieszkający w Finlandii był najbardziej komunikatywny, obgadaliśmy nawet wspólnych znajomych z Meksyku. Zresztą po koncercie, gdy podeszliśmy podziękować i się pożegnać uściskali nas serdecznie, co było takie zwyczajnie miłe. A muzyka, którą zaprezentowali to czystej wody siarczysty latino hardcore punk! Bluźnię, ale wyglądało i brzmiało to lepiej niż studyjne i live nagrania z epoki. Furią przebili o dwie długości inna legendę, którą dane mi było widzieć w Mexico kiedyś – XENOFOBIĘ. Aż się łezka kręciła w oku, napierdalali bez wytchnienia. Wokal coś tam zagadywał, wyłapałem tekst o Donaldzie Trumpie, ciągnął po strunie kostką, wrzask i jazda dalej. Ponad pół godziny, około 40 minut. Świetnie. Wyłapałem „Elecciones", „Victima del Vicio", „El Muro", „Crimen Capitalista", „Massacre 68", „No Estamos Conformes", „Sistema Podrido", „Policias No", „Un dia En Pekin", „Ejercito Nacional", „Presos Politicos", „Desaparecidos", „La Cocina", „Exijo Muerte", „Comunidad Infectada", „Sembrando Muertos", „Escuadron de la Muerte". No dobra, te tytuły sobie spisałem, a nie podaję ich z pamięci… Podaję te tytuły dla potomnych, bo kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze uda się znowu ich zobaczyć. Swego czasu grali covery RATTUSA, DISCHARGE, OLHO SECO, ale nie wyłapałem tego na koncercie. Mimo tego byłem baaardzo zadowolony, publika zresztą też. Wokalistka PARASITERA PUNG w trakcie gigu przyczepiła swój ogon wokaliście, o czym ten dowiedział się już po zakończeniu występu. Kilkadziesiąt zebranych osób nie mogło być rozczarowanych, bo to było MASSACRE, 68 jakiego nie tylko ja chyba oczekiwałem. No i podobno ma być coś na winylu w przyszłym roku, bo sesja w sierpniu była robiona w Finlandii. Wracamy do pociągu, na peronie zebrana załoga, ktoś tam pyta nas o ogień, a gdy z boku sobie gadamy podchodzi do nas dziewucha i mówi po angielsku: „Kurwa, po jakiemu wy gadacie? Chodźcie do nas". Tam poznajemy ekipę i drogę do miasta przegadujemy z Argentyńczykiem żyjącym obecnie z dziarania ludzkich skór w Szwecji. Po pierwszej w nocy jesteśmy na dworcu i idziemy z buta (ciepło, cieplej niż w Polsce!) do naszej jamy obserwując sobotnie, nocne życie tego wielkiego miasta. Ludzie się spokojnie bawią, nerwów nie ma, można spokojnie zasypiać.

Grzester

Wunder Wave 84 - D.O.A., M.D.C., ANTIDOTUM - 28.07.2017, Łódź

Łódzkie Wunder Wave to jest marka! Kto to już tam nie grywał? Same mocne nazwy. Tylko pozazdrościć takiej cyklicznej imprezy. Słyszałem plotki, że ponoć powstaje album wspominkowy ze wszystkich tych koncertów organizowanych przez Krzysia Lacha i jego znajomych. Trochę tego pewnie będzie, bo pierwsze Wunder Wave odbyło się prawie 30 lat temu. Ja pamiętam swoją kombatancką wizytę w mieście włókniarzy na koncercie DOOM. O ile dobrze pamiętam był to 1994 rok. Trasa, o

wdzięcznej nazwie, „Police Bastard" okazała się być prorocza. Gliny, jakimś cudem, przetłumaczyły sobie napis na plakacie i lały ludzi po gigu bez opamiętania. I mnie jeden skurwiel przechrzcił pałą. Dziś sytuacja (prawie) nie do pomyślenia. Wtedy jednak takowe, mimo upadku komuny, ciągle się zdarzały. Na koncercie D.O.A., M.D.C. i ANTIDOTUM nie było już tych wściekłych psów. Nie było jednak także tych dzikich tłumów, które pamiętam z tamtych lat. Ba, ciężko było spotkać uczestnika, który nie miałby siwych włosów… jeśli w ogóle miał jeszcze jakieś włosy. Geriatria attacken w najlepszym wykonaniu! Dla mnie bomba, lubię dobre towarzystwo. Zresztą zespoły, które uświetniły ten sympatyczny lipcowy wieczór także do najmłodszych nie należały. Amerykanie i Kanadyjczycy to „kanon" hardcore/punkowego piękna, który swoje najlepsze czasy miał w okresie, kiedy prezydentem USA był Ronald Reagan. Oba natomiast powstały pod koniec lat 70. (!). To ojcowie założyciele hc/punkowej kultury! Zanim jednak spojrzałem swoim bohaterom z dawnych lat w oczy musiałem do tej Łodzi jakoś dojechać. Wsiadając do samochodu kolegi przywitały mnie, płynące z radioodbiornika, dźwięki… DEPECHE MODE. Musiałem zagrać ostro. Wspomniałem niby to przypadkowo, że będę przygotowywał relację z tego gigu do „Chaosu". Jak wiadomo „mądremu wystarczą dwa słowa", w odtwarzaczu sprawnie i szybko pojawiła się płytka D.O.A. Inteligencję u moich bielskich kumpli cenię sobie ponad wszystko! Dalsza część trasy przebiegła na wymianie ton anegdot, wspomnień, czasem tylko przeplatanych gromkim „kurwa mać TY chuju!!". Nie, żeby tak z nienawiści, raczej od serca, dla podtrzymania narodowego ducha kultury drogowej. Nie po to zresztą łamiemy przepisy i omijamy korek poboczem, aby jakiś nadgorliwy społecznik blokował nam tę „drogę". Zapamiętaj sobie jeden z drugim, że D.O.A. i M.D.C. spotykają się na wspólnym koncercie tak rzadko, że musieliśmy zdążyć na czas! Wreszcie, dzięki kilku fortelom, złamaniu tony przepisów, ze zdartymi od przeklinania gardłami, trafiamy pod klub. Leciutka obsuwa tylko cieszy. Jest okazja pogadać z tym i owym. Szybka wymiana ploteczek i czas na kombatanckie wspomnienia. Jak wiadomo załoganci „40 plus" mają ich sporo, jest o czym opowiadać. Później wątek detektywistyczno-sensacyjny, czyli debata na temat tego, któż to mógł wydać te znakomite bootlegi KSU i REJESTRACJI i już na scenie instaluje się ANTIDOTUM. Bardzo cenię ten zespół i choć, bez wątpienia, ten wieczór nie należał do nich, to zagrali fajny set. Klub „DOM" mimo, iż sprawia wrażenie przyjemnego miejsca, nie uraczył niestety załogi z Warszawy wybitnie dobrym brzmieniem, ale w sumie było miło. Chwila przerwy i startuje M.D.C. Kanon politycznego hardcore. Sporo osób wspominało ich trzydniową trasę po Polsce z 1991 roku i masę ludzi na tych koncertach. Ja natomiast pamiętam Amerykanów z niewielkiego gigu w czeskim Rožnovie. Kiedy to było? Jakieś siedem, może osiem lat temu? Wtedy jedyny oryginalny członek M.D.C., czyli wokalista Dave Dictor zaskoczył mnie tym, że jak tylko wszedł do klubu to natychmiast wyciągnął worek pokrojonych warzyw, sokowirówkę, a następnie przygotował i łapczywie wypił kilka szklanek świeżego soku, skutecznie obalając mit, że Amerykanie źle się odżywiają. Wtedy M.D.C. zagrało prawie crustowo. Było brudno i cholernie mocno. Obecni muzycy wspierający rzutkiego 61-latka to zupełnie nowe, młode osoby. Tym razem M.D.C. zabrzmiało tak jak w latach 80. Ze sceny leci hit za hitem. „Nazi's shouldn't drive" i „John Wayne was a Nazi" to miód dla moich uszu. M.D.C. pozostało wybitnym zespołem! To była wielka przyjemność móc oglądać ich występ. Te same słowa mogę zresztą napisać o D.O.A. Kanadyjczycy mieli w sobie tej energii tyle, że starczy im na kolejne, długie lata życia. Joey Shithead jest niesamowity, Cieszę się, że zamiast, jak planował, zostać politykiem dalej gra punk rocka! Ponoć w Vancouver każdego 22 grudnia obchodzi się dzień D.O.A. Tak, w 2005 roku, uhonorowano, przez burmistrza wspomnianego miasta, ten zespół. Nie widzę przeszkód, aby i w Polsce takie święto było obchodzone. Z gitary Joey'a lecą iskry, gra na niej chyba wszystkim z wyjątkiem pyrtka. Tak kurwa, miałem łzy w oczach! Pod sceną widziałem kolegę redakcyjnego Grzestera, który czaił się w okolicach mikrofonu. Liczyłem na to, że przeprowadzi frontalny atak i odśpiewa z D.O.A. jakiegoś hita. Ponoć takie wspólne występy już mu się kiedyś zdarzały. Niestety panowie zakończyli set efektownym wykonaniem „Fucked Up Donald" (zarówno Kanadyjczycy jak i Amerykanie nie szczędzili, podczas gigu „pozdrowień" dla prezydenta Trumpa), a Grzester swojego tygrysiego skoku nie wykonał. Zastygł w cuglach zapatrzony na (nie lubię tego słowa, ale tutaj jest ono jak najbardziej na miejscu) legendę sceny niezależnej. Panowie i panie, głowy do góry, punk rock zaczyna się po 60-tce! Miło było także widzieć muzyków obu bandów stojących przed i po koncercie w towarzystwie publiki, chętnych do krótkiej konwersacji. Żadne tam gnicie na backstage. Zwykłe punki, panie. Tak jak należy. Bardzo, ale to bardzo udany koncert! Szkoda, że widziało go niespełna 200 osób. Szkoda, że w większości byli to przyjezdni a zasłużona łódzka scena w zasadzie pozostaje, od kilkunastu lat, w czarnej dupie. Powrót do domu okazał się być wyjątkowo szybki. Z Łodzi do Bielska dojechaliśmy w niewiele ponad dwie godziny. Kumple w podróży myśleli, że całą drogę spałem. Ja tymczasem, mimo, iż nie jestem człowiekiem wielkiej wiary, jaki nigdy gorliwie się modliłem, aby kolega kierowca przypomniał sobie, że auto ma hamulec, a gaz działa także wtedy, kiedy nie jest wciśnięty do samej „dechy".

Tomek

Do Łodzi mam ciężki dojazd, ale jednak się udało nie brać dnia wolnego i zdążyć na czas. Pogubiłem się na Fabrycznym dworcu, do kibla półtorej godziny drogi od peronu, bryła niemal kompletnie pusta, post apokaliptyczne wrażenie sprawiał. Wielki, kompletnie wymarły niczym po jakiejś epidemii. Ruszyłem z buta zerkając, czy jakaś gitwa przy Piotrkowskiej nie będzie chciała ze mną gadać. Idąc samemu ma się mało argumentów w takich dyskusjach. No, ale doszedłem bez wrażeń, tylko z ulicy nie mogłem trafić do klubu, bo znajduje się wewnątrz pasażu, pełnego wypacykowanych panienek i kawalerów. Dwadzieścia pięć lat wcześniej na MDC jechałem wyskakując na wolkę z obozu ekologii głębokiej w Nerwiku (głęboko w lesie za Olsztynem) i w BDG już na dworcu były ekipy, z którymi później wędrowaliśmy do klubu (załoga z Konina - do dzisiaj mam w pamięci tych ultra punków!). Narodu była masa, a do klubu nie wpuszczali przed gigiem, tylko dystrybucje. Kolega Łabondek jechał znad jeziora i miał świeżą przesyłkę 10-ciu egz. „Mózgojada", dzięki temu weszliśmy wcześniej i zajęliśmy we dwójkę pół stołu obok wielkich handlarzy sceny… Tutaj jednak ludzi była garść. Bezkoc rozstawiał kartony przed wejściem, obok kolo z załogi MDC miał swoje miejsce, cała publika przemieszała się z rzeszą innych osób z sąsiednich klubów. Nikt tu na nikogo większej uwagi nie zwracał, zresztą w '92 były bardziej kolorowe egzemplarze załogantów. Sporą część dyskusji przedkoncertowych zajmowała w moim spektrum kwestia tego, gdzie ktoś z moich rozmówców był na MDC ćwierć wieku wcześniej. To swoją drogą dziwna sprawa, że tak fundamentalna dla tej muzyki kapela, przez tyle lat zagrała u nas jedną trasę, a grała w Austrii, Niemczech, Czechach – w zasadzie dookoła. No, ale w końcu przyjechali. No i wielu z zagadywanych oczywiście było na polskich koncertach Amerykanów a zdarzały się i osoby, które obskoczyły wszystkie trzy (Bydgoszcz, Warszawa, Kraków) – szacunek! Aha, jeszcze jeden koleś nie dawał się przekonać, że nie jestem Pietią z QQRYQ. Pietia, czy ty to widzisz? W trakcie gadek falował już hałas ze środka: ANTIDOTUM się przedstawiało. Zdążyłem wejść na ich ostatni kawałek, więc śmiało mogę napisać, że wypadli świetnie! Zastanawiałem się, kto będzie grał na końcu, stawiałem na MDC z racji właśnie ich rzadkich wizyt w kraju Wojtyły. No, ale MDC grało jednak w środku. Dopchałem się do samej sceny: jakże mikra jej wysokość w porównaniu

do monstrualnych rozmiarów, gdy patrzyłem na nich do góry w Bydgoszczy. Zespół w oczywiście przemeblowanym składzie, Dave Dictor rzecz jasna jest, ale cała reszta regularnie się zmienia. Dali czadu, tak powiem, choć z rzadka sięgali po najstarsze kawałki, żałuję, że nie spisałem ich tytułów, bo teraz przychodzą mi do głowy jedynie: „My Family is a Little Weird", „Chicken Squawk", „Dead Cops", „Born to Die"… Nie pamiętam nawet czy zagrali „John Wayne Was a Nazi". Dla mnie to jedna z ulubionych kapel ever, cieszyłem się, że znowu u nas zagrali i że mogłem to widzieć. Ale zabrakło mi wielu utworów, na które czekałem, co mnie trochę rozczarowało. W pogo trochę szalał znajomy pijak z plecakiem, wpierdalał się też na scenę i bluzgał coś tam bez sensu, ktoś chciał go dojechać, ale przetrwał bez uszczerbku do końca. Zachowanie tego gościa obserwuję od lat. No i koniec, „No Trump, No KKK, No fascist USA". Szybko na zakupy, kolejne rozczarowanie, nie ma jeszcze nowej płyty na winylu, nie ma „Live at CBGB 1983" - przecież nie będę tego ściągał ze Stanów… DOA już gra, namawiamy Bezkoca, żeby poszedł choć trochę obejrzeć, ale jest nieugięty, woli stać na zewnątrz, no cóż, każdy bawi się jak umie. Wracam do sali. Jak zajmuję miejsce w loży przed basistą, to kończy się już „General Strike", psiakość chciałem zająć miejsce przy mikrofonie, co udało mi się przy ich ostatniej wizycie w Gdańsku, kolejny minus… W miarę czasu kapela rozpędzała się coraz bardziej i co ostatecznie przyjąłem ze zdziwieniem – wygrała ten wieczór kradnąc show Amerykanom. Joey mimo tylu lat na karku wiercił się z wiosłem po scenie jak młodzieniaszek, basista lubił zadzierać nogi do góry, co parę sekund, przez co nie dawałem rady uchwycić go moim, kiepskiej jakości, sprzętem fotograficznym. Zawodowcy pełną gębą. „Race Riot", „Prisoner" (uwielbiam!), „The Enemy", „World War 3", miód, zdecydowanie bardziej rozpoznawalnie zagrali niż MDC. Na bis pierwszy raz przeze mnie słyszany live: „Full Metal Jackoff", który wydali na płycie z udziałem Jello Biafry i to było piękne zwieńczenie, pięknego występu, pięknej kapeli. Teraz byłem usatysfakcjonowany i doceniłem kolejność występujących. Brawo! Po gigu dyskusje z kapelami, ekipy były oblegane momentami, zdjęcia, wspominki i zakupy. Nie ma tego z reguły na koncertach polskich starych kapel, nad czym boleję. Tu jest ten punk, ten brak barier, ta jedność równych sobie. Tylko klaskać. Po koncercie czekamy jeszcze jakiś czas na miejscu, bo do Polskiego Busa sporo czasu i z wolna ruszamy. Dacie wiarę, że z naszej czteroosobowej załogi byłem najmłodszy?! Dawno mnie to nie spotkało, pozostali braci w wierze, to roczniki z lat 60. Idziemy rozświetloną Piotrkowską, co krok jakaś impreza z muzyką, no i tam gdzie leci Modern Talking akurat jakaś napierdalanka na zewnątrz. Ta muzyka zawsze wzbudzała skrajne emocje. Autobus, metro, pociąg, w domu jestem przed południem. Prysznic i łóżko, wstaję zdezorientowany z zaburzonym poczuciem czasu.

Grzester

TAU CROSS, KILL BITE - 04.08.17, Hafenklang, Hamburg

Do Hamburga wybrałem się specjalnie, żeby zobaczyć TAU CROSS i zrobić z nimi wywiad do tego numeru. Nie wypada więc przemilczeć samego występu zespołu. Koncert odbył się na trasie promującej najnowszą płytę „Pillar of Fire", która objęła Stary Kontynent, a dokładnie Szwecję, Norwegię, Finlandię, Niemcy, Holandię, Włochy i Danię. Do Hamburga wybrałem się, bo było dalej niż do Berlina, a tak na serio to był to piątek i weekend do dyspozycji w tym pojemnym mieście. Koncert odbył się w znanym Hafenklang, który zapewnia dobrą organizację, dobry sound, jeśli zespół sam umie się ustawić na scenie i naprawdę przyjazną atmosferę. Z jednym wyjątkiem - klub dopuszcza palenie w środku, co nie każdy dobrze znosi jak zauważyłem. Piwo 0.3 w cenie 2.50 w tym 0.50 kaucji za butelkę.

Przed TAU CROSS zagrał KILLBITE z Bremen, ale z racji obowiązków redakcyjnych nie widziałem ich występu, więc przemilczę. Po nich, godzina przerwy i instaluje się TAU CROSS.

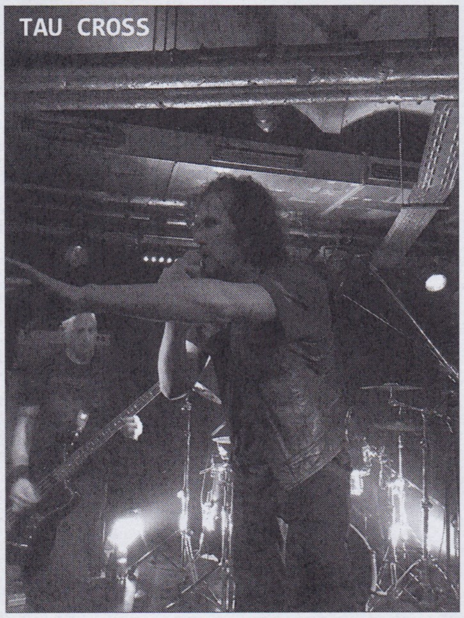

Dokładne sprawdzenie dźwięku, odsłuchów i zaczynają. Zabawa od pierwszych taktów, publika zna już teksty nowej płyty, dostępnej raptem od 2 tygodni. Dwie gitary sączą mistyczne riffy, bas i perkusista miażdżą precyzją, a Rob bez basu macha rękoma, bo coś z nimi trzeba zrobić. Ale to przynajmniej dla niego wyzwanie, jest aktorstwo ilustrujące teksty, dzięki czemu dobrze się to ogląda. Zastanawiałem się jak zabrzmi TAU CROSS na żywo. Ich płyty momentami brzmią lekko, żeby nie powiedzieć rockowo. Czego się spodziewać po koncercie? Spodziewajcie się punkowego ostrego brzmienia, gitary nie odpuszczają i najważniejsze: ten zespół z innym perkusistą nie byłby tym, czym jest. To on nadaje ton tej muzyce i wniósł to tych riffów nowy wymiar. Najwyraźniej eksperyment połączenia różnych światów muzycznych w jeden zespół przyniósł efekt nowatorski. TAU CROSS naprawdę pokazuje, że mimo, że „już wszystko wymyślono" można zrobić coś innego. Na koncertach TAU CROSS jest bujanie, śpiewanie i jedne wielkie wspólne chórki. Atmosfera przyjacielskiego kręgu rycerzy zza okrągłego stołu pełnego piwa.

Wojtas

HELLSHOCK, LAWGIVER - 05.08.17, Hafenklang, Hamburg

Z koncertu TAU CROSS wróciłem około drugiej nad ranem, trzeba było świętować to wydarzenie, sobotni poranek przywitał mnie lekkim kacem, co skutecznie zgasiłem w zarodku „tabletkami", czyli pilsem. Musiałem być w formie na kolejnym koncercie w tym samym miejscu. Po przybyciu do klubu, szybkie piwo, wczorajsze twarze, przejrzenie distra Amerykanów i bezsensowne oczekiwanie na

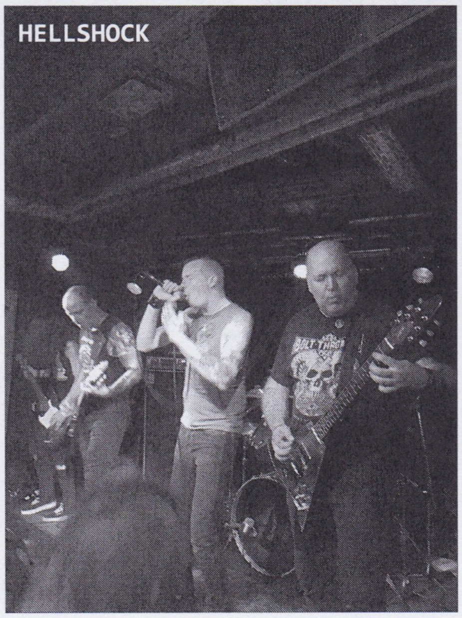

pierwszy występ ponad półtorej godziny. Nie wiem po co i już się nie dowiem. A miałem ochotę szybko zobaczyć LAWGIVER ze Szwecji, bo zdążyłem się zorientować po wyglądzie szwedzkiej ekipy, że grany będzie hardcore z żeńskim wokalem. W końcu zaczęli. Publiczność rozkręcili dopiero w drugiej części swojego występu, ludzie musieli się przyzwyczaić do tego konglomeratu hardcore'owego grania, raz wściekłego, raz połamanego, z akrobacjami wokalistki typu freezy, szpagaty, świece, etc. Nie wiem, o co chodziło, ale przynajmniej widać, że ta charyzmatyczna osoba umie i lubi to robić. No i dobrze. Szkoda tylko, że nie była zbyt dobrze słyszana, bo jej wokal wydawał się być inny niż wszystkie żeńskie wokale w takim graniu. Jednak można źle się ustawić. Ja nie kupiłem ich występu, mimo, że ekipa wydawała się być szczera w tym, co robi. Nie moje granie i nie moja estetyka.

Tym razem krótka przerwa i na scenie HELLSHOCK. Przed publicznością rząd czterech facetów na scenie, a za nimi perkusista. Jak zaczęli to przez godzinę nie odpuszczali. Numer za numerem, bez zbytnich przerw. HELLSHOCK to jedna wielka wirtuozeria gitarowa. Równo, szybko, metalicznie. Jest wściekły thrash, jest crust, są solówki. Do tego basista zwierzak i perkusista zwierzak. Bardzo dobrze się takiej młócki słucha, szkoda tylko, że panowie są mocno statyczni na scenie, tylko od czasu do czasu nie mało ważący gitarzysta podskoczy do góry. Ale niemieckiej publice to nie przeszkadzało. Wszyscy bawili się świetnie, były lekkie ofiary spotkania ze słupem podczas skoków, nikt się tym zbytnio nie przejmował. Tylko te fajki przeszkadzały...

Wojtas

Muszla Fest - 18-19.08.2017, Bydgoszcz.

Dużo zespołów. Tani bilet w przedsprzedaży. Jak co roku niemal od powstania tego festiwalu jadę do Bydgoszczy odwiedzić rodzinę i zażyć muzyki. Kupując wcześniej bilet zyskuje się dużo. Tak też zrobiliśmy. Ale zdążyć na początek się nie udało. Znowu, nawet pomimo wolnego dnia w tym roku – co zresztą identycznie wypadło w przypadku Ultra Chaos Pikniku. Tym razem czekaliśmy na powrót szwagra z pracy. Chciałem zobaczyć HARUSHA, bo wieści z netu brzmiały optymistycznie. SHITSTORMS opuściliśmy bez żalu jadąc tramwajem. Dochodzimy na plac i okazuje się, że skończyła grać PRAWDA. Co się dzieje? PRAWDĘ też chciałem zobaczyć! Straciliśmy już trzy kapele?! Okazało się, że straciliśmy PRAWDĘ, a HARUSHA przed nami. Szczecin się spóźnił, otrzymał burę od Modela trzymającego laptop z rozpiską kapel i zamienił w programie PRAWDĘ. Trudno, ulokowaliśmy się przed sceną, by sprawdzić jak poczyna sobie Harcerz, wcześniej znany z charkotu w ANALOGS. I o ile cenię ANALOGS i podejście do HARUSHY miałem pozytywne, to rozczarowałem się srogo. Muzyka na moje ucho nijaka, rockowa, bezpłciowa, jednostajna, dziękuję… Kilka osób podskakiwało w kółeczku na trawie, no, ale to samo widać pewnie na rockowych festiwalach. Nie spotkałem nikogo, komu by się ich występ spodobał, może to pośpiech wynikający ze spóźnienia, a może tak właśnie grają. A PRAWDA ponoć wypadła dobrze, cóż… Czas NONE spędziliśmy na kołowym obchodzie terenu i podawaniu rąk znajomym. Starczyło akurat by skoncentrować się na występie GAGA/ ZIELONE ŻABKI. Bardzo pozytywny koncert. Smalec bez przerwy z uśmiechem, bądź wprost ze śmiechem ze sceny, komentował poszczególne kawałki, lub rozpoznane twarze. Kilkukrotnie wywołując Paulussa przy tym, który też przybył, by sprawdzić formę CONFLICTU. Z Colinem chwilę porozmawialiśmy o Jarocinie i legendzie jaworskiego punka i jemu też ŻABKI przypadły do gustu. Przynajmniej tak mówił. Po ŻABACH RISK IT z Niemiec i znowu po rzuceniu okiem na ten ich kwadratowy hardcore ruszyliśmy w obchód terenu, bo zespół bez większych wzruszeń się nam zaprezentował. Po nich CONFLICT, legenda anarcho punka, na którą przyjechaliśmy. Nie pierwszy raz ich widziałem i póki co – był to ich najlepszy występ, jaki z rozdziawioną gębą oglądałem. Mnóstwo energii, pasji, wściekłości, dynamiki,

CONFLICT

chyba tak musiały wyglądać ich koncerty te trzydzieści lat temu! Podobno Colin był pijany, ale chuj mnie to obchodzi – na scenie był królem, bo rządził nią po całości. Jeszcze rok temu były dwie sceny i lepiej wypadały koncerty grane w mniejszym namiocie, ale gdyby CONFLICT zagrał w namiocie, a nie na tej dużej scenie, to stracilibyśmy połowę ich jakości. Może trzeźwy wokalista nie byłby aż tak energetyczny? Nieważne. Wszyscy z zespołu robili dobrą robotę. Perkusista z racji stanowiska jest bardziej statyczny, ale i gitarzysta skakał gdzie mógł i basista (szczególnie on!) fruwał nad sceną i grał całym ciałem. Bomba! Grali godzinę. „This is the ALF", „Serenade is Dead", „Custom Rock", „Liberate", wiele innych, super… Jak skończyli to ludzie domagali się bisów, ale tajemnicą poliszynela jest, że na bydgoskich imprezach z reguły trudno jest się ich doprosić – no chyba jeśli są zaplanowane przed koncertem. Tu też wodzirej poinformował nas, że czas już minął, ale nie spotkało się to z dobrym przyjęciem załogi. Pauluss wdał się z nim w polemikę i to chyba głównie dzięki niemu i jego postawie organizatorzy się cofnęli, a Angole wyszli jeszcze na powtórne zagranie „Carlo Guliani". No i klawo. Bez dwóch zdań ten wieczór należał do CONFLICTU. Dochodziła północ, na scenie logował się CHAINSAW, a my uciekliśmy do domu. Pół na pół widzieliśmy, ale to, co śledziliśmy wystarczyło, by się ucieszyć. Drugiego dnia przybyliśmy spóźnieni specjalnie, bo LOWTIDE i UNBEATEN oglądać się nam nie chciało. A po nich EL BANDA. Anka zeszła ze sceny, rozsunęła barierki przed nią i z bezprzewodowym mikrofonem wyszła na bosaka do nas, ułożyła mandalę i zachęcając do jej likwidacji zaczęła z zespołem ich set. To chyba największa scena, na jakiej widziałem do tej pory EL BANDĘ i ciekawiło mnie, czy się na niej odnajdą: jednak jest różnica między Muszlą a Pilonem na przykład! Dali radę. Zabrakło znowu „Szachrajki", ale reszta i tak podoba mi się zawsze. Przyznaję się, że rozrzuciłem w końcu tę mandalę, a później od znajomych słyszałem komentarze, że „chuliganiłem". No, ale tak miało przecież być! Ktoś z publiki jeszcze wyskoczył do Anki z krzywym tekstem, ale został przez nią w moment spacyfikowany wokalnie i cześć. Jakoś mi BANDA średnio pasowała do tego line upu, ale spisali się na medal. I to mimo słonecznej jeszcze pory, git. Jeszcze w trakcie ich występu spotkałem się z Buntem z OPRYCHA i opowiadając sobie, co tam u nas słychać ułożyliśmy chytry plan. Gdy BANDA grać przestała ja zalogowałem się za sceną. A raczej z boku niej. ULICZNY OPRYSZEK z gościnnym wokalem pożyczonym z radia Underground zaczął zdaje się coverem GUERNIKI Y LUNO „Punks not dead", a później poleciały ciurkiem kolejne covery, których im wszakże nie brakuje. W sporej liczbie młoda publika skoczyła w pogo i widać było, że im się naprawdę podobało. Kapela niewiele zagrała kompozycji autorskich, ale usłyszeliśmy jeszcze PARANOYĘ, POST REGIMENT, KONWENT A, PROWOKACJĘ, PANCER, REŻIM, miejscową przecież AMPUTACJĘ, itp… W połowie koncertu Bunt mnie wywołał i mogłem mieć te kilka minut sławy i spełnienia marzeń śpiewając z zespołem „Na zawsze punk" – coś na kształt hymnu tej konsekwentnej załogi z małego miasta. Chyba nie tylko bliskim się podobało, bo wiara robiła sobie ze mną fotki, gdy wróciłem przed scenę. Po gigu idziemy spróbować niskoalkoholowego piwa. Ciekawe: stoi się w jednej, długiej, kolejce do nabycia żetonów na napoje, a później bez żadnej kolejki bierze się piwo z któregoś nalewaka. Nie rozumiem tego systemu, wyszło na to, że generował dłuższe czekanie, no, ale może ja jestem tępy. SCHIZMA grała w tym czasie i choć cenię SCHIZMĘ za postawę i wytrwałość i będę ją mocno zawsze wspierał, to muzycznie nie jest to już moja bajka, więc nie oglądaliśmy setu. No a później KAT & Roman Kostrzewski. Chyba pierwszy raz widziałem i chciałem zobaczyć jak to będzie. Masa narodu przed sceną, ściemniło się już konkretnie (przypadek? Hehe!), a zespół łoił swój metal jak należy. Każdy kiedyś słuchał metalu. Szwagier ma bogatą, liczoną Metalmaniami, itd., przeszłość, ale on od zawsze polskim metalem gardził mając jakimś swędem już w latach 80. dostęp do konkretnych ekip z Zachodu. Muszę powiedzieć, że bardzo podobał mi się Roman na scenie. Facet mający swoje lata z pewnością nie miał tej energii, co Colin Jerwood, ale on też na scenie żył: zero monotonii i statyki, on to musi naprawdę czuć! Z tego, co pamiętam, to bisowali, a buzie publiki były zadowolone, co oceniałem kręcąc się wśród tłumu, gdzie widziałem i punków przed samą sceną. Chyba podobali

ULICZNY OPRYSZEK i kolega Grzester

mi się bardziej niż VADER rok wcześniej. Dobry występ. Zresztą niewiele później, gdy spotkałem Romana na terenie i pogratulowałem występu wyrażając jednocześnie swoje uznanie (mimo wyrażonych „różnic programowych"), to padliśmy sobie w ramiona niczym starzy znajomi, hehe! Większość tego wieczoru i tak przegadaliśmy z załogą z OPRYSZKA, ale na IGNITE na moment skoncentrowałem swoją uwagę. Powiem tak: widziałem ich lepsze występy, przynajmniej tak je zapamiętałem, ale publice bardzo się podobali. Gwiazda przez duże Gie, sam autobus robił wrażenie… Takie granie w Bydgoszczy ma swój odbiór, więc tu trafiono w gusta, no i dobrze. Żona była już zmarznięta, my nieco zmęczeni także, około północy zawijaliśmy się do domu. Zrezygnowaliśmy z CF98 i LENIWCA, bo w lesie generalnie nocą zrobiło się szybko chłodno, ale podobno występy były ok. Dobra biba, ale uważam, że impreza zasługuje na większą publikę!

Grzester

Never Forgive - Never Forget # 2. RADIANCE, RATRACE, MESSED UP, NON PRESIDENT, KALESONY BOGA WOJNY, INFA RIOT, WORLD HISTERY X, KOSA OSTRA, THE MOONCHEESE, STRIKE YOU DOWN, GOOD LOOKIN' OUT, PLEASURE TRAP, NEGATIVE VIBES, LAZY CLASS, JENNY WOO'S HOLY FLAME - 25-26.08.2017. Ośrodek wypoczynkowy „Brzeźnica", Brynek k./Tarnowskich Gór.

W zeszłym roku hiszpańskie wojaże przeszkodziły mi w zawitaniu na pierwszą edycję tego festiwalu, a nie powiem - ochotę to ja miałem. Gdy na przestrzeni kilku miesięcy zaczynał rysować się skład imprezy, coraz bardziej byłem zdecydowany na śląski wypad. Moja klamka zapadła jeszcze przed Ultra Chaos Piknikiem. Co, jak co, ale szkoda było przegapić takiego eventu… reszta mieleckiej załogi decydowała się gdzieś po drodze aż w końcu w silnej, czteroosobowej ekipie, ruszyliśmy ku autostradzie do… punk rocka. A droga nasz był z tych, co zwą się raczej „drogą przez mękę". Pierwszy korek dopadł nas gdzieś w okolicy Tarnowa. Pół biedy, potem było tylko gorzej. Kraków z początku szedł jak z płatka, ale mniej więcej połowa jego obwodnicy była prawdziwą udręką. Jebany korek ciągnął się prawie pod same Balice. Płatny odcinek „czwórki" też nie był zbyt płynny, lecz do tego już się przyzwyczailiśmy przez lata. Mogę tylko powtórzyć za setkami tysięcy, jeśli nie milionami kierowców - za co my kurwa tam płacimy!!! Wreszcie Katowice i w miarę płynna droga ku Brynkowi, niewielkiej wioski, nieopodal Tarnowskich Gór, gdzieś przy trasie ku Poznaniowi… Są pierwsze strażki

EL BANDA

prowadzące ku miejscu docelowym i już mi się podoba. Jazda przez las, potem mały parking, a zaraz brama wjazdowa do ośrodka. Kupujemy bilety jednak wracamy się, by zajrzeć jeszcze do miejscowej Biedronki. Tam napatoczyliśmy się już na pierwsze znajome ryje oraz wiele innych punkowo wyglądających osób, płci obojga. Po zakupach wreszcie wjeżdżamy na teren festu, który stanowił post-PRL-owski ośrodek wypoczynkowy o dumnie brzmiącej nazwie „Brzeźnica”. Wszystko wygląda, że tak powiem, elegancko. Całkiem przyjemny teren, z małym stawkiem i basenem obok niego, niewielkim parkiem, kilkunastoma domkami przypominającymi minioną epokę i asfaltowym boiskiem, na którym została umiejscowiona „scena” i miejsce dla widowni. Pole namiotowe stanowiły trawiaste tereny dookoła, w zasadzie każdy mógł się rozbić tam, gdzie chciał. Ogromnym plusem imprezy były też warunki sanitarne, czyli typowe dla kampingów czy pól namiotowych umywalnie oraz prysznice. Fajne było też to, iż można było parkować samochody obok namiotów, a nie zostawiać ich gdzieś na boku (była za to, co prawda dodatkowa opłata, ale w znośnej cenie). Szybko więc instalujemy się na miejscówce, którą okupują już znajome mordki z Bielska, Chorzowa i Krakowa. Ogólnie, wokół sporo rozpoznawalnych twarzyczek, choć większość stanowią Ślązacy i Ślązaczki, co w sumie nie powinno dziwić. W czasie rozbijania namiotów, itp. okazało się, że wypad do Biedronki kosztował nas występ krakowskiej orkiestry RADIANCE. Trochę szkoda, choć widziałem już chłopaków w ostatnim czasie kilka razy i coś mi się wydaje, iż zobaczę niebawem jeszcze nie raz. Gdy otwieramy pierwsze browarki, instalują się już goście z Trójmiasta, RATRACE. Chwila moment i już zaczynają grać swojego hardcore'a. Nigdy ich wcześniej nie widziałem, więc mnie trochę zaciekawili. Niestety, nie zaskoczyli. Nie mówię, że to, co zaprezentowali było jakieś złe czy kiepskie? Był to dobrze zagrany hardcore, w większości z angielskimi tekstami, choć kilka w języku ojczystym też było, z porywem i wykopem, jednak nie do końca trafił w mój gust. Chłopaki pograły i przestały… Mały rekonesans po okolicy, spotykanie znajomych, kolejne browarki, jak i coś mocniejszego… a na asfalcie już są dziewczyny z Białorusi - MESSED UP. Cztery młode dziewczyny z Grodna zaprezentowały się całkiem fajnie. Ich punk rock nie jest jakoś odkrywczy, ale słuchało się go całkiem spoko, a zachowanie dziewczyn pełne było luzu, przez co kontakt z publiką dobry. Co najważniejsze, śpiewały po swojemu, a ja bardzo lubię kapele, które śpiewają w mowie ojczystej (i nie ma to nic wspólnego z jakimkolwiek patriotyzmem…). Swojego seta zakończyły jednym z przebojów THE STOOGES i jeszcze mi coś świta w pamięci, że zagrały jakiś szlagier z historii polskiego punka, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, co to było i, o ile faktycznie coś było… jakby nie patrzeć alkoholu w żyłach było coraz więcej :). „Scenę” opuszczają białoruskie riot grlzzz a na ich miejsce pakują się gospodarze Outside Fest, czyli znane już i lubiane crust punki z NON PRESIDENT. Chyba nikomu tu nie trzeba przedstawiać tej hordy… Zagrali równo i ostro swojego crusta. Podobało się, nie powiem, a i nie było to moje pierwsze z nimi spotkanie na żywo. W całościowym zestawie festiwalu była to z pewnością najostrzejsza kapela. KALESONY BOGA WOJNY powiem szczerze, jakoś mnie nie pociągnęły… W latach 90., gdy zespół ten rządził pośród jabol-punkowej publiki, nawet ich nie przesłuchałem jeden raz. Po reaktywacji też tego nie zrobiłem, bo jakoś nie miałem okazji ani chęci. Wysłuchałem kilka numerów, ale sorry, to nie dla mnie, nie do końca mój klimat. Niby punk rock, niby zagrany z przytupem, niby ludzie się bawili i pogo było, jak się patrzy, ale ja wciąż nie znajdywałem tam miejsca dla siebie. I nie pomagał nawet alkohol, pity w coraz większych procentach i ilościach… Po bogach punko-polo przyszedł czas na główną „gwiazdę” festiwalu, weteranów z INFA RIOT. To jedna z tych kapel, która wypłynęła na drugiej fali angolskiego punk rocka. Powstali w 1980 roku, w '82 wypuścili zajebisty album „Still Out of Order”, ze dwa, trzy single i przemianowali się na The Infas, które było już tylko cieniem doskonałości swej poprzedniczki… ostatni koncert zagrali chyba w 1985 r. Reunion INFA RIOT nastąpił w 2011 r., a koncert w Brynku był ich pierwszym i jak na razie jedynym występem na ziemiach polskich. Zaczęli kilkoma starymi szlagierami i od razu można było zauważyć, iż mają bardzo dobry kontakt z publiką. W ogóle wydaje mi się, iż większość ich repertuaru stanowiły stare kawałki, z pierwszej płyty, choć coś nieznanego też zarejestrował mój coraz bardziej pijany umysł. Ci, co byli, bawili się wyśmienicie, część pogującej w pierwszym rzędzie ekipy załapała się nawet na wspólne śpiewanie z Lee Wilsonem. Jak na 50-latków, INFA RIOT daje na scenie radę, a znak czasu odcisnął się na nich nieznacznie. Ich uliczny punk rock zadowalał wszystkich - punków, HC kids i skinów, młodych i starych. Nie było widać w nich też nic z gwiazdorstwa, które uderza niestety niektórym „gwiazdom” powracającym po latach na punkową scenę… Tutaj mieliśmy pełen luz, zero barier pomiędzy kapelą a publiką, jedność, której duch unosił się

BlackWednesday Records

BWR 015
DESZCZ LP

BWR 022
L.A.S.T.
„Punk (against!) Rock" 12" EP

BWR 027
OREIRO
„live De Centrum" LP

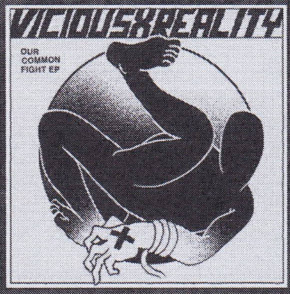

BWR 031
VICIOUS X REALITY
„Our common fight" EP

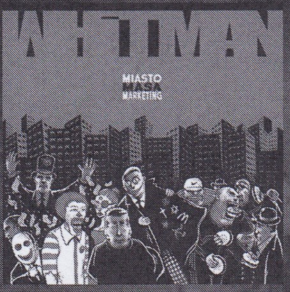

BWR 032
WHITMAN
„Miasto Masa Marketing" LP

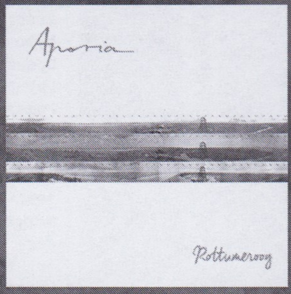

BWR 033
APORIA
„Rottumeroog" LP

BWR 034
FIGHT THEM ALL
„Down The Drain" LP

BWR 036
OI POLLOI
„Unfinished Bussines" LP

BWR 037
WŁOCHATY
„Głośniej Od Bomb" 12" EP

BWR 039
BLACK PALATE/RADIANCE EP

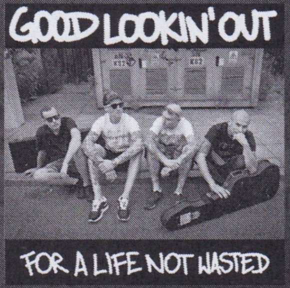

BWR 040
GOOD LOOKIN' OUT 12 EP

ZAPOWIEDZI:
BWR 035 EYE FOR AN EYE "FABRYKA DRWIN" LP
BWR O 41 CYMEON X „FUCK FASCISM" (LIVE) LP
BWR 042 AUGUST LANDMESSER/KACZYNSKI SPLIT EP

BLACK-WEDNESDAY.PL
BLACKWEDNESDAYRECORDS.BANDCAMP.COM
FACEBOOK.COM/BLACKWEDNESDAYRECORDS
INFO@BLACK-WEDNESDAY.PL

INFA RIOT

KOSA OSTRA

THE MOONCHEESE

nad całością… Mogłoby się wydawać, że występ Brytyjczyków kończył będzie pierwszy dzień fest, ale nie. Na koniec została wschodząca „gwiazda" śląskiej sceny hardcore/punk - WORLD HISTERY X. Miałem już okazję widzieć ich na żywo i zostawili po sobie bardzo miłe wrażenie. W Brynku WHX zaprezentowało się również całkiem spoko, grzejąc swojego metalicznego hardcore'a z żeńskim, dość charakterystycznym wokalem. O dziwo, ludzie nie porozchodzili się po występie Anglików i zostali na ich seta, ale nie ma się co dziwić, lokalna solidarność zobowiązuje :). WHX zakończyli oficjalną część pierwszego dnia imprezy. Potem nastąpiła już ta część mniej oficjalna, czyli pokoncertowe imprezowanie, rozmawianie i miłe spędzanie czasu wśród punkowej braci i siostrzeństwie. Ja, wraz z domowej roboty napitkiem wysokooktanowym, zawitałem nawet zupełnie przypadkowo w towarzystwo dwóch członków INFA RIOT, którzy nie odmówili spróbowania domowych wyrobów i nawet nie krzywili się z powodu mocy w nim zawartej. Niestety, nie udało mi się namówić na ów napitek niejakiego Fakira, ale kto zaobserwował, w jakich stanach znajdował się wcześniej, ten może się tylko domyślić, co było tego powodem. Gdy moja butelczyna osiągnęła kompletne dno, postanowiłem uda się w miejsce spoczynku, oczekując kolejnego poranka i kolejnych muzyczno-towarzyskich doznań.

Drugi dzień rozpoczął się bólem głowy i jedynym tego dnia połkniętym z szybka browarem, który tylko na chwilę ratował mą głowę. Kolejną próbą ratowania głowy była kawka oraz śniadanko, jednak najlepszym rozwiązaniem okazało się zamoczenie umęczonego ciała w zimnawej, ale orzeźwiającej wodzie basenu. O punkowo-hardcore'owym imprezach z basenami mogliśmy do tej pory tylko usłyszeć od tych, co jeździli na jakieś Fluff Festy do Czech, ewentualnie pooglądać na jutubie, jak to amerykańskie punki bawią się w basenach przy punk rocku. A tu proszę, mamy zajebisty fest z basenem, w którym można się popławić pod czujnym okiem ratownika. O dziwo, frekwencja na basenie nie była zbyt rewelacyjna. Zapewne nieco odstraszała z początku temperatura wody, ale szło się przyzwyczaić… a może to i dobrze, że tłumów nie było, nikt o nikogo się nie obijał, można było spokojnie się relaksować. W międzyczasie, w miejscu gdzie odbywały się koncerty, zaczęto rozkładać maty, na których odbyły się później walki zapowiedzianej amatorskiej gali sportów walk. Gala ta miała całkiem sporą widownię i myślę, iż oglądali ją nawet ci, którzy na co dzień niezbyt podniecają się takim mordobiciem. W sumie odbyło się sześć walk, w różnych stylach, a jedna z nich była w wydaniu kobiecym (gdzie walczyła m.in. wokalistka WHX). Nie znam się, więc nie będę się wypowiadał na temat ich poziomu. W niektórych walkach miałem swoich faworytów (wiadomo, znajomi…), którzy nie zawsze wygrywali, lecz nie można było im odmówić woli walki i zaciętości. Dodatkową atrakcją turnieju były komentarze Fakira, który mógłby robić za cało etatowego komentatora, choć pewnie zabrakłoby mu na to sił. Pomiędzy końcem gali, a początkiem koncertów była jeszcze dłuższa chwila wolnego czasu, nie omieszkałem więc skorzystać raz jeszcze z basenu, by schłodzić organizm. A przyznać trzeba, że pogoda dopisywała przez cały czas…

Artystyczną część drugiego dnia rozpoczynają „miejscowi", czyli hardcory ze Śląska, KOSA OSTRA. Na najmłodszych już chłopaki nie wyglądają, zapewne więc mają za sobą już jakieś przygody z HC/punkową muzą, ale nie znam ich, więc nie będę się wypowiadał, co i gdzie grali. Ja widziałem ich i słyszałem po raz pierwszy, może jakoś szczególnie nie powalili, ale zagrali przyzwoitą muzę z polskimi tekstami i takim chuligańsko ulicznym zadziorem. Jak sobie później posprawdzałem w necie, nie nagrali jeszcze żadnego materiału, ale mają za to już cztery wzory koszulek! Może to teraz taka moda, że najważniejszy jest tekstylny merch, a konkretne nagrania przychodzą z czasem... Ale mamy już kolejną kapelkę na asfalcie, i to taką, której byłem bardzo ciekaw. THE MOONCHEESE to damsko-męski kwartet z korzeniami w Bielsku-Białej. Ekipa wcześniej przecierała swe punkowe szlaki w zespołach PUSSY TERROR i ON YER BIKE. W tym składzie pogrywają już ponad rok czasu i wychodzi im to całkiem fajnie, choć zawsze znajdę jakiś minusik. Dla mnie są to angielskie teksty, ale tak już mam, że bardziej szanuję śpiewanie w ojczystym języku... Ale przełykam tego minusa i zatracam się w ich muzie, która oscyluje gdzieś pomiędzy indie rockiem, a nową falą, z lekkim punkowym szlifem. Oczywiście damski wokal jest cechą wyróżniającą ten zespół pośród wielu innych, choć wiem, iż nie powinno być to niczym zaskakującym, ale jednak jest. Fajny klimacik, super występ, kiedyś mam nadzieję, że ich jeszcze spotkam na scenie... Gdy instalują się kolejni punkowcy, słońce powoli zaczyna schodzić z horyzontu, panuje lekki półmrok, gdy padają pierwsze dźwięki ze strony STRIKE YOU DOWN czyli krakowskich chuliganów hardcore punka. Chłopaki podobają

mi się z koncertu na koncert coraz bardziej. Pełni wyluzowania, weseli, choć nie zawsze śpiewają o rzeczach wesołych. A Gizmo drze ryja po polsku, więc jak zawsze mają za to u mnie dodatkowego plusika! Poza tym wokal ma niezłą konferansjerkę, nawija pomiędzy numerami non stop, a w czasie używania mikrofonu szaleje jak jakiś małolat... W kilku numerach ów wokal wsparło kilka osób z publiki, co znaczy tylko tyle, iż kapela jest coraz bardziej znana pośród braci i sióstr w punkowej wierze. Bardzo dobry set niezłej muzy. Po krakowiakach montują się kolejni przedstawiciele Silesia Attack - GOOD LOOKIN' OUT. Niestety, mój organizm w tym momencie doznał straaasznego osłabienia i musiałem sobie odpuścić seta tej zacnej śląskiej ekipy. Mam nadzieję, że zostanie mi to wybaczone... a sam udałem się na krótką regenerację organizmu w namiocie. Po lokalsach „scenę" opanowują warszawiacy, i to na dłuższy czas. Jednym busem zjechało aż trzy kapele ze stolicy, wiadomo więc, że składy będą się mieszać. Jako pierwsi stolicę reprezentują PLEASURE TRAP ze swą bardzo nietypową muzą, jakże zupełnie odmienną do całej reszty prezentowanej w czasie tegoż festu. Sami to określają mianem power pop/ skinhed soul, oczywiście z punkowym przytupem jeszcze. Śpiewane oczywiście w english, ale nie wiem czy tu akurat polski język by pasował? Słychać w tej muzie fascynacje THE JAM, wyszukanym brzmieniem THE CLASH, momentami starym brytyjskim ska. Delikatność głosu Eryka czasami przywodziła mi na myśl niezapomniane SKIN DEEP, a wszystko nierozłącznie kojarzyło się z fajnie odzianymi rude boys, tedsami, pierwszymi skinheadami, skuterami i klimatem z filmu „Quadrophenia". Podobało mi się również to, że Eryk dość często mówił, o czym zaśpiewa, a nie były to rzeczy banalne, choć tego można by było się spodziewać po takiej muzie. Ich występ była całkiem zgrabnym i fajnym przerywnikiem hardcore'owego i punkowego jazgotu (choć właśnie dla niego tam wszyscy zjechaliśmy). PT kończą, a na ich miejsce wskakują kolejni przedstawiciele stolicy, tym razem szybcy i wściekli czyli NEGATIVE VIBES. Gdy tylko zaczęli młócić, od razu można było zauważyć, iż ta kapela ma wzięcie wśród zgromadzonej gawiedzi. Rytmy, jakie prezentują, doskonale odzwierciedlają nazwę kapeli. Nie ma tu miejsca na pozytywne wibracje i śpiewanie o miłości. Jest tylko ból, gówniane życie i wściekłość na jebany świat. Słychać tu punkowy brud, bezlitosność i szał HC'80 jak i oi!'owe klimaty. Dla wielu wszystko to już było... być może, dla mnie to kwintesencja tego, co misie lubią najbardziej. Oczywiście, jak przystało na tego rodzaju band, grają szybko i szybko kończą. A że mają chyba już w zwyczaju kończyć jakimś coverem, to tym razem pada na „Can't Tell No One" z repertuaru niezapomnianych bostończyków z NEGATIVE APPROACH. Gitarzysta NV chwyta teraz za basówkę, dokoptowuje do składu resztę załogi i już mamy na scenie LAZY CLASS, chyba najbardziej rozpoznawalną kapele oi! w Polsce. Oczywiście po tej prawilnej stronie sceny, bo żaden bonehead czy rzekomo „apolityczny" skin nie będzie słuchał takich lewaków! I dobrze, oni niech sobie słuchają tego swojego topornego łoja. LAZY CLASS to można powiedzieć, że już klasa samo w sobie. Specyfiki dodaje tu wokal Eryka, muza jest na spoko poziomie, angielskie teksty nawet mi za bardzo nie przeszkadzają, choć mogliby coś po polsku w końcu nagrać, bo jak na razie mają chyba tylko jeden kawałek. Wiem, że muza LC nie podchodzi wszystkim sympatykom gatunku, sam słucham ją raczej tylko w wydaniu na żywo, ale muszę przyznać, iż zespól ten jest naprawdę na poziomie i może konkurować z wieloma klasykami gatunku. Gdy przedstawiciele sceny warszawskiej opuszczają już asfalt, pora na ostatni zespół festu, miłą i sympatyczną ekipę kanadyjsko-włoską czyli JENNY WOO'S HOLY FLAME. Wokalistką i gitarzystą kapeli jest Jenny Woo, kanadyjska skinhead girl (azjatyckiego pochodzenia w dodatku), która zasłynęła ze swych akustycznych oi!-songów. Jenny postanowiła zagrać tak, jak przystało grać oi!'a naprawdę, czyli elektrycznie. We Włoszech, gdzie obecnie mieszka, skompilowała

STRIKE YOU DOWN

PLESURE TRAP

NEGATIVE VIBES

sobie skład (dwóch kolesi i dziewczynę na basie, choć wcześniej grał na nim też koleś) i rozpoczęła koncertować. Zaproszenie Jenny i jej ekipy na finał festu był bardzo dobrym pomysłem. JWHF to melodyjny oi! punk, zagrany z fajnym klimatem, dużym wigorem, wręcz przebojowością. Jenny, jak i reszta kapeli, czuła się w czasie koncertu bardzo swobodnie, często wędrując ze swą gitarą w publikę, która coraz bardziej przejawiała zmęczenie, ale wciąż się bawiła. Ich występ był więc bardzo ciekawym zwieńczeniem całości imprezy, którą należy chyba zaliczyć do bardzo udanych...

Na koniec już kilka luźnych uwag odnośnie drugiej odsłony festu „Never Forgive - Never Forget". Po pierwsze, wielkie propsy za miejscówkę!!! Bardzo klimatycznie, schludnie, no i ten basem czy prysznice. Dziękówa za to! Do doboru kapel nie ma się co czepiać, każdy mógł znaleźć coś dla siebie fajnego i ogólnie rzecz biorąc, było pod tym względem bardzo dobrze. Niestety, bardzo zawiodła publika, bo frekwencyjnością ten fest nie powalał. Mogłoby się wydawać, iż z samego Śląska winno zjechać się ze 3 stówy punków i hardcore'ów, a tu w sumie było nie wiem ile,

ale nie więcej jak 200 osób, i to razem z kapelami chyba. Jeszcze pierwszego dnia była mały tłumek, widać było, iż wiele mordeczek przyjechało tylko dla INFA RIOT, choć i tak spodziewałem się na tej legendarnej bądź, co bądź kapeli, większych tłumów... Drugi dzień już nie powalał, choć jego skład też był całkiem dobry. Nie wiem, co jeszcze trzeba zapewniać ludziom, by ruszyli dupy i wspierali swą obecnością takie imprezy? Tu było wszystko, co potrzeba, ba!, nawet więcej niż potrzeba bym powiedział... Więc dla wszystkich malkontentów, co narzekali, że za dużo oi!'a czy cóś, serdeczne fuck off! Niemniej fajnie było zobaczyć kilka znajomych mord, w tym takich naprawdę dawno niewidzianych (hi! Kuba!), jak i bardzo mile znów ujrzanych... Miłym zaskoczeniem było dla mnie również, ponowne zobaczenie się z „naczelnym" „Chaosu..." i zapoznanie się z jego uroczą córeczką! A skoro o dzieciakach mowa, to fest ten jest bardzo przyjazny przybywaniu razem z małymi pociechami. Dzieciaki mają się gdzie pobawić, choć trzeba mieć na nie oko, bo w pobliżu jakby nie było woda... Jedyny minus, ale i tak w sumie mały, mogę postawić przy gastronomii. Było stoisko z wegańskimi burgerami, całkiem smacznymi, ale w sumie chyba tyle, nie licząc kempingowego kiosku gdzie w większości rządziły typowe jak na takie miejsce dania; kiełbaski, bigosiki czy inne knedliki. Fajnie, że była ekipa z yerbą, abstynenci i ci na kacu mogli dzięki niej podnieść się na duchu. A jak ktoś chciał uzupełnić swą płytotekę, to również mógł pobuszować w kilku stoiskach znanych i lubianych scenersów, jak i samych zespołów. Był też stolik z bibułą anarchistyczną i innymi papierowymi gadżetami (plakaty, wlepy, itp.) Ogólnie rzecz biorąc, wszystko było tak jak cza! :). Za rok na bank znów pojawiam się w Brynku i mam nadzieję, że luda będzie dwa razy tyle, pogoda dopisze i znów będzie można posłuchać dobrego hardcore punka w różnych wydaniach, pławiąc się w basenie... Oi!

Krawat

XX-lecie gorlickiej sceny alternatywnej - 02.09.2017. Gorlice. Za darmo!

Impreza była dwudniowa, ale od jakiegoś czasu brałem pod uwagę jedynie krótszy pobyt. Chciałem połazić po górach przez jakiś czas i zaliczyć ten festiwal, ale pogoda w tym roku jest maksymalnie fatalna, no i do tego doszły inne czynniki, co wpłynęło na plan jedynie sobotniej imprezy. Szkoda mi było najbardziej z piątku KREMLOWSKICH KURANTÓW, bo nie widziałem ich chyba nigdy. Z Andrzejem z Gorlic, który m.in. ogarniał tę imprezę znam się od wielu lat, ale nie było jeszcze okazji się spotkać. Zapraszał mnie już lata temu do odwiedzin i wzięcia udziału w jakiejś imprezie, ale czekałem na odpowiedni moment. Teraz był! W piątek wieczorem wsiadłem w pociąg na północy Polski i ruszyłem na wyprawę jakiej chyba nikt na tym festiwalu nie odbył. Nie było przedziałów z miejscami leżącymi, mimo wszystko liczyłem na wyciągnięcie nóg i jakiś relaks, w domyśle sen, co czasami się udaje w pociągu, a czasami właśnie nie. No i się nie udało. Do Warszawy ścisk jak smok, miałem miejscówkę, ale i wszystkie miejsca w przedziale zajęte. Później minimalnie luźniej, ale rodzina z trójką małych dzieci jechała do samego Krakowa. Wysiadłem o 7 rano w Nowym Sączu półprzytomny. Obejrzałem sklep monopolowy na dworcu, jak głosił napis: Sklep 24h. Przerwa w godzinach 2.00-5.00. Chciałem lekko zdrzemać na dworcowej ławce, ale natychmiast zjawił się ochroniarz i mi tego zabronił. No to poszedłem do miasta. Dopiero wtedy mi się przypomniało, że ja kiedyś tu byłem. W szkole średniej wysłano nas na likwidację bazy ZHP w Piwnicznej. Tzn. sami się wysłaliśmy, bo pojechało kilku harcerzy i dobrani koledzy. Nie byłem harcerzem! Było wesoło, szczególnie, gdy koledzy upili spirytusem Royal dywizję żołnierzy, którzy w Legionowie wysiadali napruci, my pamiętam niewiele później w Warszawie na przesiadkę też… No, ale to dygresja. Nowy Sącz jest ładnym miastem, szczególnie rynek i ratusz robią wrażenie. Zasiadłem tam na jakiejś kawie, bo czasu i tak miałem więcej niż

JENY WOO'S HOLY FLAMES

dość. Później doczłapałem do dworca PKP i tam walcząc ze snem, co jakiś czas drzemałem i prawie zaspałem na autobus. Myślałem, że to autobus, a był to niewielki busik, gdzie przez godzinę jazdy siedziałem z kolanami pod brodą i torbą na kolanach. Wreszcie po 800 km podróży dotarłem do Gorlic. Pokręciłem się po centrum, cyknąłem jakieś fotki, zjadłem zapiekankę z frytkami i poszedłem szukać punków. Nie było łatwo znaleźć miejsce festu, bo znajdowało się praktycznie za miastem. Jak tam trafiłem, to zastałem jedynie Bezkoca i kilku technicznych. Całe szczęście, że był ktokolwiek! Z wolna dochodzili i dojeżdżali następni, nie było ich zbyt wielu, myślę, że około setki, gdy już się ściemniło i wszyscy się skoncentrowali przed sceną. Do rzeczy, bo połowę opisu zajęło mi intro. Z niewielkim opóźnieniem zaczyna SIGNAL OF HOPE z Białorusi. Mieli zagrać dzień wcześniej, ale się spóźnili i policja już nie pozwoliła zakłócać ciszy nocnej. A warto dodać, że fest był na odkrytym terenie. Wytatuowani, w krótkich strojach (a ciepło nie było) zaprezentowali średnio porywający HC z ukłonem ku wschodniemu wybrzeżu Wielkiego Brata. Jeżeli nie mylę kolejności to po nich PARTY 5 to już niekrótkim stażem punk rock z Gorlic. Nóżką można było potupać, choć nic specjalnego nie podali. I niespodzianka dla mnie: SANTA IRENA z Warszawy. Psycho punk, acid rock, jakieś tego typu szuflady. Ich strona mówi: alternative punk noise pop, no cóż… Anka z EL BANDY na wokalu, co odkryłem z zaskoczeniem. Całkiem fajne to było, mimo że wokalistka momentami z kartki leciała z tekstami. Pewnie w klubie wypada to jeszcze ciekawiej, mnie kupili tak czy siak. FATE nie słuchałem dawno i jeszcze dłużej nie widziałem, nie rozpoznawałem ich. Przyzwyczajony do starych kaset nie mogłem się odnaleźć w ich muzyce, zresztą mocno dyskutowałem z poznanymi i spotkanymi lokalsami. Przeszli obok mnie. W końcu dane mi było zobaczyć RECESJĘ. Stary zespół stąd. Mam ich dwie kasety, a polubiłem od razu, gdy jeden z ich kawałków wyszedł na składance dodanej do „Pasażera". Jeszcze na kasecie bodaj. Poza tym Andrzej, organizator tych urodzin, jest tu wokalistą. Fajnie wypadli, pomimo kłopotów ze składem. Zdecydowaną większość kawałków rozpoznawałem, ale nie doczekałem się „Dog Bite" KENNEDYSÓW, którą kiedyś nagrali. Ucieszyłem się, że w końcu sprawdziłem ich na żywczyka. PERU to znów zmiana tempa i klimatu. Zespół z dużym potencjałem, ale bardziej do oglądania niż skakania. Zresztą, co to za podpowiedź, skoro mało kto teraz skacze na koncertach. Udało mi się znaleźć ludków z RAW POWER i chwilę z nimi pogadać, zrobić zdjęcia, itd. W końcu w znacznym procencie dla nich tu przyjechałem. Oni chyba jako jedyni mieli dłuższą drogę do Gorlic niż ja, no ale ja raczej jechałem dłużej. Włoscy koledzy przyznali. że mój pomysł na przyjazd aż tutaj nie był mądrą decyzją, haha… Przy okazji dogadałem się z Mauro, że gdyby zszedł ze sceny (bo była oddzielona barierkami) i podszedł do publiki, to wspomógłbym go w refrenie np. „State

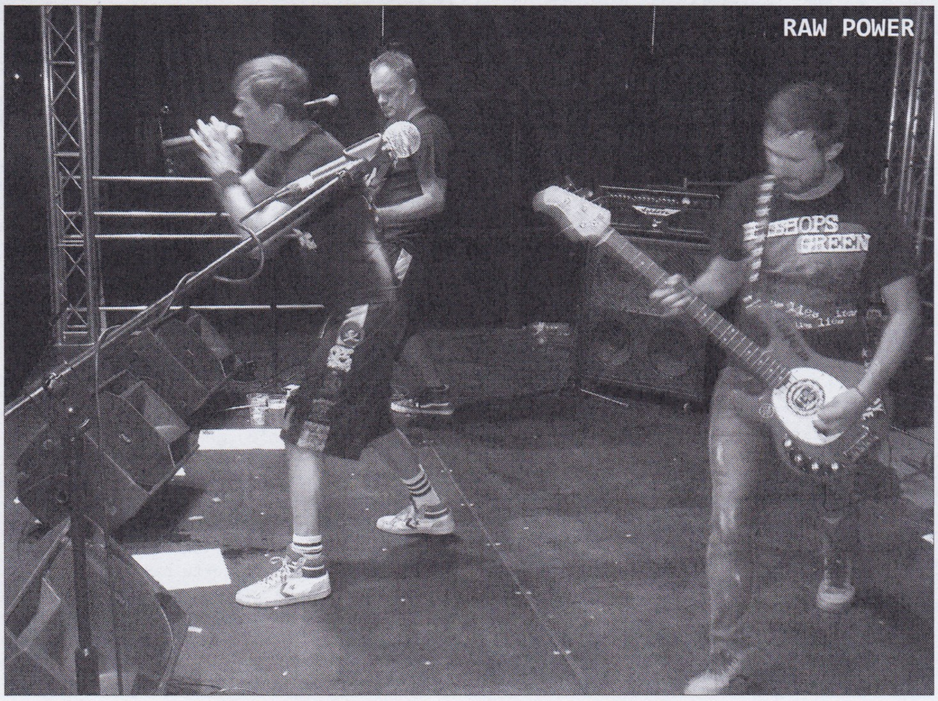

RAW POWER

Opression”. Byliśmy więc po tzw. słowie. Mocno się już wtedy ochłodziło. PODWÓRKOWI CHULIGANI też nie zawiedli, ale gdzie był „Doktor Martens” do cholery? Myślałem że wydłużą występ pamiętając ich set, na którym byłem ostatnio, no ale grali mniej więcej tyle co reszta. No, a na zakończenie legenda światowej skali, żywa historia hardcore'a, inspiracja wielu innych, niezniszczalni Włosi z RAW POWER! Trzeci raz widziałem ich koncert i lipy nigdy nie było, tak jak i tutaj. To jest hardcore, to jest punk! No i jaka energia na scenie, obok Mauro, który lubi sobie poskakać, dobrym ruchem popisywał się basista, który był wszędzie. Ciężko było mu zrobić fotkę, bo było dużo dynamiki. „You are the Victim”, „Mine to Kill”, „We Shall Overcome”, „Raw Power”, „Fuck Authority”, „Power”, „Hate”… hity, hity! Mauro ze sceny nie zszedł, ale w pewnym momencie z jej krawędzi zaczął się wpatrywać w tłumek przy barierkach i zaprosił mnie gestem na scenę. Wysoka franca, ledwo na nią wlazłem. Na scenie huk jak smok, byłem zdezorientowany, ale w końcu rozpoznałem „State Opression” i wspólnie z wokalem pokazałem Gorlicom jakim gardłem dysponuję, bo kawałka tego znam w zasadzie połowę, a nie tylko refrenik. Jeszcze Andrzej nas wspomagał, więc na scenie zrobiło się dość tłoczno. Fajny koncert. Dodatkowy smaczek, to perkusyjne cow bells, które uwielbiam i o których rozmawialiśmy później z Włochami. Podobno kowboje na południu Ameryki to uwielbiają. Włosi nieznacznie wydłużyli swój występ, pomimo sygnałów organizatorów i jeśli pamięć mnie nie myli, to chyba znowu zakończyli set „Ace of Spades” MOTORHEADÓW. Extra! Po koncercie dłuższa pogawędka z ich gitarzystą na temat NEGAZIONE i WRETCHED oraz innych poboczności, no ale szef z Dębicy już wzywał do Rolls Royce`a, byśmy udali się do jego willi na wypoczynek. Jeszcze tylko sygnał, że kogoś namioty okradziono i pocięto nożami (no co za kurestwo!) na pobliskim namiotowym polu i że w drodze jest policja. Tu akurat pretensje do organizatorów uważam za chybione, pole było niepilnowane, zostawiać tam cokolwiek, to zawsze ryzyko, a durni nie brakuje. Duże brawa dla organizatorów i wytrwałości w dalszych latach podtrzymywania tej sceny przy życiu. Gorlice Not Dead! Bardzo mile spędziłem tam czas. Hail Michał, Hail Łukasz! Udało się kilka osób poznać wreszcie w realu, kilka poznać dosłownie, czułem się tam jak u siebie, polecam innym wizyty w tym mieście. Nie tylko na koncertach zresztą, ale i by sprawdzić okolicę, bo jest czym oko cieszyć. Z minusów osobistych wymienię niezauważenie prezydenta Słupska, Robiego Biedronia, który pokazał się na koncercie i jeszcze przypozował do kilku zdjęć. Ma zresztą za sobą punk rockową przeszłość. No i drugi minus, to brak food trucka z Czech a nastawiałem się na te falefele. Mimo tego dzięki wszystkim za przeżyty festiwal a miastu za dofinansowanie imprezy!

Grzester

BACKFLIPING DOG, KOITU SS, RÜBÄNÍSKÖ, THE PUBLIC – 15.09.2017, Areál Zámosti, Albrechtice

Pierwotnie dzień później miałem się wybrać na urodziny SHEEVA YOGA, ale w związku z innymi planami postanowiłem uderzyć do Albrechtic pod Czeskim Cieszynem, gdzie odbywał się DIY Večírek organizowany przez Albanca, którego możecie kojarzyć jako „organizatora” Albanskiego Festu, odbywającego się z różnym skutkiem w miarę regularnie w Tesinie i jego okolicach, „samosprzedającego” się distra na koncertach w Liberte czy karkołomnych skoków ze sceny na Obscene i paru innych festach. Chociaż sama scena nie jest mu do tego potrzebna, co pokazał również przy parku fikołkach na tym koncercie, hehe. Jak to zwykle bywa, dogadywanie ekipy trwało do ostatniej chwili, a dzień w robocie ciągnął się niemiłosiernie... W końcu jednak udało się ustalić nasz międzynarodowy skład na wieczór, więc ładuję tyłek do auta i ruszam do Karviny. Na miejscu u Radima tradycyjna wymiana zakupionych płyt i możemy ruszać pod Tesco po Piotrka i Wojtka, którym udało się załapać na podwózkę ze znajomymi, którzy wybierali się akurat na zakupy po czeskiej stronie. Dobra, jesteśmy w komplecie. Czas ruszać. Podróż mija w mgnieniu oka (tyle dobrze, bo kaseciak odmówił posłuszeństwa jakiś czas temu), gdyż Albrechtice leżą tylko kilka kilometrów od Karviny. Wjeżdżamy na teren Arealu Zamosti i jestem pod niemałym wrażeniem miejsca dzisiejszego koncertu. Nie umiem się nadziwić, ile jeszcze takich miejsc jest u naszych południowych sąsiadów. Wydaje się, że chyba w każdej mieścinie znajduje się taki obiekt. Dość spory teren, mnóstwo ławek i zieleni, osobny budynek, w którym znajduje się knajpa, gdzie spragnieni mogli się napić browara w rozsądnej cenie czy kofoli z kija. Z koszernego żarcia zarejestrowałem tylko hranolki, ale Albanec przygotował dla wygłodniałych całkiem zjadliwy gulasz sojowy, tak że nie można było narzekać. Odważni, bo był to pierwszy tak chłodny i zwiastujący nadchodzącą jesień weekend, mogli spokojnie rozbić namioty i przenocować do rana na terenie obiektu, ale nikogo takiego nie zaobserwowałem… Nawet znajomi, którzy planowali spać w aucie, ostatecznie zdecydowali się wracać po akcji do domu. Jako rozsądny kierowca kupuję pierwszego i ostatniego tego wieczoru Radegasta i idę zobaczyć pierwszą kapelę, bo koncert rozpoczął się wyjątkowo punktualnie. Mimo niezbyt sprzyjającej aury, kapele grają na zewnątrz pod dużą, częściowo wybetonowaną wiatą, która dodatkowo osłonięta jest siatką, co z zewnątrz sprawia wrażenie jakby grało się na jakimś korcie tenisowym. W środku znowu mnóstwo ławek, brak sceny (duży plus, bo obawiałem się podestu jak na wiejskim festynie) oraz stanowisko z lanym piwem i innymi alkoholami, którymi wszyscy obficie się raczyli, bo już na samym początku kilka osób miało problemy z błędnikiem, hehe. Przed jeszcze skromną publiką uwijali się właśnie pochodzący z Horní Bečvy BACKFLIPING DOG. Strasznie mnie wymęczył ten ich hc/punk. Dziwny to był występ… Kapela, jakich wiele, grająca jak dziesiątki innych, ale według mnie strasznie nienaturalnie wypadająca na żywo (tacy hc wannabies). W swoim repertuarze mieli między innymi „Fašo” słowackiej kapeli MLADÉ ROZLETY, tak że zaliczyli również klasyczne chóralne „oi oi”. Z tropu zbili mnie totalnie, kiedy zagrali „Bečva Separatist”, który chyba ma być śmieszny, albo panowie naprawdę są separatystami z Horní Bečvy… Jak dla mnie BACKFLIPING DOG to taki punkowy groch z kapustą. Kompletnie nie trafili w mój gust, także wyszedłem na kofolę. Jako kolejni rozstawili się KOITU SS czyli Frydek-Mistek raw punk. Młoda kapela, którą miałem już okazję zobaczyć na początku roku w Orlovej przy okazji ich koncertu z NON PRESIDENT. Tamten występ bardzo mi się podobał, więc liczyłem na powtórkę i nie zawiodłem się. Mimo, iż nie mają na koncie żadnego materiału, widać, że regularnie koncertują i to przynosi efekty. Miła dla ucha i oka surowizna na d-beatowym silniku. Moją uwagę przyciągają siłowo grający pałker i wokalista, którego zachowanie na scenie można określić, jako połączenie Jožky z SEE YOU IN HELL i Blanki z KRÜGER. Parę coverów na koniec i po wszystkim. Zapamiętajcie ich nazwę, bo jeśli tylko nie zabraknie im zapału, to z KOITU SS może być na prawdę mocarna kapela. Mam nadzieję, że w równie dobrej formie będzie można ich zobaczyć na urodzinach Wolnych Torów. W trakcie ich gigu swój występ zaczęła dawać pewna niewiasta, która zachęcała wszystkich do zabawy niewybrednymi tekstami, których takiemu „dżentelmenowi”, jak ja, nie wypada cytować. Co się dziwić, skoro była tak dobrze nawlewana, że sama podłożyła sobie nogę, a nie był to koniec jej „popisów”. Po KOITU SS, przyszła pora na RÜBÄNÍSKÖ. Załoga ze Słowacji była głównym powodem mojej wizyty w Albrechticach, gdyż bardzo ich lubię, a ostatni raz widziałem ponad dwa lata temu we Vsetinie przy okazji koncertu P.R.O.B.L.E.M.S. Kawałki RÜBÄNÍSKÖ są stworzone do grania na żywo, zespół wyrobił się przez te dwa lata i obecnie jest to bardzo dobrze naoliwiona nihil punkowa maszyna, przy której ciężko ustać w miejscu, także publika w końcu zaczęła się ruszać, a prym w zabawie wiódł sam organizator. Dáša swoją energią mógłby obdzielić parę kapel, a jego komentarze tylko dodawały ognia całemu koncertowi. Nawet, gdy do mikrofonu dorwała się wspomniana wcześniej panna, umiał sprytnie wybrnąć z sytuacji i jeszcze odpowiednio to skomentować, także niesmak był mniejszy, ale widać było, że trochę go ta sytuacja wkurwiła. Z głośników leciały same hity: „Vám Musí Jebať”, „Trendy Hviezdy Pičovinky”, „Keď Zvoní Kosa” z ostatniej siódemki czy „Erektion” z repertuaru TURBONEGRO. Zajebisty występ! Na szczęście okazało się, że nie zagra niejaki VIXLAIVANT (tyle dobrze, bo jak sprawdziłem tę tragedię w domu, to nie umiałem zasnąć przez parę godzin), tak że THE PUBLIC miał być ostatnim punktem wieczoru. Nie mam zbytnio co napisać o ich występie, gdyż przenieśliśmy się pod knajpę, gdzie już do końca wieczoru upłynął nam czas na pogawędkach ze znajomymi, a z tej odległości jedyne, co zwróciło nasza uwagę, to mylne wrażenie, że na wokalach w THE PUBLIC udziela się kobieta. Całą imprezę miała zakończyć winyloteka do białego rana. Kuba z Cieszyna przywiózł całe auto płyt oraz gramofon, ale coś zostało niedogadane z akustykiem, który ostatecznie urządził „wieżotekę” z weselnymi hitami. Nie za bardzo chciało się nam też słuchać najebanej „bohaterki” wieczoru, do tego jeden z chłopaków za parę godzin musiał wstawać do roboty, więc podjęliśmy decyzję o powrocie do domu. Jeszcze tylko mały stres pod domem Radima, gdzie radiowóz ze stróżami bezprawia i nieporządku czekał, aż wycofam z miejsca, gdzie zaparkowałem i wieczór można było uznać za zakończony i wyjątkowo udany. Mam nadzieję, że nie była to moja ostatnia wizyta w tym miejscu, bo aż prosi się, żeby urządzić tam jakiś festiwal. Albanec chyba też był zadowolony, bo ludzi przyszło całkiem sporo.

Albin

TOFU RIOT

SKACOWANI

City Punx Show #28. MAND, TOFU RIOT, SKACOWANI - 23.09.2017. Pizzeria „Soprano", Dębica.

I tak oto kolejny raz wstąpiłem do nieodległej Dębicy, by ponownie wziąć udział w punkowym święcie zorganizowanym przez niezmordowaną ekipę lokalnych ortodoxów… Skład kapel może nie powalał, rozrzutność gatunkowa spora, ale było kilka powodów ku temu, by jednak odwiedzić starych znajomych. Zaczęli miejscowi metalowcy z kapeli MAND. W zasadzie załapałem się chyba tylko na fragment ostatniego numeru, gdyż niemal cały ich występ przegadałem z ekipą TOFU RIOT, czego efekty odnajdziecie gdzieś na stronicach naszego zacnego zina. MAND ponoć gra progresywny metal i ma pannę na wokalu. To, co usłyszałem raczej mnie nie zachwyciło, a w zasadzie przeleciało przeze mnie bezemocjonalnie… Po miejscowej ekipie instalują się rzeszowiacy z TOFU RIOT. Ich energiczny hardcore punk jest mało szablonowy, znajdziemy tu trochę różnych wpływów, sporo kombinacji, zmian tempa, wokal, który potrafi zaryczeć na kilka sposobów czy w końcu fajne chórki, w których udziela się cała kapela. Odstawili kawał dobrego seta, gdzie materiał nazwany „14/16" mieszał się z nowymi kawałkami, zasłyszanymi przeze mnie, jak i pewnie większość publiki, po raz pierwszy. No i o ile na poprzednich metaluchach bawiło się tylko kilku wiernych fanów, o tyle przy TOFU RIOT w pogo poszła już zdecydowana większość publiki… Ale tak naprawdę, niemal wszystkich do tańca porwał ostatni zespół wieczoru. Kraków to ostatnimi czasy stał się chyba stolicą polskiego ska! Mają tam zajebistą SKAPETARDĘ, a teraz dołączyli do nich SKACOWANI. Co prawda przez oba bandy przewijają się niektóre te same persony, a ich muza w pewien sposób jest nawet do siebie podobna, to jednak są to dwa różne zespoły, dające wiele radosnej zabawy. SKACOWANI instalują się na scenie, a w zasadzie na podłodze, bo na dębickich koncertach sceny nie ma. Osiem osób jakoś się tam mieści. Jest sekcja rytmiczna, dwie gitarki, klawisze, jakieś dodatkowe bębny (ale nie wiem czy to konga czy co innego, bo się nie znam po prostu na tym), sekcja dęta, bez której dobre ska się raczej nie obędzie oraz zakręcony i niemały wokalista. Swojego tanecznego seta rozpoczęli klasykiem, „Monkey Man", ale z polskim tekstem. Raczej ucieszyli mnie tym, że wszystkie swoje kawałki wykonują po polsku, to dodaje uroku tej muzie. Po klasyku jechali już raczej własnym repertuarem a było to ska raczej z ostrym przytupem, momentami ocierające się gdzieś o soczysty punk. W czasie koncertu ze dwa razy w pogo poszedł wokalista SKACOWANYCH, a raz nawet jeden z gitarzystów, gdy mu się coś przy sprzęcie popieprzyło. Ogólnie rzecz biorąc, zabawa przy SKACOWANYCH była przednia. Świetnie bawili się wszyscy - punkowcy, metalowcy i jacyś normalsi nawet. Było pogo jak się patrzy, skakanie, tańce-wywijańce i co sobie tam jeszcze wymyślicie. Grali pewnie godzinę z hakiem, nie obyło się od bisów, ale koniec końców koncert musiał się wreszcie skończyć. Większość uczestników wyszła z „Soprano" zapewne zadowolona, ja powiedzmy w 50%. Mimo, iż bardzo lubię dębickich ortodoxów i cenię ich za wytrwałość w robieniu cyklicznych koncertów, to słabo podoba mi się dobór kapel, zbytnie mieszanie gatunków i zespołów. Wiem, wiem, takie są realia małych miast i miasteczek. Wiem, że trzeba zaspokoić każde gusta i poprzez lokalne zespoły ściągnąć kogo się da. Jednak mój gust i oczekiwania są nieco inne i chciałbym zawitać do Dębicy na koncert, gdzie nie będę musiał przegadać jednej czy dwóch kapel, a muzyczni uczestnicy imprezy będą w pełni zaangażowani w DIY scenę. No, ale nie każdy będzie miał to, co chce, więc zadowolę się zapewne kolejnym City Punx Show takim, jaki mi zaserwują dębiccy załoganci i załogantki.

Krawat

LØVTE, PRISONERS BY CHOICE - 06.10.2017, Pogłos, Warszawa

Na ten koncert wybrałem się specjalnie, aby zobaczyć LØVTE. Trzy tygodnie wcześniej ukazała się ich płyta CD i paru lokalnych punków nie pozostawiła obojętnych. A ja chciałem się przekonać, jak ten konglomerat wściekłych blastów ze zdartym wokalem i anielskim głosem popowym działa na żywo. Koncert odbył się w górnej sali Pogłosu. Kameralnie, aczkolwiek ekipa w ilości kilkudziesięciu osób skutecznie wypełniła salę. Spory poślizg spowodowany spóźnieniem się LØVTE sprzyjał rozmowom, a w tym czasie można było obserwować jak ustawiany jest wokal wokalistki zespołu. I zaczęli. Ostro, surowo, bardzo dynamicznie i bardzo energicznie. Wokalistka słyszana wyśmienicie, sample z komputera bardzo dobrze uzupełniają muzykę. Wszystko jest zgrane, przećwiczone, zespół jest w swoim transie. Publiczność nie wie, jak reagować poza staniem z rozdziawionymi gębami bijąc brawo. Widocznie LØVTE trzeba zasymilować i nie jest to zespół, który akceptujesz od razu. Musisz się go nauczyć. Niektórzy twierdzą, że pogować przy tym się nie da, inni mają odmienne zdanie. Jestem przekonany, że każdy odnajdzie się w tej muzyce z biegiem czasu. I mimo, że takiego grania na scenie europejskiej jest coraz więcej i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest to teraz modne to jednak LØVTE idzie dalej. Wokalistka robi tutaj robotę. Czegoś mi jednak w tym zespole brakuje, ale nie wiem, czego. Może koleżanka El Ania miała rację, mówiąc, że niektóre zespoły trzeba oglądać na siedząco w fotelu? Ja właśnie tego zapragnąłem na tym koncercie. Niewielką salę, z niewielką sceną i fotelami teatralnymi. No i występ był zdecydowanie za krótki, skwitowany na koniec przez zespół, że więcej materiału nie mają. Szkoda, bo ja chciałem jeszcze, co najmniej trzech numerów więcej. Ale LØVTE nie powiedziało ostatniego słowa, oni dopiero zaczynają.

PRISONERS BY CHOICE to kontrast do zespołu ich poprzedzającego. Rytmiczne oi hardcore'owe rytmy zachęciły publiczność do ruszenia jednak w nieśmiałe pląsy, niektórzy nawet śpiewali z zespołem. PBC poczyna sobie śmiało na scenie, wszystko sprawia wrażenie pełnego luzu, niesamowitej energii udzielającej się ludziom. Co rytmy to jednak rytmy, sprawdzą się na każdym koncercie. Nie jest to mój faworyzowany styl muzyczny, ale zdecydowanie dobrze się czuję na ich koncercie. Po pierwsze to dobra zmiana klimatu po LØVTE, pod drugie rozdziawiona wcześniej gęba zmienia się w uśmiech, który towarzyszy już do końca. Ale znowu, koncert krótki, bez bisów. Szkoda. Ale jeszcze będą okazje, aby ich zobaczyć na żywo.

Wojtas

UNSANE, THE DOG, AUGUST LANDMESSER - 07.10.2017, Carpe Diem, Wrocław

To był paskudny dzień. Nie, nie chodzi o pogodę. Ta była nawet przyzwoita. Chodzi o odbywającą się w tym dniu akcję „różaniec do granic". Akcję tak podłą i tak głupią, że aż trudną do opisania. Akcję, podczas której tysiące katolików modliło się do katolickiego Boga, aby ten zachował się jak najbardziej nie po katolicku, odbierając prawo do pomocy innym ludziom. Ta sytuacja jest tak smutna, daje taki wpierdol mojej duszy, że nie pozostało mi nic innego, jak podobny łomot spuścić również moim uszom. Wraz z grupą przyjaciół postanowiłem wybrać się na wrocławski koncert UNSANE. Samochód tego dnia prowadzi kumpel, który wiele lat temu wykrzykiwał ze sceny tekst „jeżeli jest gdzieś Bóg dobry w niebie

LOVTE

nie ma z tym nic wspólnego lub o tym nic nie wie" i chyba nie ma lepszego komentarza do tej całej różańcowej historii.
Droga do Wrocka mija szybo. Oczywiście nikt nie zabrał żadnego CD (bo winyli mam ze sobą kilka skrzynek). Leci więc radio. Budka Suflera, Patrycja Markowska i tego typu wynalazki w komercyjnej stacji nie zaskakują. Zaskakuje natomiast fakt, że jeden z moich przyjaciół potrafi je bezbłędnie rozpoznać po pierwszym takcie. W klubie Carpe Diem lądujemy jakieś 40 minut przed koncertem. Pierwsza obserwacja: „Scena łączy na całe życie". Obserwuję ludzi, którzy często nie widzieli się przez długie miesiące, czasem lata, ale bez grama krępacji ruszają do wspólnych rozmów. Trochę w nich uczestniczę, trochę słucham tych prawie 50-cio letnich punków. Żarty, wspomnienia, dyskusje, kto miał fajniejszy rozwód. Każdy z nich wygląda znakomicie. Punki się nie starzeją! Uwielbiam tych wariatów!!!
Gigol zaczyna AUGUST LANDMESSER. Widziałem ich ostatni raz, kilka lat temu, w Pińsku. Było ok., ale teraz to jest skok milowy. Świetne brzmienie, nietuzinkowe riffy (kto dziś w tym kraju próbuje grać jak LUMEN?), trochę komentarzy wokalisty na bieżące tematy. Tak, znakomity zespół nam się objawił na tej naszej scenie. Sprawdźcie! Nie powinno z tym być zresztą trudności, bo panowie zaczynają aktywnie koncertować i będzie, na pewno, okazja spotkać ich tu i ówdzie.
Po AUGUSTACH montuje się THE DOG. Nic jednak o tym występie nie napiszę. Przyznaję, ze wstydem, przegadałem z hc/punkowym ZBOWiD-em ich (bardzo krótki) występ.
Na końcu UNSANE. Jedni z pierwszych, którzy udowodnili, że w Nowym Jorku można grać inaczej niż NYHC (który, żeby nie było wątpliwości, uwielbiam!). UNSANE to inteligentny noise core. To cholernie intensywna i precyzyjna maszyna. To trio, które jeńców nie bierze. 100 może 120 osób obecnych na ich występie konkretnie obrywa po mózgu. Klub dodatkowo tak bardzo niesie dźwięk, że jest naprawdę głośno. Miazga. Fenomenalny band, fenomenalny występ.
Powrót, do domu, zapowiada się interesująco. Załogantów jest sześciu, a auto ma tylko 5 miejsc. Stara gwardia się jednak nie cacka. Jeden zawodnik wskakuje do bagażnika i ciśniemy. Piwko, żarty, rozmowy. Wspaniałe chwile!
Możliwe, że punk rock to getto. Możliwe, że nie przedstawia już żadnej wartości dla większości młodych ludzi. Ja jednak stoję na stanowisku, że nic lepszego mi się w życiu nie zdarzyło. Kocham te koncertowe wyjazdy. Te wieczorne rozmowy, grube żarty, wspomnienia, politykowanie. To coś, czego za nic w świecie bym nie oddał. Ten wypad dobitnie mnie przekonał, że ten cały hardcore/punk stawia mnie w najlepszej z możliwych perspektyw, koncie patrzenia na otaczającą mnie rzeczywistość. Kiedy tak, pozornie niewygodnie, w sześć osób wracaliśmy pięcioosobowym autem, czułem jakąś analogię do tej gównianej sytuacji, o które wspomniałem na początku relacji. Wolę utonąć na dziurawej łajbie z towarzyszami, niż stać na granicy i pilnować, aby ta łajba nigdy do tego brzegu nie przybiła.

Tomek

GUANTANAMO PARTY PROGRAM, HIDDEN WORLD, DOM ZŁY, BLACK NOISE - 10.09.2017, C.R.K., Wrocław

Mimo jednoznacznej informacji od kolegi „szykuj się na potańcówkę jutro" jakoś nie spodziewałem się, że przyjedzie mi się wybrać na ten gig do Wrocławia. Zbieg wielu korzystnych okoliczności, czyli: żonę odwiedziła koleżanka, nie mają się gdzie podziać, lepiej, żeby mnie nie było w domu, pomogły tej eskapadzie. Jedziemy! No jedziemy to mocne, zbyt mocne stwierdzenie. Niedawno z gigu D.O.A./MDC wracałem z szaleńcem, teraz, dla odmiany trafił mi się… kierowca, który

„nie lubi szybko". Ja także szybko nie lubię, ale lubię jak jest, choć o 10 km szybciej niż jadą TIR-y. Wleczemy się, a ja w myślach proszę szofera „włącz piąty bieg". Tematy do rozmowy kończą się pod Opolem. Ratujemy sytuację youtubem. Cykl „Sylwetki polskich gangsterów" podnosi dynamikę wyjazdu tylko przy odcinku o szczecińskiej mafii. Powód: autor programu wspomina w nim o liderze pewnej znanej street punkowej grupy ze Szczecina. Troszkę rechoczemy, pada kilka szyderczych żartów niby czas leci tylko, że my ciągle jesteśmy w okolicach Opola, bo on „nie lubi szybko". W skupieniu, zabijam wolno płynące kilometry, myśląc o śmierci, dokładnie o śmierci poprzez zamęczenie kogoś jazdą samochodem. Wreszcie jest Wrocław!!! Impreza w CRK. Miejscówka wyśmienita, więc myślę - będzie fajnie!
Lekko opóźniony koncert, zaczyna BLACK NOISE. Uwielbiam ich perkusistę! Współorganizatora jednej z najbardziej niedocenionych, a naprawdę wybitnych imprez w kraju, czyli pieńskiego "Alter Pikniku". Facet ma gadane, dystans do siebie - mój klimat. Współorganizował koncert jego wcześniejszej kapeli DR FLEISCHMAN. Po nim ekipa otrzymała zresztą nową nazwę, czyli doktor Flasz(ka) man. Częstowali wtedy załogę lokalnym bimbrem, lojalnie ostrzegając, że były przypadki, iż ten podczas jego picia się zapalił. No dusza chłopy! Wróćmy jednak do BLACK NOISE, bo w tym miejscu muszę przed tą formacją chylić czoła. Naprawdę bardzo dobry koncert zagrali. Widząc wprawdzie, jeszcze podczas próby, jednego z gitarzystów trzymającego „wiosło" pod broda i ćwiczącego tappin bałem się, że będzie bryndza. Nic jednak z tych rzeczy! Polecam!
Z numerem na scenie instaluje się DOM ZŁY. Po ich występie moi przyjaciele są zachwyceni. Snują wizję, kiedy to ten band zaproszą do Bielska-Białej. Ja jednak jestem zmęczony. Niby fajnie, ale nudo jakoś. Zamuliło mnie. Wiedziałem zresztą, że publikę także, bo po każdym numerze kilka osób, chyłkiem opuszczało koncertownię, udając się do znajdującego w drugim budynku baru. Pozostanę chyba, na przyszłość, przy świetnych nagraniach tego zespołu.
Następny „do golenia" to HIDDEN WORLD. Mój wielki (dosłownie i w przenośni) przyjaciel oraz redakcyjny kolega napisał kiedyś recenzję ich nagrań, używając w niej terminu „merkantylny". Żartował potem, z tego stwierdzenia jeden, drugi czy też trzeci. Ja jednak trochę rozumiałem, o co Kubie może chodzić i byłe ciekaw, co się z tym stołecznym zespołem podzieje. Czy HIDDEN WORLD, jak kilku im podobnych, zaatakuje mainstream licząc na wielka karierę, a po roku oczywiście nic z tego nie wyniknie i zespół się rozpadnie. Czy też może zostanie na scenie hc/punkowej i (co nie jest wcale takie oczywiste w przypadku warszawskich zespołów) będzie istniał dłużej niż jeden sezon „Gry o tron". Odpowiedzią na moje pytanie okazał się właśnie ten koncert. Zespół jest, gra na punkowych imprezach (a nie na jakimś „Męskim Graniu") i robi to naprawdę zajebiście! Wspaniały występ. Singiel tej załogi jest ok., ale dopiero na żywo widać w pełnym zakresie siłę ich rażenia. Energia wróciła!
Ostatni na scenę gramoli się GUANTANAMO PARTY PROGRAM. To w sumie ich impreza. Release party najnowszego (świetnego!) longa tej załogi. Zaczynają sprawnie, witając słuchaczy (tradycyjnie już w przypadku tej załogi) doskonałym brzmieniem, nietuzinkowymi aranżacjami. Wokalista Darek to wulkan energii. Całość tworzy wybuchowy miks. To dla mnie wielka przyjemność, choć to nie są łatwe numery, móc oglądać występ tego bandu. Niestety cholernie późna godzina nie pozwala na obejrzenie całego seta.
Kończąc, pozwolę sobie na parę słów dotyczących klimatu koncertu. Przede wszystkim czuję się zawiedzony frekwencją. Na moje oko jakieś 100 osób na gigu, chyba obecnie najfajniejszego bandu we Wrocławiu (ICON OF EVIL coś marnie grywa) to jest trochę żart. Kiedy jeszcze słyszę od organizatorów (w tym wypadku samego zespołu, że frekwencja jest dobra to ręce mi opadają. Przypominam sobie wrocławskie imprezy sprzed lat i pamiętam o tym, że stolica Dolnego Śląska ma tak zajebiste miejsce do dyspozycji jak CRK to wychodzi mi werdykt, że jest naprawdę do dupy. Taka frekwencja, na takiej imprezie, przy takim składzie i w takiej miejscówce to jest nieporozumienie. CRK nie wzięło się znikąd. Przez 17 lat jego istnienia ludzie cholernie ciężko pracowali, aby to niezależne miejsce zdobyć, przysposobić i utrzymać. Załap, więc wrocławski załogancie, że jak nie będziesz popierdalał na gigi, nie będziesz swoja obecnością wspierał CRK, ludzi go tworzących oraz zespołów, które w nim grają to któregoś dnia może tego miejsca i tych kapel zabraknąć! Rusz jeden z drugim swoje dupsko. Zupełnie mnie nie interesuje czy ktoś tam kogoś lubi czy też nie lubi. Weź proszę kolego i koleżanko odpowiedzialność za lokalną scenę, która jeszcze kilka lat temu była najprężniejszą w tym kraju. Szacunek, naprawdę wielki szacunek, dla tych, którym chciało się wydać te 20 zł i odwiedzić release party GPP.
Kilka butelek club mate plus mocna dawka szyderczych żartów powoduje, iż kierowca, który jadąc do Wrocławia potrafił odtrąbić sukces jak wyprzedził TIR-a, nagle przypomina sobie, że jego auto ma kolejne biegi. Nie ten człowiek. Sprawny powrót, ku mojemu zdumieniu, okazał się być czymś realnym.

Tomek

MAMY DLA WAS NAJNOWSZY NUMER PISMA „INNY ŚWIAT” ORAZ KILKA NOWYCH BROSZUR, WIĘC CZYM PRĘDZEJ WYSKAKUJCIE Z KASY :)

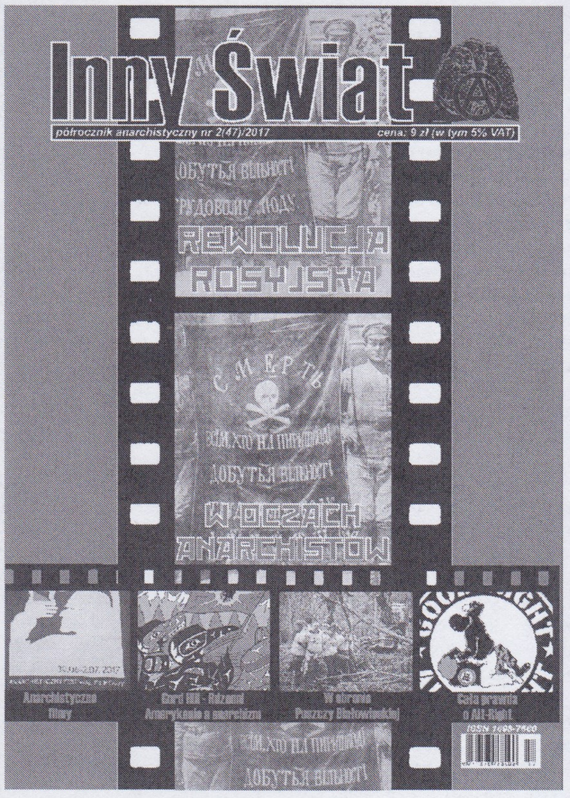

W nowym numerze pisma znajdziecie m.in.: kilka testów o roli anarchistów w rewolucjach 1917 r., obszerną relację z Anarchistycznego Festiwalu Filmowego, dwa spojrzenia na obronę Puszczy Białowieskiej, prawicowcach palących książki, Alt-Right i antyfaszyzmie w USA, pokojowym oporze w Palestynie, hinduskich nacjonalistach, rozmowy z anarchistą-artystą Gordem Hillem, pisarzem i publicystą Gabrielem Kuhnem, Czarnej Galicji, anarchistach-marynarzach na Morzu Czarnym oraz wiele innych inności...

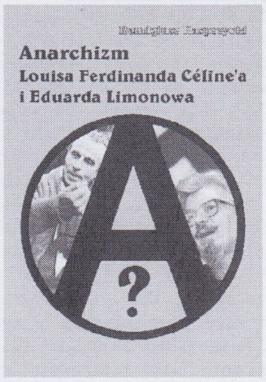

Esej ukazujący anarchistyczne i wolnościowe początki twórczości dwóch kontrowersyjnych pisarzy

Ciekawy tekst odnoszący się do twórczości głównego teoretyka anarchokomunizmu, Piotra Kropotkina

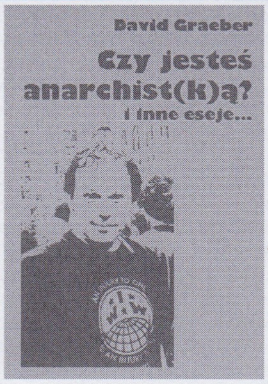

Zbiór artykułów i esejów Davida Graeber'a, jednego z najpoczytniejszych współczesnych pisarzy anarchistycznych

Historia i idee czeskiego ruchu husyckiego, który sprzeciwiał się zarówno władzy duchowej, jak i ówczesnemu życiu społecznemu

Esej nestora polskiej historiografii anarchistycznej plus inne teksty nt. żydowskiego anarchizmu

Zainteresowani proszeni są o jak najszybsze zgłoszenie się do najbliższej placówki Milicji Anarchistycznej bądź niezwłoczny kontakt z redakcją anarchistycznego periodyku INNY ŚWIAT: innykrawat@wp.pl

„Atak na podwórko po drugiej stronie ulicy", Tymoteusz Onyszkiewicz, wyd. Warszawska Grupa Wydawnicza, Warszawa 2017

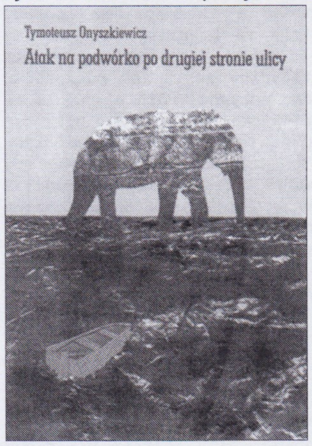

Najnowsza z książek Tymka, jest zarazem chyba najcięższą w czytaniu, szczególnie, jeśli zna się osobiście autora i wie, co nieco o jego życiu. Nie ma w niej nic z powiewającymi świeżością i buntującą się młodością pierwszych książek Onyszkiewicza, opowiadających o jego kontrkulturowej i anarchizującej młodości. Nie ma tu też żadnego ideologicznego ducha, jaki można zaobserwować w omawianej gdzieś obok książeczce „Mój anarchizm". „Atak na podwórko..." to zamknięcie pewnego okresu życia autora, ale i swoiste katharsis, oczyszczenie z przeszłości, lecz nie całkowite zapomnienie o niej (czy tak zapomnieć się w ogóle da?). Książka jest niby fikcją, lecz dla osób znających Tymka, to fikcja innego rodzaju. Sporo tu ważnych i trudnych wątków autobiograficznych. Cztery rozdziały książki to cztery różne opowieści, połączone Heleną, jedyną prawdziwą miłością, która spoczywa na szpitalnym łóżku, podłączona do aparatury podtrzymującej życie. Cztery fragmenty wycięte z czyjegoś życia, opowieści, które mają być nadzieją, iż „piękna Helena" otworzy nagle oczy, wstanie niczym Łazarz i życie potoczy się dalej, usłane płatkami róż... Happy endu niestety nie ma, nie miało go być, miała być opowieść, droga ku oczyszczeniu... Początkiem drogi jest owo wspomniane już szpitalne łóżko, przyrządy pompujące w „opuszczone" ciało życiodajne płyny, cuda techniki pracujące za ludzkie ciało. Ruszamy ku warszawskim przestrzeniom, gdzie od „wieków" trwa wojna pomiędzy podwórkami, ulicami, dzielnicami... Na dwukołowych rumakach mkną dzielni rycerze, by krzewić pośród pogan jedynie prawdziwą wiarę. W ruch idą kamienie, bryłki piasku, miecze „wykute" z gałęzi i patyków. Jak to pośród rycerzy bywa, jest i białogłowa, dzielna i niedostępna, w konsekwencji podstępna. Opowieść powraca na szpitalne korytarze, by za chwilę zawędrować gdzieś na poddębicką wieś, gdzie normalny czas jakby się zatrzymał, a ludzie odmierzają go porami roku bądź odwiedzinami listonosza z rentą czy emeryturą. Chwile wiejskiego wytchnienia mieszają się tu z tajemnicami przeszłości, czartami gnieżdżącymi się gdzieś po kątach, ukrytych skarbach, ostatnim tchnieniu staruszki... Mądrości ludowe to czasami myśli doświadczenia i umęczenia życiem, a czasami zasklepowy bełkot rolnika bez ziemi, bądź ochoty do pracy na roli. Takie czasy... A maszyna wciąż wpluwa w „martwe" ciało ukochanej życiodajne płyny, myśli walczą między sobą, nasuwając kolejna opowieść... Znów prowincjonalny klimat, „kaganek oświaty" dwóch aktorów - starego i młodego - przyjmowany przez szkolne sale. Czasem radość, przeważnie zmęczenie i utrapienie. A szpitalne łóżko jak stało, tak stoi nadal... Ostatnia podróż to „podróż na Wschód". Tam zawsze wędrowało się z namaszczeniem, nie tylko po kolorowe przyprawy, ostatnimi czasy, bardziej po oświecenie, w sprawach ducha, nie materii. Wszak Wschód zawsze fascynował, swą urokliwością, prostotą, szlachetnością i tajemniczością. Podróż na Wschód bywa niczym katharsis, oczyszcza, rozlicza, zamyka pewnie niedomknięte drzwi.

Krawat

„Blackout", Marc Elsberg, wyd. W.A.B.

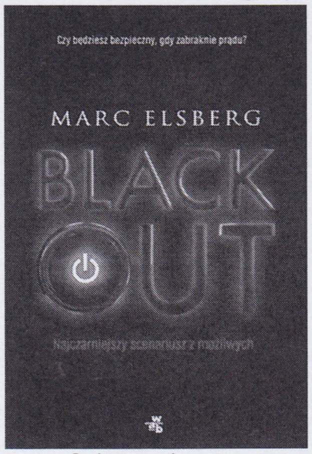

Żyjesz otoczony innymi ludźmi, masz podobne zabawki do tych, które mają twoi sąsiedzi. Mówicie sobie dzień dobrym, wymieniacie się uprzejmościami. W ten sam sposób, jak twój sąsiad jesteś od czegoś lub kogoś uzależniony, masz swoje własne przyzwyczajenia, niektóre rzeczy bierzesz za pewnik, nie zastanawiając się nawet, jak dużą rolę odgrywają w twoim życiu. Są równi i równiejsi. Masz plany, masz wartości, wobec których żyjesz. I myślisz sobie, że tylko wojna może to przerwać. Nie tylko. Może to być przerwa w dostawie prądu. Ale nie taka przerwa w dostawie prądu, jaką znamy, że raptem nie możesz dokończyć słuchać płyty, a gotowanie musi poczekać. Mówię o przerwie w dostawie prądu na dłuższy okres czasu. I nie tylko na jednej ulicy. W całym kraju. I w całej Europie. A potem na całym świecie. Przez tydzień czasu jesteśmy czarną plamą widzianą z kosmosu. Niemożliwe? Możliwe, dzięki hackerskiemu atakowi terrorystycznemu. Co się wtedy dzieje? Nic nie działa. Nie ma światła, to normalne. Nie działa wentylacja, nie działa sanitarka, więc wszędzie śmierdzi. Skoro śmierdzi to jest zagrożenie epidemiologiczne. Nie działają sklepy, bo nie można nic kupić. Zresztą w sklepie nie ma świeżego towaru, bo nikt nic nie dowiezie, bo stacje benzynowe potrzebują prądu. Nikt nie wyprodukuje jedzenia, a mrożona żywność bez prądu rozkłada się szybko. Pieniądze nie są ci potrzebne skoro nic nie kupisz za nie, chyba, że na czarnym rynku, który organizuje się bardzo szybko. Zresztą nawet ich nie wyjmiesz z bankomatu, który jest na prąd. Twoją walutą będzie więc złoto, jeśli je masz, lub inne kosztowności. Chorzy w szpitalach i wcześniaki w inkubatorach skazani są na śmierć. A ich ciała na rozkład. A po kilku dniach trzeba ewakuować ludność przed zagrożeniem epidemiologicznym. Ziemniak i czerstwy chleb to rarytasy już po 3 dniach. A po ilu dniach twój sąsiad strzeli do ciebie za to, że twoje zapasy żywności są większe do jego? Kiedy przystawi ci lufę do głowy jak zobaczy, że w twoim samochodzie jest jeszcze benzyna? Kiedy to, co kiedyś było twoje w twoim domu już nie jest i należy do każdego, kto będzie przechodził obok? Kiedy brat pójdzie przeciwko bratu i dopuści się czynów lubieżnych? To wszystko na przestrzeni tygodnia czasu. Fikcja? Nie! Autor przygotowując się do powieści zbadał jak działa system energetyczny w Europie i na świecie, jak działają urzędy samorządowe i procedury w Unii Europejskiej. I tylko musiał zmienić kilka faktów formalnych i technicznych, aby ta kilkusetstronicowa powieść nie była poradnikiem dla zorganizowanych grup terrorystycznych, jak taki atak przeprowadzić i gdzie są słabe punkty w systemie. Jak jesteśmy przygotowani na taką sytuację? Jak wygląda chaos? Kto stoi za atakiem i jak to się skończy? Przeczytaj. Gwarantuję, że nie odłożysz. Przed tobą ok. 800 stron przygody w świecie realnym.

Wojtas

„Czesław Czyński. Czarny adept", Zbigniew Łagosz, wyd. Okultura, Warszawa 2017

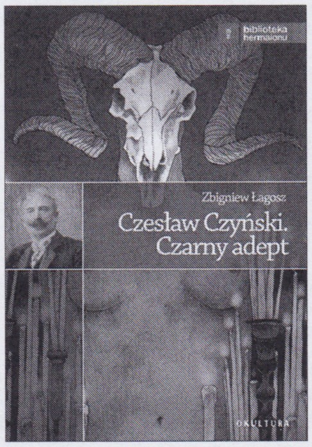

Znacie wydawnictwo Okultura? Nie? To może najwyższa pora się zapoznać... Co prawda nie wypuszczają książek poświęconych punk rockowi, ale jeśli ktoś interesuje się, choć trochę okultyzmem, ezoteryką, szamanizmami, roślinami halucynogennymi czy wszelkie rodzaju wiedzą tajemną, to powinien sięgnąć po ich pozycje. Ja tam może nie czytuję wszystkiego, co wydadzą, ale od czasu do czasu zapuszczam się w te niezwykłe tereny i zaczytam się w czasem mrocznych, często tajemniczych, a przeważnie intensywnie wciągających opowieściach. Tak stało się i tym razem. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z nazwiskiem Czesława Czyńskiego. Była to dla mnie postać tajemnicza, nieznana, owiana mrokami dziejów. Naukowa rozprawa Łagosza pozwoliła mi dopiero zgromadzone niewiadome rozwiąć, wyciągnąć na wierzch. Życie Czyńskiego pełne było zawiłości oraz zawrotnych zmian. Urodził się na wschodnich rubieżach Polski, ojciec pomagał powstańcom w 1863 r., więc musiał później uciekać i osiadł w Paryżu, gdzie młody Czesław rozpoczął naukę. Pośród jego wielu zainteresowań, znalazło się m.in. hipnotyzerstwo, chiromantia (czyli pospolite wróżenie z dłoni), parapsychologia oraz tajemna wiedza okultystyczna. Studiował potem na Uniwersytecie Jagiellońskim, jeździł po wielu krajach ze swymi pokazami „sztuczek". W Niemczech oskarżono go i skazano na trzy lata za uwiedzenie i nielegalne poślubienie pewnej baronowej. Po odsiadce, w Paryżu wstępuje do Zakonu Martynistów, okultystycznej sekty z dużymi wpływami ezoterycznego chrześcijaństwa. Podobno tworzy również słowiański oddział Ordo Templi Orientis, międzynarodowej, paramasońskiej organizacji okultystycznej, której najbardziej znanym członkiem był Aleister Crowley, zwany Wielką Bestią. Ląduje w Petersburgu, gdzie kręci się pośród arystokratycznych elit i miewa styczność nawet z żoną cara. Bardzo prawdopodobne jest również to, iż kilka razy spotkał się z samym carem, gdyż był wielkim rywalem sławnego Rasputina. Niestety, nie mógł wygrać z silniejszym rywalem i popadł w niełaski, lądując w areszcie domowym w swej posiadłości w Koczewie. Gdy przybywa do odrodzonej Polski, powołuje do życia polski oddział Zakonu Martynistów, z którego później zostaje usunięty. Zakłada więc własny Zakon Białego Wschodu. Na początku lat 30. w Warszawie wybucha wielka „afera satanistów". Jeden z dziennikarzy odkrywa powiązania pomiędzy samobójstwami studentów z osobą Czyńskiego, pisze na ten temat dwie powieści, co pogrąża Czyńskiego i przysparza mu coraz więcej kłopotów. Umiera w niesławie... To tylko skrótowy zarys życia tej interesującej i tajemniczej postaci. Jeśli was, choć trochę zaciekawił, sięgnijcie po książkę.

Krawat

„Inna droga życia. Niedokończona historia punka w Warszawie i na Górnym Śląsku", Marta Marciniak, wyd. Zima, Pyskowice 2017

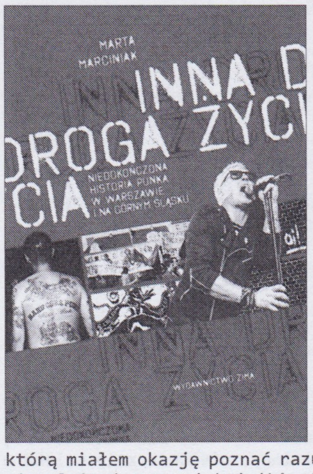

W ostatnich latach rodzimych książek związanych z punk rockiem jest jakby więcej. Przeważnie są to jednak wspominki „starych dziadów", zazwyczaj w formie wywiadów-rzeka. Mało jednak pojawiało się książek, próbujących przeanalizować punk pod wieloma względami. A okazja jest ku temu niebywała, w końcu „oficjalnie" uznano, iż w roku 2017 obchodzić będziemy 40-lecie narodzenia się muzyki punk! Oczywiście każdy punk wie, że to data bardzo umowna, ale niechaj tak będzie. I tak oto, w 40-lecie narodzin punk rocka, pojawia się na polskim rynku książka, która próbuje w nieco inny sposób go opisać, choć w dużej mierze opiera się też na wspomnieniach weteranów sceny hardcore/punk, w kraju i zagranicą. Marta to bardzo miła dziewczyna, którą miałem okazję poznać razu pewnego w Warszawie. W czasie targów niezależnej prasy i książki miała pogadankę o swojej książce, choć przyznam szczerze, niewiele z niej słyszałem... Trochę szkoda, bo byłem już po lekturze książki i mogłem dopytać o jakieś nurtujące

mnie sprawy. No nic, może jeszcze kiedyś będzie okazja. „Inna droga życia" powstała niejako na podstawie pierwszego, amerykańskiego wydania książki, a ta z kolei, była stworzona na bazie doktoratu, obronionego z nauk humanistycznych na jednym z uniwersytetów w USA. Nie będzie więc w zawartości dziwić szersze wychodzenie z tematem, niż tylko Warszawa i Górny Śląsk. Często będziemy wędrować również za Ocean Atlantycki, do Cleveland i Nowego Jorku. To dodaje nieco uroku i obala etnocentryczne ramy. Szczerze mówiąc, fragmenty np. poświęcone scenie punkowej w Nowym Jorku, przemianom społecznym i takowym walkom, wciągały mnie w lekturę bardziej niż opowieści o punkowej scenie w stolicy, Legionowie czy śląskich miastach i miasteczkach. Nie, żeby tamte były nudne, nic z tego, po prostu o rodzimej scenie człowiek chcąc nie chcąc, coś tam wie po latach kręcenia się w klimatach, a jakieś szczegółowe opisy tego, co działo się w takim NYC czy Cleveland, to już historie raczej mało znane, bynajmniej dla mnie. Może więc kiedyś autorka pokusi się o jakąś osobną pozycje, skupiająca się już tylko na tym, co działo się w USA - dla mnie byłby to hit.
No dobra, ale ktoś w końcu może zadać pytanie - ale, o czym naprawdę jest ta książka? Najprostsza odpowiedzią byłoby oczywiście - o punku i punkach. Nawet nie punk rocku, bo muzyka jest jej ważną częścią, lecz chyba nie najważniejszą. Według mnie, to próba opisania punka w przeszłej i teraźniejszej rzeczywistości, umieszczenie go w poszczególnej tkance miejskiej, jego zakorzenienie w niej, jak i wzajemne relacje czy w końcu odniesienie się do kilku zagadnień społeczno-politycznych (np. religia, kapitalizm, feminizm). A skoro książka jest „...niedokończoną historią..." to nie zabraknie w niej również barwnych opowieści z bardziej lub mniej zamierzchłych czasów w historii punka. Warto zaznaczyć jeszcze, że Marta próbowała ująć punk w jak najszerszym kontekście samej sceny. Znajdziemy więc tu apolitycznych słuchaczy oi! i street punka czy nawet ska, hardcore'owców, którzy do polityki w swej twórczość aż tak bardzo się nie odnoszą, choć nie lubią nazistów i podobnych zjebów (no ich chyba nie lubi nikt) czy w końcu skłoterskich crust-punków, zaangażowanych w wiele działań antyfaszystowskich, animalistycznych czy anarchistycznych. Takie szerokie spektrum z jednej strony ma sens, gdyż pokazuje nienormatywność ruchu punk, z drugiej zaś nieco rozprasza sam przekaz i czytelnik nieobyty w całych tych zawiłościach, może się nieco pogubić. Wszystko to połączone jest dość fajnie spoiwem złożonym z typowych, lecz zrozumiałych, analiz naukowych, gdzie znajdziemy m.in. odwołania do dadaizmu czy sytuacjonizmu (oba te ruchy artystyczno-polityczne śmiało można uznać za pra-prekursorów ruchu punk i wypadałoby, by współczesne punki trochę o nich poczytały). Oczywiście pośród wypowiadających się osób znajdziemy wiele „sławnych i uznanych" przedstawicieli sceny punk z poszczególnych, omawianym regionów, ale chyba nie ma za bardzo sensu ich wymieniać nawet w małej części... kto ciekaw, niechaj poszuka „Innej drogi życia" i zajrzy do środka... Za jedynie wielki minus wydawnictwa uznam jego jakość techniczną. Czytać się oczywiście da, ale jakoś czarno-biały zdjęć umieszczonych w dużej ilości na stornach książki, jest po prostu fatalna! Czasami trzeba się ostro wysilić, by dopatrzyć się czegokolwiek i ujrzeć to, co niby miało być przedstawione. To spore niedociągnięcie rzutuje nieco na całość... Na szczęście wkładka z kolorowymi zdjęciami jest gites! Książka Marty Marciniak, która notabene warszawską i górnośląską scenę zna od podszewki, gdyż w stolicy się urodziła i dorastała, a dziś na Śląsku mieszka, to z pewnością pierwsza pozycja napisana przez punkówę, ale i naukowca w jednej osobie. Nie popełniła ona typowego dla naukowców błędu, używając hermetycznego nieco języka świata nauki. Pewnie by się dało to zrobić nawet w przypadku opisania ruchu punk, ale dzięki temu, sięgnąć po nią może każdy punk (no, może poza tymi, którzy wciąż wąchają butapren...). Ja przeczytałem i polecam!!!

Krawat

„Madaddam", Margaret Atwood

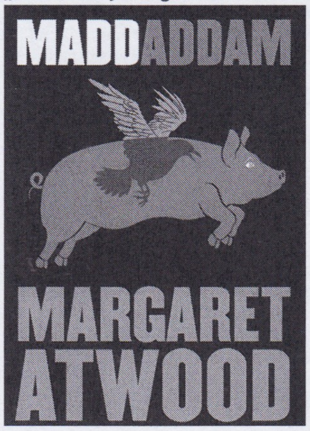

Trzecia i niestety ostatnia część trylogii, którą wam polecałam w poprzednim numerze. Ta część wydała mi się najbardziej dynamiczna i wciągająca ze wszystkich trzech. Dla niewtajemniczonych, Atwood przedstawia swoją wizję zagłady świata, która może się wydarzyć w najbliższej przyszłości, jeśli nie przestaniemy dewastować naszej planety w tempie, które teraz radośnie utrzymujemy. Ostatnia część przybliża nam historie postaci z poprzednich części, wiele się tu wyjaśnia. Autorka skupia się tu w dużej mierze na pokazaniu absurdu i fałszu, na którym swoją potęgę buduje kościół. To naprawdę niesamowita lektura, która na długo zostaje w pamięci, składnia do wielu przemyśleń. Atwood była nominowana do tegorocznej nagrody Nobla, której niestety nie zdobyła. Wiedzcie, że to literatura z najwyższej półki.

Iza

„MDC - Memoir From A Damaged Civilization", Dave Dictor, wyd. Manic D Press

Druga albo i trzecia książka po angielsku, którą w życiu przeczytałem. Nie posługuję się biegle tym językiem, ale jak mam czas to poczytać mogę i coś zrozumieć także. Na pewno nie wszystko, ale kontekst się wyłapie. Język nie jest tu zbyt odrealniony, niekoniecznie ucieka w slang, więc idzie to dobrze. Koncert MDC i D.O.A. w Łodzi był okazją do jej nabycia. Wokalista MDC przedstawia w niej masę szczegółów ze swojego życia, niekoniecznie z życia zespołu. Opowieści zaczynają

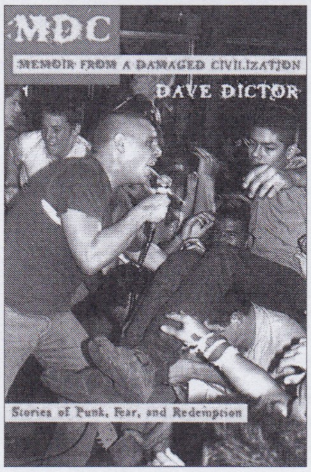

się dużo wcześniej niż działalność ekipy. Ale i sama historia kapeli jest podana w interesujący sposób, szczególnie ta bardziej odległa jej część. Pierwsze lata MDC to niemal dokumentaryczny zapis ich początków, koncertów, przygód. Później już idzie to bardziej chaotycznie, ale nie jest pozbawione smakowitych fragmentów. Takich na przykład jak moment, gdy Dave zesrał się na scenie podczas koncertu w Finlandii. O ile można podać to, jako fragment smakowity. Odseparowanym będąc Atlantykiem od USA nie wie się wielu rzeczy o kapelach, które może by się wiedziało, gdyby byli bliżej. Stąd kilka faktów jest mocno zaskakujących. Nie będę jej tu streszczał, ale miłośnicy kapeli na pewno z zainteresowaniem przeczytają jak ekipa zatrzymywała pochód Ku Klux Klanu w Austin w Teksasie, jak wyglądało to słynne spięcie z BAD BRAINS, albo ścieżka dźwiękowa dla wizyty papieża w San Francisco. Jest tego więcej, czasami rzeczy smutne, gdy dowiadujemy się o umierającej rodzinie Dave`a, czy jego problemach z narkotykami. Albo i śmieszne, gdy opisuje jak stawał mu kutas podczas wiercenia zęba przez dentystkę i jej asystentkę. Najciekawsze dla mnie to te starsze czasy, gdy zespół był na fali wznoszącej i gdy Dictor podaje listę koncertów i line-up z pierwszych tras w Europie, czy cyklu Rock Against Reagan w USA. Szkoda, że kolejne wizyty w Europie nie są już tak udokumentowane, bo radość byłaby pełna. To chyba na pierwszej trasie po koncercie w Bath w 1982, gdy grali z DEAD KENNEDYS i DISORDEREM, wokalista tych ostatnich przeżył szok, gdy spotkał Biafrę po gigu w szlafroku kąpielowym, który udzielał mu rad, jak dobrze śpiewać… Kolo wspominał o tym kiedyś w „MRR". Przy okazji wyszło na jaw, że ich do tej pory jedyna wizyta w PL w 1992 roku nie była taką, bo zatrzymani przez rosyjskich celników na granicy dzięki łapówce wjechali jednak do Polski (Braniewo? Bartoszyce?) i przejechali północą do Niemiec rok później. Model z BDG ich ściągał stamtąd, ale nie chce zdradzać szczegółów. Fajna pozycja.

Grzester

„Mleko i miód/Milk and Honey", Rupi Kaur

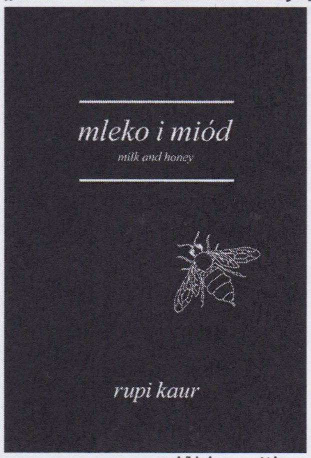

Nie siedzę za bardzo w temacie poezji, ale bardzo wciągnął mnie tomik kanadyjskiej poetki o indyjskich korzeniach. Jest ciekawie skonstruowany: na jednej stronie umieszczony jest oryginalny tekst w języku angielskim, na drugiej stronie jest polskie tłumaczenie. Teksty są opatrzone rysunkami Kaur. Tomik jest podzielony tematycznie. W odpowiednich częściach poetka opowiada o euforii zakochania, o utracie, o radzeniu sobie z bólem po rozstaniu. Kaur pisze prosto, czasem wręcz brutalnie. Ta książka wywarła na mnie naprawdę duże wrażenie przez to, jaką pewnością siebie emanuje autorka. Można się naprawdę od niej uczyć. Autorka zna swoją wartość, wie jak sobie radzić ze swoimi emocjami, chociaż często jest to związane z przeogromnym wysiłkiem. Nie przepraszа za to, że żyje tylko wali prosto z mostu. Sama buduje swój wizerunek, my mamy ją postrzegać na jej zasadach. Mam niesamowity szacun do osób, które mają odwagę podzielić się swoimi brudami, żeby nauczyć inne osoby, jak sobie radzić ze swoimi emocjami i pokazują przy tym, że nie jesteśmy same ze swoim bólem i inni też tak mają.

Iza

„Moraliści", Katarzyna Tubylewicz

To zbiór wywiadów autorki polskiego pochodzenia, która mieszka w Szwecji, dlatego portretuje ten kraj dokładnie i bardzo autentycznie. Głównym tematem poruszanym w tej książce są uchodźcy. Jak Szwecja radzi sobie, lub może właśnie nie radzi z tematem migracji. Książka bardzo daje do myślenia w temacie tolerancji. Czym jest tolerancja, gdzie jest jej granica? Autorce udało się uchwycić szwedzką polityczną poprawność, która czasem ociera się o absurd i zamiast pomagać, powoduje jeszcze więcej problemów. To naprawdę wartościowa książka, która dobitnie mówi, że nic nie jest czarne ani białe, Tubylewicz pokazuje bardzo wiele odcieni szarości.

Iza

„Mój anarchizm", Tymoteusz Onyszkiewicz, wyd. Graffiti BC, Warszawa 2017

Mała rzecz, a potrafi zaskoczyć! Tymek Onyszkiewicz dał się do tej pory poznać, jako autor opowieści sprzed lat kilku, fajowych i ciekawie zapodanych. Tym razem idzie jednak inną stroną swej twórczości. Można powiedzieć, bardziej ideologiczną. „Mój anarchizm" to w zasadzie dwa teksty, które w nieco innych formach można było przeczytać już wcześniej, na łamach prasy anarchistycznej (pierwszy w „A-Taku", drugi w „Innym Świecie"). Stanowią one podwaliny „nowej" idei, jaka zahuczała w Tymkowej głowie. Idei może nie nowatorskiej, bo podobnych mu było przed nim wielu, lecz opisanej na nowo, na swój sposób. Tymek, dla siebie, jak i czytelników, nazywa ją anarchizmem humanistycznym (zbieżność z humanistycznym socjalizmem Ericha

Fromma nieprzypadkowa). Pierwszą część książki stanowi „Anarchizm humanistyczny przeciwko przemocy", gdzie, jak można przypuszczać, ostrej krytyce poddane zostają przemocowe działania w ruchu anarchistycznym oraz podkreślanie używania przemocy w ideach anarchistów. Historia ideologii anarchistycznej, myśli libertalnej, to historia przemocy i nie da się tego ukryć. Zazwyczaj była to przemoc ze strony państwa, ukierunkowana na tych, którzy podważali sensowność współczesnego im systemu. Przemoc państwa rodziła niezadowolenie, bunt, w konsekwencji rozpacz i rewanż. Anarchizm od zarania opierał się na sile burzenia i sile budowania. Jego pokojowe przykłady, na które ochoczo powołuje się Tymoteusz, były zazwyczaj marginesem ruchu i idei, choć czasami bardzo zauważalnym. Wiele ruchów społecznych wyrzeka się przemocy, jako jedynej swej formy aktywności, lecz nie odmawia sobie prawa do obrony, jak i prawa do ataku, gdy sprzyja temu czas i miejsce. Tymek, krytykując współczesnych „przemocowych" anarchistów, według mnie, zapędza się w kozi róg pisząc, iż anarchista używając przemocy w swej walce „nie jest przyjacielem wolności, ale podwórkowym despotą, nekrofilnym socjopatą, a jego ideologia, jego rzekomy anarchizm, nie różni się specjalnie od poglądów faszystów czy nazistów...". To nieco przypomina mi liberalny bełkot, który mówi dokładnie to samo; antyfaszyści i faszyści są tylko własnym odbiciem lustrzanym, gdyż obie strony używają przemocy. Liberałowie i część konserwatystów mówią to głośno i wyraźnie, Tymek napisał dokładnie to samo, co jest nieco zaskakujące. Różni go może od tych pierwszych to, iż on skupia się i mówi tylko o przemocy wymierzonej w innych ludzi (nawet największych wrogów wolności), zaś w pewien sposób usprawiedliwia przemoc wymierzoną w rzeczy, co dla liberałów i konserwatystów jest chyba jeszcze większym grzechem niż bicie ludzi. Wiadomo - własność prywatne jest najświętsza! Onyszkiewicz w swoim tekście powołuje się na wielu znakomitych anarchistów, którzy dawali przykład swym życiem, iż daje radę działać i żyć bez przemocy. Z drugiej strony, można by podać ze setkę przykładów innych anarchistów, których warunki życiowe zmuszały do tego, by przemocy się nie bać i korzystać z niej. Kiedyś ktoś napisał na jednym z polskich murów, iż „przemoc to życie za tysiąc złotych" - to doskonale opisuje sytuację, gdzie przemoc rodzi się w biedzie, tam dojrzewa i wybucha. W dzisiejszych czasach, przeważnie jest ona inaczej ukierunkowana (w Polsce - stadiony, uchodźcy, lewacy), w XIX wieku i początkach XX, była to przemoc klasowa, gdyż tego wymagało życie. Tymek „żali się" nieco, iż brutalizacja anarchizmu odstrasza od ruchu i idei ludzi, którym do życia bez władzy blisko, lecz boją się właśnie tych zasłoniętych kominiarkami twarzy i grubych styli od flag... Niby kiedyś do anarchizmu garnęli się ludzie sztuki i kultury, anarchistami byli dziennikarze, lekarze, poeci, pisarze... Tak, było tak, lecz sto lat temu lekarza-anarchistę czy pisarza-anarchistę nie odstraszał anarchistyczny zamachowiec na królewską głowę. Ba! Potrafił on nawet taki czyn pochwalić, jako symbol walki ludu, wziąć w obronę zamachowca. Dziś, gdy przemoc anarchistyczna polega w dużej mierze na atakach na rzeczy (wyjątek stanowią ataki na faszystów, gdzie nie wszyscy atakujący to anarchiści), nie ma pośród anarchistów lekarzy czy ludzi kultury, lecz nie dlatego, że anarchiści wybijają okna w bankach bądź podpalają luksusowe samochody... Dlatego, iż to oni są głównymi klientami banków i posiadaczami takowych aut. Inteligencja stała się wierną służką kapitalizmu i państwa, myśli tylko o sobie, o swym statusie społecznym, a nie klasach niższych, tak jak to miało miejsce ponad sto lat temu... Oczywiście pisze to z lekką przesadą, gdyż sam znam kilku artystów, naukowców czy lekarzy anarchistów... O ile wywód Tymka o humanistycznym anarchizmie przeczytałem z ciekawością, o tyle nie zgadzam się z większością zawartych w nim tez...

W drugiej części książki, zatytułowanej „Problem metafizyki w myśli anarchistycznej", poruszamy się również po grząskim dla anarchistów gruncie, choć u mnie nie wywołuje już ona zbyt wielkich emocji. Jako anarchista-ateista, uważam religię za ludzki wymysł służący do zniewalania, za marksistowskie opium dla mas. Z drugiej strony, moje wolnościowe sumienie nie może zabronić innym ludziom wierzyć w to, co uważają za słuszne. Jeśli tylko nie będą nawracać mnie na siłę i uprzykrzać mi życia, niechaj sobie wierzą w najdziwniejsze gusła. Czuję również nić sympatii do wierzeń i religii, które niosą za sobą wolnościowe wyobrażenia świata i życia. Onyszkiewicz nazywa takie religie, religiami „dynamicznymi" i przeciwstawia je religiom „statycznym", które opierają się na status quo i autorytaryzmie Boga oraz jego kapłanów. Rozważania Tymoteusza o wolnościowej metafizyce są interesujące, choć w żaden sposób nie przekonały mnie do uwierzenia w jakikolwiek Absolut. Być może nie o to tu jednak chodziło. Książeczka Onyszkiewicza, która podobno została stworzona po to, by przybliżyć bliskie mu idee ludziom spoza wolnościowych kręgów, tzw. normalsom, ma jednak bardzo dużą wadę - Tymek posługuje się w niej wieloma sformułowaniami bądź nazwami czy nazwiskami, które dla przeciętnego czytelnika mogą być zupełnie niezrozumiałe. O ile oczytany anarchista będzie wiedział kim był Charles Fourier, Henry David Thorau czy Ravachol, to nawet on będzie miał kłopoty z utożsamieniem Aryman, Ahuaramazda czy Ernsta Renana... a co dopiero przeciętny czytelnik spoza wolnościowego kręgu? Brak jakichkolwiek przypisów to duży błąd.

Krawat

„Pasztety, do boju!", Clémentine Beauvais

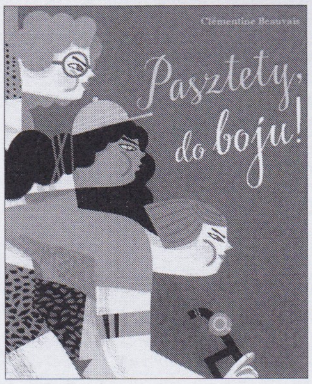

To książka dla wszystkich, niby dla młodzieży, ale wszyscy powinni docenić jej zajebistość bez względu na wiek. Bardzo żałuję, że nie przeczytałam jej, kiedy byłam nastolatką, ale teraz, kiedy już powstała, przeczytajcie i polecajcie ją wszystkim. Fabuła zaczyna się od tego, że trzy nastolatki wygrywają plebiscyt na złotego, srebrnego i złotego paszteta, czyli po prostu oficjalnie zostają okrzyknięte najbrzydszymi dziewczynami w szkole. Ale to tylko wzmocniło dziewczyny i skłoniło do zemsty. Dziewczyny wyruszają w podróż na rowerach, jadą do Paryża w ściśle tajnym celu. Reszty dowiecie się czytając, gwarantuję, że łykniecie tę książkę jednym tchem. Jest świetnie i dynamicznie napisana, dotyka wielu problemów, nie tylko kobiecego ciała, ale także niepełnosprawności, hejtu i innych niesprawiedliwości. Wszystkie złe rzeczy zostają w uroczy sposób obśmiane i w ten sposób obezwładnione. Brawa należą się też tłumaczce, Bożenie Sęk, za złapanie młodzieżowego języka w bardzo naturalny sposób. Wisienką na torcie jest piękna okładka. Warto mieć tę książkę.

Iza

„Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne", Kate Brown, wyd. Czarne 2016

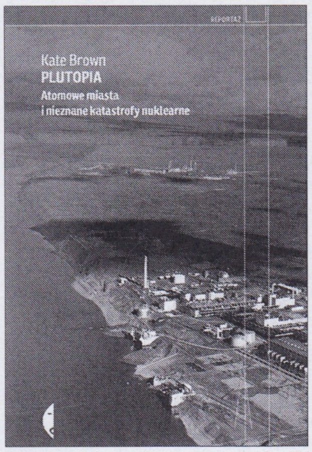

Jest to książka niezwykła. Historia dwóch miast leżących po dwóch stronach żelaznej kurtyny. Oziorsk i Richland to miasta-fabryki plutonu. Pierwsze z nich do roku 1989 oficjalnie nie istniało. Drugie było jedyną ostoją socjalizmu na kontynencie amerykańskim. Dwa miasta jedyne w swoim rodzaju, odizolowane od świata i do dzisiaj objęte zmową milczenia. Kate Brown, profesor historii na Uniwersytecie Maryland, z dziennikarską dokładnością opisała historie powstania obu „nuklearnych miast". W miastach-laboratoriach zarówno władze radzieckie jak i amerykańskie, kosztem zdrowia własnych obywateli, budowały potęgę nuklearną mającą na celu zapewnienie „wiecznego pokoju". Książka jest opowieścią o heroizmie pracowników, a zarazem smutną historią niesprawiedliwości, niekompetencji i niedbalstwa, którego dopuszczano się w imię bezpieczeństwa narodowego i walki ze światowym wrogiem proletariatu. To historie pierwszych katastrof nuklearnych, ukrywanych przed opinią publiczną, których skutki odczuwalne są do dzisiaj.

Warto nadmienić, że Rosyjskie Ministerstwo Energii Atomowej odmówiło autorce wjazdu do Oziorska. W USA zaś tylko nieliczni z informatorów zgodzili się być zacytowani. Wiele spotkań z tymi, którzy zgodzili się mówić, odbywało się w okolicznościach godnych powieści sensacyjnej. Ci, którzy próbowali ujawnić prawdę o wypadkach i zagrożeniach dla zdrowia ludzi, byli inwigilowani, nękani, śledzeni i zastraszani, i to zarówno w USA, jak i w Rosji. Po zakończeniu zimnej wojny! Jeśli chcesz się dowiedzieć, co skłoniło mieszkańców Richland do dwukrotnego odrzucenia propozycji nadania ich miejscowości praw miejskich, samorządu i wolnego rynku, dlaczego pod koniec lat dziewięćdziesiątych w Oziorsku 95% wyborców opowiedziało się za utrzymaniem systemu przepustek, bramek i strażników, koniecznie sięgnij po tę książkę! Witamy w plutonowym raju...

Gruha

„Sekretne życie drzew", Peter Wohlleben, wyd. Otwarte

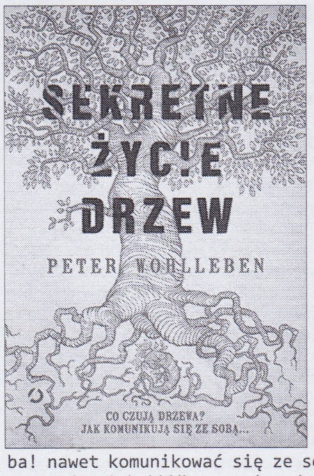

Książka jest wynikiem pracy i życia leśnika z dwudziestoletnim stażem, a przede wszystkim miłości wobec przyrody. Peter pracował w Zarządzie Lasów Państwowych w Niemczech. Z czasem zrezygnował z pracy urzędniczej, by swoją wizję ochrony przyrody wcielać w życie. Ta książka to nie tylko efekt jego obserwacji, ale wyraz miłości wobec otaczającej przyrody, płynącej z głębokiej obserwacji otaczającej natury i zrozumienia głębokich powiązań w niej istniejących. Fascynująca prawda, jaką autor odkrywa przed czytelnikiem jest taka: drzewa są istotami społecznymi. Sięgnijcie po tę książkę a dowiecie się, że drzewa troszczą się o swoje potomstwo, pielęgnują stare osobniki, bronią się przed intruzami, doświadczają wrażeń, mają uczucia i pamięć, potrafią liczyć, ba! nawet komunikować się ze sobą. Bywają też egoistami. „O zgrozo, co za brednie!!!" - powie większość leśników w Polsce, na czele z głównym nadszkodnikiem Szyszko. Nota bene, to on właśnie powinien tę książkę przeczytać, obowiązkowo! Te fascynujące historie, jakimi raczy nas autor, w moim przypadku skutecznie obaliły utrwalony przez polski system edukacji obraz roślin. W tym również drzew, jako coś pomiędzy przedmiotami a będących dużo niżej od zwierząt. Czyli mało wartych ochrony i opieki. Po lekturze „Sekretnego życia drzew"

gwarantuję, że inaczej spojrzycie na otaczające was drzewa. Jedna z moich koleżanek pisała mi, iż książka ta już zdobyła status kultowej wśród ekohipsterów ze stolicy. Raczej nie trafi na listę lektur obowiązkowych pod dach Ministerstwa Ochrony Środowiska. A szkoda. To, co dzieje się aktualnie w Polsce w kwestii wycinki drzew, a przede wszystkim niszczenia Puszczy Białowieskiej, zakrawa na ***. Bo, jak mówi stare leśne przysłowie, pokaż mi jak traktujesz drzewa, a powiem ci, kim jesteś. Myślę, że warto poświęcić kilka wolnych chwil na lekturę tej książki.
P.S Na rynku pojawiła się druga pozycja tegoż autora: „Duchowe życie zwierząt". Aż nie mogę się doczekać, by wpadła w moje ręce!

Gruha

„Szara soczewka – Aforyzmy, wiersze, haiku i inne…", Yanko Wojownik

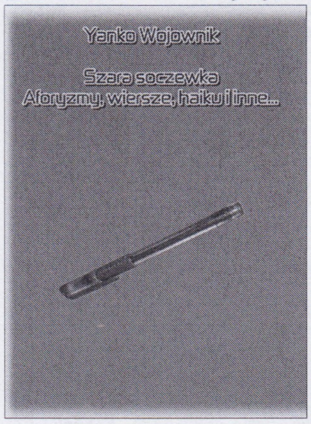

Nie sądzę, abym był odpowiednią osobą do recenzowania wierszy - tak sobie pomyślałem, kiedy dostałem ten tomik. Przeczytałem go od dechy do dechy i choć nadal sądzę, że słabo sobie radzę z opisywaniem poezji to bardzo mi się spodobała zawartość tej książeczki. Yanko Wojownik prezentuje nam swą twórczość na 128 stronach. A są to wiersze, teksty piosenek, aforyzmy, haiku. Po słowie wstępu atakują nas wszelkiego rodzaju sentencje, sarkazmy, aforyzmy – niektóre z nich po prostu mistrzowskie, śmieszne, prawdziwe, oczywiste, no ale trzeba umieć ubrać je w słowa: Większość udaje normalnych, ja jestem sobą. Albo: Myślę… - jakie to pospolite. Mój ulubiony: Podróże męczą. Aforyzmy dotykają codzienności, egzystencji, literatury, punk rocka, policji, kościoła, wojny, polityki, anarchizmu… No wszystkiego dosłownie. Sporo tutaj również wierszy i tekstów piosenek, i tych ocierających się o punk, ale również o wiele innych rzeczy. Jest również inspiracja dokonaniami SIEKIERY, czego autor zupełnie nie ukrywa, a wręcz przeciwnie. No i haiku – sporo tego, fajne zabawy słowem, wszystko sympatycznie się zazębia. Naprawdę fajna rzecz, dobrze się to czyta, często pojawia się uśmiech, jak i zachwyt nad niektórymi bardzo trafnymi aforyzmami. Jeśli natraficie na ten tomik to zachęcam do przeczytania.

Pablo

„Wojna Wojnie", Ernst Friedrich, wyd. Oficyna Wydawnicza Bractwo Trojka, Poznań 2017

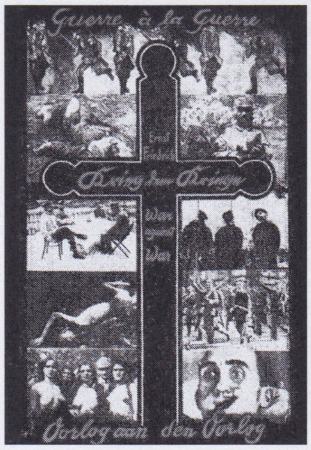

Miałem wielki apetyt na tę książkę, lecz gdy wreszcie wpadła w moje ręce, czar jakby prysł. Zapowiadał się ciekawy album, antywojenny, antymilitarny, i faktycznie dostałem książkę ciekawą, o takiej właśnie tematyce, ale trudno to nazwać albumem. Mimo, iż lubię taki lekko pożółkły papier, to moim zdanie zupełnie nie nadaje się on na drukowanie na nim zdjęć, jeszcze takich sprzed stu lat. Jakościowo wychodzi to bardzo kiepsko, przez co cała książka traci na swej wizualnej wartości. Albumy powinny jednak być drukowane na porządnym, najlepiej kredowym i białym papierze. Mimo tegoż wielce mnie frapującego minusa, sama książka w dużym stopniu broni się swą zawartością.
Ernst Friedrich był niemieckim anarchistą i pacyfistą, twórcą Muzeum Anty-Wojennego, gdzie spotykało się szerokie grono lewicowych działaczy i intelektualistów. Późniejsze losy muzeum były oczywiste - zniszczono je w 1933 r., gdy do władzy doszli naziści. Ponowne jego otwarcie nastąpiło w roku 1982 i do dziś prowadzi je jeden z wnuków Friedricha. W 1924 r. powstał album „Krieg dem Kriege", przedstawiający okropieństwa wojny, szereg fotografii stworzonych w czasie Pierwszej Wojny Światowej. Opisy zdjęć, jak i towarzyszące im teksty, umieszczono w czterech wersjach językowych; po niemiecku, angielsku, francusku i holendersku. Dzięki temu, zasięg wydawnictwa poszerzył się o kilka ościennych krajów. Wydanie „Wojny Wojnie" spotkało się również ze zdecydowaną reakcją władz, którym nie spodobało się „ośmieszanie" patriotyzmu i władz państwowych. Po usankcjonowaniu się władzy Hitlera, autora niniejszej publikacji spotykały szykany ze strony nowych władz. Trafiał do aresztów i szpitali, czekał go proces i niechybny pobyt w obozie koncentracyjnym. Postanowił uciec, najpierw do Brukseli, gdzie ponownie otwiera swe muzeum (udało mu się ukryć wiele zbiorów ze swego pierwszego muzeum), lecz tam nie zagrzeje miejsca, wybucha wojna i muzeum zostaje zniszczone w czasie niemieckich bombardowań... Ponownie zbiega, tym razem do Francji, gdzie w ukryciu przeżywa wojnę i osiada tam na stałe po niej. Prowadzi tam m.in. ośrodek dla młodzieży o nazwie Arka Noego, wstępuje również do francuskiej Partii Socjalistycznej (odstawiając na bok swój anarcho-pacyfizm).
Książka, prócz autentycznych fotografii wojennych, zawiera w sobie również inne materiały, jak choćby „patriotyczne" i prowojenne pocztówki czy ilustracje przedstawiające wojenne zabawki dla dzieci. Friedrich słusznie zauważa, iż hodowanie żołnierzy nie zaczyna się wraz z poborem do armii, trwa już ono od dzieciństwa, gdy małym chłopcom wmawia się, że ich przyszłością jest bycie bohaterem, żołnierzem, a największą chlubą będzie poniesienie śmierci dla ojczyzny. Dopiero w śmierdzących okopach młodzi ludzie orientują się, iż ci, co opowiadali im te bzdury, siedzą w ciepłych gabinetach, przesuwając na mapach ludzki arsenał, podczas gdy giną tacy jak oni, biedni chłopi i robotnicy... Książkę otwiera jednak pacyfistyczny manifest Friedricha, z dzisiejszej perspektywy napisany językiem nieco naiwnym, lecz oddający ducha czasu. Zarówno w manifeście, jak i opisach zdjęć, autor albumu odnosi się do religii chrześcijańskich, co zapewne miało na celu przyciągnięcie większego grona czytelników. Jeśli zaś chodzi o same zdjęcia, to mamy tu różny ich przekrój. Od wystrojonych i prężących się żołnierzy skontrastowanych na stronie obok z trupami rozrzuconymi na polu chwały, poprzez widoki z codziennego trudu żołnierskiego, aż po egzekucje, masowe mogiły, okaleczone martwe ciała, itp. Ot, po prostu proza wojny, jaką ukryć chcą przed społeczeństwem ci, którzy te wojny wywołują. Na mnie jednak największe wrażenie, choć w tym miejscu chyba należy mówić o przerażeniu, wywołały zdjęcia okaleczonych, lecz ciągle żyjących żołnierzy, bez znaczących części twarzy, pustych oczodołach, brakujących dolnych szczękach czy nosach. Bestiariusz wojennej pożogi, przestroga nie tyle przed samą wojną, co tym, co ją wywołuje... patriotyzmem, nacjonalizmem, kapitalizmem.

Krawat

„Wszystkich nas nie spalicie", Piotr Ciszewski, Robert Nowak, wyd. Trzecia Strona, Warszawa 2016

Z okładki książki spogląda na nas Jolanta Brzeska. Jej twarzy, odbitej od szablonu, towarzyszy tylko napis: „Jolanta Brzeska 1947-2011 zginęła walcząc". Gdyby nie ta kobieta, ta książka pewnie by nie powstała, a już z pewnością byłaby zupełnie inna, mniej dramatyczna, mniej kontrowersyjna. Cała historia zaczyna się dawno temu... od „Dekretu o własności i użytkowaniu gruntów na obszarze m. st. Warszawy", potocznie zwanym „Dekretem Bieruta". Owa „historyczna niesprawiedliwość" odebrała grunty przedwojennym właścicielom (po 1945 r. odszkodowania dostawali jedynie zagraniczni pokrzywdzeni, polscy właściciele mogli się o nie upominać dopiero po 1989 r.) i uspołeczniła je na swą modłę, tak jak robiła wówczas władza z wieloma innymi rzeczami. Nie miejsce tu i pora by dyskutować nad tym historycznym posunięciem, niemniej niedociągnięcia prawne oraz zmiany, jakie zaszły w naszym kraju po '89 r. spowodowały lawinę pozwów o odszkodowania, bądź odzyskanie straconych majątków. Poprzez naciąganie prawa, manipulacje i zwykłe oszustwa, byli właściciele, a w zasadzie ich pełnomocnicy, lub domniemani pełnomocnicy, zaczęli łupić stolicę z kamienic i innych nieruchomości. Znamienne jest to, iż zdecydowana większość Warszawy wyszła z drugiej wojny światowej niemal zupełnie zniszczona. Ponad 80% miejskiej tkanki mieszkaniowej stanowiły gruzy, bądź budynki nienadające się do zamieszkania. Gdy komunistyczne władze zadecydowały, że Warszawa zostanie odbudowana, wielu warszawiaków i warszawianek, nie oglądając się na władzę, zaczęło odgruzowywać i gdzie tylko się dało, odbudowywać stolicę. Miasto wyrosło głównie dzięki pracom społecznym milionów Polek i Polaków. Gdy „byli" właściciele zaczęli upominać się o „swoje", nikt nie brał pod uwagę tej pracy i poświęcenia. Tak było również z domem Jolanty Brzeskiej przy ulicy Nabielaka 9...
Książka ta, to nie tylko historia Brzeskiej i jej walki o własny dom. To również wiele podobnych opowieści ze stołecznego miasta, gdzie ludzka tragedia, bieda i niepowodzenia życiowe, muszą stawić czoła zachłanności, chytrości i niepohamowanej chciwości. Wielkie pieniądze kontra ludzkie życie. W kapitalistycznej rzeczywistości wynik musi być tylko jeden. Ciszewski z Nowakiem opisują również podłość władz miejskich, bardzo skorych do pomocy wszelkiej maści spekulantom, niechętnych własnym mieszkańcom, traktujących ich niemal jak zbyteczny balast. Dla nich miasto to firma pod ich zarządem, liczą się zyski nie ludzie. Wiele z tych urzędniczych hien ma na swych rękach krew Jolanty Brzeskiej, jak i innych osób, które nie wytrzymywały ciśnienia, upokorzenia i ze wstydem na twarzy umierały gdzieś po cichu, wygnane z domów, które nieraz same doprowadzały do użyteczności (a już z pewnością robili to ich rodzice). Autorzy książki piszą również o walce, jaką w imię mieszkańców Warszawy prowadzi od lat Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów, założone przez aktywistów lewicowych i poszkodowanych lokatorów. Zatwardziałą aktywistką WSL była również Jolanta Brzeska, i być może ta jej aktywność najbardziej kłuła w oczy mocodawców jej morderstwa, bo dziś nikt nie ma żadnych obiekcji, co do tego, iż Brzeska została zabita na zlecenie, pytanie tylko, kogo? Podejrzanych jest kilku i mamy nadzieję, iż ta sprawa zostanie w końcu rozwiązana... Z racji swej aktywności w ramach WSL, mniej miejsca poświęcone tu zostało działaniom Komitetu Obrony Lokatorów, który niejednokrotnie stawał u boku Brzeskiej i innych poszkodowanych oraz ma niemałe sukcesy w walce z kamienicznikami warszawskimi. Trochę to niesprawiedliwe...
Dziś sprawą Brzeskiej, jak i całej reprywatyzacji kamienic w Warszawie, zajmuje się specjalna komisja rządowa. Trzeba było dopiero głośnej sprawy ze sprzedażą działki w okolicach Pałacu Kultury, by władze i prokuratura zaczęły interesować się tym, co działo się przez lata w stolicy, ale również i w innych miastach kraju. Od wielu lat anarchiści, lewicowcy oraz poszkodowani mieszkańcy krzyczeli o wielkiej niesprawiedliwości oraz przestępstwach dokonywanych przez urzędników i domniemanych spadkobierców. Nikt tego krzyku nie słyszał! Czy dzisiejsze zajęcie się tymi haniebnymi sprawami to tylko gra polityczna PiS-u, czy szczere wyhamowanie dalszej dewastacji tkanki miejskiej i nękania lokatorów? Czy rządowa komisja zajmie się również politykami własnej partii, którzy również byli zamieszani w reprywatyzację? W jaki sposób zostaną w końcu rozwiązane dalsze roszczenia spadkobierców przedwojennej własności? O tym zapewne przekonamy się niebawem...

Krawat

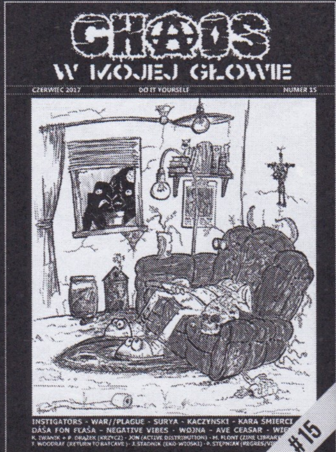

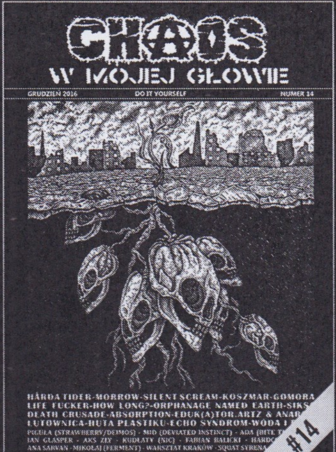

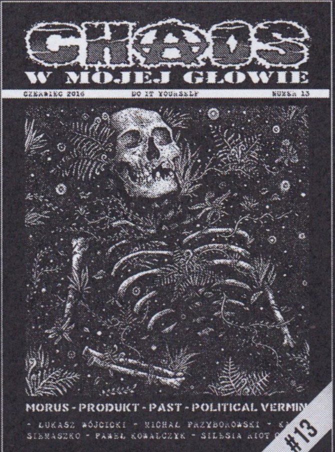

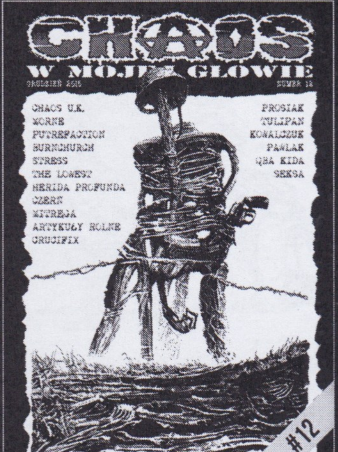

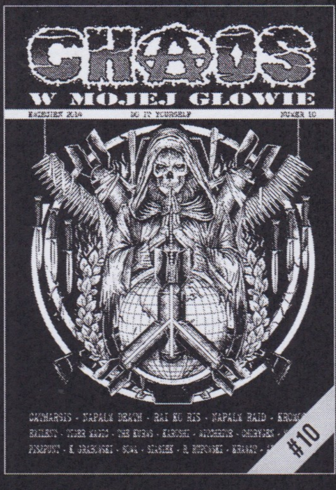

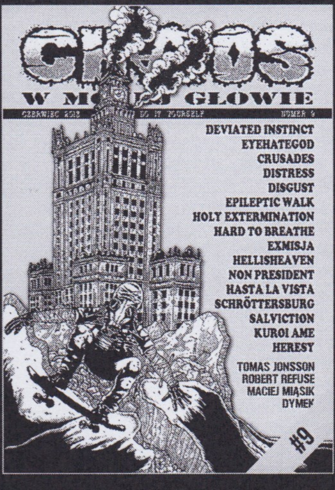

WWW.CHAOSWMOJEJGLOWIE.PL

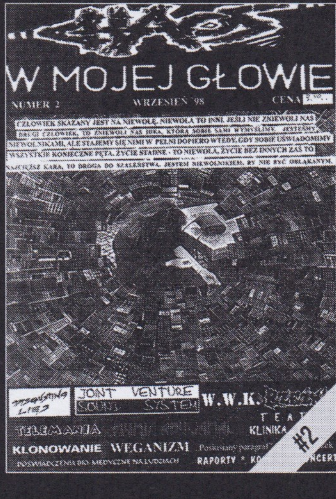

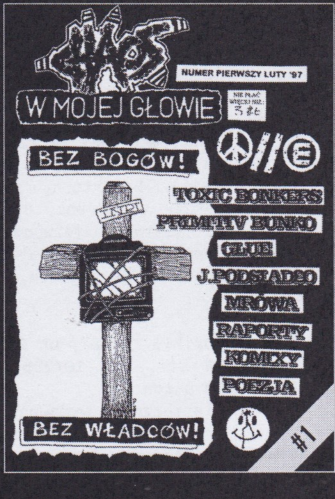

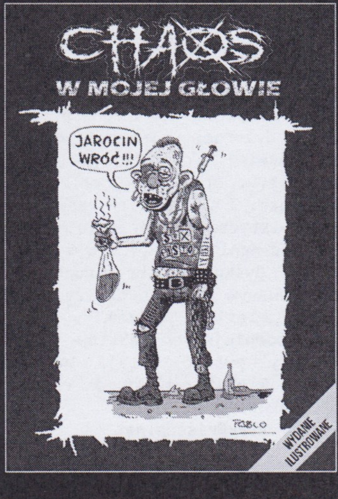

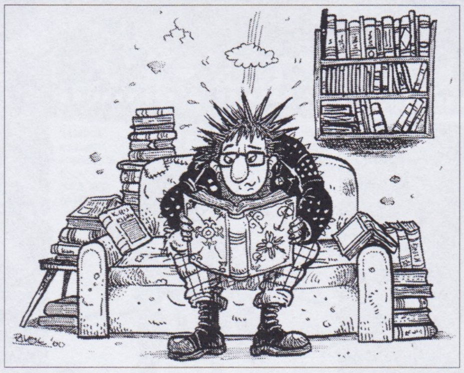

„Akcja Bezpośrednia. Kronika ataków anarchistów, antyfaszystów, działaczy prozwierzęcych i ekologicznych w Polsce", A5, 48 stron

Rzecz może nie najnowsza, bo z 2015 roku, ale dopiero teraz trafiła w moje ręce wersja papierowa, a nie mam w zwyczaju recenzować wydawnictw, które ukazują się tylko w wersji PDF. Wydawnictwo związane z portalem informacyjnym Grecja w Ogniu ma niestety takie maniery, iż wiele ciekawych rzeczy robi, ale trudno jest je gdziekolwiek dostać na papierze. Coś się ostatnio w tej kwestii ruszyło i mam nadzieję, że tak pozostanie. Na broszurę składają się krótkie opisy akcji bezpośrednich, jakie miały miejsce w Polsce w latach 2011-2015. Mogłoby się wydawać, iż będzie tego niewiele, a tu jednak troszeczkę się uzbierało. Oczywiście pod terminem „akcja bezpośrednia" twórcy broszury nie maja na myśli tylko i wyłącznie napierdolenie naziolowi czy podpalenie radiowozu... akcją bezpośrednią jest również zniszczenie elewacji banku czy nielegalne wywieszenie anarchistycznego banera. Całość podzielona została na cztery części; anarchizm, antyfaszyzm, wyzwolenie zwierząt i ziemi oraz rozważania. W ostatniej części znajdziemy m.in. insurekcyjną krytykę działań związanych z obchodami 11 listopada oraz kilka tekstów odnoszących się do głównego nurtu anarchizmu społecznego, pisanych oczywiście z pozycji nihilistycznych bądź insurekcyjnych. Z wieloma tezami zawartymi w tych tekstach można się nie zgadzać, jednak warto po nie sięgnąć (jeśli nie czytaliście ich wcześniej na stronie internetowej GwO), przeanalizować czy nawet skrytykować, a nie z uśmieszkiem na ustach pleść brednie, jacy to insurekcjoniści są pojebani/śmieszni/dziecinni...

Kontakt: grecjawogniu.info

Krawat

„A-Tak. Anarchistyczna gazeta uliczna", nr6/2017, A3, 24 strony

Kolejna odsłona gazety, którą być może spotykacie gdzieś na ulicy swego miasta, znajdziecie w swej skrzynce pocztowej czy leżącą gdzieś w kącie na jakimś skłocie lub przyjaznej punkom knajpie. „A-Tak" ma już swój stały poziom, który raczej się nie zaniża, choć ma też czasami słabsze momenty (w tym numerze dla mnie jest to felieton o klechach...). W środku tematy dyżurne, bieżące; obrona Puszczy Białowieskiej, uchodźcy, gorąca sytuacja na Białorusi... oraz inne, mniej lub bardziej wciągające. Z ciekawszych rzeczy; ciąg dalszy o anarchistycznym spojrzeniu na architekturę, rozmowa z Agnieszką Holland o jej nowym filmie „Pokot", dyskusje o bezwarunkowym dochodzie gwarantowanym i ciąg dalszy o 500+ czy w końcu o „mięsie z próbówki". Prócz tego dużo innych pomniejszych tekstów. Warto sięgnąć, poczytać, puścić dalej. Warto wesprzeć, zamówić większa ilość i rozprowadzić po swojej okolicy.

Kontakt: atak@riseup.net

Krawat

„Bez Dogmatu" nr 113, A4, 36 stron

Antykomunistyczne filtry redakcji „Chaosu..." przepuściły wcześniejszą recenzję tegoż lewicowego kwartalnika, więc i tym razem poświęcę kilka słów nowemu numerowi. A jest, o czym pisać, bo to numer strasznie rewolucyjny... Bądź, co bądź w tym roku mija równe sto lat, jak umęczony lud rosyjski obalił carat i wybuchła najpierw jedna (lutowa) a później druga (październikowa) rewolucja (choć większość historyków, w tym również tych lewicowych, częściej mówi o zamachu stanu niż rewolucji...). W Polsce o tych rewolucja pisze się zazwyczaj bardzo źle. Ale nie ma się, co dziwić, w końcu taki mamy klimat :). Konserwa, jaka opanowała choćby taki IPN, wypisuje już kompletne bzdury i w oficjalnej prasie nie uświadczy uczciwego słowa o tamtych latach. Wszędzie tylko, bolszewia, kacapy, komunizm, Katyń, Smoleńsk, itd. Osobiście nie należę do żadnego fanclubu Lenina czy Trockiego. Ba! Uważam ich nawet za zbrodniarzy, którzy dla utrzymania władzy tylko dla swojej partii, poświęcali tysiące innych rewolucjonistów, w tym wielu anarchistów, którzy skończyli z kulą w głowie, a w najlepszym razie wysłani do łagru z zaocznym wyrokiem śmierci (zazwyczaj wykonanym do 1937 r., gdy Stalin przeprowadził ostatnią dużą czystkę pośród wszelkiej maści lewicowców). Niemniej okresu zrywu rewolucyjnego w Rosji nie przekreślam i staram się uważnie czytać to, co dziś piszą o nim inni lewacy. A w nowym „Bez Dogmatu" (gdzie rewolucja wypełniła niemal cały numer) pisze się o tamtym okresie różnie, choć z lekką dozą lewicowej poprawności. Mamy więc tu teksty historyczne (m.in. Róży Luksemburg, która w pewien sposób podziwiała Lenina i spółkę, choć krytykowała ich za brak pluralizmu politycznego i dyktatorskie zapędy), jak i o historii rewolucji (dobry tekst o terrorze białych i czerwonych w okresie rewolucji i późniejszej wojny domowej). Znajdą się niestety też takie, które starają się bronić działań bolszewików, upatrując w nich nawet mandatu demokratycznego... Jest tekst o rewolucji i jej opanowaniu przez biurokratów (tu już nie tylko bolszewickiej, ale też i chińskiej czy kubańskiej), czy wreszcie kilka tekstów poświęconych feminizacji zmian rewolucyjnych w Rosji. Znajdzie się też coś o gejach i lesbijkach, ale to raczej w kontekście świata dzisiejszego, lecz z Wielkim Październikiem w tle. Okres od rewolucji 1917 r. do „rewolucji" 1989 r. omawiany jest w dość ciekawym wywiadzie z włoskim badaczem Holocaustu i totalitaryzmów, Enzo Traverso (jest również recenzja jego ostatniej książki, w Polsce jeszcze nie wydanej). I to już prawie wszystko... W większości z tych tekstów dowiedziałem się rzeczy, o których jeszcze nie wiedziałem, niektóre z nich przeczytałem i nieco się uśmiechnąłem, raczej takich, co mnie odrzucały na kilometr nie było. W redakcji „Bez Dogmatu" nie uchowały się na szczęście żadne pajace sławiące Lenina, Trockiego czy innych rewolucjonistów idących po władzę po trupach...

W numerze znaleźć jeszcze można dwa teksty o innej rewolucji, tym razem narodowej i konserwatywnej, w czasach nam współczesnych, za rządów miłościwie nam panujących PiSuarów. Redaktorzy pisma, straszą nas, iż będzie to „Franco Bis" - pamiętajmy jednak, iż historia zazwyczaj powtarza się, jako farsa... i w tym cała nasza nadzieja.

Kontakt: bezdogmatu.org

Krawat

„Dzikie Życie", nr 9/279, wrzesień 2017, A4, 38 str., nr 10/280, październik 2017, A4, 38 stron

Miesięcznik wydawany od wielu lat przez Pracownię na rzecz Wszystkich Istot, a który poświęcony jest obronie dzikiej przyrody i popularyzowaniu głębokiej ekologii,

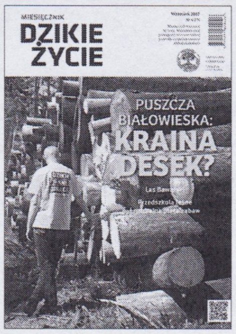

czytuję w zasadzie nieregularnie. Wiem, wiem, powinienem prenumerować i na bieżąco wiedzieć, co w głębi dzikości piszczy... Kiedyś, dawno, dawno temu prenumerowałem „Zielone Brygady", które też przez jakiś czas ukazywały się, co miesiąc. Cenię sobie to pismo za to, iż głównie zajmuje się naszym rodzimym dzikim środowiskiem i zawsze pisze o tym, co mu zagraża. Tu tematami głównymi są Puszcza Białowieska i łosie, do których to bardzo, ale to bardzo chcieli sobie postrzelać myśliwi. Jak wiemy, Puszczę nadal tną leśnicy, nie patrząc na żadne protesty, czy to ekologów, naukowców czy unijnych dyplomatów. Tak jakby mieli to daleko gdzieś... Łosiom jak na razie w Polsce się upiekło, plany „pierwszej dubeltówki IV RP" jak na razie zostały uchylone, ale zwierz ów nadal nie może czuć się zbyt bezpiecznie. Lobby myśliwskie w tym chorym kraju ma wszędzie swe macki i niebawem znów może dobrać się do łosia. Prócz tych tematów, we wrześniowym numerze jest całkiem ciekawa rozmowa nt. idei tworzenia naturalnych placów zabaw dla dzieciaków, jak i rozmowa z Jarkiem Urbańskim o jedzeniu i niejedzeniu mięsa w perspektywie nie tylko ekologicznej. Natomiast w numerze z października warto zwrócić uwagę na tekst poświęcony wielkiej przyjaciółce polskiej przyrody, Simonie Kossak czy też ciekawe omówienie książki o wilkach i wilkołakach w Europie. Oczywiście to tylko wycinek tematów poruszanych w obu numerach pisma. Warto sięgnąć, kupić, czytać!

Kontakt: www.dzikiezycie.pl

Krawat

„Flagi państw kosmosu", A6, 20 str. „Murzynek", A6, 32 str. „Piosenki naiwne", A5, 28 stron + CD - Piotr Kalisz.

Podczas Warszawskich Niezależnych Targów Książki można było spotkać stolik z darmowymi wydawnictwa niejakiego Piotra Kalisza, który osobiście rozdawał je za zupełne darmo. Zdaje się, iż widziałem go tylko w pierwszy dzień targów, zapewne więc udało mu się rozdać całe nakłady swych tomików oraz płyt. Mi w ręce wpadły trzy rzeczy plus jakieś drobiazgi jeszcze pod postacią małych naklejeczek czy płyt CD z muzyczną twórczością Piotra. „Flagi państw kosmosu" to wedle autora „pierwsza próba uporządkowania flag państw wszechświata. Przedrukowano w niej przykładowe flagi krajów ze wszystkich 270 planet, na których istnieje życie". Zapewne we wszechświecie życie gdzieś jeszcze istniej, więc nie możemy powiedzieć, iż autor konfabuluje, jednak z całą pewnością możemy uznać raczej, że owe flagi są wymysłem jego fantazji, gdyż nie możemy być pewni tego, iż na planetach istniej coś takiego jak „państwa"? Bo może „państwo" jest tylko wymysłem gatunku homo sapiens? Na każdej stronicy mamy podane nazwy planet (nawet nie sprawdzałem czy autentyczne :)) oraz wzory flag, niestety czarno-białe. Czyżby światy pozaziemskie były tylko w takich tonacjach? O wiele bardziej ciekawszy wydaje się być „Murzynek", nieduża opowieść o małej czarnej śwince, która trafia w ręce pewnej Zosi w czarnych latach drugiej wojny światowej. Jest tu trochę radości życia, dziecięcego zagmatwania w wojennych czasach i zwykłego cierpienia. Do końca nie wiem, czy to autentyczna historia, czy tylko wymysł autora? Tropy są mylące... Z kolei „Piosenki naiwne" to zestaw 20 tekstów do autorskich piosenek, dołączanych do tomiku w postaci płyty CD. Jak wskazuje sam tytuł, ich naiwność, prostota czy wręcz szmirowatość są tu bardzo wyeksponowane, przez co czyta się te „poematy" z coraz bardziej rozdziabanym bananem na ustach. Tematycznie, jest różnie. Trochę o stosunkach damsko-męskich, trochę prozy życia, jakiegoś czarnego humoru nawet, jak i (znów!) kosmicznych spraw... Piotr chyba żyje z głową w chmurach, skoro tak często sięga do tematyki kosmicznej... Z

całości najbardziej przypadł mi ostatni, krótki, acz urokliwy utwór pt. „Stwórzmy z chaosu kosmos”, który idzie tak: „Kiedy planeta zderza się z planetą/jest błysk, a potem jest cisza/Ułamki lecą i łączą się ze sobą/Szukając szeregów rytmicznych/ stwórzmy z chaosu kosmos”.
Kontakt: niestety brak

Krawat

„Głodna wieś to głodne miasto”, A4, 8 stron
Z okazji 80. rocznicy Wielkiego Strajku Chłopskiego w 1937 roku, poznańska Federacja Anarchistyczna wypuściła taką oto „laurkę”. Cztery teksty, które rozkładają się w okolicznościowy plakat. W warstwie tekstowej mamy tu kawałek historii, tej sprzed 80. lat, jak i nieco późniejszej, odwołującej się do nieżyjącego już działacza chłopskiego, Andrzeja Leppera. Mamy też wgląd we współczesne ruchy chłopskie na świecie, jak i zajawkę odnoszącą się do zapominania przez dzisiejsze elity o tych, jak i podobnych wydarzeniach z okresu Drugiej Rzeczypospolitej. Nie dziwmy się ani obecnej władzy, ani opozycyjnym elitom politycznym. W końcu dzieje ruchu ludowego czy robotniczego to nie ich tradycja, nie ich dziedzictwo. Oni wolą szlacheckie dworki, silną sanacyjną władzę oraz antysemickie bojówki na ulicach, o tym wolą pamiętać. Z jednej strony, fajnie, iż anarchiści postanowili upamiętnić i przypomnieć strajk chłopów z 1937 roku. Zapewne poza nimi, zrobili to jeszcze ludowcy i spora część lewicy w tym kraju. Ale z drugiej strony, tak się zastanawiam, czy nie lepiej poświęcać czas i energię na podobne inicjatywy, lecz mówiące o „naszej” - anarchistycznej przeszłości? Wielki Strajk Chłopski był zapewne czymś ważnym w międzywojennym społeczeństwie, pokazywał, iż może ono pokazać władzy rogi, ukazał też zepsucie i nieskrywaną brutalność sanacyjnej władzy. Ale była to akcja organizowana w dużej mierze przez partyjne aktywy, zaś jej celem nie było obalenie status quo, a jedynie polepszenie swego bytu jak i systemu politycznego. Mogę z zaciekawieniem poczytać o tamtych wydarzeniach, z chęcią dowiedziałbym się również, co w tym temacie myśleli ówcześni anarchiści, jednak daleki byłbym od stawiania takich wydarzeń na piedestale i próbach wkomponowania ich w anarchistyczną część historii.
Kontakt: plagazpisz@gmail.com

Krawat

„Inicjatywa Pracownicza”, numer specjalny/VI 2017, A3, 8 stron
Specjalne wydanie biuletynu OZZ IP wydane z myślą o pracownikach zatrudnionych w sieci firmy Amazon. Jak doskonale wiecie, związkowcy od jakiegoś czasu próbują walczyć o poszanowanie praw pracowniczych oraz podwyżki dla pracowników tego koncernu, próbowali nawet wywołać ogólnopolski strajk pracowników Amazona, lecz jak na razie się to im nie udało. Ogólnie, większość materiałów dotyczy spraw związanych z pracą w Amazonie, gdzie momentami laik nie wie, o co chodzi, gdyż redakcja posługuje się typowo branżowym językiem... No, ale ci, co robią „karierę” w Amazonie lub mają za sobą epizod pracy w tym kołchozie, zapewne orientują się, o co biega. Z tekstów bardziej zrozumiałych dla takiego laika, jak choćby ja, jest nieco o kontrolach osób przybywających na zwolnieniach lekarskich, felieton o byłym dyrektorze firmy czy porady prawne, tu dotyczące głównie pracy kobiet w ciąży i posiadających małe dzieci. Prócz tego trochę związkowej propagandy oraz fajne wrzuty humorystyczne, horoskop czy krzyżówka...
Kontakt: www.ozzip.pl

Krawat

„Jednodniówka Trójmiejska” nr 1, A4, 4 strony
Okolicznościowe pisemko wydane przez trójmiejskich lewaków w całości poświęcone Powstaniu Warszawskiemu. Znajdziemy więc tu teksty o członkach Polskiej Partii Socjalistycznej walczących na barykadach Warszawy i owych „dniach chwały”, syndykalistach z ZSP, którzy utworzyli nawet samodzielną 104 Kompanię Syndykalistów, anarchosyndykalistach z Syndykalistycznej Organizacji „Wolność” czy tzw. Czwartakach, czyli młodych żołnierzach Armii Ludowej walczących z okupantem przed Powstaniem i w jego czasie. Prócz tego, fragment tekst Tomasza Arciszewskiego (jak i jego biogram oraz biogram Zygmunta Zaremby), jeden z wierszy Baczyńskiego, powstańcza piosenka „Marsz robotników Elektrowni” oraz tekścik o „modzie na Powstanie Warszawskie” (oczywiście krytyczny wobec prawicy, która chce całkowicie przejąć tradycje powstańcze). Niby wszystko jasne i fajne, lecz dla mnie utrzymane nieco w zbyt patetycznym i chwalebnym stylu. Nie ma tu ani słowa o bezsensowności wybuchu Powstania, ani o cywilnych ofiarach insurekcji, o których coraz częściej się po prostu zapomina. Liczą się tylko bohaterzy w mundurkach. Co z tego, iż część tych bohaterów będzie „nasza”? Owszem, należy im się pamięć, bo to nie ich wina i nie ich decyzja o wybuchu Powstania, należy im się wdzięczność, że nie stchórzyli, nie poddali się. Ale z drugiej strony, jeśli będziemy mówić i pisać tylko o tych, którzy walczyli, zapominając zupełnie o cywilach, ginących w tysiącach bezsensowną śmiercią, to obraz Powstania nadal będzie niepełny, zafałszowany, bezwartościowy... Mam nadzieję, że w przyszłości wydawcy podobnych „propagandówek” nie zapomną o tym, i napiszą nie tylko o „chwale i bohaterstwie”, lecz również o bezsilności zwykłych ludzi, ułudzie zwycięstwa, niekompetencjach dowództwa...
Kontakt: jedno3miasta@wp.pl

Krawat

„Kobiet głos publiczny” - Michelle Perrot, A6, 64 strony

Poznańskie wydawnictwo anarchistyczne Bractwo Trojka rozpoczęło publikację serii kieszonkowych broszurek pod szyldem Tikn. Może pierwej w kwestii nazewnictwa i idei całego projektu, oddajmy głos kolektywowi przygotowującemu całą serię: „Słowo „tikkun” w tradycji kabalistycznej oznacza naprawę - naprawę świata. A świat naprawiony, jak opisują go kabaliści, bardzo przypomina świat z anarchistycznego marzenia: ustaje tu wszelka władza, prawo zostaje pozbawione jakiejkolwiek treści.
Naprawa wymaga nie tyle zniszczenia zła, ile poszukiwania i chronienia tego, co w tym świecie może przynieść ocalenie. Kabaliści mówią o iskrach boskiego światła, które już tu są, trzeba je tylko odnaleźć i uwolnić. Gilles Deleuze będzie pisał o „wspólnocie odkrywców” przepełnionej „wiarą, a raczej zaufaniem - nie wiarą w inny świat, lecz zaufaniem do tego świata”. Naprawa dokonać się może tylko wewnątrz tego świata i tylko naszymi rękami.
Wiara w świat nie ma nic wspólnego z zasiedziałym zadowoleniem. W 2000 roku francuski kolektyw Tiqqun wskazywał, że jedyną drogą wyjścia z nocy, jaka pochłania dziś nasze myślenie, jest porzucenie twierdzy tożsamości, odkrycie, że wszystko, czym jesteśmy, pozostaje ostatecznie nie nasze, obce, tymczasowo używane. W miejsce przywiązania do spektaklu polskości, europejskości, Polski Walczącej czy kariery senior managera - potrzebujemy odwagi błądzenia, wędrowania, migrowania. Tym, co łączy nas z innymi jest właśnie wspólne doświadczenie istot, które dziwią się samym sobie.
W wędrówce ku wspólnocie z innymi mogą nas wspomóc książki, które pozwalają dostrzec coś nieznanego, myśleć inaczej niż dotąd. Dla grupy Tiqqun jedną z takich książek była Wspólnota, która nadchodzi Giorgio Agambena. W 2001 roku, jedenaście lat po wydaniu tej książki, Agamben dodał do niej część zatytułowaną „Tiqqun de la noche”. To znak sympatii dla francuskiego kolektywu, ale nocny tikkun to także praktyka czytania przez noc święta Szawuot tekstów, które pomagają naprawić świat. W języku jidysz, języku Żydów Europy Wschodniej, słowo „tikkun” brzmiało „tikn”. Nie jest chyba przypadkiem, że w początkach XX wieku w naszej części świata anarchizm zyskał właśnie wśród Żydów szczególnie silny odzew. Michel Löwy twierdził, że ideały wolnościowe łączy z koncepcją tikn szczególny związek - powinowactwo z wyboru.
Seria „Tikn” powstaje we współpracy z Oficyną Wydawniczą Bractwa Trojka. Zamierzamy wydawać krótkie teksty, których autorki i autorzy nie zawsze deklarowali się, jako „anarchiści”, a jednak wiązało ich z anarchistycznym ideałem takie właśnie powinowactwo. Chcemy, by te teksty stały się szeroko dostępne, chcemy uwolnić je od akademickiej powagi i przywrócić powszechnemu użyciu. Wierzymy, że te małe i tanie książeczki, które łatwo można nosić ze sobą, pomogą naprawiać świat.”
Wszystko jasne? No to mogą powoli brać się za pierwszą z trzech wydanych rzeczy, „Kobiet głos publiczny”. Przyznać muszę, iż jest to chyba najłatwiejsza w czytaniu rzecz, ale za to najgrubsza. Michelle Perrot to francuska historyczka, pionierka w badaniach nad dziejami kobiet, autorka wielu publikacji, choć w Polsce ukazała się ledwie jedna jej książka („Moja historia kobiet”) i jednak pod jej redakcyjnym okiem („Historia życia prywatnego” t. 4). Perrot w swym kilkudziesięciostronicowym eseju zabiera nas w mało sentymentalną podróż po historii oporu i odwagi, jakie stawiały kobiety na przestrzeni wieków. Od protestanckich kaznodziejek, teolożek i proroczek po nieustępliwe socjalistki i anarchistki. Możemy przetoczyć się przez ich walkę o możność głośnego mówienia tego, co myślą, tego, w co wierzą, tego, czego pragną. W XXI wieku wydaje się to być historią z zamierzchłych czasów, jednak, gdy zerkniemy na niekoniecznie europejskie zakątki globu, to zobaczymy, iż nie wszędzie kobiety mogą publicznie zabierać głos. Znakomitym uzupełnienie eseju Perrot są krótkie biogramy kobiet walczących, kobiet, które przewijają się poprzez wcześniejsze stronice, które złotymi literami zapisały się w historii kobiecej emancypacji.
Kontakt: www.tikn.pl

Krawat

„Kontrakcja”, nr 1(?), A3, 8 stron
Nie mam pojęcia, czy będzie to jakieś cykliczne pismo, czy to tylko takie jednorazowe wydawnictwo przy okazji protestów przeciwko barbarzyńskiemu niszczeniu Puszczy Białowieskiej? Niemniej rzecz dość fajna i ważna, darmowa i warta sprezentowania kompletnym laikom, jeśli chodzi o sprawy ekologii i przede wszystkim obrony dzikiej przyrody. Wszyscy dobrze wiemy, jakie spustoszenie w społeczeństwie sieje państwowa propaganda, mająca za zadanie wsparcie dewastacyjnej polityki ministra Szyszki i jego przydupasów z Lasów Państwowych. Nikt o zdrowych zmysłach, nie wierzy już w jakiegoś mitycznego kornika drukarza, a akcje bezpośrednie ekologów oraz ich działania propagandowe udowadniają, iż chodzi tylko o zarobienie grubej kasy. Gdy piszę te słowa, niszczenie Puszczy trwa w najlepsze, władza coraz brutalniej poczyna sobie z jej obrońcami a rząd ma daleko gdzieś zarówno europejskie nakazy, protesty społeczne, jak i jakiekolwiek argumenty, czy to naukowe, czy nawet patriotyczne (w końcu Puszcza to nasze dziedzictwo narodowe!). Sama „Kontrakcja” to dawka tekstów uderzających w kłamstwa i obłudę polityków i leśników. To argumenty przeciwko ich hipokryzji i ekonomicznej zachłanności. To w końcu obrona czegoś, co trwało tysiące lat. Puszczy nie zniszczyli carscy siepacze, hitlerowcy czy sowieci. Za to, jeśli nic się nie zmieni, zniszczą ją ci, co w swych sloganowych hasłach dużo trąbią o ochronie przyrody. Choć robią wszystko, by tą przyrodę zamienić na judaszowe srebrniki...
Kontakt: www.federacja-anarchistyczna.pl

Krawat

„Le Monde Diplomatique. Edycja polska. Miesięcznik społeczno-polityczny", Nr 10(140) 2017, nieco mniejsze A3 (format niestandardowy), 48 stron

Od ostatniego numeru „Chaosu..." ukazało się pięć numerów niniejszego pisma „kanapowej lewicy" i z początku miałem nawet zamiar napisać o każdym z nich, choć po kilka zdań, jednak z kilku nieistotnych powodów, napisze tylko o najnowszym... a kto będzie ciekaw, co było we wcześniejszych wydaniach, ten z pewnością znajdzie je, jeśli tylko będzie chciał :). Numer październikowy, więc wiadomo, o czym będzie tu sporo. Tak, nie mylicie się, o Rewolucji Październikowej... Pisze się o niej znów z różnych perspektyw, w sposób momentami zachwycający, namaszczony, chwaląc Lenina za zuchwałość, błyskotliwość i odwagę. Oczywiście wypomina się późniejsze odejście od obranej drogi, krytykuje odstępstwa i nieprzemyślane decyzje, ale też usprawiedliwia czasami zbrodnie bolszewików. Podobnie, jak w omawianym numerze „Bez Dogmatów", pisze się tu również o osiągnięciach rewolucji; powszechnej edukacji czy awangardowej sztuce (niestety, wiele emancypacyjnych elementów roku 1917 przepadło już w czasie wojny domowej, a całkowicie zostały pogrzebane za czasów Stalina, gdy państwo radzieckie stało się konserwatywno-mocarstwowe). Na szczęście nie cały numer „LMD" poświęcono rocznicowej sprawie i znalazło się w nim jeszcze kilka ciekawych rzeczy do przeczytania. Ja wspomnę tylko o dwóch. Pierwszy, to dość obszerny tekst o jednoznacznym tytule „Utopia pośród syryjskiego koszmaru", gdzie znów mamy walecznych Kurdów, próbujących z kałachem w ręku wywalczyć sobie jak najwięcej wolności w kraju, od lat targanym wojenną zawieruchą. Natomiast w niezmiernie interesującym cyklu „Ludowa historia Polski", tym razem bardzo dobry tekst o XIX i XX-wiecznych prostytutkach, ich zniewoleniu, oraz zniewoleniu ogółu żeńskiego rodzaju gatunku ludzkiego. Myślę, że warto choćby sięgnąć do „LMD" z powodu tego właśnie artykułu.

Kontakt: monde-diplomatique.pl

Krawat

„Maximum Underground", A4, 44 strony

Dziwna rzecz, jaką zwiozłem z tegorocznego Ultra Chaos Pikniku. Ładnie wydane, kolorowo, za darmochę i na dodatek nazywa się „zinem informacyjnym". Tylko z tym zinem to ja mam mały problem... bo czy taką gazetę można nazwać jeszcze zinem? Wiem, że to głębsze pytanie, co jeszcze jest zinem, a co już nim nie jest? Tu mam zdecydowane i wyraźne wątpliwości, co do zinowości tej... no właśnie, czego? Gazety informacyjnej czy może gazety reklamowej? Prawie połowa zawartości, to reklamy różnych festiwali (niekoniecznie punkowych), tras koncertowych, sklepów internetowych i wytwórni płytowych. Punk rock niby tu jest, tak pół na pół z reggae, ale to nie do końca mój punk rock, a same wywiady są takie sobie. ANTI-NOWHERE LEAGUE, Smalec z GAGA/ZIELONE ŻABKI, BOOZE & GLORY, SEDES, PRAWDA, IGNITE, CONFLICT czy ABADDON. Reszta, to już jakieś reggae czy inne podgatunki alternatywnego rocka. Można poczytać gdzieś w drodze, pomiędzy jednym a drugim letnim festiwalem, bo po to w końcu stworzona tę gazetę. Mnie nie zachwyciła, lekko znudziła, ale przebrnąłem...

Kontakt: maxiumumunderground.pl

Krawat

„Na Nielegalu. Nacjonalizm nie przejdzie", A5, 8 stron

Nie duża rzecz, pełna ważnych treści w dzisiejszych, niezbyt kolorowych czasach... Broszura skierowana w zasadzie do ludzi raczkujących w ruchu antyfaszystowskim czy anarchistycznym. Mamy więc tu trochę porad; jak zachowywać się względem stróżów prawa w przypadku legitymowania, zatrzymania czy posiadania „sprzętu" oraz gdzie i jak najbezpieczniej malować po murach. Jest też „reklama" Freedom Fighters Gym, czyli gdzie w Poznaniu można nauczyć się napierdalać nazioli oraz skąd wzięła się taka tradycja w ruchach anty-autorytarnych... W niedużym wywiadzie, feministka i antyfaszystka Asia opowiada o swych problemach z różnymi formami dyskryminacji oraz roli kobiet w ruchach wolnościowych. Jeśli dołożymy do tego wstępny tekst przedstawiający idee, o których mowa w wydawnictwie, to będziemy mieć w zasadzie już wszystko... „Na Nielegalu" to produkt poznański, stworzony przez tamtejsze środowisko anarchistyczne i w dużej mierze odnoszący się do tamtejszych warunków. Niemniej można go dać w łapy laika w każdym zakątku kraju. Ciekawi mnie, czy będą kolejne numery?

Kontakt: nanielegalu@riseup.net

Krawat

„Nowy Bregart", nr 6, sierpień 2017, A5, 32 strony

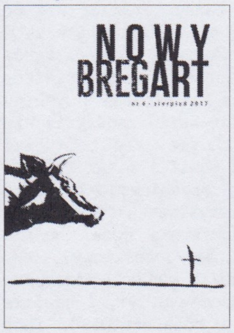

Nie należę do zbytnich czytelników art-zinów, ale jak jakiś trafi w moje łapska, to raczej przeczytam. Tak stało się też z tym artowskim tworem, ustrzelonym gdzieś na warszawskich targach. Pisemko wydawane jest w Brzegu, przez Stowarzyszenie Żywych Poetów, działające przy Miejskiej Bibliotece w Brzegu. Numer otwiera jedyny tekst publicystyczny, odnoszący się do wysokich cen książek na polskim rynku wydawniczym. Trudno nie zgodzić się z autorem. Ceny są, jakie są, na rynku działają duże dyskonty książkowe i małym, klimatycznym księgarniom ciężko jest się w nim utrzymać. Poza tym, czytelnicy coraz częściej kupują poprzez Internet, gdzie jest o wiele taniej, nawet taniej niż u samego wydawcy. Jest jeszcze „drugi obieg", gdzie używane tytuły można czasami upolować po całkowitej taniości... A dalej, to już tylko szeroki wybór prozy i poezji, jak mniemam, ludzi związanych ze Stowarzyszeniem Żywych Poetów. Jej poziom jest dla mnie różny, ale to może przez to, iż nie czuję się silny w ocenianiu takiej twórczości. Kilka rzeczy naprawdę mi wpadło w oko. Wiersze Joanny Fligiel, Agnieszki Witkorskiej-Chmielewskiej, Dagmary Kacperowskiej czy Michała Hardy (co ciekawe, w większości wybrałem poezję pisaną przez kobiety - czyżby w dzisiejszej ponurej rzeczywistości były one bardziej wrażliwe niż faceci?) Z prozy, której jest tu zdecydowanie mniej, wybrałbym opowiadania Marka Schainera i Lecha Brywczyńskiego. Numer uzupełniają, prócz portretów autorów i autorek, dość ciekawe ryciny autorstwa Tomasza Bohajedyny. Śmiało mogę polecić...

Kontakt: kit_szp@wp.pl

Krawat

„O co chodzi z kulturą bezpieczeństwa", A5, 20 stron

Warszawska sekcja Anarchistycznego Czarnego Krzyża oraz (nowe) Oddolne Wydawnictwo Anarchistyczne TYSIĄCE ALTERNATYW, uraczyło nas kolejną broszurką poświęconą tytułowej kulturze bezpieczeństwa. Niejeden raz trąbiono o tym i owym, tu i tam. Setki, jeśli nie tysiące raz powtarzano na anarchistycznych spotkaniach to i tamto. Zmarnowano w tym celu kilogramy papieru, by wydawać ulotki na każde demo, poradniki itp. Jednak jak pokazuje nam życie oraz ciągle zmieniająca się rzeczywistość kapitalistyczno-państwowa, musimy wciąż powtarzać sobie niby oczywiste oczywistości oraz uczyć się o nowych zagrożeniach i nowych sposobach ich uniknięcia. Tych kilka tysięcy znaków, schludnie poukładanych i przyjemnie wydrukowanych, ma na celu upojenie nas - i to takie, by stan upojenia pozostał w nas na zawsze - pewnymi schematycznymi zachowaniami czy też ukształtowanym tokiem myślenia, które w przyszłości zaowocują w naszym życiu większym bezpieczeństwem w konfrontacji z ogromną maszynerią korpo-państwa, jak i stworzą jeszcze większą barierę, chroniąca naszych bliskich, przyjaciół/ki, towarzyszy i towarzyszki zbliżającej się walki. Broszurę tą powinien przeczytać KAŻDY i KAŻDA z nas! I nie powinno być tu tłumaczenia, że niby ja nie mam zamiaru brać udziału w jakiejś akcji bezpośredniej czy zamieszkach Czarnego Bloku... W rzeczywistości, gdzie już za niektóre kontakty międzyludzkie czy słowa wklepane gdzieś na facebooku, można wylądować za biurkiem z oślepiającą cię latarą, nikt z nas nie może czuć się bezpieczny. Każdy i każda z nas dla policyjnego systemu represji jest potencjalnym buntownikiem, kryminalistą, terrorystą. Uzbrojeni w nawyki kultury bezpieczeństwa będziemy dla nich jeszcze bardziej niebezpieczni... i tego powinni się bać.

Kontakt: www.ack.most.org.pl

Krawat

„Opinie Bieżąca" nr 3, luty/2017, A4, 32 strony

Aż mnie zdziw bierze, iż dopiero teraz trafiłem na to pisemko, mimo, iż to już trzeci numer. Pismo, z tego, co zauważyłem, jest darmowe. Ja zwinąłem je gdzieś na jakimś stoisku w Żelebsku. Związane jest ono z portalem internetowym o tej samej nazwie i to jakby jego papierowe przedłużenie. Po całościowej lekturze mam nieco mieszane uczucia. Z jednej strony, w swym „Manifeście redakcyjnym" kolektyw wydający pismo, jak i zapewne tworzący portal, jasno określa, iż „Postawa, której obrazem jest opinia, jest anarchizmem, w myśl, którego należy torować drogi postępu i światła w dziedzinach zarówno sztuki, jak i życia". Idąc tym torem, mamy w środku fragmenty książki „Szkice z dziejów anarchizmu" Piotra Laskowskiego poświęcone chrześcijańskiemu anarchizmowi Lwa Tołstoja. Również sam Tołstoj pojawia się na łamach pisma, w tekście „Jak żyć bez rządu?". Dalej już jest nieco misz-masz. Teksty o globalizacji, ukraińskich pracownikach w Polsce, sytuacji czeczeńskich uchodźców na naszej wschodniej granicy, gentryfikacji, itp. Z historii jest tekst Piotra Ciszewskiego o Pierwszym Proletariacie. Są też dwa teksty związkowców... jeden z OPZZ, drugi OZZ IP. No i są też teksty nieco komunizujące. Wywiad z włoskim filozofem Antonia Negrim, tekst pieśni rewolucyjnej o znamiennym tytule „Apel Kominternu". Jednym słowem, niezły kogel-mogel lewicowych idei, historii i działań współczesnych.

Kontakt: http://obiezaca.pl

Krawat

„Papierówka. Patchwork" nr 2, A4, 24 strony

Kolejny numer olsztyńskiego artzina „Papierówka" miał swoją premierę 11 października w Sali kameralnej pod Amfiteatrem im. Czesława Niemena w Olsztynie. Na początku obejrzeliśmy krótki film o tym, jak wyglądała praca nad nowym numerem. Następnie kilku autorów przeczytało swoje teksty. Na gości czekało kilka butelek cydru jabłkowego i kawałki ciasta... oczywiście jabłecznika!

A co nowego w „Papierówce"? Jak podkreśliła Olga Żmijewska, redaktorka zina, choć autorzy nie umawiali się na przewodnie tematy, to jednak się one pojawiły. O przemocy w rodzinie piszą Katarzyna Wenta-Mielcarek („Wspomnienie Małgorzaty") i Dariusz Górkiewicz („Powiedz to głośno") – co ciekawe oba teksty są określone jako „fragment powieści". Z kolei temat feminizmu poruszają felietony Olgi Żmijewskiej („Wyjście z czyśćca") oraz Agnieszki Lindner („Literatura kobiet"). Kwestie inności i obcości porusza opowiadanie Szymona Żylińskiego pt. „Pudrowiec" (w PRL-u rodzi się chłopiec z żółtaczką i brany jest za Chińczyka) oraz fragmenty reportażu Karola Fryty z jego podróży po Iranie („Teheran", „Asfahan", „Jazd") – podczas pobytu w Teheranie Fryta zostaje wciągnięty (inaczej się tego nie da ująć) do szkoły, w której jest przepytywany przez dyrektora z historii Polski, geografii, sytuacji rodzinnej, itd., a na koniec pojawia się temat islamu i dyrektor

tłumaczy, że Irańczycy nie są terrorystami: „Bo my jesteśmy szyici, a nie sunnici (...) My nie wysadzamy się w powietrze. Opowiedz o tym znajomym w Polsce". Na szczególną uwagę zasługuje opowiadanie zatytułowane „Kartka z pamiętnika niemieckiego lekarza Wilhelma von Dietricha, pracującego w szpitalu w Kortau", w którym Barbara Maria Deja (z zawodu architekt) opisuje Olsztyn sprzed II wojny światowej. Tematów jest oczywiście wiele, tak samo jak wielu jest autorów i ich tekstów umieszczony w „Papierówce"; jest nawet piosenka z nutami – w końcu to patchwork! Zin jest składany komputerowo, ale dzięki świetnej pracy Ady Korzeniewskiej jest majstersztykiem zinoróbstwa – różne czcionki liter, kolaże i ten punkowy posmak chaosu. Całość dopełniona jest grafikami olsztyńskiej grupy MINIMAL. Zaglądajcie na www.zinelibrary.pl – znajdziecie tam pdfy obu „Papierówek".

Mateusz Flont

„Pasażer", nr 33, A-4, 208 stron

Dla jednych okładka ostatniego numeru jest słaba, dla innych rewelacyjna. To jednak kwestia gustu, choć pomysł fajny! Co tam ciekawego w numerze? No, ja tam zawsze znajduję coś do czytania, bo jednak 208 stron, więc musi być coś smakowitego! Pierwszy wywiad to rozmowa z chłopakami z zespołu 1125 – to już 20 lat istnienia tej kapeli! ARGY BARGY to nie moja bajka, ale i tak z chęcią przeczytałem rozmowę z podstarzałymi skinami. Nieznany mi zespół BARB WIRE DOLLS i wywiad z „liderem" tej grupy, niejakim Pyn Dollem (!), dość ciekawy zresztą. Na następnych stronach już czwarta część o legendzie hc/punka – BLACK FLAG. Bardzo dobrze czyta się ten tekst, a ja lubię takie stare opowieści! BODY COUNT – po co? Punków to obchodzi? Nie wiem… BLOWINS – emigranci z Polski bazujący w Dublinie. Jeśli nie znacie to sprawdźcie ten zespół, bo to kawałek ciekawego punka! CONFLICT – taki sobie ten wywiad, zresztą chyba mam lekki dystans do tego zespołu już od jakiegoś czasu. Odcinają kupony i tyle… CASTET – rozmowa z Fakirem głównie o nowej płycie zespoły, ale nie tylko. Zresztą dobrze się czyta z nim wywiady, bo chłop ma poukładane w głowie, a i jego poczucie humoru też jest specyficzne. CRUDE SS – i tu jest dobry strzał, szczególnie, że zespół się reaktywował, gra koncerty, więc tym bardziej warto poczytać o historii tej niezapomnianej kapeli, i zarazem prekursorów crusta! DEMENTED ARE GO – widziałem ten zespół na żywo i powiem wam, że warto było! Dobrymi są świrami, no i psychobilly grają na wysokim poziomie. Mark Phillips to też dobra korba i dobry przykład, że narkotyki nie robią dobrze na główkę! Wywiad fajny! Legendarni, dla niektórych, THE DESTRUCTORS, a raczej ich wokal Allan Adams opowiada o historii zespołu, wzlotach, upadkach i planach. No i chłop ma 60 lat, a nadal napiernicza punka! Szacun! DISFEAR – króciutki wywiad, ale zawsze coś. Zapowiadają nową płytę? Sprawdźcie sami! Kolejny fajny wywiad z Darkiem Duszą (ŚMIERĆ KLINICZNA, ABSURD, SHAKIN DUDI, REDAKCJA), choć mam wrażenie, że jego książka już wyczerpała temat jego muzycznej „kariery". Zresztą i książka i wywiad – świetne! Zmarł jakiś czas temu John Stabb, wokalista GOVERNMENT ISSUE (bardzo ich lubię!) i na łamach „Pasażera" możemy o nim troszkę poczytać. Warto, bo to bardzo oryginalna postać była. Wywiad z Denisem Lyxzenem z REFUSED, INVSN. Troszkę nie moje klimaty, ale oczywiście z chęcią przeczytałem o tym, jak można balansować pomiędzy mainstreamem i DIY. I.R.A. – legendarna kapela z Kolumbii i chyba jedna z najbardziej znanych kapel punkowych stamtąd. Bardzo ich lubię, mam nawet jakieś ich winyle, więc z ochotą łyknąłem szybciutko tę rozmowę – polecam! KOMINTERN SECT – nie słucham za dużo oi music czy street punka, ale francuską scenę lat 80. miałem zawsze na uwadze, a KOMINTERN SECT wręcz uwielbiałem. Opowiadają o swojej historii i teraźniejszości. LION'S LAW – kolejny francuski zespół w tym samym klimacie, tylko młodszy i bardziej na topie. OUTCASTS – kolejny brytyjski zespół odkopany ze śmietnika historii punk rocka… PODWÓRKOWI CHULIGANI – ciekawy wywiad, w którym Frank, wokalista zespołu, opowiada o swoich problemach, o zespole i planach. PRAWDA – no nie wiem, nie jestem targetem tego zespołu… PRO PUBLICO BONO – kolejni polscy emigranci mieszkający w Londynie. Dobry wywiad, sympatyczni ludzie, ciekawa kapela. PROKURATURA – młodzież trzeba promować, bardziej niż starych dziadów, więc plus duży za ten wywiad. Nazwa chujowa, ale muzyka zespołu całkiem dobra! REŻIM – to był kiedyś bardzo popularny i bardzo dobry zespół, o którym opowiada Skoda. SIKSA – cóż skłoniło Bezkoca to wywiadowania tak bezkompromisowego i tak nie-punkowego muzycznie zespołu? Nie mniej wywiad ciekawy, zresztą wszystkie wywiady z tym duetem są inspirujące. Bezkoc poleciał hurtowo i przy okazji zrobił wywiad z SUICIDEBYCOP, w którym gra Buri, druga połówka SIKSY. SZUMKOT – pojechany wywiad, ale warto zapoznać się z tym zespołem o dziwnej nazwie. TESTER GIER – Owiec, wokalista odszedł z kapeli i rusza z nowym składem, reszta chłopaków ciągnie zespół i właśnie mamy okazję przeczytać dwa wywiady z nimi! Dla smakoszy… Alvin Gibbs opowiada o swojej roli w UK SUBS, a potem kolejne historie związane z tym zespołem serwuje nam Charlie Harper. Sympatyczny wywiad z fińskim WASTED, którym stuknęła już 20-stka! ULICZNY OPRYSZEK dzięki swoim dwóm płytom z coverami są obecni zespołem topowym. Fajne te ich koncerty, fajne też te dwa krążki… No i wywiad taki szczery… WISDOM IN CHAINS – kompletnie nie moja baja… Kolejny smutny nekrolog – odszedł Dave Franklin z zespołu VISION, może nie najważniejszej kapeli w historii hardcore'a, ale swojego czasu dość popularnego tu i ówdzie. R.I.P. O ulubionych płytach opowiada Bunt z ULICZNEGO OPRYSZKA, a swoją winylową kolekcją chwali się Fakir. „SB na tropie punków" czyli zbowidowskie wspominki z Piły. Grzester wnikliwie opisuje swoją podróż do Iranu, a potem to już ponad 200 recenzji płyt i kaset. Ogółem kilka fajnych wywiadów z ciekawymi kapelami, kilka zupełnie nie potrzebnych, ale to może tylko z mojego punktu widzenia… Mało młodych kapel, choć jakiś delikatny postęp jest. Kolumny ciekawe, obszerne, no i nowi kolumniści się pojawili. No nic, czekamy na kolejny numer – ciekawe ile lat tym razem?

Pablo

„Perykles i Verdi. Filozofia François Châteleta" - Gilles Deleuze, A6, 40 stron

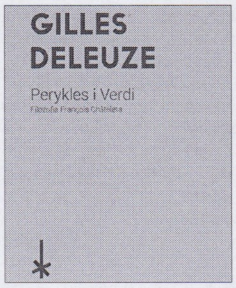

O ile z lekturą pierwszej z omawianych pozycji w nowej serii Tikn wydawnictwa Trojka nie miałem większych problemów, to niewielka rzecz, napisana przez „ostatniego francuskiego filozofa" przysporzyła mi już wielki kłopot. Nie znam się chyba zupeł-nie na filozofii, nigdy nie przeczytałem ża-dnego z dzieł Platona, Arystotelesa, Kanta czy Hegla. Ledwie otarłem się o Nietzschego, coś tam łyknąłem może z Russela, ale za pierona nie wiedziałem do tej pory, kim był François Châteleta? Sami wydawcy o tej pozycji napisali tak: „Tłumaczeń Deleuze'a mamy już wiele, ta książeczka jest jednak wyjątkowa. Bohaterowie niespodziewani - Perykles! Verdi! - a sam Deleuze jakiś inny, arystoteletejski. O muzyce, polityce i ustanawianiu ludzkich stosunków w sobie i w świecie". Chyba nie do końca odnalazłem to wszystko w lekturze, no, ale jak wspomniałem, nie znam się zupełnie i chyba niewiele zrozumiałem. Polecam tylko tym, którzy cokolwiek kumają z tego, co piszczy w głowach filozofów tegoż świata...

Krawat

„Przyjaciel" - Giorgio Agamben, A6, 28 stron

Ostatnie z trzech pierwszych broszurek serii Tikn to znów filozoficzny wywód, choć jakby bardziej przystępny, mniej zawiły, chciałoby się powiedzieć, bardziej ludzki :). Autor to włoski filozof, zajmujący się również politykowaniem i krytyką społeczną. Znów może posłużę się opisem wydawcy: „W Lozannie spotykają się Derrida i Nietzsche czytający Arystotelesa, barokowy obraz, przekleństwa i 'słodycz istnienia': czemu i jak przyjaźń jest fundamentem polityki?". Czyta się w miarę płynnie, bez filozoficznych zawiłości, tzn., może i one są, jednak jakieś bardziej zrozumiałe... Ciekaw jestem, co w dalszej kolejności zaserwują nam pomysłodawcy serii Tikn? „Bałem" się tych broszur, i poniekąd chyba nie bez racji. Niby autorzy tacy anarchizujący, to jednak ich twórczość to ciężki orzech do zgryzienia dla filozoficznego laika. Mam nadzieje, iż w przyszłości, będzie tu więcej życia, może nawet polityki, a jednak mniej filozofii, bo nie każdy jednak to skuma.

Kontakt: www.tikn.pl

Krawat

„Punk Yoga Zine", nr 1/2017, A5, 40 stron

No tego to jeszcze nie było! Ale dlaczego miałoby nie być? Skoro punki zaczęły ćwiczyć jogę, to dlaczego nie miałyby zrobić o tym zina? Tym bardziej, że się ma zamiłowanie zarówno do jogi, jak i robienia papierowych gazetek. Za całość wydaje się być odpowiedzialna Asia Bordowa, ale w projekcie uczestniczyło wiele innych osób. Co więc tu mamy? Przede wszystkim, nieco osobistych tekstów różnych ludzi, którzy ćwiczą lub dopiero zaczynają swą przygodę z jogą. Są to nade wszystko rozważania nie tylko natury osobistej, bo joga wydaje się być drogą rozwoje każdej jaźni z osobna. To również wyrywanie jogi spod szponów wszelakich guru, nauczycieli, mędrców. W jodze potrzebny jest przewodnik, ale nie władca. Można więc uznać, iż ziny tego pokroju, jak i uprawianie wolnościowej jogi na skłotach czy innych niezależnych miejscach, anarchizuje jogę. Z drugiej strony, mamy tu też teksty opisujące praktyczne zastosowanie jogi przy kobiecych problemach z menstruacją, jak i opis podejścia niektórych ze szkół joginicznych do powyższego problemu. A wszystko to podane jest w staroświeckiej punkowo-zinowej formie, gdzie teksty ponaklejane są na jakieś tła, jest sporo różnych form graficznych, choć wydają się dominować kolaże, co sobie bardzo cenię. No i super motyw na okładkę, który świetnie nadawałby się na jakąś koszulkę wolnościowej szkoły jogi. Rogaty kozioł z cyckami w pozycji kwiatu lotosu - i wy się jeszcze dziwicie, że katolicy uważają jogę za prostą drogę ku piekielnym odchłaniom... :)

Kontakt: punk.yoga.fest@o2.pl

Krawat

„Służyć Ludowi" - Frakcja Czerwonej Armii, A5, 28 stron

Walnę od razu z grubej rury, żeby nie było niejasności...Wolę czytać o RAF-ie, niż czytać „wypociny" RAF-u. Nigdy nie należałem do wielkich entuzjastów tej formacji, choć kilka książek i kilkadziesiąt artykułów o nich przeczytałem. „Odstraszała" mnie ich ślepa wiara w walkę zbrojną, która porwie lud na barykady i zbuduje nowe społeczeństwo. Walka zbrojnej elity, w dodatku przesiąkniętej elementami wodzostwa, ni jak ma się do budowy nowego społeczeństwa (no chyba, że myślimy o społeczeństwie opartym na autorytetach władzy, a nie jakiejś formie wolnościowej). Z biegiem lat, gdy kolejne nowe informacje o działaniach RAF-u wychodziły na powierzchnię, ich nikła „sympatia" do nich malała. Uwikłanie w działania tajnych służb państw soc-realu, pogrążały ich coraz bardziej. Wiem, że RAF był owocem swoich czasów, generacji, wytworem

panującej sytuacji społeczno-politycznej, jak i jeszcze niedawnej, brunatnej historii swego państwa. Taka też jest i ta broszura, to język, przekaz i obraz tamtych lat. Dziś już tylko dokument historyczny, dla entuzjastów tamtej epoki, takiej walki, ale i też zawodowych historyków (tylko czy ktokolwiek w dzisiejszej Polsce zajmuje się zawodowo historią RAF-u, czy choćby tamtym okresem w Europie Zachodniej?). I w zasadzie mógłbym polecić go zwłaszcza takim osobom. „Służyć Ludowi" to drugi (po „Koncepcja Partyzantki Miejskiej") i ostatni dokument teoretyczny Pierwszej Generacji RAF-u. Generacji, która zasłynęła takimi nazwiskami, jak Meinhof, Baader czy Ensslin. Napisany w 1972 roku, jest analizą zarówno nieudanych walk pracowniczych w Niemczech Zachodnich, jak i całej ówczesnej legalnie działającej lewicy. To jej słabość zadecydowała o podjęciu walki zbrojnej. To również próba umieszczenia tej właśnie walki, gdzieś pomiędzy uciskiem klasowym a walką klas prowadzoną przez rzesze pracowników. Niestety, RAF, w odróżnieniu od Czerwonych Brygad, miał raczej słabe poparcie w klasie robotniczej i opierał się głównie na studenckim buncie. Nie mogło zabraknąć tu również kilku słów o Trzecim Świecie, w końcu w tamtych latach każdy rewolucjonista troszczył się o Trzeci Świat... Dla mnie do przełknięcia, ale bez podjary...

Kontakt: grecjawogniu.info

Krawat

„Tańcząc z imperializmem. Historia Frakcji Czerwonej Armii (1981-1982) drugie pokolenie", A5, 48 stron

No tu się już troszeczkę podjarałem! Raz, że mało tu „bełkotu" ideologicznego, a historia, można powiedzieć, trzyma w napięciu. Dwa, z tego, co się orientuje, Drugie Pokolenie RAF-u było w bardzo nikłym stopniu uwikłane w kontakty z enerdowską bezpieką a ich ideologiczny obraz to już nie tylko marksizm-leninizm, ale i skłanianie się ku środowiskom anarchizującym, zaczytanie w Szkole Frankfurckiej, poszerzenie swych planów działania i perspektyw społeczno-politycznych. Drugi RAF to również wybuchowa mieszanka panująca wokół tegoż środowiska. Grupy i środowiska nie do końca zgadzające się z ich polityką, lecz wspierające w walce z niemieckim państwem. Broszura stanowi fragment książki „Dancing with Imperialism" - obszernej historii Drugiego Pokolenia bojowników RAF - i składa się z trzech części. Pierwsza z nich opisuje strajki głodowe uwięzionych RAF-owców, w tym śmierć Sigurda Debusa, oraz ruch solidarności z uwięzionymi oraz metody walki, jakie podejmowali więźniowie za murami. To również opis systemu zachodnioniemieckiego reżimu więziennego, który stosowało wiele form „białych tortur" oraz służb specjalnych, prowadzących z partyzantami podstępną walkę. Kolejna część to analiza walk partyzanckich na tle otwartych ruchów społecznych, które walczyły z przemysłem atomowym, stacjonowaniem wojsk NATO w Niemczech czy w końcu ruchami skłoterskimi i feministycznymi. Lecąc niejako na fali tych ruchów, RAF podnosi się z kolan i częściowo przechwytuje część z postulatów protestujących. To niejako pod ich wpływem decydują się uderzyć w samo serce NATO w RFN, bazę amerykańską Ramstein, czy dokonać zamachu na gen. Kroesena. Trzecia część broszury to przedstawienie zmian, jakie zaszły w RAF-ie po ogłoszeniu „Dokumentu Majowego". RAF przestał być już forpocztą trzecioświatowej rewolucji w Europie, po części zaczął skupiać się na sprawach powiedzmy, europejskich, na co z pewnością miały wpływ szerokie, wyżej wymienione ruchy społeczne. Przedstawiono też RAF na tle coraz bardziej poczynających sobie Komórek Rewolucyjnych. „Tańcząc z Imperializmem" to historie w Polsce niemal nieznane, bądź znane jedynie zapaleńcom... To historia rewolucyjnych działań u naszych zachodnich sąsiadów, z którą warto się zapoznać, nawet, jeśli nie do końca zgadza się z linią programową głównych bohaterów.

Kontakt: grecjawogniu.info

Krawat

„Walczymy o życie, nie o męczeństwo. Wywiady z anarchistycznymi partyzantami walczącymi w Rożawie", A5, 40 stron

Jest to chyba pierwsza rzecz po polsku, dotycząca udziału anarchistycznych i lewicowych ochotników w walkach w syryjskim Kurdystanie. Dotychczas ukazywały się głównie książki polskich dziennikarzy o poglądach liberalnych, bądź prawicowych, a anarchiści o swoim udziale pisywali tylko i wyłącznie w Internecie. Dzięki portalowi Czarna Teoria, można teraz zaczytać się w tym kawałku papieru i przekonać, co mają do powiedzenia wolnościowi ochotnicy walczący nie tylko z fanatykami ISIS, lecz również o wolne społeczeństwo, jakie ma szanse powstać na autonomicznym terenie zarządzanym przez Kurdów i innych mieszkańców Rożawy. Główną część broszury stanowi wywiad z anarchistycznymi partyzantami Międzynarodowych Rewolucyjnych i Ludowych Sił Partyzanckich, gdzie poruszono szereg zagadnień nt. sytuacji w Rożawie; struktur kurdyjskich sił zbrojnych, roli grup lewicowych czy anarchistycznych obcokrajowców pośród nich, roli pomocy amerykańskiej dla sił kurdyjskich i niebezpieczeństw, jakie za tym idą, sytuacji społecznej w czasie konfliktu zbrojnego, eksperymentów społecznych przeprowadzanych w ramach rewolucji demokratycznego konfederalizmu, wzajemnych oddziaływań różnych prądów w polityce Kurdów zamieszkujących inne obszary Bliskiego Wschodu, itp. Anarchistyczni bojownicy u-dzielają odpowiedzi raczej wyczerpujących, więc można dowiedzieć się wiele interesujących rzeczy, o których nie przeczytacie w tekstach Smoleńskiego czy Repetowicza (o ich książkach poświęconych Kurdom pisałem w poprzednich numerach „Chaosu..."). Broszura uzupełniona została kilkoma innymi materiałami związanymi z IRPGF; komunikatem ogłaszającym powstanie tego kolektywu zbrojnego, ich tekstem dotyczących rocznicy stłumienia studenckich i robotniczych protestów w Chinach w 1989 r. (nie rozumiem za bardzo celu umieszczenia tego tekstu w broszurze, poświęconej w całości sprawom Rożawy) czy solidarnościowy apel bojowników z towarzyszami uwięzionymi w Niemczech za rabunek banku. Są tu też dwa inne wywiady; z tureckim zielonym anarchistą walczącym w ramach Zjednoczonych Sił Wolnościowych oraz francuskim komunistą walczącym z ISIS (ten wywiad pochodzi z komercyjnej strony VICE News). Prócz tego mamy jeszcze komunikat o powstaniu w Rożawie Formacji Queerowego Wyzwolenia i Armii Insurekcjonistów oraz kilka krótkich informacji o insurekcyjnych atakach w Grecji, niemających jednak nic wspólnego z walkami prowadzonymi przez wspólne siły mieszkańców Rożawy oraz zagranicznych bojowników z religijnym faszyzmem islamistów. Mimo pewnych niezgodności tematycznej, warto przeczytać i dowiedzieć się czegoś więcej...

Kontakt: czarnateoria.noblog.org

Krawat

„Warszawska Trójka. Historia pewnego aresztowania", A5, 52 strony

Podejrzewam, iż większość czytelników i czytelniczek „Chaosu..." słyszała cokolwiek o sprawie Trójki Warszawskich Anarchistów. Ktoś nic nie słyszał? No to macie wyśmienitą okazję, by dowiedzieć się w zasadzie wszystkiego o sprawie! A tak na szybko - w maju 2016 r. trzech anarchistów z Warszawy postanowiło podpalić radiowozy zaparkowane przy jednym ze stołecznych komisariatów. Do samej akcji nie doszło, gdyż domniemani sprawcy zostali zatrzymani w policyjnej pułapce, potem oskarżono ich m.in. o terroryzm, zamknięto jako więźniów niebezpiecznych w izolatkach a zaraz po aresztowaniu bito i torturowano. Cała sprawa była o tyle głośna, gdyż zdarzyła się tuż przed wprowadzenie tzw. ustawy antyterrorystycznej i inwigilacyjnej. Od razu w środowiskach autonomicznych pojawiły się głosy o policyjnej prowokacji, nieodpowiedzialności, mnożyły się plotki. Po uchyleniu aresztu, cała trójka przeszła przez proces sądowy, gdzie zmieniono im zarzuty a przewód sądowy zakończył się niewielkimi w sumie wyrokami. Na broszurę składa się szereg tekstów, które wcześniej można było przeczytać w sieci. Są to zarówno informacje publikowane przez przyjaciół zatrzymanych anarchistów, innych uczestników ruchu anarchistycznego, jak i teksty samych „bohaterów", którzy zabrali głos po opuszczeniu więziennych cel. Znajdziemy tu również opisy akcji solidarnościowych, jakie miały miejsce w Polsce, jak i w innych krajach europejskich. Są również relacje z obu rozpraw sądowych Warszawskiej Trójki. Po lekturze wszystkich umieszczonych w broszurze materiałów, każdy i każda z nas będzie mogła wyrobić sobie własne zdanie w temacie, bo sprawa ta wciąż jest żywa, a wiele niedopowiedzeń i niejasności jeszcze długo będzie mącić w środowiskach wolnościowych.

Kontakt: grecjawogniu.info

Krawat

„Wygrać Nowe Życie", nr 4, lato 2017, A4, 84 strony

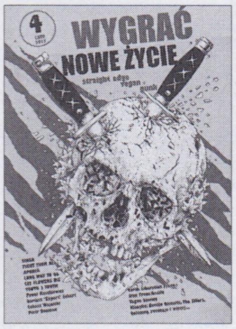

Bez dwóch zdań - czołówka zinowa w Polsce. Można nie być straight edge, można nie być veganem, ale jeśli jest się punkiem, to trzeba czytać tego zina. Innej możliwości nie widzę. Kibicuję „WNŻ" od samego początku i widzę jak to pismo się rozwija, w zasadzie jak rozkłada swe skrzydła i unosi się na coraz większe wysokości w zinowej czasoprzestrzeni. Grubość - odpowiednia. Skład - perfekcyjnie dopracowany. Zawartość - jak zawsze, na wysokim, punkowym poziomie. Jest kilka naprawdę wybitnych wywiadów poza muzycznych (przede wszystkim z Pawłem Raszkiewiczem nt. duchowości w scenie hc/p oraz drodze samo-rozwoju i z Łukaszem Wójcickim, znanym m.in. z darcia ryja w MASSMILICJI, ale tu głównie gadanie o RKS „Gwiazda", klubie sportowym, gdzie Lukas jest trenerem osób nieheteronormatywnych, itp.) jak i ciekawe rozmowy bardziej muzyczne, zarówno historyczne (przede wszystkim historyczny wywiad z Expertem nt. USTAWY O MŁODZIEŻY - można było jednak pokusić się o wywiad z Petarem, który często pojawia się na krakowskich koncertach, ale czytając słowa Experta, pewnie by się to nie udało lub fakty wyglądałby zupełnie inaczej...), jak i bardziej współczesne (tu najdłuższa, ale zarazem chyba najciekawsze też SIKSA, do której twórczości wciąż nie jestem przekonany, tzn. do zawartości tekstowej jak najbardziej, ale muzycznie wciąż to do mnie nie dociera - ale może to właśnie mają trafiać słowa a nie podkład?). Oczywiście wywiady (a wspomniałem tylko o ułamku...) to nie wszystko w „WNŻ". Są, jak zwykle, kolumny, nie ma serii o SE, ale pojawił się nowy serial - tym razem o diecie wegańskiej w życiu przepytywanych (na pierwszy rzut poszedł Kamil Siemaszko - znany tu i ówdzie anarcholski fighter - i Iza Gołaszewska, aktywistka Otwartych Klatek i blogerka), są recenzje zinów oraz muzyki, relacja z Hajnówki, gdzie zjeby z ONR-u chciały zaprowokować na ulicach oraz cykliczne już klasyczne płyty nurtu SE. No i jeszcze dwa teksty historyczne raczej, choć wciąż odnoszące się do spraw ważkich i dziś. Bardzo cenię sobie „WNŻ" za przypominanie o cennych, choć nieraz kontrowersyjnych inicjatywach ekologicznych czy przezwierzęcych. Tym razem na tapetę poszedł Earth Liberation Front, radykalna i tajemnicza organizacja,

do której mógł dołączyć każdy i każda z nas, wszyscy chcący chronić Matkę Ziemię przed kurewskim i zachłannym kapitalizmem i cywilizacją przemysłową. Oczywiście historii ELF nie da się opowiedzieć z aptekarską dokładnością. Wiele wątków tej historii wciąż pokrytych jest mgłą, o wielu akcjach, tych mniej spektakularnych, być może nie dowiemy się już nigdy, a bojownicy Matki Ziemi na wieki pozostaną anonimowi... Z kolei inny tekst, nieco mniejszy, ale równie ważny, opisuje antyfaszystowski opór w międzywojennych Niemczech, w czasach rodzącego się hitleryzmu i coraz większej paranoi, jaka ogarnęła cały niemiecki naród. Wśród tych, którzy nie dali się zwieść rasistowskiej polityce Adolfa, byli przede wszystkim lewicowcy każdego z odcieni. Od socjaldemokratów, poprzez komunistów aż do anarcho-syndykalistów i anarchistów. Z tekstu dowiemy się m.in. skąd wzięły się popularne dziś symbole antify (trzy strzały, jak i symbol z flagami), jak przebiegały podziały w ruchu antyfaszystowskim i dlaczego nie zdołał on odeprzeć nazistowskiego zagrożenia. Polecam szczegółową analizę tego tekstu, gdyż czasy mamy jakby podobne do lat 30. w Berlinie i reszcie Niemiec... No i polecam również lekturę całego nowego numeru „WNŻ", bo to naprawdę jeden z nielicznych zinów, który czyta się od deski do deski...
Kontakt: www.wygracnowezycie.pl

Krawat

„Zayzayer" nr 1 (wiosna'17), A5, 52 strony

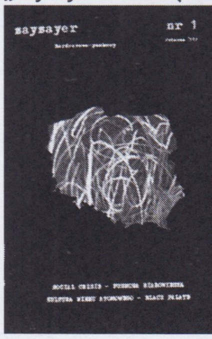

Całkiem świeży tytulik na scenie punkowo zinowej. Jak mniemam, z Warszawy... Rozpoczyna się nietypowo, wierszem Tuwima - „Mieszkańcy". Później już jest bardziej typowo, jak na takie wydawnictwo. KULTURA WIEKU ATOMOWEGO to punkowa orkiestra z... Radomia. A ja już myślałem, że w tym mieście od lat jest długotrwała punkowa posucha? KWA to raczej nie mój gust punkowy, ale fajnie poczytać, iż nawet w Radomiu punk rock nie umarł... Po pierwszym wywiadzie, niespodziewanie kilka recenzji wydawnictw muzycznych. Przyzwyczailiśmy się do tego, że recenzje zawsze są na końcu zina, a tu proszę, łamanie zinowych konwenansów. Dalej, ciekawy felieton o ćmach i ich powiązaniach z punkiem i nie tylko. Kolejny wywiad, SOCIAL CRISIS, znana i lubiana damsko-męska załoga warszawsko-białopodlaska. Jest co poczytać. Puszcza Białowieska - temat aktualny jak cholera, rządowe świnie tną jak leci, chore czy zdrowe drzewa, wszak chodzi o kasę a nie żadne korniki, które należą do świata przyrody a nie biznesu... Tu jednak nie mamy głos wyważony, przedstawiający historię Puszczy, historię zniszczeń, jakie na przełomach wieków się w niej dokonywały rękoma człowieka oraz dzisiejszy obraz walki z Puszczą i walki o Puszczę. Gdy piszę te słowa, owa walka jeszcze trwa. Nie wiem jak będzie, gdy będziecie to czytać? Przed kolejnym wywiadem, krótki set z felietonami na tematy różnie (scena, polityka, żarcie, sny) a potem jedna z fajniejszych kapel na rodzimej scenie, BLACK PALATE czyli lubelski hardcore nowej szkoły, okraszany metalem nawet. Zina zamykają relacje z koncertów, niemal samych warszawskich (stąd moja sugestia, iż sam zine pochodzi ze stolicy). Skład to połączenie starej szkoły zinowej z nowoczesnością. Niezły. Zawartość ogólnie na spory plus. Czekam na kolejną odsłonę...
Kontakt: zayzayer@wp.eu

Krawat

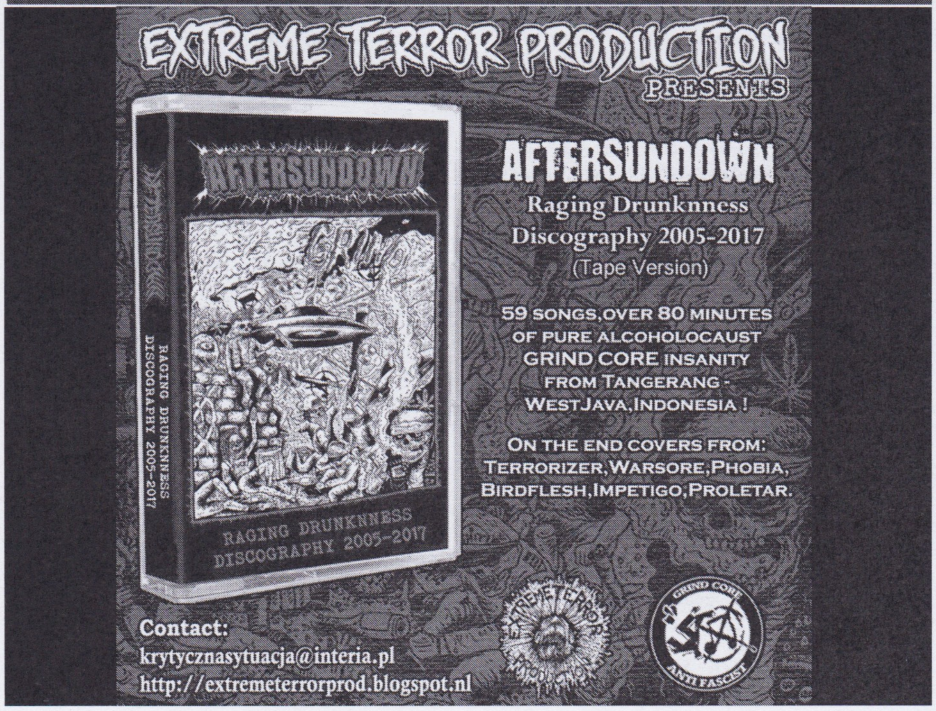

365 DNI - Gorące serca CDEP
(D.I.Y. Koło)

Zespół 365 DNI pochodzi z Ciechanowa, w 2008 roku wydali epkę na CD, w tym roku bujnęli sporą trasę po południowej Europie wraz z APORIĄ. Ten singiel z czterema kawałkami wyszedł praktycznie wczoraj… Zespół znam tylko z nazwy i przyznam się, że nie słyszałem ich muzyki wcześniej ani nie miałem okazji widzieć na żywo. Jednak to nic straconego, bo właśnie kręci się ich singielek w moim odtwarzaczu. Sympatyczne granie. Melodyjny hardcore z dużą dawką emo, zarówno w zagranych melodiach gitarowych, jak i w sposobie śpiewania wokalisty. Jednak to głównie szybki hardcore punk z melodią dominuje u 365 DNI. Naprawdę zaskoczył mnie ten materiał, bo spodziewałem się zupełnie innej nuty, nie wiem dlaczego… Bardzo dobre granie, żywiołowo-sentymentalne, na wysokim poziomie, do tego dobry wokalista. Teksty też fajne, z przekazem, szczere. Mam nadzieję, że ten singiel jest tylko zapowiedzią dużego albumu, bo 365 DNI zapracowali już na jakieś duże wydawnictwo. Sprawdźcie ich!

Pablo

ABRASION/TERROR OF DYNAMITE ATTACK split kaseta
(Grind Father Production)

Oprócz kilku kapel punkowych, no i grindowych oczywiście, które znam z tego malutkiego kraju, to jednak nie za wiele słychać z Singapuru. Patrząc na inne kraje sąsiadujące z Singapurem czyli Malezja i Indonezja słabo to jakoś wychodzi, a wiem, że punków tam mnogo. Dobra jedziemy, zacząłem od Singapuru skąd pochodzi dwuosobowy ABRASION. Chłopaki zaczęli grać w 2008, mają za sobą kilka splitów i międzynarodowych tras. Zespół gra mocno pod wpływem SPAZZ oraz HATRED SURGE, FUCK ON THE BEACH, SLIGHT SLAPPERS... Co zresztą można przeczytać na ich stronie. Pięć numerów fajnego grindującego thrashowego power violence. Dobre, brudne brzmienie, do tego dwa zajebiste wokale i wszystko pasuje jak trza! Punkowy blast core prosto z Singapuru!
Indonezyjski TODAY OF DYNAMITE ATTACK możecie kojarzyć między innymi ze split 7"EP z włoskim REPULSIONE czy z ich demówki krążącej po świecie. Blast, blast i jeszcze raz blast, ale tym razem mocno metalowy, za mało tam grindowych czy punkowych riffów, jak dla mnie. Podobnie jak w przypadku ABRASION, T.O.D.A. to duecik na gitarę, perkusję i dwa brudne wrzeszczące wokale, trochę growlingu oczywiście też słychać. Ich materiał zawiera sześć numerów, jak napisałem wcześniej same blasty, ale trochę wolniejszych momentów też jest, a perkusista napierdala jak opętany. Na koniec miła niespodzianka dla mnie, bo duet gra cover MATKA TERESA „Dead Nature". Ładnie wydana kasetka przez Jacka G.F.

Urbx

ACEPHALIX - Deathless Master LP
(Agipunk, Southern Lord)

Zespół pochodzi z San Francisco, istniał od 2007 do 2011. Reaktywował się w 2015 i w roku 2017 wydał świeżutką płytę, której jeszcze nie słyszałem, ale pewnie to wkrótce nadrobię. Panowie udzielający się w ACEPHALIX wcześniej piłowali w VASTUM, DEPRESSOR, NECROT, LAWLESS. Przyznam szczerze, że nic mi te nazwy nie mówią, głównie dlatego, że to hordy death metalowe… Zresztą ACEPHALIX też łupią death metal, ale może od początku… Najpierw w ciemno kupiłem na jakimś koncercie ich krążek „Aporia", co było o tyle dziwne, że rzadko zdarza mi się kupować płyty w ciemno. No, ale krążek mi się spodobał. Następnie wpadł mi kolejny ich krążek „Interminable Night", który zawierał dwa dema – „Flesh Torn In Twilight" 2011 i właśnie „Interminable Night" 2010. Cholera, wciągnął mnie ten zespół w swoje granie, więc bez namysłu kupiłem i ten krążek. Płyta wyszła w tym roku, ale generalnie zawiera nagrania z kasety demo, która pod tym samym tytułem wyszła w 2011 roku.
Dobra, czas na muzykę. ACEPHALIX łupią death metal pięknie ubarwiony crustowym brudem i d-beatowymi rytmami. Z jednej strony właśnie ze względu na łupiącą perkusję te nagrania mogłyby się wydawać nieco monotonne, ale mam wrażenie, że właśnie ta perkusja nadaje ich muzie tej brutalności. Zdecydowanie perkusja nabija tu czad, ale oczywiście ciężarowe, nisko strojone gitary robią odpowiednią ścianę, no i mistrzowski wokal na głębokim growlu! Tak się to wszystko wyśmienicie zazębia, że wychodzi z tego przepotężna dawka czadu! Oczywiście są blasty, pojawia się trochę zwolnień, bardzo fajnie przyciętych, ale jednak dominuje szybka łupana pod poleczkę i bulgoczący wokal. Dlatego zawsze powtarzam, że metal najfajniejszy jest wtedy, jak się go z czymś punkowym zmiksuje albo jak go same punki grają. Oczywiście wieje od nagrań ACEPHALIX old schoolowym szwedzkim metalem w stylu GRAVE, DISMEMBER, NIHILIST, ale również amerykańskimi prekursorami takiego grania jak MASTER. Ze względu na przedni growl na wokalu, by ogarnąć teksty trzeba się ratować wkładką… Lyriki, jak na death metal przystało są głównie o śmierci, przemijaniu, jest mrok i pojawiają się groby. Mroczne i fajnie napisane teksty, które wybitnie wpasowały się w muzę. No bardzo mnie wziął ten zespół i mimo, że nie grają niczego oryginalnego, bo zresztą, po co, to mam ze słuchania tej i innych ich płyt sporo radochy. Polecam wszystkim, którzy lubią metalową nutę graną z punkowymi dodatkami.

Pablo

ACRYLICS – Despair 7"EP
(Iron Lung Records)

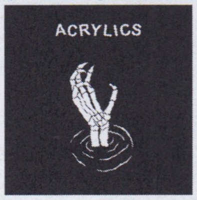

Kalifornijczycy dobry klej wąchają, bo wi-dać, że słońce im nie doskwiera i zbyt weseli to oni nie są, bandan nie noszą i o deskorolkach nie śpiewają. I na dobrze to im - a i słuchaczom też - wychodzi, bo chłopcy muzycznie zapuszczają się w rejony, które nie są ostatnimi czasy zbyt mocno eksplorowane. Słychać inspirację szaleństwem i dysonansowością RORSCHACHA i DIE KREUZEN, przemieloną nowszymi inspiracjami, co sprawia, że kapela brzmi wyjątkowo świeżo i nie da się pomylić z żadną inną grupą. Po kilku demówkach i jednostronnej dwunastce kapela rusza do ataku z króciutkim singielkiem, na którym znajdziemy dwa bardzo charakterystyczne dla zespołu chorusowate numery. Jest i szybko, są i brejkdażny, sporo się dzieje, jest naprawdę ciekawie. Zlatują pioseneczki szybko i chciałoby się minimalnie więcej, ale co poradzisz, ohydne piosenki niełatwo się pisze. Zresztą po tekstach numerów wnoszę, że chłopcy są twórczy tylko, gdy rozpaczają i chcą brzytwy do żył sobie przykładać, więc dla ich własnego dobra daruję im, że to tylko dwa kawałki. ACRYLICS minimalnie się pnie po szczeblach punkowej „kariery", bo przytulił ich pod skrzydła Iron Lung Records i wypuścił to ohydztwo w limicie 300 sztuk. Moja kopia ma numerek 191. Powodzenia w szukaniu!

Rudy

AFRONT - Samozagłada ludzkości CD
(Stradoom Records)

W poprzednim numerze napisałem w recenzji, że AFRONT pochodzi z Krzeszowic i miał kilkuletnią przerwę w graniu. Niestety, popełniłem babola i prostuję.
AFRONT pochodzi z Trzebini i gra nie przerwalnie od kilkunastu lat. Za pomyłkę przepraszam.

QbaQ

AGATHOCLES/APOPTOSIS split kaseta
(Posthuman Productions)

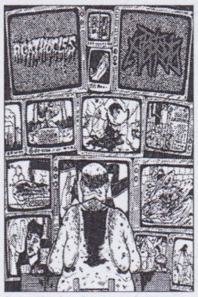

Kolejna produkcja węgierskiego Post Human Production - skromniutko, ale jak zawsze ładnie wydana kaseta. Sama taśma jest naprawdę króciutka, bo są tu tylko trzy numery belgijskiego bałaganu, jaki serwuje nam AGATHOCLES. Tym razem bez „wygłupów", hahaha. Numery fajne, brudne, ale nie noise'owe, grają tu bardziej punkowo niż mince core'owo, no i dobrze wchodzą w ucho. Ostatni numer miażdży wszystko!
APOPTOSIS to nowy zespół na węgierskiej scenie. Kapele tworzy Attila udzielający się także w JACK plus ktoś tam jeszcze. Pięć numerów solidnie zagranego thrash grindu mocno metalizującego, a wszystko bardzo solidnie zagrane. Kapela jest niczym huragan, ale nie grają typowego grindu czy thrashu, bo usłyszeć u nich można też wpływy hardcore, metalu czy oczywiście punka. Na wokalu koleżka wrzeszczy niemiłosiernie, ale chyba da się go zrozumieć. Sprawdźcie APOPTOSIOS.

Urbx

AGATHOCLES/S.O.T.E. split kaseta
(DIY)

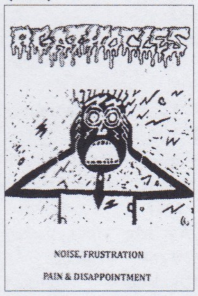

Kolejny belgijsko-węgierski split, ale tym razem kaseta jest trochę dłuższa. AGATHOCLES atakuje nasze uszy pięcioma numerami, które nagrali w słoneczne lato 2013, gdzieś w Belgii. Nie jest to żadna Kalifornia, jak wiadomo, a typowa śmierdząca i brudna rzeczywistość. Harsh noise as fuk against the fckn system. Hałas po całości, uszy urywa i to od razu. Zresztą tytuł pierwszego kawałka mówi już wszystko: „D for distortion" i tak jest do końca ich strony.
Druga strona to węgierskie trio SCUM OF THE EARTH - zajebisty grind core!!! Dużo kawałków na ich stronie, numery szybkie i krótkie, do tego dobrze pasujący wokal. Takie granie lubię najbardziej - brud, smród, grind i punk! Nagrania pochodzą z koncertu zarejestrowanego gdzieś w Bułgarii. Kawałków sporo, nawet nie chce mi się ich liczyć. Chłopaki też nie robią żadnych przerw między numerami i raczej cisną, ile natura dała! Polecam sprawdzić ich inne splity i demówki. Kaseta nietypowo wydana, ale wszystko jednak mieści się w tradycyjnym plastikowym pudełku. O splita możecie pytać u Davida z Posthuman Production.

Urbx

AGNI HOTRA - Protect Your Friends 7"EP
(Zima Records, No Pasaran Records)

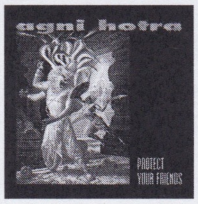

Elegancka winylowa wersja nagrań z demo 1995. AGNI HOTRA (1995-2001) była polskim ucieleśnieniem trendu na kry-sna core, który swoje najmocniejsze akcenty zaznaczył w połowie lat 90. Połączenie „Bozi" i HC nie wszystkim było pomyśli. W Polsce DIY scena z politowaniem przyglądała się próbom ewangelizacji poprzez punk rock. Pro katolickie zespoły z marszu dostawały na niej pstryczka w noch. AGNI HOTRZE się upiekło. Być może dlatego, że wedyjskie prawdy były u nas na tyle egzotyczne i nierozpoznawalne, że z założenia uznano je za koloryt, który nikomu krzywdy nie zrobi. Czas pokazał, że nie zrobił. AGNI HOTRA dała się polubić. Intensywny, pokombinowany aranżacyjnie HC w ich wykonaniu daleko odbiega od sztampy. Już od pierwszych nagrań wystawali ponadprzeciętność. Wyróżniali się nie tylko odmiennością kulturową, ale przede wszystkim kunsztem gry oraz niezwykle pedantycznym

podejściem do formy (brzmienie, grafika, etc.). Szerokim łukiem omijali schemat zwrotka-refren. W ich utworach wprost bulgotało od pomysłów. Wszystko to zaskarbiło im sympatię, którą czuć do dziś. Dowodem na nią jest m.in. ta winylowa reedycja, w którą zaangażował się m.in. jeden z najbardziej pryncypialnych wydawców nad Wisłą. Nakład 108 sztuk na niebieskim oraz 108 na przezroczystym białym. Rekomendacja wydaje się zbędna - nakład zniknie i bez tego.

j.Ap (czerwiec 2017)

AK 47 - Mamy dość! CD
(Wydawnictwo zespołu)

Zespół powstał na gruzach kapeli WIŚNIA MOCNE z Gliwic-Sośnicy. Nie wiem, czy akurat AK 47 gra jakieś koncerty czy nagrali tylko ten CD? Młodzież pod wpływem zespołu SMAR SW, ale też trochę polskiego „crusta" z lat 90. No dobra, z tym SMAR SW to troszkę przesadziłem… Ich atutem jest to, że są młodzi i chce im się tego punka grać. Poza tym wokalistka trochę urozmaica ich muzę, ale też troszkę ujmuje z czadu, ale radzi sobie świetnie. Muzyka AK 47 jest dość prosta, owszem, pojawiają się ciężkie, z lekka zmetalizowane gitary, jest pierdolnięcie tam, gdzie trzeba, ale jest to jednak chwilami dość toporne granie. Jeszcze, bo słychać, że zespół potrzebuje troszkę czasu, żeby jakoś tę muzykę usprawnić. Brzmią z lekka, jakby się urwali z 1997 roku. Nie wiem, może tak miało być? Teksty społeczno-polityczne, anty faszystowskie, feministyczne, anty wojenne. Przekaz dobry, teksty jednak troszkę infantylne i słabo napisane. Za dużo sloganów i częstochowskich rymów, ale to jest do dopracowania w przyszłości. Do tego dwa covery: „Moje ciało - Mój wybór" HOMOMILITII i „ Serial Killer" STRADOOM TERROR. Nie jest to zła płyta (demo?), jest potencjał, ale trzeba nad tym trochę bardziej popracować, żeby to było atrakcyjne dla słuchacza, a nie tylko dla znajomych zespołu i okolicznej załogi. Granie soft-crustowe przeplata się troszkę z tym punkiem w stylu KALESONÓW BOGA WOJNY czy właśnie SMARÓW SW, przynajmniej mi się tak to kojarzy. Gdyby Karola troszkę bardziej „zchropowaciła" wokal, a panowie obsługujący instrumenty więcej zamieszali i odpuścili sobie te polo-punkowe momenty oraz bardziej się skupili nad formą tekstów to zespół wzniósłby się o poziom wyżej. Nie jest źle, ale zdecydowanie, i to słychać, mogłoby być lepiej! Nie ma co się trzymać kurczowo kanonów punka! Ja natomiast trzymam kciuki!

Pablo

ANTI-TERROR - Humanterror.Com CD
(Anti-Terror Records)

O cholera! Nie znam się na tego typu muzyce, ale powiem wam jedno - dobre to jest! Nie wiem co napisać o tej płycie, żeby was zachęcić to sprawdzenia tego zespołu… ANTI-TERROR to duet, który pochodzi z Głubczyc na Opolszczyźnie i gra muzykę, którą określają jako dark electro. Wokalistą jest tutaj Mulek, ongiś gitarzysta, drugi wokalista i autor tekstów w zespole LIBERUM VETO. Zresztą Mulek od wielu lat jest entuzjastą zimnej fali, gotyku, dark wave i wszelkiego rodzaju mrocznej i eksperymentalnej muzyki. Przez lata wydawał fanzine o nazwie bodajże „Dark Zone". Sterylna, zimna, elektroniczna muzyka z klaustrofobicznymi tekstami, po angielsku, ale z mocnym przekazem. Ciekawie brzmienie, interesujące klimatyczne dźwięki z dobrym beatem. Zespół gra koncerty, choć głównie z zespołami z podobnych klimatów, i trochę szkoda, że na scenie DIY chyba są mało znani lub wręcz kompletnie nie znani. Warto ich sprawdzić, bo brzmią ciekawie, kawałki zrobione są naprawdę świetnie i potrafią zapodać naprawdę nieziemski, wręcz oniryczny klimat. Ja tu się posłużę wyświechtanymi nazwami, żeby wam nieco przybliżyć ich dokonania: post industrialni SKINNY PUPPY czy PLACEBO EFFECT to najbliższe skojarzenia… Tyle znam, jednak warto zakupić tę płytę, jeśli ktoś nie obawia się elektroniki „inaczej", a przy okazji lubi mrok, bo to ciekawy zespół. Poszukajcie, złapcie i zaproście ich na koncert do siebie!

Pablo

APATIA - Duma i pycha. Koncert Róbrege'90 LP
(Refuse Records)

Po koniec lat 80. punk rock w Polsce nie należał już do zjawisk nowych. Był na tyle zadomowiony, że zaczynały go trawić dekadenckie choroby. Alkohol, narkotyki oraz co raz mocniej widoczna przemoc. Głowę podnosił neonazistowski odłam skinheads. Sprawy szły w złym kierunku do tego stopnia, iż intelektualna ostoja sceny, jaką dla wielu był DEZERTER zawiesiła czasowo działalność koncertową. Tzw. komuna trzymała się dziarsko a rzesze punkowców, chlaniem na umór i degeneracją chemikaliami swoich szarych komórek w samobójczym trudzie „bohatersko" trwało w niej na pozycji NO FUTURE.
Na szczęście nie wszyscy zamierzali siedzieć bezczynnie w tym dekadenckim błogostanie. Pojawiły się fanziny oraz nowe kapele niosące ożywczy i uzdrawiający sposób podejścia do życia i sceny. Dla nowych gniewnych wiecznie najebany punkowiec w rozdeptanych trzewikach, bełkoczący coś o starych kapelach nie był nikim istotnym.
Zaczynało się śpiewać inaczej, pisać inaczej, ubierać inaczej i w zupełnie inny sposób organizować koncerty. W tym kontekście Róbrege '90 miało charakter graniczny. W pewnym sensie zamykało starą dekadę otwierając nową. APATIA i im podobni byli forpocztą nowego. Poznaniacy trafiając w oczekiwania słuchaczy rozkładali akcenty w zupełnie inny sposób. Stawiali na motywację i samokontrolę. Sugerowali, że mądrzej być dumnym i pokornym niż zadufanym pysznym dupkiem. APATIA ciepłym moczem olała śmiercionośne NO FUTURE. Będąc krytycznym obserwatorem szarej polskości w swych pieśniach zachęcała do pracy nad sobą. Ich występ na Róbrege '90 to przykład jak krajowy punk przepoczwarzał swe oblicze w posi hardcore. To przykład, jak zmieniało się podejście i jak rodziła się świadomość będąca fundamentem DIY sceny przyszłości. Sądzę, że w owym czasie koncertująca APATIA dla wielu (w tym dla mnie) stawała się nowym DEZERTEREM. Pomimo odmienności stylistycznej na jednych i drugich nikt nigdy się nie zawiódł. Nagrania APATII wypełniające LP „Duma i pycha" dokumentują najważniejszy koncert w fazie prenatalnej. Koncert ten, otworzył im wiele drzwi i zaskarbił przychylność rzeszy ludzi na lata. Z tej i innych przyczyn ta płyta nie wymaga specjalnej rekomendacji.

j.Ap (lipiec 2017)

ΑΡΧΗ ΤΟΥ ΤΕΛΟΥΣ - Κάθαρση LP
(Scarecrow)

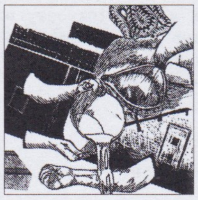

Recenzowałem wcześniej ich album z 2014 i byłem pod dużym wrażeniem nagrań tego zespołu. Nie zastanawiałem się ani sekundy, gdy wpadł mi w ręce ich kolejny LP! ΑΡΧΗ ΤΟΥ ΤΕΛΟΥΣ czyli BEGINNING OF THE END pochodzą z Aten, mają na swoim koncie kilka demosów puszczonych na CD-R oraz kasetę. Grają smutno-melodyjny, mroczny i klimatyczny post punk. Trochę inspirują się starymi zespołami greckimi jak GENIA TOU CHAOUS, STRESS czy METRO DECAY, ale również pojawiają się momenty, te ostrzejsze (choć nie metalowe czy coś w tym stylu) kojarzące się z AMEBIX. Świetne granie, czerpiące z mrocznego grania lat 80., ale wprowadzone na wyższy poziom. Melodyjny bas pląsa na pierwszym planie, deklamujący wokal wprowadza bardzo smutny, ale atmosferyczny nastrój. Gitary również klimatyczne, bardzo post punkowe, wszystko w wolno-średnich tempach - po prostu wprowadzają swoją muzyką melancholijny i przygnębiający klimat, akurat doskonale pasujący do jesienno-zimowej pory… Osiem długich utworów dla miłośników zimnego, nastrojowego grania z punkowym pazurem. Niestety, ale nie wiem, o czym śpiewają, bo robią to w ojczystym języku, a wszystkie teksty na wkładce również są po grecku. Szkoda, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby to przełożyć na angielski. Polecam ten zespół, jak i obie ich płyty, bo to naprawdę dobra muza!

Pablo

ARMAGEDOM - 10 Mil Anos De Terror LP
(Insane Society Records)

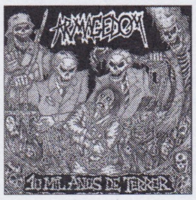

Od bardzo dawna jestem fanem brazylijskiego ARMAGEDOM - do tego stopnia, że mam wszystkie ich duże krążki, łącznie z tymi najstarszymi! Zespół ten, podobnie zresztą jak RATOS DE PORAO, przeszedł pewną muzyczną metamorfozę na przestrzeni lat. Zaczynali grając chaotyczny raw punk, by w latach 2000 dodać do swojej muzyki większą dawkę metalu. I myślę, że było to dobre posunięcie, bo o ile na splicie z FORCA MACABRA było to granie słodko-prymitywne, ale mające swój urok to na następnych płytach poszli już naprawdę do przodu! ARMAGEDOM w zeszłym roku wydał split singla z NUCLËAR FRÖST, ale ja biorę na warsztat ich ostatni LP, który nie jest taki świeży, bo aż sprzed 4 lat! Jednak wciąż jest dostępny w wielu dystrybucjach, więc chyba warto sprawdzić ten materiał. Z oryginalnego składu jest Javier, który w latach 80. obsługiwał wokal, a w tej odsłonie piłuje gitarę oraz perkusista Ricardo. Gościnnie, na drugim wokalu, w kawałku „Poison of Death" (ze splitu z FORCA MACBRA) pojawia się Felipe, syn Javiera. A muzycznie? To wciąż klasyczny brazylijski raw punk z dodatkiem latynoskiego thrashu, szczyptą MOTÖRHEAD i manierą DISCHARGE. Zresztą ARMAGEDOM grają na tym krążku kawałek DISCHARGE „Doomsday", więc kółko się zamyka. Sam zespół określa swój styl gry, jako deathcore, choć nie wiem dlaczego, bo ani tu death metalu nie ma, ani zbyt wiele klasycznego hardcore'a… Wielbiciele surowego latino thrashu będą zadowoleni z tych 14 kawałków, bo to sama esencja brazylijskiego grania. Wszystkie kawałki (no oprócz covera) zaśpiewane są po portugalsku, tłumaczeń brak, ale za to na okładce i wkładce mamy fajne „crustowe" grafiki. Cieszę się, że Javier ciągnę ten zespół cały czas i dobrze, że nie pogrzebali swojej legendy, jak wiele innych zespołów z lat 80. Bardzo dobry krążek w starym stylu. No i wydał go nasz sąsiad zza południowej granicy, więc chwytajcie to, czym prędzej, póki jeszcze wala się po dystrybucjach!

Pablo

ARMS RACE - New Wave of British Hardcore LP
(La Vida Es Un Mus)

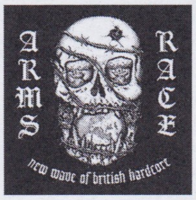

Nowa fala brytyjskiego czadu może tylko cieszyć! Z potężną siłą łupią nowe kapele DIE, VIOLENT REACTION, THE FLEX, MOB RULES, a między nimi na prowadzenie wysuwa się ARMS RACE. Nowa generacja zespołów, które oczywiście czerpią garściami z dokonań swoich poprzedników, bo nie wiele nowych rzeczy da się wymyślić w tym gatunku, więc trzeba postawić na energię i wymieszać ulubione zespoły w swojej muzie. Niby nic nowego i odkrywczego, ale szczerze mówiąc to wolę, jak hardcore łupią dzieciaki i młodzież niż stare zgredy. ARMS RACE też sięgają po sprawdzone wzorce, przede wszystkim z własnego podwórka, bo słychać u nich HERESY, RIPCORD czy nawet ostre brzmienie wczesnego CHAOS UK. Oczywiście wzorce zza Oceanu też są wyczuwalne i skojarzenia z SS DECONTROL czy SIEGE nasuwają się same. Surowy, brutalny, brudny i spięty hardcore z łupaną perkusją, z lekko zniekształconym wokalem i mnóstwem energii. Ktoś napisał, że są brakującym ogniwem pomiędzy SIEGE i NAPALM DEATH - i

coś w tym jest! Mimo wpływu tych prekursorów sceny hardcore w ich muzyce, to jednak ARMS RACE wcale nie brzmią jak by pochodzili z zamierzchłych lat 80. i w ogóle nie ma się wrażenia, że opierają się na sprawdzonych patentach. Brzmią świeżo, nowocześnie i przede wszystkim dziko! Na płycie zmieścili 11 utworów, w których śpiewają o tym, że nikt na całym świecie nie będzie im dyktował, co mają grać. Mają teksty o końcu świata spowodowanym przez wyścig zbrojeń, o kontroli państwa, o przemocy w społeczeństwie, o chujowej rzeczywistości, czyli dokładnie o tym, co dotyka nas w codziennym życiu. Zuch chłopaki! I muzycznie i tekstowo dają radę! Umarł król! Niech żyje król!!! Wcześniej wydali kasetę i singla, ale tak naprawdę dopiero ten LP pokazał, jaka siła tkwi w tej kapeli. No i dodam, że w składzie mają panią, która wycina na gitarze, a na imię ma Ola (czyżby rodaczka nasza?). W środku wkładka z tekstami pisanymi gotykiem (mnie staremu źle się czyta), które ozdabiają spadające bomby. Do tego kolaż z wydzieranych zdjęć zespołu, co definitywnie kojarzy się z latami 80. Polecam ten krążek, polecam nową falę brytyjskiego hardcore'a!

Pablo

ATOXXXICO - 30th Anniversary Anthology LP (F.O.A.D. Records)

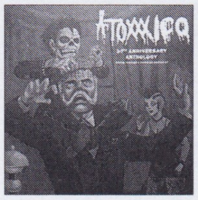

Rozmawiałem sobie z nie-jakim Grzesterem o starych meksykańskich kapelach i zamarudziłem, że nikt jeszcze nie zrobił żadnego wznowienia ani choćby bootlegu zespołu ATOXXXICO, bo oryginały nie na kieszeń przeciętnego melomana latino-łupany. A on mi na to: jak to nie? Właśnie się ukazał LP! Hehehe - czym prędzej złapałem tego longa! ATOXXXICO wystartowali w 1987 roku i obok MASSACRE 68, SEDICIÓN, SS-20, HISTERIA, SOLUCION MORTAL i XENOFOBIA tworzyli mocną scenę hc/punk w Meksyku w drugiej połowie lat 80. Wydali demo, ze dwie inne kasety, singla 7"EP oraz duży LP w 1990. Granie zakończyli w 1995, choć po latach reaktywowali zespół i grają koncerty. Poza tym byli chyba pierwszym zespołem w Meksyku, który utożsamiał się z ideami straight edge. Miguel Cortes o ksywie Thrasher, gitarzysta ATOXXXICO, udzielał się również w kapelach CACOFONIA, CTHULHU, przewinął się przez ANARCHUS i mam wrażenie, że pojawił się w składzie MASSACRE 68.
A co na tym krążku? Świetne „T.V. Demo" z 1988 roku z 14 kawałkami, trzy kawałki z koncertu w stolicy Meksyku z 1989 roku, na drugiej stronie płyty możemy posłuchać siedem kawałków z demo, które nagrali w 1993 roku Stanach oraz trzy pozostałe utwory koncertowe z Mexico D.F. z 1989 roku. No i do tego wszystkiego dodany jest smakowity kąsek czyli siedmiocalowy singiel „Punks De Mierda" z 1987 roku! Doskonały reprint okładki z oryginalnego singla i płytka z 11 utworami. A muzycznie? Surowy, łupany, wściekły, brudny latino thrash punk! Ciut bardziej „technicznie" i przejrzyściej brzmią kawałki nagrane w Kalifornii, no, ale to już są lata 90., więc i możliwości jakby większe. Wszystko brzmi nie najgorzej, choć najsłabiej, z wiadomych względów, nagrania z koncertu w stolicy. Płyta raczej dla miłośników latino-punka. Nie ma w tych kawałkach żadnej wirtuozerii, melodii też raczej brak, za to prędkość kawałków więcej niż przyzwoita, zdarty, chropowaty wokal i perka nabijająca dobre tempo.
Płyta bardzo ładnie wydana - kolorowy gatefold, w środku zdjęcia kapeli, szczególnie w oczy rzuca się fotka wokalisty z imponującymi spajkami na głowie! Jest też kolorowy booklet dołączony do płyty - reprodukcje okładki kasety, wywiad z zespołem po angielsku, sporo plakatów koncertowych i zdjęć zespołu. Brak natomiast tekstów. Te pojawiają się na wkładce do singla, zarówno po hiszpańsku, jak i po angielsku. Teksty głównie o scenie i jej problemach: narkotyki, alkohol, przemoc, komercja, rasizm. Jest też jeden utwór o wojnie i jeden o policji. Pojechali też po niejakim Billym Milano. Jako wielbiciel meksykańskiego punka bardzo się cieszę, że ten krążek się pojawił. W końcu! Czekam jeszcze na wydanie na winylu ich „Tu Tienes La Razon"!

Pablo

AUSBRUCH - Harte Zeiten LP (Twisted Chords)

Niemiecki punk! Sporo osób się z niego śmieje, grono wielbicieli czci bezwarunkowo. Zdaje się, że jestem w tym gdzieś pośrodku. Wiadomo, stare zespoły, stare czady, stara miłość. A ta zdaje się nie rdzewieje chyba? Mieli tych zespołów Niemcy mrowie. Ci zdaje się byli z Aachen. Ta płyta to reedycja pierwotnego wydania nakładem Roof z 1985 roku. To praktycznie zresztą było wszystko, co zespół wydał. Zaistnieli na wielu składankach, często kultowych: „Hardcore Power Music", „We Don't Need Nuclear Force", „Gegen Nazis"… ale zasadniczo ograniczyli się do tej płyty. Pomimo tego, że to już 1985 rok, to nie było w ich muzyce zbyt wiele jadu, bliżej im do TOXOPLASMA niż INFERNO na pewno. Trochę agresji, ale i melodyki, zmiękczeń też, szkoda, że teksty po niemiecku, kilka jest po angielsku, wydaje się, że dotykały ciekawych tematów. Hmmm, zależy jak spojrzeć na „The time is right"… Zespół na pewno należący do niemieckiej klasyki, płyta może nie zabija, ale wpada w ucho jak należy. W „MRR" recenzje mieli jak pamiętam pozytywną.

Grzester

BARCELONA - Pueden Ser Ellos 7"EP (La Vida Es Un Mus)

Po zajebistej debiutanckiej dwunastocalówce, zespół poczęstował nas w zeszłym roku singielkiem, bardzo fajnym zresztą… Jak sama nazwa wskazuje kapela pochodzi z Barcelony. Nie znacie? No cóż, jeśli jesteściemiłośnikami surowego, brutalnego, kompletnie brudnego, ohydnego i zwariowanego punka, w dodatku z wkurwioną i dość złowieszczo brzmiącą panią na wokalu to powinniście poznać ten zespół. Zakręcone rzężące gitary, prostacko łupiąca perkusja, chropowate brzmienie, flegma spotyka rzygowiny, ale nie ma w tym żadnego crusta czy d-beatu. Dość ciekawe granie, niby proste, ale z pomysłem, dla wszystkich, którzy lubią w punku brzydotę, pleśń i strupy… Tylko cztery kawałki i wszystkie koło minuty. Do tego na okładce namazane jakieś twarze, w środku plakat z takimi samymi bohomazami, teksty po hiszpańsku, więc kompletnie nie mam pojęcia o czym, natomiast słuchając głosu frontmanki BERCELONY podejrzewam, że o niczym wesołym one nie są… BARCELONA nie do każdego trafi, bo to dość specyficzny rodzaj punka. Trza takie coś lubić. Dla smakoszy. Mnie wchodzi dobrze ta surowizna z wścieklizną w nienajszybszych tempach. Odkrywajmy Półwysep Iberyjskich, bo to wciąż szeroki wór muzyczny, szczególnie dla Polaków. Poza tym pozwolę sobie nadmienić, że La Vida nie wydaje słabych płyt…

Pablo

BESTHÖVEN - Live In Rostock 7"EP (Drop Out)

Galon zafundował mi tym wydawnictwem wieczór pełen wspomnień. W 2011 Fofao dokooptował do składu trzech członków włoskiego KONTATTO i tym samym brazylijski BESTHÖVEN, w towarzystwie ekipy Koppy oraz Noia, ruszył na ponad miesięczną trasę po Europie. 13 sierpnia dokulałem się z Modym i Dominiką do czeskich Prisnotic, gdzie oprócz koncertu wspomnianych, miało miejsce święto młodego wina. Na szczęście konsumowany przez większość dnia burčák utrzymał się w naszych organizmach (podobno czasem opuszcza ciało bardzo gwałtownie i szybko po spożyciu, hehe) i mogliśmy być świadkami zajebistego koncertu w wykonaniu wszystkich zespołów tego wieczoru. Było tak dobrze, że wybraliśmy się jeszcze do Drezna na Paranoya Fest, żeby zobaczyć ten skład po raz kolejny w akcji. Dzięki Drop Out mogę cofnąć się w czasie i powspominać te zajebiste gigi. Na siódemce, która jest wznowieniem wydanej dwa lata temu w Niemczech taśmy, zarejestrowano część koncertu, który odbył się 17 sierpnia w Rostocku. Na płycie zmieściło się pięć kawałków BESTHÖVEN oraz „Wheel Of Life" z repertuaru ANTI CIMEX. Surowy d-beat w wersji koncertowej zupełnie nie odbiega od studyjnych dokonań Brazylijczyka, a brzmienie tej nagrywki chyba nawet przewyższa niektóre z jego wcześniejszych materiałów. Jedyne, do czego można się przyczepić to publika, której zachowanie idealnie wpisuje się w niemiecką szkołę „entuzjastycznych" reakcji na występ, hehe. Między kawałkami, oprócz „rozentuzjazmowanego" tłumu, można również usłyszeć komentarze Fofao, tak więc nie pozostaje mi nic innego, jak zgasić światło i podkręcić potencjometr. Do winyla dołączony jest kod do ściągnięcia oraz wkładka z masą zdjęć i motywem z koszulki dostępnej na tej trasie. Kilkadziesiąt sztuk zostało zapakowanych w dodatkową okładkę wykonaną na sicie. Świetny materiał, nie tylko dla tych, którzy chcą powspominać, ale również dla każdego, kto chce posłuchać solidnego disbeatu w wersji koncertowej. Szkoda, że Fofao odwołał kolejną trasę po Europie, którą miał zaplanowaną na jesień tego roku…

Albin

BESTIAL VOMIT/GOFUCKYOURSELF split kaseta (Campaign For Musical Destruction)

Włoski BESTIAL VOMIT tym razem z nagraniami z koncertu z „Ateneo Occupato". Raczej bez zmian - to wciąż ostry grind noise'owy napierdol z mocno sarkastycznym przekazem. Jedenaście numerów raczej w szybkim tempie i ich występ przeznaczony jest dla ludzi siedzących mocno w klimatach hałaśliwej masakry.
Druga strona to GOFUCKYOURSELF, którzy pochodzą z Toronto w Kanadzie. Jak wiadomo scena w Toronto jest dość mocno rozwinięta i działa prężnie. GOFUCKYOUIRSELF to kapela kolesi, którzy maczają swoje paluchy również w METASTASIS, EXTREME NOISE ERROR, GYNECOMASTIA i w wielu innych. GFYSLF od czasu do czasu wydają ciekawe splity jak np. z ANAL MASAKER, DECHE-CHARGE, SHITFACED, DISLEKSIK. Ich nagrania na tej taśmie pochodzą z jakiejś próby, ale da się tego słuchać. Tym razem jest to sprawnie zagrany brudny grind core crust na dwa rzygające na siebie nawzajem wokale. Naprawdę wchodzi to elegancko, kawałki są energiczne i przede wszystkim dobre. Na koniec Kanadyjczycy prezentują nam trzy covery: INFEST, VIOLENT HEADACHE oraz BARCASS „Stop nazis".

Urbx

BOAK/DEADBEAT - split 7"EP (Grindpromotion)

Fajnie, że są jeszcze labele, które nie boją się w pojedynkę władować kasę w wydawnictwo dwóch młodych i szerzej nieznanych kapel. Nakładem włoskiego Grindpromotion ukazał się niedawno taki właśnie materiał, na którym spotkali się DEADBEAT z Los Angeles oraz szkocki BOAK. Debiutanci to może nie są, ale obie grupy mają na razie dość skromne dyskografie (patrząc na standardy wykonywanego przez nich gatunku muzyki). Członkowie DEADBEAT do nowicjuszy nie należą i można ich odnaleźć między innymi na wydawnictwach L.A. Assassins, Broken Needle, Catholic Spit czy Knife Fight. Na tą chwilę mają tylko jeden materiał demo z 2014 roku, który ukazał się

http://nic.ayz.pl/sklep/ **N.I.C** xkudnicx@poczta.onet.pl

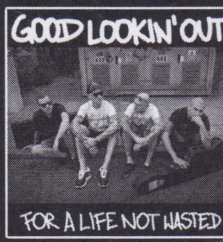
GOOD LOOKIN' OUT
For A Life Not Wasted I One-Side Lp
(koniec grudnia 2017/styczeń 2018)

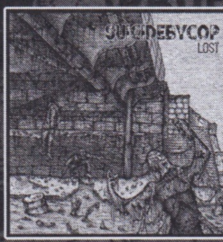
SUICIDEBYCOP
Lost LP
(pod koniec 2017)

CALM THE FIRE / THE DEAD GOATS
split Lp

HERIDA PROFUNDA / HELLO BASTARDS
split 7"

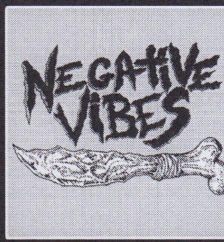
NEGATIVE VIBES
s/t 7"

MOOM
I + II 7"

FIGHT THEM ALL
Down The Drain LP

KARA ŚMIERCI
Demo 1989 LP

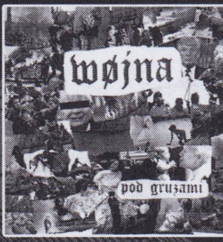
WOJNA
Pod Gruzami 7"

THE DOG
The Devil Comes At Night LP

PRISONERS BY CHOICE
s/t LP

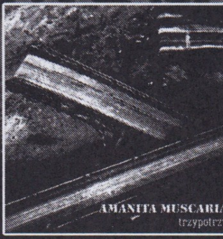
AMANITA MUSCARIA
Trzypotrzy CD

NUCTEMERON
Festung Breslau Demo 1988 10"

STURMOVIK
Destination Nowhere LP

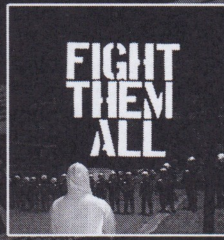
FIGHT THEM ALL
s/t 7"

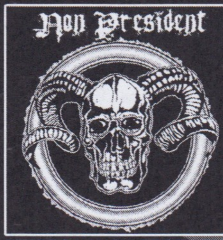
MITRĘGA / NON PRESIDENT
split LP

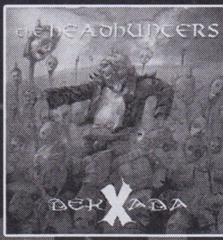
THE HEADHUNTERS
Dekada LP

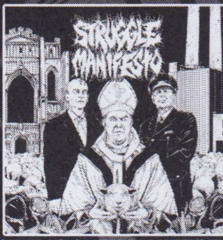
STRUGGLE MANIFESTO
s/t 7"

S.K.T.C.
Demo 1990 LP

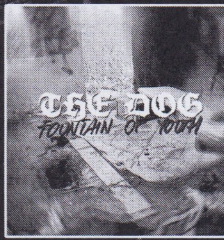
THE DOG
Fountain Of Youth 7"

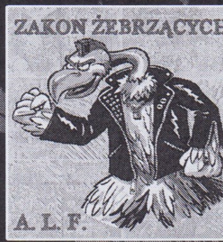
ZAKON ŻEBRZĄCYCH
A.L.F. LP

ICON OF EVIL
Syfilis Mentalis CD

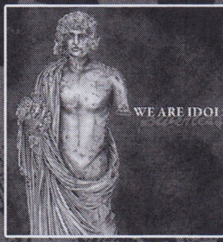
WE ARE IDOLS
Powerless LP

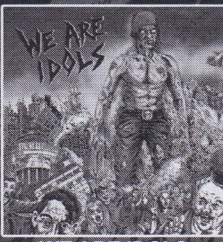
WE ARE IDOLS
s/t LP

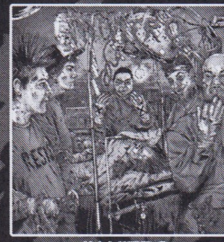
IN VITRO
Konfrontacje LP

HERIDA PROFUNDA /HELLBASTARD
Split Picture Disc LP

CREEPING CORRUPT / HELLISHEAVEN
split LP

TROCKI
Bez Końca LP / CD

EVIL
XII - XX CD

EVIL
DEMOnPUNK CD

http://nic.ayz.pl/sklep/ N.I.C xkudnicx@poczta.onet.pl

na taśmie oraz wydanej przez nich samych siedmiocalówce. Pochodzenie zobowiązuje, więc ci Kalifornijczycy postawili na mocarny power violence, hard core'owy ciężar i mnóstwo blastów. Te cztery kawałki w niecałe trzy minuty wręcz ociekają wkurwieniem. Nienawiść sączy się również z warstwy lirycznej. Członkowie DEADBEAT nie mają chyba za bardzo udanych relacjach międzyludzkich i dobrego zdania o większości społeczeństwa. „I've got problem and it's you" czy „You bring out the worst in me. You are my enemy" to tylko pierwsze z brzegu przykłady, o czym możecie poczytać we wkładce. Bardzo dobry materiał, który idealnie nadaje się do odreagowania po ciężkim dniu obcowania z ludźmi. Bardzo żałuję, że nie sprawdziłem, czy na żywo też sieją takie spustoszenie, ale niestety wizyta smutnych przedstawicieli szeryfa z Los Angeles zakończyła przed czasem koncert, na którym mieli zagrać i musiałem się obejść smakiem. Zupełnie inne podejście do tekstów prezentują pochodzący z Aberdeen w Szkocji BOAK, którzy na swoich dwóch pierwszych singlach (na koncie mają również wspólną taśmę z Amerykanami z ACxDC) poruszali między innymi tematy brutalności policji, praw zwierząt czy wegetarianizmu. Na tym splicie umieścili dwa własne utwory oraz cover nieznanej mi kapeli ERADICATE (Discogs podpowiada, że był ktoś taki w ich rodzinnym mieście). Tym razem ekipa postanowiła podejść trochę luźniej do kwestii poruszanych tematów i w „Skull" bronią honoru czaszek, bo słusznie zauważają, że Eric Wood z MAN IS THE BASTARD nie byłby zadowolony z aktualnego podejścia do nich, a drugi z kolei „Bath Salts" udowadnia, że moda na dopalacze i inne gówna dotarła również do Szkocji. Ciekawe jaki w tym udział mają, ubogacający kulturowo ichnie społeczeństwo, młodzi imigranci z Polski, hehe. Strona BOAK to granie na granicy fastcore/power violence i grindcore'a, także spodziewajcie się blastów, szybkich partii przeplatanych ciężkimi zwolnieniami i opętanych, ale jednocześnie czytelnych wokali. Jak dla mnie, obok ENDLESS SWARM i LUGUBRIOUS CHILDREN, są oni jednymi z najlepszych przedstawicieli takiego grania na Wyspach. Gościu z Grindpromotion chyba również wierzy w ich potencjał, bo nakładem jego wydawnictwa ukazała się właśnie trzecia samodzielna epka BOAK. Zajebisty split.

Albin

BRAIN ANGUISH - Demo
(https://brainanguish.bandcamp.com/releases)
Nie wiem jak mam to traktować, wydaje mi się, że to jest tylko próbka tego, co ma niebawem nadejść. BRAIN ANGUISH na bandcampie pokazuje jedną piosenkę i nazywa ją „demo". Włączasz i słyszysz wściekły anarcho punk w starym brytyjskim stylu. Polityczny tekst, średnio szybkie rytmy i anarcho punkowe klimaty graficzne. Wszystko sprawnie i spójnie. A kto za tym stoi? Na gitarze i wokalu Brian z DISAFFECT, a na basie i wokalu Angus z SEDITION. Z akompaniamentem automatu perkusyjnego. Panowie wrócili, żeby zaśpiewać „We are still angry", ponieważ niby Thatcher nie ma, ale jest May, niby Reagana nie ma, ale jest Trump, a widmo zagłady nuklearnej jest wyraźne jak nigdy dotąd. Czekam na więcej, bo wejście było z przytupem. Sami posłuchajcie.

Wojtas

CALM THE FIRE/THE DEAD GOATS split 12"
(N.I.C., Scream Records)

Po ostatniej płycie CALM THE FIRE „Doomed From The Start", która wyszła w 2015 nie mogłem spać spokojnie przez kilka tygodni. Co to było za tsunami! Na tym splicie tylko pięć kawałków, ale na tyle niszczycielskich i porażających swoją mocą, że znowu będę chodził maksymalnie wkurwiony na ten cały świat przez kilka następnych dni, jak nie dłużej! Intensywna, wściekła, furiacka fuzja szwedzkiego death metalu, crustowego brzmienia i podbudowana hardcore'ową dzikością masakra. Nabijają rytm bez litości - perkusista jest fizolskim szaleńcem, a wokal Paciora przeszywa mnie aż do szpiku - jest zły, jadowity i wkurwiony do granic, o ile istnieją jakieś granice! Nie ma chyba na polskiej scenie zespołu o tak skondensowanej muzycznej agresji, tak rozjuszonego i o tak piekielnym brzmieniu jak CALM THE FIRE. Trzy teksty po angielsku, dwa po polsku - wpasowały się idealnie w ten zabójczy czad! Wkurwienie pcha do agresji, choć na razie to tylko zapowiedź, chęć przeciwdziałania kurewstwu przy użyciu przemocy – „I Hate You All", „Niespokojny", „Pies". Nienawidzą tchórzy i całego ludzkiego rodu, który niszczy naszą planetę. Zresztą te kawałki zadedykowane są umierającej Matce Ziemi… Teksty, co najmniej, mogłyby być napisane dla power violence'owej kapeli, jednak CALM THE FIRE swoją energią, brudem i wściekłością przewyższają sto takich kapel!!!
W THE DEAD GOATS duże zmiany… Z poprzedniego składu, czyli tria zrobił się duet. Po odejściu gitarzysty i wokalisty gitarami na tym materiale wspomógł kapelę Wojtek z CALM THE FIRE, a wokalami zajął się Radek grający także na perkusji. Czy to słychać? I tak i nie… Jest jakby delikatnie inaczej, ale to wciąż świetny death metal inspirowany Szwecją. Tym razem trzy utwory - pierwszy, o dość długim, mrocznym wstępie, przechodzi po chwili w to, co fani THE DEAD GOATS lubią najbardziej! Klasyczny death metal z melodyjnymi gitarami i brutalnym wokalem oraz tekstem o zombie na ulicach. Uwielbiam te ich historie, żywcem wyjęte z horrorów klasy B i zarazem bardzo plastycznie opisane. „Broadcasting dead" też w klimacie, zresztą fajnie przeplatany komunikatami z radia… A na deser cover CARCASS „Tools of the Trade" z singla o tym samym tytule z 1992 roku, czyli ukłon w stronę klasyki death metalu z Wysp. Dwa zajebiste zespoły, choć niby w innej konwencji, to jednak muzycznie świetnie się uzupełniły na tym splicie. Do tego okładka Mistrza Wechtera dopełnia zajebistości tego krążka! Myślę, że trza mieć!

Pablo

CARCASS GRINDER - Grind years collection split 7"EP's & CD's kaseta
(Grind Father Production)

To może zacznę od początku, zważywszy, że to dyskografia. CARCASS GRINDER należą do czołówki grind core'a i mam naprawdę spory szacunek dla nich! Pochodzą z Japonii, dokładnie z mieściny Oi-ta, zaczęli grać już w 1993 roku i jak sami mówią grają pod mocnym wpływem takich kapel jak CRIPPLE BASTARDS, VOLTIFOBIA czy INSECT WARFARE. Po kilku zmianach składu przez kapele przewinęli się lub grają po dziś ludzie z takich kapel jak DAMAGE DIGITAL MASS COLAPSE oraz NERD. Kapela nigdy nie nagrała pełnego albumu, zawsze są to splity, zawsze single i kasety. Uważam, że jest to mocno budujące i mocno tkwiące w duchu DIY. Ich nagrań słucham dość często po dziś dzień. Split 7"EP z AGATHOCLES wydany przez Sandro z Regurgitated Semen Records w 1995, split 7"EP z hiszpańskim DENAK wydany w Japonii w Mink Records w 1998 czy split 7"EP wydany również w Japonii przez Nat Records i również pochodzącym z Hiszpanii VIOLENT HEADACHE. Te trzy splity wywołują u mnie ciarki, przypominają się stare czasy... Oczywiście splity z FUCK ON THE BEACH z Japonii, z DEMISOR z Singapuru czy BIRDFLESH ze Szwecji także są pełne furii, szybkości i wariactwa w stylu wypracowanym przez CARCASS GRINDER. Oprócz starych splitów na kasecie są też nowsze nagrania, jak te ze splitu z SETE STAR SEPT z Japonii wydanym w 2014, z włoskim 2 MINUTA DREKA wydanym w 2009 czy z zajebistego splitu z INSECT WARFAR, który wydał Otto z Psychocontrol Records w 2007 roku.

Urbx

CARCASS GRINDER/CAMPHORA MONOBRAMATA split kaseta
(Bringer Of Gore Records)

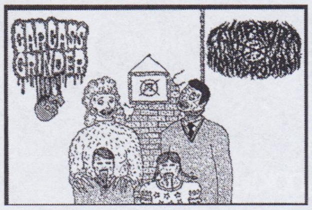

Split ten wyszedł już jakiś czas temu, ale myślę, że warto o nim wspomnieć. Tym razem B.O.N.G. Records w kolejnej odsłonie międzynarodowych grind splitów. CARCASS GRINDER atakują nas sześcioma numerami i to ze studia! Wszystkie ich splity to prawie te same kawałki, ale mają one coś w sobie takiego, że można słuchać tego na okrągło!
Druga stronę kasety reprezentuje CAMPHORA MONOBRAMATA, o których pisałem już we wcześniejszych numerach „Chaosu". Przypomnę - zespół pochodzi z St. Petersburga, na swoim koncie mają wydanych sporo ciekawych splitów. Wypracowali własne zajebiste brzmienie, totalnie brudne, do tego nisko strojona gitara i bas - to lubię. Mince core grind w wydaniu CAMPHORA MONOBRAMATA to nie kolejna kopia kapel grających w tym stylu, bynajmniej ja tak to widzę i słyszę. Bardzo dobry, masywny niszczycielski raw as fuk grind! Po starej linii AGATHOCLES czy np. MALIGNANT TUMOUR. Na koniec miła niespodzianka: cover TERVEET KÄDET „Veriviivat".

Urbx

CARCASS GRINDER/EL MUERMO split kaseta
(Grind Father Production)

Tym razem CARCASS GRINDER prezentuje nam koncertówkę, ale dobrej jakości, więc wszystko jest słyszalne. Jedenaście numerów zajebi-ście szybkiego i niekombinowanego grinda.
Byłem bardzo ciekaw kapeli z drugiej strony kasety, zwłaszcza, że mało kapel dociera do nas z Ekwadoru. Z EL MUERMO spotykam się już drugi raz. Wcześniej wpadł mi w ręce ich 3-way split „Copro Grind Gore" CD z MONIGO i MIXOMATOSIS wydany w 2008. Powiem szczerze, że nie za bardzo pamiętam ich twórczość, choć wiem, że Timberlay to na pewno nie jest. Dwanaście utworów szybkiego grind core noise'a, poruszających społeczne tematy, sądząc po tytułach, bo tekstów nie ma na wkładce. Nagrywka bardzo przypomina mi klimatem lata 90. - total grind noise, ale mają też jakieś dwa niezrozumiałe dla mnie wolne kawałki. EL MUERMO całkiem dają radę, w sumie straszyli, że to gore grind, może i jest w tym trochę gore, może chodzi o te kiblowe wokale czasami? Nie jest to gore'owa kapela na pewno, bynajmniej ta nagrywka. Fajny splicik, szybko wchodzi.

Urbx

CHAOS Z - 45 Jahre Ohne Bewährung 2xLP
(Major Label)

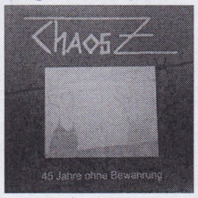

Mimo, że CHAOS Z nie łapie się do ścisłej czołówki niemieckiego punka z lat 80. jak SLIME, TOXOPLASMA, NORMAHL, MANIACS, RAZZIA to jednak odcisnęli swoje piętno w Deutschpunku. Zauważyłem, że to określenie Deutschpunk często ma wydźwięk ironiczny, czy wręcz szyderczy. Nie wiem dlaczego - większość tych niemieckich zespołów była naprawdę dobra, zarówno muzycznie jak i tekstowo. O imidżu nie wspomnę, hehehe. CHAOS Z pochodzili ze Stuttgartu, powstali koło roku 1980, w 1982 roku wydali rewelacyjną płytę „Ohne Gnade" w niesławnej wytwórni Rock-O-Rama. Ich nagrania często pojawiały się na tych wszystkich niemieckich samplerach w stylu „Ultra Hardcore Power", „Keine Experimente!" czy „Schlachtrufe BRD". Zespół rozpadł się jakoś tak koło 1983 roku chyba, potem pojawili się ponownie i nagrali w 1995 materiał zatytułowany „45 Jahre Ohne

Bewährung", który został wznowiony w zeszłym roku. Na stronie A i B pierwszej płyty znajduje się 13 utworów właśnie z tej płyty, na stronie C drugiej płyty są po dwa kawałki z kompilacji „Die Deutsche Punkinvasion II" z 1996 i „Keine Experimente! Vol. II" z 1984. Strona D to cztery kawałki nagrane na koncercie w 2012, ale już pod nazwą FLIEHENDE STÜRME. Pod tą nazwą występowała ekipa CHAOS Z od połowy lat 80. W swej muzyce mieszali klasyczny punk z nową falą, często używali syntezatorów i automatu perkusyjnego. Na tym koncercie grają kawałki mieszczące się w definicji Deutschpunka. No cóż, rozrzut spory - od 1995 do 2012 to jednak kupa czasu. Nie wspominając o muzyce nagranej przez CHAOS Z w 1982 roku! Jednak zespół mi się podoba w tej odsłonie późniejszej. Wpadają w ucho te kawałki, jest w nich taka smutna melodyka, która delikatnie łapie za gardełko. Oczywiście tym nagraniom daleko do surowizny i wściekłości nagrań z płyty „Ohne Gnade", ale i tak bardzo dobrze się tego słucha. Każdy, kto lubi ten typowy Deutschpunk czy niemiecki hardcore z przyjemnością posłucha tych dwóch krążków. Niestety, ale wszystkie teksty po niemiecku, więc tylko po tytułach kawałków mogę stwierdzić, że nie są o głupotach. Dużo lepszą, ale też pewnie dużo droższą opcją dla fanów niemieckiego punk rocka będzie wydany w grudniu zeszłego roku Box Set CHAOS Z z 4 krążkami, które zawierają wszystko, co nagrali - ich albumy, singiel, demosy, koncerty, nagrania z kompilacji.

Pablo

CHROME - Techromancy CD
(Cleopatra Records)

Każda nowa płyta kalifornijskiego zespołu CHROME to dla mnie wielkie przeżycie, bo fanem kapeli nie jestem, ja jestem jej wyznawcą. Powstała w 1975 roku, w San Francisco i trzon zespołu stanowili dwaj muzycy: Damon Edge i Helios Creed. Od lat CHROME to właściwie tylko Helios Creed. Drugi główny członek formacji Damon Edge w sierpniu 1995 r. został znaleziony martwy w swoim mieszkaniu w Redondo Beach w Kalifornii. Helios w związku z tym dobiera sobie różnych muzyków do realizacji nowych płyt i grania koncertów. Miałem okazję parę lat temu widzieć ich koncert w Berlinie i mogę śmiało powiedzieć, że bardzo dobrze bronią się, jak na weteranów i prekursorów cyber punka. Dali wyśmienity koncert z klimatem. Album „Techromancy" został wydany w kwietniu tego roku w Cleopatra Records. Muzyka, jaka została tu zawarta to kosmiczna psychodelia w duchu starego HAWKWIND, zmieszana z muzyką industrialną i post punkiem lat 80. To po prostu stary dobry CHROME i nie spodziewajcie się tu jakichkolwiek zmian w brzmieniu i stylu. Nic z tych rzeczy nie znajdziesz na tym krążku. Nowatorstwo mają dawno za sobą, a wpływ na inne kapele również spory. Dla mnie to kolejna dobra płyta kosmity Heliosa i spółki. Płyta raczej dla fanów. Nie ma wstydu.

Maku

CONFLICT - Conclusion LP
(PHR Records)

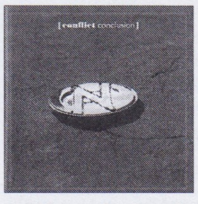

Jeden z najważniejszych zespołów anarcho-punkowych, który w latach 80. odcisnął niezatarte piętno na sposobie myślenia i postawach tysięcy punks w UK i na całym świecie. Często, gdy wymienia się CRASS to za chwilę pojawia się i nazwa CONFLICT. Jednak lata 80. już dawno minęły… Ostatnią płytę z tego okresu CONFLICT wydali w 1989 roku i była to „Against All Odds", a potem zespół wkroczył w lata 90. W 1993 roku wyszła płyta „Conclusion". Dla jednych, podobno, najlepsza płyta w dorobku zespołu. Dla mnie jedna z gorszych. Niestety, jakoś nie mogę się przekonać do tego materiału. Nie dałem rady, gdy wyszła w latach 90. i nadal mnie nie bierze muza z tej reedycji. Generalnie CONFLICT dalej jedzie po swojemu, kawałki są nawet ostrzejsze i brzmią ciężej niż na płytach z lat 80. Charakterystyczny wokal Colina nadal świetnie wpisuje się w styl gry zespołu. Jednak do pewnego momentu. W jednym utworze pojawia się pani na wokalu, Jackie Hanna, która ma bardzo miły głos, ale który, jak dla mnie, kompletnie nie pasuje do muzyki CONFLICTU. Wkurzają mnie tutaj też klawisze… No, nie… Klawisze oczywiście są fajne, ale dodane tu i tam, a tutaj słychać je za często, pełnią rolę pełnoprawnego instrumentu i zamiast urozmaicać to irytują. Przynajmniej mnie. No i zabrakło tym utworom tej typowej dla CONFLICTU gitarowej epickości. Mam wrażenie, że kawałki z pierwszej strony zrobione są troszkę z rozpędu, a troszkę na siłę. Na pierwszej stronie mamy 6 kawałków, w tym przedostatni dość długaśny. Natomiast na drugiej stronie są trzy jeszcze dłuższe utwory. „Climbing The Stairs" niby dubowy, z rockowymi solówkami i irytującym syntezatorem w tle. „A Question Of Priorities" rozciągnięty niemiłosiernie utwór z marszową perkusją i monumentalnymi klawiszami, gdzie Collin prawie szepcze tekst… Rozwleczony utwór, z tymi męczącymi mnie klawiszami i mówionym wokalem. Aha - klawisze czasami przechodzą w pianino… Słabe to dla mnie jest… Ostatni „Is Never To Die" - jest troszkę czadu typowego dla CONFLICTU, co zaciera niesmak po poprzednich utworach. I, jak dla mnie, to cała płyta mogłaby brzmieć, jak ten ostatni kawałek, tylko klawisz bym wywalił w pizdu. Na zawsze…
Jednak najważniejszy w tym zespole był jednak przekaz. O ile teksty w kawałkach ze strony pierwszej są jeszcze mocno polityczne, komentujące niesprawiedliwość, ówczesną rzeczywistość i politykę, o tyle teksty do kawałków z drugiej strony są dość… hmm… Bardziej poetyckie, osobiste? Nie wiele w nich tych słownych ciosów, do których przyzwyczaił nas CONFLICT z lat wcześniejszych… Nie wiem, co Collin i reszta zespołu mieli na myśli nagrywając te kawałki. Czyżby chcieli wyjść poza ramy, w które wepchnęli się w poprzednich latach? Chcieli spróbować czegoś nowego? Załapali się na falę grania w stylu… hmm… NEUROSIS? Nie wyszło. Tak czy inaczej, mnie ta płyta zupełnie nie bierze, natomiast innym może się spodobać. Po prostu kwestia gustu, choć uważam, że CONFLICT z lat 80. był zespołem zjawiskowym, a ten z początku lat 90. to tylko odcinanie kuponów i próba zrobienia czegoś świeżego, co kompletnie nie wypaliło. Grają koncerty do dzisiaj, ale zauważcie, że ci goście od 14 lat nie wydali żadnej nowej płyty, poza koncertówką!!! Reedycja ładnie wydana, pierwsza od 23 lat, do złapania u naszych południowych sąsiadów!

Pablo

CONSPIRACY OF DENIAL/ΛΗΘΗ - s/t split LP
(Scarecrow)

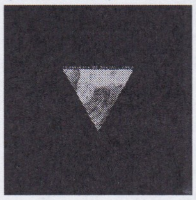

CONSPIRACY OF DENIAL to dość świeży zespół z Aten. W 2012 wypuścili demo, a rok później wydali całkiem dobry album na winylu. Grecy łączą mroczny hardcore z crustem i nieźle im to wychodzi. Wolne partie przechodzą w dość szybkie, d-beatowe momenty, sporo w ich muzyce gitarowych riffów inspirowanych black metalem, dwa wokale - zdarte, wrzaskliwe, bez żadnego charczenia, z czego jeden obsługuje pani o imieniu Christina… Kawałki rozbudowane, urozmaicone, połamane. I oczywiście nastrojowe, choć nie ma tu za wiele typowo greckich klimatów, do jakich przyzwyczaiły nas crustowe kapele z przełomu lat 80. I 90., jak PANIKOS czy FORGOTTEN PROPHECY. W tych wolnych momentach zahaczają ledwo wyczuwalnie o sludge, ale generalnie jest to neo-crust, zbliżony klimatem do FROM ASHES RISE czy EKKAIA. Dwa kawałki zaśpiewane po grecku, dwa po angielsku - na szczęście są tłumaczenia tych greckich, więc jest w nich mrok, depresja i czerń…
ΛΗΘΗ czyli LETHE pochodzą z greckiej Patry, wydali tylko LP w 2013 roku. Zespół porusza się w podobnych klimatach jak CONSPIRACY OF DENIAL - neo-crust, blackened hardcore, klimatem przypominają TRAGEDY, ale znowu brzmienie bardziej szwedzkie w stylu WOLFBRIGADE czy SKITSYSTEM. Oczywiście bez problemu znajdziemy w ich muzyce odnośniki do black metalu, to już chyba reguła u tego typu kapel, choć nie jest to do końca złe posunięcie, bo na pewno urozmaica kawałki Greków. Smutne, nieco depresyjne, ale wrzaskliwe i nastrojowe granie, jednocześnie zakręcone i z delikatnym metalowym ostrzem. Do tego dochodzą apokaliptyczne teksty zaśpiewane po grecku – oczywiście są przetłumaczone na angielski we wkładce, która oprócz liryków zawiera mroczne grafiki. Dwa bardzo dobre i ciekawe zespoły, niekoniecznie tylko dla miłośników neo-crusta. Warto sprawdzić!

Pablo

CRIATURAS - Ruido Antisocial 7"EP
(Todo Destruido, Overthrow Records)

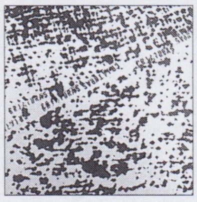

Upłynęły cztery długie lata odkąd CRIATURAS ostatni raz przyatakowali nasze uszy swoją marką punkowego hałasu. Wydawać by się mogło, że przez taki okres czasu można napisać trochę więcej niż 4 piosenki trwające koło 6 minut. Ale nie ilość a jakość się ponoć liczy, a do tej nie można się przyczepić, luks git cud mniut malina. Dla ludzi niezaznajomionych z twórczością Teksańczyków – CRIATURAS do tej pory grali miłego, miejscami melodyjnego pankroka - jak choćby otwierający ostatniego longa tytułowy numer „Espiritu de Libertad" - śpiewanego przez kobietę w języku Cervantesa, z dużą ilością dibitu. Na singielku żadnych melodii zostało mniej, musi ekipa bardziej wkurwiona na życie jest i skupiła się na dibicie bez nachalnego kalkowania kapeli na DIS. Mimo, że używają ich bitu, a i pewnie sporej ilości riffów, to wychodzi im to świeżo i prostolinijnym klonem z pewnością nie można ich nazwać. Mają na swoim koncie kasetkę, dwa longi, a „Ruido Antisocial" to ich drugi singielek. Minimalnie słychać wpływy innych kapel, w których się udzielają muzycy - gitarowy rżnie miejscami jak w DESKONOCIDOS, a garowy napędzał SEVERED HEAD OF STATE, więc nie ma lipy. Od strony muzycznej nie ma słabych punktów – linia basu chodzi jak trzeba i to czasem w dość nieoczekiwanych kierunkach, nie trzyma się sztywno linii gitary, gitarowy szaleje z melodyką i wplata solówki, które bynajmniej nie brzmią jak metalowe walenie konia, laska wydziera się antyspołecznie na lekkim pogłosie, a garowemu nie można mieć nic do zarzucenia od czasu SEVERED HEAD OF STATE, więc nie ma się do czego przyczepić. Tekstowo jest dobrze, choć wiadomo że przy tym stylu raczej musi być sloganowo i prochu się nie wymyśli – „Antyspołeczny Hałas", „Moje Ciało Mój Wybór", „Protestuj i Przeżyj", „Nowy Porządek Świata" i wiadomo o co chodzi. Mam nadzieję, że dostanę w swoje łapy więcej takiego „antyspołecznego hałasu" i nie będę musiał czekać kolejnych stu lat na nowe dźwięki od CRIATURAS.

Rudy

DAN STARK/FOBILE INSTINCT split kaseta
(No Name Distro & Label)

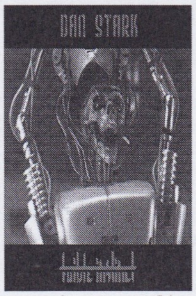

Split dwóch grindowych kapel z Ukrainy, który brzmi naprawdę ciekawie. FOBILE INSTINCT bez zmian. Dobrze zagrany grind core, sporo blastów i wolniejszych momentów. Zresztą opisuję ich w innej recenzji, to może teraz trochę miejsca zostawimy dla ich koleżków z DAN STARK. Kapela pochodzi z Czernihowa, pierwsze demo nagrali w 2011 roku. Na koncie mają kilka pełnych albumów, jak i splitów. Jak sami podkreślają – ich teksty oparte są na

faktach. Poruszają tematy z życia zwykłego szarego człowieka, jak i śpiewają o tych, którzy przyczynili się w jakiś sposób do walki z systemem. Kawałki DAN STARK są ultra fast core'owe z wrzeszczącym hard core'owym wokalem i ogólnie jest to punkowo blastowy mix, a wokalista wydziera się w swoim języku, przez co czuć tamtejszy specyficzny klimacik. Jest też sporo hard core'owych chórków i ogólnie dużo jest u nich tego hard core'a. Dobry split, obydwie kapelki trzymają poziom. Po obu stronach dobre materiały. Polecam tamtejszą scenę, bo jest tam jeszcze sporo ciekawych kapel.

Urbx

DEAD HERRING - Tuna In Trouble kaseta (Paradisarborgarplotur)

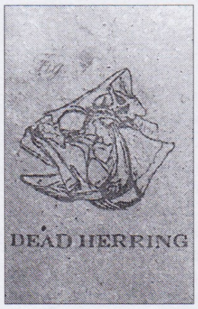

Pierwsze słyszę ich nazwę. Islandzki zespół na kasecie. W ogóle widzieliście kasety z Islandii? Mają takie śmieszne pudełka, można małe kanapeczki w nich schować. Ten materiał już chyba powinien być na winylu. Niestety, ale kapela do mnie nie trafia. W podpowiedzi widzę, że to nie tylko punk, ale sludge metal. Nie wiem co to znaczy, ale jeżeli ten gatunek muzyczny ściśle określa twórczość DEAD HERRING to powinienem się od niego trzymać jak najdalej. Z powodu lenistwa i niechęci do odwiedzenia serwisu RTV kaset słucham jedynie w pracy i kasetka DEAD HERRING zaryczała takim wokalem, że się zawstydziłem i powiedziałem, że też tego nie słucham. I taka jest prawda. Zbyt ekstremalny wokal. Rzyg, wymiot, paw. Ale pewnie w scenie grind, gore może to wzbudzić pozytywne emocje. Grali w tym roku z MEINHOF. Paradisarborgarplotur, czyli łatwiej: pbppunk.com

Grzester

DEFEKT MUZGÓ - Wszyscy jedziemy… LP (Lou & Rocked Boys)

Co mię przyszło na stare lata - pisać recenzję DEFEKTU MUZGÓ… Ehhh… Na szczęście nie jest to żadna produkcja związana z (nie)sławnym Irkiem Jeżem. A tak na serio to fajna jest ta płyta. W drugiej połowie lat 80. DEFEKT MUZGÓ był, obok CELI NR 3, chyba jednym z bardziej melodyjnych punkowych zespołów tamtego okresu. Mieli proste, choć nie prostackie, wpadające w ucho kawałki, które z przyjemnością nuciło się pod nosem. Mieli też dobre teksty. No może nie wszystkie, bo taka „Jolka", „Krystyna" czy „Gorzała", „Full" to lekkie żenua, ale z drugiej strony to każdy miał 17 lat, tak? Pojawiają się na tej płycie takie przebojowe kawałki jak „Defekt mózgu", „Wałbrzych", „A ja żyję", „Maskarada" czy „Gdzie jest prawda". W sumie jest ich tutaj aż 21! Pierwotnie ukazały się one na kasecie wydanej przez Yumi Records w 1991 roku. Nie znalazłem żadnej informacji, w którym roku i gdzie zostało to nagrane, ale przyjmijmy, że właśnie w 1991 roku. Lou & Rocked Boys wydali już wcześniej reedycję tej taśmy na CD w 2007 roku, a teraz wrzucili to na winyl. Czemu nie? Można powiedzieć, że ta płyta to taki the best of DEFEKTU, bo pojawiają się tu kawałki napisane bardzo dawno temu jak „Jolka" (1982), „Kanibalizm" (1984) czy „Upadek republiki" (1983), ale też te zupełnie (wtedy) świeże z 1991 roku jak „My Polacy", „Krystyna", „Polityka". Podoba mi się ten krążek, głównie dlatego, że działa tutaj sentyment. Pod koniec lat 80. słuchaliśmy w załodze sporo polskich zespołów, był wśród nich i DEFEKT MUZGÓ. Widziałem ich nawet w Jarocinie w 1990 roku, gdy grali na scenie na polu namiotowym. Na późniejsze dokonania SEDESÓW MUZGÓ spuśćmy zasłonę milczenia, bo to wiocha była straszna. To, co się dzieje obecnie za sprawą Jeża to jeszcze większe szambo… No szkoda, ale chociaż mam pamiątkę z okresu, kiedy zespół grał jeszcze dość sympatycznie.

Płyta edytorsko dość biednie wydana. Słaba jak piwo bezalkoholowe okładka, z tyłu tylko tytuły, brak jakiegoś zdjęcia czy coś. Jest za to wkładka - z jednej strony koncertowe zdjęcie zespołu „upiększone" pikselozą… Z drugiej strony dwa chujowe zdjęcia oraz przedruk (chyba?) z jakiegoś starego zina – historia zespołu plus kilka tekstów, z czego dwóch kawałków nawet nie ma na płycie… Ej, można to było zrobić lepiej, naprawdę…

Pablo

DEUTER – Demos 1981-1984 LP (Warsaw Pact Records)

Kiedyś piłowało się nagrania DEUTERA z kaset bardzo często, jednym tchem wymieniało się ich nazwę obok DEZERTERA czy XENNY. Jednak wydaje mi się, że dzisiaj ten zespół został trochę zapomniany. Może dlatego, że po roku 1985 poszli w zupełnie odmiennym kierunku muzycznym, podczas gdy punk rock w Polsce święcił lata triumfu. Nie wiem. Trochę szkoda, bo pierwsza połowa lat 80. pokazuje, że DEUTER to był naprawdę dobry punkowy band. Byli dla mnie takim trochę łącznikiem pomiędzy pierwszą falą punka w Polsce, a tym drugim uderzeniem, bardziej politycznym i czadowym. Warsaw Pact serwuje nam nagrania z koncertów i demo. Mamy tutaj cztery kawałki z demo, które nagrali w 1981 roku. Kawałki, które na dobre zakorzeniły się w umysłach polskich punków: „Jeden świat", „Nigdy i w nic", wręcz kultowa „Piosenka o mojej generacji" i anglojęzyczny „Hitlers In The Charts Again" (cover THE EXPLOITED). Kolejne dwa utwory „Wojna" (zajebisty numer!), „Pistolet" pochodzą z demo z 1982 roku, a kolejne trzy z tej strony płyty to utwory koncertowe „System", „Ostatni Dzień" i „Rządzi nami…" też z 1982 roku. Słychać u DEUTERA mocny wpływ brytyjskiego punk rocka, bo tym się wtedy pewnie zasłuchiwali najczęściej. Poza tym, że jest w tych utworach sporo melodii to przede wszystkim brzmią bardzo czadowo jak na lata 1981-1982. No i teksty są pod mocnym wpływem peace-punkowych zespołów brytyjskich – nie wierzą politykom, słychać krzyk rozpaczy zniewolonej jednostki, pojawia się krytyka pokolenia, przemoc, wojna, system… Mocne teksty jak na początek lat 80 i dojrzała muzyka.

Na drugiej stronie pojawiają się nagrania z roku 1984, 5 utworów z demo i dwa z koncertu w Warszawie. Rozpoczynają przyciężkawym gitarowym numerem instrumentalnym z dodatkiem saksofonu, bo trzeba dodać, że ten instrument pojawił się w zespole już na stałe, co na pewno dodało smaczku nagraniom DEUTERA. A potem już lecą same „hiciaki": „Martyr Song", kawałek, którego tekst bez najmniejszego problemu wpasowałby się w rzeczywistość a.d. 2017. „Instrukcja" to odpowiedź na wszechobecny strach przed wojną atomową, który zdominował umysły społeczeństwa w latach 80. Rozpoczyna się motywem z serialu „Czterej pancerni i pies". „Czterdzieści lat" to kolejny kawałek, który śmiało mogliby zagrać i dzisiaj, bo nie od 40 lat, a od 70 nic się nie zmieniło w umysłach ludzi i szarej masy. No, może ta masa już nie jest taka szara, a raczej kolorowa do zrzygania. „Młodym hipokrytom" – hipokrytów i dzisiaj jest mnóstwo, tylko komunistów jakby mniej… „Totalna destrukcja" to jeden z moich ulubionych utworów DEUTERA, chyba dlatego, że jest bardzo melodyjny i łatwo wpada w ucho. Powinni go grać w radiu w tamtych latach, a szczególnie w 1984, bo też i do tego orwellowskiego roku nawiązuje ta piosenka. No i ostatni kawałek o urokach życia w socjalistycznych blokach z wielkiej płyty – „Nie ma ciszy w bloku".

Odrobinę mniej czadowe brzmienie w porównaniu do kawałków z pierwszej strony krążka, ale wciąż ostre i intensywne, no i ciekawie zrobione. Dobrze tu współgra ten saksofon, który raz ciągnie melodię, a innym razem balansuje na granicy muzycznego chaosu lub wspiera gitary w tle. Nie ma tutaj słabego kawałka, numery urozmaicone muzycznie, ciekawie zaaranżowane, zrobione z głową. Jak to musiałoby brzmieć, gdyby DEUTEROWI udało się wejść do studia w tamtych latach i nagrać płytę! No cóż, udało im się to zrobić i nagrali singla „Średniowiecze" w 1986 roku. Niestety, ale w 1986 roku to w polskim punku rządziły zespoły MOSKWA, ABADDON, DEZERTER, REJESTRACJA i wielu innych prekursorów hardcore'a, więc singiel DEUTERA przeszedł bez większego echa. Przede wszystkim dlatego, że te nagrania muzycznie nie miały już nic wspólnego z punk rockiem.

Płyta wydana „na bogato", jak zwykle w Warsaw Pact. Okładka rozkładana i z grafiką stylizowaną na Crass Records. W środku polskie teksty, informacje o nagraniach, kolaże, a na rozkładówce olbrzymie koncertowe zdjęcie DEUTERA. Do tego dwa booklety. Jeden z tekstami po angielsku, mnóstwem kolaży i zdjęć zespołu i Kelnera, wokalisty DEUTERA. Drugi booklet to mini zine „Ludzie będą musieli umrzeć" – również sporo kolaży, teksty DEUTERA, manifesty, grafiki. Bardzo dobrze to wszystko wygląda. No i brzmi wyśmienicie, Smok zrobił dobrą robotę. Namawiam, że to troszkę zapomniany zespół to namawiam to odświeżenia sobie tych nagrań, bo to naprawdę kawał dobrej muzyki, świetny przekaz i zarazem kawał legendy polskiego punk rocka.

Pablo

DOOM/ELECTROZOMBIES - They Love (Fear) Death split 7"EP (Angry Voice)

Weterani crusta z kolejnymi nagraniami, choć tym razem split. Cholera, oni co chwilę coś wydają, co chwilę grają gdzieś koncerty - widocznie prawdziwe życie crusta zaczyna się koło pięćdziesiątki, hehe.

OK, na stronie DOOM trzy kawałki, z czego tylko tytułowy „They Love (Fear) Death" jest ich, dwa pozostałe to covery. Nie, żadna Szwecja ani Japonia… Kawałek „Sandford Had A Vision" oryginalnie grali CRUCIFUCKS. Pamiętacie ich? No w wersji DOOM to jest potęga! A jeszcze większym kopem jest kolejny cover! Nie dość, że wzięli na warsztat utwór „Dig Your Own Grave" zespołu SACRILEGE, to na wokal wskoczyła oryginalna wokalistka tej niezapomnianej thrashowej kapeli, Tam we własnej osobie! Jaki tu jest napierdolek intensywny, panie i panowie! Thrashu nie ma, za to jest klasyczne DOOM-owe brzmienie i wściekła Tam! Wow! Jestem na tak! DOOM to jednak mistrzostwo świata w swojej dziedzinie. ELECTROZOMBIES pochodzą z Chile i choć mają na swoim koncie dość sporo wydawnictw, to jednak jest to mój pierwszy kontakt z tym zespołem. I żeby było ciekawiej to jest to trio, w którym pan śpiewa i gra na gicie, a jedna pani łupie na basie, a druga wali w bębny. Zespół porusza się w klimatach sludge/doom metal, choć brzmienie mają bardziej crustowe niż metalowe. No zamulają dobrze, wgniatają ciężarem w kanapę.

Dopada mnie taki lekko paranoiczny strach wewnętrzny, gdy zespół zaczyna grać bardzo wolno… Czuję się jakby ktoś mi wcisnął śmierdzącą skarpetę w ryj, a na głowę założył reklamówkę z biedronki. Jednak nie tym razem! Bo mimo tych doomowo/sludgowych ciągnących się zwolnień to jednak elektryczne zombiaki stosują też lekko crustową napierdolkę. Surową, niewyszukaną naparzankę, co bardzo urozmaica ich kawałki. Ciekawe granie z Ameryki Południowej, takie inne niż to, do którego przyzwyczaiły nas kapele z Brazylii czy innego Peru. Więcej w tym finezji, kompozycji i przemyślanych dłużyzn. Tylko dwa utwory o strachu, śmierci, końcu świata. No, bo o czym ma pisać zespół grający taką ciężarowo-zamulającą muzę? O różowych jednorożcach? Okładka zrobiona na czarno, natomiast winyl krwisto-czerwony.

Pablo

DRUGCHARGE - Speed Kills + Demo discography tape (Sickhead Records)

Wielbiciele strojów używanych przy zabawach s/m z Północnej Karoliny dorobili się w swojej karierze tylko dwóch nagrań – w dodatku demówek, z których jedną wypuścił Sorry State na flexi. Mi udało się złapać taśmę z całą dyskografią – aż dziesięć piosenek – która przywędrowała do mnie z Malezji. Azja i Ukraina wypuszczają na tym przystępnym finansowo nośniku sporo dobrych dyskografii, których uzbieranie na czarnych plackach zabiłoby lokalsów finansowo. I cieszę się, bo też mogłem za kilka złotych fajne nagrania postawić na półeczce. Wolałbym na wanilu, nie zawsze jednak człowiek ma to, co lubi. "Zarzut o posiadanie narkotyków" gra hardkorowy d-beat, przy którym można się ładnie pobujać, z lekkim chorusem na gitarze, i z fajnymi złamaniami, które by moszingom z pewnością się nie spodobały – jak sam zespół zaznacza "MACHO PUNKS FUCK OFF!". Miejscami DRUGCHARGE przypomina mi zespół, który miał okazję w Polszy zagościć – a mianowicie SCAB EATER z Australii. Ciekawostką jest wokalista, który nie boi się eksperymentów – raz drze się jak opętany, za chwilę nabija się z maniery power vajlensowców, a jeszcze za chwilę chorały gregoriańskie w tle dośpiewuje. Daje to interesujący efekt. Żałuję, że Malezja się nie postarała i nie zamieściła tekstów, ale cóż poradzisz, klepać w klawiaturę się wydawcy nie chciało widocznie. Spoko kasetka, szkoda, że o zespole ostatnio się zrobiło bardzo cicho, posłuchałbym więcej.

Rudy

DURIAN/METH LEPPARD - split 7"EP (Agromosh, Brain Hemorrhage, Jerk Fil-a)

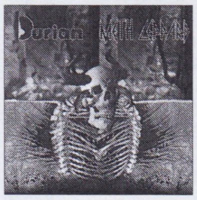

Tym razem w moje ręce wpadła płyta koloru polskiej sceny politycznej. Split pomiędzy australijskim METH LEPPARD i jankesami z DURIAN został podobno wytłoczony w liczbie 500 egzemplarzy, które powinny być fioletowe lub pomarańczowe, ale moja sztuka jak nic ma barwę rzadkiej kupy. Na szczęście jej zawartość gówniana nie jest. Wprost przeciwnie, można powiedzieć, że mamy do czynienia z nieoszlifowanym diamentem, bo oba zespoły, chociaż młode, to mają spory potencjał. Do gustu przypadł mi przede wszystkim METH LEPPARD z Adelajdy, mający na swoim koncie taśmę demo, która obiła się szerokim echem na scenie oraz splity z YACK i BRUCEXCAMPBELL. Zespół tworzą tylko dwie osoby - Ryan, czyli gitarzysta POWERXCHUCK, a na co dzień największy przystojniak antypodów oraz sympatyczny misio Kieran, który obsługuje tutaj perkusję. Na trasie, podczas której obie kapele Ryana przez miesiąc siały zniszczenie w USA, Kieran zasiadał również za zestawem w POWERXCHUCK, ale nie mam pojęcia czy tylko ich wspomagał, czy będzie z tego dłuższa współpraca. W każdym razie panowie dogadują się świetnie i dzięki temu mamy możliwość obcowania z sześcioma kawałkami old school grindcore'a, czyli krótko, zwięźle i na temat bez żadnych solówek i udziwnień. Inspiracje czy raczej pokłony są oczywiste – REPULSION, TERRORIZER, a z młodszych kapel NASHGUL. Zresztą cover pierwszej z wymienionych znajdziecie na tym materiale. W wykonaniu METH LEPPARD jest on blisko o jedną trzecią krótszy, co jest nie lada wyczynem, bo mówimy o utworze, który w oryginale trwa półtorej minuty, hehe. Niestety wkładka nie zawiera tekstów, więc nie wiem, o czym traktują, ale tytuły wskazują, że tę sferę działalności duet traktuje z przymrużeniem oka. Curby zaprosił METH LEPPARD na przyszłoroczny Obscene, więc jest duża szansa na ich europejską trasę w okolicach wakacji. Okupujący drugą stronę DURIAN, pochodzą z New Jersey i oprócz tego materiału, dorobili się tylko wydanej w zeszłym roku demówki. Grind jaki nam serwują to również stara szkoła, ale bardziej od punkowej strony, także odnajdziemy tutaj odrobinę PV, prostsze riffy i więcej surowizny, chociaż moim zdaniem chyba lepiej wypadają jednak Australijczycy. Klasyczny czteroosobowy skład nie kryje swoich zainteresowań, więc poza trzema autorskimi utworami, na deser dostajemy cover „Salt Mine" ASSUCK. Co będę więcej pisał… Solidny split. W sam raz na wieczór bez zobowiązań.

Albin

DYLIŻANS - A Ty nie mów mi… CD (wydawnictwo zespołu)

DYLIŻANS na początku lat 90. był regionalną gwiazdą w Zambrowie. Powstały na gruzach HWDK KALORYFER zadebiutował na sławnym wśród, co poniektórych, Punk Pikniku w Ciechanowcu w roku 1991. Grywał dobrze przyjmowane koncertu w rodzinnym mieście, bardzo rzadko docierając poza własny region. Ich muzyka to mieszanina punka, rocka i reggae (takiego po linii THE CLASH). Duża dawka przebojowości i akceptowalnych przez różną publiczność melodii, jakie wymyślał DYLIŻANS dawały im status alternatywnego guru wśród tubylców. Zespół przestał istnieć w roku 1998 nie pozostawiając po sobie śladu w postaci nagrań. Błąd ten naprawili byli muzycy w roku 2017 wypuszczając ten wspomnieniowy CD z 18 utworami kapeli. Materiał nagrano ponownie z dużą starannością, co do brzmienia + kilkoma zmienionymi tekstami. Całość zaopatrzono w booklet z mini historią zespołu i garścią zdjęć. I choć znając gusta czytelników „Chaosu" propozycja DYLIŻANS wydaje się plasować w bardzo odległej galaktyce to dla wszelkiej maści historycznych punk koneserów może być interesująca. W ostateczności można traktować DYLIŻANS jako produkt regionalny jak babka ziemniaczana czy ser z Korycina, jeno do smakowania uchem. Po ostrych bezkompromisowych czadach może wejść bez popitki. Nakład ograniczony do 200 sztuk w dużej mierze wchłonięty przez zambrowskich autochtonów, ale można próbować szukać.

j.Ap (listopad 2017)

E!E – s/t LP (PHR Records)

Kompletnie mi nie znany (tylko z nazwy!) zespół, który dla czeskich punków jest wręcz kultowy! Powstali w 1987 roku w miejscowości Příbram, grają z powodzeniem do dzisiaj, a na tym krążku to ich debiutancki materiał z 1992 roku, który wtedy sami sobie wydali na winylu! Dzisiaj przypomina nam ten album Papagájův Hlasatel, bo oryginału już się pewnie nie da złapać. Panowie jadą klasycznym punk rockiem, wręcz takim 77, ale ze sporą domieszką słowiańszczyzny. Bardzo melodyjnie, na wesoło, z dobrym przytupem i punkowym wokalem. Zresztą pierwszy numer z płyty „Humusák" to utwór zespołu 999 z własnym tekstem E!E. Pojawiają się jeszcze dwa inne kawałki na starą nutę: „Tak mi dej" (STIFF LITTLE FINGERS) i „Prace" (UNDERTONES). Bardzo sprawnie zagrane kawałki, z chórkami, jedne w klimacie 77, inne nieco szybsze, ale wciąż melodyjne i podparte „brytyjskim soundem". Wszystkie wpadają w ucho po pierwszych dźwiękach. No i do tego wesołe teksty, takie trochę w klimacie „punko-polo", choć napisane z ironią i z dużym przymrużeniem oka. Śpiewają o doli i niedoli punkowców, o miłości, jaka ona ciężka, jest kawałek o tym, że służba w wojsku chujowa jest, ale za to pogo fajne! Praca też jest do dupy, ale za to wkoło dużo fajnych, choć nie łatwych dziewczyn. Śmieszne te teksty, dość prosto napisane, ale świetnie potrafią się wpasować w muzykę E!E. Zespół dla miłośników klasycznego punk rocka, którzy potrafią potraktować rzeczywistość z pewną dozą polewki i ironii.

Pablo

EBOLA/U split kaseta (Scaglie Di Rumore)

Kaseta wydana ultra DIY-owo przez cztery niezależne oficyny z Włoch plus jedna chyba z Grecji. EBOLA prezentuje nam niszczycielski raw as fuck noise core prosto w pysk! Materiał krótki, ale nawet całkiem zjadliwy. Na pewno dla tych, co lubią DECHECHARGE, RUIDO DE ODIO, SHIT 700, NIKUDOREI, PURE NOISE czyli raczej z przeznaczeniem dla grind noise maniaków. Kapela o wdzięcznej nazwie U, tak jak EBOLA pochodzi z Włoch. Z kapelą spotykam się pierwszy raz i nigdy też wcześniej nic o nich nie słyszałem. Materiał pochodzi z koncertu, wcześniej trochę pogrzebałem w necie, aby zobaczyć, co, kto, gdzie i kiedy. Ogólnie bardzo aktywna kapela poruszająca się w klimatach anarcho black metalowych. Mówią, że crust, ale ja tam crusta nic nie znalazłem. Nie moja to dziedzina zupełnie…

Urbx

ELECTROCUTIONER - Blood Of The Pig Must Flow In The Street 7"EP (Make'Em Sweat, Cannabis Records)

O kierwa, kolejna zajebista kapela nagrana na dyktafon przez ścianę. Wszystko pewnie zaczęło się dość niewinnie, siedział sobie koleżka w domu w Los Angeles, słuchał starych japońskich bendów jak ABURADAKO, KEKEJI, STALINA i ZOUO, podkradał riff tu i ówdzie i nagrał sobie kasetkę demo jako tribjut dla ważnych dla niego kapel. Spodobało się, więc dokooptował ekipę i do tej pory już ze 4 kasety wydali, z której mało która 5 minut w długości przekracza. Chwilę zajmie przyzwyczajenie się do bardzo surowej produkcji opierającej się na wyeksponowanym basie, pogo garach i typie o wokalu ciasteczkowego potwora prosto z GISM, ale jeśli sposób nagrania ci chwyci to naprawdę nóżka do potupajki będzie chodzić. Widzę tę piwnicę z przyciemnionym światłem, najebaną ekipę rozbijającą się z browarami, pogującą do syfiastego pogo punka, totalny rozpierdol systemu. Zespołowi taki widok byłby chyba miły, bo tekstowo tylko śmierć i zniszczenie pokazują. Hipsternia gentryfikująca osiedla i windująca czynsze ludziom już tam mieszkającym, bycie odrzuconym ze względu na swój wygląd i szukaniu śmierci po nocy, prosiakom w mundurach też się obrywa... Jest syf, sodoma i swąd spalonego bekonu... Czego innego oczekiwać od „Kata"?

Rudy

EXTREME NOISE TERROR – From One Extreme To Another LP (Radiation Reissues)

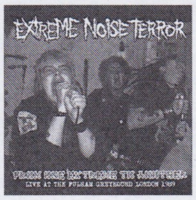

Na tej płycie znajdują się nagrania z koncertu, który odbył się w Fulham Greyhound w Londynie w czerwcu 1989 roku. W tym roku E.N.T. byli świeżo po wydaniu splitu z FILTHKICK i świetnego albumu „A Holocaust In Your Head", więc złote lata zespołu. Mamy tu same miody: "Murder", „False Profit", „Bullshit Propaganda", „Show Us You Care", w sumie 11 kawałków pełnych furii, czadu i napierdolki. Tak naprawdę jest to krążek dla zagorzałych fanów E.N.T., bo wcześniej ten materiał wyszedł na kasecie VHS, potem na DVD, które zresztą posiadam, więc sam nie wiem, po co, kurwa, kupiłem ten winyl. Tym bardziej, że jakość tych nagrań brzmi jak z jakiegoś słabego bootlega… Na okładce dwa kolorowe zdjęcia z tego gigu i żadnej wkładki.

Pablo

FEAR OF WAR – Warsongs 1985-1987 LP (Nausea Records)

Ta płyta wyszła ze dwa lata temu, ale wciąż jest do złapania po dystrybucjach, więc chyba warto o niej coś napisać. FEAR OF WAR to nieco mniej znany zespół szwedzki z lat 80., choć równie fajny jak „topowe" zespoły skandynawskiego d-beatu. Powstali w 1982 roku w Fagersta, za życia nic tak naprawdę nie wydali, ale pojawili się na kilku świetnych kompilacjach. Pierwsze 5 utworów pierwotnie pojawiło się na kompilacji „Afflicted Cries in the Darkness of War" (1986), gdzie FEAR OF WAR towarzyszyli zespołom ANTI-CIMEX, CRUDE SS i ROVSVETT. Kolejne dwa kawałki z 1987 roku z pierwszej strony miały znaleźć się na split singlu z INSTIGATORS. Niestety płytka pod tytułem „India Eyes Cries America Lies" nigdy się nie ukazała. Na drugiej stronie krążka mamy 3 utwory z kultowej składanki „The Vikings Are Coming", gdzie FEAR OF WAR pojawili się obok RESCUES IN FUTURE, BEDRÖVLERZ, RASTA BOYS, UGLY SQUAW, CRUEL MANIAX, BIZARR i CRUDE SS. Ostatnie 4 numery to nagrania demo, które ukazały się w 1985 roku na kompilacyjnej kasecie „Survivors Tapes Vol. 1", a następnie na „Really Fast Vol. 3". Ostatni koncert zagrali z DISORDEREM w Kopenhadze w 1987 roku. Gitarzysta grał później w zespole BAD DREAMS ALWAYS, a dzisiaj udziela się na wokalu w WEED GOBLIN. Perkusista grał później w BEDRÖVLERZ. Basista po rozpadzie zespołu, jak i dzisiaj gra z CRUDE SS. Kapela zaczynała od klasycznego, średnioszybkiego d-beatu, charakterystycznego dla Szwecji, jednak w późniejszych latach przemycili sporo punkowych melodii do swoich kawałków, szczególnie w materiale, który miał się znaleźć na splicie z INSTIGATORS. Nie byli ani tak szybcy, ani tak brutalni, jak MOB 47, CRUDE SS czy wczesny ANTI-CIMEX, jednak to kawał dobrego punka z przytupem, dobrymi disowymi solówkami i nawet dość śpiewnym wokalem. Fajne wspomnienie mniej znanej kapeli z obszernego panteonu szwedzkich zespołów i dobrze, że komuś chciało się zebrać te wszystkie utwory. Nie ma w środku żadnej wkładki z tekstami, zresztą większość kawałków i tak śpiewają po szwedzku. Za to na kopercie jest krótka historia zespołu, trochę zdjęć kapeli i plakaty z ich koncertów.

Pablo

FIGHT THEM ALL – Down The Drain LP (N.I.C., D.I.Y. Koło, BWR)

Tych zespołów inspirowanych amerykańskim hardcorem, który grało się w latach 80. Jest coraz więcej. Z jednej strony to dobrze, że wciąż można czerpać pełnymi garściami z tamtego okresu i inspiracji wciąż jest mnóstwo. Z drugiej strony - czy ciągłe wracanie do korzeni to nie jest regresem? FIGHT THEM ALL dali nam się poznać na koncertach i mogliśmy ich posłuchać z demo z 2012 oraz dwóch EPek, które wyszły w 2014 i 2015. Tym razem duża płyta! Chociaż nie do końca, bo nowych kawałków jest 11 (to na pierwszej stronie), a na drugą stronę krążka poznaniacy wrzucili kawałki z debiutanckiego demo 2012. Można i tak – dobry pomysł. Zamiast 12" mamy teraz pełny LP. Kawałków sporo, bo jak wiadomo „prawdziwy" hardcore gra się szybko, krótko i z wkurwikiem. Tak to właśnie wygląda u FIGHT THEM ALL. Jest energia, wściekłość, szybkość, proste zagrywki, wkurzony wokal… Nie ma sensu wymieniać tych wszystkich zespołów z lat zamierzchłych, z dokonań, których czerpią panowie z FIGHT THEM ALL. Wystarczy, że przywołasz w pamięci 10 twoich ulubionych topowych kapel amerykańskich z lat 80. Nic nowego, tak naprawdę, ale na naszym polskim gruncie to od iluś tam lat wciąż nowe zjawisko, chyba dlatego, że w latach 80. takiego hardcore'a w PRL nikt nie grał. Tak czy inaczej – trochę marudzę, że to jakiś klon czy coś, ale to jest naprawdę świetne granie! Jedne zespoły poszukują czegoś nowego, inne natomiast świetnie się sprawdzają na już dawno obrobionej działeczce. FIGHT THEM grają super! Na koncertach szaleństwo, z płyty też brzmią wyśmienicie i z porządnym kopem. Do tego teksty po angielsku (a jak!) już totalnie wpisują się w tę hardcore'ową otoczkę, a do tego cover bostońskiego LAST RIGHTS dopełniają wizerunku FIGHT THEM ALL. Pamiętajcie, że Poznań zawsze hardcorem stał! Dobre granie, świetny materiał, duży zastrzyk adrenaliny!

Pablo

FOBILE INSTINCT - Age Of Machines kaseta (No Name Distro & Label)

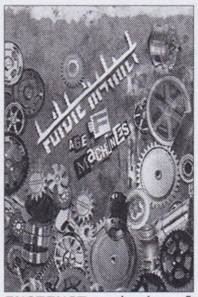

Kasetowa wersja wydana w Rosji i nie ukrywam, że ta taśma przeleżała u mnie na półce trochę czasu, ale myślę, że nie zaszkodzi coś o tej hordzie napisać, zwłaszcza, że nie za wiele kapel z tamtych stron przebija się na Zachód. FOBILE INSTINCT pochodzą z Kijowa na Ukrainie. I myślę, że są dość znani tu i ówdzie. W skład FOBILE INSTINCT wchodzą ludzie z innych grindowych kapel jak SKRUTA czy DEATHBITER. Kapela powstała w 2006 roku, ale maja za sobą już paręnaście dobrych full albumów i splitów, między innymi z KRUPSKAYA, PLAGUE RAGES, DAN STARK, SKRUTA czy ARCHAGATUS. Trzynaście (jeśli dobrze policzyłem) old schoolowych grind kawałków. Jest też karteczka z tekstami po ichniemu i po angielsku - hurrraaa! Mesydż raczej depresyjny - choroby ludzkie, zagłada, czas maszyn... ale jeden kawałek jest też bardzo alko, w szerokim tego słowa znaczeniu, haha! FOBILE INSTINCT bardzo przypominają mi stary NASUM, ale także sporo tutaj wpływów NAPALM DEATH (też starego), ale oczywiście chłopaki kombinują też po swojemu i nie jest to żadna kopia wspomnianych wcześniej kapel. Brzmienie idealne, bo i nisko strojony bas i brudna gitara, a do tego spoko wokale. Bardzo fajnie minął mi czas przy słuchaniu tej kasety. Powiem szczerze, że FOBILE INSTINCT jest to dla mnie zajebistym zaskoczeniem, choć wcześniej słuchałem ich nagrywek i jakoś przeleciały mi przez ucho. Myślę, że warto się zainteresować również innymi ich wydawnictwami.

Urbx

FUCK IT I QUIT - In The Shadow Of Extinction 7"EP (Refuse Records)

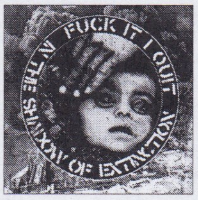

Dziki, gniewny, rozkrzyczany a do tego bardzo intensywny hardcore punk rodem z New Jersey. W roli wokalisty Timothy Shaw znany z ENSIGN. Mimo udziału Tima FUCK IT I QUIET to zupełnie inna para kaloszy. W tym przypadku dominuje wściekłość, ba (!) rzekłbym, iż ta płyta to królestwo wściekłości. Maksymalnie szybkie tempo przybliżające muzykę FIIQ do brzegów krainy fastcore/grind odróżnia ten projekt od żywiołowego, aczkolwiek klasycznego sXe hc ENSIGN. Tekstowo tematy bieżące polityczno-socjologiczno-egzystencjalne. Wszystko oblane potężnym „sosem" goryczy, żółci i złości. Gdyby ktoś szukał przykładów na radykalizację postaw wraz z wiekiem to wg. mnie nowy projekt Tima idealnie się do podbudowania tej tezy nadaje.
Wydane ze sporym pietyzmem, gdyż 8 minutową 7"EP zaopatrzono w nomen omen 8 stronicowy booklet. Opakowanie tej krótkometrażowej złości zdominowane jest przez czerń, biel i odcienie szarości, a więc kolory idealne dla zobrazowania prawdy o stanie ludzkości. Gdyby remake filmu „1984" Michaela Radforda na podstawie powieści Orwella był kręcony w „modny" sposób czyli - kamerą z ręki - mógłby swobodnie wykorzystać jakikolwiek kawałek FUCK IT I QUAIT jako soundtrack. Z pewnością singiel zaskoczy pozytywnie kilku fanów szczerej bezpardonowej „kawy na ławę" i to nie tylko pośród zdeklarowanych słuchaczy ENSIGN.

j.Ap (październik 2017)

FUNKCE ŠROUBU – Řev CD (wydawnictwo zespołu)

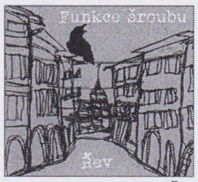

Po odpaleniu płyty ogarnęło mnie lekkie przerażenie, bo z głośników wydobyły się nu metalowe dźwięki czy coś takiego… Uff, jednak zespół zszedł za chwilkę na bardziej przyswajalną przeze mnie muzykę. FUNKCE ŠROUBU pochodzą z Blatná w Czechach i grają już 20 lat, choć na swoim koncie mają zaledwie dwa albumy i singiel. To jest ich najnowsze wydawnictwo z tego roku. Zespół gra to, co od zawsze określało się mianem hc/punk. Ni mniej ni więcej. Po równo obdzielają swoje kawałki solidnym punkiem, jak i typowymi hardcore'owymi zagrywkami. Znaleźli po prostu w tym idealną równowagę. Określenie hardcore punk to dość wąski opis zróżnicowanej muzyki, w sumie można grać wszystko i nic. W przypadku FUNKCE ŠROUBU to określenie to strzał w dziesionę! Po przesłuchaniu tego krążka wiesz od razu, że grają właśnie hc/punk. I to dość solidny - numery nie nudzą, coś tam się cały czas dzieje, jest punkowy przytup, zdarty wokal, zwolnienia, przyśpieszenia, solówki, czasami śladowe melodie. Wszystko sprawnie zagrane i nagrane, kilka fajnych patentów, chórki w refrenach… Jednak mimo swej solidności nie porywa mnie ten zespół. To wszystko już było. Gdyby zespół podał nam swoją muzykę jakoś bardziej nowocześnie, może z domieszką czegoś jeszcze, może z czymś bardzo charakterystycznym to może bym się z lekka podjarał tym CD. Jednak mimo sprawności, warsztatu technicznego i ciekawie zrobionych kawałków nie bierze mnie to. Może przejadł mi się ten tzw. hc/punk? W latach 90., jak ktoś nie grał crusta czy jabol punka to na pewno grał hc/punk… Na pewno nie jest to zły zespół, na pewno mają kilka fajnych tekstów („Dětský hračky", „Město") i kilka niezłych kawałków, ale to za mało, by mnie zainteresować. Wam może ten zespół przypaść do gustu, jak najbardziej, ja jednak nie będę często wracał do tej płyty.

Pablo

GANG GREEN – Another Wasted Night LP (D. & V.)

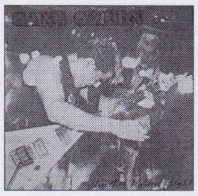

Wydanie bootlegowe czy raczej nieoficjalne pierwszej płyty tej zajebistej hardcore'owej kapeli z Bostonu. Płyta wyszła w Rosji… Na krążku oprócz 8 kawałków z oryginalnego wydania są też bonusy. Tak więc po kolei… Dodatkowo pojawiają się kawałek z „P.M.R.C. Sucks'" i jakieś pierwsze wersje kawałków „Let's Drink Some Beer", „Another Bomb" i „Sold Out Alabama". Lekkie zamieszanie z tymi kawałkami, bo nawet nie są w takiej kolejności jak na „Another Wasted Night". W sumie ciężko dojść, które kawałki skąd pochodzą… No nic to, w sumie mamy 12 utworów na tej płycie. Wyśmienity, wręcz momentami rock'n'rollowy hardcore, szybki, ze sporą ilością solówek i zajebistym, lekko zdartym i bardzo charakterystycznym wokalem Chrisa Doherty'ego, który uwielbiam! Nie ma o czym pisać, bo to klasyka, którą każdy szanujący się miłośnik hc/punk znać powinien. A jeśli zawsze obchodził ten zespół szerokim łukiem, z jakichś tam powodów, to proponuję spróbować jeszcze raz, bo to był naprawdę rasowy zespół! Nagrania na krążku dobrej jakości, choć zbyt wysokich tonów za dużo. Mogło być lepiej… Wkładki zero, jest za to zielono-żółta okładka z czerwonym logasem. Oczywiście lepiej mieć oryginalną płytę z 1986 roku, choć w sumie TAANG, co jakiś czas wypuszcza wznowienie, więc nie wiem, po co ten bootleg? A może to jakaś reedycja na Rosję? Nie mam pojęcia. Ja łyknąłem to wydanie i jakoś specjalnie rozczarowany wydaniem nie jestem, choć mogło być znacznie lepiej – nadal z

przyjemnością słucham kawałków takich jak „Another Wasted Night”, „Skate To Hell”, „Alcohol” czy „Voices Carry”…

Pablo

GAUZE - Genkai Wa Doko Da LP
(Cromaniax)

Wspaniała, choć nieoficjalna reedycja płyty wspaniałego zespołu. Oryginalnie trzecia płyta japońskiego GAUZE wyszła w 1991 roku (choć spotkałem się z datą 1989) nakładem Selfish Records. Od tego czasu nie było żadnego wznowienia na winylu tego krążka, a oryginał na discogs stoi po 170 funtów… Dobrze, że wyszła ta reedycja! GAZUE powstali w 1981 roku, po raz pierwszy pojawili się na kompilacjach „Outsider” w 1982 (obok m.in. GISM, THE COMES, LAUGHIN' NOSE) i „City Rockers”, też z 1982 roku (aż 10 kawałków!). Pierwszą płytę „Fuck Heads” wydali w 1985 roku w ADK Records i to był konkretny cios! Rok później dokopali kolejnym krążkiem „Equalizing Distort”, tym razem była to 12”, i obie te płyty stały się klasyką japońskiego hardcore'a. Dlaczego? Wystarczy posłuchać! „Genkai Wa Doko Da” wydali w 1991 roku i tylko udowodnili wszystkim, że GAUZE nie starzeje się, nie wymięka, nie bawi się w jakieś półśrodki! Od pierwszego do ostatniego kawałka - ogień! Nie ma tu solówek, nie ma zbyt wielu zwolnień, nie ma melodii, za to rządzi połamany, intensywny, agresywny czad! Brudny hardcore, który przypasuje zarówno typowym hardcore'owcom, jak i crustom, a przede wszystkim ucieszą się z tej płyty miłośnicy japońskiego grania. Zespół bardzo różniący się od innych japońskich zespołów, zresztą GAUZE mieli przez lata olbrzymi wpływ na tamtejszą scenę hardcore punk. Nie wiem czy wiecie, ale na 25-lecie istnienia zespołu zagrali koncert, a raczej trzy koncerty - każdy był związany z jedną z trzech płyt, jakie wydali. Do tego skompletowali stare instrumenty i sprzęt, by idealnie oddać brzmienie tamtych krążków. Wyobrażacie to sobie? W sumie na tych występach zagrali aż 51 kawałków! Mistrzowie! Na tym LP mamy 10 utworów, wszystkie tytuły w krzaczkach, oraz fragment koncertu, jaki zagrali w Szkocji w 1989 roku. Płyta ładnie wydana, dźwięk bardzo dobry, w środku wkładka z oryginalnego wydania, do tego kolejna z kolorowymi zdjęciami kapeli i kolejna - plakat z logiem GAUZE. I uwaga! Jest naklejka!!! Płyta, którą warto mieć!

Pablo

GAUZE - Kao O Aratte Denaoshite Koi 12”
(Cromaniax)

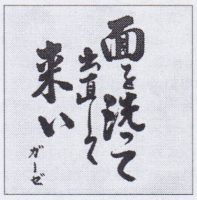

Ta dwunastka oryginalnie wyszła w 1997 roku nakładem XXX Records. Niby nie tak dawno, a na discogs lata po 150 funtów. Powariowali ci ludzie… Na szczęście Cromaniax wychodzą nam naprzeciw i wypuszczają tę reedycję - dzięki! Ten krążek to czwarta pozycja w dyskografii GAUZE, którzy bez żadnych kombinacji nadal potrafią nam skopać dupska swoim hardcore'owym tsunami. To wciąż połamany, nerwowy, a zarazem brudny napierdol, choć crusta czy innego raw punka tu nie ma. Pojawiają się solówki, śladowe ilości melodii, pałker się nie oszczędza, nie wspominając o wokaliście, który jest chwilami wspomagany przez resztę kapeli. O ile dwie pierwsze płyty są już kultowe i nic tego nie podważy, i ktoś może powiedzieć, że kolejne płyty GAUZE nie umywają się do tych z lat 80. to powiem, że się, kurwa, grubo myli! Zajebisty jest ten materiał! Jasne, że troszkę się różni od wcześniejszych krążków (15 lat minęło od powstania kapeli, tak?), ale po pierwszym odpalonym kawałku słychać, że to gra GAUZE! Łamią rytmy, przester taki, jaki powinien być, a prędkość, furia, dzikość jak za dawnych lat! Na krążku aż 10 utworów (znowu krzaczki zamiast tytułów), które naprawdę mi podeszły. Nie wielu zespołom udaje się przy czwartej płycie zrobić powalający materiał, a GAUZE zrobili to z palcem w dupie! Nie na darmo się mówi, że to kultowa kapela. Do winyla dołączona jest wkładka z tekstami po japońsku, plakat z krzaczkami z okładki oraz naklejka. Full wypas! Ja bym na waszym miejscu sięgnął po ten krążek, bo warto usłyszeć, jak się powinno grać prawdziwy hardcore!

Pablo

G.B.H. - Punk Junkies LP
(PHR Records)

Ha! G.B.H. to jeden z pierwszych zagranicznych zespołów punkowych, jaki usłyszałem w swoim życiu. Była to płyta „City Baby Attacked By Rats” - to był cios! Mam ich trzy pierwsze albumy plus kilka kompilacji z singlami. Lubię wczesne kawałki tego zespołu, choć teksty, często, były głupkowate. Za to brzmienie mieli wyśmienite! Przestałem śledzić ten zespół już po płytach wydanych pod koniec lat 80. Byłem na kilku ich koncertach i stare kawałki świetnie sprawdzają się na żywo, a nowszych niestety nie znałem… Płyta „Punk Junkies” wyszła w 1997 roku. Wtedy na tapecie były u mnie zupełnie inne zespoły, inna muzyka, o G.B.H. już dawno zapomniałem. Ta reedycja wyszła w tym roku, więc z ciekawością wrzuciłem tę płytę na patefon. I powiem wam, że po 20 latach ta płyta wciąż daje się słuchać! Charakterystyczny wokal Colina to chyba jedyny łącznik ze starym G.B.H. z lat 80. No może jeszcze tempo kawałków jest podobne. Nowa odsłona zespołu to mocno punkowy crossover! Zrobili taką voltę (podobnie jak EXPLOITED?) stylową chyba już na wcześniejszych płytach, ale na tej już gitary jadą mocno metalowo, choć na punkowym szkielecie. Gitary tną ciężko, ciągną melodię, a smaczku dodają rokendrolowe solówki. Colin na wokalu też się nie oszczędza! W UK pewnie słabe było zainteresowanie tym materiałem, który wyszedł na płycie w Niemczech. Zresztą mam wrażenie, że G.B.H. w tamtym czasie grali chyba więcej koncertów po Stanach i Europie niż w swoim rodzinnym kraju. Z jednej strony ta płyta to nic powalającego na kolana, ale z drugiej - bardzo dobrze mi się jej słucha. Kawałki dobrze zrobione, gitary mieszają thrashowo, wokal też fajny. Jest czadzik, jest melodia tam, gdzie trzeba, no i cały czas coś się dzieje w tych kawałkach. Powiem, że jestem pod wrażeniem! No i teksty też się zmieniły! Rozbudowane, z sensem, nie ma nic o szczurach, dziwkach i wilkołakach, za to jest o zaćpanej młodzieży, o codzienności, w której trzeba płacić rachunki, w której czujesz się samotny, a w tej samotności pomagają ci albo narkotyki albo nowoczesny gadżety. Starych przyjaciół już nie ma, a życie daje popalić. Zahaczają też delikatnie o politykę, bo ta wpieprza się z butami w życie bez zaproszenia… Jest też kawałek o tym, jakie wrażenie wywarło na zespole Tokio czy podróż po Włoszech. Ogólnie fajna to płyta, ciekawa, lajtowo podany crossoverowy punk i tym razem nie jest to żadne odcinanie kuponów od legendy. Nie wiem, szczerze mówiąc, jak G.B.H. grają dzisiaj, ale ta płyta z przed 20 lat jest dobra. Do złapania w Papagájův Hlasatel Records.

Pablo

GRIT - Diamond 7”EP
(Distroy)

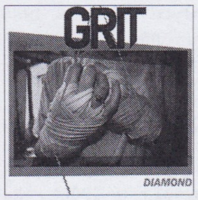

Dublin atakuje! Wygląda na to, że wciąż ci sami ludzie pojawiają się w dublińskich zespołach. Tym razem ludziska z RATS BLOOD, ESPA MAESA, BURNCHURCH, PUTREFACTION… Ale! Ale! To całkiem nowy zespół i debiutancki singiel i pewnie się spodziewacie jakiegoś neo-crusta albo raw punka? A gówno! GRIT wycina melodyjnego oi!/punka z panią na wokalu! Zresztą w poprzednim numerze pojawiła się recenzja ich drugiego singla - oba wydane w 2017! Mają rozmach, co? Sentymentalne smuto-śpiewne cztery kawałki, z miejsca wpadające w ucho, szczególnie, że wokalistka ma miły głos w stylu pani z DEADLINE, choć nie taki słodki. Po prostu GRIT grają sympatyczny, melodyjny, chwytliwy oi/punk. Oczywiście teksty nie poruszają głupkowatych tematów, których pełno w oi'owym kanonie. Z osobistego punktu widzenia opowiadają kilka historyjek z życia wziętych, o facetach, którzy są dupkami, o chujowym życiu, któremu trzeba stawiać czoła, o tym, że zawsze będziemy dawać opór rzeczywistości. Świetne piosenki, wyśmienita wokalistka punkowa, wpadające w ucho riffy, jednym słowem sam miód. Czekam na więcej!!! Oi!

Pablo

GRUZ/CRAH split kaseta
(Nieroby Records)

Raz na rok toruńskie Nieroby wydają kasetę. Jak to nieroby. Po miejscowym bandzie KAROSHI przyszedł czas na split gruzu i krachu. „Mała rzecz a cieszy” powiedziałbym przypominając podobnie miłą kasetę sprzed lat PAŹDZIERNIKA. Wydanie bardzo fajne, estetyczne, porządne. Obie kapele przedstawiają po pięć kawałków, nie za dużo, nie za mało. Podobnie odbieram te zespoły. GRUZ jest z Trzydnika, a nie z Gruzji, mam nadzieję że nie uciekaliście z geografii w szkole? CRAH (czyli CHEAP RIFFS AGAINST HUMANITY) z Trójki. Chętnie zobaczyłbym to na placku, nawet tym malutkim. Z kasety sączą się fajne dźwięki, nie miałem dotąd przyjemności ujrzenia ich face to face, a podobno GRUZ uderza celnie? Obie kapele grają po kilka lat, nie znam ich wcześniejszych, ewentualnych, dokonań z wyjątkiem udziału gitarzysty CRAH w 105 LUX, o ile ktoś pamięta ten zespół. A granie to punk, hardcore punk, taki bardziej inteligentny ten punk, nie ordynarny, nie prymitywny. Prosty, nie znaczy prostacki. Szczególnie dotyczy to CRAHU, których teksty są cytatami z gazet sprzed lat. Chyba stąd ta niechęć do warszawskiej palmy, której nie spodziewałbym się w twórczości podobnych kapel. GRUZ jakby agresywniejszy, ale nie jest to inna liga. Musowo pora słyszeć o nich więcej.

Grzester

GUANTANAMO PARTY PROGRAM - III CD
(Antena Krzyku)

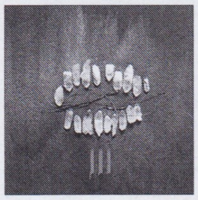

Zespół kazał nam czekać na swoją kolejną płytę aż 4 lata, ale to nawet dobrze, bo po „II”, która mnie rozwaliła na atomy, apetyt na muzykę GUANTANAMO PARTY PROGRAM wzrósł jeszcze bardziej. Oczywiście zastanawiałem się, czy nowy materiał przebije wyśmienitą, poprzednią płytę wrocławiaków. Czy przebiła? Tak naprawdę to trudno mi powiedzieć… Obie płyty przygwoździły mnie do podłogi swoim brzmieniem, intensywnością, mrokiem, wściekłością… Nowa płyta na pewno różni się nieco od „II”, choć nie mam zamiaru rozbierać w tej recenzji ich kawałków na części pierwsze. Nadal brzmią mocarnie i z doskonale wypośrodkowanym mrokiem i wściekłością. Mam wrażenie, że jakby było mniej tych gitarowych ozdobników, charakterystycznych sprzęgów, ale to nic nie ujmuje nowym utworom, bo jednak riffy w nich są doskonale dopracowane. Mało jest zespołów, szczególnie w naszym kraju, którym idealnie udaje się wymieszać sludge'owe brzmienie ze screamową intensywnością, dodać tu i ówdzie elementy noise'a, a wszystko to nałożyć na mocny hardcore'owy szkielet. Chłopaki z GUANTANAMO PARTY PROGRAM są w tym mistrzami, bez dwóch zdań! Klimatyczne, melancholijne momenty gitarowe przechodzą we wściekłe pierdolnięcie, niby walcowate, ale z energią znaną nam z dokonań zespołów crustowych. Gitarowa melodia w piątym kawałku po prostu mnie rozpuszcza kompletnie! Nie polecam słuchania tej płyty późną, deszczową jesienią… Może się to odbić na psychice i układzie nerwowym. Wspomniałem o numerze piątym… No właśnie. Kawałki na tej płycie nie mają tytułów. Podane są tylko ich czasy. Jest tych utworów aż 8, najkrótszy trwa coś

delikatnie ponad 4 minuty, najdłuższy to prawie 6 minutowa suita. Epickie, to chyba dobre słowo, granie, w którym wszystkie kawałki zlewają się w jedną, długą i mroczną opowieść. Bardzo intensywną, nerwową, depresyjną opowieść. Teksty doskonale uzupełniają muzykę serwowaną przez GUANTANAMO PARTY PROGRAM. Mimo, że panowie z zespołu to dość młode chłopy to jednak w tekstach pojawia się najczęściej temat przemijania. Przemijanie, pustka, uciekające chwile… Wiele razy, chciałem cofnąć zegar, lecz czas biegnie tylko w jedną stronę. Bardzo dobrze napisane teksty, mocno depresyjne, smutne, przytłaczające. W połączeniu z muzyką genialnie się zazębiają i wywołują u mnie dość dziwny stan – ni to doła emocjonalnego, ni to ekstazy… Rewelacyjny krążek zespołu, który potrafi we mnie wywołać dużo więcej emocji niż tylko tupanie nóżką. W swoim stylu są obecnie najciekawszym zespołem grającym w tym kraju. I po raz kolejny to udowodnili niniejszą płytą.

Pablo

GUTTER/ΧΩΡΊΣ ΟΊΚΤΟ - Μουσική Για Τα Παιδιά Σας split 7"EP
(Scarecrow)

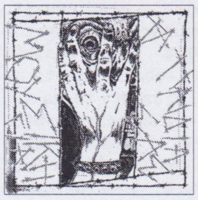

GUTTER z Aten, na koncie mają debiutancki CD-R, singla oraz split LP z DIRTY WOMBS. Nie, żaden znowu crust… Myślicie, że w Grecji gra się tylko crusta? GUTTER napierdalaja surowego old schoolowego hardcore'a, który łapie balans pomiędzy amerykańskim graniem a europejskim hc w stylu B.G.K. Krótko, prosto, z kopytem i kilkoma wkurwiającymi solówkami! Śpiewają po angielsku, zresztą jak większość kapel grających w podobnym stylu w Europie. Trochę szkoda. Jest surowizna, witalność, energia w tych trzech utworach, więc warto sprawdzić GUTTER. To nie jest jakieś super oryginalne granie, ale myślę, że spodoba wam się!
ΧΩΡΊΣ ΟΊΚΤΟ to kolejny świeży zespół z Aten, w którym grają kolesie z kapel ANTIMOB, SARBANTE, ΠΑΡΟΞΥΣΜΌΣ i CUT OFF. W zeszłym roku wydali 12", a w tym split 7" z ANTIMOB. To też hardcore, ale zero amerykanizmów, czysty grecki klimat nawiązujący nieco do lat 80. greckiej sceny, no i zaśpiewany w greckim języku, a to dla mnie duży plus! Dobre, energetyczne i brudne hc/punkowe granie, z dodatkiem tego typowego greckiego smutku, choć wściekłości tu sporo. Tak tylko Grecy mogą zagrać! Kawał dobrej europejskiej łupany, szlamiastej, z delikatną i brudną melodią oraz dobrym wkurwem. Niestety, nie wiem, o czym śpiewają, ale warto łyknąć ten singiel albo sprawdzić inne ich wydawnictwa, bo to dwa bardzo dobre zespoły!

Pablo

HEINOUS - Gore From The Gutter 7"EP
(Bloody Scythe, Cenobite, Grind Father, Ill Faith, Pickle Dick)

Podczas wykopalisk w Arizonie, archeolodzy odkryli zwłoki w zaawansowanym stadium rozkładu. Zgnilizna i dławiący odór w znacznym stopniu utrudniały identyfikację ciała, ale ostatecznie odkryto, że jest to całkiem świeży trup, który zwie się HEINOUS. Za powstanie tego potwora odpowiedzialnych jest trzech dżentelmenów, a „Gore From The Gutter" to ich pierwsze demo, które zarejestrowali w 2016 roku. Po trzech wydaniach kasetowych, trio z Phoenix doczekało się w tym roku jego wersji na siódemce, na której wydanie zrzuciło się aż pięć labeli. Zupełnie się nie dziwię, że materiał tak młodej kapeli doczekał się tylu edycji, gdyż to miód na uszy każdego fana starego grindu i gore. Nie ma tutaj niczego, czego nie słyszelibyśmy już u setek podobnych kapel. HEINOUS nie są jakimiś wirtuozami, struktury tych siedmiu krótkich kawałków są stosunkowo proste, okładka to klasyczny motyw z rozkładającym się ciałem, gardłowe wokale powodują torsje jelit… Można by tak wymieniać, ale jest w tym jednak to „coś", co spowodowało, że nie potrafię przestać ich słuchać. Największa w tym moim zdaniem zasługa ciężkiego i zdołowanego brzmienia, które przenosi nas przynajmniej kilkanaście lat wstecz, kiedy nie liczyły się umiejętności, ale klimat i specyficzny „groove". Miałem przyjemność sprawdzić ich na żywo, także za prawdę powiadam wam, ci sympatyczni kolesie nie biorą jeńców i na pewno nie jest to kolejny sztuczny twór, który potrafi się wykazać tylko w studio. Takie zespoły albo się kocha albo przechodzi obok nich obojętnie. Ja należę do tych pierwszych i nie umiem się doczekać, kiedy w moje ręce wpadnie split ep z innymi moimi ulubieńcami (RADIATION VOMIT) oraz kolejna taśma, które HEINOUS wydali również w tym roku. Biała koperta na płytę ma nadrukowane logo kapeli. Mała rzecz, a cieszy i fajnie wygląda. Oprócz czarnego krążka, do dostania jest również czerwony limit. Dla miłośników gatunku pozycja obowiązkowa!

Albin

HELLEXIST/THE BOLLOCKS split kaseta
(Broken Noise Records)

Ta krótka kaseta zawiera split dwóch fajnych załóg z Malezji, więc let's fckn go!!! HELLEXIST powstali na gruzach grind crustowej kapeli PARKINSON, mocno aktywnej w połowie lat 90. i pochodzącej z miasta Johor Bahru. Strona HELLEXIST zrobiła na mnie naprawdę duże wrażenie i w sumie nie wiem, czego mogłem się spodziewać przed wysłuchaniem tej taśmy, ale na pewno nie tak dobrych kawałków. Obie kapele mają tylko po dwa numery. HELLEXIST podobają mi się bardzo. Metalowy crust core, dość żwawy i na pewno nie dający usnąć w połowie numeru, do tego dobry growling, jakieś krzyczące chórki, naprawdę spoko granie!
Druga strona to legenda malezyjskiej sceny THE BOLLOCKS. Istnieje również kapela o tej samej nazwie w Indonezji i również jest legendą, a co najciekawsze to obie grają podobną nutę, hehe. Osobiście nie śledzę za bardzo dokonań tej kapeli, choć obiło mi się o uszy info, że wydali ostatnio split tejpa z grindowym TOOLS OF TRADE, a ponadto powydawali trochę singli i to nie splitów, hehe! Nazwa THE BOLLOCKS na pewno może skojarzyć się z SEX PISTOLS i może kiedyś tak grali? Teraz z SEX PISTOLS ich muza raczej nie ma nic wspólnego. Choć z drugiej strony pozostaniemy w UK, bo THE BOLLOCKS bardzo przypominają mi THE EXPLOITED. Szybki, drapieżny, agresywny i żwawy punk na pełnej kurwie! Bardzo fajne kawałki. Króciutka kaseta wydana przez label wokalisty HELLEXIST.

Urbx

H.I.C. SYSTEEMI – Total Blackout LP
(Höhnie Records)

Fiński punk rządził w latach 80., bez dwóch zdań. I Höhnie serwuje nam kolejną perełkę z tamtych lat, choć nieco mniej znaną niż KAAOS, RIISTETYT, RATTUS czy TERVEET KÄDET. H.I.C. SYSTEEMI pochodzili z Ylivieska z Północnej Finlandii, powstali w 1981 roku, wydali tylko płytę „Slut" w 1986 roku, ale też pojawili się na kompilacjach „Suomi-Rock 1", „Finnish Spunk/ Hard Beat", „Propaganda - Hardcore '83" czy „Lasta". Z ich longplejem to też ciekawa historia… Miała go wydać Propaganda Records, ale oddała go niemieckiej wytwórni Rock-O-Rama, która zaczęła wydawać coraz więcej nazistowskiego gówna i wydała w 1986 roku płytę H.I.C. SYSTEEMI w pod-labelu o nazwie Erazerhead. Płyta jest zatytułowana „Slut", co po szwedzku znaczy „the end", no ale po angielsku to słowo to określenie na dziwkę… No i bez zgody zespołu pojawiła się okładka z rysunkiem dziwki i punkowca…
I właśnie na tej płycie znajduje się cały ten album (czyli 12 utworów) oraz 8 kawałków nie publikowanych wcześniej na winylu z lat 1982-1985. Co grali H.I.C. SYSTEEMI? Klasyczny i charakterystyczny fiński punk, który delikatnie można porównać do dokonań wczesnego BASTARDS, LAMA, APPENDIX czy KOHU-63. Bez zbytniej melodyki, choć oczywiście z chórkami w refrenach, motorycznie, energicznie, ale bez czadu do którego przyzwyczaili nas RATTUS czy RIISTETYT. Kawałki wpadają w ucho, zagrane są sprawnie i z werwą. Zresztą niewiele znam słabych fińskich zespołów, szczególnie z lat 80. Niezła ciekawostka dla fanów Suomi-punka, dobre granie, no i kolejny kawałek historii. Do płyty dołączona jest wkładka ze zdjęciami kapeli, z tekstami (po fińsku) oraz króciutką historią zespołu.

Pablo

HRDINOVÉ NOVÉ FRONTY - Válka 2xLP
(PHR Records)

No czas najwyższy! Długo czekałem aż ktoś w końcu wyda wczesne nagrania tego zespołu na winylu. H.N.F. czyli HRDINOVÉ NOVÉ FRONTY to jeden z najważniejszych zespołów czechosłowackiego punka. Powstali w Jihlavie w 1985 roku i wraz z innymi kapelami jak F.P.B. czy PLEXIS, zmagali się z ówczesnym systemem za pomocą muzyki i tekstów. Istnieli bodajże do 1991 roku. Zespół wydał kilka kaset demo, ale ta pod tytułem „Válka" (Wojna) była pierwsza i zespół sam ją wypuścił w 1986 roku. Ponownie, lecz z inną okładką, wypuścili ją w 1987 roku. Po masteringu po raz pierwszy te nagrania pojawiają się na winylu. I bardzo dobrze, bo to zajebista kapela była. Słyszę u nich wyraźne inspiracje DEAD KENNEDYS, ale brzmią oryginalnie, bo to jedna zespół z komunistycznej Czechosłowacji, bez dużych wpływów z Zachodu, więc musieli tego punka sami sobie stworzyć. I śmiem twierdzić, że udało im się, bo czeskie zespoły lat 80. wypracowały specyficzny styl gry bardzo dla nich charakterystyczny. Wpływ DEAD KENNEDYS duży, ale czechosłowacki punk był dość psychodeliczny i mimo czadowych kawałków bardziej nerwowy i zeschizowany niż ostry. I to mi się bardzo podoba. H.N.F. też grają w tym „czechosłowackim" stylu – jest szybko, energicznie i ze sporą dawką szaleństwa. Pulsujący niepokojąco bas, garażowo-surfowa gitara i przejmujący wokal, nomen omen, Petra Biafry Štepana. Wszystkie utwory z tego demo, a jest ich aż 18, są majstersztykiem. Poczynając od powolnej ballady „Žiju Jako Štvanec" aż po wyborne hiciaki jak „Barikády Nový Fronty", „To Svět Se Posral", „Tanky!!!" czy tytułowa „Válka". Zajebiście podoba mi się brzmienie gitary w kawałku „Zelený Strašidlo"! No kawał konkretnego punk rocka z socjalistyczne krainy, który oprócz oryginalnej muzyki zmusza nas do myślenia przy pomocy swoich tekstów. Sporo u nich pacyfizmu, sprzeciwu przeciwko wojnie i armii. Dużo w tych tekstach, zresztą świetnie napisanych, sarkazmu i cynizmu. Są też utwory o punkach, jeden o skinach i polewka z podziałów subkulturowych w kawałku „Heavy Metal Je Hnusnej". Bardzo dobre nagrania z lat 80., urozmaicone dżinglami, po masteringu, a wszystkie 18 wciśnięto na dwa krążki! Płyta wydana ładnie, choć ubogo. Przydałaby się jakaś wkładka z historią i zdjęciami zespołu, a tak jest tylko wkładka z tekstami. Poza tym skoro dwie płyty to można było zrobić gatefold. No trudno i tak jestem bardzo szczęśliwy, że w końcu te nagrania ukazały się na winylu! Dodam jeszcze, że panowie z H.N.F. założyli gotycki zespół w 1985 roku o nazwie XIII. STOLETÍ, który gra do dzisiaj!

Pablo

IMPALERS - Cellar Dweller LP
(540 Records/Static Shock Records)

Nie wiem, co dodają do wody w Teksasie, bo i CRIATURAS wydało ostatnio świetnego singla, i POWER TRIP niezłego longa wypuścił, ale wiem, że powinni zacząć mieszać to w kanalizacji

wszędzie na świecie, a z pewnością świetnych kapel powstałoby jak irokezów w 1982. IMPALERS ma już trochę nagrań na koncie, ale śmiem twierdzić, że te 17 minut nieustającej hardkorowej nawałnicy to najlepsze nagranie, jakie do tej pory wypuścili. Chłopaki z rodowodem, co słychać i w technice i pomysłach - solówka z POWER TRIP, d-beat z MAMMOTH GRINDER i HATRED SURGE, hardkor z GLUE. Mieszanka wybuchowa na resorach MOTÖRHEAD, DISCHARGE, a i niektórzy krytycy się i CELTIC FROST dopatrują. Teksańczycy wchodzą na chatę razem z drzwiami, bez zbędnych ceregieli, intr i innych bzdetów, chwila ciszy, głośne nabranie oddechu w płuca i zaczyna się dibitowa apokalipsa okraszona i solówką i potupajką... Znajdą się i wolniejsze momenty – co w wykonaniu IMPALERS oznacza średnio szybkie, się sludge nie spodziewajcie. Zwalniające minimalnie numery, „Technologia" i „Nuklearny Kabaret", z głową umieszczone zostały w połowie mniej więcej płyty, żeby się słuchacz nie zasapał. Na uwagę zasługuje sposób wydania, teksty są wkomponowane w jebutnej wielkości plakat na kredowym papierze, mini komiks i każda z ramek odpowiada tematyce kawałka. A „nabijacze na pal" albo „palownicy" też sporo i konkretnie w swoich piosenkach mówią. Dostaje się młodym profesjonałom, pracownikom korpo, którzy wypierdalają takich jak my z niezłych dzielnic, policji, postępowi technicznemu i kolesiom, których ulepszenia zastępują ludzi maszynami... Mógłbym pisać i pisać, a tego „się nie da opowiedzieć, to trzeba zatańczyć". Ta płyta nie zmieni świata, ale z pewnością podsyci ogień twojego wkurwienia na status quo. Piątka z plusem!

Rudy

INFERNO - Anti-Hagenbach Tape - The Beginning LP
(Power It Up)

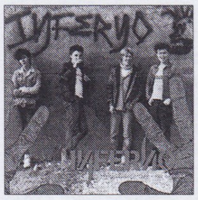

To moja ulubiona hardcore'owa kapela lat 80. z Niemiec! Mam ich trzy albumy i split z THE EXECUTE wydany przez Pusheada! I bardzo się cieszę, że w zeszłym roku w końcu pojawiło się ich pierwsze demo na winylu! INFERNO pochodzili z Augsburga na Bawarii, grali od 1981 do 1992 roku. Zagrali mnóstwo koncertów po całej Europie, wydali sporo płyt, zarówno w Niemczech jak i w Stanach, no klasyka jednym słowem. Spodobali się też Pusheadowi (Pusmort/SEPTIC DEATH), bo przygotował im grafikę na jeden z ich albumów. Pierwszą kasetę demo wydali już w 1983 roku - chłopcy nagrali wszystkie 24 kawałki na tzw. „setkę" w swojej sali prób w Augsburgu. Utwory są szybkie, agresywne i bardzo żywiołowe - coś pomiędzy początkami włoskiego hardcore'a, DISORDEREM, a klasycznym Deutschpunkiem na dopalaczu. A pierwszy numer z tego demo „Wir Sind Schon Tot" brzmi jak nasza REJESTRACJA i nieodparcie kojarzy się z kawałkiem „Nigdy więcej faszyzmu"! Słychać na tej taśmie, że coś się z tej kapeli wykluje zajebistego wkrótce. I tak się stało, bo już rok później wydali zajebisty album „Tod & Wahnsinn", który otworzył im okno na punkowy świat.
Tytuł tego demo to „Anti-Hagenbach Tape". O co chodzi? To dość śmieszna historia… Kim był Hagenbach? Na początku lat 80. niemieckie znane kapele jak SLIME czy TOXOPLASMA zaczęły wydawać swoje płyty w wytwórni AGR. To był punkowy oddział wielkiej wytwórni Modern Music Records GmbH, a to już się punkom z Bawarii nie podobało… Właścicielem tej wytwórni był Karl-Ulrich Walterbach. Ktoś z zespołu w czasie dyskusji o AGR przekręcił niechcący nazwisko właściciela i demo zostało zatytułowane „Anti-Hagenbach" zamiast „Anti-Walterbach". Ot i cała historia…
Do płyty dołączony jest booklet a w nim sporo zdjęć kapeli, wypowiedzi członków INFERNO, sporo plakatów koncertowych, oraz krótka historia nagrania tej taśmy. Nie ma wkładki z tekstami, ale nie szkodzi, bo i tak bym nic nie zrozumiał. Warto się zapoznać z początkami niemieckiego hardcore'a, szczególnie, że INFERNO byli zajebistym zespołem od samego początku!

Pablo

J.F.A., RASH DECISION, BBGC - Dean Lane Hardcore Funday 3 way split 7"EP
(DLH Records)

A to ci niespodzianka! Split z trzema kapeli, które zagrały wspólny koncert na trasie J.F.A. po Wielkiej Brytanii w 2016 roku! Królowie skate punka z Phoenix wciąż w formie. Na ich stronie trzy koncertowe kawałki. Dwa z nich – „Skateboard" i „We Know You Suck" możecie znać z ich debiutanckiego albumu „Valley Of The Yakes" z 1983 roku, a utwór „No More Excuses" ze splitu z THE WORTHLESS i BLUE COLLAR SPECIAL z 2002. Wyśmienity, old schoolowy hardcore, wciąż wywołujący dreszcze!
RASHDECISION pochodzą z Kornwalii i miałem okazję widzieć ich wiele razy. To bardzo dobry zespół. Tutaj z trzema kawałkami ze studia. Też hardcore'owo i na temat, choć bardziej w klimacie POISON IDEA. Nieco bardziej thrashowo, ale z bardzo dobrym kopytem i wkurwionym wokalem. Warto ich sprawdzić. Ostatni zespół to BBGC czyli THE BROKEN BONES GENTELMEN'S CLUB i kompletnie ich nie znam. Zresztą to jest ich jedyne wydawnictwo na jakim się dotychczas pojawili. Też jadą hardcore'owo, choć więcej tu zeschizowanych brzmień i zwolnień, ale jest wściekle, szczególnie wokalnie, więc również mogą się spodobać. Jednym słowem to krótki (tylko 7 kawałków), ale intensywny i żywiołowy singiel, który wpadł mi w ręce, nieomal przypadkiem.

Pablo

JUŻ NIE ŻYJESZ - Nieświat LP
(Atman)

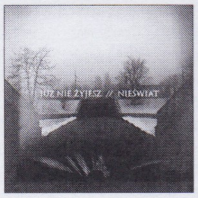

JUŻ NIE ŻYJESZ to zespół z Łodzi, w składzie którego znajdują się panowie z ALLES czy 19 WIOSEN. W 2012 wydali debiutancki CD „Eskpzm", płyta „Nieświat" wyszła dwa lata później nakładem Rockers Publishing, a w tym roku pojawiła się na winylu nakładem Atman-Music. Mnie trafiło się wydanie limitowane w zielonobrudnym kolorze. Nie znam ich pierwszej płyty, z zespołem mam kontakt po raz pierwszy, choć znam zarówno ALLES, jak i 19 WIOSEN. Muzycznie oba zespoły nie mają aż tak wiele wspólnego z tym, co grają JUŻ NIE ŻYJESZ. Poruszają się w klimatach synth-popu, nowej fali, lekko zahaczając o electro, ale jednak pełnymi garściami czerpią z polskiej nowej fali, choć bardziej w tym popowym wydaniu. Momentami barwa głosu wokalisty kojarzy mi się nieco z głosem Roberta Gawlińskiego z MADAME. Jednak elektroniczna (?) perkusja i zwariowane (mo-mentami) klawisze dają zespołowi kompletnie inny wymiar. Wspaniale jest tu wyeksponowany bas, który najbardziej kojarzy się z nową falą, do tego dobre popowe czy „alternatywne" gitary robią robotę, no a najwięcej się tutaj dzieje za sprawą bardzo urozmaiconych klawiszy. Sporo tu pulsowania i elektroniki, czasami w tle, a czasami na pierwszym planie. Dość ciekawy muzyczny miszmasz, na wysokim poziomie, choć to nie jest muzyka łatwa w odbiorze, pomimo tych popowych melodii. Naprawdę wiele się tu dzieje, od wpadających w ucho melodii aż po momenty dźwiękowego szaleństwa. Nie jest to na pewno typowy nowo-, zimno-falowy zespół, których sporo pojawiło się w ostatnim czasie. Ja musiałem się przekonać do ich muzyki po kilku przesłuchaniach płyty, nie weszła ona od razu, lecz powolutku, krok po kroku doceniłem walory JUŻ NIE ŻYJESZ. No i jeszcze teksty… Też specyficzne, zimna poezja o mieście, chłodne i pesymistyczne teksty o rzeczywistości/nierzeczywistości. Niepokój, depresja, zawiedziona miłość, jakaś nostalgia, a wszystko w takim nieco sennym nastroju. Teksty bardzo dobrze napisane i jeszcze lepiej zaśpiewane, zapadają w pamięć na długi czas. Miłośnicy zimnego czy synth-popowego, ale mrocznego grania, którzy poszukują nieco odmiennej nuty, ale wciąż tkwiącej korzeniami w ogólnie pojętej nowej fali i zrobionej na wysokim poziomie powinni sprawdzić ten zespół. Oczywiście, jeśli nie znają, no bo ja, biedny żuczek, dopiero teraz odkryłem JUŻ NIE ŻYJESZ.

Pablo

KARA ŚMIERCI - Demo 89 LP
(N.I.C., Underground Factory)

Kolejny zespół, który, choć nie grał długo, to na stałe wpisał się w historię sceny niezależnej i polskiego hardcore'a. I byli dość popularni na przełomie lat 80. i 90. Pochodzili z Dzierżoniowa, powstali w 1986 roku, zakończyli granie na początku lat 90. Zresztą możecie o nich dowiedzieć się więcej z wywiadu, który ukazał się w poprzednim numerze „Chaosu". Wydali jedno demo i kasetę koncertową i właśnie nagrania z tego demo pojawiły się na tym winylu. Aż 17 utworów, w których KARA ŚMIERCI, wtedy dość nowatorsko, połączyła metal z punk rockiem. No, nie było to aż tak czadowe granie, jak w przypadku zespołów THE CORPSE i NADZÓR, ale wciąż grali szybciej i ciekawiej niż wiele innych zespołów punkowych z tamtego okresu. KARA ŚMIERCI to dobry przykład jak można połączyć punk i metal. To nie był jeszcze crossover, ale świetne połączenie punkowej luty i punkowego wokalu z metalowo tnącymi gitarami. Dość ciekawe połączenie jak na rok 1989. KARA ŚMIERCI była też świetna koncertowo, bo miałem okazję ich widzieć na żywo dwa razy i dali naprawdę czadu. Teksty też mieli fajne, od tych poważnych, komentujących ówczesną rzeczywistość i problemy, do tych z jajem, jak na przykład „Szatan, a nie kogut" czy „Rzepka". Na okładce grafika z oryginalnej okładki demo i fajne graficznie logo zespołu, w środku wkładka ze zdjęciami kapeli i starymi wywiadami z zinów „Zhi-Zoo", „AnFall", „Korek", „Esencja". Brakuje tylko wkładki z tekstami, ale Pastor śpiewa na tyle wyraźnie, że bez problemu można zrozumieć wszystkie liryki KARY ŚMIERCI. Świetne wspomnienie dobrej i oryginalnej kapeli.

Pablo

KING CHUBBY - s/t kaseta
(Paradisarborgarplotur)

Kaseta z Islandii, która bez zastrzeżeń trafia w moje gusta, z tych trzech opisywanych zdecydowanie najfajniejsza. Cztery kawałki klasycznego hardcore punka w średnich tempach. W tekstach chyba specjalnej filozofii nie ma, patrząc na tytuły: „Party time chaos", „I Just wanna punk", „Giving up" i „Fuck life let`s punk". Lider zespołu podobno zaangażowany jest w tę kulturę od wielu lat, ale nie kojarzę kapel, w których grał. To jednak nieważne, ta jest wyborna! Nogi podskakują, miny same się robią, nadają się na ciasne koncerty.

Grzester

KOMPANIA KARNA/SCHIZMA - 1990-1991 DVD-R
(Sub Culture)

Oficyna Nieforemnego puszcza archiwalia koncertowe na dyskach, medal koledze! Tylko kto zafunduje? Nie ma króla punków, który by wręczał, nie ma i fundatorów. A chłop zasłużył. Te DVD to Bydgoszcz i dwie kapele, a jakby jedna. Najpierw KOMPANIA KARNA i trzy koncerty z 1990 roku. Bydgoski klub Za Przejazdem, gdzie drzewiej punkowcy stali samotnie pod ścianami, tu prezentacja z kwietnia '90. W tym samym miesiącu koncert w Pile. Na koniec zestawu październik i Zduńska Wola, w Zduni tylko trzy kawałki, poprzednie koncerty o wiele dłuższe, z coverami BAD BRAINS i FUGAZI. Nie ma tu numerów punkowej KOMPANII, wszystkie znacie z początków obiecującej kariery SCHIZMY: „Następny proszę", „Memento Mori", „Tunel", „Wesołe miasteczko", „Zorba", „To nie jest piosenka o Hawajach"… Jakość nie cudo, ale wystarczająca. Chyba skład jest ważny? Salem, Bobas, Monter i na basie w BDG i Pile Pawcio, a w Zduni Wojtek. SCHIZMA

jest z 1991 i jest to próba z Rynkowa, gdzie wraz z intrem grają sześć numerów znanych już z wykonania KOMPANII KARNEJ (czas przełomu, prawda ekranu). Salem, Bobas, Łuki, Monter, w gościach Model, Świnia i Karol. Fajny dokument, niech hardcore`owcy zobaczą jak się kiedyś SCHIZMA nosiła, mnie się szczerze mówiąc tamten image HC ogólnie nie podobał, w Finlandii chłopcy wiedzieli jak się ubierać, choć w latach tych nagrań już niekoniecznie, tu mamy podróby mody z USA. Bierzcie te DVD prosto od Niefora, będzie schodzić, to więcej takich pozycji będzie na rynku, bo kolega ma co nagrywać.

Grzester

KSU - 1978-1981 LP
(Tryzub Records)

Punkrockowy Banksy znowu nadaje. Tym razem przenosi nas w czasie do przełomu dekad '70/'80. Nagrania KSU, z którymi mamy do czynienia pochodzą z okre-su, gdy ta załoga stanowiła awangardę. Niekoniunktu-ralna, nieprzewidywalna, dzika, tak samo trudna do współpracy z ówczesną władzą, jak niechętna do łatwego obłaskawienia przez podziemną kontrkulturę. KSU, jako zespół znikąd, z zapadłej „dziury" gdzieś na dole polskiej mapy potrafił przekuć to w intrygujące zainteresowania, a z czasem nawet w legendę. Wkurzał, denerwował, iry-tował, inspirował do bycia wbrew, do chodzenia „pod prąd". Dziesiątki szajbusów rozrzuconych po kraju kopiowało ich taśmy, by spośród rzężącego brzmienia wyłuskać, o co im biega. Bootleg przenosi do dni, w których banda wyrostków z Ustrzyk Dolnych dla wielu była zjawiskiem. Wydawca doskonale to zrozumiał. Z dużym uczuciem i estetycznym smakiem zaklął w winyl kostropato-archaiczne KSU z lat 1978-81, gdy byli wrzodem na usilnie promowanym idyllicznym obliczu socjalizmu. Dziś po tym bezkompromisowym KSU nie ma śladu. Dziś obok rozmiękczonego i ułagodzonego repertuaru współczesnego KSU pojawia się ta płyta. Szorstka, surowa, chropowata, w żadnym miejscu nieprzypudrowana - po prostu prawdziwa. Nakład mocno ograniczony. Zawiera dwa inserty: zdjęcia + teksty. Strona A: nagrania z prób i koncertów 1978-81. Strona B: to live z 21.08.1981 w klubie „Górnik" w Ustrzykach Dolnych. Adresu brak, jak to u Banksy'ego.

j.Ap (lipiec 2017)

LIFE/EBOLA split kaseta
(Scaglie Di Rumore)

Dobrze zapowiadający się split włosko-japoński. Ka-seta ładnie wydana, z nietypową rozkładówką oraz dodatkowo z mini książeczką z tekstami. Kasetę wydały cztery włoskie labele, w tym label koleżki z EBOLA (Heresia Records). Kaseta jest benefitem dla ocalałych po katastrofie nuklearnej w Fukushimie, cel zacny! Zaczniemy od włoskiego noise burdelu, jakim jest EBOLA. Kapela podkreśla, że wie, iż były inne kapele o nazwie EBOLA, ale uważają, że nazwa nie jest najważniejsza. Ich materiał pochodzi z koncertu w Tokio z 2015 roku. Coś tam niby słychać, ale ogólnie to charczący noise core. I mimo, że panowie noise'a grają na co dzień to ta nagrywka ma podwójnego kopa za sprawą jakości nagrania tego koncertu, haha. Tylko dla freaków - 7 MINUTES OF NAUSEA, ANAL CUNT, YES MEANS YES. Zespół gra też kilka coverów: FEAR OF GOD, CRIPPLE BASTARDS, SORE THROAT, SORTO czy WRETCHED. Kapela porusza się w klimatach anarcho grind core noise hc punk, a w tekstach raczej przekaz społeczno-polityczny i depresyjno-wojenny. Razem dwadzieścia jeden numerów!
Japoński LIFE jest znaną kapelą, od razu zaznaczę, że nagrania na ich stronie również pochodzą z koncertu, tyle, że z innego, ale da się tego posłuchać. Wszystkie teksty LIFE poruszają sprawy związane z zagładą planety, mówią o Hiroszimie, bombie atomowej, nuklearnym zagrożeniu i zanieczyszczeniu środowiska. LIFE pogrywa jap core'a i przypominają mi troszkę BEYOND DESCRIPTION, ale LIFE jest wolniejszy, choć mógłby być to fajny split. Dziesięć numerów japońskiego hard core'a w starym stylu.

Urbx

LIFE SCARES - Brud i brokat 12"
(D.I.Y. Koło)

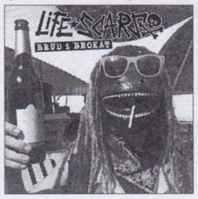

Myślałem, że LIFE SCARS już sobie odpuścili granie na rzecz SOCIAL CRISIS, ale nie! Po CD, splicie z BAGNA i pocztówce dźwiękowej, po czterech latach, raczą nas najnowszym materiałem! Zespół w świetnej formie, ten ich skłoterski punk łapie za serducho. Skłoterski? No może już na skłocie nie mieszkają, ale materiał ten nagrywali w przenośnym studiu Jędrasa, Riot Studio, na poznańskim Rozbracie, tak więc, oprócz stylu gry, mieszczą się w pojęciu skłoterskiego punka, tak? Dziewczyny wraz z Majkiem wysmażyły po raz kolejny dobre punkowe piosenki. Przybrudzony, średnio-szybki punk rock, ze sporą dawką smutnej melodii, przytupem i przede wszystkim poruszającymi tekstami. Wpadają w ucho te piosenki od pierwszych taktów! Teksty o punkowym życiu, o scenie, przyjaźni, szacunku, współpracy, ale też o problemach, zarówno na tej naszej scenie, jak i w codziennym życiu. Granice, które dzielą ludzi, społeczna nienawiść, ludzie owładnięci nacjonalizmem, zakłamani politycy, zionący nietolerancją katolicy, dyskryminacja, cierpienie zwierząt… Proste, ale fajnie napisane i przede wszystkim bardzo szczere i poruszające teksty. Muzyka to tylko podkład, ale przekaz jest tutaj najważniejszy – wszyscy znamy te problemy, stykamy się z nimi na co dzień, dołuje nas bezsilność wobec tego całego kurewstwa… Jednak LIFE SCARS na osłodę serwują nam kawałek tytułowy „Brud i brokat" – choć wokół tyle syfu i spojrzenia wrogie na mojej twarzy brokat, a w sercu płonie ogień!!!
Na krążku aż 10 kawałków, z czego „Czas" znamy z ich debiutanckiego CD, ale tutaj śpiewa gościnnie Marlena. Płytę wydało wspólnie dość sporo wytwórni: Hasiok Records, D.I.Y. Koło, Scream Records, Melina Crew Records, Up The Punx, Stradoom, No Justice Records, Domovitoe Distro, Deviance, Tofu Guerilla.

Pablo

LIMP WRIST - Facades LP
(Lengua Armada Discos, La Vida Es Un Mus)

Tego zespołu nikomu nie trzeba przedstawiać – moi ulubieni geje z Chicago wracają z jedenastoma nu-merami swojego hardkora, którego znakiem roz-poznawczym nadal jest wkur-wiony wokal Martina Sorron-deguya. Pięć dych niemal na karku i kilka kilogramów więcej od czasów LOS CRUDOS, a nie słychać wcale jakby facetowi silnik zwalniał. Muzycznie przez dziewięć lat od ostatniej płyty zmieniło się sporo; w gitarowych numerach nie ma już przewagi szybkiego amerykańskiego hard core'a pełnego witriolu, jest całkiem sporo wolniejszych numerów, średnie tempa też są na poszanowaniu. Gitary też jakby odrobinę cięższe, mniej jazgotliwe, a i w melodiach mniej jakby wesołości – zaczątki zmian można było już usłyszeć na płycie sprzed 9 lat – lekka solówka i granie na pojedynczej strunie pojawiło się już w „Collapse". Ciekawostką jest ostatnie 7 minut na płycie – elektroniki zazwyczaj nie włączam i mimo, że to LIMP WRIST, to tej w ich wydaniu też nie mam zamiaru słuchać. Rozumiem, że może jest to próba przyciągnięcia świeżej krwi do sceny – o czym mówi i jeden z numerów – ale pozwolicie, że spasuję. Tekstowo jest dobrze i ciekawie, nie ma tekstów okołoscenowych, za to można mieć wgląd w problemy osób na bakier z dominującą orientacją seksualną. „Gruba Skóra" to życiowo tak naprawdę bardzo uniwersalny tekst, trzeba nauczyć się przyjmować chujnie życia na klatę czy jesteś gejem, transem czy zwyczajnym hetero.
Kilkudziesięciostronicowy zine dołączony do płyty skupia się na niedocenionych i nieznanych queer artystach i celebruje doświadczenia queer punków z różnych zakątków świata – Azji, Ameryki Południowej, brakuje tylko Europy i Afryki, o Bliskim Wschodzie nie wspomnę. Są to ważne głosy, które rzadko przebijają się w hałasie topowych kapel z Ameryki czy Europy. Jako że mam słabość do zespołu to zafundowałem sobie obie wersje i jedyną różnicą w wydaniu jest papier, na którym wydrukowany został zine - w amerykańskiej wersji użyto papieru gazetowego, przypominającego ten z „Maximum Rock'n'Rolla, zaś w europejskiej mamy lepszej jakości, większej gramatury bieluteńki papierek komiksowy niemal. Dobra i ważna płyta, choć mogłoby być więcej szybszych piosenek, haha.

Rudy

LITTLE BOY - Cry CD
(Hardcore Tattoo Records)

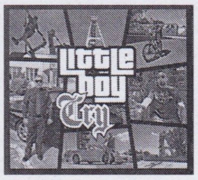

Drugim wydawnictwem ra-czkującego Hardcore Ta-ttoo jest śląski LITTLE BOY. Na początku (sam nie wiem czemu) trochę się uprzedziłem, myśląc, że muzyka LITTLE BOYA to będzie ciężki toporny hardkur, niczym kilof górnika na grubie. A tu miły zaskok, płyta jest tak fajna, że zagościła na długo w moim odtwarzaczu. LITTLE BOY gra ultra przebojowy (o ile tak można powiedzieć, o tego typu muzyce) hardcore z wyraźnymi wpływami oi czy oldschol hc, czasem pojawiają się motywy rodem ze SCHIZMY, ale to akurat nie jest zarzut, a wręcz pochwała. Brzmienie całości jest na pełnym dojebaniu, mięsiście i ciężko. Wokal Weissa jest słyszalny i zrozumiały, całości wokali dopełniają świetne chórki, w których śpiewa chyba cała Silesia Attack Crew + krakowscy wydawcy. Tekstowo, też nie ma litości, jest konkretnie, bym powiedział punkowo. Dostaje się korporacjom, rządom, systemowi, jest też tekst o united, zaś hitem jest dla mnie zaśpiewany po śląsku „Dycki tukej" - ja pierdolę, chcę całą następną płytę po śląsku!!! To jest zajebiste połączenie! Płyta wydana w miłym dla oczu digipacku (ładny skład) z matowa folią. Hardcore Tattoo, dobra robota i czekamy na następne wydawnictwa!

QbaQ

LOVTE - It Is Not A Lack Of Love, But A Lack Of Communication CD
(wydawnictwo zespołu)

Pilsko-poznański LOVTE to supergrupa, w której grają członkowie MOJEJ POŁOWY, DESZCZU, WOJNY, ASTRID LINDRGEN, SHAPE OF MY FALL. Z tak do-świadczonymi muzykami nie może być lipy i nie ma lipy, wszystko jest na naj-wyższym poziomie. Dokładnie 11 lat temu organizowałem gig AMANDY WOODWARD, gdzie grało także SHAPE OF MY FALL, zespół, w którym udzielał się xHoodyx i Magda (teraz LOVTE), Magda miała wtedy naście lat. Już wtedy jej wokal bardzo przykuwał uwagę. Magda założyła swój solowy projekt VITTUMA i rozwinęła bardzo mocno swój warsztat wokalny. Połączenie ekstremalnego czadu, gdzie przeplatają się screamowe tarki gitarowe, black metalowe riffy z opętańczymi punkowymi rytmami i drącym się wokalem, a w kontrze magiczny głos Magdy robi niesamowite wrażenie. Jeśli ktoś miał okazję widzieć LOVTE na żywo (miałem tę przyjemność) i widział pląsającą Magdę, to wie, jaka magia robi się na ich gigach. Jest moc!!! O tekstach nie mogę wiele napisać, bo nie ma ich na płycie. Samą płytę zespół wydał sam, nie prosząc się nikogo o wydanie. DIY panie, DIY – to cenię. Płyta LOVTE to dla mnie hit jesieni i z niecierpliwością czekam na następne nagrania (aż się prosi winyl)!

QbaQ

LUMPY AND THE DUMPERS - Huff My Sack LP
(La Vida Es Un Mus)

Jak może podobać się płyta pojebów, którzy nagrali swoje piosenki na magnetofon marki Kasprzak przez ścianę i to w dodatku z kocem na głośniku? W dodatku, co to za tytuł, „Niuchaj mój wór", zero poczucia dobrego smaku, co oni sobie wyobrażają, że my nadal jesteśmy w przedszkolu albo, co najwyżej, w podstawówce? Moje wyczucie gustu nie pozwalało mi zachłysnąć się smrodem Lumpy'ego i jego bandy, i nawet nie chcę myśleć, ile swego życia straciłem nie znając tego aromatu syfu i degrengolady. Long jest jedynym nagraniem zespołu, który mnie kupuje w całości – 9 numerów, 17 minut zadziornego, usmarowanego potem i innymi cielesnymi wydzielinami hardkora z wokalistą skrzeczącym jak Doc Corbin Dart z CRUCIFUCKS. Nie ma dibitów, są średnio szybkie tempa, więc zwolennicy prędkości nie mają po co tej płyty wrzucać na patefon i marnować igły. Nie samą napierdalanką człowiek żyje a LUMPY'emu warto dać szansę. Jak tu się nie zakochać w tekstach typu „jesteś tak pełen gówna, że powinieneś być poddany aborcji, gadasz tyle bzdur, że wtulę twoją twarz w moją szparę, czas oczyścić się moimi jajami". Albo „Mamusiu, mamusiu, odeszły ci wody, przewracasz oczami, a wnętrzności ci się gotują, a za cały twój ból jedyne, co dostaniesz to chłopca, który będzie dobry w wąchaniu cudzej dupy. Nigdy nic nie zakwestionuje, nigdy się nie podda, zawsze będzie dobrym poddanym. Będzie wzorem bez kręgosłupa, tak samo jak wszystkie inne szkodniki stojące równiutko w szeregu, będzie mu się wydawało, że pnie się w górę, lecz tak naprawdę będzie stał w miejscu. Mamusiu, odeszły ci wody, wydaje ci się, że warto, lecz cóż, mylisz się srogo, twój nędzny chłopczyk będzie gówno wart, nigdy nie był i nie będzie, warte nic jebadełko". Tak dużej dozy entuzjazmu i pozytywnego podejścia do drugiej istoty ludzkiej – wnoszę, że wynikającej z doświadczenia i osobistych traum - nie słyszałem już dawno. Mnie kupili i od dwóch tygów katuję na okrągło.

Rudy

MASSGRAVE – The Absurdity Of Humanity LP
(Haunted Hotel)

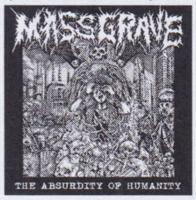

Pod pretekstem degustacji nalewki z aronii, zostałem wczoraj podstępem zaciągnięty na projekcję jakiegoś podobno ważnego meczu w telewizji. Na piłce nożnej znam się tylko na tyle, żeby dla własnego bezpieczeństwa wiedzieć komu kibicują w moim mieście, tak więc, aby dzisiaj uniknąć następnej „niespodzianki" (i kolejnego bólu głowy, hehe), postanowiłem zapuścić pewniaka, po którym nie spodziewałem się żadnych nowinek czy zmiany podejścia do grania. Już po pierwszych sekundach spadł mi kamień z serca. Na szczęście miałem rację - Kanadyjczycy z MASSGRAVE nie odkryli w sobie ducha post punka i dalej napierdalają mocarnego crust/grinda bez żadnych udziwnień. Zespół od lat grał w prawie niezmienionym składzie, ale na tym materiale zmienił się jeden z wokalistów, jednak jest to czysta kosmetyka, gdyż bez spojrzenia we wkładkę, ciężko zorientować się, że w ekipie brakuje Woody'ego. Od wydania poprzedniego pełnego materiału minęło już ponad 6 lat, ale recenzowana tutaj płyta została nagrana pod koniec 2014 roku. Chociaż nikt nie sili się tutaj na oryginalność, a nawiązania do DISRUPT i pozostałych tuzów gatunku są oczywiste, to jednak dzięki brzmieniu, które MASSGRAVE wypracowali na przestrzeni lat, już po chwili słuchania nie można ich pomylić z nikim innym, także jeśli słyszeliście ich starsze nagrania, to doskonale wiecie czego się spodziewać. Jednakże, w przeciwieństwie do większości współczesnych kapel, piątka z Vancouver z każdym nowym materiałem gra co raz szybciej i brutalniej, a chwilę oddechu dostajemy tylko w dwóch kawałkach - „RCMPIG" (zajebisty hc/punkowy początek) oraz „Fascist", który wyróżnia się wolnym tempem i ciężarem. Parenaście kawałków w mniej niż dwadzieścia minut to idealna dawka dla takiego grania. Warstwa tekstowa również nie przynosi większych niespodzianek. MASSGRAVE, oprócz standardowych tematów dotyczących homofobii, policji, polityków, rosnącego w siłę faszyzmu, nierówności społecznych czy głodu, zawsze bardzo duża uwagę poświęcają w swoich tekstach przyrodzie, a raczej tym wszystkim okropieństwom, które Ziemia zawdzięcza ludzkości. Niestety, ale dalej sramy do własnej piaskownicy, jak to określili w utworze „Futile Future" i nie ma żadnych perspektyw na poprawę tego stanu rzeczy. Staczamy się po równi pochyłej ku zagładzie naszego gatunku. Tekstom jak zwykle towarzyszą ponure kolaże zdjęć pokazujących jak ludzie traktują swoją planetę. Wszystkiego dopełnia czarno-biała okładka autorstwa Stiva, którego rysunki możecie kojarzyć miedzy innymi z płyt KONTATTO, a sam motyw został również dołączony do tego wydawnictwa w formie dużego plakatu. Płyta wyszła za Oceanem pod banderą Haunted Hotel Records w liczbie 500 czarnych egzemplarzy i powoli pojawia się w Europie, także możecie rozpocząć poszukiwania i dać sobie skopać dupska tym zajebistym materiałem.

Albin

MATKA TERESA/MULTINATIONAL CORPORATIONS – split 5"EP
(Extreme Terror Production, Grindfather, Twi-sted Truth)

Przesłuchanie tego materiału zabiera dużo mniej czasu niż przeczytanie tej recenzji. Po kilkunastu odbiciach ramienia, w końcu udało mi się zapuścić ten pięciocalowy lathe cut, będący idealnym przykładem na to, że na scenie nie ma granic, a D.I.Y. ma się całkiem dobrze. Sami powiedzcie, kiedy ostatnio mieliście w rękach split kapel z Holandii i Pakistanu, wydany przez labele z kraju tulipanów, Anglii i Rosji? Świat jest naprawdę mały. Zacznijmy od najbardziej „egzotycznego" elementu całej układanki, czyli pochodzących z Lahore w Pakistanie MULTINATIONAL CORPORATIONS. Zespół powstał w 2011 roku i ma na koncie jedno demo, materiał promo oraz epkę „Jamat-Al-Maut", wydaną jako CD-R w Kostaryce oraz na taśmach w USA i przez niezmordowanego Jacka z Grindfather. Trzon tego grind/crustowego zespołu stanowią Hassan i Sheraz - dwóch bardzo aktywnych gości, którzy maczali palce w wielu, głównie metalowych, projektach. Zresztą metalowe wpływy w tym minutowym kawałku słychać („wokalu" na początku nie powstydziłby się sam krzykacz NUNSLAUGHTER, hehe), ale po za tym dostajemy solidną dawkę surowego i stosunkowo prostego grindowego łomotu. Nawet fajnie się tego słucha, a sam zespół ma dużo do powiedzenia w tematach społeczno-politycznych, także „Jihad" posiada kilka linijek tekstu, które można sobie spokojnie poczytać w trakcie słuchania (jeśli zdążycie otworzyć okładkę przed końcem kawałka, hehe). Ciekawskim polecam zajrzeć na profil MULTINATIONAL CORPORATIONS, gdzie regularnie wrzucają kawałki kapel z Indii, Nepalu czy Bangladeszu. Parę minut stresu przy gramofonie, kilka siwych włosów więcej i możemy się brać za MATKĘ TERESĘ. Mam nadzieję, że nikomu tutaj nie trzeba przedstawiać tego zespołu, więc nie będę przynudzał pisaniem, że trzon kapeli stanowią Polacy i mają na koncie tonę splitów z takimi składami jak FUCK ON THE BEACH, SAKATAT czy UNHOLY GRAVE. Ich kawałek jest tylko o kilka sekund dłuższy od towarzyszy z drugiej strony. Niestety ten sympatyczny utwór zatytułowany „Fuck This World, This Is Hell", to jedno z ostatnich tchnień MATKI TERESY, która podobno zakończyła swój żywot (albo ta bezduszna starucha wygrzewa się gdzieś w ciepłych krajach za te wszystkie zrabowane pieniądze, hehe), ale w kolejce do wydania czeka jeszcze parę materiałów, a 2/3 składu z tej nagrywki odnajdziecie w zajebistym PARALYZED SOCIETY. Zresztą ten kawałek kojarzy mi się właśnie z twórczością PxSx. Duża w tym zasługa surowego, garażowego brzmienia, które nie każdemu może przypaść do gustu, ale o nim się podobno nie dyskutuje. Najlepiej sprawdźć samemu. Nad tłoczeniem całego materiału pieczę sprawował Mik z TWISTED TRUTH, także fuszerki nie ma i ta lathe brzmi jak powinna. Wyszło jakieś 66 przeźroczystych kopii, ale jeśli się pospieszycie, to powinniście jeszcze dorwać je u wydawców.

Albin

MODERN LOVE - Tross Alt LP
(Refuse Records, Stone Henge)

Dość zaskakująca pozycja jak na preferencje sty-listyczne, do których przyzwyczaiła nas wytwórnia Refuse. Są z Oslo i jest to ich pierwsza pełnowymiarowa płyta. Przeglądając źró-dła - na koncie mają je-dnak dwa single: split z macedońskim BERNAYS PROPAGANDA z 2013 roku oraz samodzielny „Small Stone" z 2014 roku. MODERN LOVE to mieszanina stonowanych średnio szybkich brzmień przywołujących na myśl korzenne emo '90, ale też post punk z mieszaniną indie i nowej fali. Grają tu muzycy z DAMAGE CONTROL, DEATH IS NOT GLAMOROUS, SUBJECT TO CHANGE, KIDS LIKE US, a więc ludzie z zespołów o dość ostrzejszej stylistyce od tego, co preferuje MODERN LOVE. W tym kontekście projekt wydaje się być próbą odnalezienia innej, bardziej odpowiedniej formuły dla osobisto-wewnętrznych treści, jakie niesie ich przekaz. Pomimo, iż na płycie wszystko bardzo ładnie współgra (muzyka, aranżacje, teksty) to jednak czegoś brakuje. Ten materiał jest trochę jak potrawa bez przypraw. Bez wbijających się w pamięć kawałków całość jawi się jak posiłek bez wiodącego smaku. Wszystko jest solidnie zagrane, utrzymane w stylistyce, jednak ciut beznamiętne, przez co szybko ulatujące uwadze. W latach 90 ten zespół „utonąłby" w zalewie sobie podobnych. W roku 2017 jawi się jednak dość oryginalnie w swym osamotnieniu. To jednak trochę za mało. I choć temu długogrającemu debiutowi nie towarzyszą fajerwerki nie należy skreślać MODERN LOVE z celownika uwagi. Kto wie, czy kolejna odsłona ich pomysłów nie okaże się powalającym hitem. Podstawy są - pozostaje czekać.

j.Ap (wrzesień 2017)

MOOM - I + II 7"EP
(N.I.C., Kiwi Killer)

A to ci! Kudłaty wypuścił singla kapeli grającej w klimatach power violence, która pochodzi z Tel-Avivu! Zespół kompletnie mi nieznany, zresztą scenę hardcore w Izraelu znam słabo, raptem kilka zespołów. Na tym singlu znajduje się osiem kawałków, które pochodzą z dwóch singli MOOM, czyli w sumie wszystko, co do tej pory nagrali. Napisałem, że grają power violence, tak? No tak naprawdę to miksują w swojej muzyce dosłownie wszystko! Jest tu wściekły power violence, wkurwiony hardcore, momenty grindowe z lekkim growlem w tle, jest zamulający sludge. No i na wokalu wkurzona pani, która całkiem sympatycznie drze japkę! Bardzo energiczne granie, fajnie wymieszane stylowo kawałki, jest prędkość na przemian z zamułą, ale jednak te power violence'owe klimaty dominują. Kawałki oczywiście połamane, zmian tempa, co nie miara, no i brutalu dodaje wściekła wokalistka. Całkiem to fajne jest! Sześć kawałków zaśpiewanych po angielsku, dwa po hebrajsku, tak dla podtrzymania egzotyczności zespołu. W tekstach przewija się wszechobecny system, zniewolenie jednostki, kłamstwa, destrukcyjne ciągotki ludzkiej natury. No nie powiem, zaskoczył mnie ten zespół, bo przyznam szczerze, że spodziewałem się

jakiejś grindowej nawalanki na sztampowym podwoziu, a to jednak jest ciekawe granie. Może nie odkrywcze, bazujące na sprawdzonych patentach, ale ciekawe, energiczne, z kopytem, no i pani się nie oszczędza! Poza tym są z Izraela, więc warto się zapoznać.

Pablo

MÖRKHIMMEL/THE TOWER – s/t split LP
(Insane Society Records)

Jeszcze cieplutki split najlepszej czeskiej kapeli poruszającej się w klimatach mroczno-metalowych! Ich krążek „Ostř í Černé Kosy Zní" z 2015 zrobił na mnie spore wrażenie swoim klimatem, brzmieniem i pomysłem na kawałki, więc z ogromną chęcią łyknąłem ich najnowsze wydawnictwo. Jest jeszcze lepiej niż na poprzednim krążku, choć tylko cztery kawałki! Mrok, tajemniczy klimat, jakiś taki lęk wyłania się z tych utworów. Szczególnie niezły klimat robi instrumentalny utwór „Na Úpatí Černého Kopce" - o borze tucholski, jakie to jest zajebiste!!! MÖRKHIMMEL nie grają jakoś specjalnie ciężko ani szybko, natomiast aranżacja tych kawałków jest mistrzowska. Sporo tu zajebistych riffów, mnóstwo fajnych melodii, a Slávek operują aż trzema rodzajami wokalu - od zaśpiewu, przez papier ścierny aż po diabelski jadowity i wręcz black metalowy syk. Wolny death metal, choć z wieloma naleciałościami, głównie z lat 80. i 90., ale jednak zrobione jest to nowocześnie i naprawdę na wysokim poziomie. Na zakończenie utwór „Řeka", który kończy się kumkaniem żab… Cios! Straszne teksty, o śmierci, ale tak troszkę inaczej, jakby mroczne opowieści, no i wszystkie teksty zaśpiewane są w języku czeskim. Cholera, te nagrania to najlepsza „metalowa" rzecz, którą ostatnio słyszałem. Zespół wypracował swój własny charakterystyczny styl, granie bardzo oryginalne i na bardzo wysokim poziomie. Ścisła, europejska czołóweczka! Sprawdźcie ten krążek, bo jest naprawdę wykurwisty!
Na drugiej stronie splitu gości zupełnie świeżutki zespół, również z Czech, o nazwie THE TOWER. W 2015 wydali kasetę demo, więc tak naprawdę ten winyl to ich debiut. THE TOWER grają doom metal. No cóż, nie jest to mój ulubiony styl muzyczny… Większość zespołów tego typu mnie po prostu nudzi. Za wolno, ciągnie się to przeważnie jak flegma, czekam, kiedy przyśpieszą i wkurwiam się, że nie przyśpieszyli… Jednak spróbuję być obiektywny, bo jednak sporo ludzi lubi doom metal. THE TOWER zamieścili trzy utwory (w tym jeden instrumentalny) i nie są one takie całkiem złe. No nie, są dobre, tylko, jak wspomniałem, nie przepadam za taką muzą. Stonerowe riffy, tempo oczywiście rozwlekłe, KYLESA spotyka BLACK SABBATH, a swoje pięć groszy wciska SAINT VITUS. Smutne, sludge'owate, rozciągnięte melodie i do tego lekko rockowy wokal. Dodam, że panowie jadą na dwie gitary, więc ta ściana jest dźwięku jest dobra i można troszkę pokombinować, co oczywiście zespół robi. Niby określają się, jako doom metal, ale dla mnie to brzmi bardziej jak połączenie jakiegoś stonera z rockowym sludgem, ale mniejsza o etykietki, bo mimo tego rozciągniętego tempa jest to dobre granie. Sporo tu fajnych melodii, sympatyczny, nieco senny klimat, brzmienie wcale nie ciężkie… No i teksty zupełnie niepasujące do muzyki, takie w stylu battle metal – jacyś wikingowie, podrzynanie gardeł i zdobywanie zamków… I tak jak wspomniałem, o ile nie przepadam za doom metalem to THE TOWER mi się podobają. Zresztą to nie jest doom metal, ale cokolwiek to jest, to podoba mi się to! Bardzo dobry split i jeśli lubujecie się w jakichś tam odnogach niezależnego metalu, szczególnie mrocznego i klimatycznego, to ten krążek trzeba mieć!

Pablo

MOSKWA - Wiem - Session 1987 7"EP
(Warsaw Pact Records)

I kolejne konkretne ude-rzenie warszawskiej wytwórni! Był singiel z nagra-niami z 1984

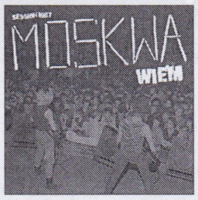

roku, było kultowe demo MOSKWY z 1986, a tym razem nieco inna odsłona tego zespołu. Na tym singlu pojawiają się cztery utwory, któ-re mogłyby zapowiadać debiutancką płytę warszawskiej MOSKWY. Tak, warszawskiej, bo Guma, wokalista i gitarzysta, z krwi i kości łodziak, mieszkał wtedy w Warszawie. Dokooptował sobie do składu dwóch innych warszawiaków - basistę Maleo (KULTURA, IZRAEL, ARMIA) i bębniarza Gogo Szulca (TILT, TZN XENNA, ARMIA), więc skład dość, jak by się to rzekło dzisiaj, celebrycki. Nowy rozdział w historii zespołu, więc i nowa muzyka. MOSKWA odeszła od fascynacji zespołami G.B.H. i DISCHARGE, nuta złagodniała i stała się bardziej melodyjna i wpadająca w ucho. Nawet teksty Gumy nieco się zmieniły – przerzucił się on z apokalipsy na tematy bardziej osobiste i życiowe. Dla jednych debiutancka płyta zespołu była dużym krokiem do przodu, dla drugich skokiem w przepaść…
Wszystkie cztery utwory zostały nagrane w Łodzi w 1987 roku, w tym samym roku został nagrany materiał na LP. Niestety, płyta pojawiła się w realu dopiero w 1989 roku! Ja pierdolę, takie czasy były… Kawałki z singla nie odbiegają zbytnio ani formą ani treścią od tego, z czym mogliśmy się zapoznać na longu. Trzy piosenki znalazły się zresztą na tej płycie debiutanckiej, choć oczywiście w innych wersjach – „Ja", „Słyszę", „Słowo". Natomiast utwór „Wiem" nie wszedł na duży krążek. Czy był zły? Nie, skądże! Można powiedzieć, że to hicior jest! Na debiut się nie załapał, ale często latał na falach Rozgłośni Harcerskiej Programu IV Polskiego Radia. I właśnie z radia pamiętam ten kawałek, natomiast pozostałe trzy piosenki w tych wersjach słyszę po raz pierwszy na tym singlu. Tak jak wspomniałem wcześniej, więcej melodii jest w tych „nowych" kawałkach MOSKWY, sporo rock'n'rolla, zwariowanych solówek i śpiewnych chórków. No i oczywiście utwory z tego singla są nagrane w bardziej surowych wersjach niż te znane z płyty, co dodaje im jeszcze większego smaczku. Aha, trzeba dodać, że gościnnie w utworach „Słowo" i „Wiem" pojawia się w chórkach niejaka Ela Mielczarek, znana tu i ówdzie wokalistka awangardowo-bluesowa. Fajne te piosenki, choć przyznam, że wolę te starsze dokonania MOSKWY, bo jednak ponad melodykę bardziej cenię surowiznę w punk rocku. Jednak ten singiel, a także debiutancką płytę, łykam z wielką przyjemnością! Singiel mam w kolorze przeźroczystego różu, na wkładce kilka zdjęć koncertowych MOSKWY z 1987, teksty po polsku i angielsku oraz komentarz Gumy. Podoba mi się okładka tego singla z koncertowym zdjęciem! Nie można było zrobić takiej okładki do debiutanckiego albumu? No wypada mieć ten singiel!

Pablo

MUNDO DE MIERDA/BESTIAL VOMIT split kaseta
(Ahorcassettes Records)

Kaseta została wydana w ultra limitowanym nakładzie, wyszło tego jakoś parędziesiąt sztuk. Wydawcą jest Joseph (BESTIAL VOMIT czy „Noise Mattanza" zine) na stałe mieszkający (obecnie) w Peru. No dobra, no to za-czynamy. Nie ukrywam, że ten split od razu mnie zaciekawił, bo i znam twórczość załogi BESTIAL VOMIT, a i załoga MUNDO DE MIERDA nie jest mi obca. Lado A to właśnie strona M.D.M. Kapela powstała w 1993 roku i była jedną z czołowych grup grinding noise core'owych w Ekwadorze. Mają sporo wydawnictw, gdzie większość z nich to splity, które były wydane na całym globie, także w Europie, ale to starsze dzieje. Od dawna nie widziałem, by ktoś wydał ich nagrania w Europie. Wracając do splitów M.D.M. to najbardziej utkwił mi w pamięci split z belgijską kapelą CORNUCOPIA, wydany w 1994 roku, gdzieś w Południowej Ameryce, możliwe, że przez kogoś z M.D.M. Potem ciekawy 4 way split z ANONIMNI ALKOCHOLIKI, DECA DEBILANE, N.P.H. wydany w Słowenii w 1995, w Japonii wyszeł 3 way split z V.M.S., OPS-PSF, który wydał Ryokuchi z FINAL EXIT. Katowałem też splity z boliwijskim politycznymi grindowcami z ESCATOFAGIA (wydał go Lasergrind Trading w 1998, chyba z Meksyku) oraz 3 way split z PESMENBEN IV, GENITAL MASTICATOR wydany w Insalubre Recordings w 1998. Równie dobrze pamiętam 3 way split z AGATHOCLES, N.P.H. wydany też chyba gdzieś w Południowej Ameryce przez Solo Ruido Records w 1998. Oprócz tego kapela ma tonę ciekawych splitów z innymi ciekawymi kapelamí jak SOCIAL DEFORMITY, EXPERIMENTAL NOISE, SINDROME DO ODIO, CARCASS GRINDER, HINFAMY, DECHE CHARGE, 7 MINUTES OF NAUSEA. Chyba więc moja ciekawość jest zrozumiała, szczególnie, że to świeże nagrania. W zasadzie wszystko jest tak jak było: brutal noise core'owy burdel na dwa wrzeszczące wokale, a plusem tego jest o niebo lepsza jakość, porównując te nagrania do tych z połowy lat 90. Od razu mówię, że M.D.M., a raczej ich muza jest przeznaczona tylko i wyłączne dla noise core freaków. Dziewięć numerów w stylu, do jakiego kapela przyzwyczaiła mnie od dawna, bo nie ma tu nic nowego, wszystko utrzymane w klimatach starej grind noise core'owej szkoły.
BESTIAL VOMIT również tradycyjnie, choć tym razem jakoś bardziej podobają mi się ich nagrania niż te z poprzednich materiałów. Jest to jakiś koncert, sądzę, że to jakieś nagania z ich trasy „Cueto con andes" po Ameryce Południowej, ale gdzie to nagrali, skąd to jest, to nie wiadomo dokładnie, choć można by było pogrzebać na necie. Nagrywka krótka, ale za to treściwa, bynajmniej dla ucha. Bezkompromisowy, zagrany na starą nutę grind noise, wszystko na przesterach, charczące wokale, jak to mówią: stara szkoła nie rdzewieje. I to lubię! Fajny split, polecam maniakom.

Urbx

NATIONS ON FIRE - Strike The Match LP
(Refuse Records)

Nigdy wcześniej nie miałem tego albumu nawet na taśmie. Za to z przyjaciółmi zasłuchiwałem się w „Death Of The Pro-Lifer" wydanej onegdaj w Polsce. Jego tematyka powalała aktualnością i trafnością w ocenie sytuacji. Chłonąłem przekaz NATIONS ON FIRE uznając zespół za inteligentną przeciwwagę dla nurtu fashion Straight Edge hermetycznie zamkniętego w obrębie sloganów o: przyjaźni – czystości i jedności. Schludność w wyglądzie i wstrzemięźliwość w obyczajach to za mało by wstrząsnąć posadami świata. Ba (!) za mało by zaimponować, co wybredniejszym wyrostkom, do których wielu z nas aspirowało. Zdecydowane w swych osądach NATIONS ON FIRE wychodziło poza ten schemat. Kiedy zaś bunt gotował się we mnie opowiedziało się po tej samej stronie. W połowie lat 90. w dywizji Pro Choice miło było mieć taką drużynę. W roku 1995 w momencie wydania "Death Of The Pro-Lifer" obok SCRAPS czy LÄRM byli na szczycie europejskiego, politycznego, zaangażowanego hc sXe. Zanim jednak to się stało w 1991 nagrali drapieżne 7" "The Demo Days" czyli przedsmak pełnometrażowego LP „Strike The Match". Ta płyta zdefiniowała NATIONS ON FIRE na zawsze. Podkreślając swoją determinację i siłę „Iron Will" zaatakowali na kilku frontach. Wycelowali w nacjonalizm „Flag Songs", zorganizowaną religię "The Nice Song", fasadowy radykalizm „Radical But Not Cool", europejski korporacjonizm "Experts Agree". Wzywali do społecznej aktywności „Nations On Fire", pokazywali pięści rasistom "The Strong Song" oraz wściekłość dla ekonomii wyzysku banków czy segregacyjnej polityki USA i Izraela „Bug In My Eye". Przeciwstawili się bezrefleksyjnemu wchłanianiu informacji

„The Learn Song", wsparli feminizm „More Hope (For A Living Scene)" oraz walczący wegetarianizm „The Line", wskazali kierunek ku wartościowemu i świadomemu życiu „Dedication". Tuż po wydaniu „Strike The Match" z miejsca stała się wydarzeniem, zaś sam zespół dla wielu zyskał status mentora. Nie sprzeniewierzył tego potencjału stając się ważnym głosem w dyskursie o scenie, jaką dane nam jest współtworzyć i świecie, w jakim przyszło nam żyć. Ta płyta to bardzo istotne wznowienie! Remaster studio As One. Zawiera booklet z przedrukiem obszernego wywiadu dla niemieckiego „Confrontation" zine z 1992 (choć we wstępie bookletu podano inaczej), którego zespół udzielił z okazji europejskiej trasy u boku amerykańskiego BORN AGAINST.
P.S. Stojący na półkach kolegów LP „Strike The Match" przez lata wzbudzał moje pożądanie. W roku 1991 nawet nie myślałem by mieć tę płytę. Dziś - 26 lat (!) po premierze dzięki reedycji mogę po nią sięgnąć do woli.

j.Ap

NEGATIVE VIBES - s/t 7"EP
(N.I.C., D.I.Y. Koło, Melina Crew)

W poprzednim numerze pojawił się wywiad z tym warszawskim zespołem, a tym razem trzymam w rączkach świeżutki singiel NEGATIVE VIBES. I to bardzo fajny singiel! Ekipa znana choćby z zespołów LAZY CLASS czy GLORY DAYS w nowej odsłonie. Żywiołowy hardcore w starym stylu z lekkim ulicznym szlifem – NEGATIVE APPROACH spotyka BLITZ spotyka GOVERNMENT WARNING. Surowe, łupane dźwięki w średnim tempie, ale z przytupem porządnym. Do tego wkurzony, momentami krzykliwy wokal i chórki w refrenach. Wszystko okraszone soczystymi gitarami, a od czasu do czasu urozmaicone prostą solóweczką. Jest wkurwienie, zarówno w dźwiękach, jak i w tekstach. Teksty, można powiedzieć, mocno antysocjalne – wyobcowanie społeczne, złość na otaczającą rzeczywistość, kłamstwa, krytyka plastikowego życia w internecie, no i jeszcze raz wkurwienie. Kawałki krótkie, z kopytem, teksty zaśpiewane po angielsku, z jednej strony szkoda, że nie po naszemu, z drugiej strony brzmią one w połączeniu z muzyką bardzo fajnie. Przejrzyście złożona okładka w ładnym, żółtym kolorze. Bardzo udany debiut!

Pablo

NEGAZIONE - La Nostra Vita box set
(Contempo Records)

Albo to moje przeoczenie pod natłokiem różnych płyt albo fakt, że od jakiegoś czasu ignorowałem to, co się dzieje na scenie włoskiej i nie zauważyłem tego wydawnictwa. Szczęśliwie od tego są ziomki, którzy dyskretnie przypomną i wyciągną spod lady w sklepie Contempo Records we Florencji jeden z ostatnich egzemplarzy z pytaniem: chcesz? No jasne, że chcę!!! NEGAZIONE chyba nie trzeba nikomu przedstawiać w tej recenzji. Wściekły hardcore zagrany w stylu włoskim, przez lata ewoluował od chaotycznego krzyczanego blastu po bardziej melodyjny i thrashowy hardcore. I bardzo dobrze, bo była to naturalna ewolucja zespołu od początku istnienia w 1983 roku do rozpadu w 1992. Przez 9 lat zespół wydał dużo, zagrał setki koncertów na wielu kontynentach, a swoją postawą i tekstami zainspirował niejednego polskiego punka. W tym także i mnie. To chyba mój najbardziej ulubiony włoski zespół. Jeśli jeszcze go nie znasz, to wydawnictwo pokaże ci, czym było NEGAZIONE, całość bowiem jest tak przygotowana, aby oddać klimat tamtych lat i przesłania zespołu hardcore. A jeśli NEGAZIONE znasz i lubisz, to według mnie, jest to pozycja obowiązkowa w kolekcji. Ja, mimo, że mam dwa winyle NEGAZIONE nie wahałem się, że dwa z nich się zduplikują, ponieważ to, co zobaczyłem po otwarciu pudełka postawiło mi włosy na głowie. Co jest w boksie? Jednym słowem: wszystko i więcej niż wszystko. Mamy pierwsze demo zespołu „Mucchio Selvaggio" oczywiście wydane na kasecie z oryginalną, rozkładaną wkładką do formatu A4. Są trzy single, każdy z oryginalną okładką, wszystko jest odwzorowane tak, jak to kiedyś zostało po raz pierwszy wydane, czyli: hitowy singiel „Tutti Pazzi", „Condannati A Morte Nel Vostro Quieto Vivere" oraz „Sempre in Bilico". No i jest też maxi singiel 12" „Behind The Door". Czas na trzy płyty długogrające: „… Lo Spirito Continua…", „Little Dreamer" i chyba mój ulubiony, znakomicie podsumowujący rozwój zespołu „100%". Wszystkie LP wydane są dokładnie tak jak oryginały, posiadają wszystkie wkładki, zdjęcia i teksty. Mało? Mało. No to na deser replika czerwonej koszulki zespołu z trasy europejskiej w 1988 roku „Little Dreamer" zawsze w rozmiarze L, booklet ze zdjęciami zespołu oraz plakat ze zdjęciem z koncertu NEGAZIONE w CBGB's w 1990 roku. A na górze tego stosiku leży dyskretna karteczka z napisem „Limited Edition 700 copies". Wszystko jest zamknięte w pięknym czarnym boksie. Cudowne podsumowanie historii tego wielkiego zespołu z Włoch.

Wojtas

NIGHTERS - DROP DOWN DEAD 7"EP
(No Plan Records)

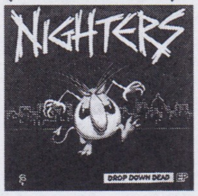

Tu się akurat władowałem. Reedycja włoskiej kapeli z 1984. Sprawdziłem rok i wziąłem w ciemno, choć chyba warto było zwrócić uwagę na okładkę, kiepską okładkę dodajmy. Włochy '84 to czad, furia, zawziętość. Ale nie tutaj… Tutaj mamy równe granie 77, choć chyba Carlo grał też w BLOODY RIOT, gdzie mógł robić to szybciej. Rzymianie prezentują ładne granie, któremu nie zarzucę niczego kiepskiego, ale przecież innych Włochów chciałem… Kapela niczego więcej nie nagrała, więc zasadniczo pobieżnie kupując te EPkę mam na półce ich całą dyskografię.

Grzester

NOFU - Interruzione LP
(DIY Koło)

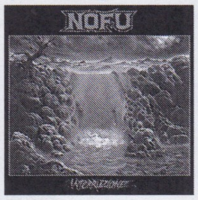

Pierwszy raz spotykam się z tym zespołem, choć wcześniej wydali już split 7"EP oraz dużego longa. Patrząc na okładkę tego krążka spodziewałem się jakiegoś crust grinda czy coś w ten deseń. Raczej byłem nastawiony na jakąś łupanę brutalną i z małym polotem, a tu taka niespodzianka! NOFU czerpią pełnymi garściami z dokonań włoskiej sceny lat 80. Walą niezły hardcore thrash, ale bliżej im do RAW POWER niż do WRETCHED. Sporo u nich crossoverowych riffów, metalowych solóweczek, ale reszta, łącznie z wokalem to jednak klasyczny włoski hardcore, jaki pamiętamy z dawnych lat. Jedne kawałki szybsze i z mocnym crossoverowym uderzeniem, inne znowu bardziej punkowe i z delikatną melodią. Naprawdę dobre granie, przede wszystkim dla tych wszystkich, którzy jarali się włoskim hc w stylu NEGAZIONE, RAW POWER, KINA… Na krążku aż 10 kopiących kawałków, zaśpiewanych po włosku i zagranych z niezłą energią. W środku kolorowy plakat z tekstami po włosku i angielsku. Płytę wydało aż 13 wytwórni!!! Sprawdźcie ten zespół, bo płyta jest naprawdę przednia i powinna się spodobać wszystkim lubiącym stary włoski hardcore, choć NOFU w żaden sposób nie brzmią archaicznie! No w chuj fajne granie!

Pablo

NO TAG - Oi! Oi! Oi! 12"EP
(Radio Raheem)

Robi się niebezpiecznie - w politycznie ukierunkowanej gazecie pojawiają się chuligany z Nowej Zelandii, z małej wioski zwanej Auckland. Bez obawy jednak, są w miarę koszerni, nawet Jello Biafra zaprosił ich do zaśpiewania chórków w kilku songach DEAD KENNEDYS na „Bedtime For Democracy". „Oi! Oi! Oi!" jest jedynym słuchalnym wydawnictwem NO TAG, bo realizacja LP „Can We Get Away With It!" położyła całkiem niezłe numery na łopatki. Nie ma się co w sumie dziwić jakości longpleja, zespół jako banda małolatów flotą nie śmierdział, więc nagrał go na żywo podczas gigów w knajpie na przestrzeni kilku wieczorów - co niestety słychać. Poobcujmy jednak z dobrze nagraną płytą chuliganów. Dwunastocalowy singiel ukazał się oryginalnie w 1982 w nakładzie 1500 sztuń w Propeller Records, więc o oryginałach można tylko pomarzyć, leżą zapomniane gdzieś na półach u rodziców ex punków lub obrastają kurzem w kolekcjach punkowych dziadków. Na ratunek przyszło jednak nowojorskie Radio Raheem, które ma na koncie kilka niezłych reedycji - np. dema AGNOSTICÓW, epkie PORNO CASSETTES i sporo kapel, które dzięki lejbelowi poznałem. I świetnie, że weszli do akcji, bo jest to bardzo miła dla ucha epa, szczególnie jeśli kręci cię COCKNEY REJECTS z okresu „Greatest Hits Vol. 1". Szkoda byłoby, by zaginęła w pomroce dziejów.
Muzycznie mamy trzy hiciarskie oi/street pankowe piosenki, skórę z szafy wyciągam i idę skakać z browarem pod scenę. Tekstowo jest mocno skinowo i ulicznie – „No Tag" ponoć było hitem w Radiu Nowa Zelandia i mimo, że świetna to piosenka, to na dłuższą metę nie pomogła w karierze zespołu. Nie rozumiem wcale czemu właściciele lokali po usłyszeniu numeru o napierdalaniu się ekipy między sobą i z ochroniarzami nie walili drzwiami i oknami by organizować zespołowi koncerty, haha. Trzeba już przełożyć stronę by w drugiej piosence usłyszeć, że lekko też nie ma - awantura, pobita butelka na czyjejś twarzy, bycie wziętym za kogoś innego i wizyta na komisariacie... A jak już odwiedzamy komisariat to można się powywnętrzniać na pieski, które są prawem same dla siebie, i jak je zespół określa są tylko „Legalised Dogs". Jeśli przymkniesz oko na wszechobecne agro w mentalu zespołu, które może być tłumaczone specyfiką gangów ulicznych w NZ i różnie w sumie na ulicy bywa, to muzycznie jest to nagranie street punkową perełką. Polecam.

Rudy

NO TIME - You'll Get Yours LP
(Phobiact Records)

Jak to mówią stare crustuchy - dobry oi! nie jest zły! NO TIME z Pittsburgha mieliśmy okazję zobaczyć na Ultra Chaos Pikniku i był to dobry występ. Najfajniejszy był wokalista! Mały, w okularkach, w koszulce NABAT, trochę przypominał mi głównego bohatera z animówki „Laboratorium Dextera", ale energią i wkurwieniem przewyższał nawet jego! NO TIME grają intensywny oi!, prosty, surowy, choć z fajnymi rokendrolowymi solówkami. Wpadają te kawałki w ucho i nóżka przytupuje przez cały czas. Do tego, jak przystało na rasowy oi!, basik świetnie prowadzi melodykę kawałków. Zdarty wokal Dextera (tak naprawdę to ma na imię Adam) robi świetną robotę i wspierają go oczywiście chórki reszty kapeli, a nawet goście z załogi. Muzycznie to bardziej rokendrolowe skrzyżowanie OPPRESSED z BLITZ, z większą ilością chwytliwych melodii. NO TIME brzmią, jak dla mnie, właśnie bardziej brytyjsko w porównaniu do stylu, w jakim gra większość oi/street punkowych kapel amerykańskich. Teksty, można powiedzieć, że typowo skinowskie, choć nie ma nic o chlaniu ani piłce nożnej, na szczęście. Kilka tekstów o scenie, o zespołach, które wykorzystują scenę, by wejść do mainstreamu, o dzieciakach ze średniej klasy, które pozują na rasowych skinów, a wszystko za pieniądze bogatych rodziców. A tu, niestety, niektórzy muszą żyć z dnia na dzień, płacić rachunki i podatki. Śpiewają również o policji, bo to nieodłączny temat w tekstach, gdy jesteś skinem czy punkiem i większość czasu spędzasz na ulicy. Jadą po seksistach, kościele, pedofilach, politykach, pozerach. Spoko te teksty, jak

na kapelę skinowską. No i muzyka bardzo dobra – surowa, z przytupem, chwytliwa i z fajną melodią. Najwięcej surowości wprowadza tu wokalista, a najbardziej słodzą gitarowe solówki. Na krążku 11 smakowitych kąsków, wkładka z tekstami, super rysunek na okładce. To już drugi press tej płyty – pierwszy miał na okładce logo w kolorze czerwonym, ja mam krążek z logiem w kolorze blue. To jednak nieistotny szczegół, bo zespół wyśmienity i bardzo fajna płyta. Oi!

Pablo

ODIO - Ancora 12"
(Agipunk)

Zespół z Oakland z Kalifornii, ale to Włosi są. Zresztą ich włoska nazwa to po angielsku HATRED. Grają tu ludzie z zespołów HOLY, KORROSIVE, TØRSÖ. W zeszłym roku zabłysnęli singlem „Un Mondo Libero Dall'Uomo", a w tym roku pojawiła się ta dwunastka. Widziałem na Ultra Chaosie, gdzie grali koncert, pobłażliwe uśmiechy kolegów hardcore'owców obserwujących ich występ… No cóż… Są gusta i guściki. Ja tam lubię takie granie, szczególnie, że ODIO nawiązują do klasycznego stylu gry japońskich kapel z lat 80. Jadą średnio-szybko, z przytupem i lekkim d-beatem. Kawałki lekko przesterowane, bez zbędnej wirtuozerii i z prostymi, hałaśliwymi solówami. Sporo tu hałasu w stylu KURO, G-GAS czy GAI, choć na spokojnie i z większym mrokiem. No i wokal nie szczeka po japońsku, choć fajnie wpisuje się w konwencje takiego grania. Do złudzenia przypomina sposób śpiewania Sakevi'ego z GISM. Na każdej stronie mamy po 4 kawałki, wszystkie zaśpiewane po angielsku, choć i włoskie słowa też się pojawiają. Teksty dość specyficznie napisane, choć fani japońskich kapel powinni być przyzwyczajeni do takiego stylu. Z drugiej strony są one o wiele bardziej mroczne niż teksty jakiejkolwiek kapeli japońskiej z lat 80. W większości napisane są z perspektywy pierwszej osoby i mówią o śmierci, o strachu, o tym, że historia lubi się powtarzać, że dzisiejszy świat jest przerażający. W środku wkładka z tekstami i zdjęciami zespołu, duży rozkładany plakat z zakręconą grafiką stylizowaną na punkową japońszczyznę, a na okładce rysunek Sugi'ego, którego rysunki znamy z plakatów i okładek wielu zajebistych kapel, jak choćby DEATH SIDE, PISSCHRIST, KROMOSOM czy HELLSHOCK. Fajna płyta dla tych, którzy lubią takie granie „po japońsku", a ci, którzy nie lubią… No cóż… Może MADBALL?

Pablo

O.D.R.A - V CD
(BSDF Records)

To już trzecie wydawnictwo O.D.R.Y., jakie mam przyjemność recenzować na łamach „Chaosu". Muzyka ekipy z Wrocławia, coraz bardziej ewoluuje i jest coraz bardziej brudna, brzydka i obsceniczna. W przypadku klimatu sludge'owego w jakim O.D.R.A. się obraca to wręcz pochwała (mam taką nadzieję). Tak więc do rzeczy. Podobno ekipa nagrywała płytę na starych gitarach typu Defil. Brzmienie jest niesamowicie brudne, szlamiaste, a jednocześnie czytelne. Całość płyty w warstwie tekstowej opowiada o wyzysku, rewolucjach, wystąpieniach przeciwko fabrykantom, biedaszybach, buncie tkaczy w Górach Sowich. Czyli można by powiedzieć, że mamy do czynienia z dolnośląską sludge'ową wersją RUTY. Muzycznie zaś kapela porusza się w dosyć ciasnych ramach sludge'owej estetyki, lecz mam wrażenie, że coraz bardziej ramy chłopaków uwierają i coraz bardziej wychodzą do ciut innych kliamtów (ale pokrewnych), jak brudny hc-punk (choć mentalnie to okołopunkowa horda) i innych. Wokalista Tomek, którego jestem fanem (borze tucholski, jak ten facet się zajebiście drze) po raz kolejny stanął na wysokości zadania i jego wokalizy są niesamowite! Reasumując, kapela cały czas w progresie, dużo się dzieje i nie mogę się doczekać kolejnego wydawnictwa.

QbaQ

PARANOID – Satyagraha LP
(Southern Lord)

Trzech panów ze Szwecji (niektórzy z nich grali w DESPERAT i BROTTSKOD 11) postanowiło się przemienić w Japończyków. I całkiem dobrze im to wyszło. Tną przesterowanego hałaśliwego raw punka w japońskim stylu ze skandynawskim zacięciem. D-beatowa perkusja wali brutalnie i bez litości nadaje tempo gitarom. Gitary rzężące, choć z tego surowego noise'a wyłaniają się niemniej zwariowane i z lekka metalowe, choć chwytliwe solówki. No i szczekający wokal z odpowiednim pogłosem. Jednak nie ma co się nastawiać na granie w stylu „krótko i na temat", bo kawałki PARANOID są dość mocno rozbudowane i nie wszystkie zagrane są w hiper szybkim tempie. Świetnie udało im się połączyć prędkość MOB 47 z hałaśliwością KURO. Choć w sumie brzmią, jakby co weekend grali koncerty z FRAMTID czy KRIEGSHÖG. Intensywność tych numerów jest niemiłosierna, brzmienie tak przesterowane, że aż rwie mnie w ścięgnach, no i pałker tak nawala na tych garach, że koparka opada. Może wirtuozerii w tym nie ma, ale jest brutalna i wręcz atawistyczna chęć robienia hałasu. Przede wszystkim to się wszystko elegancko zazębia, nie ma tu miejsca na przypadkowe dźwięki i słychać, że goście z PARANOID wiedzą, co chcą grać. No i w tej dziedzinie punka robią to na bardzo wysokim poziomie. Zaskakuje ostatni utwór na płycie, nieco eksperymentalny, można by powiedzieć, bo pojawia się muzyka syntezatorowa… Ich zamiłowanie do japońszczyzny przejawia się nie tylko w muzyce, bo i nazwę mają „krzaczkowaną", teksty też wypisane po japońsku, a mastering zrobili w Tokio. O czym teksty mają? W sumie nie wiadomo, bo krzaczki… Chociaż zwyczajem starych japońskich kapel, tu i ówdzie przewijają się angielskie wersy. O śmierci, nuklearnej destrukcji, chaosie, zniszczeniu, przemocy…
Ten materiał pierwotnie wyszedł na kasecie w 2015 roku, ten krążek ukazał się w zeszłym roku. Mamy tu 10 utworów, które rozpierdolą hałasem i intensywnością twój mózg doszczętnie! Nie ma się, co szczypać, trzeba mieć!

Pablo

PARTAKER - Self LP
(Cosmic Western)

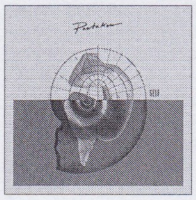

PARTAKER to rewelacyjna młoda grupa z amerykańskiego miasta Dallas. Dodam, że jestem wręcz maniakiem muzycznym tego rejonu Ameryki. Teksas to wylęgarnia bardzo dobrych kapel. Wymieniłbym tu chociaż takich wykonawców jak: BUTTHOLE SURFERS, THE DICKS, 13TH FLOOR ELEVATORS, D.R.I., SCRATCH ACID, CHERUBS, JESUS LIZARD, MDC, PAIN TEENS czy TRUE WIDOW. Albumem „Self" młodzi Teksańczycy zadebiutowali na samym początku tego roku, dając nam kawał dobrej muzy z kręgu emocjonalnego post hardcore. Płyta została wydana własnym sumptem i jest do kupienia tylko na winylu, bezpośrednio u muzyków. Ja już mam na półce, z czego niezmiernie się cieszę. Album zawiera 10 numerów utrzymanych w stylistyce waszyngtońskiego i chicagowskiego post hardcore'a, jest trochę indie rocka, ale nad wszystkim dominuje ten klimat niepokoju, który można było w latach 90. usłyszeć w twórczości takich wykonawców jak: HOOVER, CROWNHATE RUIN, REGULATORS WATTS, ABILENE, JUNE OF 44 i SWEEP THE LEG JOHNNY. Wzorcami dla chłopaków są geniusze gatunku, tzw. mistrzowie, na muzyce których - co by nie mówić - kształtowałem swoje gusta muzyczne. Polecam wszystkim ten obiecujący debiut młodych Amerykanów. Ja im kibicuję.

Maku

PERRAS SALVAJES - Aun Queda Tiempo 7"EP
(Up The Punx, La Agonia De Vivir, Deviance)

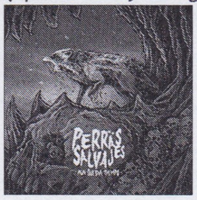

Hiszpański PERRAS SALVAJES zaczynał jako męsko damski (2+2) kwartet około 7 lat temu. Obecnie to trio (dwie dziewczyny + koleżka). Zwróciłem na nich uwagę dzięki urzekającej okładce towarzyszącej ich 12" „La Noche Es Más Oscura Justo Antes Del Amanecer" z roku 2014. Przepięknie narysowany gatefold stanowi ozdobę niejednej kolekcji. Podobne mini arcydzieło otula najnowszy singiel zespołu „Aun Queda Tiempo" zaś punktem wspólnym jest motyw wilka. Wehterowska kreska, żywe kolory, klimat grozy, sprawiły, że ponownie sięgnąłem po ich wydawnictwo. I choć płyta nie trafia w sedno mego ulubionego rodzaju ekspresji doceniam ją przez pryzmat egzotyki języka (śpiewają po hiszpańsku) oraz wyczuwalnego zaangażowania w sprawy ważne. Cztery szybkie (całość materiał to niespełna 7 min 56 sekund), punk rockowe, rozkrzyczane damskim wokalem kawałki już od pierwszych dźwięków uwypuklają temperament południowców. W tekstach podkreślają swoje zdeterminowanie w walce ze złym światem „Contra Viento Y Marea" czy inspirują do aktywności „Que Tu Motor Nunca Se Pare" (Twój silnik nigdy się nie zatrzyma). Z zespołów ostatnio poznanych przypominają mi trochę brazylijski ANTI-CORPS, choć nie jest to podobieństwo bliźniacze. Do tego jak przekazał mi naoczny świadek PERRAS SALVAJES tworzą ludzie bardzo życzliwi i pomocni. Kto nie zna warto sprawdzić i chyba nie tylko ze względu na okładkę.

j.Ap (listopad 2017)

PMS 84 - Easy Way Out LP
(Discos Enfermos)

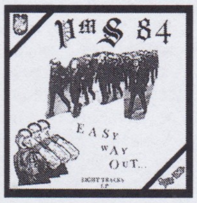

Po udanym pierwszym singlu, drugim odrobinkę słabszym - bo się wokalista zmienił i potrzebował chwili na wyrobienie się - położyłem krechę na kapeli. Raptusem się okazałem, bo trzech panów i pani wracają z naprawdę mocnymi 15-stoma minutami UK82 zagranych przez hamerykańców AD 2017. Osiem numerów i nie ma żartów, jest za to chamski, zadziorny, uliczny punk, łyse pały, irokezy, dziabaresy, pobite butelki po browarach, bójki z naziolami i policją - kilka minut z zakapiorami z PMS 84 to nie przelewki. BROTHER INFERIOR powtórzył kiedyś za Diderotem „Ludzie dopiero wtedy będą prawdziwie wolni, kiedy udusi się ostatniego króla wnętrznościami ostatniego z księży". I generalnie takie jest przesłanie tej płytki - policja to świnie broniące statusu quo, przywilejów grupy bogatych białych ludzi, bankierów, rasioli, polityków, którzy poza swoim zyskiem na wszystko mają wyjebane – i PMS w swej bezsilności i wkurwieniu sugeruje opcję wyjścia z przeklętego kręgu zależności społecznych, jak śpiewał pewien lóbelski zespół „podstawowa reakcja - zajebać ich wszystkich, tak to jest nienormalna reakcja, to nienormalny odruch wobec nienormalnej sytuacji, to bezsensowny odruch wobec chorej sytuacji". Złość aż kipi z tej króciutkiej płytki i mimo, że nie zgadzam się z rozwiązaniami ostatecznymi to rozumiem sentyment i czekam na więcej.

Rudy

POLLEN - Fear Of Another War 7"EP
(Brain Solvent Propaganda)

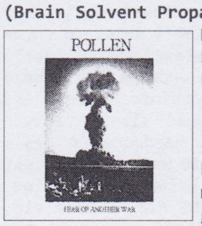

Dzięki Brain Solvent Pro-paganda otrzymałem kolejny nokautujący cios zza wiel-kiej wody. W sumie sam powinienem się solidnie poturbować, bo nie wiem gdzie miałem głowę i uszy, gdy docierały do mnie informacje na temat zawartości poprzedniej siódemki POLLEN z Filadelfii. Na szczęście przy drugim singlu tego błędu

ZAPOWIEDZI

Nigdy nie będziesz szedł sam
Tribute to Guernica Y Luno (LP+CD)

KRUGER
Oblbnute Mozky LP

DEATH CRUSADE
Rakieta///Bomba (LP+CD)

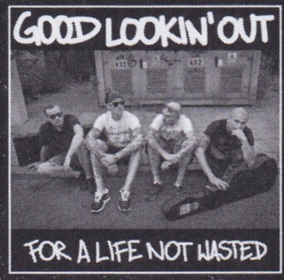

GOOD LOOKIN'OUT
For a life not wasted' LP

NOISENSE
Quis custodiet
ipsos custodes ? LP

SNUFF OUT
Can't change
tomorrow CD

AUGUST
LANDMESSER

KACZYNSKI

split LP

DOSTĘPNE

- 365 DNI - Gorące Serca CD
- WE WATCH CLOUDS - resume CD
- NEGATIVE VIBES - s/t 7"
- BARAKA FACE JUNTA - Jak Ogień LP
- WOLVES AT THE DOOR - erase images CD
- FIGHT THEM ALL - Down The Drain LP
- APORIA - Rottumeroog LP/CD
- LIFE SCARS - Brud i Brokat LP
- SURYA - Apocalypse A.D. LP
- NOFU - Interruzione LP

d.i.y. KŁ

apzajac@wp.pl
diykolorecords.bandcamp.com

już nie popełniłem i mogę się cieszyć hałasem niszczącym moje narządy słuchu i dobre samopoczucie sąsiadów oglądających propagandę w wiadomościach TVPiS. POLLEN ma na swoim koncie wspomnianą epkę oraz wydane własnym sumptem taśmę z coverami i demówkę, która ukazała się również, wraz z kawałkami koncertowymi, na kasecie przygotowanej z okazji czwartej edycji festiwalu Manic Relapse. Czterech gości, którzy udzielali się między innymi w ECTOPLASM, PISSBATH i kilku innych składach, których nazw już pewnie nikt nie pamięta, tym razem postanowiło grać „swedish mangel inspired hardcore". Tyle mają do powiedzenia Discogs i inne internety. Racja, ale uważam, że panowie pożeglowali w zupełnie przeciwną stronę i jako główny punkt odniesienia obrali Japonię i twórczość takich ekip jak: D-CLONE, DROPEND, GLOOM czy ISTERISMO. Także wszystko jasne, Skandynawia oczywiście jest, ale na totalnym przesterze z mega dudniącym basem i perkusją, która wywraca wnętrzności. Żeby wszystko brzmiało jeszcze bardziej wiarygodnie, materiał został poddany masteringowi w Kraju Kwitnącej Wiśni. Niby tylko osiem utworów, a siejące zniszczenie niczym nuklearny wybuch, który został uwieczniony na okładce tego materiału. „Bombowe" teksty tylko uzupełniają dzieło totalnego zniszczenia, którego zazna każdy, kto odważy się nabyć ten kilkuminutowy wybuch agresji. Tak więc ostrzegam, ale jednocześnie polecam, żebyście nie żałowali, bo niebieski limit jest już wyprzedany i pewnie za niedługo to samo stanie się z wersją regularną.

Albin

PRIMITIVE MAN - Caustic CD
(Relapse Records)

„Caustic" to najnowsza płyta nihilistów z Denver, w stanie Kolorado grających od 2012 roku. Muzycy PRIMITIVE MAN to byli lub obecni członkowie takich kapel jak: VERMIN WOMB, WITCHERED, CLINGING TO THE TREES OF A FOREST FIRE, DEATH OF SELF i REPROACHER. Debiutancki album „Scorn" nagrali w 2013 roku i mają oprócz niego na swoim koncie parę splitów i epek. Płyta „Caustic" została wydana prze Relapse Records w październiku tego roku. Na trwającym 75 minut albumie grupy znalazło się 12 miażdżących numerów. Produkcją zajął się Dave Otero (COBALT, CEPHALIC CARNAGE, CATTLE DECAPITATION). Jest to jedna z najbardziej miażdżących płyt, jakie ostatnio dane mi było słyszeć i mogę napisać śmiało, że skalą ciężkości przebijają m.in. najnowszy album WITH THE DEAD „Love From With The Dead" (kapela Lee Doriana – CATHEDRAL, NAPALM DEATH, TEETH OF LIONS RULE THE DIVINE, PROBOT). Jest to mieszanka doom, sludge, punka i death metalu w najlepszym wykonaniu. Apokaliptyczna wizja świata zmieszana z potwornym sludge - doomowym ciężarem, który wprawia wszystko wkoło w drżenie i do tego ryczący death metalowy wokal. Chłopaki nie biorą jeńców i walcują wszystko po drodze w toporny sposób. Co za miazga ten album. Robi wrażenie i myślę, że na koncertach chłopaki potrafią puścić krew z uszu, bo brzmienie mają okrutne. Uwielbiam tak bardzo ciężkie, zabrudzone granie. Nihilizm, mizantropia, apokalipsa i głośny brudny ciężar to motywy, które napędzają to wydawnictwo. Dla mnie to jeden z najlepszych albumów metalowych w tym roku. Mielą wnętrzności chłopaki, aż miło. Polecam!!!

Maku

RADIATION RISKS - Goodbye Money 7"EP
(Lumpy Records)

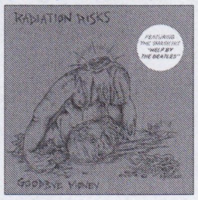

Tego singielka dostałem dość przypadkowo, żonka odwiedzała rodzinkę w Sao Paolo i zahaczyła o gig tych długowłosych (punk) rockersów, którzy w Brazylii musieli czuć się lepiej niż w domu – takiej ilości draga w dobrej cenie, o którym śpiewają w swoich purnonsensowych numerach to raczej w tym swoim Buffalo, stan Nowy Jork, raczej nie uświadczą, haha. Panie, panowie, szanowne punki, zapraszamy do tańca, na imprezę lepszą niż u DOWNTOWN BOYS - 6 numerów melodyjnego, szybkiego, funkującego pankroka z okazjonalnym klawiszem i szczyptą saksofonu na dodatek. Uprasza się o zostawienie negatywnego nastawienia za drzwiami, a i ciuch prosimy założyć wygodny, co by wygibasy ułatwić. Co numer to hit hita hitem pogania, prędkości i melodie miejscami są maniakalne, na serio - punki na trzeźwo takiej muzyki nie mogły napisać. Moimi zdecydowanymi faworytami są numery 1, 2 i 6, a i intra do songu nr 3 by się Hendrix nie powstydził. Muzyka relaksacyjna od codziennego napierdolu.

Rudy

RATA NEGRA - Oido Absoluto LP
(La Vida Es Un Mus)

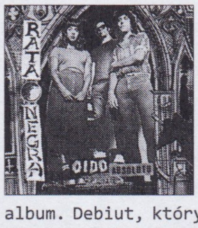

Zauroczyłem się i kompletnie zakochałem w tej płycie! Niby nic odkrywczego, ale za to jak zagrane i zaśpiewane!!! To trio pochodzi z Madrytu, wcześniej wydali jedną siedmiocalówkę, a ta płyta to ich debiutancki album. Debiut, który rozłożył mnie na łopatki! Ekipa wcześniej tworzyła dwa inne zespoły: JUANITA Y LOS FEOS i LA URSS. RATA NEGRA gra punka. Punka prostego, nieco surowego, dość minimalistycznego, ale za to z pasją, pomysłem i życiem! No i wokalistka rozpierdala mnie na drobne kawałki – głos ma słodki, melodyjny, smutny, ale wyraźny i odpowiednio głośny! Nieco garażowe, wczesno punkowe brzmienie, zabarwione falowym sznytem w połączeniu z melodyjnym wokalem Violety daje wybuchowy efekt. Oczywiście wszystko zaśpiewane w języku hiszpańskim. I nie myślcie sobie, że to jest jakiś pop-punk! Nie ma słabego kawałka na tym krążku - to jeden wielki przebój! W moim rankingu na czołówkę wybijają się kawałki „Por No Estar Sola", „Dientes Sobre Metal", „Espinas En El Corazon", „ Aguas Negras". No wszystkie są zajebiste! RATA NEGRA potrafili ze sprawdzonych starych rzeczy zrobić coś nowego i w dodatku bardzo dobrego! Polecam ten krążek, bo to bardzo dobry debiutancki album i wokal Violety was po prostu rozpuści!

Pablo

RAT CAGE - Caged Like Rats 7"EP
(La Vida Es Un Mus)

Bazująca w Londynie wytwórnia nie ociąga się w prezentowaniu nam nowiutkich i świeżych zespołów z całego świata. Tym razem RAT CAGE z brytyjskiego Sheffield. No cóż, tak do końca to nie jest zespół. Niejaki Bryan J. Suddaby grający w zespołach SKIPLICKERS, SIEVEHEADS, DETERGENTS zrobił sobie projekt solowy. Nagrał sam gitarę, bas, bębny i wokal! Nieźle, co? Nie ma w tym Sheffield innych punków, z którymi można by założyć kapelę? Tak czy inaczej pan dał radę sam sobie zrobić zespół. I to całkiem fajny. Wyraźne inspiracje Skandynawią, przede wszystkim słychać TOTALITÄR, w połączeniu z UK 82, choć na przyśpieszonych obrotach. Krótkie, żywiołowe kawałki, bez rzężącego distortszynu i zbędnych solówek. Proste i chwytliwe punkowe riffy, które każdy z nas słyszał z milion razy. Wokal wkurzony, punkowy, zero growlingu czy innego charczenia spod wątroby. Czystej wody wkurwiony punk z prostacką melodyką. Wpada w ucho, nóżka tupie, paluszki bębnią po blacie. No i fajne teksty na aktualne tematy. Wybory, do których jest zmuszane społeczeństwo, które tak naprawdę nie do końca wie, o co w tym gównie chodzi. To samo społeczeństwo wywiera nacisk na ludzi o innej orientacji seksualnej, którzy duszą w sobie swoją tajemnicę seksualności. Pracuj, płać podatki, głosuj, bądź dobrym obywatelem – strata czasu. Uchodźcy zamknięci jak szczury w klatkach, rząd próbuje ograniczyć powody ich przybywania do kraju, jednak sami są powodem, dla którego ci ludzie szukają schronienia w Europie. Jest i kawałek o rasistowskiej świni, która została prezydentem Ameryki. No i wojna… Pamiętajcie, że wojna to nie są opowieści z książki z bajkami. Sympatyczny krótki singiel, którego słucham z przyjemnością. Na wkładce zdjęcie człowieka-orkiestry – leży w kominiarce, z wielkim sekatorem do cięcia drutu, obok pusta flaszka po wódzie. A leży na płytach - wychwyciłem okładki TOTALITÄR, KAAOS, ANTI CIMEX, ASOCIAL, DISCHARGE i CHAOS UK. Wszystko w temacie! Dla fanów zarówno skandynawskiej grzanki, jak i brytyjskiej fali skórzanego punka.

Pablo

RATS BLOOD - Ugly 7"EP
(Distroy)

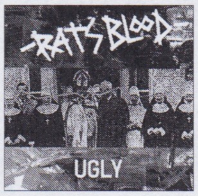

Po świetnym longpleju „Low Life" z 2014 roku Irole z Dublina atakują mnie świeżutkim singlem. Dla przypomnienia - w składzie ludkowie z ESPA MAESA, PUTREFACTION, BURN CHURCH i GRIT. Warto było czekać trzy lata na nową dawkę hałasu! Szkoda tylko, że raptem 6 kawałków, ale z drugiej strony tego typu punk świetnie się sprawdza właśnie na singlach. Krótko, zwięźle, bez zbędnego pitolenia i z dużą dawką brudnego czadu. Kawałki króciutkie - wszystkie ciut powyżej minuty! Zajebisty zdarty wokal Erica, do tego rokendrolowe solówy, d-beatowe bicie i klasyczne raw punkowe gitary. Bez zbędnej gimnastyki, niepotrzebnego kombinowania i silenia się na oryginalność. Niby prosto, po staremu, ale jak zwykle jest coś w tym hałaśliwym, obskurnym punku, że od razu czuję się lepiej! No i teksty fajne - zero polityki, natomiast sporo w nich przemocy, czy to na ulicach nocnego Dublina, czy to w codziennym życiu, a do tego policja cały czas cię obserwuje, a ty jeszcze sam musisz się leczyć ze swojego strachu, bo wokół ciebie miasto… Gołębie żrą rzygowiny, wszędzie śmierdzi szczynami, ktoś ładuje sobie herę w kutasa…
No bardzo dobra dawka klasycznego raw punka z nowoczesnym brzmieniem. Winyl w kolorze blado różowym, na który oprócz Distroy, złożyły się jeszcze trzy inne labele: Phobia Records, Imminent Destruction Records, Donnez-moi Du Feu Records.

Pablo

Irlandczycy z RATS BLOOD raczej nigdy nie zostaną honorowymi obywatelami swojego rodzinnego miasta Dublina. Nie dane mi było odwiedzić tego miasta, ale po zagłębieniu się w teksty z „Ugly", nie mam na to zbytniej ochoty. Od samego początku swojej działalności zespół przedstawia Dublin jako miejsce pełne przemocy i morderstw, które wręcz tonie w zalewie narkotyków i innego gówna. W ogóle RATS BLOOD to cholernie konsekwentny i stały w uczuciach zespół. Jak zwykle nagrali się w Hive Studios, mastering ogarnął Jack Control, a za wydaniem tego materiału ponownie stoją w większości te same ekipy i nawet labele na krążku są zbliżone do tych z poprzednich wydawnictw, a jeśli ktoś miałby jakieś wątpliwości, to we wkładce zapewniają, iż dalej są i zawsze będą przeciwko kościołowi, faszystom i policji. Po ciekawej okładce spodziewałem się, że to właśnie irlandzkim miłośnikom dzieci dostanie się najbardziej w tych sześciu kawałkach, także trochę się tutaj zawiodłem, bo oprócz lokalnego podwórka, psiarni i bardziej osobistych tekstów, tego tematu niestety nie odnalazłem. Sześć strzałów, z których żaden nie przekracza dwóch minut, tym razem przesunęło ciężar bardziej w stronę hard core'owej Szwecji i mniej tutaj słychać portlandzki mix crusta i d-beatu z pierwszej siódemki i LP. Mnie to zupełnie nie przeszkadza, bo nowy materiał RATS BLOOD dalej spełnia swoją podstawową rolę – kopie w dupę, buja i pozwala rozładować wkurwienie na otaczającą nas rzeczywistość, bo tak na prawdę każdy z nas ma swój Dublin. Do wyłapania klasyczna czerń lub jeden ze stu różowych egzemplarzy.

Albin

REALIZED/COMPULSION TO KILL split kaseta
(Acid Redux Production)

Bardzo fajny japońsko-malezyjski split. I od razu mówię, że to REALIZED to nie to grindowe REALIZED, mimo iż też pochodzą z Japonii. REALIZED z tej kasety to typowy japoński hardcore/punk, zadziorny i szybki. Zespół pochodzi z Sapporo, ma na koncie kilka demówek, i to w zasadzie wszystko, co wiem na ich temat. Cztery całkiem spoko numery, z czego ostatni mocno rock'n'rollowy.

COMPULSION TO KILL aka CxTxKx są z Kuala Lumpur w Malezji i to już raczej jest uznana marka. Na koncie maja sporo splitów m.in. single z NEEDFUL THINGS, TOOLS OF THE TRADE, GRUNT oraz kasety z CARCASS GRINDER, ROTING REX, WEAPONCREAK. Mają też kilka pełnych albumów i kompilacji wydanych na całym świecie. Ekipa prezentuje solidny i dobrze zagrany grind core violence, to naprawdę dobry materiał, a do tego serwują nam cover DROPDEAD. Wcześniej panowie grali w grindowym TORTURE INCIDENT i szczerze mówiąc też dobrze im to wychodziło. Aha, do kasety dołączony jest duużżży badzik.

Urbx

REJESTRACJA P.P. - Darmowe wczasy '83 LP
(Toronto Records)

Kolejny rarytas wypuszczony pewnie przez piratów i pewnie w maciupeńkim nakładzie, kto-ry wkrótce osiągnie nieosiągalne ceny na wszelkiego rodzaju discogsach i innych allegro… No, ale pewnie w inny sposób nie dałoby się tego wydać na winylu, bo jak wiadomo tu i ówdzie, obecna odsłona REJESTRACJI jest mało „przysiadalna". Kupiłem ich płytę „Uwolnij się", którą w 2009 roku wypuścił label Noise Annoys, głównie dlatego, że znalazły się tam ich stare kawałki z lat 80. Nawet podobało mi się wykonanie tych numerów, choć oczywiście zabrakło tej surowizny i energii, która emanowała z zespołu w pierwszej połowie lat 80. Dlatego, gdy cudem dorwałem bootlegowe wydanie dema „Darmowe wczasy" REJESTRACJI (czy raczej REJESTRACJI PRZEDPOBOROWYCH) to mało się nie poszczałem! Zespół ze ścisłej czołówki polskiego punka lat 80. Zaistnieli tylko na składance „Jak punk to punk" z 1986 roku, a tak to tylko krążyły ich nagrania na nieoficjalnie wydanych kasetach. Głównie nagrania z prób czy koncertów. Na tym krążku znajdują się aż 23 piosenki, czyli o 5 więcej niż na kasecie wypuszczonej w 1983 roku. Wszystkie zostały nagrane w toruńskim klubie Od Nowa, a w 5 utworach na wokalu, zamiast Gela, pojawia się Pinio. W 1983 roku w Polsce naprawdę czadowy punk grało niewiele zespołów, ta fala pojawiła się dopiero za rok pod postacią SIEKIERY, początkującej MOSKWY, ABADDONU czy PROWOKACJI. W 1983 roku DEZERTER wydał świetną epkę, w Miastku grało WC, na Śląsku ŚMIERĆ KLINICZNA… Reszta czadowych zespołów dopiero startowała. Natomiast REJESTRACJA napierdalała już pełną parą punka inspirowanego DISCHARGE! I to jak napierdalała! Prędkość tych kawałków szokowała, wkurzony wokal wykrzykiwał zajebiste antysystemowe teksty, gitary wygrywały proste, ale łapiące za punkowe serducho riffy. Mistrz! Nikt tak w PRL-u nie grał w 1983 roku! Są tu wszystkie lub prawie wszystkie moje ulubione kawałki REJESTRACJI: „Zaśpiewajmy poległym żołnierzom", „Armia", „Kontrola", „Nie dajmy nadejść burzy"… No wszystkie są zajebiste! Jest tu i kultowy „Wariat", jest „Nowa Generacja", „Apokalipsa", „Nigdy więcej faszyzmu". Oprócz bardzo czadowej, jak na tamte czasy, muzyki to wrażenie robiły przede wszystkim teksty REJESTRACJI. Polityczne, buntujące się przeciwko ówczesnej rzeczywistości, bardzo antysystemowe i pacyfistyczne. Kontrola jednostki, walka o wolność, opór przeciwko faszyzmowi, codzienne zagrożenie atomową paranoją, wyścig zbrojeń, wojna, sprzeciw przeciwko wojsku i armii, przemoc, wyalienowanie w społeczeństwie i oczywiście krytyka komunistycznego systemu. Można powiedzieć, że to klasyczne tematy poruszane przez punkowe kapele w tamtych latach. Tak, oczywiście! Natomiast REJESTRACJA miała te teksty bardzo dobrze napisane i one potrafiły się bardzo szybko zagnieździć w głowie i zmusić słuchacza do przemyśleń. Punk był groźnym zjawiskiem dla systemu, bo właśnie zmuszał do myślenia! Kultowy zespół, kultowe nagrania, obok DEZERTERA jeden z najważniejszych zespołów polskiego punka. Szkoda tylko, że dzisiejsza odsłona REJESTRACJI to jest kompletnie nie moja bajka… Okładka płyty inspirowana oryginalną okładką demo kasety, którą wypuściło Studio Ultimatum (wydające sporo punka w latach 80., m.in. MOSKWĘ, XENNĘ czy ŚMIERĆ KLINICZNĄ). Na tylnej stronie okładki zdjęcie zespołu i tytuły kawałków, w środku dwie wkładki - jedna z tekstami piosenek, druga ze zdjęciami REJESTRACJI. Płyta ładnie wydana, jakość nagrań względna. Życzę szczęścia w złapaniu tego bootlega!

Pablo

ROHT - Demo kaseta
(Paradisarborgarplotur)

Te islandzkie kasety są krótkie i z dwóch stron mają to samo. Szybko leci. Ten zespół wytwórnia przedstawia jako kapele z black metalowymi wpływami. Nie wiem skąd ta pewność, ja tego nie słyszę, czadowo grają i mieści się to w konwencji penetrowanej przez redakcję tegoż periodyku. No już bardziej te wskazania na industrial, ale z tych normalniejszych, może bardziej prosto: noi-se punk. Zespół ma już na swoim koncie singla wydanego w USA, jak i koncerty tamże, jeszcze split EP, no proszę… nie jest to złe, słuchałem bez wstydu.

Grzester

SCAB EATER - Mind Trench 7"EP
(Hardcore Victim)

Po dwóch kasetach i singlu w końcu kolejna siedmiocalówka. Cholera, doczekam się w końcu jakiejś dużej płyty? SCAB EATER pochodzą z Melbourne w Australii, choć w składzie jest ktoś i ze Stanów, bodajże wokalista, i wzbudzili spore zainteresowanie grając trasę po Europie w zeszłym roku. Zajebisty brudny hardcore w starym bostońskim stylu, lekko, czy nawet delikatnie zahaczający o crust i d-beat, ale generalnie jest to hardcore w pełnym tego słowa znaczeniu. Z jednej strony kojarzy się z bostońską sceną, ale także sporo u nich muzycznych śladów australijskich protoplastów naparzanki z lat 80. Zespół jest wkurzony, sfrustrowany, spięty - zarówno słychać to w głosie wokalisty, w świetnie brzmiącej muzie, jak i, przede wszystkim, w tekstach. Bardzo ciekawe granie, surowe, ale pokombinowane i urozmaicone zmianami tempa. Brud wylewa się z głośników, nie ma jednostajnej łupany, są zwolnienia, jest lekki napierdolek, są sprzęgi przeplatające się z solówami. No i wokalista zajebisty jest - dokładnie taki, jakich lubię w hardcore'owych kapelach. Żywiołowy, ciekawy czad, zarówno dla crustów, jak i zadeklarowanych wyznawców old schoolowego hardcore'a z lat 80. Aż sześć kawałków, które poruszają takie problemy jak zatruwanie środowiska przez australijskie firmy, które degradują ekosystem wydłubując na potęgę z ziemi uran, który potem używa się na przykład w Fukushimie. Czym jest życie? Jaki jest jego sens? Czy lepiej być odludkiem i martwić się tylko o siebie czy może warto budować coś wspólnie od podstaw? Gorzkie słowa o punku, który się zuniformizował, stał się pusty, pełen hipokryzji, cyniczny… Australijski rząd pierdoli o uchodźcach, którzy giną na morzu, a nic nie robi w tej sprawie, tylko podsyca nastroje antyimigranckie i rasistowskie, a najgorsze jest to, że tak samo dzieje się w innych zakątkach świata. Jest też kawałek o policji - oni wszędzie są takimi samymi skurwielami nawet w krainie Oz. Fajnie napisane teksty, o ważnych sprawach, które wkurwiają chłopaków z SCAB EATER. Każdy tekst opatrzony jest krótkim komentarzem kapeli. Bardzo dobre, solidne i na wysokim poziomie granie z przeciwnego końca świata. Jeśli lubisz brudne granie w starym stylu, a szczególnie kręcą cię kapele pokroju VICIUOUS CIRCLE, PERDITION, DEPRESSION czy CIVIL DISSIDENT, a do tego lubisz granie z Bostonu i zasłuchujesz się brudnymi crustowymi kapelami to ten hardcore jest dla ciebie!

Pablo

SILENT ERA - s/t 7"EP
(Doomtown Records, Sabotage Records)

Nie do końca wiem czemu, ale SILENT ERA z Bay Area w Kalafiorni przywodzi mi na myśl bardziej hiciarskie NAKED AGGRESSION z okresu „March, March Along"... chodzi z pewnością o głos Michelle, która na serio potrafi śpiewać i obok bardzo ładnie pracującej gitary i basu tworzy śliczne harmonie, których aż miło posłuchać. Płytka wyszła za wielką wodą i dorobiła się oddzielnej edycji w Jewropie zrobionej przez Chorwatów z Doomtown Re-cords i Niemiaszków z Sabotage. Sam dobór lejbeli powinien już sugerować, w jakich klimatach muzycznych się kapela będzie poruszać. Na obu kontynentach zajęli się masterem magicy, którzy sami też grali w niezłych grupach - Stanami zajął się Will z ORCHIDA, europejskie uszy czaruje David z RED DONS/OBSERVERS, lipy nie będzie, a różnic nie usłyszę, bo tylko europejską wersję niestety posiadam.

Przejdźmy jednak do muzyki - cztery przyjemne dla ucha piosenki, poruszające się między szybszym a średnim tempem, z gitarą na lekkim chorusie tworzą wręcz romantycznie senne pejzaże, po których zostaje dobre samopoczucie. Czuć minimalnie NEON PISS, bo koleżka z tej grupy na gitarze mąci. Tekstowo mamy o tych przebrzydłych kapitalistach dyktujących warunki politykom i nieliczących się w ogóle z kosztami ludzkimi, obwiniających biedotę, imigrantów za złą sytuację („Mini szefowie"), mamy o problemach z samymi sobą („Own//Selves") i najbardziej hiciarską, choć i najsmutniejszą w swej wymowie, piosenkę numer cztery - („Nie Wychodź), w której czuć liryczną wściekłość na palantów i bandytów, których mamy ani ojcowie nie nauczyli, że NIE ZNACZY NIE, a którzy biorą, co chcą, kiedy chcą, bez troski o cenę, którą wszystkie strony będą musiały zapłacić. Ktoś pamięta tego bialutkiego bogatego kutasa Brocka Turnera, który w linii obrony miał, że jest dobrym pływakiem prestiżowego uniwersytetu Stanford, a nie gwałcicielem? „Po prostu nadal traktujcie symptomy, niech choroba nadal trwa i się rozwija... nie mów mi bym się kurwa uśmiechała!" I po niecałych dziesięciu minutach kończy się nostalgia SILENT ERY i wracam do szarości i brzydoty dnia codziennego. Dziękuję, jeszcze do was wrócę.

Rudy

SIKSA - Punk Is Tot kaseta
(Melina Crew Records)

SIKSA wzbudza bardzo duże emocje i z SIKSĄ jest tak, że się ją kocha lub nienawidzi. Jestem po stronie tych kochających. Pojawienie się SIKSY na scenie punk to dla mnie kop w zasiedziałego dupala, poruszenie głęboko skrywanych pokładów emocji, strzał,

który otwiera oczy na wiele wstydliwych spraw. Kaseta jest zapisem koncertu SIKSY w Berlinie. Jak niektórym wiadomo, set lista SIKSY ewoluuje i dojrzewa, niczym dojrzewająca w dorosłym świecie SIKSA… Na tej kasecie mamy pierwszą set listę, w której SIKSA dokonuje wiwisekcji rodziny, najbliższego otoczenia, projektu lejdi i kończy set kowerem GUERNIKI (wielki całus za to). Z SIKSĄ jest o tyle problem, że jej siła to koncerty na żywo. Zaś każdy zapis czy na tej kasecie, czy np. na split EP z ALLES to jest tylko 40% rażenia. Kasetę traktuję jako zapis jednego z etapów ewolucji SIKSY. Kończę tę recenzję stwierdzeniem, że jest to dla mnie najważniejszy zespół punk (not rock) roku 2017!!!

QbaQ

SIKSA/ALLES split 7"EP
(Antena Krzyku)

SIKSĘ wszyscy już przerobili, za przeproszeniem, wszerz i wzdłuż… Dla jednych ten duet to ożywczy powiew na scenie niezależnej, dla innych to porażka i żenada w jednym. No cóż… Ja uważam, że SIKSA, w tym, co robi na tej scenie, jest najlepsza. Zastanawiam się jednak, czy to jest grupa, która powinna wypuszczać jakiekolwiek nagrania. Oni się zajebiście sprawdzają na żywo i TYLKO na żywo. Choć jeden kawałek na singlu jeszcze nikomu nie zaszkodził. Muzycznie to tu nic nie ma. Tylko podkład basowy i jakieś dodatkowe dźwięki ubarwiające tekst Alex. A tekst przedni! „Wywiad Rzeka" z Kasią Cichopek. Musiałem sprawdzić, kto to jest Kasia Cichopek. To znaczy słyszałem o niej, ale chciałem sprawdzić. Kasia Cichopek jest tutaj w tekście SIKSY po prostu kalką tych wszystkich gwiazdek, celebrytek czy jak je tam zwał, które brylują na salonach polskiego szołbyznesu. Jednak są też kobietami, które musza żyć w Polsce i muszą się wpasować w ramy tego polskiego społeczeństwa. Niestety… Wyśmienity tekst, a kto nie kuma to niech spierdala. Jednak SIKSA tylko na koncertach, bo jednak sama „piosenka" w audio jest mało wystarczająca, by ogarnąć ich repertuar.
ALLES to również duet grający jednak minimal electro beat z Łodzi. Kompletnie chore, zdygitalizowane i zimne dźwięki z tekstem o tym, że idzie nowe… Nowa zmiana… Trafne uderzenie! A na dodatek na końcu tekstu pojawia się cytat z GUERNICY Y LUNO! Dźwięki z obu stron nie są przeznaczone dla wszystkich (a szkoda), ale w tym tkwi cały urok punka, że ma on wiele twarzy. Na tym kawałku plastiku ma on oblicze bardzo niestandardowe, ale jednak pociągające i ciekawe.

Pablo

SLUTET - När Helvetet Brunnit Mot Sitt Slut 12"
(Insane Society)

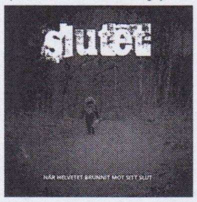

Ha! Wszystkie stare crust punki, których młodość przypadała na lata 90. powinni polubić ten krążek! W SLUTET grają członkowie 3-WAY CUM, UNARMED, WARCOLLAPSE, OPERATION! I wszystko w temacie! Prosty, średnio-szybki crust z delikatnym metalowym ostrzem i sporą dawką rockendrolla. Kawałki dość surowe, ale z toporną, choć wpadającą w ucho melodią. Do tego dwa zdarte i przepite wokale bez grama growlu. Crust-punk pełną gębą! Przy tych szybszych utworach wchodzi d-beat i to w dodatku taki klasyczny, szwedzki, który się grało dekady temu. Nie ma tu jakiejś zbędnej wirtuozerii czy mieszania, ale solówki tną całkiem przyzwoicie. Brzmienie mięsiste, choć bez jakiegoś specjalnego ciężaru. Oprócz tej tradycyjnej szwedzkiej raw crustowej nuty słychać u SLUTET momenty sugerujące nam, że jest to zespół dość świeży, bo jednak jest kilka chwil, których nie powstydziłyby się WOLFBRIGADE czy TRAGEDY. Sympatyczne granie, aż 14 utworów, mimo, że płyta kręci się na 45 obrotów, a kawałki nie są jakieś szczególnie szybkie ani krótkie… Teksty niestety po szwedzku. Jednym słowem - dobre połączenie starego z nowym, choć z dużym naciskiem na lata 90. Crusty łykną!

Pablo

SMG/PSYCHOPATHIC split kaseta
(Bringer Of Gore Records)

Kolejne wydawnictwo małego, acz bardzo prężnie działającego labelu B.O.G. Records z Belgii. Malezyjski SMG nie trzeba chyba przedstawiać znawcom grind fastcore power violence. Mają na koncie naprawdę z tonę wydawnictw na różnych formatach wypuszczonych na całym świecie. Jeśli ktoś jest bardziej zainteresowany tym zespołem to wiem, że kiedyś był prowadzony ciekawy blog odnośnie SMG. Na kasecie pięć numerów ultra grindującego chaos core'a. Brud, wrzaski, growling, ale są też i wolne momenty. Wydaje mi się, że jak to w przypadku SMG, maja gorsze i lepsze nagrywki – materiał z tego splitu należy do tych dobrych. Szybko, głośno i krótko. Taki stary NAPALM DEATH czy stare EXTREME NOISE TERROR.
PSYCHOPATHIC to załoga z Indonezji. Chłopaki są trochę znani za sprawą splitu z AGATHOCLES, poza tym maja ciekawy split MCD z francuskim zespołem PULMONARY FIBROSIS oraz split kasetę z chińskim LO FAT. PSYCHOPATHIC to raw grinding punk. Bez owijania w bawełnę, mocno chaotyczny, do tego dwa mieszane wokale (growling i wrzask), brzmienie surowe, ale wszystko dobrze słyszalne i niecharczące. Ogólnie żwawo im to idzie, bo dość szybko minęły te cztery numerki. Wyszło sto sztuk ręcznie numerowanych.

Urbx

STHENO/FACADA - Primitive split CD
(D.I.Y. Koło)

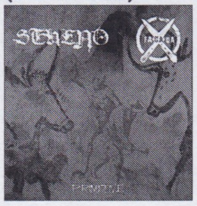

Lubię czasami podnieść sobie ciśnienie jakąś grind core'ową hordą, ale lubię słuchać coś, co już słyszałem wcześniej i znam, albo coś, co nie jest li tylko czystym grindem, a łączy w sobie inne elementy hałasu (no, bo muzyki, chyba nie?). I tak jest w przypadku tego splitu. STHENO pochodzą z Grecji, choć niestety śpiewają po angielsku. Na koncie mają pełny album i kilka split singli, a łupią grind core, z lekkim crust-core'owym szyntem i dużą dawką black metalowych gitar. Wokale dwa - jeden growl, ale taki dość przystępny, a drugi jedzie rozdzierającym wrzaskiem, ocierając się właśnie o black metal. W sumie ciekawe granie, nie ma tu monotonii, pojawiają się fajne „leśne" melodie, choć tempo opętańcze. Dobrzy technicznie, z dobrymi pomysłami, do tego intensywny napierdolek. Teksty takie, hmmm… death metalowe - zagłada, mrok, nie ma przyszłości… Tylko 7 utworów, przy czym przy dźwiękach szóstego numeru wpadłem w lekką konsternację - znam to! Kurwa! „City Baby Attacked By Rats" G.B.H. zagrany w grindowo-blackowym klimacie! Zuch chłopaki!
FACADA pochodzą z Brazylii i też mogą się pochwalić sporym dorobkiem, bo aż cztery albumy na koncie. Na tym splicie zamieścili tylko cztery utwory, ale nie odstają od swoich poprzedników. Również grind core, choć bez żadnych metalowych naleciałości, za to na punkowej podbudowie. Nie ma growlu, ale jest zdarty brutalny wokal basisty. Dwie gitary piłują na punkową nutę i gdyby nie tempo, przyśpieszenia, drugi wrzaskliwy wokal wspomagający to stwierdziłbym, że to brudny hardcore, nieco mocniejszy niż zazwyczaj się gra, ale nie grind core. Teksty po portugalsku, więc nie wiadomo, o co chodzi. Oba zespoły kompletnie mi nieznane wcześniej, oba ciekawe, choć na prowadzenie wysuwa się STHENO.

Pablo

SYNDROME 81/URBAN SAVAGE - split 7"EP
(Primator Crew, Offside Records, Savage Records)

Dwie, w pewnych kręgach kultowe kapelki oi punkowe, w których skinów znaleźć można jak na lekarstwo, wypuściły bardzo zgrabnego singla. Jeśli nieznajomość URBAN SAVAGE można zrozumieć i przeboleć, bo nie jest to kapela zbyt płodna i poza słabo brzmiącym LP i zajebistą Epką nie jest zbyt aktywna, to jeśli o SYNDROME 81 nie słyszałeś to znaczy w totalnej głuszy żyjesz i słabo trendy śledzisz. Przebojem weszli na europejską scenę oi/hc na fali revivalu francuskojęzycznej nuty i podbili serca punków, skinów jak i hardkorzyków od pierwszych dźwięków piosenki, która znalazła się na składaku „La Force Dans La Oi". Poprawili swoją wersją sentymentalnego oi'a na splicie z LITOVSK i dwoma samodzielnymi króciakami. Chłopcy nie wymyślili nic nowego, Francuzi cały czas poruszają się w stylu, który sobie wypracowali, więc jest hiciarsko, melodyjnie i z przytupem. Można się zakochać. Wyobraź sobie BLITZ z okresu „New Age" zmiksowane z CRIMINAL DAMAGE i będziesz miał pojęcie, co w nucie piszczy. Po czterech minutach szybszych piosenek, które zostają w uszach na długo przychodzi pora na Szwedów, którzy znacznie zwalniają tempo i atakują swoją wersją syfu dla hardkor skinów – „Bezlitosny Nowy Porządek Świata" jest melodyjnym hitem kreującym wizję mad maksowej rzeczywistości, która, biorąc pod uwagę nastroje na świecie, niczym nieskrępowaną chciwość międzynarodowych koncernów prowadzącą m. in. do nieodwracalnych i katastrofalnych zmian klimatycznych może być bliżej niż nam się wydaje... „Bezlitosny nowy porządek, zbliżamy się do krawędzi – się śmieją i tańczą ze stryczkami na szyjach. Każdy dzień zbliża nas do upadku, kończy nam się czas.... Zbudujemy nasze domy na ruinach tego świata, gdy wszystko pójdzie się jebać w ogniu i płomieniach...". Drugi song zwalnia jeszcze bardziej i mamy więcej chamówy, widzę skinohardkorów robiących sobie nawzajem krzywdę na parkiecie. Skiny raczej tekstu nie będą słuchać, bo lepiej komuś w pogo przyjebać a Miejski Dzikus w „Darwinie Pośród Maszyn" o dumie z bycia skinem nie śpiewa tylko na wszechobecnej komputeryzacji się skupia, tak samo jak i podmioty tekstu, między którymi i obsługiwanymi przez nich maszynami różnica się zaciera. Mocny singiel od dwóch bardzo mocnych europejskich grup. Czekam na więcej.

Rudy

ŠANOV 1 - On The Shit LP
(PHR Records)

ŠANOV 1 to punkowy zespół, który powstał w Czechosłowacji w 1987 roku i już na stałe wpisał się w scenę naszych południowych sąsiadów. Zespół gra do dzisiaj i wydaje wciąż nowe płyty. Pierwszy krążek pt. „Konec Světa" wydali w 1990 roku po upadku komuny, drugi „On The Shit" w 1992, ale tylko na kasecie i CD. Tak więc jest to pierwsze wydanie na winylu po 25 latach. Dla czeskich punków ŠANOV 1 to ważny zespół, u nas pewnie słabo znany, choć kto wie? Mam na półce ich debiutancką płytę i nawet fajna jest, ale chyba ten krążek z 1992 bardziej mi się podoba. Jest bardziej dopracowany, ciekawszy i nieco na wyższym poziomie, choć podejrzewam, że większość Czechów większą estymą darzy jednak ten debiutancki longplej. ŠANOV 1 wycinają dobry punk, choć nie taki punk rock 77 czy inną słowiańszczyznę. W ich muzykę wkradają się powoli hardcore'owe elementy, choć jest to bardziej hardcore w stylu, dajmy na to, granym przez DEAD KENNEDYS czy taki KARCER ze swojej niesławnej "hardcore'owej" płyty. Coś pomiędzy tym, choć sporo tu chwytliwych momentów, zarówno klasyczno-punkowych, jak i tych bardziej czadowych. Wydaje mi się, że te nagrania brzmiały by jeszcze lepiej, gdyby te

gitary były troszkę cięższe, ale i tak nie jest źle! Motoryczne, wręcz momentami motorheadowe gitary, oczywiście z punkowym zacięciem. Do tego jakieś akcenty robiące bum! w odpowiednich momentach, dobrze pokombinowane i skomponowane kawałki, kiedy trzeba to z kopytem, a kiedy indziej z dobrą melodią. Wokalistę, zresztą dość charakterystycznego, wspiera chóralnie reszta składu, co jeszcze bardziej wzbogaca te kawałki. Teksty też fajne, nie ma w nich za dużo polityki, jako takiej, ale dużo w nich apokalipsy, krytyki postaw i rzeczywistości, ale przede wszystkim specyficznej ironii. Teksty bardzo dobrze napisane, dające do myślenia i czasami wzbudzające lekki uśmieszek, kiedy dociera do nas, co autor miał na myśli. Bardzo dobrze zagrane kawałki, czadowe, hc/punkowe i na wysokim poziomie. Warto się zapoznać, jeśli nie mieliście okazji, tym bardziej, że to ważny zespół dla czeskiej sceny, no i przede wszystkim grają naprawdę dobrze. Spodoba wam się!

Pablo

TAU CROSS - Pillar of Fire 2xLP
(Relapse Records)

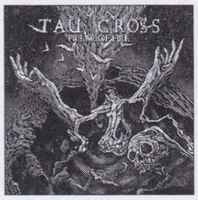

Od wydania pierwszej płyty TAU CROSS minęły dwa lata. Czas leci szybko, dla mnie TAU CROSS to ciągle dopływ bardzo świeżej krwi w muzyce. Mimo, że masz poczucie, że zespół tworzą stare wygi, które niby niczym cię nie zaskoczą, to jednak zaskakują, tworzą coś na poły nowatorskiego i świeżego. I może w tym jest sekret: zebrać do wspólnego projektu ludzi z olbrzymim doświadczeniem muzycznym na scenie, którzy kiedyś jednak wyznaczali kierunki dla muzyki. Bo tak zrobił AMEBIX, tak zrobiło MISERY i tak zrobił VOIVOD. I taki jest dla mnie TAU CROSS - to definicja muzyki sama w sobie. A druga płyta dobitnie to pokazuje. Bo debiutancka płyta TAU CROSS to dość naturalna kontynuacja ostatniej płyty AMEBIX pt. „Sonic Mass" i jak przyznaje sam Baron, sam napisał te numery i w większości miały się znaleźć na kolejnej płycie AMEBIX. Skoro do tej nigdy nie doszło, zrodziła się idea TAU CROSS. Natomiast „Pillar of Fire" to autorska kompozycja zespołu, w większości napisana przez duet Lefton/Greenslade. I to słychać. Tak jak pierwszą płytę łyknąłem natychmiast, bo to AMEBIX, tak słuchając drugiej musiałem się w nią zagłębić, musiałem się jej nauczyć, przyzwyczaić. I jak już się z nią oswoiłem, to stwierdziłem, że TAU CROSS to geniusze. Płyta zaskakuje w każdym numerze. Skład zespołu wzbogacił się o basistę Toma Radio z FRUSTRATION, co oznacza, że Baron tylko śpiewa. To znaczy, że on zaczął śpiewać czyli już nie tylko usłyszysz wokale znane z AMEBIX, ale też zupełnie nowe próbki talentu Millera. Czasami trudno go rozpoznać, bo on faktycznie śpiewa. I w sumie umie to robić. A sama muzyka stała się bardziej kompozycyjna, tam się dzieje bardzo dużo. Jest wolniej, ale nadal melodyjnie. Gitarzyści pokazują swoje umiejętności, do muzyki dochodzą klawisze i sample. Całość z jakby nowym starym wokalem Barona nabiera mistycznego charakteru, zarazem lekkości struktur jak i ciężkości brzmienia. Gitary raz przesterowane, raz akustyczne, z klawiszami w tle i tekstami osadzonymi w rycerskiej Anglii a jednak nawiązujące do dzisiejszego społeczeństwa, przenoszą się w inny świat muzyki. Tutaj nie ma sensu porównywać TAU CROSS do czegokolwiek i przyklejać im etykiet. To jest muzyka zdefiniowana na nowo, mimo, że usłyszysz wiele wpływów. Potraktuj „Pillar of Fire" jak prawdziwą autorską płytę TAU CROSS, gdzie Baron mniej komponował, a więcej śpiewał i pisał. I dopiero trzecia płyta pokaże, co się wydarzy dalej. Ja już nie mogę się doczekać. Podwójny LP to przepiękny gatefold opatrzony grafikami rumuńskiego artysty Ciostina Chorenau. Całość została skomponowana w domach muzyków, nagrana w różnych studiach na świecie z racji odległości muzyków i wykończona na Isle of Skye przez Jamesa Adamsa. Czy jest do czego się przyczepić? Tak, jest. Do jakości nagrania perkusji. Taki perkusista jak Away z VOIVOD napędza ten zespół bardziej niż nam się wydaje. Myślimy sobie o wokalu Barona i gitarach, ale zapominamy, kto siedzi za perkusją i co potrafi. Widać to, gdy oglądasz zespół na żywo, nie słychać tego na tej płycie. A szkoda. To jest zadanie dla zespołu na trzecią płytę. Proszę postarajcie się ukazać Langevina w pełnej krasie.

Wojtas

TELEX - REZNICKEJ KRAM LP
(PHR Records)

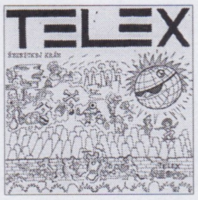

Ale niespodzianka! PHR wziął przykład z Bezkoca i postawił na wznawianie zagrzebanych w kurzu kaset czechosłowackiego punka? To byłaby świetna informacja! Tytuł to „Sklep mięsny" a materiał nagrano w 1989 roku i wydano na kasecie, wyszedł też w niewielkim nakładzie na CD, no ale kogo to teraz… Tyle tylko, że na kasecie było o siedem kawałków więcej niż na dzisiejszym winylu. Kapela ciekawa i pokazująca nam jak braciuki z południa potrafili rąbać hardcore: wyglądało to jakby kapkę lepiej niż nasze rodzące się nazwy hardcore punka. Co ciekawe TELEX grał masę coverów i nie zawsze wyjaśniał publice, że nie są to ich własne kompozycje. Podobnie było chyba i tym razem, bo o ile winyl wyjaśnia, co jest pięć to kaseta nie miała przypisów, więc słuchacze nie wiedzieli, że adoptowano do swoich potrzeb EXPLOITED, SACRED DENIAL, DAYGLO ABORTIONS, BLITZ, PARTISANS, czy w utworze „Kam vitr tam plašť" znajomą ARMIĘ! Kapela nie przetrwała upadku komuny i rozpadła się niewiele później, co jakiś czas się reaktywując. Miałem to szczęście widzieć ich w dobrej formie na Antifeście. Są teksty, zdjęcia, bio, dwie wkładki. Papagajuv Hlasatel Records, brawo za pomysł!

Grzester

THE WAR GOES ON – s/t LP
(Adalt Crash, New Dark Age)

Po singlu z 2012 roku w końcu zespół uraczył nas pełnym albumem, na który wielu punków czekało z niecierpliwością. Krążek wyszedł w zeszłym roku i jak na razie THE WAR GOES ON to zespół jednej „hiciarskiej" płyty i zastanawiam się, dlaczego nie poszli za ciosem i nie wydali w tym roku na przykład trzech kolejnych albumów… Oczywiście żartuję, tym bardziej, że ten album przygotowywali od co najmniej 4 lat. K-Town punk czyli załoga z Kopenhagi, w zespole udzielają się członkowie zespołów NO HOPE FOR THE KIDS, YOUNG WASTERNERS i HJERTESTOP. I właśnie muzyka THE WAR GOES ON wcale tak bardzo nie odbiega od dokonań NO HOPE FOR THE KIDS. No dobra, nie ma tu w ogóle tego surowego i sentymentalnego oi'a i mniej tych chóralnych refrenów, ale jest też sporo melodii, jest szczypta mroku. THE WAR GOES ON znaleźli złoty środek i balansują pomiędzy klasycznym punkiem z ulicznym sznytem i brzmieniem charakterystycznym, ostatnimi czasy, dla K-Town. Kawałki smutne, ale z duża dawką wpadającej w ucho melodii. Jakby bardziej słodszy WORLD BURNS TO DEATH czy bardziej „dopracowany" DEFIANCE. To oczywiście tylko lekkie naprowadzenie, bo THE WAR GOES ON wypracowali swoje własne brzmienie i własny styl gry. Koncertują często po Europie, w tym roku była okazja zobaczenia ich występu na DIY Hardcore Punk Fest w Gdyni. Zarówno na koncertach, jak i z tej płyty, porywają punkową publikę melodyjnością swoich kawałków. Teksty też smutnawe, o życiu… O tym, że ludzie w większości są chujowymi kreaturami, że życie do dupy jest i mroczne, myśli samobójcze pojawiają się w głowie, trochę pomaga alkohol… Na pewno nie jest to emo, hej! Jednak teksty nie napawają zbytnim optymizmem, no future do kwadratu. Na płycie jest 11 kawałków, które powinny nam wystarczyć do następnej płyty Duńczyków, którzy brzmią po amerykańsku. Nie wiem, kiedy mają zamiar coś wypuścić, ale będę czekał, bo tym krążkiem mnie kupili. Mimo tych dołujących tekstów to jednak bardzo dobrze słucha się tego materiału, więc jeśli lubisz melodię połączoną ze skórzanym punkiem 82 w lekko amerykańskim stylu, ale z poważną łyżeczką własnego, charakterystycznego brzmienia to łykaj w ciemno ten krążek!

Pablo

TØRSÖ – Community Psychosis 12"
(Agipunk)

Bardzo ładne wydanie… Ten krążek został przygotowany na europejską tra-sę TØRSÖ, limit 300 egzemplarzy. Poza tym jest to płyta jednostronna, bo na drugiej stronie transparentnego krążka jest przepięknie nadrukowana łapka z wyciągniętym środkowym paluchem, a na dłoni widnieje strejtedżowy krzyżyk. To jeszcze nie wszystko… Ta dwunastka zawiera 5 kawałków z ich singla, którego wydali w 2014 roku oraz dodatkowo dwa kawałki z ich demo: „What Are You Willing To Trade?" i „Too Far". Całkiem sympatyczne to wydanie. Co mogę napisać o zespole, który swoim LP kopnął mnie niemiłosiernie w ryło? Dalej nie mogę się otrząsnąć! Brzmią, jakby goście z YOUTH OF TODAY pewnego dnia stwierdzili, że może fajniej by było grać w klimacie CRUDE SS albo MOB 47. I dla mnie tak to brzmi – new schoolowy hardcore z brzmieniem „skórzanej" Skandynawii. I do tego wściekła pani na wokalu. Nie wkurzona czy zdenerwowana… Wściekła w chuj! Postawa straight edge dodaje im tylko wiarygodności, a w tekstach też nie pojawiają się pierdoły, ale konkretne pytania o postawy i egzystencję w tym cholernym społeczeństwie. Zajebiście sobie podładowałem bateryjkę tą płytą! Ładna czerwona okładka i wkładka z tekstami i grafiką najebanego typa otoczonego butelkami. Nie znać TØRSÖ to jak nie oglądać nigdy „Gwiezdnych Wojen"…

Pablo

TRIAL - The Early Years" 2xLP
(Refuse Records)

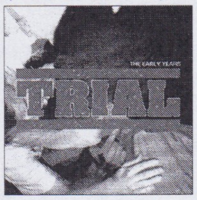

Tę płytę w wydawniczym, bizantyjskim przepychu ma szansę pokonać jedynie CASTET i to wyłącznie przez zastosowanie „sztuczek" w stylu: lśniące posrebrzenia na frontowej okładce czy pakiet naklejek jako przyciągacz dla fe-tyszystów. CASTET powinien nagrać coś w stylu: zawsze znajdzie się „sroka", co kupi płytę dla nalepek niż punk rocka.
Podwójny, retrospektywny TRIAL to Bizancjum innej kategorii. To królestwo nienachalnego, subtelnego wdzięku. Dwa krwisto czerwone krążki otula przepiękny rozkładany gatefold z opasłym, gustownym bookletem opowiadającym historię zespołu za nim jego „sława" wydostała się poza kilkunastoosobowe koncerty. Skrupulatnie odnotowane wspomnienia z tras „Through The Darkest Days Tour 1996" oraz „Fundation Tour 1997" poprzedzone słowem wstępnym Greg'a Bennicka dowodzą, że Panowie od samego początku świadomie traktowali swoją obecność w tym projekcie. Opisy gigów to kopalnia wiedzy, dykteryjek i spostrzeżeń o scenie i Ameryce drugiej połowy lat 90. Pokaźna pula energetycznych zdjęć wypełniających insert doskonale oddaje szał uniesień, jakiego doświadczali ludzie podczas „recitali" początkującego TRIAL. Obok 25 utworów ułożonych z chronologiczno-dramaturgiczną precyzją to dopieszczone wydawnictwo zawiera 15 tekstów z komentarzami oraz 66 flyerów koncertowych czyli wszystko, o czym mógłby śnić hardcore'owy meloman o zacięciu kronikarza. Socjologicznie rzecz biorąc idealnym docelowym odbiorcą przekazu TRIAL mógłby stać się ktoś po politologii i akademii wychowania fizycznego w jednym – taki wysportowany mędrzec. Nawet, jeśli nim nie jesteś warto zatrzymać się przy tej płycie, choćby po to by sprawdzić jak dojrzewał jeden z najistotniejszych zaangażowanych zespołów

HC. Dużo słuchania, dużo czytania, dużo oglądania = moc wrażeń. Naklejek BRAK!

j.Ap

UNDERAGE - Perche' Non Siamo Nati Per... (Il Nostro Caos 1982-1983) LP
(F.O.A.D. Records)

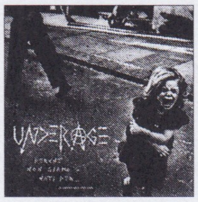

Duma Neapolu dopiero teraz na longplayu. Trzeba było się naczekać. W 1983 nakładem Attack Punk wypuścili EP „Afri Cani" i to było niemal wszystko, parę składaków nie załatwiało sprawy, bo ich udział był szczątkowy. A tu mamy wspomnianą EPkę, do tego mamy nagrania z prób z 1982 i demo z 1983, razem 23 agresywne kawałki. Dzika furia miejscami, bliscy WRETCHED, choć nie aż tak zmysłowi, nie przeceniajmy ich. Włosi mocno nadrabiają wspomnienia starych czasów, tym bardziej, że były to złote czasy włoskiej sceny. S.O.A., Agipunk i F.O.A.D. głównie nie pozwalają nam o tym zapomnieć, w co drugim mieście kiedyś był zespół, który starał się sam sobie wydać choćby małą płytkę i grać jak najwięcej koncertów, co zresztą zdarza się zobaczyć na YT. UNDERAGE znani z singla tym składankowym LP potwierdzają dobrą o nich opinię, rozwrzeszczany, hałaśliwy punk co się zowie! F.O.A.D.!

Grzester

UNSANE - Sterilize CD
(Southern Lord Records 2017)

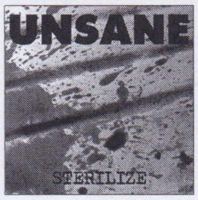

Po 5 latach milczenia UNSANE wracają z nowym albumem „Sterilize", wydanym dla kalifornijskiej wytwórni Southern Lord Records. Poprzednia ich płyta „Wreck" wydana została przez Alternative Tentacles w 2012 roku. W okresie tym panowie Chris Spencer i Dave Curran skupili się na innych swoich zespołach takich jak: CUTTHROATSS 9, PIGS i UXO. Najnowsza płyta „Sterilize" to 10 topornych i brutalnych utworów, które znowu tradycyjnie wgniatają nas w kanapę swym ciężkim brzmieniem. Muzycznie nic się nie zmieniło raczej, bo UNSANE dalej grają tego swojego ciężkiego i brudnego nowojorskiego noise rocka. Album dla takich fanów jak ja, podoba się mimo, że nadal brzmią identycznie jak na poprzednich płytach. Pewnie wielu zarzuci im powtarzalność i brak rozwoju. UNSANE mogą bronić się tym, że nikt nie gra tak, jak oni. Mało jest kapel z tak rozpoznawalnym brzmieniem. UNSANE to UNSANE i tyle. Dla mnie, wieloletniego fana Nowojorczyków, najnowsza płyta broni się i jest po prostu dobra. Nie ma co narzekać, a w październiku, będzie można ich zobaczyć na dwóch koncertach we Wrocławiu i Warszawie. Ostrzegam tych, co ich nie widzieli, że może być bardzo głośno. Niech uważają na słuch, bo mogą stracić go, jak mój dobry kumpel na ich koncercie parę lat temu we Wrocławiu. Do dziś nie słyszy na jedno ucho, ale koncert był udany i wybiera się na te dwa. Polecam dobry klasyczny noise rock z Nowego Jorku.

Maku

UPSET NOISE - Ribellione controllata. Lost demotape 1984 12"
(F.O.A.D. Records)

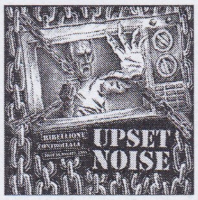

Tytuł w zasadzie mówi wszystko. Dzika Italia prezentuje swoją krwawą odsłonę na jednostronnym, zielonym winylu, na drugiej nalepione grafiki. Zespół z Triestu, zaczynał na początku lat osiemdziesiątych i wydaje się, że to jedne z ich pierwszych rejestracji dźwiękowych. Wcześniej tylko nagrali split singiel z WARFARE? Grali dość długo, bo do połowy lat 90. typową włoską drogą, wydłużając kawałki w kawały, kolorując okładki, mieszając do tego coraz więcej rocka i metalu. Niewarte opowieści. Ale te osiem kawałków to Włochy, jakie lubią punki a nie metale. Czad, czad, Czad Komando Upset Noise. Umiejętnościami nie grzeszą, gitary piszczą momentami, podobnie wokal, ale to dziewiczy hardcore i taki mi smakuje najlepiej. S.O.A. ma więcej ich nagrań ze złotych dni, ten placuszek nakładem F.O.A.D.

Grzester

USA/MEXICO - Laredo CD
(Riot Reason Records)

Po wielu latach King Coffey (perkusista BUTTHOLE SURFERS) powraca do żywych z nowym zespołem o nazwie USA/MEXICO i po przesłuchaniu tego debiutanckiego materiału wiem, że to będzie już dla mnie jedna z najlepszych płyt roku 2017. King Coffey to nie tylko muzyk, ale również wielki fan muzyki, który kupuje płyty i chodzi na koncerty po dziś dzień. Ładnych parę lat temu byłem na koncercie BUTTHOLE SURFERS. Supportowała ich polska grupa noise rockowa PLUM i jedynymi członkami BUTTHOLE SURFERS słuchającymi z zaciekawieniem młodszych kolegów po fachu był właśnie King oraz perkusistka Teresa. Reszta imprezował w klubie. Tu właśnie widać jego pasję i ciekawość do muzyki. W latach 90. był właścicielem jednej z moich ukochanych wytwórni Trance Syndicate Records (CRUST, ED HALL, JOHNBOY, CHERUBS, DISTORTED PONY, BEDHEAD, DRAIN) z Austin. Wytwórnia ta nie wydawała złych płyt, każdy nowy album z Trance Syndicate Records odsłuchiwałem z wypiekami na twarzy. Label miał w swym katalogu przeróżną muzykę od noise rocka, który stanowił trzon tego wydawnictwa, poprzez shoegaze, elektronikę, itd. Do dziś jestem wielkim fanem i mam sporo płyt z katalogu wytwórni na półce. King Coffey wydał w niej dwa albumy swego wcześniejszego pobocznego projektu DRAIN. USA/MEXICO to jego najnowszy zespół. Do współpracy zaprosił dwóch innych muzyków: Craiga Clouse'a (SHIT AND SHINE/TODD) i Nate'a Crossa (OF WHEN DINOSAURS RULED THE EARTH, EXPENSIVE SHIT, MARRIAGE). Album „Laredo" jest do granic możliwości sfuzzowany, dużo tu zgrzytliwych, dusznych i dudniących brzmień. Ta kwaśność w brzmieniu i zniekształcone wokale od razu narzucają mi na myśl skojarzenia z postacią mojego ulubieńca - kosmity Heliosa Creeda. Nad całą płytą unosi się duch Trance Syndicate Records. Są tu smaczki przypominające mi dokonania takich kapel jak CRUST lub wcześniejszą kapelę Coffeya DRAIN. Nie jest to płyta łatwa i przyjemna, ale brakowało mi takiej muzyki od dawna, a Coffey i jego koledzy z zespołu mi jej dostarczyli. Tego szaleństwa w muzie, tego kwasu. Album dla fanów: BUTTHOLE SURFERS, HELIOS CREED, CRUST, DRAIN i TERMINAL CHEESCAKE. Ja już uwielbiam. Dobre kwaśne granie. Polecam!!!

Maku

V/A - „Hardcore Tattoo - For Friends For Fun" CD
(Hardcore Tattoo Records)

Krakowskie Hardcore Tattoo to już nie tylko tatuaże, to już raczkująca (póki co) mała wytwórnia płytowa. Debiutancka płyta sygnowana logiem Hardcore Tattoo to składak powstały z okazji 5-lecia studia tatuażu. Kasia, Ernest i crew lubią hardkora i poza studiem, organizowali także koncerty, bądź też kibicowali sporej ilości zespołów. W wcześniejszym numerze „Chaosu", znajdziecie wywiad z nimi. Generalnie stylistyka tej płyty to hardcore w różnych odmianach od typowego kwadrata (nie mylić z kwadraciokiem), przez metalcore, NYC-core, po old school. Jest na niej kilka hitów - zwłaszcza w wykonaniu śląskich zespołów takich jak: CASTET, MINORITY, GOOD LOOKIN' OUT, LITTLE BOY czy HARD WORK, które jakby nie patrzeć weszły mi najbardziej. Są kwadraty jak SPIDER CREW. Bardzo fajnie wypadła brazylijska PAURA (pamiętacie z lat 90. brazylijski black metal SARCOFAGO? W PAURA gra jeden z tej hordy). Zrobili robotę SOPHIE SCHOLL i trójmiejski RATRACE. Długo by wymieniać wszystkich na tej płycie, bo zespołów jest aż 25!!! Płyta została wydana w eleganckim digipacku i cieszy ucho i oko na półce z płytami.

QbaQ

V/A - „Inner Fears Of Mankind Discharged" 4 way split kaseta
(Scaglie Di Rumore)

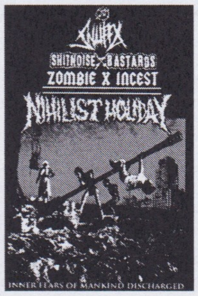

Bardzo ciekawa kaseta, złożona z czterech projektów, kapel z różnych, bardzo egzotycznych, zakątków świata. Kaseta bardzo ładnie wydana przez włoską wytwórnię Scaglie Di Rumore i ma ciekawy pomarańczowy kolor, no, ale niektóre kasety MULTINATIONAL CORPORATIONS były koloru różowego, więc nic nie mówię. Ukazało się tylko 50 sztuk tej taśmy, z czego moim ręcznie napisanym numerkiem jest 34. Kapela, która otwiera tego 4-way'a pochodzi z Nepalu, a dokładnie z Katmandu. ZOMBIE X INCEST to trio i jak sami mówią grają odmianę punka, jaką jest power violence. Wcześniej obiła mi się o oczy ta nazwa, ale jakoś nie było mi po drodze bliżej zapoznać się z twórczością tego projektu. Chłopaki zaczęli nagrywać i grać pierwsze koncerty w 2013. A ciekawostką jest też to, że jest to pierwsza power violence'owa kapela w Nepalu. Trzy numery fast core'owego punka z szalonym wokalem, mocno chaotyczne i bardzo surowe granie, słabo mi to wchodzi, bardzo. A tytuł jednego ich kawałka to „How is punk dead, when power violence is stil allive?" stał się już sztandarowym mottem.
Z SHIT NOISE BASTARDS mieliśmy już do czynienia kilka razy na łamach „Chaosu". W sumie info dla tych, którzy nie czytali, bo raczej bez większych zmian u zespołu. Tropikalny huragan z Malezji, nie ma zmiłuj się, bez wytchnienia i do bólu, ile fabryka dała! Brudny, na pełnych przesterach raw as fuk grinding noise core!!! O dziwo, dobry materiał i aż sześć numerów konkretnego łomotu. Wchodzi mi to zajebiście, a dodatkowo między kawałkami Jim Carrey opowiada, jak słuchał NAPALM DEATH i ogólnie grind core'a, hahaha... Mistrz!
Druga strona kasety jest nadal mocno egzotyczna - zaczyna SNUFFX z New Delhi, oczywiście w Indiach. Kapela, jak gdzieś przeczytałem, jest dość płodna, jeśli chodzi o demówki i splity, ale to akurat sam zauważyłem, mają też trochę kaset wydanych w Europie, chyba głównie we Francji. Niszczycielski w szerokim tego słowa znaczeniu, na full obrotach harsh noise grind violence. Nagrania ultra garażowe, wszystko charczy, sprzęga i do tego czysta surowizna. Spotkałem się z kilkoma wcześniejszymi wydawnictwami SNUFFX i zazwyczaj były identyczne brzmieniowo, w sensie zawsze noise harsh i nagrywka oczywiście z próby. Siedem numerów niemiłosiernej rzeźni. Bardziej przypomina mi to jakieś nagrania grindcore'owe i noise'owe z połowy lat 90. niż teraźniejszy power violence, bo tym

to miało być. Ogólnie daję radę to jakoś przełknąć. Jedynym plusem jest to, że można sobie posłuchać, jak się gra grind noise'a w Indiach. A wiem, że jest tam sporo grindowych kapel, choć sporo też mocno skomercjalizowanych i zmetalizowanych, jeśli wiecie, co mam na myśli.
Pakistańskie disco jest chyba znane wszystkim, ale czy tak samo znana jest scena punk grind noise? NIHILIST HOLIDAY (dobra nazwa) pochodzą właśnie z Pakistanu i udziela się tu Hassan znany między innymi z MULTINATIONAL CORPORATIONS i kilku innych projektów. Ogólnie Hassan dość aktywnie działa na tamtejszej scenie. NIHILIST HOLIDAY mają już wydany w Europe 4-way split tape „Four Way Of Destruction" ze SCAB ADDICT, TAKASHI OHKAWA oraz SETE STAR SEPT. Stąd niektórzy z was mogą już kojarzyć ten zespół. Ten kolejny 4 way split potwierdza, że NIHILIST HOLIDAY słyszalny jest tu i ówdzie. Dwa numery mrocznego klimatycznego, acz noise'owego industrialu z wokalami i perka w tle. Jak to określił sam twórca: NIHILIST HOLIDAY jest zespołem grindcore crust hardcore punk noise. Spoko te numery, choć dla mnie te wokale są za głośno, ale reszta gites. Aaaa... W Tajlandii ma ukazać się też tamtejsza wersja wydana przez Roots Active Production pod postacią stu sztuk ręcznie numerowanych.

Urbx

V/A - „Italian Punk Hardcore 1980-1989. The Movie" DVD

Koncert RAW POWER był okazją do nabycia od dawna zapowiadanej pozy-cji lovehate80.it. To załogancki dokument opi-sujący tworzącą się i jedną z najsilniejszych punkowych scen w Europie, co za tym idzie i na świecie w zasadzie. Mamy tu masę współczesnych wywiadów z byłymi muzykami samych największych i tych mniejszych tuzów i szaraczków Włoch. Kolesie się zmienili oczywiście, ale typów w garniturach nie widać: tatuaże zostały, kolczyki są również. Kobiety oczywiście w zdecydowanej mniejszości. W podkładzie stare nagrania klasyków, stare zdjęcia i plakaty. Jest trochę nagrań video, w całkiem fajnej jakości, m.in. bardzo stare CCM – tu jakość słabsza, co wkurza, że jest tego tylko trochę na rzecz obecnych wypowiedzi, ale takie, jak widać było założenie autorów. Włosi poznają to wszystko pewnie w mgnieniu oka, ci starsi rzecz jasna, a ja wolałbym, gdyby czasami obraz nieco zwalniał, bo mógłbym się bardziej wczytać w to, co pokazują na przykład koncertowe plakaty, czy ujęcia z gigów. Wszystko idzie po włosku, ale jest wersja z napisami po angielsku, co znacznie ułatwia sprawę. Znacznie nie znaczy zupełnie, bo na jasnym tle napisy niemal zanikają i są nie do odczytania, co znowu mnie wkurza. Wynikałoby z tego, że przez większość czasu się wkurzałem oglądając ten film, ale to nieprawda. Gdy CCM, czy CHAIN REACTION pokazywali na scenie swoją moc, to mina momentalnie mi kraśniała. Nie dość, że zespoły pełne ognia, to i publika dzika jak należy, piękne czasy! Finowie mówiący w tamtych czasach, że punkowa Mekka to Włochy mogli mieć rację.

Grzester

V/A - „La Lucha Continua!!" LP (Vomitopunkrock Records)

Znowu wznówka, tym razem przypomnienie kasety z Hiszpanii, wydanej w 1984 roku. Wiadomo, że umiejętnościami nie grzeszą, ale zaangażowaniem i pasją nadrabiają aż miło. Skąd wiadomo? Hiszpania w owym czasie to jeszcze chaos, może i bieda, no nie taka jak w Polsce w tamtych czasach, ale, ale bogaty ten kraj jeszcze nie był. Trzy kapele. L`ODI SOCIAL, chyba teraz na fali wznoszącej w zainteresowaniu ich muzyką, bo co jakiś czas widać jakieś ich produkcje. ANTI-DOGMATIKSS z dobrą zagraniczną reputacją praktycznie od zawsze, na kasetowych składakach z DEZERTEREM, ABADDONEM, MOSKWĄ, REJESTRACJĄ. Byli też na debiucie słynnej serii „Panx Vinyl Zine" w 1989. I AUTODEFENSA na koniec, o których więcej nie słyszałem. Wszyscy z Barcelony, a kaseta wydana została jako benefit na miejscowy kolektyw squattersów. Na winylu mamy o cztery kawałki więcej każdego zespołu w stosunku do oryginału, dodane dwie wkładki, reprint insertu do kasety. Fajna jazda, proste i intensywne granie, punkowy klimat mocno oparty o idee DIY. Poważna sytuacja, koniecznie na półkę. Chyba pierwsze wydawnictwo Vomito Punk.

Grzester

V/A - „Pajtas Daloljunk X - Magyar punk 1982-1986" LP (Trottel Records)

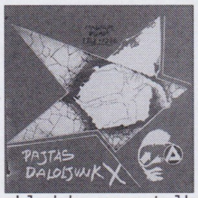

Ile znacie węgierskich punkowych kapel z lat 80.? Jedną? Dwie? Żadnej? No to możecie nadrobić zaległości łykając tę kompilację przygotowaną przez ekipę z zespołu TROTTEL. Z tego składaka znam tylko trzy kapele (nie licząc DER TROTTEL, którzy też się tu pojawiają) i właśnie dwa z nich otwierają pierwszą stronę krążka. T'34 z Budapesztu z dwoma utworami z koncertu z 1982 roku i jednym z demo z 1983. Nawet dość czadowo, histerycznie, choć jakość z kasety stilon gorzów. INVÁZIÓ 84 też pochodzili ze stolicy i ich trzy kawałki pochodzą chyba z tego samego koncertu, co wcześniejszego zespołu czyli też z 1982. Brzmią jak wczesna XENNA, choć mniej w tym punkowej melodii, no i wokal zacina po swojemu, co automatycznie kojarzy się z Finlandią. Trzecia kapela BIZTONSÁGI TANÁCS pochodziła z Eger i ich pięć kawałków z demo pochodzi już z późniejszego okresu, bo z 1986 roku. No i tu już punk pełną gębą! Jest szybkość, jest czad, są chórki w refrenach, choć oczywiście jakość nagrań garażowa. W sumie brzmią jak wiele polskich kapel punkowych z tamtego okresu (jak choćby PROWOKACJA z koncertu w Jarocinie w 1984) i tylko język węgierski dodaje egzotyczności tym utworom. Ostatnia grupa na tej stronie to KOORDINÁCIÓ B z Miskolca z dwoma utworami z demo z 1982 roku. Klasyczny słowiański punk tamtych lat, coś w klimacie WC. Nawet wpada to w ucho i nóżka tupie, choć jakość bez rewelacji, ale pewnie nie dało się znaleźć lepszej jakości nagrań. Drugą stronę otwiera DER TROTTEL, chyba najbardziej u nas znany zespół węgierski, który sporo koncertował w Polsce w latach późniejszych. Tutaj nagrania z pierwszego ich koncertu w Budapeszcie w 1982 roku! Prosty, łupany punk ze zdartym wokalem i pokrzykiwaniami oi!oi!oi!, hehehe… Nie spodziewaliście się takiego TROTTELA, co? Takie były początki późniejszej „gwiazdy" niezależnej sceny węgierskiej. Po nich trzy koncertowe nagrania z 1985 zespołu z Budapesztu – MARINA REVUE. Średnio-szybki punk, nie zbyt ostry, ale po usłyszeniu tych kawałków walisz w ciemno: Wschodnia Europa, 1985 rok. AURÓRA CIRKÁLÓ (czyli późniejsza AURORA) pochodzili z Győr i tutaj możemy posłuchać ich dwóch kawałków z demo 1984. No i pierwsza kapela z panią na wokalu! Punk pełną gębą, choć lekko zeschizowany wokal to wyróżniający się (na korzyść) pośród innych zespołów z tej płyty. Dobra kapela! Ostatni zespół na tej składance to TIZEDES MEG A TÖBBIEK z Budapesztu z dwoma kawałkami z demo 1985. U nich usłyszymy więcej melodii i więcej mieszania na instrumentach, i mam wrażenie, że obok AURÓRA CIRKÁLÓ to najlepszy i najciekawszy zespół na tym krążku. Nie wiem dokładnie jak wyglądała scena węgierska za komuny. Wiem, że było im ciężko. Znałem wcześniej zespoły T'34, INVÁZIÓ 84, AURORA, jak również ETA czy CPg. Właśnie goście z tego zespołu CPg siedzieli w więzieniu za anty radzieckie i anty komunistyczne teksty. Lekko nie było… Do płyty dołączony jest booklet, a w nim informacje o zespołach, teksty, wywiady i zdjęcia – niestety wszystko po węgiersku. Na fotach INVÁZIÓ 84 w koszulkach DISCHARGE i CRASS! A gitarzysta TIZEDES MEG A TÖBBIEK ma niezłe spajki na fotce! Szkoda, że wszystko w ichnim narzeczu, bo z chęcią poczytałbym więcej o prehistorii madziarskiego punka. Pojawiła się też druga część tej składanki z nagraniami z lat 1983-1987 z zespołami KRETENS, HERPESZ, TEMETKEZÉSI VÁLLALAT, RIZIKÓ FAKTOR, KAISER UND KÖNIG, PINK PANTHERS, TROTTEL, QSS. I żadnej nie znam, oprócz TROTTEL…

Pablo

V/A - „Róbrege Intersalto 21, 22, 23 sierpnia 1987" DVD-R (Capitan Crust Production)

Kłaniajmy się Nieforemnemu ponownie! Oto stara kaseta VHS przerzucona na bardziej współczesny dysk z festiwalem Róbrege. Jakość nie jest najlepsza, obraz pokazywany z daleka, ale trzeba wziąć poprawkę, że to była komuna. Nagrania dajmy na to „Dziennika TV" jakie są na You Tube też nie grzeszą jakością, taki system, takie czasy. Dlatego obraz uznajmy za wystarczający, bo taki też jest. Z plusów tu mamy: MILION BUŁGARÓW, MOSKWĘ, KAMANA, APTEKĘ, KARCER, STAN SVEZDA, ARMIĘ, AURORĘ, PROCESSS, DEZERTERA, VA-BANK ze Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, IMMANUELA, SPACE, IZRAEL, KULTURĘ, KREW A RONDO i WAŃKI WSTAŃKI nie udało mi się obejrzeć z powodu zacinki. Z minusów brak Benjamina Zephaniaha i KORTATU, to naprawdę cios. Materiału jest dużo i o te kilka złotych nie ma co się targować, tylko brać jak leci, bo historia jest ukazana szczerze, a takich rejestracji nie ma zbyt wiele na naszym biednym jak mysz kościelna punkowym rynku. Okładka to poster z festiwalu, ja na nim nie byłem, dzięki tej płycie mogę w jakimś stopniu skonsumować pragnienia.

Grzester

VÄGRA - Refuse EP 7"EP (Brain Solvent Propaganda)

W poprzednim numerze, przy okazji recenzji demo VÄGRA, wspomniałem, że Brain Solvent Propaganda ma wypuścić ich debiut na siódemce. Słowo ciałem się stało, więc z wakacyjnych wojaży przywiozłem sobie ten wydany pod koniec czerwca kawałek plastiku. Materiał został nagrany na początku tego roku w tym samym składzie i ponownie pod czujnym okiem gościa z Maruta. Te cztery utwory niczym nie różnią się od tych z dema (to nie zarzut, gdyż tego właśnie oczekiwałem i jestem w pełni usatysfakcjonowany). Jedynie rozpoczynający drugą stronę „Vägra", odrobinę odbiega od pozostałych, gdyż jest wolniejszy i oparty na pracy perkusji. Poza tym małym wyjątkiem, po uszach dostajemy klasycznym surowym szwedzkim d-beatem po linii klasyków gatunku (jak nie wiesz o kogo chodzi, to czym prędzej zamawiaj poprzedni numer). Teksty tym razem nie są tak monotematyczne jak poprzednio i możemy poczytać o ograniczonych zasobach czy niebezpieczeństwach związanych z technologią. Żeby tradycji stało się jednak zadość, do epki dołączony jest mały plakat o antywojennej tematyce. Z kronikarskiego obowiązku wspomnę, że demówka VÄGRA zostanie za niedługo ponownie wypuszczona na winylu przez Phobia Records, a „Refuse EP" wciąż

możecie zdobyć na czarnym lub limitowanym placku w kolorze marmuru, do czego szczerze zachęcam wszystkich miłośników Skandynawii.

Albin

VIAGRA BOYS - Consistency Of Energy 12"
(Push My Buttons Records)

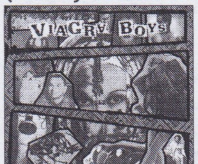

Gorszej nazwy zespołu niż VIAGRA BOYS sztokholmska ekipa nie mogła sobie nadać. Choć nazwa kapeli beznadziejna, to muzyka grana przez młodych Szwedów jest naprawdę ciekawa i warta posłuchania. Chłopaki wywodzą się z takich kapel jak PIG EYES i LE BIG BIRD. Ich debiutancka 12" nagrana została w siedmioosobowym składzie w zeszłym roku i wydana w dwóch niezależnych labelach – Kosmos Recordings i Push My Buttons. Materiał zawarty na epce to motoryczny post punk na dwa zestawy perkusyjne z klawiszem i saksofonem. Motoryka a'la NEU! podlana jest psycho-tripem BUTTHOLE SURFERS, słychać tu także fascynację kraut rockowym post punkiem serwowanym przez legendarnych THE FALL, a wokal przypomina mi Matta Korvette z PISSED JEANS. Krótko mówiąc – post punk i kraut to gatunki, po których kapela porusza się sprawnie i z wyczuciem. Mój kumpel Krzemień widział ich na tegorocznym Reading Festival i stwierdził, że koncert był rewelacyjny, a na żywo chłopaki wypadają jeszcze lepiej, niż na doskonałej epce. Warto więc zainteresować się tymi Szwedami, bo to dobra kapela może być. Przepraszam – już jest.

Maku

VIVISEKTIO - Totaalinen Kaamos 1984-1986 kaseta
(Refoni)

Posiadam cały procent nakładu tej kasety, bo wyszło jej równe sto sztuk, miły prezent. Piękny towar, kaseta opakowana w gustowne, ciekawie składane pudełko, do tego dołączony booklet. Mini booklet, ale mocno napakowany treścią, bo co prawda w małym for-macie, ale za to zawiera aż szesnaście stron z wywiadem, zdjęciami (także w kolorze) - rządzi to, na którym załoga kąpie się w jeziorze, i opisem tych sesji zawartych na kasecie. Booklet bardzo fajny, tylko żałować, że jedynie w ojczystym języku. Sama zawartość muzyczna, to też gratka dla uszu i piękny dokument historii zespołu. Mamy 32 nagrania z prób i demosów z lat podanych w tytule. Czyli fiński ogień bez brania jeńców. Nastolatki w najdalej na północ położonej miejscowości z punkową kapelą niespecjalnie umiały ładnie grać na dostępnych instrumentach, ale hałasować potrafiły tyle, ile miały sił. I brawo! Skład mieszany i punkowa jazda. Zespół niewiele później po ostatnich zarejestrowanych tu kawałkach rozpadł się na blisko trzydzieści lat, ale od reaktywacji dość regularnie raczą nas swoim dorobkiem, czego dowodem choćby ostatnia EPka, współwydana u nas przez D.I.Y. Koło i Black Wednesday. Mam nadzieję, że Pentti zmobilizuje ekipę i któregoś dnia usłyszymy na żywo spora część z tej kasety. Nakładem Refoni, firmy która wydała ostatnio kilka kaset, muszę znaleźć jeszcze MAON LESKI z nagraniami z lat podobnych do VIVISEKTIO. Rekomenduję.

Grzester

WEEDEOUS MINCER - Asocial Instinct kaseta
(AxRxL)

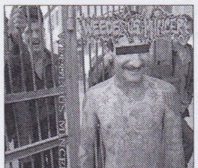

To będzie krótka recenzja, ale sam materiał trwa niecałe trzy i pół minuty, więc nie ma się, co rozpisywać. Rosja grindem stoi i niezmiernie mnie to cieszy. WEEDEOUS MINCER z Sankt-Petersburga to ko-lejny projekt Kisela - pałkera, który udziela się między innymi w CAMPHORA MONOBROMATA czy CYSTOBLASTOSIS, a tutaj na gitarze towarzyszy mu MxDx z TERMINATOR666 i GANJEBASS GRINDER. Początki kapeli sięgają 2014 roku, ale rozkręcili się na dobre dopiero jakieś dwa lata temu. WEEDEOUS MINCER to czysty i „skomplikowany", jak konstrukcja cepa mince core, którego siła tkwi właśnie w jego prostocie. Słychać, że zespół został założony dla zabawy i jej ma służyć. Wszystkie motywy zagrane na tym materiale są jak żywcem wyjęte z podręcznika „Mince core dla opornych", ale słucha się tego zajebiście, bo te pięć kawałków w średnich tempach jest cholernie chwytliwe i fajnie buja. Tytuły też świadczą o luźnym podejściu duetu do własnej twórczości. No chyba, że „In 420 With Berlin" czy „From Shit Punk To Goat Black Metal Elitist" to tylko metafora dla rozterek nad bezsensem ludzkiej egzystencji, ale niestety tekstów nie uraczysz... Jedno jest pewne, panowie szanują zieleń. W tym roku WEEDEOUS MINCER zarejestrowali dotychczas trzy sesje i na każdą z nich zaprosili do współpracy innego krzykacza, tak że na tym materiale udziela się niejaki Dmitry Kutuzov, a na pozostałych usłyszycie Olgę z CYSTOBLASTOSIS oraz wokal z TERMINATOR666/GANJEBASS GRINDER. Mnie poderwali z kanapy, także z niecierpliwością czekam, aż Grindfather wypuści kompilacyjną taśmę z ich dotychczasową twórczością. Duży plus za okładkę, z której uśmiecha się do nas zwycięzca irkuckiego konwentu tatuażu, hehe.

Albin

WE WATCH CLOUDS - Resume CD
(DIY Koło Records)

WE WATCH CLOUDS grają jedną z moich ulubionych odmian punka, czyli brudne punkowe screamo. Zespół powstał na gruzach warszawskich zespołów POTLATCH czy wcześniejszego DON'T FUCK WITH COLUMBUS. Po dokooptowaniu nowego basisty, zaczęli grać pod nazwą WE WATCH CLOUDS. Warszawiacy zaatakowali moje serce dźwiękami, którymi nie powstydziłby się PORTRAITS OF PAST, SAETIA czy PG99. Rzewne gitary, krzyczący (czasem i prawie płacząco-skamlący) wokal, muzyka wędrująca od skrimowej napierdalanki po spokojne odmęty beznadziei łamią moje serce, za każdym razem, gdy słucham tę płytę. Tekstowo bez rewolucji, jest raczej osobiście i emocjonalnie. Płyta trwa kilkadziesiąt minut i zawiera 8 utworów. Zostaje po niej spory niedosyt, bo chciałoby się słuchać jeszcze więcej smutnych opowieści chłopaków z Warszawy. Mój emocjonalny punk!!!

QbaQ

WOLVES AT THE DOOR - Erase Images CD
(D.I.Y. Koło)

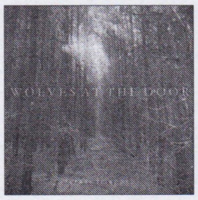

Debiutancka płyta, w sumie dość świeżego, zespołu z Wrocławia. Całkiem dobry debiut! Co grają? Nowoczesny, że tak powiem, post hardcore. Sporo u nich naleciałości innych stylów, więc ciężko im nalepić jakąś jednoznaczną etykietkę, ale to dobrze. Ja słyszę tu sporo, choć delikatnych odnośników do HIS HERO IS GONE czy nawet do intensywności OATHBREAKER, CURSED. Momentami przebija się nawet CONVERGE, choć bez tych metalowych klimatów. Aż osiem intensywnych, połamanych, mrocznych, wręcz siłowych kawałków, momentami zahaczających nawet o jakieś sludge'owe jazdy. Jednak głównie jest to „spięty" czad, w którym gitary wprowadzają cały ten lekko zeschizowany nastrój, a czasami nawet zapodają delikatną melodię. Łamią się, co chwilę, zmieniają tempo, przechodzą od szaleńczej jazdy po dołujące zwolnienia. No i wokalista daje z siebie wszystko! Wrzaskliwy, odpowiednio chropowaty, nieco emocjonalny głos, który dobrze oddaje nieco paranoiczny i depresyjny klimat muzyki. Teksty, niestety po angielsku, również nie napawają optymizmem. Bardzo osobiste, emocjonalne i smutne teksty. Robi się przy ich słuchaniu zimno i paranoidalnie… Ciekawe grania, niby nic odkrywczego, ale jednak ze sporym pierwiastkiem własnych pomysłów, do tego charyzma wokalisty, dobra produkcja, wręcz emo-violence'owe ciśnienie i mamy dobrą płytę! Sprawdźcie WOLVES AT THE DOOR, czy to z tego krążka czy na żywo.

Pablo

WAR//PLAGUE - Carrion LP
(Doomed Society, Profane Existence)

Płyta z zeszłego roku, choć w tym roku zdążyli już wydać split single z AXEGRINDER i WARWOUND. Pochodzą z Minneapolis, miasta, z którego pochodzi również MISERY. Wywiad z nimi mogliście przeczytać w poprzednim numerze „Chaosu", więc tylko przypomnę, że Andy Lefton gra również w TAU CROSS. Jednak WAR//PLAGUE to jego macierzysty zespół, w którym tnie na gitarze. Po dwóch LP (jeden to split z POLICE BASTARD) i kilku singlach wyrastają na pierwszoligowy zespół grający crust na amerykańskiej scenie. Zawsze mi się podobali, ale płyta „Carrion" to najlepszy materiał, jaki do tej pory wydali. Epicki crust, bardziej w tym amerykańskim stylu niż klasycznym brytyjskim. Więcej tu kawałków szybszych, z sentymentalnymi wstawkami, smutnymi melodiami. Bliżej im do MISERY, niż dajmy na to do AMEBIX, choć i ich wpływy słychać u WAR//PLAGUE. Wokal świetny, bez cienia jakiegoś growlingu czy innego charkotu. Sporo gitarowych momentów, które określiłbym jako blackened thrash. Kawałki rozbudowane, ciekawie zrobione, wprowadzają mnie w mroczny nastrój… Jedne kawałki są szybkie, zahaczają delikatnie o dis/d-beat, natomiast inne ocierają się chwilami nawet o KILLING JOKE, choć w tej wersji, jaką grają crustowe zespoły zainspirowane ich dokonaniami. Lubię, gdy tzw. „crustowe" kapele czerpią natchnienie z innych źródeł muzycznych niż tylko z żelaznego kanonu. I tak właśnie robią WAR//PLAGUE, co właśnie powoduje, że są obecnie jednym z najciekawszych zespołów grających w tej crustowej konwencji. Teksty też oczywiście mroczne, depresyjne, ale przebija z nich chęć walki i buntu przeciwko rzeczywistości i niesprawiedliwości. Strach i ból wywołują w nas chęć oporu. Życie jest tylko jedno, więc warto walczyć by było one takie, jak my chcemy, a nie ci, którzy stoją za kurtyną. Na płycie jest 9 długich, rozbudowanych i urozmaiconych utworów, które powodują, że krew w żyłach płynie szybciej. Jedna z lepszych płyt jak wpadła mi ostatnio w ręce! Na kopercie wydrukowane teksty, żadna graficzka i cytat… Juliusza Cezara. A okładka tego albumu, autorstwa Andy Leftona, to najwyższych lotów sztuka, wyśmienicie się wpisująca w muzykę graną przez WAR//PALGUE!

Pablo

YANKO WOJOWNIK - Demos CD-R
(wydawnictwo zespołu)

Dostałem dwie demówki do recenzji… Ufff… Z listem. Autor napisał, że pierwsza demówka jest bez okładki, bo przez pomyłkę ją wyrzucił, a druga nie ma okładki, bo drukarka się zjebała. Bywa. Ponadto zasugerował, że nie można powiedzieć, że obie demówki są tak samo chujowe, bo każda jest na swój sposób chujowa. No coś w tym jest. Nie ma tytułów, więc słucham jak leci. Gitara elektryczna plus automat perkusyjny (komputer?), a do tego bardzo zniekształcony wokal, coś pomiędzy echo-delayem, a zjechaną taśmą stilon gorzów. Niestety jestem w stanie wyłapać tylko co 10 słowo, więc nie wiem o czym są teksty… Muzycznie? Toporny, rzężący, na granicy fałszu polski punk rock (?). Brutal.

Drugie demo już bardziej… hmmm… przystępne. Nie ma chyba natomiast perkusji, natomiast jest delay jak u najlepszych d-beatowych kapel, hehehe. Aha – dodatkowo wchodzi czasem klawisz. Tekstów nie jestem w stanie zrozumieć. Proste punkowe chwyty, brzmi to jak początki polskiego punk rocka z roku 1979… Wygląda na to, że wydała ten CD-R oficyna, którą można sprawdzić pod adresem www.irokez.pl. Wydają takie zespoły jak MURATOR, PADLINA SZARIKA, RWAŁA KWIATKI DYNAMITEM, SOKI PUSZCZA TRUSKAWKA… Nie wiem co mam jeszcze napisać… Fajnie, że YANKO WOJOWNIK spełnia się w graniu muzyki, że pewnie robi mu to dobrze na sercu i w ogóle to te proste melodyjki mają swój urok, ale… Nie wiem co napisać… No ma chłop dobrą jazdę! Jak to się mówiło? Pozytywnie zakręcony… Jednak nie wychodziłbym z tym na szersze wody… Aha - to drugie demo nazywa się (czy może to nazwa wykonawcy?) Punk Rock La La La…

Pablo

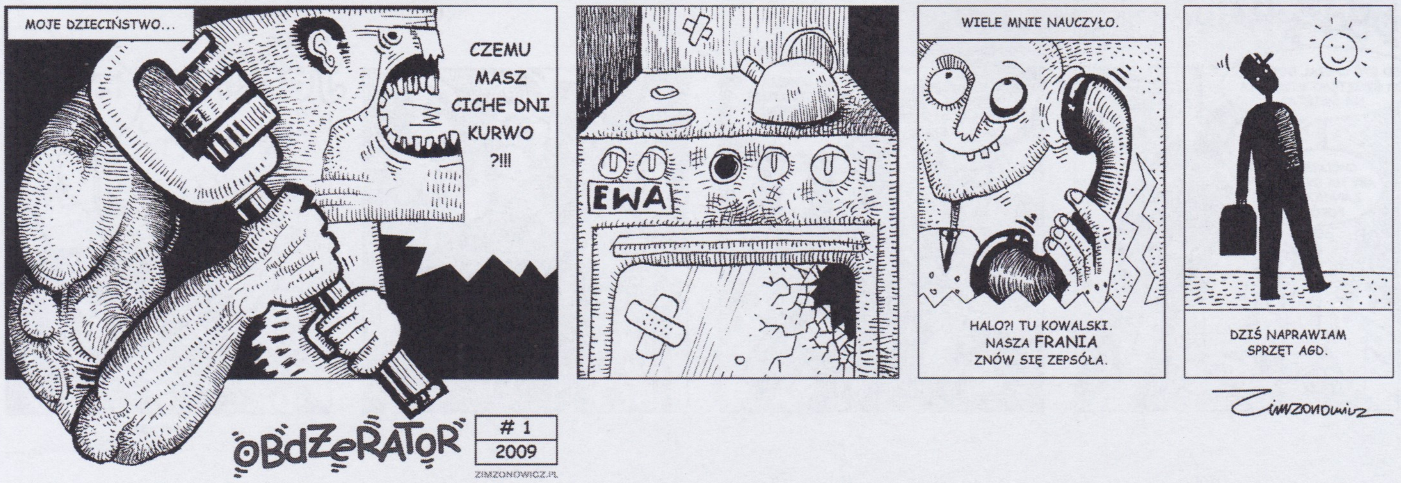

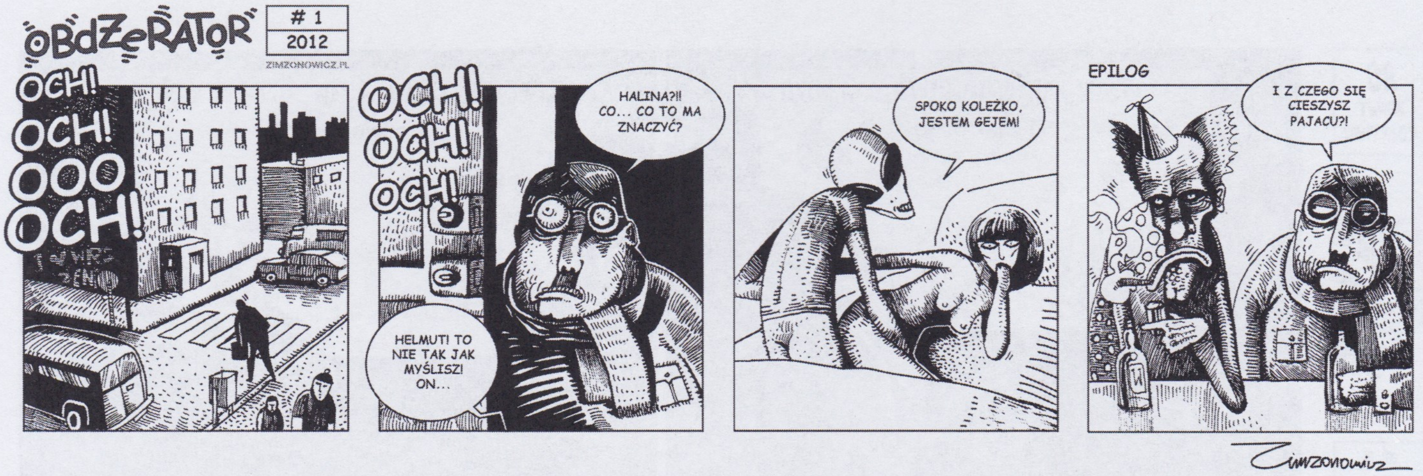

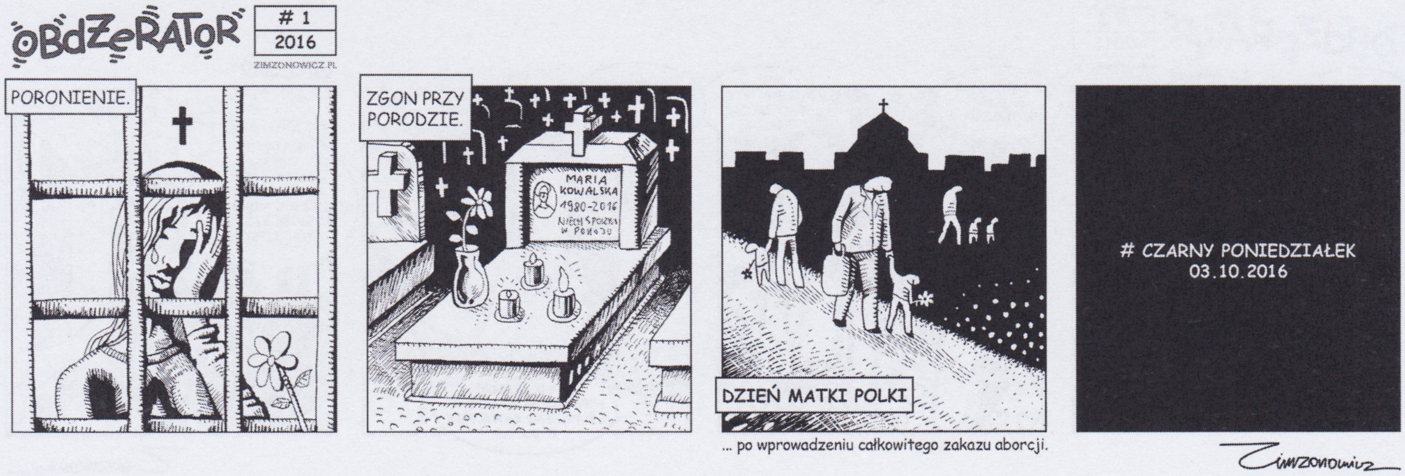

... po wprowadzeniu całkowitego zakazu aborcji.

Zimzonowicz

OBdZeRATOR
2
2012
ZIMZONOWICZ.PL
CO BYŚ CHCIAŁ DOSTAĆ OD ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA NA ŚWIĘTA?
CHCIAŁBYM ABY NA ŚWIECIE ZAPANOWAŁ POKÓJ.
TAJNY BUNKIER ŚW. M. BIEGUN PÓŁNOCNY...
ECH, TE DZIECIAKI... Z ROKU NA ROK SĄ CORAZ BARDZIEJ WYMAGAJĄCE.
CO GORSZA SZEF TRAKTUJE ICH ŻYCZENIA ZBYT POWAŻNIE.
EPILOG
JEB!!!
ŚWIĘTA, ŚWIĘTA, I PO ŚWIĘTACH... A DLA NAS JAK ZWYKLE RESZTKI!

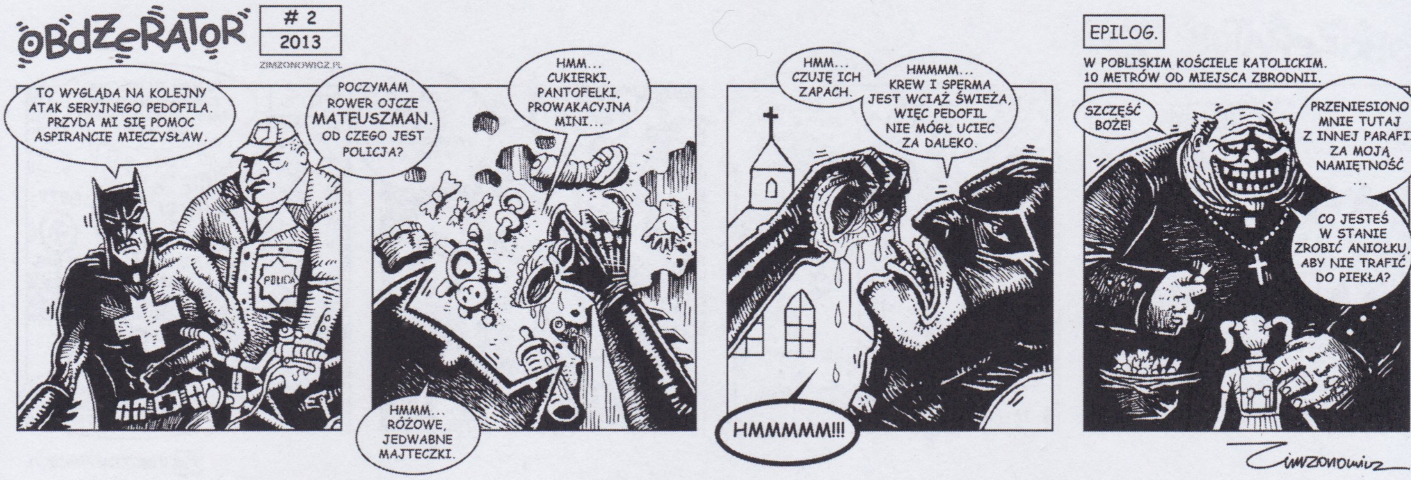
OBdZeRATOR
2
2013
ZIMZONOWICZ.PL
TO WYGLĄDA NA KOLEJNY ATAK SERYJNEGO PEDOFILA. PRZYDA MI SIĘ POMOC ASPIRANCIE MIECZYSŁAW.
POCZYMAM ROWER OJCZE MATEUSZMAN. OD CZEGO JEST POLICJA?
POLICJA
HMM... CUKIERKI, PANTOFELKI, PROWAKACYJNA MINI...
HMMM... RÓŻOWE, JEDWABNE MAJTECZKI.
HMM... CZUJĘ ICH ZAPACH.
HMMMM... KREW I SPERMA JEST WCIĄŻ ŚWIEŻA, WIĘC PEDOFIL NIE MÓGŁ UCIEC ZA DALEKO.
HMMMMM!!!
EPILOG.
W POBLISKIM KOŚCIELE KATOLICKIM. 10 METRÓW OD MIEJSCA ZBRODNI.
SZCZĘŚĆ BOŻE!
PRZENIESIONO MNIE TUTAJ Z INNEJ PARAFII ZA MOJĄ NAMIĘTNOŚĆ ...
CO JESTEŚ W STANIE ZROBIĆ ANIOŁKU, ABY NIE TRAFIĆ DO PIEKŁA?

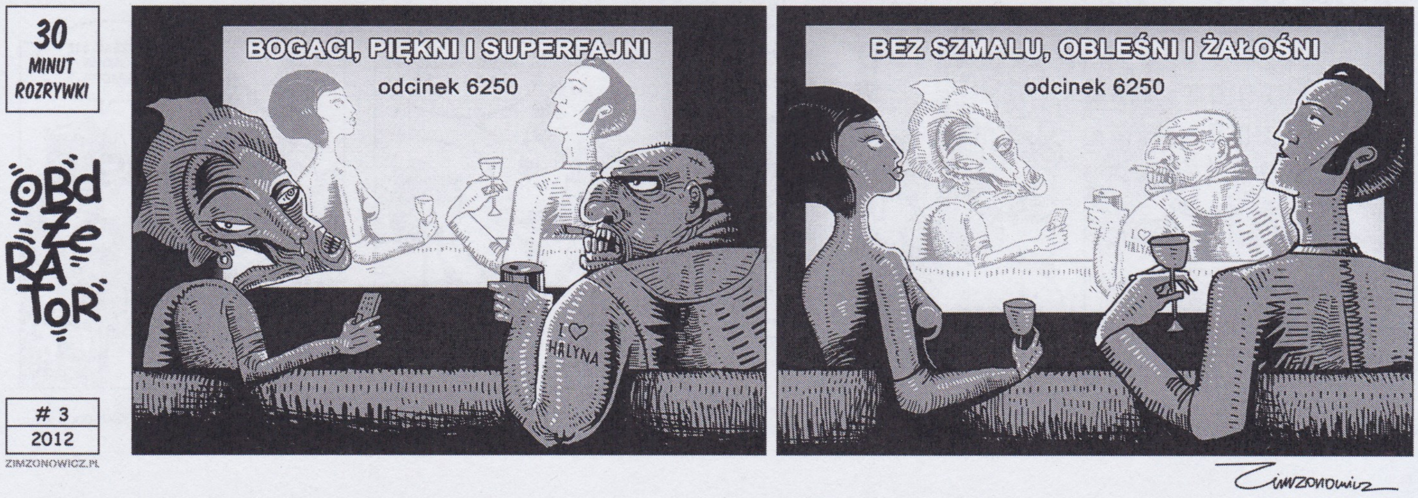
30 MINUT ROZRYWKI
OBdZeRATOR
3
2012
ZIMZONOWICZ.PL
BOGACI, PIĘKNI I SUPERFAJNI
odcinek 6250
I ♥ HALYNA
BEZ SZMALU, OBLEŚNI I ŻAŁOŚNI
odcinek 6250

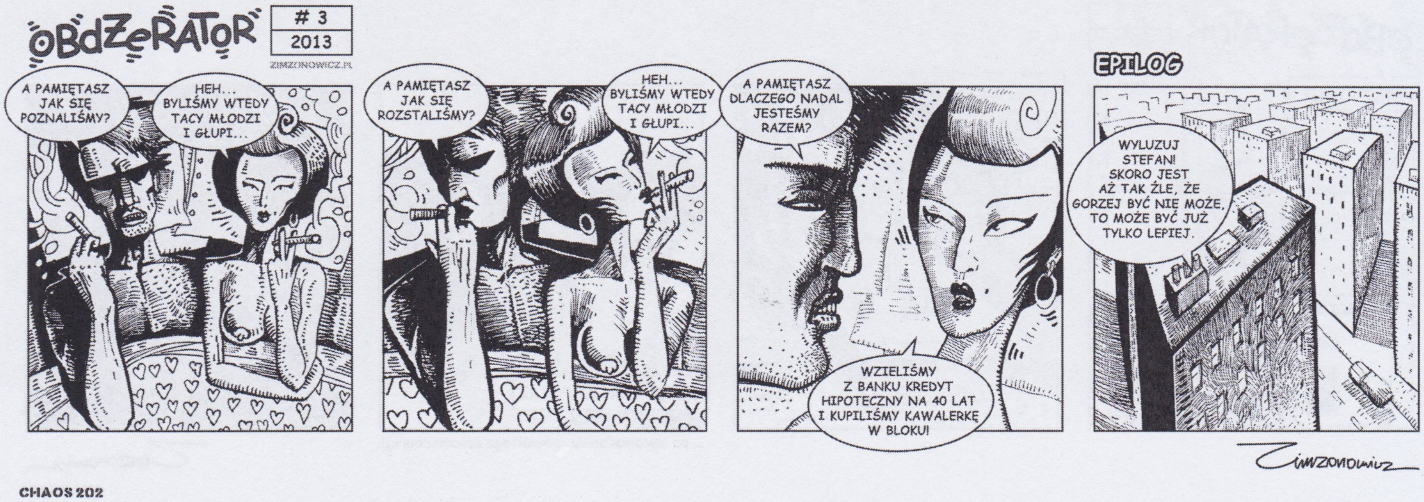
OBdZeRATOR
3
2013
ZIMZONOWICZ.PL
A PAMIĘTASZ JAK SIĘ POZNALIŚMY?
HEH... BYLIŚMY WTEDY TACY MŁODZI I GŁUPI...
A PAMIĘTASZ JAK SIĘ ROZSTALIŚMY?
HEH... BYLIŚMY WTEDY TACY MŁODZI I GŁUPI...
A PAMIĘTASZ DLACZEGO NADAL JESTEŚMY RAZEM?
WZIELIŚMY Z BANKU KREDYT HIPOTECZNY NA 40 LAT I KUPILIŚMY KAWALERKĘ W BLOKU!
EPILOG
WYLUZUJ STEFAN! SKORO JEST AŻ TAK ŹLE, ŻE GORZEJ BYĆ NIE MOŻE, TO MOŻE BYĆ JUŻ TYLKO LEPIEJ.

OBDZERATOR
1
2015
ZIMZONOWICZ.PL
PRZEPRASZAM PANA! PROWADZĘ ANKIETĘ DO MAGAZYNU SATYRYCZNEGO...
JIHAD
PYTANIE BRZMI: CZY MA PAN POCZUCIE HUMORU?!
NIE MA GŁUPICH PYTAŃ.
SĄ TYLKO BARBARZYŃSKIE ODPOWIEDZI.
Komiks dedykowany dla ofiar zamachu na redakcję CHARLIE HEBDO 07.01.2015
Zimzonowicz

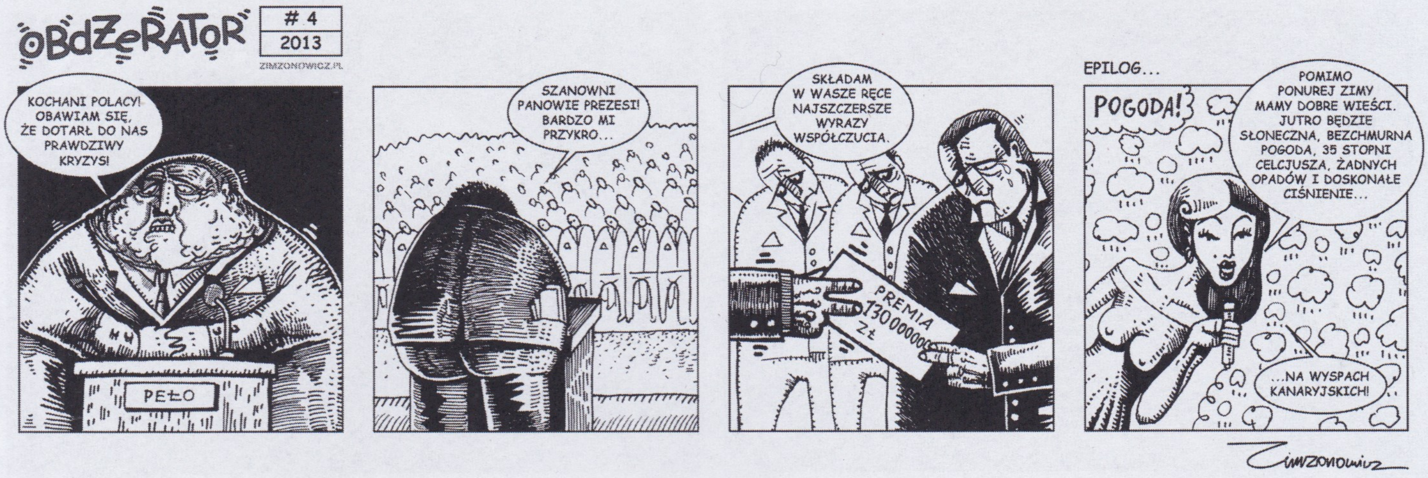
OBDZERATOR
4
2013
ZIMZONOWICZ.PL
KOCHANI POLACY! OBAWIAM SIĘ, ŻE DOTARŁ DO NAS PRAWDZIWY KRYZYS!
PEŁO
SZANOWNI PANOWIE PREZESI! BARDZO MI PRZYKRO...
SKŁADAM W WASZE RĘCE NAJSZCZERSZE WYRAZY WSPÓŁCZUCIA.
PREMIA 7300000 ZŁ
EPILOG...
POGODA!
POMIMO PONUREJ ZIMY MAMY DOBRE WIEŚCI. JUTRO BĘDZIE SŁONECZNA, BEZCHMURNA POGODA, 35 STOPNI CELCJUSZA, ŻADNYCH OPADÓW I DOSKONAŁE CIŚNIENIE...
...NA WYSPACH KANARYJSKICH!
Zimzonowicz

Hardcore Tattoo For Friends For Fun
Little Boy Cry
Składanka Hardcore Tattoo
"For Friends For Fun" (CD)
Little Boy
"Cry" (CD)
LITTLE BOY STREETCORE
GOOD LOOKIN' OUT
FOR A LIFE NOT WASTED
HARDCORE TATTOO RECORDS
Wkrótce:
HARD WORK (silesia hardcore)
Good Lookin' Out
"For a Life Not Wasted" (LP)
Hardcore Tattoo since 2008 crew
HARDCORE TATTOO
WWW.HARDCORE-TATTOO.PL
STUDIO TATUAŻU
WYDAWNICTWO
SKLEP
TEL. +48 534 797 224
STUDIO@HARDCORE-TATTOO.PL
KRAKÓW
UL. SŁAWKOWSKA 12

GORILLA ANGREB - Nothing Nice To Say, Berlin

DISHELL - Warszawa

IDIOTA CIVILIZZATO - Nothing Nice To Say, Berlin

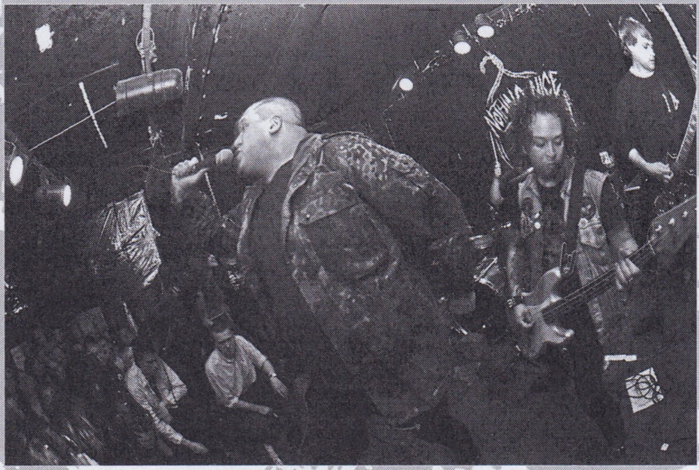

WARTHOG - Nothing Nice To Say, Berlin

RIXE - Warszawa

EXOTICA - Leeds

HEX - Leeds

ANXIETY - Antwerpia

Fot. Michał Szampański

LEBENDEN TOTEN - K-Town Hardcore Fest

LONG KNIFE - K-Town Hardcore Fest

BUTCHER - Warszawa

ODIO - K-Town Hardcore Fest

HELLSHOCK - Warszawa

BAD BREEDING - Warszawa

WOJNA - Warszawa

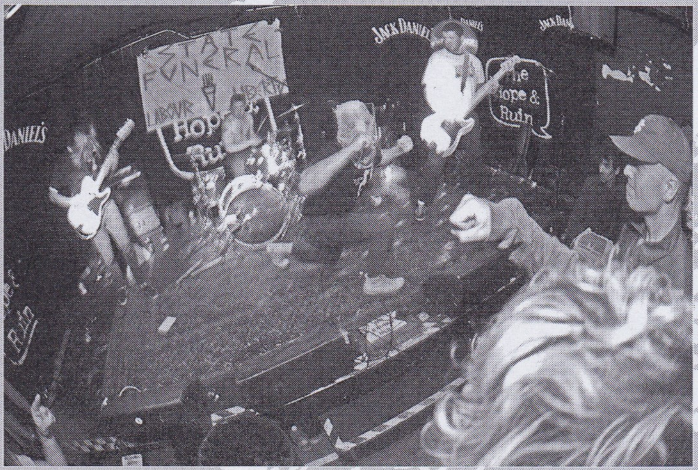

STATE FUNERAL - Brighton

Fot. Michał Szampański

BAD FUTURE - Spring Forward, Wrocław

GOVERNMENT FLU - Spring Forward, Wrocław

BRAINEATER - Lublin

BLOOD PRESSURE - Nothing Nice To Say, Berlin

L.O.T.I.O.N. - Nothing Nice To Say, Berlin

SUICIDEBYCOP - Lublin

LIMP BLITZKRIEG - Lipsk

SECT - Nothing Nice To Say, Berlin

GRAFFITI SPOŁECZNO-POLITYCZE W BIELSKU-BIAŁEJ 2016/2017

Historia społecznego, ekologicznego, antypaństwowego, czy też antyfaszystowskiego graffiti w Bielsku-Białej ma już blisko 30 lat. W krótkim wstępie napiszę tylko kilka zdań o tych ulicznych wrzutach, które są związane ze sceną hardcore/punk. Pierwsze z takich prac pojawiły się na bielskich murach w drugiej połowie lat 80. Proste, często wulgarne napisy, zastąpiły sprawnie wykonane szablony. Ta lubiana przez bielską załogę forma ekspresji ulicznej na stałe wpisała się w koloryt ścian budynków w tamtych latach. Ta forma została zresztą, kilkanaście lat później ponownie uskuteczniona przez załogę związaną z 3 Falą. Szybko jednak mury budynków oddano graficiarzom związanym z kulturą hip-hopową oraz kibolom, którzy chcieli zaznaczyć terytoria swoich wpływów. Odnowienie tej formy sztuki na ulicach Bielska-Białej, bez wątpienia należy zawdzięczać… lokalnym grupom neofaszystowskim. Typom zachciało się bowiem coś tam malować. Początkowo załoga ograniczała się do „przestrzeliwania" nazi grafik. Okazało się jednak, że chęci i chętnych do pracy jest sporo, a brunatni rywale nie byli na tyle płodni, aby można było się ograniczyć jedynie do poprawiania ich wynurzeń. Załoga zaczęła tworzyć więc swoje prace. Ostatnie półtorej roku to czas naprawdę sporej aktywności w tej materii. Część malunków została niestety zniszczona, ale sporo z nich pozostało. Ciągle także, co najbardziej cieszy, pokazują się nowe. Na poniższych fotkach widać tylko niewielką część tych prac, które zostały zrobione w ostatnim czasie (wykonanych zresztą bardzo różnymi technikami). Wielkie dzięki dla ekipy Antyfaszystowskiego Podbeskidzia za udostępnienie swoich archiwów. Tomek

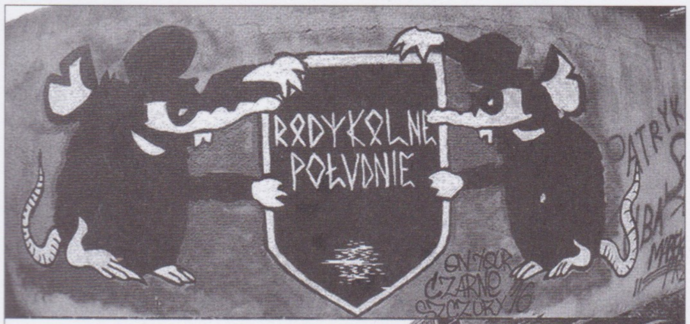

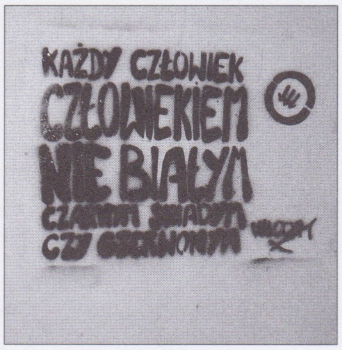

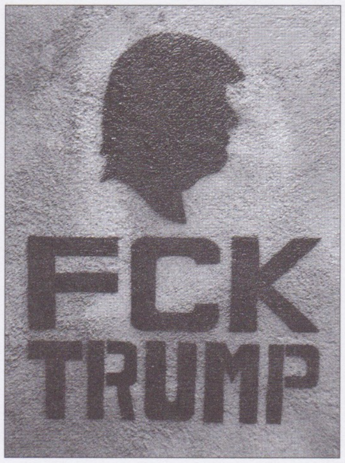

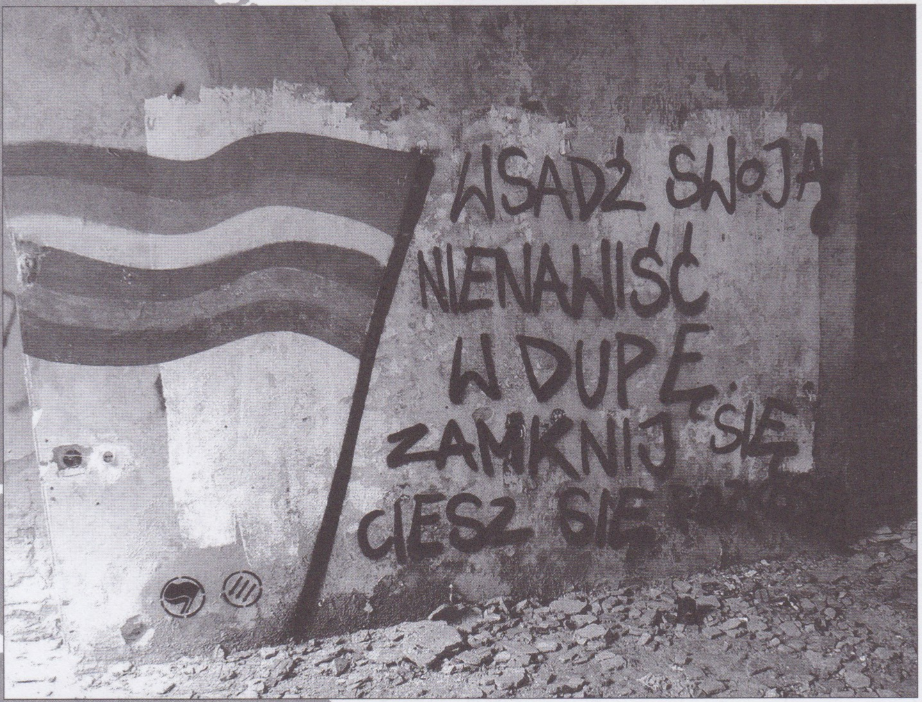
WSADŹ SWOJĄ
NIENAWIŚĆ
W DUPĘ
ZAMKNIJ SIĘ
CIESZ SIĘ

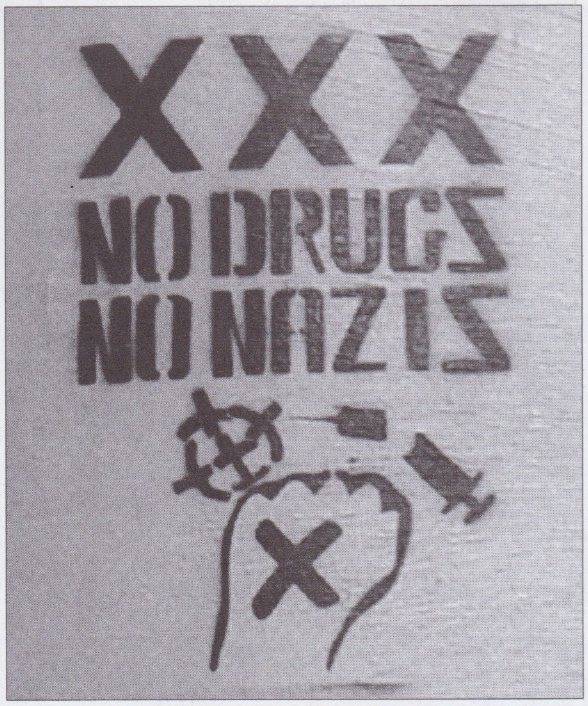
XXX
NO DRUGS
NO NAZIS

PIETA-CHE

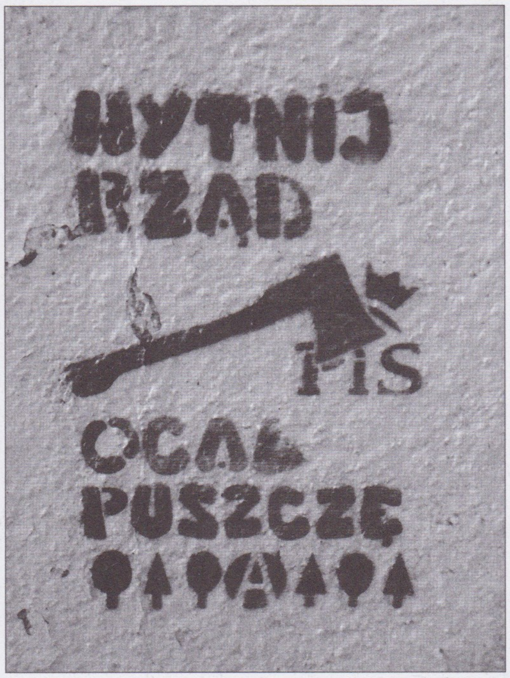
WYTNIJ
RZĄD
PIS
OCAL
PUSZCZĘ

CZARNY
PROTEST
TRWA

alerta
antifascista
NACJONALIZM?
NIE, DZIĘKUJĘ!
FEST 2017

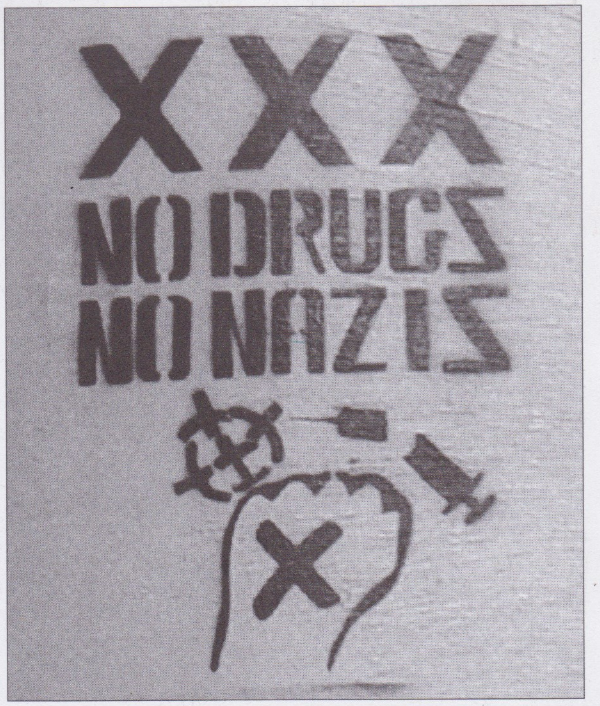

CHAOS W MOJEJ GŁOWIE NR 16

CH... W MOJ...

GRUDZIEŃ 2017

TAU CROSS
WARWOUND
CHAOTIC END
MÖRKHIMMEL
POŻOGA
VODKA VITRAIOM
THING
TOFU RIOT
MOTYLE I MASZYNY
WOLVES AT THE DOOR
RADIANCE